This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Slav 5198.657 (5-6)

HARVARD COLLEGE LIBRARY

Bought with the income of
THE KELLER FUND

Bequeathed in Memory of
JASPER NEWTON KELLER
BETTY SCOTT HENSHAW KELLER
MARIAN MANDELL KELLER
RALPH HENSHAW KELLER
CARL TILDEN KELLER

TEKA
WILEŃSKA

WYDAWANA

PRZEZ

JANA ZE ŚLIWINA.

NUMER PIĄTY.

WILNO.
W DRUKARNI A. MARCINOWSKIEGO.

1858.

KSIĘGARNIA H. HURTIG W KALISZU

Slav 5198.657 (5-6)

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno, 29 Kwietnia 1858 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

HARVARD UNIVERSITY LIBRARY MAR11 1964

Keller fol.

NOTATKI DZIWAKA,

POWIERZONE SOBIE

OGŁOSIŁ

WACŁAW P.

ROZBITEK № 1.

MARZYCIEL-MATEMATYK

(*Ciąg dalszy*).

DZIENNIK KAROLA.

Wilno 20 czerwca, 184...

Są uczucia, którym zaciasno w ludzkiéj piersi; wola nad niemi zapanować niemoże, a chociaż rozpromieniają nieraz całe nasze jestestwo, jeżelibyśmy je chcieli ukryć w sobie i z niemi się pieścić, stają się one ciężarem, domagają się gwałtownie wylania na zewnątrz, czy to w poufnéj serdecznéj spowiedzi przed bratem z ducha, który nas pojmie, zrozumie i razem z nami będzie bujał w uroczych przestworach rojeń zaludnionych przez rozigraną wyobraźnię, czy też spowiedzi przed samym sobą.

Dopókim był małém chłopięciem, i wszystkie myśli ześrodkowywały się w chwili bieżącéj; nigdy tęsknota nienawiedzała mych piersi, byłem swobodny, jako wiatr w polu, spokojny i nietroskliwy o siebie, bo wiedziałem że inni

myślą za mnie, inni o moim losie stanowią, a ja powinienem tylko pracą usilną wspierać zamiary starszych. Dziś— gdy piérwszy raz mi powiedziano publicznie, że jestem już człowiekiem, że muszę sam myśleć o sobie,— przyszłość niepewna, przerażająca stanęła mi przed oczy ze swą zagadkową fizyonomiją sfinxa niepojętego; myśli wolne od hamulca rozpierzchły się swawolnie — niemogę zdać sobie sprawy z uczuć, które mi pierś przepełniają;— a jednak pojmuję to dobrze, że teraz właśnie powinienem trzymać się na wodzy, zdawać sobie sprawę z każdego swego postępku, każdy zamiar piérwiéj dobrze rozważyć, niż w czyn zamienić.

Dla tego więc postanawiam od dziś, zapisywać wszystkie najtajniejsze myśli i zachcenia chociażby kiedy przyszło zarumienić się przed sobą samym: — przecięż mych wyznań nikt czytać niebędzie, moich świętości niesponiewiera obojętny wzrok ciekawości;— a może kiedy za lat wiele przebiegając te karty, na których każda chwila życia wypisana, wrócę wspomnieniem w lata młodzieńcze—i będę z tych kart czerpał otuchę w strapieniu; one mię skrzepią na walkę z życiem i przeciwnościami.

Noc spokojna— przy otwartém oknie mojéj stancyjki na poddaszu, siedzę rozmarzony rozkosznie, zmęczony wypadkami dnia dzisiejszego; przede mną wieżyca Ś-to Jańska wyskoczyła wysoko w górę i osrebrzona promieniem xiężyca, ostremi konturnami zarysowywa swe kształty na ciemnym lazurze; jéj dumne czoło, górując po nad całém miastem swą wyniosłością i szronem przeżytych wieków, hardo się nadstawia chmurom przelotnym; a u stóp jéj szemrzące źródło— to łez krynica, łez wylewanych za tém co minęło od lat dawnych; a cichy szmer odbijający się o ściany otaczającego domówstwa i po krawędziach wieżycy wdziera-

jący się aż do niebieskich stropów—to poufna skarga, serdeczne wyznanie, które gwar dzienny swym interesowanym zgiełkiem zagłusza, i nikt zrozumieć niemoże, i nikt posłyszeć niechce wyszemranych przypowieści z dalekiéj przeszłości... a wiele widziała wieżyca. Wartoby jéj posłuchać i wziąć do serca jéj słowa. Lecz nasze serca martwe, wyobraźnia ołowiem przystroiła skrzydła i lęka się uchylić zasłony, co dolę praojców zakrywa, by ztamtąd nieurósł groźny wyrzut, żeśmy niesprostali swym obowiązkom, że spuścizna poświęcenia i miłości zaciężka na nasze barki. I po cóż nam karłom w pieluchach, których cały cel życia, to byt materyalny i trochę rozgłosu chociażby szalbiersko zdobytego, stawać oko w oko z przeszłością? Oglądam się dokoła, patrzę na swoich rówieśników i wewnątrz własnéj zaglądam piersi, i szukam zapału tych wzniosłych uniesień, które młodzieńczość stanowią, i pytam: czy my żyjemy, czy tylko jesteśmy?

Wczoraj zebraliśmy się w kilkunastu, my, dzieci jutra, przed którymi zda się cały świat stoi otworem. A była to ważna chwila w naszém życiu, bo to było wiliją dnia, w którym mieli nas pasować na ludzi, rozdając publicznie patenta w radzie nauczycielskiéj, i pobłogosławić na drogę życia ręką, co kierowała nasze dziecinne kroki, rodzicielskiém współczuciem, które myśl naszę przez lat tyle budziło i piérwsze ziarna poczucia obowiązku wszczepiło w nasze serca. Dziwne to było nasze zebranie! Jedni z nieoględnością dziecięcia jak ptaszę co się z klatki wyrywa niechcieli badać jutra: bo i cóż to ich obchodziło? chwila obecna dla nich wystarczała. Inni z jakąś bojaźnią patrzali w przyszłość: bo przeczuwali wiele zawodów w życiu, przeciwności wzrastały w olbrzymie kształty w ich wyobraźni, i nieprzyzwyczajeni do samodzielności, żałowali

tych pasków, na których ich prowadzono, chociaż do tego się nieprzyznawali. Szukałem pośród swoich oddźwięku dla myśli, co mi mózg paliła, pierś rozsadzała,—i gdy już piérwsze upojenia, utyskiwania i skargi przeminęły, gdy każdy wylał w słowach to co mu ciężyło, takem do nich przemówił: „Jutro idziemy w świat. Nasze wstąpienie w szranki życiowe niepowinno się odbyć pod godłem sobkowstwa i dbania tylko o siebie; my jesteśmy przedstawicielami jednéj chwili życia, i za tę chwilę zmarnowaną Bogu odpowiedzieć będzie potrzeba. Kto dzisiaj myśli o sobie, o swoich celach i o swoim tylko losie, ten niema prawa do życia."

— No, to ja będę żyć bezprawnie!—odezwał się jeden z koleżków, dziecię zamożnych rodziców,—ja tak siebie serdecznie kocham, że bez względu na wszystkie teorye nigdy o tém zapomnieć niemogę. Widzisz mój Karolu, ty zawsze mówisz pięknie i gotowem cię słuchać kto wie jak długo, kiedym niegłodny; ale chciéj zważyć, że dla orła powietrze, dla ryby woda; tyś marzyciel, tobie ten stary professor Jan swojemi lakonicznemi maxymami głowę przewrócił, to tobie się i zdaje, że Bóg do wielkich rzeczy ciebie powołał. A ja to co innego, ja sobie jestem urwis i wcale sobie głowy niekłopocę, co tam i jak będzie.

— I dobrze robi Ignaś; po co to sobie głowę zaprzątać?— przerwał drugi.—Wszakże pamiętasz co nam zawsze bedel dowodził, kiedy który z nas tłómacząc się powiedział, że myślał tak albo owak: „Hm! wacan myślisz bardzo źle, bardzo źle! młody człowiek niepowinien myśleć, ale słuchać; to swawola, mości dobrodzieju, to nieposłuszeństwo; a od czegoż są naczelnicy?" I mówiąc to młody chłopak poprawiał kołnierzyki, nadymał się i chodził po pokoju, naśladując z niesłychaną zręcznością i dokładnością całą komiczną postawę naszego bedela.

Śmiéch homeryczny rozwiązał tę ważną kwestyę. Śmiałem się i ja wraz, z innymi; ale jakoś mi boleśno było na duszy: oni powiadają, żem ja marzyciel — i dla czegoż? przecięż kocham ich jak braci — to rzeczywistość; pojmuję to życie praktycznie, może praktyczniéj niż inni, bom nieraz musiał bez wielu się rzeczy obywać i dla kupienia xążki wyrzec się kilku obiadów. Ja miałbym przecięż prawo, samowolną pięścią kołatać do podwoi łaski, koleją domagając się o byt dla siebie;— ale nie: ja do tych gonitw o rubla należeć niebędę — czuję wewnątrz méj piersi zapał nieudany,— poświęcenie dla mnie niebędzie straszném, nierozpieściły mię zbytki, nieskrępowały ducha nawyknienia... Dzięki ci, professorze Janie! tyś mi wskazał cel życia, a taki święty, niepokalany przez sobkowstwo ani przez słabość ludzką!

— Wszystko to bardzo pięknie,—powiedział Ignaś;— ale ja trzymam się zasady: „w wątłém ciele słaba dusza", chociaż nasz kapelan trochę się krzywi na tę maxymę— ale cóż począć! myśmy słabi. A zatém przez wzgląd na nasze ciało wnioskuję, aby się napić herbatki.

— Zgoda! zgoda!—zawołali wszyscy,—ale jakże to będzie?

— ***Juncis viribus***, mości panowie, ot co! może nie po łacinie?

— Ach mój Boże, i wszystko napróżno! Niesłyszysz, mój potomku (choć nie w prostéj linii) Cyceronów i całéj kohorty gadułów w togach, niepoprawisz mnie dwójki, jadę bez patentu do mamy, będę musiał opowiadać bajeczne historye o prześladowaniach, niesprawiedliwościach — mama ze łzami będzie mnie słuchać i, rozumie się, uwierzy, że to zazdrość skrzywdziła jéj jedynaka.

— Mój Ignacy,—przerwałem mu—matka cię kocha, a ty ją oszukujesz.

— Oho, mój Katonie! właśnie dla tego, że mię kocha, muszę ją oszukać: lepiéj niech sobie myśli, żem skrzywdzony, niż żem nic dobrego. Ale do rzeczy, mości panowie! Najprzód ja, jako człowiek najpraktyczniejszy, mam herbatę i cukier w kieszeni. Jasiek dostanie samowara i szklanek u gospodyni, bo przecięż on gospodarz i może się zdobyć na poświęcenie, wysłuchać przy okazyi litaniję narzekania na złe czasy, na dwóch złych mężów, których pochowała i t. d. Ale tego jeszcze mało! trzeba jeszcze zrobić inwentarz naszych finansów, a jako kto może niech ku poczciwéj sprawie dopomoże— może cytacya niedokładna ale w porę. Ja składam na ołtarz dobra publicznego gr. Pol. 7; więcéj niemogę bo niemam.

Jaś poszedł po samowar i szklanki, my zaczęliśmy najsumienniejsze poszukiwanie po naszych kieszeniach, i przy Bożéj pomocy jakoś wkrótce przyzwoita kupka miedziaków znalazła się na stole.

— Powiadają: szanuj grosz, grosz cię uszanuje,—ciągnął daléj Ignaś,—piękna teorya, ale chciałbym wiedzieć, jak te grosze zebrane na stole uszanują nasz apetyt, kiedy swojéj pracy do nich nieprzyłożymy? Macie ustęp z ekonomii o kapitale i pracy—widzicie, że nauka i w życiu ma pewne zastosowanie. *Qua causa*, mospanowie, na głosy: kogo wysyłamy w ważnéj missyi zakupienia bułek? bo do wszystkiego potrzeba specyalnéj kwalifikacyi, jak powiada professor fizyki.

— Karola posyłać niemożna,—zawołał Józef silnie zbudowany, pulchny, z wyrazem powszedniości na twarzy,—bo zobaczycie, że idąc koło kościoła połowę rozda żebrakom.

— No i ciebie niebardzo można posyłać,— przerwał Ignaś,—bo ty w drodze wprawdzie nienakarmisz łaknącego, ty się w tkliwość niebawisz, ale trzy czwarte obrócisz na

pożytek twojéj indywidualności: ja głosuję za Franciszkiem; czyż my go darmo starym nazywamy? Najprzód, wiek jego i systematyczność broni go od wszelkiego roztargnienia,—powtóre: znacie przecięż jego praktyczność, on kupując librę papieru, przejrzy każdy arkusz, czy niema skazy.

— Głosujemy za Franciszkiem — Franciszek nasz deputowany!— zawołaliśmy jednogłośnie.—Franciszek Drawdzik był jednym z najlepszych uczniów w naszéj klassie; niedał mu Bóg swietnych zdolności, ale bieda wyrobiła w nim charakter i wolę. Kiedyśmy pustowali, on ucząc dziatwę czytać, korepetując kolegom z niższych klass, przepisując kajeta, zarabiał na swojé utrzymanie— i nigdy niemogliśmy się wydziwić jak mu na wszystko starczyło czasu; umiał sobie wszystkiego odmawiać pod względem wygod życia, byle tylko zapewnić sobie środki do nauki,— i tak robiąc spekulacye na swoim apetycie, w przeciągu dwóch lat ostatnich pobytu w gimnazyum, zebrał sobie w cale niezłą biblijoteczkę z kilkudziesięciu ale wyborowych dzieł złożoną. Często wiedząc że niema za co kupić obiadu, zamożniejsi koledzy zapraszali go do siebie. Franciszek przychodził, ale niedotknął okruchy chleba, i kiedy mu wyrzucano, że zbyt jest dumnym i niechce przyjąć bratniéj pomocy, zwykle odpowiadał: — dumny; niewolen jestem od tego grzechu; ale toby mię poniżało gdybym się wyparł swojéj zasady. Człowiek do tego tylko ma prawo co zapracuje: waszego obiadu niebędę jadł, bo niezapracowałem nań. Zresztą wywzajemnić się niemogę, ja wam obiadu niekupię, musiałbym zaciągać dług bez potrzeby i bez zamiaru wypłacenia go. To szalbierstwo, a ja jestem poczciwy człowiek. Zjadłem dziś szklankę mleka i to wystarcza. Przecięż mogłem mieć obiad bo jeszcze onegdaj miałem 20 złt., ale znalazlem u bukonisty fizy-

kę Pouillet'a, wolałem ją kupić i przez miesiąc brać mleczną kuracyę. I cóż mi to szkodzi? przecięż widzicie, żem zdrów i wesół.—

Ta codzienna walka o potrzeby życia, wyrobiła w nim poszanowanie grosza, jako środka: nim co wydał, długo się namyślał,—i jak choremu koledze zawsze przybiegał z chęcią, z pomocą, tak zdrowemu i mogącemu pracować nigdy niepożyczył pieniędzy, a nawet niepomógł w pracy umysłowéj, dowodząc, że każdy winien sam sobie radzić. Ta rachunkowość z początku zrażała nas i odstręczała od Drawdzika, unikaliśmy go nawet przez rok blizko; ale późniéj jedna okoliczność pokazała nam, że to zacne serce i że tylko jakaś kontradykcya w moralnéj naturze ducha, z warunków życia wylęgła, była powodem takiéj oziębłości i przezornego egoizmu. Było to jakoś jesienią. Przez miesiąc blizko niewidzieliśmy Drawdzika ani na lekcyach, ani u kolegów; powoli zaczęło nas niepokoić; ja w imieniu kolegów poszedłem dowiedzieć się, co się z nim dzieje. Mieszkał on wtenczas na Popowszczyźnie w malutkim domeczku, który podczas zimy stał zwykle pustkowiem, i dla tego za kilkanaście złt. komornego mógł mieć swój kątek.— Znalazłem go w domu; trochę się zakłopotał gdy mnie zobaczył: była to szlachetna skromność człowieka, co się ukrywa ze swojemi dobremi uczynkami. Od miesiąca pielęgnował on chorego wyrobnika, którego znalazł leżącego na drodze. Niemiał on dla niego żadnych obowiązków, bo go nieznał; ale był to człowiek chory, co niemógł pracować, miał przeto prawo do jego pomocy: zabrał go do siebie, przywołał lekarza, pielęgnował jak brata, poświęcił cały zapasik grosza tak mozolnie uzbierany, a gdy choroba się przeciągała, powoli surducik poszedł na zastaw, i połowa książek się sprzedała. Ze łzami uwiel-

bienia rzuciłem się mu na szyję; w imieniu wszystkich kolegów przepraszałem go za naszę niesprawiedliwość; wyznałem mu szczerze, że my sądząc z pozorów uznaliśmy go za egoistę. On się uśmiéchnął boleśnie i powiedział: „Bolało mię to, ale niemogłem się poniżyć do tłómaczenia; wybyście mnie niezrozumieli, a ja komedyi zgrywać niemogę."

Na drugi dzień całém gronem przyszliśmy wynagrodzić naszę pomyłkę. Uzbierała się malutka składka, chory wyzdrowiał, a Drawdzik ani na jotę niezmienił swego postępowania; ale myśmy szanowali jego dziwaczne nieraz maxymy, bośmy się przekonali, że one z zacnéj płyną duszy.

Mniéj jak w kwadrans Jaś przyszedł ze szklankami i samowarem, Franciszek wrócił z bułkami, a Ignaś jako promotor postawił stół na środku pokoju, zamiast serwety rozesłał kilka arkuszy Kuryera Wileńskiego i zaczął ustawiać szklanki.

— No, Jasiu, niepopisałeś się: nas jest czternastu a szklanek tylko 7; ale trzeba się ratować jak można, musim się podzielić na dwie partye, na gości i gospodarzy. Najprzód nakarmim i napoim hultajów: bo ci zwykle cudzym kosztem żyją.

— A ty, Ignasiu, do jakiéj partyi będziesz należeć?—zapytał Franciszek.

— Ja, jak to wam musi być wiadomo, mam niezaprzeczone prawo do hultajstwa; bo mama wyprawując mię do szkół mówiła: „Niemęcz siebie, mój Ignalku szanuj zdrowie, boś ty jeden u mnie jak słońce na niebie." To też szanowałem moje zdrowieczko, wyglądam zda się nieźle, i umiem właśnie tyle ile potrzeba jedynakowi, co dostanie wioskę po rodzicach.

Znałem Ignasia zupełnie z innéj strony; wiedziałem, że chociaż niebardzo się przykładał do nauk, ale wiele czytał, i pomimo swéj lekkomyślności pozornéj, wyrobił w sobie dość wytrawny sąd o ludziach i o swoich obowiązkach: dla tego bolał mnie jego cynizm w przechwalaniu się ze swemi wadami, i lekceważenie w słowach nawet tego co szanował najbardziéj.

— Mój Ignasiu,— powiedziałem mu — niesłusznie siebie oskarżasz. Prawda, żeś mniéj od nas ślęczył nad xiążkami, aleś się więcéj wpatrzył w życie,— i w każdéj sprawie, która nas obchodziła, któż nam doradził? Ignaś! kto z kłopotu wyplątał? Ignaś! kto się podzielił ostatkiem z potrzebującym? Ignaś! kto Antosiowi napisał ćwiczenie, za które tamten wziął piątkę, a sam niepodał żadnego? Ignaś! i zawsze Ignaś!

— O dla Boga! powstrzymaj swój zapęd Karolu!— zawołał Ignaś,— czy niemyślisz odprawiać na moję cześć litanii? toż bałwochwalstwo. Jak rozbujasz swoję wyobraźnię, mój Karolu, to gotoweś poczytać mi za największą zasługę, że nic nieumiem, że będę żyjącym obrazem nędzy moralnéj, i każdy ojciec i matka pokazując na mnie będą mówić do swojego syna: „ucz się chłopcze, żeby niebyć takim nic dobrego jak ten Ignaś."

— A dajcie już pokoj téj nauce!—przerwał Antoś—czy już niéma o czém porządniejszém rozmawiać? Że Karol, że Drawdzik się uczą, to ich rzecz, oni będą z tego chléb jedli, ale nam to na co? jeszcze nam chleba wystarczy.

— Masz najzupełniejszą racyę, mój Antosiu,— przerwał Ignaś,—tém zdobyłeś sobie przywiléj do piérwszéj szklanki herbaty: bo kiedy my hultaim przypadkiem, ty hultaisz z zasady.

— Żartuj sobie zdrów!— przerwał Antoś—a ja sobie wra-

cam do domu i zaczynam gospodarzyć, i ręczę, że bez waszych mądrości, będę miał więcéj od was wszystkich pieniędzy—a jak mi trzeba będzie co zrobić, to kupię sobie jakiego hołysza, co za mnie będzie pracował, a ja mu zapłacę.

Obrażał nas wszystkich podobny sposób zapatrywania się na rzeczy; aleśmy się wszyscy przyzwyczaili nieprzywiązywać wielkiéj wagi do tego co Antoś mówi. Jeden tylko Drawdzik, który go instynktowie nielubił, zbladł, postąpił parę kroków do łóżka, na którém leżał rozwalony Antoś, i głosem tłumionym powiedział:

— Powoli, powoli, mości Krezusie, z kupowaniem hołyszów! Nas tu więcéj hołyszów niż pasożytów takich jak ty; ale jeszcze bodaj żaden z nas niebył do sprzedania; niekupiłeś nawet odrobiny przychylności i poszanowania jakie się ma dla kolegi,— i dla tego ci radzę, niewywołuj wilka z lasu, bo mógłbym ci tak gorzką prawdę powiedzieć, że odpadłaby cię ochota, chełpienia się z grosza, kto wie jak nabytego.

Antoś był synem dorobkowicza. Ojciec jego najprzód ekonom, daléj pisarz prowentowy, późniéj komisarz, dorobił się znacznéj fortuny, może niezupełnie wedle prawdy i sumienia. Kupił majątek w dyferencyach, od razu rozpoczął kilka procesów z biedniejszymi sąsiadami; a że miał pieniądze, słuszność znalazła się na jego stronie i zaokrąglił sobie w ten sposób bardzo piękną fortunkę. Z początku okoliczni obywatele patrzyli nań z ukosa; ale powoli, powoli, oswoili się widzieć go w swojém gronie. Smaczne obiady dokonały reszty. Przymówka zatém Drawdzika tak była jawną, że nawet Antoś ją zrozumiał, chociaż niegrzeszył domyślnością. Zerwał się z łóżka, czerwony jak upior, i podskakując do Franciszka, zawołał:

— Cóż to sobie ty myślisz, że ja pozwolę byle komu

w kaszę dmuchać? Przymówki! patrzaj go, — jeszcze on, mnie będzie robić przymówki!

Ściągnięte rysy Drawdzika kazały się nam lękać, że może z tego być awantura; i kto wie jakby się ta sprzeczka skończyła, żeby Ignaś niewpadł między zwaśnionych, wołając:

— Dosyć téj gawędy, czas do roboty. Jak przyjedziemy do ciebie, Antosiu, to nam twój Hryćko nastawi samowar i będziesz nas wielce fetował; a teraz, ponieważ niemamy Hryćki, zrzuć pychę z serca, bierz dzbanek i ruszaj po wodę.

— Jak to? ja po wodę?— zapytał Antoś, patrząc ze zdziwieniem na Ignasia.

— A tak, po wodę: bo wiesz przecię, że bez wody samowara nastawić niemożna.

Antosiowi ten komis widać bardzo się niepodobał, ale że się lękał trochę Ignasia, odezwał się nieśmiało, patrząc mu w oczy:

— Możeby kto inny?

— Patrzcie, jaki wyborny nasz splendorek!— zawołał Ignaś odwracając się do kolegów—kto inny!— czemuż nie? Niech inni pracują, ja będę spożywał. Zastosujesz tę zasadę, jesteśmy przekonani, jak pojedziesz gospodarzyć; ale tymczasem życzymy panu szczęśliwéj podróży. Tylko uważnie i oględnie z tym dzbankiem: ucho trochę niepewne.

Antoś wyszedł mrucząc pod nosem; a wszyscyśmy dziękowali Ignasiowi, że tak w porę umiał upokorzyć niewczesny wyskok Antosia, który w naszém serdecznem koleżeńskiém kółku, był jakby żyjącą przestrogą: że te szkolne przyjaźnie, tę równość braterską, zetknięcie się ze światem rozproszy jak mgły poranne, że miejsce miłości i poświęcenia zajmie w naszém sercu interes i sobkowstwo, że

uszanowanie zasługi i pracy zastąpi albo schlebianie niewolnicze tym co silniejsi, albo li też zerwanie z towarzystwém i zamknięcie się w sobie samym.— Smutna wojaczka z upiorami przesądów i zastarzałych nawyknień, kiedyż ona przestanie pochłaniać co najpiękniejsze zdolności i składać na ołtarz Baalowi szlachetne uniesienia dusz młodzieńczych, łzy rozpaczy bezsilnéj, umysły stargane zwątpieniem? W naszém kółku z kilkunastu młodych chłopaków złożoném, których nauka i koleżeństwo powinnoby zwrócić ku jednemu celowi, tyle się różnorodnych zebrało żywiołow,— a cóż będzie późniéj? co będzie w życiu?

Przy herbacie gawędka szła jakoś żwawiéj, każdy się spowiadał ze swych rojeń, ze swych projektów na przyszłość; a najniedorzeczniejsze nawet plany poparte nieudanym zapałém i potęgą młodzieńczéj wiary w swe siły, nabierały u nas praw obywatelstwa.

Kilka słów, płynących z serca, pewno potrafiły obudzić szczery zapał, chęć poświęcenia. Każdy zabaczał o sobie, o swoich widokach i celach, całą istotą zlewał się z myślą ogólną, okiem roziskrzoném wiarą w przyszłość i nadzieją, gonił urocze fantazma młodzieńczéj wyobraźni.... wzniosła to była chwila ogólnego uwiedzenia.

Czy się ona powtórzy? czy się wyryje niezatartém piętnem na sercach naszych? Tak wzniosłych postanowień, wywołanych przez podniesiony stan ducha, ani czas, ani ludzie, ani przeciwności zagładzić niebyły w stanie.

Czy owe wzniosłe zamiary, poświęcenia pełne, rozpierzchną się jako mgły poranne, gdy słońce realizmu, wejdzie na naszym horyzoncie,—czy dochowają nieskalaną dziewiczą szatę młodzieńczego ducha i ochronią przez lat wie-

le serca nasze od zajazdów egoizmu, zwątpienia i obojętności, co z śmiercią graniczy? któż zgadnie, kto to przepowiedzieć potrafi?

O! moi drodzy koledzy, z którymi się tyle lat wolnych od trosk i niedoli przeżyło, dzieląc się myślą każdą, płacząc jednemi łzami, ciesząc się wspólną radością — czy was kiedy zobaczę? czy pozwoli los zawistny spotkać się nam kiedy znowu w śród życia kolei, i tak jak dawniéj tylko w doświadczenie bogatym, przez czyściec proby zahartowanym, iść z życiem w zapasy, pierś przy piersi, ręka w rękę, mieć jedne drogi i wspólne cele?

Niestraszy nas nieszczęście, bośmy w wiarę bogaci— niech ono nas dotknie— lecz dla tego tylko, byśmy przez cierpienie uszlachetnieni, stali się pożytecznymi pracownikami w winnicy Pańskiéj.

A jeżeli któremu z nas sądzono dla ziemskich celów podeptać swoje świętości, dla utorowania sobie drogi popchnąć bliźniego w przepaść, uchylić szlachetne czoło przed nieprawością, dla tego tylko że silniejsza, lub nagiąć wolne sumienie do frymarku sobą i swoimi, to lepiéj niech o takim pamięć zaginie — i niedozwól nam Boże spotykać go w życiu, by jego upadek naszych wspomnień nieobrażał, a jego poniżenie niestanęło przed nami, jak widmo szyderstwa z zapałów młodzieńczego ducha — i niepostużyło za żyjący przykład, dla tych, coby w imie egoizmu pragnęli stygmatem szaleństwa, napiętnować każdą myśl z serca niezarażonego sobkowstwem płynącą, każdy zamiar co się wyłamał ze spowijaków kupczenia, zysku lub wzdychania do dobrego bytu dla siebie, każdą chwilę uniesienia i zapału, w których człowiek zabacza o sobie— a żyje tylko dla idei. Często bardzo zastanawiałem się nad tém, czemuby przypisać tę łatwość, z jaką w naszym wie

ku przechodzimy od jednego usposobienia do drugiego? na mocy jakich praw, jakich wpływów zewnętrznych, rozwija się w późniejszym wieku inercya ducha? a chociaż mi pan Jan starał się wytłómaczyć, że właśnie ta inercya jest hartem charakteru, niezmiennością opinii, siłą woli, ja jakoś nigdy dobrze tego pojąć niemogłem. Ale wiedziałem z doświadczenia, że gdzie się zbierze kilkunastu młodzieży, tam łzy od śmiechu, najpoważniejsze postanowienia i zamiary od pustoty, jedna tylko chwila przedziela:—to też i z nami wczoraj zupełnie było tak samo. Po chwili skrystalizowania młodzieńczego zapału, gwoli jednéj myśli wzniosłéj, która winna była być zasadą naszego postępowania wciąż przez wszystkie godziny życia,—niepamiętam już na czyj wniosek, uprzątnęli naprędce w pokoju, mnie dali skrzypce w ręce, wsadzili na komodę i kazali rznąć od ucha; Drawdzik wtórował na grzebieniu, inny z kolegów takt wybijał w miednicę, a reszta kompanii daléj do tańca. Ktoby ze strony patrzał na te niesforne skoki, na oczy roziskrzone nieudaném weselem, twarze rozpromienione swawolą, ten mógłby nas wziąć wszystkich za wyzwoleńców od Bonifratrów albo hołdowników Bachusa,—a jednak tak nie było. Podnietą zabawy był nadmiar życia, który się musiał jakkolwiek przejawić na zewnątrz. A chociaż patrząc na nas niełacnoby nas uznano za nieodrodne dzieci Terpschory; toć w ruchach tyle było dziarskości, na twarzy takie wesele szczere, serdeczne jaśniało, iż wieluby się znalazło, coby nam téj godzinki swawoli pozazdrościć mogli. Biedni co się nigdy niezapominają!...

— Basta!— zawołał Drawdzik rzucając grzebień, gdy u mnie już się wszystkie struny na skrzypcach porwały, a reszta kolegów zmęczona ledwo się trzymała na nogach.

Ignaś leżąc na łóżku, głosem przerywanym od zmę-

czenia zawołał: — Hola frygi! — cóż to nieznacie waszych obowiązków? daléj w solennym porządku wedle zasługi, oddać cześć kapeli!

I za przykładem Ignasia, wszyscy skoczyli do nas, pochwycili na ręce i poczęli wyrzucać w górę każdego z kolei. Chwała Bogu, że mi się udało skrzypce położyć w bezpieczném miejscu.

— Grajek zmachał się od grania.... powiedział Ignaś ocierając pot z czoła rękawem,— jak tam daléj? podpowiedzcie chłopcy, bo niepamiętam.

— Daléj stoi napisano: że wszyscy się rozeszli do domu,— powiedział Drawdzik i wziął poważnie czapkę.

— To chyba nieczytałeś przypisku—rzekł Ignaś,—bo tam jest napisano: że wyszli na ulicę, ale nie do domu. Ja głosuję za przypiskiem,— czy zgoda panowie?

— Zgoda! zgoda!— zawołali wszyscy.

I w jednéj chwili już byliśmy na dole i parami sunęliśmy się bez celu, głośno gawędząc i nócąc.

Już było późno; na ulicach niespotykaliśmy nikogo; miasto zmęczone dziennym trudem spoczywało. Dziwne wrażenie robią puste ulice ludnego miasta wśród nocy. Gdzie spójrzysz, w oknach ciemno, cisza dokoła, i echo stąpania odbite wielokrotnie, jak w śród katakumb głucho się rozlega, dochodzi do ucha, by złowieszcza przestroga za połamanie praw natury i lekceważenie cudzego spokoju. Błądząc tak bez celu, niechcący znaleźliśmy się na Ostrobramskiéj ulicy. Mimo woli posunęliśmy się daléj; wszyscy przyklękli, głowy się pochyliły w kornéj modlitwie, a tam przed obrazem, jak gwiazdka nadziei, świeciła lampa; migocąc, a wśród nocnéj ciszy wyrywające się z naszych piersi westchnienia zlewały się w hymn błagalny o błogosławieństwo na drogę życia. Podniosłem wzrok, w pa-

trzyłem się w obraz, i zdawało mi się, że z mroków nocnych, wyjrzała twarz Boga-Rodzicy, otoczona jasnością, i dłonie złożone na piersiach, wyciągnęła zda się po nad naszemi głowami, a wiatr przelotny zdawał się szeptać do ucha: „Ja ukochałam Wilno, bo gród ten od wieków dań z miłości i z modłów serdecznych mi płaci; wyście dzieci tego grodu, Ja czuwać będę nad wami; ale ducha niegaście, szanujcie zapał święty w piersiach złożony, a gdy po latach wielu wrócicie do rodzinnego miasta, każdy kamień co wieki pamięta, będzie miał prawo was zapytać: cożeście zrobili ze spuścizną łez, pracy i poświęcenia, przez ojców nam przekazaną? I złożę w waszych piersiach miłość niewygasłą dla tego grodu, z którego się na świat rozchodzicie; ona was ochroni od podszeptów pychy i chęci wzniesienia się, z niéj wykujecie zbroicę, która waszę pierś zakryje od pocisków, namów obcych i ludzkiéj przemocy. Ufajcie tylko, w modlitwie czerpajcie siły; a gdy was gdzie daleko od swoich pokusy otoczą, a wasza pierś zabliźni się egoizmem,— szukajcie obrony przed moim ołtarzem, ulatujcie wspomnieniem w lata minione: świętość chwili obecnéj będzie dla was najlepszym puklerzem.”

I znowu było cicho, lampa wciąż migotała, a w duszach naszych był spokój. Powstaliśmy w milczeniu i ze spuszczonemi głowami, z piersią przepełnioną miłością, z załzawioną źrenicą przeszliśmy aż na plac katedralny. Tu Drawdzik nas zatrzymał; twarz jego była zaogniona silném wzruszeniem, oko łzawe, głos tłumiony gwałtownem uczuciem.

Myśmy go otoczyli, a on tak do nas mówił:

— Bracia, wspólna modlitwa, to wielki ślub Bogu: tam przed obrazem Matki Boskiéj ochrzciliśmy naszego ducha miłością, modlitwą i poświęceniem; tu w obec tych wieko-

wych pamiątek życia praojców, które nas otaczają, podajmy sobie dłonie i wykonajmy wielki ślub stania się godnymi obowiązków jakie przeszłość na nas wkłada. Praca i prawość niech będą naszém godłem; wspomnienia naszą podnietą; spełnienie obowiązku jedyną naszą nagrodą.

Gdy to mówił, twarz jego strojna w zapał i natchnienie, silną wiarą rozpromieniona, była piękna tym rodzajem męzkiéj piękności, któréj nieznajdziesz w Greckich posągach. Wyciągnął do nas rękę i 14 rąk związało się w jeden węzeł, i czternaście par oczu łzawych a iskrzących zapałem wzniosło się ku Niebu, jakby biorąc Pana Zastępów za świadka tego postanowienia, co młodzieńcze zaludniło piersi. Drawdzik mówił daléj:

— Patrzcie, oto świątynia Pańska; wzniosła się na gruzach pogaństwa, i przez wieki przechodząc i przeistaczając swe kształty, gromadziła w swych murach swoich wyznawców. Wiara ją wzniosła, wiara ją strzegła; chowajmyż w piersiach wiarę! Widzicie te gruzy na szczycie góry Zamkowéj, siła je wzniosła a czas zniweczył, dziś pleśń je przykrywa i wiekowe gmachy w ruinach, gdy trzy drewniane proste krzyże na sąsiedniéj górze stoją jeszcze. Dźwigajmy swój krzyż z radością: bo tylko przez krzyż do nieśmiertelności droga. A tam, jeszcze daléj, na prawo, spostrzegacie płowy odsyp góry Bekiesza; przelotne wiatry zdmuchnęły nawet i ślady pomnika, jednostce wzniesionego: taka koléj, takie prawo konieczności. Pracujmy nie dla rozgłosu, ale dla prawdy: pomniki runą, ale owoce pracy sumiennéj przetrwają przez wieki.

— Przez wieki!—powtórzyło czternaście piersi. „Przez wieki!" wtórzyło echo odbite od ścian świątyni i od gór krawędzi, i ztamtąd przedzierając się po ramionach krzyżow wyżéj i wyżéj jeszcze raz odbiło się w chmurce przelotnéj

i zleciało na dół—„Przez wieki," jak błogosławieństwo na nasze głowy.

O moja matko, matko jedyna! Czemuś ciebie niebyło w owéj chwili, kiedyś się mogła pochlubić swoim synem! a tak mi było potrzeba twojéj piersi, na któréjbym mógł uspokoić moję rozmarzoną głowę i spłakać się dowoli łzami radości.

Każdy z kolegów miał swoich blizkich, którzy jego tryumf dzielili; ja tylko jeden naprożno toczyłem wzrokiem do koła, przeglądając świetne grono zebranych gości na akt publiczny: tam niebyło nikogo na czyjby widok serce zadrgało w piersiach. Boże mój, Boże! czém się to dzieje, że trudniéj podołać wielkiéj radości, niż boleści gwałtownéj? Piérwsza pierś nam rozwidnia, cały świat wydaje się nam pięknym, pod jéj wpływem kochamy wszystkich ludzi jak braci, i radzibyśmy z nimi się dzielić tym nieprzebranym, według naszego mniemania, skarbem radości, i dzielimy się z silną wiarą, że ten podział nas niezuboży na szczęściu; radzibyśmy pełnemi garściami rozrzucać między bliźnich uciechę, widzieć dokoła siebie tylko uśmiechające się twarze: bo szczęście, to spuścizna młodości; a młodość niebaczy na jutro, właśnie dla tego, że przed nią tyle dni jutrzejszych zostało. Boleść kryje się od świata, w cichości nocy bezsennie trawionych spożywa życia zasoby, godziny zmienia w lata, olbrzymim krokiem posuwa nas do końca; a chociaż sił ducha niezniweczy, ale jeszcze hartu mu nada i wzmocni, wolę przerobi, niedoświadczonego chłopaka zamieni w męża, toć w zamian za dni próby każe zapłacić ciężką daniną, ze zdruzgotanych rojeń uroczych snów i marzeń młodocianych, nadziei promiennych; postawi nas nad świeżo usypaną mogiłą, w któ-

réj własnemi rękami zagrzebaliśmy wiarę w szczęście osobiste, a zamiast pomnika postawiliśmy na niéj chłodne uczucie obowiązku, który ma być przewodnikiem w dalszych życia kolejach...

Dziś należy do mnie, jam dziś szczęśliwy, bom dosiągł celu. Pocóż się strachać o jutro, poco wywoływać widmo zgryzoty, któréj i tak dość jeszcze przyjdzie doznać w życiu?

Po ukończeniu uroczystém aktu z Drawdzikiem dostaliśmy najwyższe nagrody. Pobiegłem pochwalić się i podzielić swoją radością z professorem Janem. Przez cały czas mego pobytu w Wilnie on mi zastępował rodziców, wspierał radą a niekiedy i kieszenią, chociaż sam nienazbyt był w środki bogaty. Wiązała go z moim ojcem przyjaźń od ławki szkolnéj, w imie więc téj przyjaźni poruczono mię jego bacznéj opiece. Był to człowiek najzacniejszy w świecie; ale trzeba go było zrozumieć, trzeba było umieć odkryć i dopatrzyć pod szorstką, nawet trochę rubaszną postacią duszę wzniosłą, zapału pełną, któréj ani czas, ani okoliczności zużyć niemogły. Pomimo siwego włosu przechował jak świętość, młodzieńczość ducha; w chwilach serdecznego wylania skoro go rozegrzało współczucie słuchającego, widziałem w nim inszego człowieka niż zwykle: jego twarz promieniała natchnieniem, rysy niepiękne i trochę ospą zeszpecone odbijając wewnętrzny nastroj ducha, uszlachetnione zapałem, jaśniały jakimś mistycznym nieodgadnionym powabem.

Niezależność osobista była główną ideją, do któréj dążył przez całe życie; dla niéj zaniechał świetnego może losu i rozgłośnego stanowiska w nauce: porzucając kate-

drę professora uniwersytetu osiadł w Wilnie i utrzymywał się z lekcyj prywatnych; a wszystkie wolne chwile poświęcał muzyce, która się w końcu stała jedynym wyłącznym jego żywiołem i zapełniała całą próżnię jaką mogło zrobić w sercu tkliwém i do przywiązania skłonném życie samotne zdaleka od ludzi, chociaż wśród ludnego miasta. Dla tego by siebie niekrępować, potrafił ograniczyć swe potrzeby tylko niezbędnie koniecznem. Ileż to razy powtarzał mi, pragnąc przelać swe zasady w moje młodziane serce, „Mało potrzeb— wiele swobody; przyzwyczajenia— to łańcuchy na niezależność ducha. Kochaj ludzi, ale postaw siebie tak, żebyś niczego od nich niepotrzebował. Dawaj wiele—bierz mało. Wdzięczność, to najsroższe pęta na swobodę. Lakoniczne te formułki zasklepiały w siebie całą niemal historyę życia, tego kochanego mizantropa,— co kochając ludzi, o ile mógł ich unikał, dla tego jedynie, by stosunki z nimi niepostawiły go w zależności od czyjegoś kaprysu. Mieszkał na poddaszu, w małym pokoiku, którego całe umeblowanie stanowiły łóżko, szafa z xiążkami, stół do pisania, pulpit i półka na nóty. Przy stole stało jedyne krzesełko plecione, a w jednym kącie koło pieca prosty stołek drewniany z miską i dzbankiem do wody, kij, parasol i na kilku ćwiekach zawieszone płaszcz, futro i trochę innego odzienia. W innym kącie stał samowar i króbka z węglami, a obok niego dwie szklanki, imbryczek i mieszek. Przy pulpicie leżało na ziemi pudełko ze skrzypcami. Trudno było wchodzić do jego mieszkania, ale za to z jego okna był widok czarujący. Sposob jego życia był następujący: wstawał o piątéj i narzuciwszy na siebie płaszcz ruszał z dzbankiem po wodę, zachodził po drodze do piekarni, kupował bułkę, wracał, sam nastawiał sobie samowar, po herbacie

grał zwykle kilka godzin;—poźniéj wychodził na lekcye co mu zabierało także kilka godzin czasu;— za powrótem do domu czytał, robił wypisy, a wieczorem albo ja przychodziłem, na gawędkę, albo znowu grał, bo czytać niemógł. Obiadował rzadko, nie przez oszczędność, ale dla tego że to go kosztowało,—i kiedym mu zarzucał, że to może zdrowiu zaszkodzić: zwykle mnie odpowiadał: „Ależ mój Karolu, jaż niemogę być niewolnikiem traktyernika; u niego obiad gotów o piérwszéj a ja mogę chcieć jeść o dwónastéj; stołować się starym, to kupować niewolę; organizm skłonny do przyzwyczajeń; regularność jest matką przyzwyczajenia; złamanie nabytego przyzwyczajenia okupuje się chorobą."

Jednym tchem wbiegłem na trzecie piętro z patentem w ręku, z radością w sercu. Przy drzwiach zatrzymałem się, by oddech odchwycić i posłyszałem rzewne tony elegii Ernsta, które się z pod jego smyczka wylewały jako bolesna skarga kochającego, a zranionego serca, które przeszło przez świat szeroki samotne, i nigdzie niespotkało bratniego spółczucia. Uchyliłem drzwi pocichu zatrzymałem się przy progu, i w niemém zachwyceniu przysłuchywałem się grze pr. Jana, który stał pośrodku pokoju sposągowany prawie, ze łzawém okiem; i skrzypce i grający stanowiły jednę całość. Ten kawał drzewa musiał pojąć niemą boleść swojego pana, i dla tego strony jego z taką prawdą się wypowiadały. I słuchałbym go długo, śledząc myślą wszystkie przejścia uczucia we wzniosłe, a rzewności pełne tony, żeby znienacka pr. Jan nieurwał w pół taktu z pewném niezadowoleniem na twarzy, jakby się żaląc na instrument, że zeń niemożna wydobyć tonu harmonizującego z jego wewnętrznym nastrojem. Wtedy rzuciłem się mu na szyję ze łzami w oczach, starałem się

moim uściskiem ukoić boleść, którą zrozumiałem kochającém sercem: zapomniałem i o patencie nawet i o świetnych rojeniach; gra jego uniosła mnie daleko w tę niedostępne krainy ducha, których nigdy niedojrzy oko zamroczone egoizmem, albo też przyćmione materyalizmu powłoką.

— Karolu pamiętaj,— mówił mi jakby odpowiadając na myśl moję,—że sztuka to przeczysta dziewica; skoro szaty twojego ducha niejaśnieją śnieżną białością, nieważ się do niéj zbliżyć: prawdziwe uczucie tylko z szlachetnego łona wypłynąć może—i zaczął chodzić po pokoju wielkiemi krokami jakby się starając uspokoić; ja mu podałem patent.

— Co to jest?—zapytał mnie jakby budząc się z uśpienia.

— To patent, otrzymałem go przed chwilą, do kogoż miałem się udać, aby podzielić moję radość? tyś mi drugim ojcem, wesprzyj mnie radą i pobłogosław na drogę życia. Z gorączkową prawie niecierpliwością pr. Jan rozwinął patent, i zaczął się weń wczytywać, mrucząc pod nosem:

— Poczciwe serce.... brak hartu; dziecięca wrażliwość.... czas i niedola najlepsze lekarstwo.... Skoro skończył, położył patent na stole, wpatrywał się przez kilka minut w twarz moję jakby chcąc wyśledzić wszystkie najskrytsze myśli, a poźniéj zapytał:

— Przyjacielu! cóż myślisz?

Ja co czekałem pochwały i zachęty, trochę byłem zrażony tém niby obojętném zapytaniem, i dla tegom dość ozięble odpowiedział:

— Świat szeroki, może się i dla mnie na nim znajdzie miejsce; będę się uczyć, będę pracować, a może kiedyś dobiję się szacunku u ludzi i mniéj więcéj korzystnego stanowiska na świecie.

Słowa moje przykre zrobiły na pr. Janie wrażenie.

— To nieprawda, przyjacielu! nie taki cel twojéj pracy: czyżby ci dziecinne wawrzyny tak zawróciły już głowę? Bracie, strzeż się pychy; skoro ta namiętność włoży pęta na twojego ducha, on musi skarleć: niewola to matka błędów. Idź w świat, bo taka dola; ty masz obowiązki rodzinne, które ciebie wiążą, będziesz musiał być wyrobnikiem całe życie, by młódszemu rodzeństwu rękę pomocy podać. Czyż ci jeszcze mało téj jednéj niewoli? i jeszcze pragniesz przykuć siebie do taczki samolubstwa? Nie, to być niemoże. Karolu! cóż, milczysz? odpowiadaj mi przecię!.....

Rzeczywista nieudana boleść, co się na twarzy zacnego starca wybiła, poruszyła mnie do głębi. Podszedłem doń z wyrazem skruchy na twarzy, jak grzesznik, co się do winy przyznaje; ścisnąłem go za rękę z temi słowy:

— Daruj, professorze Janie! to był wyskok chorobliwy obrażonéj miłości własnéj. O! nietakie mię cele wiodą w ten świat; ja kocham ludzi jak braci, ich dobro publiczne mojém jedyném marzeniem, a w każdém, by najlichszém położeniu na świecie, czuję to mocno, można być pożytecznym.

— Ale niezawsze szczęśliwym,—dorzucił pr. Jan z tkliwością przyciskając mnie do piersi, a jednak, Bóg widzi;— że pragnąłbym dla cię innego losu. Konieczność, smutne prawo. Broń swéj niezależności, moje drogie dziecię, ograniczaj swe potrzeby, by się niestać ich niewolnikiem. Niesłuchaj podszeptów miłości własnéj, to zdradliwy doradca: on chęć blasku i wyniesienia się przybierze w szaty poświęcenia, tak, że twe młodociane serce niewiedząc o

tém prawie uderzy czołem uwielbiając samego siebie. A to najstraszniejsze pogaństwo.

— Nielękaj się, professorze Janie: za tarczę mi będą służyć twoje rady, a za nauczkę w strapieniu sztuka do któréj przybytku tajemniczego, dzięki twéj łasce, wstęp otrzymałem.

— Mówisz dobrze; postępuj tak jak mówisz. Kiedy się rozdzielamy, niezapominaj o starym przyjacielu. Spisałem dla ciebie kilka uwag; przyjaźń i doświadczenie je dyktowały.

Mówiąc to podał mi kilka arkuszy zapisanych starannie.

— Skrzypce, na których grałeś, weź z sobą: one ci nieraz przypomną starego przyjaciela; a oprócz tego—dodał staruszek z widoczném zakłopotaniem—ty się niebędziesz na mnie gniewał, Karolu...bo ja mam do tego prawo, przecież sam nazywałeś mię drugim ojcem.....

I mówiąc to podszedł do stołu wyjął nowiutki pugilares i podał mi z błagającém spójrzeniem.

— O nie, pr. Janie, tego niewezmę! ja miałbym Cię odzierać, ciebie mój drogi ojcze, coś musiał sobie odmawiać najkonieczniejszych potrzeb, by ten mały zapasik uzbierać nie! nigdy! To toż samo, co głodnemu odebrać kawałek chleba. Ten grosz, cobym przyjął od Ciebie, wołałby o pomstę do Boga, onby mi szczęścia nieprzyniosł.

— O pomstę może wołać tylko grosz podle nabyty. Pycha i jeszcze raz pycha. Twoi rodzice mniéj mają bo więcéj mają potrzeb. Z resztą, Karolu, ty musisz przyjąć te pieniądze nienależą do mnie, to dług który u twego ojca zaciągnąłem przed laty.

I staruszek się odwrócił, lękając się gdybym niewyczytał na jego twarzy, że może piérwszy raz w życiu musiał skłamać.

Zamiast odpowiedzi, rzuciłem się mu na szyję. Przycisnął mnie do piersi, a dwie łzy gorące spadły mi na skroń. Swięte łzy, wyście namaściły me czoło zostawując na niém ślady, które niepozwolą, by to swobodne młodzieńcze czoło uchyliło się przed podłością, dla tego tylko że mocna.

— Pisuj do mnie, Karolu; pisuj o wszystkiém, co ci na myśl przyjdzie, ja cię potrafię zrozumieć. A teraz chodźmy w góry, za ogrodem botanicznym pożegnać miasto. Jutro wyjeżdżasz i Bóg wie kiedy wrócisz.

To mówiąc włożył kapelusz, wziął parasol w rękę i posunął się do drzwi, mrucząc pod nosem:

— Świeże powietrze, tak, tak, przyjacielu.... najlepsze lekarstwo.... trzeba się leczyć; gwar zewnętrzny uspakaja jęk duszy. Chodźmy do ogrodu, tam będzie ludno.

Wyszedł na ulicę i zdążał w stronę botanicznego ogrodu.

W ogrodzie było ludno, mnóztwo strojnych dam spacerowało po wielkiéj alei. Ja piérwszy raz miałem na sobie cywilne odzienie: zdawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie, że wszyscy mnie winszują, iż jestem człowiekiem.

Tuż przy wrotach spotkaliśmy Drawdzika; przyłączył się do nas i szliśmy daléj razem. Dziwacznym kontrastem była postać pr. Jana wśród tego strojnego świata: jego sztywna długa postać w zapięty pod szyją szafirowy długi surdut ubrana, czerwony parasol w ręku, krok poważnie komiczny, kapelusz odwiecznéj formy, wypłowiały, ale wygładzony,— zwracały na siebie oczy wszystkich przechodzących. On wcale tego nieuważał szedł wyprostowany aż do ławeczki pod topolami, naprzeciw oranżeryi. Tu się zatrzymał, zdjął kapelusz z niewysłowioną bo-

leścią na twarzy. Na ławeczce niebyło nikogo; zapytaliśmy więc zdziwieni:

— Professorze? komu się kłaniasz,

—W spomnieniu i miejscu!—powiedział z uroczystością.— Na téj ławeczce on zwykle lubił przesiadywać, z rodzicielską troskliwością przypatrywał się każdemu wrastającemu drzewku, to było jego jedyną pociechą, było potrzebą życia. Kilka lat temu zdarzył się czyn okropny: z rozkazu jakiegoś chłystka dwóch służalców wyrzuciło za drzwi biednego starca. Już więcéj jego noga tu niepostała. Nienadługo przeżył tę krzywdę bez miary. Ale chodźmy w góry; mnie tu duszno: ci Murzyni ducha zarazili powietrze swym oddechem.—To mówiąc posunął bocianim krokiem przez mostek.

Na piérwszym skręcie dróżki wiodącéj na góry spostrzegłem siedzącą marsowatą postać kapitana Napoleonisty Dzielnowskiego. Był on najbliższym sąsiadem mojego ojca, a wieloletnia przyjaźń łączyła nasze domy. Zdziwiła mnie niepomału obecność p. Dzielnowskiego w ogrodzie, bo wiedziałem że był wielkim domatorem i nielubił miasta. A jeszcze bardziéj mnie uderzyła siedząca obok jasnowłosa dziewczynka z wyrazem jakiejś tęsknéj zadumy na twarzy, siedziała ze spuszczoną główką i kreśliła parasolikiem jakieś hieroglify na piasku.

— P. kapitan mnie niepoznaje?— rzekłem podchodząc bliżéj i zdejmując czapkę. Ona podniosła główkę i dwoje dużych błękitnych oczu wpatrzyło się we mnie z zaciekawieniem.— O jakże ona była piękną w téj chwili!

— Patrz, Maryniu, to Romualdek Cichowski—odezwał się kapitan kręcąc wąsa.—Jakżeś mi wyrosł chłopcze i poła-

dniał; — toż się staruszkowie ucieszą! No a jakże tam nauki, mój chłopcze?

— Już skończyłem, dostałem rangę i medal złoty.— Nigdybym tego niepowiedział; ale ona mnie słuchała, próżność moja była do darowania.

— A niechże cię uścisnę, mój chłopcze!—zawołał kapitan łącząc uczynek z obietnicą.

— No, a kiedyż wracasz do domu?

— Jutro wyjeżdżam, — odpowiedziałem i jakoś śmieléj spojrzałem w oczy Maryni; ona z kolei spuściła swoje i z lekka się zarumieniła.

— Szkoda, niemożemy jechać razem, mnie te przeklęte interesa dni ze cztery zatrzymają. Ale się zobaczymy mój chłopcze, przecież niezapomniałeś drogi do Chwalówki. Muszę cię wziąć do swojéj szkoły, bo to przy waszéj Łacinie wy i na koniu musicie siedzieć po Łacinie, niewiecie pewno jak i pałasz wziąć do ręki; a jakby ci przyszło pociągnąć za cyngiel to możebyś zbladł jak chusta, co chłopcze? No! ale to się da naprawić: miesiąc czasu a będzie z ciebie człowiek, nie jakiś tam papinecik. Z mojéj Maryni to zuch dziewka, mój chłopcze, sadzi przez płoty że to ha! No, nierumień się mój aniołku,—dodał zwracając się do córki i głaszcząc ją z tkliwością pod brodę,— przecięż jesteś córką legijonisty.

Córka widocznie była zakłopotaną rekomendacyą ojca, i pragnąc zwrócić na inny przedmiot rozmowę, zapytała się podnosząc oczy nieśmiało:

— P. Karol niezapomni nas odwiedzić?

Czułem, że mi wypada cóś odpowiedzieć; ale ona patrzała na mnie, język mi się splątał, zabełkotałem coś niezrozumiałe, pożegnałem zacnego kapitana i pobiegłem

w góry lękając się obejrzeć, w ślad za professorem. Na próżno mi pr. Jan dowodził:

— Karolu unikaj téj kobiéty! zanadto piękną i zanadto poczciwą ma fizionomiję: może ci na wstępie do życia, życie zagrabić.

Jéj w pół uśmiéchnięta twarzyczka stała mi ciągle przed oczami, jéj spójrzenie głębokie myśli mi plątało; i zapomniałem o wszystkiém nawet o swoim patencie.

MYŚLI

Z LEOPOLDA SCHEFERA,

PRZEZ

CHŁOPA Z POWIATU MARYAMPOLSKIEGO.

I.

Kto głos natury słyszał w całości,
Kto pojął walkę wszystkich żywiołów,
I poczuł siebie cząstką bozkości,—
Temu Natura chórem aniołów!
Pod mojém oknem płacze dziecina—
A tam w gaiku pieje ptaszyna.
Opodal znowu dąb stary mszeje—
Pod nim krzewina kwieciem bieleje.
W izbie zmarłego brzmi śpiew pogrzebny,—
A przed nią ciągnie orszak swadziebny.
Tuż stoi trumna nawpół przemknięta,
W niéj drogie dla mnie mieszczą się zwłoki—
Przy nich dziecina podziwem zdjęta...
A tam wysoko ciągną obłoki,
I niepytają co świat wyprawia?
Jak się on smuci? jak się zabawia?
Gdy duch wszechpiękna w duszy zagości,
Jak się uczucie w sercu układa!
I moja *istność* wszystkiém zawłada:
Nicznam ni smutku, ani radości—
Zdala od trosków i od boleści,
Wszystko przyjmuję co *życie* mieści.

II.

Jakież to walki stoczyć wypada,
Żeby uzyskać imie *człowieka!*
A dusza będzie tym walkom rada,
Gdy od nich wola twa nieucieka.
Przeto *człowiekiem* miéj *wolę* zostać —
Tylko człowiekiem, *a niczém więcéj!*..
Tedy przed losem zdołasz się ostać,
I świat ukochasz jak najgoręcéj...
I wesoł będziesz na tym padole,
Bo szczęście siadło tobie na czole.
Tedy spokojnie umrzesz w młodości,
Jak pączek róży z krzaka uszczknięty.
Tedy radośnie zamrzesz w starości,
Jak dąb wyniosły a wiekiem zgięty.
Tedy się smutek w tobie niezbudzi,
Jeśli niepamięć zyskasz u ludzi:
Bo na tym świecie człek prędko znika,
Choć nieśmiertelną jest jego dusza.
A gdy los braci ciebie przenika,
I łza bliźniego do głębi wzrusza —
To zapłacz rzewnie, płaczem miłości:
Bo temu trzeba tutaj wychylić
Kielich goryczy, czarę żałości,
Kto się od *cierpień* niechce uchylić
I ma przed sobą szczęście Ludzkości.
Jak często w *życiu* walczyć wypada!..
A dusza będzie tym walkom rada:
Bo po nich wielka godność cię czeka —
Godność jedyna — imie *człowieka!*

III.

Mniemasz, że człowiek tu poniżony?
Że jego władzy ciasne granice?
Bo tu na małą zesłan ziemicę,
Kiedy tam za nim świat niezmierzony!..

—Czyś nie wszechświatem ze swoją *wiedzą?*
Czuciem zgromadzasz cały świat w serce;
A siły, myśli co dziejów śledzą,
Czas zdobywają!..
Tylko bluźnierce
Wydają rozpacz nad ludzką nędzą.
Człowiek co pojął dostojność Męża,
Co stał się takim, jakim być trzeba,
Wszystkie swe siły w bozkość natęża,
A precz odpycha płonne marzenia—
Tylko rozszerza Królestwo Nieba
I wykonywa dzieło tworzenia.

IV.

Dla swego dobra przeszłość roztrząsaj,
I na nikogo tu się niedąsaj,
Jeśli pomarli krewni i mili—
Znikli ze świata jakby nieżyli...
O Panie! czyliż i mnie to czeka?
Więc jako proszek życie człowieka!..
—Czy kwiat naprożno ziemię okrywa?
Niebo bez celu obrót odbywa?
Człowiek, co dzisiaj w grobie spoczywa,
Naprożnoż zwiedzał tę świętą ziemię?
Naprożno dźwigał *przeznaczeń* brzemię?
Teraz go niemasz — więc nigdy nieżył?
Wszak *jesteś—byłeś—będziesz* w przyszłości!..
Ty się związałeś węzłem jedności
I z tym co umarł i z niezrodzonym.
Tyś od zmarłego niebył wzgardzonym:
Żyłeś dla niego w przyszłości — w niebie;
On ścieżkę dobra przetarł dla ciebie—
On teraz tobie służy w przeszłości,
Jak ty dziś służysz dla potomności.

TUKAJ.

CZĘŚĆ TRZECIA (*),

PRZEZ

A. E. ODYŃCA.

Tukaj przeżył lat czterdzieście,
Zdrowia, złota nie żałował,
Hulał, szalał— aż naroście
Przesycił się i zmordował.
Kochanki się postarzały,
Młode młodszych obierały.
Mógł odmłodnieć— po cóż zwlekać?
Z przyjaciół— miał ich nie mało—
Trzech się tylko pozostało,
Którymby się dał posiekać—
Ma się rozumieć, po probie.
Rzekł więc naprzód najstarszemu:
»Przyjacielu! ufam tobie.
Nie pytaj na co, i czemu?
Lecz weź ten słój, pójdź do zdroju,
I cokolwiek będzie w słoju,
Proszę, byś do wody wrzucił.«—
Przyrzekł, poszedł, nie powrócił.—
Tukaj się mocno zasmucił.

(*) Ośmielając się kończyć balladę Adama Mickiewicza, winienem oświadczyć, iż czynię to za wyraźną wolą jego (Przyp. Autora w r. 1829).

Szczęściem że przyjaciel drugi
Stanął gotów do posługi.

Wrócił—lecz dziwem przejęty:
»Tukaju! to dyamenty!
Co za kaprys lub powody,
Taki skarb rzucać do wody?»—
—»Będziemy dość mieli oba,
Weźmiesz, ile się podoba.«—
—»Mniejsza o to! Powiédz raczéj,
Co to? na co? co się znaczy?
Nikomu nie powiém o tém.«—
—»Jeszcze nie czas—potém, potém.
Masz słój drugi, wrzuć do zdroju,
Ale nie patrz co jest w słoju!«—
Wziął słój—ale nic nie mówi,
Patrzy w oczy Tukajowi.
»Idź, idź! resztę czas wyświeci.«—
On odszedł milcząc ponuro,
Alić ledwie znikł za górą,
Z za góry czarny kruk leci.
»Cóż? Tukaju! wracam suchy.
Cha, cha! lecz nie trać otuchy.
Idzie twój przyjaciel trzeci.«—

Tukaj się uderzył w skronie,
Z rozpaczą załamał dłonie,
I wzrokiem tocząc po niebie,
Klął ludzi, djabłów, i siebie.—
»Tukaju! co się to znaczy?
Wyjaw mi powód rozpaczy:
Jeśli osłodzić nie zdoła,
Przyjaźń twój smutek podzieli!«—
—»Ha przyjaźń!— Tukaj zawoła—
»Wszak wiesz, miałem przyjacieli,
Gdzież są po najpiérwszéj probie?—
Lecz znana mi dusza twoja.

Mów, mogęż zaufać tobie?«—
—»Doświadcz, to odpowiedź moja.«—

Wziął słój—skarb do wody wrzucił.
Wziął drugi—kruk nie powrócił.
On wraca.— Skoro go zoczył,
Tukaj na spotkanie skoczył.
Już są blisko, już wzajemnie
Wyciągają uścisk tkliwy—
Tukaj szepnął cóś tajemnie,
Skinął— i wtém, dziw nad dziwy!
Wilk, lew, tygrys, smok straszliwy,
Z dymem w paszczy, z ogniem w oku,
Na Tukaja wypadł z boku.
»Ratuj brapie!— Tukaj krzyknął.
On zapomniał że bezbronny,
Skoczył śmiało— zapęd płonny!
Zwierz jak wypadł tak i zniknął.
Głos tylko z śmiechem zmieszany
Zabrzmiał: »Winszuję wygranéj!
Ale jeszcze, jeszcze proba.«—
Ci się uścisnęli oba.
Tukaj już się nic nie trwożył,
Odkrył sekret, rzecz wyłożył;
Dał przepisy, dał przestrogi,
Jak ściąć głowę, siekać nogi;
Lecz nadewszystko powtórzył:
Jak pocięte skleić członki,
Jakie zioła i korzonki
Rwać na nowiu lub pod pełnię,
Po ile brać szczypt i łotów;
To skończywszy, był zupełnie
Do operacyi gotów.

Jednak żal mu się zrobiło.
Słońce pięknie zachodziło,

Xiężyc wznosił się od wschodu.—
Tukaj poszedł do ogrodu.
Kwiaty kwitły na około,
Wonny wietrzyk chłodził czoło,
Słowik śpiéwał gdzieś wesoło.—
Tukaj stanął po nad strugą,
Myślał, patrzał, długo, długo—
Wtém łzą błysnął wzrok ponury,
Oczy, ręce, wzniósł do góry:
»Niebo! słońce! bądźcie zdrowe!«—
Wtém przyjaciel ściął mu głowę.

(1829 r. w Wojmarze.)

TUKAJ.

CZĘŚĆ CZWARTA.

Drugi miesiąc na młodziku.
Już cała ciała budowa
Uklejona— tylko głowa
Leży pod szkłem na stoliku.
Lecz i tę głowę z kolei
Przyjaciel dziś już przyklei.
I pełen wiary, nadziei,
Z miłością marzy o chwili,
Kiedy się. Tukaj ocuci,
Jak mu na szyję się rzuci!
Co będą czuli, mówili,
Jak się kochali, jak żyli!
Światu się staną przykładem,
Jak nowy Orest z Pyladem.
I w tém rozkoszném marzeniu,
Wzruszeniu i uniesieniu,
Ani postrzega, jak burza
Cały horyzont zachmurza.

Aż jednym razem nad domem
Wichrem, ulewą i gromem
Rykła— i trzęsie ścianami.
A w téjże chwili przed drzwiami
Głos jakiś błaga o wnijście.—
Nie w porę, gość rzeczywiście
Gorzéj Tatara;— lecz jużcić
Niepodobieństwo nie wpuścić!
(Albowiem rzecz się, jak wiecie,
Dzieje w Litewskim powiecie,
A żaden bardziéj być ludzki
Nie może, jak Nowogródzki.)

Gość więc wszedł.— Postać i mina
Nie okazują Litwina.
Lecz kto? zagadka nie lada!
Bo chociaż po polsku gada,
Znać po nim że cudzoziemiec.
Lecz kto? Włoch, Francuz, czy Niemiec?
Każdego zda się po trocha.—
Oczy ogniste jak Włocha;
Ruch, uśmiéch, podróżna bluza,
Przypominają Francuza;
A ledwo usta otworzył,
Zda się że Niemiec Faust ożył,
Tak się z nich raptem polała
Mądrość— jak owa nawała
Z chmur po nad domem.—
On burzę
Wziąwszy za assumpt— od progu,
Jak zaczął, to o naturze,
To o człowicku i Bogu,
Prawić— a tak patetycznie,
Tak mądrze, filozoficznie,
Że czy to urok wymowy,
Czy figiel sztuki Faustowéj,

Dość, że gospodarz osłupiał,
I tak czy zmądrzał, czy zgłupiał,
Że chociaż dobrze słów jego
Ani ogarnął, ni zmierzył,
Od razu zaczął od tego,
Że im na oślep uwierzył.
I sam, w *jajości* swéj środku,
Nagle, jak kurczę w zarodku,
Poczuł straszliwą ochotę
Zbadać wszech rzeczy istotę.

Więc choć mu zawsze w pamięci
Tukaj, i nad nim robota—
Już go nie miłość k'niéj nęci,
Tylko ciekawość nim miota,
Czém może stać się, gdy stanie,
Że martwy z martwych powstanie?—
Ale jak zadać pytanie?—
Wié on i dobrze pamięta
Tukaja *pacta conventa*,
Że zdradzić przed kim bądź sekret,
To znaczy wydać nań dekret
Nie tylko śmierci— lecz piekła.—
A więc ubocznym sposobem
Zagadł— co mądrość dociekła
O życiu dusz po za grobem?
I czy są siły, co mogą,
Naprzykład— ot wskrzesić kogo?

Gościowi radość na lica
Wybłysła, jak błyskawica,
I tając uśmiéch wpół drwiący,
Co się z ust wymknął niechcący,
Już *ex cathedra*, *ab ovo*,
Rozprawiać na dane tema.
Naprzód o Bogu:— »Bóg—słowo.
I jest— i razem go niema.

Niema na ziemi ni w Niebie;
Ale jest w mędrców rozumie.
Bez niehby nie był— bo siebie
Sam bez nich pojąć nie umie.—
Wbrew więc dawnych Teozofów,
Dopiéro ludzie poznają,
Że nie Pan Bóg Filozofów,
Ale go oni stwarzają «—

Gospodarz strasznie się zdziwił,
Wytrzeszczył oczy, twarz skrzywił,
I jak mógł nastawił uszy.—
A gość tak daléj o duszy
Ciągnął rozprawę swą: »Dusza,
Jako jest Boga obrazem,
Tak też jest, i nie jest razem.
Jest to wiatr, co światem rusza.
A jak rusza światem całym,
Tak rusza i każdém ciałem.
A jak to ciało spróchnieje,
Wiatr wiatrem— jak wiał, tak wieje,
I drugie ciała kołysze.
Z bytu jego w każdém ciele,
Zostaje tylko tak wiele,
Ile kto w xięgach zapisze.
O kim zaś raczą w swéj głowie
Pamiętać Filozofowie,
Ten dopiéro rzeczywiście
Żyje w Bogu wiekuiście,—
Co gmin ślepy niebem zowie.«—

Gospodarz w ciągu téj mowy,
Jak oczadzony, z początku
Czuł tylko kręcenie głowy;
Ale przy dalszym jéj wątku,
(Jak zwykle w oczadzie bywa),

Poczuł nudzenie i ckliwość.
Już już na wybuch go zrywa—
Lecz się uzbroił w cierpliwość,
Ściął zęby, i znów w milczeniu
Słucha.— A gość o wskrzeszeniu
Tak zaczął: »Chcieć wskrzeszać ciało,
Formę człowieka, lub ludu,
Głupcom się tylko ubrdało.
Rzecz zresztą nie warta trudu!
Bo forma ciał nie określi
Absolutu życia myśli.
»Ale podźwigać tułowy
Ludów, narodów, lub stanów,
Gnijące w śmierci *mysłowéj*;
Im nowe nasadzić głowy;
Do głów tych, jak pustych dzbanów,
Lać wyskok mądrości nowéj—
Ów nektar, którego dzielność
Bogów ma czynić z bałwanów,
Nicości dać nieśmiertelność!—
To dział tych wielkich, tych dzielnych,
Tych Boskich i nieśmiertelnych
Mistrzów z nad Sprei i Pregli,
Co po nad ziemią się zbiegli,
Jak mglistych komet *jajości*,
I twardo-mocni nauką
Jak w bitki wzajem się tłuką
Na firmamencie mądrości!
»Lecz biada, biada mu, ktoby
Mając dokonać téj proby,
Szedł torem ślepéj natury!
W czyichby ręku ta nowa,
Wsadzić mająca się głowa,
Była téj saméj struktury,
Lub w takim samym została
Stosunku do reszty ciała,

Jak ta, co dziś ją człek dźwiga—
Istną makówkę łodyga,
Rodzącą tylko nasienia
Uśpienia lub upojenia.
»Za piérwszy przeto warunek,
I *sine qua non*— potrzeba,
Stargać jéj z sercem stosunek,
I wzrok osłonić od nieba:
By ciągły ruch serca rzutu
Nie trącał w niéj *Absolutu*,
A on wyższego od siebie
Nie upatrywał na Niebie.
»Wtenczas to ludzieby przyszli
Do swoich przeznaczeń szczytu,
Do swéj mądrości zenitu,
Do życia w myśli, dla myśli—
Co dziś lśni jeszcze w iskierce,
Ale świat słońcem okrasi,
Gdy całkiem podepce serce,
A wiarę całkiem wygasi.«—

Tu już uczniowi się zdało,
Że mistrz drwi z niego wyraźnie,
Krwią Polską serce zawrzało—
I jako Autor *Przedburzy*,
Nie mogąc wytrzymać dłużéj,
Jak fuknie: »Ach ty! ty błaźnie!
»Ty szołdro! taki, owaki!
»Albożem to ja żak jaki,
»Że mi śmiesz świecić te baki?...
»Widzę, że albos sam szatan,
»Albo być musisz z nim zbratan,
»Gdy wiész zajęcie dziś moje.—
»Lecz ja się djabła nie boję!
»Nie dam się zwieść, i nie zgrzeszę:
»Przyjaciela kocham szczerze,

»W nieśmiertelność duszy wierzę,
»Przez Boga z martwych go wskrzeszę.«—

—»Cha, cha, cha!—gość parsknął śmiechem:
»Nie każdy grzech zda się grzechem.
»Tyś nieodrodny w swym rodzie,
»Mądry—lecz zawsze po szkodzie.
»Gdybyś był czynił wytrwale,
»Co teraz krzyczysz w zapale,.
»A w czas mu głowę przyłożył,
»Tukajby może i ożył!
»Lecz teraz— czas już przeminął.«—
Rzekł— świsnął, chychnął, i zginął.

A wtém— O! Jezus Maryja!
Północ dwunastą wybija.
Tukaj miał wstać o północy!—
Przyjaciel skoczył jak z procy—
Alić, u progu alkowy,
O zgrozo! Tukaj bez głowy
Stoi, a w ręku swą głową
Grozi jak kulą działową.
Cisnął— i nagle po domu
Rozległ się jakby trzask gromu.
W całym powiecie słyszano
Ów nocny łoskot— a rano
Ze wszech stron zbiegła się zgraja
Na gruzy zamku Tukaja,
Próżno chcąc zbadać przyczynę
Czemu tak runął w ruinę,
Co jako wielka mogiła,
Tajnię téj nocy pokryła.—

Lecz koło góry Żarnowéj
Lud dotąd widzi co nocy

Dwa cienie—jeden bez głowy,
Goni— a drugi jak z procy
Ucieka. A ten, co goni,
Własną snać głowę ma w dłoni,
I za ściganym tą głową,
Raz w raz, jak kulą działową,
Ciska— a skoro odbita
Odskoczy— on znów ją chwyta,
By wnet znów cisnąć na nowo.—

To ów przyjaciel z Tukajem
Tak pokutują nawzajem.
I póty będą, aż póki,
Wnuki ich, albo prawnuki,
Świadomi smutnych przykładów
Dziadów swych, albo pradziadów,
A świadki kary nad niemi—
Nie odeżą się powoli:
Jedni hołdować swéj woli,
A chcieć żyć tylko dla ziemi;
Drudzy nakłaniać wnet ucha
Na słowa cudzego ducha,
Choćby był w zmowie ze złemi.

1857 r.

KWESTARZ STAROZAKONNY,

(*Postać żyjąca w Wilnie*),

PRZEZ

WINCENTEGO KOROTYŃSKIEGO.

Des gueux chantons la louange...
Que de gueux hommes de bien!
Il faut qu'enfin l'esprit venge
L'honnête homme qui n'a rien.
Béranger.

Codzień go widzą już lat ze trzydzieści,—
Znają twarz jego z wyrazem boleści,
I kształtną postać, co w łęk się już zgina,
I długą brodę, co siwieć poczyna;
Znają kapotę, co Bóg wie lat wiele
Cudem przyrosła trzyma się na ciele;
Znają po bruku niepewne stąpanie
Nogą pół bosą, gdzie rana na ranie....
Chodzi i zbiera— lecz nie sobie plony,
Choć Żyd od uczuć zdawien odsądzony.

Codzień go widzą na ulicach miasta:
Po najciaśniejszych zakątkach się szasta,
Idąc potrząsa blaszaną skarboną,
Ażeby do niej półgroszą wrzucono.
Ku jasnym panom zbliżyć się nieważy,—
Wzywa biedaków do wsparcia nędzarzy,
Błaga wzgardzonych braci w Abrahamie:

I każdy grosz swój na połowę łamie,
Nikt nieodpycha blaszanéj skarbony,
Choć Żyd od uczuć zdawien odsądzony.

Codzień go widzą gdzie ciemne poddasza,—
Wsparcie od biednych biedniejszym roznasza:
Tam, gdzie obłożnie boleje kaleka,
Gdzie drobna dziatwa pożywienia czeka,
Gdzie wdowa rękę wyciągnąć się sroma,
Gdzie głodne dziewczę ma schłonąć sodoma,
Gdzie ani z wieści nieznają wesela,—
Po kilka groszy każdemu rozdziela,
Z niecierpliwością odpycha pokłony,
Choć Żyd od uczuć zdawien odsądzony.

Codzień go widzą gdy wieczor szarzeje:
Odbywszy drogi kwestarskiéj koleje,
Dybie do kurnéj klatki wyrobnika:
Tam drąg u miecha kowałom pomyka,
Lub z powroźnikiem wyprzęda paździerze,
Lub do kapara w olejni się bierze,—
I cały wieczor pot leje obficie
Dla kilku groszy na własne przeżycie.
Nieśmie brać sobie z biedaczéj skarbony,
Choć Żyd od uczuć zdawien odsądzony.

Codzień go widzą północni wędrówce:
Siedzi w gospodzie przy cieńkiej łojówce,
Zjada garść bobu i Biblię czyta;
Na lica troska wychodzi ukryta,
I w smutnych myślach zatopiony siedzi,
Znosząc obelgi pijanej gawiedzi.
Niby nieczuły co serca dotyka,
Płacąc za wzgardę wzgardą niewolnika,
Wzdycha przed śmiercią do praojców strony,
Choć Żyd od uczuć zdawien odsądzony.

Codzień go widzą— i zna go śród wiela
Biedua, zelżona dziatwa Izraela!
Gdy jego dusza ku ojcom pośpieszy,
Kto ma nieść zwłokî? będzie waśń u rzeszy;
Nędznych i możnych, starców i młodzieży,
Na okopisko pół miasta wybieży;
Sypiąc na zwłoki ziemię z Chanaanu,
Będę w modlitwie polecać go Panu;
Ozwą się w tłumie żałościwe tony,
Choć Żyd od uczuć zdawien odsądzony.

Wilno
20 kwietnia 1858 r.

STARY ZAMEK.

LEGENDA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Pulvis et umbra....

STEFANII Z ŚUŁKOWSKICH I MARYI Z RULIKOWSKICH

KRASZEWSKIM.

LUCYJANOWI I KAJETANOWI KOCHANYM BRACIOM MOIM,

na pamiątkę zjazdu w Romanowie,

Przywiązany brat.

J. I. K.

Romanów Podlaski.
l. 20 maja 1856 r.

Wiele nam jeszcze braknie w dziejach kraju i rodzin niezapisanych nigdzie podań i legend, kwiatów wyrosłych na mogiłach, które zwiędły zerwane ręką obojętną lub zaschły w śmiecie rzucone. Suchy szkielet życia, nic nieznaczące daty, szczeble drabiny — nazwiska puste jak dziurawe orzechy, ułamki twardsze, których czas strawić niemógł, pochowano skrzętnie, ponumerowano i rozklasyfikowano; ale to co stanowiło fizyonomiję, co biło krwią i rumieniło się życiem, zginęło może na wieki.— Jak to dziś wyglądają bijografije najznakomitszych ludzi

naszych, do czego dziś podobne ich postacie dobyte z grobu?— do odkopanych nieboszczyków, z których pargaminowéj skóry i rozsypanych kostek, śmierć tylko czytamy i nieuniknioną znikomość.

Urzędowa, publiczna część żywota, zapisana gdzieś skrzętnie, dozwala oznaczyć, ile kto przebył na świecie godzin, w jakiéj obracał się sferze — ale jakże mało tych po którychby jeden rys dobitny, żywy, znaczący pozostał i dozwalał odgadnąć, pokochać lub zdziwić się człowiekowi? A tak to prędko zapomina się, zaciera wszystko, że w trzeciém pokoleniu o dziadach już nic nie wiedzą wnuki, i odgadywać ich muszą. Czasem istnym przypadkiem, uchowa się cóś i skryje w sobie iskierkę ducha, nasionko życia, ale jak tego jest mało!

Przerzucasz karty dziejów, wysuwają się przed oczy postacie, po których tylko rozgłos imienia pozostał— radbyś wywołać je i pobratać się z niemi, ale cień się wymyka i szkielet sterczy suchy, którego usta skostniałe nic już wymówić niemogą.

I chodzisz po téj wielkiej ruinie, po cmentarzu zarosłym, szukając, do kogobyś przemówił, ktoby się odezwał choć głosem upiora? nadepczesz nieme kości i prochy—szczęśliwy jeśli choć kropla życia, jedna łza, jedno westchnienie, jednego cóś niedomarłego przemówi do ciebie zrozumialszym językiem.

Napróżno człowiek sili się na wyrwanie przeszłości zapomnieniu wiekuistemu, któremu jest przeznaczoną,—ta walka z naturą pochłaniającą wczoraj i na ruinie jego dającą nieustannie nowemu jutru wykwitać,—jest bezowocowym bojem.

Czyn zaledwie dopełniony już się w chwili przekształca zamiera i rozprasza w jakiejś cząstce.... woń du-

cha ulatuje z niego w mgnieniu oka... to znowu olbrzymieje jak widmo, wykrzywia się, paczy, i własnością spadkobierców staje się nie takim jakim był w istocie, ale przykrojony do ich miary, do pojęcia i serca.. Gdzie się niemieści bohatér, historya go obcina nielitościwie... Historya jest tylko wiekuistém tłem, na którém nowe pokolenia malują swe własne wizerunki, chrzcząc je imieniem naddziadów. W jéj ramach z kolei, każdy wiek upostaciowuje siebie, szukając wrzekomo prawdy, a znajdując dowody swéj słabości.

Każde stulecie inaczéj sobie swą przeszłość tłómaczy, inaczéj ją wskrzesza, inny strój daje nieśmiertelnym ofiarom, innych nawet na bohaterów wybiera, z kolei podnosząc i spychając co było wielkiém i małém,— w końcu ze sprzeczności tysiąca składa się wielka, a smutna ruina.

Nadaremne usiłowanie nasze: nieśmiertelném będąc gdzieindziej, tu wszystko umierać musi, ludzie i myśli, budowy i czyny...

Wnijdźmy na stare zamczysko wojewodzińskie, w którém już warczą kołowrótki fabryczne, gdzie niedawno słano kobierce na przyjęcie królów, strzelano na wiwat xiążętom, do sali portretów z powybijanemi oczyma, do grobów pod kościołem, i — spytajmy, co to byli za mężowie?

Imiona ich i nazwiska nic nam niepowiedzą,— a kości niespokojnych magnatów tak śpią spokojnie w swych trumnach cynowych, jak najpokorniejszego zakonnika! Hamlet, zapytujący czaszki na cmentarzu o przeszłe jéj dzieje, jest typem badaczów przeszłości. Każdy z nich sam pyta i sam sobie odpowiadać musi. Duch uleciał a prochy milczą,—i z tych tysiąca wieków ubiegłych, pozostał napis mogilny w dwóch słowach:

»Pulvis et umbra!«

Jest cóś przerażającego w tém milczeniu śmierci, w téj martwości trupów, którym żadne zaklęcie ust nierozwiąże,— w tém prawie zapomnieniu, które cięży nad światem.

W sto lat dzieje umarłych mięszają się jak ich kości, czyny jednych przyznają drugim, imiona mieniają, wypadki łączą, a na karb głośniejszych ludzi składają wszystko co gdzie jeszcze lata po świecie niedomarłego.

I tak, my niewiemy o przeszłości; przyszłość nic o nas wiedzieć niebędzie — zamiast życia naszego, stworzą nam późniéj jakieś inne do smaku tym, co w niém szperać zechcą,— badacz następny wywróci ten budynek z kart, inny go znowu wyrestauruje, aż się materyały w próch zetrą, i garść tego prochu a słowa martwe pozostaną ze wszystkiego— potém szczypta popiołu... potém i to wiatry rozniosą...

Historya z kolei, rejestr suchy lub romans niezabawny, argument i temat, zapożyczając życia u tych co ją wykładają, podsycana tchem najróżniejszych piersi, przystrajana w łachmanki różnobarwne, zszywane jak pstra suknia arlekina—pogrzebioną w końcu zostanie, jak ten nieszczęśliwy trup Sicińskiego, co wynalazł „Liberum veto", co to go dzieci włóczyły po ulicach, ogryzały kozy głodne, a dziś w niedostatku trumny do szafy zamknięto... ***ad perpetuam memoriam***.....

Smutne te myśli przychodziły mi do głowy obchodząc stare zamczysko, którego dawni właściciele z imieniem swém razem pogrzebani leżeli w grobach niedalekiego kościołka.

Imie to, niedawno jeszcze bardzo głośne i piękne, dziś już z ostatnią tarczą na pogrzebie roztrzaskane zostało i znikło. Potomek jego ostatni, zmarł gdzieś dale-

ko od kraju na obczyźnie, na dobrowolném wygnaniu, niewiém nawet czy wzdychając po kęsku ziemi, nad którym panowała jego rodzina, tak dawniej potężna i dumna, tak już dziś zapomniana.

Z całego tego długiego szeregu pokoleń, których życie pełne było barwy i ognia, pozostały kilkadziesiąt imion na drzewie genealogicznem, zawieszonych ręką niebardzo pilnego historyografa, wśród dat, które dzieci starszemi często czynią od ojców— kilkanaście trumien w grobowcach i puste zamczysko, w którém Żyd gospodaruje, fabrykuje sukno i sławi opiekę Jehowy nad wybranym Izraelem.

Przejeżdżając przez miasteczko u stóp góry, na któréj stał zamek położone, niemogłem się powstrzymać, żeby tych ruin niezwiedzić... dziś do dzieł dobroczynnych, do których obowiązany jest chrześcijanin, liczy się poszanowanie pamiątek,— tak mało ludzi cześć im oddaje, a tylu je niszczą! Zdaleka gmach miał fizyonomiję niezmiernie malowniczą i dopraszał się ołówka... tysiące wspomnień poczepianych jak zielony bluszcz na jego murach ożywiały go jeszcze... W widłach rzeki i mniejszego wpadającego w nią strumienia, na gliniastym obrywie, w wysokim cyplu odciętym od lądu fossą dziś zupełnie wyschłą, czerniały mury starego zamku pokryte jeszcze dachami, z lasem kominów i niekształtnych szczytów, z bramą majestatyczną u mostu dziś zastąpionego lichą grobelką, z kościołkiem wreszcie zamkowym, z którego zdjęty krzyż opowiadał, że tam już Bóg niemieszkał, tylko pustka i zniszczenie.

Ze ściśnioném sercem poszedłem powoli ku ruinie, pytając każdéj garstki ziemi o dawne jéj dzieje; ale mi one odpowiadały badylami piołunu, zeschłą trawą, koią-

cemi osty tylko... Dla ziemi niebyło tu nigdy człowieka; wiedziała tylko o dzieciach rodzonych, o roślinach, co rok umierających, by odżyć znowu co roku.

Staw ze zgęstą i pleśniami pokrytą wodą, w pół zarosły trzciną, na pół brakiem odpływu zmieniony w błoto, już sam był maleńkim obrazem tego, w co dziś obrócił się zamek. Roślinność bujna od brzegów idąc parła się coraz daléj, wypijała wody i pokrywała większą część czystéj niegdyś tafli, w któréj odbijały się mury zamkowe. Po nad kałużą tą krążyły stada komarów, wrzeszczały armije żab sprzymierzonych, jak gdyby szturmem pustkę brać chciały. Gdzie niegdzie z téj gęszczy błota, liści, stworzeń i brudnéj wody, dobywał się stary, gruby pal dębowy, trup dawnego mostu,—i kupa cegieł, resztka jakiejś obwalonéj arkady. Ale to wszystko trawiły już mchy i pleśnie, wyżerała woda, jadło nawet powietrze... Na miejsce mostu który niegdyś wspaniały być musiał, dla wygody ostatnich właścicieli wysypano grobelkę— wyborny rys do porównania dwóch epok. Grobelka ta pozioma, licha, w pół z chróstu, na pół z ziemi i gnoju, z mierzwy i gruzów, krzywa, powybijana, dziur pełna, chowała się w tataraki i trzciny: tak jéj saméj wstyd było, że ją tam położono,—kręciła się, wywijała, żeby oczów uniknąć.

Wpośrodku jéj zbudował dowcipny jakiś ekonom karykaturę mostka z poręczami krzywemi, na cieńkich kilku palikach, z osinowych mostnic, krzywo, garbato, niepocześnie, ale do grobli stosownie,—jedno warte było drugiego.

Minąwszy mostek, w śród gęstszych palów i gruzów droga podnosiła się nieco ku górze, ale niewiele była weselszą od grobelki. Doły na niéj ktoś powymoszczał chróstem i cegłą, które pływały w nigdy niewysychających kałużach; koła powybijały wszędzie koleje, zawadzając to o

gliniasty obryw szczątków rozkopanego wału, to o jakieści murów podziemnych sterczące sklepienia do żywego powydzierane.

W saméj bramie z obu stron rozdartéj, jakby dla nowych pokoleń była zawązką, ściany nosiły ślady przejazdu wozów i bryk: pooszarpywane i zamazane błotem, wielkie owe wrota z herbami dziedziców na czole stały zupełną pustką, choć to był gmach dosyć obszerny mieszczący w sobie dawniéj pokoje na górze dla komendanta straży zamkowéj, a w dole kordegardę dla nadwornéj milicyi. Na obwachcie stoi dziś krowa Żydowska w zagrodce z desek i kijów zbitéj; a mierzwy pod samo okno w kupę zgarnięte, dowodziły, że nie od dziś rozmyślało to bydło nad marnościami kordegard ludzkich.

W bramie o wrotach ani mowy; pozostałe nawet od nich ogromne żelazne haki, w dole chciwy żelaza spekulant jakiś wyciosał, wielkie dziury porobiwszy z niemałém zapewnie wysileniem, bo mu się cegła i wapno jak mogły niedawały;— szczęściem do wyższych niedosięgnął i te jeszcze groźnie nad głową sterczały.

Szeroki dziedziniec na pół wydeptany i wyjeżdżony, gdzie niegdzie malutkie zarastały rdesty i chwast umiejący się oprzeć despotyzmowi człowieka;— trawa bojaźliwsza uciekała z niego na wały, gdzie jéj było swobodniéj. Wielki gmach ze wspaniałą facyatą, na któréj pośród kotłów, bębnów i chorągwi rozlegały się połączone herby najznakomitszych w kraju naszym rodzin, wyglądające jeszcze wspaniale ze swemi kolumnami, sięgającemi przez dwa piętra; ale już gdzie niegdzie tynk opadły, głębokie szramy, zapowiadały, że niedługo postoją słupy olbrzymie. W prawo i lewo długie okien szeregi, ganki, przejścia, galerye, niewszędzie już ich było widać, do mieszkalnych izb przyty-

kały. Tu i ówdzie pozabijano je tarcicami, pozakładano cegłą starą, pozapychano słomą, pozarzucano gnojem od dołu, pozmniejszano i powybijano bez litości. Na dachach rosły trawy i krzewiny nawet, mur popękał i pozaciekał szkaradnie; a długie, czarne pasy pleśni, poznaczyły go przedśmiertną gangreną. Na prawo część gmachu zajęta przez Żyda na fabrykę, szyderski, nieznośny stanowiła kontrast z majestatem téj ruiny, wspaniałéj jeszcze mimo opuszczenia i trupiéj swéj fizyonomii. Tu mur był potynkowany na biało i świeżo, przykrą tą barwą ubrany śniegową, która oczy razi i niedaje im spocząć na sobie, niecierpliwiąc i drażniąc. Okna wszystkie poprzerabiano formą nową, niepytając jak będą zewnątrz wyglądać, powkładano w nie szyby wielkie a brudne, przez kilka z nich wysuwały się szyje obrzydliwych kominków blaszanych, od których kopeć czarne smugi porysował na owéj bieliźnie Żydowskiéj. Sznur ze schnącemi szmaty i sukienkami, sprzęt drewniany jakiéjś rodziny Izraelskiéj osiadłéj jak wróbel w gnieździe orlém, dopełniały obrazu z téj strony, malowniczo niestety!

Przykrzéj jeszcze było wzrok obrócić w lewo, gdzie odosobniona stała dawna zamkowa kaplica, niesprofanowana jeszcze ręką ludzką, ale już ogarnięta obojętnością. Drzwi jéj zabite deskami i okna bez szkieł, dach obnażony z gontów i miejscami świecący na wylot, mówiły dobitnie o niedzisiejszém już osieroceniu. Chmury wróbli i wron uwijały się tu, gospodarząc gwarnie i zajmując bezbronne stanowiska, jaskółki pooblepiały ściany gniazdami swemi dokoła, bocian nieostróżny na krawędzi muru usłał gniazdo szerokie, w progu wyrosła blada brzozka, mizerna, stara, odarta z kory, i kilkunastu ledwie żółtemi listkami dająca znak życia, a raczéj konania.

Żyd, który tu teraz panował, stał właśnie w progu wielkiego zamku i przypatrywał mi się zdaleka z miną dość kwaśną i pogardliwą, jakby był nierad odwiedzinom. Niebył to już ów Izraelita po-staremu odziany w tradycyonalny żupan i sobolowy kołpak, z rękami za pas czarny założonemi; ale mięszaniec, niedobitek wielkiéj rodziny rozproszonych, usiłujący się przekształcić na kosmopolitę robigrosza. Widać było, że dla imienia Europejczyka gotów się był wyrzec nawet cebuli. Ubrany bardzo wytwornie, palił cygaro Hawańskie *puro*, a z brody wyfryzowanéj i lakierowanych bócików widać było, że wolał Wrocław i Lipsk nad wspomnienie Jerozolimy, a może nawet czytał Mosesa Mendelsohna... i pewnie niewierzył już w nic prócz złotówki.

Gdym grzecznie podszedłszy do spadkobiercy wojewodów, prosił go o pozwolenie obejrzenia zamczyska, zaśmiał się szydersko odejmując od ust cygaro.

— Co tu jest do widzenia?— spytał pogardliwie— trochę gruzów? Ciekawszaby była moja fabryka i warsztaty nowego systemu, które sprowadziłem z Anglii.

— Zechciałeś pan!—rzekłem z uśmiechem,—każdy ma swoję słabość: pan do warsztatów nowego systemu, ja do gruzów i ruin starego systemu... wszakże to panu przykrości niezrobi.

— Oglądaj pan sobie co chcesz,—rzekł,—dam nawet starego sługę, który oprowadzi i pokaże; cóżby mi to szkodzić miało? Dziwi mnie tylko, że się panowie rozczulać możecie nad tém i żałować... co słusznie upadło.

— Podniosłem nań oczy ciekawe.

— Słusznie?—zapytałem.

— Zapewnie,—rzekł.—Najprzód co upadło, to upaść zasłużyło... *alles vas ist, ist vernünftig*. A do czegoż dziś zamki? do czego nawet one były dawniéj? służyły do ucisku

słabszych, do panowania dumy!... Błogosławiona chwila, gdy w nich pracowity kołowrótek zawarczy...

Doszedłem z tego wykrzyknika, że Żyd oprócz Mendelsohna gotów był czytać jeśli nie Hegla, to choć Rosenkranz'a; posądzać zacząłem, że mu nowa literatura Niemiecka niebyła obcą, — i niechciałem się z nim spierać; bylibyśmy się i za dwadzieścia pięć lat nieporozumieli. Wiedziałem zresztą *a priori*, co z tego tematu można było za piękne zagrać waryacye o postępie, cywilizacyi, duchu czasu, znaczeniu pracy, feodalizmie, swobodzie i t. d. i t. d. Uśmiéchnąłem się tylko na *dictum acerbum*, i uchyliwszy czapki, prosiłem o obiecanego przewodnika.

— No! dobrze, a potém proszę i do mnie zajść,— rzekł grzeczniéj gospodarz — przewodnika znajdzie pan w suterenach na lewo, w samym rogu.

Reprezentant dzisiejszéj cywilizacyi znikł mi z oczów nareszcie, i odetchnąłem znalazłszy się po zejściu trochę ku dołowi sam z sobą, uwolniony od dysharmonijnego kontrastu, w obec ruiny, u drzwi w ziemię wpadłych, dębowych, grubo okutych przejścia, które zdawało się do suterenów prowadzić. Klucz w zamku z przywieszoną do niego na sznurku kłódką drewnianą zapowiedział mi, że znajdę starego sługę, który miał być moim przewodnikiem. Wszedłem uchyliwszy powoli drzwi, i naprzeciw okienka obwarowanego kratą, postrzegłem staruszka z xiążką wielką na kolanach, po formie i druku, jakem się domyślał, pobożną.— Była to postać maluczka, chuda, z twarzą pergaminową przysypaną siwemi włosy, z brodą nieogoloną od kilku tygodni, z wyrazem spokoju, smutku i rezygnacyi przenikającéj. Człowiek ten tak przypadł do téj ruiny, do izdebki, do wszystkiego co go otaczało, tak był stworzony do tła, na którém się mieścił, że artysta byłby go mu-

siał użyć w każdym widoku tych zwalisk, bo je najcudowniéj dopełniał. On jeden, klucznik grobowca, został na ruinie, wierny gruzowisku i śmierci.

Zwolna, postrzegłszy mnie, zamknął książkę domyślając się co sprowadzało podróżnego, i nieśpieszył powstać, oczekując co mu powiem.

— Mam pozwolenie obejrzeć zamek,— rzekłem poszanowawszy siwe włosy starca sieroty — niebylibyście łaskawi pomódz mi do zobaczenia co tu jest ciekawego?

— A!— rzekł stary składając swą xięgę na stoliku obok krucyfixu—pan zapewnie z daleka? podróżny?

— Przejeżdżający...

— I piękny ten zamek wzbudził w panu ciekawość?

— Tak jest, — ale pozwól najprzód spytać, jak mam Wpana nazywać.

— Ja?— Piotr.... Piotr Żduński,—rzekł szukając kluczów na półce.

— Więc nieodmówicie, panie Pietrze?

— A pójdziemy! pójdziemy!—westchnął opatrując kieszenie i stancyjkę — Żyd panu pozwolił?

— Pozwolił!

— Żyd!—rozśmiał się Piotr—Żyd! panem na zamku naszym! a! panie! niezaboliż to serce?.. widziałeś pan jak to się dmie? niechcеż się to płakać krwawemi łzami?

— Widziałem, widziałem, panie Pietrze! ale to nie o to chodzi, czy on Żyd, czy Tatar... smutno, że obcy, przybysz, że ziemny nabywca, co tego poszanować niemoże...

— Nieprzyjaciel! wróg!— zawołał Piotr— wróg, panie! Pan niewiész, co ja tu z nim cierpię... najgrawają się ze wszystkiego! Widzę rękę Bożą mściwą w naszém nieszczęściu a w swojéj pomyślności, depczą świętą przeszłość dumną nogą i plwają na nię z szyderstwem niepoczciwém..

— A dla czegoż przyszło wam tu pozostać, aby na to patrzeć, panie Pietrze?

— Mnie! a! bo to moja mysza jama! bo ja niemam gdzie głowy przytulić, bom służył ostatniemu panu z tego rodu i niemógłbym dla tęsknoty wyżyć gdzieindziéj! Za ten kąt i pozwolenie dziury ziemnéj służę Żydowi i wymiatam mu podwórze... Bóg przyjmie to za grzechy... A! ale są chwile w których cierpliwość opuszcza i chce się bachury ich podusić... tfu! Boże odpuść!

Tak rozmawiając wyszliśmy z izdebki i starzec westchnął kierując się ku głównemu wchodowi, do którego dobierał znanego klucza.

— Pan Bóg strzegł,—mówił,—że się jeszcze tu niewprowadzili do samego pałacu, a w porządniejszém bocznem skrzydle pomieścili swoje djabelskie machiny. Niechciało się im tu dachu nakrywać nanowo, a wszędzie zacieka. Niech zacieka i niech gnije, niech się wali i upada na karki tych niewiernych, lepiéj niżby się miało splugawić.

Gdy to mówił, chłód murów nas ogarnął, stanęliśmy w majestatycznéj sieni, z któréj szerokie wschody wiodły dwóma powolnemi szeregi kamiennych stopni na górę. Ta przedsień godnie odpowiadała pałacowi: — wielka, widna, wspaniała,—na ścianach jéj były szczątki malowań, wyobrażających jakieś ogrody Armidy, z posągami mitologicznemi, galeryami, świątyniami,—kilka kamiennych nadtłuczonych wazonów, z których jeden wywrócony i strzaskany, zdobiły poręcze u wnijścia,—po ścianach długiemi smugami deszcz się lał na kamienne posadzki i porysował mury, a kałuże niewyschłe zastygły pod każdym z tych złowrogich pasów, około których rosły pleśnie zielone.

W milczeniu uroczystém poszliśmy na górę do ogromnych drzwi obłożonych marmurową z herbami futryną,—

na lichą kłódkę i przybity niezgrabnie skobel zamkniętych. W pustce téj mało zostało śladów życia, a jednak jeszcze uderzała wielkością charakteru swego, czémś wspaniałém i potężném. Przedpokój większy od niejednego dzisiejszego salonu, pełen był połamanych mebłów zwalonych na kupę, wśród których na oszarpanych axamitach i biało ze złotem lakierowanych kanapach, leżało kilka pustych sypanek, wyszczerbione żydowskie neculki, korzec kartofli i worek buraków.

Drzwi wyłupane i na jednéj trzymające się zawiasie, powiodły nas do sal szeregiem po sobie następujących, wśród których gdzie niegdzie mokre znowu ślady deszczów i siwe pleśnie szeroko się rozkładały. Tu i ówdzie jednak szczątki jeszcze dawnéj wielkości znać było:—ramy zwierciadeł, których ze ścian wydrzeć nie umiano, malowania na murach i nisze, napisy, kominy kamienne i marmurowe, kolumny marmuryzowane z bronzowemi kapitelami, świadczyły o przepychu z jakim ten gmach wznoszono. Jakby na pośmiewisko wśród tych wspaniałości umarłych, Żyd porozsypywał swoje sprzęty maluczkie, prozaiczne. Stały tu zepsute łóżka, połamane warsztaty, karczemne stoły bez nóg, rozbite skrzynki czeladzi i niewiém już co za bezimienne rupiecie staréj nędzy.

Starzec wskazywał to i wzdychał... bolało go, że razem giną, pański dostatek i Żydowskie skąpstwo.

Tak przebiegliśmy z nim wielkie sale przeznaczone do uroczystych przyjęć i obchodów wielką jednę, w któréj bytność króla oznaczał niedawno marmur, przez Żyda obrócony na zrobienie jakiegoś stołu do kuchni — o czém starzec mówił ze zgrozą,— inną, z któréj wydarto posadzki kosztowne, zostawując pełną pyłu i zbutwiałego drzewa,— potém pokoje sypialne, biblijotekę pustą, wśród któréj wala-

ły się kilka kart wydartych z ksiąg XVII wieku, archiwum z powywracanemi półkami sosnowemi, jadalnie, kredensa i niewiem już ile izb i ile korytarzy i komórek. Był to dedal przegródek, wschodów, wschodków, przejść, sklepień, kryjówek, ogromnych gmachów i szczupłych pokoików, ogołoconych i odartych ze wszystkiego, czekających dnia ruiny ze smutną cierpliwością męczennika. Znać było, że ten budynek, któremu ręka późniejsza nadała powierzchownie jednolitą fizyonomiję, wznosiły powoli wieki; że poczęty w XIV wieku, może skromnym grubym murem, w XV nieco śmielej rozszerzony, w XVI zarysowany na poważniejszą już skalę, w XVII rozpostarty nagle i zbytkownie, w XVIII dopiéro z zamku wyrósł na pałac, by w XIX z pałacu stać się pół ruiną, pół fabryką.— Na gołych murach czytać było można dzieje żywota tych wieków z razu bohaterskich, pracowitych, prostoty pełnych w obyczaju, potém zbytkujących i zepsutych...

Stary Piotr po słowie się tylko odzywał, tłómacząc mi znaczenie każdéj izby, dając im dziwne i dość niezrozumiałe nazwania od osób co je zamieszkiwały, od wypadków, co w nich miały miejsce przed laty—ale nieśmiał rozszerzać się z boleścią i narzekaniem, których był pełen i wstrzymywał je w sobie jako mógł. Wzdychał ciężko i modlił się pocichu... czasem oczy odwracał... kilka razy już, już zdawały mu się rozwiązywać usta, ale milkł zaraz jakby sobie przypomniał, że słowa jego paść mogą nie w ciepłe serce, a na zimną opokę.

W jednéj z komnat nagle zatrzymałem się osłupiały nad ogromnym stosem jakichś płócien z obrazów i połamanych ram, zwalonych na kupę niemiłosiernie. Gdzie niegdzie z tego chaosu patrzała jeszcze spleśniała i zakurzona twarz hetmańska dziko i smutno — ówdzie wystawała

ręka z szablicą, poła sukni gronostajami podbitéj, niewieście czoło pokryte zasłoną wdowią...

— A to co?— spytałem Piotra.

— To! to stare portrety,— rzekł;— zwaliłem je na kupę i przygniotłem żeby sobie prędzéj zgniły, bo tu najlepiéj zacieka... i już mi dobrze nadtruchlały...

— Zlituj się! czemuż ich nieocalisz?

— Dla kogo? na co? żeby się nad niemi pastwili żydziuki lub handlowali przekupnie? żeby niemi Sara parawany obijała, jak już probowali, żeby te poczciwe twarze patrzały na ich ohydne szabasy?.. Nie! niepozwolę krzyżować ich niewiernym, niech lepiéj zgniją i zginą... a nie! to je spalę.. dym pójdzie na chwałę Bogu jak w starym testamencie Ablowa ofiara.

— Ale — mógłżebyś je oddać komu?

— Żyd je kupił, to jego własność! zgnić może im pozwolić, ale nieodda.. to niewolnicy jego...

— A gdyby zapłacono?

— Któż za to śmiecie da trzy grosze?... Gdzie dziś' panie— dodał wzruszony — poszanowanie dla przeszłości, gdzie ten duch, co dawniéj nas ożywiał? Każdy panicz woleć będzie lada kurtkę axamitną i konika, niż stary gałgan, na którym jakiś bazgroła nieosobliwszym pęzlem wyraził twarz nieznaną, co tu kona lat sto i skonać niemoże... Turcy, panie, mają rozum, że portretów niemalują...

Poszliśmy daléj— był i teatr, były i wspanialsze znowu wielkie apartamenta malowane na dole, których freski zachowane dosyć świéże uderzyły niezwykłą pięknością swoją. Zapewnie, niebyły to arcydzieła, ale ten co je malował, niepospolitym okazywał się w nich artystą. Nienatchnęły go przedmioty obce, historye narzucone mu, prze

szłość, któréj nierozumiał,— niepłakał i niemodlił się malując, ale gorąco i żywo rzucił szlachetne dziejowe postacie na mur, który miał przeżyć dziedziców tego imienia.

Piérwszy to raz trafiło mi się w kraju naszym widzieć historyę domu użytą za przedmiot do ozdoby ścian sal mieszkalnych. Widoczném było, że ta myśl przyszła komuś w końcu XVII wieku, a obcemu powierzono jéj wykonanie. Malarz był Włoch, manijerzysta trochę, wielce biegły w swéj sztuce, i człek nie bez talentu; ale przeszłości polskiéj dobrze nierozumiał... Praca jego zgadzała się zresztą wybornie z charakterem budowli, z fizyonomiją całego pałacu. W szerokich ramach, było tu naprzód przyjęcie króla na zamku, z ciekawym widokiem tego gmachu, jakim był jeszcze w XVII wieku przed ostatecznemi upięknieniami. Scena ta uroczysta odpowiadająca talentowi malarza, wcale była zajmującą, twarze widocznie portretowane. Daléj odmalowane zaślubiny jakiéjś xiężniczki Niemieckiéj przez wojewodę Połockiego odbyte w Gdańsku. Daléj wjazd do Rzymu posła, i pogrzeb królewski w którym—jeden z przodków reprezentował figurę króla... jadąc za marami na koniu. Każdy z tych wielkich obrazów miał wartość historyczną i artystyczną, a nad znaczeniem ich niepotrzeba się było zastanawiać długo, gdyż u góry w kartuszach floresami złoconemi ozdobnych, stały Łacińskie napisy, daty i osób głównych imiona.

Zatrzymałem się tu dłużéj niż gdzieindziéj: bo i pokoje tu na dole lepiéj poszanowane, więcéj miały sprzętu starego, i nic w nich jeszcze nietrąciło panowaniem Żydowskiém. Kilka stolików rzeźbionych misternie, krzeseł i kanap, ram w ścianach i odrzwi wspaniałych z czarnego marmuru Szwedzkiego, dozwalały się domyślać, jak to musiało być pięknem gdy było całém i życie w sobie mieściło.

Mały gabinet owalny przytykający do owych wielkich gmachów, zwabił mnie obrazem al-fresco na ścianie widocznie tegoż pęzla co poprzedzające. Obraz ten był mniejszych rozmiarów, bladszy, nieco swobodniéj, czy prędzéj malowany, a w kartuszu nad nim zamiast roku i napisu, stała tylko trupia głowa, dwie kości na krzyż złożone i klepsydra wyczerpnięta...

Wypadku, jaki ta ściana przedstawiała niełatwo było zrozumieć... Był to znowu pogrzeb, ale dziwny jakiś: postacie, które mu towarzyszyły, wszystkie miały twarze pozakrywane; dwie tylko na całym obrazie tak były zwrócone, że wyraźnie rozeznać się dawały. Malarz ustawił resztę figur tak zręcznie i sztucznie, pozawieszał głowy kapturami różnych bractw, pozakrywał jedne drugiemi, że nigdzie nikogo widać niebyło, oprócz nieboszczyka w trumnie odkrytéj, i jednego tuż za nią rycerza. Nadzwyczaj uderzającém było to: że nieboszczyk i rycerz ów tak do siebie byli podobni, tak jedni, jakby rozdwojoną tylko a jedną stanowili osobę, jakby bracia rodzeni, jak cień i rzeczywistość... Tylko na twarzy zmarłego malarz wyraził spokój grobowy, a na licu rycerza jadącego konno za karawanem, zdziwienie, przestrach, niepewność, uczucia jakieś tłumne, pomięszane, dziwaczne.

Znać to podobieństwo rysów dwóch postaci niebyło bez celu, i artysta wrażeniu jakie chciał uczynić niemi, poświęcił wszystkie inne twarze ludzi idących za pogrzebem, pokrywając je i osłaniając naumyślnie. Nawet ubiór rycerza i nieboszczyka były zupełnie jednakowe, rzekłbyś ten sam człowiek położony w trumnie. Ale co to znaczyć miało? czy tylko ową marę, jaką dawniéj wystawiano na pogrzebach, gdzie ktoś zawsze zmarłego reprezentował bohatéra? czy to była jaka familijna tradycyonalna hi-

storya, któréj anim sobie mógł przypomnieć, ani się domyśleć?

Stałem długo przed obrazem, choć Piotr brząkał kluczami i niecierpliwił się przechodząc napróżno w drugie drzwi daléj wiodące;— nakoniec zapytałem go:

— Cóż to wyobraża?

— A! to jakaś długa, a nieciekawa historya,— odparł klucznik;— a ja dobrze jéj niewiem... gadają różnie, jakiś to pogrzeb... Bóg wie! Ale czasu nam niestanie na piwnice i kapliczkę... ot, chodźmy lepiéj.

Rad nierad, dopytując napróżno, musiałem posłuchać i dać się po wschodach prowadzić do sklepów pod zamkiem, które istotnie na widzenie zasługiwały. Był to drugi gmach podziemny, o dwóch piętrach, z tysiącem przechodów, izb, piwnic, tajemniczych zakątów, ścian porozwalanych, i sklepów zarzuconych stosami potłuczonego szkła, walającemi się od niepamiętnych czasów kamiennemi kulami i spiżowemi w ziemię wrosłemi działami. Wycieczki ztąd, jak stary opowiadał, miały prowadzić za rzekę, ale teraz pozawalane kończyły się osuniętym gruzem i cegłami.

Podróż nasza po tych podziemiach majestatycznych jak same zamczysko, prócz wrażenia tęsknoty i podziwu nad tém dziełem olbrzymiém dziś nieużyteczném, nic mnie nienauczyła. Piotr jakby dla zatarcia wspomnień tego obrazu pogrzebowego, o którym wspominałem mu ciągle, opowiadał mi dość żwawo o ogromnych beczkach miodu kilkasetletniego, które tu wisiały na łańcuchach, i o przygodzie jakichś żołdaków z 1812 roku, co wpadłszy do piwnic tych, w dni kilka martwemi trupy ztąd powyciągani zostali, usnąwszy po opiciu się zabójczego trunku na wieki. Dawniéj te miody w małych jak naparstek podawano kieliszkach.

Z podziemia nareszcie wyszliśmy niespodzianie na światło dzienne szyją jakąś naprzeciw kaplicy, drzwiami, od których Piotr miał klucze.— Powietrze, którem odetchnąłem, wydało mi się rozkoszném, niebo cudnego blasku, świat w szatach świątecznych... ale mimo doznanych wrażeń i potrzeby odświeżenia się po nich, niemogłem opuścić kaplicy. Piotr przewidział to żądanie, i minąwszy drzwi deskami zabite, poszukał klucza do małego bocznego wnijścia przez zakrystyę.

Tu— straszniejsza jeszcze była ruina domu Bożego niż ludzkiéj siedziby i cięższy smutek ogarniał patrząc na nię, bo się przypominały słowa Pisma grożącego niegodnym odebraniem pasterzy i wywróceniem ołtarzów. Ludzka znikomość mówiła w zamku głosem od lat tysiąca jednym wszędzie: tu kara Boża i grzechy zdawały się puhaczów głosem odzywać z tego opuszczonego kościołka. Niewielki, postawiony był z największém staraniem i wykwintnością przez pobożnych przodków domu tego. Nieżałowali widać na budowniczego, który śmiało zarzucił w górę sklepienie, na snycerzy co porzeźbili odrzwi i futryny okien kamienne, na grobowce i ołtarze wykwintnie z marmuru misterną ręką wykute.... ale dziś wiatr zimny wiał przez rozbitą u góry kaplicę sam jeden tu mieszkając...

Sklepienie wyszczerbione wisiało straszliwie grożąc upadkiem, wydarta posadzka przepuszczała pokrzywy, piołuny i dziewanny, ptastwo i żaby lęgły się w przybytku modlitwy. Po ścianach jeszcze widoczne były ślady malowań téj saméj ręki, która zamek ozdobiła, aniołki i święci w obłokach, nad ołtarzami w extazie, postacie zamodlone i smutne,— i panujący im w sklepieniu u wiel. ołtarza krzyż z Chrystusem na nim, zawieszony w powietrzu... Ale niebyło ani jednego malowania całego, na

każdém piętrze zniszczenie się wyryło;— sam Chrystus tylko pozostał nietknięty i tryumfujący; a u stop jego Matka Boża, na któréj łonie w niebieskich jéj szatach jaskółka ulepiła sobie gniazdeczko.

Wielkiego ołtarza stało tylko podmurowanie odarte z płyt marmurowych; po za nim dwa wielkie grobowce przodków, tumby z czarnego kamienia z leżącymi rycerzami i niewiastami snem wiekuistym uśpionymi, wyglądającymi dziwnie surowo i smutno. Rycerz był piérwszy sparty na ręku, we zbroi, z hełmem u nóg i tarczą herbowną, matrona w szatach zakonnych. Bo wówczas jeszcze zakonem było małżeństwo— z różańcem w ręku i pieskiem u nóg...

Ale to wszystko stało osute pyłem, popękane, porozbijane, zniszczone... Na drugim grobowcu starzec z brodą do pasa i łańcuchem na piersi, i maluczkie dziecię spospoczywało okrążone wieńcem kwiatów, a na wierzchu ohydna śmierć z kosą uśmiechająca się zębami białemi,— trochę lepiej oszczędzone zostały, bo je gzems ocalony przykrywał. Z bocznych ołtarzów także rumowiska tylko pozostały, a u stóp ich walały się potłuczone ławy, połamane lichtarze, i strzaskane wieka grobowe.

Piotr stał z odkrytą głową i odmawiał Anioł Pański, ja przy nim ukląkłem upokorzony— modlitwa nas zjednoczyła.

— A!—rzekł gdyśmy ją skończyli,— teraz to panu pokażę i groby... poszanujesz je... Nielubię tam chodzić, bo się boję żeby Żydzi i do nich się niedopytali: gotowi powiedzieć, że i te kości im sprzedane. Zamknijmy drzwi najprzód...

Piotr zaryglował zakrystyę, wprowadził mnie do skarbca, usunął deski przy ścianie zostawione, i odkrywszy drzwi utajone na płask leżące, podniósł je powoli... Po

wschodkach dosyć wygodnych spuściliśmy się w głąb podziemia.

Na podziw tu było jasno, cicho, czysto i stosunkowo świeżo nawet: znać pobożna ręka i serce pilnowały tych grobów. Lochy były prześliczne, suche, pełne piasku, i formowały jakby kościołek podziemny kształtem odpowiadający górnemu... Nawet w głębi naprzeciw wielkiego ołtarza, stał i tu ołtarz drewniany z krzyżem i lichtarzami, pokryty ubogim obrusem na pół przeguiłym i zapylonym. Po obu stronach drożyny wiodącéj ku niemu, przy nizkich słupach, na których opierały się sklepienia, rzędem stały trumny na podstawkach z cegieł i drzewa. Niektóre poosuwały się nieco, ale żadna się dotąd nierozsypała. A było ich wiele i były różne, począwszy od nienazbyt staréj axamitem obitéj i galoném ozłoconéj, od cynowéj Augsburskiéj misternie rzeźbionéj i na głowach aniołków opartéj, do blaszanych, dębowych, i smolonych kłód, które wyglądały jak koryta nieforemne.

Na samo wejrzenie domyślałeś się w nich rycerzy, niewiast i dzieci, młodych nadziei pogrzebionych w kwiecie wieku, i starców, co do dna wypili gorzką czarę żywota. Te milczące szeregi, ściśnione, były wymówne... zdawały się u ołtarza Bożego klęcząc prosić o przebaczenie rodowi i potomstwu swojemu... zdawały się modlić i błagać... Znowu ze starym poklękliśmy.

Gdy wstałem łzę miałem w oku, ale pokój w sercu... spójrzałem ze czcią na tych modlących się po śmierci praojców zgasłéj rodziny, któréj xięgi ostatnią kartę wiatr poniósł gdzieś nad ocean i rzucił na ziemię wygnania.

— To— rzekł niepytany Piotr, poczynając od ołtarza i nieforemnych trumien najstarszych— to ten, co chodził do Palestyny... zabiwszy rodzonego brata... potém był w Rzy-

mie po przebaczenie i papież go rozwiązał ze krwi... on klasztor w miasteczku fundował... A oto tuż brat on zabity i żona jego...

Podniósł jedno wieko, które samo odstawało i w głębi smołą wylanego wydrążenia, ujrzałem trochę szat, trochę pyłu, drobinę zczerniałych kości, i błyskotki, w pośród których prosty był krzyżyk bronzowy.

— Ten— mówił daléj— niema głowy— (w istocie skeletowi jéj brakło).—Wykupiono ciało jego z niewoli Tureckiéj, ale głowa ucięta gdzieś na bramie seraju sułtańskiego została, i niemożna jéj było dostać... Trup ten zapłacono na wagę złota.

I ta trumna była prosta drewniana, choć szczątki w niéj zawarte wartały tyle co wielki klucz na Rusi, który rodzina dla okupu zaprzedała. Obok niéj przysunięta szczelnie stała tuż druga wiernéj żony i dwie mniejsze dzieci, dwojga zmarłych zawcześnie.

— To wojewoda, to kasztelan,— mówił daléj mój przewodnik;— piérwszego zwali królikiem, drugiego mnichem. Tamten zbudował zamek; ów pochować się kazał w habicie św. Franciszka, ale u nóg szablę sobie położył.

Przechodziliśmy do coraz ozdobniejszych trumien; gdy po drodze uderzyła mnie jedna bardzo misternéj roboty, cynowa, widocznie lana umyślnie gdzieś w Niemczech, gdzie często dla nas podobne wyrabiały się sprzęty i przez Gdańsk sprowadzały. Stała ona oparta na skrzydłach czterech aniołków i lwich łapach, w głowach okienniczka pokrywała osadzony portret olejny; na bokach w medalijonach bogatych wystawione były bitwy i rycerskie sprawy. Robota acz piękna, niebylaby mnie może zastanowiła, gdyby nie ów portret przypominający dziwnie rycerza na obrazie w gabinecie jadącego za pogrzebem.

Zacząłem szukać napisu, alem go nigdzie niemógł znaleźć.

— A to kto?— spytałem Piotra.

— A to— odparł widocznie zakłopotany— a to... e! e! e! to pan wojewodzic.

— Ten sam co na górze w zamku?.. dodałem żywo.

— A ten sam, ten sam,— mówił Piotr odsuwając się powoli, jakby się namyślał milczeć czy odpowiedzieć. Alem na niego spójrzał błagającym wzrokiem z tak wymowną prośbą milczącą, że stary zatrzymał się wśród drogi, zawahał i dodał:

— To ten wojewodzic, który... który potém umarł braciszkiem u Kamedułów pod Krakowem...

— Jużciż wiecie co znaczy ten obraz... z trupią głową u góry, musieliście coś słyszeć o nim: proszęż was opowiedzcie mi...

— Przyznam się panu, że ja tam tego nigdy nikomu nieopowiadam,—szepnął starzec ruszając ramionami,—bo to widzi pan.... śmieją się, drwią, a pan Bóg więcéj może niż człowiek wymyśli, i taki wszystko to prawda!

Te słowa obudziły żywszą jeszcze we mnie ciekawość, począłem nalegać, i usiedliśmy na wschodkach podziemia naprzeciw ołtarza, poglądając zdala na trumny,— Piotr tak począł opowiadanie powoli:

— Wojewodzic ten miał na imie Żegota,— kiedy żył dalipan nieumiem panu powiedzieć, ale na trumnie gdzieś tam rok śmierci się znajdzie, to go sobie pan dójdziesz— zresztą i mniejsza o to. Co lata mają do historyi? wszystko jedno, kiedy się to działo, wczoraj czy pozawczoraj; dosyć, że co powiem—prawda święta. U nas to wszyscy wiedzą. Jak to już podówczas było we zwyczaju, ojciec wojewoda posłał z kims młodego panicza za granicę dla ry-

cerskiéj sprawy, po Niemczech, po Francyi, i niewiem już dokąd. Panicz pojechał rad; aż oto w pierwszém mieście Niemieckiém z dwóch nauczycieli, których przy sobie miał, jeden mu zaraz umarł. Trzeba bowiem panu wiedzieć, że wyprawując panicza stary jegomość dał mu do konduity i dozoru Polaka niemłodego już człowieka, który choć nic nieumiał prócz pacierzy po-Łacinie, ale był co się zowie sensat i rygorysta,— a do jakichś tam mądrości był osóbny Niemiec czy kat go wie jaki szołdra, który tylko miał uczyć, ale nierządził się sam, tylko to robił co mu stary ochmistrz powiedział.

Otoż trafiło się, że zaraz w początku drogi za granicę, ów szlachcic dany do dozoru rozchorował się na jakąś gorączkę, które tam po tych krajach chodzą niemal co roku; a że niemiał się czém leczyć ponaszemu, ani ziół takich jak u nas, ani naszego powietrza i wody— jak go poczęli Niemcy medykamentować, zalewania swoje dawać, krew' nie w porę podług kalendarza z niego toczyć, oblewać go lekarstwami—Panu Bogu ducha oddał. Niemiec pozostały zatrzymał się zaraz w tém miasteczku i dał znać staremu wojewodzie, który, co miał odwołać syna do domu póki by mu innego mentora niedobrał, jakoś nierozmyśliwszy się czy co—puścił panicza z tym szołdrą w dalszą drogę. Tego już panu opowiedzieć niepotrafię dokąd i jak pojechali; tylkom to słyszał, że jeździli po świecie z miasta do miasta, przypatrując się twierdzom i zamkom, bo się wojewodzic na wojskowego sposobił, i trwało to lat kilka. Wszędzie— jak to był człowiek wielkiego imienia i kolligacyi, robili mu honory xiążęta, monarchowie nawet, do których z kraju miał listów dosyć. Ale panicz raz wraz z tym Niemcem przestając, to z wojskowemi, to z dworaki, jako to był jeszcze młody, a krwi gorącéj, tak

się w niwecz rozjunaczył i rozhulał. Niemiec, coby go był miał wstrzymywać, to mu pochlebiał, aże z nim pijał, grał, z grosza go darł i wszystko sobie kupować kazał co zamyślał, a dobrze mu z tém łajdakowi było,— zamknąwszy oczy, cuglów popuścił wojewodzicowi. Na dobitkę— wojewoda stary zaraz jakoś rychło umarł, a matka słaba choć jedynaka do domu ciągnęła, gdy ten napisał, że się tam jeszcze czegoś niedouczył, pozwalała mu coraz daléj i dłużéj podróżować, nieskąpiąc pieniędzy.

Gdy wojewody niestało, poszło coraz gorzéj a gorzéj, i trafiło się już, że konie, powozy i brylanty na karty stawiono, zadłużano się, po miastach zatrzymywali za summy nieopłacone,— a co było awantur z kobiétami, z mniszkami, z mieszczankami różnego kalibru, tego i na wołowéjby skórze niespisał. Jak się raz tak puściło, niebyło już rady, ani powstrzymania; panicz trafił na dwór Francuzki i tam się dorznął. Panowało tam, słyszę, takie powietrze naówczas, że i aniołaby popsuło gdyby zawczasu nieuciekł, a co dopiéro panicza, który i tak miał żyłkę do rozpusty... A że był urodziwy, silny, młody, dobrze urodzony, kolligat i pan całą gębą, jak go tam pochwyciła ta sodomija, tak w niéj ugrzązł.

Co się tam działo, tego ja opowiedzieć niepotrafię; ale bywało, kiedy stary pan, nieboszczyka naszego ostatniego ojciec, zacznie o tém pocichu opowiadać, włosy na głowie powstają i zrozumieć nawet niemożna... Jakąś tam jejmość xiężnę Francuzką pobałamucił, i wykradłszy ją, uciekł z nią do Hiszpanii. Mąż poszedł w pogoń za nimi, ten go w pojedynku zabił, a tandem na trzeciej stacyi i z tą kortezanką powaśniwszy się zaraz, porzucił ją. Xiężna wróciła do Francyi, a on że się już był wybrał do Hiszpanii, pojechał daléj dla ciekawości. I nim dojechał do stolicy, po drodze

nadokazywał co wlazło. Gdzieś znowu z klasztoru piętnastoletnią dziewczynę porwał, dwóch braci jéj okaleczył, zgrał się, potém zamek jakiś w kości wygrał, i Pan Bóg święty wie co więcéj, bo ja tego spamiętać nieumiem. Dosyć, że rok się tak wałęsał po tym kraju awanturując, Niemca swojego zbywszy się, bo go gdzieś za słówko nieostróżne do drzewa przywiązanego porzucił miodem twarz posmarowawszy, aby go lepiéj muchy jadły. — A taki był szczęśliwy w tych swoich szaleństwach, że mu się wszystko udawało: porywał się z jedną szpadą na całe bandy mulników i rabusiów i wychodził cało, bił się i guza nie dostał, golał i zgrywał się, a potém zaraz w trójnasób odzyskiwał co stracił. Dosyć, że to niesłychane szczęscie tak go opętało, że już począł ze wszystkiego się śmiać, nawet z Pana Boga... i żadnéj wiary niemiał.

Tak się tedy włócząc po świecie, zajechał niewiem już do jakiego miasta w téj Hiszpanii; a że był przytém wszystkiém człowiek ciekawy i dobréj głowy, nigdzie nieminął miejsca żadnego, żeby osobliwości jego nieobejrzał,— i tu jakoś się przydarzyło, że go do katedry zaprowadzono.

Mnich go jakiś tam wiódł, pokazując mu różne malatury i posągi, jakich tam, słyszę, pełno, bo to oni te sztuki najlepiéj umieją; a wojewodzic znał się na tém dobrze i smakował w malarzach — zwyczajnie, przez lekkość dziecinną. Różne tam jakieś dziwowiska oglądając, krucyfixy misterne, tablatury, ołtarze, przyszli z owym mnichem do obrazu osobliwego, wystawującego pogrzeb taki właśnie, jak tu jest na górze, w którym w trumnie i za trumną jakoby jeden jedzie człowiek. Ujrzawszy to spytał wojewodzic, coby znaczyło? a mnich w dobréj wierze począł mu opowiadać jako to był jeden rozpustnik wielki i zbytnik straszny, który Bóg wie ila niewiast nieszczęścia stał się przy-

czyną, że grał, pił i hulał niegodnie życiem szafując, aż jednego razu, gdy z jakiéjś uczty nocą powracał, wjeżdżając do miasta spotkał pogrzeb...

„Śmiejąc się tedy i śpiewając piosnkę świecką,—mówił mu mnich—wjechał konno przebiwszy tłum aż do saméj trumny, którą tam wieziono zwyczajem kraju tego odkrytą,—i gdy już miał szydersko nieboszczykowi się pokłonić, patrzy... i siebie samego zobaczył leżącego na wozie... Z tego powodu zaraz jęła serce jego skrucha, i widząc w tém łaskawą przestrogę Bożą, wstąpił potém do klasztoru, gdzie bogobojnie umarł."

Kiedy mnich tę historyę opowiadał wojewodzicowi, ten, choć to było w kościele—tak się począł głośno śmiać za boki się trzymając, że aż wszyscy co się podówczas tam znajdowali, zgorszeni zostali. Xiądz ów porzucił go zaraz, a wojewodzic unikając tumultu, bo lud bardzo nań koso zaczął patrzać, drapnął z klasztoru, a niebawem z gospody i miasta, bo się zbierali ukamienować go jak heretyka.

Zdarzenie to poszło tak w niepamięć jak wiele innych; aż nasz panicz w końcu nabroiwszy dobrze, gdy się grosza przebrało, matka umarła, a z domu dla nieładu niedosyłano już pieniędzy, musiał powrócić do kraju, którym się brzydził.

Już tedy powróciwszy na ten oto zamek, nikogo niezastał z tych, których w nim porzucił, ani ojca, ani matki, ani braci, ani siostr, wszyscy byli pomarli. Stryjowie zaś, których on niecierpiał, zaczynali się do spadku dowiadywać powoli, gdy się im zjawił niespodziewanie.

Ale w myśli miał jeno przybyć, pokręcić się, posprzedawać co było można, grosza zebrać i odjechać: bo takiéj hulanki jaka tam po innych krajach się wiodła, u nas się

niepraktykowało i po największych miastach. Jużci młodość poszalała, podurzyła się, niejeden cóś przeskrobał, ale wprędce każdy w karby wchodził, a miecz i zbroja, koń i wojaczka wprędce głupstwo z głowy wybiły — niebyło czasu na perebendye...

Wojewodzic wjechawszy, tu zaraz się poczuł jakby do klasztoru wpadł, co spójrzy to twarze surowe, słowa poważne, a fertycznych owych jéjmościanek ani zajrzeć, i od kobiét wara... chyba przez drzwi kościelne — o złém i pomyśleć niedają. Raz, drugi, sprobował po Francuzku, ale jak mu kości z Polska pogruchotano a odleżał Ruski miesiąc, ochota odpadła i od cudzego i od szermierki. W kości też niebyło z kim grać, musiał pilnować przyzwoitości, a ozwał się co przeciwko honorowi Bożemu, lub świętych jego, to nań szlachta z szablami leciała i pozywali go zaraz o kryminał.

Niebyło tedy sposobu, rad się był jednéj godziny uwolnić, począł dobra sprzedawać, grosz zbierać i pakować do drogi; ale na klucz tutejszy i zamczysko kupca niebyło, a pieniądz z innych dóbr, który zachwycił, zaraz posiał między ludzi, bo z sobą był przywiózł takich doskonałych majstrów z zagranicy, że ani się postrzegł jak mu kieszenie oczyszczali. W końcu, gdy do podróży już się gotował, a klucza tego sprzedać niebyło można, postrzegł, że nic prawie niemiał, i Niemcy ci zaraz mu się powymykali do nor swoich zmykając... a on sam jeden pozostał.

Z téj nudy i aprehencyi, począł bałamucić jakąś wdowę, niby udając jakoby się z nią chciał żenić; ta go nieodepchnęła, ten ze zmęczenia i utrudzenią przylgnął. Znowu tedy historya dawna, krewni się dowąchali i gdy wojewodzic do Krakowa uciekł, ci w pogoń za nim poszedłszy w drodze już nie na szable wyzwali, ale kijmi go

skrzywdzić chcieli. Musiał się w rozpaczy obraniać i dwóch tam pono rozpłatał, a wdowa w klasztorze umarła...

Że to byli jacyś familijanci, musiał potém co rychléj z kraju się wynosić. Po drodze niepodobna mu było minąć Krakowa, gdzie się ów klucz ostatni i zamek ostatni spodziewał przefrymarczyć; że zaś pilno mu było, porzuciwszy na ostatnim noclegu służbę i dwór, dla niepoznaki może, nocką już zbliżył się do miasta...

Jak bywało pocznie stary nasz, ojciec nieboszczyka ostatniego pana opowiadać, to co ja tu mam panu mówić, włosy na głowie wstają a ciarki po skórze przechodzą, ale ja tak niepotrafię opisać tego.

Słuchaj-że no pan tylko, jak się stało. Wojewodzic zbliżył się konno do Krakowa, i minął już był Floryańską bramę, gdy w ulicy usłyszał bijącą u Panny Maryi północ... Noc była choć oczy wykól, ciemniuteńko, miasto puste, nigdzie światła w oknach, żywéj duszy w ulicy. Zdziwił się bardzo panicz, bo znał Kraków, że tam od rana do rana przez dzień i noc ciągle się jak w garnku gotuje....

Jak zaczęła bić północ, wybiło raz, dwa, trzy, cztéry powoli,— on liczy, a ono bije a bije bez końca,— co jedną dwunastkę skończy, to drugą zaczyna... Niewiedzieć dla czego ten głos wieżowego zegara przejął go jakąś trwogą, w tém na zawrócie blask postrzegł i widzi sunie pogrzeb przeciw niemu.

O téj godzinie nigdy ani exportacyi, ani pogrzebów nieodprawiają: tknęło go to, zdziwił się, ale rad był, że ludzi spotkał, i wcisnął się w tłum, który go z sobą pociągnął, bo takie szły gromady, że ich przebić, niebyło podobna. Z razu niewidział nic tylko kaptury ponasuwane na

twarze i kapników, ale mijając daléj, gdy jednemu i drugiemu zajrzał w twarz, pobladł...

Szli to wszystko ludzie nieprości, ale ci oto, których tu pan widzisz w trumnach: dziadowie, pradziadowie, prababki wojewodzica, zdawna pomarli, których znał przecię z obrazów, tak żywo do malatur podobni, jakby ich z nich pozdejmował... Wojewodzic od razu zdrętwiał. Z początku myślał, że mu się w oczach dwoi; ale co się mocniéj przyglądał, to wyraźniéj widział, że szeregiem i lat koleją, począwszy od piérwszego protoplasty, byli to wszystko jego rodzeni...

Szli tedy i płakali, modląc się i bijąc w piersi, a głośno odmawiając pacierze za duszę Żegoty...

Przesuwał się w pośród nich wojewodzic, chcąc minąć to przykre widzenie, daléj a daléj, aż doszedł tak do ojca i matki swoich, idących tuż za trumną wiezioną na wysokim wozie i płaczących tak gorzko, tak okrutnie, jęczących tak boleśnie, że się ich głos aż w zatwardziałéj duszy jego odezwał.

W tém kiedy rzuci okiem na trumnę odkrytą, zobaczył w niéj siebie jak stał, w tém samém odzieniu, leżącego na marach ze złożonemi rękami. Już mu tedy ochota od śmiechu i żartu cale odeszła, i zimnym potem oblany, ledwie żyw jechał za swoją trumną, nic niesłysząc, jeno narzekania rodzicielskie, jedną tylko wielką modlitwę za duszę swoję... a bał się nawet obejrzeć po za siebie, bo nie śmiał drugi raz spotkać wejrzenia ojca i matki, których się w dzieciństwie powstydził, — wielka boleść ogarnęła serce jego, skostniał cały.

Powiadają, że ten pochód trwał tak długo, iż wojewodzicowi czarny włos przez ten czas posiwiał na skroni.

zbielał, i więcéj w tych godzinach postarzał, niżeli przez dziesięć lat rozpusty i zbytków...

Pochód żałobny przeszedł przez całe miasto, wysunął się aż w pola puste, daleko, a wojewodzic ściśnięty w tłumie niewiedząc co czyni, jechał za trumną niemogąc się ani cofnąć, ani obejrzeć. Zajechali tak aż do kościołka i klasztoru Kamedułów na Bielanach.

Zdala już świeciło we wszystkich oknach jego, i widać było wychodzącą ze światłami naprzeciw nieboszczyka processyę. Wkrótce ukazali się xięża, ale sami nieboszczycy— bo nogami niedotykali ziemi, a szli w powietrzu opromienieni, a w rękach trzymali nie pochodnie lub gromnice, ale płonące serca cierniem owite. Na czele ich leciał św. Romuald, starzec siwobrody w pustelniczéj sukni.

Niewiedział Żegota jak się dostał do kościołka, jak zlazł z konia, a gdy ukląkł na zimnym marmurze posadzki, pochylił się na grobowe kamienie i omdlał.

Gdy nazajutrz oczy otworzył, znalazł się w rękach xięży, którzy go trzeźwili i cucili, ale obudził się cale innym człowiekiem.,.

Wczorajszego widzenia pamięć tylko jakby snu rozwianego blaskiem słonecznym została; wiedział, że nocą dobił się do drzwi kościelnych, i na katafalku w pośrodku ujrzał trumnę próżną do jutrzejszego zgotowaną nabożeństwa...

I więcéj ztąd już niewyszedł:—widzenie nocne poruszyło go do głębi, zmieniło w gruncie i nawróciło duszę jego ku Bogu; — nazajutrz wstąpił do nowicyatu, oblókł suknię zakonną i w niéj rok przebywszy w anniwersarz owego widzenia, życia w skrusze i pokucie dokonał. Mówią, że u łoża miał jeszcze widzenie jedno całéj swéj świętéj rodziny, witającéj go z palmami i gorejącemi po-

chodniami w ręku, na progu nowego życia... mówił o niém przytomnemu kapłanowi, który go na śmierć przygotowywał.

Otoż cała owa historya wyrażona na obrazie,— dodał Piotr wstając,—ale myśmy się zagadali a tu się zrobiło tak ciemno i późno, że nam co prędzéj ztąd wychodzić już potrzeba....

Dopierośmy się postrzegli oba, że z podziemia przyjdzie wydobywać się omackiem, gdyż choć na dworze były jeszcze dnia ostatki, w lochu już ciemna noc panowała...

Z pomocą staruszka, który znał dobrze wejście i wschodki, dostaliśmy się przecię do górnego kościołka, przez którego wyszczerbioną ruinę wschodzący xiężyc rzucał smugi białawego światła, w fantastyczne ubierając go postacie.

— Chodźmy, chodźmy!— podchwycił biorąc mnie za rękę i ciągnąc prawie gwałtem Piotr— Żydzisko pewnie gdzieś nas pilnuje i śmiać się, będzie, że nas tu ta historya tak długo wstrzymała... a oto i noc!... I z zamku idąc do miasteczka, w bramie lub na dziurawéj grobli można gdzieś nogę nadwerężyć.

Opowiadaniem tém i widokiem zwalisk i cmentarnych zabytków upojony, znalazłem się wreszcie wyszedłszy za drzwiczki boczne kościołka w dziedzińcu,— i Piotr znikł mi jak widmo na zawrócie ścieżki nim się opatrzyłem, jak i gdzie się mógł podziać. Szukałem go, chcąc mu się za jego opowiadanie i pracę małym datkiem wywdzięczyć, gdy Żyd gospodarz z cygarem w ustach, stanął niespodzianie przede mną.

Można sobie wyobrazić łatwo, jak mi się wydał po tych obrazach, których głowę miałem pełną, pełne oczy i serce.

— Ależ się pan zabawił! — rzekł drwiąco — jeśli to zabawą nazwać można.

— Przepraszam jeślim pozwolenia nadużył, ale....

— A co to mnie szkodzi! — odparł ruszając ramionami, — istotnie ruina to niebrzydka... sprowadzić nawet myślę malarza, żeby mi ją wymalował nim runie... Takich zwalisk i nad Renem mało... możnaby ją za biletami pokazywać? hę?

I uśmiéchnął się.

— Gdyby w niéj niebyło fabryki! — rzekłem niemogąc się powstrzymać — bo juściż niepowiesz pan, żeby warsztaty dodawały wdzięku.

Starozakonny splunął zżymając się pogardliwie.

— Gdyby w niéj niebyło fabryki, — odpowiedział chłodno — tobym ją dawno rozebrał i sprzedał na cegłę, bo do czego ten stary grat się przydał?... bajki tylko i bałamuctwa się w nim gnieżdżą!!

Skłoniliśmy się sobie zdaleka, i wzdychając wysunąłem się z zamku, a na usta mimowolnie przyszły wyrazy grobowe....

„Pulvis et umbra!"

d. 20 maja 1856 r.
Romanów Podlaski.

OD MERECZA DO KOWNA.

GAWĘDA PUSTELNIKA,

PRZEZ

STANISŁAWA MORAWSKIEGO.

V.

NIECZUJKI.

Kiedy znudzony piaskami Merecza, rozżalony zupełnym upadkiem obdartéj z dachów i rozerwanéj na poły Olity, ku Puniom się przybliżałeś; na parę staj od miasteczka, ujrzałbyś przed dwódziestą jeszcze laty, jakby jaką oazę. Ujrzałbyś wesoły, schludny, kształtny, z niezwykłem tutaj staraniem utrzymany— dwupiętrowy pałacyk, który piękne, cieniste okolały drzewa, maskując tą sztucznie urządzoną zasłoną, wszystkie do życia wiejskiego potrzebne mniéj poetyczne domówstwa. Tuż obok, w kilku ładnych i wytwornych klombach, i po bujną murawą okrytych łączkach, mnóztwo i białych, i zwyczajnych zawsze bawiło się pawiów.

Pałacyk wzniesiony nad brzegiem Niemna, śliczne i z téj i z drugiéj strony rzeki odkrywał widoki.

Przed dwudziestą jeszcze laty, wszystko tu żyło życiem wesołém, a co najwięcej poczciwém,—ale odrębném

Wszystko tu na sobie nosiło cechę, pobratymczéj wprawdzie, patryarchalnéj, ale w oczy bijącéj obczyzny. Był to pałacyk Ruskiego pana.

To śliczne wiejskie mieszkanie, zwało się *Nieczujki*. Dzisiaj już tutaj same ruiny... Za lat parę, już nawet i śladu Nieczujek niebędzie... Niechajże ślad poczciwego i zacnego człowieka, dawnego ich pana, na téj mojéj karcie przynajmniéj zostanie.

Alexander Michajłowicz Kochowski jenerał Rossyjski, rodem był ze Smoleńskich okolic. Posiadał tam dobra 1200 dusz liczące; a był starszym przyrodnim bratem sławnego Jermołowa. Kochowski, za Katarzyny jeszcze, zaczął był swój zawód wojskowy; i w nim daleko postąpił. Dziwny to był czas dla Rossyi, ten wiek Katarzyny! Nikt dzisiaj o nim niemówi; owszem, umyślnie każdy jakoś mówić się strzeże. Dzisiaj wszędzie i we wszystkiém, świeci tylko Piotr Wielki i jego okres... Może dla tego o téj niepospolitéj kobiecie tak obecni milczą, że za jéj życia tyle o niéj mówiono. Ale koléj i na nię znów przyjdzie: bo mówić jest oczém Śród ciemnoty zdarzali się często za jéj rządów ludzie, niespodziewanie i sami przez się wzniesieni nad poziom, posiadający wielką i głęboką naukę, wielkie przyrodzone zdolności. Zdarzali się ledwie nie co moment ludzie, posiadający wielki polor społeczny, wielką nieskazitelną cnotę. Kochowski był właśnie jednym z tych rzadkich, odznaczających się samorodną a wyższą cnotą, Rossyjskich ludzi. Młody jeszcze, miał już w 1797 roku stopień jenerał-majora. To, jeśli niewięcéj, dowodzi przynajmniéj znakomitości i wpływu rodu jego u dworu. Zwyczaj był bowiem podówczas zapisywać tylko co urodzonego syna i sobie właściwém, niepodobném zgoła do życia Litwy.

do wojska, jak skoro ojciec jego dobre u góry miał plecy. Życie takowego niemowlęcia w pieluchach liczyło mu się za rzeczywistą służbę wojskową. I nieraz, wychodzący z pod szkolnéj rózgi siedemnastoletni młodzieniec, tak był już starym i doświadczonym żołnierzem, i tyle w saméj rzeczy liczył lat służby, że się, sam niewiedząc jak to *półkownikiem*, to czasem nawet *jenerałem* zobaczył. W Prusiech, u Fryderyka Wielkiego, o téj saméj porze szło wbrew przeciwnie— sześćdziesiątletni starzec jeszcze *porucznikiem* bywał; a rzadko się kto, służąc i przez całe życie dla tronu krew' lejąc, dosłużył—stopnia *majora!*

Kochowski, w randze jenerała, był świadkiem koronacyi cesarza Pawła.— Cesarz Paweł, jak wiém od tych, co z nim w blizkich, codziennych zostawali stosunkach, był człowiek najlepszego a nawet miękkiego serca i do urojenia posuniętéj cnoty; przepełniony uczuciami rycerskiego honoru, pełen prawdziwie monarszéj wspaniałości, szczodroty, a nawet w stanie zwyczajnym umysłu swojego, kiedy go nic niedrażniło gwałtownie, pełen czystéj i zdrowéj logiki.

Rozum Francuzki, bezwzględnie dawał wtedy ton całéj Europie. Uczeni Rossyjscy, ze świeżém sercem i *dobrą wiarą*, przyjęli i wessali w siebie Francuzkich mędrców nauki. Zbliżały się one na oko do szorstkich, czerstwych, ale poczciwych cnot republikańskich, z czerstwością i szorstkością nieobrobionego jeszcze narodu, w pewnym stopniu i względzie niejako pokrewnych. Szczerze tedy—przez samych mistrzów przyjęte i szczerze ledwie że nie od kolebki młodemu xięciu przez nich wpojone zasady, podniosły w nim jeszcze wyżéj wrodzone poetyczne o cnocie ludzkiéj marzenia;— i zrobiły z niego jakiegoś nieskażonego bajecznych czasów rycerza, trzymanego

pod złotym kluczem złego czarnoxiężnika, czekającego na to, aż mu nakoniec dobry genijusz jaki te żelazne pęta pokruszy, te lane z ołowiu bramy otworzy.

Historya powiedziała wiele i więcéj jeszcze powie o tym cesarzu. Nasze dzieje minąć go niemogą, i opisać go muszą, jako wspaniałego i szlachetnego oswobodziciela Kościuszki. Wiele jest o nim bardzo, z ust do ust tylko chodzących powiastek. Załączę z nich tutaj parę mniéj wiadomych, a słyszanych od osób, które mu do ostatniéj godziny wiernemi dotrwały, które w kilkadziesiąt jeszcze lat po jego zgonie, w oczach moich, ze łzami wdzięczności wspominały o nim, choć im i następne panowanie niechęcią czuć się niedało. Znam to dobrze, że treść tych powiastek, ani na samego człowieka, ani na jego majestat, ani na epokę nawet jego, do żadnych wyższych nieposłuży poglądów. Najwięcéj będzie, jeśli rzucą promyk światła na charakter potężnego Słowian władacza. Był, naprzykład, sławny w Rossyi autor nazwiskiem Kapnist, który pomiędzy innemi, napisał powszechnie dziś znajomą, a podziśdzień wielbioną komedyę, pod tytułem ***Pieniactwo*** (Ябеда)(*). Wystawił on w niéj żywemi na swój czas rysami, i trafnie dobranym językiem, całe przekupstwo, zdzierstwo, matactwo i łotrowstwo urzędników Rossyjskich. Gdy ją dano na publicznéj scenie, uszczęśliwieni widzowie, czcząc na uczynku schwytaną naturę, ledwie nieskonali z radości. Cieszyli się ***hucznie***, jak się cieszą ludzie jeszcze w kluby dobrego wychowania nieujęci. Ale ***urzędnicy*** wszelkiego stopnia, zawstydzeni, jeśli to być mogło, takim wizerunkiem, krwawą w nim upatrując niecnoty swojéj obrazę, ledwie że niepękli od wściekłego gniewu. Natychmiast więc zrobił się spisek. Przed-

(*) Znana w tłómaczeniu Polskiém p. t. *Jabieda*. (*Przyp. Red.*)

stawiono cesarzowi, okropne niby przez Kapnista zrobione zgorszenie, i zgubne zuchwalstwem jego sprawione już skutki; wytknięto jawne dążenie do sponiewierania monarszéj władzy w najbliższych téj władzy organach,—i te twierdzenia całą górą kłamliwych najeżono zarzutów. Błagano zatém, jak o zbawienie państwa, o wzbronienie sztuki i o przykładne na czas potomny ukaranie złośliwego i źle krajowi życzącego autora. Paweł z razu uwierzył, kazał natychmiast wywieść Kapnista na Sybir. To było rano. Rozkaz co do joty w téjże chwili spełniono. Po południu, cesarz ochłonął, pomyślał, i zwątpił czy dobrze zrobił. Więc niezwierzając się z tego nikomu, rozkazał, aby na prywatnym jego teatrze w Ermitażu, sztukę tę przed nim samym tegoż wieczora grano. Wszedł Paweł na teatr, z synem tylko swoim Alexandrem. Żywéj duszy więcéj niebyło. Po piérwszym akcie, cesarz co moment klaskając w dłonie, wysłał piérwszego pod ręką będącego feldjegra aby natychmiast wrócić nazad Kapnista;— a wróconemu, dał odrazu rangę radcy stanu, przeskakując, nad przyjęty tu zwyczaj, niższych klass kilka, bo Kapnist był tylko wtedy assesorem kollegijalnym. Obdarzył go hojnie i łaską swoją do saméj śmierci zaszczycał.

Oficer jakiś, czy doprawdy, czy tylko pozornie zagniewał Pawła; cesarz pod sąd go oddał. Wyrok uprzedzonego już sądu odebrał mu stopnie i miejsce w służbie, a przytém wrócić mu kazał do *rodziny swojéj*, i tam ciągle pod dozorem policyi zamieszkać. Cesarz dekret potwierdził. Tymczasem, przy objawieniu go i spełnieniu, oficer oświadczył, że jest podrzutkiem, że w dzieciństwie opuszczony od rodziców, włóczyć się musiał o żebranym chlebie, że ani miejsca urodzenia swojego, ani rodziców, ani rodziny, nieznał nigdy i niezna, i że to co miał własnéj tylko

zasłudze i męztwu był winien. Jakże tedy wypełnić ukaz monarszy? Minister sprawiedliwości, wówczas prokuratorem państwa zwany, donosi o tém z największą nieśmiałością Pawłowi. Ten zawsze jeszcze gniewny na oficera, po chwili namysłu powiada: „Przebaczyć mu niemogę; ale „kiedy on niema miejsca zamieszkania, kiedy żadnéj nie„ma rodziny, i o to tylko idzie,—dać mu w Witebskiém „na wieczność majątek do trzechset dusz: niech tam sobie mieszka.“— Tym tedy sposobem, człowiek, co miał odnieść karę, odrazu pół-pankiem został.—

Lecz wróćmy już do Kochowskiego. Przywiązanie narodu do Katarzyny niedozwalało podówczas nikomu prawie ocenić stanu duszy jéj syna. Kochowski był jednym z tych ludzi, co się tylko wściekali na skutki, niechcąc zdawać sobie sprawy z przyczyny. Należał więc całém sercem, do téj partyi zażartych nieprzyjaciół Pawła; a raz przejąwszy się tém uczuciem, młody, śmiały, drażliwy, niedoświadczony, zuchwały, a przytém silnego ducha i prawego serca, niemógł się nakoniec z prześladowaniem niespotkać. Rzucił więc służbę,—i wróciwszy do dóbr swoich, zniechęcony do reszty, nietylko otwarcie na Pawła bluzgał, co mu ślina do ust przyniosła, nietylko że do siebie zapraszał i wzywał wszystkich, których prześladowały wyroki cesarskie; ale jeszcze i na domu swoim wystawił napis: „*Tu wykluczonym dają przytułek.*“

Zbiegło się więc do niego dużo takich ludzi, małych i wielkich. Żyli na jego koszcie. Jednym z nich był Mikołaj Nowosilcow. Słyszałem na własne uszy, jak sam Kochowskiemu przypominał, że oprócz wygod życia, niejedno mu był wtedy winien dolne odzienie.

Tak niesłychana w Rossyi zuchwałość, doszła rychło do wiadomości rządu. Zabrano Kochowskiemu natych-

miast majątek,—a zaszła pod ganek kibitka zawiozła go do Dünamündu, fortecy pod Rygą, zwanéj u nas pospolicie Dyamentem. Przesiedział tam nieborak lat kilka; osiwiał jak gołąb'. Ale zaszczycony łaską i względami komendanta fortecy, dostawał w swojéj niedoli xiążki do czytania. Dobrze już oświecony wprzódy, gruntowniejszych jeszcze nabył tam wiadomości,—co mu przyszło tém łatwiéj, że natura dwóma rzadkiemi wzbogaciła go była darami: zadziwiającą pamięcią i nadzwyczaj silnym, niczém niezmordowanym wzrokiem. Co raz przeczytał, jużeś mu tego i klinem z głowy niewybił. Czytane w dzieciństwie xiążki, w sześćdziesiątym roku życia, nietylko w treści, ale prawie co do słowa mógł wyrecytować. A kiedy chciał, o parę sążni od siebie, każdy druk czy pismo z łatwością czytał, tak jak gdyby je trzymał przed sobą. Po śmierci Pawła, kiedy się nowa era dla Rossyi odkryła, Alexander od tego rządy swoje zaczął, że wszystkich przez Pawła skazanych bez różnicy uwolnił. Kochowski uwolniony także, niemiał już do czego wracać. Dobra jego, darowane natychmiast po konfiskacie komu innemu, zaraz potém sprzedane, w czwartém już były ręku. Cesarz Alexander, dał mu dożywociem starostwo Puńskie. Tu tedy Kochowski pod samemi Puniami obrał nad Niemnem rozkoszne miejsce, które *Nieczujkami* nazwał; wystawił tam z drzewa pałacyk, gdzie długi czas mieszkał, a nawet umarł.

Pałacyk ten był dla nas typem wiejskich budowli Rossyan. Wychuchany, wycacany, śliczny. Budują oni, w okamgnieniu, tak, że sam sobie patrząc na to wiary niedajesz; a budują wyłącznie z okrąglaków, potém zewnątrz opierzają deskami, kitują i malują olejno,—wewnątrz gładzą ściany pociągając je płótnem, które naprzód z klejem

pobielą, a późniéj klejowemi farbami powleką. Tu zawsze dla szczurow i różnego robactwa obiecana ziemia; ale na oko to bardzo piękne, zgrabne, wytworne.

Kochowski był mąż niepospolitéj nauki, zdrowego zdania, poczciwéj i szlachetnéj duszy, prawego, czułego i miłosierdzia pełnego serca. Zwyczajem Rossyan, uprzejmy i w rzadkim sposobie gościnny, mnóztwo miał około siebie rezydentów i rezydentek, obowiązanych tylko jeść i pić smaczno i bawić się dobrze w domu jego. Co niedzielę, wszystko się z całéj okolicy Puńskiéj, po mszy śtéj do niego na obiad zjeżdżało; i to bez różnicy fortun i urodzenia, wszystko jednostajnie grzecznie i po-ludzku bywało przyjęte.

VI.

PUNIE.

Już więc minąłeś prawdziwie Słowiańskim obyczajem gościnne Nieczujki; jużeś się z żalem pożegnał z zacną pamięcią zacnego człowieka; jużeś naprzód kilkanaście nowych kroków ujechał. Znowu przed sobą widzisz jakąś lichą, okurzoną, ubogą wioskę. Znowu drewniany ubożuchny kościołek, i nad całą tą okolicą górujący, dla wszystkich o każdéj godzinie wiecznie dymiący się gościnny komin proboszcza. Daléj kilka mniejszych z cegły nad dachami wyrostków, udaje także gdzie-nie-gdzie kominy. Reszta, jak zwykle, wszędzie brudne, czarne— i okopcone chałupy!...

Jużbyś chciał znowu z uczuciem wzgardliwéj litości jak można najprędzéj objechać te śmiecia i błota,— ile, że ci się na około tutaj, tak wdzięcznie uśmiécha natura... i omylilbyś się na śmierć.

Stój tu, rodaku mój, przyjacielu mój! stój, każdy człowiecze, skoro tylko masz duszę! Zejdź tu z konia twego, uderz tu czołem, zegnij ze czcią kolana; weź z sobą garstkę téj świętéj ziemi, i zostaw ją dzieciom i wnukom twoim, na wieczną wielkiéj cnoty pamiątkę, na błogosławieństwo krwi twojéj! Mało miejsc takich w świecie..... To nasz Litewski Sagunt, Numancya nasza,— ***Punie!...***

Krzyżacy, pod wielkim mistrzem Teodorykiem z Altenburga, Hennenbergiem, i innymi panami, plondrując Litwę w 1336 roku, oblegli Punie. Było to wówczas miasto zamożne i ludne, wałami w około obwarowane, i zamkiem obronnym z muru wzniesionym silne. Oblegający i oblężeni, długo w równie zawziętym trwali uporze. Wszelkie Krzyżackiéj chytrości wysiłki rozbijały się zawsze o nieugięte, żelazne męztwo nieustraszonych Punian. O! krwi Niemieckiéj wszędzie tu zostało. Ale nareszcie, do ostatniéj przywiedzieni rozpaczy, umęczeni trudami, ranami, chorobą i głodem, kiedy się już żadnéj znikąd spodziewać niemogli odsieczy, kiedy już wszelką stracili nadzieję Punianie, raptem upartą przerwali obronę.

Spragnione krwi, a chciwe łupieztwa wrogi, ze wściekłą radością włamują się nakoniec do miasta, wrywają się przez wysadzone bezbronnego już zamku bramy,—a dreszcz przerażenia i zgrozy, włos na głowie dębem najeżył. Jednomyślny krzyk podziwu zbestwionego żołdactwa odbił się wielokrotnie o pogruchotane przez gwałt najezdników mury!...

Punianie niewidząc dla siebie żadnego ratunku, znieśli co najdroższego mieli ze sprzętów, na ułożone już wcześnie ku temu stosy; żony swoje i dzieci tuż zaraz na nich spalili; a sami siebie wzajemną, co do jednego męża, wymordowali dłonią!

I Niemiec, co się być mienił *rycerzem*, dla tego tylko, że był cały w żelazną zbroję zakuty, ze wstydem znalazł tu same popioły i groźne poległych *prawdziwych* rycerzy zwłoki! Świat widzieć tu będzie wiecznie trudny do naśladowania przykład szlachetnych dzielnego ludu w obronie ojczyzny poświęceń.

Puńie leżą nad samym Niemnem, na wzgórzu, pięknemi parowami przerżniętém. Zaraz tu i Puńka, rzeczka a raczéj potok, czasem w groźną zamieniający się rzekę, do Niemna wpada.

Są tu i po dzień dzisiejszy, jakieś ślady tego sławnego Puńskiego zamku,—ale już całkiem ziemią przykryte; a górę tę, na któréj kiedyś się wznosił zamek, lud starego błędu zwyczajem, *górą królowéj Bony* nazywa. Kiedy zniknął zupełnie ten gmach warowny? Nikt tutaj niewie. Niedawno jeszcze wół pod sochą zapadły odkrył od strony Niemna wielkie murowane arkady, zkąd potém lud tutejszy mnóztwo wielkiéj kwadratowéj cegły dobywać i wywozić na swoje potrzeby zaczął, tak dalece, że władza wejść w to i przeszkodzić grabieży była zmuszoną, chociażby dla tego tylko, aby się góra od północy do Niemna, od południa do Puńki nieosypywała. Nikt się dotąd tutaj w śledzienie fundamentów zamku Puńskiego niewdawał: chociaż rzecz, jak się zdaje, dosyć ciekawą nagrodę za tę piękną pracę obiecywaćby mogła.

Blizko tego zamku, *górnym* zwanego, podług podań Tatarów Trockich, miał być *niżéj zameczek* jakiegoś Tatarskiego carzyka, czy chana, który się od najazdów Niemieckich i Polskich pod skrzydłami Puńskiego męztwa ukrył i przytulił. Miejsce to i po dziś dzień *zameczkiem* się zowie. Często na niém wyorzą to kamień, to cegłę; cza-

sem też te cegły, i same ztąd do Niemna się posypią. Dziś tutaj *proboszcza warzywne ogrody.*

W jednéj z map plebanii Puńskiéj, w r. 1764 przez komornika Dołwnara wykonanéj, na miejscu, gdzie kiedyś stał zamek górny, narysowane są jego ruiny. Czy to prosty mierniczego wymysł? czy jeszcze może podówczas dochowała się była w Puniach jakaś pamiątka, jakiś rysunek ruin tego gmachu? z pewnością twierdzić niemożna. Podobniéj, że to tylko z głowy, to jest z własnego natchnienia, narysował Dołwnar.

Punie, jakkolwiek się chełpią że kiedyś miały sobie nadane Magdeburskie prawa, ratusz i akta, zawsze jednak były chlebem dobrze zasłużonych; *panis bene merentium*— jak wtedy mówiono, chociaż się kto był i nie *tak bardzo* dobrze ojczyźnie zasłużył.

Paweł xiążę Olszański, biskup Łucki za Zygmunta Starego, Jan Zabrzeziński wojewoda Trocki, Bryndzynaccy, Pocieje, Sapiehowie, kolejno je posiadali;—Michał Brzostowski którego żona, Barbara pod nazwiskiem *starościnéj Puńskiéj* za naszych już czasów powszechnie znajoma, sławną była z nadzwyczajnych, a przez ośmdziesiąt lat wieku zawsze równie gwałtownych miłośnych pochopów, był ostatnim za dawnego rządu Puńskim starostą. Po Brzostowskim, jakem już wyżéj mówiąc o Nieczujkach powiedział, cesarz Alexander, jenerałowi Kochowskiemu dożywociem to starostwo nadał; a cesarz Mikołaj synowi jego jeszcze na lat dwanaście posiadanie Puń przedłużył.

Ziemia jak wszędzie tutaj, skoro tylko nieco opodal od Niemna, dobra; obszary gruntów niemałe.

Kościoł Puński, do dawnych należy. Mówią, że go takim jak jest, wystawiła *ex voto*, jakaś Polska chorągiew' w 1688 roku. Ale że był daleko dawniejszy, to

się z nadania w 1503 r. przez Alexandra króla wykrywa, gdzie powiedziano wyraźnie: „Ecclesiam Parochia„lem in oppido Punie, quae privilegio ab antecessoribus „nostris sibi dato negligentia suorum rectorum est orba„ta," etc.

W 1533 roku król Zygmunt I., w 1534 wielu mieszkańców z Puń samych i okoliczna szlachta tutejsza, znacznie fundusze tego kościoła zwiększyli. Niemało się do uposażenia go przyłożyli i proboszczowie Puńscy, a między innymi jeszcze w 1699 roku xiądz Jan Falkowski kanonik Smoleński, i dziekan Trocki. Tym sposobem do probóstwa tego należało, aż do reformy za naszych czasow kilka folwarków, które razem wzięte do 27,000 złt. Pol. czyniły rocznego dochodu.

Od nadto już obszernéj parafii Puńskiéj, oderwaną cząstkę w 1786 roku zamieniono na Niemoniuńską parafiję, dla któréj kościoł drewniany wystawiła własnym swoim kosztem Krystyna z Rahozow Kaczanowska starościna Powierzchniańska. Filija w Butrymańcach, dotąd jeszcze do Puńskiego plebana należy. Dziwu zatém niéma, że się o tak dochodne probóstwo starali zazwyczaj zasłużeni i możniejsi członkowie kapituły Wileńskiéj, którzy trzymając tu wikaryuszów, sami w Wilnie, albo gdzie indziej mieszkali. W ogólności Punie, pomiędzy duchownymi pasterzami swoimi liczyły zawsze znamienitszych ludzi.

Jednym z nich, bez żadnéj wątpliwości, był xiądz Jerzy Huszcza, kanonik Kijowski a potém Wileński, świętej teologii, obojga praw i sztuk wyzwolonych doktor, mąż wielkiéj cnoty, świątobliwości, nauki. Ten, ***sam tu mieszkał;*** szkółkę o kilku klassach założył; sam szlachtę i włościan uczył; znajomość ziół i lekarstw pomiędzy ludem

rozsiewał; i w każdym kroku swoim, ***jak prawdziwy sługa Boży,*** o rozszerzenie moralności, o rozkrzewienie nauki i światła, wielce był dbały. Widziałem, za najpiérwszéj mojéj młodości uczniów, co wyszli ze szkoły jego, wtedy zgrzybiałych już starców, ludzi, co i po-Łacinie jak rzepę gryźli i dalipan więcéj przez jednego xiędza Huszczę umieli, niż tylu innych, przy dzisiejszych gimnazyach i publicznych szkołach. A każdy z nich o Huszczy z najwyższém uszanowaniem, i uwielbieniem, jak o ojcu, jak o prawdziwie chrześcijańskim mistrzu, jak o świętym człowieku wspominał. Cześć i wieczna sława, niech będzie jego pamięci! On to objąwszy rządy plebanii Puńskiéj w r. 1747, walący się kościoł podmurowaniem opatrzył, we wszystkiém jak jest ozdobił, ołtarze nowe wystawił, konfessyonały, ambonę, chrzcielnicę, organy i sklepy kosztem swoim sporządził. Nieliczę już saméj plebanii, o staroświeckim, łamanym dachu, i mnóztwa innych gospodarskich budowli, któremi się miejscu temu przysłużył. Biblijotekę znaczną, szczególniéj pięknym zbiorem wszystkich ojców kościoła świętego bogatą, także plebanii Puńskiéj zapisał; ale cóż! kiedy ją następcy jego roztrwonili do szczętu, tak, że dzisiejszy pleban, dawniéj ś. p. Kłągiewicza biskupa Wileńskiego sekretarz, x. Wincenty ***Jezierski*** dziekan Nadniemeński, obejmując to miejsce przed laty dwódziestą, ani jednéj już xiążki tutaj niezastał. To dziwna, że w sklepie pod wielkim ołtarzem, złożone zwłoki x. Huszczy, zmarłego w 1776 roku, żadnemu nieuległy zepsuciu— i twarz, oprócz cząstki nosa, i ubiór całe są, wówczas kiedy obok niego leżący, a we dwadzieścia lat potém zmarły jego następca, x. Dołwnar kanonik Smoleński i dziekan Trocki, a kiedyś na sejm Grodzieński deputat, już się w zupełne prochy rozsypał.

Xiądz Huszcza, roślinę nad błotami i wodami chętnie rosnącą, ***Lythrum salicaria*** zwaną, wszystkim tu w swoim czasie na około, ***zapewnie od wścieklizny***, jako lekarstwo polecał; korzeń jéj suszony, w proszku z wodą zmięszany, z zupełną wiarą w takim razie dawał. Sok zaś z ***Poligonum persicaria***, ziela ciągle będącego u nas pod ręką, na zgubienie robaków gnieżdżących się w ranach zwierząt domowych, na własném opierając się doświadczeniu, bardzo zachwalał.

W Puniach zdarzył się kiedyś jeden z tych smutnych wypadków, które na długo u ludu naszego popierały i utwierdziły przesąd, że Żydzi do Wielkanocnych obrządków swoich potrzebują koniecznie krwi chrześcijańskiego dziecięcia, i że na ten cel złapane dzieci mordują i męczą.

Oto, co w Żywotach świętych Skargi, mówi o tém ***obrok duchowny:***

„Toż uczynili niewierni Żydzi za czasow naszych, „w wielkiém xięztwie Litewskiém, bardzo znacznie i ja„wnie, roku Pańskiego 1574, po śmierci Króla Zygmun„ta - Augusta, w osieroceniu królestwa tego. Jest mia„steczko w Litwie Punie, dwanaście mil od Wilna, nad „rzeką Niemnem. Tam, Żyd niejaki, Joachim Smerlowicz, „arendował browar w jednym domu, w którym też mie„szkała niejaka wdowa Urszula z Lublina, żona niegdy „Sebastyana Tworowskiego, z powiatu Piotrkowskiego; ta „miała córeczkę piękną w siedmiu leciech, Elżbietę. Żyd „on, od innych Litewskich Żydow jak mniemano namó„wiony, umyślił zarznąć, i krew' z owéj dzieweczki na „tajemnice nabożeństwa swego przeklętego, na Wielkanoc „Żydowską wytoczyć. A mając dwóch sług Chrześcijan „grubych, i tych, którzy o Panu Bogu niewiedzieli, upa„trzywszy czas we wtorek przed Kwietną niedzielą, po

„obiedzie, gdy matka wyszła do sąsiadów, a samo dzie-
„cię zostało w domu, mając zmowę z sługą jednym prze-
„kupionym, a drugiego postawiwszy na straży, wbiegł
„w dom on przeklęty Żyd Joachim. Dzieweczka iż go
„znała, nic się niezlękła, rączkę mu podała, a on ją jako
„okrutny wilk, porwał i tamże w izbie ustka jéj za-
„wiązawszy, położył ją na worze żyta, który tam stał,—
„i dobywszy noża, kat okrutny, rzezał szyję niewinnéj dzie-
„weczki w tyle, i potém w koło krew' z niéj w garniec na
„to nagotowany, jako z gęsi wytaczając. Wtém, panien-
„ka, długo się w ręku mężobójskiém jako jakie kurczę
„męcząc się skonała. Sprawiwszy djabelską robotę, z bo-
„jaźni Żyd on i ciała niekryjąc, ale go na oném miejscu
„odbiegając schował krew' w wór mąki, i na wozie zgoto-
„wanym bieżał do rzeki Niemna, i uciekł do Balwierzy-
„szek, miasteczka drugiego. Z drugiéj strony Niemna, cze-
„kał go syn jego, któremu on wor ze krwią oddał i prę-
„dko z nią niewiedzieć gdzie uszedł. Matka się wróciwszy
„do domu, i ujrzawszy córkę swoję zamordowaną, zwoła-
„ła na to wszystko miasteczko, a suspicyę na Żyda mając,
„szukać go kazała. Gnał go podstarości i dogoniwszy go
„w Balbierzyszkach, pojmał i osadził razem z onymi dwó-
„ma sługami.— Przedsię onego złoczyństwa niemogli się
„wyprzeć, ale jednak potém Żyd na porękę puszczony
„włosu z głowy niestracił. Biegała smutna matka wdowa,
„żebrząc sprawiedliwości na sejmie, który był tego roku
„w Wilnie, i na innych sejmikach. Wiedzieli o tak okru-
„tném morderstwie wszyscy panowie; ciało dzieweczki
„onéj do Wilna przywiezione i przed panami stawione by-
„ło. Patrzał kto chciał na onę szyję rzezaną i podziśdzień
„w Wilnie, w kościołku Krzyża św. przy dworze biskupim
„leży. Wszakże to wszystko niepomogło, aby byli tacy

„złoczyńcy karani, acz się o to niektórzy przyczyniali. „Ale iż ta rzecz bez karania uszła, boję się, aby Pan Bóg „za to przy innych grzechach, karania swego na wiele lu- „dzi w téj ziemi nierozciągał"—i t. d.

Xiądz Gaudenty Pikulski, konwentu oo. Bernardynów Lwowskich teolog, przed stu laty, w dziele swojém pod tytułem: *„Złość Żydowska"*, z powodu dysput Talmudystów z kontra-Talmudystami, w archikatedrze Lwowskiéj odbywanych, wydaném, między innemi powiada:

.... „Jedną im, Talmudystom, tylko sprawkę przed oczy przełożę, ażeby się w niéj jak w źwierciadle przeglądali, prawnie u sądu dowiedzioną roku 1753 w Żytomierzu, któréj się żadnym sposobem zaprzeć niemogą. Tego roku 1753 w sam Wielki Piątek, złapawszy dziecię półczwarta roku mające, imieniem Stefana Studzieńskiego, syna Adama i Ewy Studzieńskich, w Wielką Sobotę po sabbacie zgromadzeni Talmudystowie okrutnie go zamordowali, z każdéj żyły i junktury krew' wypuszczając przez kłócie. Gdy się sąd o tém dowiedział, kazał złapać zabójców, i po uczynionéj pilnie inkwizycyi, przez dekret, z jedenastu Żydów żywcem pasy darto, a potém ćwiertowano. Trzynastu chrzest ś-ty przyjąwszy ścięci byli; jeden z nich mniéj winny, dla świadectwa innym Talmudystom przy życiu zachowany został, chrzest ś-ty przyjąwszy.... Kładę wam tu umyślnie wyrażoną figurę tego zamordowanego dziecięcia, ażebyście sobie złość waszę przypominali! Wiem ja, co wy Talmudystowie odpowiadać będziecie, mówiąc: że to ***hultaje uczynili!*** ale ta odpowiedź, ani godna ucha rozumnego. Azaliż był hultaj Kiwa, arendarz z Pawołoczy, któregoście wy sami między sobą szanowali? Hultaj że to był rabin i inni, piérwsze czoło synagogi waszéj Kijowskiéj?"... i t. d. Oddawna ludzie rozsądni i światli,

przeczą stanowczo podobnym zarzutom, i mają to za czysty wymysł, potwarz i bajkę. Żydzi się na samą myśl o tém wzdrygają. Powszechne atoli przekonanie i wiara ludu zawsze mieć muszą w sobie jakąś zasadę.

Nie w jednych Puniach lub Żytomierzu, jak świadczą dzieje, bywały takie zdarzenia, a często odkrywane takich nieszczęsnych dziatek i u nas i w obcych krajach nagrobki, za słusznym w téj mierze sądem mówić się zdają. Można się było *czasem* spółczesnym w sądzie o tém pomylić; ale mylać się *zawsze*, w tejże saméj rzeczy, było niepodobieństwem. Tymczasem, wiadomo, że kilka sekt *Chrześcijańskich*, w drugim wieku ery naszéj, kiedy dogmata tak silnie zajmowały wszystkie umysły i najlepsze przewracały głowy, z teologiczno-filozoficznych marzeń swoich wyciągnęły dla siebie ten gruby błąd, w postać jakiéjś prawdy odziany: że nic już niewinniejszego być na świecie niemoże nad Chrześcijańskie dziecię, chrztem świętym z pierworodnego grzechu obmyte, a własnego jeszcze popełnić niezdolne. Ztąd poszło, że krew takiego dziecięcia, miała być właśnie krwią niewinnego paschalnego baranka. Tak, sektarze *Cataphryges*, *Papuziani*, *Artotyristae*, w swoim czasie zwani, z zagorzałéj wiary w swe brednie, z fanatyzmu szczerego, męczyli wówczas i mordowali dzieci na paschę, jak się o tém z pism Ojców świętych przekonać można (*). Pomiędzy Żydami, którzy ciągle, nałogowie, nad subtelnościami i wy-

(*) Sekty te dzieliły się jeszcze na rozmaite odcienia. Niektóre z nich do celu swojego używały dziecięcia rok tylko mającego. Nieodbierano mu życia, ale koląc je po całém ciele szpilkami, krew z niego kroplami sączono, i tę potém z Eucharystyą mięszano. Jeżeli dziecię z takiéj czynności umarło — czczono je jak męczennika.

znania i xiąg swoich studują, i wszyscy bez żadnego prawie wyjątku piśmienni, są Żydzi uczeni po-swojemu, *naucznymi* u nas powszechnie zwani, którzy wyłącznie abstrakcyami przez całe życie swoje zajęci tak dalece, że doprawdy dla życia potocznego i zwyczajnego najzupełniéj głupieją, ustawicznie wpadać muszą i mogą w najlepszéj wierze we wszystkie urojenia, spaczenia i błędy, do jakich tylko umysł ludzki, raz na złą skierowany drogę, może być zdolnym. Tym sposobem, z pomiędzy wielu innych, mogła się była i u nich kiedyś utworzyć sekta, która w tymże duchu wytłómaczyła i śmierć i użycie wielkanocnego baranka. Zresztą, mnóztwo Żydów w pierwiastkach Chrześcijaństwa przyjmowało z ochotą naszę świętą wiarę. Bardzo zatém być może, iż niektórzy z nich, właśnie na odszczepieńców Cataphrygami zwanych trafili i do nich przylgnęli; — a potém daléj takież rozsiewali błędy, zbrodnię za wieniec pobożnych urojeń mające! Takie to są umysłu ludzkiego nieszczęścia, takie rozumu naszego choroby. Raz siebie silnie jakąś oderwaną zaprzątnąwszy myślą, raz się jéj z zapałem oddawszy, raz się z nią oswoiwszy, niéma już potém ratunku—największe zbrodnie już się nam często godną naśladowania wydadzą cnotą! Jeżeliby kiedy ród ludzki, duchem prawdziwéj moralności Chrystusa objęty, uczuł nakoniec potrzebę wiecznego pokoju, miłości i zgody,— z jakążby wtedy zgrozą na przeszłość i na nas dzisiaj żyjących oczy swoje obrócił! Co znaczy zabójstwo to tu to ówdzie jednego małego dziecięcia, w porównaniu téj wielkiéj jatki, którą kłótnie i zatargi ludów, którą *wojna* za sobą ciągnie? Tutaj się tyle ludzi wybija, tyle kaleczy, tyle umęcza! A pozostali na nogach *Chrześcijanie*, jeszcze się chełpią i radują z tego, i zbrodni w takiém zabójstwie dotąd niewidzą! Bądź co bądź, to pe-

wna, że dzisiaj męczeństwa dzieci przez Żydów nigdy już niéma, i że mowy o tém nawet od bardzo dawna na świecie niebyło.

Do Puńskiego starostwa należy wieś *Strzelce* zwana. Naprzeciw niéj, z drugiéj strony Niemna dziś już do Królestwa Polskiego odpadła, jest wieś *Żołnierzyszki*. Obie dawniéj, do Puń należały. Takie dwa naźwiska, domysł we mnie wzbudziły, że tu czasem mogły być kiedyś jakieś wojskowe osady. Ale wszelkie poszukiwania moje w tym względzie spełzły na niczém. Nikt tutaj ani początku, ani przeznaczenia wsi tych niepamięta. Są jednak ludzie tacy, co pamiętają jeszcze, że kiedy starosta Puński, Brzostowski, z majętności swojéj Pieńkina, do Puń przyjeżdżał, otoczony był zwykle pocztem przeprowadzających go mieszkańców wsi *Żołnierzyszek*, w myśliwskim stroju honorową straż jego trzymających. Są znowu i tacy, którzy pomni powiastek swych ojców, wiedzą: że kiedy tenże sam Brzostowski raz podróż do Suderwy pod Wilnem i do Szydłowca w Słonimskiém odbywał, mieszkańcy *Strzelców* towarzyszyli mu w téj drodze, w takiejże jak i piérwsi odzieży opatrzeni w broń palną i białą, a zawsze konno. To daje powód do wniosku, że ludzie tu osadzeni przeznaczeni kiedyś byli na służbę do łowów królewskich, które się tak często odbywały w tych stronach, i że z tym obowiązkiem mieli tu sobie nadane ziemie. *Strzelce*, szczególną się jeszcze dzisiaj odznaczać zaczęły osobliwością. Jest tam góra piaskowa, *Pieskinis* po-Litewsku zwana. Przed kilkunastu laty, wiatr, który ją dotąd szanował i nigdy w niczém nieszkodził, zaczął nagle jéj piaski chmurami wszędzie roznosić! ale tak, że *aż na drugiéj stronie* Niemna wielkie na dobréj roli piaskowe porobił zasypy. Samemu Niemnowi to mało szko-

dzi: bo woda część piasku zaraz daléj z sobą unosi, i ten piasek, spadając w jednostajnym dotąd kierunku, trafia właśnie w rzece na rafę Jabłynką zwaną, w któréj powoli osiada. Po każdém takiém brojeniu wiatru, odkrywać się zaczęło w wydmuchach na piaskowéj górze mnóztwo kości ludzkich i czerepów, często doprawdy daleko większych niż bywa zwyczajnie. A przytém, wychodzą na wierzch siekierki, piki i wielka moc małych pieniążków, tak już rdzą przejętych, że z nich niczego poznać ani dójść niemożna. Nieraz mi je dostawiano w znacznéj nawet ilości, ale wszystkie były najzupełniéj struchlałe i na kawałki spękane. Takie, o jakich mówiłem, zasypy piasku za Niemnem, wiatr północno-zachodni napowrót tutaj odpędza, ztąd też one tamtejszym ludziom mniéj szkodzą. Ale te ciągłe żywiołów swawole stały się prawdziwą klęską dla biednych *Strzelców!* Doszło nakoniec do tego, iż się o pomoc władzy w téj mierze udano. Zarządzono dla ich pociechy śledztwo. I zaraz się z tego maleńka stworzyła legenda. Był w Strzelcach stary włościanin, Krzysztof Piasecki, który do mowy swojéj ciągle dokładał grzeczne przysłowie: *„Kaduki"* — co u nas tutaj narówni *z djabłami* chodzi. Gorszono się z tego bezbożnego przysłowia, i dawno już nienajlepiéj i o nim samym i o zbawieniu duszy jego wróżono; on się jednak od nałogu uleczyć niemógł. Nakoniec za te Kaduki, *Kiadas* go po-Litewsku przezwano. Owoż, ten Piasecki, ten Kiadas, przed kilkunastą laty, widząc około oranego gruntu swojego małe a gęste zarośle, zaczął pożądać pomnożenia swojéj chudoby, i niemogąc się oprzeć téj łakomej żądzy, część krzaków wyciął, i nieco ziemi na pole sobie wyorał. Jakże tylko to zrobił, zaraz jak na licho w tę lukę wiatr dmuchać począł, i ciągle już odtąd to zlekka dmucha, to wieje nieżar-

tem. Zaraz więc resztę zarośli od korzenia wysuszył i zniszczył, pozbawiając je i podpory i odżywnéj ziemi. Teraz, coraz to więcéj po całych Strzelcach zewsząd przybywa piasku, coraz im ta klęska zmniejsza urodzaj, psując zupełnie dobrą dotąd naturę ich roli. A wszystkiego tego przyczyną, jak mówią, jeżeli nie sam ***Piasecki,*** co się jeszcze jak na złość i od ***piasku*** nazywa i odkrył te powietrzne ciągi, — to już najpewniéj tu winno jego bezbożne przysłowie!... Po co on ukryte i niewiadome nikomu poruszył groby? Po co ciągle ***djabłów*** miał w gębie?!? Jakkolwiek bądź, żart na bok, ale ten nieulegający wątpliwości z piaskiem wypadek godny jest i meteorologów i geologów uwagi.

VII.

BUCHTA.

Zgodzicie się ze mną natychmiast sami, że do największych osobliwości naszego zakątka należy bez wątpienia ***Buchta.*** Tak u nas zwykle nazywają kawał ziemi wchodzący językiem, czy w nasze jezioro, czy w rzekę naszą, i tworzący rodzaj ***półwyspu.***

Owoż, Niemen płynący w dość prostym kierunku do Puń samych, ztąd zaczyna już zaraz wybredzać,—a doszedłszy do ***Niemaniun,*** królewszczyzny przed półtora wiekiem Żwirzdami i Dowtortyszkami zwanéj, tak zbacza, tak igra, swawoli i rzuca się na boki gzygzakiem, że przebywszy w krzywéj linii więcéj dziewięciu dobrych mil naszych, wraca znowu w Żydejkanach, ledwie nie na toż samo miejsce zkąd wyszedł, tak dalece, że odległość jego koryta w Żydejkanach od koryta jego w Niemaniunach i jednéj nawet niewynosi mili. Taką tedy ***petlę*** obiegłszy Niemna

stworzoną i objętą, czyli półwyspek, Buchtą tutaj nazywają powszechnie. Buchta, zajmując i wzdłuż i wpoprzek po mil kilka oprócz jednych ***Sipowicz***, dawniéj dziedzictwa owych sławnych Butlerów, Jana-Kazimierza króla wiernych i nieodstępnych przyjaciół, stanowi ciąg włości i gruntów starościńskich, to jest królewszczyznę w znacznéj części do starostwa Niemaniuńskiego, ale całą massą do starostwa Birsztańskiego, albo, jeśli mówić po-dawnemu, do Preńskiego należących. Lecz Preny, dawna téj ziemi stolica, w 1502 jeszcze roku przez Alexandra króla Michałowi Glińskiemu nadana, a tuż z drugiéj strony Niemna na dzisiejszéj granicy stojąca, z powodu téj właśnie granicy, którą rzeka nasza oznacza, najprzód do Prus, potém do w. xięztwa Warszawskiego odchodząc, nakoniec do królestwa Polskiego przyłączone zostały.

Wiecie wszyscy, że w Prenach był zamek, który Gottard Butler, starosta Preński, na zupełne podobieństwo zamku ***Cisteron*** wystawił, chcąc w nim wieczną mieć pamiątkę niesłusznego dwuletniego więzienia Jana-Kazimierza z tymże Butlerem we Francyi. Miło widzieć, że dobry choć nieszczęśliwy król nasz o wiernych sługach swoich wdzięcznie pamiętał, i wielą łaskami a między temi i starostwem Preńskiém hojnie Butlera nagrodził.

Birsztany od Pren oderwane mają drewniany kościołek, w 1787 roku zbudowany staraniem Kazimierza Sapiehy starosty Preńskiego. Kościołek ten stanowił do ostatniego podziału Polski filiję kościoła Preńskiego: to też pleban tamtejszy, x. Karpowicz (1), w 1791 roku ozdobił

(1) Xiądz Michał-Franciszek Karpowicz, prałat archidyakon Smoleński, proboszcz Preński, potém biskup Wigierski, był jednym z najsławniejszych kaznodziejów swojego czasu. Sławę tę do najwyższego szczytu

go i restaurował własném staraniem i kosztem. Po odejściu Birsztan do Rossyi, kościoł ten stał się parafijalnym, z tego mianowicie względu, że z nadania króla Władysława IV, 6 lutego 1643 roku, miał sobie zapewnione cztery chatki *czyńszowe*, i trzy ciągłe, czyli *pańszczyźniane*. Ten królewski przywiléj dowodzi, że tu już dawniéj musiał być kościoł, lecz archiwum dzisiejszéj plebanii niema żadnych na to dokumentów i swój rodowód od 1787 r. liczy.

W tych więc zgrabnie kapryśnych naszego Niemna zakrętach, tworzących jak już mówiłem Buchtę, jest jeszcze drugi, mniejszy, a raczéj węższy półwysep, po-dziś-dzień Żwierzyńcem zwany, gdzie i dla xiążąt Litewskich i potém dla królewskich łowów, utrzymywano kiedyś z różnych stron okolicznych spędzonego żwierza. Na dzisiaj,

---

podniosło kazanie jego miane 25 czerwca 1794 r. przy poświęceniu broni i chorągwi »Województwa Wileńskiego, wychodzącego na wojnę, w pospolitém ruszeniu.» Kilkadziesiąt tysięcy obojéj płci różnych stanów ludu zebranego na tak zwanéj *Józefatowéj dolinie* pod Wilnem, wpływem porywającéj i nieprzełamanéj siły natchnionego słowa, jakby jeden człowiek, rzewnemi zalało się łzami i zanosiło od płaczu i łkania, a wojsko nadzwyczajnym zapałem przejęte darło się gwałtem na wojnę. To był zapewnie najpiękniejszy dzien w życiu tego zacnego kapłana.

Cała potęga wymowy i cały urok, jakim przejmował swoich słuchaczów Karpowicz, leżały szczególniéj w osobliwszym wdzięku i giętkości głosu, w szczerém przejęciu się w danéj chwili treścią rzeczy, w nader trafnych, dobitnych, wiecznie szlachetnych i pełnych uniesienia ruchach ciała, i w grze rysów jego pełnéj wyrazu twarzy. Ztąd też wielbiciele tak niepospolitego talentu Karpowicza, w rzędzie których był i mój ojciec w wielkiéj z nim żyjący przyjaźni, dziwili się zawsze, odczytując potém jego kazania, że te na nich nierobiły tego nadzwyczaj silnego wrażenia, z jakim się spotykali statecznie, kiedy je we własnych ustach mówcy słyszeli.

tylko już samo imie Żwierzyńca zostało. Miejsce bardzo piękne i dotąd bawiące oko. W Birsztanach było długo znakomite myśliwstwo królewskie. Tu 1475 roku Kazimiérz Jagiellończyk z żoną i synami Kazimierzem i Janem-Albrychtem, chętnie część zimy przepędził. Tuż w pobliżu Birsztan znajduje się po-dziś-dzień czworogranna w środku parowów usypana góra, na któréj się wznosił (albo którą może i utworzył) myśliwski zamek królewski. Górę tę lud, swoim zwyczajem wszystko królowéj Bonie przypisujący, nazywa dworem Zaklętym, ***dwaras uszkialktas***. Pradziadowie tutejszych włościan opowiadali swym dzieciom, a ci znowu wnukom swoim zostawili podanie: że na téj górze, za ich jeszcze czasów, widne były tutaj na piętrach okienka, do których nikt oddawna nieośmielił się zajrzeć; i że tu stał kiedyś ***zamek z ziemi ubity***. Niedawno jeszcze włościanin Birsztański zamierzył był sobie zorać wierzchołek téj góry i len na niéj posiać. Kiedy już miał nazajutrz do téj roboty przystąpić i potrzebne do niéj przygotował narzędzie: aż oto, tejże nocy, stanął przed nim we śnie w bieli ubrany, z siwą po sam pas brodą starzec. „Nieważ się tykać téj ziemi — rzekł mu — bo natychmiast umrzesz!" Po takiém ostrzeżeniu, przyznajmy się szczerze na ucho, że i najzaciętszy niedowiarek-filozof, niechciałby próby robić na ***sobie!*** Żydzi mówią, że kiedy Pan Bóg zechce, to i z nienabitego pistoletu wystrzeli. Niedziw zatém, że chłopek rady usłuchał, i rzecz się na projekcie tylko skończyła. Góra ta więc dotąd stoi nietknięta, czekając na jakiego naszego starożytnika — jeśli mu się także ten sam starzec nieprzyśni.

Ależ i ta królowa Bona. Czemu to jéj tylko wszystko a wszystko ***lud*** nasz przypisuje? Dzieje nasze charakter jéj szpecą, lecz czy tylko niebluźnią? Tak długa i pełna po-

szanowania pamięć u całego ludu, usprawiedliwiać z wielu zarzutów powinna tę genijalną panię, co się tak głęboko wryć potrafiła we wszelkie najsprawiedliwsze dziejowe pojęcia, u wszystkich prostaczków, u wszystkich nieoświeconych, a nawet na-wpół-oświeconych mieszkańców naszego kraju.

Wędrowiec Francuzki, Gilbert de Lannoy, włóczący się w 1413 i 1414 r. po Litwie, między innemi wspomina o częścią drewnianym a częścią z ziemi ubitym zamku ***Posur*** czy ***Pozur*** nazwanym, nad samym Niemnem leżącym, o pięć mil, a raczéj półmilek (lieues) od Trok do Kowna; miał on tam znaleźć Witolda, z całą rodziną bawiącego się w zimie łowami od kilku tygodni. Francuzisko po-swojemu (bo i dziś jego ziomkowie tak zwykle robią) czy odległość miejsca, czy nazwanie zamku, czy to oboje razem błędnie oznaczył.

Łamią teraz sobie głowę nasi dziejowi badacze: gdzież to był ów zamek? Jakoż, ***najprzód*** Niemen nigdzie w odległości mil pięciu od Trok niepłynie, a tém bardziéj pięciu ***półmilek; powtóre*** nigdzie się o ***Posur*** czy ***Pozur*** dopytać niemożna. Zdaje mi się, że albo Francuz wziął Wiliję za Niemen, i w takim razie trafił do ***Ponar***, majętności niedawno jeszcze Puzynów, a dziś przez rodzinne związki Römerów, i to nazwanie ***Ponar***, z pośpiechu fałszywie lub niedosyć wyraźnie zapisał — albo też szybko Litewskiemi bachmaty w saniach wieziony, omylił się w oznaczeniu na pamięć odległości geograficznéj miejsca, i zastał Witolda w ***Połaniu*** czy ***Pozańcach***, dziś ***Puźańcami*** zwanych, blizko Żwierzyńca leżących.

Dwór Birsztański, wprost z brzegu Niemna na Preny patrzy; i oddawna z tego powodu, arbitralnie ***Podpreniem*** nazywany, w rzeczy saméj zowie się i podziś-

dzień ***Zanie.*** Tak go nawet w urzędowych straży granicznéj papierach ciągle mianują. Wieś od tych Zań wgięciem się Niemna przedzielona, a dzisiaj w zepsutym włościan języku Puzańcami zwana, nazywała się dawniéj ***Pozaniem***; a Niemen w zimie bardzo ją do Zań przybliża. Jasna rzecz, że od ***Ponar***, czy Pozań, do Francuzkiego ***Posur*** czy Pozur, niedaleka droga.

Pamiętam, jak nietak bardzo dawno jeden z podróżników Francuzkich, wydając na świat opis wędrówek swoich, wyczytał we własnych notatkach, że w Rossyi, wszyscy, chcąc mówić grzecznie do siebie, używają powszechnie przyjętego na ten cel wyrazu: ***Pazar-ulejta.*** A cóż to jest? To zrazu źle napisany, na drugi wiersz w połowie przeniesiony, a potém gorzéj przez samegoż autora przeczytany i do druku podany Ruski wyraz: „Pażałujsta!" Znajdziecie to dzieło gdziekolwiek, wielą jeszcze innemi podobnemiż naszpikowane bąkami; imie autora wyszło mi w téj chwili z pamięci— a naprężać ją niewarto, ryć się w xiążkach nielubię, i od pewnego już czasu ucickam od nich jak djabeł od święconéj wody. Kiedy już o Posurze mowa, niepowinienem zamilczeć w tych moich uwagach, że niedaléj jako o trzy tysiące sążni ode mnie, we wsi Wasiluńcach należącéj do Birsztan, znajduje się kilkakrotną zmianą koryta rzeki Wierzchni znacznie podmyta i osypana już góra, którą Surakalnis, to jest słoną-górą dotąd nazywają; (chociaż bowiem ***sol*** po-Litewsku nazywa się ***Druckas***, ***słony*** jednakże wyrazem ***Surus*** się oznacza).

Ktoby tedy powiedział Posur, powiedziałby jakby ***Posłonie.*** A wiadomo, że się tu mnóztwo i wsi i łanow, od spotykanéj wszędzie soli, ***słonemi*** przydomkami pochrzciło. Może być zatém, że ów straszny ***dwaras uszkiałk-***

tur (1), był właśnie tym szukanym zamkiem, w którym Witold uprzejmie Francuza przyjmował.

Ziemia w całéj prawie Buchcie niewdzięczna, sam piasek; kwapią się jednak na nię ciągle dzierżawcy, a i nieprzykrzą jéj zgoła miejscowi włościanie, nie dla roli, ale wabieni węchem ogromnych zysków jakie im daje pograniczne przemycanie tytuniu i soli, których ścisły monopol w Królestwie Polskiém podwaja tutaj jeśli niepotraja cenę.

---

(1) Ażeby dać małe wyobrażenie, jak się i wszędzie i u nas, plotki, bajki, legendy, podania i pufy tworzą, przytoczę następny przykład. Więcéj niż w ośm miesięcy, po napisaniu tego rozdziału o Buchcie, wracałem z Kowna. Zatrzymałem się na chwilę w Kromach. Znajoma mnie szynkarka, Chrześcijanka, wyszedłszy przez grzeczność pomówić ze mną, powiada: „Pan wracasz w swoje *cudowne* strony.”—Albo co?—»Przed dwóma dniami część jakiejś góry w Birsztanach osunęła się, i odkrył się tam dom, i śliczne powoje pod ziemią. Co tam, *słyszę*, osobliwości, to i na palcach niezliczyć!” —Co wasani mówisz? — »A tak, panie! wczora i dzisiaj ludzie ztamtąd ze zbożem jechali, i tu cały czas rozpowiadali o tém.»—Ależ cóż przecię?—»Już ja tego panu opisać nietrafię»... Cóż było robić? jechałem daléj. W Koszanach, zatrzymawszy się znowu miałem rozmowę z Żydkiem od Niemna jadącym, który mnie toż samo powtórzył, dodając jeszcze, że tam przy jednéj ścianie znalezione pannę całą w bieli trzymającą na smyczy białego charta i ogromnego rudego kundla. Ja tedy myślę sobie: chwała Bogu! sekret pałacu ww. xiążąt Litewskich sam się nam odkrywa, a pewno na ścianie odmalowana *panna* jest jakąś myśliwską Litewską boginią.— W Jeźnie o dwie mile od Birsztan, wójt dawny miasteczka, zobaczywszy, mnie potwierdza to wszystko z tą nic nieznaczącą poprawką: że ta panna i te psy, niemalowane ale żywe, żywiusieńkie; „a śliczne, a czyste, że aż oko rwą. Ta tylko bieda że nikt a nikt z miasteczka nieśmie do nich przystąpić. To nieżart panie! jak raz licho człowieka weźmie!”

Ztąd grosz gotowy tu ledwie nie każdy ma w zapasie. Na zboże i dzierżawca i włościanin ubodzy, ale zboża dostarczają ciągle z góry do Prus idące ***wiciny***. A że spław wszelki doświadcza tutaj wielkiéj z powodu rap i ostrych kamieni trudności, a rzeczna żegluga jest u nas do tąd w zupełnéj lichocie (bo mało jest świadomych rzeczy sterników, a ci jacy są miejscowi sternicy bywają najczęściéj ludźmi bez żadnego sumienia): nieraz więc też, prawie co rok, przypadkiem, ale bodaj czy nie umyślnie, po kilka statkow zbożem ładownych rozbija się pod Buchtą, a szyprowie ***zamoczone*** już na chwilę zboże mieszkańcom Buchty oddają. — Buchta w dawnych czasach dla piasczystego gruntu mało przez rolników zamieszkaną była. Stanowiła ona odwieczną, ogromną, a głównie sosnową puszczę, przedsionek tych wielkich wspaniałych Zaniemeńskich lipowych lasów, które całemu tamtemu krajowi nazwisko ziemi ***Zapuszczańskiéj***, a szczególniéj traktu Zapuszczańskiego nadały, a sławę Kowieńskiego lipcu ***aż do samego Gibraltaru*** zaniosły.

Środkiem téj puszczy od Jezna szedł kiedyś ku Warszawie tak zwany Preński gościniec. Dotąd jeszcze za-

---

Pomimo takie bredzenie, niemogłem niebyć najzupełniéj pewnym, że rzeczywiście osunięcie się góry odkryło dawne jakieś Birsztańskiego zamku komnaty. Skorom więc wrócił do domu, natychmiast wysłałem kogoś ażeby się naocznie o tém przekonał; a o reszcie rozpytał u miejscowego proboszcza.

I cóż? Oto nic, ale to nic a nic z tego co mówiono niebyło prawdą, nawet ani jedna garść piasku nieosypała się z zaczarowanéj góry.

Zkądże się ta plotka wzięła dla Boga?

Ztąd, że się pan Stanisław Morawski przed półrokiem rozpytywał u ludzi Birsztańskich o téj górze, o tym myśliwskim zamku!

Discite—moniti.

miast kopca sterczą mi ułamki palów od mostu, który stał kiedyś na rzece mojéj Wierzchni.

Drogi były podówczas bodaj gorsze jeszcze niż teraz. Przestrzeń tych kilku mil ciągłym lasem objętych, po wybojach, powałach, wywrótach, zaledwie przez dzień cały albo i przez dwa dni, jak mówią starzy, przebyć można było, czy lżejszym pojazdem, czy ładowną kupiecką bryką. Tu więc korzystający z tak dogodnéj miejscowości ciągle gnieździli się złodzieje i zbójcy, tu wszystkie zbiegi i wszystkie łotry od wieku całego gościnny i chętny znajdowali przytułek.

Na mojéj z Buchtą sąsiedzkiéj ziemi, w folwarku ***Bobrowicze*** zwanym, są aż dotąd ślady podziemnych sklepów, gdzie rabusie i rozbojnicy złupione na podróżnych sprzęty lub towary kiedyś naprędce chowali. Całe to miejsce wówczas było nieprzebytym lasem, dziś jest już rolą, na któréj ani śladu pnia starego niedójrzysz.

Szlachta Jefimowicze i Piotrowicze, w Szyłanach, Pieleszyszkach, i w dziś należących już do mnie Dymszewiczach, na okolicznych schedach osiadła, tajemnie kierowała takim rozbojem; powagą stanu swojego pokrywała rodzące się nieraz podejrzenia. Byli to pełni odwagi, zapamiętałości, ale razem i okrucieństwa, hersztowie band rozbojniczych. Udawało się długo, ale nakoniec w ostatnich już prawie chwilach panowania Stanisława-Augusta, Jefimowicza i Piotrowicza ścięto w Grodnie na rynku za te sądownie dowiedzione rozboje.

Popęd wszakże dawno już był dany: wszystko więc, co złe i społeczności szkodliwe, siłą szatańskiego magnesu ciągnięte, cisnęło się tutaj do ***Buchty***.

Przy surowym i groźnym Rossyjskim rządzie, przy

zmianie kierunku wielkiéj publicznéj drogi, przy pomnażającéj się coraz tutejszéj ludności, przy zaprowadzeniu granicy od Niemna, *rozbojników* nakoniec nie stało. I cari ladroni, ili cari banditi, najprozaiczniéj zniknęli. Zostali tylko z całego kraju naszego o jeden stopień od nich poczciwsi *zbiegowie*, a z nimi też i miejscowi *złodzieje*, kradnący tutaj z cudowną zręcznością *konie*, i przeprowadzający je do Królestwa Polskiego dla wręczenia podobnym sobie poczciwcom, a tam znowu skradzione przedający na téj stronie granicy. Nieraz tu człowiek okradziony widzi konia swojego u drugiego brzegu, ale chcąc go odebrać, musi się starać o pasport za Niemen, a dostawszy go, jechać na Kowno; koń jego tymczasem aż do Paryża bezpiecznie dojść może: bo prawo mniemanéj granicy święcie zachowaném być winno; chociażby i tysiąc skradzionych koni przed nosem twoim na drugiéj stronie rzeki trzymali.

Cała Buchta nakoniec codzień się lepiéj w ten talent wprawując, otwarcie, bezwstydnie, owszem z przechwałką, jakby z jakiego rycerskiego czynu, tym się tylko *handelkiem* wyłącznie bawiła i bawi dotąd poniekąd — lubo mojém staraniem skrzydełka nieco temu podciąłem, broniąc od tak srogiéj krzywdy pobrzeżnych Niemna mieszkańców. Doszło to już bowiem było do tego, że brat u brata, ojciec u syna, syn u ojca niewstydził się ukraść konia, i nawet za zucha był uważanym. Istniały tu zawsze i są po-dziś-dzień doskonale urządzone tajemne złodziejskie stowarzyszenia, podające wiadomemi już stacyami skradzionego konia z rąk do rąk — tak, że zwykle w ciągu godzin dwónastu koń schwycony naprzykład w Prenach, był już przedany do Oszmiany lub Lidy, w Żyżmorach, Jewju, Trokach, lub Wilnie, i to za bezcen, *za kil-*

ka złotych; tylko dla *honoru* złodziejskiéj zręczności. Szukajże go potém po całym świecie.

Do tych nałogowych zatrudnień, dodać należy i kontrabandę. Od 1820 do 1825 roku nawet assesor policyi ziemskiéj, nad Buchtą dozór mający, mógł z tego źródła co wieczor przegrywać w karty po sto dukatow, co na własne oczy widziałem. Taki był napływ cudzoziemskich towarów przez Buchtę, że za ich przepuszczenie, to jest zatknięcie uszu i zamrużenie na chwilę oczu assesor miał ogromne kubany; a cóż to już mówić o straży granicznéj! Szlachta okoliczna tę straż podówczas trzymała i dobrze kradła, spuszczając się niby na gorliwość i pilność kradnących także Dońskich Kozaków, którzy jéj w pomoc byli dodani; ale przełożeni nad nimi wszystkimi nadstrażnicy (nadziratele) kradli tysiąc razy więcéj. Tym sposobem, niejaki nadstrażnik w Podpreniu przez lat sześć zebrał sobie, (bo niełotrował i w karty niegrał) trzykroć sto tysięcy rubli assygnacyjnych majątku; zebrawszy, podziękował natychmiast za służbę i dobra gdzieś kupił. Czy siłą piérwszego moralnego rzutu, czy instyktem, sympatyą, nałogiem, zlatują się aż po dzień dzisiejszy włącznie, tłumy łotrów, delatorów, pieniaczów i różnego rodzaju włóczęgów do téj naszéj Buchty, i robią z niéj jakiś gatunek odrębnego zupełnie kraju. Położenie też jéj dla takich ludzi wyborne: Królestwo Polskie ze swoją granicą pod nosem, tuż zaraz i Prussy, a same tu Niemna ustawiczne zakręty ułatwiają sposobność *ukrycia się natychmiast* aż w trzech oddzielnych państwach w razie prześladowania, a dają wszelką możność brojenia jak kto zechce, póki jeszcze do urzędowego poszukiwania nieprzyjdzie.

Od 1810 do 1812 roku, a i piérwiéj nawet, było to

jedyne miejsce, kędy najbezpieczniéj młodzież Litewska do wojska Polskiego na służbę tajemnie przesunąć się mogła, pomimo téj dwoistéj i Kozaków i strażników baczności. Dotąd nawet, przy zmniejszeniu się wielkiej kontrabandy, ograniczającéj się już tylko, z małym wyjątkiem na przemycaniu ztąd tytuniu i soli, a ztamtąd Pruskiego romu i cukru z burakow,—trudno znaleźć miejsce w Rossyi, gdzieby więcéj było ludzi bez żadnego pasportu włóczących się, Bóg wie zkąd przybyłych, dokąd idących, gdzie urodzonych, czém zajmujących się dzisiaj i z czego żyjących. Powtarzam, że wszystko co złe i zepsute, co zbiega zkądkolwiek chroniąc się sprawiedliwości ludzkiéj, w ten kąt się wciska z całego Litewskiego kraju. Prawdziwa kara Bozka być z tą Buchtą w sąsiedztwie! Przybysze ci, zawsze bezsumienni, do rdzenia zepsuci, wymknąwszy się zwykle z niejednego więzienia, gdzie się najczęściéj błąd i słabość obok zestarzałéj i zakrzepłéj już zbrodni legną,—przyuczają tu włościan naszych do wszystkich występków, wchodzą z nimi w tajemne intrygi i szachry, durzą biednych chłopków, namawiają na różne swawole, skargi niemające zasady, na bańbiące stan każdy delacye. Mnóztwo się tu także po lasach ukrywa zbiegłych rekrutów przy każdym naborze tak w Rossyi jako i Królestwie odbytym. Znajdziesz tu zatém sławne od wiekow sukcessyjne imiona kapitalnych aż po dzień dzisiejszy i rasowych *złodziejów*. Tak, rodziny: Kiejderis, Łaużones, Laukajtis, Czepukajtis, Wanagas i teraz jeszcze równie zasługują u chłopów tutejszych na zdjęcie czapki i pełny uszanowania ukłon, jak imiona Monmoransych, Duglasow, Zamojskich, co słyną przez wielkie cnoty.

Pomimo to wszystko, gdyby kto odrzucając całą tę *poezyę* złodziejstwa w pełni tutaj kwitnącą, i w najroz-

maitsze oblekającą się szaty, nawet całą poezyę, przemytu, a mając na względzie tylko życie uczciwéj pracy, które daleko za sobą wszelką zostawia poezyę, gdyby kto, jak kiedyś Rzewuski Żydowskie nory, całą tę ***Buchtę*** słomą otoczył i wszystko co do nogi wysmalił, a przynajmniéj ztąd jak lisów z nory tatrem wykurzył, zaprawdę wielkiego niepopełniłby grzechu, a wielki sprawiłby pożytek. Jeśli gdzie było w Litwie zupełnie szatańskie zepsucie ludu, gotowe na wszelkiego rodzaju łupiestwo i rozbój, to tu zapewnie. To prawdziwi ***flibustyerowie*** Litewscy na małą skalę.

Cała Buchta w ogóle dzisiaj nieliczy więcéj nad 3,000 ludzi płci obojéj. Przy takiém tedy usposobieniu ducha mieszkańcow tego zakątka, domyśleć się łatwo, że jeśliby w jakimś danym czasie, komu o spryt i zmyślność pospolitego człowieka chodziło, ludzie z Buchty od wszystkich pogranicznych kraju naszego ludzi i zręczniejszymi i dowcipniejszymi i usłużniejszymi okazaliby się najpewniéj.

Dziwna rzecz, że przy takiém zepsuciu mężczyzn, kobiety cnotliwsze są tutaj, ale tylko pod względem wiary małżeńskiéj i wstrzemięźliwości dziewiczéj, w czém mogę być sędzią jako blizko mieszkający sąsiad. U mnie, chociaż staram się dać dobry przykład i moralność we włościanach zaszczepić, tudzież wszędzie naokoło, gdzie może mniej lub daleko więcéj o to się starają,—dwónastoletnia dziewczynka, jakbyś niemoralizował, ma już najczęściej kochanka; owszem, korzysta z tego wieku, wiedząc już tak wcześnie, że widomych śladów swawoli niebędzie. W Buchcie, dziewka mająca lat 25, najczęściej niezna jeszcze miłości— pomimo to, że straż graniczna z rozpustnych żołnierzy, czasowo tylko tutaj zwykle bawiących, a prawie zawsze bezżennych, złożona, wiele się

do zepsucia obyczajów w kobietach przyczynia; kobiety i dziewki swawoli oddane, albo o nię nawet podejrzewane tylko, palcem wytknięte i do zamieszkania gdzieindziéj z pogardą powszechną zmuszane bywają. Tak to *zło*, w najrozmaitsze umiejąc wyradzać się kształty, nieraz i dobrą stronę pokazać umie, rządząc się wiecznym antagonizmem duchowego i fizycznego świata. Wszakże dla zupełnego odszkicowania ducha ludzi w Buchcie żyjących, i to dodać należy, com już bodaj mimojazdem namienił, że kontrabanda i kradzież koni, a nawet i wszelkie inne złodziéjstwa, więcéj się tu uważają za jakąś zuchowską najezdniczą *cnotę*, niż za występek; inne zaś wszelkie przestępstwa, tak jak i u reszty świata, pozostają *występkami* u nich.

Samo z siebie wynika, że tułający się po Buchcie hultaje w wadach nawet i ułomnościach swoich różnić się między sobą muszą większą lub mniejszą w nich zdolnością.

Pomiędzy włóczęgami, trzymającymi się miejsca tego statecznie i trudniącymi się wyłącznie *przemysłem*, a broń Boże nie prywatną kradzieżą, był niejakiś *Sylwester* Prusaczkiem, po-Litewsku *Prussialis*, zwany. Człowiek ten, jak szara gęś, wszystkim mieszkańcom Buchty był znajomy, chociaż jego prawdziwego nazwiska nikt nigdy niewiedział i dotąd podobno niewie. Z tego, co mówił o sobie, rodem był z Pruss Litewskich, z po nad saméj granicy Królestwa Polskiego, które tu pomiędzy Rossyą a Prussami wązkim wciska się oszyjkiem. Sylwester co tydzień, najdaléj co dwa tygodnie, zjawiał się tutaj ze swoim przemycowym towarem. Nizki, barczysty, krępy, fizyonomii mało znaczącéj, strzygł włosy króciutko, dla tego, żeby go za nie ułapić straż graniczna niemogła. W kusej siermiędze, raz granatowéj a drugi szaréj, w chodakach, w podeszwach od bótów, w starzyźnie, którą nogi

zamiast pończoch obwijał, zwyczajem tutejszéj prostoty, miał sobie tylko jednemu wiadome potajemniki i z nich niekiedy to szczyptę Holenderskich dukatów, to półgarstkę imperyałów Rossyjskich wydobywał. Przebiegając co moment siedziby naszych włościan i jednosiedlców, oraz lasy, tak się wprawił, że niebyło w Buchcie ani ścieżki, ani drożyny, ani pnia, nawet gałęzi, sęka, dziupli, jamki, parowu, lub łomu, którychby ten człowiek niezuał na pamięć. Odgadł odrazu po śladzie, czy to był koń strażnika, czy pana, czy chłopa. Uchem pojął, węchem zwietrzył nieprzyjaciela. Otoczony nieraz zewsząd przez straż graniczną, tak, że mysz nawet wyśliznąćby się niemogła, zawsze, jak czarownik jaki wymknął się czatom, a czasem, wyłażąc z dziupli, kiedy już pogoń za sobą zostawił, zaśpiewał jéj na drwinę głośniéj „*kukuriku*"—i śmiejąc się uciekł.

Człowiek ten był rozpaczą tutejszéj chciwéj na łapankę straży. Jeśli był kiedy schwycony, to nieinaczéj jak *zdradą*. Ujęto go nie na wolném powietrzu; ale zwykle na noclegu, śród twardego snu po ciężkich trudach, lub w chacie fałszywego przyjaciela, co mu dał na noc przytułek, a kwapiąc się na część jego towarów, odegrał rolę Judasza. W takim nawet razie, dręczony, bity, smagany, więziony, nigdy tych, z którymi miał stosunek, niewydał.

Nieznając owego Sylwestra, a słysząc tylko o jego figlach, zręczności, odwadze, dowcipie, stałości, miałem go w duszy za nieocenionego człowieka, i był nim w istocie, póki wielokrotnie zdradzony, zrujnowany, oszukany, nierozpił się z rozpaczy, i sam wzajemnie oszukiwać niezaczął. Dzisiaj, jeżeli żyje, jest to już inny zupełnie Prusaczek;—dawny dla mnie i w mojém pojęciu od lat kilku umarł. Chociaż mówił tylko po-Litewsku, chociaż ledwie kilka słów umiał niby po-Polsku, i ani słowa po-Rusku; jednak-

że, jako przebiegły i chytry, miał on zawsze tysiące sposobów rozmówienia się z każdym i dowiedzenia swéj prawdy mianowicie wyrażając się na migach. Więziony sto razy tu i w Królestwie Polskiém, zawsze wyszedł zwycięzko, gdyż albo uwolniono go, albo *pozwolono* uciec z więzienia, albo sam sobie czmychnął, u nikogo o takowe pozwolenie nieprosząc.

Przyjaciół miał na każdém miejscu, a bab szczególniéj. I jakżeby ich niemiał? Téj dał chustkę gościńca, téj paciórki, tamtéj piękne szkaplerze. Temu dał spinkę, tamtemu pasek lub sprzączkę, owego zaś spotkawszy w lesie przypadkiem, napoił haustem białego niesionego w baryłce na plecach romu. Szedł z za Niemna obładowany zrazu jak wielbląd. Ale pamiętając kto go o co prosił, natychmiast, jak garson w Paryzkich garkuchniach, oddawał porządkiem swoje sprawunki, i tak się po drodze stopniowo od ciężaru uwalniał. Idąc bowiem zawsze przed siebie i niezatrzymując się nigdzie, tu oddał chustki, tam jakiejś dziewczynie zostawił komis oddania komuś korali, tam wetknął w ręce bursztyny, tu rzucił perkal, ówdzie batyścik lub kamlot, czasem tak sekretnie, że i sam gospodarz o tém niewiedział, wsunął jaki swój towar do pańskiéj lub chłopskiéj stodoły, a szedł ciągle daléj i daléj, dopóki wszystkiego nierozdał. Dopiéro zatrzymywał się na bajram i krzepkie umizgi. Szynkarki ubóztwiały go wszędzie po karczmach i przyjmowały z radością, jak wiosennego skowronka; a chowały go gdzie mogły przed szpiegówskiém okiem. Nareszcie po tém wszystkiém, wracał tąż samą drogą, i należne sobie pieniądze za towary z ufnością pewną zostawione odbierał. Nigdy podobnego trybu niezmieniał, chociaż go ta zbyteczna ufność nieraz zawiodła: widać, czy tak czy owak, zawsze był w zysku. Ale

zysk złym go robił człekiem. Zrazu mieć go chciałem za *poetę* tutejszego przemysłu, wdającego się w tak niebezpieczne i pełne ciężkich trudów życie wyłącznie tylko dla poetycznéj jego strony.

Sposób, w jaki ja go poznałem, da także maleńką próbę lisiego sprytu i przebiegłości tego człowieka. Raz schwytany przez tych, co zostawiony przez niego w dobréj wierze towar przywłaszczyli sobie, lubo mając dużo (jak mówiłem) przyjaciół, zaraz na *porękę* był wzięty do czasu, nim śledcza komissya niezjedzie; — czuł jednak w sobie, że zarzuty przeciwko niemu były ważne, wiedział dobrze, co go podług praw czeka za dowiedziony wielokrotny przechód granicy i przemyt towarów, że mu się już wcześnie pod samym nosem, kręcił zapaszek Sybirskiego powietrza.

Pragnął więc rady czyjejś, którąby własnemu jego doświadczeniu dopomódz mogła, bo tyle był uczciwy, że niechciał sprysnąć i poręczycieli swoich na hazard wystawić. Słyszał o mnie, ale wiedział i o tém, że ja się z takiego rodzaju ludźmi niewdaję i włościan moich równie od protegowania ich wstrzymuję. Było to w lecie. Chodziłem podówczas na przechadzkę co dzień w tę stronę, gdzie pszenica moja pięknym wzrostem bawiła oko lubiące sielskie piękności. Wtém nieopodal od drogi, na samym brzeżku chuchanego i cacanego przeze mnie lasku, widzę człowieka zapamiętale rąbiącego drzewo, bez żadnego względu na to, że właśnie te drzewa służyły za ozdobę. Zbliżyłem się więc natychmiast ku owemu człowiekowi, który tyłem obrócony do mnie, zdawało się, że niedostrzegł jak się do niego skradałem, i daléj swoje robił. Nakoniec staję tuż przy nim i z zadziwieniem widzę, że nieznajomy z całą siłą, ułamaną suchą gałęzią a nie siekierą, w drzewo uderza.—Kto ty jesteś?

— Sylwester Prusaczek, panie.

— Co tu robisz?

— Oto panie, daruj pan mnie biednemu, chciałem się z panem zobaczyć i poradzić. Prześladowany jestem za ***moję niewinność***. Do dworu pańskiego iść nieśmiałem; a wiedziałem że pan w dzień tu przychodzisz i lasu bronisz. Biłem zatém gałęzią o drzewo, udając że rąbię, żeby zwrócić pańską uwagę, przywabić pana tutaj i rozmówić się; daruj mi pan tę śmiałość.

Była to jedna z tych prostych, naiwnych chłopskich chytrości, — ale w swoim rodzaju, dająca miarę dowcipu tego człowieka. Prusaczek bowiem był pełen sprytu, rzutkości i przytomności umysłu, a przytém właściwéj sobie szlachetności, słowności i uczciwości. Walter-Scott niewieleby takich naprawdę pomiędzy Szkotami swoimi naliczył. Był to ***Fra-Diavolo*** Buchty. Ale cóż, kiedy potém rozpojony i rozwydrzony, stracił te wielkie zalety, i stał się już tylko niesumiennym oszustem i łotrem. A szkoda! miał prawdziwie Mohikańskie talenta, obdarzony był taką przebiegłością i tak udoskonalonemi zmysłami, jakie posiadają tylko dzicy mieszkańcy puszcz Ameryki. Lecz wódka, toż samo z nim co i z tamtymi zrobiła.

W Buchcie, a szczególniéj w tak nazwaném ***miasteczku*** Birsztanach i w pobliżu, niemało znajduje się źródeł słonych, sól kuchenną rozpuszczoną w wodzie sączących, któremi się leczą niektórzy od wielu cierpień. Do garnków swoich dodaje tę wodę ubóztwo. Nieodżałowany Ignacy-Emanuel Lachnicki, który miał tu szukać pokładów soli, kto wie, gdyby dłużéj dla szczęścia przyjaciół i sławy kraju pożył, możeby tu nową odkrył Wieliczkę?

Są tu także nad Niemnem, w Pożańcach, nanośne żyły sproszkowanéj ***miki***, zupełnie złocistéj, udającéj metal i

przystającéj do rydla tak, że pozłacać żelazo się zdaje. Kiedy Kalifornija głowy całéj Europie przewracać zaczęła, a łechcące o niéj nowiny doszły aż do tego zapadłego kąta, oficer straży granicznéj, major L., dowiedziawszy się o tych świecących metalem żyłach, wyobraził sobie, że znalazł *złoto*, i miejsce to silną wartą żołnierzy swoich ostawił; lecz się omylił nieborak, jak mu to po uczynionéj próbie chemicznéj przepowiedziałem zaraz. Biegał z tym piaskiem po różnych miastach i zawsze napróżno. Wróciwszy, to tylko znalazł, co mu niemogąca ani na krok odstąpić warta, zostawić chcąc niechcąc musiała. To wszakże pewna, że przed dwódziestu laty Żydzi z Królestwa Polskiego, więcéj niż po złotemu za garniec piasku tego z razu płacić zaczęli. Handlu takiego, ówczesny właściciel Birsztańskiego starostwa niewiem czemu zabronił: snadź Żydzi, tak jak i nasz major, w nadziejach złotych się zawiedli, ale może tam jakąś miedzi cząstkę znaleźli, z któréj sobie tajemnie zysk ciągnąć chcieli.

Zdarzają się tu również nad brzegami Niemna obfite pokłady *miału*, t. j. podlejszego gatunku kredy, do różnych w malarstwie i mularstwie potrzeb używanego.

Nakoniec w Lisowiczach, jest skała z *piaskowca*, kruchego wprawdzie, ale mogącego być zdatnym do cembrowania śluz i kanałów, tudzież do innego w budownictwie użytku, jeśli się ruch rolniczo-handlowy i przemysłowy kiedykolwiek u nas objawi.

ZDANIE SPRAWY
O
TATARACH LITEWSKICH,

PRZEZ JEDNEGO Z TYCH TATARÓW

ZŁOŻONE

SUŁTANOWI SULEJMANOWI,

W R. 1558.

Z języka Tureckiego przełożył, objaśnił i materyałami historycznemi uzupełnił

A. MUCHLIŃSKI,

profesor zwyczajny literatury Tureckiéj w Cesarskim St. Petersburskim uniwersytecie.

3.

Dżanibeg albo Dżanbeg, chan złotéj Hordy, syn Uzbeka, nastąpił po ojcu, a rzeczywiściéj po swoim bracie ***Insanbek***, według innych ***Tinibeg*** zwanym, który władał tronem niespełna rok jeden, to jest w r. 742 hidżry (1342 naszéj ery). Dżanibeg zwyciężywszy go i drugiego swego brata, objął rządy państwa. O gorliwości jego dla wiary Muhammeda, wszyscy dziejopisowie wschodni świadczą. Abulgazy w historyi Tatarskiéj, ogłoszonéj drukiem w Kazaniu staraniem kanclerza państwa hr. Rumiancowa, w r. 1825, tak o nim powiada: „Dżanibeg chan był przedziwnym Mu

sułmańskim padiszahem: uczonych, cnotliwych, pobożnych i religiję w wielkiém miał poważaniu.“ Lecz o wyprawach Dżanibega do Polski zupełnie zamilczają: piérwszy ślad o tém znajduję u naszego Litwina, a co zgadza się i z naszemi dziejami. Wiadomo bowiem, że za Kazimierza wielkiego w r. 1343 Tatarzy zagony swoje istotnie posunęli do Polski; król pośpieszył na ratunek kraju, spotkał Tatarów w okolicach Sandomierza, wzbronił im przeprawy przez Wisłę, a potém pobił ich na głowę pod Lublinem. O innych napadach Tatarów z owéj epoki, nic już nieznajdujemy w dziejach. Nie dziw także, iż pisarz Musułmański wystawia te wyprawy Dżanibega jako mające na celu nawrócenia Polski do wiary Islamskiéj. Kur'an wyraźnie zaleca prowadzić wojnę z niewiernymi, aby ich zmusić orężem do przyjęcia Islamu: każda przeto wojna z niewiernymi uważa się za wojnę świętą *dżyhad*, *gaza*. Powolni rozkazom swego prawodawcy, monarchowie Musułmańscy zawsze poczytywali dla siebie za najprzedniejszy obowiązek, wypowiadać wojnę Chrześcijanom (niewiernym), a kiedy składali oręż, było to tylko zawieszeniem broni, i trzeba była długich niepowodzeń, żeby przymusić nakoniec Turków do zawierania traktatów wiecznego przymierza.

Dżanibeg w r. 758 hidżry (1357 naszéj ery), został zabity od swego syna Berdibega, który nastąpił po ojcu na chańskwo Hordy złotéj.

4.

W zbiorze Gwagnina: Rerum Polonicarum, tomi tres, Francofurti 1584, w tomie 2 znajduje się list pisany przez pewnego Polaka w r. 1581 do Dawida Chytreja (ad Davidum Chytraeum) o religii i obyczajach naszych Tata-

rów, gdzie potwierdza się to, co mówi nasz Tatarzyn o używaniu już wtedy przez nich krajowéj mowy: „Tartari (słowa są jego) in Polonia, et Lithuania, et utraque Russia, longe lateque dispersi sunt, plerumque hominum, quibuscum degent, linguam addisunt et callent.“ Owszem, zdawna nasi Tatarzy okazywali przywiązanie do naszego języka, a nawet niekiedy używali go w swoich modłach; są też w rękopismach xiążki modlitw Musułmańskich, ułożonych w języku Polskim, lecz pisanych głoskami Arabskiemi jako, też podobne tłómaczenie Kur'anu i innych dzieł religijnych, a nawet w narzeczach Białoruskiém i Ukraińskiém. Tego rodzaju xiążki znajdują się i dzisiaj w rękach naszych Tatarów. W biblijotece Lipskiéj także przechowuje się xiążka Polska do modłów pisana głoskami Arabskiemi, o któréj podaje wiadomość professor Fleiszer w katalogu rękopismów wschodnich tejże biblioteki (Catalogus librorum Manuscriptorum, qui in Bibliotheca Senator. civit. Lipsiensis asservantur, edidit Flejscher, Lipsiae 1840).

Sobolewski w dziełku: Wykład wiary Machometańskiéj czyli Islamskiéj (Wilno 1830), życzy nawet żeby Kur'an i nabożeństwa były wymawiane w naszym języku ojczystym na miejscu Arabskiego. „Tak w ciągu wieku, pisze on, doznawszy dobrodziejstw ziemi a opieki prawa; smutno nam wspomnieć, że dotąd my i dzieci nasze chwalimy jednego Boga niezrozumiałym dla nas językiem, a niekorzystamy z téj mowy, *którą już od tylu wieków ojcowie nasi z sobą rozmawiali*, a która od naszych lat niemowlęcych tak jest nam przyjemną i drogą; smutno nam że nasze pisma, texty i rozmaite nabożeństwa dotąd się dla nas ukrywają w języku, którego nierozumiemy. Czas abyśmy się ocknąwszy z niewiadomości naszéj, a razem

przez wdzięczność dla ziemi, która nas żywiła, odtąd we właściwym nam języku, naszą ojczystą mową słowa Twórcy, przez jego posłańca objawione, wymawiali, a dzieciom naszym dali do przyjęcia mądrość świętego pisma.“

5.

W dziejach Tatarskich bardzo często się napotyka imie Timura, które właściwie znaczy *żelazo*, w dzisiejszym języku Tureckim wymawia się *demir*; tak np. pomijając mniéj znakomitych, sławny Tamerlan nazywał się *Timur* z dodaniem przymiotnika Perskiego *lenk* (kulawy), i wymawia się *Timur lenk* zkąd zrobiono Tamerlan. W poczcie władców Mongolskich, którzy rządzili ułusem Dżudży czyli Hordą złotą, mamy także kilku noszących to imie: 1) *Mengu Timur chan* (1267 r.), 2) *Timur Chodża chan* (1360 r.), 3) *Puład Timur* (1366 r.), 4) *Timur Kutług chan*, którego kronikarze Ruscy zowią *Temir Kutluj*, i tak się czyta na jego monetach (1397 r.), 5) *Timur chan* (1410 r.), i inni. Opowiadanie naszego pisarza niestosuje się do czasów Tamerlana, czyli emira Timura, jak go zwykle mianują dziejopisowie wschodu; ale do *Timur chana*, który po śmierci *Puład chana* inaczéj Puład Sułtanem zwanego, ubiegał się z wielą xiążętami Mongolskimi o tron Hordy złotéj, i otrzymał nad nimi przewagę w r. 813 hidżry, 1410 naszéj ery. Począwszy od panowania *Tuktamysza* chana (a nie Tokatmisza, jak niektórzy błędnie piszą), państwo Kypczaku było zapełnione prawie do końca swego istnienia zatargami domowemi, tak, iż trudno oznaczyć dokładnie jego następców, kto mianowicie i wiele lat panował. Wnosząc z monet tego chana, Timur chan rządził Hordą złotą lat cztery lub pięć, to jest od r. 813 h. (1410 naszéj ery) do r. 818 (1415), jak wykazano u Frena w dziele: das Muhammedanische Münzkabinet Des Asiatisches

Museums der k. Akademie d. Wissensch zu S.-Petersburg, 1821 str. 60, i w dziele: Recensio memorum Muhammedanorum, Petropoli 1826, str. 373. Był on synem Timur kutluga. Na wyprawę Władysława Jagiełły przeciw Krzyżaków, a którą się uświetniła Litwa pod Grunwaldem, w. x. Witowt prosił posiłków właśnie u tego Timur chana: jakoż Timur chan posłał Dżelal-ed-dina, syna Tuktamysza, na czele 30 000 swego wojska, jak podają nasi dziejopisowie, a według naszego pisarza *bir kacz bin*, z kilku tysiącami (od 3000 do 10,000), co zdaje się bliżéj prawdy. Kypczak, jakkolwiek obszerny kraj, znany u nas pod nazwą wielkiéj Tartaryi, i rozciągający się między Jajk (Uralem), Wołgą (Itil), Dniestrem (Turlà) i Krymem, jednak niemógł wystawić więcéj 120,000 wojska u siebie i to pod piérwszymi chanami (Histoire des Huns par Deguignes, T. 1, 2 partie p. LXX); w późniejszym zaś czasie granice Kypczaku zostały uszczuplone, i liczył zaledwo połowę tego wojska. Nasi też historycy sami są w sprzeczności co do liczby: mówiąc o tém jak Witowt podejmował tego sprzymierzeńca przez kilkanaście miesięcy aż do rozpoczęcia wyprawy w r. 1410, z niemałym kosztem, z żonami, dziećmi, dworem i licznym ludem zbrojnym, podają liczbę jego wojska do dwudziestu tysięcy (u Narbutta Dzieje narodu Litewskiego T. VI str. 185); potém kiedy Jagiełło spotyka Witowta z sułtanem Tatarskim nad Wisłą, liczą już, opierając się na świadectwie słów dopełniacza kroniki Dusburga, trzydzieści tysięcy wojska Tatarskiego (Narbutta t. VI str. 206). Prawda, że Tatarzy w Litwie osiedli pomnożyli zastępy Dżelal-ed-dina; ale ich niebyło więcéj nad 10,000, a zatém jeśli wyłączyć tę ilość, stosownie do rachuby piérwszéj, wypadłoby wojska Kypczackiego około 10,000, co odpowie wyrażeniu naszego pisa-

rza *z kilku tysiącami*. Liczba ta potwierdza się zkądinąd rachunkiem tegoż niewiadomego dopełniacza kroniki Dusburga, który wyliczając stratę z obu stron poległych, a powziętą z ust naocznych świadków, powiada, że cesarz Tatarski wrócił z 8,000 ludzi. Oto słowa jego: „Sicut retulerunt heroldi et alii famosi et fide digni, qui praedicto bello interfuerunt, plusquam 60 millia virorum ceciderunt *de utrisque partibus*. Immo referebatur ab eisdem, quod Tartarorum imperator vel marschalcus, regi Poloniae et Vitoldo cum 30 millibus virorum protunc venerat in subsidium. et *abinde recessis duntaxat cum 8 millibus. Qui tunc de Ruthenis et Lithuanis, quorum Principes cum populo quasi immmerabili advenerunt*“ (Petri de Dusburg Chronicon Prussisch, editio Christoph. Hartknoch, Jenae 1679, str. 435). Niepodobna żeby mógł stracić 22,000 kiedy dodaje: „a cóż mówić o poległych Rusinach, i Litwinach, których xiążęta przybyli z ludem jakby nieprzeliczonym“? Snać tych ostatnich, osobliwie Litwinów na początku bitwy, poległo więcéj, gdy tymczasem strata ogólna ze strony Polskiéj nieprzewyższała 20,000 ludu zbrojnego. Takim sposobem liczba 30,000 wojska Tatarskiego widocznie jest przesadzoną, albo w rękopiśmie kroniki błędnie była postawioną. Timur chan w rzeczy saméj niemógł posłać więcéj nad kilka tysięcy wojska posiłkowego pod dowództwem Dżelal-ed-dina, a którego dziejopisowie Polscy przerobili na Saladyna, Ruscy zaś na Zeleni, Żeledi, Żelet. Hammer niepojąwszy kronikarzy Ruskich, tego samego Dżelal-ed-dina posyła w roku następnym (1411) na Kijów razem z Witowtem (Geschichte der goldenen Horde in Kiptschak, Pesth 1840, str. 373), a który, jak on mówi tamże, był do tego kroku podburzony przez xięcia Twerskiego Alexandra Iwanowi-

cza. Wprawdzie znajdywał się w Kijowie xiąże Tatarski, lecz nie na wojnie, a tylko w orszaku króla Władysława i wielkiego xięcia Witowta, którzy zwiedzając południowe prowincye państwa, wstąpili do Kijowa i tam przyjmowali odwiedziny xięcia Twerskiego, a których celem było odnowienie stosunków dawniejszych z Litwą, jakoż i zawarli z sobą przymierze wzajemnéj przyjaźni. Dżelal-ed-din zaś przybył tam prosić o pomoc dla siebie do osiągnienia władzy najwyższéj w Hordzie, co niebawnie było przyprowadzone do skutku, gdyż korzystając z zamieszek w państwie, strącił on Timur chana i sam zasiadł na tronie Kypczaku. U niektórych naszych dziejopisów, dowódzca Tatarów nazywa się Tachtamirza Anton, który nietylko Litewskie, ale i Zawołżańskie miał przyprowadzić hufce. Nazwisko Tachtamirza Antona niechybnie zostało przez naszych kronikarzów przekształcone z *Tuktamysz-ogłan*, co znaczy syn Tuktamysza, jakim był właśnie sam Dżelal-ed-din (syn Tuktamysza) Nakoniec trzeba poprawić omyłkę Deguignes (Histoire générale des Huns T. 3 str. 374), który wyprawia samego Timur chana na czele posiłków do Litwy i powiada że on był zabity, w Litwie; o Dżelal-ed dinie zgoła niemówi, albo co prawdopodobniéj robi z niego do niepoznania sułtana Zedi, ponieważ mianuje go synem Tokatmisza (Tuktamysza).

6.

Odprawiać nabożeństwo żałobne po zmarłych obcego wyznania, wyraźnie zabrania się w prawie Musulmańskiém, które w artykule *Salat-ul-dżenasa* (modlitwa pogrzebowa) mówi: modlitwa ta ma miejsce tylko dla wyznawców Islamu, a nie zaś dla niewiernych, na mocy słów Bożych: „nie módlcie się za nikogo z tych, którzy umarli wiecznie.“

Lecz umiarkowańsi tłómacze prawa pozwalają uczęstniczyć w modłach za niewiernych, i historya przytacza uderzające w tym względzie przykłady. Za panowania Melik-szaha, czwartego króla dynastyi Seldżuków, która władała przez półtora wieku tronem Ispahanu w Persyi, kiedy umarła żona muchasyla czyli pobórcy dochodów skarbowych w Bassorze, Żyda Ibn Allam (w r. 467 hidżry, 1074 naszéj ery), wszyscy Musułmanie, urzędnicy i obywatele, uczcili swą obecnością pogrzeb Izraelitki, wyjąwszy tylko jednego sędziego (kady). (Tableau général de l'Empire Ottoman par d'Ohsson, T. 2, str. 334). Zresztą w Kur'anie powiedziano: „wierni, jak równie Żydzi, Sabejowie i Chrześcijanie, którzy wierzą w Boga i w dzień ostatni, i żyją świątobliwie, będą wyjęci od mąk w przyszłém życiu" (w Surze 2-éj ajat 59, w Surze 5-éj ajat 73). Z tych słów ciż tłómacze wyprowadzają wniosek, że można modlić się za takich zmarłych, albowiem oni nieumierają wiecznie.

W państwach Chrześcijańskich oddawna przyjęty został przez Musułmanów zwyczaj zgromadzać się do meczetów na obchody, poświęcone pamiątce zmarłych królów i dostojniejszych osób. W Polsce mamy tego liczne przykłady i świadectwa: między innemi obchody żałobne po Janie Sobieskim, także w r. 1794 za poległych rycerzów i najświeższy w 1818 po Tadeuszu Kościuszce.

Po namazie, czyli modlitwie kanonicznéj, którą wszyscy Musułmanie są obowiązani odprawić co dzień pięć razy, na takim obchodzie zwykle była odmawianą modlitwa szczególna, ułożona z ajatów czyli wersetów Kur'anu, z przystosowaniem do modlitwy żałobnéj za umarłych, o ile to zgodne z wiarą Islamu. Takowa modlitwa powtarzała się z małemi zmianami przy każdym podobnym obchodzie. Dla przechowania tego ciekawego pomnika, wypisujemy ją do-

słównie z dziełka: Opisanie obchodu żałobnego nabożeństwa za duszę ś. p. Tadeusza Kościuszki, odbytego w Mińsku d. 7-go marca 1818 r. Wilno 1818.

MODLITWA.

„Panie Wszechmogący, Boże ojców naszych, Abrahama, Izaaka, Jakóba i pokolenia ich sprawiedliwego, któryś jedném słowem stworzył niebo i ziemię ze wszystkiemi ozdobami, Tyś położył granice morza i zamknąłeś przepaści, zapieczętowałeś je straszném imieniem Twojém, którego się wszystkie duchy lękają i drżą przed obliczem mocy Twojéj i wielkością chwały Twojéj, a nikt znieść niemoże gniewu Twego, którym grozisz grzesznikom; jednak dziwne i niedościgle jest miłosierdzie obietnic Twoich, boś Ty jest Pan najwyższy, dobrotliwy, cierpliwy i miłosierny, razem masz litość nad stworzeniem Twojém. Tyś, Panie, wedle wielkości dobroci Twojéj i miłosierdzia przyjmujesz pokutę i odpuszczasz tym, którzy zgrzeszyli przeciw Tobie nad liczbę piasku morskiego. Niejestem, Panie, godzien i nieśmiem podnieść oczu, i spójrzeć na wysokość nieba, przez wielkość nieprawości mojéj. Będąc obciążony okowami żelaznemi pod wielą łańcuchów żelaznych, tak, iż niemogę podjąć głowy mojéj, bom czynił to co jest złego w oczach Twoich, jako ten, którym nieczynił woli Twojéj, anim strzegł przykazania Twego, owszem dopełniał nieprawości, a teraz upadam na kolana serca mego, prosząc dobrotliwości Twojéj. Zgrzeszyłem, Panie, zgrzeszyłem, i wyznaję nieprawości moje, a przetoż żądam i proszę, odpuść mi Panie, odpuść mi, a niezatracaj mię pospołu z nieprawościami mojemi, ani się gniewaj na wieki, pamiętając na złość moję, ani mię potępiaj do najniższych miejsc ziemi, boś Ty jest Bóg nasz litościwy, Bóg miłosierny. Odpuść ułomność i grzechy NN. i okaż nad nim

wszelką dobrotliwość Twoję zbawiając go, jako męża sprawiedliwego, według wielkiego miłosierdzia Twego, i daj jemu miejsce w królestwie niebieskiém między miłośnikami swymi. O co Cię z duszy i serca pokornie prosimy."

Że musiały być w rzeczy saméj obchody po Witowdzie u naszych Tatarów, przekonywamy się także ze słów prośby podanéj przez nich do Zygmunta I, na kilkadziesiąt lat przedtém, w r. 1519, gdzie wspominając imie jego z wdzięcznością, tak się odzywają: „Niemamy sławnéj pamięci Witołda, on nam niekazał zapomnieć o Proroku, a my do świętych miejsc oczy obracając, tak jego imie powtarzaliśmy jak naszych chalifów. Na szable nasze przysięgliśmy, że kochamy Litwinów, kiedy w wojnie mieli nas za jeńce, a wstępującym na tę ziemię powiedzieli, że ten piasek, ta woda i te drzewa są nam wspólne. Nasze dzieci wiedzą o nim, a nad słonemi jeziorami (t. j. w Krymie) i w Kipczaku wiedzą, że my w waszym kraju niejesteśmy cudzoziemcami." (Czackiego rozprawa o Tatarach, T. 3, str. str. 311, wyd. Poznańskiego). Wyrazy w téj prośbie: ***my do świętych miejsc*** (t. j. Mekki i Mediny) ***oczy obracając, tak jego imie powtarzaliśmy jak naszych chalifów***" stosują się do podobnych schadzek w meczecie, poświęconych pamiątce wielkiego xięcia. Za czasów jeszcze naszego pisarza, pamięć o nim musiała być u Tatarów świeżą, co dowodzą i wyrazy w tejże prośbie: ***nasze dzieci wiedzą o nim.*** Kiedy zaś ustały podobne obchody religijne po Witowdzie, historycznie niepodobna oznaczyć; najstarsi wiekiem dziś żyjący niepamiętają już tego, i nic też o tém niesłyszeli od swych rodziców.

7.

Początek nażwiska Tatarów jest wcale niewiadomy: w językach Arabskim, Perskim i Hebrajskim od bardzo da-

wnych czasów używają się wyrazy *tatar*, *tataristan;* w Europie zdaje się, że przed dwónastym wiekiem ta nazwa niebyła jeszcze w użyciu.

Abel Rémusat i Klaproth opierając się na świadectwie dziejopisów Chińskich, najprawdopodobniéj wywodzą Tatarów pierwiastkowych od jednéj z głównych gałęzi narodu Mąg-ho albo Mongołów, osadzonéj w kotlinie górnego Amura, a która późniéj wielkie podboje nad plemionami Mongolskiemi dokonała: dzieje bowiem Chińskie wspominają o tym narodzie na początku IX wieku naszéj ery pod imieniem *Ta-ta*, z wyrzuceniem głoski *r* jako niebędącéj w języku Chińskim (1). Kiedy Czyngyz-chan połączył pod swe berło wszystkie plemiona Mongolskie i Tatarskie, i z niemi wyprawił się na zawojowanie Azyi, przybrał dla swéj dynastyi i dla bitnych wojowników swego narodu imie zaszczytne Mąg-ho (junacy, śmiali), i to imie zabrzmiało wszędzie, gdzie się pokazał straszny wódz hord dzikich. Jednak nazwą Tatarów była powszechniejszą w Azyi północno-zachodniéj, i nakoniec przemogła kiedy *Batu-chan*, wnuk Czyngyz-chana pośród ludów Tureckich, podbitych orężem, założył na północ od morza Kaspijskiego potężne państwo Kypczaku, rozciągające się między Syberyą i Dnieprem. W tém nowém państwie chan, główniejsi wodzowie i kilka wyborowych oddziałów jego wojska, byli to tylko Tatarzy, a resztę nieprzeliczonéj ludności składali Mongołowie, nakoniec i ta mała ilość władców po przyjęciu przez nich Islamu, została pochłoniętą w ogromnéj massie; lecz za granicami Kypczaku, nazywano ciągle dawném imie-

(1) Według Chińskiego wymawiania *Da-tań*, *ń* końcowe zamieniło *r*; w ogóle różni się wiele od Chińskiego wymawianie Europejskie; *Datań* może być wymawianiem południowych prowincyj Chin.

niem władców, to jest Tatarami, wszystkie ludy tego państwa, nawet i wtedy kiedy już rozbiór Kypczaku oswobodził ich zupełnie od jarzma hordy Tatarskiéj. Dziś sami Tatarzy nazywają siebie Turkmenami, Turkami (*Tiurkmeń, Tiurk*), a wschodni i północni Tatarzy zowią się podług plemion oddzielnych, Nogajami, Uzbekami, Kirgizami i t. d. Niedziw zatém, że Musułmanie w ogóle odrzucają i pogardzają nazwą Tatarów, która u Buryatów i Mongołów ma znaczyć *pobór nieprawny:* oni płacą *jasak*, podatek prawny, i *tatarin* pobór. Zapewnie wyraz *tatarin*, było piérwszém słowem Mongołów-zaborców, i pokazywało cel ich napadów, co oni usprawiedliwili i w skutku, wymagając tylko podatków a nieprzywłaszczając sobie podbitych przez się krajów; tu zdaje się trzeba szukać prawdziwego początku wyrazu *tatar*, zamienionego w naźwisko ludu. W Europie przezwano ich *Tartarami*, dla podobieństwa brzmienia z wyrazem Łacińskim znaczącym piekło; tak ich nazywał Ludwik XI w znaczeniu podziemnego ludu, mieszkającego w tartarze (piekle).

8.

Niepodlega wątpliwości, że przed epoką, w któréj było pisane niniejsze sprawozdanie, w haremach sułtańskich już się znajdywały Polki, porywane przez Tatarów w sąsiednich prowincyach i sprzedawane handlarzom niewolnic. Sułtanka *Churrem* (w Europie), znajoma w Europie pod imieniem Roksolany, z początku *kadyn* pani, a potém *chaseki-sułtan* żona Sulejmana, była rodem z Ukrainy albo Galicyi, i w r. 1524 wydała na świat Selima. Panując despotycznie nad umysłem sułtana zkądinąd samowładnego, wielki wpływ wywierała ona na sprawy państwa, i dziejopisowie Tureccy jéj przypisują niezwyczajne przymioty

umysłu i serca. Umarła w r. 1558, i pochowana w ozdobnym grobowém *turbe* przy dżamii Sulejmanije, w samym środku Stambułu. Jeden z nowoczesnych poetów Otomańskich Fazyl-bej, syn znakomitego Tahyr-paszy z Akki (St. Jean d'Acre), zmarły w r. 1225 hidżry (1810), w poemacie *Zenan-name* (xięga niewiast), opiewając główne rysy charakteru kobiét trzydziestu pięciu rozmaitych narodów, gdzie razem wychwala przymioty, a gani wady ich, tak się odzywa o Polkach w pięciu wierszach, oddzielnie im poświęconych:

„Opisanie przymiotów płci pięknéj narodu Lehskiego."

„Polki! spójrzenie wasze roznieca w sercu nawet pustelnika płomień żądzy, a sploty waszych włosów stają się dlań przepaską w zamian pustelniczego pasa. Niewiasty bowiem Leh'stanu są istoty całkiem wyłączne: lica ich piękne jak róża, kibić ich wyniosła jak cyprys; kiedy idą, postawa ich pełna wdzięku, kiedy mówią, usta ich pełne słodyczy. Każda z nich w sztuce niewieściéj (kochania) jest mistrzynią, duszę swą oddaje przyjacielowi, którego pozyskała dla siebie. A chociaż one są dotyla ujmujące, śliczne, cóż począć, kiedy ich pochodzenie jest Izraelskie (1)?"

W drugim poemacie pod nazwą: *Chuban-name* (xięga pięknych), tenże poeta, w epigrammacie także pięciowierszowym, maluje przymioty Lehek w następujących obrazach:

„Ty, któréj rzuty oczu sprawują pomięszanie w kochanku, nierozdzieraj jego serca przez szacunek dla niego sa-

(1) Poeta użył wyrażenia: „pochodzenie ich Żydowskie" jedynie, aby znaleźć cóś do naganienia, jakby Polki nasze istotnie były niestałe i zwodnicze.

mego. Piękne bóztwa Lehistanu są klęską świata, niepokojem wieku, nieszczęściem czasu.

„Kiedy strzały oczu zdolne są przeszywać wnętrzności, miecz w jego ręku jest rzeczą błahą, na nic nieprzydatną: serce ich kamienne zmiękcza się dla ludzi,—a zatém niemiéj urazy dla takiéj piękności, która porywa serca. Ona już będąc na osóbności, zawiesza dwie lampy przed ołtarzem swego kościoła (1)."

9.

Pod imieniem *rydżal* (właściwie mężczyźni, ludzie) Turcy rozumieją ministrów i dygnitarzy Porty; tu stosuje się do naszych wyższych urzędników, a mianowicie namiestników królewskich czyli starostów, którzy istotnie za Zygmunta I-go poczęli uciskać Tatarów. Właśnie koło téj epoki, kiedy było pisane niniejsze sprawozdanie, ośmielano się jak twierdzi Czacki (Tom 2-gi, str. 133 wyd. Pozn.) brać kunice czyli opłaty od pójścia za mąż, od córek mirzów, i różne wyrządzano gwałtowności. W xiędze 20-tej Metryki Litewskiej na karcie 32, znajduje się list Zygmunta I-go pisany w r. 1537 do wojewody Trockiego, w którym król czyni surowe napomnienie, aby podobne gwałtowności niebyły popełniane (Obacz w materyałach historycznych). Za Zygmunta-Augusta Tatarzy nasi doznawali opieki praw, dawniejsze nadania zatwierdzono i dobra przez nich posiadane zrównano z dobrami szlacheckiemi. Lecz

(1) To jest na votum zamążpójścia. Użyty w tych wierszach wyraz *mecz* w znaczeniu miecza *kyłydż*, wzięty jest z naszego języka i używa się w języku Otomańskim. Jest oprócz tego kilkadziesiąt innych wyrazów pożyczonych u Polaków, które objaśniłem w Słowniku źródłosłowowym wyrazów Polskich, pochodzących z języków Wschodnich.

smutna kolej na nich przyszła z początkiem panowania Zygmunta III-go: wtedy nietylko że poczęto ich znowu uciemiężać, ale otwarcie prześladowano prawami tchnącemi nienawiścią, łżono i nawet palono jako czarnoxiężników. (Rozprawka J. W. Bandtkie o Tatarach mieszkańcach Królestwa Polskiego, w Album Literackiém, Warszawa 1848).

10.

Przepowiednia naszego Tatara na nieszczęście sprawdziła się w późniejszych czasach: albowiem już w skutek prześladowań za Zygmunta III-go, jużto w skutek wojen i ustąpienia Turków z Podola, wiele rodzin Tatarskich, oddawna osiadłych, przeniosło się z kraju naszego do państwa Otomańskiego. Z takich to wychodźców utworzyły się tam trzy kolonije, które po-dziś-dzień odznaczają się od Turków typem i strojem; jedna z tych osad zamieszkuje płaszczyznę ***Dobrudzy*** w Bulgaryi, na brzegach Dunaju, druga osiadła w okolicach Brussy (w Azyi), w ejalecie czyli prowincyi Chodawendgiar, trzecia usadowiła się przy zejściu rzeki ***Kyzył-yrmak*** (rzeka czerwona), starożytnego Halys, w małéj Azyi. Ludność Tatarska tych trzech osad wynosi, podług urzędowych statystycznych sprawozdań, około 36,000 dusz. (Lettres sur la Turquie par Ubicini, 2-de édition, Paris 1853, str. 23). Niedziw zatém, że osady Tatarskie niegdyś ludne w naszym kraju, w przeszłym już wieku liczyły zaledwo kilkanaście lub kilka tylko rodzin, a dzisiaj w niektórych i śladu nawet niepozostało Tatarów. Piotr Czyżewski w dziełku: Alfurkan Tatarski na czterdzieści części podzielony, w § 18 pisze, że za jego czasów (koło r. 1616) znalazłoby się 10,000 Tatarów Litewskich do potrzeby godnych, a dzisiaj całkowita ludność Tatarów, jak obliczymy niżéj, w gubernijach zachodnich i Królestwie Polskiém niedochodzi sześciu tysięcy dusz.

11.

Przez stolicę tego państwa, *Kursi-i memleket* bez wątpienia rozumie pisarz miasto Wilno, gdzie dotychczas na przedmieściu Łukiszkach stoi mały meczet drewniany, którego architektura zupełnie nosi cechę Wschodu, rysunek zaś jego załączony w Tomie 3-m dzieła Kraszewskiego: Wilno od początku jego do r. 1750 Wilno 1841. W wyżéj przytoczonym liście Polaka do Dawida Chytreja, pisanym w r. 1581, a który znajduje się w zbiorze Gwagnina, jakoteż w zbiorze Elzewirskim: Russia sive Moscovia itemque Tartaria, Lugd. Batav. 1630, już opisuje się meczet Tatarski blizko Wilna, to jest na przedmieściu Łukiszkach, w następujących wyrazach: „Hi (t. j. Tartari) uno a Vilna milliari, ad fluminis Veliae ripas, gurgustia aliquot et pagum amaenissimo loco situm habent. Huc ego XII. Kal. Jul. cum Joanne Gamrato Stralsundino, mercatore et cive Vilnensi exspaciatus, delubrum eorum intravi. In illo certe, nec alicujus Divi, nec atri doemonis simulacrum ullum videtur. Nudi ubique parietes. Area tamen pictis tapetis instrata est. Die Veneri dicata semper ad sacra conveniunt, ea, uti opinor, de causa, ut significent neque Judaeorum superstitiones, neque Christianorum nomen et religionem sibi probari. Delubrum nulli nisi discalceato ingredi licet. Campanarum boatum minime tolerant."—i t. d.

12.

Kyrk-tatar, co znaczy czterdzieści tatarów, jest dosłównym przekładem nazwy Sorok-tatarów, wsi położonéj w powiecie Wileńskim. Sama nazwa świadczy, że to musiała być kiedyś liczna osada Tatarów: przez liczbę bowiem *sorok* czterdzieści u Słowian oznacza się w ogólności wielka liczba czegoś, to samo i w językach wschodnich.

Jest podobne naźwisko od takiejże liczby miasta w Turcyi Europejskiéj, w ejalecie Sylistryi, ***Kyrk-kilisija***, czterdzieści kościołów, a które dziś niema żadnego starożytnego kościoła, od których wzięło swoje imie; Grecy nawet są tam nieliczni, mieszkańcy składają się z Turków, Ormian i wielu Żydów, przesiedlonych niegdyś z Podola. Takoż w Krymie ***Kyrk-er***, czterdzieści mężów zamek, blizko ***Bakcze-seraju***, dokąd Mengli-Girej raniony od Nogajów schronił się, i ztąd pisał do króla Zygmunta I-go, w aktach Ruskich zowie się ten zamek ***Kupkopz***, ***Kirkor***. Michalon w dziełku De moribus Lithuanorum frag. VII, mówi, że wieś Sorok-tatarów wzięła początek od 40 synów Tatarzyna Omeldesza (Jaroszewicza Obraz Litwy część 2-a, str. 202). Nazwa tego Tatarzyna jest czysto Tatarska, co mówi dosyć na stronę świadectwa Michalona. Jeden z potomków Dżagataj-chana, w państwie Ma-wara-annahr (Transoxanii) nazywał się także Emel, w wymawianiu Tatarskiém Omel, Amul, właściwe zaś imie jego było Isan-boga-chan, przezwany ***Emel-chodża***. ***Emel*** znaczy nadzieja, żądza, a ***tasz*** kamień; zatém ***Omel-desz*** (Emel-tasz) znaczy twardy, jak kamień, w nadziei, w żądzy.

13.

Wakja, jak w texcie napisano, znaczy po-Arabsku wypadek, zdarzenie: będzie to niezawodnie nazwa wsi ***Waka***, leżącéj w powiecie Wileńskim, przedtém w województwie Trockiém, nad rzeką ***Waką***, zkąd i wzięła imie. Była tam niegdyś liczna osada Tatarów, których, jak nasze dzieje świadczą, osadził tam Witowd, z jeńców nabranych w wyprawie na Tatarów za Don przedsięwziętéj w r. 1396. Jan Krasiński w dziele p. t. Polska, wspomina o Wace w te słowa: „Niedaleko Wilna nad rzeką Waką mieszka-

ją Tatarzy, lud Scytyjski, trudniący się rolnictwem i Mahometańskim przesądom oddany. Witowd w. ks. Litewski ich sprowadził z ich kraju wraz z żonami i dziećmi i w środku Litwy osadził w r. 1396 (str. 102 przekładu Budzińskiego Stan. Warszawa 1852). Dziś w téj wsi zostało tylko kilka domów Tatarskich.

14.

Jeni-szehir, po-Turecku znaczy ***nowe miasto***: podobno i to także będzie dosłównym przekładem nazwy miasta ***Nowogródek*** w Litwie, gdzie i po-dziś-dzień Tatarzy mieszkają. Turcy lubią imiona właściwe obcych języków albo przekształcać na blizko brzmiące Tureckie, albo tłómaczyć je dosłównie lub przez omówienie, i tak ze Stambułu zrobili ***Istamboł***, obfity w Islam, t. j. miejsce gdzie kwitnie Islam, Olymp Bitynii zowią ***Leszisz-datuj***, górą mnichów, wyspę Chijo ***Sakyz***, wyspa mastyxu, Rzym ***Kyzył elma***, jabłkiem czerwoném, od galki na bazylice św. Piotra, Amerykę ***Jeni dunia*** nowym światem i t. p.

15.

Na podobieństwo innych naszych miast, przekręconych na brzmienia wyrazów wschodnich, nazwa ***Turk*** czy ***Terk*** zdaje się odpowiadać nazwie miasta Trok. Jeśli czytać ***Turk*** znaczy Turczyn czyli dziki mieszkaniec Azyi z plemienia Tureckiego, jeśli zaś ***terk*** znaczy po-Arabsku zaniechanie. W przekładzie Rusko-Polskim listu Tochtamysza, chana złotéj Hordy, do Władysława Jagiełły, wspomina się już miasto Troki „**и наши посли нашли ва** (васъ) **под городомъ под *Троки* стоячи.**“ W Trokach zaś ulica Tatarska świadczy o bytności tam już w czasach daw-

niejszych Tatarów. Kromer w xiędze 1éj opisu Polski o meczecie Trockim mówi następnie: „w Trockiéj ich (Tatarów) bożnicy przed laty widzieliśmy za cały sprzęt kościelny jeno turban, czyli czapkę, jakich pospolicie ów narod używa, położoną na wzniesieniu.“ (Polska Marcina Kromera, przekład Władysława Syrokomli, Wilno 1853 str. 67.).

16.

Gdzie niéma przy meczetach wież dla zwoływania na modlitwę kanoniczną, a które się zowią po-Arabsku *ma'a dana*, po-Turecku *minaretami*, *ezan* czyli wezwanie uroczyste na taką modlitwę ogłasza się na schódkach lub przy drzwiach meczetu, czy izby, na ten cel przeznaczonéj; praktykuje się to zwłaszcza w domach zajezdnych, w pałacach magnatów i dygnitarzy, i dla tego utrzymują oni prywatnych imamów i muezzinów, jakby kapelanów, wybranych przez nich z prostych obywateli dla przewodniczenia nabożeństwu. Każda modlitwa kanoniczna, nawet koniecznie powinna być poprzedzoną ezanem, albowiem ezan jest ustanowiony przez samego założyciela Islamu. Kiedy Muhammed schronił się do Mediny, uczniowie jego naradzali się nad sposobami obwieszczania ludowi czasu, w którym ich prorok dopełniał najpiérwszego obowiązku religijnego, t. j. modlitwy. Chorągwie, dzwony, trąby, ognie były kolejno podawane na takie sygnały; lecz żadne z tych narzędzi niezostało przyjęte: odrzucono chorągwie jako nieprzyzwoite świętości przedmiotu, dzwony żeby nienaśladować Chrześcijan, trąby jako narzędzie właściwe obrzędom Żydowskim, ognie nakoniec aby niemieć żadnego stosunku z Czcicielami ognia. Wtedy jednemu z uczniów na imie Abd-allła ben Zejd Abderyje pokazał się we śnie, jak głosi legenda Musułmańska, duch niebieski ubrany w sza-

ty zielone, oświadczając mu, iż naucz go najlepszego w tym względzie sposobu: wstępuje na taras domu i wymawia ezan donośnym głosem w tychże samych wyrazach, które odtąd używają się dla ogłaszania pięciu godzin kanonicznych. Obudziwszy się Abd-ałła, pobiegł oznajmić to swemu mistrzowi, który go osypał błogosławieństwy i upoważnił drugiego ucznia, Bilal Habessy, spełniać na tarasie swego domu ten dostojny urząd pod tytułem Muezzina. (Tableau général de l'Empire Ottoman par d'Ohsson, Paris 1788, T. 2, str. 108 i 176).

17.

Kobiety, podług prawa Musułmańskiego niemogą modlić się razem z mężczyznami, a tém więcéj stać z nimi w jednym szeregu, z obawy żeby ich obecność nienaruszyła prawideł przystojności i wstydu. Prawo w ogóle do grona mężczyzn nieprzypuszcza kobiét, chyba w pewnym już wieku, ztąd to i niewidać ich w meczetach; jednak tam mogą być dla płci żeńskiéj oddzielne loże z żaluzyami, lecz wzniesione nad głównemi drzwiami. Tym sposobem niewiasty, które są przytomne na modlitwie, stanowią ostatnią klassę zgromadzenia wiernych; lecz one na nabożeństwo nieschodzą się nigdy razem, bądź w meczetach, bądź gdzieindziéj. Niéma też u Moślimów klasztorów, domów, towarzystw religijnych żeńskich. Zazwyczaj prawie wszystkie kobiety, bez różnicy stanu i godności, spełniają przepis namazu w swoich domach, i to każda na osóbności. W niektórych meczetach naszego kraju i dziś są osóbne przegródki dla kobiét. Szpilewski w wycieczce po Polesiu i Białej-Rusi, opisując drewniany meczet w Mińsku, powiada, iż dzieli się na dwa oddziały, męzki i żeński, rozdzielone między sobą kratkami: wewnątrz niéma żadnych oz-

dób, prócz baldachimu dla mułły w oddziale męzkim, podłoga zasłana sukiem zielonem, a przy ścianach postawione zedle dla przychodzących. Oprócz tych dwóch przedziałek, albo izb, jest jeszcze cóś, w rodzaju przedpokoju, gdzie Tatarzy zostawują obówie, albowiem stosownie do przepisów prawa niemogą wchodzić w bótach do meczetów. (Современникъ, Октябрь 1854.)

18.

Zygmunt August, mówi Jęd. Moraczewski, polubił tak dalece rozmowy i spory w rzeczach wiary, że czasem wkoło niego cztery religije znaleźć było można, a utrzymywał, że to wszystko jeden Bóg, jedna wiara, jeden chrzest, i stał już z Kalwinem w korespondencyi. (Dzieje Rzeczypospolitéj Polskiéj z piérwszéj połowy szesnastego wieku, Poznań 1847, str. 204). Właśnie w tymże czasie na sejmie zwyczajnym w Warszawie, zapewniono posłom Pruskim, że w naszéj wierze przeciwieństwa doznawać niebędą. Podobne upewnienią otrzymały Gdańsk, Toruń, Elbląg, i odtąd nowa nauka przynajmniéj w Prusach, stała się wyznaniem religijném. Niedziw, że i Tatarom wtedy było lepiéj.

19.

Ówczesne stosunki dworu Moskiewskiego z Litewskim, z przyczyny interesów Krymu, lepiéj wyjaśniają i opowiadanie naszego pisarza i stan samych zatargów. Streścimy je tutaj podług wypisu zrobionego przez professora Sołowjewa z głównego archiwum Moskiewskiego, należącego do ministerstwa spraw zagranicznych. W lipcu 1495 roku, przyjechał z Litwy do Moskwy gońiec Jadro z wiadomością, że chan Krymski Mengli-Giréj idzie na Litwę,

i król Alexander prosi wielkiego xięcia o pomoc. W skutek czego Joann przez gońca swego Tretjaka Dalmatowa zapytywał króla Alexandra, czy Mengli-Giréj wyszedł już z Przekopu, jaką drogą idzie i kiedy może być w Litwie, ażeby na czas stanąć z posiłkami. Alexander na to odpowiedział, że jeszcze Mengli-Giréj niedoszedł do Dniepru, i jak tylko będą wieści pewniejsze, zawiadomi o tém wielkiego xięcia. W styczniu następnego roku 1496 wyruszył do Alexandra nowy poseł, Tretjak Dalmatow, ze skargą, że w Litwie zatrzymali posła Tureckiego i kupców jadących do Moskwy. Z odpowiedzią na to poselstwo Alexander przysłał Fiedka pisarza, który objawił że poseł Turecki niezostał wypuszczony jako podejrzany o szpiegowanie. W maju zaś tegoż roku Joann wyprawił do Litwy Jaropkina z zawiadomieniem, że Stefan hospodar Multański i Mengli-Giréj gotowi są pogodzić się z Litwą; było też poruczono Jaropkinowi domagać się uwolnienia posłów Tureckich, Krymskich i Multanskich, i oświadczyć, że usprawiedliwienie się Alexandra względem zatrzymania posła Tureckiego niema zasady. „I do króla Kazimierza, mówił on, przyjeżdżają posłowie z Turcyi, i także wiele kupców (gości) chodziło do waszéj i naszéj ziemi bez żadnéj przeszkody. My z tobą zostajemy w miłości, przymierzu, dobrych stosunkach i w pokrewieństwie, a ty posłom i kupcom niepozwalasz do mnie jeździć!“ Alexander odpowiedział: „Teść nasz mówi o wszystkich sprawach, lecz o naszych milczy, jakie nam krzywdy się dzieją. Jeśli nasz teść chce, żebyśmy byli w pokoju z Krymem, Wołochami, niechże mi wynagrodzą krzywdy nam przez siebie wyrządzone.“

W czerwcu 1497 r. z Litwy przyjechał poseł Iwaszko Sopiehin z wezwaniem uzbrajać się na pogany. Joann

obiecał swą pomoc, i wysłał do Litwy Zagrażskiego zapytując, dokąd idzie pogaństwo, i jaką drogą Joann ma pomagać Alexandrowi? W lutym 1498 r. posłany był do Litwy Iwan Teleszow z nowemi skargami na zatrzymanie posłów i kupców (gości), gdyż Litwini nieprzepuścili w Putywlu posła Moskiewskiego Pleszczejewa, wracającego z Turcyi. Alexander odpowiedział, że poseł i kupcy są już wypuszczeni, a z początku byli zatrzymani dla tego tylko, że razem z nimi przyjechali Tatarzy, którzy poczęli rabować okolice Putywla. W marcu zaś Alexander posyłał swego człowieka, Bazylego Bokieja, ze skargą na tegoż Pleszczejewa, który przyprowadził z sobą Tatarów do Putywla. Bokiejowi odpowiedziano: że Tatarzy schwycili samego Pleszczejewa i gwałtem przyprowadzili go do Putywla, wtedy kiedy on chciał jechać polem prosto do granic Moskiewskich. W lipcu 1498 r. z Litwy przyjechał do Moskwy Stanisław Kiszka ze skargami na Mengli-Gireja i Stefana Wołoskiego, że oświadczając się z pokojem, pustoszą włości Alexandra. Joann odpowiedział: „Alexander prosił pomocy przeciw poganom i myśmy obiecali posiłki; ale ta prośba była tylko podejściem, żeby ukryć przed nami swoję wyprawę na naszego przyjaciela Stefana Wołoskiego. Prosiliśmy więc króla, żeby on nieszedł na Stefana: wprawdzie on sam nieposzedł, lecz posłał swe wojsko. Alexander żąda, abyśmy, na mocy przymierza, pogodzili go z Mengli-Girejem i Stefanem, a sam niezachowuje przymierza. Ale my, pomnąc na nasze pokrewieństwo, że nasza córka za nim, wysyłamy do Mengli-Gireja i do Stefana, z tém, aby się pogodzili z nim, chociażby nam i niewypadało posyłać, kiedy on sam narusza przymierza“.

W sierpniu 1499 r. przyjechał do Moskwy wielki po-

seł z Litwy, Stanisław Hlebowicz, przez którego oznajmił Alexander, że nakoniec zawarł przymierze z hospodarem Stefanem, i zapraszał Joanna do powszechnego związku państw Europy wschodniéj przeciw Turkom na obronę Multan mówiąc: „albowiem i sam brat nasz może pojmować, że państwo wojewody Stefana, jest brama wszystkich Chrześcijańskich ziem naszéj wyspy. Niedaj tego Boże, żeby je zachwycił sułtan". Poseł skarżył się także, iż Joann znosił się z Mengli-Girejem na szkodę Alexandra, na co Joann odparł, że i Alexander posyła do chanów Ordyńskich, nieprzyjaciół Moskiewskich, podburzając ich przeciw Joannowi i Mengli-Girejowi.

Nakoniec w grudniu tegoż roku Joann posyłał Mamonowa powiedzieć Alexandrowi, że Mengli-Giréj chce pokoju z Litwą i przedstawi punkta swych wymagań. Podług tych punktów powinny płacić daninę Krymowi następujące miasta i miasteczka: Kijów, Kaniów, Nestobrat, Dascho, Jaro, Czanam, Boldaw, Kulzan, Baryn, Czałbasz, Czerkask, Putywl, Lipiatin. Mamonowi polecono było dopilnować, żeby Alexander dał odpowiedź, póki posłowie Mengli-Gireja są jeszcze w Moskwie. Alexander odpowiedział: „Niechaj sam Joann pomyśli i da nam swą radę, jak nam postąpić względem Kijowa i innych naszych miast; czy przyzwoita to rzecz, żeby Mengli-Giréj chciał od nas tego, czego jego przodkowie nigdy nieżądali od naszych przodków? Pomówimy z radą i przyszlemy naszego posła, a wielki xiążę niech do tego czasu zatrzyma u siebie posła Mengli-Gireja". Na tém się i skończyły stosunki między dwóma dworami w wieku XVtym z powodu spraw Krymskich. (Обзоръ дипломатическихъ сношеній Московскаго Двора съ Литовскимъ во второй половинѣ XV вѣка, Пр. Соловьева, въ Журн. Минис. нар. Просв. Апрѣль 1854 г.).

20.

Piszący ten pamiętnik na początku 1558 r. trafne robi pojęcie o ówczesném połączeniu, jeszcze na wiele lat przed ostateczną uniją, dwóch narodów przez Litwę, która lubo i okazywała uprzednio dążność do niezawisłości jednak dając Polsce króla przez to samo utrzymywała się przy Polsce; a że i Polakom szło o to, aby Litwę zatrzymać przy królestwie, przeto nietrudno było wielkim xiążętom Litewskim otrzymać tron Polski.

Dla tego oba kraje nasz pisarz nazywa ***kyrałłyk, kralłyk***, co oznacza właściwie posiadłość, godność, dostojeństwo króla, od wyrazu przyjętego z języka Polskiego ***kyrał, kral***, co niekoniecznie znaczy króla, ale w ogóle władzę:—i tak, xięcia Siedmiogrodu zowią też ***erdel kyraly***, siedmiu elektorów dawnego cesarza Niemieckiego zwano ***jedi kyrał*** siedmiu królami, a ztąd cesarza Niemieckiego ***jedi kral baszy***, głową (naczelnikiem) siedmiu królów; wyraz zaś ***wilajet***, którym zowie Litwę, oznacza kraj mający oddzielny zarząd. U dziejopisów i geografów Musułmańskich, zwłaszcza Tureckich, Litwa zawsze się uważała za jedno z Polską, pod jedną nazwą ***Lah, Leh*** po-Arabsku (Lechija), ***Lehistan*** po-Persku (królestwo Lehów), ***Leh memleketi*** po-Turecku (królestwo Lehów); ***Leh-kraly*** w języku Tureckim zowie się ogólnie król Polski (***Leha***, Lechii). W przekładzie z narzecza Dżagatajskiego (wschodnio-Tureckiego) na zachodnio-Ruskie jarłyka czyli listu chana złotéj Hordy, Tochtamysza, do Władysława Jagiełły, pisanego r. 795 hidżry miesiąca Redziba 8 d. a naszego 1393 r. 20 maja, Jagiełło zowie się królem Polskim „Слово Тактамышево къ королеви Польскому", w oryginale zaś prosto zowie: Jagiełło-chan ***Jagajłło-kan***. W przekładzie Polskim, znajdującym się na odwrótnéj stronicy Ruskiego tłómaczenia, pi-

sze się: „Copia listu do króla Polskiego od cara Tartarskiego"; w samym zaś liście wspomina się w obu tłómaczeniach o pośle Litwinie wysłanym uprzednio od Jagiełły do Tochtamysza: „**вы на послали есте кнамъ посла вашего Литвина на имя Невоиста**"; „wyście też posłali do nas posła waszego Litwina, imieniem" (zostawiono miejsce czyste dla dopisania imienia Niewoista). W oryginale niéma wyrazu Litwin a tylko prosto poseł. Lecz nie podlega żadnéj wątpliwości, że Ruskie tłómaczenie listu Tochtamysza jest spółcześne oryginałowi i dokonane zostało w kancelaryi chańskiéj pod okiem samego chana, albo zarządzającego wydziałem spraw z dworami zagranicznemi. Przekład ten w ogóle wiemy, dodatki zaś, znajdujące się w nim, mogą dowodzić, że w owocześnym języku Tatarskim niebyło osóbnych wyrazów na oznaczenie króla Polskiego i Litwina, przeto i w oryginale zostały wypuszczone, tém bardziéj, że Jagiełłę nazwał tytułem równym sobie, to jest chanem, czém sądził iż lepiéj się jemu przypodoba i więcéj go uczci. Jarłyk wspomniony został odszukany przez x. M. Oboleńskiego w archiwum głównem ministerstwa spraw zagranicznych w Moskwie, i wydany w Kazaniu w r. 1850 z nowemi tłómaczeniami i objaśnieniami professorów Kowalewskiego, Kazembeka i Berezina. Wkrótce ogłoszę mój przekład tego ważnego dokumentu dyplomatycznego, a różniący się w bardzo wielu miejscach od moich poprzedników.

Sama także nazwa Polski ***Lah, Leh, Lehistan*** u dziejopisów wschodnich zjawia się w poźnych czasach, w wieku czternastym. Piérwiéj Arabowie wszystkim narodom i ludom Europy dawali naźwisko Afrandż wzięte od imienia Franków (Francuzów), którzy im byli więcéj znani od innych, z powodu wojen Krzyżowych w Egipcie i Palestynie: ztąd w Arabskim

Afrandż, Efrendż, Frendż, w Perskim *Efrenk, Frenk, Firenk*, jest to imie rodowe i oznacza w ogólności wszystkie narody Europy, przymiotnik *Afrandżij*, Frengi (Frank) Europejczyka, *Afrandżja* Europę. Kiedy już nabyli dokładniejszych wiadomości o Chrześcijańskich ludach Zachodu i Północy, poczęli wtedy narody Europejskie odróżniać właściwemi nazwami,— i tak Francuzów zowią *Fransami, Fransini*, Hiszpanów *Audalus*, Niemców *Nemse*, Słowian *Sakłab* w liczbie pojedynczéj a *Sakaliba* w mnogiéj, Rossyan *Rus*, Polaków *Leh*. O Litwie mogą być wzmianki także w wieku czternastym u Arabów, a mianowicie u historyka Ibn-ul-wardj (zm. r. 749 hidżry, 134⅝ naszéj ery) pod nazwą *Atwal*, i u Szems-ed-din pod nazwą *Al-Litabija* (794 r. h. 1392 n. ery), jeśli się niemylimy w czytaniu tych naźwisk w rękopismach Arabskich, gdzie najczęściej pochodzą błędy od samych przepisywaczy, a to przez zamianę głosek do siebie podobnych, albo też kropek, któremi rozróżnia się między sobą większa część głosek. Takowe miejsca, stosujące się do Litwy, są wypisane w dziełach: Frena Ibn Foszlan's und anderer Araber Berichte über die Russen älteres-Zeit. S.-Petersburg, 1823 str. 170, 171, 172 i 193, oraz: Charmoy Relation de Mas'oudy et d'autres auteurs Musulmans sur les anciens Slaves, w Mémoires de l'Academie Imp. des sciences de S.-Petersbourg, VI serie T. 2, 1834, str. 354.

21.

O rozmaitości nabożeństw w owym czasie w Polsce Łubieniecki Andrzéj w Polonentichii, tak się odzywa: „Co największa i najdziwniejsza, w nabożeństwie nigdy przedtém, ani potém wielkiego poróżnienia niebyło, jako za króla Augusta, naprzód między religiją Rzymską Katolicką, a

między heretykami, którzy się byli bardzo zagęścili, zmocnili i w senacie przedniejsze miejsca mieli, także i między posły ziemskimi" (str. 37, Lwów 1843),— i daléj (na str. 41): „Wspomina x. Sulikowski (w mowie pogrzebowéj po tym królu), iż w innych krajach o jedne albo dwie opinije wojny wielkie się toczyły, gdzie, powiada, królestwo kwitnące domowemi wojnami wzruszone, zacne domy i kościoły, wielkich ludzi pokoje i łożnice krwią polane, miasta i klasztory poburzone i wolności potracone, a u nas widział to i on, co zamięszania było w nabożeństwie wonczas, iż od początku świata, w tak krótkim czasie, w dziesięciu tylko lat ostatnich panowania Augustowego, w tak małym kącie świata, jak jest nasz kraj, nigdzie podobieństwa niewidzimy tego co tu, żeby w kupie tak wiele różnych nabożeństw, Rzymskich Katolickich, Greckich, Ormiańskich, Żydowskich, Karaimskich i Tatarskich, a nawet pogańskich, jakie są w kraju naszym. Samych heretyckich naówczas było kilkadziesiąt, i dość potężnych, co miały niektóre z nich ludzie uczone i możne po sobie."

22.

Stosuje się to niechybnie do wyprawy Inflanckiéj w r. 1557. Na początku lipca tego roku król ruszył z Wilna ku Inflantom, żeby uwolnić brata ciotecznego Wilhelma arcybiskupa Ryskiego, osadzonego przez mistrza Henryka Gallena w więzieniu, i stanął pod Pozwolem z ogromną siłą, we sto cztery tysiące zbrojnego ludu; lecz za pośrednictwem Ferdynanda króla Rzymskiego i xiążąt Pomorskich nastąpiła ugoda 14-go września 1557 r., po któréj mistrz ukląkł i przeprosił króla, a arcybiskup dziękował za swobodę. (Moraczewski, Dzieje Rzeczypospolitéj Polskiéj, część IV, str. 221.)

23.

Pod imieniem ***Beków*** pisarz rozumie przedniejszych Tatarów, czyli tak zwanych kniaziów w przywilejach naszych królów i mirzow w statutach. U Tatarów Hordy złotéj (Kypczaku), ***Beg*** wyraz Turecki oznaczał każdego xięcia, to jest wyższego urzędnika wojskowego, i takimi byli ***tuman-begi,*** naczelnik tumanu (ćmy, 10,000), ***ming-begi,*** tysiącznik-beg, ***juz-begi*** setnik-beg i ***un-begi*** dziesiątnik-beg; a zatém pod imieniem xięcia ordyńskiego, noszącego tytuł ***bega,*** należy pojmować każdego posiadającego wyższe dostojeństwo wojskowe, i u nas kniaziowie Tatarscy musieli być potomkami takich to rodzin Tatarskich, pochodzących z Hordy złotéj czyli ordyńskich.

U Turków Otomańskich, Osmanów, ***Beg,*** pospolicie ***Bej,*** oznaczał posiadacza nadania lennego i gubernatora obwodu (których oznaką godności był jeden buńczuk), oraz synów paszów, dowódzców okrętów i galer, i każdego znakomitszego cudzoziemca.

Mirza wyraz Perski przez skrócenie zamiast ***Emirzadè,*** urodzony (syn) z emira, albo osoby mającéj władzę rozkazywania. Powiedzieliśmy już wyżéj, iż wyraz mirza umieszczony po imieniu oznacza w Persyi xięcia z familii panującéj, ***np.*** Chosrew-mirza, jak to niegdyś służyło dla potomków Timura,—położone zaś przed imieniem znaczy prosto pan; lecz w Krymie mirzowie byli niżsi stopniem od kerim-bejów (xiążąt), członków rady chana, jednak i oni uczęstniczyli także w radzie: ztąd mirza, inaczéj murza, musiał być to tytuł dodawany do imion rodzin zacnych, pochodzących od Tatarów Krymskich, i równa się prawie bejom Tatarskim, albo naszym kniaziom. Oprócz tego, nasze prawa do przedniejszych Tatarów, czyli do starszyzny

Tatarskiéj zaliczają też ułanów „Gdyby który Tatarzyn celniejszy, jako to: ***kniaziowie, murzowie, ułanowie***" i t. d. (w drugim układzie Statutu Litewskiego,— u Czackiego, o Litewskich i Polskich prawach, część 2, str. 131, wyd. Poznańs. —w Konstytucyi r. 1775). „Tatarowie, mianowicie zacnego rodu kniaziowie, murzowie, ***ułanowie*** i wszyscy Tatarowie, którzy na ziemskich dobrach mieszkają" i t. d. (Vol. Leg. VIII. str. 650). ***Ohłan'*** po Turecku a ***uhłan'*** po-Tatarsku znaczy: chłopię chłopiec, paź, a postawiony po imieniu właściwém Tureckiém albo Mongolskiém, odpowiada wyrazowi Perskiemu ***mirza*** i oznacza xiążąt ze krwi chanów. Uhłany (ułany) składali jakby wyższą szlachtę ordyńską, mającą posiadłości ziemskie, to jest ułusy (udziały), należącą do obierania chanów i zajmującą rozmaite wyższe urzędy. Od tego słowa Uhłan poszła nazwa konnicy, ułanow (uhlan, hulan, ułan, hułan). U naszych Tatarów pod imieniem ułanów należy rozumieć potomków uhłanów chańskich, którzy posiadali ułusy (udziały), a którzy następnie tak zdrobnieli, że okolice zostały osiedlone ułanami, jak naszą drobną szlachtą, i nazwa ułanów stała się tam li tylko nazwiskiem rodowém. Z tego wszystkiego wynika następna klassyfikacya naszéj starszyzny Tatarskiéj w nazwach, powtarzających się w naszych prawach: 1-ód ***Kniaziowie***, są to rodziny xiążąt domu chanów, oraz wyższych urzędników wojskowych ordyńskich, 2-re ***Murzowie*** potomkowie rodzin szlachetnych pochodzących od Tatarów Krymskich i 3-e ***Ułanowie*** potomkowie jakby szlachty ordyńskiéj, która posiadała swe ułusy.

Prawa nasze wspominają jeszcze ***Chorążych*** i ***Marszałków*** Tatarskich,—i tak w przywileju Zygmunta-Augusta z r. 1568, potwierdzającym prawa i swobody Tatarów, mówi się: „Oznajmujem sim listom naszim..... Kniaziem, Ula-

nom, ***Chorunżym, Marszałkom*** i wsim Tatarom kotoryje osiełosti..... majut." W przywileju Zygmunta III z r. 1609: „poddanyje naszy, Kniazi, Ułanowie, Murzy, ***Chorunżyje, Marszałkowie*** i wsi Tatarowie w panstwie naszom osiełostju mieszkajuczyje i t. d.;" toż w innych poźniejszych (obacz w dokumentach). W Polsce jazda dzieliła się na chorągwie, chorągiew' wojskową piastowali chorążowie; liczba żołnierzy w każdéj chorągwi niebyła jednostajną ani stałą, lecz się odmieniała według pewnych odrębnych prawideł. W Litwie zaś szlachta niższa, t. j. ziemianie i bojarowie, mniejsze a często bardzo małe posiadłości, już dziedziczne, już nadane mający, we względzie militarnym dzielili się na chorągwie czyli małe powiaty, podobne do dawniejszych powiatów Żmudzkich. Ślad takowego podziału postrzegamy w tranzakcyach szlacheckich z piérwszéj półowy XVI wieku, i w uchwałach Wileńskiego sejmu 1554 r., gdzie jest wzmianka o chorąztwach: Ejszyskiém, Raduńskiém, Wasiliskiém, Somkliszskiém i Kurkielskiém, a wszystkie trzy Statuty Litewskie wyszczególniają prawa i obowiązki chorążych powiatowych. (Narbutt, Dzieje narodu Litewskiego, t. IX. str. 446 i 447, w notach). W rewizyi dóbr na służbie wojennéj Tatarom w. x. Litewskiego nadanych, a za uchwałą Konstytucyi r. 1628 i 1629 przez Jana Kierdeja koniuszego Wileńskiego, pisarza ziemskiego Oszmiańskiego, sporządzonéj, i na sejmie Warszawskim r. 1631 podanéj, liczy się sześć chorągwi Tatarskich czyli chorąztw: 1) Ułańskie ściahu Grodzieńskiego i Oszmiańskiego; 2) Juszyńskie ściahu województwa Trockiego; 3) Najmańskie ściahu województwa Wileńskiego; 4) Jałońskie ściahu Nowogródzkiego; 5) Kondrackie ściahu Mereszlańskiego; 6) Baryńskie ściahu Nowogródzkiego. Nad każdą chorągwią, składającą się, jak mówi Kierdej, z familij, które

różnemi czasy z Hordy do w. xięztwa Litewskiego przeszły, był oddzielny chorąży (zobacz w dokumentach). *Ściah*, *стягъ*, wyraz stary Ruski oznaczał chorągiew', u Nestora używa się *ставить стяги*, stawić ściahi, w znaczeniu szykować półki pod chorągwie t. j. do boju, ztąd *стяговый*, ściahowy, należący do ściahu, i *стяговникъ*, ściahownik, niosący ściah, chorągiew'. Przedtém w Litwie każdą chorągiew' nazywano ściahem, w późniejszym czasie kilka ściahów pomieszczono w jednéj chorągwi, z powodu zmniejszenia się ludności Tatarskiéj. Na chorąztwo król dawał przywiléj; jeden z takich przywilejów jest Zygmunta III Kasimowi Murzie Baryńskiemu chorążemu ściahu Nowogródzkiego, w r. 1623 dany, ważny z tego względu, iż służy za dowód, że nasi Tatarzy chodzili na wojny przeciw Tatarom i Turkom, czyli, jak przywiléj mówi, przeciw nieprzyjaciołom Krzyża świętego. (Obacz między dokumentami). Obowiązkiem tych chorążych Tatarskich, było pospolite ruszenie Tatarskie odprowadzać do wojewody lub wprost pod rozkazy hetmana. Jak urząd chorążego był wojenny, tak urząd marszałka był ziemski i właściwy tylko Litwie. Pisma urzędowe już o marszałkach ziemskich pod r. 1499 i 1501 wspominają (Lengnicha Prawo pospolite Królestwa Polskiego, Kraków 1836, str. 332).

Od czasów Zygmunta Augusta na zjazdach (sejmach) Litewskich, zaczęli marszałkowie reprezentować urzędników a później szlachtę, jak chorążowie stan wojskowy i rycerstwo. (Jaroszewicza Obraz Litwy, część 2. str. 58). Tatarzy też Litewscy zdawna mieli swych marszałków nad ściahami. W Metryce Litewskiéj znajduje się przywiléj króla Alexandra, dany Kiełdyjarowi marszałkowi Tatarskiemu r. 1505 kwietnia 7 dnia, na dwie służby ludzi z włości Nowogródzkiéj, oraz przywiléj króla Zygmunta I-go, dany

r. 1540 maja 15 d. kniaziu Machmetu Ułanu (włanu) Osanczukowiczu na urząd (wrad) marszałkowski (marszałstwa) nad ściahem Ułanów Asanczukowiczów. (Oba te przywileje między dokumentami).

W tejże Metryce znajdują się list Isupu Dankowiczu Tatarynu na marszalstwo Tatarskoje stiahu Aiłairskoho z r. 1546 (N. 31 f. 90). List Asanu Włanu na marszalstwo nad stiahom ulanow Asanczukowiczow z r. 1549 (N. 31. f. 242).

Obowiązkiem zaś marszałków Tatarskich było, jak przywiléj Zygmunta I. opiewa, w ***Stiahu sia riaditi i sprawowati.***

Między Tatarami, byli jeszcze tak zwani ***Kozacy Tatarzy,*** używani na dworach królów i wojewodów na posyłki z listami. Mnóztwo jest listów i tranzakcyj w Metryce Litewskiéj, odnoszących się do takich Kozaków Tatarów. Np. w xiędze 2-éj N. 24 f. 36 jest: „List danyj w Wilnie 1540 leta Jula 4 d. ***Tatarom Rudomińskim i Memeźskim*** (1) Wilenskoho powietu, wyzwolajuczy ich od posyłania z listy czerez wojewod Wileńskich, odno zostawujeczy wodłuh dawnoho sposobu pry służbie ziemskoj." Na tejże stronicy drugi „List Jula 5-ho 1540 leta ***Tatarom Kozakom Mereczlańskim*** trem osobam na zostawienie ich wodłuh listu sudowoho Carewicza Osiubek Sołtana pry czti za prymowkoju niekotorych Tatar." W xiędze 2-éj N. 93. f. 313, 314, 551, 552: 1) List Abrahimowi Alejewiczowi Kieńskiemu ***Kozakowi Naszemu,*** na dobra po zejściu Tatarzyna Aisa Abramowicza 1619 r. 2) ***Kozakowi Krola J. Mości*** Szajenowi Achmecewiczowi ułanowi Tatarzynowi,

(1) ***Memeżskim*** najniewątpliwiéj jest omyłką układacza listu lub tego co go wciągał do Metryki; powinno być: ***Niemieżskim.***
(***Przyp. Red.***)

pozwalający prawem dochodzić dóbr Tatarskich w powiecie Oszmiańskim, folwarki Sieliszcze 1619 r. 3) ***Kozakowi Tatarynowi*** Asanowi Abazowiczowi, prawem dochodzić dobra nasze Tatarskie, powinności Tatarskiej podległe w powiecie Grodzieńskim leżące, mianowicie w Dziemitkowie, dan w Warszawie 15-go grudnia 1625 roku. 4) ***Kozakom Tatarom*** Szejcowi Siulamanowiczowi i Józefowi Komratowi, prawem dochodzić dobra nasze Tatarskie, powinności Tatarskiéj podległe, w województwie Mścisławskiém leżące, a mianowicie służeb trzy nazwanych Horodecia, w Warszawie 15-go grudnia 1625 r.

Nakoniec w przywilejach królewskich wzmiankują się ***prości*** Tatarzy, to jest nienadani ziemią lub zajmujący się handlem, rzemiosłami i furmaństwem (1). Tatarzy bowiem dzieli się na stan szlachecki i prosty. Szlachtę składali kniaziowie, murzowie, ułanowie i posiadający majętności ziemskie, które w naszych prawach zowią się Tatarczyznami lub Tatarowszczyznami. Tatarska szlachta była równa innéj szlachcie Litewskiéj, była obowiązaną z posiadanéj ziemi służyć osobiście bez żołdu na wyprawach wojennych, i za to dostępowała uczęstnictwa i wspólności praw szlachty w końcu 18-go wieku zupełnie prawie równych; nawet byli i dzisiaj są od szlachty wybierani na urzędy ziemskie (2). Prości Tatarzy, jeżeli za żołd w półkach krajowych niesłużyli, zostawali pod zwierzchnic-

(1) W liście Tatarów powiatu Trockiego 1541 r. oktobra 14 dnia danym, mówi się, iż niemajut ich, t. j. Tatarów powiatu Trockiego, wojowodowie Trockije i ich namiestniki na swoi potreby.... abo dla imania jakich złoczyńcow posyłati ***okrom inszych prostych Tatar na to ustanowionych.***

(2) ***W Starożytnościach Polskich***, w artykule: Tatarzy Litewscy, błędnie mówi się, iż niebyli wybierani na urzędy.

twem swéj starszyzny używając tylko praw gminu wolnego, pospolitego. Służących zaś Tatarów w półkach lekkiéj jazdy nie z obowiązku posiadanéj ziemi, lecz z własnéj ochoty za żołd, uwalniano od pogłównego i od innych ciężarów, od których szlachta była wolną, i przyznawano im godność rodu i sposobność zasługi jak i szlachcie krajowéj: a przeto i nadawano takim Tatarom zasłużonym, chociaż nieosiadłym, chorążowstwa dożywotnio. Prawa nasze w tym przedmiocie są wskazane w rozprawce Bandtkiego.

24.

Po zawojowaniu państwa Bizantyjskiego przez Turków, we wszystkich jego krajach urządzone zostały *leny* w dwojakim celu, żeby zaradzić obronie państwa i żeby nagrodzić zasługi wojenne. *Sipahi* (kawalerzysta), obdarzony podobnemi ziemiami, pobierał intratę poborów nałożonych na ziemie jego lenu, uprawiane przez Musułmanów albo Chrześcijan, nad którymi też miał władzę pana feodalnego; lecz do tamtych należała własność.

Takie ziemie dzieliły się na trzy klassy według ich obszaru, to jest na *timary*, *zijamety* i *bejliki*. Posiadacze timarów zostawali pod rozkazami *zaimów* (posiadaczy zijmetów), a. ci pod rozkazami bejów; każdego zaś posiadacza któregokolwiek bądź rodzaju z tych lenów, było powinnością iść osobiście na wojnę i dać jeźdźca jednego z 3000 asprów, czyli 25 piastrów, rocznego dochodu. Takie urządzenie trwało do czasów Mahmuda, ojca dziś panującego sułtana. (Ubeini, Lettres sur la Turquie 2-e wyd. Paryż 1853 r., str. 266.)

Witowt z wyprawy na Tatarów za Don przedsięwziętéj w r. 1397, mnóztwo Tatarów sprowadziwszy do Li-

twy, ponadawał im ziemie, w różnych stronach swego państwa nad Wiliją, Waką, Łososną, w Trockiem, Lidzkiém, Oszmiańskiém, Nowogródzkiém, Brzeskiém i w kraju Zapuszczańskim, zapewnił dla nich opiekę rządu i prawa, uwalniając przytém od wszelkich ciężarów, z obowiązkiem tylko stawić się do służby wojennéj na rozkazy wielkiego xięcia, i dla podobieństwa w tym względzie urządzenia z Tureckiemi, nasz pisarz te ziemie nazywa timarami. I za następnych panowań nadawano im ziemie i opiekę, uniją zaś wszelkie dawniejsze nadania zostały potwierdzone i dobra posiadane przez Tatarów zostały im na wieczystość przyznane, z tym zawsze warunkiem, iż powinni byli służyć w potrzebie każdéj. (Jaroszewicza Obraz Litwy, Wilno 1844, część 2, str. 81.)

25.

Od poborów była uwolnioną szlachta osiadła, a zatém i ci Tatarzy, którzy byli w przywilejach zrównani ze szlachtą. Wszyscy inni mieszkańcy, oprócz szlachty i duchowieństwa Katolickiego, wszelkiego stanu, składali pobory uchwalone na sejmie. W uniwersale poborowym każdy znalazł dla siebie miejsce. Łanowe, które płacili kmiecie, pogłówne Żydowskie i Tatarskie, szos czyli podatek miejski od domów, podatek od młynów, hut i innych procederów, czopowe czyli opłata od każdéj beczki piwa i baryły droższego trunku, podatek od palenia i szynkowania gorzałki i t. p. zlewały się w jedno ogólne naźwisko poboru. Tatarzy więc nieposiadający dóbr, albo przez rozrodzenie lub pozbycie się posiadania ich pozbawieni, a furmanką, handlem i rzemiosłami bawiący się, jeśli niesłużyli na żołdzie w wojsku, do czego zawsze byli ochoczymi, opłacali zarówno z Żydami, za siebie, żony i dzieci, po-

główne zwane *pogłównem Tatarskiém*. Starszyzna, to jest chorążowie i ułanowie, zebrawszy od nich ten podatek osobisty, wnosili go do skarbu pod przysięgą, iż nieutaili spółbraci nieosiadłych.

W rewizyi Tatarów przez Kierdeja dokonanéj, zostali zaciągnięci oprócz tych, którym dobra w w. x. Litewskiém, za posługi rzeczypospolitéj wojenne, nadane były, wszyscy Tatarzy, którzy handlem, furmaństwem albo rzemiosłami się bawili, i płaceniu pogłównego ulegali. Lecz znalazło się, jak mówi Kierdéj, że już „było mało takowych, co swe obejścia mają i handlami się bawią, ale wszyscy na małych szpłachciach, w jednym domie kilku ich mieszkając, synów niemało dorosłych mając, gdy im na wojnę jechać każą, jedni z powinności a drudzy za pieniądze zaciągnąwszy się służą. Ci zaś co doma zostają, niemając inszych zabaw, handlami i rzemiosłem, a drudzy furmaństwem się bawią." I dzisiaj, główny przedmiot zajęcia się Tatarów osiadłych po naszych miastach stanowią: wzorowa uprawa ogrodów warzywnych, hodowanie koni, furmanka i garbowanie skór. W Pińsku, Tatarzy zamieszkali od czasów Witowta, trudnili się wyprawą skór, które słynęły aż do końca wieku XVIII na całą Polskę i Litwę. (Połujańskiego Opisanie lasów Królestwa Polskiego i gubernij zachodnich, Warsz. 1854. T. 2, str. 257). Wyprawą safijanów w Rossyi zajmują się i dziś Tatarzy; sama nazwa *safijanu* przeszła przez nich z języków Perskiego i Tureckiego, gdzie się nazywa *sachtijan*, tak jak w Hiszpanii i Francyi przeszła z Maroku, i dla tego zowie się marrochino, marroquin.

26.

W wielu miastach osady Tatarskie nosiły nazwę *ulic Tatarskich*. Tak w Wilnie i dziś jest ulica Tatarska i bra-

ma od téj ulicy nazywała się Tatarską, toż samo w Trokach, Augustowie i w innych miastach (Wilno Kraszewskiego T. 3, str. 158). W Ostrogu na Wołyniu, ulica Tatarska jest jedném z przedmieść tego miasta, gdzie jeńcy Tatarscy, po porażce im zadanéj przez Konstantyna xięcia Ostrogskiego w r. 1508, otrzymali wolność mieszkania. W Mińsku Litewskim Tatarzy osiedli od r. 1508, to jest po zwycięztwie otrzymaném nad Tatarami przez Michała kniazia Glińskiego pod Kleckiem, i to przedmieście gdzie oni mieszkają wyłącznie nazywa się ***Końcem Tatarskim;*** liczy się ich około 400 dusz, a na prośbę starszyny Solimana w r. 1617 został tamże wybudowany meczet. (Szpilewskiego, **Путешествие по Полесью и Бѣлорусскому краю. Современникъ, Ноябрь, 1854**).

27.

Ludność Tatarska w naszym kraju stopniowo się zmniejszała, już to skutkiem wojen, już to emigracyi do państwa Tureckiego. W xiążeczce: ***Alfurkan Tatarski,*** za Zygmunta III. wydanéj, w r. 1616, liczba Tatarów prawdopodobnie oznacza się około 100,000 głów, a do potrzeby godnych 10,000. Dawniéj więcéj ich być musiało. Narbutt pisze, że kilkunasto-tysiączne wojsko było w saméj Litwie z Tatarów, Litewskich obywateli, za Kazimierza Jagiellończyka i blizkich po nim następców. (Dodatek 2-gi, Wzmianka o Tatarach w T. VIII). Lecz w następnych latach ludność ich bardziéj się umniejszyła. W przytoczonéj rewizyi z r. 1631 dóbr Tatarom w. x. Litewskiego na służbie wojennéj zostającym nadanych, naliczono w sześciu chorągtwach domów osiadłych na gruntach 790, to jest: 1-ód w chorągtwie Ułańskiém 179 domów; 2-re w chorągtwie Juszyńskiém 244; 3-e w chor. Najmańskiém 126; 4-e w chor. Jałoirskiém 78; 5 o w chor. Kondrackiém 81; 6-e w chor. Baryńskiém 82.

Gdyby na dom liczyć 10 osób płci męzkiéj, ogół ludności osiadłéj na gruntach i z gospodarstwa żyjącéj, nieprzewyższałby 8 tysięcy głów męzkich. „Z któréj rewizyi (słowa są samego Kierdeja) pokazało się także, iż chorążowie Tatarscy, tak bardzo małą liczbę pocztów wszystkich Tatar mieli, że ledwo pod wszystkiemi chorągwiami ich, gdy kazano, na posługę zebrać się mogło koni 120: czego przyczyną było, iż wielu mało mając gruntów, sami zniszczeli i rozeszli się, a inni albo sprzedali swą ziemię innym sąsiadom, albo też darmo je porzucili, i dla tego służba rzeczypospolitéj ginęła." Przy téj rewizyi dóbr Tatarskich, zalecono takoż było Kierdejowi zrobić rewizyę wszystkich Tatarów, którzy nieposiadając dóbr, furmaństwem, rzemiosłami i handlem się bawili, a ztąd opłacie pogłównego ulegali. Takich znalazł on niewielką liczbę, i to mało takowych, jak sam mówi, co swoje obejścia mają i handlami się bawią, mianowicie pod Wilnem w Łukiszkach, na Memeży (Niemieży), w Rudominie, Sorok-tatarach, Kołnotarach, Kozokłarach i na Wace; ale wszyscy na małych szpłachciach, w jednym domie kilka ich mieszkając i synów dorosłych niemało mając, gdy im na wojnę jechać każą, jedni z powinności, a drudzy za pieniądze zaciągnąwszy się służą. Ci zaś co doma zostają, niemając inszych zabaw, handlami i rzemiosłem a drudzy się furmaństwem bawią. Jeżeli liczyć tych ostatnich 5,000, to koło połowy XVII wieku, cała ludność Tatarska u nas nieprzewyższała od 20,000 do 25,000 głów męzkich. S. Plater w Geografii wschodniéj części Europy, wydanéj w r. 1825 we Wrocławiu, liczy w naszych już czasach Tatarów, zamieszkałych w gubernijach: Wileńskiéj, Grodzieńskiéj i Mińskiéj, w *zbliżonym do prawdy rachunku* 50,000, i w Królestwie Polskiém około 1,000 (str. 135 i 195); lecz wyraźnie jest to cyfra przesadzona.

LUDNOŚĆ TERAŹNIEJSZA TATARÓW.

I. W CESARSTWIE.

1. *W gubernii Wileńskiéj.* Podług tablicy komitetu statystycznego gubernii Wileńskiéj, umieszczonéj w **Памятной Книжкѣ Виленской губерніи на 1853 годъ,** było w r. 1851: Tatarów wolnych (**несостоящихъ въ окладѣ**) 1,299 płci męzkiéj, 1,031 żeńskiéj, razem 2,330; takaż cyfra w dziele Połujańskiego, „Opisanie lasów" i oprócz tego Tatarów należących do zarządu pocztowego (**состоящихъ въ почтовомъ вѣдомствѣ**) 62 męzkiéj płci, 30 żeńskiéj, razem 92. Z tych w samém Wilnie wolnych 237 mężczyzn, 46 kobiét, razem 283, i należących do zarządu pocztowego 33 męż. 17 kobiét, razem 50 dusz. Podług tablic statystycznych, ułożonych w statystycznym wydziale rady Minist. spraw wewnętrznych (**Статистическія таблицы составленныя въ Статистическомъ отдѣленіи министр. внутр. дѣлъ**) w r. 1849 liczyło się w tejże gubernii Tatarów 2,170 obojéj płci. Nakoniec podług tablicy etnograficznéj państwa Rossyjskiego, wydanéj w r. 1853 przez akademika Keppena, w gubernii Wileńskiéj w r. 1853 było Tatarów jeszcze mniéj, bo tylko 1,874 dusz obojéj płci.

2. *W gubernii Kowieńskiéj.* Podług tablicy Minister. spraw wewnętrznych 265 dusz, a podług tablicy Keppena 415. Połujański w dziele: „Opisanie lasów Królestwa Polskiego i gubernij zachodnich cesarstwa Rossyjskiego pod względem historycznym, statystycznym i gospodarczym Warszawa 1854," rachuje do 400 głów (str. 122 T. 2-gi).

3. *W gubernii Grodzieńskiéj.* Podług tablicy statystycznéj Minister. spraw wewnętrznych było dusz 694, a podług tablicy Keppena 849.

4. *W gubernii Mińskiéj.* Podług tablicy Minister. spraw wewnętrznych 2,114, a podług tablicy Keppena 2,120, Po-

łujański zaś liczy tylko 1,500 głów (str. 211. T. 2), z tych w samym Mińsku 400 dusz jak pisze Szpilewski w Путешествіи по Полесью и Бѣлорусскому краю, w Современникѣ, Ноябрь 1854 r).

5. *W gubernii Wołyńskiéj.* Podług tablicy Minister. spraw wewnętrznych 200 dusz, u Keppena zaś nic niepokazano. Połujański (w przypisku na str. 78 tomu 3-go) pisze, że Tatarzy w téj gubernii mieszkają w Żytomierzu, Ostrogu i w powiecie Owruckim nad Uszą. Większa ich część jest teraz wyznania Chrześcijańskiego.

6. *W gubernii Podolskiéj.* Podług tablicy Minister. spraw wewnętrz. 42 dusz, podług Keppena 46, Połujański nie dając cyfry mówi, iż Tatarzy są w Kamieńcu (str. 118, t. 3-go).

Ogólna ludność Tatarska w tych sześciu gubernijach podług Ministerstwa spraw wewnętrznych 5,485 dusz, a dodawszy przewyżkę Tatarów gubernii Wileńskiéj, pokazaną w tablicy komitetu statyst. Wileńskiego to jest 252 dusz, byłoby ogółem 5,737, podług Keppena zaś 5,304; lecz spis urzędowy Departamentu obcych wyznań z r. 1854 daleko mniejszą cyfrę pokazuje, liczy Tatarów w gubernijach zachodnich tylko 3,525 dusz, meczetów 21, mołłów 7. Szkół osóbnych niemają w tych gubernijach.

II. W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

1. *W Gubernii Augustowskiéj.* W r. 1843 było osób płci męzkiéj 82, żeńskiéj 87, razem 169 (Kuryer Warszawski r. 1845 N. 305, i w Kalendarzu powszechnym na r. 1856 Adr. Krzyżanowskiego o Machometańskich Polakach słowo str. 19). W r. 1851 według urzędowych wiadomości gubernatora liczyło się 76 mężczyzn, 77 kobiét, razem 153. Połujański liczy w r. 1852, 155 dusz (str. 334 T. 1).

2. *W Gubernii Lubelskiéj.* W r. 1843 w b. gubernii Podlaskiéj, było płci męzkiéj 53, żeńskiéj 71, razem 124

(Adr. Krzyżan: słowo o Machometańskich Polakach). W r. 1852 podług tablicy Połujańskiego liczyło się 62 płci męzkiéj, 79 żeńskiéj, razem 141 głów (378 str).

Ogólna zatém ludność Tatarska w Królestwie dochodzi 300 głów. Meczetów mają w dobrym stanie dwa: w Winksznupiach w pow. Kalwaryjskim, i w Studziance w pow. Bialskim. W poprzednich latach, pisze Krzyżanowski, między swymi mieszkańcami obejmowały Tatarów gubernije Połocka, Mazowiecka i Sandomierska, tak, iż ich ludność przenosiła znacznie dzisiejszą liczbę trzysta. Okrasą, przedstawicielem i patryarchą od r. 1780 ludności Tatarskiéj w Polsce był Jakób Buczacki, którego załączył krótką biografiję.

Z dokumentów znajdujących się w Metryce Litewskiéj i z rewizyi dóbr Kierdeja widać, że Tatarzy mieli osady także na Białej Rusi,—i tak: w x. 2. N. 93 f. 552, jest przywiléj dany w Warszawie 15 grudnia 1625 r. kozakom Tatarom Szejcowi Sinlamanowiczowi i Józefowi Komratowi, prawem dochodzić dóbr Tatarskich, powinności Tatarskiéj podległych, w Województwie Mścisławskiém leżących, a mianowicie służeb trzech nazwanych Horodecia (zapewna Horodnia). W rewizyi zaś Kierdeja w chorążtwie Kondrackiém sciahu Mereszlańskiego, należącém do chorążego Jachija Zawackiego, pokazano w powiecie Orszańskim w Kryczynie (zapewnie Kryczewie) 3 domy, w chorążtwie Baryńskiém sciahu Nowogródzkiego, należącém do chorążego Szachmancera Rudnickiego, w województwie Mścisławskiém pokazano:

Sutoki	7 domów.
Dziedkowicze	4 —
Horodnia Komorowiec	16 —
Wieś-Stara	1 —
razem	28 domów

Są tamże i po-dziś-dzień miejscowości, które o tém świadczą: po ukończeniu wojny ze Szwedami, Gąsiewski darował zapisem dla Jezuitów Dynaburskich wieś *Aul* albo Mojżę, dziś Awliję, w 1631 r. Wieś *Aul*, wyraz Tatarski znaczy obóz ludu koczującego, koczowisko w ogóle,—tak nazwana od osiedlonych w niéj jeńców Tatarskich. (Кориловича Историческія свѣдѣнія о примѣчательнѣйшихъ мѣстахъ въ Бѣлоруссіи. Смол. 1855. str. 57). Lecz byli to niechybnie tacy Tatarzy, którzy posiadając szczupłe grunta, ztamtąd w późniejszym czasie wyszli i przyjęli osiadłości w dobrach panów, jak się wyraża Kierdéj, „pod ichmościami pany senatorami.“

28.

Pisarz nasz rozumuje na sposób Turecki: albowiem w Turcyi, osobliwie w początkach państwa, zmuszano brańców Chrześcijańskich przyjmować Islam,—z tego sądzi, że taki zwyczaj musiał być wszędzie. Tym sposobem za sułtana Urchana utworzyło się straszne niegdyś wojsko Jeniczeri, dosłównie nowe wojsko, Janczarowie. Pierwiastkowo zmuszano corocznie tysiąc Chrześcijan, w wieku młodocianym pojmanych w niewolę, zmienić wiarę, i zaciągano ich do wojska janczarskiego. Kiedy zaś liczba jeńców nie była dostateczną, uzupełniano zaciąg do wojska w czasie pokoju, poddanymi z Chrześcijan, biorąc ich bez żadnéj różnicy,—i ten zwyczaj utrzymał się do panowania Muhammeda IVgo, to jest do połowy 17go wieku. Hammer w swéj historyi, liczy najmniéj 500,000 Chrześcijan nawróconych mieczem na wiarę Islamu i poświęconych na ofiarę wojny. U nas, jak wiadomo, Tatarzy zawsze używali swobody wyznawać swą wiarę, i niebyli zmuszani do jéj zmiany, nawet czasu prześladowania różnowierców, i tylko

ograniczano ich prawa cywilne. Nadto sami oni utrzymywali zawsze, że przyszli do nas dobrowolnie, i że zatém niepochodzą od jeńców wojennych. Kiedy Kierdej robił rewizyę dóbr Tatarskich, „w tę rewizyę, słowa są jego, wszystkie chorągwie Tatarskie jako z Ordy swemi familijami przyszłe, wpisał; te zaś familije ich nie wszystkie razem, ale różnemi czasy za przodków króla imści, z Ordy do w. x. Litewskiego były przyprowadzone, jednak każda familija z swoją kompaniją przyszła, którym królowie po różnych miejscach w w. x. Litewskiém opatrzenie dawać raczyli.“

29.

Niemusiało to być poselstwo, ale zapewnie przyjeżdżał jakiś czausz, urzędnik Porty, z listem sułtana do króla: gdyż około tych czasów, to jest między 1550 a 1557 rokiem, ważne się prowadziły układy między Polską i Portą o przekrócenie zagonów Tatarskich na Polskę; Turcya zaś domagała się niejednokrotnie ukarania Dymitra Wiśniowieckiego, owego pogromcy Tatarskich koszów, i groziła w razie przeciwnym napadem chana Tatarskiego na kraje Polskie. W archiwum Puławskiém znajdywały się z téj epoki dwa listy sułtana Sulejmana, jeden pisany z Konstantynopola w r. 1556 względem rabunku Białogrodu, gdzie sułtan domaga się także skarcenia Wiśniowieckiego, drugi pisany z Adryanopola w r. 1557, z nowemi skargami na Wiśniowieckiego i groźbą nasłania Tatarów. (Hammer Hist. de l'Emp. Ott. trad. par Hellert T. VI, nota 17, str. 472). Żadne też mocarstwo Europy niewyprawiało wtedy tak często posłów co Polska do Turcyi.

30.

Od samego początku osiedlenia Tatarów w Litwie,

było przez Wielkich xiążąt zatwierdzone używanie praw religijnych podług Kur'anu, xięgi świętéj dla Moślimów (Czacki o Tatarach § 3). Rządzili się tém samém prawem i w sprawach cywilnych, ale tylko między sobą. Lecz w sprawach z Litwinami, Polakami i w ogóle z inowiercami, musieli sądzić się u starostów, dla których ustawa świeżo była wydaną, bo w r. 1557 1-go kwietnia, i tych starostów zdaje się nasz pisarz rozumie pod nazwą kady, (sędziego), a to tak, jak sądziła się i nasza szlachta, albowiem, jak wyżéj namieniliśmy wszystkich Tatarów, ziemią nadanych, równało nasze prawodawstwo ze szlachtą w stosunkach społecznego i domowego pożycia, uznało posiadłości im nadane za dziedziczne, i dozwalało Tatarom nabywać i posiadać dobra ziemskie, których dzierżenie stało się od r. 1496 prawem wyłącznem saméj szlachty. Tatarzy zaś nieposiadający dóbr, używali praw włościan naszego narodu.

31.

Każdy Muslim, podług swego zakonu może pojąć dwie trzy i cztery żony, razem albo oddzielnie, w każdym czasie i w każdém miejscu,—więcéj nad cztery zabrania się; lecz bardzo rzadko w krajach nawet Musułmańskich zdarza się, iżby ktoś miał więcéj nad jednę żonę, zwłaszcza w klassie niezamożnéj. Takoż religija Musułmańska pozwala im żenić się z Żydówkami i Chrześcijankami, a to dla tego, że ich wiara zasadza się na Starém i Nowém przymierzu, to jest na dwóch xięgach zarówno szanowanych przez Islam; ale niewolno mieć żon i nałożnic religii bałwochwalczéj. Małżeństwo atoli między Mahometanką i Chrześcijaninem lub Żydem jest zakazane, i jeśliby było, uważa się za nieważne; dzieci zaś spłodzone z takiego występnego związku powinny być religii Musułmańskiéj, według nie-

wzruszonéj zasady, która przysądza dzieci téj osobie z małżonków, która wyznaje lepszą religię. Z téj przyczyny w państwie Tureckiém dzieje się to samo i z potomstwem zrodzoném z małżeństwa mięszanego, to jest: kiedy jedna osoba z małżonków jest *kitabi*, wyznawca Pisma świętego, to jest: Izraelita, czy Chrześcijanin, a druga wiary bałwochwalczéj—dzieci należą do *kitabi*, a to dla wyższości ludów, uznających świętość pięciu xiąg Mojżeszowych i Ewangelii nad poganami. Kiedy Chrześcijanin lub Żyd przyjmuje Islam, zawsze małżeństwo uważa się za ważne, ponieważ Mahometaninowi wolno mieć żonę Chrześcijankę lub Żydówkę, a kiedy żona przyjmuje Islam, wtedy małżeństwo uważa się za rozwiązane, jeśli mąż niechce także zostać Muślimem. Ale w ogólności małżeństwa Mahometan z Chrześcijankami są bardzo rzadkie; wyjąwszy te kraje, w których Chrześcijanie składają większą część ludności, jako to: na wyspach Archipelagu, w Kandyi i Cyprze. Żona w takim razie może zawsze pozostać w swéj religii, jeśli nieżyczy przejść na Musułmańską, i mąż niema bynajmniéj prawa zmuszać ją do takiéj zmiany; lecz dzieci obojéj płci wychowują się w wierze Mahometańskiéj. Rzadziéj bywa żeby Turek poślubił Żydówkę, chociaż prawo niezabrania takiego związku, i sam nawet Muhammed dał tego przykład, kiedy wziął za żonę Izraelitkę Sofiją córkę Haj.

Nasi Tatarzy, już dobrowolnie przesiedleni, już na wojnie dostawszy się w niewolę osadzeni przez w. xiążąt na ziemiach, niemając z sobą kobiét swego narodu, mieli zdawna, podobno od czasów Witowta, jak głosi podanie dotąd między Tatarami naszymi trwające, pozwolenie żenić się z Litewkami, pod warunkiem aby jedną li tylko żonę miał każdy, i z téj przyczyny zachował się zawsze

u naszych Tatarów zwyczaj jednożeństwa (Narbutta Dzieje narodu Lit. T. VIII str. 246, i Jaroszewicza Obraz Litwy część 2 przyp. 59 wyd. 1844 r.). Ścieśnienia w tym względzie nastąpiły już w późniejszych czasach, a mianowicie na początku panowania Zygmunta III, w trzecim układzie Statutu Litewskiego, ogłoszonym w r. 1588, czyli w dziesięć lat po napisaniu téj relacyi: zabroniono w tedy zostało Tatarom jak i Żydom, zakupować Chrześcijan w niewolę, jak równie namawiać na zmianę wiary, albo obrzezywać pojmańców lub zakupniów Chrześcijan, z czego wynosić należy, że niewolno było także mieć żon Chrześcijanek, tém bardziéj że musieli Tatarzy, w początkach swego osiedlenia się w nowéj ojczyźnie, obyczajem wschodnim, utrzymywać nałożnice; i na ten cel zakupowali dla siebie Chrześcijanki w niewolę wieczną. Statut Litewski rozd. XII w. 9. Konstytucya zaś z roku 1616 wyraźnie zabrania Tatarom pojmować żon Chrześcijanek pod karą śmierci dla obójga, a to w tych słowach: „a iż się znajdują niektórzy między Tatary, którzy przeciw prawu Bożemu, ważą się żony Chrześcijanki pojmować, *swych w Bisurmańską wiarę pociągając*, i białogłowy Chrześcijańskie w mamki do dziatek swych biorą, i czeladź najemną w dni niedzielne i w święta do wszelakich robot pędzą: warujemy tą konstytucyą, aby od tego czasu żaden się Tatarzyn nieważył Chrześcijan obojéj płci, białychgłów za mamki, a mężczyzn pogotowiu za żony Chrześcijanek brać, i jakimkolwiek pretextem chować. Czego gdyby się kto z Tatar poważył, a Chrześcijankę za żonę pojął, tedy oboje za takowy excess gardłem karani być mają; o co forum ad cujusvis instantiam ma przed urzędem grodzkim, i od tego urzędu ma się działać inkwizycya, aby się takie niedziały enormia." Vol. Leg. III, str. 309—310, także Konstytucya z r.

1678 za Jana III stanowi: iż Tatarom jak Żydom i innym niewiernym niegodzi się czeladzi i białychgłów Chrześcijańskich chować (oprócz słodowników, browarników i furmanów), pod karą dwóchset grzywien na każdego Żyda i Tatarzyna temu prawu przeciwnego, a na Chrześcijanina albo Chrześcijankę dwanaście niedziel siedzenia w zamkach każdego województwa lub powiatu. (Vol. Leg. V str. 585).

32.

Tatarzy wojskowo służący i przypuszczeni do towarzystwa broni z rycerstwem Polskiém i Litewskiém, używali tych samych praw co szlachta, i należeli tém samém do stanu szlacheckiego, biorącego nazwę stanu rycerskiego. Że zaś każdy szlachcic prócz imienia, prócz przypadkowych przydomków, przybierał sobie nazwisko i w rodzinie swéj ustalał, za tym przykładem musieli pójść i nasi Tatarzy. A że w rodzinach Litewskich niebyło ustalonego nazwiska, były ogólne dla kilku rodzin, były osóbne dla każdéj, były patronymiki czyli nazwiska pochodzące od przodka, były też i nowe nazwiska na sposób szlachty Polskiéj, toż samo i u Tatarów spostrzegamy. W rewizyi dóbr na służbie wojennéj Tatarom w x. Litewskiego nadanych, znajdujemy już wiele nazwisk rodzin Tatarskich, bez wątpienia od żon przybranych, jako to: Baranowscy, Bohuszewiczowie, Jurkiewiczowie, Iwaszkiewiczowie, Sobolewscy, Szczęsnowiczowie, Zawaccy, Żukowiczowie i t. d. Lecz nierównie więcéj u nich nazwisk z zakończeniem na *icz* od imienia ojców przodków bliższych i dawniejszych, *np.* Adbulicz od Abd-ałła, Alejewicz od Ali, Abrahimowicz od Abrahama, Dziafirowicz od Dżafara, Isupowicz od Jusufa, Mustafiez od Mustafy, Ochmecewicz od Achmeta, Salomonowicz od Salomona i t. p. U Arabów na podobny sposób dodaje się *ben* (syn), do imienia ojca, *np.* ben Achmad (Achmedowicz), ben Mustafa (Mu-

stafowicz), ben Mohammed (Mohammedowicz), ben Jusuf (Jusufowicz) i t. d. Są także nazwiska u naszych Tatarów od przedmiotów: Bazarowski od bazaru, ***bazar*** po-Turecku targ, Buczacki ad ***budżak*** lub ***buczak***, kąt, węgieł, zkąd i Bessarabija zowie się budżakiem, i inne. Nakoniec niemało jest nazwisk, które pozostały z przezwisk Tatarskich *np*, Tachtarzyn, Czymbaj, Kiełdyjar, Mysak, Mielikbaszyn i inne, a które po większéj części już w ostatnich czasach zatarły się i zamieniły się na nazwiska ojczyste.

33.

W rzeczy saméj mogło to być, że w Litwie niektóre herby i nazwiska przeszły od Tatarów, osobliwie herby u naszych heraldyków uważane za Ruskie, a które na Rusi od Tatarów powstały, i tych jest wiele. Sama bowiem ich nazwa Turecka zdaje się naprowadzać na ten prawdopodobny domysł. Do takich właśnie możeby dały się zaliczyć następne:

1. ***Aksak***, herb i rodzina na Litwie, po-Turecku znaczy kulawy, chromy; znany u nas Tamerlan, po Turecku zowie się Aksak Timur a po Persku przetłómaczony Tymurleng (***leng*** w Perskim kulawy), zkąd w Europie zrobili go Tamerlanem.

2. ***Bajbuza***, herb i rodzina, wyraz Turecki złożony z dwóch: ***baj***, dostatni, bogaty, i ***buza*** albo ***buzan*** (w Otomańskim buzahu) cielę; w dziejach Tatarskich Ab-ul-gazy wzmiankuje się ***Baj Timur***, w poczcie zaś sultanów usbeków ***Charezmo*** znajduje się ***Buzaha Chan***, po-Tatarsku ***Buza chan***, brat Sofjan-chana.

3. ***Bair*** nazwisko familii u Małachowskiego—po-Turecku znaczy wzgórze, z którego nasz wyraz ***bajor*** w znaczeniu wzgórza błotnistego, kałuży.

4. ***Bałaban*** nazwa herbu i familii; po-Turecku gatunek wielkiego krogulca, a w przenośném znaczeniu bałwan, głupiec, zkąd i pochodzi nasz wyraz ***bałwan***. W historyi Tureckiéj mamy kilku dowódzców na imie ***Bałaban***, i tak: nosił je sułtan Osman, który zbudował twierdzę pod Brussą na brzegu rzeki Nilufur, zwaną po-dziś-dzień jego naźwisko ***Bałabandżyk***; drugi ***Bałaban-pasza***, rządca Tukatu za panowania Murada 2go, trzeci ***Bałaban-Badera***, dowódca Muhammeda 2go, który się odznaczył w oblężeniu Konstantynopola, i w potyczce ze Skanderbegem, rodem z Albanii, i inni.

5. ***Boduła*** herb, w Tureckim ***budała*** prostak, właściwie asceta Musułmański, ***sufi***.

6. Borsuk, familija Litewska; w Tureckim ***borsuk*** ma także znaczenie naszego wyrazu, i zapewnie przyjęty z naszego języka.

7. ***Bułhak*** familija, w Tatarskim ***bułgak***, ***bułhak*** będący, imiesłów od słowa ***bułmak*** być, w Tureckim ***olmak***. Narbutt w T. IX na str. 199, opowiada o xięciu Tatarskim, znakomitym najezdniku imieniem ***Bułhak***, który w r. 1535, połączywszy się z Eustachym Daszkiewiczem starostą Czerkaskim, służył królowi przeciw nieprzyjaźnym ziomkom swoim Tatarom Krymskim, i odbył z dowódzcą Kozaków wielką wyprawę do Siewierza, zkąd powrócili z wielkiémi łupami; nakoniec przyjął wiarę Chrześcijańską i był głową familii Litewskiéj.

8. ***Denis*** herb i rodzina, w Tureckim ***Denyz*** morze.

9. ***Dzyrytt*** nazwa familii u Małachowskiego—po-Turecku ***dżyryd*** krótki pocisk, i igrzysko ulubione na wschodzie, ztąd pochodzi i nasz ***dziryt dziryda***.

10. ***Turs***, ***Tursowicz*** familija—w Arabskim ***faras***. koń, ***furs*** Pers. W spisie Tatarów Kierdeja napotykamy imio-

na i naźwiska: Furs-Juchnowicz, Furs-Fursowicz, Abrahim-Fursowicz i t. d.

11. ***Hutor***, ***Hutorowicz***, herb i rodzina. ***Hutor*** to co ***Futor*** i w języku Rossyjskim *хуторъ*, z Arabskiego ***kutr*** okolica, obszar, obręb gruntu, roli

12. ***Kara*** herb z Greeyi przybył do Polski, inaczéj zwany Aksakiem. ***Kara*** po-Turecku znaczy ***czarny***, bardzo pospolity przydomek na Wschodzie: jeden z dawnych chanów Mongolskich nazywa się ***Kara-chan***, syn Mogolchana. Tenże wyraz wchodzi do składu wielu słów *np.* ***Kara-denyz*** morze Czarne; ***Kara-chysar*** zamek czarny, miasto w Azyi małéj, gdzie się wyrabia opijum w wielkiéj ilości; ***Kara-gioz*** czarne oko, główna osoba, bufon, w farsach Tureckich; ***Kara-dah*** Czarna góra, Czarnogórcze, Montenegro; ***Kara-su*** czarna rzeka (woda), miasto w Krymie i t. p.

13. Może i nazwa naszego herbu ***Karega*** ***Karęga*** podobnie złożona z dwóch wyrazow Tureckich: ***Kara*** czarny i ***Aga*** pan, również pospolity przydomek w krajach Tureckich.

14. ***Kierdeja***, ***Kierdej*** herb i rodzina; w rewizyi znajduje się Tatarzyn Kierdej we wsi Kumielanach województwa Wileńskiego: jest to przydomek Tatarski. Góra w Tataryi, na północo-wschód od morza Kaspijskiego zwała się ***Kiertaj***, albo ***Kertah***, (***dah***, ***tah***, ***taj*** w Tureckim góra), teraz nazywa się ***Kyczyk taj***, mała góra, ciągnie się ona na wschód ku Bucharyi. O téj górze pisze historyk Dżagatajski Ab-ul-gazy-Bahadyr-chan, że następca Mogul-chana, założyciela potężnego państwa, syn jego Kara-chan, latem koczował w okolicach gór Kerdaj i Artaj. Być może, że Kierdej skrócony z ***Kieldyjar:*** król Alexander listem danym w Wilnie 1505 r. kwietnia 7 dnia (N. 6 f.

50 w Metryce Litewskiéj) marszałkowi Tatarskiemu Kiełdyjarowi Kurczewiczowi nadaje dwóch ludzi z ziemią z Nowogrodzkiéj włości.

15. *Kiłdysz* u Małachowskiego w Tatarskim *giłdysz, kiłdysz, przybylec* od słowa *gilmak* przybyć—familija Tatarska.

16. *Kirkor* herb i rodzina—w Tureckim *kyrkar* liczba podzielna od czterdziestu, po czterdzieści, także *kyrker*, dosłownie znaczy czterdziestu mężów, zamek blizko Bakcze Seraju w Krymie, dokąd Mengli Girej raniony od Nogajów schronił się, z tego zamku pisał on list do Zygmunta I, w aktach Ruskich zowie się **Кыркоръ**. Obacz przypisek 12.

17. *Kołodyn, Kołodyński*, herb i rodzina: *Kyłdy, Kyłdyn* nazywał się jeden z chanow złotéj Hordy.

18. *Korsak*, herb i rodzina— w Tatarskim *Korsak* mały lis w stepach średniéj Azyi: po-Polsku także Korsak, i po Rusku **Корсакъ**; w Tureckim *Kursak* wole, gardło.

19. *Kuczuk*, herb i rodzina—w Tureckim *kuczuk* znaczy mały.

20. *Kułak*, imie rodziny—może prędzéj pochodzi z Tureckiego *kułak*, ucho.

21. *Ordyński* rodzina, w Tureckim *ordzi*, obóz, koczowisko, ztąd i nasz wyraz *horda*.

22. *Sefer, Seferowicz* rodzina od wyrazu Arabskiego, używającego się w językach Perskim i Tureckim *Sefer*, podróż, wyprawa wojenna.

23. *Tabasz* rodzina u Małachowskiego; nazwisko podobne spotyka się u Tatarów Dżagatajskich, od słowa *tapmak* cześć Boga, a w Tatarskim znaczy także *znaleźć, schwytać*, ztąd *tabasz* rzecz znaleziona.

24. *Terebesz* herb i rodzina u Małachowskiego; *Te-*

rabezun, Trebizond, miasto w małéj Azyi, Tatarzy zowią go po-prostu *Terebez*.

25. *Turecki* rodzina u Małachowskiego, od *Turk*, *Tiurk*, nazwa ogólna plemion Tureckich i mieszkańców Turcyi Europejskiéj.

26. *Ulański*, *Ulanicki*, *Ulanowski*, nazwiska rodzin, od wyrazu Tatarskiego Uhlan, *Ulan*, chłopiec, paź. Obacz przypisek 23.

Znalazłoby się i więcéj takich nazw rodzinnych, które mogły do nas przejść wprost, przez Ruś lub Węgry, od Tatarów, np. Amadéj, Salomonowicz, Tatarowicz, Uszak i t. p.; lecz należy wyznać, iż jedyną wskazówką takiego pochodzenia jest źródłosłów wschodni, a historycznie nie zawsze podobna tego dowieść.

34.

Zapewnie chce pisarz mówić tu o wyprawie na Krym, do któréj Zygmunt-August na początku r. 1557 robił przygotowania, poleciwszy Dymitrowi xięciu Wiśniowieckiemu, staroście Kaniowskiemu, zająć się tém, i jemu miano zlecić dowództwo wyprawy; lecz, jak wiadomo, projekt ten spełzł na niczém. Wtedy to sam Wiśniowiecki, wszedłszy w przymierze z carem, przy pomocy Kozaków Ukraińskich, walczył z Tatarami na Perekopie, zdobył i spalił ich warownię Islam-Kerman (dosłównie twierdza Islamu), zabrał działa i osadził niemi sieczę swoję na Chortycy, wyśpie Dniepru, niedaleko ujścia, i gdzie przeciw całéj potędze Dewlet-Girej-chana przez 24 dni walecznie się bronił. (Karamzina Historya państwa Rossyjskiego, xięga 2, str. 155 wyd. Ejnerlinga). A chociaż Wiśniowiecki udawał się raz pod opiekę sułtańską, drugi raz pod carską, zrobił jednak przysługę i dla Polski, a to kładąc tamę najazdom Tatarskim.

35.

Xięga święta Muslimów, Kur'an, zaleca prowadzić ustawiczną wojnę z wrogami Islamu, aby ich zmusić do jego przyjęcia: przeto każdy wyznawca Muhammeda, będący w stanie noszenia oręża, jest obowiązany iść na wojnę przeciw niewiernym i zowie się *a'skari* żołnierzem;— lecz niepozwala się wojować Musulmanom z Musulmanami, chyba jeśli podejmą rokosz przeciw swemu panującemu: albowiem, według prawa, każdy godzący na władzę panującego prawowiernego, sprzeciwiający się jego rozkazom, albo chcący zbrojną ręką odjąć jego posiadłości, godzien jest śmierci, stosownie do przepisu bożkiego, Kur'anu niejednokrotnie powtórzonego „walczcie z rokoszanami (buhat) aż póki się nieupokorzą,"— na mocy to takiego przepisu, Sułtan Mahmud w r. 1826 podniósł oręż na Janczarów i wytępił ich. A témbardziéj prawo niepozwala Musulmanom stawać w szeregach nieprzyjacielskich i uczęstniczyć na wojnach prowadzonych przez niewiernych z Musulmanami. Nasi jednak Tatarzy, nietylko że chodzili na wojny z państwami Chrześcijańskiemi; ale byli powoływani i na wyprawy przeciw Tatarom Krymskim. To miało miejsce w r. 1533, kiedy po ukończonéj wojnie Multańskiéj chan Krymski, Sachib-Girej-chan uganiając się za Islam-Girejem, który nanowo domagał się tronu, wpadł na Ukrainę i obległ Czerkasy, mając z sobą Janczarów do półtora tysiąca i dział Tureckich pięćdziesiąt; jednakże uwielbiając męztwo walecznego obrońcy zamku, Eustachego Daszkiewicza, wszedł z nim w końcu w przyjacielski związek służenia królowi za pewną opłatę żołdu. Bielski (str. 56 wyd 1-go), opisując to oblężenie Czerkas, mówi: „gdy Ostafi starosta Czerkaski sprawił to, że Chana z nieprzy-

jaciela przyjaciela królowi Zygmuntowi panu swemu uczynił, zaczém niedługo potém dwaj posłowie z Tatar u króla byli od Setkireja (Sachib-Gireja, w Tatarskiém wymawianiu przez skrócenie Sebgireja) i od Oslam sułtana (Islam sułtana), którego już król miał jako za swego i płacił mu, a on mu też służył gdzie potrzeba." Pisarz historyi Krymskiéj, Sejid Muhammed Ryza, w dziele: Es-seb'-us-sejjar (siedm planet), o Islam-Gireju opowiada następnie: „Islam-Girej przez zbrodnie zostawszy chanem, był dopuścił się także i panując wiela zbrodni, a lękając się Solejmana sułtana Tureckiego, prosił u niego przebaczenia i mianowania na swe miejsce drugiego chana. Jakoż sułtan naznaczył Sachib-Gireja, młódszego syna Mengli-Gireja, a Islama udarował tytułem Kałgaja (namiestnika). Islam otrzymawszy tę godność począł chytrością i zdradą kusić się o tron, którym władał przed Sachib-Girejem; lecz gdy to nieudało się mu, wiedząc że chcą go sprzątnąć, uciekł do Farach-Kermana, gdzie został zabity od niejakiego Bakybeka" (str. 91 wyd. Kazańskiego). Poselstwo zatém Islam-Gireja z prośbą o posiłki przeciw Sachib-Girejowi, musiało poprzedzać poselstwo tego ostatniego. W Metryce Litewskiéj znajdują się listy Zygmunta I-go, datowane w r. 1533 września 3 d., do marszałków i chorążych wszystkich ściahów Tatarskich na tę wyprawę przeciw Tatarom— (*obacz w dokumentach*).

36.

Alexander wielki w Kur'anie i na Wschodzie w ogólności, zowie się ***Zu-l-karneju,*** to jest dwurogi, mający dwa rogi: dla objaśnienia tego epitetu, wykładacze Kur'anu widząc w nim znaczenie allegoryczne zużyli cały swój dowcip. Większa ich część utrzymuje, że on się nazywa tak dla swéj potęgi, a nie dla tego, że zawojował wschód

i zachód, znaczące się niekiedy po-Arabsku wyrazem *Karneju*, i doszedł do obu końców świata. Lecz zdaje się, iż przyczyna téj nazwy powstała prosto ztąd, że Alexander chciał wydawać siebie za syna Jowisza Ammońskiego i kazał nawet snycerzom robić swe posągi w postaci Jowisza z rogami, czém, jak się uskarża Klemens Alexandryjski, zepsuł piękny obraz człowieczy. Nawet ocalały monety, na których Alexander wyobraża się z rogami baraniemi. Niedziw zatém, że Arabowie do Muhammeda, mało obeznani z imieniem i historyą Alexandra, nazwali go właśnie dwórogim z przyczyny téj dziwacznéj ozdoby, w którą był ustrojony na posągach i monetach.

W Kur'anie Alexander uważa się także za wybrańca bożkiego (Sura XVIII). Bejdawi, najsławniejszy kommentator téj xięgi, robi uwagę, że chociaż pisarze niezgadzają się na to czy wyznawał on czysty Islam, wszyscy jednak chwalą jego prawowierność i życie cnotliwe, i po większéj części zaliczają go do proroków; w samym Kur'anie stoi Alexander widocznie w jednym rzędzie z Dawidem i Salomonem. Źródło powieści o Muhammedańskim Alexandrze może objaśnić opowiadanie Pseudo-Kallistena, u którego Alexander przedstawia się nieraz jako gorliwy czciciel Boga jedynego i jako opiekun czczących go Żydów; ztąd i Muhammed, świadom tego podania, niemógł wątpić o prawowierności Alexandra, i na téj zasadzie umieścił go w rzędzie prawowiernych królów.

37.

Dawniéj pielgrzymi udający się do Mekki i Mediny, zgromadzali się z rozmaitych stron, w miesiącu Szawwal, do Damaszku, zkąd wyruszała święta karawana pod przewodnictwem paszy tego miasta, który z téj przyczyny no-

sił tytuł: Emir-ul-hadż to jest naczelnika pielgrzymki. W Stambule wielu korzysta z eskorty, towarzyszącéj wysokiemu urzędnikowi Porty, Surre-emini zwanemu, czyli komissarzowi sułtana, któremu się powierza *surre* kiesa z pieniędzmi, wielbląd święty i *machmil*, materya jedwabna dla przykrycia Kaaby, podarki coroczne od padiszaha Otomańskiego dla świątyni Mekki. Wyjeżdża on każdorocznie z Konstantynopola 12 xiężyca Redżeba, na pięć miesięcy przed uroczystością ofiar Kurban-bajramem. Przyłącza się też do téj eskorty z łaski sułtana mnóztwo osób na koszt rządu. Na drodze karawana codzień się zwiększa, tak, że staje się bardzo wielką, kiedy przyjeżdża do Damaszku; lecz teraz nie pasza Damaszku, a wicekról Egiptu przeprowadza tę świętą karawanę do Arabii. W podróży każdy obowiązany jest być posłusznym emirowi pielgrzymki, tak w pochodzie jak i na popasach, a przez co zapobiega się nieporządkowi, w takiéj ciżbie nieuchronnemu.

Niepodobna przejechać pustyni bez silnego konwoju. wtedy nawet, kiedy karawana jest bardzo liczną i najlepiéj uzbrojoną, pielgrzym oddalający się na chwilę od od niéj, niepochybnie wystawiony jest na rabunek Beduinów, którzy ją ciągle niepokoją. Żydzi także i Chrześcijanie w Arabii istotnie dopuszczają się niekiedy łupieztwa. Abd-ul-kerim w swojéj podróży z Indyi do Mekki, przetłómaczonéj i wydanéj w Paryżu przez Langlès, mówi na str. 173 drugiego wydania: „W okolicach Chajbara, na sześć dni drogi od Mediny, znajduje się wielu Żydów i Chrześcijan, którzy nawet mają za pobożny uczynek rabować i zabijać pielgrzymów. Mimo wszelkich roztropnych ostróżności ze strony naszego Miri-hadż, niemożna było zapobiedz, aby ci niegodziwcy nieokradli nas, a przy czém

zabili trzech towarzyszów podróży. Nasz naczelnik za to chciał się zemścić zdobyciem i zburzeniem Chajbara; lecz znaczniejsi z pielgrzymów przedstawili mu, że taka wyprawa opóźniłaby przybycie karawany do Mekki."

38.

Pielgrzymka do Mekki jest przedmiotem bardzo ważnym w Islamie, i obowiązuje każdego Muslima, który przez swe położenie albo szczególne okoliczności niema żadnéj prawnéj przyczyny do uwolnienia się od niéj. Przykazanie to zasadza się na czci Arabów i wszystkich ludów Musułmańskich, jaką oni mają dla Kaaby w Mecce, którą uważają za piérwszy, najwspanialszy i najdumniejszy przybytek, poświęcony Bogu, albowiem wzniesiony przez patryarchę Abrahama, z rozkazu Bozkiego, na tém samém miejscu, gdzie aniołowie rozpięli namiot, w dniu stworzenia świata, przeznaczony dla czci Najwyższego i zwany domem Boga. Kiedy Abraham zakładał tę świątynię, anioł Gabryel przyniósł mu kamień, na którym w tajemniczych wyrazach było wyryte przymierze Boga z ludźmi w osobie Adama, z rozkazem umieszczenia tego kamienia w jednym z węgłów Kaaby, jako znak zkąd wierni powinni zaczynać processyę na około przybytku. Zowie się ten kamień hadżer-ul-aswad, kamieniem czarnym, z przyczyny swego koloru, i był zawsze przedmiotem stałego poszanowania; jakoż ogarnął największy przestrach Muslimów, kiedy kacerze Karamaty zabrali go w 929 r. i przetrzymali go u siebie 22 lata. Każdy też pielgrzym jest obowiązany całować ten kamień kilka razy, podług przepisów religijnych, czasu obchodu Kaaby. Z Mekki udają się do Mediny, miasta sławnego już za życia proroka i piérwszych chalifów, jego następców, jako piérwsza stolica państwa Musułmań-

skiego, a bardziéj jeszcze dla tego, że tu spoczywają popioły samego założyciela Islamu. Chociaż religija niewkłada z tego względu żadnego obowiązku; pielgrzymi jednak wracając z Mekki, a szczególniéj ci, którzy muszą skierować drogę na Medinę, oddają w niéj hołd grobowcowi Muhammeda, zamkniętemu w Turbi czyli kapliczce murowanéj, bardzo prostéj budowy i wystawionéj na miejscu gdzie mieszkała Ajsza, jego najulubieńsza małżonka. Ta kapliczka dziś znajduje się na środku świątyni, zbudowanéj przez chalifa Walida I-go, w takimże kształcie jak i Kaaba Mekki, w r. 707.

Musułmanin, skoro spełnił wszystkie obrzędy pielgrzymki, *hadż*, otrzymuje nazwę ***Hadż Hadży***, pielgrzyma, a która odtąd staje się już jakby przydomkiem, dodawanym do imienia, na całe życie, dla wszystkich w ogóle jakiegokolwiek bądź stanu i dostojeństwa, i jedna im szacunek powszechny, a dla widoczniejszego odróżnienia się od innych tacy pielgrzymi zapuszczają brodę naśladując w tém przykład Muhammeda. I nasz pielgrzym po powrócie z Mekki musiał się też nazywać ***Hadży***.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA

O ZAMKACH, HORODYSZCZACH I OKOPISKACH STAROŻYTNYCH

NA LITWIE I RUSI LITEWSKIÉJ,

PRZEZ

KONSTANTEGO HR. TYSZKIEWICZA.

UROCZYSKO PANIEŃSKA GÓRA.

Między wschodem a południem, w kierunku do zamku Łohojskiego, w odległości o pół wiorsty od tegoż zamku, znajduje się góra wyniesiona nad poziom o sążni piętnaście, u wierzchołka okopana, mająca grzbiet kulisty zawierający ośmdziesiąt jeden prętów Litewskich powierzchni, od zachodu jedno wejście przez fossę.

Góra ta w języku spolszczałym ludu, górą ***Panieńską***, a często w narzeczu miejscowém Rusińskiém ***Ihryszczem*** się nazywa. Podanie gminne o téj górze, dochowane do dni naszych, jest następne: kiedyś przed laty jakiś kawaler na jéj wierzchołku oświadczył się pannie; gdy odmówną odpowiedź dostał, pchnął ją z góry tak, iż panna z niéj lecąc kark złamała; od tego wypadku góra ta jakoby naźwisko Panieńskiéj Góry przybrała. Dawniéj, przez lat wiele nawet, pobożną litością natchnięci mieszkańcy miejscowi, dla których zwykle każda przeszłość jest obo-

jętną, na jéj wierzchołku za duszę téj nieszczęśliwéj ofiary miłości, którą zapamiętały wyskok kochanka w zapomnieniu się rozpaczliwém o śmierć przyprawił, na Panieńskiéj Górze krzyże stawiali. Uchylając miejscowe podanie, uroczysko w rzeczy saméj jako stanowiące ciekawy zabytek dawnéj Słowiańszczyzny, zasługuje na bliższe zbadanie. Góra ta jest jedną z gór Dziewiczych (дѣвичая гора) tyle znanych w Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiéj. Zoryan Dołęga-Chodakowski w swoim Słówniku geograficznym ziem Słowiańskich (1) naliczył 79 uroczysk w różnych stronach Słowiańskiéj ziemi, bądź błot, jezior, pól, horodyszcz, bądź wsi i t. d. noszących naźwisko Dziewiczych. W liczbie tych wylicza 11 gór Dziewiczych i 3 Dziewicze Pola: Dziewiczą górę w Iwań-Grodzie pod Narwą; drugą nad Wołgą niżéj Kazania; trzecią w Wiackiéj ziemi; czwartą w Korolewieckim powiecie z prawéj strony Desny, niedaleko Rajhoroda i na niéj ma być Horodek; Diewczy Hrady; jest wysoka góra z zamkiem na Murawach. Diewicza Hora w Kiryłowskim powiecie na Szekśnie; Diewicz Hora w Bobrujskim powiecie pod Luboniczami; w Dubieńskim powiecie w Smordwie takaż; Diewicz Horodyszcze w Sudzewskim powiecie na rzece Biole powyżéj Miropola, gdzie był Mikołajewski Bielogorski monastyr; Diewicze Horodyszcze w Putywilskim powiecie, „u lewaho biereha w niż od Kniaziewa"; Diewkina Hora między Bałachną i Jurjewcem; Dziewicze Pole pod Kołomną, góra o cztery wiorst od miasta nad Oką; Dziewicze Pole w Moskwie u Łużeckiéj zastawy, i Dziewicze Pole na Kujawach w Przedeckim powiecie, Błędowskiéj parafii.

---

(1) Słównik ten w rękopiśmie złożonym jest w biblijotece Muzeum starożytności w Wilnie.

Znamy jeszcze Dziewiczą górę nad Dnieprem pomiędzy Kijowem a Rżyszczewem pod miasteczkiem Trypol. W gubernii Mińskiéj w powiecie Borysowskim w Kosinie, majątku Michała hrabiego Tyszkiewicza, jest uroczysko nazwane Dziewicze Pole, na niém górka niewielka, nazywająca się Dziewiczym Kurhanem. Do tego uroczyska jak do wszystkich niemal przywiązana jest miłośna legenda: Dwaj młodzieńcy kochający się razem w jednéj dziewicy, gdy się o nią pogodzić niemogli, oręż los ich rozstrzygnąć musiał. Szczęśliwszy został mężem dziewicy, drugiego zaś który życiem swą miłość dla niéj przypłacił, zwłoki jakoby ów kurhan pokrywa.

Pod-Wilnem około Rudnik, dawnéj rezydencyi królów, jedna z dwóch odznaczających się tam gór, nazywa się Panieńską górą; tamta równie jak i ta, o któréj mówimy, z upowszechnieniem się w kraju języka Polskiego, z dawnéj Słowiańskiéj Dziewiczéj góry przezwana po-Polsku Panieńską, tę nazwę dotąd przechowała.

Od czegoby te góry nazwy Dziewiczych gór przyjęły i jakieby na ich wierzchołku dziewice, przedchrześcijańskie spełniały obrzędy, narady lub zabawy, dzisiaj z pewnością odgadnąć trudno; musiał to jednak być zwyczaj w swoim czasie powszechny, urzędowy, uszanowany powagą współczesnych ludzi, kiedy na takowe dziewic zgromadzanie się, usypywano góry, lub obierano osóbne miejsca i takowe narówni z miejscami ofiarniczemi lub sądowemi uroczyście okopywano, albo horodyszczem osypywano. Że na nich oprócz narad poważnych przez dziewice odbywanych, zabawy i wesołe uroczystości miejsce mieć musiały, godzi się domyślać z nazwania Ihryszcze, jakie góra w mowie będąca w miejscowém gminném Rusińskiém narzeczu do dni naszych zachowała. Dotąd w stronach o których mówimy,

w obyczajach ludowych przechowuje się jedno do roku święto dziewic. W dzień Zielonych Świątek, same dziewczęta wiejskię zbierają się w jedną gromadę, każda z nich przynieść jest obowiązaną przysmak do zjedzenia na jaki jéj stało, *np.* jaja, masło, mąkę, pirog domowy, uboższe nawet kawał chleba przynoszą, z sobą i tak zaopatrzone w wiejskie przysmaki, wesoło ze śpiewami idą na łąki lub w lasy dla zbierania ziół polnych i leśnych, tam z przyniesionych z sobą przysmaków wspólną wyprawiają ucztę. Między różnemi ziołami, zbiór sznitki koniecznym jest warunkiem téj wycieczki, albowiem każda z nich czuje się w obowiązku przyniesienia téj trawy do domu dla ugotowania z niéj barszczu, strawy, do któréj jakaś tajemnica téj uroczystości jest przywiązaną, a któréj znaczenia żadna z nich dzisiaj wytłómaczyć nieumie. W śpiewach wesołych dziewic nieodkryliśmy w poszukiwaniach naszych oddzielnych na to piosnek, śpiewają one zwykle pieśni weselne, lub te, których przy żniwach na polu używają, byle miały nótę skoczną i wesołą. Że góry Dziewicze nietylko w dawnéj Słowiańszczyznie znajomemi były, lecz że i Tatarzy takowe nazwania wespół z podaniami gminnemi u siebie mają, przekonywamy się ze spisu znakomitszych kurhanów w Rossyi, wydanych w dziele Keppena (31), w którém on tak pisze: „Carewo Horodyszcze czyli Dziewiczy gród — tak nazywają Rossyanie nasyp dziesięć sążni wysoki, położony na południe od rzeki Irtysza pośród nizkich sianożęci. Nasyp ten znajomy jest Tatarom pod naźwiskiem ***Kysym-Tura,*** to jest Dziewiczego Grodu. Według podania tamecznego ludu, nasyp ten, pomnik przeszłych i zapomnianych wieków, usypany był dziewiczemi rękami

(31) Списокъ извѣстнѣйшимъ курганамъ въ Россіи.

na monarszą rezydencyę. Jest i drugie na wschodnim brzegu Irtysza podobnego nazwania uroczysko, w odległości dwóch wiorst od Iskiera, gdzie dzisiaj znajduje się wioska Preobrażeńsk; w niém to ma być pogrzebiona córka któregoś z chanów, porwana przez kochanka i razem z nim przez sług jéj ojca zabita."

Jeżeli u Tatarów, narodu tak obojętnego, podobnym uroczyskom towarzyszą podania milośne, dla czegożby wśród ludu naszego, który ma niezaprzeczenie wiele rzewnéj poezyi w sobie i w swojém życiu sielskiém, niemiały się wylęgnąć romantyczne legendy przywiązane do naszych uroczysk? Śledząc zatém i dochodząc w nich rzeczywistéj prawdy, uszanować nieraz wypada i bajkę, która znalazła swój początek w romantycznéj myśli gminu, która ją w tak ładne obrazki ubrała.

UROCZYSKO ZAMKOWISZCZE.

Na zachód od zamku Łohojskiego w tejże saméj odległości co i Panieńska góra, lecz w kierunku zupełnie wstecznym, leży uroczysko Zamkowiszcze. U ludu pospolitego wszystko cokolwiek od czasów starożytnych okopaném pozostało, nazywa się ogólnym wyrazem Zamek, wszystko ma u nich swoję tradycyę, wszystko ma podanie gminne bądź uroczyste, któremu towarzyszą jakieś zawsze zaklęte duchy lub tajemnicze bogactwa, bądź romantyczne, w których miłość gra znamienitą rolę. Do badacza więc należy rozeznać prawdę od zmyślonéj bajki. Uroczysko w mowie będące, w pośród pięknych krętych i tak nieforemnie kształtnych gór umieszczone, wznosi się od strony wschodniéj nad poziom o sążni dwadzieścia dwa, na zachód o sążni dziesięć wzniesione nad pochyłą i ciągnącą się długo wgłąb' la-

su, górą; ma ono w sobie wszystkie charaktery sądowego okopiska. U wierzchołka na północ, zachód i południe fossą jest oprowadzone; od wschodu tylko stroma i spadzista góra, od wierzchołka na dół spuszczona w pewnéj przestrzeni, snadź osuwając się z czasem okop przerwała; od południa jest foremne wejście, grzbiet wypukło kulisty, mający powierzchni sto dwadzieści cztery pręty Litewskie. Lubo podanie gminne miejscowych ludzi, przechowane pośród nich jako spuścizna po ich dziadach i pradziadach, utrzymuje, iż na wierzchołku téj góry przed laty był zamek murowany, z którego cegłę rozebrano i rozciągnięto pokryjomu na osobiste potrzeby mieszkańców miasteczka Łohojska, że dzisiaj nawet żyjący mieszkańce sami z fundamentów tego zamku jeszcze przywozili do domów swoich szczątki cegieł i gruzu; wszakże przy ścisłém zbadaniu tego uroczyska, gdyśmy go skopali we wszystkich kierunkach na miejscach wskazanych przez tych nawet włościan co sami powiadają, iż z fundamentu ruin zamkowych cegłę wydobywali, nic podobnego do fundamentów odkryć nam się nieudało. Dwie wklęsłości przy wejściu na to okopisko, jako stanowiące niezwyczajną w uroczyskach tego rodzaju różnicę, dawały nam powód do domyślania się, iż one są temi miejscami wydobytych szczątków fundamentu, na którym stała ta murowana budowa, o któréj mówią podania ludowe. Skopaliśmy obie z największą szkrupulatnością— i lubo nieodkryliśmy w nich najmniejszych śladów fundamentu; wszakże wydobyte ztamtąd w wielkiéj liczbie drobne kawałki cieńkiéj glinianéj, wypalonéj substancyi, jedne jakby szczątki potłuczonéj dachówki, inne jakby resztki pobitych garnków, domyślać się każą, iż w późniejszych daleko czasach od téj daty kiedy to okopisko za miejsce sądowe służyło, a w odległych jeszcze bardzo od pamięci

żyjących dzisiaj ludzi, mogły tam być garncarskie piece, dla wypalania garnków lub dachówek. Téj wprawdzie ostatniéj, aby kiedy używano na pokrywanie dachów tak w miasteczku Łohojsku, jako i w okolicach jego, śladu niéma; nieidzie jednak zatém, ażeby pamięć ludzka w idących po sobie pokoleniach każden drobny szczegół, których ślady czas tak prędko niszczy i zaciera, przechować umiała.

ZAMEK WE WSI RUDNI.

Na wschód od zamku Łohojskiego, w prostym kierunku o cztery wiorsty od tego zamku, przy wsi Rudni, należącéj do dóbr Łohojskich, na lewym brzegu rzeki Hajny, która te dobra od zachodu na wschód w poprzek przepływa, na wzgórzu samorodném, mającém dwadzieścia sążni wysokości, leży obszerny, starożytny zamek, którego dawne kształty w zupełności pomimo tylu wieków dochowały się do czasów naszych. Od południa strzeżony przez rzekę Hajnę i błotniste jéj brzegi; od północy obwarowany głęboką na dwanaście, a szeroką na dwadzieści sążni fossą, ma obronną na sześć sążni szeroką platformę, nad którą wznosi się na dziesięć sążni w pochyłości szaniec obronny, okrywający kotlinę; ku prawéj stronie zamku wśród fossy, ze źródła tam znajdującego się, wypływa do rzeki Hajny mały nic nieznaczący strumyczek. Powierzchnia kotliny w nim jest trzy razy prawie większą od kotliny zamku Łohojskiego, ma ona albowiem trzy morgi i dwieście trzydzieści sześć prętow Litewskich powierzchni; dzisiaj w pole zamieniona, uprawianą jest przez włościan obokległéj wioski. Na jéj powierzchni znajdują się dwie głębokie jamy lejkowatéj formy, leszczyną, wierzbą, młodym dębem, czeremchą i brzozą wewnątrz zarosłe, ostatnie ślady budowli

należących niegdyś do starożytnego zamku. W poszukiwaniach naszych, dokonywanych nad tym zamkiem w celu zbadania i odkrycia szczątków odległéj na nim przeszłości, z największą szkrupulatnością skopaliśmy te dwa otwory. W piérwszym mającym obwodu w nieforemnym prostokącie sążni trzydzieści z górą, na trzy sążni głębiny, okazała się warstwa ziemi czarnéj napływowéj, uformowanéj przez odwieczne do niéj ścieki i coroczné opadanie liści z drzew, któremi ten otwór jest zarosłym. Warstwa ta czarnéj ziemi grubą była na sążeń, po zdjęciu któréj natrafiono na pokład ułożony z dosyć sporych kamieni mających płaskie brzegi, składanych z sobą tak, aby jeden przystając z drugim szczelną stanowiły podstawę; miejscu gdzie te kamienie niedosyć szczelnie przystając do siebie czyniły szparę, takową znaleźliśmy w każdém miejscu starannie założoną i mocno zabitą drobniejszemi samorodnemi kamiennemi płytkami, lub małemi kamieniami; nigdzie w żadném miejscu wapno, ani żaden inny łącznik niespajał owych kamieni z sobą. To podmurowanie odkopane pod ziemią stanowi ciekawy zabytek sztuki budowniczéj w starożytności w tym kraju: rzuca albowiem niejakieś światło na sposób, którym przedchrześcijańscy ludzie, przed umiejętnością użycia wapna w budownictwie, tę potrzebę tak mozolném dobieraniem kamieni załatwiali. Po ścisłém zbadaniu i dokładném obejrzeniu fundamentów, stanowiących niegdyś podstawę istniejącéj tutaj budowy, gdy nam nic więcéj się nieodkryło prócz słabéj wskazówki o sztuce mularskiéj w starożytności, postanowiliśmy pojść głębiéj w ziemię, azali pod tym pokładem kamiennym nieznajdziemy czegoś więcéj coby ciekawość naszę w badaniach przedsięwziętych zaspokoić i nauczyć nas mogło. Pod zdartym kamiennym fundamentem, na twardéj

już ziemi piaszczystego pokładu, na głębinie niewięcéj o łokieć jeden znaleźliśmy dziewięć kawałków niewielkich od pobitych żaren, tego kształtu jakiego dzisiaj włościanie do mełcia zboża używają, tylko nieco nieforemniéj od żaren dzisiejszych wyrobione. Pod temi żarnami odkryliśmy kawał kamienia krajowego szarofijoletowéj barwy, mającego jeden bok doskonale wyszlifowany i wypolerowany. Obok tego leżały na piasku cztery zęby na trzy cale długie, a na jeden cal prawie w kwadrat grube, mające w sobie po cztery komórki, nieznanego nam zwierzęcia; warstwa węgli, zwykle wszystkim wykopaliskom towarzysząca w starożytności, mięszała się z temi szczętami. Znalezione szczątki żaren naprowadzają nas na domysł czysty i naturalny, że w mowie będąca jama mogła być miejscem młynów zamkowych. Zachowanie tych szczątków tak głęboko pod podstawą kamienną istniejącéj niegdyś budowy, jakąby miało tajemnicę, odgadnąć nieumiemy: nigdzie bowiem nam się czytać, ani słyszeć niezdarzyło, aby starożytni przedchrześcijańscy ludzie dla kamieni młynowych, szczególniejszą cześć mieli. Coby miał znaczyć ów kamień szlifowany i te zęby nieznanéj nam całkiem formy, przy nim złożone, ukryte pod szczątkami młynowych kamieni, domyśleć się jeszcze trudniéj. Że chowanie kamieni młynowych wespół z zębami zwierzęcemi w starożytności, miało jakiś symbol tajemniczy, jakąś myśl, dzisiaj niezbadaną, domyślamy się ztąd, iż owe żarna, o których mówimy, niosą odkryciem wyjątkowém u nas, lecz były snadź niejakim obrzędowym zwyczajem ogólnie używanym w starożytności i w innych krajach, kiedy w roku 1854 podobne wykopalisko odkryto w Szwajcaryi. Doktor Vonger w jedném z pism naukowych Francuzkich zamieścił swój artykuł pod tytułem: Antiquités Celtiques des lacs

de la Suisse, w którym pisze, iż silna zima r. 1853 i 54go sprawiła wyschnięcie wielu źródeł i strumyków, przez co jeziora Szwajcarskie, podsycane niemi, opadły. Szczególnie jezioro w Zurich zmniejszyło się jak nigdy niepamiętają. Woda opadłszy o uszyła kawał przestrzeni ziemi na dnie jeziora, z czego korzystając mieszkańcy, postanowili nową groblę urządzić, aby raz osuniętą wodę niepuścić w dawne miejsca, a tém samém uzyskać trochę zdatnéj do uprawy ziemi. Wzniesiono więc groble na dnie jeziora w Oberwejlen, a przy braniu ziemi zaraz pod zwierzchnim pokładem na mielisku odkryto w głębokości jednéj do dwóch stop, wierzchy starych pilerów, rogi jelenie i różne narzędzia. Po tém odkryciu Towarzystwo starożytności w Zurich wydelegowało dla bliższego zbadania rzeczy na miejscu, członka swego doktora Keller, i ogłosiło o tém swe sprawozdanie.

Owoż z pośród mnóztwa naczyń kamiennych i żelaznych, pił kámiennych tam odkopanych, znaleziono również w tém miejscu i małe żarna do mełcia zboża i różne z zębow żwierzęcych i kości przyrządy (1).

Starożytni, jak wiemy, mieli zamiłowanie w przenośniach, figurach i podobieństwach, i przez takowe myśli swoje i pojęcia najuroczystsze o rzeczach symbolicznie tłómaczyć zwykli:—być może, iż żarna do mełcia zboża, jako narzędzie, ułatwiające wyżywienie dla ludzi, po jego starciu się łączyli z zębami żwierzęcemi, jako podobnież narzędziem, ułatwiającém spożywanie pokarmów, łączyli z sobą i połączone z poszanowaniem na pamiątkę razem składali w głębokiém i spokojném ukryciu.

---

(1) O wykopaliskach Leżajskich, rzecz archeologiczna przez Karola Rogalskiego. Krakow, w drukarni Czasu, r. 1856, str. 60, 61, 62.

Jakkolwiek bądź, myśl ta tajemnicza dla nas, niebyła jak przekonywamy się z wyżéj zacytowanego poszukiwania, wyłączną myślą mieszkańcow Słowiańskiéj tylko ziemi w starożytności, lecz ją zarówno z nami pojmowały i uprawiały pokolenia Celtyckie.

Kamień szlifowany ułamek od żarna i ząb jeden z wykopanych przez nas, złożyliśmy w Muzeum Wileńskiém; resztę zaś kamieni młynowych i zęby pozostałe zachowaliśmy w naszym zbiorku starożytności krajowych.

Druga jama nieco mniejsza od piérwszéj, położona tuż pod szańcem obronnym, była podobnież miejscem budowy w czasach wojennego istnienia tego zamku w starożytności. W téj, równie jak i w piérwszéj, pod warstwą niemniéj grubą czarnéj napływowéj ziemi, odkryliśmy podobnąż piérwszéj kamienną podstawę; lecz pod nią nic nieznaleziono, wyjąwszy bryłowatego kawałka pordzewiałego żelaza, mającego trójkątną śpiczastą formę, jakby koniec od rolniczego narogu, lecz daleko węższéj formy od narogów używanych dzisiaj.

Włościanie najstarsi przyległéj wioski, badani przez nas o podania ludowe o tym zamku, nic nam więcéj powiedzieć nieumieli nad to, iż to miejsce od wieków zamkiem się nazywa, że słyszeli od ojcow swoich, iż ono kiedyś porosłe było starożytnemi dębami, które gdy na klepkę wyrąbano, pozwolono im na tém miejscu wyrabiać pasieki na pole; że ojcowie ich słyszeli od swoich ojców, iż jakoby przy pierwotném oraniu pasieki na pole, wyorywano na tym zamku obręcze żelazne od kół, niekiedy zdarzało się łańcuchy żelazne wyorywać. Taką przechowali oni tylko w podaniu po ojcach swoich wiadomość: albowiem dzisiaj żyjący ludzie, uprawiający kotlinę zamku na pole, sami nic podobnego nigdy niewyorali. Zamek o

którym mówimy, niema żadnych wspomnień historycznych, ani w dziejach piśmiennych, ani nawet w podaniach gminnych; zanadto blizko położony od zamku Łohojskiego, niepodobna aby w starożytności składał oddzielną xiążęcą dzielnicę. Gdyby tak być miało, niechybnie w 1128 roku Izasław przez ojca swego Mścisława posłany na zawojowanie ziemi Krywiczan, gdy dobywał zamku w Łohojsku, byłby ten zamek również oblegał i szturmem dobywał, a historya niebyłaby téj wyprawy przemilczała. Lecz podobniejszą do prawdy zdaje się być rzeczą, iż te dwa zamki, Łohojski i przy wsi Rudni z sobą połączone, broniły jednéj i tejże saméj dzielnicy, i stanowiły siłę i twierdzę jednego zamku pod nazwą Łohojskiego, w dziejach znanego. Ztąd zamek przy wsi Rudni rozdzielając tak swą świetność jako i niepowodzenia swoje wojenne z zamkiem Łohojskim w starożytności, wspomnienienia historyczne z piérwszym podzielić zdaniem naszém powinien.

ZAMEK PRZY WSI ŚWIDNIE.

Jak już wyżéj rzekliśmy, wszystko cokolwiek postać nawet okopów starożytnych na sobie nosi, w języku ludu, a przez powtarzanie i w mowie wykształceńszych ludzi, Zamkiem się u nas nazywa. Myśmy nieodstępując tego powszechnego prawidła we wstępie pracy naszéj tę nazwę wszystkim uroczyskom naszym nadali; w bliższém atoli ich zbadaniu i w szczegółowym rozbiorze tych uroczysk, zadaniem jest naszém po charakterach na nich pozostałych odkryć i zdeterminować ich przeznaczenie w starożytności. Zamek przy wsi Świdnie, na prawym brzegu rzeki Hajny leżący, przy ujściu do niéj strumienia bez naźwiska, na wschód od zamku przy wsi Rudni o wiorst pięć w prostéj linii, położony na stroméj gó-

rze, mający ośmnaście sążni pochyłości, od wschodu dwóma fosami na sążni pięć szerokiemi zaopatrzony, od zachodu wałem na pięć sążni w pochyłości zabezpieczony, mający ośmdziesiąt dziewięć prętow Litewskich kotliny, jest czystém horodyszczem ofiarniczém. Czas i ludzka ręka od południa, gdzie przypierają wioskowe ogrody, opsuła trochę jego pierwiastkową formę; lecz gdyby i téj cechy nam brakło na zadeterminowanie w nim charakteru horodyszcza, znajdziemy tę pewność niechybną w tém, iż ono od niepamiętnych wiekow służy na cmentarz wioskowy.

W starożytności, ludzie chcący uczcić pamięć miejsc przeznaczonych dla spełniania religijnych obrzędów po przyjęciu wiary chrześcijańskiéj, by przedłużyć pamięć miejsca świętego, stawiali na nich bądź świątynie nowemu Bogu poświęcone, bądź uświęcali takowe przeznaczając je na miejsce wiecznego spoczynku. Ztąd to w badaniach archeologicznych do zdeterminowania ofiarniczych horodyszcz, kościoły, cerkwie i cmentarze w okopiskach umieszczone, stają się niewątpliwemi do tego wskazówkami. Według podania gminnego, na tém horodyszczu mają się ukrywać jakieś zaklęte skarby; wiele ludzi takowe widziało ukazujące się w postaci przelotnych, skaczących przed wzrokiem człowieka płomyków. Żaden z mieszkańcow téj wioski, chciwych do odkrycia owych tajemniczych skarbów, niemógł zbadać miejsca gdzie one są zakopanemi: albowiem za zbliżeniem się do tego płomyka, płomyk się oddalał i odprowadzał za sobą skarbów chciwego człowieka daleko za to horodyszcze i tam niknął w powietrzu. Podanie podobne o zaklętych skarbach, ukazujących się oczom ludzkim w postaci płomyka, niesą ściśle przywiązanemi do tego tylko horodyszcza: lud prosty

powtarza je i stosuje do wielu bardzo uroczysk mających swoję wiejskie podania.

ZAMEK PRZY WSI DOBRYNIEWIE.

Na północ od zamku Łohojskiego w prostéj linii o wiorst pięć od tego zamku, na lewym brzegu rzeki Hajny, pomiędzy Dobryniewem, wioską niegdyś należącą do plebanii Rzymsko-Katolickiéj Łohojskiéj, dziś zaś skarbową, a folwarkiem Kuziewiczami należącym podobnież przed laty do składu dóbr Łohojskich, dzisiaj będącym dziedziczną własnością obywatela P. Poźniaka, przy samym gościńcu wiodącym z Łohojska do Dołhinowa i Wilejki, pośrodku pól uprawnych, wznosi się o sążni dziesięć nad poziom góra lasem porosła, u wierzchołka oprowadzona fosą, mającą cztery sążnie szerokości; przez nią od południa wchód na jéj wierzchołek kulisto zakończony, mający powierzchni czterdzieści ośm prętow Litewskich, na którym się znajduje cmentarz wioskowy. Pomiędzy włościanami przyległéj wioski dochowało się dziwaczne podanie gminne o tym zamku, które oni opowiadają następnie: Miała być na ém miejscu przed laty cerkiew'; ta niewiadomo z jakich powodów wpadła w ziemię i długo bardzo potém słyszano odgłosy dzwonów téj cerkwi pod ziemią. Na przedłużeniu gościńca o kroków dwieście od podnoża góry, na grobelce tam znajdującéj się, jest mały mostek; przy tym mostku przechodzący ludzie widywali jakoby leżącego żołnierza, przy nim był pies i fura pełna pieniędzy. Żołnierz każdego przechodzącego przez ten mostek zatrzymywał proponując mu aby mu dał trzy dusze, poczém wóz z pieniędzmi do niego będzie należał. Gdy żaden z przechodzących ludzi, mając sobie objawione to żądanie, niemiał trzech dusz do dania żołnierzowi, pieniądze z żołnierzem

znikały w oka mgnieniu. Ustało to widmo z czasem, bo gdy żołnierz nieznalazł człowieka z trzema duszami, przestał się im pokazywać; lecz to zjawisko miało być jakoby przepowiednią, iż na tym zamku mogilnik dla wioski założyć wypadało, i odtąd włościanie przyległych dwóch wiosek grzebać się na nim poczęli.' Lubo to jest wskazówką niemylną w poszukiwaniach archeologicznych, iż kościoły, cerkwie i cmentarze stawiane na wierzchołkach dawnych uroczysk, stanowią cechę ofiarniczego horodyszcza; wszakże w zadeterminowaniu pod rozbiór wziętego uroczyska, przyjdzie nam odstąpić od tego prawidła ogólnego. Powierzchnia jego kulista, na niéj najmniejszego śladu kotliny; pomimo iż mogiłami jest pokrytą, zdaje się nam nosić niewątpliwe cechy okopiska sądowego w starożytności, i za takową w badaniach naszych tę górę podajemy. Mogła ona stanowić wyjątek z prawidła ogólnego w starożytności; przy przemianie pojęć religijnych, gdy się nieznajdowało blizko téj posady ofiarniczego horodyszcza, a tylko okopisko sądowe, być może, iż na niém się grzebać zaczęto. Im więcéj się zagłębiamy w badaniach naszych, im większego doświadczenia i dojrzałości w tym przedmiocie nabywamy, tém mocniéj przekonywamy się, iż charaktery horodyszcz i okopisk starożytnych zadeterminowane przez nas we wstępie do téj pracy, nabierać zaczynają coraz większéj powagi i prawdy. Horodyszcza ofiarnicze nie bez przyczyny miewały kotlinę: gdzie znicz gorzał wiecznie, a lud do istnienia jego przywiązywał zabobonną wiarę, tam go trzeba było okrążyć wałem, aby wiatry ognia niezgasiły, a burze nierozniosły jego szczątków; trzeba jeszcze było go uczynić niewidzialnym, tajemniczym, a przez to ludowi religijną cześć mu oddającemu, uroczystym pokazać,—wały go otaczające, temu wa-

runkowi zadosyć czyniły. Okopisko sądowe całkiem przeciwnemu powołaniu poświęcone, innych zupełnie do wypełniania swéj czynności warunków wymagało: sądy publiczne, wyroki głośno ludowi ogłaszane, potrzebowały miejsca czystego, odkrytego na wszystkie strony, aby wybrani tę czynność spełniający od ludu widzianymi i słyszanymi być mogli; kulista zatém powierzchnia wyniosłéj góry, nie co innego jak okopisko sądowe, tak naturalnie i tak stosownie do swego przeznaczenia wyrażała.

PIŚMIENNICTWO W W. X. POZNAŃSKIEM OD R. 1850

I CHARAKTER TEGOŻ W POPRZEDZAJĄCYCH LATACH,

PRZEZ

ANTONIEGO BIAŁOCKIEGO.

I.

W obec gwarliwego ruchu, skwapliwéj pracy, których w ostatnich kilku latach dawały dowody na polu literackiém inne prowincye nasze — zacząwszy od przewodniczącéj pod tym względem Warszawy, a stopniując potém Lwów, Kraków, Wilno — na samym końcu Poznań umieścić przypada. Wprawdzie drukarnie jego także niepróżnowały; wysyłały różne płody, ale niebyły to owoce myśli i pracy w obrębie prowincyi. Z publikacyj w tych czasach ogłoszonych, niemożna bezwzględnie wyciągać wniosku o rozwoju, kierunku i sile umysłowego kształcenia się prowincyi Poznańskiéj. Nadesłane z innych stron, czekały tylko niejako przytułku tutaj, korzystając z łagodniejszych prasowych przepisów. Z pomiędzy xiążek w ostatnich siedmiu latach ogłoszonych w Poznaniu lub Lesznie, może i połowa niebyła napisana przez miejscowych autorów. Właściwego ruchu literackiego, można powiedzieć, że niebyło wcale — a przynajmniéj był mało znaczny; więcéj to ruch xięgarski, ruch handlowy, któremu w części dogodniéj tu

się było rozwijać, a który znalazł równie czynnych i chętnych nakładców jak gdzieindziéj.

Oddzielając zatém w epoce 1850—1857 objawy umysłowéj pracy pochodzeniem swém do innych prowincyj należące, tu obywatelstwa tylko szukające, od mających istotnie prawo Poznańskiemi się nazwać,— zastęp tych ostatnich ukaże się bardzo szczupły, a co więcéj nieświecący żadną potęgą siły, kierunku oznaczonego czy to zbiorowo, czy pojedyńczo. Opinije publiczne, specyalne nauk gałęzie, niemając organów swych w dziennikarstwie nieistniejącém prawie — niemogły się daléj rozwijać i kształcić:— w skutek tego myśl powszechna, nieznajdując skupienia w publicznéj jakiéjś pracy, odwróciła się i zamknęła w ciaśniejszym obrębie życia domowego; — tam też szukaćby należało obrazu charakterystyki tych lat,— gdy na widowni publicznéj, w literaturze, zgromadzeniach i wszystkich zbiorowych robotach ani prawdziwego, ani dość wyraźnego znaleźć niemożna. Parę pism peryodycznych w téj epoce wychodzących ani były wyrazem rzeczywistych potrzeb prowincyi, ani im zadość czynić mogły; pojedyńczo ogłaszane prace w najrozmaitszych przedmiotach, z różną pomyślane i wykonane zdolnością, przyjmowane były dość obojętnie, a same dowodziły rozproszenia się myśli w drobnych odłamach, nieumiejącéj czy niechcącéj stosować się do potrzeb ogółu i niemi zawiadywać. Z historyi, literatury pięknéj, filozofii, archeologii, nauk przyrodzonych, rzucono tego i owego po trochu w różnych dozach—co kto miał pod ręką;—lecz ogólnie w tém wszystkiém trudno dostrzedz jakiejś analogii myśli, ciągu pewnego i stale przeprowadzonego. Uderza mianowicie przebijające się wszędzie znużenie, odrętwiałość, ciężkość: tu i ówdzie strzeli jakiś blask żywszy, jakaś myśl gorętsza, zdolniejsza— lecz w szybkim

przelocie ani do dalszego rozwoju zmierza, ani wrażeniem śladu po sobie niezostawia. W ogóle charakterystyka tych pięciu lat, owiana pewną duszną, tłoczącą atmosferą — męczące tylko sprawia uczucie.

W najświeższych czasach, od roku może lub więcéj nieco — spostrzedz się daje korzystniejsza zmiana. Rozbudza się umysłowe życie, wstaje ze spoczynku, krzątać się zaczyna i rokuje nadzieję, że po przydłuższém tém milczeniu i wytchnieniu, rozpocznie daléj swą czynność koło uprawy własnéj roli. Nieznaczne, słabe wprawdzie te objawy wiosennego drżenia — lecz dojrzeć je przecię nietrudno. Oto od roku zawiązane towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu, choć o wątłych siłach, krząta się jednak gorliwie i wiele obiecuje. Od dwóch lat przybyło jedno pismo peryodyczne; — istniejące przed niém dążą do coraz większego udoskonalenia się; — kilka dobrych xiążek wyszło z pod pióra miejscowych pisarzy; — powstają nowe zakłady naukowe i pobożne; — w stowarzyszeniach nawet takich, które zabawę głównie dotąd na oku miały, przeważać zaczyna wpływ intelligencyi, jak *np.* w resursie Poznańskiéj (tak zwaném *kółku towarzyskiém*), gdzie co poniedziałek odbywają się całą zimę odczyty naukowe, na które tłumnie publiczność uczęszcza. Myśl ogółu zdaje się tedy szukać jakoś drogi poważniejszéj, pożyteczniejszéj — obiera środki do tego najstosowniejsze: wzajemnego zespolenia rozrzuconych sił. Słowem wglądnąwszy głębiéj w obecne życie umysłowe prowincyi Poznańskiéj, pocieszające można wynieść przekonanie — a to tém bardziéj, że jednocześnie stosunki życia materyalnego bardzo zachwiane, dotkliwe i trudne, niewpłynęły jednak na tamte tak szkodliwie, jakby tego słusznie obawiać się było można.

Zanim przystąpimy do sprawozdania więcéj szczegó-

łowego, do bliższego przejrzenia objawów literatury powyższéj epoki, wypadá nam koniecznie udowodnić a raczéj wyjaśnić rzuconą o niéj w ogólnych słowach charakterystykę. Wskazane powyżéj symptomata, koniecznym są bowiem wypływem poprzedzających je stosunków, okoliczności, wydarzeń. One to przygotowały je nieodwołalnie. Dla zrozumienia przeto stanu rzeczy obecnego, dla wytłómaczenia go sobie jak należy, zapoznać się pobieżnie przynajmniéj trzeba z czynnikami, które na niego tak potężnie oddziałały. Inaczéj mówiąc trzeba się nam cofnąć kilkanaście lat w przeszłość i jedném spójrzeniem powziąć pojęcie o charakterze, kierunku i donośności zasług piśmiennictwa tego czasu, oddzielić wpływy zewnętrzne od samodzielnego usposobienia i rozwoju, oraz ocenić i roztrząsnąć warunki, pod któremi się kształciło i krzewiło; jednym pociągiem pióra, jednym słowa potokiem odsłonić całość obrazu; ze wszech stron ukazać jakie farby na pęzel nałożono, jaka ręka nim wiodła, jaka gra świateł i cieni na malowidło się złożyła: jaskrawy i różnobarwny to obraz, burzliwy i kipiący całą pełnią życia ferment! Z niego jednak wychyliła się świeża przeszłość i to położenie rzeczy, które obejrzeniem tamtego wyjaśnić zamierzamy. Wielką trudność tego zadania, zawiłość saméj kwestyi, drażliwość jéj—czujemy ze wszech względów. Są to rzeczy, które, by dokładnie, należycie zbadać, obszerném dziełem ledwie objąćby można; są to chwile zbyt nas blizkie, aby z całą spokojnością o niejedném sądzić się dało;—stosunki, wypadki zbyt świeże, zbyt drażliwe, aby o nich z całą swobodą rozszerzyć się można. Wbrew chęci trzeba o niejedném zamilczeć, niejedno ledwie dotknąć, od odsłonienia prawdziwych sprężyn ruchu się powstrzymać;—w końcu zaś, trudność zadania podnosi jeszcze wiele dla

nas samych ta okoliczność, że w owym czasie aniśmy w prowincyi Poznańskiéj przebywali, ani do stosunków i wydarzeń chwil owych ręki własnéj przyłożyć mogli. Chociaż zyskuje się może w takim razie na łatwiejszéj możebności wyrobienia sobie trzeźwego sądu; wszakże z drugiéj strony niezawodnie traci się na sile żywego pojęcia, gdy się akcyi obecnym niejest, gdy fakta w daleko rozproszonych wiadomościach zbierać potrzeba, gdy wrażenia odbiera się z martwych liter a nie wprost z niemi się styka. Różnicę taką przyrównaćby można do znajomości człowieka, z którym się wiele lat razem spędziło, a do znajomości zabranéj z nim po odczytaniu napisu grobowego kamienia, co życie jego poświadcza.

Znamy więc dokładnie trudności towarzyszące podjęciu zadania, którego jednak uniknąć w naszéj pracy było niepodobieństwem. Otwarcie i szczerze wyliczyliśmy je, choćby dla usprawiedliwienia się w razie, gdyby mimo wiedzy pomyłka jaka wcisnąć się miała; podnieśliśmy je choćby dla całego uznania ważności chwili owéj, którém przejęci jesteśmy, dla zwrócenia uwagi na nią pióra zdolniejszego, jeżeli niezaraz to w najbliższéj przyszłości pozwalającéj traktować ten przedmiot w całéj rozciągłości i z całą swobodą.

Pomimo tego niewahamy się sprobować sił własnych — w granicach i rozmiarze właściwym. Piszemy rozprawę tę wyłącznie dla Teki Wileńskiéj i dla najbliższych jéj czytelników. Zdaje nam się, że wiele względów niepozwala dotąd o wielu kwestyach traktować w pismach na Litwie rozpowszechnionych: w nadziei, że rzucimy nowe światło na część piśmiennictwa naszego, tym przynajmniéj czytelnikom, którzy z niém wprost zapoznać się niemogli — na skreślenie poniższych słów kilku odważyliśmy się.

II.

Bolesna cisza, co przed dwudziestą sześcią laty piękny, szeroki kraj nasz owiała, wszystkiemi stosunkami życia publicznego i domowego jednakowo zawładła, na wszystkie ten sam wpływ wywarła. Jak w Alpejskich krainach, gdy z szczytów gór ze złowrogim hukiem i szalonym pędem straszne zesuną się śniegów lawiny,— przykryją wszystko w dolinie co żyło i kwitło jedną ciężką powłoką — nieme, martwe zapanuje milczenie:— tak i pod on czas głucho było w kraju naszym od granic do granic, bo równie śnieżną zawieją pomiótł wicher wokoło i przysypał wszystko. Zaskrzepła krew w sercu, wstrzymał się oddech w piersi i zastanowiły bieg swój całego organizmu płyny. Na ziemi i wśród ludzi uroczyste, poważne milczenie zaległo,— milczenie, które szanować należało.

I ta część Wielkopolski którą dziś xięztwem Poznańskiém zowiemy, zawtórowała oddźwiękiem, na który całego kraju akord był się nastroił. I tu podobnie jak gdzieindziéj, w obec ciężkiéj katastrofy nastąpiła zupełna stagnacya w życiu publiczném, prywatném,— we wszelkiéj pracy co żywotniejszego ruchu żądała, co silniejszego poparcia, swobodnéj myśli wymagała. W wyniku tym i na polu piśmiennictwa powstała próżnia, zeszli z posterunków swych czujni stróże rozwoju myśli powszechnéj, zadmuchnęli lampy swoje — a tylko słabe dymy ich snuły się przy ziemi.

Stan ten trwał lat kilka.

Potrzebę ożywienia się, zbliżenia wzajemnego, coraz bardziéj poczuwać zaczęto. W myśli téj zaczynają się najprzód zawiązywać po prowincyi stowarzyszenia agronomiczne, składać przy nich xięgozbiory, urządzać czytelnie, —

następnie zjazdy i zabawy w celu poznawania się, spojenia organizmu ciała obywatelskiego dotąd w drobne kółka rozproszonego. Agronomiczno-towarzyskie te instytucye wyraziły się wreszcie w r. 1834 założonem pismem, p. t. *Tygodnik rolniczo-przemysłowy*, w którém najczynniejszy brał udział podówczas Jędrzéj Moraczewski. Jednocześnie w obec coraz dotkliwiéj czuć się dającego braku wszelkiéj karmi umysłowéj, zjawia się nowe pismo w Lesznie u Ernesta Gunthera założone przez Jana Popłińskiego i Józefa Łukaszewicza p. t. *Przyjaciel Ludu*, mające zbudzić ducha z letargu, służyć nauce, rozrywce i powołane zebrać w jedne ramy Pamiętnika, rozproszone zabytki sztuki, wiedzy, historyi, wspomnień i legend krajowych. Nietylko w Poznańskiéj prowincyi, ale w całéj ziemi Polskiéj rozbiegł się niebawem najprzyjaźniejszy odgłos dla téj publikacyi. Podobnéj wziętości, sympatyi niedoczeka się pewno żadne drugie pismo. Naszém zdaniem głównie przypisać to należy chwili w któréj ono wystąpiło — szczęśliwemu pomysłowi co do charakteru jego i kierunku samego. Umiało połączyć zabawę i pożytek, zakołatać do serca i brząknąć w najczulszą jego lutni strunę. Wszak z żywą wdzięcznością, z smutną rozkoszą, z najgorętszém uczuciem witamy zawsze obraz utraconéj drogiéj osoby, choćby w chwili konania jéj zdjęty; namiętnie przytulamy do ust cząstkę jéj szaty, lub jakichbądź szczątków ją samą nam przypominających. Tak też było z Przyjacielem Ludu. Miarą zyskanego wzięcia niepodobna mierzyć rzeczywistéj, krytycznie ocenionéj zasługi jego. Mnóztwo opisów znanych okolic, pamiątek dziejowych, bijografij zasłużonych mężów, — podawał jedne za drugiemi bez oględnych studyów, często dla ryciny lub portretu więcéj. Zbierane bez wyraźnego systematu rozprawy naukowe, epizody historyczne, poda-

nia i pieśni ludowe, powieści najrozmaitsze— puszczał w świat zwykłę bez wyboru, jak przyszły, bez analizy poprzedniéj. Ale, że to wszystko osnute i przejęte było tchem myśli narodowéj, wyrwaném świeżo z pamięci, że do tych wszystkich opisów przywiązana była wartość wagi ich, że były drogie wspomnieniem, a podania i legendy wyjęte z ciepłego łona ludu grały jeszcze pełnią życia:—słowem, że gdy całość była jakby echem szczęśliwéj i ukochanéj pieśni, choć pewno niedokładném, czasem nie pewném, że echo to zabrzmiało wśród ciszy pogrobnéj,— więc gorąco chwytano każdy powiew jego, a tak dla Przyjaciela Ludu nieznano granic uniesienia.

Wpływ wszakże, który on wywarł, tylko jak najkorzystniéj da się zanotować. Pominąwszy już niesłychaną ważność sprawioną wystąpieniem jego samém w ogólnym interesie prowincyi i kraju—przyczynił się jak wtedy, głównie i jedynie do rozbudzenia życia umysłowego, ducha pracy, kierunku tejże, oraz do zwrócenia uwagi na zabytki archeologii, wspomnienia, legendy i podania. Z tych powodów założyciele Przyjaciela Ludu, a następnie pracownicy inni koło niego, mogą słusznie dopominać się najszczerszego uznania swych zasług. To co pismu temu niedostawało, wypływało nie z braku chęci dobrych, ale z braku sił; w każdym zaś razie było usterkami czysto scyentyficznemi, niezaś poniżającemi moralnie wysoką wartość i zasługę pożytecznéj téj pracy.

Istnienie Przyjaciela Ludu przeciągnęło się do roku 1848. Zmieniając kilkakrotnie redakcyę, ostatecznie zupełnie osłabło na siłach. Zawsze jednak, te szesnaście lat jego exystencyi są jeszcze jednym dowodem więcéj, powszechnego dla niego współczucia, gdy w czasie 1840—1848 dziennikarstwo właśnie liczbą swą najwyżéj stało

w Poznańskiém, gdy w epoce téj myśl powszechna gorliwiéj zajęta była kwestyami, gdy jéj najbardziéj zbywało wtedy na spokoju i skupieniu się dostatecznem, a przynajmniéj takiém, by przedmiotami przez Przyjaciela Ludu podawanemi zająć się mogła.

Dawszy już raz hasło przebudzenia się do pracy, postępowanie w niéj powolnie z początku, ale przecię wyraźniéj rozwijać się zaczęło. Za śladem Przyjaciela Ludu widzimy rodzące się coraz nowe usiłowania na polu literackiém. Tak w r. 1836 x. Jabczyński zakłada *Archiwum teologiczne*, pismo miesięczne, mające podawać najważniejsze dokumenta tyczące się rzeczy Kościoła. W roku tym jednak ukazały się tylko trzy, a w następnym tylko jeden zeszyt.

W roku 1837 x. Tomasz Borowicz (+ d. 15 sierpnia 1857, jako pleban w Brodnicy w w. x. Poz.) u Günthera w Lesznie zaczyna wydawać co tydzień pół-arkusza pisma moralno-religijnego, wyłącznie dla dzieci w szkółkach wiejskich poświęconego pod nazwą, *Szkółki Niedzielnéj*. Jasnym wykładem, przystępnym językiem, gorliwą redakcyą, prawdziwém zamiłowaniem przedmiotu i celu, szanowny ten ś. p. redaktor zarobił na najchlubniejsze imie, a pismu swemu nadał niedość pewno jeszcze ocenioną wartość. Zostanie ono na długo wzorem dla tego rodzaju przedsięwzięć, a istotnym pożytkiem dla biednych dzieci ludu. *Szkółkę Niedzielną*, prowadził do r. 1848 z tąż samą żarliwością i podziwienia godną wytrwałością. Następnie do r. 1853, słabsza już wiele wychodziła pod redakcyą x. Koteckiego.

Założenie *Tygodnika Literackiego* w r. 1838 przez Józefa Łukaszewicza i Antoniego Poplińskiego (brata Jana) pod firmą A. Wojkowskiego—otwiera nowy peryod cha-

rakteru piśmiennictwa w w. x. Poznańskiém, który od roku 1840 wypłynął dopiéro na pełniejsze morze, znacząc swe objawy odmiennemi zupełnie niż dotąd cechami. O piśmie tém będziemy mieli więcéj do powiedzenia następnie, a zwłaszcza wtedy, gdy przeszło de facto (1840) pod redakcyę Wojkowskiego: w stosunkach bowiem lat następnych grało niepoślednią rolą. Tu najprzód tylko zwracamy uwagę czytelników, że pismo to przez dwa lata piérwsze (1838—9) zupełnie w swym charakterze inne miało znaczenie niż późniéj, a to tak dalece, że choć potém pod tą samą nazwą i firmą wychodziło za jedno i to samo brać go przecię nienależy. Lecz niewyprzedzajmy biegu rzeczy.

W latach tych, a mianowicie od r. 1834 występuje czynnie, znakomita w rzędzie miłośników narodowego oświecenia postać— występuje Edward hr. Raczyński. W pomienionym roku buduje piękny gmach w najcelniejszéj ulicy Poznania i składa w nim bogatą biblijotekę swoję na użytek publiczny. Czyni ją dla wszystkich przystępną, urządza czytelnię, uposaża stałym funduszem na zakupno xiążek i utrzymanie urzędników przeznaczonym. Biblijoteka ta liczy obecnie przeszło 20,000 tomów, posiada wiele ciekawych rękopismów (około 300) z XIII, XIV i XV wieku, a szczególnie z XVI i XVII, tyczących się spraw krajowych, mianowicie Wielkopolski. Uchwały sejmików grodzkich znajdują się tu w komplecie.

Od téj epoki zaczynają się ukazywać szeregiem wydawnictwa materyałów historycznych, pamiętników, z niezłomną gorliwością przez zacnego męża tego, aż do śmierci jego (r. 1846 na wyspie jeziora Zaniemyślskiego, gdzie wystrzałem z moździerza życie sobie odebrał) prowadzone. Czerpane w archiwach krajowych i zagranicznych, z pośpiechem

drukowane, urosły w znaczną liczbę. Wielki brak wszakże krytyki, poprawności, dokładnéj staranności mocno w nich czuć się daje i wiele razy był już wykazywany (1).

Wspomnieliśmy, że rok 1840 nowy zwrót literaturze Poznańskiéj nadaje; zbliżając się do niego, spójrzyjmyż jeszcze raz po za siebie w ubiegło lat kilka, jednym je obejmując wyrazem. Powoli, nieznacznie ale obiecująco zaczynało się wychylać wszystko, co w uśpieniu trwało. Pojedyńczy pracownicy, pojedyńcze siły probują czy pokrzepieli już dosyć, czy można wysłać gołębicę z dobrą wieścią między braci:—z obawą choć z gorącą chęcią stają oni do roboty— z niepewną dłonią chwytają za pług, niewiedząc czy dość rozmarzła już gleba. Wszędzie objawy dobréj woli, poczciwéj chęci—ale wszędzie brak ufności w siły. Drżącém światłem zarumieniła się ta zorza wschodzącego słońca myśli—niewiedząc czy wypłynąwszy

(1) Edward hr. Raczyński wydał: Podróż do Turcyi, 1822. Listy Króla Jana III, 1824. Jerzy Lubomierski, Statystyka Anglii 1837. Poselstwo od Zygmunta III do Dymitra Iwanowicza cara Moskiewskiego z okazyi jego zaślubin z Maryną Mniszkówną, 1837. Otwinowski Erazm, Pamiętniki do panowania Augusta II, 1838. Pamiętniki Albr.-Stan. xcia Radziwiłła kanclerza w. Litewskiego, 1839. Dąbrowski Jan-Henryk jenerał, Wyprawa do w. Polski przez niego samego opisana, 1839. Kajet. Koźmiana Ziemiaństwo Polskie, 1839. Codex dipl. Maj. Pol. 1840. Obraz Polaków i Polski, 19 tom. 1840—42. Poezye B. Zaleskiego, 1841. Gabinet medalów, 1841. Żywoty sławnych Polaków w XVII wieku, 1841. Sprawozdanie z fabryki kaplicy grobowéj Mieczysława I i Bolesława Chrobrego w Poznaniu, 1841. Wspomnienia Wielko-Polski z atlasem, 1842—3. Archiwum tajne Aug. II, 1843. Codex dipl. Lithuaniae, 1845. Czackiego dzieła, 1845. Albertrandy, Dwadzieścia i sześć lat panowania Wł. Jagiełły, 1848. Pamiętniki Paska. Ludgarda Kropińskiego.

na pełny widnokrąg napotka czysty lazur i jasnym, ciepłym uściskiem siostrzycę ziemię obejmie, czy przyjdzie mu przedzierać się przez czarne chmury i walczyć o piérwszeństwo z błyskawicą piorunu.

III.

Wiele tarcia, mało ruchu.
Aug. Cieszkowski.

. . . . . Ach w tém Poznańskiém,
W tém naszém Polsko-Germańskiém,
Arysto-dame-kratyczno-pańsko-
Filozoficznie-kapłańskiém!
K. Berwiński.

Pod przyjaźną wróżbą spokojnéj, obiecującéj i budującéj pracy zbudziła się myśl z odpocznienia. Tuszyć wiele pozwalały jéj objawy w przyszłość. Wzrastała ochota gorliwego czynu, pokrzepły siłą dłonie, do rodzenia gotową była gleba. Usposobienie to rodzajne było w tym stopniu, że zdolne już było własném ciepłem skłonić do kiełkowania ziarno, jakiebądźby nawet rzucono. Niebawem też najrozmaitsze sypnęły one zawieruchą i gradem na ziemię naszę, padły w spulchnioną już jéj warstwę i wszystkie przyjęły się, każde swoją naturą wzrastając.

Wszelkie względy, wpływy i stosunki zewnętrzne, krajowe i społeczne najprzyjaźniéj temu mięszanemu siewowi pomogły. Rychło z jednego zagonu wychylać się zaczęły najrozmaitsze rośliny, szybko, smagło podnosić wiotkie łodygi i pstrokatemi majaczyć barwy, sypać nasiona w różne strony wichrem gnane, spychające się wzajemnie z ciasnéj przestrzeni. Dziwneż to tam były krzewy i rośle: swojskie i obce, pożyteczne i zjadliwe, płodne i płonne. Ale rosły czas jakiś wszystkie, rosły rozmaicie, słabiéj lub silniéj w miarę żywotności zasobów — bo pod

wszystkiemi była gleba dobra, poczciwa, gleba rozgrzana, rodzić pragnąca. Wiemy że ośet tylko na silnéj, odpoczętéj roli bujno się krzewi.

Epoka piśmiennictwa prowincyi naszéj, z temi cechami, obejmuje mniéj więcéj lat jedenaście i pół— t. j. do lipca 1850 r., w którym to czasie nowy zewnętrzny stosunek zamyka całe prawie dziennikarstwo, przytłumia słabnące już wysilenia, dotkliwie ścieśnia swobodę umysłowéj pracy— słowem, chwili od któréj nowe ostygnięcie, datujące aż do najświeższych znowu czasów.

Rzućmy okiem na charakter téj epoki.

W r. 1840 zaszła zmiana na tronie Berlińskim. Z wstąpieniem nowego nań króla, stosunki prowincyi Poznańskiéj wielom uległy zmianom—zmianom, któremi się powszechnie cieszono. Fryderyk Wilhelm IV, mimo że w uprzedzeniach Pruskich i niechęci Pruskiéj wychowany, rozumiał wówczas ze strony poetycznéj przywiązanie Polaków do narodowości— i miał jak najlepsze chęci. Ztąd nadzieja, otucha w przyszłości, wnioski szczęśliwe rozjaśniły wszystkim myśl, ożywiły serca, podobnie jak u was w téj chwili. Ku pracy naukowéj, literackiéj, rzuciło się wszystko z energiją i zapałem a dobrą myślą. Właściwa ruchliwość literacka rozpoczęła się z latem r. 1841, w którym dr. Karol Libelt otworzył publiczne prelekcye o literaturze Niemieckiéj. Niebawem następnéj zimy zaimprowizowano rodzaj uniwersytetu: dr. Matecki zaczął wykładać o chemii, Jakób Krauthofer o filozofii prawa, Libelt o estetyce, a Moraczewski historyę ludów Słowiańskich i Polski aż do XV w. Tłumnie zgromadzano się na te odczyty do sali pałacu Działyńskich—i im przypisać należy wydanie hasła do pospolitego ruszenia w piśmiennictwie. Téj chwili zwrótu pracy naukowéj winno powstanie swe Towarzystwo do dzi-

siaj istniejące, a w tedy głównie uorganizowane przez ś. p. d-ra Marcinkowskiego (1). ***Towarzystwo naukowéj pomocy***, przez władze miejscowe zatwierdzone patentem d. 21 września 1841. Celem jego wychowanie i wspieranie własnym kosztem najuboższéj, zdolnościami wyszczególniającéj się młodzieży. Oparte na dobréj woli obywatelstwa, ze składek rocznych w fundusze opatrzone, przyszło do znacznych kapitałów, za pomocą których wydźwignęło i postawiło na pożytek kraju z pomiędzy mass ludu mnóztwo zdolności, które bez téj pomocy niezawodnie zmarnowaneby były. Wielu najzdolniejszych dziś professorów, lekarzy, duchownych, rzemieślników, inżynierów i t. d. w xięztwie Poznańskiém, świadczą życiem i pracą swą o dobroczynności i owocach towarzystwa. Jest ono największą chlubą prowincyi i jedyném dziełem, które burzliwa, smutna zkądinąd epoka postawiła. Niemamy słów na oddanie zasług i uznania tak instytucyi téj, jak i czcigodnemu ś. p. jéj fundatorowi—i dziwić nas tylko nieprzestaje, że dotąd po 17 leciech od czasu założenia Towarzystwa naukowéj pomocy w Poznańskiém, ***nie podobnego w innych prowincyach kraju naszego się niezrodziło!***

Między innemi w skutek zmiany tronu reformami, było i ułatwienie styczności z zagranicą, z Francyą. Socyalnemi najróżnorodniejszemi pomysłami zaczynał burzyć się ówczesny Zachód. Pismami tylko udzielał się dotąd fer-

(1) Dr. Karol Marcinkowski ur. 23 czerwca 1800 w Poznaniu, um. 7 listopada 1846 w Dąbrowie w powiecie Obornickim. Życiem poświęcenia, szlachetnych czynów, biegłością w sztuce lekarskiéj, założeniem wreszcie powyższego Towarzystwa, uwiecznił się w pamięci wdzięcznych współobywateli i ziomków—i z największą czcią dotąd wspominanym bywa. Napisał: ***Uwagi nad naturą i historyą kołtuna***, Kraków, 1846.

ment jego Poznańskiemu; teraz zaś ziomkowie wychodźcy przybywając licznie w obec swobodniejszego prawa, ryczałtem przynosili z sobą obce teorye, pomysły, obok indywidualnych najrozmaitszych przekonań, uzdolnień, zwrótów życia, przeważnie nasiąkłych nierodzinnym już wpływem, przejętych obcemi idejami. Te zaś, jak wiadomo najczęściéj w zastosowaniu na miejscu swego zrodzenia nawet, niedójrzałémi się ukazywały; a cóż dopiéro przeniesione do kraju, pod inne niebo, inne stosunki, między innych ludzi! Różnobarwny, różnochorągwisty ten zastęp ziomków naszych, zatknął jaskrawe sztandary swoje tłumnie na Wielkopolskiéj równinie, potężnemi głosy zaczął obwoływać godła swoje, a przyjmowany wszędy z otwartemi ramionami, wylanemi sercami, pod urokiem oddalenia, cierpień i poświęceń—rozdzielił społeczeństwo miejscowe na drobne, gwarne obozy pojęć i kierunków. Każdy z nich skupiony koło pewnéj flagi, zaczął objawiać ślad życia szermierką ze zwolennikami drugiéj, rozbijaniem się hałaśném za czémś co niemiało ani kształtu, ani celu, ani osnowy wyraźnéj, dobrze pojętéj i jasno widzianéj. Całe zaś tło pstrokatego obrazu pociągnęte było purpurowym kolorytem przywiązania do kraju i gorącéj chęci służenia mu; w téj myśli tylko i w tym celu wrzało to niesforne pospolite ruszenie. Niemiało jasnéj samowiedzy, niewidziało wyraźnie swéj drogi, zapominało że jednym, szerokiem szlakiem iść należało, by znaleźć upragniony cel, a niegubić się po manowcach i potrącać wzajem w ciemnych zaułkach—i tém błądziło. Był to błąd nie w zasadzie, ale w rozwinięciu. Ztąd obok wielkiéj, nad siły naprężonéj czynności, niebyło czynów,— a jak słusznie wyrzekł nasz myśliciel: było *wiele tarcia a mało ruchu.*

Bo dziwaczne też kształtem, sprzeczne oświetleniem,

snuły się po tym obrazie różne pojedyńcze postacie lub grupowały się gromady, każda w inną stronę spiesząc i wzajem się spychając, potrącając, goniąc. Mglista, hałaśna zawierucha. Więc przykro uderza w tym obrazie ogólnéj harmonii tonu brak, powszechny rozstrój, gorączkowym, epileptycznym prawie wyrażający się pośpiechem,— dymem i kurzawą wirująca zamieć. Rozjaśni się czasem jakieś kółko maleńkie, strzeli zeń czysty promyk, uwydatni czasem jaka postać, lecz zawsze zjawisko to trwania tak przelotnego, efemerycznego— przysłania się niebawem wieczną chmurą i niedaje się ani poznać bliżéj ani ocenić należycie mignąwszy zaledwo gwiazdy przelatującéj pędem. Zdając sobie sprawę z tego dziesiątka lat, niesłychanie unużającego doznaje się wrażenia, chcąc wyśledzić kierunek myśli ogólnéj, która co chwila rozrywana w różne drogi za mgłą przeczuwa swój kres. Niewie jak zmierzać ku niemu, oddala się i zbliża, szamoce i uspokaja, staje nad przepaścią lub wchodzi na tor ubity, to niema dosyć spokoju, dosyć siły organicznéj, by cierpliwie zbadać głębinę na dnie któréj chce umocować kotwicę.

Wszystkiemi uczuciami grała pierś ludzka wtedy, wszystkiemi śluzami kipiał wezbrany potok, wszystkiemi rozdrożami błądziła myśl. Wstrząśnienia polityczne lat kilku dolały palnego płynu. I był znowu czas, gdzie wojenna rada stała się przeważającą melodyą, na któréj tema grzmiały strzały. Polityką oddychało wszystko: polityką dzienniki, rozprawy, nauka, poezya; polityczną skalą mierzyły się i oceniały stosunki, położenie i życie całe.

W logicznéj konsekwencyi cała literatura nietylko była najprawdziwszym wyrazem tych wszystkich pojawów, ale należała do nich bezpośrednio, była ich rzeczywistą potrzebą, organem, oddechu naczyniem.

Tłumy broszur i pism ulotnych mnogość rozmaitych dzienników, noszą na sobie cechę téj zawieruchy pojęć ginących najczęściéj w ostatecznościach socyalizmu lub radykalizmu, w filozoficznych zagłębieniach Heglowskich i lotnych pląsach poetycznéj, rozkołysanéj wyobraźni, w flegmatycznem gadulstwie i gorączkowych wykrzyknikach, w biblijnym nastroju i płóchém zrywaniu się! Istna mozaika rozklejona! Ze wszystkiego po trosze, każdéj farby, każdego kształtu i zakroju nieco—a niczego w całości, w pełni, w ukończeniu. Myśli przewodniéj, ładu w układzie, porozumienia się wreszcie, najwyraźniéj niebyło. Z pośród téj wrzawy zmąconéj, zalatują czasami jakieś głosy wzywające do porządku, do zgody, do wyjaśnienia wzajemnego;— ale zasłabe ich dźwięki wnet przygłusza powszechny gwar.

Burza nic zbudować niezdoła; sama jéj nazwa w naszym języku ma już pojęcie niszczenia. Fizycy twierdzą, że w przyrodzie jest ona do dalszego życia, do wzmocnienia jego pierwiastków niezbędną; w historyi prawo to jednak zastosować się nieda: pytając o rezultaty burzliwego procesu tych jedenastu lat w umysłowém i społeczném życiu prowincyi Poznańskiéj — dodatnich trudno dojrzeć. W korzyści, zdaniem naszém, zostało nam tylko doświadczenie, nauka, jak przezornie zbiżać się należy do teoryj, których zasadą bezwzględnie obalać dawny porządek, bez zasobów wystarczających do postawienia lepszego, nowego. I więcéj jeszcze nauki i innego doświadczenia nam przybyło .... jakich? to nadto jest dotykalném aby zbytecznem niebyło je wyłuszczać. Lecz prócz tych, zostało wiele cierpkiego wspomienia, ubyło dużo siły, uroniło się nie jedno co niepowetowane!

Przerzućmy kilka pomników literackich tego czasu, zajrzyjmy w kolumny dzienników, tych cieplomierzy orga-

piźmu, podejmując przynajmniéj co silniejszym rozrostem się uwydatniło, a zapoznamy się bliżéj jeszcze z obrazem powyżéj naszkicowanym.

W całym tym peryodzie pisano wiele, bardzo wiele; zdawało się to leżeć w usposobieniu chwili, być symptomatem charakterystycznym. Kiedy już hałasować to dobrze, kiedy pisać to wolumina. Niedoczeka się pewno ani Poznańskie, ani żadna prowincya nasza, aby przez 10 lat w takim kraiku 30 pism peryodycznych prawie naraz wychodziło. Poznańczycy prześcignęli wtedy nawet sąsiadów swoich, chlubiących się szybkopiórą zdolnością, ułatwiającą im opisanie, przepisanie i spisanie całego życia i wszystkich jego warunków—zapełnienie tomów badaniami nad partykułą jedną i t. p.—Założenie jakiegoś dziennika powodowane bywa zazwyczaj ważnemi przyczynami, pilną potrzebą, rozległością jakowéj pracy streszczenia wymagającéj. Podówczas skromniejsze miano pobudki, nie tak donośne motywa; przypomina nam się racya podana przez zacnego zkądinąd redaktora, przy otwarciu bardzo pożytecznego późniéj pisemka, ***Szkółki dla dzieci*** Ew. Estkowskiego. Tak on wykłada popularnie przyczyny skłaniające go do téj publikacyi: „Bo to widzicie różne pisma „codzień; jedni trzymają Gazetę, albo Dziennik polski, ubo„si i mniéj wykształceni trzymają Wielkopolanina albo Wia„rusa, nauczyciele trzymają Szkołę Polską; więc tak ***wszy„scy mają pisma dla siebie***, tylko dzieci niemają. ***A „czemużby i dzieci pisma swego mieć niemogły?***"—Z podobnych powodów zakładano najczęściéj dzienniki, aby pewne kółko odrębnego jakiegoś przekonania i teoryi miało swój organ, niby miecz, którymby naokoło machać mogło. Jeżeli się tylko znalazł człowiek, który jako tako podjął się tę rzecz prowadzić, jeżeli zjawił się jaki taki fundusz

na początek, to i warunki do exystencyi dziennika były w komplecie—bo o resztę mniejsza: to się zostawiało jakoś trochę losowi, trochę nadziei, resztę Panu Bogu. W tym punkcie pojęcia religijne były najpowszechniéj zgodne. Opatrzności porucznano najczęściéj z całém zaufaniem troskę wydawnictwa. Gdyby odsłonić można i wolno było zakulisowe dzieje żurnalistyki ówczesnéj,—ciekawych i interesujących nastręczyłyby studyów.

Tygodnik literacki założony w r. 1838 przez Poplińskiego i Łukaszewicza pod firmą A. Wójkowskiego, zajmuje jedno z najważniejszych miejsc w historyi wzrastającego dziennikarstwa. Niepodobna mu zaprzeczyć, iż wpłynął niesłychanie wiele na ożywienie ducha, skupienie rozrzuconéj pracy, wykształcenie literatury lekkiéj, powieściarskiéj. Pod tym względem ma bardzo wielką zasługę. Z początku był on umiarkowanym, spokojnym, trudnił się wyłącznie uprawą piśmiennictwa i szerzeniem zamiłowania do niego. Gdy wszakże w r. 1840 właściwi redaktorowie niemogli się pogodzić z Wójkowskim, który niezadawalniając się firmą samą, czynnie zasady swoje przeprowadzać zaczął—ustąpili mu miejsca i oddali pismo pod jego własny kierunek. W charakterze swoim zmieniło się ono zaraz. Na życiu, wziętości niezbywało mu wcale—owszem pomnożyły się one może: bo redaktor młody, ruchliwy, energiczny, rozrządzający potrzebnemi kapitałami, miał przymioty do nadania świeżości, różnobarwności Tygodnikowi; umiał wielu do siebie przygarnąć, zachęcić, każdą zdolność dostatecznie ocenić i stosownie do swego poglądu na rzeczy użyć. W Tygodniku prócz mnóztwa innych spotykamy: Libelta, Siemieńskiego, Moraczewskiego, Kraszewskiego, Czajkowskiego, Dembowskiego, Dahlmanna, Goszczyńskiego, Maciejowskiego, Wasilewskiego, Żyglin-

skiego i t. d. Lecz przymiotów swoich nieumiał użyć młody redaktor Tygodnika literackiego. Porwany powodzią ducha czasu, dawał przystęp w piśmie swém zasadom często niedojrzałym, błędnym—ale pociągającym go ku sobie gorącą żywotnością i jaskrawością. Sam takiego usposobienia, niemiał czasu ani zdolności do analizy wszechstronnéj, choćby najważniejszego przedmiotu.

Demokratyczne maxymy, socyalne marzenia, w całéj pełni zapanowały w Tygodniku. Dziwnie raziły obok tych nowości w jednym i tym samym numerze podawane dokumenta, akta, ustępy z historyi odległych wieków, przy nich lotna namiętna poezyjka, wesoła powiastka, za nią filozoficzna dyssertacya, tuż zaraz brukowa wiadomość, jadowita plotka, nieprzyzwoita krytyka a raczéj często bardzo paszkwil—oto i skład Tygodnika!

Na dobréj opinii o sobie samym niezbywało Tygodnikowi. Oto jego słowa: „Tygodnik Literacki jest przed„sięwzięciem jedném z najważniejszych, wpływu jaki wy„warł niepodobna niewidzieć. Wielką chlubą byłoby dla „Poznania, gdyby Tygodnik niebył organem całéj Polski, „zbiorem artykułów ze wszystkich stron nadsyłanych! Jak„kolwiek bądź, jemu tylko zawdzięcza Poznańskie tę hege„moniję literacką, jaką choćby tylko ze względu postępu „w zdaniach inne województwa w nim uczuć powinny!“

Po tém przytoczeniu, niemoże być już kwestyi o zasadach Tygodnika.

Konał Tygodnik przez r. 1845 i 46. Wójkowski zraził sobie wielu—odsunięto się od niego, pismo osłabło a i sam upadający na zdrowiu niemógł się już tak czynnie niém trudnić; redagował to w Poznaniu, to we Wrocławiu, aż na reszcie wydawszy kilka numerów w r. 1846, na nich zakończył. Nieoceniona strata zmarnowanych zdol-

ności, talentu, środków czynienia dobrze, życia człowieka, któremu niczego odmówić niemożna prócz zasad zdrowych i spokojnych, brakiem których cała praca, poświęcenia i trudy, których nieszczędził, pożytecznych nieprzyniosły owoców!

Gdy w r. 1840 Łukaszewicz i Popliński usunęli się od redakcyi Tygodnika, widząc jaki charakter to pismo przybierze, jaki wpływ wywrzeć może, powodowani trochę osobistości pobudkami założyli zaraz drugie: ***Orędownik naukowy,*** aby niejako pracę i exystencyę tamtego neutralizować. Orędownik w piérwszym planie swoim miał być niejako antidotum trucizny, nauczycielem, kierownikiem — utrzymywać równowagę a nawoływać do porządku, jasności i prostéj drogi. Pomimo tego zamiaru, nieudało mu się to w zupełności, bo sam zgrzeszył w piérwszym początku namiętnością, na któréj się oparł i z któréj powstał. Zacięta, niezmordowana, wszystkie fazy gniewu, żółci przechodząca wa'ka z Tygodnikiem była tą podstawą i ciągłém następnie przeprowadzeniem. Ten antagonizm z jedném pismem, pociągnął za sobą i sprzeciwianie się wszystkiemu co w niém lub z niego wyrosło. Tu leżał powód nieporządku ***Orędownika***, dla którego sam reprezentantem porządku być niemógł, choć może szczerze tego pragnął (1).

(1) Z pomiędzy tysiąca, jeden na to dowód na piérwszéj lepszéj karcie wyrwany. Tak *np.* w sporze z *Rokiem* polemizuje (1844 str. 46): »Zaiste p. B. co to wie co postęp i dążenia ludowe, lepiéjby daleko »zrobił, ucząc się poprawnie pisać po-l'olsku i zaokrąglonych dzie- »jów, niż pisać takie ***brednie*** i wmawiać w młodzież i ***nieuków,*** »że najwyższém dobrem w położeniu naszém jest postęp ludowy..... »Cóż więc jest, powiedzcież raz przecię wyraźnie, ludzie mieniący »się chełpliwie postępowymi, ów wasz postęp ludowy, mający milijony ludzi uszczęśliwić? Czemuż w mistycyzm jakiś otuleni nieobja-

Stronę naukową, belletrystyczną wykształcił udolnie: zamieścił wiele ciekawych, pouczających prac: Trentowskiego, Lelewela, Maciejowskiego, Wojcickiego, Goszczyńskiego, Magnuszewskiego, Grabowskiego i w. i.

Od hołdowania, a przynajmniéj trudnienia się kwestyami postępu, wolnym niebył; za złe mu tego mieć niemożna wcale: charakter chwili skłaniał do tego, lecz i w tym względzie zbyt mało trzymał się drogi, którą wytknąć był sobie zamierzył. Ustaje z r. 1845. Jednocześnie z powyższém pismem powstał w r. 1840 ***Dziennik domowy*** dla kobiét poświęcony, przez pp. Grabowską, Łubieńską, z natchnienia p. Tańskiéj założony. Redaktorem był N. Kamieński, wiele w téj publikacyi od fundatorek zależny. Jasnym, prostym wykładem odznaczały się artykuły wstępne, pióra Jędrzeja Moraczewskiego, zalecające się uczciwą dążnością i moralnemi względami. Literaturę lekką obrabiali między innemi: Czajkowski, Witwicki, Maciejowski, Goszczyński, Siemieński. Prócz powiastek zwabiały czytelniczki dołączane ryciny mód. W ogóle publikacya ta niekusząca się o świetne stanowisko, była w skromnym zakresie swoim pożyteczną, popularnie nauczającą i dla kobiét właściwą. ***Dziennik domowy*** przestał wychodzić w r. 1847.

»wiacie wręcz sposobów tego zbawienia narodu, ludzkości? Czemu »***samoluby*** trzymacie światło zbawienne pod korcem? Czemu się »z rozpoczęciem dzieła wielkiego ociągacie? Oto dla tego, że jeste»ście, albo ludzie ***niedowarzeni***, albo dumni, pod płaszczykiem »jakiegoś postępu ludowego, szukający ***własnego wyniesienia***, ko»***rzyści***, szkodzący świętéj sprawie niezmiernie, odwodzeniem umy»słów w inną stronę, bałamuceniem młodzieży. Ku końcowi swéj »***chryi***, przyznaje się p. B. dobrodusznie do ***nieuctwa***. Niech nam »wybaczy, że mu w tém miejscu wytkniemy stokroć powtórzony pleo»nazm.»... i t. d.

„Uchylając czoło przed przeszłością jako przed bab-
„ką i prababką naszą i szanując mężów co się téj mo-
„zolnéj pracy poświęcają ku dobru całości, rozwińmy oraz
„drugą chorągiew', powiewną wiatrem obecnego żywota
„i pod hasłem: naprzód myśli narodowa! zestrzelmy w przy-
„szłość siły ducha naszego." Temi słowy rozpoczęło no-
we pismo *Rok* kolumny swoje w r. 1843. Wydawcy je-
go: Libelt, Moraczewski i Wolniewicz, obok własnych wie-
lu prac, ogłaszali między innemi: Cybulskiego, Wężyka,
Trentowskiego, Cieszkowskiego, Kozłowskiego, Berwińskie-
go, Dahlmanna.

Złośliwi ludzie zarzucali *Rokowi*, że powodując się
hasłem *naprzód* tylko, a z uszanowaniem zapominając o
przeszłości,—buduje dom od dachu niedbając o fundamen-
ta. Nierozglądając się w wykonaniu budowli powiedzieli-
byśmy o niéj w ogóle, że była bardzo doraźną, słabą. Bra-
kowało tam oczywiście dobréj uorganizowanéj redakcyi.
Zbierane artykuły nieprzystawały niezém do siebie, owszem
sprzeciwiały się często zakrojem jedne drugim. Polemi-
ka, krytyka, idąc za powszechnym wtedy zwyczajem, od-
bywała się bez powagi, spokojnego sądu, wszechstronnego
obejrzenia— lecz wrzała namiętnością, szykanami, uprze-
dzeniem. Zamaszyście też i *Rok* szermierzył na prawo i na
lewo. Czego sam chciał, dokąd dążył, pewno niewiedział;
płynął z wiatrem gdzie ten go zagnał. Oparł się dziś na reli-
gii, jutro na nowém wyznaniu, tu na demokracyi, tam na
ludowym postępie, ówdzie na socyalizmie, daléj na komu-
nizmie, a gdzieindziéj na ekonomicznych reformach. Gnie-
wał się zawsze na każdego, kto zdań jego tak sprzecznych
niepodzielał— więc gniewał się na wszystkich, i to często na-
der dosadnie... Mglisto i chmurno było mu w duszy i na świe-

cie jak wiekowi bieżącemu, którego zadaniem według ***Roku*** jest: „***wypełnić ideę*** państwa w ***idealności*** i rzeczy-„wistości ***przez ogólnik***, ***szczególnik i pojedynek***, czyli „przez narodowość, towarzystwa i wolność." (1845, IX, str. 53). Kto to dziś rozwikła, zrozumie? A ileż to wtedy głów zdumiało się nad równie głęboką myślą, wzniosło-lotną potęgą wys owienia?!

Jeżeli koloryt, którym to pismo było powleczone może dozwolić na miano poważnego, to przynajmniéj forma, którą rzeczy traktowało, starała się być poważną t. j. o tyle, że w kształcie rozprawy, dyssertacyi się pojawiała. Belletrystyka była zupełnie wykluczona. Talentów w ***Roku*** jak w całym tym okresie piśmiennictwa niebrakło; pióra wyrabiały się coraz bardziéj; szkoda tylko, że to kształcenie się nieodbywało się na inném drodze. Zakres w którym ***Rok*** się poruszał był nieoznaczony. Polityka, społeczność, etyka, ekonomija — wszystkie były podejmowane. To samo już przyczyniło się do owéj słabości i dwoistości, któréj wypływem było, że ***Rok*** niezajął żadnego stanowiska, niczego niedowiódł, niepotrafił być organem żadnym nawet. Zakończył chorowity żywot w r. 1846, gdy wszystkie pisma w prowincyi na jakiś czas zawieszone zostały.

W tymże r. 1843 zaczęła wychodzić ***Gazeta Kościelna***, mająca być pismem dla duchowieństwa, traktującém ze stanowiska Katolickiego sprawy kościoła. Nader biernie zachowała się ona jednak w tym względzie — a na polu artystyczném trzymała się mierności, żywiąc się głównie przekładami. W r. 1849 przestała wychodzić.

W r. 1845 powstaje miesięczne pismo z odrębnemi cechami, charakterem, kierunkiem od wszystkich innych:

pojawia się ***Przegląd Poznański,*** który że do téj chwili wychodzi, powiemy w następnym okresie o znaczeniu jego. W tymże roku zaczęła wychodzić miesięcznemi poszytami ***Obrona prawdy,*** pod redakcyą x. Urbanowicza. Powodem pojawienia się jéj było wystąpienie Jana Czerskiego (1) xiędza katolickiego z łona kościoła i głoszenie nowych zasad religijnych. Zbijać je, potępić apostazyę było pierwotném zadaniem ***Obrony prawdy.*** Następnie rozszerzyła swój zakres — zaczęła prostować błędy religijne przez dziennikarstwo szerzone. Ma pod tym względem wiele zasługi, choć wziętość jéj była nader ograniczoną;— zasobów brakowało redakcyi, a tak pismo jéj bez pomocy i poparcia z zewnątrz, chronić musiało. Oprócz religijno-odpornego stanowiska które zajmowała—drukowała ***Obrona prawdy*** ustępy z historyi kościelnéj, mniejsze prace teologiczne, oraz notatki i uwagi literackie. Przestaje wychodzić w połowie r. 1846 razem z wielu innemi pismami niebędąc w stanie przedłużyć swego istnienia.

Także w r. 1845 zaczynają Estkowski i Łukaszewski, nauczyciele elementarni redagować pod firmą Wójkowskiego ***Pismo dla nauczycieli ludu i ludu Polskiego.*** W owych latach panowania teoryi, ta musiała poruszać wszystkie stosunki i kwestye. Dziennikarstwo rozdzielało się nietylko według stronnictw, ale i według stosunków społecznych. W piśmie powyższém poświęcono więc jednę kartę i in-

(1) Jan Czerski ur. w Worlub w Chełmińskiém, wyświęcił się na xiędza jako wikary przy tumie Poznańskim w r. 1842. Odesłany był najprzód do Wir, potém do Piły. Suspendowany w r. 1844 w obowiązkach kapłańskich, zaczął głosić nową wiarę, przeszedł na religiję Protestancką i stał się powodem wielkiego zgorszenia i przykrych wydarzeń.

teresowi ludu i nauczycieli tegoż specyalnie. Po długich poprzednio debatach nad ludem samym, po wynoszeniu go do apoteozy i bałwochwalstwie prawie dla niego z jednéj strony, a bezwzględném często lekceważeniu z drugiéj, zgodzono się nareszcie wspólnie, że lepiéj zająć się czynnie pracą koło jego kształcenia. Co rozpoczął czcigodny ś. p. x. Borowicz w swojéj *Szkółce Niedzielnéj*, usiłowano prowadzić daléj w jednéj połowie powyższéj publikacyi, wyłącznie dla czytelników wiejskich poświęconéj. Druga przeznaczona była dla nauczycieli elementarnych. Oświadczyła redakcya na wstępie, iż w obec braku możności porozumiewania się tychże nad biegiem nauki szkolnéj, rozwojem jéj, wymieniania wzajemnych uwag i spostrzeżeń, w skutek niedostatku xiążek pedagogicznych mocno czuć się dającego — pragnie zadość uczynić téj potrzebie, powyższém wydawnictwem. Uczciwym tym pobudkom starała się wydołać jak mogła, i pomimo zniechęcającéj firmy Wójkowskiego zjednała większą część publiczności a mianowicie duchowieństwo, dobiła się jakiéj takiéj wziętości, a pracę swą wcale pożyteczną uczyniła. Część dla ludu przeznaczona dobrze była obmyślana, ale słabo wykonana, zdradzająca, brak rutyny w tego rodzaju literaturze. W ogóle ubóztwo przebijało się w téj robocie. W skutek braku współpracowników, oraz wypadków politycznych, krótko trwała ta publikacya i z następnym rokiem zakończyła swe istnienie.

Prócz powyższych pism wychodził jeszcze *Zwiastun wstrzemięźliwości* w tym czasie, lecz nie jest nam znany. Był zapewnie organem Tow. wstrzem. szerzącego się wtedy po prowincyi.

Ogromne fiasco które popełniło xięztwo Poznańskie na polu swych usiłowań w r. 1846, wraz ze smutnemi na-

stępstwami swemi, samo przez się wstrzymało w jednéj chwili dalszy swobodny rozwój literatury. Prócz tego prawo 20 marca t. r. zawieszające wszystkie dzienniki, utrudniające niesłychanie dalsze ich wychodzenie, zastanowiło bieg sprawy teoryi. Wypadki wreszcie, odwróciły uwagę powszechną w innę stronę. Następstwa wiosennych zdarzeń, przykro i dolegliwie prowincyi uczuwać się dając, wywołały usposobienie, w obec którego niepodobném prawie było myśleć komu o piśmiennéj stałéj pracy. Z biciem serca oczekiwano co będzie daléj.

Zawrzał r. 1848. Do czynu zerwało się wszystko, a w obiegu rzeczy, literatura stała się jego narzędziem nie zaś celem. Polityką przejęła się więc cała, do jéj widoków, posługi stosowaną została. Razem z ludnością gorączkowém życiem zapłonęły dawne dzienniki, pojawiają się co chwila nowe, tłumem rozsypują broszury, xiążki, świstki, wierszem, prozą na wyścigi jedne przed drugiemi. A wszędzie ten sam koloryt, wszędzie pośpiech, gwar. Nikt niemyśli o pracy poważnéj, treści innéj jak kwestyj czasowych,—omnia pro tempore, nihil pro seritate! Niepodobieństwem byłoby objąć sprawozdaniem, szczegółowo wszystko co wyszło wtedy, a tém mniéj oceniać i roztrząsać. W niniejszéj zaś pracy byłoby to nawet z jednéj strony niewłaściwe, a z drugiéj ze wszech względów niemożebne. Pobieżnym przeto więcéj tylko biblijograficznym poglądem, obejmiemy tę chwilę dziennikarstwa, przez zacytowanie kilku ważniejszych pism.

Wszystko, co tylko dotąd się ruszało, spierało na drodze jako tako spokojniejszéj, teraz rozżarzone namiętnością polityczną, podniosło polemikę swą do najwyższej potęgi żywości. Dotąd rozprawiano i mówiono, teraz zaczęto krzyczeć. Kto lepsze miał gardło ten był górą, ten swoje prze-

prowadził. W niewysłowionym stopniu burzliwa, gwałtowna polemika, była formą dawniéj i nowo wychodzących pism. Na téj drodze prawie wyłącznie rozstrzygano (jeżeli rzeczewiście rozstrzygnąć zdołano) wszystkie kwestye. Tradycya sejmikowego nieporządku, odżyła w całéj pełni w dziennikarstwie ówczesném.

Jedném z najumiarkowańszych pism politycznych świeżo założonych, była *Gazeta Polska*. Piérwszy jéj numer ukazał się 22 marca 1848 a ostatni z końcem czerwca 1850. Staranna redakcya Cegielskiego i Mottego nadała temu pismu poszanowanie powszechne. Traktowała sprawy bieżące w kraju i za granicą, zamieszczając w fejlletonie artykuły niewchodzące w wyłączny zakres polityki.

Aby i ludową warstwę z tokiem sprawy zaznajamiać, wpłynąć na porządek jéj myśli i sposobu widzenia rzeczy, zaczął z d. 4 października 1848 wydawać x. Alexy Prusinowski, znakomity kaznodzieja prowincyi Poznańskiéj *Wielkopolanina*. Publikacya ta nietylko że się udała bardzo szczęśliwie, wiele dobrego przyniosła—ale pod względem wyrobienia formy języka, zwrótu, przedstawienia rzeczy w piśmie ludowém, pozostanie wzorem godnym naśladowania. Gdyby odrzucić jaskrawość z konieczność ówczesnego położenia wynikającą—dzisiaj w rękach ludu pismo to zostawione pożytekby przynieść mogło. Wady jakie tam były, wszędzie te same, tu nawet wiele zmodyfikowane: ujmy więc one *Wielkopolaninowi* dziś nawet rozbieranemu nieczynią. Wychodził on do lipca 1850 r., lecz pod redakcyą x. Prusinowskiego tylko do października 1849. Od tego bowiem czasu Stefański objął odpowiedzialność za redakcyę.

Natomiast niby w dalszym ciągu rozpoczętéj pracy,

wydawał x. Prusinowski od r. 1849 *Wiarusa*, którego w tymże co poprzednio charakterze do fatalnego lipca 1850 doprowadził.

Na dniu 7 czerwca 1849 otworzył Karol Libelt ***Dziennik Polski***, który pomimo talentu redaktora i staranności wydawnictwa, nieumiarkowaną namiętnością więcéj może szkodził piśmiennictwu niż pomagał. Wielu nieporozumień, rozdrażnień, których dzisiaj jeszcze są ślady w stosunkach Polskiéj społeczności xięztwa, z niego wypłynęły. Znaczna część fejletonów ***Dziennika***, pióra redaktora samego, odbita w osobną xiążkę, wiele szerzyła zajęcia. Wraz z innemi pismami przestał w r. 1850 wychodzić.

W skutek upadku w r. 1849 ***Gazety Kościelnéj***, zaczął się ukazywać zaraz po niéj ***Tygodnik Kościelny***, będący rzeczywiście pod zmienionym tytułem dalszym tylko jéj ciągiem. Do r. 1850 doprowadzili go redaktorowie xx. Jabczyński i Janiszewski.

Myśl w r. 1845 zrodzona, podnosząca sprawę szkoły i nauczycieli elementarnych, teraz w r. 1848, w obec swobodniejszego ruszania się, żwawiéj miała być rozwiniętą. Pracę tę w téj epoce uważamy za ważniejszą od wielu innych, za niewyczerpniętą wcale i dla tego pozwolimy sobie zatrzymać nieco nad nią uwagę.

We wrześniu r. 1848 zawiązało się w Poznaniu Towarzystwo pedagogiczne centralne. Celem jego było: obudzać coraz większy interes dla ważnéj sprawy wychowania, łączyć ściśléj z sobą kościoł i szkołę, ułatwiać nauczycielom wzajemne kształcenie się, wreszcie obmyślać środki do wypracowania i wydawania najpotrzebniejszych elementarnych xiążek. Towarzystwo to zcentralizowane w Poznaniu, rozgałęziło się niebawem nietylko na prowincyi,

ale nawet w górnym Szlązku i Prusach zachodnich. Wywołało bardzo wiele dobrego, zwróciło uwagę piluiejszą tak na wychowanie w ogóle, jak i na obowiązki nauczycieli w szczególe, sprostowało niejeden mylny kierunek. Wybrany z niego komitet złożony z xx. Dolińskiego, Brzezińskiego, Ign. Prusinowskiego, i nauczycieli elementarnych: Sikorskiego, Estkowskiego, Rakowicza i Siekierskiego, zajął się uorganizowaniem pisma jako organu towarzystwa, które też niebawem (w r. 1849) pod nazwą ***Szkoły Polskiéj*** otworzono. Jedyne to może pismo, które wtedy miało swój cel jasno pojęty i w którym wyłącznie pracowało niemięszając się w inny zakres pracy. Redaktorem, duszą jego był Ewaryst Estkowski zmarły w r. 1856 w Soden. Na nim prawie wyłącznie polegała cała praca; jego zabiegom, czynności nieznużonéj winna ***Szkoła*** stanowisko, które zajęła. Może był jedynym z pomiędzy kolegów swoich w prowincyi, który tak wysoko od nich odbiedz potrafił, tak rzetelnie ukochać zawód, pojąć go i pożytecznie w nim się poświęcać. Piśmienne prace jego cechują się jeżeli nie wzorem poprawności i gładkości stylu, to serdecznym, gorąco miłującym wszystko co poczciwe charakterem. Słodyczą, miłością z jaką pisał, potrafił swoje myśli przeprowadzić, potrafił jednać sobie wszystkich.

W kwietniu r. 1850 do miesięcznie wychodzącéj ***Szkoły polskiej***, zaczął dołączać dodatek dla dzieci, redagowany p. t. ***Szkółka dla dzieci***, w którym podawał im pełne wdzięku opisy, powiastki, legendy i nauki, wierszyki i t. d. wszędzie prócz kształcenia ich umysłowego, mając na celu rzucanie pojęć odnoszących się do uczucia narodowego.

Wydawnictwo to, tyle pożyteczne, przetrwało zawikłania r. 1850 i przedłużyło się do r. 1855; i to tak długie utrzymanie się winno jedynie zacnemu redaktorowi swe-

mu, który pomimo braku funduszów, niedostatecznego ze wnątrz, zwłaszcza przy końcu, poparcia—co tylko mógł, poświęcał—ze wszystkiemi przeciwnościami walczył do ostatniéj chwili nieschodząc z raz zajętego stanowiska. Słowem, publikacya ta pod każdym względem na największą zasługuje uwagę, zostanie zawsze wyrazem prawdziwie silnéj woli, poświęcenia i miłości przedmiotu i celu. Dla bliższego poznania jéj, wypisujemy ustęp pożegnalny z *Szkółki dla dzieci* w r. 1853, gdy miała przestać wychodzić, doskonale malujący i redaktora i pismo jego. Tak się on rozstaje ze swymi czytelnikami (1853, VIII, 292):

„Kto sobie pobudował własny dom, w nim się urządził, „w nim przez wiele lat gości i przyjaciół przyjmował, ten „żal czuje serdeczny, kiedy mu przyjdzie ten dom opu„ścić; kto sobie założył ogródek, w nim nasadził kwiatów, „drzew owocowych, truskawek, urządził zielone murawki, „temu także żal jest ogródek ten opuścić i dozwolić, aby „zarosł chwastem. *Szkółka*, którą przez lat cztery wy„dawałem, była jakoby ogródkiem, który dla was młodzi „czytelnicy założyłem, ozdobić się starałem, i z którego „jagody i owoce wy zrywać i kosztować mieliście. *Szkół„ka* była także jakoby ogrodnikiem, a serca i umysły wa„sze jakoby ziemią w ogródku; a jak ogrodnik ziemię do„prawia i na niéj użyteczne rośliny sadzi, tak *Szkółka* „starała się wasze serca i umysły spulchniać i na nich „pożyteczne nauki zaszczepiać. *Szkółka* była jeszcze jak„by domkiem, który dla was wybudowałem, w którym u„kładałem jakoby dla was biblijoteczkę, na którego ścia„nach zawieszałem jakoby obrazki, i do którego szczerze „was zapraszałem.

„Możecie więc sobie dzieci wystawić, jak mi żal do„mek ten opuścić, ogródek bez starania i opieki zostawić,

„.a jednak niemogę dłużéj *Szkółki* dla was wydawać. Roz-
„maitemi przyciśniony niepowodzeniami, przymuszony je-
„stem rozstać się i pożegnać z wami. Ostatni więc dzi-
„siaj odbieracie poszyt tego pisemka, téj gazetki. Może-
„cie mi wierzyć, że przyjemność mi to sprawiało, iż wam
„mogłem służyć, pouczać, oświecać i obeznawać was, czy
„to z dziejami naszemi, czy to z naszym narodem, oby-
„czajami, pamiątkami, czy to z ziemią naszą i jéj bogac-
„twami, czy to z naszymi sławnymi mężami i bohaterami,
„czy to wreszcie z ciekawemi rzeczami zagranicznemi. Mi-
„ło było i dla mnie, ile razy dowiedziałem się, że wam
„sprawiłem przyjemność, że wam się to lub owo w *Szkół-*
„*ce* podobało. Pojmujecie więc, że jak dotąd przyjemnie
„było dla mnie rozmawiać z wami przez cztery lata, tak
„dziś nieudany żal czuję, że już po raz ostatni przez *Szkół-*
„*kę* do was się odzywam, i że już dłużéj niebędę mógł
„pożytecznie was bawić i uczyć. Ale trudna rada, kiedy
„inaczéj być niemoże.

„Kto dom swój opuszcza i w inne strony się przepro-
„wadza, ten po raz ostatni ogląda jeszcze wszystkie jego
„kąty, i przypomina sobie wszystkie wydarzenia, wesołe
„czy smutne, których w nim doświadczył. Kto opuszcza
„ogródek, który sam założył, upiększył, kwiatami i poży-
„tecznemi roślinami zasadził, ten jeszcze przed opuszcze-
„niem go po raz ostatni idzie do niego, aby się jego wi-
„dokiem jeszcze raz nacieszył, aby sobie przypomniał, kie-
„dy i jakie to rośliny w nim pielęgnował. Uczyńmy i my
„tak samo."

Tu następuje pobieżny przegląd rzeczy podawanych; poczém z ojcowskiém prawdziwie uczuciem żegnając się po raz ostatni, daje młodym czytelnikom rady z jakich daléj xiążek i dzieł kształcić się mają, wyliczając im takowe.

Do publiczności zaś całéj, do czytelników *Szkoły* po ostatniém pożegnaniu się tak przemawia (1853, VIII, 419): „Jeżeli przy końcu odzywania się naszego do publiczno-„ści wolno nam taki głos podnieść, to polecamy świętą „sprawę wychowania młodzieży naszéj, opiekę i troskliwość „nad nią, o ile to leży w waszéj sposobności, wam, zacni „z pomiędzy wielu, kapłani, nauczyciele, matki i wszyscy, „którzyście szczerze podzielali dążenia *Szkoły i Szkółki*, „którzy uznajecie, że chrześcijańskie wychowanie i oświa-„ta prawdziwa, są największém dobrem narodu, którzy „wierzycie, że jakie jest wychowanie, taki będzie naród, „że tylko naród ciemny i nikczemny zniszczeć może. Przy-„jaciele oświaty ludu, ilu was jest, miejcie ojcowską tro-„skliwość nad wychowującą się młodzieżą, zwłaszcza dzia-„twą ludu: napawajcie ją, ile to w waszéj mocy, miłością „chrześcijańską, wlewajcie w jéj niewinne serca święte pra-„wdy religii, uszlachetniajcie jéj obyczaje, kształćcie ich „umysły, dawajcie im naukę nie próżną, błahą, ale poży-„teczną, a w piersiach ich pielęgnujcie święty ogień rodzin-„ny, bo póki ten jasnym płomieniem goreć będzie, póty „nieutracimy gwiazdy przewodniéj! Niech lud stawa się „oświeconym, ale niech oświata ta opiera się na poznaniu „obowiązków; na miłości Boga, bliźniego i kraju; wszelka „inna oświata ludu jest trucizną ducha. Niewypuszczaj-„cie z ojcowskiéj opieki szkółek, tych zakładów najpoży-„teczniejszych, jeżeli są w dobrym duchu kierowane, tych „najniebezpieczniejszych ognisk, jeżeli zły, przewrótny „duch ogień w nich zażega; troszczcie się o te winniczki „Pańskie, w których rosną młode latorośle, w których cho-„wają się przyszli członkowie gminy, kraju i kościoła. „Niechaj szkółki wydają społeczeństwu ludzi pracowitych „i cnotliwych. Opuszczając jednę straż w towarzystwie

„naszém, waszym sercom, zacni mężowie, powierzyć ją „pragnęlibyśmy!"

W piśmie tém pracowali między innemi: Łukaszewski, Rymarkiewicz, Libelt, Wiśniewski Tomasz, Lompa, x. Prusinowski, Lenartowicz i t. d. W r. 1854 zmieniło tytuł na ***Szkółkę dla młodzieży*** z dodatkiem literackim osłabłszy już wiele bardzo na siłach.

Z rokiem 1850 prócz poprzednich pism, powstały jeszcze: ***Ziemianin***, rolnicze pod redakcyą Lipskiego i Wolniewicza—i ***Krzyż a Miecz***, tygodnik polityczno-religijno-literackiego zakroju, pod względem charakteru formy, różny od wszystkich dotąd wychodzących. Że przyzwyczailiśmy się uważać pisma téj epoki, każde jako reprezentanta pewnego zwrótu pojęć przez garstkę ludzi żywionych, jako organ pewnego stronnictwa (jeżeli stronnictwem we właściwém znaczeniu, rozłomy społeczne ówczesne nazwać można), to chcąc w tenże sposób nazwać ***Krzyż a Miecz***, nazwalibyśmy go organem ***uszlachetnionych marzeń***. Tutaj wierzono nietylko w przeszłość narodową, lecz kochano ją, co więcéj do ideału podnoszono, na którym żadnéj skazy widzieć niechciano. Wyróżniając się tém od nader powszechnéj wtedy zasady poniewierania wszelką tradycyą, wierzono z drugiej strony w obecność pod całym wpływem gorączkowéj, zdarzeniami chwili rozognionéj wyobraźni—jako w przejście ani mniéj ani więcéj tylko do apoteozy w przyszłości. Pod tém rozgorzałém wejrzeniem niezdołano w ***Krzyżu a Mieczu*** ani na chwilę zebrać spokojnéj myśli, trzezwego sądu. W chmurach, z wiatrem, z burzą—snuło się ogniste, piękne nawet czasem fantazma, ale nieschodziło na ziemię, między ludzi. Trudno zaprzeczyć pracy téj niesłychanie wiele życia, miłości, prawych uczuć; ale niestety mistyczną mglistą formą, którą się tłó-

maczyły, ani sobie rozwinięcia, ani drugim pożytku nieprzyniosły. Najlepsze pewno chęci zmarnowały się znowu mylnie wybranemi środkami. Wiele uwag nastręcza się przy tym wypadku, z któremi niemogąc się wynurzyć, zanotujemy tylko spostrzeżenie, jak rozmaity charakter przybiera ciągle wezbrane uczucie—jak namiętnie rzuca się ono w najrozmaitsze strony, chwyta się ostateczności, szuka ulgi i pomocy w swym rozstroju.....

Krzyż a Miecz, odnośnie do swego charakteru, przybrał zgodną zupełnie z nim formę. Styl biblijny, mistyczny, do zbytku kwiecisty—wysłowienie wyszukane, niejasne, koloryt jaskrawy, obrazy pstrokate, ton całości rozrzucony. Artykuły dyssertacyjne, poglądy polityczne, obrazy historyczne, poezya, wiadomości literackie— składały organizm *Krzyża a Miecza*. Firmę redakcyi dał Ew. Estkowski, wszakże na piérwszy rzut oka łatwo poznać, że to rodzaj pracy zupełnie odmienny. Najwięcéj drukowali tam swoich płodów prozą lub wierszem: Lenartowicz, Baliński Karol, Ujejski, Berwiński, Norwid i inni. Ostatni numer wyszedł 24 czerwca 1850.

Tak więc nowy rok 1850 zastał w prowincyi Poznańskiéj następne pisma czasowe: Przegląd Poznański, Gazetę Polską, Dziennik Polski, Krzyż a Miecz, Wielkopolanina, Wiarusa, Szkółkę niedzielną, Tygodnik kościelny, Ziemianina, Szkołę Polską, Gazetę niedzielną, i Gazetę w. x. Poznańskiego (1).

---

(1) Niewspomnieliśmy wcale o dwóch ostatnich pismach. Piérwsze tak efemeryczne, że trudno było się o niego dopytać i postarać. Drugie, choć do dzisiaj od lat kilkudziesiąt wychodzi, niczém niezasłużyło na wzmiankę. Płód spekulacyi bez barwy, wartości, najlichsza w świecie publikacya, stojąca jedynie inseratami i przedrukami,

Wskutek wspomnianéj już okoliczności, która ogłoszeniem nowego prawa drukowego, przepisem składania kaucyi, odmówieniem debitu pocztowego, nakazaniem starania się o nowe pozwolenie, zagroziła istnieniu wszystkich pism, zostały tylko: Przegląd Poznański, Szkoła niedzielna, Ziemianin, Szkoła Polska i Gazeta w. x. Pozn., które wchodzą i należą do następnego już okresu.

W ocenieniu płodów piśmiennictwa epoki 1840—1850, mającém służyć nam niejako za dowód rzuconéj naprzód charakterystyki, oparliśmy się głównie i jedynie na dziennikarstwie, niepodejmując innych objawów, które nie w niém lecz w osobnych xiążkach się pomieściły. Uczyniliśmy to raz: aby niepomnażać objętości niniejszéj rozprawy, któréj celem nieoceniać i roztrząsać pojedyńcze płody i prace, lecz zbiorowych kierunek, wartość i pożytku donośność poglądowo zeszkicować; powtóre: tych piérwszych liczba tak szczupła w stosunku do rozrzuconych po pismach peryodycznych utworów—nieprzedstawia razem wzięta nic odrębnego, oderwanego w kierunku swoim, nieświeci żadnym potężnym zwrotem. W opisaném albowiem położeniu rzeczy, mało kto mógł pracę i zajęcie swoje zwrócić do przedmiotu odrębnego, z duchem czasu nic wspólnego niemającego, któremu znowuż najdogodniéj było wyrażać się w doraźnych artykułach, żwawych odezwach, w ruchliwém i gorączkowém dziennikarstwie ówczesném. Koło niego też widzimy gromadzące się zdolności pisarskie, jemu składające płody swoje, z niego w znacznéj części nawet wychodzące na widok publiczny imiona, w niém wreszcie zaprawiające i kształcące swe pióra.

---

w których nawet wyboru znaleźć nieumie— niczém się nieróżni od powiatowych urzędowych kartek, chyba tém, że ostatnie zawierają potrzebne często przepisy i regulamina władz okręgowych.

Prócz Raczyńskiego, który pewien ciąg i łączność jeżeli niechronologiczną to przedmiotową swym wydawnictwom nadał, kilku zaledwie ludzi podejmowało pracę obszerniejszych rozmiarów, ku pożytkowi nietylko chwilowemu, w pewnéj analogii i związku. Tak Łukaszewicz głębokiéj wartości studyami, pomnikowemi dziełami w dziedzinie historyi, opracowaniem nietkniętych z niéj dotąd ustępów, zyskał w kraju rozgłośne imie (1). Podobnie Moraczewski Jędrzéj, piérwszy i jedyny, który naukę historyi naszej w jeden ciąg usiłował zebrać, w rozleglejszym zakresie i na czysto scyentyficznych zasadach. Od 1843—1855 prowadził on wydawnictwo swoich *Dziejów Rzeczypospolitéj*, stanąwszy na abdykacyi Jana-Kazimierza—gdy przedwczesna śmierć (20 lutego 1855) niepozwoliła mu ich ukończyć (2). Filozofiję, etykę, ekonomiję polityczną, pedagogikę, estetykę uprawiają słynni z nauki i talentu: Libelt, Trentowski i Cieszkowski (3). W badaniu starożytności pracuje choć niezawsze na podstawie, w którą wierzyć można,

(1) Najważniejsze jego utwory są: Obraz miasta Poznania, 1838. Wiadomości historyczne o dyssydentach w mieście Poznaniu, 1834. O kościołach Braci Czeskich, 1835. Historya wyznania Helweckiego w Litwie, 1846—7. Zakłady naukowe w Koronie i w. x. Litewsk. 1851. Historya szkół w Polsce od najdawniejszych czasów aż do r. 1794, 4 tomy, 1851. Dzieje kościołów wyznania Helweckiego w dawnéj Małéj Polsce, 1853.

(2) Prócz mnóztwa artykułów rozrzuconych po dziennikach, a mianowicie: Roku, Dzienniku Polskim, Dzienniku domowym, Tygodniku literackim i innych, znane nam jego prace są: Polska w złotym wieku przedstawiona, z wyjmkami z Dziejów R. pospolitéj, 1851. Wydanie pamiętników Fr. Karpińskiego. 1844. Podróż po krajach Skandynawskich, 1845.

(3) *Karol Libelt*, d-r. filozofii, urodził się w Poznaniu r. 1807. Na uniwersytecie Berlinskim jeszcze napisał rozprawę o Spinozie, uwień-

jednak z pewnym pożytkiem Tadeusz Wolański (1). Poetów, powieściopisarzy w téj epoce było dyletantów wiele, wyszczególniających się prawie nic. Tego rodzaju prace nadsyłane były najwięcéj do druku tutaj przez autorów do innych stron kraju należących.

Z kolei przejdziemy wreszcie do ostatniego okresu, zaczynającego się około połowy r. 1850, a ostatecznie w dni dzisiejsze wchodzącego.

---

czoną złotym medalem. Jego następne prace, prócz rozrzuconych po dziennikach są: Dziewica Orleańska, 1847. Feljeton polityczno-literacki, 1845. System umnictwa 1857. Pisma pomniejsze, 6 tomów, 1849—51. Pisma krytyczne, 1851. Filyzofija i Krytyka 1845—9. Estetyka czyli umnictwo piękne, 1854. Wykład matematyki. *August hr. Cieszkowski* wydał: Prolegomena zur historiosophie. Gott und polingenesie, 1842. Du credit et de la circulation, 1839. De la pairie et de l'aristocratie moderne, 1844. O ochronach wiejskich, 1849. Ojcze nasz, 1849. Mnóztwo artykułów po dziennikach. Bronisław *Trentowski* pisał: Myślini czyli całokształt logiki narodowéj, 1844. Chowanna, 1845. Demonomanija czyli nauka nadziemskiéj mądrości, 1854. Stosunek filozofii do Cybernatyki, 1845. Vorstudien zur Wissenchaft der Natur oder übergang vom Gott sur Schöpfung, 1840. Grundlage der universellen Philosophie, 1837. De vita humanis aeterna, 1846.

(1) Wydał: Listy o starożytnościach Słowiańskich 1845. Toż po-Niemiecku 1846. Odkrycie najdawniejszych pomników narodu Polskiego, 1843. Schrift Denkmale der Slaven vor Christi Geburt, 1850. Die Opfergefässe des Tempels der Taurischen Diana, 1851.

X. MARCIN POCZOBUT.

OBRAZ ŻYCIA AKADEMICKIEGO,

PRZEZ

MICHAŁA BALIŃSKIEGO.

Któż z obecnych i stałych mieszkańców Wilna nie słyszał o uczonym, a w kraju i za krajem wszędzie słynnym astronomie xiędzu Marcinie Poczobucie? A może znajdą się tacy, którzy pamiętają nawet tego sędziwego starca, pochylonego laty, ale jeszcze rzeźwego umysłem a pełnego powagi i dobroci z oblicza? Znany jest wszystkim, a przynajmniéj tym którzy w czytaniu poważnych xiążek szukają rozrywki i wiadomości o czynach przodków i dziejach kraju naszego, żywot uczony i publiczny tego znakomitego męża, tak wymównie skreślony przez tyle godnego czci i pamięci naszéj Jana Śniadeckiego. Możeby to była zachwałość porywać się na pisanie cóś więcéj jeszcze o zasługach Poczobuta, po tém co już nam wypowiedział sławny jego w urzędzie i astronomii następca, a w pracach dla zabezpieczenia instrukcyi krajowéj nieoddzielny towarzysz! Ale znalazły się nowe świadectwa i nowe szczegóły o trudach Poczobuta dla dobra akademii dawnéj Wileńskiéj, o troskach i pociechach, tego życia akademickiego w połowie naukom, a w połowie niełatwemu sterowi uczącego zgromadzenia poświęconemu. Zdało mi się więc,

że to niebędzie z mojéj strony grzechem zbyte znego zaufania we własnych siłach, dodać cóś nowego do dawnego obrazu życia Poczobuta, coby niepsując świetnych farb autora, wyjaśniło niektóre jego szczegóły, które on osądził za rzecz właściwą w swoim czasie, pod cieniem zostawić. Bo już niemal pół wieku od zgonu Poczobuta zapadło w niepowrótną przeszłość, bo już tyle jemu spółczesnych opuściło ziemię, którzy albo za nim, albo przeciw niemu działali. Niéma więc powodu do żadnych względów na osoby i okoliczności; owszem zachować dlą potomności i odsłonić jéj szereg wypadków ukrytych dotąd przed nią, byle z poszanowaniem prawdy i oparciem się na pewnych dowodach, sądzę że jest powinnością każdego, kto ma do tego sposobność i powołanie! I dla tego, obracam się tu szczególnie do was, dawni uczniowie uniwersytetu Wileńskiego, słuchajcie tego co wąm tu powiém o Poczobucie, jeżeliście ciekawi wiedzieć, jaka była fizyonomija przy końcu XVIII wieku téj akademii *Alma mater*, tego ogniska nauk, z któregoście po jéj odrodzeniu z Jezuickich popiołów, czerpali światło i brali przestrogi na drogę życia, równie z zalet jak z wad owéj starożytnéj instytucyi!— Ale niesądźcie żeby to wszystko z czego się dowiemy o jéj przewodniku i luminarzu starym Poczobucie, służyło zawsze i wszędzie na jéj pochwałę, żeby to było jakimś jéj panegirykiem. Nie, zaiste: powiemy prawdę, a raczéj powiemy to tylko, co z nowych szczegółow o życiu i czynach czcigodnego jéj rektora i astronoma, da się o jéj bycie i odrodzeniu wyczerpnąć.

I.

W chwili kiedy straszliwy cios dla zakonu Jezuitów, ugodził w ich zgromadzenie, w pośród stolicy Litewskiéj

na trzy gałęzie rozrosłe,—jeden z nich w saméj sile wieku, bo jeszcze lat czterdzieści pięć liczący, gruntownie ukształcony w naukach matematycznych w piérwszych akademijach Europy, oddawał się z zapałem astronomii posunionéj naówczas tylu świetnemi pracami genijalnych ludzi do wysokiego stopnia doskonałości. We wzniesioném przez niesłychaną gorliwość swą obserwatoryum, trawił on dni i noce na uważaniu obrótu ciał niebieskich, i wtenczas już znany wszędzie z pięknych owoców swojéj nauki i pracowitości zasłynął w całéj Europie, jako jeden z najpiérwszych astronomów téj części świata. Tym niepospolitym mężem, tą chlubą wówczas naszéj ziemi, był Marcin Poczobut. — Już dziesiątkiem lat wprzódy Jezuici Wileńscy naciskani równie duchem czasu, jak potężném spółzawodnictwem Pijarów, musieli nakoniec sami jakby dobrowolnie przystąpić do zaprowadzenia pewnych odmian na lepsze w uczeniu młodzieży. Właśnie skutkiem tego, w akademii Wileńskiéj zaprowadzono porządną lekcyę matematyki, pomyślano o kształceniu członków zgromadzenia w zagranicznych szkołach, a nawet jeden z uczonych professorów tejże akademii Jezuita Żebrowski, wcale dobry matematyk, zajął się urządzeniem obserwacyj astronomicznych, które uczeń jego a bezpośredni naszego Poczobuta poprzednik, x. Jakób Naksianowicz przedłużał czynnie, chociaż bez takiéj korzyści dla dobra i postępu nauki, jakiéj należało wymagać po nim i po nauczającém zgromadzeniu. Poczobut z funduszu xięcia Michała Czartoryskiego kanclerza w. w. x. Lit. wydoskonalony w naukach matematycznych, a szczególniejszy miłośnik astronomii, za powrótem do Wilna w r. 1764, posunął jeszcze daléj usiłowania akademii o podźwignienie tak ważnych umiejętności w publicznéj instrukcyi. A chociaż niebyło jeszcze dobrych narzędzi do obserwacyi,

Poczobut jednak objąwszy posadę astronoma obserwatora, oddał się gorliwie pracy, któréj także ślad pozostał w małém piśmiku zawierającém obserwacyę zaćmienia xiężyca w r. 1766 (1). Wiadomo już jest zkądinąd, jak te wszystkie usiłowania Poczobuta w podniesieniu nauki astronomii do wysokiego stopnia w ówczesnéj akademii Wileńskiéj, uwieńczone zostały wspaniałym darem Elżbiety z Ogińskich Puzyniny. Wiadomo również jak po sprowadzeniu z Anglii kosztem tejże saméj czcigodnéj matrony Polskiéj, wybranych i zamówionych przez samegoż Poczobuta instrumentów do obserwacyi, wzniosła się w ciągu dwóch lat 1770—1772, prawdziwie piękna i dogodna sala w obserwatoryum pod dozorem naszego astronoma (2). Lecz obok tego przeczuwali także Jezuici Wileńscy zarówno z innymi, jeżeli niezupełny swój upadek, to przynajmniéj blizkie zachwianie swojego znaczenia, swoich bogactw i wpływu. Poczobut świeżo z obcych krajów przybyły, może jaśniéj nad innych spółbraci widział zbliżającą się burzę. Ale, gdy

(1) Martini Poczobut, Calculus eclipsos lunaris quae accidit die 24 Febr. 1766, pro observatorio Acad. Vilnensi. In-4, na dwóch arkuszach. Przytém rycina wyobrażająca zaćmienie.

(2) Niemożemy tu pominąć pięknéj wiadomości historycznéj o Wileńskiém obserwatoryum od początku jego aż do naszych czasów, którą równie zacny jak uczony *Maciéj Gusiew*, dzisiejszy pomocnik dyrektora tegoż obserwatoryum, podał w r. 1853 do Rocznika Wileńskiéj gubernii (Памятная книжка Виленской губернии на 1853 годъ), na pamiątkę stuletniego trwania obserwatoryum, pod napisem: Столѣтнее существованіе Виленской астрономической обсерваторіи. Prócz głównego źródła do tego pisma, jakiém jest Żywot Poczobuta p. Śniadeckiego, korzystał jeszcze autor umiejętnie z kilku dzieł i rękopismów znajdujących się w biblijotece obserwatoryum, a najwięcéj z *Inwentarza* instrumentów i meblów przez samegoż Poczobuta spisanego.

inni ojcowie przewodnicy klasztorów, uprzedzając nieuchronną katastrofę, oszczędzali to, co można było oszczędzić z dochodów i z zapasów swych, dla utworzenia funduszu tajemnego dla rozbitków, i w przypuszczeniu przyszłego odrodzenia swego: Poczobut ze swojéj strony rozmyślał z trwogą o zabezpieczeniu jedynie tego obserwatoryum, które tylu trudami wzniósł i tak wielkiém poświęceniem zdrowia i nauki swéj zrobił użyteczném dla własnego kraju i dla całéj Europy. Dawno już więc szukał on znajomości i stosunków z osobami, któreby mu z czasem mogły być radą, pomocą i opieką w zbliżającéj się katastrofie. Ułatwiały mu do tego drogę najprzód, pomimo upadającego znaczenia Jezuitów w Litwie, powaga stanu jego jako uczeńszego nad innych kolegów członka starożytnéj akademii, a potém osobiste przymioty jego, owa łatwość charakteru, towarzyskość, potulność i uprzejmość dla wszystkich, a przy takich zaletach serca, wielka żywość imaginacyi, która go pomimo surowości nauk matematycznych w krainy poezyi często unosiła. Miał on do tego jeszcze tytuł astronoma królewskiego, którym go w r. 1767 obdarzył Stanisław-August (1). Lecz to wszystko niezdawało mu się dostateczném w przewidzeniu groźnéj przyszłości do uspokojenia w nim trwogi o los ulubionego zakładu. Już od powrótu swego z Włoch i Francyi, po skończeniu studyów, kiedy w piérwszych latach panowania Stanisława-Augusta zasiadł w akademii Wileńskiéj na katedrze matematyki i astronomii,— zabrał Poczobut ścisłą znajomość z Joachimem Chreptowiczem (*ob. przypisek na końcu artykułu*) naonczas pisarzem wielkim, w. x. Lit., człowiekiem

(1) Przywiléj Stanisława-Augusta zaszczycający tytułem królewskiego, obserwatoryum Wileńskiéj akademii, a obserwatorów mianem astronomów jego królewskiéj mości, dany był w Warszawie 25 stycznia 1767 r.

możnym, oświeconym i mającym przez swoje stanowisko między piérwszém obywatelstwem Litewskiém wpływ znakomity w stolicy. I naturalny pociąg człowieka uczonego do tych, co sami oświeceni lubili nauki, i tych którzy się im poświęcali, i wreszcie przewidzenie, że w oczekiwaném rozbiciu, trzeba było koniecznie zabezpieczyć sobie środek ratunku,— skłaniały Poczobuta do utrzymywania ciągłych stosunków i korespondencyi z Chreptowiczem, do czynienia mu rozmaitych przysług i dawania różnych wiadomości o wypadkach Wileńskich, które go obchodzić mogły. Jakże frasobliwie wymawia się on przed swoim mecenasem z niemożności odwiedzenia go w Szczorsach, kiedy jeszcze w marcu r. 1768, skończywszy obserwacye w Nowogródku, niemógł dla naglących interesów zboczyć tam w powrócie swoim do Wilna. „Ale będzie ten czas, kiedy się ja pomszczę nad nieszczęściem mojém, (pisze nasz astronom do Chreptowicza), i upatrzywszy sposobność umyślnie z Wilna do Szczorsów przybiegnę, *idque* z całym astronomicznym ekwipażem i instrumentami do determinowania *latitudinis et longitudinis loci*. Naówczas nie dzionek jeden, ale najmniéj niedziel dwie lub trzy poświęcę na jedyne usługi JWMPana Dobrodzieja." Jakże znowu serdecznie w liście 7 maja 1773 winszuje mu otrzymanéj pieczęci podkanclerskiéj Lit. i jak „niewymównie cieszy się z tego tak szczęśliwego ewentu!" Chreptowicz też nawzajem zobowiązuje go czasem do spełniania niektórych poleceń i interesów swoich nawet; ale też umie go nieraz zręcznie za przysługi wynagradzać. I tak naprzykład prosił Poczobuta w tymże roku o dobre umieszczenie sześciu synów szlacheckich w Wilnie, z funduszu przeznaczonego od zeszłego podkanclerzego Lit. Przeździeckiego. Poczobut skwapliwie tego dopełnił, i z takiemi szczegółami doniósł

mu o tém. „Stancyę, wikt i inne drobniejsze wygody, jako to: praczkę, opał i świéce zamówiłem we dworku jednéj dobréj i majętnéj gospodyni, za sto sześćdziesiąt złotych od osoby, to jest *in summa* za 960 złotych. Przez co od całéj summy 1,200 złt. oszczędziłem 240 zł., to jest 160 na stół a 80 na pensyę dla inspektora (guwernera), który zdał mi się koniecznie potrzebny dla ustawicznego tych dzieci dozoru. Stół będzie przystojny i stancya dosyć wygodna; od których połowa pensyi płacić się ma zaraz na początku, a połowa na końcu roku okrągłego." Ale po tych słowach wnet dodaje Poczobut: „Więcéj mi niezostaje, jako dalszych Jwwpana Dobr. czekać rozkazów, oraz za jeden ze sześciu placów do nominacyi mojéj zostawiony, złożyć podziękowanie najgłębszego pełne respektu." Taki to był wówczas stosunek panów do szlachty, protektorów z protegowanymi. Trafny to był istotnie wybór w osobie Chreptowicza szukać podpory: bo wątpliwości niebyło, że on jeden prawie z panów Litewskich w owym czasie, jako miłośnik nauk, mógł dać jéj skuteczną opiekę w razie potrzeby. Byli wprawdzie i inni panowie Litewscy, którzy i sami mieli wyższe ukształcenie i naukę, i lubili przestawać z ludźmi poświęcającymi się naukom, mianowicie jak xiążę Adam Czartoryski generał ziem Podolskich i x. Massalski biskup Wileński. Ale piérwszy rzadko bywał w Litwie, a drugi nad wszystkich uczonych i nad nauki, przekładał więcéj grę i zbytkowe rozrywki. Właśnie potrzeba opieki i pomocy wkrótce nadeszła. Wiadomość o bulli Klemensa XIV, wydanéj dnia 21 lipca roku 1773, i znoszącéj na całym świecie zakon Towarzystwa Jezusowego, spadła na Wileńskich Jezuitów we wrześniu, chociaż ostateczne jéj ogłoszenie w Wilnie nastąpiło dopiéro dnia 12 listopada tegoż roku. Pomijając wszelkie powody, dla któ-

rych Jezuici zasłużyli na ten wyrok Stolicy apostolskiéj, niepodobna było, ażeby ten cios chociaż dawno przewidziany, niewstrząsł wszystkich mieszkańców miasta i prowincyi, i żeby nieobudził pewnego politowania, jakie się obudza w sercu ludzkiém nad każdą wielką niedolą, nad karą nawet pospolitego winowajcy! Odrętwieli Jezuici pod tak srogim ciosem, oddali się żalom, i zamięszanie w obawie o los przyszły każdego z członków zgromadzenia powstało w murach klasztorów Wileńskich. Ale serce Poczobuta podwójnym razem ugodzone zostało. Cierpiał on jako zakonnik, i cierpiał niemniéj boleśnie, jako należący prócz tego do akademii, jako twórca tak ważnéj dla nauk instytucyi jaką było obserwatoryum astronomiczne, w którém właśnie w tym samym 1773 roku, razem z nieodłącznym towarzyszem prac swoich xiędzem Andrzejem Strzeckim, zaczął nowo-sprowadzonemi narzędziami, odbywać szereg porządnych i stałych obserwacyj nieba. Drżał o ich byt, i o los swoich towarzyszów w zawodzie nauczycielskim, którzy do innego chleba i do innego zatrudnienia przywyknąćby niemogli. Kiedy się już więc wszystko spełniło z Jezuitami, w piérwszéj chwili przerażenia, obrócił się Poczobut szukając opieki i ratunku do przychylnego sobie Chreptowicza. „Pozwolisz panie! (wołał przywalony smutkiem do swego protektora), w tym okropnym razie, w którym mię fatalny los zakonu naszego postawił, wezwać protekcyi twojéj ministeryalnéj, do odwrócenia tych klęsk, które tak straszny wypadek na osobę, urząd i obserwatoryum moje ściągnąć może. Po nieszczęściu powszechném, w którém znajduję się z całym zakonem, niebyłoby większego dla osoby mojéj utrapienia, jako nietylko porzucić, ale nawet przerwać osnowę robot moich w tém obserwatoryum, które mając swe ode-

mnie początki, miało być dla mnie chwalebnym grobem. O to więc obserwatoryum, o urząd mój i kolegów a pomocników moich niezmiernie stroskany, rzucam się ze łzami, oraz z najzupełniejszą ufnością na łono ministeryalnéj protekcyi twojéj Panie, niemogąc od płaczu nic już więcéj wyrazić.“ Niedługo czekał na pocieszenie i opiekę mecenasa swego Poczobut: bo Chreptowicz, umiejąc ocenić smutny stan jego i ufność którą w nim położył, pośpieszył wnet uspokoić troskliwość uczonego męża o dalszy los tak świetnego zakładu. Pokrzepiony Poczobut uprzejmością i pełnemi nadziei obietnicami ministra, niesądził odtąd, ażeby król miał zostawić niepewnemu losowi obserwatoryum zaszczycone tytułem królewskiego, a instrumentami i obserwacyami w całéj Europie już tak słynne. Owszem błagając Chreptowicza o wstawienie się do króla i stanów Rzeczypospolitéj, oświadczał mu, że pełen ufności czekać będzie ostatecznego wyroku na tém miejscu, na którém (mówimy jego własnemi słowy) we dnie i w nocy pracując, dotąd w pocie czoła, a teraz gorzkiemi łzami oblewając, nieinnéj żądał nagrody, jedno téj, aby na niém głowę położyć. Nieprzestając na tém, żeby rozszerzyć sferę czynności swoich, ośmielony dobrocią protektora, prosił go o wyjednanie mu przywileju wyłącznego dla osoby jego, na wydawanie kalendarza politycznego na Litwę, i oprócz tego gazet literackich jeśli można i politycznych w Wilnie (1). Niemiał tu na widoku Poczobut żadnych korzy-

(1) Gazety drukowane w Wilnie trwały już za panowania Augusta III, a może i wprzódy. Znamy je od r. 1761, były zaś osobliwego składu. Jednego dnia pokazywał się na półarkuszu w ćwiartce *Kuryer Litewski*, mający na czele odcisk drukarski wyobrażający kuryera z trąbką konno galopującego, z jednéj strony rok, z drugiéj numer na tarczach. Tegoż samego dnia, a najczęściéj nazajutrz wy-

ści osobistych z takiego rodzaju publikacyi; ale co do kalendarzy, chciał żeby wydawane dotąd corocznie od pewnych lat przez x. Franciszka Paprockiego prokuratora prowincyi Litewskiéj Jezuitów, w drukarni Akademickiéj, wychodziły i nadal bez przerwy. Ważniejsze w tenczas były, niżby kto dziś rozumiał, owe kalendarzyki dla Poczobuta, i użyteczniejsze dla publiczności: ponieważ w nich oprócz zwykłéj politycznéj treści, umieszczali Jezuici to chronologiję królów Polskich, to wyciągi z ustaw sejmowych, a Poczobut wyłącznie podawał swoje rozprawy astronomiczne, oswajając czytelników z umiejętnościami dokładnemi sposo-

---

chodziły *Wiadomości Cudzoziemskie* z herbem obójga narodów, a numer ten sam co i w Kuryerze, ten sam format i objętość. Najczęściéj następnego dnia, pokazywał się *Supplement do gazet Wileńskich*, pod tymże samym numerem, bez odcisku i na jednéj tylko karcie tegoż samego formatu. Czasem i drugi krótszy suplement wychodził. Niekiedy, ale bardzo rzadko, bo prawie raz na miesiąc, w tymże samym kształcie, ogłaszano przez 4 lata od r. 1760 do 1763 na dwóch kartach *Wiadomości literackie* przez x. Bartłomieja Paprockiego Jezuitę, z odciskiem wyobrażającym wodotrysk z godłem nad nim: *Quo plus sunt potae, plus sitiuntur*. Treść tych pisemek była bardzo szczupła i zwięzła. Kuryer i suplement jego ogłaszał wiadomości zarówno krajowe, o wypadkach w Litwie i Koronie, jak zagraniczne tyczące się polityki. Wiadomości cudzoziemskie odpowiadały ściśle swemu tytułowi; ale Wiadomości literackie okazywały już niejaką dążność naukową, chociaż były bardzo niedołężnie redagowane. Z roku np. 1761 zawierają: niezły artykuł o monecie krajowéj, o publicznem wychowaniu młodzieży korzystniejszém od domowego, treść pisma umieszczonego w Dzienniku Paryzkim z r. 1734, sposób na żyzność drzew, warzywa i zboża, o straszydłach, i tym podobnie. Exemplarz takich Wiadomości sprzedawał się osobno od Kuryera po szostaku. W roku 1770 znika Kuryer, a pokazują się *Gazety Wileńskie*, co ośm dni

bem wcale popularnym (2). W ciągłéj obawie o przyszły los Akademii, Poczobut nieprzestawał szukać pociechy i opieki u Chreptowicza. I Chreptowicz niósł mu je skwapliwie, dobrotliwemi wyrazy kojąc troski wątpliwego położenia, i zapewniając, że zakłady naukowe po Jezuitach pozostałe, rząd pod innym kształtem utrzyma i pożytecznie dla kraju urządzi. Ale Poczobut niespokojny jak to się ułoży, a przyzwyczajony oprócz tego w samych tylko Jezuitach widzieć wówczas ognisko nauki i instrukcyi publicznéj, szukał w głowie sposobu jakby tęż samę akademiję zatrzymać w ręku członków obalonego zakonu, którzyby w innéj postaci i pod inném imieniem, zatrzymali w swojém ręku jeżeli niezupełnie dozór nad wychowaniem mło-

---

in-4to we dwóch kartach wychodzące, a obok tych tegoż samego dnia suplement równéj objętości. Odcisk na czele wyobraża na tarczy pod mitrą xiążęcą wśród armatury, gońca w ubiorze huzarskim cwałującego. Po wstąpieniu na tron Stanisława-Augusta, gazety w Wilnie znowu swoję postać zmieniają około roku 1780 (może nieco pierwéj), i zaczynają wychodzić regularnie co 7 dni, z herbem królestwa mającym pośrodku Ciołka Poniatowskich, objętości dwóch kart in-4to przy takimże suplemencie. Nad tarczą ale pod koroną, z za hełmu wychodzi w szerz pas czyli wstęga, a na niéj napis *Gazety Wileńskie*. I w takim kształcie gazeta polityczna w Wilnie, przetrwała aż za rok 1794; potém się znów odrodził Kuryer Litewski.

(2) Właśnie taka wiadomość o przejściu planety Wenus przez płaszczyznę słońca, zbijająca błędy i uprzedzenia dawniejsze astrologiczne, oraz wykładająca zalety i pożytki astronomii, znajduje się w *Kalendarzu Wileńskim* na rok 1769, po któréj następuje oznaczenie szerokości geograficznéj Wilna, przez x. Poczobuta. Kalendarze takie polityczne w Wilnie wydawane najprzód przez Jezuitów, późniéj przez uniwersytet, drukowały się każdorocznie, aż do kas-

dzieży, jak dotąd było, to przynajmniéj wpływ na opinię publiczną, i kierunek w rozwijaniu się cywilizacyi krajowéj. Ułożył więc projekt, ażeby z młodzi zakonnéj ex-Jezuickiéj uczyniwszy wybór utworzyć, jak nazywał, *corpus literackie*, z któregoby powstać z czasem mogło cóś podobnego do akademii nauk. „Chcę (odzywał się on) z nieszczęścia prywatnego poszukać publicznego pożytku: chcę na mogile matki mojéj wystawić tę pamiątkę dla niéj chwaebną a ojczyźnie pożyteczną. Nieinaczéj Francuzka i Angielska akademije umiejętności powstały i w tak wspaniałe korpusy urosły. Poczęły się od prywatnych ludzi, przyjaźń między sobą, a gorliwość o nauki mających. Już cokolwiek mam takich, i więcéj zebrać postaram się; a spodziewam się, że Bóg myślom moim pobłogosławi". Już to naturalnie astronomija i obserwatoryum grałyby w tym planie największą rolę. Szło jeszcze o sposoby ogłasza-

---

saty jego w roku 1832. Z najdawniéjszych znany mi jest z r. 1737, pod tytułem: *Kalendarz Polityczny* na rok pański 1737, przybyszowy po przestępnym piérwszy, zawierający w sobie rewolucye roczne i lunacye, zaćmienia słońca i księżyca, concilia powszechne, heresie, zakony, *seriem* królów Polskich, dzień narodzenia panów i inne rzeczy ciekawe do politycznych rozmów służące, zebrane przez J. P. S. J. Theologa. w Wilnie w drukarni Akademickiéj Societatis Jesu. Wydawcą jest zapewne x. Poszakowski, bo w kalendarzyku następnego 1738 roku nazwisko jego już jest wymienione. Takiż kalendarz wydany r. 1774, w drukarni J. K. Mci w Wilnie, bardzo porządnie drukowany, zdaje się już być redakcyi Poczobuta. Znajduje się w nim na końcu: „Dyssertacya historyko-krytyczna napisana po-Niemiecku przez pana Schloezer historyi professora w Petersburgu, w któréj dowodzi, że *Lech* ani przed rokiem 550, ani po nim, ani żadnego innego czasu w Polsce niepostał, i że cała o nim bajka około czternastego urosła wieku."

nia publicznie prac i dążności tego nowego zgromadzenia uczonych. Pisma czasowe były najwłaściwszym środkiem dopięcia tego celu. Ale tych prawie niebyło wówczas w Wilnie, a jeżeli jakie publiczne papiery ukazywały się od czasu do czasu, wszystko to ograniczało się do samych gazet raz na tydzień wychodzących, i kalendarzyka politycznego raz na rok: bo i wiadomości literackie co miesiąc dawniéj pojawiające się ustały od kilku lat, acz błahe i mało czego nauczające! Poczobut jednak w niedostatku innych środków, chwycił się tych jakie były pod ręką, i usilnie nalegał prośbami swemi na Chreptowicza o postaranie się dla niego przywileju na kalendarz polityczny mający służyć na Litwę, i na gazety literackie, a jeśli to być może, i na polityczne. Zaręczał przytém, że dotychczasowe obowiązki jego nieprzeszkadzałyby mu do zajęcia się nowemi przy pomocy wybranych do tego osób. Mniemał zaś, że jakikolwiek dochód z takich publikacyj, przyłożyłby się do wsparcia i funduszu dla pracujących w projektowaném zgromadzeniu. O drukarnię nieśmiał prosić, boby się to zdawać mogło zawiele na jeden raz, chociaż drukarnia była koniecznie potrzebną w jego widokach dla takiéj instytucyi, i pod jéj dozorem byłaby najpożyteczniejszą krajowi. Zamiary te tak dalece zajęły myśl Poczobuta, że wysłany do Warszawy w różnych sprawach zniesionego zakonu, x. Jankowski rektor kollegijum Jezuickiego w Poszawszu na Żmujdzi, odebrał polecenie rozwinąć je ustnie tak Chreptowiczowi, jako i innym osobom mogącym je wspierać. Lecz próżne były obawy naszego astronoma o losy obserwatoryum Wileńskiego, a nawet i o samych Jezuitów: ponieważ nikt niemyślał o zniesieniu akademii, a z nią jakichkolwiek zakładów naukowych; zdolniejsi zaś Jezuici musieli znaleźć

w niéj miejsce, bo prócz nich i kilku Pijarów, prawie nikogo niebyło, nietylko w Litwie, ale i w całym kraju, sposobnego do nauczania młodzi po szkołach, jeżeli wyłączymy uczniów akademii Krakowskiéj. Inna wcale od projektów Poczobuta myśl tkwiła w głowie niepospolitych zdolności ministra, myśl wielka i zbawienne dla narodu pożytki zlać mającą. Chreptowicz powziął zamiar utworzenia osóbnego najwyższego dozoru dla szkół narodowych, a znalazłszy wsparcie swojéj idei u króla, uzyskał zaraz na sejmie przyjęcie jéj, i uskutecznie pod imieniem Komissyi edukacyjnéj obojga narodów: było to piérwsze ministerstwo oświecenia w Europie. Zajęła się ona natychmiast losem upadłych Jezuitów, i docześnie zostawiła im już sekularyzowanym nauczanie młodzi z pewnemi instrukcyami, tak w akademii w Wilnie, jako i w podobnych szkołach. Niepotrzebnemi więc stały się projekta Poczobuta; a tymczasem dla pocieszenia go, przysłał mu Chreptowicz w listopadzie roku 1773, przywiléj królewski na drukarnię, po-Jezuicką Świętojańską w Wilnie, na imie jego wydany. Radość Poczobuta i wdzięczność za to, była niezmierna: sądził bowiem, że taki środek rozszerzania nauk i wiadomości z odnowić się mającéj akademii, w ręce mu oddany, pomoże mu razem do ogłaszania ważnych prac i obserwacyj astronomicznych i pomnoży fundusz na różne przedmioty naukowe. Lecz i ten dar nieobszedł się bez kłopotu. Wyznaczeni lustratorowie do inwentacyi i objęcia na skarb różnéj ruchomości po-Jezuickiéj, nieotrzymawszy urzędowéj wiadomości o przywileju dla Poczobuta, mogliby swoję czynność i do drukarni rozciągnąć. I nie tu jeszcze koniec ambarasu: bo Jezuici przed samą kassatą swoją, uczynili donacyę téj drukarni na rzecz króla; tymczasem zaś podskarbi nadworny Litewski Tyzen-

hauz, chociaż sprzyjający Poczobutowi, lecz niebędąc formalnie uwiadomiony o przywileju, a świadomy dobrze o donacyi Jezuickiéj na osobę królewską, zabierał się także do objęcia drukarni, w celu zapobieżenia lustracyi. Znowu zatém Poczobut musiał kołatać czas niejakiś o stanowczą rezolucyę w téj rzeczy od Komissyi: bo chociaż ta drukarnia wówczas opuszczona, niemogła więcéj przynosić zysku nad 3,000 złt. P., bez niéj wszakże ani akademija, ani obserwatoryum obejśćby się niemogły. Zaspokojony wreszcie bezpieczną już posiadłością drukarni, zdaje się, że jeśli nie w tymże samym, to w początku zaraz następnego roku 1774, doczekał się dalszego spełnienia swych życzeń, przez oddanie mu redakcyi Gazety Wileńskiéj. Jednakże i tu spotykały go niekiedy trudności i zmartwienia, czego dowodzi jakiś przypadek, którego sobie wytłómaczyć niemożemy, choćbyśmy nawet i posiadali gazety z roku 1774, a którego wiadomość podaje nam następny list Poczobuta pisany do Chreptowicza, do Warszawy. „Nieukontentowanie publicane, o którém ostrzeżony jestem imieniem Jwm. pana dobr., względem addytamentu do Gazety Wileńskiéj pod datą 12 lutego, témbardziéj mię martwi, im wcześniéj przejrzane a pewniéj spodziewane było. Widziałem niegodność tegoto projektu, i sądzić inaczéj niemogłem, jeno iż podłe i uszczypliwe wyrazy nietylko narodowi obelgę, ale nawet i *Gazecie pod dyrekcyą moją będącéj*, zniewagę i niesławę czyniły. Mówiono to autorowi Jmć-panu Pękalskiemu, który kwalifikując się sekretarzem JwJmć pana generała Rzewuskiego do expedycyj Polskich należącym, w oczach jednego z xięży kolegów moich własną ręką cały ten artykuł napisał. Ale on odpowiedział: czemu tego nie drukować, co w rzeczy saméj było? Tak było, tak JwJmć pan generał chce, tak być musi. Szczęściem to

się jeszcze stało, że Gazety będąc już zupełnie ułożone *acta* znajdowały się pod prassą. Byłbym necessitowany splugawić one tym artykułem, który gdy był złożony do addytamentu, posłałem mu jeden exemplarz z przydanym biletem. W tym wyraziwszy, iż dotkliwe terminy wielu urazić mogą, i że sam Jmć pan generał może być z tego niekontent, prosiłem aby się jeszcze dołożył w téj mierze Jmć pana generała, i prezentował mu exemplarz posłany, a dał mi rezolucyę przez bilet. *Alias* niemiałem wydać innych exemplarzów, co też mu posłaniec dopraszający się responsu powiedział. Dał mi tedy przez bilet rezolucyę: iż dobry ten exemplarz, iż dwanaście takich potrzeba, nic nieujmując ani przydając, z rzeczy w piérwszym wyrażonych. Zachowawszy taki bilet *in omnem eventum*, kazałem dwanaście *praecise* exemplarzów addytamentu wybić, i żadnego sobie niezostawiwszy, wszystkie mu odesłać. Żem przestał na tych krokach, a dalszych nieczynił, ma mię wymówić sławny przypadek Jmć panu de Raez sędziemu Trockiemu w tym roku zdarzony. Dobroć serca Jwm pana dobrodzieja ku mnie, ufać mi niezawodnie każe, iż nietylko winnym w tym postępku nieznajdziesz, ale też przed królem Jmcią, panem moim miłościwym, zupełnie usprawiedliwić raczysz, jako tego, który *bono publico* z największą gorliwością służyć chcąc, pragnę też być z największym respektem, *Monseigneur* Jaśnie Wielmożnego wmć pana dobr. najniższym sługą, x. Poczobut astronom JK. mci. D. 3 marca 1774, w Wilnie."

Nad wszystko jednak kłopotliwszą rzeczą było, położenie ówczesne Poczobuta w akademii. Nic w niéj jeszcze nie urządzono na nowo, a stary porządek razem z zakonem obalony. Nauki też były w dziwnym stanie. Było to raczéj, jeżeli wyłączymy astronomiję i wybornie urządzo-

ne staraniem Poczobuta obserwatoryum, jakieś gimnazyum, to zbyt niedołężne, aby się w niém czegoś gruntownie nauczyć można było. Uczyli sami prawie ex-Jezuici, języków, kanonów, fizyki i nauk innych elementarnych, do czego przypięto niejako katedrę anatomii i chirurgii, których lekcyę dawał Mikołaj Regnier, Francuz, przedtém chirug nadworny Stanisława-Augusta. Dodać do tego jeszcze wypada, że nietylko rząd, lecz i los saméj akademii był w ręku Massalskiego biskupa Wileńskiego, jako dotąd jéj kanclerza, a potém prezesa komissyi edukacyjnéj. Prałat ten, chociaż mający niemało nauki, a powierzchownego poloru jeszcze więcéj, ale pełen dumy i próżności, a w domowych wydatkach niełądnik, ufający pochlebiającym mu powiernikom, rządził się bardziéj fantazyą pańską, jak zdrową rozwagą rzeczy. I co gorsza! zarządzając wtenczas głównie funduszami edukacyjnemi w kraju całym, odważył się na obracanie ich w pewnéj części na swój użytek. Ztąd wynikło, że nietylko pensye liche pobierali akademiccy professorowie, lecz i te w zupełności ich niedochodziły. Poczobut więc znalazł się w bardzo krytycznem położeniu. Sam takiéj powagi, takiéj nauki i pracy człowiek, zaledwo ze swoim pomocnikiem, a razem professorem fizyki i adjunktami dwóma, pobierał w ogóle 7,000 złot. Pol. półrocznie. Stawiło to go prawie w niemożności przyzwoitego utrzymania się, martwiło zaś, że ani swoim towarzyszom przy obserwatoryum pomódz niemógł, ani mieć nadziei, żeby w takim stanie rzeczy kiedykolwiek akademija przyjść mogła do porządku. Prócz tego Massalski go nielubił, oświadczał nawet, że mając pretensye do drukarni akademickiéj, zamierza mu ją odebrać, a pomocnikom jego tylko po 500 złot. P. rocznie wyznaczyć. Poczobut ze wszelkich względów miałby wten-

czas prawo przed innymi, tak do urzędu rektora akademii, jako i do otrzymania jakiéj prebendy, na które wówczas zasłużeńszych ex-Jezuitów posuwano. Ale Massalski oddalał jak mógł wszelkie sposobności do otrzymania promocyi od Poczobuta. Kiedy naprzykład 24 lipca r. 1774, x. Alexander Horain biskup Hireneński, referendarz Litewski a razem archidyakon Wileński, apopleksyą uderzony w kościele katedralnym podczas nieszporów, umarł nagle: Massalski z doniesieniem mu o tym wypadku oświadczył natychmiast trzem członkom akademii obecnym wówczas u niego na pokojach, między którymi był rektor x. Skorulski i sam Poczobut, że wysyła sztafetę do króla prosząc o kanoniję dla Skorulskiego, a x. Ignacego Żabę professora teologii posuwa na Rektora. Jakoż sztafety od protektora i protegowanych hurmem poleciały do króla i różnych potentatów w Warszawie. Niewiemy czy Skorulskiemu dostała się kanonija, ale to pewna, że x. Żaba postąpił niezadługo na rektora akademii, a Poczobut mąż głębokiéj nauki, rzadkiéj cnoty i skromności, został na boku. Taki to los, jeśli nie zawsze, to przynajmniéj dość często spotyka podobnych jemu ludzi!—Poczobut zastraszony zaniedbaniem akademii, i wyraźną niechęcią wszechwładnego kniazia biskupa, gotował się w ostatnim razie choćby z torbą o kiju opuścić drogie dla niego obserwatoryum i pójść w świat szukać kawałka chleba. Jednakże osobisty szacunek Stanisława-Augusta i opieka Chreptowicza, ochraniały jego osobę i obserwatoryum od napaści ostatecznéj nieprzyjaźnych mu osób. Król pocieszał go jak mógł to obietnicą lepszéj przyszłości, to po zaszczyceniu go dawniéj tytułem astronoma królewskiego, wybiciem na cześć jego w r. 1775 pięknego medalu. Chreptowicz ze swojéj strony pełen szczeréj i nieustannéj życzliwości dla na-

szego astronoma, usiłował go opatrzyć w nieco większe dochody, wiedząc, że gotów niemi w każdym razie zasilać potrzeby edukacyjne kraju, prędzéj niż obracać na własne wygody. Niełatwo to jednak udawało się i podkanclerzemu: bo kiedy w r. 1776, będąc już pewnym otrzymania dla niego koadjutoryi kanonii Wileńskiéj, uwiadomił o tém Poczobuta, wkrótce jednak przez zabiegi spółzawodników, pomimo protekcyi Chreptowicza, nominacyja ta nieprzyszła do skutku. Próżno tylko Poczobut silił się na podziękowanie swojemu mecenasowi, za to, co go wnet zawiodło, porównywając siebie do losu wielkiego Kopernika. Ale i stan dotąd jeszcze nieurządzonéj należycie akademii z przywłaszczanemi ciągle przez Massalskiego jéj dochodami, niewzbudzał w Poczobucie stałéj ufności w bezpieczeństwo trwałego bytu zakładów naukowych w Litwie, a témbardziéj w ich postęp i udoskonalenie. Wszystkie te przeciwności zachwiały w lecie tegoż roku zdrowie Poczobuta, i musiał szukać pomocy lekarskiéj doktora Bisio, niegdyś Jezuickiego lekarza, a natenczas praktykującego prywatnie w Wilnie, człowieka uczonego i wielką tu wziętość w swojéj epoce mającego. Tymczasem Komissya edukacyjna postrzegła się nakoniec w nieobecności prezesa Massalskiego, że w akademii Wileńskiej i w szkołach jéj zarządowi podległych, działy się wielkie nadużycia i nieporządki, którym koniecznie zapobiedz wypadało. Wyznaczyła więc dla wejrzenia w to wszystko, co się dzieje na Litwie pod względem szkolnym, Józefa Wybickiego jako nadzwyczajnego wizytatora, który dnia 24 czerwca 1777 roku zawitał do Wilna, a we dwa dni potém uroczystą mową rozpoczął poleconą sobie wizytę najprzód akademii. Niebędziemy już powtarzać tego co się tycze owéj wizyty, co zkądinąd wiadomo, i jak zacny Wybicki

znalazłszy, że Massalski 300,000 złot. Pol. zadłużył się kassie edukacyjnéj, zmusił go pomimo wszelkich zabiegów do zapłacenia téj summy. Ale to tylko dodamy, że z całéj akademii, na któréj czele stał wówczas xiądz Żaba jako rektor, a może i z całego towarzystwa ówczesnego w Wilnie, najbardziej ujął za serce Wybickiego ze wszystkich, Poczobut, tak głęboką nauką i wyższém oświeceniem, jak powagą i zacnością charakteru. Szacunek i przychylność wzajemna ustaliły się między nimi, jako między ludźmi nie dla siebie tylko, ale i dla dobra publicznego żyjącymi. Ztąd wypada naturalnie, że Poczobut musiał mu pomódz do wykazania wielu błędów i niedostatków w instrukcyi szkolnéj naówczas zagnieżdżonych, a razem usposobić wizytatora do wystawienia Komissyi edukacyjnéj potrzeby zaopatrzenia obserwatoryum jego w nowe środki do utrzymania się na stopie świetnéj, na jakiéj zdołało stanąć już jego usilnością. Raport Wybickiego uczynił wielkie wrażenie na Komissyi, i sprawił ten skutek, że silniej zaczęto radzić i działać w celu przyśpieszenia reformy uczenia publicznego w Koronie i Litwie. Tymczasem Poczobut wsparty protekcyą królewską i Chreptowicza nieprzestawał kołatać do Komissyi edukacyinéj o fundusz na zakupienie nowych narzędzi do obserwatoryum Wileńskiego. Massalski zaś ze swojéj strony, jako dotąd jeszcze kanclérz akademii, a zatém jéj bezpośredni zwierzchnik, myślał także cokolwiek o niéj, lecz same prawie nauki lekarskie zajmowały go wyłącznie. Jakoż gdy lekarz jego domowy Regnier Lotaryńczyk, którego on zrobił w r. 1775 professorem w Wilnie anatomii, niemógł się zajmować tą nauką, dla osłabionego wzroku: Massalski wysłał go do Francyi na wyszukanie zastępcy. Wiadomo jest, że tym zastępcą został wybrany r. 1777 Jakób Briotet,

tak znany za naszéj młodości w Wilnie lekarz, i tak kochany od wszystkich (1). Nakoniec Poczobutowi najpomyślniéj udają się jego starania w Komissyi, która tegoż roku przeznacza na zakupienie nowych narzędzi do obserwatoryum Wileńskiego 2,000 czerwonych złotych, a pomocnik i przyjaciel jego x. Strzecki wyjeżdża do Londynu dla zamówienia ich i sprowadzenia, z dodanym mu przez podkanclerzego na prośbę Poczobuta towarzyszem podróży, jakimś panem Gabryelem budowniczym Chreptowicza. A Poczobut uszczęśliwiony z téj wyprawy swojego towarzysza, nieprzestaje dziękować gorąco swojemu protektorowi za tyle jego względów i uczynności, polecając ciągle i z ufnością obserwatoryum i całe swoje, jak nazywa, kollegijum astronomiczne potężnéj jego opiece! Wzajemnie cały rok następny 1778 był szeregiem różnych przysług, któremi Poczobut usiłował wywdzięczać się swojemu opiekunowi. To mu summę jakąś 10,000 złot. Pol. w złocie Holenderskiém podług redukcyi konstytucyą przepisanéj wynoszącą czerw. złot. 597 i grosz jeden srebrny, z Kowna sprowadzoną, odsyła przez umyślnie przysłanego z Żyrmun Tatarzyna. To mu donosi o różnych wypadkach jak *np.*, że Trybunał siedzi na namowie w sprawie p. podskarbiego Tyzenhauza, ale dziś (17 stycznia 1778) ma być dekret; potém o zgonie biskupa Żmudzkie-

(1) Czytelnik, chcący mieć dokładne wiadomości o professorach medycyny uczących jéj naprzód w akademii Wileńskiéj za rektorstwa Poczobuta, a potém w uniwersytecie, znajdzie je w bardzo zajmującéj rozprawie uczonego i szanownego prezesa Towarzystwa lekarskiego w Wilnie, professora Adamowicza, pod tytułem: *Początek i postęp anatomii w Polsce i w Litwie*, umieszczonéj *w Historyi nauk przyrodzonych* Gustawa Belke i Alexandra Kremera, T. V, a razem osobno wydrukowanéj.

go (Jana-Dominika Łopacińskiego, także w styczniu), lub o przybyciu do Wilna xięcia Sapiehy generała artyleryi Lit., albo o niedójściu kombinacyi xięcia Massalskiego biskupa z wojewodą Nowogródzkim i o przejeździe przez Wilno na Słonim do Warszawy nowego biskupa Żmudzkiego Stefana Giedrojcia, a wszystko to w jednym dniu prawie miesiąca września. To nakoniec usiłuje gorliwie ułożyć z jakimś panem Tadwenem, interes pieniężny między Chreptowiczem, a pewną panią kasztelanową, jeździ nawet sam do Kowna. Ale próżne starania: kasztelanową zastaje niebezpiecznie chorą, córki, zięcia i wnuczkę pilnie nad nią czuwających, a do tego wszystkiego Tadwen szczerze wyznaje, że o zamożności kasztelanowéj większa opinija, niż rzeczywistość. Słowem interes pęka z żalem chcącego się odsłużyć Poczobuta, a zwiększym zapewnie jeszcze samego Podkanclerzego. Z tém wszystkiém Chreptowicz umie ocenić przychylność i wdzięczność Poczobuta, i nieprzestaje być jego nieustannym protektorem. Tymczasem Strzecki przebywał w Paryżu już w grudniu r. 1777, obracając najpożyteczniej czas swój dla obserwatoryum Wileńskiego, z wielką radością naszego Poczobuta, przepełnionego żywą wdzięcznością dla sprawcy téj ważnéj missyi. Świadczą o tém własne wyrazy w jednym liście jego do Chreptowicza (z daty 2 lutego roku 1778). „Ja żadnych listów i raportów JX. Strzeckiego czytać niemogę, nietylko bez serdecznego ukontentowania, ale też bez uczucia téj najżywszéj rekognicyi, którą winienem jest po Bogu, JW. Panu Dobrodziejowi, tych wszystkich pomyślności i pociech moich autorowi. Przez wykonanie tego to projektu osładzają się mi niewymównie wszystkie prace i kłopoty moje przeszłe; ale ten tam projekt utrzymać by się i stanąć nigdy niemógł, gdyby niebył wspar-

ty tak usilnem interesowaniem się JW. M. Pana Dobr. za nim, i tą partykularną protekcyą, którąś mi Monseigneur, i kompanii mojéj zdawna akkordować raczył."— Strzecki zasługiwał istotnie na ufność Poczobuta, i odpowiedział godnie wyborowi jaki w osobie jego zrobiono do téj astronomicznéj wyprawy. Zamówiwszy bowiem w Londynie trafnie i jak na znawcę przystało robotę narzędzi dla obserwatoryum; udał się do Paryża, dla poznania się z uczonymi swego powołania, będąc im polecony od Poczobuta, i dla zawiązania nadal czynnych związków między témże obserwatoryum, a tamtejszą akademiją umiejętności. Jeden z astronomów Paryzkich przyjaźny Poczobutowi, St. Maurice de St-Leu, a jak się zdaje sprawujący obowiązek uczonego niejako agenta Stanisława-Augusta w Paryżu, miał ułatwić te stosunki naukowe. Celem Poczobuta w tym zamiarze było nietylko zawiązanie bardzo pożyteczněj dla nauk i zaszczytnéj korrespondencyi z najpierwszém i najuczeńszém na świecie zgromadzeniem naukowém; ale jeszcze włożenie raz nazawsze na astronomów Wileńskich obowiązku i niechybnéj potrzeby utrzymywania naukowych stosunków. Ale St-Leu i drugi jeszcze Francuz uczony Du-Pont, nieinaczéj chcieli się zająć ułatwieniem tego interesu tak pożądanego przez Poczobuta, aż gdy odbiorą wyraźne w téj mierze polecenia od króla, choćby za pośrednictwem podkanclerzego Chreptowicza, i od Komissyi edukacyjnéj przez xięcia biskupa Wileńskiego. Zdaje się, że choć w części życzenia naszego astronoma spełnione zostały. Tegoż samego roku jeszcze 1778, Poczobut był wybrany członkiem korespondentem akademii umiejętności w Paryżu, którą to godność w dalszym czasie zatwierdził mu instytut narodowy Francuzki. Ale Poczobut niejedne miał do tego prawo: bo nietylko był znany

od wszystkich astronomów Europejskich jako piérwszy prawie założyciel zupełnego już obserwatoryum w Wilnie, piérwszy w niém nauczyciel astronomii i regularny obserwator ciał niebieskich; nietylko swojemi obserwacyami przesyłanemi i ogłaszanemi po główniejszych obserwatoryach, wielkie dla siebie wyrobił między uczonymi stanowisko:— nad to wszystko przybyła mu jeszcze jedna zasługa podczas bytności Strzeckiego w Paryżu. W akademii umiejętności udowodnioném zostało, że Poczobut odkrył najłatwiejszy sposób sprawdzania mikrometru przedmiotowego. Tak się o tém wyraża w liście do Chreptowicza d. 9 marca 1778 roku z Wilna pisanym: „Po odebranym piérwszym liście z Londynu, doszedł mię jeszcze ostatni list z Paryża na samym wyjeździe od JX. Strzeckiego pisany, którego kopiję mam honor prezentować JW. Panu Dobr. Między wiadomościami matematycznemi, ta która jest opisana N. 1, ściąga się do obserwacyj naszych, i obserwatoryum naszemu czyni honor. Sposoby weryfikowania *Micrometri Obiectivi* dotychczas były trudne, nienaturalne, i należytéj precyzyi niemające. *A'force d'observer* mnie się zdarzyło odkryć tak łatwy, tak naturalny i tak doskonały w téj mierze sposób, że się sam zdziwiłem, jak on odemnie piérwszego mógł być postrzeżony. O tém to *inventum* powiada JX. Strzecki, że sławny *l'abbé* Fontana był za piérwszego autora miany; ale się potém pokazało, że on wpadł na to, co już pierwiéj było od nas odkryto, jako same obserwacye przez JX. Strzeckiego akademi prezentowane przyświadczają."

Tak tedy liczne zasługi Poczobuta w tym czasie, nadawały mu niejako prawo podawania czasami rad i przestrog w przyszłéj i gotującéj się już reformie obu szkół głównych. Jednakże oddany swojemu dotąd jedynie za-

wodowi obserwatora, z rzadkiém i godném naśladowania zamiłowaniem, niemyślał, niemarzył ciągle jak tylko o niém, o jego trwałém urządzeniu i dostatecznem uposażeniu. Wkrótce też nadarzyła mu się zręczność nietylko radzenia w téj materyi, ale nawet wołania o to do komissyi edukacyjnéj. Pokazuje się że jeszcze w tym roku 1778, tkwiła już myśl w światlejszych głowach mężów wpływających do rządu Polski, wymierzenia geometrycznego całéj powierzchni kraju i zrobienia dokładnéj jego mapy, zaczynając przedewszystkiém od ściślejszego oznaczenia położeń geograficznych każdego znaczniejszego miejsca:— myśl wskrzeszona później przez Tadeusza Czackiego, a rozwinięta w planie już wyrozumowanym roku 1790 przez Jana Śniadeckiego. Wiedział dobrze o tych zamiarach Poczobut tak z korespondencyi Chreptowicza, jako i z doniesień x. Strzeckiego bawiącego wówczas w Warszawie: wniósł zatém, że chcąc tak wielkie projekta przyprowadzić do skutku trzeba było wprzódy ukształcić do tego ludzi zdolnych, a zatém uorganizować zupełniéj niż dotąd szkołę astronomiczną. Mocno się jednak zatrwożył, gdy doszło do jego wiadomości, że komissya przy nowém przekształceniu akademii Wileńskiéj, małe bardzo opatrzenie chciała naznaczyć pracownikom w obserwatoryum. Żywy z przyrodzenia, żywo też wziął te rzeczy do serca, i taki list w tym przedmiocie napisał do Podkanclerzego. Przytaczamy go i dla tego że ma związek z podobnym zamiarem i planem Jana Śniadeckiego, którysmy w żywocie jego umieścili (str. 189).—„..... Mam też okazyę, (pisze Poczobut), wezwać dobrotliwéj jego protekcyi i pomocy w interesach astronomicznych, w których pomyślnym sukcessie tę jedynie dla siebie zakładam korzyść, żebym z prac naszych a z kosztów prześwietnéj komissyi, niezawodny

dla kraju pożytek zabezpieczył. Idzie, Monseigneur, o należytą dotacyę *Collegii Astronomici.* Ta jeśli ma dopilnować, zwyczajnych robot *in observatorio*, i zająć się exekucyą projektu geograficznego, to jest czynieniem różnych po kraju obserwacyj dla determinowania miejsc, oraz dyrekcyą i weryfikacyą wymiarow geometrycznych, niemoże się składać z mniejszéj liczby astronomow jak sześciu. Jeden z nich musi być statecznie *in observatorio*, czterech albo trzech najmniéj potrzeba będzie do stacyj owych, które między różnemi miastami obierane będą, i na których obserwacye astronomiczne czynione być muszą, gdy tym czasem jeden z zegarkiem *Longitudinum* od stacyi do stacyi jeździć i dyfferencyę merydyanów determinować będzie. Dyrekcya też i werefikacya operacyj geometrycznych najmniéj jednego potrzebować będzie. Mniéj użyć osób, byłoby to przeciągnąć robotę *in infinitum*, a powiększyć expens bardzo znacznie. Po dwa tysiące kładąc na osobę, już na same pensye sześciu osób, trzebaby najmniéj dwunastu tysięcy, prócz pewnéj jakiéj intraty na ustawiczne *in observatorio* wydatki. Lecz jako żadnego z astronomów mieć niemożna za mniéj nad dwa tysiące, bo każdy z nich porzuciwszy obserwatoryum obrałby chléb szkolny, tak xdza kolegę mojego i mnie do równéj z innemi redukować pensyi, byłoby do ostatniéj pędzić nas rozpaczy. Zatém krótko mówiąc, a kładąc dla dwu piérwszych astronomów przynajmniéj tę pensyę, która się dotychczas nam płaciła, nie *arbitrarie*, ale za wiedzą komissyi: na same dla *Collegium Astronomicum* pensye mniéj kłaść niemożna nad szesnaście tysięcy, prócz opatrzenia niechybnych potrzeb *observatorii*, na które wyznaczyćby coś należało, tak jako się wyznacza *pro sartis tectis* szkół i kolegijów. Niewspominam ani łączę tu pensyi dla professo-

ra fizyki i intraty na gabinet fizyczny. Ten artykuł do obserwatoryum i *collegium astronomicum* zgoła nienależący, osobnych prześwietnéj komissyi czeka względów; a sama dotacya *Collegii astronomici et observatorii* żeby była dostateczna, zda się wyciągać najmniéj ośmnastu tysięcy. Czuję się być niezmiernie umartwionym, że o tę dotacyę muszę się przykrzyć i narażać prześwietnéj komissyi. Ale byłbym nierozsądnym, zawodnym i złym człowiekiem, a komissyi i krajowi uczyniłbym pewną przez zawód krzywdę, gdybym niemając *in observatorio* zdolnych i potrzebnych do roboty ludzi, porwał się do exekucyi tak wielkiego i ciężkiego projektu, jaki jest projekt geograficzny. Niech x. kolega mój opowie J. W. Panu Dobrodziejowi i prześwietnéj komissyi, wielu we Francyi użyto astronomów, geografów, geometrów i inżynierów dla zrobienia należytéj mapy królestwa, koło któréj od ośmdziesiąt lat z górą do dnia dzisiejszego pracują? wiele na to łożono? Może on to dokładnie opowiedzieć, bo zasięgnął o tém dokładnéj wiadomości, jako mi sam z Paryża pisał. Ja ani téj gromady ludzi, ani tych summ, ani tak długiego czasu niezakładam; ale też bez ludzi i kosztów niechybnie potrzebnych robić nic niemogę. Wielka to robota, Monseigneur: trzeba do niéj ludzi zdolnych i wcześnie *in observatorio* wyexercytowanych; a tych bez należytéj pensyi mieć niemożna. Wielka mówię robota, o któréj im więcéj myślę, tém się bardziéj przestraszam, i tak się prawdziwie przestraszam, że bez téj dotacyi *Collegii astronomici*, o którą z x. kolegą moim prześwietnéj komissyi najpokorniéj i najusilniéj suplikuję, natychmiast zrzec się tego projektu i od wszystkiego umknąć się jestem postanowiony. Niechcę, Monseigneur, prześwietnéj komissyi i ojczyzny zawodzić, niechcę na pewną awanturę i siebie

i kolegów exponować, niechcę oczyma świecić przed całą Europą, któréj to samo nawet do zadziwienia będzie, że na tak wielką robotę, tak małéj rzeczy dopraszam się. Daruj mi, Monseigneur, że w téj rzetelności i prostocie, do któréj przez wiek mój przywykłem, a w téj poufałości, do któréj dobroć i łaskawość J. W. Pana Dobr. dała mi prawo, prawdziwy mój otwieram sentyment, i to co myślę szczerze wypisuję".—Takie utyskiwania zatrwożonego nadto wcześnie Poczobuta, o los astronomii i astronomów w akademii Wileńskiéj, uspokojone zostały najprzód tém: że projekt rozmiaru i mapy kraju Polskiego odłożony został na późniéj, jako może zbyt wczesny kiedy jeszcze tak mało było sposobności do tego; powtóre, dostatecznem jak na owe czasy opatrzeniem przy następującéj wnet reformie wszystkich professorów tak Krakowskich jak Wileńskich, a w ich liczbie obserwatorów i professorów astronomii. Nie tu jednak był koniec kłopotów i umartwień frasobliwego Poczobuta. W samym początku następnego 1779 roku, komissya edukacyjna mianowała xiędza Chevalier znanego dobrze w Warszawie ex-Jezuitę, rektorem akademii Wileńskiéj po xiędzu Żabie prałacie dziekanie Smoleńskim. Wybór ten był tak niespodzianym, że wszystkich w Wilnie w zadziwienie wprawił. Spowodowały go zaś różne przyczyny. Bezwątpienia z całego składu akademii, ze wszystkich ówczesnych uczonych w całém Wilnie, Poczobut miał największe prawo do tego urzędu. Obszerna jego nauka, imie i prace znane w Europie, powaga nabyta wszędzie, zasługi położone w kraju przez głośne za granicą ufundowanie obserwatoryum, mówiły za nim zwycięzko. Ale komissya uważając, a może i znając go dotąd jeszcze jako człowieka specyalnego tylko, niesądziła że w nim znajdzie dosyć rękojmi do wykonania w całéj roz-

ciągłości przedsięwziętéj reformy, zwłaszcza że wiedziała o jego charakterze niepodległym; a może się i bała niektórych jego uprzedzeń z przeszłego stanu zakonnego pozostałych. Wreszcie i sam prezydujący w komissyi biskup Massalski nienależał wcale do przyjaźnych jemu zwierzchników. Słowem, dla któregokolwiek z wyliczonych tu powodów, albo i dla wszystkich razem, a może głównie dla nieżyczliwego wpływu Massalskiego, ominiono na ten raz Poczobuta, a xiądz Chevalier, jako dobrze komissyi, podług wyrażenia się samegoż jéj sekretarza x. Piramowicza (1), znajomy z gruntownego rozsądku, z obszernych wiadomości, i z gorliwości o dobro edukacyi, został zrobiony rektorem. Kiedy wiadomość o téj niespodzianéj nominacyi przyszła do Wilna, cała akademija, wszystka publiczność była w zadumieniu. Nikt niepojmował dla czego tak się stało, bo każdy w jednym tylko Poczobucie widział naturalnego i najwłaściwszego rektora. Ale akademijà przecięż równie w Litwie, jak i w jéj stolicy, wszystkich mocno zajmowała, każdy w niéj wypadek, każda odmiana, każda nawet o niéj pogłoska żywo obchodziły szlachtę, duchownych i obywateli miasta. Znał się do tego nasz Poczobut, i uczuł też dotkliwie, kiedy poczta Warszawska przyniosła taką nowinę do Wilna. Naprożno Chreptowicz usiłował go pocieszać najczulszemi listami z Warszawy, że nominacya Chevalier'a wypadła z takiego obrótu rzeczy, którego inaczéj skierować niepodobna było, że koléj rektorstwa musi teraz już niezawodnie przypaść na Poczobuta, i że wreszcie dostojność którą zaszczycony został tak wielki przyjaciel jego, jakim jest xiądz Chevalier, po-

(1) W mowie, w dzień rocznicy otwarcia Towarzystwa do xiąg elementarnych, na sessyi dnia 8 marca 1779 mianéj.

winna go raczéj uradować niż obrazić. Poczobut czuł to wszystko i uważał wcale inaczéj: niezazdrościł on powodzeniu przyjaciela, ale wyznawał otwarcie, że niebędąc pozbawionym do stopnia zupełnéj abnegacyi, właściwéj ludziom miłości własnéj, niemógł obojętnie patrzeć na to, razem z całą publicznością, jak nauka, praca i zasługi na nic się niezdadzą, gdy intryga nurtując pokryjomu przeważa je oczywiście! Żale te jednak najpiérwszego męża z nauk w akademii Wileńskiéj i w Litwie, pochodziły raczéj z żywości jego uczuć, a niżeli z obrażonéj dumy, bardziéj z upragnienia do coraz czynniejszego życia, do działania na większą skalę w celu dobra publicznego, nakoniec do coraz większego podniesienia ulubionego sobie przedmiotu, astronomii, jak z chciwości dostojeństw i władzy.

Taki był piérwszy okres życia i publicznego zawodu Marcina Poczobuta, taki szereg trosk i życzeń jego.

PRZYPISEK.

Nim podamy dalszy ciąg i resztę rysów żywota zasłużonego Poczobuta, sądzimy, że pożądaną będzie dla czytelników naszych wiadomość o mężu, z którym los Poczobuta i akademii Wileńskiéj tak ściśle był złączony. Joachim Chreptowicz już w późnéj starości ułożył był dla wiadomości synów swoich Adama i Irenego: ***Pamiętnik rodu Littawarów-Chreptowiczów od początku jak wiadomość zasięga do roku 1795.*** W tém piśmie następnie rys własnego swego życia skréślił:

JOACHIM CHREPTOWICZ,

Syn Marcyana, zmarłego 1766 kwietnia 17 i Reginy Wojnianki zmarłéj 1763 w sierpniu, urodził się r. 1729 d. 4 stycznia w Jasieńcu, w domu babki Teofili z De-Raessów wprzód Wojniny podczaszynéj Nowogrodzkiéj, podówczas

Niesiołowskiéj kasztelanowéj Smoleńskiéj, i w tymże domu babki przez piérwsze dziecinne lata był wychowany. Początki grammatyki Łacińskiéj brał w domu rodziców w Szczorsach, pod dyrektorem (jak podówczas nazywano) xiędzem Adamem Chmielowskim. Z tymże dyrektorem do akademii Wileńskiéj wysłany, tam przez lat dwie pod professorami Jezuickimi Korytyńskim i Wyrwiczem brał nauki tejże grammatyki. Z Wilna posłany do Brunsberga w armii, przez lat trzy niewyjeżdżając, kończył nauki poetyki i retoryki w Brunsbergu, miał z sobą tegoż dyrektora xiędza Chmielowskiego. Powróciwszy z Brunsberga, rok jeden słuchał jeszcze retoryki w Nieświéżu, drugi logiki w Wilnie. Po skończonych naukach zaciągniony do wojska Litewskiego pod znakiem usarskim królewica Xawerego. W roku 1753 był deputatem na trybunał z Bułharynem z powiatu Grodzieńskiego, pod laską Ignacego Łaniewskiego łowczego Litewskiego. Za postąpieniem w roku 1752 stryja swego Jana Chreptowicza na kasztelaniję Brzeską, wziął po nim urząd stolnika Nowogródzkiego, i w tym urzędzie prezydował sejmikom Nowogródzkim: bo ziemstwa wyższego niebyło w Nowogródku, dla zrywania sejmików per liberum veto. W roku 1754 był posłem z Nowogródka na sejm ordynaryjny w Warszawie z Karolem xiążęciem Radziwiłłem podówczas miecznikiem Litewskim. W roku 1756 był posłem obrany z Staroduba z Bułharynem regentem skarbowym Litewskim, na sejm ordynaryjny w Warszawie, który się niezaczął dla nieobecności króla Augusta III, zatrzymanego wojną w Saxonii. W roku 1758 był posłem z Nowogródka na sejm Warszawski z xięciem Michałem Radziwiłłem podówczas krajczycem Litewskim dzisiejszym wojewodą Wileńskim. Został półkownikiem znaku petyhorskiego buławy wielkiéj w wojsku Litewskim.

Po śmierci Augusta III, roku 1764 w konfederacyi Litewskiéj był marszałkiem województwa Nowogródzkiego. W tymże roku był posłem z Grodna z Antonim Tyzenhauzem podówczas podstarostą Grodzieńskim na sejm konwokacyjny pod laską xięcia Adama Czartoryskiego. Podczas elekcyi Stanisława-Augusta prezydował jak przytomnemu w Warszawie województwu Nowogródzkiemu; był posłem od wojska do stanów Rzpltéj, sprawował to poselstwo w szopie elektoralnéj; odpowiadał mu xiążę prymas Łubieński. Podczas sejmu koronacyi Stanisława-Augusta został sekretarzem w. w. x. Lit. W r. 1765 został marszałkiem trybunału głównego Litewskiego. W r. 1766 był na sejm Warszawski z Nowogródka z Kazimierzem Korsakiem pisarzem ziemskim Nowogródzkim posłem i deputatem do konstytucyi. W tym roku dnia 22 decembra ożenił się z Konstancyą Przeździecką, Antoniego Przeździeckiego podkanclerzego Litewskiego i Katarzyny Ogińskiéj wojewodzianki Trockiéj córką.

Po tym sejmie konfederacye Słucka, Toruńska, Radomska, sejm 1768, po nim konfederacya Barska; przez te wszystkie czasy niewchodził w żadne funkcye publiczne.

Dla poratowania zdrowia, w roku 1770, wyjechał do cudzych krajów, przez Gdańsk, Berlin, Lipsk, Frankfurt, Strasburg do Paryża; ztamtąd do Londynu, do Hollandyi, potém do Spaa, przez Koloniję, Frankfurt, Norymbergę, Ratysbonę do Wiednia; z Wiednia przez Pragę, Drezno, Berlin, Gdańsk, powrócił do Warszawy.

Na zaczynającym się sejmie roku 1773 wziął pieczęć mniejszą Litewską po Antonim Przeździeckim teściu swoim wakującą. Oddawał mu ją król z tronu po złączeniu izby poselskiéj z senatem. Został potém starostą grodowym Orszańskim. Przy ustanowieniu na tymże sejmie komisyi edukacyjnéj po skasowaniu zakonu Jezuickiego, został

nominowany między komissarzami, i pracował w tém zgromadzeniu do roku 1792, mając sobie poruczony departament akademii i szkół Litewskich.

Od roku 1773 do roku 1793 pracował w obowiązkach urzędowych, już to prezydując sądom assessorskim, już to zasiadając przez lat dwie w radzie nieustającéj w departamencie zagranicznym, już to sprawując urząd pieczętarski na sejmach. Roku 1791, kiedy przez konstytucyę dnia 3 maja rada titulo Straż do boku królewskiego była ustanowiona, zasiadł w téj straży, sprawując interesa zagraniczne, i miał na to fundusz ze skarbu Rzpltéj naznaczony. Po ustałéj straży, za dyspozycyą konfederacyi Targowickiéj zdał i kancelaryę zagraniczną i fundusz Małachowskiemu kanclerzowi koronnemu; a rachunek z funduszu zagranicznego podany jest w Grodnie na sejmie 1793 w jego nieprzytomności, i kwitancya jemu dana znajduje się w aktach tego sejmu. Przed tym sejmem Grodzieńskim, złożywszy pieczęć w ręku królewskich, wyjechał dla potrzeby zdrowia do Karlsbatu, dokąd jadąc wziął z sobą z Drezna młódszego syna Irenego; od wód Karlsbackich, udał się przez Bawaryę, Tyrol, Weronę, Bennoniję, Florencyę, Liwornę do Rzymu, potém do Neapolu. Za powrótem do Rzymu, odebrawszy wiadomość o nowych rozruchach w Polsce, wyjechał do Wiednia. Po skończeniu tych rozruchów po rozdzieleniu ojczyzny między trzy sąsiedzkie potencye, powróciwszy do Litwy, znalazł dobra Szczorse i Wiszniew przez wojsko Rossyjskie zrujnowane, zrabowane i w sekwestr Rossyjski wzięte, a na dobra Białoruskie, Chołopienicze, Ziembin, Biesieńkowicze konfiskatę publikowaną. Otrzymawszy uchylenie z sekwestru i konfiskaty, też dobra prawem donacyjném oddał do działu między synów swoich Adama i

Irenego i długi do spłacenia im przekazawszy, też dobra w posesyę im ustąpił.

Co do dóbr, najprzód objął Joachim Chreptowicz prawem nabycia od ostatniego sukcessora Antoniego Chreptowicza, za ustąpieniem przez Karola Chreptowicza dzisiejszego starostę Grodzieńskiego, majętność Krasnybór w powiecie Grodzieńskim, którą oddał w posagu córce swojéj Ewie z Chreptowiczów Brzostowskiéj. Po zejściu ojca swego Marcyana objął Szczorse, w tych częściach, które Marcyan ojciec i Jan stryj jego trzymali w Nowogródzkiém, Pyszno w Połockiém, Poporcie i Kościuszyszki w Trockiém, Ziembin w Mińskiém województwach; Chołopienicze w trzech częściach dziedziczne w czwartéj zastawne; Wesołów w Orszańskim, Kotwieliszki w Oszmiańskim powiatach; kamienice w Wilnie. Z tych dóbr objętych, Pyszno, Poporcie, Kościuszyszki, Kotwieliszki, kamienice w Wilnie przedał. Po zejściu siostry Karolowéj Chreptowiczowéj, objął dobra które jéj były darowane od ojca, Ponedel i Wysoki dwór w powiecie Wiłkomirskim, i te także przedał. Za prawem darownem od Zofii z Chreptowiczów Sawaniewskiéj, ostatniéj z linii Teodora Chreptowicza podskarbiego w. L., objął majętność Wiszniew w powiecie Oszmiańskim. Za prawem także darownem od Michała Ogińskiego hetmana w. x. L. objął dobra Biesieńkowicze nad Dźwiną w województwie Połockiém, część która była w Polsce dziedzictwem, a część która była w kordonie Rossyjskim pod konfiskatą z innemi dobrami Ogińskiego podpadłą w summie Platerowskiéj na nich będącéj. Objął w summie zastawnéj, wlanéj sobie od Karola Chreptowicza starosty Grodzieńskiego, dobra xiążąt Radziwiłłów Głębokie w powiecie Oszmiańskim. Znosząc szachownice, których było bardzo wiele w grun-

tach i wsiach Szczorsowskich, uwolnił z pod zastawy część Szczors Ostafiejewszczyzna zwaną. Przykupił Kolczyce trzecią część Ostuchowa, Kułów, ludzi Bazyljańskich we wsi Bołotcu z gruntami, i przez te kupna całe Szczorse w jedno zebrał i od szachownic oczyścił. Dał summę xiążętom Radziwiłłom na zastaw Niehniewicz przyległych do Szczors. Kupił majętność Słowieńsk z attynencyami przyległą do Wiszniewa w połowie dziedzictwem, a w połowie prawem zastawném. Po zgaszonym zakonie Jezuitów kupił przyległe do Chołopienicz dobra Poczujewicze w województwie Połockiém, Hryckiewicze i Nizyce w powiecie Orszańskim. Kupił domy xięży Teatynów w Warszawie spłaceniem z nich summy Genueńczykom i innych długów Teatyńskich. Kupił starostwa Zyczyn i Brzeziny w ziemi Stężyckiéj, od xiążąt de Nassau Siegen. W czasie swojéj possesyi wymurował w Szczorsach dom obszerny z oficynami i innemi mieszkania wygodami; wymurował cerkiew' na miejscu zgorzałéj w roku 1758 dnia 22 maja. Założył w Wiszniewie kuźnice wielkie żelazne i hamernię miedzianą.

ADAM CHREPTOWICZ.

Kawaler orderu ś-go Stanisława rodził się w Szczorsach, roku 1768 dnia 19 marca.

EWA CHREPTOWICZÓWNA.

Rodziła się w Warszawie roku 1769 maja 9, poszła za Michała Brzostowskiego starostę Mińskiego, Bystrzyckiego, Orszańskiego, kawalera orderów Orła białego i świętego Stanisława.

ALEXANDER CHREPTOWICZ.

Rodził się w Warszawie roku 1772 januaryi 8 dnia. Po skończonych naukach w akademii Wileńskiéj, umarł w War-

szawie roku 1786 marca 27. Pogrzebiony na cmentarzu kościoła Panny Maryi.

IGNACY CHREPTOWICZ.

Rodził się w Warszawie roku 1773 junii 12. Po skończonych naukach w Akademii Wileńskiéj, jeździł z bratem starszym Adamem dla widzenia akademii w Göttingen, dobywania kruszców w Hartzu, ztamtąd do Hamburga, i z Lubeki morzem do Kopenhagi. Umarł w Grodnie roku 1793 maja dnia 11-go; pochowany w Grodnie u Bernardynów.

IRENE CHREPTOWICZ.

Kawaler Maltański, rodził się w Warszawie roku 1775 dnia 19 februaryi.

JAN CHODŹKO (:Jan ze Swistoczy:)

JAN CHODŹKO.

OBRAZEK ŻYCIORYSOWY,

PRZEZ

DOMINIKA C. CHODZKĘ.

Od dawnaby należało uczcić wspomnieniem życiorysowém pamięć takiego człowieka, jakim był ś. p. Jan Chodźko, znany pod imieniem autora ***Pism Pana Jana ze Świsłoczy.*** Nieraz tu i ówdzie słyszeć się mi zdarzyło życzenie powzięcia takich wiadomości, nieraz brałem w tym celu pióro do rąk, lecz zawsze je odkładałem, bom także słyszał, że znane chlubnie w piśmiennictwie naszém osoby tą szacowną zamują się pracą. Ale gdy teraz już kilka lat ubiegło a cichość pod tym względem zupełna, niewielką i nadal zaszczenia żądanych chęci rokuje nadzieję, postanowiłem nareszcie, w miarę możności mojéj, oddać hołd należny zasługom i pracom zacnego obywatela i pisarza. Znałem go z lat moich dziecinnych, byłem z nim potém w częstych blizkich, pokrewnych stosunkach. To więc o nim wiernie opowiem, co mi jest z życia jego znajome.

Pisemko moje niebędzie ani nekrologiem, ani dokładnym, zupełnym życiorysem. Będzie to tylko proste, tymczasowe, lecz rzetelne wspomnienie. Będzie to tylko ***obrazek życiorysowy***, jakem to na początku pisania mego zapowiedział.

Jan Chodźko urodził się w roku 1777 dnia 24 czerwca, z rodziców dostatnich, w dzisiejszéj gubernii, dawniejszém województwie Mińskiém, powiecie Wilejskim, w majątku Krzywiczach. Pierwiastowe wychowanie odebrał w domu pod dozorem umiejętnych i sumiennych nauczycieli. W samym młodocianym dni swoich rozwoju, niepospolite do nauk okazywał zdolności; dalsze nauki odbył w szkołach publicznych Wileńskich. Ale krótko mu przeznaczono iść torem własnego naukowego kształcenia się: ledwie bowiem dożył lat siedemnastu, już stracił ojca i cały ciężar zarządu domowego na młode jego spadł barki. Sprawy rodzinne wymagały po nim stałego i czynnego kierownika, on zaś według prawa był jeszcze nieletnim. Na sejmie tedy Grodzieńskim r. 1794 król Stanisław-August skutkiem podanéj sobie prośby, wchodząc dobrowolnie w potrzeby pozbawionéj opiekuna rodziny, uznał go pełnoletnim. Odtąd Jan troskliwie domowym zaradzając potrzebom, służył też razem czynnie obywatelstwu, które na różne wzywało go urzędy, był po kolei sędzią, podkomorzym, nareszcie prezesem sądu głównego izby cywilnéj Mińskiéj. Zasługi jego publiczne najżywszym jaśniały blaskiem w czasach, kiedy światły i możny obywatel, Kazimiérz Sulistrowski mianowany został od tronu gubernatorem Mińskim, Dom Chodźki w Mińsku, dziś własność Wańkowiczów, przy ulicy Dominikańskiéj, stał się wtedy niejakiémś ożywczém dla każdego ogniskiem, do którego zbiegały się tłumnie wszelkiego stanu osoby, potrzebujące rady w zawilszych sprawach lub polubownego stanowczego szukające pośrednictwa; sieroty przytém zawsze w nim łatwą znajdowały pociechę, ubóztwo wsparcie. Dom ten naówczas odznaczał się prócz tego, szczególniejszą, staroświecką, miłą, serdeczną uprzejmością. Starsi wiekiem obywatele, dotąd wdzię-

cznie wspominają zwykle tam przebywane wtorki, wyznaczone na przyjmowanie liczniejszych gości, lubiony i szacowany powszechnie, w młodym wieku zawarł związki małżeńskie z Klarą Korsakówną, córką zamożnych obywateli, dziewicą niepospolitemi słynącą powabami. Bóg koleją czasu liczném go ubłogosławił potomstwem, oraz wzrostem ziemnego majątku. Nabył rozległe, niedalekie od Krzywicz dobra *Parafijanów* zwane; lecz swobodne od prac urzędowych chwile, często w dziedzicznych przebywał *Krzywiczach*. Tam pokrzepiał duszę, w pięknym, śród miasteczka, murowanym kościele, wtedy do oo. Trynitarzy należącym, mającym prócz wielu dobrego pęzla obrazów, przy wielkim ołtarzu posąg Zbawiciela, zupełnie taki jak na Antokolu w Wilnie i z nim razem niegdyś z Włoch przywieziony. Tam oświecał umysł i naukową rozpostrzeniał wiedzę, czerpiąc ze znacznego, kilka tysięcy tomów zawierającego xięgozbioru, który był zebrał a poźniéj przy zejściu na użytek ogólny rodzinie Chodźków ostatnią wolą swą przekazał ś. p. Ignacy Chodźko, Jezuita, rektor kollegijum w *Żodziszkach*, tłómacz wierszem miarowym Fedra na język Polski, a prozą na Francuzki. Tam nareszcie błogie spędzał godziny, obok małżonki i dziatek, okolony zawsze prawie krewnymi i sąsiadami, w obszernéj Krzywickiéj sali, mającéj okna wychodzące na kwiecisty ogród, zdobnéj portretami monarchów i celniejszych bohaterów kraju, rozlegały się nieraz gwary wesołe hożéj dziatwy, lub toczyły się zajmujące starszych osób rozmowy, krórych zawsze ś. p. Jan głównym był przywodźcą i duszą, a stół ogromny, podłużny, osiadali najczęściéj sami tylko mnodzy jego pokrewni! Wszystko zaiste ulega zmianom na téj ziemi; ale któżby wtedy i pomyśleć mógł nawet, że wkrótce ten rozkoszny obraz

rodziny całkowicie do niepoznania zgaśnie, że gwary ucichną, sala opustoszała wraz z majątkiem w obce odpadnie ręce, a dziatwa podrosła, jedna wstąpi wcześnie do grobu, inna jak liść jesienny wichrem, rozmiecioną zostanie po różnych stronach świata! Tak jednakże z czasem się stało.

Ukończywszy służbę obywatelską chwalebnie, nagrodzony od monarchy orderami: ś. Anny 2-go i ś. Włodzimierza 4-go stopnia, z Mińska przeniósł się do Wilna, jako główny prokurator massy dóbr po-Radziwiłłowskich, należących wtedy do nieletniéj xiężniczki Stefanii Radziwiłłówny, córki xięcia Dominika, poźniéj małżonki xięcia Ludwika Wittgensteina. Tu mu obszerne do rozmaitych działań dla dobra powszechnego otworzyło się pole. Tkliwego i litośnego serca, chętnie przyjął wezwanie jeszcze od samego początku zawiązania się dwóch towarzystw domów dobroczynności w Mińsku i Wilnie: tu osiadłszy najczynniejszym wprędce stał się członkiem i prezesem wydziału. Wielu jeszcze pamięta, wreszcie świadectwa pozostałe w piśmie peryodycznem, przez lat kilka wydawaném pod napisem ***Dzieje dobroczynności*** w ***Wilnie***, dalszéj pamięci to przekażą, ile Jan Chodźko ciągle się trudził i bezustannie przemyśliwał, aby skarbona ubogich obficie uposażaną była a przez to dostarczała bezustannych zasobów wspierania nędzy i przynoszenia ulgi cierpiącym niedostatek. Ileż to za jego wpływem odegrano koncertów publicznych przez różnych artystów i amatorów na dochód ubogich! ileż pełnych smaku i wyborowych przedstawiono na teatrze w tymże celu widowisk!... Sam wielki lubownik i niepospolity znawca teatru, występował wraz z innymi ze znamienitszego obywatelstwa złożonymi amatorami na scenę, a zachwycona grą wzorową publiczność,

niezmiernemi z zapałem zbiegała się tłumami (1). Na posiedzeniach publicznych towarzystwa często brzmiał głos jego wymówny w treściwych i pięknych mowach. Z tych niektóre wydrukowano we wspomnionych wyżéj *Dziejach*.

(1) Sławna artystka Warszawska Ledóchowska, oraz słynni z tegoż miasta artyści W. Bogusławski i Werowski (którego Jan Chodźko sam był zawiózł do Warszawy i teatrowi zalecił), przybywający wtedy dosyć często do Wilna, jako pożądani goście, nieraz za wpływem jego na korzyść domu dobroczynności grywali. Ale najwięcéj rozwijał wrodzone to swoje do teatru upodobanie w miasteczku Zaborzu, w powiecie Dziśnieńskim. Właściciel naówczas tego miasteczka, marszałek Bujnicki, krewny znanego wydawcy *Rubona* i autora pism wielu, lubiący towarzyskie zabawy, w jesień na tygodni kilka, spraszał liczne obywatelstwo, z którego grona najcelniejsze osoby utworzyły towarzystwo amatorskie dramatyczne, a duszą jego i najgorliwszym a najzdolniejszym przewodnikiem zwykle bywał Jan Chodźko. Najczęściéj wystąpował w rolach tragicznych; między innemi Kmitę w tragedyi *Barbara Radziwiłłówna* A. Felińskiego i Alwaresa w *Alzyrze* Woltera, przekładu L. Osińskiego, tak przedstawiał, że najsurowszy krytyk niby grze jego przewybornéj zarzucić niebył w stanie. Nietylko najsłynniejsze dramata i tragedye, oraz wyborowe komedye, przedziwnie odegrywano na teatrze Zaborskim, lecz opery nawet *Saljerego*, *Mocarta*, *Bualdje* (Boildieu), *Mehiula* i wielu innych owocześnych wysławianych mistrzów, dokładnie wykonywano: niebrakło bowiem i dobrych obojéj płci śpiewaków i odpowiednéj przedmiotowi orkiestry, należącéj do znawcy muzyki, pięknym obdarzonego głosem ś. p. marszałka Serafina *Roszkowskiego*. Niektóre wspomnienia oltym teatrze i Zaborzu, były umieszczone w *Wizerunkach naukowych*. Warto, aby którykolwiek z obywateli starszych, bliższy i świadomy zabaw Zaborskich świadek, dokładniejszą spisał o nich wiadomość. W Mińsku, prócz tego, Jan Chodźkoznacznie był zasilił, bo kilku tysiącami rubli srebrem, dom tameczny dobroczynności, odegrywając tam z amatorami, różne celniejsze utwory sceniczne, za co mu wtedy prezes towarzystwa Mińskiego dobroczynności x. biskup *Dederko* publiczne oświadczył dzięki.

Obok miłosiernego serca, obdarzył go Bóg umysłem pojętnym i wzniosłym, który on w miarę swojéj możności, czytaniem, nauką i obcowaniem z uczonymi ludźmi wykształcał. Uniwersytet Wileński, widząc w nim tak światłego i użytecznego obywatela, policzył go w poczet honorowych swych członków, poźniéj zaś mianował głównym szkół wizytatorem. Jak ważnego tego dopełnił poruczenia, ztąd łatwo wnieść można, że wizyty jego wraz z wizytami Józefa Twardowskiego, (poźniéj rektora uniwersytetu) zdaniem powszechném, za najlepsze i wzorowe uznano.

Usunąwszy się od prokuratoryi Radziwiłłowskiéj, zatrudniał się jeszcze czas jakiś w Wilnie dla pożytku innych, gdy wtém chmura niedoli widnokrąg życia jego, dotąd stale prawie pogodny, niespodziewanie zasępiła, a wypadły z niéj piorun, wszystkie dalsze jego pogruchotał nadzieje. Odtąd pasmo bolów i tułactwa kilkoletni mu przeciąg dni zabrało, wynikły ztąd nieporządek domu, zachwiał majątkiem, który i bez tego różnemi ubocznemi okolicznościami i zbytniém własném, jego do zaślepienia zaufaniem oraz mniéj obaczną szczodrotą znacznie był już nadwątlony. Wróciwszy do domu, nieznalazł już wszyskich swoich synów, ówczesnym wirem wypadków w obcą zagnanych stronę. Pozostali mu tylko dwaj synowie starsi i dorodna już córka. Tę wkrótce wydał za mąż; najstarszy syn zgasł wcześnie nagłą śmiercią w Wilejce, gdzie był powiatowym sędzią; drugi z kolei, nie często odwiedzać mógł ojca, zajęty służbą inżynierską, liczącą się w orszaku monarszym, nasamprzód w Wołoszech, a potém na Kaukazie. Całe potomstwo ś. p. Jana, prócz zgasłych w niemowlęctwie dziatek, było następne: 1) Władysław, o którego niespodzianym, w pełnéj sile wieku, wspomnie-

liśmy zgonie. 2) Józef, dzisiejszy jenerałmajor, inżynier, kawaler orderu ś. Stanistawa 1-go stopnia i wielu innych, słynny tryangulacyą Kaukazu i wędrówką na górę biblijną Ararat, na któréj szczyt najwyższy, piérwszy po św. Andrzeju, wstąpił, bo uczony Parrot niebył na samym szczycie, jak niektórzy mylnie mniemają, lecz go tylko widział zdaleka. 3) Alexander, znany nasz poeta romantyczny, tłómacz poezyj ludowych Nowogreckich, przez czas długi mieszkaniec Persyi, liczący się obecnie między znamienitszymi oryentalistami w. Europie. 4) Felix, 5) Michał; oba znajomi za granicą z wynalazków swych mechanicznych. 6) Stanisław, znamienicie uczony chemik, professor téj ważnéj nauki we Fryburgu, rozgłośny w tych czasach wynalazkiem nowego sposobu użyźniania roli (engrais atmosphérique). 7) Córka Zofija, po mężu Naborowska, obywatelka powiatu Mińskiego, teraz już i sierota i wdowa, matka czworga dziatek, pozostałych po zejściu licznie wygasłego w niemowlęctwie potomstwa.

Uległszy opacznym losu zmianom, nieupadł Jan na duchu, rezygnacyą Chrześcijańską wspieranym; ale jako mężny gospodarz, dotknięty pogorzelą, zostawione od płomienia obłamki domu skupia i stara się z nich choć w skromniejszym obrębie, sklecić swéj rodzinie uchronę,—tak i on, zbywszy się dóbr Parafijanowa, w samych tylko dziedzicznych osiadł Krzywiczach. Zamieszkały przy nim: żona, córka jeszcze wtedy niezamężna, i dziewięćdziesiąt kilka lat licząca już sobie matka. Trudno się mi tu wstrzymać, by obszerniéj niewspomnieć o niéj. Była to prawdziwa Staropolska weteranka, poniewolnie uszanowanie wzbudzająca. Wysokiéj, ani trochę niezgiętéj postawy ciała, szlachetnego, pięknego oblicza, łagodnością i dobrocią, serca wszystkich jednała. Syn dla niéj po Bogu był najdroż-

szą istotą. Cierpieniami jego spólnie bolejąc, tyle nieboga łez wylała, iż niestępione wiekiem wypłakała oczy! Odtąd wieczystą otoczona pomroką, w tém tylko całą życia znajdowała osłodę, iż syna już miała wróconego. Rzewny to był i szczególny widok, gdy ją wtaczano w wielkiém poręczastém krześle na kółkach do pokojów bawialnych. Przybyłych krewnych lub znajomych, po kilku nawet leciech ich niebytności, nieraz po głosie rozpoznawała, a w rozmowie z nimi, pewnym i mocnym głosem, zawsze pogodna, dziwnie uprzejma, nigdy najdrobniejszéj skargi, najmniejszego utysku na zmienną dolę nie wyrzekła. Tkliwy, wdzięczny syn, najpieszczotliwszą osłaniał ją miłością swoją i opieką; a gdy naostatek Bóg ją do siebie przyzwał, własną ręką na sen śmiertelny, martwe jéj powieki zasunął.

Po zejściu matki, wezwany urzędownie, jeszcze chciał być pomocny innym; lecz gdy zamiar skutku niedoszedł, wrócił ze Słuczczyzny do domu i zarządem własnego gospodarstwa czynnie się zajął. Wszakże po niejakim czasie, widząc, że pomimo najusilniejszych chęci i starań, majątek ku coraz większemu schyla się upadkowi; oddać go wolał nastręczającemu się nabywcy, byleby się sumiennie co do grosza, rozpłacić z wierzycielami. Ciężary bowiem jeszcze były wielkie, Jan zaś podeszłym już obarczony wiekiem, bez pomocy, bez znajomości i doświadczenia w rolnictwie, przy ciągłym prawie nieurodzaju, a zawsze ślepo ufny, lubo nieraz zwodzony,—postanowił na małém wcale przestać mieniu, aby tylko nieukrzywdzić nikogo. Po wydaniu przeto córki za mąż, wyprzedawszy Krzywicze, osiadł nasamprzód jako dzierżawca, razem z żoną w Janowszczyźnie, w gubernii Mińskiéj. Jest to mały, ze szczupłym domkiem folwark. Traf zrządził, iż w pokoiku

jego, dwa okna wychodziły, jedno na powiat Miński, drugie na Wilejski, jakby dla przypomnienia staruszkowi, iż we dwóch tych stronach, pożytecznie niegdyś dla dobra bliźnich, młode swe przebył lata! Z czystém sercem, z pogodą sumienia, osłoniony w koło szumiącemi brzozowemi gajami, zebrał szczątki swojego xięgozbioru, także podczas jego długiéj nieobecności znacznie nadwerężonego, i gorliwie się oddał pracom piśmiennym, o których, równie jak i o poprzednich, przy końcu tego pisemka rozpowiemy, żeby tutaj niemi rozpoczętego nieprzerywać wątku.

Po śmierci zięcia, Tytusa Naborowskiego, obywatela gubernii Mińskiéj, przeniósł się wraz z żoną do majątku jego Rohowicz o mil kilka od Mińska, żeby być bliżéj młodéj swéj jeszcze, owdowiałéj córki, gdzie prócz zwykłego sobie piśmiennego zajęcia się, nieraz okolony wnuczętami, wpajał w ich młodociane serca, piérwsze pojęcia cnot Chrześcijańskich i z właściwemi wiekowi oswajał i oznajamiał je naukami.

Tak płynął mu czas korzystnie, a lata jego ku coraz głębszéj posuwały się sędziwości. Niezważając atoli na to, czerstwém zawsze cieszący się zdrowiem, gdy go w r. 1851 urzędownie mianowano członkiem komissyi budowniczéj Mińskiéj,— z ochotą młodzianowi odpowiedną, pośpieszył do Mińska, dla objęcia poruczonego sobie urzędu, jakby właśnie chciał koniecznie, na publicznéj zstąpić do grobu zasłudze, rozpocząwszy niegdyś od niéj z młodych lat zawód swego pożytecznego życia. Przyjazd jego do miasta nastąpił w listopadzie, miesiącu ustawicznéj zmianie chłodnego już powietrza uległym. Podczas odwiedzin celniejszych urzędników, zgrzany, zmienił mniéj bacznie cieplejszą zwierzchnią odzież na lżejszą, zkąd nagłego doznawszy przeziębienia, gdy wrócił do swojego mieszka-

nia, natychmiast zaniemógł, i silne, coraz okropniejsze, dręczyć go poczęły cierpienia;—aż nareszcie przeczuwając zbliżający się koniec życia, sam wezwał przyjaźnego sobie kapłana x. Michała Terajewicza, dzisiejszego dziekana i proboszcza na *Złotéj Górce* w Mińsku, z nim pokrzepiał ducha rozmową o wieczności i nieograniczonéj dobroci Bożéj. Ten mu też ostatnich religijnych pociech udzielił. Zalane łzami żonę i córkę słowami z głębi serca płynącemi pokrzepiał i koił. Wzywał wszystkich do spólnéj z sobą modlitwy, znosząc dotkliwe bole z największą cierpliwością. Dnia jednego przyniesiono doń listy z poczty: raz tedy jeszcze zwróciwszy uwagę na świat, prosił córkę, by mu je głośno odczytała; lecz w połowie przerwał czytanie, mówiąc, że myśl jego, gdzieindziéj już skierowaną, i utrudza i plącze. Żegnał wszystkich obecnych i nieobecnych, bliższych sobie, każdego prawie wymieniając po imieniu; uroczyście oświadczał, że wszelkie przykrości, wszelkie doznane krzywdy, całą skruchą duszy swojéj przebacza, sam prosząc o przebaczenie. Błogosławił z przejęciem żonę, córkę, jéj dziatwę, synów, wnuków, zdala będących od śmiertelnego jego łoża, przyjaciół, znajomych, krewnych, i rzewnie płaczącą, a szczerze doń przywiązaną czeladkę domową. Naostatek, podtrzymywany rękami córki, na chwilę nieodstępnéj, szepcąc już mniej wyraźnie drogie Imiona Jezusa i Maryi,— skonał.

Stało się to o południu dnia 10 listopada 1851 roku, w Mińsku, przy Wysokim-Rynku, w domu Kisterów, na przeciwko ich większéj kamienicy. Zwłoki przewiezione do grobów rodziny Naborowskich, pogrzebiono w Zasławiu, na cmentarzu parafijalnym, o mil trzy od miasta. Uszanował pamięć zmarłego piękną mową x. Jan Drawdzik, tak-

że już teraz zgasły, gorliwy i przykładny kapłan, dziekan i proboszcz Radoszkowicki.

Żył Jan Chodźko lat siedemdziesiąt sześć. W rok później (dnia 17 listopada 1852 r.) opadająca coraz znaczniéj na siłach ciała, ale przytomna umysłem, weteranka, żona jego, o pięć lat tylko młódsza, Klara z Korsaków, niespodziewanie tąż drogą za mężem poszła. Wieczorem bowiem, zdrowa, wesoła, bawiła się śród rodziny; a gdy godzina rozejścia się do snu wybiła, wstała z krzesła, uściskała córkę, życząc jéj dobréj nocy, pobłogosławiła wnuki i na spoczynek do swojego pokoju odeszła, gdzie ją nazajutrz już śpiącą snem śmierci znaleziono. Pochowana również w Zasławiu, obok zwłok męża.

Był ś. p. Jan wzrostu miernego, ciemnawy blondyn, twarzy może mniéj pięknéj co do rysów, ale znaczącéj. Oko jego niebieskie, bujne, miało szczególny wyraz dobroci i szlachetności. Charakteru żywego, łatwego, jednostajnością humoru, uprzejmém obcowaniem, płynną nadzwyczaj wymową, ujmował, rzecby nawet bez przesady można, czarował wszystkich. Jakoż żyje dotąd we wdzięcznéj pamięci tych, którzy go zblizka znali. Z młodych lat do utycia skłonny, w podeszłym wieku spadać nieco zaczął na ciele, czerstwość wszakże i siłę bardzo powoli tracił. Może mu do tego pomagała szczególniejsza pogoda umysłowa, którą aż do zgonu zachował, wszelkie przygody, wszelkie bole, gasząc męztwem i Chrześcijańską uległością. Zachęcani słodyczą obejścia, odwiedzali go ciągle przyjaciele i krewni; przyjeżdżał zawsze, jak tylko mógł, choć na krótko, ulubiony syn jego Józef, z nad brzegów Tereku. Odwiedzałem go także niejednokrotnie z żoną moją; widzieliśmy oboje ze smutkiem ślady stopniowego niszczenia na twarzy, jakie czas nieubłagany niczém,

na kochanym starcu naszym piętnował, lecz zmiany humoru, a mianowicie stępienia uczuć serca lub pojęć, nigdyśmy niedostrzegli. Zadumał się wprawdzie niekiedy, z tęskném wspominał westchnieniem o daleko mieszkających synach i wnukach, których już oczy jego nigdy na téj ziemi oglądać niemiały; ale skorom tylko zmienił umyślnie tok rozmowy i ze smutnéj obecności przewiodł go myślą do wspomnień czasów ubiegłych,—natychmiast się rzezko wyprostowywał, wzrok mu zajaśniał, płomień młodzieńczego rumieńca na zwiędłe lica wybuchał, z żywością chodząc po pokoju, płynnie doznane lub słyszane wypadki w życiu swém opowiadał. Jak te chwile były dla nas miłemi, jakiém rozkoszném przejmowały wrażeniem;— pióro moje dostatecznie opisać niejest zdolne; lecz każdy i bez tego łatwo to odgadnie i pojmie, ktokolwiek tylko według słów wielkiego naszego poety, *ma serce i umie patrzać w serce!* W opowiadaniach swoich, nietylko był płynny, malowniczy, wesoły, lecz często i bardzo dowcipny, nigdy jednak dowcipu swego z cudzą szkodą nieużył. Tęż samą zdrowość aż do końca zachował w pismach i listach bez zmiany charakteru ręki. A miał też o czém opowiadać lub pisać, przeżywszy lat wiele śród ważnych wypadków, z najcelniejszemi swego czasu i miejsca osobami, nauką, wychowaniem lub dostojeństwem odznaczonemi. Jędrzej Śniadecki i uczony, przezacny nasz filolog G. E. Grodek, który sam nieraz nazywał siebie *Grodeckim*, byli prócz wielu innych, bliższymi jego przyjaciółmi. Dobroczynność i litość okazował ustawnie, z zupełném na siebie zapomnieniem. Z tąż samą ochotą, z tąż samą gorliwością biegł tam wszędzie, gdzie mniemał, iż może stać się pożytecznym dobru ogólnemu. Za to też był: pozyskał powszechny szacunek, wziętość i życzliwość. Nie-

odżałowanéj nigdy, prawdziwie świętéj pamięci, Kazimierz Brodziński, w jednym z listów swoich powiada:— *Nad wszelką sławę i fortunę ten się wyniósł, kto dobrą chęcią na życzliwość ludzi zarobił. Mądrze to przodkowie nasi z jednego źródła wyprowadzali:* życie i życzliwość, *bo tylko w życzliwości ludzi prawdziwie żyjemy..... Wszystko, co jest wyrachowane na sławę, wrażenie, co z samolubstwa powstało, jest błyskotką, która nic niezostawi po sobie. Sława odosobniona jest niktém zjawiskiem, za którém gonić niewarto: sława każdego zgorzeć powinna w jednem powszechném ognisku.* Otoż tak żył, tak przez całe swe życie postępował, ś. p. Jan Chodźko. Nieraz tak się zdarzało, iż przy szczupłych, zwłaszcza w ostatnim czasie dochodach własnych, zasłyszawszy o biédnéj wdowie, niemającéj czém karmić zgłodniałych dzieci, o nędzarzu jakim zdręczonym chorobą lub kalectwem, większą połowę swych zasiłków, niebacząc na tysiączne własne potrzeby, im przesyłał. Bóg też go może za to, prawdziwie Chrześcijańską ubłogosławił śmiercią, o któréj jużeśmy szczegółowie wyżéj wspomnieli.

Takim był rzeczywiście ś. p. nasz *Jan*, i nikt mi téj prawdy, ze znających go bliżéj, niezaprzeczy. Może tu kto zarzuci, żeśmy nakształt malarzy Chińskich, same tylko skupiwszy w obrazku naszym światła, zapomnieli o cieniach. Zaiste musiał mieć i Jan Chodźko, tak jak każdy człowiek, przywary; lecz te pewnie wynikały z mniéj oględnéj uwagi, a nigdy ze skażonéj woli, albo niebielubnego serca. Alboż je za życia swego sowicie niewykupił tyloletnią boleścią i niedolą, byśmy tu o nich nad głuchym grobem jego, koniecznie wygłaszali? I ktożby chciał się bawić wytykaniem, drobniutkich plamek, na czystém, jasném, polerowném zwierciedle?..

Przebieżmy naostatek prace piśmienne ś. p. Jana, tak w druku jak rękopismach, pozostałe. Sąd światłych czytelników dawno już je umieścił w rzędzie pism użytecznych, wyższą nacechowanych zdolnością. Niebędziemy tu przeto rozszerzać się z ich krytycznym rozbiorem; wskażemy tylko porządek chronologiczny, w jakim one wychodziły z pod pióra autora, i kiedy niekiedy napomkniemy chyba o wartości utworów celniejszych.

1, ***Bolesław Krzywousty***, tragedya w pięciu aktach, wierszem. Z lat młodocianych, jak to często zdolniejszym się trafia, ujęty został ś. p. Jan powabami poezyi: układał więc różne najprzód pomniejsze wiersze dla siebie i dla swoich, a później zaprawiony na wzorach tak zwanéj ***klassyczności***, ułożył wspomnioną tragedyę. Została ona w rękopiśmie; lecz musiała mieć swą zaletę, kiedy ją wielokrotnie na publicznych teatrach w Wilnie, Warszawie i wielu innych miastach, z dobrém od widzów przyjęciem przedstawiano. Znamienity natenczas artysta dramatyczny Werowski, jakby przez wdzięczność, iż go ś. p. Jan, piérwszy zalecił scenie Warszawskiéj, ilekroć tylko był w Wilnie, zawsze w téj tragedyi przecudnie odegrywał rolę xięcia Pomorzan, odziany w prawdziwą rolową zbroję Pomorską, dostarczaną przez ś. p. jenerała Kossakowskiego, z jego niegdyś słynnego, długo w Wilnie przechowywanego, różnych osobliwości gabinetu.

2. ***Krakus*** tragedya w pięciu aktach wierszem. Bez porównania późniéj, ułożył tę tragedyę; wyjątki umieścił najprzód Kazimiérz Kontrym w wydawanym przez siebie ***Dzienniku Wileńskim***,—potém zaś, po ubiegu lat wielu, Kazimiérz Bujnicki w swoim ***Rubonie***, Tragedya ta choć gładkim, poprawnym ułożona wierszem, niższą jest wszakże od utworu piérwszego. Już tu autor, znacznie wiekiem

starszy, zbyt uważny, stąpał ostróżnie jak wielu innych wtedy, naśladowniczym za wzorami klassycznemi torem i przez to ostudziwszy własne natchnienie, wpadł w deklamacyjną monotoniję. I ten utwór, prócz wspomnionych wyjątków, pozostał w rękopiśmie. O tragedyi piérwszéj, wiémy z *dwuch onwersacyj z przeszłości* świeżo wydanych, przez tak sprawiedliwie i powszechnie ulubionego autora *Obrazów Litewskich*, że była pisana w majątku *Dziewiętniach*, śród ogrodowéj pamiątkowéj altany. Druga ułożoną została częścią w *Krzywiczach*, częścią w Wilnie.

3. *Litwa* i t. d. Komedyjka w jednym akcie, wierszem gładkim i potoczystym, wydrukowana była w Mińsku. Mało komu jest teraz znana, ułożył ją bowiem autor jedynie dla czasowych okoliczności.

4. *O exdywizyach czyli o podziale majątku dłużnika dla wierzycieli*, rozprawa wydrukowana była w *Dzienniku Wileńskim* (Tom IV. rok 1816, str. 194—227). Obudziła ona wiele piór obywatelskich. Między innemi pisali w dalszych numerach tegoż dziennika, w tymże przedmiocie: Włodzimierz Gadon, marszałek O. A. Wierzejski, jenerał Niesiołowski, jenerał Józef Wawrzecki, Michał Römer, Ignacy Domejko i w. i.

5. *O szkółkach parafijalnych i wiejskich*, rzecz wydrukowana w *Dziejach Dobroczynności*, wydawanych w Wilnie (rok 1820, tom 1, str. 315—326). Ułożył to pisemko w r. 1819, będąc dozórcą honorowym szkół w Powiecie Dziśnieńskim, później nieco, należąc w Wilnie do dwóch pożytecznych towarzystw, *Typograficznego* i *Wspierania niedostatnich uczniów przy uniwersytecie*, czynnie i zasiłkiem potrzebnym i ustną radą i niekiedy uwagami na piśmie dopomagał.

6. W tylko co wyżéj wspomnionem peryodycznem

piśmie, wydawaném pod nazwą: ***Dziejów Dobroczynności***, wydrukowano niektóre jego mowy; z tych bardziéj odznaczającą się była mowa na uczczenie pamięci zmarłych członków towarzystwa.

7. W roku 1816 dnia 21 sierpnia, ukazał się był w Wilnie drukowany półarkuszyk, pod nazwą ***Wiadomości brukowych***, przedawano go po groszy pięć. Potém niejakaś nastąpiła przerwa; aż nareszcie od roku 1817 stale, wychodzić zaczęły co tydzień po półarkusza, numerki tegoż pisemka, przedawane po groszy dziesięć. Wkrótce wielkiéj nabyły wzięto:ci. Następnie, Jakób Szymkiewicz doktor, Kazimiérz Kontrym pomocnik biblijotekarza uniwersytetu i inni, piérwsi przedsiębiercy tego dowcipnego i wielce nawet w początkach pod względem moralnéj poprawy obyczajów korzystnego pisemka, postanowili utworzyć towarzystwo, pod nazwą towarzystwa ***Szubrawców***, ułożyli stosowny kodex, i przyjmowanych do grona swego członków, podzielonych na ***Urbanów*** i ***Rustykanów***, mianowali każdego nazwą któregolwiek z pogańskich Litewskich bożków. Otoż natenczas i Jan Chodźko, do tegoż grona był przyjęty i nazywał się ***Wajżgantos*** (bożek przewodniczący uprawie lnu i konopi). Przypisują mu, między wielu innemi, dowcipny artykuł ***o magnetyzowanéj kurze i kachciku***, z powodu zagęszczonego natenczas w Wilnie a źle i szkodliwie skierowywanego magnetyzmu.

8. ***Pan Jan ze Świsłoczy, kramarz wędrujący***, xiążeczka we dwóch częściach, poświęcona oświacie ludu, najwięcéj rozgłosu sprawiła dla autora, zwłaszcza że ten odtąd, na wszystkich dalszych swych utworach, podpisywał się autorem P. Jana ze Świsłoczy. Zaraz po wyjściu tego pożytecznego, jasnym i płynnym ułożonego stylem, dzieł-

ka, Kazimiérz Kontrym najpochlebniéj ozwał się o niém w wydawanym przez siebie *Dzienniku Wileńskim*, po czém uniwersytet Wileński zaliczył je do rzędu dzieł elementarnych, szczególniéj zalecając dla użytku i oświaty włościan. Xiążka ta, niewiele wszakże ludowi miejscowemu znajoma, z powodu jego nieumiejętności czytania, przełożona na język Żmudzki przez x. prałata Rupejkę, niesłychanie pomyślną miała i ma u ludu tamecznego wziętość.

9. *Pisma rozmaite autora pana Jana ze Świsłoczy*, 12-o tomikow XII, w Wilnie, drukiem A. Marcinowskiego, 1842 roku. Wszystkie tu pierwiéj wymienione pisma ułożone były przez autora w czasie pogodniejszych dni jego doli. Z posuwającym się wiekiem, zaniechał całkiem prawie poezyę, a ulubił wspomnienia przeszłości, i te podały jemu myśl utworzenia z nich pamiątkowych, przeszłowiecznych, obrazków powieściowych,—jakowy rodzaj nie był jeszcze naówczas jak teraz szeroko rozwinięty. Wszystkie opisane przezeń osoby, żyły przy schyłku XVIII wieku; znał je w młodości autor, i bez wymienienia naźwisk, wiernie i trafnie przedstawił. Styl potoczysty, naturalny, pociąga czytelnika, który prawdziwą znajdując przyjemność w czytaniu, zapragnąłby chyba czasem, przedstawienia dramatycznie działającéj saméj osoby, a nie opowiedzenia tylko o niéj. Piérwszą powieścią, umieszczoną w piérwszym tomiku, jest *Pan Wojski*, dziad autora, znany już nam także i z *Dwóch onwersacyj* Jeszcze w roku 1821 zaczął był pisać tę powieść: będąc albowiem po raz piérwszy na posiedzeniu naukowém, gdy został członkiem uniwersytetu Wileńskiego, miał stosowną przemowę i w niéj oświadczył że pracuje nad dziełkiem p. *Wojski*, jak o tém powiada ówczasowy *Dziennik Wileński*. W piérwszym tedy tomiku, piérwszą umieszczoną powiastką jest

Pan Wojski, drugą *Państwo Cześnikowstwo*, wyborne w swoim rodzaju pocieszne małżeństwo, lecz odrębnego sposobu widzenia rzeczy i charakteru. Takich cześnikow i cześnikowych już teraz pono niéma, albo przynajmniéj arcy rzadko coś podobnego napotkać można. Pan cześnik ze swojém przysłowiem, *tego co chciałem mówić* wstawiony przez autora w dalszych tomikach z inną szlachtą, mającą także swe przysłowia, pocieszny, już teraz niewidziany nigdzie, przedstawia obrazek. Drugi tomik z porządku, zajęty komedyjkami. W wydaniu tém albowiem powiastki przeplatają się aż do tomiku X. utworami teatralnemi, o których późniéj napomkniemy, wprzód zaś zajmiemy się przejrzeniem samych tylko powieści. I tak: w tomiku III, są dwie powiastki: 1) *Podróż do pani kasztelanowéj*. 2) *Pani kasztelanowa*. W tomiku V: 1) *Imieniny pani kasztelanowéj*, 2) *Starościna*. W tomiku VII: 1) *Sejmiki*, 2) *Mój Stryjaszek*. Ten stryjaszek już jest osobą nowożytniejszą. W tomiku IX, jedna powiastka pod nazwą *Interessa*, i na niéj kończy się powieść ogólna: bo wszystkie tu wymienione powiastki wiążą się w jednę całość i noszą ogólną nazwę powieści: *Pani kasztelanowa i jéj sąsiedztwo*. Jeszcze w tomiku X jest powiastka *Henryczek*, którą sam autor nazwał dokończeniem *Sąsiedztwa pani kasztelanowéj*. Daléj w tymże tomiku jest mała ale pełna życia i więcéj może obrazowa nad inne powieści powiastka, p. n. *Koronijasz w Wilnie* z prawdziwego ułożona zdarzenia. Daléj: *Święta Bożego Narodzenia w Litwie*, piękny, wierny, miły zwłaszcza dla Litwinów obrazek. Tomiki XI i XII zajmuje przedruk wspomnianego już wyżéj od nas dziełka *Pan Jan ze Świsłoczy*. *Koronijasza* w przeciągu jednéj godziny, napisał autor, w obecności mojéj, w powiecie Słuckim, w majątku *Za-*

rakowiu. Wszędzie w pomienionych wyżéj powieściach, gdzie tylko znalazł stosowne ku temu miejsce, autor zostawił wspomnienia to o Radziwiłłach, to o innych znamienitych wtedy w Litwie osobach. Słowem, cała ta jego praca jest szacownym zbiorem narodowych pamiątek, i Jan Chodźko ze wszech względów należy do rzędu tych pisarzy, którym winniśmy wdzięczność, iż wiernie i skrzętnie zebrali wspomnienia, ubiegłéj, a nas iako potomków zajmującéj naszéj przeszłości.

Tomiki: II, IV, VI, VIII, zawierają pisemka dramatyczne następne: 1) ***Piérwsza miłość czyli pamiątka dziecinnego wieku***, kemedyo-opera w jednym akcie. 2) ***Stary pan młody***, komedyo-opera we dwóch aktach. 3) ***Panna na wydaniu***, komedya we trzech aktach. 4) ***Kłamca prawdomówny***, komedya w jednym akcie. 5) ***Dom zajezdny w górach Pirenejskich***, komedyo-opera w jednym akcie. 6) ***Niewiasta panem domu***, komedyo-opera w jednym akcie. 7) ***Pan z lokaja, lokaj z pana***, komedyo-opera w jednym akcie. 8) ***Bogaty spadek***, komedyo-opera w jednym akcie. Wszystkie te malutkie utworki, przestosowane ze ***Scribégo*** i innych Francuzkich komedyo-pisarzy, możeby zaiste właściwsze sobie w udzielnym druku miały miejsce; lecz i w nich trzeba oddać należną sprawiedliwość zdolności autora, przestosowania albowiem w ogólności są bardzo zręczne. Adam Szemesz, znany w piśmiennictwie naszém i wysokich zdolności malarz, w 1-szym tomiku wydanych w Wilnie ***Pism rozmaitych*** przez F. D. i L. T. (Franciszka Dobkiewicza i Ludwika Trynkowskiego), mówiąc o piérwszych tomikach ***Pism rozmaitych*** Jana Chodźki, wielce wychwala komedyę ***Panna na wydaniu***, mieniąc ją najtrafniéj przestosowaną do obyczajów narodowych. Wreszcie komedyjki te i komedyo-operetki, po

większéj części napisane były z chwilowéj potrzeby. Autor w czasie pobytu swego w Permie (1831 roku) z kilku rodakami, żeby długie jesienne i zimowe, nietylko sobie lecz i dla innych uprzyjemnić wieczory, wzniósł skromny amatorski teatrzyk i na nim w gronie towarzyszów, grywał z wielkiém zadowoleniem wzywanych na te widowiska celniejszych mieszkańcow miasta, łatwiéj od innych dobratymczą mowę zrozumieć mogących.

10). ***Słownik przysłów', przypowieści, zdań obyczajowych, i szczególniejszych obrótów mowy Polskiéj ze skrócenia słownika S.-B. Lindego, oraz z wyjątków późniejszych dzieł ułożony***, 4-o, we trzech częściach część 1—A, (I stron. 136; część 2, K—P, str. 168; część 3, R—Z stron. 106.) Prócz wstępu jest wykaz dzieł źródłowych w tym zbiorze użytych, oraz spisanie udzielne wyrazów Polskich dziś mało albo zupełnie nieużywanych. Słowniczek ten, ułożony w r. 1840, pozostał w rękopiśmie.

Następnie autor, jakby stopniami odrywający się od ponęt marności ziemskiéj, z coraz sędziwszym wiekiem zwracając oko ku jedynie trwałéj wiekuistéj prawdzie,—cały się oddał przedmiotom religijnym, i owocem tego usposobienia ducha jego były:

11. ***Roztrząsania religijno-filozoficzne o najcelniejszych przedmiotach wiary ś. Katolickiéj***, 4-o, tomów 4. Jest to przekład znajomych powszechnie prawie, rozgłośnych konferencyj, słynnego kaznodziei Paryzkiego x. Lakordera (Lacordaire), przekład ten dokonany w roku 1848, zostaje w rękopiśmie.

12. ***Wiadomości historyczno-statystyczne o dyecezyi Rz. Katolickiéj Mińskiéj***, we dwóch częściach 4-o; część 1, zawiera opis kościołów parafijalnych, część 2 kościołów i klasztorów zakonnych, z pięcią tablicami. W piérwszym to-

mie str. 364, w drugim 278, prócz przemowy, tablic i spisów. Szacowna ta z wielu względów praca dotąd także zostająca w rękopiśmie, zatwierdzoną już jest przez cenzurę duchowną od roku 1849 dnia 30 grudnia.

13. ***Zbiór psalmów i modlitw, używanych w brewijarzach kapłańskich katolickich***, przekład całkowity we 4ch tomach 8-o. Z tego swojego rękopismu zwykle się autor modlił przy słuchaniu mszy ś, mnóztwo sam przytém ułożył tkliwych i stosownych na różne potrzeby duszy modlitewek.

14. Naostatek, zawsze chętnie biegnący na wezwanie z usługą swoją, przesyłał pomniejsze pisemka swoje, do różnych pism zbiorowych. I tak: w ***Athenaeum*** I.-J. Kraszewskiego, umieszczone są jego artykuły ***o wychowaniu młodzi***; w ***Rubonie K. Bujnickiego, rozprawki o piśmiennictwie Polskiém*** i ***korespondencya z synowicą*** (Teofilą z Kurowskich Korsakową); umieściło też niektóre z dzieł jego ulotniejszych wyjątki, niepospolitéj wartości pismo, wydawane niegdyś pod nazwą ***Przyjaciela ludu***.

Jan Chodźko, jako pisarz, żył w przechodowéj epoce piśmiennictwa naszego, kiedy się ruszyło, naśladownictwo Francuzkie a pisarze nasi pod przywodem K. Brodzińskiego i A. Mickiewicza, na rodzinne ze swojém piórem występowali pole: trudno więc było jemu z raz przyjętéj i zmłodu nałogiem ukrzepionéj wyłamywać się formy; wszakże ile mógł, gorliwie się o to starał, co z pism jego późniejszych, widocznie się wykazuje.

Otoż i wszystkie prace piśmienne naszego przezacnego autora, te przynajmniéj, które są mi dotąd znajome Niechże ta cała spominka moja, będzie drobnym, rzuconym kwiatkiem na mogiłę, nigdy przez nas odżałować się niemogącego człowieka, niech wywoła pióra świadomsze

i zdolniejsze. A ja wtedy jak najwdzięczniéj ze słabą mą spominką ustąpię, tak właśnie, jak pokorny sługa kościelny, uderzywszy w dzwonek wieżowy, dla wezwania do świątyni wiernych, milcząc usuwa się na stronę, skoro poważny kapłan, wdziawszy właściwe stanowi swemu szaty, uroczyste rozpocznie modły.

Dnia 24 czerwca
1855 roku.
Południe.

KORESPONDENCYA
TEKI WILEŃSKIEJ.

LIST DO REDAKTORA TEKI
OD J. I. KRASZEWSKIEGO.

Żytomierz, d. 26 marca 1858.

Wdzięczen panu jestem serdecznie za wezwanie do Teki... Radbym na nie odpowiedzieć czémś lepszém niż to na co dziś zdobyć się mogę; ale człowiek niejest panem siebie i sił własnych,—są chwile w których, gdy go owionie jakieś znużenie i zwątpiałość, niczém się im obronić niemoże. Takim się dziś właśnie czuję, a niegodzi się zasmucać drugich spowiedzią wrażeń i uczuć, które choć nie z osobistych płyną dolęgliwości, lepiéj o nich zamilczéć i przenieść je mężnie samemu w sobie. Wspomniałem dawniéj nieco w liście do Gazety Warszawskiéj pisanym o przykrych przeczuciach jakich doznałem widząc w koło zobojętnienie ogólne na to co dla nas najdroższém być powinno; panowie w szczęśliwszéj Litwie niemożecie się uskarżać na nie, więc możebyście mnie niezrozumieli nawet. Dajmy temu pokoj i ofiarujmy Bogu chwilę ciężką. Ale o czémże panu donieść z kraju, w którym niéma literackich nowości, i tak mało duchonego życia? Mówmy o tém co nas zkądinąd dochodzi, a związek jakiś ma z nami i zajmować nas powinno. Zacznę od tłómaczenia Litewskich ***Dainos***, które świeżo się ukazało w ostatnim numerze ***Re-***

vue contemporaine (28 fevrier);—jest ono, jeśli się niemylę, piérwszém w tym języku; tłómaczem pan Hipolit Valmore. Artykuł jego zawierający bardzo nieśmiałe ocenienie Dainos naszych, które autor porównywa z wydanemi przez Gerarda de Nerval pieśniami ludu Walezyjskiego, cały wyczerpnięty ze zbioru i przedmowy Nesselmann'a. Jest w nim XXXIII piosnki, które w téj szacie nowéj, dziwnie się, ale miłuchno wydają; choć odzież ta tak im nieprzystała! choć p. Valmore dowiódł tylko przy najlepszych chęciach, jak dalece przekład z języka obcego i innego charakteru jest niemal niepodobieństwem... Tu się przekonać można o niezmiernéj różnicy dwóch mów, staro-Litewskiéj, która ma jeszcze całą barwę i świeżość pierwotnych świata języków, ich formy nieskończenie bogate i ruchy swobodne, i Francuzkiéj mowy innego świata i pojęć, sztywnéj, manijerowanéj, do wyrażenia prostych uczuć i pojęć nieumiejącéj już nagiąć się łatwo i odzyskać straconéj na wieki szczerości. Pomimo wielkich do przezwyciężenia trudności p. Valmore dokonał przekładu sumiennie i sympatycznie dla Litwy, za co mu winniśmy wdzięczność, a kończy artykuł zacytowanym w oryginale Sonetem Krymskim Mickiewicza.

Litwo! piały mi wdzięczniéj twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice,
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złotę ananasy...
Tak daleki. . . . .

Jest to w tym roku piérwszy przeglądu artykuł odnoszący się do kraju naszego, mamy wszakże obietnicę sprawozdań z literatury i nowo wychodących dzieł, dotąd niespełnioną, ale dowodzącą poczucia jéj potrzeby.

Rzymski korespondent *Kroniki* w jednym z ostatnich

listów swoich wzmiankuje o nowo odkrytym annaliście Rzymskim współczesnym Salluscyuszowi, Grenijuszu Licynijuszu, którego rękopism znany Karol Pertz wynalazł w muzeum Brytańskiém między Syryjskiemi z Egyptu przywiezionemi. Ciekawe to odkrycie na pergaminie dwakroć skrobanym i po Licinijuszu dwa texty późniejsze noszącym na sobie; przypomina mi podobne, równie ważne z tego samego źródła, o którém, jeśli się niemylę, nigdzie dotąd u nas niemówiono...

Są to listy pasterskie paschalne ś. Athanazego patryarchy Alexandryjskiego— zabytek tém droższy i ciekawszy, że znakomity ten mąż niewiele po sobie zostawił, a głównie pisma polemiczne przeciw Aryanom spuściznę jego stanowią...

Listy paschalne uważane były dotąd za zatracone, mieliśmy z nich tylko ułamki, nieco dłuższy wypis z XXXIX, zajęty spisem xiąg i urywki nieznaczące. Bernard de Montfaucon w Benedyktyńskiém wydaniu resztek pism ś. Athanazego, jakby proroczym duchem wskazał, że kiedyś może na wschodzie— *ubi bene multa exstant*... znajdą się te nieodżałowane listy patryarchalne.

Z powodu ważności tego odkrycia dla całego Chrześcijańskiego, a szczególniéj Katolickiego świata, pozwolimy tu sobie nieco obszerniejszą dziś o niém wiadomość, wziętą ze sprawozdania x. Freppel.—Niedaleko od Alexandryi, na lewym brzegu Nilu, rozciąga się dolina Nitryi, tak nazwana od jezior, które ją przerzynają, w téj pustyni mnóztwo było klasztorów, według ś. Athanazego i Sozomena porządek biorących od błogosławionego Ammona i Makarego Egipskiego; w IV wieku liczono tu do pięciu tysięcy pustelników. Do zdobycia Egiptu przez Arabów klasztory tu w kwitnącym były stanie, późniéj upadać zaczęły

i w 829 przez Koreiszytów ostatecznie zostały zniszczone. Później poodbudowywano je znowu, ale się liczba zmniejszyła i w XV wieku było ich tylko siedm, a z tych cztery dożyły naszych czasów.

Xięgozbiory starożytnych tych monasterów zwróciły uwagę podróżnych. Wiadomo było, że w r. 923 Mojżesz z Nizylu, opat klasztoru P. Maryi, z Bagdadu i okolic zebrał 250 rękopismów do swéj biblijoteki, a jedna z tych biblijotek monasterów dostarczyła Sewerowi bisk. Hermopolitańskiemu materyałów do historyi patryarchów Alexandryjskich. W XVI w. Franciszkan Gilles de Loches w jednym z tych monasterów naliczył jeszcze do 8,000, rękopismów. W 1706 Klemens XI posłał Elijasza Asiemani dla zdobycia do biblijoteki Watykańskiéj rękopismów z klasztoru doliny Nitryjskiéj; ale niewiele ich udało się dostać, a z tych część jeszcze w burzę na Nilu zatonęła i tylko trzydzieści cztery przywieziono do Rzymu. W czasie wyprawy Egipskiej Napoleona jenerał Andreossy pożołniersku zajrzał zlekka do xięgozbiorów tych i za małoważne je uznał. W r. 1828 xiąże Northumberland w swéj podróży po Egipcie zwiedził pilniej dolinę Nitryi, a d-r Tattam po nim przybywający dostał ztąd dość znaczną liczbę rękopismów Koptyckich, około pięćdziesięciu Syryjskich, i tłómaczenie Euzebijusza biskupa Cezaryjskiego *Peri Teofanejas*, którego oryginał niedał się nigdzie wynaleźć.

Ta zdobycz niespodziana skłoniła administratorów Narodowego Muzeum Brytańskiego do wysłania powtórnie d-ra Tattam w r. 1842 w dolinę Nitryi, zkąd przywiózł wszystkie pozostałe w klasztorze P. Maryi rękopisma starożytne. Tak go przynajmniéj upewniono.

Przejrzenie tych skarbów polecono x. Wilijanowi Cureton kapelanowi królowéj Wiktoryi, który znalazł w nich

naprzód text Syryjski listów ś. Ignacego do Polykarpa, do Efezów i Rzymian i dał tłómaczenie jego Angielskie w r. 1845. Oprócz tego znalazły się ułamki listów ś. Athanazego, dotąd pożądanych, ułamek przedmowy, koniec VI, VII, kawałki X i XI, list do Serapijona i XIII, XIV, XVII, XVIII i XIX z początkiem XX.

Zabierano się już do ogłoszenia tego szacownego zabytku, gdy w r. 1847 doszła wiadomość, że mnisi klasztoru P. Maryi, którzy wszystko co mieli sprzedali dr. Tattam, potajemnie jednak zatrzymali część znaczną rękopismów, wymawiając się jak przed Assemanim, że klątwa wzbraniała im pozbywać się tych zabytków... Po wielu staraniach, dopytano ukrytéj reszty, którą Muzeum otrzymało w r. 1847.

Cureton postrzegł zaraz, że nowe nabycie dopełniło dawniejsze, z listów ś. Athanazego przybyły ułamek VI, VII, X, XI, i bardzo znaczna część przemowy. Z tego powstało ogłoszone przezeń w Londynie tłómaczenie Angielskie: ***The Festal letters of Athanasius discovered in an ancient Syria version.*** W r. 1852, d-r. Lerson z Berlina, wydał przekład Niemiecki z Syryjskiego, Francya dotąd się opóźniła z tłómaczeniem.

Listy paschalne, te są wedle zwyczaju dawnego kościoła, oznajomieniem wiernym o czasie, w którym przypadała Wielkanoc i zawierają homilije pasterskie. Zwyczaj ogłaszania takich listów, o których wspomina Euzebijusz (przy Denisie patryarsze Alexandryjskim), po soborze Nicejskim był postanowiony i zostawiony potryarchom Alexandryjskim, co potwierdził list ś. Leona Papieża.

Listów odkrytych jest dwadzieścia, a chociaż patryarchat Athanazego od 328 do 373 ciągnący się, dozwala się domyślać, że większa ich liczba wyjść musiała, wszakże

i ta zdobycz drogą jest dla Chrześcijańskiego świata. Każdy list składa się z dwóch części, pobudki do czterdziestodniowego postu i kommunii Wielkanocnéj i uregulowania epoki obchodu Wielkiejnocy. Listy te i do historyi kościoła są drogim nabytkiem, wskazując co najpilniejszą było potrzebą kościoła w tych czasach, i jakich środków używał krzątając się około nawracania Żydów i przekonania obłąkanych Aryanów. List IV pisał Athanazy z obozu Konstantyna, do którego jeździł tłómaczyć się z uczynionych mu zarzutów, w XIX jest wzmiánka o drugiém jego wygnaniu i powrócie do Alexandryi, po soborze w Sardyku; list X odznacza się żywą polemiką z Aryanami, z któréj x. Freppel przywodzi tu śliczne wyrazy, wymierzone przeciw kacerzom w obronie dogmatu kościoła:

„Syn Boży cierpiał, aby natura ludzka w nim cierpiąca, wolną była boleści, i zstąpił z nieba, aby nas za sobą ku nim pociągnąć, i zapragnął przejść przez próby wcielenia i człowieczeństwa, aby pozyskać serca nasze; wziął na się ciało znikome, aby w niém złożyć ziarnko nieśmiertelności, aby nam dać siłę skazał się na słabość naszą, — jednem słowem stał się człowiekiem, aby ludzkość odrodzona przezeń mogła odżyć zwycięztwem śmierci."

Oddawna nic ważniejszego dla dziejów kościoła nie ukazało się. Zdziwi się czytający, postrzegając w IV wieku dogmat, obrzędy i żywot zakonny już na tak stałych zasadach ugruntowane, że do dziś dnia żadnéj w nich zmiany nieznajdzie. Dziwnym trafem listy te tak silnie, popierające katolicyzm, winniśmy protestantowi i dotąd nawet nie pomyślano o przekładzie ich w krajach katolickich. Powszechne zajęcie jakie ta publikacya będąca własnością Chrześcijańskiego świata obudza, niech nas tłómaczy z dłuższego nad nią zastanowienia. Przejdziemy teraz do innéj, bliżéj nas

tylko obchodzącéj, którą winniśmy pracowitym Niemcom i Anglikom. Piérwszy Gervinus zabrał i wydał pisma i listy Jerzego Förstera, z których Henryk Koenig zajmujące życie tego człowieka opisał i wydrukował; dzieło to doczekało się już drugiego wydania. Z Koeniga Westminsterski przegląd umieścił obszerny wyciąg i życiorys, a za nim powtórzyła je w skróceniu Revue Britannique, z któréj my damy tu wiadomość o Jerzym Forsterze.

Znany ten w Niemczech więcéj niż u nas towarzysz drugiéj podróży Cooka, urodził się za czasów Rzptéj naszéj, na ziemi Polskiéj, jak sam w liście do Herzberga uznaje, a pochodził niewątpliwie, z rodziny Forsterów Gdańskich, z których imiennik jego, także Jerzy Bibliopola, znakomity w dziejach naszego xięgarstwa, wadnę zajmuje miejsce — był zaś przez czas niejaki professorem noworeorganizującego się uniwersytetu w Wilnie — i z tych powodów niejako do nas należy. Oprócz tego żywot jego jest zajmującym i nauczającym wieloe, bo w nikim tak może dobitnie niewyraził się niepokój XVIII w., jego szały poczciwe i błędne.

Ojciec naszego Jerzego, Jan Reinold, minister Kalwiński w Nassenhuben pod Gdańskiem, musiał pewnie pochodzić od sławnego Jerzego Forstera Bibliopoli i wydawcy któremu winiśmy mnóztwo wydań już w Gdańsku, już w Hollandryi zrobionych; przepyszna edycya mów Ossolińskiego, obronę Polski (Polonia defensa) Kojałowicza, Solikowskiego, Ethiopiki Warszewickiego i t. d., wreszcie portrety Polskie Falcka przezeń wydawane. Forster ów, który z Ewangelika nawrócić się miał i pochowany był w opactwie Oliwskiém, jak pisze Bandtke, co do wydań swych, piérwsze między współczesnymi zajmuje miejsce, niektóre pięknością i starannością przypominają Daniela Elzewira.

Od niego lub innego z tego rodu pochodził Jan Rejnold znakomicie uzdatniony, ale niezmiernie gwałtownego charakteru człowiek. Ojciec przeznaczał go na prawnika ale Rejnold cały się oddał naukom przyrodzonym, do których czuł się powołany; a poźniéj dopiero na żądanie rodzicielskie zgodził się przywdziać suknię duchowną. Zostawiony sam sobie mimo obowiązków pastora, zwrócił się znowu do ulubionych swych badań.

Przy małém probóstwie Pan Bóg dał mu siedmioro dzieci— tak, że chlebem powszednim trudno się było obdzielić. W tém położeniu zostając, przyjął wezwanie rządu Rossyjskiego obejrzenia i zdania sprawy ze strony nowo utworzonych nad Wołgą kolonij. W r. 1765 wyjechał z synem Jerzym jedenastoletnim do Petersburga, potém na miejsce przeznaczenia, i wrócił z rapertem do stolicy, gdzie całą zimę przepędził, starając się o takie wynagrodzenie pracy, jakie sam sobie wymierzył. Za powrótem do Nassenhuben znalazł swe probóstwo w czasie niebytności zajęte.

Rozgniewany, będąc jeszcze przy grosze, zawsze śniąc o tém, że Forsterowie Gdańscy, pochodzą z jakiejś rodziny lordów Szkockich Foresterów, postanowił do staréj powrócić ojczyzny, i udał się niewidząc się nawet z rodziną do Anglii wraz z synem Jerzym. Przez drogę ojciec i syn pilnie uczyli się po-Angielsku.

Rejnoldowi za przybyciem do Londynu udało się otrzymać posadę professora, w jakiejś szkole w Lancashire, a Jerzego pozbył się, oddając za komissanta kupcowi Ruskiemu Lewinowi, mimo że najmniejszéj do tego stanu nowego nieokazywał ochoty. To życie i praca niezwykła tak wycieńczyły Jerzego, że matka i siostry przybywszy do Anglii ledwie go poznać mogły.

Stary Rejnold, wkrótce poswojemu zadarł się ze wszystkimi i musiał posadę rzucić, a że niemiał żadnego sposobu do życia, wziął się do pisania dla xięgarzy i Jerzemu ledwie piętnastoletniemu kazał sobie dopomagać. Biedny chłopak pracował ciężko; część dnia spędzał na nauce zoologii pod przewodnictwem ojca, kilka godzin lekcyi języka Niemieckiego i Francuzkiego dawał na pensyi, a do wyżywienia siebie i ojca tłómaczył. W takim stanie byli Forsterowie, gdy opatrzność czuwająca nad nimi nastręczyła sposobność dźwignienia się, i Cook w swéj drugiéj podróży, ofiarował miejsce naturalisty Rejnoldowi. D. 4 lipca 1772 r. uczyniono mu tę propozycyę a d. 13. siadł już na statek w Plymouth, nietroszcząc się o resztę familii, którą porzucał w Anglij i warując sobie tylko, żeby mu wolno było zabrać Jerzego.

Ta druga podróż Cooka, jak wiadomo, budziła w całym świecie zapał i zajęcie ogromne, geografowie i naturaliści, badacze obojętni nawet wyglądali jéj z ciekawością najżywszą. Spodziewano się od niéj rozwiązania zagadki o niezmiernéj rozległości lądzie Australskim, którego jeszcze się spodziewano mimo piérwszéj Cooka podróży dowodzącéj, że to były marzenia. Dla Jerzego największém szczęściem było nudne życie pracy zamienić na wesołą podróż po świecie. Z ojcem tylko zawsze kłótliwym i nieformym miano biedę, bo się z nikim zgodzić nie mógł, i musiano go urzędowie przywoływać do porządku — ale Jerzego Cook umiał ocenić i polubił bardzo.

W r. 1774 po powrócie z podróży, przywiązanie jego ku ojcu znowu go w ciężkiém postawiło położeniu. Niechcąc czy niemogąc pojąć swoich zobowiązań względem rządu Angielskiego, który z nim o towarzyszenie kapitanowi Cook robił umowę, Rejnold Forster postanowił wy-

dać opis podróży i postrzeżeń uczynionych, czego mu kontrakt uczyniony wzbraniał. Admiralicya oparła się temu, Forster uparł się przy swojém; zakazano drukować jego opis podróży, a gdy dr. Rejnold ustąpić niechciał, usunięto go od wszelkiego udziału w oficyalnéj pracy i został bez chleba. Że zaś Jerzy niebył wymieniony w kontrakcie i nie mu niezdawało się wzbraniać wydać opis podróży, oddano ją pod jego imieniem, za co admiralicya jeszcze bardziéj przeciw Forsterowi zażaloną została. Opis Jerzego miał ogromne powodzenie; imie jego stało się znajome całéj Europie, a mieszkanie ich na Percy-Streeet mnóztwo odwiedzało ciekawych. Tu poznał się Jerzy z dr. Soemmering, jednym ze znakomitych fizyologów Niemieckich (urodzonym w Toruniu r. 1755) i ścisłą z nim zawarł przyjaźń.

Opis podróży Forsterów wieléj jednak zjednał mu sławy niż pieniędzy, trochę ich dostarczyła sprzedaż osobliwości przywiezionych, ale i to się wyczerpało, a rząd Angielski głuchy był na wszelkie prośby; — długi rosły i nareszcie stary Rejnold dostał się za nie do więzienia.

Na Jerzym teraz spoczywała cała rodziny nadzieja, on swą pracą mógłby dać chleb, a że w Anglij zdobyć go było trudno, zwrócił się do Niemiec z resztami swych kollekcyj madreporów, roślin, zwierząt i ptaków wypchanych, w nadziei sprzedania ich do jakiegoś gabinetu; z wielką wiarą w opatrzność puścił się w tę wędrówkę, a list z Hollandyi pisany dobrze maluje stan jego duszy: — „Zdrów jestem (powiada) i z rezygnacyą patrzę na nieszczęście, które nas dotknęło i ufność pokładam w miłosierdziu Bożém. Częstośmy doświadczali jego dobroci, on nas wyswobodzi (niewątpmy) z tych utrapień, w których od lat kilku żyjemy. Poddaję się w pokorze cierpieniom, ale spuszczając się

na wyroki Opatrzności niezdaje mi się, bym ją obraził modlitwą, prosząc o litość nad nami, o chléb dla nas powszedni... Wszak wolno żądać trochę ziemskiego dobra.. czemużby o nie modlić się niegodziło?" W Hollandyi Jerzy był dobrze przyjęty, ale środków dźwignienia ojca nie znalazł żadnych, wszystkie z kolei nadzieje zawiodły; upadając prawie na duchu pojechał do Niemiec i zatrzymał się w Düsseldorfie, gdzie go z zapałem powitał Jacobi. Tu towarzystwo jego i rozmowa wstrzymała go czas jakiś. W Kassel spodziewał się przecię cóś wyjednać u Fryderyka II, i w istocie dostał od niego 50 luidorów dla ojca, a dla siebie katedrę profesora w uniwersytecie z pensyą 1700 franków, małą wprawdzie, ale stanowiącą jakiś początek, dającą punkt oparcia. Gryzło tylko Jerzego, że los wprzódy jemu nadarzył kawałek chleba, nim się mógł o cóś dla ojca postarać, i z sumieniem był w walce, czy przyjąć lub nie ofiarowaną posadę. Dla uspokojenia go dano mu kilka miesięcy czasu na poratowanie ojca. W Göttyndze poznał się z Heyn'em, (wydawcą dzieł klassyków Łacińskich), a w Berlinie professorowie przyjęli go bardzo uprzejmie; ale te oznaki współczucia cóż znaczyły dla uwięzionego? Dopiero x. Dessanski, poruszony widokiem tego przywiązania synowskiego, odprawującego żebraczą pielgrzymkę, by w pomoc przyjść ojcu, dał mu sto luidorów dla starego i obiecał wstawić się za nim do admiralicyi.

Jerzy odesłał do Londynu uzbieraną sumkę, sam zaś wiosną 1779 powrócił do Kassel dla objęcia katedry. Tu dowiedział się, że staraniem x. Brunświckiego loże Niemieckie przyrzekły zrobić składkę, dla uwolnienia ojca i przyrzekły mu professorstwo historyi naturalnéj w uniwersytecie w Halli. Równie wielkiém dlań pocieszeniem było spotkać w Kassel professora Soemmeringa... Osiadłszy

począł tłómaczyć Buffona i życie zdawało się uśmiechać. Oprócz wspomnionego przyjaciela, zbliżył się wtéj porze do pana Mullera znanego historyka.

Ale po krótkiéj chwili odetchnienia, niedostatek znowu dokuczać zaczynał, a pensya była niewystarczająca, bibljotece brakło najpotrzebniejszych xiążek, na które ledwie 3,000 fr. wyznaczono. Forster dla siebie i nauki potrzebne dzieła musiał swoim kosztem sprowadzać, a mimo największéj oszczędności, na piérwsze potrzeby niestarczyło i musiał się zapożyczać u Jacobiego, z którym już prowadził korespondencyę. Starano się dlań o korzystniejsze miejsce w xięztwie Bergu ale się to zaraz rozchwiało. Fórster pocieszał się illuminizmem i mistycznemi zachwyty, które wówczas epidemicznie panowały, i z Lichtenbergiem uwierzył w przemianę kruszców na złoto. Rzucił się z zamiłowaniem do Alchemii resztę grosza tracąc na nię, ale prędko jakoś opamiętał się i wyszedł z obłąkania, w które chwilowo był popadł.

Pobyt w Kassel późniejszy z powodu nieprzyjemnych stosunków z illuminatami i innych okoliczności niedogodnych, stał się dlań nieznośnym; pragnął i wzdychał do podróży. Szczęściem jakiémś właśnie w téj chwili xiążę Poniatowski prymas, potrzebujący nauczycieli do organizującego się uniwersytetu w Wilnie, ofiarował mu katedrę z pensyą dość znaczną i rocznem subsydyum na koszta korespondencyi i nabycie pomocniczych przedmiotów.

Z radością opuścił Jerzy Kassel,—przyjaciele złożyli mu się na opłacenie długów, a wyobraźnia przyszłości malowała się już w najświetniejszych kolorach.

Odwiedzając kilkakrotnie w Goetyndze Hejnego, Jerzy poznał tam córkę jego Teresę i pokochał ją; ona choć bez wielkiego może przywiązania, na oświadczenie Forstera o jéj

rękę, zgodziła się w dalekiéj towarzyszyć mu podróży. Ojciec wszakże sprzeciwiał się temu impronizowanemu małżeństwu i odłożył je do czasu, pókiby Jerzy na miejscu o swéj posadzie się nieprzekonał. Wyjechał tedy Förster już tak jak zaręczony i szczęśliwy, po drodze wstępując do Wiednia. Tu znanego z nazwiska wędrowca, świat arystokratyczny przyjął uprzejmie, Józef II. cesarz przypuścił go do siebie. Kaunitz i Hrabina de Thum zapraszali Z listów Forstera widać, że Wiedeń uczynił na nim najmilsze wrażenie, nazywał go elizeum i całe życie tęsknie wspominał o nim. W październiku opuścił tę stolicę, a dżdżystą jesienią rozpocząwszy podróż, krajem płaskim i nienrozmaiconym, doznał z razu zawodów, których wrażenie powiększało może jeszcze wspomnienie Wiedeńskiego pobytu. Kraj nasz pusty na oko, smętny niemógł się podobać cudzoziemcowi, zwłaszcza w porze, w któréj się najnickorzystniéj przedstawia.

Dwór i króla znalazł w Grodnie, gdzie się właśnie sejm odbywał, a widok ten nowy i oryginalny musiał na nim uczynić wrażenie, które się w listach jego maluje. Poniatowski i magnaci Rzpltéj z tłumnemi dwory swojemi zajmowali główne ulice, po przedmieściach pełno było butnéj i strojnéj szlachty, w butach czerwonych, z szablami brzęczącemi, otoczonéj pajukami, masztallarzami, hajdukami, niezawsze równie wspaniale wyglądającemi, jak Forster wzmiankuje o łapciach i wiechciach słomy wyglądających z obówia. Wśród tego różnobarwnego tłumu spotkał jak sam wyznaje, ludzi znakomitych, którzy go mile przyjęli: między innemi pani Krakowska, siostra królewska. Ta sama go przedstawiła królowi, który na wieczory do zamku zaprosił Forstera i tchnął weń jakąś lepszą otuchę.

W listopadzie tedy mężnie objął swą katedrę w Wil-

nie, ale tu rzeczy zastał, gorzéj niż się spodziewał; gabinetu historij naturalnej ledwie zarodek, bibliotekę ubogą w dzieła treści dlań zajmującéj, a wszakże obiecywano mu pomnożyć ją i nieżałować na to wydatku.

Uniwersytet wedle listów Forstera, założony przez Jezuitów, (tak się wyraża) właśnie miał być zreorganizowany, wedle nowego planu. Jezuitów już niebyło, ale kilku jeszcze pozostałych professorów uczyli świecką przywdziawszy suknię. Jerzy silne przeciwko nim jako protestant miał uprzedzenia, ale w krótce zbliżywszy się do tych tak czarno mu odmalowanych ludzi, złagodniał dla nich i w czasach późniejszych oddaje sprawiedliwość godnemu ich postępowaniu i zupełnéj bezinteresowności. Umieszczono go przy gmachu uniwersyteckim w klasztorze dawnym, w pokojach ciemnych i smutnych, ale najlepszych jakie się znalazły. Z trudnością przyszło oswoić się z łaciną, gdyż do wykładu w tym języku był obowiązany, a pisał dobrze po francuzku i angielsku, ale po łacinie przychodziło mu mozolnie i niełatwo. Ale że ożenienie zależało od professorstwa, musiał się do wykładu nałamać.

Tak upłynęła zima, z początkiem lata, Jerzy miał już jechać po narzeczoną i przygotowywał dla niéj mieszkanie, a choć exaltowana Teresa ofiarowała mu się w swych listach żyć z nim bodaj w najlichszéj chatce i cieszyła prywacyjami jakie miała ponosić, Jerzy chciał koniecznie urządzić jéj mieszkanie ładne i miłe. Że zaś Wileńskie sklepy niebardzo były opatrzone, a rzemieślnicy zdali mu się niezręczni, posprowadzał meble i rzemieślników z Niemiec. Ta fantazyja nie mogła przyjść tanio, a w dodatku kupował jeszcze xiążki, mappy, narzędzia fizyczne i znowu wpaść musiał w długi.

Dla pomnożenia dochodów przyszło mu na myśl zo-

stać doktorem, bo w Polsce i Litwie brakło naówczas lekarzów, a mała ich liczba sowicie była opłacaną. Tymczasem z pracy zapewne, nim drugich leczyć począł, sam śmiertelnie zapadł. Dopiéro w sierpniu dźwignął się i mógł jechać do Getyngi, we wrześniu się ożenił, i nazad z żoną do Wilna powrócił.

Od tego czasu (1785) dwa lata jeszcze spędził Jerzy w Litwie i czas ten poświęcił całkiem nauce. Obejście jego z żoną było nadzwyczaj delikatne i pełne ostróżności. Obawiał się ją czém kolwiek zmartwić i przestraszyć, i o spotykających go nieprzyjemnościach nawet wieści do niéj niedopuszczał. Biografowie Forstera w tym braku ufności dla niéj, widzą zaród przyszłych nieporozumień i zupełnego nakoniec z exaltowaną kobietą rozbratu.

Wilno, jak je Forster opisuje w swojéj korrespondencyi, dla cudzoziemca i zapamiętałego szperacza, oddanego nauce tylko, a niemającego udziału w życiu jego powszedniém, było naówczas miastem dość nudném. Xiążę Prynas mimo obietnic swych, wcale się niezajmował uniwersytetem. Jerzemu co chwila brakło xiąg nowych, w których było jego życie, materyjału do podsycenia badań, które wyłącznie go zajmowały; zaklinał przyjaciół zagranicą aby mu choć okruchy ze swych stołów przysyłali. Stosunków miłych nieznalazł wcale, a nasze zabawy i uczty szumne pociągnąć go niemogły. Jezuici, którzy z początku zbliżyli się doń, jak pisze, w nadziei nawrócenia jego i żony, widząc ich niedostępnemi, usunęli się; żył więc samotnie spełniając swój obowiązek, pisząc i pracując po cichu.

Czas który tu spędziłem, pisze do jednego z przyjaciół, niebędzie dla mnie stracony. Niejedno gorzkie zdobyłem tu doświadczenie, ale na przyszłość ono mi posłuży do

rozwinienia umysłu... Trzeba żebym się z mych błędów starał poprawić, a w Wilnie muszę trwać w tym stanie podobnym do gąsienicy; póki nareszcie skrzydła mi nie wyrosną i niebędę mógł ku lepszym ulecieć losom.

Dla polepszenia materyjalnego bytu Jerzy pracował ogromnie, wyniszczał się i silnie nadwarężył swe zdrowie. Od rana zasiadał do roboty, w téj epoce oprócz tłumaczeń ułożył kilka dzieł zasługujących na uwagę: naprzód rozprawę, o rodzie ludzkim, która myśl podała mu rozprawa Kanta o tym przedmiocie. Ton dogmatyczny filozofa królewieckiego gniewał Forstera, który do spekulacyjnych zaciekań niemał najmniejszéj zdolności. W jednym ze swych listów zowie on Kanta archischolastykiem i archisofistą wieku. Myślą Forstera było, że cały ród ludzki z jednego pnia pochodzi, co się w kilka oddzielnych rozrosnął gałęzi, co dzisiejsze studja potwierdzają codziennie.

Drugim to przedsięwziętém dziełem, było życie Cooka przypisane Józefowi II, co tém dziwniejszém się zdało, że wiele w niém było myśli śmiało rzuconych o przyszłości. Forster już w r. 1782—1787 zdawał się przewidywać straszliwy przewrót, jaki miał nastąpić we Francyi i wstrząsnąć światem starym. Kilkakrotnie w pismach i listach swoich przepowiadał katastrofę.

W czerwcu 1787 r najniespodzianiéj jednego ranku wszedł doń oficer Rossyjski z listem od hr. Stackelberga, wzywającym go w imieniu rządu do nowéj podróży odkryć na Oceanie spokojnym. Cesarzowa kazała mu ofiarować dosyć znaczną nagrodę, dla niego i pensyją dożywotnią dla żony, jeśliby w drodze spotkało ich jakie nieszczęście. Dodawano dla zachęcenia, że przyjaciel Förstera, Soemmering, miał uczestniczyć w podróży. Było to pełne najświetniejszych nadziei wezwanie dla człowieka, którego

Wilno nasze śmiertelnie już nudziło, który wzdychał tylkoby jak najprędzéj uciec z kraju, z którym się zżyć nie umiał; cieszył go powrót w zaczarowane owe strony dziwów i cudów, gdzie dzieckiem prawie tyle sławy pozyskał. Przyjąwszy więc ochotnie propozycyę, udał się natychmiast do Getyngi, ale wtém wybuchła wojna Rossyi z Turcyą świetne to nadzieje zburzyła. Podróż osnuta przez cesarzowę musiała być odłożoną, Förster więc pozostał w Niemczech bez miejsca znowu, rok tylko płacy otrzymawszy zgóry; szczęściem rząd Rossyjski opłacił długi Wileńskie i z przykrego wybawił go położenia.

Naprożno starając się znowu o jakąś posadę, Jerzy udał się do Moguncyi, gdzie znajomy mu Jan Müller pełnił przy elektorze obowiązki sekretarza, a Soemmering wykładał kurs anatomii. Müller przedstawił go xięciu elektorowi, który tymczasowo dał mu miejsce biblijotekarza. Pensya była szczupła, ale za to żył Förster wśrodku Niemiec, nad uśmiechającym się Renem, w ognisku umysłowego ruchu.

Prałat elektor Canon Erthal, był, wedle współczesnych, człowiekiem wielkiej bystrości umysłu, doskonale odegrywał rolę przyjętą, ale w gruncie lubił tylko dobre życie, zabawy i wygody. Z razu udawał wielce bogobojnego, ale gdy jakiś czas w tym charakterze wytrwał dla oka, wrócił potém do upodobanego używania żywota po myśli. Na wygodnéj spoczywając sofie, Erthal bawił się słuchając, jak piękne panie czytywały mu powieści Voltaira, listy Perskie i romanse Crebillona.

Wieczorem u stołu jego zgromadzało się towarzystwo dobrane, a tłustemi prebendami obdzielano pochlebników i nadskakujących Arciu. Dziwna rzecz, że mimo płochości tego dworu, w którym czas upływał na zabawkach,

mogli zeń wyjść tacy ludzie, jak Studion, który w Moguncyi był kanonikiem, nim został Austryackim ministrem, i Dalberg co wprzód tu otrzymawszy kanonią, wzniósł się później na biskupstwo Erfurtskie, koadjutorstwo Moguncke i archi-kanclerstwo państwa.

Towarzystwo tutejsze niemogło przypaść do smaku Försterowi; nie bardzo go też doń przypuszczano, gdyż zwykle elektor otaczał się młodemi paniczykami i arystokracyą pogardzającą wszelkiém mieszczaństwem, choćby najuczeńszém. Ale pod bokiem miał Jerzy Soemmeringa, a w sąsiedztwie w Diisseldorfie Jacobiego, który z nim korespendował i Hejnego, któremu pisał artykuły do roczników Getyngskich.

Mimo usilnéj pracy znowu zagrażało ubóstwo. X. elektor nie myślał o swéj bibljotece, która składała się z jakich pięćdziesięciu tysięcy tomów rozrzuconych po strychach—i radzono Forsterowi rozpocząć kurs nauk przyrodzonych, ale słuchacza niemiał ani jednego.

Niedostatek dobry czasem doradźca, poddał mu myśl przedsięwzięcia historyi odkryć na morzach południowych i flory ich archi-pelagów. Ale, że w Niemczech na to ogromne dzieło nakładcy nie było, postanowił go szukać w Anglii; otrzymawszy trzymiesięczny urlop wyjechał z Alex. Humboldtem w końcu marca 1790.

Projekt wszakże dzieła nieprzyszedł do skutku, ale podróż z innych względów nie była bez owocową. W Londynie był świadkiem sławnego processu Hastiagia, w Paryżu piérwszych poruszeń i przygotowań do pola-Marsowego. Podróż tę opisał w bardzo zajmujący sposób w dziele: widoki Renu niższego, Brabantu i Flandryi.

Ale z powrótem w domu czekały go zmiany niespodziane i nieszczęśliwe, d. tąd spokój i szczęście familijne

płaciły mu za doznawane zawody, teraz miał i to stracić w niepojęty sposób.— Teresa przywiązała się do innego i całkiem dlań stała się obojętną. Współzawodnikiem energicznego Forstera był człowiek wcale nie na Lovelaca stworzony, istota mała, drobna, fiziognomii nieznaczącéj i głupawéj, cherlak cieleśnie i umysłowie, którego porównywa biograf do węża wciskającego się potajemnie w gniazdo orle.

Któż zna serce kobiéce? Teresa sądziła się zapomnianą, opuszczoną, nie tak kochaną jak chciała, i uwierzyła podszeptom Hubera. Huber wytrwale starał się ją uwieść, Forster nieumiał być zazdrośnym i nieposądzał nikogo. Soemmering zwracał już kilkakrotnie uwagę jego na to, że Teresa w stosunkach swych z mężczyznami zbyt była śmiałą i wolną, ale Jerzy mu odpowiadał, że nienawidzi udawania, że pęt niechce narzucać nikomu, że ceni szczęście wyżéj wszystkiego.

Powoli ten pan Huber, sekretarz jakiegoś ministeryum Saskiego, zainstallował się w domu podwójną sprawując funkcyą; wzdychając do sentymentalnéj Teresy, a mężowi jéj pomagając w tłómaczeniach i służąc za pośrednika w interesach z xięgarzami i dziennikami. W czasie podróży Forstera do Anglii miał czas zbliżyć się więcéj do Teresy, i w progu domu spotkała wracającego z nowemi długami wędrowca wieść, o niepowetowaném nieszczęściu, o straconym na wieki spokoju domowym.

Forster zniósł to i zmilczał, nie śmiejąc nawet poskarżyć się przed starym Hejnem, raz tylko zabolał w liście do Jacobiego na swą dolę, ale że zwykle korespondecyą z Jacobim czytywali razem z żoną dla któréj nic on nie odmienił, prosił go aby odpisując mu na osóbnym świstku wspomniał o tém, by jéj przykrości niezrobić. Tak je-

szcze pełen delikatności był dla kobiety co go zdradziła, udając ślepotę.

Tymczasem we Francyi wrzała rewolucya, a elektor Moguncki bankietował, do Worms przybył x. Kondeusz, do Moguncyi hr. d'Artois, któremu elektor na utrzymanie wyznaczył po 5,000 fr. pensyi dziennie. Massa emigrantów otaczała tych wodzów, a choć z lekka sobie poczynano z elektorem, którego xiędzem opatem Mogunckim nazywano, Erthal miał przyjemność czynnego udziału w spiskach politycznych jakie się tu knuły i odegrywanie pewnéj roli, którą sobie zapewne za ważną wystawiał. Sławny manifest x. Brunświckiego wyszedł z pod prass Mogunckich.

Forster, łatwo to zgadnąć—marzyciel, filozof, dziecię XVIII w., w duchu był za reformami, ale sądził, że one go za pewną metę utopij wyjść niepowinny i cieszył się niemi, stary Hejne podzielał jego zdanie, oba jednak chwilami unosząc się, cofali potém postrzegając, że za daleko zajść mogą.

Forster już był wziął do tłómaczenia jednego z pism Bris-sot'a, ale się cofnął postrzegłszy, jak się wyraża w liście do Hejnego, że Francya idzie za daleko, i niechcąc należeć do wściekłych żadnego stronnictwa.

Porzuciwszy ów pamflet dla odetchnienia świeższą poezyą, począł przekładać Sacoantalę z Angielskiéj wersyi W. Jones. Sława jego jako pisarza, podróżą wydaną do Flandryi nieco odżyła, był w pełni sił i energii, ale niedostatek ciągły i troski powszednie wycieńczały go. W r. 1791 skarżył się w listach, że wszelkie nadzieje go zawodzą, że nic mu nieidzie, że do niczego dójść nie może, i znowu w myśli miał Florę oceanu Spokojnego, którą, niewidząc w niéj ani korzyści, ani przyszłości, porzucił.

W r. 1791 los niby mu się zdał uśmiechać, aby później dotknąć tém srożéj. Elektor Moguncki wyznaczył biblijotece lokal w starym kościele po-Jezuickim, i dodał Forsterowi do pensyi, emolumentu po zmarłym professorze historyi naturalnéj. Do tego, Herzberg stary minister Fryderyka W. wszedł z nim w stosunki, oświadczając z pomocą chętną do przedsięwziętéj przez Forstera publikacyi. Dowiedział się bowiem, że Forster na żądanie Vossa xięgarza w Berlinie, przedsięwziął pisać historyą negocyacyi dyplomatycznych r. 1790, do których wpływał głównie. Dzieło to nazbyt go obchodziło, by w niém niechciał brać udziału, z akt oryginalnych niemógł udzielić, ale czynną pomoc ofiarował autorowi, którą on z razu przyjął z wdzięcznością.— Ale w kilka tygodni potém armija Francuzka wchodziła do Moguncyi.

Herzberg posłał zaraz Jerzemu przez Vossa, srébrny medal akademii Berlińskiéj, pakę xiąg i summę dosyć znaczną, ale pisząc doń wyraził się w przekonaniu, że pisze do poddanego Pruskiego, iż się spodziewa po nim uczuć prawdziwego Prusaka.

Forster ujrzał w tych darach i liście chęć przekupienia go i oburzył się; odpisał więc ostro, ale urywek mały z tego listu, nadto charakteryzuje pojęcia XVIII w., byśmy go tu przywieść nie mieli.

»Jeżelim dobrze zrozumiał, niewiem czy życzenie pańskie potrafi się zgodzić z zasadami mojemi i pojęciami jakie natchnęły wszystkie pisma moje. Urodziłem się w jednéj z prowincyi Polskich o milę od Gdańska, a gdy ziemia moja rodzima dostała się Prussom, jam ją opuścił, nie jestem więc Prusakiem. Żyłem zajmując się nauką w Anglii, odbyłem podróż około świata, spełniałem różne obo-

wiązki w Cassel, w Wilnie, w Moguncyi. Całe życie starając się być dobrym obywatelem, pracowałem w pocie czoła na utrzymanie— *Ubi bene ibi patria* (!!!) musi być godłem ludzi poświęconych nauce i tych co usiłują zawarować osobistą niezależność w krajach, gdzie panuje arbitralność. Jeżeli wyrażenie „dobry Prusak„ ma znaczyć, że w Moguncyi pod panowaniem legij Francuzkich, powinienem pragnąć końca klęsk wojennych, jestem pewnie dobrym Prusakiem, jak równie dobrym Turkiem i Chińczykiem; ale jeśli dla imienia Prusaka mam się zrzec moich opinij politycznych, smucić się ze swobód nowych, i wstrzymać od wszelkiego, wydobycia ich, udziału, zostać neutralnym lub niedecydowanym w chwili przesilenia— niezasługuję wcale na imie dobrego Prusaka.»

Gdy się armija Custin'a zbliżyła, elektor Moguncki zwołał swych urzędników, oficerów załogi, deputatów miejskich i kazał im poprzysiądz, że będą miasta bronić do ostatka, namiestnikiem naznaczył kanclerza Albini, sam zaś wieczorem wyjechał w jednym powozie ze swoją metressą eskortując pilnie furgony zawierające łupy odartego zamku i skarbcu. Mówiono nawet, że dla bezpieczeństwa zabrano summy należące do zakładów dobroczynnych... Zabierało się na jakąś obronę, wojsko ruszało się, ale 19 października Custine podstąpił pod miasto i zażądał by się poddało, a generał Gymnich uznał bezpieczniejszém zdać je bez wystrzału, sam pośpieszając za elektorem.

Forster pozostał w miejscu, bo musiał. Uniwersytet wybrał go za tłómacza i obrońcę, potém Custine także użył Forstera jako dobrze mówiącego po Francuzku, i ustanawiając rząd tymczasowy zrobił go członkiem. Przyjęcie téj posady, które Forster uważał za konieczność dla dobra kraju, odstręczyło od niego wszystkich dawnych

przyjaciół. Soemmering uważając go odtąd za zdrajcę, zerwał z nim wszelkie stosunki.

Takim sposobem wpadł Jerzy w nową sferę czynności, stając się tłómaczem przy generale, przy zarządzie miejskim, i komissarzach Francuzkich, oprócz tego redagował dziennik i zasiadał w klubie Jakobinów. A że obawiał się o Teressę i dzieci niewiedząc jaki los miasto spotkać może, wyprawił ją do swych przyjaciół do Strasburga— Zarwało to ostatni z nią węzeł, który od powrótu z Anglii dla obojga był tylko ciężarem.

Huber, który wprzód jeszcze opuścił Moguncyję, okazał dosyć szlachetności i nieporzucił Teresy, połączyli się z nim na granicy Francyi i razem udali się do Szwajcaryi, od téj chwili, dziwnym fenomenem, Forster, który ostygł był dla żony, stał się najczulszym dla niéj i Hubera przyjacielem.

W Moguncyi przybycie komissarzy Merlin de Thionvilles, Hausmanna i Rewbell'a nową za sobą pociągnęło pracę, Förster zachorował ze znużenia, a ledwie przychodzącemu do zdrowia, kazano jechać na prowincyę dla przygotowania wyborów, potém zaś wysłano z dwóma innemi do Paryża, dla przedstawienia konwencyi narodowéj aktu unii. Myśląc powrócić za trzy tygodnie; Forster zostawił nawet xiążki i papiery niezabezpieczone. D. 30 marca przypuszczeni zostali przed zgromadzenie wśród oklasków i uścisków braterskich, a Forster piérwszy raz ujrzał Sankiulotów i ponczoszniсe. Tym czasem armija Reńska zabierała się blokować Moguncyę, powracać już nie było można, i musiał pozostać w Paryżu z pensyą 18 liwrów assygnacyjnych, to jest groszem ledwie na kawałek chleba i suchy kartofel wystarczającym, mając tyle, ile trzeba było ściśle by nie umrzeć zgłodu. Rewolucya któréj teraz przypatrywał się z blizka rozczarowało go zupełnie, nazywał ją

poczwarą, żałując, że poczciwie chciał służyć sprawie niepoczciwéj, i w liście jednym pisze, że to było: „kloaką najwścieklejszych namiętności.”

Ale cóż? mimo to został Góralem, Jakobinem i po szyję zatonął w tym zamęcie—gdy w Mogouncyi bombardowano jego bibliotekę i papiery, a za głowę jego naznaczono cenę.. tu zaś z 18 liwrami ciężko było, gdy dwieście kosztowało para butów. Tak przeszła cała zima, Forster starał się u rządu o polepszenie bytu, ale go karmiono grzecznościami, gołego zostawując na bruku. W lecie już myślał porzucić Europę, i udać się na wschód do Indyi, ale to były marzenia i grosza brakło aby przywieść do skutku. Całą jego pociechą była częsta z żoną korespondencya, do któréj pisał teraz jako do najlepszéj przyjaciółki i pragnąc ją i dzieci zobaczyć oszczędzając i odejmując od gęby sobie aby im cóś posłać. Tym czasem zamiast do Indyi wyprawiono go do Cambrai, dla układów o zamianę jeńców, a w sam dzień wyjazdu towarzysz jego Lux został powołany przed trybunał rewolucyjny, za pochwałę Karoliny Kordaj i skazany na śmierć. Forster który był z nim w przyjaźni, ocalenie winien temu poselstwu. Trzy miesiące spędził w północnéj Francyi, cierpiąc straszliwie bez grosza, bez przyjaciół, bez xiążek i zajęcia.

Powróciwszy nareszcie stęskniony zapragnął gwałtownie zobaczyć dzieci i żonę, choć trudno było jemu dostać się do Neucha pod panowanie Prusskie, a Teressie z Huberem przyjechać do Francyi. Postanowili zjechać się na granicy w Travers o kilka mil od Pontarlier. Forster na tę podróż musiał pożyczyć u przyjaciela tysiąc franków, i wyjechał w listopadzie rachując na to że jako urzędnik Rzptéj, nie narazi się na żadne niebezpieczeń-

stwo. Trzy dni zabawili razem z żoną i dziećmi, i widok ich wzmógł jeszcze przywiązanie i pragnął się z niemi połączyć i żyć w Paryżu. Dwa tygodnie jeszcze zatrzymawszy się w Pontarlier, w chłodną porę wyjechał i przybył do Paryża ze szkorbutem, który się zmienił w srogi atak reumatyzmu. A że siedzieć w domu nieumiał, zaziębił się powtórnie, i musiał w łóżko położyć. Położenie biednego męczennika bez grosza i przyjaciół było okropne—miał jednak siłę sam łudzić się nadzieją i w listach do Teresy pocieszać ją. W ostatnim prosił ją, aby doń często pisała, kazał dzieci uściskać,... 12 stycznia już nie żył. U łoża jego jeden tylko wierny pozostał nieszczęściu przyjaciel; inni od tygodnia znikli widząc niebezpieczeństwo. Opisując śmierć Forstera poczciwy ów człowiek zacytował ów wiersz Łaciński.

Donec eris felix— multos numerabis amicos
Tempora si fuerint nubila— solus aris..

Tak nieszczęśliwy ten człowiek miotany tylu wypadkami skończył zapomniany, opuszczony, własny ojciec jego od czasu jak osiadł w Halli znienawidział i mówił, że radby go widzieć na szubienicy.. Soemmering nie chciał słyszeć o nim. Lichtenberg potępiał, Jacobi milczał, jeden stary Hejne płakał po nim. — Nierychło potém Gervinus pisma wydarł zapomnieniu w których spoczywały; zajął się ich wydaniem i dźwignął pamięć tego dziecięcia XVIII wieku, które tak w swéj sferze dobitnie przedstawia jego charakter, popędy i ułomności.—

Z dzieł i korespondencyi Forstera to co się odnosi do pobytu jego w Wilnie powinien by ktoś z biografii Koeniga przełożyć.

LIST A. B. DO REDAKTORA

TEKI WILEŃSKIÉJ.

P. Redaktorze! po przeczytaniu 3-go tomu „Teki" ucieszyłem się niepomału, ujrzawszy w nim nowy dział— korespondencyę. O ile pojmuję, chcieliście zapewne przez to ożywić wasze pismo, zamieszczając w lekkiéj listowéj formie żywotniejsze bieżące kwestyje. Forma listowa daje poniekąd prawo traktowania o przedmiocie nie koniecznie systematycznie,— choćby pobieżnych kilka myśli, ale żywotnéj tylko treści pożądane są dla pisma, zwłaszcza dla zbiorowego, którego charakterem jest, między innemi, usunięcie działu krytycznego. Tak przynajmniéj pojąłem zamieszczenie owego oryginalnego zkądinąd listu chłopa z Maryjampolskiego.

Jeżeli tedy myśli o języku Litewskim mają prawo obywatelstwa w piśmie waszém, może mi pozwolicie powiedzieć słów kilka o języku Polskim. Ten ostatni, zdaje mi się, więcéj was interessować powinien, jako więcéj interessujący publiczność, czytającą waszą Tekę.

Dwie rzeczy spowodowały odezwę moję: wprowadzenie języka Polskiego do szkół Wil. nauk. okręgu i powtóre, premijum p. Rastawieckiego na synonimikę Polską.

Niedawne to jeszcze czasy, kiedy Wilno było ogniskiem oświaty, kiedy wszechnica Wileńska rozsiewała na wszystkie dokoła prowincyje promienie istotnéj bo rodzimej oświaty. Kwitły nauki wszystkie, kwitnął język Polski najbardziéj. Zbyt świéże to dzieje, a przynajmniéj, zbyt żywo się rysują w pamięci i sercach Litwinów, bym miał tu potrzebę mówić o tém jak o dalekiéj przeszłości: w piśmiennictwie, w życiu naszém umysłowém, w ogóle odczuwa się co chwila ta świetna epoka Wilna i Litwy— imiona Grodków, Śniadeckich wespół z plejadą wieszczów splatają nieśmiertelny wieniec chwały, którą późniejsze pokolenia umieją oceniać i niełatwo przepomną, bo żyją i karmią się myślą jednych, uczuciem i wieszczém natchnieniem drugich.

Nie rozwodząc się więc széroko, powiém tylko, że za czasów wszechnicy Wileńskiéj, gałąź nauk z najlepszém uprawiana powodzeniem, była filologija starożytna i Polska. Stała ona może na równi z ówczesném stanowiskiem filologii na Zachodzie. Dziś zaś, kiedyśmy tu odłogiem zostawili niwę językową, nauka ta na Zachodzie, a najbardziéj w Niemczech, wielkie zrobiła postępy;— w ostatniéj ćwierci tego wieku filologija, można powiedzieć, całkiem się przeobraziła: z suchéj, rutynicznie, po średniowiekowemu traktowanéj nauki, stała się żywą, zasobną w myśli, olbrzymią, a co ważniéjsza—konieczną podstawą badań starożytniczych i dziejowych. Zapewne, była ona i piérwiéj zastosowywaną,—ale naówczas filologija, niemająca wielu wyrobionych dziś pewników, nie mająca swéj filozofii, (1)

(1) Mógłby tu kto zrobić uwagę, że Adelung, Monboddo, autor dzieł „le monde primitif" i „ histoire naturelle de la parole" i tylu innych pisali swoje teoryje daleko wcześniéj, niż w drugiéj ćwierci tego wieku. Nato-bym odpowiedział, że w tych filozoficznych pomysłach

błąkała się w chaotycznym labiryncie hypotez bezowocnych i zastosowana do dziejów, albo archeologii, nie tylko nie rozjaśniała rzeczy, ale gmatwała jeszcze bardziéj i zostawiała obszérne pole dla dowólnych twierdzeń.

Ale dziś, kiedy dzięki Beckerowi, wiemy, że język, to żywy *organizm*, którego dowolnie przetwarzać i plątać nikomu niewolno; kiedy dzięki tylu innym badaczom słowa ludzkiego, wiemy, że wszystkie mowy, języki, narzecza splatają się w jeden nierozerwany łańcuch wszechludzkiéj mowy, kiedy mamy już niejakie skazówki, wyjaśniające tę cudowną wiązaninę wszechjęzyków, po których już ze świadomością chodzić możemy, dziś więc, powiadam, już nie hypotezując dowolnie, opierać się możemy na filologii w dociekaniach dziejowych, albo kosmologicznych *np.*, jak to robił autor Kosmosu, biorąc za podstawę badania filologiczne brata swego Wilhelma.

Filologija dzisiejsza doszła już do tych rezultatów, że każdy język, każde narzecze języka, każde nawet podrzecze (używając termin Szafarzyka) narzecza, jest-to żywy organizm, a jako taki zawiera w sobie wszystkie warunki (do oddania) we właściwy sposób każdéj myśli, i w składzie swoim jest niepodzielny, niezawisły od pokrewnych języków albo narzeczy, czyli że jest w sobie samym całością. Z postępem czasu, z biegiem historycznym narodu i język może się kształtować, doskonalić się nawet, ale jak w piérwszym

przedstawiały się tylko dwie ostateczności, dwie rozłogi myśli o języku; materjalnéj i idealnéj, czyli jak je zowią w téj nauce, psychologicznéj i naturalnéj teoryi słowa; a gdzie są ostateczności, gdzie bieguny myśli pojedyńczo tylko się objawiają, gdzie niéma tych biegunów zetknięcia się, niemasz tam jeszcze iskry elektrycznéj, niemasz prawdy istotnéj, jaka się za dni naszych odsłania w pomysłach filologicznych W. Humbolota, a nawet Boppa, Grymma i t. d.

zaczątku swoim, tak na ostatnim szczeblu organizm języka, będzie zawsze tenże sam. Jak w organizmie ludzkim już w embryonie leży możebność istnienia istoty, z czasu postępem krzepnie tylko i rozwija się organizm człowieka, każda cząstka jego przetwarza się, przekształca, ale nigdy nie ginie i nigdy to nieustanne przeobrażanie się, niezmienia istoty organizmu ludzkiego. Toż samo zupełnie i w mowie: organizm języka każdego, z wielolicznych przyczyn kształtuje się ciągle, wykluwają się nowe słowa, doskonalą się formy językowe; ale przez to bynajmniéj się nie zmienia organizm; istota jego pozostanie zawsze niezmienną. I istotne bogactwo języka zawsze jest w gruncie niezmienne: ani przyswajanie wyrazów z obcéj mowy, ani naciągane tworzenie nowych wyrazów nie wzmoże bogactwa językowego. Złudne takie pojęcie i chyba dla bardzo niewprawnego oka wydałoby się rozszerzeniem leksykologii. Bo bogactwa każdéj mowy niestanowią pochodniki, ale wielka ilość pierwotników; giętkość końcówek (względnych) łatwo może wywiązać w duchu języka wiele pochodników, ale nie powiększy się przez to bogactwo mowy. Mieliśmy *np.* w języku wyrazy „anioł" „promień" czy przez to wzrosło bogactwo słowa Polskiego, że któryś tam z poetów szczęśliwie użył, a tłumy naśladowców powtórzyły za nim—„rozanielony", „rozpromieniony". Były już pierwotniki tych ostatnich wyrazów, była już możebność podobnych zmian przymiotnikowych na *ony* (bo było ich 42 według Muczkowskiego),— jasno więc, że obręb języka nie rozszerzył się przeto.

Wiadoma to wszystkim prawda i jeżeli wspominam o niéj, to dla tego jedynie, że w piśmiennictwie naszém dziwne objawiają się zdania w tym względzie: zarzucono już wprawdzie przyswajanie obczyzny, ale mamy za to dru-

gą, może gorszą ostateczność— tworzenie, albo raczéj kucie nowych swojskich wyrażeń, jak gdyby język był kuźnią, w któréj kaźda kowal cóś wedle swego widzimi się ukuć potrafi. O ile postrzegałem, uprzedzenie to od lat kilkunastu stało się zupełną manią. I jak nieoględni ci panowie twórcy? niech policzą ile narobiono nowych wyrazów, wszak na seciny rachować je możemy, a ile przyswoił duch języka? dwa, trzy wyrazy jakie. Mowa tu o wydobytych z ducha języka pierwotnikach jak jaźń *np.*, boco do pochodników, to tych mamy aż nadto, jak o tém wspominałem już.

Nie tylko w słównictwie, ale i w gramatykach naszych widoczna ta plątanina zdań, ta niemoc zasad językowych: popisano tuziny większéj albo mniejszéj objętości grammatyk, a któż się zgodzi by na jednę z nich? Czyż wyobraża dostatecznie choć jedna z nich ducha téj „strojnéj i ogranéj" (wyrażając się słowy poety) mowy Polskiéj?

Czyż więc daremne te tak żmudne krzątaniny gramatykarzy naszych? i zkąd mianowicie pochodzi bezskuteczność tak mozolnych poszukiwań?

Nic nie ginie w przyrodzie, co tylko z ducha prawdy i miłości początek swój bierze, a więc nie zaginą i prace wielu grammatyków naszych, każda z nich maluczką cegiełką, dorzuconą do przyszłego budynku mowy Polskiéj. Nie zaślepiajmy się tylko miłością własną, a dostrzeżemy prawdy: myli *np.* Muczkowski, jeźli sądzi że napisał gramatykę języka Polskiego. On opracował tylko lepiéj przymiotniki, rzeczowniki i rzucił nowe światło na łączenie spółgłoskowych i samogłoskowych brzmień; mylą się Żochowski i Morzycki, jeźli myślą, że ostatecznie odgadli „mownię języka Polskiego". Rrzucili oni tylko kilka nowych myśli na części mowy odmienne (Żochowski), albo staran-

niéj zajrzeli, do niewyczerpanego bogactwa czasowników naszych (Mórzycki), ale i tu niewypowiedzieli ostatniego słowa. Cegielski i ksiądz Malinowski jawnym są tego dowodem. Tak samo Łazowski np. niestworzył ostatecznéj teoryi języka, ale wypowiedział wiele myśli o naszéj składni tak też i inni: każdy z nich cóś dodał do przyszłéj wiedzy słowa Polskiego.

Trudniéj daleko odpowiedzieć na drugie pytanie, dla czego stosunkowo, do tak wielkiéj pracy filologów naszych, tak małą osiągnęliśmy korzyść. By odpowiedzieć na to, trzeba byłoby porównać prace badaczy naszego języka z filologami Zachodu; pokazać jaką drogą rozwijało się badanie języków na Zachodzie, na czém się obecnie zatrzymało i o ile od tego pozostali, nasi pracownicy. To wszystko przechodziłoby zakres listu mego; poprzestanę więc na wskazaniu kilku ogólnych uwag.

Powiedzieliśmy już, że język niejest mechanicznym splotem wyrazów, ale organiczną ich spojnią, w któréj filozofowie słowa ludzkiego dostrzegli rozumnéj wyższéj doskonałości. Jako utwor ludzki, język byłby na wieki nierozwikłaną zagadką dla człowieka, jako dzieło Boże, objawia jak w najdrobniejszych cząstkach, tak i w całości swojéj nieskończenie mądrą doskonałość, którą ludzie tylko po wielkich myśli wysileniach zaledwo w części zrozumieć i ocenić zdołają.

Jako organiczny utwor, język, w każdym periodzie swojego żywota, jest całością, jest harmonijnie zczłonkowaną jednolitością; niemasz w niéj nic sztucznie przyklejonego, nic martwego, bo żywy organizm odtrąci martwy członek, dla tego właśnie, że ma siłę wyrabiania wszystkiego ze siebie samego. Dla tego języki te słusznie zowią się żyjącemi, dla odróżnienia od języków martwych, które skoń-

czyły istnienie swoje (Sanskrycki, Koptyjski...) Te ostatnie, jako jedynie sztucznie przechowana pamiątka przeszłości dowodzą tylko wielkiéj niegdyś siły żywotnéj, kiedy i po śmierci w niejaki sposób bytować mogą Jak każdy żywy organizm daje się pochwycić w chwili obecnéj, bo jego przeszłość jakkolwiek w ogóle mówiąc taż sama, w szczegółach jednak bardzo się różni od teraźniejszości; tak też i językowy organizm może być postrzegany tylko w teraźniejszości.

Krom tego normalnego życia języka w teraźniejszości, w xięgach zostały zapisane ślady jego z ubiegłego żywota. Te piśmienne zabytki zachowane w literaturze bez wątpienia są tylko martwym daguerrotypem przeszłości języka w danéj epoce. Może się tam odbić ogólna mądrość ustroju mowy, ale i téj zupełnie, zapewne, że nieodgadniemy. A tém mniéj domyślić się możemy bogactwa leksykologicznego; bo i teraz nawet, kiedy filologija od tak dawna wyrobiła pomysł słównictwa, przy tych nawet podręcznikach nie możemy mieć zupełnéj całości wyrazów językowych i nieskończonéj rozmaitości ich użycia, właśnie dla tego że żywy organizm ma to do siebie, że nielatwo go podciągnąć pod teoryjne formułki. Z ksiąg wszakże tych widzimy, że niektóre cząstki organizmu niezmieniły się i są obecnie też same co pierwiéj,—inne zaś skutkiem téj vis vitalis przetworzyły się na nowe cząstki z zachowaniem wszakże tożsamości, ogólnego ustroju mowy. To zarówno się stosuje do form języka, jak i do leksykologji jego.

Chcąc więc filozoficznie zbadać organizm językowy, trzeba obecny jego żywot z ubiegłym porównać, bo tą tylko drogą można dojść do zupełnéj świadomości języka. Wydobyte taką koleją zasady mowy, wzięte jeszcze porównawczo z innemi pokrewnemi językami, stanowić będą

grammatykę filologiczną, albo filozoficzną. Zwyczajna zaś, podręczna, grammatyka nie sięga tak daleko: nie zagłębia się ona w przeszłość, nie porównywa z pokrewnemi narzeczami, ale pokazać powinna czém jest język w obecnéj chwili. Podaje ona przytém prawidła części tylko organizmu językowego, języka wykształconego, poprawnego, książkowego nakoniec. Filozoficzna zaś gramatyka rozpatruje język w całéj jego obszerności—tu i prowincijonalizmy, potępiane w zwyczajnéj grammatyce mają miejsce i wchodzą do całości organizmu: są to tylko odcienia, ale bynajmniéj niespaczenia ducha języka. Bogaty a mało co tknięty język ludu ma tu także prawo obywatelstwa, bo w nim filolog dostrzedz może klucz do rozwiązania wielu zagadek językowych. Ale jakkolwiek wyższy, naukowy cel jest tylko w téj ostatniéj grammatyce, wszakże ważniejsza czasem bywa rola zwyczajnéj grammatyki; ona to właśnie jest strażnicą czystości języka i integralności jego; ona jedna opiera się wpływom obczyzny, które z wielolicznych przyczyn niepostrzeżenie weń wsiąkają.

Tutaj w Wilnie za czasów byłego uniwersytetu Wileńskiego przestrzegano poprawności, zwracano przedewszystkiém uwagę na ogładę i czystość językową, na język piśmienny. Kopczyński ówczesny teoretyk i nieodwołalny sędzia języka, chociaż w swych badaniach zagłębiał się w przeszłość języka, jednakże wszystkie swe zasady kierował ku temu, by oczyścić język nie tylko z obczyzny, ale i z ludowych jakichś wyrażeń i zwrotów mowy. Myślał więc on przedewszystkiem o poprawności mowy, o ogładzie językowéj. Kierunek ten filologiczny przyniosł niezaprzeczoną korzyść; oczyścił język, uwolnił od wielu wpływów cudzoziemskich i doprowadził do stopnia doskonałości pod względem giętkości i łatwości oddania myśli.

Ale to wyszlifowanie, ta ogłada językowa, będąca także skutkiem oddziaływania na nas Francuzkiéj literatury, wyrobiła jakąś monotoniję i brak siły w języku. Zjawienie się w literaturze szkoły romantycznéj, stanowiąc epokę w poezyji, jest zarazem epoką i dla języka. Genijalni poeci nasi, czerpiąc natchnienie w ludowych podaniach, musieli dla oddania swych obrazów i wyrażeń od ludu pożyczać. Z początku szczęśliwie wybierane i przyswajane językowi wyrażenia i zwroty całe, powiększały zasoby językowe, ale w nieprzeliczonych tłumach naśladowców szkoły romantycznéj, myśl ta pierwotna zkoszlawioną i wypaczoną została.

To co objawiło się w praktyce weszło z czasem do teoryi: i oto gramatycy nasi zaczęli wciągać do swych formułek ludowe zwroty, wyrażenia dawne. Muczkowski, Łazowski, Żochowski, Morzycki, Sztochel nawet (choć się on odwołuje do Kopczyńskiego), i inni, w gramatykach swoich wyrażają ten nowy zwrot do ludowego pierwiastku, albo zwrot do przeszłości.

Nieumieją oni, czy niechcą, odróżnić zasad, téj jakeśmy nazwali, filologicznéj grammatyki od grammatyki zwyczajnéj. Ztąd też może pochodzi ten nieprzebyty labirynt hypotez i brak jasnego na istotę mowy poglądu. Muczkowski wprowadza wiele wyszłych z używania wyrazów i na téj podstawie buduje teoryje; Morzycki, powołując się na mistrza swego Żochowskiego, naiwnie się raduje, że odkrył już ten nowy kamień filozoficzny.—podział czasowników i wzory normalności i anomalji słów, choć, jakeśmy powiedzieli, illuzyja ta zniknąć może, kiedy np. x. Malinowski ze stanowiska porównawczéj metody językowéj rozpatrzyć zechce tę sztuczną budowę; cieszy on także, że wprowadził ludowe czasowanie t. j. liczbę podwojną, choć już świę-

téj pamięci opat Dobrowski wspominał był o niéj, nie mówiąc już o tém, że grammatycy nasi rozwijali tę myśl. Słowem, gramatycy nasi niepilnują się poprawności współczesnego języka, ale chcą niby filozoficznie objaśnić zasady mowy naszéj. Niedorównali wszakże wymaganiom téj ostatniéj, a zamącili czystość i poprawność współczesnéj mowy. Te więc plątaniny i chybkość zasad filologicznych może są przyczyną tak małych owoców żmudnéj i mozolnéj pracy grammatyków naszych.

Obecnie więc, kiedy wprowadzony został język Polski do szkół Wileń. nauk. okręgu, przewodnicy języka tego mają, zapewne, wielkie przeszkody w braku dobrego podręcznika językowego, któryby, niebłąkając się po bezowocnych hypotezach, dał jasne pojęcie poprawności mowy naszéj. I dla tego zwracam uwagę twoję, p. Redaktorze, na ten niedostatek, który bez wątpienia zbyt dotkliwie się czuje; wszak widzę na liście współpracowników twego pisma imiona osób, którzyby łatwo temu zaradzić mogli, łatwo mogliby napisać taki podręcznik językowy, któryby nieprzypuszczając do się mętów filologicznych, jasno i treściwie objaśnił ducha mowy naszéj. Tém konieczniejszy jest taki podręcznik, że prócz braku dobréj gramatyki, inną jeszcze widzę trudność w korzystnym wykładzie języka Polskiego: język ten ma się wykładać porównawczo z Rossyjskim, a najbardziéj ze sławiańskim.

Wiecie zapewne dobrze na jakim dziś stopniu stoi porównawcza nauka języków Słowiańskich—niech mi wolno będzie tutaj najogólniéj dotknąć się téj kwestji.

Od lat już wielu po całéj Słowiańszczyznie, w Rossyi, w Pradze-Czeskiéj, w Berlinie, w Belgradzie Serbskim i t. d. pozaprowadzano porównawczy wykład języków Słowiańskich. Przewodniczyła w tém uczonym filologom, ta mię-

dzy innemi myśli, że był niegdyś jedyny język Słowiański, który po przejściu jakiegoś długiego peryodu czasu, rozpadł się na różne narzecza, tak, że z jedynéj ogólnéj mowy pozostały dziś szczątki tylko wspólnego organizmu mowy Słowiańskiéj. W głowach tedy filologów zrodziła się myśl odtworzenia, choćby sztucznie tego źródłowego języka. Ale myśl ta z fałszywéj wypływając zasady, niedoprowadziła do pożądanych rezultatów; gorączkowo wziąwszy się do pracy, filologowie Słowiańscy ani się spostrzegli, że zabrnęli nietam dokąd zdążali.

Objaśnię myśl moję bliżéj.

Hypoteza, że rozmaite narzecza stopniowo się rozwijają z jednego języka, powszechnie kiedyś przez filologów przyjęta i przewodnicząca, jak mówiłem, filologom Słowiańskim, dziś już jest zachwianą, jeśli nieobaloną. Żeby poprzeć myśl, że dzisiejsze Słowiańskie narzecza, pochodzą od jednego wspólnego wszystkim języka, że ten ostatni z postępem czasu, rozpadł się na widome dziś cząstki, trzeba było z pomiędzy współczesnych narzeczy wskazać *jedno* starożytniejsze i przytém takie, do którego, jako do ogólnego ogniska, byłoby można sprowadzić wszelkie lexykologiczne i etymologiczne różnice innych narzeczy. Oddawna filologowie zwracali uwagę na narzecze Cerkiewno-Słowiańskie, które jak się im zdawało, zawiera w sobie wszelkie resztki tego pierwotnego, pan-Słowiańskiego języka, jeszcze nierozpadłego na narzecza. Potrzeba było zatém faktycznie wykazać ten pierwowzór cerkiewnego narzecza, jak w etymologicznych formach, tak też i w lexykologicznym składzie. Rezultaty wszakże dowiodły całą chybkość téj hypotezy. Na dowód wspomnę o stopniowém rozwijaniu się rozmaitych przypuszczeń, z którego dojrzeć możemy, że ideja o pierwszeństwie jednego Słowiańskiego na-

rzecza przeszła wszystkie fazy możliwych twierdzeń, i w końcu stanęła w najzupełniejszéj ze sobą sprzeczności.

Skoro się tylko dotknięto tego pytania, z powodu tłómaczenia Biblii na język Słowiański, mniemano: że w IX wieku język ten jeszcze się nierozpadł na narzecza i był jednaki, t. j. wspólny u wszystkich plemion. Ale zdanie to, mające za sobą głos jednego tylko ***Rakowieckiego***, zamieniono wkrótce inném: że język Słowiański w tym wieku rozpadły już był na narzecza. Pytanie zatém, jakie z nich było najdawniejsze i źródłowe?

I. ***Dobrowski*** piérwszy wskazał na ***skrócenie***, albo raczéj na ***bezsamogłoskowość*** (**безгласіе**) Cerkiewno-Słowiańskiego narzecza (np. **търгъ**, **кръвь**, **плъкъ**), jako na pierwotne źródło, z którego stopniowo się wywiązały ***pełne samogłoskowe*** formy innych, późniejszych narzeczy Słowiańskich (targ, **торгъ**, półk, **полкъ**, krew' **кровь**,).

Maxymowicz obalił to twierdzenie i z większą może dokładnością wskazał na pełność samogłoskowych brzmień (**полногласіе**) jako na jedyne pierwotne źródło, z którego z czasem przez stopniowe skrócenia, wypłynęła krótkość samogłoskowych brzmień i nawet całkowity brak tych brzmień (**безгласіе**), w innych narzeczach Słowiańskich (np. **шерсть** ross., sierść nasze, srst. Czeskie...). ***Katków*** stanął wśrodku tych dwojga ostateczności, i starał się zbliżyć je ze sobą, przyjąwszy za pierwotną zasadę ***dwoistą-samogłoskowość*** (**двоегласіе**), z którego rozwinęła się z jednéj strony pełność samogłoskowa w jednych, a krótkość samogłoskowa w drugich narzeczach. Tę dwoistość samogłoskową Katków chciał widzieć w Cerkiewno-Słowiańském narzeczu, że zatém ono było najdawniejszém. Ale hypoteza niedała się praktycznie sprawdzić i uczony filolog zmuszony był w końcu zgodzić się z Grimmem, że ***różnice*** narze-

czy w najdawniejszych czasach, (t. j. o ile sięgać mogą w przeszłość piśmienne zabytki Słowiańskie) były wyrazistsze, że własności pojedyńczych narzeczy daleko widoczniéj niżli dziś były oznaczone.

Taką koleją stopniowy rozwoj twierdzenia, że była kiedyś jedyna, wspólna wszystkim Słowianom mowa, doprowadził do rezultatu, że w żadném z dzisiejszych narzeczy Słowiańskich niemożna znaleźć tego ogólnego pierwowzoru, tego źródłowego pierwiastku, z którego można byłoby filologicznie objaśnić różnice innych narzeczy; czyli, co zatém idzie, że żadnego dotąd narzecza niemamy prawa nazwać pierwotném, że każde pojedyńcze narzecze od wieków było oddzielném, niezawisłém. Piérwszeństwo Cerkiewno-Słowiańskiego narzecza, zdaje się, że ostatecznie dziś już zachwiane; ale wiara w istnienie ogólnéj niegdyś mowy Słowian dotąd jeszcze się trzyma, przynajmniéj tak wnioskować można z twierdzeń *Sreznie wskiego*, który w *Staro-Słowiańskiém* (jak je nazywa) narzeczu zawsze jeszcze chce widzieć źródło wspólnéj mowy Słowian.

Nietylko Srezniewski; wielu innych filologów pracuje jeszcze w imię téj staréj idei, ale w cale już nie z tym zapałem, nie z tą wytrwałością co dawniéj; bo znikła już pierwotna, illuzya marzycieli Słowiańskich, że może kiedyś zabrzmieć ogólna wszechsłowiańską mowa: dziś już wprawniejszém trochę okiem doświadczenia poglądając na przeszłość téj mowy, z smutném odczarowaniem dochodzą do téj prawdy, że co Bóg i czas rozdzieliły i wywołały na widownię dziejów, napróżnoby człowiek starał się połączyć albo raczéj zgmatwać ze sobą. Coraz bardziéj mgliste, coraz słabsze filologów Słowiańskich dowodzenia, pozwalają nam mniemać, że z czasem zupełnie zniknie to ich marzenie;

a zresztą i badanie innych filologów: Niemieckich— Grimca, Boppa; z Ruskich Busłajewa, w teoryi stwierdzają to, do czego Słowiańscy badacze przyszli drogą analizy filologicznéj.

Wskazałem tu tylko na tło główne badań filologicznych, na kierunek ich. Niewdawałem się w szczegóły, niemówiłem nic o *jorach* i *jusach*, tych mitycznych sfinxach, które niemiały dotąd swego Szampoljona; bo mnie się zdaje, że i w tych ogólnych zarysach widzieć już można, że porównawcza filologija Słowiańska, niemając należytego punkt opory, musiała z natury rzeczy wikłać się, w zaczarowanym kółku bezowocnych przypuszczeń. Mozolne poszukiwania Czechów i kilku pierwszorzędnych filologów Niemieckich położyły tu tylko początek;— do pożądanego rezultatu jeszcze daleko. Dziś przez mglisty obłok różnorodnych opinij filologicznych i przejrzeć nawet niemożemy, jaką drogą pójdzie daléj nauka i na czém się ostoi ostatecznie.

Jeżeli tedy taki zamęt zdań, objawia się w świecznikach nauki, jakże trudno dadzą się zastosować myśli te, dla dzieci w gimnazyach! bo tam to tylko korzystnie przyswoić się da, co już nauka po wielkiéj doświadczenia próbie, zamieniła na niezbite axyomata.

Na twoich więc współpracownikach, p. Redaktorze, leży obowiązek zaradzenia temu drugiemu niedostatkowi. Ten zdaje mi się, choć w części dałby się usunąć, jeśliby zrobione były takie wypisy, gdzieby się najwyraźniéj oznaczały różnice mowy Cerkierwno Słowiańskiéj i Polskiéj, jak *np.* Ewangelija Ostromira, Ewan. Reimska, Prawda Ruska, Słowo o półku Igora, objaśniane albo tłómaczone przez naszych uczonych Rakowieckiego, Bielowskiego, Krasińskiego, i kilka innych co dawniejszych zabytków.

Rozpisałem się zanadto w piérwszéj części listu mego, ograniczę się za to kilką słowy w drugiéj.

Najprzód Gazeta Warszawska, potém Biblijoteka ogłosiły premijum P. Rastawieckiego za napisanie synonimów Polskich. O ile premijum takie jest ważne, a dzieło podobnéj treści pożądane w obecnym czasie, wie dobrze każdy, komu nieobcy kierunek a najbardziéj stanowisko badaczy naszego języka. Za dni naszych nietylko w mowie, ale i w piśmienictwie panuje taka dowolność, że każdy z nas mówiących albo i piszących, pozwala sobie używać wyrażeń częstokroć sprzecznych z duchem mowy naszéj, i ustalonych zasad lexykologicznych; stało się to tak endemiczną chorobą, że nieledwo każdy popełnia grzech ten. Słównik więc synonimów, jeśliby mogł być należycie opracowany, wykazałby nietylko, jak mówi Biblioteka, bogactwo naszych wyrazów blizkoznacznych, ale zarazem wprowadziłby może jakiś ład w dzisiejszéj lexykologii i dla kształcących się w języku byłby niejako skazówką, do któréj w razie potrzeby odwołaćby się można.

Ale właśnie dla tego, by praca podobnego rodzaju mogła służyć wyrocznią, potrzeba, by w zupełności odpowiedziała wymaganiom nauki i głębiéj zajrzała w ducha mowy naszéj, niźli dotychczasowe nasze prace językowe. Nieważna jak mnie się zdaje, uwaga Pamiętnika religijno moralnego, że w języku żyjącym, wyrabiającym nieustannie nowe wyrazy, niepodobna wymienić ***wszystkich*** synonimów; światli sędziowie Biblioteki Warszawskiéj, bez wątpienia na tę niepełność uwagi zwracać niebędą bo tu chodzi o głębokie w ducha mowy wtajemniczenie się i dobre zestawienie wyrobionych już synonimów; ale najzupełniéj zgodzić się można z drugą Pamiętnika uwagą, że słównik

synonimów niemoże być dziełem jednego człowieka i nie trzech lat pracy owocem.

Na poparcie tego zdania Pamiętnika, te byśmy zrobili uwagi: język nasz tak bogaty w źródłowe wyrazy i tak fantastycznie swobodny w odcieniach wyrazów pochodnych, że niepodobieństwem zda mi się w tym czasie (do 1861 r.) pochwycić tę subtelność organizmu mowy naszéj. Potrzebaby do tego wiele, bardzo wiele studyów krytyczno-językowych, potrzeba oddzielnych monografij, (jeśli tak się wyrazić wolno) w przedmiocie lexykologii naszéj, zanimbyśmy zdołali stworzyć jakąś pożądaną całość.

Wyrazy języka naszego nietylko w potocznéj mowie, ale i w piśmiennictwie, jak to wspomniałem, tak są często dowolne, że przetwarzają czasem istotne wyrazu znaczenie. Niéma tu mowy o manijerze, jaką ma wielu z piszących, ta niezepsuje języka, bo każdy łatwo dostrzeże ten niewinny grzech *in gratiam predylekcyi* do jakiegoś ulubionego słówka; mówimy tu tylko o naciąganém przetwarzaniu znaczenia wyrazu, o niewłaściwém jego użyciu. To używanie wyrazów jednych zamiast drugich, synonimowych za właściwe, wyrobiło wprawdzie lekkość, złudną powabność mowy, ale jakżeśmy wiele za to stracili na sile, na mocy wyrażenia! Doszliśmy już do tego, że dla określenia téj energii słowa używamy dziś Francuzkiego wyrazu— „*verve*". A przecię każdemu wiadomo, że język ten wyrobiwszy najsubtelniejszą frazeologiję, postradał już właściwą moc, widać więc, że i nam braknie téj mocy, kiedy dla określenia jéj pożyczamy z języka, który właśnie jéj niema?

To rozmyślne, czy fantazyjne branie synonimów, albo czasem i całkiem niewłaściwych wyrazów spotykamy naj-

częściéj u poetów współczesnych. Zatraciwszy wiele tradycyjnych pojęć klassycyzmu, niezapomnieli oni wszakże o *licencyi poetyckiéj* i tą jedynie tarczą zbrojni, uchylają się od wszelkich praw językowych.

Powie kto może, że to maluczka cząstka organizmu mowy naszéj, że to drobiazgi, na które zwracać uwagi nietrzeba! Zapewnie że *drobiazgi*; ale weźmijcie wszystkie dzieła nasze prozą i wierszem pisane od lat kilkudziesięciu, od początków szkoły romantycznéj *np.*, porównajcie ze Słównikiem Lindego, i porachujcie wszystkie te drobiazgi; a zobaczycie ile tam tego się uzbiera! Cóż więc poradzić ma przyszły autor Słównika synonimów? Czy doprawdy trzymać się owego Heglowskiego zdania, „alles was ist, ist dernünftig"? i wszystkie, skutkiem fantazyi albo rozmysłu ukute wyrazy wciągać do Słównika? Czy może rozgatunkować je jakoś na dobre i złe, na mające wejść do słównika i poza obrębem jego zostać mające? Gdzież więc zasada po temu, gdzie punkt oparcia? Kto, albo co wyrocznią tu służyć może? Wszak niemamy akademii, jak Francuzi niegdyś, żebyśmy do powagi jéj odwołać się mogli?

Bagatelna więc rzecz, czy mogą wejść *wszystkie* wyrazy do słównika, ale *jakie* mają wejść? to pytanie daleko trudniejsze, i szczerzebyśmy się cieszyli, jeźliby Biblijoteka Warszawska w zadawalniający sposób rozwiązać to mogła.

Dla tych to uwag sądziłbym, wespół z Pamiętnikiem, że pominę inne rzeczy, np. zbyt małe wynagrodzenie za tak wielką pracę, że szlachetna gorliwość p. Rastawieckiego, jeśli niezostanie całkiem bezowocną, to przynajmniéj, niewyda tych błogich owoców, dla których zapewnie p. Rastawiecki ogłosił premijum.

Nieubliżając zasłudze tylu pracowników na niwie słowa Polskiego, nieledwo z pewnością powiedzieć możemy, że słkwnik synonimów, jeśli i zjawi się w 1861 roku, będzie tylko próbką tego rodzaju pracy, i bez wątpienia, niezadowolni współczesnych wymagań językoznawstwa.

Dnia 15 marca
1858 roku.

LIST ANDRZEJA JASTRZEMBSKIEGO

O KOŚCIELE W POZELWIE.

W Gubernii Kowieńskiéj, powiecie i dekanacie Wiłkomierskim, parafii Żmujdeckiéj, w miasteczku Pozelwie, położony jest kościoł drewniany pod tytułem ś. Ignacego.

Jerzy Xiążę Radziwiłł, syn Mikołaja Czarnego: Anny Szydłowieckiéj (ur. roku 1556) zapisał oo. Jezuitom, majętność swoją Żmujdki z kilku folwarkami i z miasteczkiem Pozelwą. Jezuici mając kościoł parafialny w Żmujdkach, założyli jeszcze filialny w Pozelwie; ale w którym czasie to założenie nastało, kto go i kiedy konsekrował?— ubogie zupełnie miejscowe archiwum, żadnéj o tém wiadomości nieprzynosi. Akta nawet metrykalne zaledwo sięgają roku 1778.

Klemens XIV (Ganganeli) Bullą swą Papiezką, poczynającą się od słowa: »Deus ac redemptor» skasował Zakon Jezuitów zamożny w naukę, talenta, i bogactwa. To wydaliło ich z licznych i pięknych majątków; a w téj liczbie ze Żmujdek i Pozelwy. Sejm zaś 1775 roku, usłuchawszy głosu mądrości i obywatelstwa Joachima Chreptowicza, ogromnę fortunę zgaszonego zakonu, oddał na potrzebę edukacyi publicznéj. Taką koleją, w skutek postanowienia kommissyi rozdawniczéj, i za przywilejem króla Stanisława-Augusta, dobra Żmujdki z folwarkami Wolin, Perkale, Daugudzie, Pozelwa, i z miasteczk-

kiem tegoż nazwania, oddane zostały na wieczność, z obowiązkiem wnoszenia tak nazwanéj kwarty, dla funduszu edukacyjnego, jenerałowi Morykoniemu dziedzicowi majątku Nidok, przyległego do dóbr po-Jezuickich.

Żmujdki z pomienionymi folwarkami i z miasteczkiem Pozelwą, przynosiły na rok kilkadziesiąt tysięcy złotych dochodu. Z tego jednak co do dziś dnia pozostało po-jezuitach w kościołach Żmujdeckim i Pozelwiańskim; z tego mówię wyraźnie widać, że się niełożyło nic, albo mało co więcéj jak nic, na ozdobę i utrwalenie tych kościołów. Jezuici rostaczali swoje wielkie bogactwa, po wielkich miastach; tam występowali w całym blasku ze swymi dostatkami; wiejskie zaś kościoły były bardzo skromnie, ledwo niepowiém ubogo utrzymywane; chociaż przodkowie nasi, z nieoględną nawet hojnością, nadawali Jezuitom majątki; chociaż w tych nadaniach żaden kraj, żaden naród niewyrównał Litwie, i nigdzie gorliwiéj jak u nas, niwa religijna uprawianą nie była.

Kościoł tedy Pozelwiański, z epoki rządu oo. Jezuitów, niema swojéj zajmującéj przeszłości, i swego wspomnienia. Po kassacie Jezuitów objęło go duchowieństwo świeckie, a filija Pozelwiańska bardzo ubogo została uposażoną: cztéry bowiem morgi piaszczystego ogrodu, sześćdziesiąt rubli rocznéj pensyi, i szczupła ordynarya dawana z majątku Żmujdek, stanowiły całe i jedyne uposażenie miejscowego kapłana. Ale tam gdzie chęć ludzka jest niemą, tam pomoc i łaska Boża jest jeszcze większą; dowiódł tego zmarły przed kilkunastu laty x. Maciéj Ptaszyński. Czcigodny ten kapłan osadzony w Pozelwie na tak szczupłym funduszu, zafundował do kościoła dzwon wielki (za czasów oo. Jezuitów była tylko mała sygnaturka) zwołujący do dziś dnia lud do chwały Bożéj, wzniosł

kilka budowli gospodarskich, wystawił szpital dla ubogich kalek; żywił, leczył, i opatrywał tych nieszczęśliwych. Dom jego był obległy przez ubóstwo, i ubodzy znajdowali u niego pocieszenie, pomoc, wsparcie: a xiądz Ptaszyński dożył swojego wieku z maxymą: *im bliżéj ubogich, tém bliżéj Nieba.*

Po śmierci xiędza Ptaszyńskiego, następcy jego, mniéj więcéj, zajmowali się podtrzymaniem kościelnéj budowy, ale ta znękana wiekiem potrzebowała ciągłego ratunku i pomocy. Niestarowały kosztu na erekcyą kościoła pobożne dziedziczki Pozerny, hrabini Łopacińska i Platerowa, ale same pilnować fabryki nie mogły. Były tedy koszta wielkie, a korzyści małe.

X. Adam Matusewicz zabierał się do nowéj, fundamentalnéj restauracyi, do przerobienia ołtarzy i dalszych atrybucyi kościelnych; ale w tym czasie z roskazu swojéj zwierzchności, przeszedł na inne miejsce, a jego posadę zajął x. Alexander Turczyński.

X. Turczyński, ledwo nie cały na nowo przebudował kościoł. W miejscu nadgniłych powstawiał zdrowe ściany, dał nowe gotyckie okna, okrył dach podwójną gontą, dobudował do zakrystyi skład na apparaty kościelne, wyrestaurował organy; oparkanił i osadził drzewami kościoł i cmentarz, a teraz gotuję się do zrobienia ozdobnego sufitu. Obywatele i włościanie, bogaci i ubodzy, chętnie przybiegli na pomoc x. Turczyńskiemu. Hrabina Plater wyłożyła powtórnie znaczną ilość pieniędzy, i dostarczyła drzewa; Mieczysław Pomarnacki, Czyżowie z Łownian, Bańkowscy z Rafaliszek, Stalewscy z Bastun, Szwejniccy z Jodak dostarczali robotnika, i innych potrzebnych artykułów. Kosztem ś. p. Henryety z Jastrzembskich Rodziewiczowéj stanął wielkiego rozmiaru, w bogatych ramach, w wielkim

ołtarzu obraz ś. Ignacego; Johanna Jastrzembska zafundowała takiegoż rozmiaru do dwóch bocznych ołtarzy dwa obrazy: jeden ś. Trójcy, drugi Najświętszéj Panny Maryi. Wszystkie te trzy olejne obrazy, są pędzla p. Antoniego Rodziewicza, i stanowią najmocniejszy, bo widoczny dowod znakomitego jego talentu. Obywatele Józef i Teofila Baczańscy, zafundowali kształtną ambonę wraz z konfessionałem. Panna Helena Narkiewicz wyporządziła piękne antipedia; włościanin folwarku Szukiszek Stanisław Krauczun, i zeszła ś. p. Kiewliczowa zafundowali ozdobne chorągwie. Trzeba tylko było do tych obrazów, do przybyłych ozdób i atrybutów zastosować i zupełnie przerobić wszystkie trzy ołtarze, a gdy te po bliższém ich rozpatrzeniu, okazały się przez wpływ wszystko niszczącego czasu, spsute, i do przerobienia niezdatne, wypadało tedy myśleć o nowych; ale nowe wymagały znacznych kosztów.

X. Turczyński udał się do parafian, i parafianie chętnie przybiegli z ofiarą, ***Temu, który przewyższa ludzi i aniołów.***

Wszystkie tedy wydatki wyłożone, zostały natychmiast pokryte, a trzy nowe ołtarze roboty p. Szejmana, zdobią dziś Świątynię Bożą. Dodać jeszcze musimy, że w spisie wnoszonych składek, znalazł się nie jeden ***grosz wdowi***, niejedna złotówka ***ubogiego rolnika***. Poczciwy bowiem kmiotek Litewski, tą samą ręką, którą zarabia, tą samą mówię ręką, i tęż samą złotówkę rad niesie na ofiarę kościołowi; i zna dobrze, że ta ofiara, jest to całe jego bogactwo, którego ***ani rdza nietrawi, ani mól nietoczy.***

Kościoł Pozelwiański, obchodzi każdorocznie dwie uroczystości, ś. Trójcy, i ś. Ignacego; w czasie tych festów, owszem każdego święta, każdéj niedzieli, nie stoi on próżny; niestałby próżny i wtenczas, żeby o 4 razy był wię-

kszy niż jest teraz. Lud tu zbiera się nader gromadnie na nabożeństwo: to dowodzi głęboko zaszczepionéj religii; do tego licznego zbierania się wpływają jeszcze każdoniedzielne znaczne targi; pięć przytykających parafij, które się w tym punkcie schodzą, i wielka liczba posad obywatelskich okolających Pozelwę. W skutku takiego nagromadzanie się, część ludu stać musi pod otwartém niebem udrzwi kościelnych: ztąd wznosi on modlitwę i spracowane ręce do Boga. Kazań i nauk trudno mu dosłyszéć, trudno z nich korzystać. Niedogodności téj zaradzi zapewne teraźniejszy nowy dziedzic Pozelwy Karol Bystram, wielce poważany obywatel.

Cmentarz Pozelwiański, tak jak prawie wszystkie cmentarze wiejskie niedźwiga na sobie pysznych grobowców z bronzu i marmuru; tu się pospolicie grzebie ubogi kmiotek, na którego mogile tém piękniéj i swobodniéj zielona wyrasta murawa; im częściéj i obficiéj jest polewana, łzami osieroconéj rodziny: a Litwin, prędzéj zapomni o sobie samym, niżeli o umarłych: często bowiem widziemy, że kiedy sam jeden nie jest w stanie pokryć kosztów exekwialnych, to wzywa do składki drugiego wieśniaka, i za wspólną opłatą, wspólne zamawia żałobne nabożeństwo, wspólnie się modli, i wspólną modlitwą prosi Boga o wieczne odpocznienie, i światłość wiekuistą, dla osób drogich jego sercu.

Takim tedy sposobem przy łasce i pomocy Bożéj, bez któréj wszystkie nasze prace, i starania są daremne; x. Alexander Turczyński, i ludzie dobréj woli postawili w krótkim czasie kościół Pozelwiański na tym stopniu, że wielu świątyniom może on ustąpić w bogactwie; ale niewielu ustąpi w ozdobie, a żadnemu w porządku.

Zakończymy ten artykuł, jeszcze jedną uwagą: szkoł-

ki parafijalne, są piérwszém ogniwem i walną podstawą publicznego wychowania; w nich zakładają się fundamenta nauki, moralności i religii. Wszystkie gorszące w społeczności ludzkiéj sprawy nieprzystaną do człowieka, który oświecił głowę, i wziął za sternika religiją; tę religiję która cała zajęta jest dobrem człowieka, która daje mu byt pomyślny za życia, a po zgonie prowadzi go do przybytków pokoju i wiecznego szczęścia.

W Pozełwie nie było szkółki dla ubogich dziatek, założył ją x. Turczyński; a do dnia dzisiejszego wyszło z niéj przeszło sto osób z początkową instrukcyą w głowie; z ugruntowaną religiją w sercu.

Powiedzieliśmy wyżéj, jaki jest fundusz i opatrzenie kapłana, zajmującego posadę w Pozelwie; ale *człowiek szczepi i polewa, a Bóg pomnożenie daje.*

LISTY O GOSPODARSTWIE.

I.

Panie Redaktorze!

W trzecim tomie Teki Wileńskiéj czytałem list pana Jastrzębskiego, w treści gospodarskiéj napisany. Z prawdziwém ukontentowaniem patrzałem na to, iż pan w xiążce swojéj otworzyłeś karty dla tego przedmiotu. Gospodarstwo w krajach wszystkich jest podstawą bogactwa krajowego, środkiem jedynym przeżywienia ludzi i pożytecznych żywiołów, dostarczającym codziennego chléba i odzieży, a zatem przedmiotem tak dalece żywotnym, obchodzącym ludzkość całą. Cóż dopiéro w Litwie, a mianowicie w epoce teraźniejszéj, gdzie się spełnia wielka socyjalna reforma emancypacyi włościan, gdzie z systematu pańszczyźnianego, na wolnonajemnego robotnika przejść mamy. Po spełnieniu téj reformy, gdy odjęte będą nam ręce do roli i utrudnione nabycie pracy człowieka, którą dotąd, wyznajmy z pokorą, bez rachunku i nieoględnie dla siebie, prawie zawsze szafowaliśmy, jedyną przyszłością naszą stać się musi ulepszona gospodarka. Dzisiaj ostateczna potrzeba jedynie nas doprowadzić potrafi do tego czegośmy sami w sobie, w stanie naszéj patryarchalnéj swobody, wyrobić nie potrafili; zmusi ona nas do myślenia, do pracowitszego krzątania się i do bacznego zapatrywania się na

gospodarstwa sąsiednich krajów, które już dawniéj od nas tę kryzę socyjalną przebywszy, mieli dosyć czasu do uporządkowania się i do wyrabiania dla swego gospodarstwa tak świetnego stanowiska, na jakiém stoją. Popchnięci obecną ostatecznością, goniąc za ich przykładem, mimowolnie da Bóg, postąpiemy pod tym względem w cywilizacyi i w wykształceniu. W innych krajach Europy gospodarstwo należy do rzędu nauk ścisłych, głęboko i uczenie opracowanych, którą akademije i szkoły agronomiczne, gęsto po kraju przez rządy otworzone, praktycznie tę naukę mieszkańcom jego udzielają. Na Litwie, gdzie zakładów publicznych dla agronomii niema, stanowiła ona i stanowi dotąd jeszcze po większéj części rutyniczne i praktyczne zatrudnienia ziemianina, nałogowo i machinalnie niejako w pokoleniach po sobie idących, ciągle powtarzane. W bratniéj nam Koronie gospodarstwo podobnież już naukę stanowi. Zakład w Marymoncie od lat wielu istniejący, rzucił już nie jedno z arno pożytku na dobrze przysposobioną rolę; szkoły tego rodzaju nowootwierające się po kraju, pod mądrym kierunkiem miłośników postępu krajowego, niezawodny pożytek przynieść muszą. Korona ma już swoje pisma publiczne, wyłącznie temu przedmiotowi poświęcone, za pomocą których myśli i po trzeżenia z sobą po kraju zamienia, a pożyteczne doświadczenia, lub sprawdzone nowe wynalazki drugim głośno udziela, Litwa ani jednego pisma téj gałęzi wyłącznie nie poświęciła dotąd, ani jednego niéma organu publicznego, przez któreby tego rodzaju idei i myśli wymieniać wzajemnie po kraju mogła Dowiadujemy się ochoczo z pism obcych, co się u drugich dzieje, skwapliwie i chętnie radzilibyśmy uczyć się od nich postępu i naśladować rzeczy pożyteczne, lecz na nieszczęście nawzajem nic o

sobie im donieść nie możemy; nie mamy gdzie się publicznie pochwalić przed światem, choćby nie raz i było może z czém.

W Koronie Andrzéj hr. Zamojski, pan oddawna znany ze swoich czysto obywatelskich dążności, jak prawdziwy Mecenas stanął na czele rolnictwa i przemysłu krajowego; wyrobił u rządu przywiléj na zawiązanie towarzystwa rolniczego. Jako prezes tego towarzystwa, powagą swoją, światłem i długoletniém doświadczeniem, skupił około siebie licznie szlachtę, gorliwą o postęp rolnictwa w kraju. Szlachta koronna pojmuje i ocenia doskonale wielkość tego zagadnienia, kiedy na piérwsze wezwanie tak się ochoczo zbiegła do Warszawy, dla współdziałania w téj wielkiéj myśli. Pisma publiczne ogłosiły nam szczegółowe zatrudnienia tych posiedzeń; ze czcią i poszanowaniem przyglądaliśmy się ich tendencyi. Ileż tam głębokich myśli i prawd wielkich wyszło na jaw, ile toczyło się rozpraw praktycznych i żywotnych! Podziwialiśmy z ukontentowaniem i z serdeczną pociechą stanowisko, z jakiego się zapatrywano na stronę gospodarstwa krajowego i te tak dobrze obmyśliwane środki dla jego ulepszenia. Nic dziwnego zatém, iż z podobnych zjazdów, samych tylko korzyści oczekiwać należy.

Na Litwie głucho i cicho jakby w grobie jakim pod tym względem! nigdzie zejścia się z sobą, nigdzie wzajemnéj publicznéj narady, ani zamiany myśli, w rzeczach dotyczących gospodarstwa niesłychać. W 1852 roku, w jesieni przy wyborach szlacheckich w Mińsku, na wniosek obywatela tejże gubernii, p. Julijana Łapickiego zawiązaliśmy byli podobne rolniczo-gospodarskie towarzystwo. Wypracowana przez niego ustawa dla tegoż towarzystwa,

któréj artykuł warował pismo peryodyczne treści gospodarskiéj, redagowane przez członkow tegoż towarzystwa i drukować się mające w Mińsku, dotąd nieprzyszło do skutku.

Na Litwie wielu z właścicieli ziemskich, o ile wiadomo pojedyńczo pracuje i mozoli się nad postępem i ulepszeniami; są nawet gospodarstwa prawdziwie wzorowe pod wszystkiemi względami, gdzie i urodzaje ziemskie do wysokiego stopnia są podniesionemi, i część mechaniczna w gospodarstwie na wysokim stopniu postawiona, a wzorowy porządek po wioskach, po lasach i po dalszych nieużywalnych odłogach panuje; przynoszą one niezaprzeczoną korzyść ich właścicielowi, lecz jakiż z nich pożytek wypływa dla ogółu? Zaprawdę, wszelkie usiłowania pojedyńczego człowieka, nie podtrzymane powagą rządu, ani wyrobione przez starcie się opinii publicznéj, rozumnych i doświadczonych gospodarzy, żadnéj ofiary korzystnéj na ołtarzu dobra publicznego złożyć nie potrafią. Będzie to zawsze jakby ziarno, rzucane na twardą opokę, jakby pożyteczne ziółko, wyrosłe pośrodku kolących chwastów i badylów, które je zagłuszają.

Jestem właścicielem ziemskim na Litwie; zatém gospodarstwo jest specyalnym i wyłącznym moich zatrudnień przedmiotem; dwadzieścia lat z górą pracuję około roli i około tak zwanego gospodarstwa postępowego; w latach młódszych, w tych, gdzie zapał jeszcze nie stygnie, imaginacyja podnosi się do urojenia, a miłość dobra powszechnego przewodniczy pracy, w tych właśnie latach dążyłem całą siłą do tego, aby moje gospodarstwo było wzorowém, i dopiąłem, zdaje się w części mego celu. Dzisiaj ludzie uważni i sprawiedliwi, oddają mnie zasłużoną

pochwałę; lecz nim do tego doszedłem, w ciągu lat wielu, przez ileż to żartów, szykan i śmiechów publicznych ludzi mniéj rozważnych, a tych jest tak przemagająca liczba, przechodzić mnie przyszło. Każde nowe zaprowadzenie, które wywalczyć trzeba było u rządcy ciemnego, nie pojmującego żadnych innowacyi, ślepo do staréj rutyny przywiązanego, pracującego tylko dla zadosyć uczynienia moim rozkazom, bez żadnéj wiary, ani pojęcia o rzeczy; co wymodz przychodziło uporem na ludziach pracujących, co dziko i niechętnie do podobnéj pracy przystępowali; każdą szkodę ztąd poniesioną, jako konieczną przy nowéj reformie palcem wytykano, szyderstwem i żartami okrywano; bo zeznać winienem i to, że oprócz urządzenia gospodarstwa mego w płodozmian, oprócz ulepszeń widziálnych, jakie mnie się zaprowadzić na korzyść rolnictwa udało; część znaczną czasu, pola i dochodów poświęcałem na same tylko próby. Cokolwiek, nie powiem nauka, bo ta nadto ma powagi, lecz cokolwiek najdziwaczniejszego pisali w xiążkach, lub po pismach publicznych autorowie, dogadzający usposobieniu chwilowemu ogółu, a przez to szukający rozgłosu; cokolwiek radzili mnie drudzy gospodarze, cokolwiek zasłyszeć się zdarzyło z sekretów, lub tajemnic pospolitego ludu wszystko to wyprobowałem na mojém gospodarstwie. Ja cielęta doiłem, bydło Turnypsami karmiłem, morgi gipsowałem, koście na nawoz tłukłem, uluku, co miała zastąpić kartoflę podczas jéj psucia się, sadziłem; kapustę olbrzymią z zagranicy sprowadzałem, madiję satywę uprawiałem i z niéj oléj cisnąłem, buraki sadziłem, cukier z nich warzyłem i t. d.; jakby o probierczy kamień, o który się metale ocierają. Wszystkie te próby ocierały się o kieszeń moją i o moje doświadczenie. Wszystkie wydatki, ponoszone na nie, jak nie mniéj wynikłę z tych prób rezulta-

ta szkrupulatnie, wiernie, szczerze w ciągu czynności spisywałem. Zebrało się ztąd nie mało materyałów, które w jedną całość uszykować i ogłosić publicznie dla pożytku moich współbraci zamierzałem, lecz jakoś dotąd nie przyszło jeszcze do tego.

Ubogi może w korzyści, lecz bogaty za to w doświadczenia, dzisiaj, kiedy proszę o kartkę w pańskiéj Tece dla moich gospodarskich postrzeżeń, czynię to nie dla tego, iżbym zgrzeszył myślą zuchwałą, żebym pyszny z mego doświadczenia; chciał drugich nauczać, broń mnie Boże od téj zarozumiałości, chcę tylko, aby szkody przezemnie poniesione na czasie i na dochodach, cyframi obliczone i najszczerzéj przedstawione, powstrzymać mogły w zapędzie nie jednego młodego ziemianina, gorliwego zwolennika innowacijów. Wiele i bardzo wiele strat sobie oszczędzi każdy, kto mojemu doświadczeniu z wiarą zaufać zechce.

OFICYALIŚCI.

Jedną, z wielkich podstaw i najdzielniejszą pomocą w gospodarstwie, są dobrzy słudzy, poczciwi i pracowici oficyaliści, na których leży całe wykonanie woli i rozporządzeń właściciela, bo niekażdy z nich chce; drugi zajęty służbą publiczną nie może, inny nareszcie nieumie, niema potrzebnéj woli, ochoty, ani znajomości do administrowania; nakoniec jest to obyczajem, upowszechnionym u nas, iż właściciel ziemski nielubi poświęcać swego czasu, wyłącznie szczegółowo i drobnostkowo swojemu gospodarstwu; nawykły do swobody osobistéj, mając tradycyjnie sobie przekazane uczucie życia publicznego, czas swój obracając na wymianę przyjemnych stosunków z sąsiadami i przyjaciołmi, musi zawierzyć sługom i polegać na nich.

Lecz gdzie są ci poczciwi słudzy?

Minęły już te czasy, kiedy sługa ze swym panem przywiązaniem i przyjaźnią złączony, interes pana za swój własny uważał, i tak idąc przez wiele pokoleń po sobie, dziad dziadowi, ojciec ojcu, syn synowi służyli nie przerwanie. Był to jeden z pięknych zwyczajów naszego kraju, uświęcony powagą wieków, ugruntowany na pobożności, i na tém uczuciu wzajemnego braterstwa, jakiém się Litwa zawsze odznaczała.

Dawny sługa niepatrzał wysoko dla swych dzieci, niewyciągał ich ze swego stanu, niewyprowadzał z szaréj kapoty, w jakiéj sam chodził; synów układał do ciężkiéj pracy około roli, aby jego kiedyś u pana zastąpić mogli; córki kształcił na wiejskie gospodynie, na poczciwe sługi, lub na pracowitę i oszczędne szlacheckie żony. Gdy mu z kolei świat ten porzucić przychodziło, zostawując na nim żonę i małe dziatki, umierał całkiem spokojny, bo bezpieczny o ich przyszłość, albowiem widział, że nie na igraszkę losów ich puszczał, lecz że oddawał w ręce pana, co się niemi zajmie, ich usługi wierne przyjmie i ich przyszłość ustali. Tym sposobem ze sług i panów, tworzyła się jedna rodzina, spojona, zrosła z sobą długoletniém zażyciem się, odwieczném przywyknieniem do siebie i ciąglém odnawianiem wzajemnych między sobą stosunków. W tamtéj dacie niekradł, nieoszukiwał, ani zdradzał sługa pana; niepotrzebował on tego czynić. Zbytkowych potrzeb dzisiejszego świata wówczas nieznano całkiem; a tego co pobierał za swe usługi, aż nadto mu na własne i jego rodziny skromne utrzymanie wystarczało; wiedział on, iż niepodzienie swemu panu służył, wiedział dobrze, że za lada fantazyą, lub za najmniejszym gniewem pana wypędzonym, ani pokrzywdzonym niezostanie; kochał go też sercem, szanował go całą duszą, w jego wzajemném przywiązaniu

widział rękojmię swojéj przyszłości, swego losu i téj bezpiecznéj pozycyi na świecie, o którą się niejeden człowiek nieraz daremnie dobija.

Wzory tego tradycyjnego wspólnictwa sług z panami, jeszcze zachwyciło naszę pokolenie; jeszcze pamiętamy wszyscy dożywające exemplarze owych dawnych sług, z których życiem zakończył się i ów typ staroświeckiéj prostoty, pobożności i poczciwości. Smiesznemi one i nieznośnemi się wydawały dla młodego pokolenia, bo się nigdy pogodzić z nowemi wyobrażeniami niemogli. Gdérząc i zrzędząc na ułomności i przywary sług nowego pokroju, swój wiek, swoich panów i poczciwość swoją wychwalali. Brakło zaprawdę dawniéj starym sługom téj ogłady, którą nasza tegoczesna cywilizacya się chlubi; sługa dawny w prostéj, grubéj, bachmato uszytéj kapocie, lub w wytartéj lisiurze, kupionéj gdzieś na tandecie, z czupryną niewystrzyżoną, ani nawet uczesaną, w grubych, ówiekami podkutych butach, stawił się bez zarumienienia wszędzie, zaledwo na Wielkanoc i na Boże Ciało przywdziewał jakąś lepszą świąteczną kapotę; kiedy dzisiejsi słudzy bez cieńkiego surduta, modnie uszytego, lub węgierki, suto naszywanéj sznurkami, bez myśli ubliżenia sobie nieodważyliby się przedstawić nikomu.

Dawny sługa, gdy z poszanowaniem niezgrabnie uchylił się, aby uścisnąć stopy swego pana, czynił to z taką prawdą, z tak wielką serdecznością, z takiém wylaniem się czci dla swego pana, o jakiéj dzisiejsi słudzy pojęcia nawet niemają.

Mówiąc prawdę, i tego zataić niemożna, że się z końcem owéj epoki w życiu naszém, przemieniły obyczaje i wymagania socyalne; najstraszniejsza wada tego wieku zbytek, rozszerzając swoje panowanie, dotknął i zaraził tą cho-

robą wszystkie stany. Kiedy panowie, goniący za zbytkownemi potrzebami, wymagać zaczęli od swych sług większéj pracy i zbytnich rezultatów, nowy tegoczesny sługa poprzestać już niemógł na opłacie i wygodach, pobieranych dawniéj; każdy znich, ślubując podobnież duchowi czasu, występował za granicę swojéj możności, piął się wyżéj nad sferę stanowiska, w którém go los postawił, ztąd i dzieciom niegotował on miejsca po sobie, sądząc ich godnemi świetniejszéj od jego doli.

Rozporządzenia Rządowe zażądały od każdego szlachcica rangi, którą daje służba publiczna. W to im tylko i graj! cała młodzież, a w jéj liczbie wszystkie ekonomskie dzieci rzuciły się do służby publicznéj. Środek ten trafił wszystkim do smaku—raz, iż przedstawił niejednemu nadzieję świetnéj przyszłości, potém, iż służba publiczna jest lżejszém zatrudnieniem, że koło niéj piękniéj i czyściéj się niźli koło roli chodzi, nareszcie, iż często gęsto świeży groszyk przybywał daremnie, drogami, jakie u nas służba publiczna nastręcza.

Córki ich podobnąż idą drogą, miasto wrzeciona i kądziałki, tego skromnego zatrudnienia, któremu się z upodobaniem oddawały staroświeckie dziewczęta, zamiast kształcenia się na dobre ochmistrzynie, na skromne i porządne sługi, na których nam tyle w kraju zbywa, kierowane niby na guwernantki, wychodzą na istne Lafiryndy; przez rodziców oddawane do pensyonu, uczyły się szczególniéj po Francuzku i grać na fortepijanie. Taka, gdy wróci do domu rodzicielskiego, prużnuje i nudzi; na jakiemś rozklepaném brząkadełku, co się klawikordem nazywa, bo na lepszy ojcowi funduszu niestarczy, wygrywa jakieś szyk-polki; często, probując głosu:

— „Siedzę ja sobie pewnego ranka“, lub, „Te brzóz kilka“

Przy owem klepadle piskliwie śpiewa, które papa i mama admirują, ciesząc się, iż edukacya do dziewczyny przystała. To znowu jak istota niepojęta i niezrozumiana z przesadą ubrana z xiążką najczęściéj Francuzką i z rozkwitłą gałązką lilaku w ręku, błąka się samotnie po wirydarzach ogrodu, lub siedząc pod cieniem drzewa, wygląda, czyli który z dworskiéj młodzieży nieprzybywa ją zabawiać swoją rozmową, jedném słowem, niewprawiona do pożytecznéj pracy, wiecznie próżnuje.

Na wszystkie wydatki podobne starczyć powinna biedna głowa ekonoma; niedziw zatém, iż gdy mu pensyi na wszystko za mało; gdzie może, tam skubnie; czego niedoskubie, to jakąś jedną, drugą beczkę zboża u pana wypłacze, wymodli na swych dzieci, których jakby djabeł mu pomagał, u każdego z nich półtuzina, najmniejszą liczbę stanowi.

Na starém sług pokoleniu, przerwał się na Litwie ciąg oficyjantów, albowiem, jak przed chwilą rzekłem, w późniejszym czasie, dzieci ich, pogardziwszy powołaniem rodziców, inną już całkiem poszły drogą; niedostatek ich zapełniać u nas poczęli ludzie niefachowi, nieprofesyjniści, lecz jacyś amatorowie, bez konduity i charakteru, najczęściéj ludzie, których legitymacya szlachecka w obliczu prawa uznaną niezostała, lub właściciele drobnego kawałka ziemi, należącego do licznéj rodziny, co ich wszystkich wykarmić, ani utrzymać niemogła; którym gdy już trudno w nieczynności przeżyć było, rzucali się na służbę prywatną; i tak się zaprowadziła i wyrobiła u nas klassa nowych oficyjantów.

Nauka w podobnym oficyancie niejest zbyt obszerna, niedaleko ona sięga; umie on zwykle ladajako czytać, pisać dosyć słabo, tyle tylko, ile mu potrzeba na zapisanie

rejestrów i pańszczyzny, umie zaledwo i to niebezpomyłek cztery proste działania arytmetyczne. Wiadomości agronomiczne podobnież niesą obszerne u tych ludzi; wiedzą oni iż najpiérwsze ziarno, jakie się sieje po zimie, gdy ziemia przeschnie, jest groch i pszenica letnia; że groch, aby go robactwo niezjadało, siać trzeba w poniedziałek, piątek i sobotę, dla tego, iż nazwisko tych trzech dni niezawiera w sobie litery *R*. Pszenicy niesieją w pełni, bo w pełni gdy posianą będzie, kłos w niéj nigdy jakoby całkiem niewypłynie; że jęczmień sieje się dwóma nawrótami: piérwszy zaraz z wiosny; drugi na sześć tygodni przed św. Elijaszem, kiedy już żyto wypływa, że i przy siewbie jęczmienia pełni wystrzegać się należy, albowiem i ten, siany w pełnię, kłosów niewyda; że siewbę owsa zaczynać potrzeba na jedenastym tygodniu przed św. Elijaszem, a kończyć ją na siódmym; że się len sieje na św. Helenę; że się pole pod żyto uprawuje pod samą pełnię; nareszcie, że siewba żytnia rozpoczyna się od Przemienienia Pańskiego t. j. od dnia 6-o Sierpnia, a przeciąga się dotąd, aż żyd koł na kuczkę zabije i t. d.

Wielu z nich starszych wiekiem i doświadczeniem, posiada jakieś pewne, a dziwne sekreta i tajemnice gospodarskie, któremi się niebez zazdrości, skąpo, w dowód wielkiéj łaski podziela z młodszemi i mniéj doświadczonemi od siebie gospodarzami, jak na przykład: przy siewbie konopi uważać zaleca, aby wszystko, co potrzebne do siania, przygotowaném było zawcześnie, ażeby siewca niebrał się dnia tego za żadną inną robotę, albowiem, gdy tego warunku niezachowa, konopie, zasiane tą ręką, która inną robotę po siewbie spełniać będzie, nieobejdą nad powierzchnią ziemi, lecz wszystkie w korzenie obrócone, świdrem w ziemię pójdą. Po zasianiu konopi i po ich za-

oraniu, przed wieczorem wyjmuje się żerdź z płotu i kładzie się na nim co najwyżéj, co stanowi sekret, iż konopie tak wysoko wyrosną, jak wysoko żerdź została położoną.

To znowu, przy siewbie jęczmienia, pilnie baczyć naucza, ażeby pod czas siania nigdzie się w piecach niepaliło; gdy się bowiem to prawidło niezachowa, jęczmień w ziarnie będzie miał czarne główkie, znane w zbożu pod nazwą rożków.

Przy siewbie bobu pamiętać każe, ażeby siewca miał żelazo przy sobie; ono bowiem zachować powinno przyszłe ziarno od spalenizny, któréj ślady zwykle błyskawica na bobie zostawuje.

Po każdym posiewie radzi, aby oracz, skończywszy ostatni zagon, prosto z pola prowadził sochę do rzeki i ją obmył na biegącéj wodzie; lub w niedostatku rzeki, w jakiejkolwiek wodzie ją opłukał; czém zabezpieczy niezawodnie obsiane pole od dzikiego owsiucha, głuszącego jarzynne ziarno.

Przy piérwszem wyjściu wiosną z sochą, pilnie baczy tego, ażeby oracz miał przy sobie gromnicę, jako i bochenek okrągły chleba, pozostały od wielkanocnego święconego; po takiém rozpoczęciu orki, tak na polu, jako i w dalszém gospodarstwie, wszystko ma pójść w ciągu tego roku okrągło i gładko.

Koście od święconego zakopane do ziemi po czterech końcach pola, strzedz mają urodzaje od gradów.

Gdy się żywioł po raz piérwszy wiosną wyprawuje z obory na paszę, uczy on, aby czuły o całość żywiołu gospodarz obchodził do koła oborę z czterma zamkami w ręku; przed każdą ze czterech ścian obory po jednym zamku na klucz zamykał; poczém te cztery klucze od zamkniętych kłodek, aby na czterech ścianach swojéj izby za-

wieszał; po dopełnieniu téj ceremonii, jest wszelka pewność, iż wilk żywiołu z téj obory nigdy niedotknie.

Gdy się robactwo w żywiole zaprowadzi, i tak się w któréj sztuce zagnieździ, że żadne leki znane oczyścić ją z niego niemogą; w takim razie szuka on dziko rosnącéj na polu dziewanny; tę nachyla ku ziemi, koniec jéj przyciska żarstwianym kamieniem, przyczém wyrzeka jakieś tajemnicze zaklęcie, i w chwili, gdy to czyni robaki z choréj sztuki żywiołu, sympatyczną siłą wypędzane mają uciekać, po czém sztuka do zupełnego zdrowia przychodzi.

Gdy trzoda chlewna dziedziniec przed domem poryje, ostrzega aby takowego dla zrównowania bronami, broń Boże, niebronowano, albowiem po téj manipulacyj wszystka trzoda wydechnie. Jedynym sposobem ratowania trzody od wyginięcia i to na prędce, po tak nieobacznym postępku, przez niedoświadczonych gospodarzy spełnionym; jest przeprowadzenie dziedzińca znowu bronami, lecz już obróconemi do góry, t. j. tępym końcem ku ziemi. Tym jedynie sposobem poprawić tylko można szkody, popełnione przez zabronowanie porytego miejsca.

Któż nareszcie wyliczyć potrafi wszystkie gospodarskie sekreta, posiadane przez tych ludzi; oprócz tajemnic z gospodarstwem złączonych. Są jeszcze między podobnemi oficyantami i tacy, którzy się znają na znachorstwie; taki niechętnie i prawie nigdy za życia swoich sekretów innym nieobjawia, albowiem mocno jest przekonanym, iż gdy téj nauki drugim udzieli, sam straci własność jéj używania; przeto przy śmierci tylko wybranemu i przysposobionemu do tego człowiekowi tę tajemnicę powierza i przekazuje podobnież z warunkiem oprzysiężonym niewyjawiania jéj nikomu.

Taki znachor umie słowami jakiemiś tajemniczemi za-

trzymać krwotoki różnego rodzaju u ludzi; leczy febrę przez puszczenie na rzekę kilku kawałkow drzewa brzozowego ze stosownem do tego zaklęciem. Leczy przez zamawianie ukończonych od gadziny. Umie on sprawić przykrość myśliwym przez zaczarowanie fuzyj, za pomocą osinowego kołka, zabitego do ziemi. Umie zatrzymać słowami w największym pędzie kamień młyński. Umie obronić krowy od wiedźmy, co przemieniona w rapuchę, jakoby krowę wysysa i mleczność w oborze niszczy. Zna rozryw-trawę, za dotknięciem się któréj wszelkie żelazo pęka. Posiada tajemnicę dowiedzenia się o skarbach ukrytych; z tą jednak szacowną nauką zawsze goły żyje, a umiera najczęściéj w nędzy.

Na tém się zatrzymali ci ludzie, według wyrażenia p. Kraszewskiego użytego w którémś z pism jego, jak owe zegary popsute, które się na pewnéj godzinie zatrzymały i daléj pójść niemogą. Żadna myśl postępu do ich przekonania nie trafi; niewierzą oni w żadne ulepszenia gospodarskie, nierozumują, niemyślą ani czytają, ani drugich słuchają, lecz za to wojują oni wszyscy jakiemiś jednostajnemi axyomatami, w ogólnikach zawartemi, których się jeden od drugiego z upodobaniem uczy; tak naprzykład: po ciężkiéj i przedłużonéj zimie, gdy karmu dla żywiołów w gospodarstwach już niestaje, zaledwo na wiosnę śnieg schodzić zaczyna, a ziemia zmarzła żadnéj zielonéj trawy wypuścić z siebie niemiała jeszcze czasu, ekonom podobny zamiast zaopatrzenia się wcześnie w karm potrzebny, bydło wypędza w pole, lub do lasu na wrzosy.

— Cóż ono tam za pokarm znajdzie?

„*At wytrze się i poweseleje*“—ekonom odpowiada, jak gdyby wytarciem się głód zaspokoić i poweseleć można było.

W połowie maja, kiedy przyrodzenie w całéj swojéj krasie i zieloności, a wegetacyja w całéj swojéj sile, siadł pan na konia, aby objechać poletki; ekonom mu towarzyszy. Żyto było w pęku, gdzie niegdzie kłosy już wyzierać zaczęły; zdało mu się, że ono jest rzadkie, źle obsiane w jesieni.

— „Kiepskie mospanie mamy żyto"—pan rzecze.

— *Nabierze się*—z pewnością odpowiada ekonom.

Szlachcic na dobrą wiarę czeka całe lato, aż się ono niewiedzieć z czego nabierze.

Żyto wypłynęło, odkrasowało, kłosy nalane ciężarem ziarna pochyliły się ku ziemi i słoma już żółknąć zaczyna; znowu pan jedzie około pola, znowu ekonom mu towarzyszy. Żyto rzadkie jak przedtém; wyraźnie, że się nie nabrało jeszcze.

— „Kiepskież, mospanie nasze żyto"—znowu do ekonoma pan rzecze.

— *Co bez czego*—ekonom mu na to pocieszającym tonem mówi.

Nabierze się i *co bez czego* są to dwa najświetniejsze wyrażenia w mowie oficyantow naszych; w nich oni zamykają całą nadzieję przyszłości gospodarzą i całą pociechę, gdy się urodzaj nieudał w jesieni. Jest to najszczytniejszy pomnik lakonicznéj wymowy ekonomskiéj; jest to jakby owe starożytne Julijusza Cezara: veni, vidi, vinci!

Przyznać jednak trzeba, że z takiemi przywarami słudzy bywają często roztropni, przebiegli i rządni ludzie; choć niezapomina o sobie, przysporzy coś jednak i dla pana, aby miał się czém z nim podzielić, lecz jest klassa oficyantow, tak nazwanych poczciwych, dobrodusznych, ludzi, bez najmniejszych nałogów; taki wódki niepije, fajki niepali, tabaki nawet niezażywa, nigdzie się niezahula, pę-

bożny; ciągle Skarb dla duszy, Żywoty śś. lub kantyczkę czyta. W niedołężnym zarządzie takiego czas się marnuje robotnik trze się, robota niepostępuje, opuszczenia w gospodarstwie z każdym dniem się mnożą; gdy ztąd złe następstwa i szkody wynikną, on rzewnie płacze i przysięga, że poczciwie służy, że zawsze ubogi, że nic u pana nieukradł, gdy tymczasem większe on daleko od tych, co z umiarkowaniem kradną, szkody swemu panu wyrządza, bo większą bez porównania jest krzywdą marnować i tracić dni robocze, ktore raz stracone, niewrócą więcéj; gdy ocenienie ich wartości na gotówkę w ciągu roku jedne do drugich przyliczone, złożą kapitał marnie starty, z którego ani pan, jako właściciel, ani sługa tym funduszem administrujący, ani wyrobnicy, od których się dni robocze należą nic na tém nieskorzystali.

Od takich sług zachowaj Boże każdego!—

Administracya właściciela ziemskiego na Litwie, gdy niekażdemu na utrzymanie porządnego rządcy wystarcza, składa się zwykle z pisarza prowentowego, ekonomów i rachmistrza. Pisarz prowentowy zwykle chłopiec młody, co wiatry goni, niemając wiele doczynienia, bo mu się do szafunku niewiele zwykle od razu powierza, wiecznie roztrzepany, bo jednocześnie zwykle to jakąś miłosną intrygę prowadzi, to bryczkę, ukradkiem sporządza, to fuzyę probuje, czy ona mu dobrze kulami bije do celu, zakreślonego na ścianie najnówszéj i najzdrówszéj zawsze budowy folwarku, którą psuje potém dłótem, dobywając z niéj kulę wpędzoną. Wieczorami przez galanteryę przepisuje wiersze dla garderoby pani, lub się zgrywa w karty, gdy okoliczność posłuży po temu. Zagadnięty przez pana o czynność, do służby jego przywiązaną, zawsze się łgarstwem jakoś wykieruje. Oto jest jedyna u nas po mniejszych

administracyach szkoła dla młodych sług. Na próżnowaniu, na kłamstwie i na przypatrywaniu się zblizka nadużyciom ekonoma, kształci się on zwykle w przyszłości na ważniejszego oficyanta; bo gdy się ożeni, postępuje najczęściéj z téj posady na ekonomiję, jako zyskowniejsze miejsce, na którém kawał chleba pewny.

Ekonom jest to jakby ten wół zaprzężny, co ciągnie całą machinę; pracuje on od rana do wieczora; ma on na swojém ręku wszystko, co prawdziwe jądro gospodarki stanowi; on się robotnikiem rosporządza, on pola obsiewa, plony zdejmuje, siano kosi i nim przez całą zimę szafuje; nabiał, ptastwo, przędziwo, ogrodowinę, wszystko ma w swojém ręku, z każdego artykułu gdy mu się potrochę okroi, ot i jest czém żonkę przystroić na fest do kościoła, jest czém dzieci schludnie przyodziać i jest co zachować na czarną, jak oni nazywają, godzinę.

Kończy się rok gospodarski. Rachmistrz przez okulary, bo zwykle człowiek nie młody i poważny, co ślepiąc całe życie nad rachunkami oczy stracił, oblicza decessa i szkody; przedstawia je panu. Pan się złości, gniewa, ekonoma zabiera się wypędzić. To się dzieje w kwietniu, bo na ś. Jerzy rok się gospodarski zaczyna. Piękne wiosenne słońce osuszyło już ziemię, już się siewba zaczyna; gdzież teraz szukać nowego oficyanta, gdy się robota w polu rozpoczęła. Pan, zagniewany za nadużycia, ekonoma zfuka, połaje, wypędzeniem na przyszłość pogrozi i rok się gospodarski po staremu na nowo zaczyna.

Wypędzić dawnego sługę nie jest rzeczą bezpieczną, bo smutne niestety! doświadczenie tylokrotnie już powtarzane, przekonało nas o téj prawdzie, iż oficyanta z wielkiemi nawet przywarami znosić i cierpieć trzeba, albowiem na miejsce tego, co się odprawuje, niezawodnie nastąpi

nowy gorszy z większemi bez porównania wadami; tak dalece strona moralna téj klassy ludzi jest zaniedbaną i zepsutą tutaj od lat wielu. Lecz że niéma prawidła bez wyjątku, przeto i u nas znajdują się niekiedy oficyanci dobrzy i poczciwi. Sługa dobry i poczciwy stanowi wprawdzie bardzo wielką wyjątkową rzadkość; ten nie jest do wzięcia; zwykle on miejsca nie odmienia, bo go całą siłą pan któremu służy utrzymywać usiłuje, on zaś do miejsca i pana przywyka.

I to jeszcze należy do błędów i słabości naszych, któremi powiększamy to zło i tak już ażnadto z siebie wielkie, że oficyaliście niezdolnemu, którego wypędzamy po prostu z naszéj administracyi, przez litość jakąś nad jego dziećmi, dajemy dobre świadectwo o służbie jego, którém on zaopatrzony, na wiarę podpisu, łatwo miejsce dostaje i drugich kolejno zawodzi.

Cały ten porządek służby gospodarskiéj zwichnięty, wykoszlawiony, idzie u nas krzywo i niepraktycznie; ztąd też i wypadki ogólnie nie odpowiadają oczekiwaniom i nie prowadzą porządnie do wielkiego celu ekonomii polityczněj, którego zagadnieniem jest bogactwo krajowe. Jeżeli skarżemy się na ten stan moralnego odrętwienia w kraju naszym, który przebywaliśmy tak długo w oczekiwaniu szczęśliwszéj przyszłości, na to rozprzężenie się ducha i na ten upadek moralności, którego przykłady tak przemożnie szérzące się po kraju widzimy codziennie, a którego objawy towarzyszą zawsze każdéj narodowości, upadłéj politycznie, i temu przyczynę zła przypisać usiłujemy; jeżeli obwiniamy ustawy krajowe o to, iż one się do tego zła tak przemożnie przyczyniły: uderzmy się takoż w piersi i przyjmijmy znaczną cząstkę winy na siebie. Wszelkie przykłady złego i dobrego idą zawsze z góry. Gdyby nie ta indo-

lencya i ta abnegacya nasza, co nam odejmując ochotę do osobistéj pracy, doprowadza do ślepego spuszczania się na sługi, oficyanci, czujący nad sobą ciągłe oko pana, inaczéj by się sprawowali; żeby nie to przywyknienie, nie to niewolnicze poddanie się nasze wygodom zbytkownym, co ciało rozpieszcza, których zaopatrzenie przechodzi nie raz możność człowieka, a ich nabywanie z ostatków, rzucając jadowite ziarno złego przykładu zaraża niemi i służebną klassę, wyradza u nich piérwszy zarodek niemoralności, który przy złém usposobieniu religijném i moralném w téj klassie tak szybko się rozwija; gdyby na ostatek nie ta pobłażliwość zbytnia, równająca się słabości, na wady sług naszych, nakoniec, żeby nie ta litość niepotrzebna nad winnym: klassa sług naszych, tak przez nas związana i obwarowana, jeżeli nie przez zasady, tedy początkowie z potrzeby musiała, by się stać pracowitą, usłużną i dobrą, które to przymioty, z razu przez potrzebę poczęte i powtarzane, mogłyby się z czasem zamienić w zwyczaj i przechodząc z pokolenia na pokolenie, przez przywyknienie stać się cnotą, dającą prawdziwą wartość téj klassie ludzi, któréj im dzisiaj nie dostaje.

Każda rzecz w przyrodzeniu ma sobie wskazane pewne drogi i zakreśloną porę, do któréj wzrasta i wypełnia zakres swojej działalności; dla czegożby gospodarstwo Litewskie nie miało ulegać temu ogólnemu prawidłu? Owoż gdy stan podobnego nieporządku w gospodarstwach naszych na Litwie, coraz się wypełniał i dochodził do swéj dojrzałości. Poczucie potrzeby ulepszeń przez zaprowadzenie rozumowanych gospodarstw, stało się uczuciem powszechniejszém, a tak wydatną i konieczną już potrzebą; lecz brakło nam zawsze na środkach uskutecznienia téj dążności; bo brakło nam ciągle dobrych sług i oficyantów,

na których jedynie spoczywa wykonanie tego dzieła. Kiedyśmy nad tą smutną alternatą rozmyślali, nowa całkiem klęska dla gospodarstwa naszego znać przeznaczoną była; Bogu dzięki, iż nie długo ona trwała; przechodnie tylko mając istnienie, nie zostawiła po sobie zbyt wielkich śladów zniszczenia w gospodarstwie krajowém.

Oto znalazła się w Warszawie jakaś klassa ludzi, próżniaków, ludzi straconych, żyjących bez jutra, przemysłowców szkodliwych, jakaś tężyzna nowego rodzaju, co gdy po jarmarkach hulając, grając w karty, potraciła resztki swojego funduszu i znalazła się bez sposobu do życia na brukach Warszawy, musiała się chwycić jakichś środków utrzymania siebie i rodziny swojéj; to znowu jakichś ekonomków niedouczonych i całkiem niezdolnych, którzy w gospodarstwach koronnych pod bystrém okiem i żelazną ręką tamecznych prawdziwych i dzielnych administratorów, gdy wytrzymać ciężkich prób pracy i umiejętności nie mogli, a bez téj chléba darmo niedostali, postanowili zostać agronomami i jechać na dziką i ciemną, jak ją nazywali Litwę aby ją oświecać i urządzać. Owa ciemna i dzika Litwa dobrodusznie, z pełną wiarą i z właściwą sobie gościnnością przyjęła tę zgrają dobrodziejów swoich. Oprócz pojedyńczo tam i ówdzie przybywających, znalazła się jedna z administracyj możnego bardzo pana, gdzie do zarządu obszernych dóbr jego, po gubernii Mińskiéj położonych, gdy miejscowi oficyaliści niedogodnemi być mu się wydali, w zamianę przywożono kilką nawrótami z Warszawy sług podobnych furami, lecz co do słowa furami; żaden się z nich nie nazywał po naszemu rachmistrzem, ekonomem, ani pisarzem; lecz były to transporta samych administratorów, agronomów, lustratorów, kontrolerów, którzy się ztąd, bo ich prędko jednego po drugim wyprawia-

no, po okolicy rozeszli się, roznosząc naukę i światło, z jakiém przyjechali, po mniejszych gospodarstwach naszych.

Mój Boże! co też to za dziwny i drapieżny jakiś gatunek był ludzi; wyobrazić sobie nie podobna z jaką zarozumiałą furfanteryą wpadali oni pośród nas cichych i skromnych mieszkańców, skromnéj spokojnéj prowincyi naszéj; z jaką odwagą bezprzykładną, któréj gdyby użyli w dziełach wojennych, każdyby z nich mógł być bohatérem. Rzucali się i decydowali o gospodarstwach i kraju, który piérwszy raz widzą; bez najmniejszego zapoznania się z miejscowością, bez potrzebnego zgłębienia naszéj gleby, naszéj Aury, bez poznania wszelkich okoliczności, wynikłych z tego wielkiego węzła, jakim jest społeczność nasza. A tak potężny i tak wybitny związek mających z naszą obyczajnością; niewiedząc prawdziwie od czego tu począć wypada, dzieło reformy rozpoczynali od hałaśliwego ganienia wszystkiego, co nasze. Najprzód z góry znajdowali, iż gleba Litewska jest zimną, że ma grunta sopowate, nieurodzajne, bez próchnicy. Ten nie wiedzieć dla czego znajdował, że tylko na ziemi Litewskiéj nic innego, jak buraki sadzić wypada, a cukrowarstwo jedno, co tylko Litwę podnieść może i na głowę radził, aby cukiernię zakładano; drugi mówił, że drenowanie dla Litwy jest jedynym środkiem, i co prędzéj gliniane rury do tego obstalował.

Inny widząc lasy obszérne, radził zakładać huty szklanne; z największą effronteryą uczył i podawał sposoby, jak korzystniéj wyrabiać drzewo na makszty i szpyry o nazwisku których, piérwszy raz tutaj zaledwo zasłyszał; zuchwale poprawiał i dyrygował paleniem smoły, operacyą tak zwyczajną u nas, którą on po raz piérwszy w życiu swojém widział, którą każdy prosty człowiek tutaj

praktycznie najwyborniéj prowadzi, a któréj nieumiejętne dozorowanie co chwila właściciela o szkodę przyprawić może. Radził zaprowadzić żeglugę parową po naszych rzekach, albowiem utrzymywał, że na Litwie tylko mechaniczną gospodarkę z forsą prowadzić można, co nie obiecuje właścicielom wielkich korzyści, kiedy handel na rzekach jedynie tylko wzbogacić może.

Inny, widząc rudawkę, powszechną tu po sianożęciach, powierzchowne, wyliczał na krocie korzyści, jakieby żelazo dać tutaj powinno i fabryki żelaza co najprędzéj zakładać radzi.

Ten fornalki sprzęga i wazy od Lilpopa sprowadza; tamten plugi od Sztejnklera wypisuje i przez taką orkę, przewracając warstwę wierzchnią ziemi, na polach naszych urodzajność niszczy; wszyscy nam imponować usiłują przez wyrazy, nazwiska, które sami machinalnie cytują jak np. płodozmian, rotacija, kapilarność, sochy systematu p. Dambala i t. p.; imponować nam usiłują, przez podwójną buchhalteryą, o któréj zaledwo sami słyszeli, znając ją tylko z nazwiska, a któréj cała wartość leżała u nich jakesmy się przekonali jedynie na czerwonym atramencie; zaprowadzają xięgi rygowane czerwonym atramentem; czerwone w nich cyfry stawią, lecz bilansu żaden, śmiało to rzec można, do końca nie sprowadził, bo gdy się nieumiejętny rachunku pojedyńczego, a gdzież tam podwójnego, w cyfrach splątał; ani sam wiedział, co robi, ani właściciel doszedł gdzie się co podziało. Każdy z tych ichmościów widział zapewne, że się tak w porządnych gospodarstwach w królestwie dzieje, lecz niczego nie umiał gruntownie; wszystko u nich było powierzchowne, okraszone tylko słowami; wszystko leżało na pozorach, nie miało najmniejszéj wartości, choć wszyscy wołali jednogłośnie:

— »Proszę Pana! jaki też to kraj jest dziki i ciemny; tu żadnego gospodarstwa nie znachodzimy; gdybyśmy jeszcze o lat kilka później tutaj przyjechali, to, proszę Pana! jużby dobra tutejsze żadnéj wartości nie miały.«

Mylą się i grubo mylą się wszyscy ci, którym się zdaje, iż na Litwie gospodarstwo nie bylo rozumowaném nigdy. Musiało ono być w swojéj dacie i mądrze obmyślane i trafnie, a praktycznie zastosowane do miejscowości, do słońca i gleby tutejszéj, kiedy po dostatniém wyżywieniu mieszkańców tego kraju, po okarmieniu nieraz nieproszonych w kraju gości, po utrzymaniu dostatniém, oporządzeniu i sutém zaopatrzeniu rozmaitych jakichś przybłędów, którzy Litwę bez końca w znacznéj liczbie nawiedzają, było czém jeszcze karmić głodnych za granicą. Niemen i Dźwina po grzbiecie swoim niosąc corocznie zbywające od potrzeby płody kraju naszego przez Królewiec i Rygę, rozdzielała takowe pomiędzy obce kraje. Prawda, że bławatów i wina kraj nasz nie wydaje; daktyle, pomarańcze, ani banany w nim nie rosną; lecz ileż w zamian za to skromnych wprawdzie, a tak zdrowiu ludzkiemu pożytecznych, tak nieocenionych dla konieczności i dla wygod życia naszego płodów, ta poczciwa i kochana nasza Litewska ziemia rodzi? Oprócz chleba, którym się człek codziennie żywi, oprócz dostatku wybornego mięsa, jakie nam pastwiska nasze wykarmiają; mamy własne płótna, sukna na odzienie, skury na obuwie, żelazo na rolnicze sprzęty; dziki źwierz, którego Litewskie lasy są jeszcze pełne, dostarcza nam futra na zimę, dostatek drzewa ciepło w domach utrzymuje. Z żyta robiemy gorzałkę, którą długie lata do wysokiéj wartości podnoszą, jęczmień daje piwko, a pracowita pszczółka miodek składa,

z którego warzemy sobie świąteczny napój, zdrówszy i smaczniejszy od wszystkich win na świecie.

Czyliż mając tyle darów przyrodzenia, tyle owoców pracy naszéj, znajdziemy jeszcze cośkolwiek do zazdroszczenia obcym? czyż widząc taki szereg wygód dla życia wynikły z gospodarstwa, a bezprzestannie się powtarzający i spokojnie, swobodnie, bez najmniejszego wysiłku i wytężenia porządnie wiążący się z sobą; ktokolwiek z rozważnych i myślących ludzi odważy się powiedzieć, że to jest kraj dziki i ciemny, że w nim śladów nie ma żadnéj gospodarki. O nie! przywiléj ten zaprawdę zostawionym został jednym tylko owym nowoczesnym agronomom, o których jest mowa, którzy bez najmniejszego zapasu nauki i usposobienia na ową ciemną i dziką Litwę się rzucili w nadziei, że jako ciemna, na nich się nie pozna, a wśród niéj będą mogli oni pędzić życie wygodne i opłacać grubo Litewskiemi pieniędzmi niby swoją naukę.

Rozpoczęło się więc marzone przez nich żniwo; wszyscy dostali u nas w mniejszych czy większych administracyjach bądź miejsca, bądź zarząd. Każdy z tych młodych ekonomków, który maxymum za 200 złotych rocznie i kawałek skromnéj strawy musiał u siebie pod dyrekcyą ciążącego nad sobą rządcy pracować, jak wyrobnik jaki od wschodu do zachodu słońca, gdy brał się do zarządu dóbr na Litwie, kazał sobie płacić po rubli kilkaset rocznie, rozkazy do ekonomii wydawał z gabinetu z cygarem w ustach; do południa ze szlafroka nie wyłaził, bo mu ranek cały zabierała herbata; o południu jadł śniadanie, potém, ubrany w eleganckie długie lakierowane buty, w które wszyscy jakby na jeden model jednostajnie przybrani, przybywali nam z Warszawy; przechodził się, lub przejechał się trochę i wracał o drugiéj na

obiad do domu; poczém znowu cygarko, znowu odpoczynek; dzień się kończył najczęściej na partyjce preferansa, do którego miewał sobie zaproszonych bądź sąsiadów, bądź kolegów swoich. Zagadnięty o to, z zuchwałością odpowiadał:

— »A jużcić, proszę, Pana, po pracy odpocząć potrzeba, myśmy, proszę Pana, w Królestwie do tego przywykli.«

Po preferansie i wieczerzy rozpoczynały się zwykle orgije różnego rodzaju, które im dawała władza nad niewolniczym ludem; co dni kilka sługa taki na fornalkach Pańskich, sprzężonych dla folwarku do pracy w gospodarstwie wyjeżdżał w odwiedziny do sąsiadów, bo też byłoby wcale niegrzecznie nie odwiedzać ich nawzajem, bez czego stosunki sąsiedzkie osygnąć i ustać by mogły. Kilka razy do roku taż fornalka woziła pana Administratora do pobliskiego miasteczka na publiczne zabawy, gdzie się on uprzejmością i szczodrém traktowaniem swoich przyjaciół, swoich znajomych i nieznajomych nawet odznaczał, a zręcznością w tańcu nad innych popisywał. W mazurze dzielny, w obertasie nieporównany, zmęczony kilkadniowym tańcem, zgrany w karty z zaciągniętym długiem w kramach, gdzie na konto swego pryncypała brał rzeczy, nieodbicie do życia jego potrzebne, jak wino, rom, cukier, herbatę, cygarę, kawior, śledzie holenderskie, sér szwajcarski i t. d., wracał odpoczywać do domu.

Starsi od tamtych doświadczeniem, uźbieraném na bruku Warszawy, to jest owa tężyzna, wymówniejsi od piérwszych, lepiéj od tamtych umiejący władać językiem, o wiele od nich zuchwalsi i niebezpieczniejsi, nie jednego z nas, chciwych postępu w gospodarstwie swoją mową zdurzyli i pozorami prawdy do kosztownych doświadczeń po-

ciągnęli; przyjeżdżali oni do nas z żonami i liczną rodziną zwykle na wyższe posady; ich pensye na tysiące się obliczały; utrzymanie, wymagania i kaprysy kosztowały rocznie drugie tyle; żaden z tych panów nie zeznał pokornie, iż przyjeżdża na Litwę szukać i pracować na kawałek chleba, którego w Królestwie nie znalazł, lecz każdy z nich, jakby nam łaskę swojém przybyciem czyniąc, lekko i pogardliwie mawiał: iż wyjechał z Królestwa jedynie dla poznania Litwy, dla spraktykowania umiejętności swoich, a każdy z nich zostawił bądź dom w Busku, pod zarządem dziadka, bądź niedzielone dobra w Sandomierskiém, administrowane przez ojca, lub brata, bądź kapitał w Warszawie, którym brat obraca, czyniąc bankierskie operacye. Każdy z tych rządców na wszelką, aby najdrobniejszą przejażdżkę w interesie swego pryncypała, czy potrzebnie, czyli niepotrzebnie się ruszał, likwidował sobie dyety, jakieś koszta podróży, kommunikował się ze wszystkiemi przez sztafety; inaczéj się nie ruszał, jak dużym pojazdem i to pocztą rozrzucając hojnie pieniądze po drodze. Słowem: każdy bez rachunku, najczęściéj dla własnéj fantazyi przyczyniał się bez miłosierdzia do wydatku Pańskiego.

Wszyscy oni bez wyjątku w powierzonéj sobie administracyi prawdziwie mówiąc, nie wiedzieli, od czego mieli rozpocząć czynność swoją; żaden z nich nie rozumiał, i aby zrozumieć nie zadał sobie pracy, co mianowicie było główną podstawą gospodarstwa, i w jaki sposób skutecznie miał się tém rozporządzić. Każdy, nie znający miejscowości, ani zwyczajów gospodarskich, uświęconych doświadczeniem, nabytém przez długie lata, bez poradzenia się z ludźmi miejscowemi, z mieszkańcami tego kraju, zarozumiale i z uporem wydawał rozkazy jakieś dziwaczne i wsteczne potrzebie miejscowéj, niechcący pomyśleć i za-

stanowić się nad tém iż co jest dobrém w Poznańskiém, w Sandomierskiém, lub Krakowskiém, niestosowne i złe a nawet i zgubne być może u nas.

Każden z nich wszystko umiał; nic mu obcém niebyło; na wszelki zarzut właściciela, lub na zapytanie ciekawego, każden z tych panów miał zawsze odpowiedź gotową, i to w tak szumnych wyrazach, z jakąś nieznajomą nam cytacyą, a z tak pewnym siebie tonem wyrzeczoną, że choć pytającego nieraz może nieprzekonał, ani zadowolnił, repliki jednak na nią mu zabrakło. Przyjmując zarząd dóbr, taki administrator z góry zwykle krocie dochodów panu swemu obiecywał, co wszystkim nam bardzo do smaku przypadło. Na jawne bezsensa w rozporządzeniach gospodarskich, zawsze się znalazła u niego przyczyna, i gdy po zamknięciu prac rocznych, majątek w zarząd takiemu panu powierzony, pozornie administrowany, nietylko że intrat zwyczajnych niedał, lecz się w gospodarskiéj swéj sile nadwątlony i zwichnięty o wiele nazad cofnął a przez to i rządca posadę stracić musiał,—ex-rządca, wyliczając patetycznie przysługi, jakie wyświadczając dla gospodarstwa dobra te w szacunkowéj ich wartości znacznie podniósł, kończył zawsze tą skargą, iż w tym dzikim i ciemnym kraju naukę i pracę jego ocenić dostatecznie niepotrafiono.

Nieżadną satyrę ja tutaj pisać przedsiębiorę, ani też zamierzam przez wymyślone jakieś złośliwe nieprawdy uwłaczać ludziom, do nas przybyłym: bo ani satyra, a mniéj jeszcze paszkwil, ani złośliwe ukąszenie niejest mojém upodobaniem. Przejścia wszakże tego przemilczeć niepowinien żaden, ktokolwiek pisze o gospodarstwie na Litwie i ja go tutaj zapisuję, jako ciekawy okres historyczny, jako charakterystyczną fazę w dziejach gospodarstwa na

Litwie. Zacytuję tutaj szczegółowo niektóre gospodarskie rozporządzenia tych panów, abym dotykalniéj przekonał każdego, kto moje gospodarskie sprawozdanie przeczytać raczy, o ile one były, nietrafnemi, szkodliwemi dla właściciela i jak małych zdolności i nizkiego usposobienia byli ci ludzie, którzy z taką zuchwałością, na nasz kraj i na oświecanie nas samych się odważyli. Niepodobném do prawdy zda się niemal wszystko, co tu wypiszę; lecz przyjmuję na siebie odpowiedzialność za każde wyrzeczone słowo, i jeśliby tego kiedy potrzeba wypadła, potrafię zacytować miejsce i naźwiska osob.

I tak naprzykład:

Rządca niemałych dóbr, położonych w mojém sąsiedztwie wśród lasów tak dalece, że z dworu najbliższéj wioski za lasem niewidać, że na każde przyrobienie morga do poletku, zwalać jodły, sosny i wydzierać pasieki przychodziło,—w takich dobrach sprowadzony z Poznańskiego rządca lasy corocznie zasiewał, pańszczyzną szyszki sosnowe zbierał, te suszył w suszarniach, umyślnie na ten cel pobudowanych i z nich na intratę swemu panu sosnowe nasienie wytrzęsał. Że zawsze szanowałem naukę w każdym człowieku, zawsze wierzyłem w potrzebę postępu gospodarki i od każdego rad byłem czegoś pożytecznego nauczyć się, po upływie roku odwiedziłem nowego gospodarza w celu obejrzenia gospodarki nowo-organizowanéj przez niego; oprócz pól, urządzonych w płodozmian i podzielonych na liczne zmiany, które były pożyteczną czynnością, oprócz podziału lasów na sekcye, które znamionując porządek w gospodarstwie leśném zabezpieczać miało jego ciągłe odradzanie się, szczególniéj mi się chwalił suszarnią, którą wystawił dla suszenia szyszek sosnowych.

— „Oto pochwalę się panu, że w tym roku na intratę dla mojego *chrabi* będę miał ze *siedem* beczek sosnowego nasienia“—

— I któż u pana to nasienie kupi w okolicy tak leśnéj, gdzie się sosna sama co roku zasiewa?—

— „Cho! proszę pana!—wykrzyknie z nieukontentowaniem rządca,—jeżeli w tym kraju dzikim i ciemnym kupca nieznajdę, toć przecię powiozę mój towar do Królewca, gdzie mnie go zapłacą“—

Tenże sam agronom nauczał mnie doić roczne cielęta, o czém powiem szczegółowie, gdy będzie mowa o chowie bydła.

W innych znowu dobrach, zawsze w mojém sąsiedztwie położonych, podobny rządca sprzęgał fornalki i koniczynę zasiewał. Wozy gospodarskie, sprowadzone od Lilpopa z Warszawy kosztowały po 110 rubli każdy; do tego cztery konie z zaprzęgiem—rubli sr. 240; tak złożona każda fornalka kosztowała właściciela 350 rubli sr.; przez oszczędność w robocie i przez jéj pośpiech stosunkowo do roboty naszych włościan, miała właścicielowi dóbr przynieść niezwyczajne podług obliczenia rządcy korzyści. Po żniwie, przy zwożeniu krestencyj z pola, nakładając on na taką fornalkę cztery kopy snopow—

— „No proszę pana!—wołał—,tak u nas w Królestwie wożą; kiedy tym czasem obok włościański wozek, ciągnięty przez włościańskiego Litewskiego konia, wartości rubli dwudziestu cicho, wiozł do tejże stodoły kopę snopow.

Każden łatwo obliczy, iż skromny kapitał nakładowy rubli 80 na cztery włościańskie konie wydany, dawał właścicielowi tęż samą korzyść, co cztery razy z górą więcéj szumnie przez administratora postępowego użytych. Jeden

tylko rządca znajdywał zawsze jakieś argumenta na pochwałę wyższości swego zaprowadzenia.

To znowu, gdy zasiał w zmianie parę morgów koniczyny, przed wszystkimi się chwalił, iż tak u nich w Królestwie gospodarzą. Na zdjęcie téj koniczyny, któréj zbierać praktycznie nieumiał, marnował i tracił powierzonego do swego szafunku robotnika; w rezultacie zaś wypadła jedynie ta korzyść dla właściciela, iż za wozów dwadzieścia suchéj koniczyny trzydzieści z górą morgów sianożęci nieskoszonych zostało. Rządca, popisując się z tém nowém ulepszeniem w powierzoném sobie gospodarstwie, przez uprawę koniczyny liczył już przed drugimi podniesioną dóbr tych szacunkową wartość, choć dziedzic od pół zimy siano kupował.

Inny znowu rozpoczął zawód prac administracyjnych od zrzucania w folwarkach przepłotów. „Przepłoty, mówił on, to barbarzyństwo; tego u nas w Królestwie już nigdzie niéma"—i daléj, bez uwagi, iż słońce tutaj jesienne przy zbiorach niezawsze ma tyle ciepła aby dostatecznie wysuszyć snopy na polu, krestencyę składał do gumna, która gdy się sparzyła, ani z ziarna, ani ze słomy właściciel niemiał korzyści.

Każden się z tych panów z góry popisywał zwykle przed nami z jakąś erudycyą gospodarską, lub z jakąś nowością, nam, jak się jemu zdawało, nieznaną, którą jako nader pożyteczną wnet zaprowadzić obiecywał. Tak pamiętam, iż jeden z tych przybyszów, wychwalając sposob karmienia bydła w Królestwie miał podobny tamtemu, a całkiem, jak mniemał tutaj nieznany zaprowadzić w powierzonéj sobie administracyi.

— „U nas, w Królestwie,—mówił on z powagą, która jak mu się zdawało, że na nas słuchających wielkie spra-

wia wrażenie;—jest sposob bardzo przyjęty dobrego opasu inwentarza, którego tutaj nieznają; oto—robi się trojanka: bierze się, proszę pana, pewna część słomy żytniéj, takaż jarzynnéj i siana, i za pomocą machiny, choć prawdę mówiąc niejest to machina, lecz narzędzie, upowszechnione u nas w Królestwie; nazywa się ono widły, i (rozdwajając przed nami słuchającymi palcy, przedstawiając figurę tego nieznanego na Litwie narzędzia) tém narzędziem, mówił daléj—trojanka się z sobą mięsza; jest to bardzo dobry i pewny sposób utrzymania inwentarza.

Drugi, którego wyłącznym fachem, jak sam o sobie powiadał, była znajomość utrzymania żywiołu w dobrém zdrowiu, nauczał, iż aby owce zabezpieczyć od chorób często dotykających ten żywioł, trzeba im świdrować dziury z góry w nosie i zapuszczać pewne lekarstwo, którego tutaj zrobić niemożna, albowiem w tym dzikim kraju, niepodobna dostać potrzebnych do tego ingredyencyj, które tylko w Warszawie znajdują się.

Nareszcie— jako fakt biegłości w rachunkach, niemogę niezapisać tutaj zdarzenia następnego, na które patrzałem zblizka. W téjże administracyi możnego pana, o któréj wspomnieliśmy z góry, do któréj to furami zwożono administratorów, przy przejrzeniu miesięcznych rachunków domowego expensu, ponoszonego na utrzymanie oficyantów, główny pełnomocnik zarządu, człowiek miejscowy, gdy postrzegł, iż na mięso wyexpensowano 80 rubli w ciągu miesiąca, pozycya ta w rachunku niezwyczajna, uderzyła go wielkością cyfry; rozkazał przedstawić sobie szczegółową o tém wiadomość. Przedstawiono ją. Zagadnienie to było, jak zaraz zobaczymy, zawikłane i formuła rachunkowa arcy-trudna. Oto znalazł główny rządca, iż wyszło na kuchnię mięsa cztery pudy, którego funt pła-

cono po kopiejek 4, co uczyniło podług podwójnéj buhalteryi owych biegłych w rachunku kontrolerów rubli sr. 80. Z rozkazu głównego pełnomocnika nad sprostowaniem tego tak zawiłego rachunku, dwaj kontrolerowie trzy dni pracowali; kilka wyprowadzili rozmaitych rezultatów, których liczby znacznie różniły się między sobą; naostatek gdy niemogli sami trafić do końca, miejscowy, ciemny, dzikiego kraju pisarz, nieznający wyższego rachunku— wezwany, poprostu to trudne dla nich zagadnienie w jednéj chwili rozwiązał.

Takiego poglądu na rzeczy w gospodarstwie i tak nizkich zdolności z małym bardzo wyjątkiem byli ci ludzie, którzy tak zuchwale z taką śmiałością przybywali na Litwę dla jéj oświecania i dla wprowadzenia w niéj ulepszonego gospodarstwa. Szczęściem, iż niedługo trwał u nas stan taki rzeczy; nadto widzialną była ich nieudolność i ignorancya, ażeby się na niéj niepoznać można było do razu; nadto zuchwale i otwarcie rozpoczęli bałamuctwo, gdyby się na niém prędko obejrzeć niemożna było. Każden z nich w zarządzie sobie powierzonym, rutynę starą naszego gospodarstwa od wieków istniejącą, co nam przyzwoity dochód od ziemi naszéj wyręczała, od razu popsuł, szkód właścicielowi przyczynił, i byliby całkiem zrujnowali nasze fortuny, gdyby im czas na to potrzebny dano.

Wyzwoliło się nareszcie Litewskie gospodarstwo od téj opieki nad sobą; porządek przez tych rządców zwichnięty i przewrócony, powoli poprawiać się zaczął; trzeba było znowu wrócić do sług miejscowych i nimi się kontentować; lecz po téj strasznéj próbie, jakże przyszłość nasza pod tym względem zachwianą i rozczarowaną została! Spękały się od razu te piękne nadzieje ulepszeń w gospodarstwie naszém przez przybyszów szumnie obiecywa-

ne i pięknemi słowy opowiadane, do których, gdy nam brakło na własnych naszych zasobach, chętnie przylgnęliśmy z tak wielką wiarą. Przyszła pomyślność w gospodarstwach naszych leży dzisiaj jedynie na opiece rządu, na téj nadziei, iż rząd nasz dzisiejszy, zwracając swoję uwagę na wszystko, co jest pożytecznem, tę gałąź bogactwa narodowego poprawi, i zapełni ten niedostatek dobrych oficyantów przez zakładanie po kraju, najmniéj po jednéj w każdéj gubernii, szkół agronomicznych, w którychby ludzie fachowi i praktyczni wykładali naukę gospodarstwa wiejskiego, nie teorycznie tylko, jako spełnienie formy dla zadosyć uczynienia najczęściéj rozkazowi, jak się u nas dotąd działo, lecz wykładali ją szczerze, serdecznie, z gruntowną znajomością przedmiotu, z zastosowaniem téj nauki do potrzeby kraju i jego mieszkańców. Oto nam prosić u Rządu przy dzisiejszéj reformie socyalnéj koniecznie potrzeba: w tenczasby się mogła zmienić postać rzeczy na Litwie; każda szkoła podobnie kierowana, dostarczałaby ludzi pożytecznych, którymi obsadzane gospodarstwa nasze, wprędce zapowiadać by mogły ową pomyślność ogólną krajową, do spełnienia któréj każden rząd ojcowski i mądry, wspierany zaufaniem, dobrą wiarą i współdziałaniem narodu, dążyć powinien.

W pomoc Rządowi w imie dobra publicznego, w imie téj wielkiéj idei, jaką jest we wszystkich narodowościach miłość własnego kraju, możniejsi panowie na Litwie, ci, których obszerniejsze dobra lepiéj i dzielniéj od innych są administrowanemi, powinniby rozciągnąć swoję opiekę nad dziećmi ubogiéj zagonowéj szlachty, po kilku, kilkunastu, lub kilkudziesięciu takich stosownie do możności nad komplet w administracyach swoich utrzymywać i tych w prawidłach moralności i poczciwości kształcić na przy-

szłych rządców i oficyantów dla mniejszych gospodarstw po kraju. Byłby to najpiękniéj użyty i wydatkowany kapitał; byłby to dług Chrześcijański świetnie wypłacony krajowi i braciom, najszczytniejszy pomnik, wzniesiony téj wielkiéj myśli i tym świętym uczuciom miłości dla rodzinnéj ziemi, która we wszystkich krajach jednostajnem mianem patryotyzmu się nazywa.

DO REDAKCYI „TEKI WILEŃSKIÉJ".

W numerze 2 Teki Wileńskiéj z roku 1857, na karcie 250, w artykule p. t. „Wiadomość o Rzymsko-Katolickich kościołach w dyecezyi Wileńskiéj", przywiedziono nagrobek w kościele xięży Missyonarzy Wileńskich Wincentemu Gosiewskiemu hetmanowi pol. Lit. przez jego małżonkę Magdalenę, jakoby, z ***Kondrackich*** wystawiony. Podanie familijne stwierdza Atlas historyczno-genealogiczny Roginy Korzeniowskiéj, że małżonką hetmana Gosiewskiego była Magdalena ***Konopacka***, która owdowiawszy po nim, weszła w powórny związek małżenski z Karolem xięciem Czartoryskim z linii Koreckiéj: wnoszą przeto, że zatarty napis nagrobkowy mylnie wyczytano.

I żeli prawda wyjaśni się dośledzeniem owego zatarcia napisu prosiłby o, jeśli to być może, aby w jednym z następnych numerów „Teki Wileńskiéj", sprostowanie téj omyłki mogło znaleść miejsce (1).

Szymon Konopacki.

Dnia 14 czerwca 1858 r.
Ławrynowce.

(1) Małżonką Gosiewskiego rzeczywiście była Magdalena Konopacka. Przyp. Red.

OGŁOSZENIE

KONKURSU DO NAPISANIA HISTORYI WŁOŚCIAN I STOSUNKÓW EKONOMICZNYCH W DAWNEJ POLSCE.

(Od Poznańskiego towarzystwa Przyjaciół nauk.)

Historya stosunków włościańskich, zawsze i wszędzie tyle ważne dla dziejopisów i statystów, szczególnie jest dziś pożądaną w piśmiennictwie naszém dla ogromnéj wagi, jakiéj nabrał rozwój tych stosunków w krajach Polskich: nikt bowiem w obecném położeniu jasno i gruntownie rozpatrzyć się niezdoła, kto się dokładnie z przeszłością niezapozna; a z dziejowéj przeszłości naszéj znaną nam była dotąd, niemal wyłącznie, historya jednego tylko, panującego niegdyś stanu w narodzie. Bez téj wszechstronnéj znajomości minionych czasów nikt téż o przyszłych kolejach dziejowych dojrzałego sądu utworzyć sobie niejest w stanie, bo wszelki rozwój organiczny od przeszłości nieodłączny, i wśród największych nawet przeobrażeń, na niéj się opiera. Temi powodowany względami wyznaczył w roku zeszłym pierwotny prezes Poznańskiego towarzystwa przyjaciół nauk, pan hrabia August Cieszkowski, nagrodę 1000 talarów za najlepszą ***Historyę włościan i stosunków ekonomicznych w dawnéj Polsce***, naszemu zlecając towarzystwu napisanie odpowiedniego konkursu i przysądzenie naznaczonéj nagrody.

Wywiązując się z włożonego na siebie zaszczytnego obowiązku, Poznańskie towarzystwo przyjaciół nauk ogła-

za niniejszém konkurs do napisania *Historyi włościan i stosunków ekonomicznych w dawnéj Polsce*, podejmując się razem przysądzenia nagrody 1000 talarów w Pruskiéj monecie, najlepszéj z prac, które w ciągu dwóch lat następnych nadesłane zostaną.

Aczkolwiek niemoże być myślą naszą chcieć krępować wolny ruch pisarzy ściśle wytkniętą najprzód drogą, ani też w jakibądź sposób wypadkowi bezstronnych przeszkadzać badań, uważało przecięż towarzystwo za swoję powinność bliższe podać skazówki co do granic i warunków, które dla przyszłéj pracy w części za niezbędne, w części za pożądane uważa.

Samo już brzmienie zadania wskazuje, że praca obejmować winna dwa, w bliskiéj wprawdzie z sobą styczności zostające, ale przecięż wielorako odrębne działy, to jest: 1) historyę samegoż stanu włościańskiego, politycznych, społecznych i prawnych onegoż stosunków; 2) dzieje gospodarstwa, szczególnie o ile stan i rozwój jego wpływały na położenie włościan.

Co do historyi stanu włościańskiego, należy ją doprowadzić aż do ostatniego podziału Polski, poczynając od zwięzłego i na źródłach opartego zarysu stosunków przedchrześcijańskich: bez takiego bowiem wstępu całemu obrazowi dziejowemu na umiejętnéj zbywałoby podstawie. Natura przedmiotu wymagać się zdaje, ażeby pisarz, przechodząc w kolei czasów różne epoki, jakie mu się w dziejach włościańskich przedstawią, szczególnie troskliwemu poddał zbadaniu: wpływ Chrześcijaństwa na gminy i los włościan, wpływ panowania i prawodawstwa Kazimierza Wielkiego, przekształcenia zaszłe w następstwie rządów Ludwika Węgierskiego i w skutek wzrostu możnowładztwa szlacheckiego, wpływ nareszcie reformacyi religijnéj, jak

niemniéj nowszych, od XVIII mianowicie wieku datujących wyobrażeń. Pisarzowi dzieje włościan w powyżéj wytkniętych granicach czasu kreślącemu, wypadnie szczegółowo rozebrać odmienne pod niejednym względem stosunki stanu tego w dobrach szlacheckich, w królewszczyznach, w dobrach duchownych, w sołectwach i innych mniéj lub więcéj niezależnych osadach wiejskich, jak niemniéj wykazać wpływ odrębnych praw i przywilejów na stosunki włościańskie.

Nauka z obrazu takiego płynąca o wiele by się zmniejszyć musiała, gdyby autor zaniedbał wykazać wpływ włościan i historycznych kolei stanu tego na politykę i dzieje rzeczypospolitéj.

Życzyć wypada, ażeby pisarz uzupełnił pracę swoję zwięzłém a charakterystyczném porównaniem stosunków włościańskich w Polsce, z położeniem rolniczéj klassy w innych krajach, ile możności w każdéj ważniejszéj epoce swego obrazu.

Co do historyi stosunków ekonomicznych, nadmienia się tylko, że przez to wyrażenie mają być stosunki gospodarstwa wiejskiego rozumiane, i że towarzystwo pragnęłoby znaleźć w tym dziale obraz gospodarstwa i przemysłu wiejskiego w różnych czasach dawnéj Polski, z uwzględnieniem ich wpływu na handel i odwrótnie.

Najmocniéj pożądaną jest rzeczą, ażeby piszący dzieje włościan, oparł badania swoje nie na samych tylko historycznych źródłach drukiem ogłoszonych, ale i na źródłach archiwalnych, o ile być może w jak najszerszéj mierze.

Prace konkursowe, które w Polskim winny być pisane języku, przesłać należy, najdaléj do dnia 1-go lipca 1860 r., na ręce sekretarza zarządu Poznańskiego towa-

rzystwa przyjaciół nauk. Obok prac rękopiśmiennych przypuszczają się do konkursu i dzieła po ogłoszeniu niniejszego konkursu w druku wyszłe, o ile ich autorowie nadeszlą je w tym celu na ręce sekretarza towarzystwa. Każdą nadsyłaną pracę należy opatrzyć w dewizę i dołączyć list zapieczętowany, też samą dewizę na okryciu noszący, a który imie, nazwisko i miejsce zamieszkania autora wewnątrz zawierać powinien.

Poznań, dnia 1 lipca 1858.

Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Prezes
Tytus Działyński.

Sekretarz
Leon Wegner.

OD REDAKCYI »TEKI WILEŃSKIEJ«.

Wilno, słynące niegdyś tak żywym naukowym ruchem, którego odbicie dla prowincyi dopełniało kilka pism peryodycznych, następnie przez ćwierć wieku pozbawione swojego literackiego organu, czuło wespół z całą prowincyą potrzebę pisma, któreby skupiając w jedno ognisko prace nasze i ruch umysłowy, przeprowadzało potém do wszystkich warstw społecznych—światło, poradę, wspomnienie. »Wizerunki i roztrząsania naukowe«, a później »Athenaeum« odpowiadały temu celowi, o ile zakres pism zbiorowych to dozwalał. Z ustaniem zaś ich, potrzeba ta stała się jeszcze widoczniejszą.

Najmocniéj przeświadczeni o téj prawdzie, z gorliwą chęcią służenia rodakom, ufnie stanęliśmy przed nimi,—przedsiębiorąc wydawanie pisma zbiorowego *Teka Wileńska*, wierząc najszczerzéj, że pisarze i czytelnicy od których jedynie byt każdego pisma zależy, los jego wezmą do serca i upaść mu niedadzą.... I niezawiodły nas nadzieje... Wsparci światłą radą i pomocą najzasłużeńszych w kraju pisarzy, jak również dostateczną liczbą prenumeratorów, na pokrycie nieodbitych kosztów, kończymy już zapowiedziane 6 numerów Teki, stanowiące piérwszą jéj seryę.

Czy odpowiedziała Teka wymaganiom ogółu?—to inne pytanie.

Aby rozwiązać to pytanie, należałoby najprzód ściśle określić znaczenie pisma zbiorowego i istotną jego różnicę od pism czasowych, czyli peryodycznych. Te ostatnie mogą być albo specyalne, wyłącznie jednéj nauce poświęcone, albo encyklopedyczne; dotąd największa liczba pism

czasowych Polskich należała do ostatniéj kategoryi. Zadaniem redakcyi być powinno uwiadamiać czytelników o stopniowym rozwoju umiejętności i o ruchu literatury tak ogólnéj Europejskiéj, jak szczególnie ojczystéj. Lecz ponieważ sama literatura przekroczyła dawniéj zaskreślony dla niéj obręb i poglądem swoim objęła życie społeczne, dla tego i wszelkie kwestye żywotne, obecne, roztrząsać w rozmaitéj formie począwszy, przyjęła niejako obowiązek uwiadamiać czytelników swoich o ich przejawach. Ztąd wyniknęła dla niéj powinność szczegółowie roztrząsać wszelkie wychodzące nowe dzieła, mówić o zakładach naukowych, o ruchu życia umysłowego, i biorąc nauki na tém stanowisku, na jakiém je pismo czasowe zastało, postępować krok w krok za ich rozwojem, i jeśli można kierować ich dążeniem ku największemu dobru tak saméj nauki, jak i społeczności. Skromniejsze jest nierównie zadanie pisma zbiorowego. Głównym jego celem być powinno: ułatwić piszącym możność podzielenia się z ogółem owocem dojrzalszych prac w każdym rodzaju wiedzy ludzkiéj; niekrępowane ściśle czasem, nieobowiązane śpieszyć za obecnemi i ulatującemi z chwilą objawami życia umysłowego, może otworzyć kolumny swoje równie dla prac obchodzących przeszłość jak i obecność. Teka zwłaszcza Wileńska odpowiednie swojemu nazwaniu przedewszystkiém pragnie mieć głównie na celu rzeczy *Wileńskie i Litewskie* w najrozleglejszém tego wyrazu znaczeniu; lecz tak jak przeszłość puściznę umysłową Litwie przekazała, jak ją stan obecny uwarunkował, niemoże wyłączać z obrębu prac swoich tych żywiołów, które tak silnie wprzędły się w jéj życie. Dla tego ogólny ruch i znaczenie piśmiennictwa Polskiego, prace braci współ-Słowian, pytania nawet najbliżéj bliską przyszłość obchodzące,— treść

jéj stanowić powinny; a jéj godłem jest miłość rzeczy domowych Litewskich, w dawnym, obecnym i przyszłym ich rozwoju, uwzględnienie tego co się obok Litwy dzieje, i zaszczepienie zdrowych pojęć o tém, czego rozumnie żądać i ku czemu wytrwale dążyć należy.—Już w krótkim ciągu swego istnienia Teka była tak szczęśliwą, iż obudzając współczucie wyższych i zasłużeńszych pracowników, podzieliła się z czytelnikami owocem dojrzalszéj ich pracy, poruszyła pytania dotąd nietknięte, tak społeczne jak naukowe, zjednała spółdziałanie pobratymczych mężów nauki, i obudziła niektóre młode umysły do współubiegania się na témże polu pracy i zasługi. Wszystkie bez wyjątku poważniejsze pisma czasowe powitały ją współczuciem i zachętą, a dochodzące Redakcyę pełne dobréj woli rady i przestrogi są dla niéj skazówką i życzeń ogółu i dalszego jéj kierunku w zakreślonym dla siebie zawodzie.

Uznając całą użyteczność pism peryodycznych, rozumiemy jednak, że i pisma zbiorowe, z jakichkolwiek powodów miejsce pierwszych zastępować zmuszone, odpowiedzieć mogą wymaganiom i potrzebom społecznym. Wychodząc zwykle w przestankach nieokreślonych, nieprzywiązane do pewnego dnia, dają redakcyi więcéj swobody i piszącym więcéj czasu do przyłożenia ostatniéj ręki. Pozbawione przywileju ogłaszania recenzyj, tudzież wiadomości pobieżnych o ruchu dziejowym i umysłowym, niosą jednak skazane na milczenie w tych tak zajmujących przedmiotach. Jedynym tylko warunkiem przez samą naturę swoję na pismach zbiorowych ciążącym, jest to, że poglądy swoje o tych przedmiotach, w szerszym rozmiarze i w połączeniu z rozleglejszemi widokami wypowiadać muszą. Nadto według właściwego pojmowania natury pism zbiorowych, tu właściwie miejsce mieć powinny ob-

szerniejsze prace wychodzące za obręb obecności. Ztąd też Teka Wileńska starała się o zebranie materyałów do dziejów uniwersytetu Wileńskiego i to nie w martwych dokumentach, ale w żywém spółczesném, obrazowém, może nawet niekiedy namiętném, przez naocznych świadków opowiedzeniu kolei téj głównéj szkoły Litewskiéj. Spodziewa się także podobnemiż wspomnieniami o początku, wzroście i dalszych kolejach liceum Krzemienieckiego ocalić zacierające się ślady prac i zasług na naukowéj niwie gorliwych o kwitnienie téj szkoły obywateli. Nakoniec matka oświaty w Polsce, ***alma mater*** Krakowska otrzyma, podobnież uznanie zasług niektórych jéj członków, skreślone doświadczoną i umiejętną ręką. Niewchodząc w szczegółowe wyliczanie piśmiennych zasobów Teki, to tylko powiedzieć możemy, że w téj chwili zebrane już rękopisma, lub których nadesłanie jéj przyrzeczone,—wystarczą na 6 numerów drugiéj seryi takiejże co i piérwsza objętości. Wszakże, mimo rzeczywiście bogatych zasobów, wzywa jednak, zwłaszcza młódszych zwolennikow nauki, aby niewahali się nadsyłać swoje prace, które w poszytach tego pisma zbiorowego znajdą gościnne przyjęcie.

Przedmioty w zakres Teki Wileńskiéj wchodzące, są następujące:

I. Najpiérwsza z nauk, bo nie na ziemi biorąca swój początek, bo zabezpieczająca doczesne podstawy towarzystwa i wiekuiste szczęście człowieka, ***religijia***, z głównem baczeniem na jéj stronę moralną, zająć powinnaby przeważne miejsce w naszém piśmie. Wzywamy przeto światłych i gorliwych kapłanów, jakich kościoł nasz na łonie swojém posiada, równie zasłużonych na niwie Chrystusowéj, jako i na polu literatury, aby ochocze serce i szczerą rękę przyłożyli do naszych usiłowań, udzielając własnych

prac w rzeczach religijnéj moralności, oznajamiając ogół z ważniejszemi tego rodzaju pracami za granicą, ze wzorami świętéj wymowy kaznodziejów obcych, dziejami kościoła, słowem z tém wszystkiém co służąc ku zbawieniu ogółu, podać może plebanom i nauczycielom wiejskim, dobre pomocnicze skazówki do wykładu ich świętego przedmiotu.

II. Pod względem *literatury nadobnéj* zamieszczone będą *prawdziwe* poezye, nowelle, powieści, podróże po kraju i za granicą, malujące obyczajową stronę zwiedzonéj miejscowości,—jedném słowem w zakres téj rubryki wchodzić będzie to wszystko, co w sposób lekki, a przyjemny rozszerza granice wiedzy, co wykształca serce, rozwija poczucie piękna w sztuce, naturze i duszy ludzkiéj. Pomoce już nadesłane i obiecane od najpiérwszych w kraju pisarzy jak Kraszewskiego, Ig. Chodźki, Odyńca, Syrokomli, Kaczkowskiego, Siemieńskiego—pozwalają nam mieć nadzieję, że oddział ten uczynimy zajmującym.

III. Historya, ze wszystkiemi gałęźmi stanowiącemi jéj całość, *archeologiją*, *etonografiją*, *statystyką*—będzie przedmiotem jak najtroskliwszych studyow. Wolno nam dzisiaj pochlubić się, że Teka Wileńska, wsparta współdziałaniem najzasłużeńszych naszych badaczow, jak T. Narbutta, M. Malinowskiego, I. J. Kraszewskiego, M. Balińskiego, J. Jaroszewicza, prof. Muchlińskiego, Szajnochy, K. Wł. Wojcickiego, J. Bartoszewicza, J. Łepkowskiego i w. i., posiada już dziś nader bogate zasoby, które niejedną ciekawą kartką wzbogacą wiedzę naszych dziejów. Dla młódszéj zaś braci, życzącéj poświęcić się téj ważnéj gałęzi, pozwalamy sobie wskazać tu główne przedmioty, na które szczególną uwagę zwracać powinna, a opisy których nader są pożądane dla Teki.

IV. Pod względem *archeologii*: pomniki sypane z ziemi, horodyszcza, okopiska, kurhany, góry zamkowe, z do-

kładném wyjaśnieniem ich położenia, pomiaru, z wiadomością czy były poszukiwane, kiedy i przez kogo; pomniki z muru i drzewa, ruiny lub tylko fundamenta z drzewa, lub muru, pałace, domy, do których jest przywiązana tradycya ludowa; jeziora, rzeki, góry, lasy, kamienie, nawet drzewa pojedyńcze, o których lud zachował jakie odwieczne podania, lub które nazwą swoją czegoś historycznego, lub mytycznego domyślać się każą,—słowem to wszystko, co może wyświetlić naszę przeszłość. Przedewszystkiém prosimy naszych młodych współpracownikow nie o kompilacye z drukowanych xiążek, nie o popisywanie się z własną historyczną erudycyą, ale o wierne spisanie tego co jest w ustach i pamięci ludu, choćby to się podawcy wydawało wirutną banialuką. Zbiory prywatne zabytków starożytnych, wykopalisk z ziemi, osobliwości, rzeczy pamiątkowych, biblijotek, obrazów, sztychów, rzeźby, słowem tego wszystkiego co w daném miejscu troskliwość, lub ciekawość prywatnych osób nagromadziła z rzeczy godnych uwagi,— może posłużyć za pożyteczny przedmiot opisu. Zacnych zaś i światłych kapłanów ***wszystkich wyznań*** najmocniéj upraszamy o szczegółowe opisy kościołów, cerkwi, kaplic, cmentarzów, pod względem historycznym, lub archeologicznym; o wypisanie dat ich założenia i konsekracyi, imion fundatorów, lub dobrodziejów, znaczniejszych pomników, dzwonów i na nich napisów, relikwij śś., obrazów cudownych, portretów fundatorów, znakomitszych apparatów i sprzętów kościelnych, jako to: kielichów, monstrancyj, rel kwiarzy,—nadto innych pamiątek historycznych, np. chorągwi wojennych lub zdobytych na nieprzyjacielu, moździerzy, kotłów i innych rzeczy, do których jest przywiązana archeologiczna, historyczna lub pamiątkowa wartość, archiwów i bibliotek klasztornych, wyszcze-

gólnienie ważniejszych przywilejów i nadań, z treściwą wiadomością kiedy i od kogo pochodzi ten lub ów nabytek na chwałę Bożą ofiarowany. Wiadomości odnoszące się do uroczystości kościelnych, kiedy te zostały wprowadzone, kiedy się obchodzą, o plebanach wsławionych nauką, wymową, świątobliwém życiem lub dobroczynnemi pamiątkami jakie po sobie zostawili.

V. ***Wiadomości etnograficzne***, tak ważne, a w takiém niemowlęctwie jeszcze u nas zostające i tak mało rozwinięte, zwracać powinny szczególną uwagę. W zakres téj wiedzy wchodzą: 1) oznaczenie plemienia; powierzchowność ludu osiadłego w danéj prowincyi: wzrost, kolor włosow, płci, oczu, siły fizyczne, stan zdrowia. 2.) Język—szczególne znamiona, sposób wymawiania, wyrazy i całe okresy właściwe pewnéj klassie ludności, naprz: język flisów, używane przez nich nazwy przedmiotów w użyciu będących, jak rap i t. d. (bożek wodny). 3) Życie domowe: opis dworów i wsi, zabudowania obywatelskie, klassy rolniczéj, wewnętrzne urządzenie domów, odzież mężczyzn i kobiet w rozmaitych porach roku, pokarmy i napoje. 4) Zwyczaje i obrzędy: urodziny i chrzciny, wesela, pogrzeby, rozmaite wspominki po umarłych, jak przykładziny, radownice, dziady i t. d. 5) Prace rolne: obsiewki, dożynki i t. d. 6) Roczne uroczystości: kupało, rosa, kucya, Boże narodzenie (kolady), wigilija Nowego roku, Nowy rok, Trzy króle, wieczorynki czyli święte wieczory, Wierzbna niedziela, Wielkanoc, Zielone święta, Zielna i t d. 7) Domowe sposoby leczenia, gusła, zabobony. 8) Zabawy, piosnki, tańce, instrumenta muzykalne, muzyka i jéj charakter, igrzyska i t. d. 9) Stosunek włościanina do obywatela, czynszowe lub pańszczyznowe służebności za posiadaną ziemię, natura i ilość dodatkowych robocizn lub

danin, służby lub opłaty allodyalne uświęcone tradycyjnym zwyczajem, jak np. połowiczne miody, obowiązek dostarczania ludzi na polowanie, hurtowe tłoki i t. p. 10) Przyczyny miejscowe stałe lub chwilowo ***wpływające na rozwój władz umysłowych, moralności, dobreyo bytu lub nędzy klassy rolniczéj***; wymienienie miejsc odznaczających się pod tym względem dodatnio lub ujemnie, wskazanie najbliższych miejscowych środków zaradzenia złemu. Nakoniec: 11), podania miejscowe, szczególne przysłowia, pieśni, skazki i pomówiska.

VI. Pod względem wiadomości ***gospodarskich i statystycznych:*** sposoby gospodorowania, najbardziéj odznaczające się w tym względzie dobra ziemskie, szczegóły o znaczniejszych zakładach fabrycznych i handlowych w prowincyi, tak np. o papierniach, hutach, młynach, znaczniejszych gorzelniach, browarach; szczegółowe opisy pszczelnictwa, jedwabnictwa, cukrownictwa, polowania, ogrodów, cieplarni, sztucznych łąk i t. d. Ilość mieszkańców podług pochodzenia, wyznania i plemienności, liczba rodzących się i umierających, śmiertelność podług lat od urodzenia, podział jéj na miesiące. Miejscowe metryki i źrzódła policyjne, oraz wiadomości zbierane przez izby skarbowe i komitety statystyczne— szczegółów tych dostarczyć mogą. Nieraz się zdarza, że pod względem ludności cyfry podane przez komiteta statystyczne i przez miejscowych proboszczów niezawsze z sobą są zgodne, a liczba podług wyznań, najczęściéj bywa przewyższającą; różnicę tę wypada wskazać, tłómacząc jeśli można jéj powody. Ilość dorocznych ślubów podług wyznań. Ilość kościołów i innych świątyń, cmentarzy, ilość domów murowanych i drewnianych, ulic brukowanych i niebrukowanych, placów, rynków, zakładów dobroczynnych; szkoły, liczba uczących

się i nauczycieli; kramy, handle, traktyery, szynki, łaźnie, ilość kupców, handlujących mieszczan i t. d.—jedném słowem to wszystko co pod względem statystycznym może dać wyobrażenie o stanie miasta. Niemniéj pożądane są statystyczne wiadomości z prowincyi: tu główną uwagę zwracać należy na przestrzeń ziemi, ilość rąk roboczych, lasy, ich produkcye, handel leśnym materyałem, jeziora z uwagą na gatunek ryb; miejscowe rybołówstwo, rzeki spławne, ilość statków, szczególne gatunki żwierząt; stada kóz i bydła; drogi komunikacyjne, pocztowe, prywatne, znaczniejsze góry, ze zwróceniem uwagi na ich skład geologiczny, np. gdzie są pokłady żwiru, wapna, kredy, glinki barwianéj i t. d.; rośliny lakarskie i farbierskie z ich miejscowym użytkiem, rudnie żelazne i innych kruszców. Postrzeżenia meteorologiczne z wykazem ważniejszych faz klimatycznych, większych mrozów, upałów, burz, notowanie dat stawania lodów, puszczania rzek, powodzi i ważniejszych fenomenów, np. trąby powietrznéj, niezwykłego gradu, piorunów, zorzy północnéj, meteorów, przelotu ptaków i t. d. Wiadomości o jarmarkach i targach na konie, bydło, wełnę i t. d.

VII. Dwie przeważne podstawy ekonomii politycznéj, ***rolnictwo i przemysł***, dwa stanowcze warunki bytu naszego kraju, powinny powołać usilność naszę do szczególnych studyów. Niewalcząc z uświęconemi od wieków gospodarczemi tradycyami, które mają zasługę miejscowości i praktyki, nieusiłując na pola nasze wprowadzać rzeczy obcych, z ziemią i klimatem naszym niezgodnych, za ważną bierzemy powinność oswajania naszych rolników z ulepszeniami i wynalazkami, które wprowadzone w praktykę i zastosowane do naszéj miejscowości, mogłyby przynieść rzetelną korzyść wiejskim obywatelom. Gdy te rolnicze ko-

rzyści w nierozdzielnym są związku z bytem klassy włościańskiéj, postaramy się rozwijać kwestye dążące do ulepszenia bytu na warunkach zobopolnéj dogodności, wzajemnego współczucia i ufania, bez których dwory i wioski nasze pod względem tak finansowym jako i moralnym dźwignąć się niemogą.

VIII. ***Rozmaitości***—zawierać będą przeglądy piśmiennictwa Polskiego i pobratymczych Słowian z lat ubiegłych, poglądy na sztuki piękne, życiorysy zasłużonych rodaków, nietylko osób historycznych, ale i takich które lubo niemiały głośniejszego nad obręb swojéj okolicy rozgłosu, na miejscu jednak zasłużyły na wdzięczne lub pamiątkowe wspomnienie. Tu i wieśniak odznaczający się wysokiemi swojego stanu cnotami, i rzemieślnik znany i zasłużony okolicy biegłością w kunszcie i rzetelną poczciwością, znaleźć powinien szanowną o sobie wzmiankę. Wreszcie korespondencye rozmaitéj treści.

Czyjemu sercu niejest obca miłość kraju w którym mieszka, kto życzy dobra macierzystéj swéj ziemi, ten wraz z nami nabędzie przekonania, że tego dobra niemożna dla niéj osiągnąć bez gruntownego i różnostronnego jéj zbadania. Skarbnicę tych ważnych badań chcemy otworzyć w naszém piśmie, któremu jeśli Bóg, przyjaźne okoliczności i prawdziwie obywatelska gorliwość współpracowników przyjdzie do pomocy, karty jego stać się mogą cennym składem jedynych materyałów dla ekonomisty, historyka lub pod każdym względem badacza kraju. To szczegółowe poznanie swéj ziemi, krom naukowych, realne i natychmiastowe przyniesie z czasem korzyści; a byleśmy teraz ochoczo wzięli się do bogatego żniwa, które nas otacza, skromne pismo nasze stać się może zasobnym śpichlerzem, którego chléb duchowy zasili i pokrzepi

zdrowie przyszłych pokoleń. Praca godna pilnéj ręki i serdecznego zamiłowania wszystkich dobrze myślących ludzi.

Z takiém wyznaniem wiary, w tém miejscu niech się nam godzi jeszcze wypówiedzieć zasadniczą myśl naszę. Hołdując prawdzie i pięknu powitamy je radośnie wszędzie, gdzie się dadzą napotkać. Obcy duchowi stronnictwa, niechcemy mieć w literaturze przyjaciół i nieprzyjaciół; a jeżeli śmiało i sumiennie wypowiadając prawdę zadraśniemy czyjęś osobistą miłość, własne lub koteryjne przekonanie uroczyście oświadczamy, że niepodrzędne względy, ale mocna wiara w to co wyznajemy—kieruje naszém zdaniem.

Kończymy szczerém słówkiem do młodzi pracującéj w rozmaitych gałęziach nauk i literatury;—śmiało i ufnie niech składają w nasze ręce owoce swéj pracy. Każdy objaw telentu powitamy radośnie, każdym dobrym nabytkiem podzielimy się z publicznością, poszanujemy zwykłą, a chwalebną skromność autorów, niezrazimy lekceważeniem, lub szyderstwem niczyich dobrych chęci, a wprowadzenie w publiczne szranki każdego młodego zapaśnika, poczytamy dla się za zasługę.

Stałe uczęstnictwo w Tece Wileńskiéj przyjmują następni pisarze:

Adamowicz Adam F., Andrzejowski Antoni, Baliński Michał, Bartoszewicz Julijan, Bądzkiewicz Antoni, Białecki Antoni, Biliński Jan, Buszczyński Stefan, Deotyma, Chłop z ptu Maryampolskiego, Chodźko Ignacy, Chodźko Dominik, Fryczyński Michał, Godlewski x. Lucyan, Jaroszewicz Józef, Jocher Adam, Kaczkowski Zygmunt, Korotyński Wincenty, Krasiński x. Stanisław - Adam, Kraszewski Ignacy-

Józef, Kułakowski Ignacy, Kremer Józef, Laskarys Jerzy, Libelt Karol, Łepkowski Józef, dr Majer Józef, Malinowski Mikołaj, Mikulski Jan, Muchliński Antoni prof., Narbutt Teodor, Nowosielski Antoni, Odyniec Antoni-Edward, Padalica Tadeusz, Pług Adam, Proniewska Karolina, Prusinowski., Przyborowski Józef, Przybylski Wacław, Przyałgowski x. W., Puzynina xiężna Gabryella (ur. hr. Günther), Rogalski Józef, Rogawski Karol, Siemieński Lucyan, Syrokomla Władysław, Szajnocha Karol, Szlagier Kazimiérz, Tomaszewicz Waleryan, Trentowski Bron.-Ferd., Tyszkiewicz hr. Eustachy, Tyszkiewicz hr. Konstanty, Tyszyński Alexander, Walicki Alfons prof., Ważyński x. Alexander, Wojcicki Kazimiérz-Władysław, Zaleski Bronisław, Zap Karol-Władysław prof., Ziemięcka Eleonora, Zieńkiewicz Romuald.

Jan ze Śliwina.

Od Redakcyi »Tęki«.

Nieprzewidywaliśmy, aby tak prędko ziszczone były życzenia mieszkańców tego kraju pod względem pomnożenia liczby gimnazyów i stosowniejszego do potrzeb kraju urządzenia szkół powiatowych; tymczasem z Najmiłościwiéj potwierdzonego przez NAJJAŚNIEJSZEGO PANA urządzenia zakładów naukowych w okręgu naukowym Wileńskim, z wdzięcznością widzimy, że uchwalono i otworzono 7 nowych gimnazyów; dzięki zaś troskliwości zarządu naukowego okręgu, jak niemniéj gorliwości obywateli, którzy chętną ofiarą przyczynili się do urzeczywistnienia tego projektu, od 1 sierpnia b. r. w Poniewieżu, Kiejdanach, Nowogródku, Pińsku szkoły powiatowe zastąpione zostały gimnazyami. Gdy rodziców i całą powszechność żywo obchodzić powinno czego młodzież szkolna, tak w dawniéj istniejących, jak obecnie otworzonych zakładach uczyć się będzie, znajdujemy rzeczą właściwą umieścić niżéj, rozkład nauk na gimnazya i szkoły niższe na rok szkolny bieżący przepisane.

Rozkład lekcyj w klassach gimnazyów, zatwierdzony przez p. minista narodowego oświecenia na dniu 26 kwietnia 1858 r.

PRZEDMIOTY.	WYKŁAD WSPÓLNY.			WYKŁAD SPECYALNY.							
				Dla gotujących się do służby.				Dla gotujących się do uniwersytetu.			
	I.	II.	III.	IV.	V.	VI.	VII.	IV.	V.	VI.	VII.
Religija	2	2	2	2	1	1	2	2	1	1	2
Język Rossyjs.	4	4	4	5	3	3	3	3	3	3	3
Geografija	2	2	2	2	2	—	1	2	2	—	1
Historya	—	—	2	2	2	4	3	2	2	4	3

Matematyka	3	3	3	5	3	3	3	3	3	3	3	3
Fizyka	—	—	—	—	—	2	2	—	2	2	2	
Mat. i fizycz. Geografija	—	—	—	—	—	—	2	—	—	—	2	
Nauki przyrodzone	2	2	2	2	1	1	1	2	1	1	1	
Język Niemiec.	3	3	3	2	2	2	2	2	2	2	2	
—Francuz.	3	3	2	2	2	3	3	2	2	3	3	
— Polski	2	2	2	2	2	1	1	2	2	1	1	
Kaligraf ja	2	2	1	—	—	—	—	—	—	—	—	
Rysunki	1	1	1	1	1	1	1	1	1	1	1	
Prawo Ros.	—	—	—	—	—	4	4	4	—	—	—	
Język Łaciński	—	—	—	—	—	—	—	4	4	4	4	

Wogóle lekcyj na tydzień 186.

Rozkład lekcyj w szkołach powiatowych dworzańskich.

	KLASSY.		
	I.	II.	III.
Religija	2	2	2
Język Rossyjski	4	4	4
— Polski	2	2	2
Arytmetyka i piérwsze początki geometryi	4	4	4
Geografija	2	2	2
Historya	2	2	2
Kaligrafija	4	4	4

Wogóle lekcyj na tydzień 60.

LISTA PRENUMERATORÓW

NA

TEKĘ WILEŃSKĄ.

Wilno i powiat Wileński.

Adamowicz Adam F. prof.
Anisimow Jan kol. ass.
Ass—xięgarz 10 exempl.
Baliński Michał wice-prezes kom. arch. Wil.
Baliński Józef ass. izb. krym. i kaw.
Bądzkiewicz Antoni nauczyciel.
Bereśniewicz Alexander xiądz.
Bohatyrowicz Jan x. prob. Ławaryski.
Bohdanowicz Alexander koll. sekr.
Borowska Helena.
Bowkiewicz Józef x. prałat.
Buczyńska Matylda z hr. Günterów.
Bujko x. dziekan.
Bujnowski Tadeusz nacz. stołu izb. krym.
Chlewińska J. W.
Chodakowski Jgnacy koll. ass.
Chodźko Ignacy, czł. kom. włościan, podkomorzy.
Chudziński Aloizy.
Ćwirko Tomasz protok. izb. krym.
Czerwińska Zuzanna.
Dmóchowski Aurelijan marszałek.
Dombrowski sledstw. prystaw.
Dzwonkowski Wincenty sekr. szlachty.
Florkowski Piotr Konstanty koll. ass.
Frejend Leonard koll. ass.
Gawroński Wiktor buhal. izb. skar.

Giedmin Leon naczel. stołu izb. skar. r. h.
Giedrojć xiążę Mikołaj.
Giedrojć xiążę Witold.
Giedrojć Konstanty nacz. stołu izb. skar.
Glücksberg Teofil xięgarz, 21 exm.
Górnicki Felix pleban kość. ś. Jakóba.
Gusiew Mateusz, astronom.
Hołyńska z hr. Platerów.
Hundius xiądz wice-proboszcz ś. Jana.
Hurczyn Ildefons.
Hurynowicz Władysław.
Jachimowicz Leon koll. ass.
Jasiński Ignacy.
Jastrzembski Jędrzéj.
Jeżewski Józef kapel. pp. Wizytek, 2 ex.
Jocher Adam.
Jotejko Jan.
Kałusz Franciszek.
Karabanowicz Ignacy rad. st. i kaw.
Karłowicz Alexander.
Kolesiński Baltazar.
Kondratowicz Ludwik.
Korewo Adolf.
Korewo sztabs kapit. general. sztabu.
Korotyński Wincenty.
Kostłowicki Alexander.
Kotwicz Xawery.
Kotwicz Xawery.
Kozłowski Szymon kanon. rekt. sem.
Krupowicz Maurycy, naukowy sekr. arch. kom.
Krzyszkowski Innocenty dr. s. teolog. ex minister xx. Trynitarzy.
Kucyński Andrzej generał major.
Kuczuk Kajetan nacz. stołu izb. krym.
Kukolnik Paweł, rzecz. rad. st.
Kulwiński Michał.
Kułakowski Sarmat.
Kwiatkowski Teofil.
Lampe Teofil x. kustosz xx. Bernard.
Laskarys Jerzy.
Laudański Karol.
Laudański Bolesław.
Lewiński Józef.

Łazarowicz Romuald.
Łazarowicz Antoni.
Łopaciński Bolesław, członek zarządu zakładów przytułku dzieci.
Łopaciński Alexander.
Majewski Jan kapel. szlachec. instyt.
Makarow Alexander.
Malinowski Mikołaj.
Mołochowiec Jan.
Michniewicz Leonard.
Mikucki Józef prob. Rukojński.
Mikulski Jan.
Milkiewicz Jan.
Mirynowicz Michał prob. Tyrgielski.
Missiewicz Leon prob. Gierwiacki.
Moniuszko Stanisław.
Muzeum starożytności w Wilnie.
Noiszewski Józef, buch. izby skar.
Nowicki Bogusław pleb. Bohusławski.
Odyniec Antoni-Edward.
Orgelbrand Maurycy xięgarz, 65 exemp.
Ostapowicz Wawrzyniec prob. Cudzieniski mag. św. teol.
Paszkowski Kazimiérz.
Piasecki Kazimiérz.
Prościewicz Wincenty, buh. izby skar.
Puzynina xięż. Gabryela ur. hr. Günter.
Przybylski Wacław, naucz. instytutu.
Ratowtowa.
De-Roberti Emil, radzca stanu i kaw.
Romankiewicz Józef.
Römer Seweryn.
Rossochacki Antoni.
Rymkiewicz Felicyan.
Rzewuski Romuald.
Sieklucki Zefiryn.
Sieklucki.
Siemaszko Donat dziek. pttu Wileńsk.
Słowaczyński Jan.
Sosonko.
Stefanowicz Mikołaj.
Syrkin xięgarz, 15 exemp.
Syrunowicz Julijan pleb. kośc. xx. Bernard.
Szarski Antoni nacz. stołu izby skar.

Szkultecki Romuald rad. st. i kaw.
Szlagier Kazimiérz nauczyciel.
Szlapowicz Adam x.
Szyszko Józef.
Talatowa.
Tamulewicz Kajetan nauczyciel.
Tarnowski Edward.
Titius Gustawa.
Tomaszewicz Waleryan.
Trachtenb·rg Róża.
Tyszkiewicz Eustachy hr. prezes kom. arch.
Tur.
Urbanowicz Hipolit.
Wagner Olgierd.
Walicki Michał rad. honor.
Wasilewski Ferdynand koll. ass.
Wiesiołowski Włodzimiérz.
Wilczyński Jan-Kazimierz.
Wojciechowski Franciszek kapel. odz. gim.
Wojnicki gub. lustr.
Wojtkiewicz Hermenegild.
Wojewódzki Jan koll. ass. konsyst. sek.
Wołkowa Izabella.
Wróblewski Alexander x. kan. i kaw.
Wyszomirski Kazimiérz sekr. izb. krym.
Zagórski Józef x. prob. Taboryski.
Zajączkowski Edward koll. registr.
Zawadzki xięgarz, 30 exem.
Zdanowicz Alexander nauczyciel instytutu.
Zienkiewicz Romuald.
Zimodro Jan, żurnalista izby skarb.
Żylewiczowa Karolina.
Żylińska Barbara marszał.
Żyliński Konstanty.

Powiat Oszmiański.

Bohdanowicz Otton.
Bojarzyński x.
Cywińska Marya.
Downarowicz x. dziekan.
Jabłoński Lucyan.
Jaginin Alfons.
Januszewicz Konstanty.

Jurjewicz x. dziek. Wiszniewski.
Kolankowski Antoni.
Kryczyński Samuel major.
Niekraszewicz Jan.
Oleszkiewicz Onufry.
Stelnicki Tadeusz ob.
Sulistrowski Józef.
Sulistrowski Edmund.
Swiętorzecki Fortunat.
Szaniawski Benedykt prob. Derewneński.
Tukałło Konstanty.
Turobojski koll. ass.
Walicki Adolf.
Walicki Henryk.
Wasilewski Kazimiérz.
Wojtkiewicz Maciej.
Wołczacki Michał gub. sekr.
Żyliński Hippolit.

Powiat Wilejski.

Augustynowicz dziek. Nadwilejski prob. Wołkołat.
Bohdanowicz Tadeusz.
Bohdanowicz Ignacy.
Gieczewicz Konstanty.
Giedrojć kaznaczéj.
Kowerski Stefan.
Kozieł Jan kurator.
Lubański Jan marszałek i kaw.
Mackiewicz Bronisław dr. med.
Pawłowicz Karol sek. okr. dóbr państ.
Plewako.
Puzyna Adam x. pleban.
Rzewuski Walens b. prez. graniczny.
Słotwiński Gwido.
Śnitko Konstanty.
Świda Sydalija.
Świdziński Bronisław koll. ass.
Świętorzecki Cezary.
Szyszko Józef.
Tyszyński Alexander.
Tukałło Mieczysław marszałek i kaw.
Węcławowicz Walery.
Wołodkowicz Ludwik.
Żyliński x. Piotr dziekan.

Powiat Lidzki.

Andrzejkowicz Alexander.
Brochocki Antoni.
Chlewiński x. dziekan, 3 ex.
Krahelski Józef koll. ass. skarbny. ptt.
Narbutt Teodor.
Niezabytowski Konstanty.
Potrykowski Anzelm.
Szalewicz Adolf.
Szukiewicz Tomasz.
Żebrowski Adam.

Powiat Święciański.

Abramowski Kazimiérz.
Chalecki Kajetan.
Dombrowski Wiktor.
Kublicki Adolf.
Kurkowski Witalis prezes sąd. ptt.
Masłowski Konstanty.
Szymkowicz Jan.
Szyszło Norbert skarbny.

Powiat Trocki.

Alchimowicz Julijan.
Chełstowski Kazimiérz.
Morawski Apolinary.
Olechnowicz x.
Świderski Wawrzyniec.
Wenckowicz Franc. dziek. Trocki.

Powiat Dziśnieński.

Brydycki Bartłomiéj przeor Karmel. bos. Głębockich.
Drobniszewicz Dominik pleb. Łużecki.
Drucki-Lubecki książę marszał. 2 ex.
Józefowicz Bartłomiej pleb. Miorski.
Iwaszkiewicz Waleryan ass. sądu ziem.
Kaczyński Napoleon x. prob. Mosarski.
Kario Maciéj kaznaczéj.
Kozakiewicz Leopold x. prob. Prozorocki.
Kredyt Wincenty naucz powiat szkół.
Kruszyński Pankracy prob. Głębocki.
Kurowski Stanisław.
Łodź Konstanty x. prob. Hermanowicki.
Łopacińska Anna.

Mieszkowski Kazimiérz x. pleb. Zadorożski.
Mokrzecki Filip dominikan kaznodzieja.
Obrąpalski Franciszek x. pleb. Drujski.
Piotrowicz Michał x. pleb. Udziałski.
Rajuniec Józef x. dziek. i prob. Dziśń.
Sulistrowski Leon.
Szyryn Jan x. prob. Pohostski.
Wińcza Paulin.
Zieniewicz Wawrzyniec x. prob. Ikaźnieński.

Grodno i powiat Grodzieński.

Bruszewski Ignacy.
Chomicz sekr. bud. kom.
Ciechanowski dr.
Cytowicz Józef.
Czetwertyński xiążę Konstanty.
Daniłowicz Jan koll. ass.
Downarowicz Adam.
Ejsymont Bolesław koll. reg.
Falski Antoni.
Falski Józef. rad. honor.
Gienijusz Ignacy rad. honor.
Grudziński Alexander koll. sekr.
Jacewicki Kazimiérz koll. ass.
Jacuński Karol gub. sekr.
Janowski Teofil.
Idzikowski Jan leśniczy.
Jezierski Jakób.
Kiersnowski Nikodem.
Kiersnowski Józef inżynier.
Kimbar Jan gubr. sekr.
Klimaszewski Mikołaj.
Kłopotowski Michał.
Kosmowski Konstanty rad. honor.
Kossobucki x prob. Rożanostocki.
Kowalewski Floryan.
Krupowicz Antoni.
Lachnicki Roman marszałek.
Ljoodt Leon koll. ass.
Lubowicki Adam rad. honor.
Majewski Józef x. dziekan.
Malewicz Felicyan koll. sekr.
Marcinkiewicz Józef.

Marciszewski Franciszek koll. ass.
Montowicz ass. Izb. Cyw.
Mudrowicz Ludwik.
Orzeszko Kalixt gub. marszałek.
Perocki Józef koll. ass.
Pilecki Jan dr med.
Podhajski koll. ass.
Pogorzelski Alexander rad. honor.
Pruszyński rad. dwor.
Radziszewski kol. ass.
Rahoza koll. sekr.
Rudzki koll reg.
Sasulicz Edward.
Sągin Józef ass. koll.
Siezieniewski Michał rad. hon.
Spirydowicz Władysław gub. sekr.
Steckiewicz Tomasz ass. koll.
Strutyński Franciszek rad. hon.
Styczyński Benedykt rad. hon.
Sztark Jan rad. hon.
Wierzbicki Konstanty.
Wiryon Jan.
Zach Paweł rad. hon.
Zagajewski, xięgarz. 2 ex.
Zapolski Leonard.
Żołkowski Ludwik sekr. szlachty.

Powiat Brzeski.

Buchowiecki Wojciech.
Dziekoński marszałek.
Dziemianowicz Wincenty x. dziek.
Hofmejster Apolin.
Jaskłowski Antoni kap.
Matusewicz Wincenty.
Mogilnicki Michał.
Podgórski Karol porucz.
Ponikwicki Felix.
Rudziewicz Stefan ass. koll.
Tołoczko Antoni.
Zalewski Leon.

Powiat Białostocki.

Andrzejewski rad. dwor.
Bąkowski x. dziek.

Biblijoteka gimnazyum.
Boufał Stanisław.
Gąsecki Adolf prowiz.
Janowski półkownik
Kalinowski August. kap.
Karpowicz Michał kurator szkół.
Kułakowski Ignacy rad. st. kamerjunkier i kaw., 3 ex.
Kurkowski naucz. gimnaz.
Małyszewicz Józef x. prob. Niewodnicki.
Płotnicki Marcelli ass. koll.
Sakowicz marszałek.
Skirmunt sędź. sąd. ptt.
Snarski Alexander x.
Szepietowski marszałek.
Zawadzki Marcin marszałek.

Powiat Bielski.

Jaroszewicz Józef prof.
Lipnicki Felix.
Lipnicki Stanisław.
Pieńkowski Ludwik.
Sągin Stanisław ass. koll.
Zaleski Teofil, 2 ex.

Powiat Sokolski.

Bachra Otton marszałek i kaw.
Kryszczun prob. Sokolski.
Kossobudzki x. prob. w Rożanym Stoku.
Lipiszko x. prob. Odelski.
Wysocki x. dziek.
Zawistowski Ignacy marszałek.

Powiat Kobryński.

Babińska Julija z Żelwertów.
Niepokojczycki Michał.
Onichimowski Ignacy.
Wysłouch Ludwik.
Wysłouch Felix.

Powiat Prużański.

Moraczewski Jan ass. koll.
Osuchowski Michał.
Szwykowski Walenty marszałek.

Powiat Słonimski.

Bergiel Albert ob.
Chodźko Dominik.
Horkowicz Konstanty ass. koll.
Karpowiczowa Marya.
Kazigrodzki Cezary, 2 ex.
Korsak Edmund ob.
Mikulski Florenty b. prezes.

Powiat Wołkowyski.

Butkiewicz Kazimiérz.
Ciechanowiecki Konstanty.
Gajewski Jan.
Glazer Antoni.
Jaźwiński Gustaw.
Jelski Tadeusz.
Zwirowicz Adolf.

Mińsk i powiat Miński.

Bokymowski nauczyciel.
Czepieliński 3 exem.
Chmara Adam.
Dobkiewicz Franciszek.
Hejbowicz naucz. gimnazyum.
Hilferding Jan, prezes izb. skar. rad. stan. i kaw.
Kostrowicki Karol marszałek.
Malewicz x. prob. 4 ex.
Niemorszańska Amelija.
Paszkiewicz Antoni.
Pawlikowska Stefanowa.
Plewako Piotr.
Pruszyński Eustachy b. prez. izb. cyw.
Puljanowska Helena.
Rzewuski hr. Floryan jenerał major.
Słotwiński Ludwik gub. marszałek.
Straszyński insp. gim.
Swiętorzecki Bolesław.
Torczyński Artur.
Truskowski urzędnik.
Wańkowicz Edward.
Wierzbowski Wilhelm.
Wiśniowski x.
Zabiełłowa Stefanija.

Zawisza Jan.
Żbikowski nauczyciel.

Powiat Słucki.

Bochwic Otton.
Buchowiecki Stefan.
Czapska hr. Zofija.
Jeleński Kazimiérz.
Juchnowicz Ignacy rad. honor.
Krupski Bonifacy.
Miładowski Tomasz naucz. gim.
Narkiewicz Jodko kurat. szkół, 6 ex.
Niesłuchowski Lucyan ass. koll.
Okołow Leonard prez. sąd. ptt. 6 ex.
Rdułtowski Eustachy.
Reczyński Marcin insp. gim.
Rewieński Konstanty.
Rzepecki Adam naucz. gim.
Uzłowski Marcin ob.
Wojniłowicz Tadeusz marszałek.
Zaleski Bronisław.

Powiat Borysowski.

Bartels Artur.
Bieliński Ignacy.
Piotnicki Wincenty sekr. koll.
Tyszkiewicz hr. Konstanty.
Tyszkiewicz hr. Michał.
Wołłowicz Henryk.

Powiat Ihumeński.

Janiszewski August b. marszałek.
Janiszewski Ludwik marszałek.
Kamieński Józef.
Korzeniewski Edward ob.
Narkiewicz Jodko Otton ob.
Nowicki Franciszek dr. powiat.
Obrompalski Ludwik ob.

Powiat Bobrujski.

Krupacki Ferdynand rad. dworu, 10 ex.
Łappo Dominik.
Kiełczewski Jan.
Miedwiediow koll. sow., 2 ex.
Pruszanowski Eugenijusz.

Powiat Rzeczycki.

Allinger Karol.
Popowski Józef sekr. sądu ziem.
Sokołowski Onufry.

Powiat Piński.

Braumann xięgarz.
Hanowa z Łaskich inspektorowa.
Manuzzi hr. Konstancya.
Plater hr. Włodzimiérz.
Rulikowska Anna marszałkowa.
Skirmuntt Henryk.

Powiat Nowogródzki.

Abłamowicz Piotr prez.
Abramowski.
Brochocka Helena.
Dmóchowska.
Domejko Kazimiérz porucz.
Ejsymontowa Regina jenerałowa.
Gnoiński Piotr dr. powiat.
Kamińska Anna ob.
Karpowicz Kazimiérz sęd. granicz.
Kozmyn Elijasz sęd. granicz.
Mierzejewski Leon 3 ex.
Mierzejewska.
Mikulski Adolf.
Olędzka Franciszka podk. Wołn.
Olędzki Alexander sędz. granicz.
O'Rurk hr. Michał.
Piotrowicz Ludwik.
Protassewicz Wilhelm.
Sadź Mikołaj.
Szalewicz Tomasz.
Tuhanowski Konstanty.
Wolski Mikołaj marszałek.

Powiat Mozyrski.

Horwatt Artur.
Jeleński Napoleon, 3 ex.
Maszewski Artur.

Kowno i powiat Kowieński

Bujnicki Zygfryd.
Butkiewicz Alexander ass. koll.

Chmielewski prez izb. cyw.
Chomiński Stanisław gubernator cywilny Kowień.
Doboszyński Jan.
Giejsztor Jakób
Gobiatto Ignacy ass. koll.
Hryncewicz Józef.
Jacewicz Zygmunt rad. hon.
Jasieński Konstanty koll. reg.
Jasiukowicz rad. st.
Krupowicz Adam ass. koll.
Krzywobłocki Edward.
Łabanowski Alexander.
Milanowski Józef rad. dw.
Missiewicz Antoni sekr. gub.
Ongirski Stanisław rad. hon.
Owsiany Władysław.
Prozor Adam.
Siemaszko Romuald sek. gub.
Stankiewicz Maciéj rad. hon.
Stulgiński Leon rad. dw.
Szylański Julijan rad. hon.
Tokarzewicz Alexander ass. koll.
Wroński Józef.
Wróblewski Teodor.
Zarzecki Stanisław urzęd. izb. cyw. i kaw.
Żyliński Ludwik.

Rossienie i powiat.

Chrząstowski Wilhelm.
Chrząstowski Jan.
Feliński Włodzimiérz.
Giedgowd Tadeusz komornik.
Janczewski Waleryan.
Miksiewicz Stanisław.
Miller Jan skarb. ptt.
Piłsudzki Julijusz, 3 ex.
Przeciszewski Hieronim.
Pusłowski Stanisław.
Putwiński Władysław.
Rakowski Anastazy,
Rejchardt kapit. nacz. inw. kom.
Szemiot Józef.
Wierzbowski Jan.

Wiłkomiérz

Dobrowolski Kazimiérz.
Hrynkiewiczówna Zofija.
Ingielewicz.
Korewo Hieronim.
Kossko marszałek.
Lachnicki Hippolit.
Łukaszewicz Leopold.
Moszyński Justyn.
Pacewicz Jan x.
Sawicki Ferdynand.
Siesicki Felix.
Strawiński Józef skarb. ptt.
Syrewicz Ildefons ass. sąd. ptt.

Poniewież i powiat.

Bławzdziewicz Adam.
Czerniewski Bolesław.
Kognowicki Jan.
Kordzikowski Józef.
Maliński Gustaw.
Śmigielski.
Tyszkiewicz hr. Jan.
Wojtkiewicz Maurycy.

Nowoalexandrowsk i powiat.

Dąbrowski Felix ass. koll.
Klimaszewski Alexander skarb. ptt.
Strawińska Rachela.

Szawle i powiat.

Biblijoteka obywatelska.
Hoffman Bogusław rad. dw. dr. ptt.
Kurnatowski Henryk.
Mackiewicz Barnaba sekr. gub. buch. podskarb.
Moro Alexander.
Rodowiczówna Kazimira.
Rymkiewicz Onufry.
Rymkiewicz Felix gwardyan klaszt. Ber. w Kretyndze.
Staszewski Alexander skarb. ptt.

Telsze i powiat.

Bortkiewicz x. pleban.
Daszkiewicz gabryel.

Dowgiałło x. dziekan.
Fryka rad. hon.
Medeksza Onufry skarb. ptt.
Pancerzyński Antoni.
Pawłowicz Józef.
Proniewska Karolina.
Studziński rad. dw.
Wołłowski Antoni ass. koll.

Peterzburg.

Babiński Eugenijusz.
Bańkowski Józef.
Baraniecki Mieczysław.
Batogowski Alexander podpor. lejbgwar. Siemion. pół.
Bolesławski Nikodem.
Bułharyn Tadeusz.
Doliński Artur.
Fijałkowski biskup koad. Kamieniecki.
Iwanowski Antoni.
Każyński Wiktor.
Klewszczyński Antoni.
Kątski Apolinary.
Korbut Józef.
Korf Modest baron rz. rad. tajny, dyrekt. Cesars. pub. biblijoteki statssekr. człon. rady państwa.
Koziełło Augustyn.
Krasiński Stanisław-Zygmunt prał. Wil. czł. koll.
Krasowski Władysław stud. uniw.
Kuczyński Antoni rad. st.
Kukolnik Nestor.
Muchliński Antoni prof.
Niedzielski Władysław. adwokat.
Plater hr.
Pogorzelski Wiktor.
Połoński Alexander.
Przecławski Józef rzecz. rad. stan.
Radziwiłłowicz J. dr. med.
Redakcya Отечественныхъ записокъ.
— — Экономическаго указателя.
Trejdosiewicz Jan stud. uniw.
Ważyński Alexander prałat Wileń. inspek. i prof. akad. duchow.
Wolański Antoni adwokat.
Wicherski Felix.

Żyliński x. Wacław metropolita wszech R. kat. kość. w ce sarstwie, arcybiskup Mohylewski, prezes R. K. kolle gijum, kaw. ord.

Moskwa.

Bartoszewicz Ad.-Dom. stud. uniw.
Ejsymont Leon dr.
Gudwiłowicz Julijan dr.
Hannusowski Jan x.
Jasiukowicz Wilhelm stud. uniw.
Kirkor Alexander.
Kopeć Józef stud. uniw.
Młodziejowski dr. adjunkt prof.
Niewodniczański Wincenty.
Ostrowski Robert stud. uniw.
Piechowski Józef prof. uniw.
Redakcya Московскихъ вѣдомостей.
— — Русскаго вѣстника.
Sobaciński.
Swiesznikow Teodor kommiss. Cesar. uniw.
Walicki Alexander kapit. inżyn.
Zaleski Michał.

Kijów i powiat.

Berezowski Felix.
Bierzyński Adam.
Grabowski Michał.
Jaroszyński Oktawijan gub. marsz.
Idzikowski Leon.
Kaczyński Piotr 7 ex.
Kozakowski Wincenty.
Kozłowski sekr. szlachty.
Lewandowski Julijan.
Michałowski Ludwik.
Malerb naucz. gim.
Pinkowski stud. uniwer.
Podhorski Zygmunt.
Potocki hr. Włodzimierz.
Sieńkiewicz x. dziek. Bracławski.
Soroczyński Michał.
Syroczyński Seweryn.
Syroczyński Antoni.
Truszkowski Platon.

Wilczyński.
Wiszatycki Wiktor 2 exem.
Wiszniewski.

Powiat Kaniowski.

Bielecki Franciszek.
Chamiec Ludwik.
Działyńska hr. Teofila.
Jaczewski Teodor.
Jankowska Antonina.
Jankowski Ludwik.
Komarowicz Maurycy.
Madzalewski Leon.
Monasterski Wiktor.
Parczewski Nikodem.
Pawłowski Franciszek.
Piotrowska Helena.
Podhorski Alexander.
Poniatowski Cezary.
Turcewicz Bonawentura prezes.

Powiat Berdyczowski.

Cieszkowski Franciszek.
Gromnicki Piotr marszałek, 2 ex.
Korsuń Bogusław.
Lubecki Grzegorz ob.
Roślaków Alexander sęd. pow.

Powiat Zwienigrodzki.

Barszczewski Jan.
Butkiewicz Adelaida.
Frankowski Ignacy.

Powiat Skwirski.

Madejski Leonard 2 exem.
Potocki Antoni.
Świderska Wiktorya.
Złotnicki Antoni.

Powiat Radomyski.

Kownacki Władysław.
Kownacki Faustyn.
Jaroszewicz Tytus.
Wierzbicki Bolesław

Powiat Lipowiecki.

Dachowska Genewofa.
Kopczyński Ignacy.
Kuczalski Alexander marsz.
Mazewski Alexander.
Rulikowski Antoni.
Tyszkiewiczowa hr. Helena.
Zdziechowski A.

Powiat Humański.

Czarkowska Paulina.
Iałowicki Teodor.
Jełowicki Teodor.
Rakowski Dyonizy marsz.

Powiat Taraszczański.

Lipkowski Piotr.
Mikulski Mikołaj.
Rohoziński Antoni.
Szostakowski Felix marszałek.

Powiat Macknówski.

Kaczanowski Alexander.
Kornelowski Antoni.
Mazarakówny Matylda i Henryeta.
Morgulec Michał.
Olizar hr. Adolf.
Popowski Julijan.
Sobieszczański Wilhelm.

Śmiła.

Fisz Zenon.

Wasilkow.

Marcinkowski Jaksa Antoni.

Kamieniec Podolski i powiat Kamieniecki.

Abramowicz Deodot x.
Chmielowski Narcyz.
Chmielowski Julijan.
Dobrowolski Józef.
Dobrzański Seweryn.
Giżycki Wacław.
Gorochowski ass. koll. sekr. izb. krym.

Kłodnicki Antoni.
Krzeczkowski Konstanty.
Kostecki Michał rad. hon.
Lewicki Alexander.
Lipski Mikołaj ob.
Łoziński Michał ptwy komornik.
Mysłowski Jan.
Ostrowski Józef rad. hon.
Popławski Raman.
Sadowski Jan marsz.
Sadowski Alexander.
Sienicki Józef.
Starorypiński Felix.
Studzicki Jan.
Świrska Karolina.
Świrski Wincenty.
Szule Alexander.
Zborowski Felix.
Zwinogrodzki Władysław deputat.

Powiat Uszycki.

Grudziński Justyn.
Kumanowski Adam.
Mysłowski Kajetan.
Stadnicki hr. Xawery.

Powiat Majsyński.

Czepielewski Leon
Hulanicki Cezary.
Jabłoński Stanisław.
Jeleński Julijusz.
Kulesza Eustachy.
Leszczyn-Grabianka Jędrzéj.
Lipkowski Henryk.
Lisowski Karol.
Potocki hr. Wacław.

Powiat Proskurowski.

Jodko Jerzy b. sędzia.
Krukowski Alexander b. prezes.
Marcinkiewicz Józef marszałek.
Ostrowski Felix.
Popiel Alexander.
Raciborowski Zygmunt.

Starzyński Edward rotmistrz.
Zaleski Wilhelm b. deputat.

Chmielnik.

Bernatowicz Konstanty.
Iwanowski Dyonizy.
Popiel Pius.
Zaleski Xawery, 2 ex.

Powiat Bracławski.

Baranowicz Major.
Gaduszczyński.
Gogolewski.
Gruszczyński Józef deputat.
Kamieński Ludwik prowizor.
Łomnicki Julijan kurator.
Łomnicki x. kanon.
Miładowski Jan dr. fil. rad. st. i kaw.
Musiałowicz ofic. wojsk Polskich.
Rakowski Józef.
Żoliński półkow.

Powiat Ułanowski.

Domaniewski Wiktor.
Kędrzycki Julijan.
Piotrowski Józef.

Powiat Winnicki.

Męciński Tytus półkow.
Mossakowski Wincenty sekr. dworz. opieki.
Mysłowski January rotmistrz.
Pieńkowski Ludwik.
Pietkiewicz Antoni.
Russanowski Artur.
Skowroński Konstanty.

Powiat Mohylewski.

Rollet Józef.

Latyczów.

Bernatowicz Ludwik.
Dobrzycki Teofil.
Kościelski Ludwik.
Lewicki Julijan.
Mysłowski Michał.
Witosławski Eugenijusz.

Lityn.

Stankiewicz Alexander dr.

Olgopol.

Brzostowski Zenon.
Kościelski Bonawentura.
Lipiński Bolesław.
Sobański Felix.
Szembek hr. Józef.
Zakrzewski Ludwik marszałek.

Witebsk i powiat Witebski.

Bobaszyński Kazimiérz rad. kol. izby skarb
Czerniowski Jan ass. rząd. gub.
Franio Michał ass. izb. dóbr. państ. rad. hon.
Kłodnicki August. sekr. Izb. skarb. rad. hon.
Konstantynowicz Konstanty stoł. izb. skarb. sekr. gub.
Obiedziński Teodozy buhalter.
Piasecka Elżbieta.
Połoński Józef pomoc gub. kaznacz. sek. gub.
Ramel Julijan sekr. koll.
Rodziewicz Bazyli sekr. koll.
Stosza Paweł registr. koll.
Szymanowski Wiktor rad. hon.
Targoński Kazimiérz exekut. izb. skarb.
Wąsowicz Alexander sekr. gub.
Weryho Mikołaj sekr. gub.
Wieliczko Józef stoł izb. skarb.
Wiszniewski Kasper sekr. gub.
Zubowicz Antoni sekr. koll.

Czeczersk.

Łowieniecki Wincenty sekr. koll.

Lepel.

Ciechanowiecki Paweł marszałek.
Juraho dr.
Korsak Erazm b. marsz.
Stefanowski Jan prezes.
Szauman August.
Wołodkowiczowa Józefa ze Szczytów.

Powiat Dynaburski.

Dydalewicz Mieczysław x. pleb. w Jasmojży.
Kopeć Tomasz x. dziekan.

Plater-Zyberk hr. Michał.
Plater-Zyberk hr. Stanisław.
Surwiłło Kajetan x. pleb.
Szadurski hr. Jan.
Szyłejko Adolf, 6 exem.

Powiat Newelski.

Bogucki Adolf sekr. gub.
Bujnicki Ludwik.

M. Połock.

Szlacheckie zebranie.

Powiat Surazki.

Bychowska Zofija marszał.
Hromyko Antoni x. prob.
Nitosławski Jan prezyd. sąd. pow. i kaw

Powiat Reżycki.

Bohomolec Ignacy.
Reutt Michał marszałek, 4 ex.
Wyrzycki Józef Gerard.

Powiat Lucyński.

Karpiński Franciszek.
Szadurski Stanisław marsz.
Szadurski Mikołaj.

Powial Drysski.

Korsakowa marszałkowa.
Sworacki Leonard.

Powiat Wielizki.

Pietkiewicz Benedykt x. prob.
Wieczorkowski Franciszek x. dziek.

Mohylów i powiat Mohylewski.

Brzostowski Ignacy prez· izb. krym.
Godlewski Lucyan x.
Kiełkiewicz prałat.
Kowalewski Józefat.
Łaszcz półkow. inż.
Chmyzowski, b. prez. izb. cyw.
Mancewicz Franciszek.
Morawski sow. koll., 12 ex.

Nestorowicz Konstanty rad. hon.
Pławiński Hieronim.
Sikorski aptekarz.
Sołtan Jan b. marszałek.
Rostkowski Wiktor rad. hon.
Rynwid Mickiewicz Władysław, porucz.
Ungern baron Konstanty b. marsz.
Żącki Józef, nacz. artylleryi.
Żurawski Edward.

Powiat Mścisławski.

Godlewski x.
Kaszo-Zgierski Józef.
Tur Stefan.
Wykowski Stanisław.

Powiat Rohaczewski.

Kossakowski Janusz.
Oskiersko Jan ob.
Wojnicz-Sianożęcki Michał.
Żukowski Alexander marszałek.

C z a u s y.

Rahoza—Suszczewski Alexander.

S i e n n a.

Parfianowicz Bonifacy x. dziek.

B y c h ó w.

Onoszko sędzia ptt.

O r s z a.

Lubomirski xiążę Władysław marszał, 2 ex.

C z e r y k ó w.

Czerniewski Ignacy x.
Dobrzyniecki Franciszek.
Hołyński Michał marszałek.

Czernihowska gub., w Czernihowie.

Gorzkowski Maryan naucz gimn.

K o n o t o p.

Mężyński Konstanty.

W o ł y ń.

Żytomierz i powiat Żytomierski.

Bilski Józef rad. st. czł. kom. żyw.

Dobrzyński Ludwik sekr. gub.
Drohomirecki Adam ass. koll.
Milkowski Seweryn rad. dw.
Kraszewski Józef, Ignacy.
Podhorodeński Władysław prezes.
Potocki hr. Alfred.
Ziemiański Stanisław ass. koll.

Powiat Włodzimierski.

Kuczyński Tadeusz kapit. wojsk. Pol.
Orzeszko Julijusz marszałek.
Sierakowski hr.
Stecki Franciszek.

Powiat Zasławski.

Grocholski Mieczysław deputat.
Humiecki Teofil marszałek.
Konopacki Szymon podkomorzy.
Krajewski Józef.
Nartow Alexander kurator.

Powiat Kowelski.

Orzeszkowa Ferdynanda z Chrzanowskich.

Równo.

Podhorodeński Władysław.
Stypułkowski Teofil.

Krzemieniec.

Pruszyński Gustaw.

Nowogród Wol.

Radański Kasper rad. dw. i kaw.

Ostróg.

Rachmiłowicz xięgarz, 4 exem.

Kazań.

Rossołowski Achilles.

Psków.

Janicki dr.

Połtawa.

Golicki x. Bonif. kur. R. Kat. koś.

Łubno.

Bułhak Lucyan lekarz.

Smoleńska gub.

Hołyńska Ludwika marszałkowa Mścisławska.

Syczewka.

Szczuka Leonard strapczy.

Chersonska gub.

Będziński szt. kap. półku dragońsk. Kazańsk.

Twer.

Krzywiec Józef porucz. inżyn.
Michałowski Bolesław architekt.
Wierzbowski Artur kapit. inżyn.

Kazań.

Gross Ludwik dr medyc.

Orenburg.

Arcimowicz Emilijan rad. koll.
Baranowski Jerzy rad. st.
Cejzik Michał.
Zielonko x. kapel.
Zienkowicz Onufry dr.

Troick.

Witkiewicz Wacław lekarz.

Wierzchni Uralsk.

Osmolski sztabs kap. zarząd wojsk, złot zakł.

Ufa.

Rudzki Felicyan leśniczy izb. dóbr. pań.

Birsk.

Kuncewicz lekarz pttwy.

Wołogodzka gub.

Wielki Ustiug.

Lubieński Marceli.

Wielsk.

Michał Dłuski nacz. okr. rad. dw.

Niżni Nowgorod.

Rejkowski Donat dr.
Wejtko Antoni.
Wróbel Antoni.

Kałuska gub.

M e d y n.

Ptaszycki Leon.

K o z i e l s k.

Włodzimirski Alexander.

Ekaterynosław.

Buczyński Alexander.

Woroneżska guber.

Ziemlańsk.

Dombrowski Rudolf.
Wiszniewski Felix, porucz. Michałow. kad. korp.

R a z a ń s k a g u b.

m. Zorajsk.

Rechniewski Szymon.

Kurskiéj gub. m. Korocza.

Nielubowicz Franciszek.

O m s k.

Gumnicki Kazimiérz inż. porucz.

I r k u c k.

Szwermicki kurat. Rzym. Kat. kość. 3 ex.

T a m b o w.

Lipski prof.

K i r s a n o w.

Ryniejski Danijel.

P e r m a.

Szadurski Józef rad. dw.

Wołogodzka gub. ptt Wielsk.

Dłuski Michał rad. dw. naczel. okręg. izb. dóbr. pań.

m. Kostroma.

Skidełł Maciéj.

K u r l a n d y a.

M i t a w a.

Biblijoteka Polsk. ksiąg. przy gimnaz.
Kościałkowski Melchijor uczeń gimn.
Lewaniewski podpółkow.

Rupejko x. kapelan.
Zabielski Adam.

Liflandya.

Ryga.

Chodorowski Kazimiérz, 2 ex.
Oranowski Kazimiérz.
Orłowski Franciszek.
Tabęcki Jakób.

Dorpat.

Mussa akademicka.

Kaukaz.

Mikiewicz nacz. chirurg arm. Kaukaz.

Królestwo Polskie.

Warszawa.

Bartoszewicz Julijan.
Łuszczewska Jadwiga.
Naimski Józef.
Platerowa de Broel hr. Idalija z Sobańskich.
Redakcye: Biblijoteki Warszawskiéj.
Gazety Warszawskiéj.
Kroniki.
Gazety Codziennéj.
Rogalski Leon.
Sennewald księgarz, 19 ex.
Skimborowicz Hippolit.
Wojcicki Kazimiérz - Władysław.

Nowoaleksandrya.

Lipski Ludwik.
Wolski Tadeusz.

Zawichost.

Ciechanowska Kazimira.

Mszczanów.

Wiśniewski Franciszek.

Augustowska gub. Serejo.

Tukałło Antoni.

Sejny.

Abłamowicz Józef Edward.

Łomża.

Józefowicz.

Suwałki.

Lewiński xięgarz, 2 ex.

Lublin.

Szczepunowska Emilija

Ostrog.

Bachmiłowicz xięgarz.

Lubelska gub. Hrubierzow.

Bormann Liberat sęd. pokoju.
Hempel Alexander dyrek. fabr. cukru.
Madan Seweryn.
Milowicz Leon.

Kalisz.

Hurtig xięgarz 16, ex.

Łęczyca.

Fürst xięgarz, 5 ex.

Galicija.

Lwów.

Jabłoński xięgarz 25 ex.
Kaczkowski Zygmunt.
Szajnocha Karol.

Kraków.

Cesarsko Królewskie towarzyst. naukowe.
Jakubowski Adam x.
Kremer Józef.
Łepkowski Józef.
Majer Józef dr.
Ręgowski Karol.
Siemieński Lucyan.

m. Toruń.

Miecznikowski Julijan pisarz sądowy

Poznań.

Białecki Antoni.
Przyborowski Józef.
Żupański xięgarz, 20 ex.

Praga Czeska.

Hanka Wacław.
Rittersberg Ludwik.
Zapp Karol Władysław.

Frejburg w Bryzgowii.

Trentowski Bronisław, 2 ex.

Bruxella w Belgii.

Lelewel Joachim.

Paryż.

Chodźko Alexander.

nad sobą. — Ale ja! to rzecz inna! szturchańce i rózgi — połajanki i przekleństwa.... panu zawdzięczam. Stokroć mu wypłaciłem koszta — mojego utrzymania; a dłużéj już wytrzymać niemogę... nie, niechcę! — zawołał Dżordż marszcząc brwi i zaciskając pięści.

Eliza cała drżąca, nierzekła ani słowa. Niewidziała biedna swego męża jeszcze nigdy w takim stanie. Rozigrane namiętności Dżordża wywierały na słabą kobietę wpływ podobny do huraganu co w przelocie hulaszczym chyli do ziemi trzcinę wiotką.

— Pamiętasz, — mówił daléj— małego Karlo, któregoś mi darowała; on był moją pociechą, jedyną rozrywką. W nocy i we dnie ciągle był przy mnie i patrzał mi w oczy z takim wyrazem czułości, jakby rozumiał ile cierpię. I to mi zabrali. Wczora karmiłem go u drzwi kuchni okruchami, którem pozbierał na ziemi. Pan to zobaczył, i dowodząc że karmię psa chlebem kradzionym, kazał mu przywiązać kamień do szyi i rzucić biednego Karlo do stawu.

— Ach Dżordż! czyżeś to zrobił?

— Ja? nie! ale on.... on to zrobił! pan i godny syn jego ciskali jeszcze z brzegu kamieniami w tonącego Karlo. Biedna psina, patrzała na mnie tak smutnie, jakby mi wyrzucała, dla czego jéj niechcę ratować. A mnie jeszcze za to obito, żem go niechciał sam utopić. Biciem ze mną niewskórasz: przekonasz się tyranie, że mnie rózgi zmiękczyć niepotrafią.... Przyjdzie i na mnie kolej — piérwiéj niż się ty obejrzeć zdołasz; a wtenczas się policzymy.

— Co chcesz począć? Dżordż, powstrzymaj się! Pokładaj w Bogu nadzieję, żyj wedle prawdy, a On cię wybawi z niedoli.

— Nie Elizo, ja niemam Chrześcijańskiéj pokory, serce moje przepełnione goryczą, niemogę pokładać w Bogu nadziei.... Dla czegoż Bóg pozwala, by się podobne rzeczy dziać mogły?

— Miejmy ciepłą wiarę, Dżordż: pani mi mówiła, że wszystko co z woli Bożéj, nawet smutki i niedole, są dla naszego dobra.

— Zapewnie, łatwo to mówić siedząc na miękkiéj sofie, albo jadąc w wygodnéj karecie; ale na mojém miejscu każdyby co innego powiedział, jestem tego pewny. Ja chciałbym zdobyć się na zgodzenie się z wolą Bożą ale krew' mi wre, zgroza i gniew rozrywają piersi..... nie to próżna, ja się ze swą dolą pogodzić niemogę. I tybyś była nielepszą. Ale poczekaj jeszczem niewszystko ci powiedział; posłuchaj, a bodaj i w twoich żyłach krew' zagra inaczéj.

— Cóżby jeszcze gorszego być mogło?

— Posłuchaj. Pan mi powiedział niedawno, że źle zrobił, pozwalając mi ożenić się z dziewczyną, która do niego nienależy. Powiadał, że niemoże ścierpieć mistra Szelby i całego jego domu, dla tego, że są hardzi i nos przed nim zadzierają. Mówił, że ty mnie nauczyłaś być dumnym, że niepozwoli mi więcéj tu uczęszczać, że ja powinienem ożenić się z drugą i żyć z nią na jego gruncie. Z początku były to tylko postrachy; ale wczora powiedział stanowczo, że rozkazuje mi zaślubić Minę i żyć z nią w jednéj chacie; a jeśli się niezgodzę, grozi że mię sprzeda handlarzom południowym.

— Ależ my połączeni jesteśmy przez pastora, tak samo jak biali! — wyrzekła z prostotą Eliza.

— Alboż ty niewiesz, że niewolnik niemoże się żenić? Prawa, zabezpieczającego trwałość naszego związku, niéma w tym kraju. Ty musisz przestać być moją żoną, jeśli mu się tego zechce. Oto dla czego tak mi smutno, że ciebie poznałem!... Oto dla czego złorzeczę dniowi mojego urodzenia!... Lepiejby nam było, gdybyśmy siebie nieznali; lepiejby było, gdyby ten chłopiec nieprzyszedł na świat. Z nim może się to samo stanie co z nami!

— O! nasz pan taki dobry!

— Tak! lecz kto wie? On może umrzeć, a dziecię kupi ktoś drugi, Bóg wie kto taki! Jaka nam radość, że to chłopię jest piękne, rozumne i miłe? Powiadam ci, Elizo, że każdy dobry przymiot, jaki się znajdzie w twym chłopcu, będzie dla ciebie pociskiem noża... Będą go cenić drogo, bardzo drogo, — i niemieć tobie z niego pociechy, zostanie sprzedany.

Słowa te mocno zasmuciły Elizę. Stanęła w jéj myśli postać handlarza; zbladła z przerażenia, niemiała sił odetchnąć, jak gdyby po otrzymaniu śmiertelnego ciosu. Spójrzała ze strachem na galeryę, dokąd wyszedł chłopczyna w czasie smutnéj i ważnéj rozmowy rodziców; tam dziecię hasało żwawie po wszystkich kątach, jeżdżąc na kiju mistra Szelby. Chciała zrazu mężowi opowiedzieć swoję obawę; lecz się zatrzymała i nic nierzekła.

„Nie, — pomyślała — nieszczęśliwy, i bez tego ma on tyle do zniesienia! Nie, ja mu nic a nic niepowiem. A zresztą, wszak to nieprawda: miss nigdy nas nieoszukuje.“

— No, moja droga Elizo! — odezwał się mąż z boleścią — cierpliwości, wytrwania! bywaj zdrowa! muszę odejść!

— Idziesz, Dżordż? ... ale dokąd?

— Do Kanady! — odpowiedział tłumiąc wzruszenie. — A kie-

dy tam zostanę, wykupię cię ztąd... To ostatnia nadzieja. Ty masz dobrego pana, który zapewnie zgodzi się sprzedać cię dla mnie. Wykupię ciebie... ciebie i nasze dziecko... Mam nadzieję w Bogu, że mi się uda tego dokazać.

— Ach! ja drżę cała!... A jeśli cię pochwycą?

— Nie, Elizo, niepochwycą... chyba trupa... Albo zostanę wolny, albo żyć przestanę.

— Czyż ty sam na siebie podniesiesz rękę?

— Samemu się zabijać niéma potrzeby: zabiją mię bez mojéj pomocy... Ale żywcem niesprzedadzą mię do stanów południowych.

— Dżordż, Dżordż! dla Boga, strzeż się, mój drogi! Nierób nic złego... niepodnoś ręki na siebie, niepodnoś na nikogo! Wielka pokusa tobą miota... bardzo wielka; ale walcz z pokusami. Potrzeba żebyś uciekł, ale bądźże ostrożny! Módl się do Boga, proś niechaj cię wspomoże!

— Dobrze, dobrze, Elizo; będę ci posłusznym. Ale teraz wykryję ci moje zamiary. Pan mój umyślił posłać mię drogą idącą tędy, koło was, do mistra Simzy, który mieszką ztąd może o milę. Mnie się zdaje, że mu wiadomo, iż ja tu zajdę i będę się na niego skarżył przed tobą. On się zapewnie już raduje, że to, co powiedziałem, zasmuci wyrodnych Szelby, jak ich zawsze tytułuje... Ja zaś powrócę do domu najzupełniéj spokojny, jak gdybym niemiał żadnéj nadziei... rozumiesz? Niektóre przygotowania już są urządzone: są ludzie, którzy mi pomogą; za tydzień mniéj lub więcéj policzonym zostanę do tych, „którzy zginęli bez wieści“... Módl się za mną, Elizo! może miłosierny Stwórca wysłucha twojéj modlitwy!

— O Dżordż! módl się sam do Niego, módl się i pokładaj w Nim nadzieję, a wtenczas nic złego niezrobisz!

— No bądź już zdrowa! — zawołał Dżordż, i ująwszy ręce Elizy, nieruchomie spoglądał jéj w oczy.

Kilka minut tak stali w milczeniu. Ostatnie słowa, ostatnie westchnienia, łzy gorzkie i gorące... jedném słowem było to pożegnanie ludzi, których nadzieja powtórnego spotkania się tyle ma mocy co nitka pajęcza... Mąż i żona rozstali się z sobą.....

ROZDZIAŁ IV.

Wieczorynka w chatce ojca Toma.

Niedaleko od dworu, stała chatka ojca Toma, z rozmaitéj wielkości bierwion sklecona; przed chatką był ogródek, w którym, dzięki troskliwéj staranności, dojrzewały rozkosznie maliny, wraz z innemi owocami i warzywem.

Cały front chatki, zakrywały gęste sploty begonii ponsowéj i miejscowéj róży wielokwiatowéj, i niedozwalały prawie dostrzedz nieogładzonych i koszlawych ścian chaty. Każdego lata, matka Chloe oddzielała część ogródka, i zasadzała go jaskrawemi kwiatami, jak złocień, petunija i inne, do których miała słabość wyłączną.

Ale wejdźmy do chatki. We dworze już po kolacyi, i matka Chloe, jako naczelna kucharka, mogła ze spokojném sumieniem, zostawiwszy pomycie naczynia i uprzątanie kuchni kuchcikom, udać się do swéj chatki i zająć się przygotowaniem posiłku dla swego starego, jak zwykła nazywać męża. Teraz właśnie widzimy ją przy piecu, z zajęciem przypatrującą się różnym różnościom smażącym się na patelni; z pewnym rodzajem wewnętrznego zadowolenia podejmowała nakrywkę od kociełka, z którego wylatujący zapach, jasno dowodził, że tam cóś się wybrednego gotuje.

Twarz jéj okrągła, pełna, czarna, błyszcząca, jakby ją lakierem pociągnął, jaśnieje wewnętrznem zadowoleniem i pewnym rodzajem poczucia własnéj godności; i nic dziwnego: matka Chloe to najlepsza kucharka na całą okolicę, niema ona w tym względzie rywalki, rozumie to dobrze, i słusznie się pyszni z pochwał ogólnych.

Matka Chloe urodziła się na kucharkę, kunszt miała już we krwi i w kościach: — to też ptastwo domowe czytało w jéj spójrzeniu swą dolę nieszczęśliwą, i gdy spostrzegało ją zbliżającą się krokiem poważnym, kury, gęsie, kaczki wszystko to drżało z przestrachu — a ba! nawet odważny indyk ponuro spuszczał głowę i pogrążał się w głęboką zadumę, widocznie na śmierć się gotował. W myśli jéj nieustannie się przesuwały rozmaite fazy jéj zajęcia; i wciąż nowe zdobywała tajemnice kuchenne, których, rozumie się, nieudzielała żadnéj innéj kobiecie, bo na tém zależała jéj sława. Matka Chloe była jedyną w swoim rodzaju, chociaż niewolną była od pewnéj próżności, i nieraz aż polegała ze śmiechu, opowiadając o nieszczęśliwych próbach

swoich rywalek w przyrządzaniu, mianowicie wszelkiego rodzaju pierogów, ciasta i zapiekanek.

Zjazd wielki gości, który pociągał za sobą wystawne obiady i kolacye, podniecał zwykle siły moralne matki Chloe, i dla tego zazwyczaj z pewnym rodzajem wewnętrznéj rozkoszy patrzała na zwalone nieraz na ganku walizy, kufry, pudła i t. p. — zwiastowały one bowiem cały szereg kalinarnych zabiegów, cały szereg popisów.

W obecnéj chwili, jakeśmy to powiedzieli, stała przed piecem i uważnie pilnowała gotujących się przysmaków: — nieprzeszkadzajmy jéj przeto, a skończmy tymczasem przegląd wnętrza chatki.

W jednym kącie stało łóżko, starannie białą kapą przykryte; przed łóżkiem był dywan, i miejsce to widać było honorowém, zostawało pod bezpośredniém rozporządzeniem matki Chloe, jako kobiety, mającéj niejakie zestosunkowanie chociaż pośrednie z wyższém towarzystwem; to też o ile mogła broniła ona swój *pokój bawialny*, jak go nazywała, od najścia dziatwy rozswawolonéj.

W drugim kącie było drugie łóżko, mniéj starannie zasłane, przeznaczone jak widać do codziennego użycia. Ścianę po nad kominem zdobiły jaskrawo koloryzowane obrazki z Pisma świętego i portret Waszyngtona..... Biedny wybawca Ameryki! tożby się zadziwił, skoroby mógł zobaczyć jak go sztuka narodowa przybrała!

W tym właśnie kącie izdebki, dwa czarne jak węgiel chłopaki, z kręcącemi się włosami z błyszczącemi policzkami, wykładali piérwsze zasady chodzenia swéj malutkiéj siostrzyczce; lecz te lekcye widać nieszły na pożytek, bo lada chwila dziecię się przewracało, a nauczyciele ogłaszali ten wypadek śmiechem donośnym.

Przed kominem był stół zasłany, widocznie do kolacyi, za stołem siedział ojciec Tom, najlepszy robotnik mistra Szelby: a ponieważ on ma być bohaterem naszego opowiadania winniśmy skreślić o ile można podobny doń portret. Był to mężczyzna barczysty, wysokiéj postawy; na jego twarzy czarnéj i błyszczącéj pełnéj charakteru cechującego dzieci gorących stref Afryki, odbijało się połączenie łagodności i prostoty ze zdrowym rozsądkiem; cała postawa zdradzała poczucie swéj godności wraz z pewnym rodzajem pokornéj i łatwowiernéj prostoduszności. W obecnéj chwili z komiczną powagą, przerysowywał na marmurowéj tabliczce, jakieś litery, pod przewodnictwem trzynastoletniego Dżordża, chłopaka bystrego z otwartą fizyonomiją, któ-

ry jak się zdaje, doskonale pojął obecne swe stanowisko jako nauczyciela.

— Ale nietak, nie w tę stronę, ojcze Tom! — zawołał chłopak spostrzegłszy że jego uczeń z wysileniem zawrócił ogonek od *g* w niewłaściwą stronę, — patrz, napisałeś *q* zamiast *g*.

— O dla Boga! czyż doprawdy? — przerwał ojciec Tom, popatrzał z poszanowaniem na swego młodego nauczyciela, który chcąc go przekonać kreślił swobodnie mnóstwo *g* i *q*, i znowu się wziął do gryfelka, który się niemógł utrzymać w jego grubych spracowanych palcach.

— Jak to tym białym wszystkie sztuki łatwo przychodzą!— zawołała matka Chloe, przerwawszy na chwilę operacyę smarowania patelni, kawałkiem słoniny i patrząc z pewnym rodzajem pychy na Dżordża. — A w domu jak to on pisze, tylko patrzaj! a jak czyta! co to i mówić? a jeszcze taki dobry, że wieczorkiem zabieży do nas i mego starego uczy. Oj paniczu!...

—Ej, co tam, matko Chloe! jestem głodny,—przerwał Dżordż— zobaczno tam do kociełka, może już się zgotowało.

— Prawie gotowe, mister Dżordż, — odpowie matka Chloe, podejmując nakrywkę kociełka i patrząc wewnątrz — a skórka jak się rumieni!.... ślicznota będzie; dajcie mi tylko chwilkę czasu. Cierpliwości, paniczu kochany. Onegdaj pani chciała żeby Sally sprobowała upiec kilka pierożków, ale gdzie jéj, — ja powiadam paniczowi — że to się serce kraje, patrząc jak się dobro pańskie marnuje; i cóż bo to było za pieczywo, żal się Boże! skrzywione, koszlawe, właśnie nieprzymierzając, jak mój bócik; — nie, to próżno, gdzieżby tam ona potrafiła? nietak to łatwo.

Po téj wzgardliwéj tyradzie wymierzonéj przeciw Sally, matka Chloe zrzuciła nakrywkę z kociełka, i odkryła mistrzowsko przyrządzony pasztet, któregoby żaden się niepowstydził pasztetnik z miasta; a że ten pasztet miał stanowić osnowę uczty, zaczęła się krzątać nieżartem koło stołu i przyrządzać do kolacyi.

— Wynoście się swoim kosztem, wy urwisy! a i ty ruszaj daléj, moja Polli. Mameczka niezapomni o swéj córeczce, da ci coś i smacznego, moja pieszczotko. A wy mister Dżordż rzucajcie xiążki i zasiadajcie z moim starym. Zaraz będą kiełbaski smażone i bliny.

— Wiesz, matko Chloe, — odpowie Dżordż, — mnie tam w domu czekają na kolacyę; ale niech sobie czekają, ja wiem gdzie z czém mi lepiéj — to też i zostaję u was.

— Już to pewno, że wiesz, mój serdeczny, — powiedziała mat-

ka Chloe, kładąc mu na talerz gorące bliny, — bo i dla kogożby stara Chloe miała chować przysmaki, jeżeli nie dla swego pieszczocha!

Mówiąc to matka Chloe była bardzo zadowoloną, popatrzała na Dżordża i odwróciła się do ogniska.

—No, teraz dawaj pasztet!—zawołał Dżordż,i podjął wielki nóż, jakby się gotując do sekcyi.

— O dla Boga! co panu jest, mister Dżordż? czy niemyślisz może tym wielkim nożem krajać? o! co na to, to nigdy niepozwolę, w jednéj chwili zmarnować moję pracę. Chwilkę, mister Dżordż, cierpliwości: ja mam malutki, ostry nożyk, jakby umyślnie do tego zrobiony; patrzaj pan jak kraje — płatki się oddzielają lekkie jak piórka. — Jedz pan na zdrowie — a i pójdzie na zdrowie, bo też nic już lepszego nieznajdziesz.

—Tom Linkoln powiada, — mruczał Dżordż pakując się pasztetem — że jego Dżinni lepsza kucharka od ciebie.

— Oho, jaki mi zuch Linkoln! — zawołała Chloe z pogardą; — Linkolny wielkie mi osoby, ważne figury. Dobrzy to ludzie na codzień; ale co się tyczy czegoś ważniejszego, to darmo, oni i pojęcia o tém niemają; nasze państwo, to rzecz inna. Proszę tylko postawić Linkolna obok mistra Szelby! a może miss Linkoln potrafi tak wejść do salonu, jak nasza dobra pani, co to zdaje się płynie — a taka lekka a taka poważna, że choć padaj na kolana! Ale to darmo; gdzie się im równać! już ja co wiem, to wiem; proszę mi lepiéj niewspominać o tych Linkolnach.

Matka Chloe powiedziawszy to podniosła z dumą głowę, jakby chciała tém pokazać, że sprawy świata tego niesą dla niéj tajemnicą.

— Co prawda, to prawda, — przerwał Dżordż; — aleś ty mi sama chwaliła Dżinni, mówiłaś mi że Dżinni dobra kucharka.

— Mówiłam — odpowiedziała Chloe, — i teraz powtórzę: ich Dżinni dobra, zwyczajna prosta kucharka; umie upiec pieczyste, zrobić jaką taką potrawkę, ale co do pasztetów, to kłaniam uniżenie, — a niechno trzeba zrobić cóś wymyślnego, Boże łaskawy! śmiech tylko i basta. O, Dżinni robi pasztety, ale cóż to za pasztety? jak wyglądają? a niechno potrafi zrobić ciasto, coby się rozpływało w ustach, lekkie jak puszek! Kiedy miss Mery wychodziła za mąż, ja widziałam jakie ciasto ona upiekła..... Dżinni moja przyjaciółka, — i dla tego nic jéj wtedy niepowiedziałam... ale cóż to? powiem paniczowi szczerze, jabym przez tydzień spać niemogła, żebym cóś podobnego zrobiła.

— Ja myślę — powiedział Dżordż, — że Dżinni się zdawało, iż jéj ciasto wyborne.

— Wyborne! to mi się podoba! jużci jéj mogło się zdawać, bo jeszcze miała odwagę wszystkim pokazywać i chwalić się. — Ale widzisz paniczu, to właśnie dowodzi, że Dżinni nic nierozumie.... Ach co to mówić? tam cały dom niema sensu; czego się ona tam może napatrzyć. O, mister Dżordż, pan niewiesz wszystkich zalet swéj familii i niepojmujesz jak w waszym domu wiele można skorzystać.

Tu matka Chloe westchnęła, i z uczuciém podniosła oczy w górę.

— Bądź przekonaną, matko Chloe, że ja doskonale pojmuję com winien pasztetom, — powiedział Dżordż. — Zapytaj u Toma Linkolna, jak go tém drażnię gdy się spotkamy.

Chloe brała się za boki od śmiechu, nareszcie padła na krzesło i śmiała się tak szczerze, aż łzy się puściły strumieniem po jéj czarnych błyszczących policzkach, i wciąż prosiła Dżordża żeby jéj darował życie, dowodząc, że on ją kiedykolwiek zabije swoim dowcipem, że będzie musiała pęknąć od śmiechu — i daléjże znowu zalewać się śmiechem, i to tak zawzięcie, iż Dżordżowi naprawdę się wydało, że on może być niebezpieczny ze swym dowcipem, i że dla dobra ludzkości winien się trochę trzymać na wodzy.

— To pan tak prosto i powiedziałeś Tomowi? Ale czyż powiedziałeś?— pytała matka Chloe.— Mój Boże, to mi zuch! Żartuje sobie z Toma! O dla Boga, mister Dżordż, pan umarłego potrafisz rozśmieszyć...- Co? i doprawdy tak powiedziałeś?

— Jużci też mówiłem, odpowiedział Dżordż.— „Posłuchaj Tom, powiadam mu, trzeba ci zobaczyć kiedy pasztety matki Chloe, to dowiesz się przynajmniéj co to jest pasztet.

— A szkoda, że ich niewidział!—dorzuciła Chloe, któréj dobre serce przedstawiło sobie zaraz smutne położenie Toma Linkolna. Powinieneś, mister Dżordż, zaprosić go kiedy na obiad, będzie to bardzo pięknie z pańskiéj strony. Pan to wiesz, mister Dżordż, iż niepowinniśmy nigdy się chełpić z tego co nam Pan Bóg dać raczył.

Mówiąc to matka Chloe przystroiła swą twarz w bardzo poważny wyraz.

— Dobrze: w przyszłym tygodniu zapraszam Toma, a ty matko Chloe, niepożałuj pracy,— toż się będzie wytrzeszczał! Tak go nakarmimy, by pamiętał ze dwa tygodnie o naszym obiedzie.

— Koniecznie, koniecznie, przerwała Chloe w zachwyceniu. Zobaczysz pan jak go nakarmim! O dla Boga, jak to się przy-

pomni niektóre obiady — pamiętasz, mister Dżordż, ten pasztet z kurcząt, na obiedzie, któryśmy dawali dla jenerała Noksa? O, wtenczas, to o mało cośmy się niepokłóciły z panią o skórkę pasztetu. Bo też ja nierozumiem, co tym paniom przychodzi niekiedy do głowy: czasami właśnie wtedy gdy lękasz się i drżysz żeby się udało, wsuną swoje trzy grosze. Pani się chciało żebym to ja robiła, jedno tak, drugie inaczéj — aż mi cierpliwości zabrakło.... „Pani, — powiadam ja — chciéj tylko pani spójrzeć na swoje białe rączki i na moje czarne łapy; to już widać Bóg tak chciał, żebym ja się krzątała koło kuchni, a pani siedziała sobie w pokoju.“ Ot co jest, mister Dżordż! o mało nierozgniewałam się.

— A co mama na to powiedziała? — spytał Dżordż.

— Co powiedziała? ona popatrzała na mnie swemi pięknemi oczami i powiedziała: „Zgoda, matko Chloe; widzę ty masz racyę“ — i poszła sobie do pokojów. Już to, co prawda to prawda: pani wypadało palnąć czém się nawinie po mojéj głupiéj głowie, co jeszcze w obec swéj pani puszcza się w dowodzenia... ale cóż poradzić? już to moja natura, ja nic nieumiem zrobić, kiedy pani w kuchni.

— O! ja pamiętam ten obiad, udał ci się doskonale, wszyscy chwalili, — dodał Dżordż.

— Oj co tak to tak! Ja stojąc za drzwiami, na własne oczy widziałam, jak jenerał trzy razy podsuwał swój talerz do pani prosząc o pierogi z jagodami, i wciąż mówił: „Mistris Szelby, pani masz nieocenioną kucharkę.“ — O mój Boże, mój Boże! o mało mi radość głowy nierozsadziła! Jenerał zna się na dobréj kuchni! — dorzuciła matka Chloe z godnością — to bardzo porządny człowiek! Pochodzi on z najstarożytniejszéj familii w staréj Wirginii, to też tak jak i mój pan zna się na tém co smaczne,—to zacny człowiek ten jenerał. Widzisz paniczu, w każdéj potrawie jest coś osobliwego, ale nickażdy umie to dostrzedz — a ot jenerał od razu zrozumiał o co chodzi, — już to ja widziałam ze słów jego. Tak, tak, on się zna na osobliwościach.

Dżordż tak się już naładował, że mógł zwrócić uwagę od pasztetu na dziatwę Toma, przypatrującą się mu z zazdrością z kąta chaty.

— Chodźcie tu, Piotrek, Monio, chcecie jeść? — zawołał, łamiąc spore kawałki ciasta i rzucając je dzieciom.— Matko Chloe, trzeba teraz ich nakarmić.

Dżordż i Tom przeszli od stołu do komina, a Chloe przygotowała spory zapas blinów, wzięła na kolana małą Polli i ob-

dzielała dwóch urwisów, którzy widać największą znajdowali przyjemność posilać się pod stołem, przewracając się, swawoląc i tarmosząc za nóżki swą małą siostrzyczkę.

— Ciszéj! a przestaniecie wy tam?— wołała matka, szturchając pod stołem nogą na chybił-trafił, gdy już jéj zanadto dokuczyli.— Widzicie że są goście, bądźcie cicho urwisy! No, zobaczycie niechno tylko mister Dżordż wyjdzie, a już ja wam zrobię niespodziankę.

Jaka to miała być niespodzianka, trudno zgadnąć; to tylko pewna, że obietnica niewywarła najmniejszego wpływu na rozswawoloną dziatwę.

— Rozpuszczone chłopcy! — powiedział ojciec Tom, — za nimi niemożna mieć chwili spokojności.

Chłopcy tymczasem wyleźli z pod stołu, z zatłuszczonemi twarzami i rękami, i dawajże naprzemian całować i ściskać siostrzyczkę.

— A dajcie jéj pokój! — wołała matka, odpychając ich kędzierzawe główki. Ruszajcie mi zaraz do ruczaju umyjcie się czysto i pięknie; — i potwierdziła ten rozkaz kiku szturchańcami, które widać niebyły nazbyt straszne, bo dziatwa śmiejąc się wyleciała za drzwi.

— No powiedzcie mi przez litość, czy widział kto takich urwisów niegodziwych! — powiedziała dobrodusznie matka Chloe. Wziąwszy umyślnie przygotowany ręcznik, umoczyła go w letniéj wodzie, obmyła twarz i ręce swojéj Polli, posadziła ją na kolana ojca Toma i zaczęła uprzątać ze stołu. Dzieciak tymczasem szarpał ojca za nos, drapał mu twarz i zapuszczał swoje drobne rączęta w kędzierzawą czuprynę Toma, — ostatni rodzaj zajęcia widocznie najbardziéj się podobał małéj Polli.

— To mi pieszczotka!— zawołał ojciec Tom, podniósł ją w górę, jakby się chcąc nacieszyć, późniéj usadowiwszy dziecinę na ramieniu, daléjże w pląsy po pokoju — a Dżordz skacząc przed nią machał chustką, i bawił i bawił się razem. Monia i Piotrek za powrótem do izby, przyłączyli się także do kompanii i to z takiemi okrzykami wesela, że matka Chloe stanowczo objawiła, iż te wrzaski głowy ją pozbawią. Ale ponieważ, wedle jéj słów własnych, przyprowadzano ją bez nieszczęśliwych skutków do podobnéj ostateczności kilka razy na dzień — admonicya więc ta nic na wiele się przydała; wrzask trwał do póty, aż Tom i dziatwa mając już dosyć śmiechu i swawoli, musieli w końcu spocząć.

— Na dziś sądzę będzie dosyć, — powiedziała matka, wyj-

mając z kufra łóżko składane. — Daléj Monio, Piotrek, kłaść się spać, i cicho! wkrótce się zbiorą nasi przyjaciele na modlitwę.

— My niechcemy spać, matuniu, my będziemy modlić się; to takie zajmujące — nam się to podoba.

— Pozwól im, matko Chloe, i sprzątnij łóżko, niech sobie posiedzą, — powiedział Dżordż.

Chloe widocznie była z tego zadowolnioną, bo pędzała spać dziatwę tylko wedle porządku.

— To niechże sobie zostają, może to im pójdzie na pożytek. I wszyscy się wzięli do sprzątania.

— Zkąd dostać krzeseł? — powiedziała matka Chloe; — ja doprawdy niewiem jak temu zaradzić? Ależ te zebrania co tydzień bywają w chacie Toma i zawsze obchodziliśmy się tém co jest, może i teraz jakoś damy rady. Siądą jak będzie można, miejsca jest dosyć.

— W przeszłym tygodniu, stary dziadek Piotr złamał dwie nóżki u tego krzesła, — przerwał Monio.

— Jeszcze mi będziesz zmyślać! Bodaj, że to twoja robota, ty niegodziwy urwisie! — zawołała matka Chloe.

— To nic, matuniu, będzie stać, jak je przyprę do ściany, — wołał Monio.

— Tylko patrzaj, — podchwycił Piotrek, — żeby tam nieusiadł dziadek Piotr, bo on zwykle jak pocznie śpiewać, to jeździ po całym pokoju ze swojém krzesłem.

— Tém lepiéj, niech siada, — przerwał Monio; — zobaczysz, jak tylko zacznie: „I przyjdziecie sprawiedliwi i grzesznicy wysłuchać głosu mojego“ — stary wywróci koziełka i rozciągnie się jak długi! — Mówiąc to urwis przedrzeźniał śpiew, i chcąc bardziéj uobrazować swe opowiadanie, dał kulka i leżał już na ziemi.

— A no, przestań! — zawołała matka Chloe; — czyż wam niewstyd? niemożecie się na chwilę uspokoić.

Ale mister Dżordż trzymał za urwisem, dowodząc że Monio zuch; i dla tego uwagi matki niewiele przyniosły pożytku.

— No, mój przyjacielu, trzeba teraz przynieść beczułki, — powiedziała Chloe do męża.

— Beczułki matuni, to tak jak u tamtéj wdowy, o któréj nam mister Dżordż czytał z téj grubéj xiążki, nigdy ich niebrak, — zakommikował Monio Piotrkowi.

— Pamiętasz przeszłego tygodnia, jak się dno zawaliło, i zaczęli padać śpiewając, pamiętasz?

Podczas téj rozmowy przytoczono do izby dwie puste becz-

ki i podparli je kamieniami, na beczkach położyli deski i uwieńczyli w ten sposób przygotowanie do przyjęcia gości.

— Mister Dżordż, pan co tak pięknie czytasz, pewnie nam nieodmówisz, zostać tu na chwilę, i przeczytać cokolwiek,— powiedziała Matka Chloe, — zrobiłbyś nam wielką łaskę.

Dżordż zgodził się z radością, jak każdy dzieciak, który chce uchodzić za poważniejszego niż jest w istocie.

Izba wkrótce się napełniła różnobarwną gromadą, począwszy od ośmdziesięcioletniego starca, aż do dziewczynki lat piętnastu. Z początku jak zwykle udzielili sobie wzajem kilka niewinnych ploteczek: „Zkąd ma Salli nową chustkę?“ „Pani darowała Elizie nową suknię“... „Pan kupi niedługo pięknego konia“ i t. p.

Niektórzy z gości należeli do sąsiednich plantacyj i zbierali się do chaty ojca Toma za wyłącznem pozwoleniem swoich panów. Każdy z nich przyniósł w swoję koléj przyzwoitą ilość nowostek, które i tu równie żwawo i swobodnie krążyły, jak w świetnych salonach wyższego towarzystwa.

Po chwili, z widocznem zadowoleniem obecnych zaczęły się śpiewy. Kilka mniéj świeżych i fałszywych głosów niemogły zepsuć całości, pieśń się lała potężnie z silnie czujących piersi — a jéj dzikie i namiętne tony dowodnie świadczyły, że w piersiach tych ludzi pracy serce bić silnie nieprzestało.

Śpiewano tu albo zwyczajne hymny kościelne, albo śpiewy religijne, których się od missyonarzy nauczyć mogli.

Jeden z tych śpiewów wylał się z ust zebranych Murzynów namaszczony męzkiém rozrzewniającém uczuciem; — oto są jego słowa:

Umieram w boju!
Umieram w boju!
Lecz jasność Boża w duszy mi świeci!

Druga pieśń brzmiała następnie:

Ona mię woła — ja zdążam za sławą!
Pośpieszcie za mną, i z ducha obawą
Patrzajcie w niebo: tam święci anieli
Jasnemi skrzydły w górę ulecieli,
Drogę wskazując do grodu jasnego,
Kędy przybytek pokoju wiecznego.

Były jeszcze i inne śpiewy, w których się często wspominały *brzegi Jordanu, ziemia Chanaan, nowe Jeruzalem;* bo umysł Murzyna wrażliwy i niespokojny miłuje hymny przepełnio-

ne plastyczną obrazowością.... Podczas śpiewu jedni się śmieli, drudzy płakali, inni się ściskali za ręce, jakby się wzajem pozdrawiając, że szczęśliwie dobili do drugiego brzegu rzeki, co życie od wieczności dzieli.

Pieśni się przeplatały uwagami, i naukami moralnemi. Staruszka biała jak gołąb', oddawna już wolna od wszelkiéj pracy, ale poważana i szanowana jako żyjąca kronika, powstała, i opierając się na kiju, tak mówiła:

— Moje dzieci, jam bardzo szczęśliwa! Bóg mi dozwolił widzieć i słuchać was jeszcze dzisiaj! Niewiem kiedy mię Bóg powoła do siebie. Jestem w pogotowiu, moje dobre dzieci; już zabrałam i upakowałam co mi potrzebne do téj podróży, i czekam tylko wozka, by wyruszyć w drogę. Każdéj nocy słyszę skrzyp kół, wozek już blizko, a ja czekam i doczekać niemogę.... Gotujcie się, dzieci, bo niewiecie ani dnia ani godziny.... słuchajcie słów moich i pamiętajcie o nich!

Stuknęła kijem i tak daléj mówiła: — Chwała przedwiecznemu! Dzieci nieście cześć Panu! Ale wy niemacie tego na względzie.... Dzieci ja was nierozumiem.

Staruszka usiadła, łzy strumieniem potoczyły się po jéj wybladłych policzkach; a obecni jakby jedną myślą ożywieni zaśpiewali.

O Chanaan! o ziemio błogosławiona!
Ja idę do ziemi Chanaan!

Mister Dżordż na ogólne prośby, zaczął czytać ostatnie rozdziały Apokalipsis; a wykrzykniki ogólne przerywały mu po kilkakroć: „O mój Boże! posłuchajcie! zważcie! i wszystko to będzie!"

Dżordż, chłopak z natury uważny, a wychowany starannie przez matkę w zasadach religijnych, widząc, że jest celem uwagi powszechnéj, dodawał od siebie niektóre tłómaczenia, z powagą godną pochwały. Młodzież go podziwiała, starzy go błogosławili. Ze wszech stron dowodzono, że nawet xiądz nielepiéjby sobie dał rady, jak ich dobry, kochany panicz.

We wszystkich kwestyach religijnych, Toma słuchano w całéj okolicy, jakby patryarchy. Moralna strona w nim górowała; jego umysł rozwinięty, pogląd rozległy, stawiły go wyżéj po nad cały ogół Murzynów: i dla tego wszyscy go szanowali, szukali u niego porady i pociechy w strapieniach.

Jego nauki proste, ale pełne ciepłéj wiary i miłości, poruszyłyby najbardziéj ucywilizowanych słuchaczy; a jego modlitwa wzniosła i płynąca z serca, przeplatana cytatami z Pisma

Swiętego, które chociaż czytał z trudnością, ale zawsze umiał przytoczyć w porę, do łez wszystkich rozczulała.

Wedle słów Murzynów, modlitwa jego zawsze trafiała do Boga; to też nieraz obecni wtórowali mu głośnym płaczem i serdecznemi westchnieniami.

Gdy się to dzieje w chacie niewolnika, zupełnie inna się scena odegrywała w domu właściciela.

Handlarz Murzynów i mister Szelby siedzieli za stołem zarzuconym papierami. Mister Szelby podał Hellemu cały pak dokumentów do przejrzenia.

— Wszystko w porządku, — powiedział handlarz, — zostaje tylko podpisać.

Szelby porwał za pióro z gwałtownością i podpisał gorączkowo, jakby chcąc prędzéj uwolnić się od wyrzutów sumienia, i oddał handlarzowi dokumenta sprzedaży. Helli wyjął z pugilaresu pergamin i podał go mistrowi Szelby, a ten go pochwycił z niespokojnością, któréj ukryć niebył w stanie.

— Teraz interes skończony, — powiedział Helli wstając.

— *Skończony*! — podchwycił Szelby w głębokiéj zadumie, i jeszcze raz powtórzył: *skończony*!

— Pan niebardzo jesteś zadowolony z tego jak mi się zdaje,— dorzucił handlarz.

— Helli,— odpowiedział Szelby, — pamiętasz, jak sądzę, żeś mi dał słowo przedać Toma nieinaczéj jak do zacnego domu.

— Bądź pan przekonany, że w tym względzie pójdę za pańskim przykładem, — powiedział handlarz.

— Pan wiesz, że mię zmusiła konieczność!

—Przecięż i mnie może to spotkać, — dorzucił Helli.— Zresztą użyję wszelkich starań, by dobrze ulokować Toma; co się zaś tyczy mego z nim obejścia, pan możesz być zupełnie spokojny. Codziennie dziękuję Bogu, że mi dał serce tkliwe.

Handlarz od piérwszego słowa dał się poznać we właściwém świetle, i dla tego jego filantropija oględnie kupiecka wcale nieuspokoiła mistra Szelby, co do losu nieszczęśliwego Toma; ale w obecnéj chwili, wszystko już było skończone, i wszelkie wymagania ze strony dawnego właściciela byłyby śmiesznością.

ROZDZIAŁ V.

Uczucia, z jakiemi własność żyjąca przechodzi od jednego właściciela do drugiego.

Jesteśmy w sypialni państwa Szelby. Mister Szelby siedzi w wygodnym fotelu i przeziera listy otrzymane po obiedzie. Mistris Szelby stoi przed lustrem i rozpuszcza loki i loczki, w które Eliza jéj warkocz ubrała. Mistris Szelby wyprawiła Elizę, spostrzegłszy bladość na jéj twarzy i złamanie w całéj postaci, i dla tego sama się rozbierając, zwróciła się do męża z obojętném zapytaniem:

— Ale, Arturze, kto to jest ten nieokrzesany jegomość, coś go dziś przyciągnął na obiad?

— To jest Helli,—odpowiedział Szelby poprawiając się z pewném zakłopotaniem na fotelu i nieodrywając wzroku od listów.

— Helli? powiedz mi zmiłuj się co to za człowiek? i co jest przyczyną jego obecności w naszym domu?

— Robiłem z nim ostatniemi czasy rozmaite interesa, podczas mojéj bytności w Naczez.

— Czyż to go mogło upoważniać, przyjechać do nas na obiad, być przyjętym jako przyjaciel domu?

— Jam go zaprosił; mamy z sobą rachunki.

— On handluje Murzynami? — zapytała mistris Szelby, spostrzegłszy na twarzy męża pewien rodzaj niespokojności.

— I cóż to cię obchodzi, moja droga? — powiedział mister Szelby, podniosłszy swe oczy na żonę.

— Tak.... wyobraź, co za dziwactwo: po obiedzie Eliza wpadła do mnie pomięszana, dowodząc że sama słyszała, jak Helli proponował ci kupić jéj syna; nieprawdaż, że to dziwaczne urojenie?

— Ona słyszała? — przemówił mister Szelby biorąc się znowu do przeglądania papierów, z całą uwagą jak się zdawało, chociaż je trzymał do góry nogami. „Po co tu taić? pomyślał, piérwiéj czy późniéj musi się przecięż dowiedzieć.“

— Ja powiedziałam Elizie, —dodała Mistris Szelby,— że ona dziwaczy, że ci ani w głowie mogło postać, przedawać któregokolwiek bądź z naszych ludzi, a témbardziéj, takiemu jak ten człowiekowi.

— Rzeczywiście Emilijo, ja zawsze tak sądziłem, było to moje przekonanie; ale teraz okoliczności się zmieniły, i jestem zmuszony odprzedać kilku ludzi.

— Przedać takiemu człowiekowi? To być niemoże, mister Szelby; żartujesz sobie ze mnie.

— Bardzo mi przykro się przyznać, że mi wcale nie do żartów. Jestem zdecydowany przedać Toma.

— Jakto? naszego Toma? naszego zacnego, poczciwego Toma? który od dzieciństwa wiernie ci służył? Ach, mister Szelby!.. A jednak obiecałeś mu dać wolność — powtarzaliśmy mu nieraz tę obietnicę... O! teraz mogę uwierzyć nawet i temu, żeś przedał małego Harry, jedyne dziecię biednéj Elizy!— powiedziała mistris głosem nabrzmiałym boleścią i oburzeniem.

— Tak jest, i to prawda. Jeżeli tak ci pilno wszystko wiedzieć, to muszę ci wyznać, żem się zdecydował przedać Toma i Harry; ale jeszcze niepojmuję powodu, by za to, co jest rzeczą zwyczajną, co wszyscy robią niemal codziennie, uważać mię za potwora?

— Dla czegoż ich właśnie wybrałeś? Skoro koniecznem było sprzedać kogo, to można było inny zrobić wybór.

— Dla tego, że za nich dają drożéj niż za innych. Zresztą dla mnie to wszystko jedno, możemy sprzedać kogo innego. Ten człowiek proponuje mi za Elizę grube pieniądze. Jak uważasz? możeby to było lepiéj?

— A co za podłość!— zawołała mister Szelby w gwałtownem uniesieniu.

— Ja przecięż tego niezrobiłem, szanując twoje uczucia; za nic w świecie na to się niezgodzę: słuszna przeto, żebyś miała jakikolwiek bądź wzgląd na moje położenie i ufała mi choć trochę.

— Przebacz mi, mój drogi, jam się uniosła, — powiedziała mistris Szelby; — wiadomość ta przeraziła mię niesłychanie; ale, mam nadzieję, pozwolisz mi wstawić się za tymi nieszczęśliwymi. Tom, chociaż Murzyn, jest człowiekiem prawym, z zacném szlachetném sercem. Ja jestem pewna, że w przypadku potrzeby chętnieby życie swoje poświęcił dla ciebie.

— Ja wiem o tém; ale cóż to pomoże? ja niemogę inaczéj postąpić.

— Czyż nielepiéj narazić się na stratę? ja z chęcią połowę biorę na siebie.... O, mister Szelby! ty wiesz, że z całą sumiennością dobréj Chrześcijanki, jam się starała wywiązać z mych obowiązków względem tych biednych, mocą prawa do nas przykutych istot. Wiele to już lat ja się nimi opiekuję, staram się zbadać wszystkie ich potrzeby i dobrocią naprowadzić ich na drogę prawdy. Jakiémże czołem będziemy mogli im spojrzeć w oczy teraz, kiedy dla lichego zysku zgadzamy się sprzedać

najlepszego najwierniejszego Toma? rozdzielić go w jednéj chwili z tém wszystkiém do czego mu serce przyrosło na głucho? Ja starałam się zaszczepić w ich proste serca uczucia rodzinne, uznanie obowiązków dzieci dla rodziców, rodziców dla dzieci, męża dla żony — a teraz uczynkiem dowodzimy, że to były słowa bez myśli, że zasady, któreśmy im chcieli przelać, dopóty nam tylko służą, dopóki ich niezagłuszy interes pieniężny. Ja często rozmawiałam z Elizą o jéj dziecięciu — mówiłam wiele o obowiązkach jéj dla Harry, jak go powinna kształcić i wychować, jak wszczepić w jego młodociane serce piérwsze zasady nauki Chrystusa, — a teraz co ja powiem, gdy ty oderwiesz jéj jedyne dziecię od zbolałéj piersi matczynéj i przedasz je niegodziwemu handlarzowi, przedasz z duszą i ciałem? bo ten człowiek bez zasad, ciało zadręczy a duszę splugawi, i to wszystko dla zysku. Jam jéj mówiła, że zbawienie duszy winno być droższe nad wszystkie ziemskie skarby; jakże mi teraz ma zaufać, gdy sprzedamy jéj dziecię jedyne, sprzedamy na pewną zagubę ciała i duszy?

— Bardzo mi przykro, że tak bierzesz tę sprawę do serca. Szanuję twoje przekonania, chociaż muszę się przyznać, nie-zawsze je podzielam, a przynajmniéj nieposuwam ich do przesady; lecz wszystko to do niczego nieprowadzi: konieczność nas zmusza — musimy albo przedać Toma i Harry, albo się wyzuć z całéj posiadłości. Helli, niewiem jakim sposobem, przyszedł do posiadania dokumentu zastawnego na moję plantacyę: skoro więc nietrafię z nim do końca, mogą mi zabrać wszystko, czém władałem przed wydaniem tego dokumentu. Używałem wszelkich środków możliwych, chciałem się zapożyczyć, narażałem się na poniżenie; ale to próżno, niéma innego ratunku — musimy sprzedać Toma i Harry, i przecię załatwić tę nieszczęśliwą sprawę. Przecięż nie z dobréj woli takem się rozrządził: — Hellemu podobał się ten chłopak, niechciał inaczéj skończyć interesu — on miał prawo za sobą — musiałem się zgodzić. Jeżeli ci tak szkoda Toma i Harry, to czyż lepiéj sprzedać wszystko i pójść w świat o kiju?

Mistris Szelby stała przez chwilę, jakby piorunem rażona; późniéj zwracając się do toalety i zakrywając twarz rękami, zawołała w najwyższém wzruszeniu:

— O, to przekleństwo Boże! Okropne prawo niewoli! jest to przekleństwo na głowę pana i na głowę niewolnika.... Ja byłam szalona gdym sądziła, iż można zrobić cóś dobrego w obec takiéj zasady prawa. Micć niewolników jest grzechem, — zawszem to czuła i tak myślała gdym jeszcze była małą dziewczynką;

a teraz okoliczności boleśnie potwierdziły moje przekonanie. Mnie się zdawało, że łagodnością, sprawiedliwością, dobrém obejściem potrafię tak przywiązać do siebie niewolników, iż niebędą tęsknić do swobody.... Dziwne szaleństwo!

— Ej żoneczko! jak widzę należysz do partyi tych, którzy pragną zniesienia niewoli. Zawzięta z ciebie abolicyonistka.

— Abolicyoniści wtenczasby mieli prawo mówić, skoroby tak zbadali jak ja stanowisko społeczne niewolników. I cóż oni nam nowego powiedzą? Wiesz przecię, że nigdy nieprzykładałam wiary do słuszności niewoli i nigdym niepragnęła władać niewolnikami.

— Rozmijasz się przeto ze zdaniem wielu zacnych, pobożnych i rozumnych ludzi. Czy przypominasz sobie kazanie mistra B*, które miał przeszłéj niedzieli?

— Niepotrzeba mi takich kazań, i wolałabym nic podobnego więcéj niesłyszeć w kościele. Zapewnie, może kapłani, owi pasterze ducha, niemogą wyleczyć i wykorzenić z ustaw towarzystwa téj szkaradnéj zasady; ale dla tego, by stawać w obronie niewoli, być jéj apostołem, trzeba być pozbawionym albo sumienia albo zdrowego rozsądku. Przecięż sam nieprzywiązywałeś nigdy zbyt wielkiéj wagi do kazań podobnych.

— Rzeczywiście, trudno zaprzeczać, nasi kaznodzieje daléj się posuwają niż my prości grzesznicy, których świat i okoliczności często zmuszają do potakiwania złemu, i przyzwyczajają powoli do tego co być niepowinno. Ale nam niemoże przecię się podobać, gdy mówcy i kobiety zbyt doraźnie wypowiadają swoje przekonania zabaczając o skromności. Tak jest, moja droga. Spodziewam się, że przekonałaś się teraz, iż mnie do tego kroku zmusiła konieczność, że z dwójga złego wybrałem mniejsze.

— O, tak, tak! — zawołała mistris Szelby roztargniona bawiąc się ze swoim zegarkiem. — Na nieszczęście niéma żadnych kosztowności — dodała ona zamyślona: — ileby można dostać za ten zegarek? zapłaciliśmy zań bardzo drogo. Jabym z chęcią poświęciła wszystko, żeby przynajmniéj wyratować dziecię Elizy.

— Bardzo mi przykro, że to cię tak martwi..... naprożno tylko się dręczysz, rzeczy już skończone, moja droga Emiljo, dokument sprzedaży podpisany i w ręku Helli; dziękujmy Bogu, że to się tak skończyło a niegorzéj. Uwolniliśmy się od człowieka, który nas trzymał w ręku i mógł nas puścić z torbami. Ty go nieznasz i wiedzieć niemożesz, jak mnie było trudno trafić do końca.

— Czyż on taki okrutny?

— Okrutny... nie, niepowiem; ale jest to człowiek kamień, człowiek, którego nic niezatrzyma gdy chodzi o zyski i korzyści; zimny jak mogiła, nieubłagany jak śmierć. On opuszcza rodzoną matkę, byleby mu dobrze zapłacono, i zrobi to zupełnie spokojnie, jakby to go nic niekosztowało, i jeszcze żegnając się pobłogosławi na drogę.

— I ten człowiek nikczemny panuje teraz nad Tomem i synem Elizy?

— Tak, moja droga. Mnie samemu ta sprawa kamieniem młyńskim cięży na piersiach.... Hellemu pilno, i on od jutra chce wstąpić we władanie. Ja niemogę patrzeć na to: równo ze świtem każę sobie osiodłać konia i pojadę gdziekolwiek; radzę i tobie zrobić to samo. Postaraj się także oddalić Elizę: lepiéj gdyby jéj niebyło przy tém.

— Nie, nigdy! — powiedziała mistris Szelby,— ja nieprzyłożę ręki do tego okrucieństwa. Pójdę ze słowem pociechy do starego Toma, niech mu Bóg przyjdzie z pomocą, i niech odejdzie od nas z tém przekonaniem, że ja współczułam jego niedoli. O Elizie ja lękam się pomyśleć. To okropnie... mój Boże! mój Boże! za cożeś nas tak ciężko pokarał? czyż tak wielkie są nasze winy?

Rozmowę tę podsłuchała trzecia osoba, osoba, którą to najbliżéj dotykało: do sypialni państwa Szelby przytykał skład, od którego drzwi wychodziły na ganek. Eliza niespokojna, rozgorączkowana, dręczona ciągle podejrzeniem, niespokojnością o dolę dziecięcia, postanowiła skorzystać z tego sąsiedztwa. Skoro mistris Szelby pozwoliła jéj odejść, z uchem przyłożoném do szpary we drzwiach, zatrzymując oddech, biedna wysłuchała całą rozmowę, któréj każdy wyraz wypalał się ognistemi zgłoskami na sercu zranioném.

Rozmowa już ustała, a ona jeszcze lękała się wierzyć uszom własnym... cios był za-silny. Blada, drżąca cała, z konwulsyjnie zaciśniętemi ustami, wcale niebyła podobną do owéj śliczněj, łagodnéj istoty, którąśmy w piérwszym rozdziale widzieli. Ostróżnie przeszła przez pokój — zatrzymała się na chwilę przed drzwiami swéj pani, wzniosła ręce ku niebu, jakby błagając sprawiedliwości i opieki w przedsięwziętym zamiarze, i wróciła do swojego pokoiku, w którym tak się wiele wspomnień związało, tyle szczęśliwych chwil przebyło. Oto okno, przy którém siedząc z piosnką na ustach oczekiwała swego ukochanego, tu szafka z xiążkami, a daléj komoda z jéj skromną garderobą — to cały jéj światek. W kącie w kołysce spało dziecię; jego długie włosy rozrzucone bezładnie przykryły twarzyczkę pełną spoko-

ju, nawpół otwarte usteczka czekały zda się pocałunku, na twarzy jego był uśmiéch dziecięcia, co się nielęka jutra.

— Dziecię moje, moje biedne dziecię! ciebie przedali! — powiedziała Eliza, — ale matka potrafi cię jeszcze uratować.

I na poduszeczkę dziecięcia niestoczyła się ani jedna łza matczyna. Są chwile w życiu, gdy serce kamienieje z boleści i na łzę się zdobyć niemoże.

Eliza pochwyciła kawałek papieru i zaczęła pisać co następuje: „O pani moja, dobra pani! nieposądzaj mnie o niewdzięczność: ja niemogłam inaczéj postąpić. Wczoraj słyszałam waszę rozmowę: ja muszę ratować moje dziecię — ty mi to przebaczysz. Niech błogosławieństwo Boże będzie nad wami i nagrodzi cię pani za twoję dobroć.“

Z gorączkowym pośpiechem złożyła ten list, zaadresowała; później wyjęła z komody odzienie dziecinne, upakowała do zawiniątka, które chustką przywiązała sobie na plecach.

Dziwne, niezbadane są tajnie macierzyńskiego serca! że też w tak okropnéj chwili mogła biedna Eliza, niezapomnieć zabrać wszystkich zabawek dziecinnych małego Harry, zostawując tylko jaskrawą pomalowaną papugę, by zająć dziecinkę gdy go rozbudzi.

Trudno było go rozbudzić, ale gdy się to jakoś zrobiło i chłopak rozbudzony siedział w łóżeczku i obracał na wszystkie strony swoję papugę, matka zaczęła się ubierać do drogi, okryła się chustką, włożyła kapelusz.

— A gdzie mama idzie? — zapytał on gdy matka zbliżyła się do łóżeczka z jego odzieniem w ręku. Harry spójrzał na matkę, i z jéj wzroku i wyrazu fizyonomii, domyślił się, że musiało cóś zajść nadzwyczajnego.

— Cieszéj Harry,—powiedziała ona,—niemów tak głośno, mogą nas posłyszeć. Zły człowiek, chce zabrać twojéj mamie ciebie, mój Harry, i zawieść daleko do ciemnicy; ale mama nieodda ciebie, mój ty skarbie jedyny, mama ubierze ciebie i uciecze z tobą, a zły człowiek nas niedogoni.

Mówiąc to, skończyła niewymyślną toaletę swego dzieciaka, i wziąwszy go na ręce sze pnęła mu, by się nieodzywał, i otworzywszy drzwi prowadzące na galeryę, cichutko wymknęła się z domu.

Noc była mroźna — gwiazdy iskrzyły i migotały na ciemném niebios sklepieniu. Matka otuliła chustką dziecię. Strach pozbawił go zwykłéj żywości; przerażony przytulił się do piersi matczynéj, obwinął drobnemi rączkami jéj szyję i na niéj zawisnął.

Stary Bruno, pies Njufaundlandzki, wartujący zwykle na galeryi, skoro posłyszał szelest i stąpanie, powstał, nasrożył się i zaczął warczeć; — ale gdy Eliza pocichu zawołała nań po imieniu, poznał głos dobrze znajomy, zaczął się łasić, kręcić ogonem i zamierzał już towarzyszyć swéj opiekunce, która go przez tyle lat pieściła, chociaż jego przemądra głowa niemogła pojąć celu tak opóźnionej nocnéj przechadzki. Jakieś niejasne przeczucie o niewłaściwości takiego kroku, widocznie go musiało kłopotać, bo się często zastanawiał, oglądał, to na dom to na Elizę, aż w końcu jakby się zgadzając z koniecznością, poszedł w ślad za uciekającą kobietą. W kilka minut Eliza zatrzymała się przed Chatką Toma i zcicha zapukała do okna.

Zebranie pobożne w chatce Toma przeciągnęło się tego wieczora dłużéj jak zwykle. Późniéj gdy się wszyscy rozeszli, Tom długo jeszcze śpiewał pieśni pobożne i hymny, i dla tego chociaż już było po północy, on i jego dostojna małżonka jeszcze czuwali.

— O dla Boga! cóż to jest? — powiedziała matka Chloe, wstając z pośpiechem i uchylając firanki, — Wszak to Eliza? No mój stary, ubieraj się żwawo.... A ot i stary Bruno przywlókł się razem... Cóżby to takiego być mogło? Trzeba widać drzwi otworzyć.

Za słowem czyn nastąpił, drzwi się otworzyły, i światło od małéj świeczki, którą Tom zapalił, padło na wybladłą i przestraszoną twarz Elizy.

— Pan Bóg z tobą, Elizo! toż na ciebie strach spójrzeć! Czyś ty chora? a może się co stało?

— Ja muszę uciekać, ojcze Tom! uciekać wraz z moim Harry, matko Chloe! Pan go sprzedał.

— Sprzedał go! — powtórzyli oboje wznosząc ręce z przerażeniem.

— Tak, sprzedał go, — powtórzyła Eliza pewnym głosem. — Dzisiaj podsłuchałam pode drzwiami, jak pan mówił pani, że sprzedał mojego Harry i ciebie sprzedał, ojcze Tom, że sam jutro wyjedzie konno na spacer, a handlarz tymczasem pójdzie was zabrać.

Gdy to mówiła Eliza, Tom stał w osłupieniu z podniesionemi rękami, słuchał jakby przez sen; ale gdy skończyła, siły go opuściły, osunął się na krzesło, ręce opadły bezwładnie, a głowa się pochyliła aż do kolan.

— Panie, zlituj się nad nami! — zawoła Chloe, — czyż to być może? cóż on zawinił, że mister go sprzedaje?

— On nic niezawinił, i to wcale nie dla tego! Pan niechciał ich

sprzedawać; a pani nasza jak zwykle dobra wstawiała się za was, prosiła — ja to słyszałam. Ale pan odpowiedział, że niemoże inaczéj postąpić, że winien sam handlarzowi, i że gdy was niesprzeda, to będzie musiał stracić plantacyę i wszystkich ludzi i zostać bez przytułku z całą rodziną. — O ja to słyszałam jak dowodził, że musi sprzedać albo ciebie, ojcze Tom, i mojego syna, albo wszystkich. Tak go oplątał ten człowiek! Pan mówił, że bardzo tego żałuje... a żebyście słyszeli jak dobra pani was żałowała! Już kiedy ona nie święta, jeżeli to nie anioł z nieba, to chyba już widać ich niéma i niebyło na świecie. Ja źle robię, że ich opuszczam i uciekam, ale cóż począć? Ona sama mówiła, że dusza ludzka droższa nad wszystkie skarby na świecie. Mój syn ma także duszę, a gdy go ode mnie odbiorą, to cóż się stanie z jego biedną duszeczką? Zdaje mi się, że ja mam słuszność; a kiedy źle robię, to niech mi Bóg przebaczy: bo już niewiem, doprawdy jak sobie inaczéj doradzić.

— A ty cóż siedzisz, stary?—powiedziała matka Chloe,—cóż to, niemyślisz uciekać? Czekasz może póki cię związanego spławią na południe, gdzie naszych braci głodem i pracą niweczą! O lepsza śmierć niż takie życie!... Jeszcze czas; ruszaj z Elizą. Ty masz kartę, możesz odchodzić i wracać kiedy ci się spodoba: no żwawiéj wybieraj się w drogę! ja ci tymczasem złożę zawiniątko.

Tom powoli podniósł głowę i spójrzał wzrokiem smutnym ale spokojnym.

— Nie, ja niepójdę,— powiedział. — Eliza niech ucieka, ona ma słuszność za sobą; a ja jéj pewno niebędę zdradzać lub przeszkadzać. Ona niemoże i niepowinna zostać, to przeciw natury. Aleś ty słyszała, że trzeba albo mnie sprzedać albo całą osadę i wszystko stracić — niechże lepiéj mnie jednego spotka zła dola. Dla czegożbym niemiał znosić tego, coby inni znosić musieli?— dodał on, a tymczasem pierś jego szeroka wznosiła się tajoném westchnieniem, i boleśnym kurczem. — Pan zwykle mię znajdował na miejscu, zawsze przy pracy na swojém stanowisku, i teraz tak będzie. Zawsze byłem poczciwy, i nigdym nienadużył danéj mi karty, na słowo, bo słowo człowieka święte — Tom i dziś słowa niezłamie. Toć lepiéj niech mnie jednego sprzedają, niżby wszystkich miał los ten spotkać. Pan temu niewinien... Chloe, on będzie miał wzgląd na ciebie — i na tych biednych.....

Mówiąc to zwrócił się do łóżeczka, z którego wyglądały dwie główki kędziarzawe; spójrzał i głos mu przymarzł do krtani, pochylił się do ściany, zakrył twarz rękami, piersi rozrywał jęk

głośny, a łzy przedzierając się przez palce potoczyły się strumieniem.

I były te łzy zupełnie *takie same*, jakiemi, łaskawy czytelniku, skrapiasz trumienkę swego jedynaka; *takie same*, jakiemi się zalewasz, łaskawa czytelniczko, słysząc krzyk umierającego dziecięcia: — a to dla tego, łaskawi panowie, że Tom był człowiekiem, zupełnie *takim samym* jak my wszyscy. A ty, jasna pani, chociaż cię atłas, koruny i drogie zdobią kamienie, przecież jesteś tylko kobietą — i w obec wielkiéj boleści lub nieszczęścia, piersią twą szamocce właściwe wszystkim ludziom cierpienie.

— Męża swego, — powiedziała Eliza, zatrzymując się w progu — widziałam wczora w wieczór; ol wtedy ja niewiedziałam, że nas dotknie takie nieszczęście. Jego tak zdręczyli, że już sił braknie do znoszenia, mówił mi, że chce uciekać.... Postarajcie się, jeżeli to podobna, z nim się zobaczyć i opowiedzieć mu, jak ja uciekłam i dla czego tak postąpiłam — i powiedzcie mu, że będę się starała dostać do Kanady; zapewnijcie go, że ja go kocham — i powiedzcie, że jeżeli Bóg nam niepozwoli się zobaczyć...., Mówiąc to odwróciła się i po chwili dodała głosem przez łkanie tłumionym: — Powiedzcie żeby się starał żyć wedle Boga, by się choć po śmierci spotkać ze sobą — tam ... w niebie.... Przywołajcie Bruno — pocóż ma iść za mną?...

I jeszcze kilka słów na pożegnanie, kilka błogosławieństw na drogę, kilka uściśnień łzami zroszonych, — a później biedna kobieta z dzieckiem na ręku poszła w świat, drżąca i niepewna przyszłości, jaka ją czeka.

ROZDZIAŁ VI.

Odkrycie.

Państwo Szelby po swéj rozmowie nieprędko mogli zasnąć, i na drugi dzień wstali później niż zwykle.

— Niepojmuję co się stało z Elizą? — powiedziała pani Szelby, — dzwoniłam już kilka razy, a ona nieprzychodzi.

Szelby stał przed lustrem ostrząc brzytwę na pasku; wtém drzwi się otworzyły, do pokoju wszedł młody Mulat przynosząc wodę do golenia.

— Andrzeju, — powiedziała pani Szelby, — postukaj do Elizy i powiedz jéj, żem już trzy razy na nię dzwoniła..... Biedna kobieta!... dodała wzdychając.

Andrzéj wrócił po chwili z przestrachem na twarzy: — Ach pani! w Elizy pokoju komody otwarte, rzeczy porozrzucane, ona zdaje się uciekła!

Wyrazy te jak błyskawica odbiły się na twarzach męża i żony.

Szelby zawołał: — Domyśliła się i uciekła!

— Chwała Bogu! — powiedziała mistris Szelby — niech ją biedną Bóg prowadzi.

— Żono! ty bredzisz jak dziecko: ucieczka ta nabawi mię najokropniejszego kłopotu. Helli przecięż wiedział, że niechciałem mu sprzedać tego chłopca; gotów jeszcze sobie pomyśleć, że ja przyłożyłem się do téj ucieczki. Sprawa ta leży na moim honorze.

Mister Szelby wyszedł z pokoju z pośpiechem. W całym domu powstał ruch wielki, bieganina, stukanie drzwiami; rozmaite figury snuły się tu i ówdzie zakłopotane. Jedna matka Chloe mogłaby wiele wyjaśnić pod względem téj kwestyi, ale ona milczała; twarz jéj zwykle promieniejąca radością, dziś była chmurna, nadąsana. Milcząc przygotowywała sucharki do herbaty, niezwracając na to uwagi, co się koło niéj działo, jakby nie widzieć i słyszeć niemogła.

Wkrótce z tuzin chłopaczków czarnych jak kruki zalokowało się na wschodach od ganku; a każdemu z nich się chciało uprzedzić innych zawiadomieniem handlarza, że mu się spekulacya nieudała.

— On pęknie ze złości, zobaczycie! — powiedział Andrzéj.

— Tożto będzie łajał! — dodał mały Dżak.

— Tak, tak, on ciągle łaje, — dodała z kolei Mendi, — ja wczora wszystko słyszałam co mówili podczas obiadu, siedziałam w śpiżarni co obok jadalnéj. Ja wszystko słyszałam.

Mendi, która od urodzenia nigdy nierozumiała co jéj mówiono, pragnęła uchodzić za sprytną dziewczynkę, i z pewną powagą przechadzała się po ganku. Zapomniała tylko dodać, że wczoraj zamiast podsłuchywać w śpiżarni, przespała tam czas cały.

W końcu przyjechał Helli w bótach z ostrogami, i na samym wstępie spotkała go ta nieprzyjemna nowina.

Urwisy niezawiedli się w swojém oczekiwaniu połajanek: jak grad posypały się z ust Helli ku wielkiemu zadowoleniu swawolnéj dziatwy, która jednak trzymała się w przyzwoitéj odległości, by bicz Helli niemógł którego dosięgnąć. Wkrótce jeden przez drugiego kulając i przeskakując rozsypali się i poczęli tarzać się po murawie na dziedzińcu, krzycząc, piszcząc i śmiejąc się.

— O djabłęta! — mruczał pod nosem Helli — poczekajcie, niechno którego złapię!

— Zaraz! my tego tylko i czekamy, — przerwał Andrzéj robiąc z powagą najpocieszniejsze miny, gdy się kupiec tyłem do niego obrócił i niemógł go słyszeć.

— Cuda się dzieją, Szelby!—powiedział Helli, wchodząc znienacka do pokoju;— dziewka ta zdaje mi się uciekła ze swoim dzieciakiem??

— Mister Helli, to jest moja żona! — powiedział Szelby z godnością.

— Przepraszam panię, — odezwał się Helli marszcząc brwi i kłaniając się niedbale; — ale ja wracam do rzeczy: dziwne tu spotykam wieści, czy to prawda, mój panie?

— Jeżeli się pan chcesz ze mną rozmówić, proszę się zachować jak przystoi na dżentelmena. Andrzeju, przyjmij bicz i kapelusz od mistra Helli. Proszę siadać. Tak, mój panie, ze smutkiem muszę panu wyznać, że młoda kobieta musiała nas podsłuchać albo się domyśleć, i uciekła téj nocy z synem.

— Ja się spodziewałem, że w téj sprawie postąpią ze mną honorowie.

— Jakto, mój panie? — powiedział mister Szelby podchodząc prędko do niego, — co pan chcesz przez to rozumieć? Dla ludzi, coby się ważyli wątpić o moim honorze, jednę mam tylko odpowiedź.

Te słowa widocznie zrobiły na handlarzu wrażenie, poskromniał bowiem wielce i dodał cichym głosem:

— W każdym razie zgodzi się pan, że przykro jest spotkać się z takim zawodem, gdy człowiek myślał, że zrobił dobry interes.

— Mój panie, — powiedział mister Szelby, — jeżelibym mógł pana podejrzewać, że powątpiewasz o sumienności naszéj umowy, niepozwolibym panu wejść do pokoju, témbardziéj tak nieprzyzwoicie jak pan to zrobiłeś. Czuję się obowiązany dodać panu, że żadnéj w tym względzie nieprzyjmuję uwagi; honor mój wolen od podejrzenia — proszę to pamiętać, mój panie. Czuję się jednak obowiązanym okazać panu pomoc: ludzie moi i konie są na pańskie zawołanie, staraj się pan znaleźć swą własność.... Jedném słowem, wiesz co, Helli, — dodał, zmieniając ton zimnéj godności, z jaką przedtém rozmawiał, na bardziéj poufały, — najlepiéj wcale się tém niemartwić, ale zjeść z nami śniadanie, a o interesie pomówimy późniéj.

Pani Szelby powstała, wymawiając się, że ma wiele zajęcia i dla tego niemoże asystować przy śniadaniu, i poruczywszy przygotowanie kawy młodéj Mulatce — wyszła z pokoju.

— Imość niebardzo łaskawa na waszego pokornego sługę, — powiedział Helli, starając się zmienić ton rozmowy i przejść na stopę przyjaźnéj poufałości.

— Niezwykłem słyszeć, by się kto o mojéj żonie śmiał tak poufale odzywać, — powiedział sucho Szelby.

— Przepraszam, ale to był prosty żart, pan to rozumiesz?

— Żarty niezawsze są przyjemne.

— Djabelnie zhardział od czasu jak skończył interes! — przemruczał kupiec przez zęby — patrz go, jak spaniał od wczora!

Nigdy obalenie piérwszego ministra przez intrygi dworaków, niezrobiło takiego wrażenia, jak wiadomość o doli ojca Toma we dworze; w chatkach o tém tylko rozprawiano i domyślano się, co to z tego wszystkiego będzie. Ucieczka Elizy, wypadek niesłychany na osadzie mistra Szelby, jeszcze się przyczyniła do powiększenia ogólnego zamięszania i niespokojności. Czarny Samuel (nazywano go czarnym dla tego, że skóra jego była o trzykroć ciemniejszą, jeżeli to możliwe, niż u innych Murzynów) rozważał w myśli tę sprawę ze wszystkich stron; starał się odgadnąć jéj skutki, i obliczał jaki to może wywrzeć wpływ na jego stanowisko osobiste, z taką przenikliwością i pewnością poglądu, iżby mu niejeden głęboki polityk biały z Waszyngtonu mógł tego pozazdrościć.

— Zły wiatr, niewiedzieć zkąd wieje, — mówił Samuel sam do siebie, — zły wiatr, już to tak! — i pociągał spodnie, w których niezbędny guzik zastąpił ćwieczek; ten pomysł mechaniki bardzo cieszył jak się zdawało wynalazcę.

— Tak, zły wiatr kiedy niewiadomo zkąd wieje! — powtórzył. — Tom przekulił się, na jego miejsce naznaczą innego Murzyna. Dla czegożby nie mnie naprzykład? Dla czegożby Sam niemógł być tym Murzynem? Dobra myśl! konno jak Tom, jeździć konno! objeżdżać pola — glansowane bóty — czarne błyszczące... karta wolnego przejścia w kieszeni.... Będę sobie jak wielki pan jeździł. I dla czegożby kto inny nie ja? czyż Tom lepszy ode mnie? Dla czego? chciałbym ja wiedzieć.

— Ej Sam! pan kazał osiodłać Bella i Dżerry, — zawołał Andrzéj przerywając monolog Samuela.

— A to na co, mój mały?

— Czyż niewiesz, że Eliza czmychnęła ze swoim malcem?

— Cóż to tobie się zachciało i starszych uczyć! — odpowiedział Samuel z lekceważeniem, — dawno już ja o tém wiedziałem, bratku.

— No, mniejsza! pan kazał żeby konie były w ten moment gotowe, ja i ty pojedziemy z p. Helli łapać Elizę.

— Jest rzecz i okoliczność! — powiedział Samuel, — widać mnie ufają: a ja Murzyn. Zobaczysz jak ją pochwycimy; ja wam pokażę co umiem.

— Posłuchaj, Sam, tu trzeba postępować ostrożnie; pani niechce żebyśmy złowili Elizę; otóż trzymaj się ostro!

— Czyż tak?—zapytał Samuel wytrzeszczając oczy,—a ty zkąd wiesz o tém?

— Słyszałem to na własne uszy dziś zrana, gdym przynosił panu wodę do golenia; pani posłała mię zawołać Elizę, i kiedy się dowiedziała, że uciekła, powiedziała: „Chwała Bogu!“ pan o mało niezwarjował, i powiedział pani, że sama niewie co mówi; ale ona jego przekona, już ja to wiem jak się to dzieje. Lepiéj nam trzymać z panią; zawierzaj mi, że lepiéj.

Czarny Samuel poskrobał się w głowę, w któréj chociaż może głęboka mądrość niegościła, ale było wiele instynktowego przeczucia, tak niezbędnego politykom wszystkich narodów i wszystkich rządów, przeczucia, które pokazuje czyja strona silniejsza. Samuel się zamyślił skrobiąc się w głowę, zajęcie to pobudzało widać działalność jego mozgowego przyrządu.

— Nigdy nietrzeba się wygadywać, nigdy.... mruczał sobie pod nosem,— na tém świat stoi! i ten wyraz *na tém* powiedział z takiém przyciśnięciem i poszanowaniem dla swéj głębokiéj filozofii, jakby on w istocie wiedział, na czém ten świat stoi i wniosek swój na długich postrzeżeniach opierał.

— A ja myślałem, że pani wszystkich nas wyprawi w pogoń za Elizą, — powiedział z zamyśleniem.

— Rozumie się i ona chciałaby wrócić Elizę, — powiedział chłopczyk;— czyż ty tego zrozumieć niemożesz, głupi Murzynie, że pani niechce żeby mister Helli zabrał z sobą małego Harry?.. ot co jest.

— Héj! héj! — krzyknął Samuel z intonacyą, któréj charakter ci tylko pojąć mogą, co słyszeli ten okrzyk w ustach Murzyna.

— A ja ci jeszcze powiem,— dodał Andi,— żebyś pośpieszał z końmi; pani już pytała się o ciebie, a ty sobie stoisz i wygrzewasz się na słońcu.

Samuel pobiegł z pośpiechem i wkrótce wrócił prowadząc Bella i Dżerry galopem, zeskoczył z siodła i postawił konie głowami do ściany. Wierzchowiec mistra Helli był młody i lękliwy, począł więc rżeć, skakać, wierzgać i słupić się.

— Oto,— powiedział Samuel,—patrzcie jaki dziki!— po czarnéj jego twarzy przebiegł uśmiéch szyderstwa,— poczekaj, ja cię zaraz złagodzę!

Pośrodku dziedzińca roztaczał swoje konary buk rozłożysty; cała darnina popod drzewem była zasłana trojgraniastemi orzechami. Samuel podjął jeden z nich, zbliżył się do konia, za-

czął go głaskać i poprawiając siodło wsunął pod nie orzech. Najmniejszy ciężar, wciskając ostre krawędzie orzecha w skórę drażliwego zwierzęcia, mógł je doprowadzić do szaleństwa, niezostawując żadnych śladów zadraśnięcia.

— Teraz — powiedział on oglądając się dokoła i dziwacznie twarz wykrzywiając,— może się uspokoisz. Właśnie w téj chwili mistris Szelby wyszła na balkon i kiwnęła na Samuela. Samuel podszedł ze stałym zamiarem zastosowania się do myśli pani zupełnie, jak to się zdarza starającym się o posadę w pałacach Waszyngtonu, albo St-Dżems.

— Cóż tak zamarudziłeś, Samuelu? musiałam posyłać dla pośpiechu Andrzeja.

— Ach, dla Boga, dobra pani! czyż to konie tak łatwo połapać? Bóg wie gdzie zabiegły na sam koniec łąki.

— Samuelu, ja tyle ci razy mówiłam, żebyś niewzywał imienia Pana Boga twego nadaremnie; to grzech!

— Ach, jak Boga kocham, już więcéj nigdy tego niebędzie, będę pamiętać.

— Masz tobie, poprawił się.

— Czyż doprawdy? O dla Boga! już ja niewiem jak się to stało.

— Trzeba się wystrzegać, mój Samuelu.

— Niech mi pani pozwoli tylko odchwycić się, jak ja raz przyjdę do ochwatu, to już później będę się wystrzegać.

— To dobrze. Samuelu, ty pojedziesz z p. Helli, będziesz mu służył za przewodnika, będziesz mu pomagał; ale pamiętaj o koniach, mój Samuelu, wszak wiesz, że w przeszłym tygodniu Belli skaleczyła nogę.... *Niepędź ich.*

Ostatnie wyrazy mistris Szelby powiedziała pół głosem i z widoczną intencyą.

— Niech się pani na nas spuści,— powiedział Samuel dopowiadając reszty wyrazem twarzy.— Bóg widzi... Ach! proszę mi darować, ja niechciałem tak powiedzieć!... zawołał on zatrzymując oddech z takim komizmem, iż nawet mistris Szelby rozśmiać się musiała. — Niech pani będzie spokojną, ja będę miał wzgląd na konie.

— No, Andrzeju, — powiedział Samuel wracając na swe stanowisko pod bukiem,—a cobyś ty powiedział, gdyby koniowi mistra Helli przyszła chętka poskakać, jak poczuje jeźdźca na sobie? Ty wiesz, Andrzeju, że na konie czasami jakieś licho napada; — zawyrokował Samuel, i nader znaczącym sposobem szturchnął kolegę w bok kułakiem.

— Héj!— zakrzyczał Andrzéj: widocznie musiał się wszystkiego domyśleć.

— Bo widzisz, Andrzeju, pani chce wygrać na czasie, to widoczna, trzeba tylko umieć postrzegać; ja chcę jéj trochę pomódz. Konie możnaby odwiązać niechby sobie trochę się popasły tam pod lasem. Wiesz co ja sądzę? że ten pan nietak prędko ztąd wyruszy.

Andrzéj skrzywił się.

—Uważaj, uważaj, Andrzeju!—powiedział Samuel—jeżeli z mistrem Helli co się stanie, to my rozumie się, rzucimy swoje konie i udamy się jemu na pomoc.

— Tak, tak, już my jemu pomożem, pysznie pomożem!

Samuel i Andrzéj zarzucili swe kędzierzawe głowy na plecy i zalewali się śmiechem napróżno tłumionym, pląsali w polu, stukali piętami z nadzwyczajném zadowoleniem.

Helli wyszedł na ganek, kilka szklanek smacznéj kawy złagodziły go trochę. Śmiejąc się więc i gawędząc wyszedł z pokoju w najlepszym humorze.

Andi i Sam pochwycili kawałki liści palmowych, które zwykli nazywać swojemi kapeluszami, podskoczyli do koni, żeby być w pogotowiu na rozkazy swego nowego pana.

Liście pokrywające głowę Sama spadały rozprószone na twarz jego i plecy wolne od wszelkiéj pretensyi do wyglądania jak kapelusz; i to dziecię natury w swym dziwacznym stroju na głowie, wyglądało jak jaki wódz dzikiego plemienia. Widocznie był ze swego stroju bardzo zadowolony i zdaje się zapytywał wzrokiem: „któż mi zarzuci, że ja bez kapelusza?“

— Dobrze chłopcy. Teraz żwawiéj do roboty: niéma co tracić czasu.

— Ani chwili mister! — powiedział Samuel podając mu cugle, przytrzymując strzemie, gdy tymczasem Andrzéj odwiązywał inne konie.

Zaledwie Helli dotknął się do siodła, koń jak oparzony skoczył w górę, i zrzucił swego jeźdźca na miękką murawę, która trochę złagodziła upadek.

Samuel gwałtownie rzucił się do cugli, stawiąc przed oczy zestrachanego konia swą pocieszną głowę strojną w liście palmowe, co wcale nieprzyczyniło się do uspokojenia szalonego rumaka, który przewracając Sama dał kilka susów i puścił się jak strzała po łące, a tuż za nim Bell i Dżerry, których Andrzéj niezapomniał puścić zachęconych do biegu wrzaskiem niepomiarkowanym.

Rozruch powstał okropny, Andrzéj i Sam biegali krzycząc, psy szczekały, Maik, Mojżesz, Amander, Fanny i inne drobne exemplarze czarnego plemienia, rozbiegły się we wszystkie strony z przerażającém pieniem, klaszcząc w ręce i powiększając zamięszanie. Koń mistra Helli dziarski i ognisty zdawało się że z chęcią przyczyniał się do spełnienia zamiaru sprawców téj sceny: przed nim na ćwierć mili rozciągała się we wszystkie strony łąka, przytykająca do niewielkiego gaju; koń zatrzymywał się chwilę, pozwalał się do siebie zbliżyć, ale skoro postrzegł rękę sięgającą cugli, kilku susami odsadzał się daleko i znowu się zatrzymywał. Samuel niechciał go złapać piérwiéj niż była potrzeba, i rzeczywiście po-bohatersku umiał sobie radzić; wszędzie gdzie tylko było podobieństwo chociażby najmniejsze złapania rozhukanego rumaka, jak miecz Ryszarda Lwie-serce wśród boju, błyskał jego liść palmowy, a koń daleko zostawiał po za sobą goniących. Przytém zwykle krzyczał na całe gardło: Tu! pilnuj, łów, trzymaj! ale to tak, że krzyki wzmagały tylko zamięszanie. Helli także biegał wraz z innymi, łając, przeklinając i szturchając, gdy który bliżéj się nawinął. Szelby wydawał z ganku rozkazy, które się niewypełniały; a mistris Szelby patrząc z okna swojego pokoju na całą tę scenę, śmiała się w duchu: widocznie się musiała czegoś domyślać.

Nareszcie koło godziny drugiéj powrócił Samuel prowadząc konia mistra Helli pokrytego pianą, z ogniem w oczach, z rozdętemi nozdrzami; widocznie szał i rozhukanie jeszcze nieprzeszło.

— Złapałem! — wołał w tryumfie — Beze mnie aniby sobie rady niedali; próżna robota! ktoby tam go złapał beze mnie?

— Bez ciebie! — mruczał Helli — żeby nie ty, możeby się ta awantura niestała.

— Pan Bóg z panem! — powiedział Samuel ze zmartwionym wyrazem twarzy, — ja się nadrywam żeby panu usłużyć!

— Tak, tak... z twojéj łaski straciłem trzy godziny czasu; ale teraz dosyć tych głupstw, daléj na konie!

— Co panu? — zawołał Sam błagającym głosem, — czy pan chcesz pozabijać i konie i ludzi? My do siebie przyjść niemożem, a konie ledwo nogi włóczą. Możeby się pan zatrzymał na obiad.... pańskiego konia trzebaby wytrzeć słomą, niech pan spójrzy do czego on podobny.... Dżerry kuleje; a oprócz tego czyż to nasza pani tak pana wypuści? Pan Bóg z wami, dobry panisko, my nic na tém niestracim. Liza nigdy niebyła mocną na nogi.

Mistris Szelby którą zajmowała ta rozmowa, zeszła na dół, by wziąć w niéj udział. Podchodząc do Helli, bardzo grzecznie powiedziała, jak boleje nad tém, co się stało, i usilnie go prosiła na obiad, twierdząc, że już dają do stołu.

Helli zważywszy wszystkie okoliczności, zdecydował się zostać, i jakby niechcący poszedł do pokoju, a Samuel oglądając się dokoła, z wyrazem twarzy, którego niebierzemy na się opisywać, z powagą i godnością poprowadził konie do stajni.

— A co? widziałeś Andi? ale czy dobrze widziałeś?— i gdy się oddalił od domu na tyle że słów słyszeć niemożna było,— no powiedz — zawołał — czyżto nierozkosznie było patrzeć, jak on podskakiwał, jak się dąsał, łajał, rzekłbyś na mityngu.... Przecięż słyszałeś! „Łaj sobie! stary błaźnie! myślałem w duchu, łaj, ale raczysz chwilkę poczekać nim ci złapię konia!“

Sam i Andrzéj od śmiechu aż się brali za boki.

— Kiedym mu przyprowadził konia, to był jak opętany; tak zdaje się wziąłby i zabił mnie; szkoda tylko, że niemożna... a ja sobie stoję spokojnie jakby nic...

— Widziałem widziałem.... Sam, ty jesteś bystry.

— Ja i sam to myślę, — odpowiedział Sam, — a widziałeś i ty jak się pani śmiała przy oknie.

— Z pośpiechu to i niepostrzegłem.

— Widzisz! — powiedział, Samuel zaczynając z godnością myć konia Helli, — już to u mnie we zwyczaju *rozważać*. To dobre przyzwyczajenie, Andrzeju. Ja ci radzę więcéj *rozważać*, póki jeszcze lata nieminęły. A podejm-no tylną nogę koniowi, Andrzeju. Bo widzisz, mój chłopcze, z dwóch rozumnych zawsze ten lepszy co umie rozważać. Ot dziś zrana, czyż niezwąchałem zkąd wiatr wieje? czyż niespostrzegłem czego chce pani, chociaż nic o tém niemówiła; a to wszystko znaczy rozważać, mój Andrzeju. Ja sądzę że to właśnie i nazywa się zdolnością — zdolności bywają rozmaite u różnych narodów, rzecz leży tylko jak je wyrobić.

— A mnie się zdaje, że gdybym ja piérwiéj niemiał téj twojéj rozwagi, tybyś może tak prędko niedomyślił się co i jak robić potrzeba.

— Andi, tyś sprytny chłopak, ja dobrze trzymam o tobie, i dla tego wcale się niewstydzę posłuchać twojéj rady. Zdarza się, że najrozumniejsi ludzie wpadają w matnię. No, pójdźmy do dworu; ja ci ręczę, że pani nas każe co się nazywa nakarmić.

ROZDZIAŁ VII.

Przestrach matki.

Niemożna sobie wyobrazić kobiety nieszczęśliwszéj i bardziéj opuszczonéj, jak Eliza w chwili gdy opuszczała chatkę ojca Toma. Cierpienie męża, niebezpieczeństwo wiszące nad głową dziecka, połączone ze smutném zeznaniem oczekujących ją zdarzeń, odurzyły jéj biedną głowę. Miała porzucić miejsce rodzinnne i udać się w kraj daleki, nieznany, opuścić swą dobrodziejkę, którą kochała i szanowała,— tu każdy kącik dobrze jéj był znajomy; ale konieczność zmuszała ją opuścić ten dom gdzie wzrastała, te łąki, po których biegała małém dziecięciem, te gaje, po których w dni promienne swojego życia przechadzała się wraz ze swoim mężem. Każdy przedmiot co się przedstawiał jéj oczom przy niepewném świetle nocy zdawał się patrzeć na nię z wyrzutem: „Opuszczasz swoję rodzinę, a gdzież ci będzie lepiéj?“ Ale głośniéj nad wszystko przemawiała miłość macierzyńska, która w miarę zbliżania się niebezpieczeństwa wzrastała do szaleństwa. Syn jéj był już w takim wieku, że mógł sam chodzić, i żeby nie przestrach, onaby go prowadziła za rękę; ale teraz sama myśl wypuszczenia go ze swych objęć, krew' jéj ścinała lodem. Konwulsyjnie przyciskała dziecię i przyśpieszała kroku.

Zamarzła ziemia chrupała pod jéj nogami, a każdy szelest drżeniem ją przejmował; czy liść zaszeleści, czy jaki cień się przesunie, cała massa krwi przypływała jéj do serca, zabijała oddech, ale zda się strach powiększał siły i przyśpieszał ucieczkę. Dziecię zdawało się jéj lekkiém jak pióro; trwoga jéj służyła za przewodnika, a jedyną obroną była modlitwa. Boże, zlituj się nade mną! Boże, poratuj mnie!

Matki, co będziecie te karty przezierać, wyobraźcie sobie, że wasze jedyne dziecię mają jutro oddać nieokrzesanemu handlarzowi, że warunki sprzedaży już ukończone i podpisane.... wyobraźcie sobie, że ze świtem wszystko się skończy, i że tylko noc może was ratować, a pojmiecie wtedy, co to jest uciekać z drogim skarbem... pojmiecie ile to mil można zrobić w kilka godzin z tym słodkim ciężarem na ręku, gdy tymczasem mała jego główka drzemie na waszém ramieniu, a drobne rączki z całém zaufaniem obwinęły waszę szyję...

Dziecię spało. Strach i nowość położenia niepokoiły go z początku; Oględna matka zatrzymując oddech trwożyła się, by naj-

mniejszy szelest niezbudził pogoni, zapewniała małego Harry, że go poratuje, byle tylko się spokojnie znajdował; dziecię przytuliło się do piersi matczynéj i już ukołysane zapytało:

— Mamo, czy ja mogę zasnąć?

— Śpij, mój aniołku.

— Ale matuniu, ty mię jemu nieoddasz jak ja zasnę?

— Nie! nie! — odpowiedziała matka; twarz jéj jeszcze bardziéj pobladła, oczy dziwnym blaskiem świeciły.

— Ale czy tylko pewno mnie nieoddasz, matulu?

— Pewno!—przemówiła matka głosem, którego się sama przelękła; jéj się zdawało, że ten wyraz wyrwał się z jéj ust mimo jéj woli, za jakiémś wyższém natchnieniem. Chłopak, pochylił swą zmęczoną główkę na ramie matki i wkrótce zasnął. Ona czuła przy swych piersiach dziecię, dziecię jedyne, jego czysty oddech twarz jéj ogrzewał i dodawał jéj ognia i odwagi. Za każdém poruszeniem dziecięcia jakiś dziwny prąd elektryczny przebiégał po całém ciele matki. Niepojęty jest wpływ usposobienia wewnętrznego na organizm człowieka! Siły wzrastają, a słaby dzieciak w bohatera się zmienia. Granica, fermy, gaje i lasy przesuwały się przed jéj oczami jak widma; ona szła wciąż daléj i daléj, tracąc z oczu jeden za drugim wszystkie przedmioty znajome. Niezatrzymywała się ani na chwilę, nieodpoczywała; i piérwsze promienie jutrzenki wschód rumieniące spotkały ją już na wielkiéj drodze... a wszystko, do czego się przyzwyczaiła od dzieciństwa, było daleko — daleko.

Jeżdżąc z panią do sąsiadów, poznała drogę do wybrzeży Ohijo. W myśli jéj postało przeprawić się za rzekę do krainy zupełnie jéj nieznanéj; ale Eliza mocno ufała w Bogu. Gdy się już ruch zaczął na drodze, Eliza zrozumiała, że chód jéj przyśpieszony i niepokój mogą zwrócić uwagę i obudzić podejrzenie przechodniów, postawiła dzieciaka na nogi, a poprawiwszy odzież i włosy postępowała daléj, ale daleko wolniejszym krokiem. W małym woreczku chowała zapas jabłek i pierniczków, których używała do zachęcenia i podniesienia sił zmęczonego chłopca; od czasu do czasu toczyła jabłko po drodze, a Harry zapominając o zmęczeniu gonił za niém, — przy pomocy tego wybiegu jeszcze kilka mil posunęła się naprzód — wkrótce zbliżyli się do strumienia, który w tém miejscu drogę przerzynał przedzierając się wśród zarośli. Chłopak się skarżył na głód i pragnienie. Zwróciła z wielkiéj drogi w zarośle, usiadła na urwistym brzegu strumienia poza kamieniem, i wyjęła z woreczka śniadanie dla swego chłopaka, który się bardzo dziwił i smucił, że

matka nic jeść niechciała. Objąwszy ją jedną ręką za szyję, drugą gwałtem chciał wpakować kawał bułki do ust matki.

— Nie, mój drogi Harry, twoja mama jeść niebędzie pókiś ty w niebezpieczeństwie. Nam trzeba iść ciągle, daléj i daléj, aż do wybrzeży rzeki.— Powiedziawszy to wybiegła z pośpiechem na drogę gdzie już zwolniła kroku, dla tego, by niezwrócić na siebie uwagi przechodzących.

Wszystkie miejsca znajomsze daleko już zostawiła poza sobą; a jeżeliby kto ze znajomych ją spotkał, liczyła na to, że względy jakich doznawała w domu swoich panów, ochronią ją od wszelkich podejrzeń.

Oprócz tego krzepiła ją nadzieja, że przejdzie niepostrzeżona i niepoznana, jeszcze jedna okoliczność, a mianowicie, że tylko po długiém wpatrywaniu się można było dostrzedz na twarzach jéj i syna, ślady ich pochodzenia. Ufna w to zatrzymała się na chwilę w jednéj z ferm niedaleko od drogi położonych, w celu kupienia czego do zjedzenia dla syna i dla siebie. W miarę powiększania się odległości, zmniejszało się niebezpieczeństwo, a po tak gwałtownem wysileniu, nastąpiło ogólne sił rozprzężenie, zmęczenie, a w końcu i głód już zaczął dokuczać.

Gospodyni dobra i gadatliwa kobiecina, bardzo się ciesząc z nadejścia Elizy (dało to jéj bowiem możność uczynić zadość wewnętrznéj potrzebie, wygadania się), zawnioskowała patrząc na biedną kobietę, iż zapewnie się wybrała na jaki tydzień w gościnę do znajomych lub krewnych.

Na godzinę przed zachodem słońca, przyszła Eliza do wioski, nad brzegiem Ohijo położonéj, a chociaż odwaga i siły moralne jéj nieopuściły, wątłe ciało niemogło sprostać duchowi; nogi jéj popuchły, ledwo się biedna wlekła, a na jéj twarzy widocznemi były cierpienie i znużenie.

Był to początek wiosny, rzeka hulaszczo toczyła swe fale piętrząc je z łoskotem. Ogromne odłamy kry lodowéj zaczepiając około wysokiego brzegu Kentekki, który w tém miejscu daleko w głąb' koryta rzeki się zasunął, pokryły całą niemal wód powierzchnię, i zagradzały drogę innym krom z biegiem rzeki napływającym. Nagromadzone tak lodowiny, tworzyły w tém miejscu na piérwszy rzut oka pewien rodzaj grobli olbrzymiéj, dwa przeciwne brzegi Ohijo łączącéj ze sobą.

Eliza zatrzymała się przez chwilę na brzegu i przypatrywała się z przestrachem miejscowości, która niewiele otuchy wlała w serce zbolałe: przepłynąć bowiem na drugą stronę było niepodobieństwem. Przekonana smutną koniecznością poszła do

najbliższéj gospody, by tam rady zasięgnąć, lub też powziąć języka.

Gospodyni zajętą przygotowaniem wieczerzy, z zadziwieniem się odwróciła posłyszawszy łagodny a razem rzewny głos Elizy.

— Czy pani czego potrzebuje? — zapytała ona.

— Chciałabym się dowiedzieć, gdzie tu można dostać łodzi, coby mię na tamtą stronę przewiozła.

— To darmo, teraz nikt niepojedzie.

Zbolała i skłopotana postać Elizy, zrobiła pewne wrażenie, obudzając jednoczasowie jéj ciekawość.

— A czy to pani tak pilno na tamtą stronę? pewno tam kto chory? pani tak jesteś przestraszona?

— Dziecię niebezpiecznie mi zachorowało, dowiedziałam się o tém wczora w nocy, śpieszyłam przez cały dzień i chciałabym dziś jeszcze przeprawić się na tamtą stronę.

— Ach, to bardzo przykro!— powiedziała gospodyni, w któréj piersi odezwało się uczucie macierzyńskie.

— Jak mi Bóg miły, bardzo mi pani żal... Salomon! — zawołała wyglądając przez okno wychodzące na dziedziniec.

We drzwiach pokazała się postać w skórzanym fartuchu.

— Powiedz mi, Sel, niewiesz czasami, czy ten człowiek z beczkami będzie się dziś przeprawiał?

— Mówił, że poprobuje.

— Na dole jest tu kupiec, co chce wieczorem, jeżeli będzie można, przejechać na tamtą stronę ze swoim towarem; to się z nim zabierzecie, a tymczasem usiądź i odpocznij sobie.... A jaki ładny chłopak!— dodała gospodyni, traktując małego ciasteczkiem.

Ale mały Harry osłabiony i znużony płakał ze zmęczenia.

— Biedny chłopiec!— powiedziała Eliza,— on nieprzyzwyczajony do takich wędrówek, a mnie tak było pilno.

— W takim razie zaprowadź go do tego pokoju, niech spocznie, — powiedziała gospodyni, otwierając drzwi od maluthiéj sypialni. Eliza ułożyła dzieciaka i trzymała go za rączki póki niezasnął. Odpocząć saméj nawet jéj do głowy nieprzychodziło: myśl o tém, że ją gonią, jak gorąca lawa mózg jéj paliła.

Z tęsknotą, załzawioném okiem patrzała na szumiące fale rzeki, co ją od swobody oddzielała.

Tu winniśmy pożegnać ją na chwilę i wrócić do jéj prześladowców.

Bez względu na to że mistris Szelby zapowiedziała, że już podają do stołu, i że rozkaz został wydany w obec mistra Helli, matka Chloe zamiast odpowiedzi, mruczała tylko pod nosem, wcale się nieśpiesząc, a nawet zdaje się daleko powolniéj niż

zwykle i z pewną niewłaściwą jéj obojętnością krzątając się około kuchni.

Niewiedzieć jakim sposobem cała służba się domyśliła, że pani wcale o pośpiech niechodzi, i że niebardzo się gniewa za marudzenie: to też przeszkody i przypadki nieszczęśliwe zjawiły się jak grzyby po deszczu. Chłopak rozlał sos, i trzeba go było na nowo z przyzwoitą formalnością zrobić. A gdy poseł za posłem przychodził napędzać, matka Chloe odpowiadała stanowczo, że niemyśli dać niedogotowanych potraw, dla tego tylko, że tam komuś pilno polować na ludzi. Jeden kuchcik biorąc wodę zawadził o cóś nogą, upadł i zalał całą kuchnię, trzeba było sprzątać i zacierać; drugi upuścił masło, inny znowu rozbił garnek odsuwając go od ognia! Od czasu do czasu do kuchni zalatywały wieści, że mister Helli do tego stopnia niekontent, że niemoże usiedzieć na miejscu, że chodzi po pokoju, zaglądając wciąż to za drzwi, to przez okna.

— A dobrze mu tak!— z oburzeniem mówiła matka Chloe.—Będzie jeszcze gorzéj, kiedy się niepoprawi. I nad nim przecię jest pan, tam wysoko w niebie.... Oto zobaczymy, jak on zaśpiewa gdy *Tamten* przyszle po niego.

— On pójdzie do piekła, to pewno! — zauważał mały Dżek.

— I słusznie! — z gniewem powiedziała matka Chloe. — Wieleż to on dusz ludzkich zagubił! Ja to mówię do was wszystkich, słuchajcie!— dodała ona, podnosząc rękę z widelcem do góry. — A zgubione dusze, wołają przed tronem Przedwiecznego o pomstę. Nam czytał o tém mister Dżordż.... A Bóg wysłucha ich! to pewno, że wysłucha!

Matkę Chloe wszyscy poważali, i dla tego wszyscy jéj słuchali z uwagą. Ponieważ już stół był nakryty, całe więc towarzystwo kuchenne miało dosyć czasu pogwarzyć sobie trochę, i skorzystać z uwag matki Chloe.

— Tacy ludzie na tamtym świecie skazani są na ogień wieczny; — wszak prawda? — zapytał Andi.

— Oho! żeby to mieć przyjemność ich tam zobaczyć, — zauważał Dżek.

— Dzieci! — odezwał się głos, który wszystkich przestraszył. Był to ojciec Tom, który przed chwilą wszedł do kuchni i słyszał całą rozmowę.— Dzieci! mnie się zdaje, że wy niewiecie sami co mówicie. *Wieczność*, wielkie słowo. Strach o tém pomyśleć. Mąk wiecznych nietrzeba nikomu życzyć.

— To też my nikomu i nieżyczym, oprócz tym co dusze ludzkie sprzedają;—powiedział Andi, — a cóż ich lepszego czeka, tych djabłów wcielonych?

— Łotry! — zawołała matka Chloe.— Dla nich to najmniejsza, oderwać dziecię od piersi matczynéj i sprzedać... i co to ich obchodzi, że matka płacze, że dziecię chwyta się jéj odzienia? oni je odbiorą i sprzedadzą. Oni i męża z żoną rozłączą! — dowodziła Chloe krzycząc coraz głośniéj, — to dla nich bagatela! Człowiek umiera, a oni jakby to nie, siedząc sobie, popijają wino i palą fajeczki! O na Boga! kiedy już takich djabli niewezmą, to na cóż djabli potrzebni?

Matka Chloe zakryła twarz rękami i rozpłakała się na dobre.

— Modlić się za nich! — zawołała Chloe.— O mój Boże, mój dobry Boże! jakże to za nich się modlić? Nie, ja tego niepotrafię.

— Wedle natury to tak: głos natury silnie w nas przemawia,— powiedział Tom;— ale łaska Boża silniejszą jest od natury. Zważcie tylko w jak opłakanym stanie zostaje dusza tych nieszczęśliwych, co się takich dopuszczają występków. Chloe! dziękuj Bogu, żeś ty niepodobna do takich ludzi. O, niech mię lepiéj sprzedają po tysiąc kroć razy, niżbym miał ich grzechy przyjąć na swoje sumienie!

— Niech nas Bóg od tego zachowa! — powiedział Dżek, — czyż nieprawda Andi?

Andi twierdząco kiwnął głową.

— Ja się bardzo cieszę, — powiedział Tom,— że nasz pan się namyślił i niewyjechał dziś zrana: toby mię gorzéj bolało, niż wiadomość, że mnie sprzedali. Jemu to może nic nieznaczy odjechać i niepożegnać się ze mną; a mnie toby bardzo było smutno,— ja go znałem jeszcze małym dzieciakiem. Dzięki niech będą Bogu, widziałem już swojego pana i bez szemrania zgadzam się ze swoim losem. On musiał tak postąpić, bo inaczéj trudno było doradzić; lękam się tylko, że beze mnie majątek jeszcze się gorzéj zrujnuje. — Gdzież mu tam samemu dojrzeć wszystkiego? a młodzi, choć to i walne chłopcy, ale to roztrzepane, lekkomyślne. To mnie tylko smuci i niepokoi.

Właśnie w téj chwili dał się słyszeć dzwonek. Toma zawołano do pokoju.

— Tom! — powiedział doń pan łagodnym głosem, — muszę ci powiedzieć, żem się zobowiązał zapłacić temu panu tysiąc dolarów sztrafu, skoro ty niestawisz się tam gdzie on cię przeznacza. On się oddala za interesami; dzień dzisiejszy do ciebie należy — możesz sobie iść, gdzie ci się podoba.

— Dziękuje panu, — powiedział Tom.

— Tylko mi tego niezapomnij, — dorzucił handlarz, — że ja twemu dawnemu panu niedaruję ani feniga, skoro cię nieznajdę na

miejscu. Wedle mojego zdania żadnemu z was ufać niemożna. Każdy Murzyn zwinny jak wąż

— Panie!— powiedział Tom prostując się, — miałem wtenczas lat ośm, gdy stara pani mnie przywołała i pozwoliła mi wziąć was na ręce, pan miałeś zaledwie rok jeszcze. Wreszcie powiedziała mi: „to twój młody pan; pilnuj go i służ.“ A teraz pozwól mi pan siebie zapytać, czy ja kiedy skłamałem? czym nieposłuchał kiedy, mianowicie od czasu jakem Chrześcijaninem?

Mister Szelby do łez był poruszony.

— Mój zacny Tom! Bóg widzi, że to święta prawda.... Gdyby smutna konieczność mnie niezmuszała, jabym cię za żadne skarby niesprzedawał.

— Bądź przekonany, Tom, że my cię wykupimy,— dodała mistris Szelby. — To tak pewno, jak to, żem ja Chrześcijanka.... byleśmy tylko zebrali cokolwiek pieniędzy... Panie Helli, nieodmów mi pan, i chciéj zawiadomić komu go sprzedasz.

— Z największą chęcią,—powiedział handlarz, — ja go wam za rok przyprowadzę; kiedy on dla was taki drogi, będziecie go mogli odkupić.

— Załatwimy interes tak, że pan na tém niestracisz, — dorzucił mister Szelby.

— Bardzo dobrze!—odpowiedział handlarz.— A mnie to wszystko jedno. Przedać, kupić, odprzedać.... to moje rzemiosło,— byle tylko przy téj zamianie, pan to rozumie, była jakakolwiek bądź korzyść.... oto jest jedyny cel, do którego człek dąży.

Mister i mistris Szelby rozumieli, że poufały i chełpliwy ton mowy handlarza ujmował ich godności; ale widzieli konieczność przytłumienia na jakiś czas słusznego oburzenia — tego wymagały ich położenie i okoliczności. W miarę jak się wykazywał we właściwém świetle nieludzki bydlęcy charakter tego człowieka, mistris Szelby coraz więcéj drżała o los Elizy, i używała całéj strategii zręczności swojéj, by go dłużéj zatrzymać. Uśmiechała się doń, potakiwała mu, gawędziła, słowem robiła co mogła, byle tylko jakoś czas zabić.

O godzinie drugiéj Sem i Andi przyprowadzili konie, na pozór wypoczęte i silne.

Sem był niesłychanie usłużny i nadskakujący; oczekując mistra Helli, on pompatycznie się chwalił przed Andrzejem, że się przedsięwzięcie musi uwieńczyć skutkiem pomyślnym.

— Wasz pan, jak sądzę, nietrzyma psów? — zapytał Helli siadając na koń zamyślony.

— U nas, panie, całe stado psów,— odpowiedział Sem z wy-

razem zadowolenia na twarzy. — Ot Bruno, doskonale szczeka. U nas każdy Murzyn psa hoduje.

— Przestań bredzić! ja nie o takich psów pytam, ale o tych co to się używają do polowania na ludzi? Ale gdzie tam! co to i pytać? u was pewnie takich psów niéma, — powiedział Helli.

Sem od razu zrozumiał o jakich psach mowa, ale udając głupca tak daléj ciągnął:

— Nasze psy mają węch doskonały. To pewnie tego samego gatunku, jak to pan mówił; ale niemają tylko wprawy, nikt ich do tego nieużywał. Walne psiska! niech się pan tylko przypatrzy. Bruno, pójdź tu! — zawołał Sem, i ogromny pies niufaundlandzki podbiegł i zaczął się doń łasić.

— Ruszaj do djabła ze swoim psiskiem! — burknął Helli, poprawując się na siodle. — No, daléj na koń i w drogę!

Siadając na koń, Sem wybrał chwilkę odpowiedną, szturchnął Andi, Andi głośno się zaśmiał, i mister Helli w oburzeniu zamierzył się nań biczem.

— Niemogę się dosyć nadziwić, napatrzyć na ciebie, Andi, — powiedział Sem z komiczną powagą. — Teraz wcale nie do śmiechu. Teraz niéma co żartować. Wszakże Panu niepotrzebne nasze żarty i śmiechy.

— Pojadę wprost do rzeki, — powiedział Helli stanowczo, gdy się zbliżali do granicy posiadłości Szelby: — pewno w tę stronę musiała uciekać.

— Najświętsza prawda! — powiedział Sem, — zgadłeś pan. Mister Helli trafił w sedno — ho, ho!.. Teraz mamy przed sobą dwie drogi: jedna stara zawalona, druga równa jak po stole — którą pan wybierze?

Andi naiwnie poglądał na Sema, dziwiąc się, zkąd mu przyszedł do głowy taki nowy pomysł jeograficzny; ale bez względu na to, że niepojmował celu, potwierdził energicznie słowa kolegi.

— Wedle mego zdania, — powiedział Sem — Eliza poszła po staréj drodze, po któréj mało kto chodzi.

Mister Helli, chociaż szczwany lis i z natury podejrzliwy, niemógł zaprzeczyć słuszności téj uwagi.

— Szkoda tylko, żeście obaj łgarze bezczelni! — powiedział wstrzymując konia w zamyśleniu.

Zamyślenie mistra Helli widocznie bardzo cieszyło Andi; odwalił się na siodle z wyrazem zadowolenia na twarzy, i zakrywszy twarz liściami palmowemi, które mu służyły za czap-

kę, śmiał się serdecznie. Twarz Sema była chmurna i zachowała wyraz poważny i zamyślony.

— Cóż u licha, mnie co do tego! — zawołał Sem, niech sobie mister postępuje jak można lepiéj, niech sobie jedzie wielką drogą, nam wszystko jedno, i mnie się samemu zdaje, że wielka droga zawsze lepsza.

— Bez wątpienia, musiała wybrać opuszczoną przez wszystkich drogę! — krzyknął w głos Helli, niezwracając uwagi na wnioskowanie Sema.

— Któż to wie? — powiedział Sem. — Kobiety przecię to nie ludzie: one zawsze muszą cóś nietak jak wszyscy zrobić. Już to leży w ich naturze: — choć źle, byle na przekor. Skoro się panu zdaje, że musiała wybrać tę drogę, jedź pan po drugiéj, a pewno ją spotkasz.... Mnie się zdaje, że ona powinna była pójść starą drogą, i dla tego trzeba pędzić się za nią nowym gościńcem.

Głęboki ten pogląd na naturę kobiecą widocznie nienazbyt usposobił mistra Helli do wybrania prostéj drogi, i dla tego powiedział stanowczo, że pojedzie starą drogą, i zapytał czy daleko jeszcze do téj drogi?

— Niedaleko, — powiedział Sem, mrugając jedném okiem znacząco na Andi; — ale ja radzę jechać tędy, już to ja wiem z doświadczenia. A wreszcie ja nigdy niejeździłem tą drogą, która już może lasem porosła, i jeszcze, (czego niedopuść Boże) zabłądzić można i niewiedzieć gdzie zajechać.

— No mniejsza z tém, w każdym razie pojedziemy starą drogą.

— Ja słyszałem, że ją zagrodzili, w kilku miejscach są płoty i parkany ferm przyległych; nieprawdaż Andi?

Andi niebył przekonany, on znał tę drogę tylko z opowiadania, a sam nigdy tam niebył, niechciał się przeto kompromitować.

Helli, przyzwyczajony do odszukiwania wątku prawdy w najfałszywszych opowiadaniach, przychylał się na stronę staréj drogi. Jemu się zdawało, że Sem wspomniał o niéj z początku niechcący, a późniéj niezgrabnie starał się go odprowadzić od zamiaru powziętego. Zawsze bowiem podejrzewał, iż nienazbyt ma szczerych popleczników swéj sprawy w dodanych sobie towarzyszach: zwrócił więc konia na starą drogę, — Sem i Andi jechali w ślad za nim.

Rzeczywiście droga była od wielu lat opuszczona, to jest od czasu, jak wyprowadzono nowy gościniec do rzeki.... Po godzinie drogi, nasi podróżni musieli się koniecznie spotkać z za-

atyanki inne mają czarny habit podpasany i takąż zasłonę na głowie.

Świętych tego zakonu, 39 lub 40 figur, sztychował J. A. Pfeffel. (C. C. M. invenit. J. A. Pfeffel sc.).

Autencourt (d'). Portret jenerała sztychowany fol. z podpisem: *Le general baron d'Autencourt major des Chevaux-Legers Polonais de la garde imperiale, surnommé le Papa du Regiment*, (w owalu, z herbem u spodu).

Axamitowski. Jenerał Axamitowski, wizerunek maleńki aqua tinta, r. 1818, bezimienny.

B. in Hall. Tak podpisany, znajduje się w zbiorze Bałowskiego (1715 N.) portret Stanisława Leszczyńskiego, z Niemieckim podpisem: *Stanislaus König in Pohlen Herzog zu Lothringen und Bar. in 8-vo* na miedzi.

Jest inny roboty J. F. *Bause*, zob. to imie.

C. B. sc. Sztycharz który podpisał rycinę Kopernika portretu, w ćwiartce: *A. C. pinx. C. B. sculpsit*, nieznany nam.

v. B. sc. Wizerunek z podpisem: *G. Wenzky S. Theolog. Dr. Gymnasii Praemisl. Rector etc.*, w ósemce na miedzi— *v. B. sc.*

H. B. I–B. Podpisy te znajdują się na drzeworytach XVI wieku, w kronikach Miechowity 1521, Gwagnina Krakowskiego 1578 i 1611.

Bentkowski znalazł i wskazał ten monogram przy drzeworycie Wandy u Gwagnina 1578. W Biblii Scharffenbergerowskiéj 1561, jest św. Piotr (sign TT.) z podpisem HB, i św. Jan Ewangelista. Na innym drzeworycie u Bielskiego, przy podpisie jest i rok. (Zobacz *Drzeworyty*).

Zdaje się, że cyfra ta oznacza dwóch odmiennych artystów, z których jeden robił w Polsce, drugiego zaś roboty z dzieł i drukarń obcych u nas użyte zostały. Nazwiska artystów tych nieznane. *Brulliot, Dictionnaire des monogrammes* przywodzi dwa podobne znaki, i jeden z nich przyznaje sławnemu Janowi (Hans) Burgkmair, który niezdaje się, żeby dla Polski co robił, drugi zaś nieznajomemu xylografowi.

Zobacz *Odbicia* drzeworytów Krakowskich.

I. B. Drzeworytnik w Krakowie, zobacz *G. Brückner*.

M. B.**** *Carte du Royaume de Pologne et ses frontières, par M. B.**** Ingenieur de la Marine et du Depot des Cartes et plans, 1770.*

T. B. *Widok Wilna* wzięty z góry Boufałowskiéj, w litografii Banku (Warszawa) rysował z natury *T. B.* (ark. poprzeczny).

Zobacz *T. Byczkowski.*

Baan (de) *Jan*. Niejakiego *de Baan*, czy *Debana*, obrazy dwa historyczne znajdujące się na zamku w Podhorcach, wzmiankuje Stanisław Przyłęcki, w opisie Podhoreckiego zamku. (*Dniestrzanka, Lwów 1841*). Wystawują one *Oddanie Smoleńska Władysławowi IV* i *Szwedów pod Wolą o pokój proszących.*

Z tego powodu Rastawiecki w Słówniku swoim napomyka o znanym malarzu Janie de Baan, portreciście urodzonym w Harlem 1633, zmarłym w Hadze 1702 roku. (Nagler, T. I, 214); ale śladu niéma pobytu jego w Polsce, ani de Baan historycznym był malarzem. Przyjdzie więc innego szukać artysty, któremuby te obrazy przyznane być mogły: gdyż i czas w jakim żył de Baan, przedmiotowi obrazów nie dobrze odpowiada. Wzmiankę te o nim czynim tylko dla tego, by przeciw przypuszczeniu autora Słównika się rozpisać.

O obrazach tych w Podhorcach, pisze nam S. Morawski: „Co do układu i wykonania, należą do najlepszych z historyi Polskiéj, jakie nam przeszłość zostawiła; przedstawiając zaś wojsko, owych skrzydlatych hussarzy z ośmiołokciowemi włóczniami, z natury zdjętych, należą do fenixów archeologicznych "

Babel. W katalogu zbioru Batowskiego N. 1739, znajdujemy sztych: *Marie Princesse de Pologne, Reine de France et de Navarre*, (ćwiartka na miedzi). *Babel sc. Paris.* Jeśli to niejest omyłką spisu, sztych to być może nieznanego artysty z familii architektów *Babel*, o których wspomina *Nagler*, T. I, 214. Jednakże żadnego z nich portretów nieznamy.

P. E Babel, sztycharz pracujący w Paryżu w XVIII w. około 1770, który podpisywał się *B. inv. et fec.*, robił, wedle katalogu Paignon-Dijonval (N. 1507) z rysunku Justa-Aurel. Meissonier, sztych trzy stopy szeroki, dziś wielce rzadki, podpisany: *Salon de la Princesse Czartorinska en Pologne.*

Baccelli Maciéj. Włoch, urodzony w Lucce 1769 r.; w ośmnastym roku życia udał się na naukę do Rzymu, gdzie przez lat szesnaście zostawał; mianowany członkiem Akademii św. Łukasza. W r. 1807 sprowadzony był przez Tad. Czackiego na nauczyciela do dzieci; przez lat dziesięć w Krzemieńcu zajmował się prywatnemi lekcyami rysunku i malarstwa. Ciampi (Notizie 87) wspomina o nim już jako o professorze szkoły Kamieniec-Podolskiéj, gdzie jak widać ze Statystyki x. Marczyńskiego, nauczał w latach 1817—1820.

Malował portrety i obrazy religijne, których wiele na Wołyniu i Podolu się znajduje, na starość zamieszkał u hr. Przeździeckich w Czarnym-Ostrowie. Kompozycyom jego, pisze Rastawiecki, nie brak dokładności rysunku i akademickiéj nauki, ale mało oryginalności i życia w kolorycie.

Z robót jego są dwa oryginalne obrazy w kościele w Czarnym-Ostrowie: *Wskrzeszenie Piotrowina* i *Chrzest Cesarza Konstantyna*; portrety familijne Przeździeckich tamże.

Portret *Tadeusza Czackiego* przez niego robiony sztychował w Wilnie professor *Saunders*.

Rysunek oryginalny z obrazu Czarnoostrowskiéj Kommunii św. Hieronima, jest w zbiorze piszącego.

Umarł w ostatnich latach.

Bacciarelli *Marcelli.* Marcelli Bacciarelli urodził się w Rzymie d. 16 lutego 1731, z ojca kuchmistrza przy jakimś dworze. Okazując zdolności zamłodu do rysunku i malarstwa, wcześnie oddany został na naukę kawalerowi Benefiale. Marek Benefiale piérwszy i ostatni podobno nauczyciel jego, niebył bez talentu, cenił on naturę jako przewodniczkę sztuki, lecz w czasach gdy młody Bacciarelli oddany mu został, imie sobie dopiéro robić poczynał. Tu, przy nim do 20 czy 22 roku życia pozostał Bacciarelli na nauce malarstwa, i takie w niéj uczynił postępy, że gdy w roku 1753 (inni piszą w 1750) król August III zapotrzebował kogoś coby rysunki z obrazów Galeryi Drezdeńskiéj do sztychu przygotował, wezwano go w tym celu do Drezna. Tu potrafił sobie rychło zaskarbić łaski króla i zjednać imie artysty, a talent i charakter zarówno się do tego przykładać musiały.

Zawód swój rozpoczął od portretów i rysunków do sztychu z Galeryi Drezdeńskiéj. Wkrótce ożenił się tu ze sławną naówczas minijaturystką i malarką portretów Joanną-Julijanną-Fryderyką Richter (urodzoną w Dreźnie 1733 r.), która w r. 1759 otrzymała patent nadwornéj malarki j. k. mości i zdejmowała także rysunki obrazów Galeryi Drezdeńskiéj do zamierzonego jéj wydania.

Zdaje się, że z żoną razem (około r. 1756) z dworem króla Augusta III, udał się Bacciarelli do Warszawy, gdzie poznał wielu panów Polskich, a między innymi Stanisława Poniatowskiego, naówczas stolnika Litewskiego, którego przyjaźń tak świetny los mu obiecywała w przyszłości.

W r. 1761 Marya-Teressa wyjednała u Augusta III pozwolenie przybycia Bacciarellemu do Wiednia; wzywała go tu szczególnie dla robienia portretów familii cesarskiéj, gdyż dotąd wsławił się najwięcéj w tym rodzaju. Tu malował on portrety całéj rodziny cesarskiéj i jak piszą bijografowie jego, inne także obrazy (Apollo z Muzami); syn jednak w pośmiertnéj o ojcu wiadomości upewnia, że do historycznych kompozycyj wziął się dopiéro za zachętą i naleganiem króla Stanisława-Augusta. Niemniéj tu już sił swoich sprobował w większym rozmiarze. „Piérwszy wielki obraz (pisze syn jego), który wyszedł z pod jego ręki z figurami naturalnéj wielkości, był ten który malował w Wiedniu z polecenia cesarzowéj Maryi-Teressy, wystawujący cztery arcyxiężniczki Austryackie w postaci Apollina i trzech muz na górze Parnassu.“ Właściwie były to tylko historyowane portrety.

Po śmierci Augusta III, która go w Wiedniu jeszcze zachwycić miała, xiążę Kaunitz namawiał Bacciarellego, aby tu pozostał, dość korzystne podając mu warunki; lecz malarz pamiętny wiele obiecującéj przyjaźni Stanisława Poniatowskiego, wezwaniu jego najochotniéj odpowiedział, powracając do Polski w r. 1765.

Niezawiodły go oczekiwania: talent a więcéj jeszcze charakter królowi miły, uniżoność, gotowość do wszelkich posług, takich nawet któ-

re czyniąc człowieka służalcem nieszlachetnych namiętności, poniżają w oczach wszystkich,— wyniosły szybko Bacciarellego i uczyniły więcéj niż nadwornym malarzem króla, bo przyjacielem jego i zaufanym ulubieńcem. Łaski też posypały się obficie. W r. 1767 (Sejm 1767—68) w październiku nadano mu indygenat, a z nim szlachectwo Polskie (Vol. Legum T. VII, 801); nieco późniéj mianowany został dyrektorem budowli i fabryk królestwa.

Malarnia Bacciarellego otwartą została dla uczniów, których wprawdzie usposobił niewielu, ale syn uniewinniając go, winę przypisuje tym co z nauk jego korzystać nieumieli. W 1787 roku pozwolił mu król zwiedzić ziemię rodzinną; a podróż malarza była dla niego żniwem honorów i pielgrzymką zwycięzką, wśród któréj zbierał plony swojéj sławy. W przejeździe swoim przez Wiedeń mile naprzód przyjęty przez cesarza Józefa II i Leopolda xięcia Toskanii (brata jego). Obrany potém członkiem akademii sztuk pięknych w Wiedniu, Dreźnie, Berlinie, św. Łukasza w Rzymie, w Wenecyi, Bolonii, przez papieża Piusa VII uczyniony kawalerem złotéj ostrogi, a tém samem hrabią pałacu Rzymskiego, zaszczycał się jeszcze uprzejmém bardzo przyjęciem króla Sardyńskiego i Neapolitańskiego i królowéj Neapolitańskiéj, którą znał dawniéj w Wiedniu przy matce Maryi-Teressie (była to jedna z muz owego Parnassu). Podróż ta Bacciarellego korzystną także była dla zbiorów Stanisława-Augusta, któremu zakupił odlewy gipsowe, obrazy i inne przedmioty sztuki. Zwiedził w niéj Toskaniję, Neapol, Rzym, Turyn i południową Francyę.

Po powrócie do kraju wziął się znowu do pracy,— i z jego malarni, jeśli nie całkiem z pod jego ręki, wyszła niezmierna ilość obrazów. Sam Stanisław-August co roku się malować mu kazał, a portretów tych mnóstwo po kraju się rozchodziło. W czasie najnieszczęśliwszym dla Polski, Bacciarelli przywykłszy do niéj, pozostał niemięszając się do niczego w Warszawie, pracując ciągle, gdyż mu wzrok i siły do ostatku służyły szczęśliwie.

W r. 1807 d. 11 grudnia, obrany członkiem towarzystwa Przyjaciół nauk, odmalował jeszcze portret Fryderyka-Augusta xięcia Saskiego i w. x. Warszawskiego, któremu towarzystwo w darze go złożyło.

W r. 1817—1818 był piérwszym dziekanem i professorem wydziału sztuk pięknych przy uniwersytecie Warszawskim. W tymże roku 1818 d. 5 stycznia, pracując do śmierci saméj, życie zakończył w Warszawie.

Pochowany wraz z żoną w kościele katedralnym Warszawskim św. Jana, z nagrobkiem postawionym podług rysunku architekta Szpilkowskiego, w którym dwa portrety jego i żony są pęzla Gładysza. Napis na nim następujący:

A + Ω

Memoriae Sempiternae.
Marcelli. Bacciarelli. Domo. Roma.
Nobilis. Poloni. Pictoris. Eximii.

Et.
Fridericae. Richter. Uxori. Ejus. Et.
In. Arte. Pingendi. Discipulae.
Fuit. Ille.
In. Pictorum. Collegia. Roman. Venet. Boloniense.
Berlin. In. Sodalitium. Literat. Varsaviensium.
Cooptutus.
Protopictor. Et. A. Cura. Aedium. Regis. Poloniae.
Picturam. Apud. Polonos.
Vel. ab. alijs. apertum. et. demenstratum.
Ipse. crudiit. atque. provexit.
Vixit. Annos LXXXVI (86) mens VI. dies XI
Ne. Quos. inuxit. Sine. querela. conjugium.
Dissociaret. Memoria. Posteritatis.
Parentibus. bene. merentibus. filij.
Avo et Aviae. desideratiss. Nepotes.
Commune. momumentum.
Cum. lacrymis.
Posuerunt.

Pozostawił jak widzimy Bacciarelli, synów i wnuki; jedna córka jego była za Wilczewskim. Syn stając w obronie ojca, któremu zarzucano, że zbyt wiele w miarę zasług łask odbierał, że nieusposobił ludzi zdatnych na artystów dla kraju, że owszem sławy Polakom jako Czechowiczowi, Smuglewiczowi i innym zazdroszcząc, drogę im do króla zagradzał i t. p.,— umieścił w r. 1819 w Rozmaitościach Warszawskich obszerny artykuł o ojcu, starając się go uniewinnić z zarzutów, co jednak trudno przychodzi. Artykuł ten jest zajmującym materyałem do bijografii malarza.

Jako człowiek prywatny, być może, iż Bacciarelli zasłużył na pochwały, któremi go obsypał x. Szaniawski, w mowie na posiedzeniu towarzystwa Przyjaciół nauk: „Dobry mąż, pisze on, czuły ojciec, przyjaciel stały, grzeczny, przystępny, uprzejmy dla każdego, unikający pochlebstwa względem wyższych (?), niepogardzający niższymi, powszechny zyskał szacunek u wszystkich, którzy go znali. Skromny w każdéj okoliczności życia, często sam wykazywał wady i uchybienia w obrazach przez siebie malowanych. Unikał okazałości światowych, niezajęty sobą, względny dla drugich, pamiętał i o ubogich, wspierał hojnie a skrycie ich potrzeby. Dochował do saméj śmierci czerstwość, żywość, uczciwość, przystojność, i miłym był w każdém towarzystwie osób, choć z różnego wieku i stanu złożoném, miłym ciągle nawet w znacznie posuniętéj starości.“

Wszystko to być może, powiemy słowy Krasickiego; ale to tylko jedna dopiéro strona medalu. Z drugiéj widać, że aż do zbytku akomodującym się był dla wyższych, że talentom obok powstającym (jak świadczą notaty J. Peszki) zazdrościł, że Czechowiczowi całkiem, Smuglewiczowi w części do zaskarbienia łaski królewskiéj przeszkodził, sam chcąc zawsze być koniecznym i jedynym przy królu.

Mamy to za bajeczkę, przecięż chodziła pogłoska, że roboty Smuglewicza nadsyłane z Rzymu, Bacciarelli pod pozorem popsucia w drodze, umyślnie kaleczył, aby się mniéj królowi podobały.

Nadzwyczaj czynny, sam i pod swém przewodnictwem niezmierną ilość prac wykonał. Spis tych które dla króla samego malował, już jest ogromny, a ileż po domach prywatnych się rozpierzchło? Umiał pogodzić obowiązki królewskiego malarza, dworaka, pośrednika, faworyta, dyrektora budowli, fabryk, nadzórcy ogrodów królewskich, z zarządem ekonomii Kozienickiéj, korespondencyą z artystami, zajęciem nabywcy dzieł sztuki za granicą, z tysiącem innych zatrudnień. Zawiadował także kopalniami marmurów Krakowskich, do których będąc we Włoszech, wezwał zdatnych rzemieślników.

Jako o artyście spotykamy o nim sądy wielce sprzeczne: jedni go zbyt wynoszą, drudzy nadto poniżają. Najsłuszniéj zacząćby można od słów Szaniawskiego, który powiada, że malarz sądzony być powinien w obec czasu w którym malował i osób dla których pracował. Bacciarelli nie był też wcale jednym z tych silnych genijuszów, co więzy czasu i względy osobiste krusząc, szli drogą jaką im własne wytykało natchnienie. Owszem, aż nazbyt posłuszny upodobaniom wieku — stylem, sposobem pojęcia przedmiotów, wykonaniem szkole Francuzkiéj współczesnéj hołdował, i odbił w sobie charakter epoki najdoskonaléj. „Uznaną jest, dodaje x. Szaniawski, powiększéj części, zręczność Bacciarellego we władaniu pędzlem, w układaniu czyli gruppowaniu figur, w okazałości ubiorów czyli draperyach, w wydawaniu świetności, świeżości i harmonii kolorytu.

Baron Rastawiecki powtarza sąd Szaniawskiego prawie co do słowa, i wnosi w ostatku, że potomność umieścić powinna Bacciarellego w rzędzie znakomitych malarzy.

Niezaręczamy jednak za potomność, żeby posłuchać miała rady autora. Bacciarelli jest rysownikiem zręcznym tylko, kolorystą słabym, kompozytorem bez wzniosłości i ognia, a malarzem w ogólności więcéj odznaczającym się wdziękiem niż prawdziwą pięknością i siłą. Wszystko u niego zamglone, zasłabłe, wydelikacone się przedstawia; barwy harmonijne, ale harmonija ta otrzymana kosztem potęgi, kompozycya więcéj wyuczona niż natchniona. Jest to słowem jedném, artysta z rzędu tych, u których ogromna łatwość pracy, wprawa i wdzięk płacą za wszystko. Bacciarelli niezostawił nic zupełnie złego, nic nadzwyczaj uderzającego— wszystko co utworzył piętnuje łatwość wdzięczna i staranie szczególne o wdzięk, gracyę, o smak raczéj niż o surowe, wielkie i prawdziwe piękno. Że wiele bardzo wad jego wiekowi i ludziom, dla których pracował, przypisać potrzeba— to niezawodna;— ale potężniejszy artysta niebyłby się dał zamknąć w szrankach tak ciasnych, i starałby się podnieść raczéj to, co go otaczało, do wysokości na jakiéj sam zostawał.

Wiele zarzutów słusznych umieszczono w Rysie malarstwa drukowanym w jedném z pism peryodycznych Warszawskich, zaraz po śmierci Bacciarellego. Syn wówczas stanął w obronie pamięci ojca usiłując naprzód dowieść: że Bacciarelli niebył, jak mu zarzucano, obojętnym dla

kraju, który go przyjął tak gościnnie a tak wspaniale za prace podjętą nagrodził; że uczniów kształcił jak mógł, niebędąc winien, że usposobić ich niezdołał; że pracą jego i staraniem zebrany był gabinet odlewów gipsowych i t. p. i t. p.

Co się tyczy uczniów, wymawia syn ojca po części zatrudnieniami rozlicznemi, po części dowodzi, że wpływ jego na młodzież większy był w istocie niż usiłowali dowieść nieprzyjaźni mu pisarze: „Marcelli Bacciarelli, pisze syn, był zawsze aż nadto zatrudnionym przez króla, by mógł się oddać całkiem jedynie ukształceniu uczniów w sztuce rysunku i malarstwa; bo chociaż ciągle zajęty malowaniem obrazów historycznych, któremi są zapełnione pokoje zamku Warszawskiego i rezydencyi letniéj królewskiéj w Łazienkach, nielicząc w to przeszło 250 portretów oryginalnych także malowanych dla króla, ani wielu innych większych obrazów, które robił dla innych osób,— mianował go król jeneralnym dyrektorem swoich budowli, dołączając do obowiązków téj pracowitéj funkcyi dozór nad wszystkiemi ogrodami, prywatnemi possesyami jego i nawet ekonomiją Kozienicką. Niebyło przytém festyny lub obchodu publicznego, niebyło widowiska, illuminacyi, fejerwerku, balu, zabawy, lub koncertu u dworu, którychby urządzeniem niemusiał się trudnić mój ojciec. Polecał mu niemniéj król bezpośrednią korespondencyę z najsławniejszymi artystami zagranicznymi, od których odbierał doniesienia o wychodzących nowych dziełach co do kunsztów pięknych i przedaży obrazów, posągów, rycin, rysunków i t. p. W skutek których to doniesień przedstawiał królowi, coby nabyć wypadało dla uzupełnienia lub powiększenia exystujących już zbiorów królewskich. Prowadził także korrespondencyę z przełożonymi różnych manufaktur zagranicznych, zkąd sprowadzał król meble, żwierciadła, bronzy lub materye jedwabne dla ozdoby swych pałaców,— miał oprócz tego zwierzchni nadzór nad kopalniami kamieni i marmurów Krakowskich, do urządzenia których i wydobycia materyałów będąc w r. 1786 we Włoszech ugodził i sprowadził do Polski z Carrary zdatnych rzemieślników i kamieniarzy, którym najwięcéj jesteśmy winni, iż teraz kraj nasz może się obejść bez marmurów kolorowych zagranicznych. Pomimo tych zatrudnień, dodaje syn, były godziny uczniom poświęcone; a jeśli nieukształcił uczniów, winę im nie nauczycielowi przypisujemy.“

Do tych uczniów jego liczy syn: Petranowicza, Ścisłę, Tokarskiego, Kucharskiego, Wahl'a, Padarowskiego i innych którym jak Smuglewiczowi i Wojniakowskiemu rad swych miał udzielać. Oprócz tego podaje jako uczniów jego w rysunku: Marszałkiewicza, Paszkiewicza, Janiszewskiego, Misiewicza, John'a (?), Sienickiego, Pańczyńskiego i Stachowicza (?).

Dodaje także, iż sam króla zachęcał do wyprawiania zdatniejszéj młodzieży za granicę, i że jego opiece winni byli wysłanie do Włoch Wahl, Ferd. Pinck, Kucharski i t. d. On miał też wyjednać pensye Kubickiemu, Greysmejerowi architektom, Smuglewiczowi, Lormenowi; on miał skłonić króla do sprowadzenia z zagranicy, do Polski dzieł sztuki za wzory służyć mogących;—słowem syn przypisuje to ojcu swemu, cośmy zwykli Stanisławowi-Augustowi przyznawać.

Dodaje wszakże, iż do obrazów historycznych wziął się dopiéro artysta za usilném naleganiem króla i od niego był pobudzony do przejścia z portretów na pole wyższéj kompozycyi. Nareszcie myśl założenia akademii sztuk pięknych w Warszawie, do któréj projekt na sejm 1791 był przygotowany, należeć ma także Bacciarellemu. Późniéj podał jeszcze o tém notę za rządu Pruskiego i starał się o doprowadzenia do skutku projektu tego za xięztwa Warszawskiego; ale doczekał aż za cesarza Alexandra spełnienia swéj myśli, która ustanowieniem wydziału sztuk pięknych przy akademii urzeczywistnioną z ostała. Naznaczony dziekanem, sam Bacciarelli mianował professorów.

Zarzuty wielkiego w miarę zasług obdarowania odpiera obrońca, przywodząc wyrazy listu króla piszącego z podziękowaniem do Bacciarellego za oszczędzenie wydatków przy nabyciu różnych dzieł sztuki i wznoszeniu budowli. List ten kończą słowa: „że nazwał by się prawdziwie szczęśliwym, gdyby był miał wielu tak wiernych i życzliwych sług.“ Samo też wyliczenie robót dla króla, które pięć wielkich stropów, dziesięć obrazów historycznych z osobami naturalnéj wielkości i więcéj dwóchset pięciudziesiąt obrazów mniejszych i portretów wynoszą, cenionych pisze syn na 20,000 czerwonych złotych, zbija zarzut zbytniego uposażenia Bacciarellego. Nareszcie dodaje syn, że w miarę zasług niebył wcale wynagrodzony zbytecznie, gdyż oderwano go od usług dworu cesarskiego i Saskiego, gdzie mógł świetniejszych spodziewać się losów, o czém my bardzo wątpimy. Syn dopełnił obowiązku broniąc pamięci ojca; lecz zarzuty choć nieco osłabione, pozostały niezbite.

Trudno dziś wyliczyć prace wszystkie Bacciarellego, a opisywać je byłoby zbytecznem. Zamek Warszawski, Łazienki, Pomarańczarnia, Teatr, niezliczonemi obrazami przez niego ozdobione były, a niemało ich i po kraju, w domach prywatnych i po kościołach się rozsypało.

Do celniejszych należą roboty jego w zamku Warszawskim, a szczególniéj portrety: bo Bacciarelli do końca głównie był portrecistą. To było powołanie jego, w tém talent prawdziwy okazał. Tu mu idealności, szlachetności, smaku i wdzięku odmówić niepodobna. Lecz królowie Polscy i bohaterowie w zamku Warszawskim, były to po większéj części, co zowią *têtes de fantaisie* raczéj niż portrety. Porównanie ich ze znanemi pomnikami dowodzi, że o autentyczność niewiele się troskano. Byli tu: Bolesław Chrobry, Wacław król Czeski i Polski, Władysław Łokietek, Kazimierz Wielki ulubieniec, XVIII w., Ludwik Węgierski, Jadwiga, Władysław Jagiełło, Warneńczyk, Kazimierz, Jan Olbracht, Alexander, Zygmunt I, Zygmunt-August i wszyscy po nim następujący aż do Stanisława Poniatowskiego w świetnym stroju Hiszpańskim, w jakim chciał być malowanym na pamiątkę koronacyjnego ubioru.

Malowania *al-fresco* w sali tronowéj i pokoju sypialnym króla, nie są wcale chwalone nawet przez największych Bacciarellego wielbicieli. W rycerskiéj sali zamku pomieszczone były obrazy historyczne i portrety sławnych ludzi, które poniżéj wyliczamy. W wielkiéj sali koncertowéj za przedniejsze dzieło uważany był strop wyobrażający

Jowisza świat z chaosu wyprowadzającego (wysok. 288, dług. 720 calów). W Łazienkach w sali gościnnéj sąd Salomona, poświęcenie świątyni Salomona, Salomon czyniący ofiary fałszywym bogom, królowa Saba, Salomon i Hiram, Sprawiedliwość, Mądrość, Łaskawość i Siła.

Któż niewidzi jak wybór téj historyi Salomona, znakiem był pochlebstwa dla króla. Królowę Sabę można było malować dwojako, ale najprędzéj dając jéj rysy pięknéj xiężnéj Kurlandzkiéj. Główne figury w tych obrazach, były portretami osób żyjących.

Posłuchanie młynarza, jeden z najciekawszych jeśli nie najlepszych obrazów Bacciarellego, wystawia króla leżącego na łożu, młynarz klęcząc całuje rękę królewską, żona jego nachylona przed królem wyraża mu swą wdzięczność, stoi ona w głowach łoża. Daléj Ryx piérwszy kamerdyner i Reyman piérwszy lekarz, za tymi dwaj chirurgowie króla Lagenie i Ritsch, hr. Moszyński stolnik koronny i prałat Ghigiotti, szambelanowie służbowi Zabiełło i Walewski, naprost Beckler zwyczajny lekarz królewski, generał Coccej dowódzca gwardyi koronnéj i Sussen szatny królewski. Artysta przedstawił scenę nazajutrz po zamachu na życie króla d. 4 listopada 1771. W obrazie tym są jeszcze portrety i figury: szambelana Karasin, marszałka dworu i wice-marszałka Alexandrowicza, kapitan Przyłuski koniuszy królewski. Jako *pendant* do tego służyć miał drugi obraz, którego szkic tylko był zrobiony, wystawujący śmierć króla w Petersburgu dnia 8 lutego 1798 r. Król także na łożu ale konający, przy nim cesarz Paweł z synami w. x. Alexandrem i Konstantym, xiążę Repnin stojący w nogach łoża, za nimi szambelanowie Trembecki i Wolski, pokojowiec Jabłoński i podkoniuszy Kawecki. Po lewéj stronie łoża, lekarz Bekler trzymający króla za puls, obok niego wielki marszałek koronny hr. Mniszech, Byszewski i Kirkor adjutanci polowi, i wice-marszałek dworu Witski. Naprost łoża kapelan Jurewicz, za nim Cichocki adjutant polowy, i pokojowiec głuchoniemy Wilczewski (szkicu i obrazu wysok. 25, długości 24 cale).

Po powrócie z podróży Włoskiéj do kraju, malował Bacciarelli dla kanclerza Joachima Chreptowicza do Szczors obrazy kościelne; jeden z nich wystawiał Chrystusa błogosławiącego dziatki, drugi św. Izydora orzącego rolę, na którego powrót w dali oczekują żona i dzieci pod rozłożystemi drzewy. W obłokach ukazuje się Bóg Ojciec.

Św. Izydor był portretem kanclerza.

W ostatnich czasach, na miejsce obrazu Palmy, któren Denon w r. 1806 wraz z kilką robotami Bacciarellego i wielą innemi zdobyczami do Paryża z kościoła św. Jana zabrać kazał; zrobił jeszcze obraz ołtarzowy wystawujący w górze N. Pannę z dziecięciem Jezus otoczoną aniołami, a w dole śśw. Jana Chrzciciela i Stanisława bisk. Krak. Figury te wedle Szaniawskiego rysami twarzy przypominać miały xiążąt Janusza i Stanisława Mazowieckich, w kwiecie wieku zgasłych.

Ostatnią pracą jego były portrety senatora Tomasza Ostrowskiego i kasztelana Walentego Sobolewskiego, robione z pamięci po ich zgonie, z polecenia towarzystwa Przyjaciół nauk. Portret cesarza Alexandra także dla towarzystwa rozpoczęty, śmierć mu przerwała. Oprócz to-

bot wspomnianych w spisach, jest ich wiele po różnych domach Polskich, jego ręki lub z jego pracowni wyszłych i przezeń wykończonych. Malował także portrety Maryi-Antoniny królowéj Francuzkiéj, Maryi-Amalii Saskiéj, allegoryczny portret Stanisława-Augusta z klepsydrą i godłem: *Lucebit lumen de coelo*; Chreptowicza, półkownika Thomatis, kardynała Archetti, Stanisława-Augusta z popiersiem Piusa VII, xcia Józefa w całym ubiorze jeneralskim, w burce, hr. Gutakowskiego, prezesa senatu Ostrowskiego, prymasa xcia Michała Poniatowskiego, dwa obrazy przedstawujące niewiasty w postaci naturalnéj wielkości, jedną z płaczącym amorkiem, drugą z pieskiem (dwie faworyty króla).

Rodzina Bacciarellego posiada dotąd większą część szkiców stropów jego i wielkich obrazów historycznych, które robił w Wiedniu i Warszawie. Są także obrazy jego w Dreźnie.

Bacciarelli zamieszkiwał ciągle i pracownię miał w zamku, do któréj król często wchodził, a jakie o niéj krążyły wieści najlepiéj przekonywa wzmianka w pamiętnikach x. Kitowicza: „Trzeci, takiejże faryny człowiek, Bacciarelli, Włoch, malarz; ten pod pozorem wydoskonalenia sztuki malarskiéj założył muzeum malarskie, do którego schodzili się malarze przedniejsi Warszawscy, a między nich na stół wchodziła płatna niewiasta, rozbierała się do naga i układała się w różne figury, jak jéj kazano, w których ją malarze malowali. Król zaś imć siedząc w loży między malarzami, przypatrywał się temu."

Wzmiankuje p. Rastawiecki, że w r. 1772 Bacciarelli otrzymał od króla nadanie dziedzictwem gruntu przy ulicy Okopowéj (N. 1761), gdzie niemałym kosztem pobudował domki i założył ogród owocowy i do przechadzki. Posiadał tę własność do śmierci, sprzedali ją dziedzice, nazwaną później *Bagatelą*.

DZIEŁA BACCIARELLEGO (*).

Mitologiczne obrazy:

— Apollo i muzy na Parnasie, cztery postacie portretowane z arcyxiężniczek Austryackich, malowane w Wiedniu, 1761—1764.

*— Apollo-Słońce (numer katal. Stanisł.-Aug. 918, cali 20—29, ocenione 20 duk.), w zamku Warszawskim.

*— Dyana-Luna (n. 917, cali 20—29, ocenione dukatów 20), w zamku Warszawskim.

*— Dyana zraniona przez ulatującego amorka, przy niéj nimfa i dwa psy (n. 186, cali 61 i 58, dukatów 150), w zamku Warszawskim.

*— Jowisz wyprowadzający świat z chaosu, ogromny strop w wielkiéj sali koncertowéj na zamku, (cali 720 i 288, dukatów 3,000)

*— Narcyz. (cali 25 i 47, dukatów 25, numer 916), w zamku Warszawskim.;

(*) Roboty dla króla przedsiębrane, oznaczone są gwiazdką.

*— Nereidy z amorkiem na wodzie, obrazek cali 27 i 22½, u p. Karola Hoppen w Radomiu.

*— Tryumf Amfitryty, strop, owal podłużny; główna myśl, według katalogu królewskiego wzięta z Natoire, ale przerobiona i dodatkowemi figurami ozdobiona, (cali 90 i 205, dukatów 250, n. katalogu 2005); w zamku Warszawskim.

Allegorye.

*— Religija, owal, (n. 190, cali 40 i 56, dukatów 100), w zamku Warszawskim.

*— Sprawiedliwość, owal, (n. 191, cali 40 i 56, dukatów 100), w zamku Warszawskim.

*— Sprawiedliwość (w Łazienkach, oceniona 100 dukatów, miary katalog niepodaje).

*— Mądrość. (tamże, taż cena).

*— Łagodność (Clementia), jak poprzednie.

*— Siła (tamże, jak trzy poprzedzające).

*— Mądrość miarkująca zapęd młodości (Arystoteles i Alexander), owal, cali 40 i 56, dukatów 100; w zamku Warszawskim.

*— Siła (Samson), owal, 40 i 56 cali, dukatów 100, w zamku Warszawskim (n. 193).

*— Nauki, sztuki i handel, kwitnące w czasie pokoju, strop w dawnéj sali tronowéj, na zamku Warszawskim, oceniony w katalogu króla 1,500 dukatów.

*— Sława głosząca pamiętne czyny królów Polskich, strop w sali marmurowéj (Królewskiéj), oceniony 800 dukatów.

Historya i obrazy święte.

Stary Testament:

*— Agar trzymająca syna na kolanach, (na puszczy), owal. (n. 198, cali 43 i 23, dukatów 80); w zamku Warszawskim.

*— Agar na puszczy, anioł wskazujący jéj źródło, owal, (n. 199, cali 43 i 23, dukatów 80); w zamku Warszawskim.

— Betsabe w kąpieli, cali 18 i 22½; obrazek pięknie wykończony; własność dawniéj p. Karola Hoppen w Radomiu, dziś p. T. Zielińskiego w Kielcach.

*— Esther i Ahasverus— Esther omdlewająca, za królem dwóch ludzi, z których jeden trzyma dekret przeciwko Żydom— owal, (46 i 53 cali, dukatów 100, numer kat. 196); w zamku Warszawskim.

*— Rebeka, któréj Eleazar oddaje dary w imieniu Izaaka, owal, (cali 46 i 53, dukatów 100, n. katal. 197; w zamku Warszawskim.

*— Sen Salomona, strop w Łazienkach, oceniony 300 dukatów.

*— Salomon poświęca kościoł Jerozolimski, (dukatów 600), w Łazienkach.

*— Salomon czyniący ofiary fałszywym bogom, (dukatów 600), w Łazienkach.

*— Sąd Salomona, (dukatów 300), tamże.

*— Królowa Saba, (dukatów 300), tamże.
*— Salomon i Hiram, (dukatów 200), tamże.

Nowy Testament:

— Najświętsza Panna z dzieciątkiem w obłokach; cali 21—29, u p. Karola Hoppen w Radomiu.
— Zwiastowanie N. Panny, z dwóma dodatkowemi figurami (?), cali 19½ i 25), u p. Kar. Hoppen, w Radomiu.
— Zdjęcie z krzyża, szkic do obrazu, w zbiorze p. Tom. Zielińskiego.
— Zmartwychwstanie Pańskie, szkic do obrazu, u tegoż.
— Chrystus błogosławiący dziatki; w kościele w Szczorsach, obraz ołtarzowy.
— N. Panna z dziecięciem Jezus, otoczona aniołami, w obłokach, u spodu śśw. Jan Chrzciciel i Stanisław bisk. Krak. Obraz ten, jakeśmy wyżéj wspomnieli, malowany był po zabraniu dzieła Palmy z katedry św. Jana w Warszawie, Bacciarelli nic zań niechciał przyjąć od kapituły, która mu na piśmie oświądczyła wdzięczność swoję, a późniéj zwłokom jego i żony grób dała bezpłatnie.
*— Św. Magdalena z Corregia, kopija, cali 36 i 56, oceniona dukatów 50, w zamku Warszawskim, numer katal. 1714.
*— Św. Magdalena (oryginalna), cali 33 i 58; oceniona dukatów 80, w zamku Warszawskim, n. 1991.
— Św. Izydor orzący rolę, obraz ołtarzowy do kościoła w Szczorsach Chreptowiczów, (Obacz w życiu Bacciarellego).

Historya krajowa.

Obrazy w sali rycerskiéj na zamku Warszawskim:
*— I. Kazimiérz W. nadający prawa i zakładający miasta (na ramie: *Leges Casimiri*); 144 i 132 cale, dukatów 500.
*— II. Władysław Jagiełło wznawiający akademiję Krakowską (napis: *Acad. Cracov. instituta*); tejże wielkości i ceny.
*— III. Nadanie Pruss prawém lennem xięciu Albertowi I przez Zygmunta starego (inwestytura), (*Prussia in fidem data Poloniae*). Obraz ten w r. 1807 zabrano do Paryża, i zwrócono dopiéro po roku 1815. Bacciarelli malował go powtórnie z polecenia króla Saskiego. Też same rozmiary i cena.
*— IV. Unija Litwy z koroną za Zygmunta-Augusta (*Lithvania juncta Poloniae*); tenże rozmiar i cena.
*— V. Pokój Chocimski (*Pax Chotimensis*); jak poprzednie.
*— Oswobodzenie Wiednia przez Jana III (*Vienna Liberata*); jak poprzedzające.
*— Szkic do tego obrazu robiony, wystawujący Jana III w chwili, gdy mu przynoszą zdobyte na Turkach buńczuki, wysok. cali 24 i 19, znajduje się u hr. A. Platera w Krasławiu na Białéj-Rusi.
— Wjazd Ossolińskiego do Rzymu, obraz znajdujący się w zakładzie Ossolińskich we Lwowie, w którym architekturę malował sławny

Canaletto, a figury Bacciarelli; wysokość 62 cale, długości 102. Następujący napis na obrazie pochodzenie jego objaśnia: „Afin de representer le plus fidelement que possible l'entrée solennelle de George Ossoliński ambassadeur de Vladislas IV Roi de Pologne faite à Rome l'an 1633. Bernardo Belloto da Canaletto qui l'a depeint dans ce tableau en 1779, s'est servi pour le composer des descriptions authentiques que la famille conserve, de l'estampe de Stephano della Bella du portrait de George Ossoliński, et de diverses autres estampes de ce tems-là, tant pour l'ordre de la marche, que pour costumes et couleurs. Joseph Ossoliński palatin de Podlachie, descendant discet de l'ambassadeur ici representé, a obtenu aisement la permission que ce tableau fut executé dans les appertemens et sous les yeux du roi Stanislas-Auguste, protecteur constant des beaux arts et surtout quand ils servent à perpetuer la memoire des hommes illustres de la nation.“ Chociaż w nocie téj wzmianki niéma o Bacciarellim, figury obrazu jemu są powszechnie przypisywane.

— Sen Stanisława-Augusta, a raczéj widzenie Moiny, szkic allegoryczny małego rozmiaru, z galeryi Józefa hr. Ossolińskiego u hr. Leona Łubieńskiego w Warszawie.

*— Posłuchanie młynarza (patrz wyżéj) katalog króla, 141; (cali 25 i 24, dukatów 200).

— Śmierć króla Stanisława-Augusta; tenże rozmiar.

— Nadanie ustawy xięztwa Warszawskiego, przez cesarza Napoleona w Dreźnie d. 22 lipca 1807 roku. Cesarz siedzący w krześle, oddaje ustawę Stanisł. Małachowskiemu prezesowi komissyi rządzącéj; za cesarzem stoją Talleyrand i Maret, na przedzie członkowie komissyi rządzącéj Ludw. Gutakowski, Stanisł. hr. Potocki, Józef Wybicki, Xawery Działyński, Piotr Bieliński, Walenty Sobolewski i sekretarz jeneralny Jan-Paweł Łuszczewski. Obraz ten, nad którym artysta około lat trzech pracował, malowany z polecenia xięcia Warszawskiego, ukończony w r. 1811.

Portrety.

— Portret Marcel. Bacciarelli przezeń malowany, nabyty przez komissyę wyznań relig. i oświecenia.

— Inny, (cali 22½ i 28), u p. Karola Hoppen w Radomiu.

— W pomniku jego u św. Jana w Warszawie portret z oryginału malarza, kopijowany przez J. Gładysza.

---

*— August II król Polski, suknia axamitna ponsowa, haft na niéj złoty, (cali 46 i 38, dukatów 50, katalog n. 94).

— Austryacka familija cesarska, portrety w Wiedniu robione 1761—1764 r.

— Alexander I, cesarz Ross. król Polski, portret zamówiony przez towarzystwo Przyjaciół nauk, którego ukończenie śmierć przerwała.

— Andrzéj Archetti, kardynał, arcybiskup Kalcedoński, nuncyusz papiezki w Polsce.
— Brühl, hr. piérwszy minister Augusta III, portret u p. barona Rastawieckiego.
— Burakowski sędzia, u p. K.-W. Wojcickiego.
*— Branicka z Poniatowskich hetmanowa w. kor., siostra królewska, cali 57—42, dukatów 60. n. katalogu 712. Siedząca, ubiór strojny błękitny, do kolan, prawa ręka sparta na otwartéj xiążce, na któréj sztych portretu ojca jéj. Portret ten jest w Jabłonnie.
— Inny portret tejże, owal, cali 23—18½, dukatów 25.
— Inny jeszcze tejże, w sukni jedwabnéj białéj złotem haftowanéj, i futerku sobolowém, głowa w fryzurze tylko, owal, cali 26½—20, u bar. Rastawieckiego.
— Taż, ubiór biały z zielonym, do kolan, w zbiorze Ossolińskich we Lwowie.
— Branicki Jan-Klemens, hetman w. kor. kaszt. Krak., zm. 1771, do kolan; tamże.
— Bielińska, marszałk. nadworna, ubiór błękitny z draperyą karmazynową, trzymająca pieska, (cali 17½ i 14).
*— Czartoryski xżę Adam, generał ziem Podolskich, (generał-feldm. Austryacki, zm. w Sieniawie 1823 r.), w mundurze generała gwardyj Litewskich z kapeluszem pod pachą. (Cali 28 i 22, dukatów 30, n. katalogu 89).
— Czartoryska x. Izabella z Flemingów, generałowa ziem Podolskich, (zm. 1835 r.). Portret ten powtarzał malarz razy kilka.
*— Czartoryski Floryan biskup, portret na miedzi. Drugi tegoż cytuje p. Rastawiecki.
— Chreptowicz Joachim, kanclerz w. Lit., (zm. 1812 r.).
*— Chodkiewicz Jan-Karol, (w sali Rycerskiéj w zamku Warszawskim, na miedzi, cali 39 i 28, dukatów 60).
*— Denhoff (który?), portret po kolana, w ubiorze dawnym z krézą koronkową, włosy białe, sparty na lasce, kopija, (cali 41—32, dukatów 15, n. katal. 533). Musiał to być wojewoda Pomorski, którego są i sztychowane podobne portrety, (żył w XVII w.).
— Działyński Xawery, członek kommis. rządzącéj 1807 r., senator wojewoda, (zm. 1819).
— Fryderyk-August, król Saski, xiążę Warszawski.
— Gąsiorowska (pani), głowa w zawoju.
— Gagatkiewicz Walenty, doktor nadworny, 1805.
— Gutakowski Ludw., hr. wojewoda, prezes senatu x. Warsz., (zm. 1811), w mundurze kom. rządzącéj x. Warsz., u hr. Gutakowskiéj w Warszawie.
— Gutakowska Maryanna z Sobolewskich, żona jego, tamże.
*— Hozyusz Stanisław, na miedzi, (do sali Rycerskiéj zamku Warszaw., cali 39 i 28, dukatów 60).
— C.-H. de Heineken, portret robiony w Dreźnie.
*— Katarzyna II cesarzowa, w postaci Minerwy, (w zamku Warszawskim, cali 24—19, dukatów 36, n. katal. 29).

*— Taż, w postaci Dyany, tamże, cali 24 i 19, dukatów 36, katal. n. 28.
*— Taż, popiersie z profilu we włosach i sukni błękitnéj, kopija z Rotari, w zamku Warsz., cali 21 i 16, dukatów 25, kat. n. 282.
*— Kurlandzka xżna z domu hr. Medem, (w zamku Warszawskim, cali 40 i 31, dukatów 80, n. katal. 1985).
*— Królowie Polscy, w sali Marmurowéj na zamku, dwadzieścia i dwa następujące portrety, każdy był ceniony po czerwonych złotych 50.
— I. Bolesław Chrobry.
— II. Wacław kr. Pol. i Czeski.
— III. Władysław Łokietek.
— IV. Kazimiérz W.
— V. Ludwik Węgierski.
— VI. Jadwiga.
— VII. Władysław Jagiełło.
— VIII. Władysław Warneńczyk.
— IX. Kazimiérz Jagiellończyk.
— X. Jan Albert.
— XI. Alexander.
— XII. Zygmunt I.
— XIII. Zygmunt-August.
— XIV. Henryk Walezyusz.
— XV. Stefan Batory.
— XVI. Zygmunt III.
— XVII. Władysław IV.
— XVIII. Jan-Kazimiérz.
— XIX. Michał Wiśniowiecki.
— XX. Jan III.
— XXI. August II.
— XXII. August III.
*— Kremer Marcin, (w sali Rycerskiéj na zamku Warszawskim, cali 39—28, dukatów 60).
*— Kopernik Mikołaj, tamże, tegoż rozmiaru i ceny.
*— Kątski Marcin— jak poprzednie.
*— Krasicka Alex. hr. z Grabowskich, portret niewykończony, (w zamku Warsz. n. katal. 1884, cali 26 i 22, dukatów 15).
— Lubomirski Stanisł. xiążę marszał. w. koron., owal, w Willanowie (katal. 44).
— Tegoż inny portret, owal, tamże, kat. n. 482.
— Lubomirska xżna Izabella z xiążąt Czartoryskich, marszałk. w. koron. siedząca, w ubiorze strojnym, przed nią kosz z kwiatami na stole, z którego jedną ręką wyjmuje kwiatek, drugą głaszcze pieska; do kolan. W Willanowie, n. 483.
*— Łubieński prymas. Portretu tego była tylko kopija w galeryi Stan.-Aug., pod N. 2156, cali 34 i 29, oryginał musiał być u rodziny.
— Łuszczewski Jan-Paweł, minister spraw wewnętrznych za xtwa Warsz. (zm. 1812).

— Łukaszewicz Józef, prezydent m. Warszawy, w końcu XVIII wieku.
— Łukaszewiczowa, jego żona.
— Marya-Antonina, królowa Francuzka, (z Davida).
— Marya-Amelija, królowa Saska.
— Mniszchowa Urszula, hr. z Zamojskich, marszałk. w. koron., portret cali 108 i 60, w Wiśniowcu.
— Taż, w całéj postawie, szkic, cali 18 i 12; tamże.
— Taż, w sukni materyalnéj pelijowéj z białemi ozdobami i kutasami, na głowie fryzura, u wierzchu przepaska biała i liście zielone, owal, cali 27½ i 20, u bar. Rastawieckiego.
*— Taż, owal, (w zamku), cali 23 i 18½, dukatów 25, kat. 73.
*— Taż, portret okrągły, tamże, cali 10½, dukatów 15.
*— Taż, w stroju dworskim z Roslina, (nabyty przez hr. Mniszcha, cali 28 i 22, dukatów 15).
*— Taż, z córkami, (cali 23 i 18½, dukatów 25, w zamku. n. katal. 68).
— Mniszech Jan, podkom. w. Lit. w Wiśniowcu.
— Mniszech Michał-Wandalin, hr. marszałek w. koron., cała postać, cali 18 i 12. W Wiśniowcu.
— Mokronowski Andrzéj, wojewoda Mazowiecki, w sukni ponsowéj z kołnierzem futrzanym, z orderem Orła białego, owal, 27 i 20 cali, u barona Rastawieckiego.
— Massalski, hetm. Lit., w Wilnie, wspomina Dziennik Wileński 1820 roku.
— Małachowski Stanisław Nałęcz, hrabia referendarz w. kor. marszałek czteroletniego sejmu, senator wjwda i prezes senatu x. Warszawsk., w mundurze komis. rządzącéj x. War.; dwa razy malowany dla komissyi i dla Winc. hr. Krasińskiego.
*— Neuman-Bey, poseł Turecki w Warszawie w r. 1777, (w zamku, cali 36 i 34, dukatów 50. n. katal. 561).
— Nakwaska Anna z Krajewskich, kasztelanowa.
— Napoleon, z profilu, cali 20 i 25½, u p. Kar. Hoppen w Radomiu.
— Olszowski Andrzéj prymas, w zamku, (na miedzi, 39 i 28 cali, dukatów 60).
— Inny, podobny cytuje p. Rastawiecki.
— Ostrowski hr. Tomasz, kasztelan Czerski, podskarbi nadw. kor. (zm. 1817).
*— *Poniatowscy*. Król Stanisław-August. Bacciarelli malował go tyle razy, sam lub z pomocą uczniów, a z malarni jego wyszła taka mnogość portretów króla z imieniem Bacciarellego, że główne ledwie i znajomsze wyliczyć tu można. Na czele ich stoi, portret wielkości naturalnéj, postać cała, w ubiorze bogatym Hiszpańskim, jaki miał w czasie koronacyi. Portret ten znajdował się w zamku w sali Marmurowéj, zakończał szereg królów Polskich, dziś jest w Jabłonnie. Miary jego niepodaje katalog, cenę dukatów 300.
— Inny, z popiersiem marmurowém Piusa VII, kilkakroć malowany, (jeden jest u bar. Rastawieckiego); cali 48—39.
— Inny, wystawujący króla w ubiorze cywilnym do kolan, w zbiorze

p. Tom. Zielińskiego w Kielcach, wspomina p. Sobieszczański, (ze zbioru p. K. Hoppen, cali 35 i 47).

— Inny, cała postać, (rysunek zmniejszony na tytule 2-go tomu Wiadomości p. Sobieszczańskiego), własność p. Wincentego Kozłowskiego, adjunkta głównego archiwum w Warszawie.

— Portret króla siedzącego, z klepsydrą, na niebie przez chmury promyk słońca się przedziera, z napisem na karcie *Lucebit lumen de coelo* lub *Quaesivit coelo lucem*. Piękny ten portret powtarzany był wielekroć. Jeden cytuje p. Rastawiecki u hrab. z Tyszkiewiczów Wąsowiczowéj w Krakowie, inny u hr. Gutakowskiéj, inny w Wiśniowcu (cali 60 i 48). Jeden taki był u jener. Grabowskiéj, dla któréj początkowo miał być zrobiony.

— Stanisław August, w Willanowie, n. 424.

— Tenże, malowany w r. 1775, w zbroi (?) i narzuconym płaszczu, w orderach Orła białego i św. Stanisława, owal, cali 27 i 21, u bar. Rastawieckiego.

— Tenże, w mundurze jeneralskim błękitnym, w Jabłonnie.

— Tenże, w ubiorze koronacyjnym, cała postać, małego rozmiaru, cali 20½ i 14, u p. Jahołkowskiego w Warszawie.

— Tenże, w stroju koronacyjnym, w Wiśniowcu, cali 84 i 60.

— Portret króla w Horodnie na Litwie.

— Tenże, w Działoszynie u Myszkowskich.

*— Poniatowski Stanisław ojciec króla, kasztelan Krakowski, w Kirycie, kopija z Pesne (w zamku War. 24 i 19 cali, dukatów 15, n. katal. 25).

*— Tenże, owal, kopija, cali 53 i 41, dukatów 25, n. katal. 195, (w zamku War.).

*— Tenże, w 83 roku życia, do pół, suknia z futrem i zbroja, malowany w r. 1758; dawniéj w zamku dziś w Jabłonnie, cali 51 i 37, dukatów 70, numer kat. 350.

— Tenże, portret owalny, w Jabłonnie.

*— Poniatowscy, ojciec i matka króla, portret natur. wielkości, w zamku, cali 78 i 54, oceniony 100 dukatów, katalog n. 1632.

*— Poniatowska kasztel. Krakowska, matka króla, w sukni dworskiéj, kopija, (w zamku, cali 24 i 19, dukat. 15, n. kat. 27).

*— Taż, kopija, owal, tamże 53 i 41, dukatów 25, n. 194.

— Taż, portret owalny w Jabłonnie.

*— Poniatowski Kazimiérz, xiążę ex-podkomorzy koronny (zm. 1800 r.), brat króla, owal, w zamku Warsz., cali 23, 18½, dukatów 25, n. katal. 69.

— Tenże, późniéj z zamku w Jabłonnie, cali 61 i 43, dukatów 60, n. kat. 713.

— Tenże, cała postać, w ubiorze Francuzkim, siedzący w krześle, u hr. Anny z Tyszkiewiczów Wąsowiczowéj w Krakowie.

— Tenże, w sukni ponsowéj z kołnierzem futrzanym, z orderami Orła białego i św. Stanisława, owal, cali 27½, 21, u bar. Rastawieckiego.

— Poniatowska Apolonija z Ustrzyckich, żona xcia ex-podkomorzego, owal, w zamku, cali 23 i 18½, dukatów 25, n. katal. 70.
— Taż, inny portret, ubrana biało, synek przy niéj w postaci amorka, w zamku, 58 i 42 cale, ceny niedaje katalog, numer 631.
— Poniatowski Stanisław, szef gwardyi pieszéj, podskarbi w. Lit. jener. lejtn. w. kor. (1754—1833), portret w mundurze ponsowym ze złotemi szlifami, i orderami Orła białego i św. Stanisława, owal, 27 i 20 cali, u p. Rastawieckiego.
*— Tenże, owal, w zamku, 23 i 18½ cali, dukatów 25, n. katal. 71.
*— Poniatowski Andrzéj, jenerał w służbie Austryackiéj, brat króla, owal, w zamku, cali 23 i 18½, dukatów 25, n. kat. 63.
*— Poniatowski xżę Józef syn xcia Andrzeja, naczelny wódz w. Pol. marsz. Francyi, portret owalny; trzymający dwa gwoździki w ręku, w zamku, cali 16 i 13, dukatów 12, n. katal. 536.
*— Tenże w mundurze gwardyi konnéj, (nabyty przez hr. Mniszcha), cali 28 i 22, dukatów 30, w zamku, (2217).
*— Tenże, już jako wódz naczelny, w burce, bardzo wiele razy powtarzany i kopijowany, jeden w Jabłonnie.
*— Poniatowski Michał, arcyb. prymas (1736—1794), brat króla, owal, w zamku, cali 23 i 18½, dukatów 25, n. katal. 74.
— Tenże, w stroju duchownym czarnym, z orderami Polskiemi, owal, cali 27 i 21, u bar. Rastawieckiego.
— Tenże, w purpurze, cali 30 i 25.
— Tenże, w Wiśniowcu, cali 108 i 72.
*— Potocki Revera, portret na miedzi, w zamku, w sali Rycerskiéj, cali 39 i 28, dukatów 60.
— Potocki Adam hr., półkown. jazdy za xięztwa Warsz., malowany jako adjutant Kościuszki w 15 roku życia, w Plancie w Sandomierskiém, u p. Łempickiego.
— Potocki Stanisław Kostka hr., jenerał artyleryi, członek kom. rządzącéj, prezes rady stanu i ministrów xtwa Warsz., minister ośw. i rel. i t. d., (zm. 1821), portret cytuje Rastawiecki.
— Inny może u p. Tom. Zielińskiego w Kielcach.
— Potocki Franciszek Salezy, wojewoda Kijowski, (około 1782 roku malowany).
*— Potocka Sewerynowa z xx. Sapiehów, w zamku, cali 36 i 28, dukatów 50, n. katalogu 1875.
*— Popielowa kasztel. Sierpska, tamże, cali 23 i 19, dukatów 25, n. katal. 515.
*— Radziwiłł Krzysztof, tamże, w sali rycerskiéj, na miedzi, cali 39 i 28, dukatów 60.
— Radziwiłł Karol xiążę, portret ten znajduje się w Litwie w Połoneczce, u xcia Radziwiłła.
*— Sanguszko Roman, w zamku, w sali rycerskiéj, cali 39 i 28, dukatów 60.
*— Sapieżyna xżna z domu Branicka, owal, w zamku, nabyty przez hr. Mniszcha, cali 23 i 19, dukatów 25, n. kat. 514.

*— Sapieżyna z Lubomirskich, kanclerzyna Lit., głowa sparta na ręce, w zamku, cali 38 i 29, dukatów 25, n. katal. 516.
*— Szaniawska Anna z Scypijonów, starościna Małogolska, zm. 1795; nabyty z zamku przez hr. Mniszcha, cali 34 i 26, dukatów 15, n. kat. 1943.
— Sołtyk x. Kajetan-Ignacy, biskup Krakowski, siedzący, malowany około roku 1766. Pięknie wykonane akcessorya, draperye i ubranie. U p. Fr. Sołtyka w Piastowie w Radomskiém, i u p. K. Hoppen w Radomiu.
— Inny podobny, w Kurozwękach w Krakowskiém, u p. Pawła Popiela.
— Sołtykowa Karolina z xxąt Sapiehów, (pierwiéj Potocka), w piórach na głowie, i orderze Złocistego krzyża, u p. Łempickiego.
— Sapieha Alexander xiążę, kanclerz Lit., u p. Łempickiego w Plancie.
— Sobolewski Maciéj, kasztel. Warszawski, u hr. Gutakowskiéj w Warszawie.
— Sobolewski Walenty hr., w mundurze członka komissyi rządzącéj xtwa Warsz.
— Pani Szymanowska, owal, cali 33 i 46, u p. K. Hoppen w Radomiu.
— Stackelberg hr., ambasador Rossyjski.
*— Tarnowski Jan, w zamku, w sali rycerskiéj, na miedzi, cali 39 i 28, dukatów 60.
— Drugi portret tegoż cytuje p. Rastawiecki.
*— Tyszkiewiczowa Wincentowa (córka x. Andrzeja Poniatowskiego), owal, w zamku, cali 23 i 18½, dukatów 25, katal. n. 66.
*— Taż, tamże, trzymająca ręką zasłonę, która ją okrywa, cali 16 i 13, dukatów 12, n. katalogu 537.
*— Tyszkiewiczowa z Poniatowskich (córka x. Kazimierza), w zamku, owal, 23 i 18½ cali, dukatów 25, katalog n. 72.
*— Pani Tyszkiewicz z Poniatowskich, okrągły, w zamku, cali 10½, dukatów 15, n. katal. 30.
— Tyszkiewiczowa z Poniatowskich Konstancya, hetman. polna Lit., w sukni fijoletowéj z białemi krezami, na głowie fryzura wysoka, wianek z białych kwiatów i dwa pióra, białe i niebieskie, owal, cali 26½ i 21, u bar. Rastawieckiego.
— Tyszkiewicz (?), cali 26 i 27, u p. K. Hoppen w Radomiu.
— Inne portrety Tyszkiewiczów mają się znajdować w Horodnie w Litwie i w Działoszynie w Wieluńskiém, u p. Ign. Myszkowskiego.
— Thomatis Karol, dworzanin króla, późniéj hrabia, dyrektor teatrów.
*— Thomatis pani, w zamku, owal (z profilu), 27 i 21 cali, dukatów 25.
*— Taż w postaci Muzy, tamże, cali 27 i 21.
*— Wilczewski, głuchoniemy, kamerjunkier dworu j. k. m., kasztel: Wiski, w zamku, cali 16 i 13, dukatów 20, n. katal 238.
— Wiśniowiecki, hetman, na miedzi.

— Węgierska pani, owal, cali 33 i 46, u p. Kar. Hoppen, w Radomiu.

*— Zamojska z Poniatowskich, wjdzina Podolska, siostra króla, w zamku, 23 i 18½ cali, dukatów 25, n. katal. 67.

— Taż, w sukni karmazynowéj z sobolami, w czepku białym z owinięciem czarném, włosy upudrowane, owal, cali 26½ i 20, u bar. Rastawieckiego.

— Zamojski Jan, kanclerz i hetman, cali 59 i 41, w Królikarni.

— Żółkiewski Stanisław, hetman, na miedzi.

— Oprócz tych portretów, rodziny Poniatowskich i pokrewnych jéj wizerunki przez Bacciarellego malowane, mają się znajdować w Horodnie w Litwie, majątku niegdyś Ludwika Tyszkiewicza, marsz. w. i hetm. pol. Lit. i w Działoszynie w Wieluńskiém u Myszkowskich, gdzie ich liczą dwadzieścia.

Głowy fantazyjne:

*— Popiersie starca w sukni brunatnéj, włosy i broda siwe, w zamku, cali 20 i 15, dukatów 25, n. katal. 152.

*— Portret dzieweczki (ma być wnuczka malarza), u bar. Rastawieckiego.

*— Niewiasta z amorkiem płaczącym, wielkości naturalnéj (jedna z faworyt króla).

*— Niewiasta z pieskiem, pendant, podobnie.

Rysunki oryginalne.

Niewiele zbiorów naszych rysunkami Bacciarellego pochlubić się może, gdyż mało ich w obieg poszło, a główne pozostały w posiadaniu familii, która zachowuje szkice wszystkich większych jego kompozycyj i historycznych obrazów.

Inny obfity zbiór rysunków Bacciarellego posiadał p. Karol Hoppen w Radomiu.

W zbiorze p. Gwalb. Pawlikowskiego w Medyce, teraz we Lwowie, jest także zbiór rysunków malarza, zwłaszcza szkice do portretów historycznych hetmanów i t. p.

Sztychy i litografije z rysunków Bacciarellego.

Portret malarza: Marcel Bacciarelli, piérwszy malarz Stanisława-Augusta, folio, litog. J. Sonntag, u L. Letronna.

— Portret w czapce z futrem i futerku, w 8-ce, litografija J. F. Piwarskiego, do dzieła p. Rastawieckiego.

— W galeryi Drezdeńskiéj z rysunków jego kilka obrazów sztychowali P. E. Moitte, (obraz Fr. Vanni z Sienny). . . .

— Nadanie ustawy xtwu Warszawskiemu 1807 r., litogr. folio Fr. Hanfstaengl, w Dreźnie.

— Stanisław-August, wielokrotnie sztychowany z portretów jego. Portret z klepsydrą 1798 r. sztychował A. Fogg.

— Inny *Küstner.*

— Poniatowskiego x. Michała, prymasa *Jean Math. Royes, 1782 r.*
— Poniatowskiego ojca króla *B. Follino.*
— Poniatowskiego x. Józefa, jako wodza naczelnego, *Bollinger* i *F. John.*
— *J. Ligber*, sztychował z jego portretów Jana Pawła Łuszczewskiego.
— Tenże Walentego Gagatkiewicza.
— Hr. Stackelberga, sztychował *Koszkin.*
— X. Kajet. Sołtyka, *Cunego* i *Perini* w Rzymie w. arkusz.
— Fr. Salenego Potockiego, *Dom. Cunego.*
— Portret C. H. de Heinecken, sławnego ikonografa w Dreźnie, z portretu Bacciarellego sztychował *Rasp;* ale z téj blachy, dla złego jéj wykonania, malarz starł swoje nazwisko (*Heincken II. 9.*).

Dodatki.

W katalogu galeryi Stanisława-Augusta, łaskawie nam udzielonym przez p. Tom. Zielińskiego, wszystkie roboty Bacciarellego jak i innych malarzy, ocenione są,— według niego podaliśmy tu ceny ich, które w istocie znacznąby summę wyniosły. Król Stanisław-August, gdy po upadku kraju z Grodna wyjeżdżał, nieczując jeszcze, by dostatecznie wynagrodził Bacciarellego, przesłał mu rewers do pozostałych majętności swych na 25,000 czerw. złotych.

Musimy tu przytoczyć jeszcze anegdotę, może zmyśloną, ale odnoszącą się do Bacciarellego, którą z podania spisał autor opisu Podhoreckiego zamku w *Rozmaitościach Lwowskich r. 1819, 5 paźdz.*

„Zmarły niedawno Bacciarelli, malując ten obraz (Salomon czyniący ofiary fałszywym bogom?), miał zawsze wszystkie draperye i piękną kobietę przed oczyma; potrzeba było tylko mężczyzny, któryby do wzrostu wysokiego łączył powagę dostojności z całą siłą wieku pełnego i był z brodą. Mury klasztorne wydały takiego męża. Ubranego Kapucyna w togę i purpurę przywiedziono do warstatu malarza i kazano mu klęczeć u nóg prawdziwéj z ubioru i urody Gracyi, dla wydobycia tego wzruszenia na twarzy, jakie w podobnéj okoliczności król rozkochany mieć był powinien. Nietrzeba było na to długo czekać: biedny Kapucyn pod przybraną króla postacią został rzetelnie Salomonem. Tym sposobem męczono Kapucyna kilka razy; na dopełnienie zaś udręczenia stali zawsze za drzwiami dwaj inni zakapturzeni dla towarzyszenia rozkochanemu za kratę.“

Powiastka ta jakkolwiek zmyśloną być może, maluje wiek co ją stworzył, lekceważenie kapłaństwa i wyuzdaną jego swawolę.

Zródła do życia Bacciarellego u nas są dosyć liczne. Pisał o nim x. Szaniawski pochwałę czytaną na posiedzeniu Towarz. Przyj. nauk 1822; bezimienny w nekrologu w Gaz. Warsz. 1818 r., syn, tamże w r. 1819; Ciampi, Stanisł. Przyłęcki (1833 r.) i t. d. *Nagler* w swoim słówniku malarzy, niezajrzawszy do Ciampi, bardzo mylną i krótką podał wiadomość, dzieląc Bacciarellego na dwóch, zowiąc go *Bacciarelli* i *Bacciarchi*, a sztych *de Marcenay* z portretu przez żonę jego malowanego, przyznając jemu i t. d.

Bacciarelli Joanna-Julijanna-Fryderyka z domu *Richter*. Minijaturzystka, urodzona w Dreźnie, gdzie ją poznał i zaślubił Marcelli Bacciarelli w r. 1755. W r. 1756 towarzyszyła mężowi do Warszawy; w 1759 otrzymała patent nadwornéj malarki króla Augusta III.

Dzieliła później losy męża któremu towarzyszyła w r. 1761 do Wiednia, a później osiadła z nim od 1765 w Warszawie, gdzie w roku 1812 zmarła. Ciało jéj złożone początkowo w grobach kościołka Belwederskiego, przeniesione później do grobów kościoła św. Jana, i pochowane obok męża z pomnikiem, w którym umieszczono portret artystki.

Robiła minijatury, które dość zjednały sobie wziętości, a biegła w rysunku użyta była z mężem do zdejmowania kopij ołówkiem z galeryi Drezdeńskiéj do zamierzonego jéj sztychu.

Między innemi z jéj rysunku sztychował Beauvarlet: *La mort d'Adonis pleuré par Venus. Fred. Bacciarelli d'après Aless. Turchi* (wysok. 342 millim. i 265).

De Marcenay 1765 roku sztychował z jéj minijatury medalijon z portretem Stanisława-Augusta, uniesiony przez orła w obłokach (*Heincken. Nachrichten I. Th. 179—216*).

Portret artystki przez Ant. Graff malowany ze zbioru p. Karola Hoppen w Radomiu, przeszedł do p. T. Zielińskiego. Służył on za wzór Gładyszowi do portretu w grobowcu.

Inny ma być u p. Rastawieckiego.

Córkę Bacciarellich, która była za Wilczewskim, malował *Marteau*.

Bach C. D. F. Karol-Danijel-Fryderyk Bach, urodzony w Potsdamie w r. 1756, mieści się tu z powodu, iż wykształcenie swe winien był hr. Ossolińskiemu, który go też do różnych prac używał. Ossoliński spotkał go kopijującego obraz w galeryi x. Henryka Pruskiego, podobał go sobie i losem się jego zajął. Naznaczył mu Ossoliński pensyę, wziął go najprzód z sobą do Polski, potém dla dalszego kształcenia się wysłał do Włoch.

Z hrabią razem przebywał czas jakiś w Warszawie, i Nagler wzmiankuje, że niektóre jego dzieła pozostały w Polsce. Kopijował wiele olejno z Rafaela, Rubensa i innych. Był później professorem i dyrektorem Szląskiéj szkoły sztuk pięknych we Wrocławiu. Sztychował także sam allegorye i portrety.

Jego są zapewnie rylca następujące:

— *Josephus Comes de Tenczyn Ossoliński generalis Terrarum Volh. Palatinus*, w 8-ce, na miedzi. *Bach sc.*

— *Theresse Comtesse Ossolińska née Comtesse de Zmigród Stadnicka Palatine de Volhinie*, w 8-ce. *Bach sc.*

Bachmatowicz *Kazimierz*. Uczeń Rustema, najbliższy może swego mistrza rodzajem talentu; malarz sztambuchowy, którego drobne kompozycye, krajobrazki, kobiety, dzieci, wiele mają wdzięku. Wdzięk ten jednak przechodzi czasem w manijerę, a talent cały, z żalem, rozsypał się na drobnostki same. Słusznie mu zarzuca W. Smo-

kowski, że choć krajowe rzeczy na kamieniu rysował, przebija się w stylu naśladowanie V. Adama. Pozostało po nim kilka zeszytów litografij, kopije z rysunków Orłowskiego i Rustema, trochę małych kompozycyj i portrety olejno robione. Umarł niedoszedłszy lat trzydziestu wieku swego, w r. 1837, w Dobrowlanach, u hr. Güntherów, miejscu znaném w Litwie z wykształconego smaku jego mieszkańców, zamiłowania ich w sztuce i zbiorów dzieł sztuki i pamiątek. (*Szemesz. Athenaeum Od. VI. T. VI. 218*).

Z litografij jego znamy:

1. *Orłosiady*, małe folio, zbiór rysunków Orłowskiego, z okładką, na któréj Chińczyk siedzący z fajką, trzyma xiążkę z napisem: *Zbiór rysunków A. Orłowskiego, litografowany przez K. Bachmatowicza 1836 r.* Zawiera, oprócz okładki: 1) Czerkiesa na koniu, 2) Żebraka, 3) Ubiór Czerkieski, 4) Wiwandijerkę. (Robione w Dobrowlanach).

2. *Souvenir de Dobrowlany*, 1835, arkusz, na którym dziesięć małych litografowanych widoczków. Odbito w Wilnie u Oziębłowskiego.

3. *Souvenir pittoresque des petits ouvrages de J. Rustem, recueillis et litographiés par son elève reconnaissant C. Bachmatowicz à Vilna*, takiż format jak Orłosiady, portret Rustema i kart siedm drobnych szkiców.

4. *Przypomnienie Wilna*, litografowane przez K. Bachmatowicza 1837. Tenże format, z okładką litografowaną, kart cztery drobnych rysunków w sposobie V. Adama.

5. Drugi ciąg przypomnień, okładka i kart cztery, litografowane w Dobrowlanach.

Rysuneczki są zręcznie rzucone, szczególnie Żydki i żebracy; ale smak Francuzki i widoczne kształcenie się na wzorach Adama, zwłaszcza w koniach, powozach i elegantach. Smakowi i wdziękowi wszystko tu poświęcone, ale też smaku pełno.

Baczkowicz Jan. Jeden z budowniczych kościoła w Ołyce na Wołyniu, około r. 1635—1640.

Baczkowska Dorota. Wspominają o niéj akta Radzieckie miasta Krakowa pod rokiem 1538 (X. IV. 3. 14. str. 2), *Dorothea Baczkowskij*, a za niemi i bar. Rastawiecki w swoim słówniku; ale najprędzéj być może, że to tylko żona malarza, (może *Math. Baczkowskiego*).

Baczkowski Mathias. Malarz Krakowski, wspomniany w aktach Radzieckich pod rokiem 1544 (*Boczkowski—Batzkowski alias Wolka Mathias* (X. IV. 5. 16, str. 542 i 639).

Baczyński Józef. Urodzony w Hruszkach na Wołyniu, około r. 17 . . , nauki pobierał w Wilnie. Tadeusz Czacki mianował go kuratorem szkół naukowego okręgu Wołyńskiego, a następnie był marszałkiem z wyboru szlachty i prezesem. Cały niemal czas swobodniejszy poświęcał on malarstwu, któremu oddawał się z zapałem. Największe upodobanie miał w karykaturach, w których celował. Z więk-

szych jego robót jest obraz znacznego rozmiaru scenę z r. 1791 wystawujący,—inny rynek Krakowski w czasie powstania Kościuszkowskiego,— inny, celebrę archijereja w Kijowo-Pieczerskiéj Ławrze. Ostatni ma być pełen życia i charakteru. Zostawił także kilka rękopismów drukiem dotąd nieogłoszonych. Umarł w późnym wieku, w Dawidówce (pow. Żytomirskim, d. 28 stycznia 1838 r.). Rękopisma znajdują się u p. Stanisł. Nowowiejskiego, któremu i tę wiadomość winniśmy.

Baczyńska Józefa z Bohuszów, żona jego, wychowanka domu Czackich star. Nowogr. uczyła się malarstwa u Bacellego i Lariusu w Krzemieńcu. Malowała akwarellą zwłaszcza kwiaty i minijatury. (Nota p. A. Słowikowskiego).

Baczyński Stefan. Sprowadzony ze Lwowa przez hr. Worcellów malarz portretów olejno i dekoracyjny.

Umarł przeżywszy lat kilkadziesiąt w Stepaniu na Wołyniu u hr. Worcellów, po r. 1815. Nosił się po-Polsku, miał być dowcipnym i miłego charakteru człowiekiem.

Malował w Stepaniu w r. 1805 wnętrze kościoła parafijalnego *al secco*. Tamże pokoje w domu hr. Worcellowéj podstoliny w. x. Lit. nad Horyniem, i wnętrze altany w ogrodzie Stanisł. hr. Worcella podstolego w. x. Lit.

Olejno malował:— obraz Chrystusa klęczącego i modlącego się w Ogrojcu, przy nim anioł, w dali trzéj apostołowie,— Chrystus na krzyżu, pod krzyżem św. Marya Magdalena klęcząca,— P. Jezusa Milatyńskiego (na krzyżu),— Tadeusza Judę apostoła,— św. Floryana,— P. Jezusa Milatyńskiego, drugi mniejszy obrazek,— obraz Niepokalanego poczęcia.

Malował także dwanaście obrazów bitw z czasów Fryderyka w. i Stanisława-Augusta. Obrazy te znajdują się pod Stepaniem w Dworcu, majętności p. Kajetana Piastrzeckiego, chorążyca kaw. nar. Lit.

Baczyński umierając zostawił żonę, dwóch synów i dwie córki.

Malarz był mierny, o ile z pozostałych robót sądzić można, ale wykształcenie swe sobie był winien.

(Z notaty p. A. Słowikowskiego).

Baden. Sztycharz w Krakowie, może amator tylko, którego rycina ćwiartkowa, jest w zbiorze A. Grabowskiego, wyobraża rodzaj dekoracyi z owalnym w pośrodku otworem i podpisem: *Baden sc. et excud. Cracoviae.*

Badoureau J. F. Sztycharz w Paryżu, robił rylcem i kropkami. Pracował od r. 1819 do 1831. Znamy jego x. Józefa Poniatowskiego, z rysunku *Edme Gratien Parizeau.*

Baeck-Beck *Elias.* Malarz i sztycharz, zwany Heldenmuth, osiadły w Augsburgu, gdzie w r. 1747 umarł. Sztychował bitwy, plany, portrety, krajobrazy i t. p.

W zbiorze hr. Konst. Świdzińskiego, jest przez niego robiony widok Warszawy, (dług. cali 44,5, wysok. 14,7). U góry na wstędze wielkiemi głoskami napis: *Warsovia*, pod ryciną objaśnienia numerów (29)

i podpis: *Elias Bäck, A. C. fecit. Haered. Jerem. Wolfij excudit. Aug. Vind.*

Widok wzięty z za Wisły. Na piérwszym planie wązki brzeg przeciwległy, na którym kilka źle narysowanych drzew i rozsypane figurki konne i piesze w czapkach z futrem śpiczastych i kitach, suknie długie z potrzebami od góry do dołu, dwóch na kopije. Przez Wisłę przeprawia się prom z powozem i wojskowemi. Za Wisłą widać miasto, ostatnia budowa od lewéj strony pałac Kazimirowski, kaplicę Moskiewską zwaną, widać przez dachy gmachu połączonego galeryą z pałacem Kazimirowskim, napis objaśniający głosi: „*4. Das Adel Frauen Zimmer Stift,*“ przy nim klasztorek z kościołkiem. N. 5. *Das Franzesishe Nonnen Kloster.* Są tu Wizytki zaprowadzone w r. 1667. Widać daléj pałac Koniecpolskich, Ossolińskiego z wieżą, Radziejowskich, najwspanialszy z całego miasta, za którym ku zamkowi widać spalone przedmieścia. Widok ten po r. 1667 robiony około 1670, jak postrzega K. Świdziński, kopijował późniéj Beck.

Tegoż zapewnie, jest mapa Polski do dzieła: *Allgemeine Zeitungs Handbuch* w r. 1748 wydanego, podpisana: C. P. P. S. V. E. Bäck, a H. sculp et exc. A. V. Ćwiartka.

Baerendt C. (*Baerendts, Baerents*). Baerend Karol, rzeźbiarz medalów, płaskorzeźb i sztycharz, urodzony w Dukli, ale wychował się w Dreźnie. Uczył się u Matthaei, Mattensperger'a, Casanov'y i Höcknera. Są jego roboty medale, medalijony, płaskorzeźby z wosku, portrety z natury, kopije z antyków. Niektóre prace chwali Nagler.

Obrazy Baerendt'a ucznia Casanovy na wystawie w Dreźnie 1794, wzmiankuje S. Morawski.

Innego zapewnie *Berendt'a Karola* także były w r. 1821 na wystawie Warszawskiéj modelowane popiersia.

Baeseler (Bäseler). Litograf w Poznaniu; znamy jego: *Rynek i ratusz w Poznaniu w dzień targowy* w litografii W. Kurnatowskiego w Poznaniu wydany. Ładna litografija w arkuszu (*à deux teintes*).

Baftałowski J. Litografował w Berlinie w r. 1838 wizerunek Klaudyi z Działyńskich Potockiéj.

Baglewicz (?). Litografował w r. 1840: *Jan Sandmann* wirtuoz muzyczny (arkusz).

Bagni C. W katalogu rycin, zbioru A. Batowskiego pod N. 1411, jest: *Joannes Rex Poloniae* w 24, na miedzi, z podpisem sztycharza *C. Bagni.* O żadnym naźwiska tego artyście wiadomości znaleźć niemogliśmy.

Bahmann. Sztychował na stali, portret Władysł. hr. Ostrowskiego z laską marszałkowską w ręku: *Ladislaus Graf von Ostrowski etc. 4-to.*

Bakałowicz A. Uczeń szkoły sztuk pięknych w Warsza-

wie. Na wystawie 1830 r. (Gaz. War. 180), były roboty jego wnętrze tuszem i pejzaże. Zabawa w karczmie z talentem obmyślana.

Zobacz *Piotr Wroński.*

Bąkowski Teofil. W r. 1852 czytaliśmy w gazetach ogłoszenie, że Teofil Bąkowski artysta-malarz (sic) przybył z zagranicy, stoi na Podwalu w hotelu Słowiańskim i maluje portrety olejne po 10 r. sr., z zaręczeniem podobieństwa (!!!). Dla osobliwości wspomnijmy i to, chociaż niezaręczamy za artystę, jak artysta za podobieństwa.

Bąkowski *Jan-Wincenty Jaxa* (hrabia). Sztycharz amator. Urodził się z ojca Mateusza a matki Anieli z Komorowskich Bąkowskich (rodziny dawnéj Pomorskiéj) w Wiśniowczyku w r. 1760, umarł we Lwowie r. 1826. Mąż ten oprócz talentu z charakteru swego wysoce był ceniony, żył w ścisłych stosunkach z Ossolińskim i przyłożył się do ustanowienia Zakładu imienia Ossolińskich we Lwowie. W wolnych godzinach trudnił się rytowaniem i rysunkiem, a liczne próby prac jego ma zbiór Medycki Pawlikowskiego.

Rytował. 1. *Jędrzeja Morsztyna* podskarbiego, z ryciny *Edelinck'a.*

2. *Gerard hrabia Dönhoff*, wojewoda Pomorski, oraz podskarbi w. kor. Rytował *J. Bąkowski, in 4-to* (ze staréj ryciny).

3. Ryciny monet i medalów Polskich.

Rysunek oryginalny Jana Jędrzeja z Radzymina Morsztyna z Edelinck'a, fol. przez niego robiony w r. 1792 ma zbiór Ossolińskich.

Portret jego był litografowany.

Balcewicz *Franciszek-Wacław.* Sztycharz, który pracował w Wilnie około 1759 r., ale o życiu jego żadnych szczegółów niemamy. Robił rylcem, po większéj części obrazki świętych, niekiedy mierne, w ogóle nieodznaczające się, ani kompozycyą ani wykonaniem. Większe są jeszcze gorsze od małych.

Największą znajomą jego ryciną, któréj blachę posiada Eust. hr. Tyszkiewicz, jest wizerunek św. Kazimierza królewicza. Oprócz téj pięć innych blach są w zbiorze Tyszkiewiczów Łohojskim. Podpisywał się najczęściéj przez skrócenie: *Franc. Balc., Fr. Balc., Franc. Węcesl. Balc.;* rzadko całém nazwiskiem.

1. *Effigies S. Casimiri Regij Poloniae et M. D. L. Principis cujus corpus indesinentibus gratiis et beneficiis claret in Capella Regia Arcis Vilnens. ad excitandam et confovendam Sarmaticae gentis devotionem ergo hunc suum principalem patronum zelo, cura et sumptu Illustrissimi Excellentissimi Reverendissimi Domini Antonii Comitis Tyszkiewicz Episc. Samogitiae praepositi et Capellae, sculpta et excussa. Anno Domini 1749.* Poniżéj *Franc. Węcesl. Balc. sculp. Vilnae.*

Półarkusz, wysoki cali 16, szer. 11. W ozdobach nakształt portyku, wyobraża świętego stojącego z liliją w ręce jednéj, z krzyżem w drugiéj, gniotącego nogami berło, koronę, tarczę i ślepego genijusza z łukiem w dłoni, mającego wyobrażać miłość ziemską. Świętemu po-

daje koronę i berło nieziemskie anioł po-xiążęcemu ubrany, w koronie, na obłoku niesiony. Po za świętym widok, katedry, miasto, góra Zamkowa i Trzykrzyska. Herb Tyszkiewiczów dzieli podpis. Są odbicia stare i nówsze. Kompozycya i rysunek nadzwyczaj liche, wykonanie także nieszczególne. Ryciny téj kopiję zmniejszoną litografowano w Paryżu.

2. Matka Bozka Niepokalanego poczęcia, na pół-xiężycu i kuli ziemskiéj wężem okręconéj, podpis: *Mater pulchrae dilectionis, Eccl. 24.* Niżéj: *Franc. Balc. sc. Vilnae.* Blacha w Łohojsku.

3. *Mater admirabilis Eysymontoviensis in Districtu Grodnensi.* U dołu: *Franc. Balc. sc. Vilnae.* W ozdobach łamanych z palm i liści złożonych, wśród których w górze draperya i korona, M. Boża trzymająca na ręku Chrystusa dziecię, któren jedną ręką błogosławi, w drugiéj trzyma xięgę. Na pokryciu głowy Matki Bożéj wyszyty krzyżyk Grecki. Głowy promieniste. Sztych nieszczególny.

4. *Błogosławiony Józef Kalasanty od Matki Bozkiéj, fundator szkół pobożnych, umarł r. 1648, beatyfikowany r. 1784, cudami w Rzymie i w innych państwach sławny patron w utrap.* 8-vo. Sztych mierny, ale rysunek w ozdobach niezły. *Franc. Balc. sc. Vilnae.* W ramie łamanéj i liściowéj, owal, w nim figura świgo w birecie i sukni Pijarskiéj, na piersi monogramm w promieniach, w ręku trzyma paciórki, przed nim krzyż. Podpis na podstawie.

5. Św. Jan Nepomucen, w obłokach z krzyżem i pięcią gwiazdami do koła głowy, anioł przy nim palmę trzyma, sześć główek aniołków w górze, u dołu inny anioł z ustami palcem przyciśnionemi kartą, na któréj: *S. Joannes Nepomucenus. Fr. Balc. sc. Vilnae.*

6. Inny zapewnie św. Jan, którego blacha w Łohojsku, nosi całe nazwisko w podpisie *F. Balcewicz sc. Vilnae.*

7. *S. Antonius Paduanus. F. B. sc. Vilnae.* 8-a.

8—10. Trzy nieopisane blachy są jeszcze w Łohojsku.

Balcewski E. Malarz nam nieznany w Wilnie, w drugiéj połowie XVIII w. pracujący; wie o nim *Heincken (II. 51)*, i pisze, że malował portret Maryi-Józefy królowéj Polskiéj, sztychowany bez imienia rytownika.

Balczer. *Balczer Schniczer*, rzeźbiarz w Krakowie w r. 1533 wspomniany w aktach Radzieckich, wedle noty p. Am. Grabowskiego.

Baldi (Baldo) *Antoni.* Malarz i sztycharz z Cava, uczeń Solimeny, sztychował igłą i rylcem, portrety, allegorye i t. p. Pracował (ur. 1688) ok. 1740 r.

Z jego rysunku sztychowano kilka rycin allegorycznych z powodu małżeństwa króla Obojga Sycylij z xiężniczką Sasko-Polską. Na jednéj z nich w górze dwa portrety w medalijonach, niżéj dwie muzy— 4-a, *Heincken.*

Tenże cytuje inne ryciny z powodu téj uroczystości zrobione, wedle rysunków Anton. Baldi. Kilka portretów na rodzaju ołtarza— *Nos copulat Venus* (in 4-o). Król i królowa odbierający cześć od ludu Neapolitańskiego (in 4-o). Wjazd królestwa do Neapolu i t. d.

Baldi Lazzaro. Malarz w Pistoja, ur. 1624, zm. 1703. Uczeń i jeden z najlepszych uczniów Piotra z Cortony. Rysował do sztychu rycinę na cześć Władysława IV, którą rył *C. Bloemaert*, fol. Na rycinie téj cała postać króla konno wystawionego. (Heincken, II. 53).

Zob. *Szymonowicz.*

Balechou J. J. Wyborny sztycharz Francuzki (*Jan Jakub*) urodzony w Arles 1715, zmarły w Avignon 1764. On to z obrazu Hijacynta Rigaud sztychował sławny i tak przez znawców ceniony wysoko portret Augusta III, wystawujący go w całéj postaci, jako xiążęcia jeszcze, w zbroi, płaszczu, za nim w pejzażu murzynek. Portret ten znajduje się na początku piérwszego tomu Galeryi Drezdeńskiéj (1753—57). Ma to być wedle Heinckena arcydzieło artysty, wielce się też szacuje i za drogą rzadkość uważa za granicą, byleby odbicie było dobre i nienowe, bo późniéj blacha była poprawiana przez niejakiego *Zingg* (*Hiencken II. 66*). Huber do pięciu sztuk kapitalnych Balechou liczy ten śliczny portret (*Huber. 288*). Gorsze i późniejsze odbicia jak widać z katalogu Lissnera, płacą się ledwie po dwa talary, gdy piérwsze tysiącami franków opłacane bywają; a *Brunet* (*Manuel du libraire*) pisze, że exemplarze Galeryi w których się ten portret znajduje, wyższą od innych mają wartość.

Najpiérwsze odbicia portretu tego są bez roku 1750 i bez wyrazów: *Chev. de l'ord. de St. Michel.* Odciski całkiem bez podpisu trafiają się także, ale są niesłychanéj rzadkości. Autor *Notice sur les Estampes de la Bibl. Iloyale* i *Voyage d'un iconophile* (*Duchesne*), myli się utrzymując, że portretu Augusta III jeden jest tylko exemplarz całkiem *avant la lettre* w gabinecie Bibl. królewsk. w Paryżu, nabyty w r. 1805, który od sztycharza Daudet przeszedł był do jakiegoś amatora w Bordeaux, a z niego do Bibl. Paryzkiéj. Joubert dowodzi, że tak niejest. Znamy cztery podobne odbicia: 1) w zbiorze Paryzkim kupiony w r. 1807 za 1,200 franków; 2) w zbiorze Drezdeńskim; 3) w zbiorze arcy-xięcia Karola w Wiedniu; ostatni sprzedany na licytacyi Franka w Wiedniu 1836 r. za 130 fl. 45 kr.

Drugie odbicia są bez roku 1750 nad naźwiskiem sztycharza.

Trzecie numerowane (jedno takie posiada zbiór Batowskiego we Lwowie, *21 Epreuve*, N. 1857).

Bez numerów.

Nakoniec, poprawiane przez Zingg'a.

Oto są ceny różne portretu tego, jakie znajdujemy u Heller'a, w katal. Weigla i t. p.

Mariette, 260 fr.; Servat, 100 fr.; Basan, 180 fr.; Valois, 121 fr.; Saint-Yves, 125 fr.; Alibert, 164 fr.; Durand, 900 fr. (bez wszelkiego podpisu), z podpisem bez roku 1750, 300 fr.; Debois, drugie odbicie, 122 fr.; Frauenholz V., 22 fl.; Becker, $4\frac{1}{5}$ thlr.; Schneider, $5\frac{1}{4}$ thlr.; Frank, drugie odbicie, 33 fl.; Weigel, 7 thlr.; Schwarzenberg, $1\frac{17}{24}$ thlr.; Sternberg, $5\frac{2}{30}$ thlr.

Dwa tomy Galeryi, w któréj się znajdują portret króla i królowéj, sprzedawały się po 520 fr., nieprzechodząc nigdy 560 fr.

(Portret ten wysok. 695 millim. i 501).

Tegoż Balechou jest portret Henryka Brühl z obrazu L. Silvestre, równie prawie szacowany jak królewski, (wysok. 438 miłlim. i 365, to jest cali 19 linij 9, i 14 cali 5 linij).

Portrety Brühla znane są także w rozmaitych stanach.

1. Odbicia, bez żadnego podpisu, rzadkie.
2. Odbicia, w herbie u spodu po za lampartami bez chorągwi.
3. W herbie za lampartami chorągwie, głowa nieco poprawiona odmiennie.

Podpis: *Henry Comte de Bruhl premier Ministre de Sax. Majesté le Roy de Pologne Electeur de Saxe.* fol. (1750 r.).

Różne ceny sztychu tego na licytacyach bywały: Brandes, $2\frac{1}{2}\frac{3}{7}$ thlr.; Winkler, piérwsze odbicie, 3 thlr.; Frank, 3 fl. 15 kr.; Weigel, 1 thlr.

Balzer *Jan.* Sztycharz w Pradze 1738—1799, rytował wielką ilość portretów różnych, bitwy, pejzaże, wizerunki świętych i t. p. Roboty jego niektóre tylko staranniejsze są i lepsze, ogół pospolity.

Kilka robót jego ubocznie nas obchodzi.

1. *Paulus Židek*, wizerunek na miedzi (ur. 1413, † 1499), w 8-ce, *Balzer sc.* (w zb. Batowskiego, N. 545).
2. *Paulus Stański*, *prof. gymn. Thorun.*, 8-ka. *J. Balzer sc. Pragae.*
3. *Fridericus-Augustus*, *Elector Saxoniae*, etc. 8-ka. *Pechwell delin. Johannes Balzer* sc. Popiersie w medalijonie.

Niewiem czy tego Balzera, jest jeszcze.

— *Wenceslaus de Budowo Budowicz Consiliarius S. R. M.* w 4-ce. Balcer sc. Popiersie. (Żył za Zygmunta III). Jest w zbiorze Ossolińskich, kat. 104.

4. *Jan Amos Komenijusz.*
5. *Albertus-Augustus-Mauritius*, *Dux Saxoniae et Teschiniae*, *Caes. Reg. Supremus Campi Mareschalcus*, w 4-ce. Johann Balzer sc. et exc. Pragae. Cała postać na koniu.
6. N. Panna Berdyczowska, w 8-ce. *Balzer sc. Pragae.*

Balzer Jan. Malarz portretów w Rydze, gdzie się urodził w r. 1775. Kształcił się w Dreźnie u Casanov'y, i ku końcowi XVIII w. powrócił do Rygi. Tu później pracował. Wspomina o nim Nagler.

Balestra Antoni. Malarz i sztycharz, urodzony w Weronie w r. 1666, zm. około 1734—1740 r.

Z obrazu jego, a rysunku *Ant. Cavaggioni*, sztychował *Carl. Orsolini*, (arkusze) śśw. Aloizego i Stanisława Kostkę w niebiesiech. (*Heincken. II. 73*).

Balicki Karol. Krakowianin, uczeń Głowackiego, malarz i dobry litograf, szczególniéj pejzażysta. Korespondent Bibl. Warszawskiéj 1851 roku pisze o nim: „Jest to jeden z najwięcéj obiecujących uczniów dawnych Głowackiego, a dziś A. Płonczyńskiego.“ W pracowni jego widział sprawozdawca kopije obrazów Steinfelda, Gauermana, Ku-

mer'a, A. Gorczyńskiego, Głowackiego i Płonczyńskiego, tak staranne i sumienne, że ich od oryginałów niepodobna było odróżnić.

Oprócz tych kopij, studijów rysunkowych i litografij wzmiankuje korespondent niewykończonych kilka widoków Krakowa, olejno z natury robionych. Koloryt w nich piękny, żywy, naturalny, dokładność w przedstawieniu wielka i wykonanie umiejętne. W r. 1851 oderwawszy się nieco od robót olejnych, oddawał się p. Balicki sztycharstwu i znakomite w niém uczynił postępy. Wykonywał piękne obrazki religijne rylcem na kamieniu, które wydawnictwo dzieł katolickich ogłosiło.

W r. 1852 robił rysunki do dzieła przez Przeździeckiego i Rastawieckiego wydawać się mającego (*Wzory sztuki średnio-wiecznéj*), między innemi rysunek grobowca kardynała Fryderyka.

Znane są jego:

1. *Zygmunt I*, z płaskorzeźby w domu Bonerów w Krakowie, in 4-to, do *Spomin. Ojcz.* Ambr. Grabowskiego.
2. Płaskorzeźba Wita Stossa w kościele św. Floryana w Krakowie, prześlicznie zrobiona, choć mniéj dobrze odbita.
3. Kilka jeszcze litografij z rysunków *M. Cerchy* do starożytności *J. Łepkowskiego*.
4. *Kościoł w Krzeszowicach*, na papierze do listów.
5. Grobowiec Pakosława z r. 1319 do Rocznika nauk. Krak. 1852, (*au trait* na kamieniu).
6. *Ratusz Krakowski*, do tegoż, kilka litografij.

Znane nam roboty p. Balickiego tak są ładne i wykończone, że je mamy ledwie nie za najlepsze u nas w tym rodzaju.

Baliński S(tanisław). Brat Michała Balińskiego, znanego pisarza historycznego, urodzony w Wilnie w r. 1783, zmarły w Krakowie w r. 1813. Tłómacz La Rochefoucauld, Regnard'a i autor pism innych kilku. W r. 1805 powrócił on z podróży do Pruss, Saxonii, Austryi, Czech i Węgier. (Nekrolog, *Dzien. Wil. 1817 T. VI*).

Z jego rysunków są dwa sztychowane portrety:

1. *Jerzego Mniszcha* (z Killiana?) do dzieła J. U. Niemcewicza, *Panowanie Zygmunta III. D. Weiss sc.*
2. Portret T. Czackiego, sztychowany przez tegoż *D. Weiss* w Wiedniu.

Baliński Stefan. Budowniczy, professor szkoły sztuk pięknych w Warszawie. W r. 1850 restaurował kościoł xx. Karmelitów i pałac Rządowy przy ulicy Miodowéj.

Ballard. Sztycharz mało znany, sztychował z rysunku Z. Vogla, *Karpaty*, arkusz podłużny.

Balzani Józef, zobacz *Jan Fabri*.

Baniewicz x. Józef. Zakonu xx. Kanoników regularnych, w r. 1820 był nauczycielem rysunków w szkole przez nich utrzymywanéj w Litwie, w m. Słonimie.

Bar J.-C. (Jacques-Charles) rysownik i sztycharz aqua forti i lawowanym sposobem; pracował w Paryżu, 1777—1800 r.

Jest jego sztych: *Epithalam* na małżeństwo Ludwika XV z Leszczyńską, arkusz.

Baranowski, x. Bonawent. Zakonu xx. Bernardynów, nauczyciel rysunków w szkole powiatowéj Traszkuńskiéj, utrzymywanéj przez Bernardynów (18 . .).

Baratti Antoni Malarz i sztycharz, ur. we Florencyi około r. 1726, pracował około 1759—64.

Jest jego portret Stanisława-Augusta (w zbiorze A. Batowskiego, N. 2241): *Stanislaus-Augustus Rex*, w 8-ce, na miedzi. *Ant. Baratti sc.*

Barbej A. zob. *Benedi. Farjat.*

Barberyusz Wilhelm (Guilł. Barbier). Francuz, szlachcic, budowniczy wojenny, służył głównie przy Janie-Karolu Chodkiewiczu w jego wyprawach wojennych, i jego staraniem w r. 1607 nobilitacyę otrzymał „ze względu dzielnych rycerskich zasług jego przez wspomnionego hetmana zaleconych."

Bardou *Paweł-Józef.* Malarz Berliński, zmarły w r. 1814. Jego jest obraz z podania o napadzie Litwinów na klasztor zakonnic, w którym mniszka uchodząc sromoty, Litwinowi pod pozorem, że może miecz zamówić, by nieszkodził, ściąć się dała—jakby próbę z siebie czyniąc. Wykonanie i kompozycya piękne.

Bardoux (Bardou, Bardow) Jan. Malarz pastellowy z Berlina, uczeń Lesner'a, w swoim rodzaju wyborny i bardzo wzięty artysta. Wedle Nagler'a w r. 1775 przybył do Warszawy, i tu pracował lat kilka; ale mu się w Polsce niepowodziło. Roboty jego bardzo wypełzły. Dwie kompozycye są sztychowane.

W galeryi Stanisława-Augusta, były:

1. Portret Hr.... w suknie myśliwskiéj (pastel), cali 12 i 9, dukatów 4, n. kat. 601.
2. Xcia Adama Czartoryskiego, owalny, cali 10 i 8, (N. 602).
3. Xiężnéj Jabłonowskiéj, wojewodziny Poznańskiéj z domu Czaplic, cali 10 i 8. (N. 603).
4. Potockiéj z domu hr. Zamojskiéj, w. podkomorzynéj, cali 10 i 8. (N. 604).

Baretti Jan. Stukator, z Mikołajem Piano odnawiał stuki w kościele św. Piotra na Antokolu w Wilnie w r. 1801. Piano umarł w r. 1802.

Bari Piotr. Piotr Bari lub Piotr z Baru, malarz który pracował nad ozdobieniem kościoła xx. Kapucynów w Krakowie około roku 1605, tu zmarł i pochowany z nagrobkiem. Wspomina o nim Ciampi w swéj biblijografii krytycznéj. U xx. Kapucynów ma być nagrobek

na tablicy marmurowéj po prawéj stronie wielkich drzwi umieszczony, z napisem:

Sta. VIator. en.
PetrVs. BarI.
InsIgnIs. PIctor.
In. arte. nuLLI. SecVnDVs.
PenIcILLo. LIbItInae.
DecoLoratVs est.
Die 18 Augusti.

Co znaczy rok 1605 d. 18 sierpnia z chronogrammu. Dzieła jego niesą znane.

Bardelli. Nieznany zkądinąd rzeźbiarz, bo go i Nagler nie wspomina, robił w Rzymie popiersie marmurowe Stanisława-Augusta bardzo piękne, dziś znajdujące się w Łazienkach.

Berchhoff J. G. Jan Gothard, około r. 1676—1697 w Wilnie pracował; niewiadomo zkąd rodem i przez kogo do Litwy sprowadzony.

W kaplicy katedralnéj św. Maryi-Magdaleny znajduje się ogromny obraz *Wszystkich świętych*, malowany przez niego w r. 1690 i podpisany. Śmiałości w nim wiele, ale manijery, przesady i nienaturalności więcéj jeszcze. Po bokach tego obrazu były dwa mniejsze wystawujące *św. Stanisława* i *Kazimierza*. Akta kapituły (*1697 Acta Vener. Capit. 2 octob. f. 594*) dowodzą, że za tę pracę odebrał złotych sześćset nagrody.

W zbiorze piszącego, jest szkic mały tego malarza, dowodzący, że w r. 1676 był już w Wilnie (nabyty w Berlinie). Jest to w ósemce małéj rysunek na papierze sinym tuszem robiony, wyobrażający Merkurego z Kaduceuszem w jednéj, z paletą i pęzlami w drugiéj ręce, suknia zbroją pokryta, fałdzista, przepasana, draperya zarzucona na ramie. Stoi na półkuli ziemskiéj. U góry napis trochę ocięty: *Joannes Gothardus Berchhoff, M. P.* Z drugiéj strony: *Vilnae in Lithvania, A. 1676.* Dokoła: *Nil ego contulerim incundo sanus amico.*

Rysunek łatwy, wprawny, ale niesmaczny, takiego właśnie manijerowanego charakteru jak obrazy w katedrze, w których więcéj umiejętności i odwagi niż talentu, a w ogóle przesada i zły smak panują.

Baron Marcin. Na wydaném przez siebie niesłychanéj rzadkości dziele, mającém się zaraz opisać, podpisał się *Saroslaviensis Polonus* (może, domyśla się P. S. Morawski *Jaroslaviensis*, to jest rodem z Jarosławia).

Dzieło, o którém wspomnieliśmy, z bardzo pięknemi i przez znawców cenionemi sztychami, chociaż jest jedyną ikonografiją świętych Polskich, u nas prawie nieznane. Jeden tylko osobliwszéj téj rzadkości exemplarz był w biblijotece Załuskich, (obacz *Janocki Nachricht I Theil, N. XVII*), dziś w publicznéj Biblijotece cesarskiéj w Petersburgu; drugi miał posiadać p. Gw. Pawlikowski.

SPIS RZECZY.

Notatki Dziwaka, ogłosił Wacław P. . . . . 1.
Myśli z L. Schefera, przez chłopa z pttu Maryampolskiego. 31.
Tukaj, przez A. E. Odyńca . . . . . 33.
Kwestarz Starozakonny, przez W. Korotyńskiego . . . . 44.
Stary Zamek, przez J. I. Kraszewskiego . . . . . 47.
Od Merecza do Kowna, przez St. Morawskiego . . . . 81.
Zdanie sprawy o Tatarach Litewskich, przez A. Muchlińskiego . . . . . 122.
Wiadomość historyczna o zamkach, horodyszczach i okopiskach starożytnych na Litwie i Rusi Litewskiéj, przez Konst. hr. Tyszkiewicza . . . . . 181.
Piśmiennictwo w W. X. Poznańskiem od r. 1850 i charakter tegoż w poprzedzających latach przez Ant. Białeckiego . . . . . 197.
X. Marcin Poczobut, przez Michała Balińskiego . . . . 235.
Jan Chodźko, przez Dominika C. Chodźkę . . . . . 271.

Korespondencya Teki:
Listy: 1., J. I. Kraszewskiego . . . . . 293.
2., A. B. . . . . 319.
3., Andrzeja Jastrzembskiego . . . . . 335.
4., O gospodarstwie . . . . . 343.
5., Szymona Konopackiego . . . . . 377.
Ogłoszenie Konkursu do napisania historyi włościan i stosunków Ekonomicznych w dawnéj Polsce . . . . 378.
Od Redakcyi Teki Wileńskiéj . . . . . 382.
Dodatki: Chatka ojca Toma (ciąg dalszy)—od 25—65.
Ikonotheka (ciąg dalszy) od 49—81.

TEKA
WILEŃSKA

WYDAWANA

PRZEZ

JANA ZE ŚLIWINA.

Numer szósty.

WILNO

Drukiem Teofila Glücksberga,
Księgarza i Typografa Wileńskiego Naukowego Okręgu.

1858.

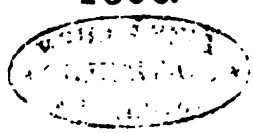

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno, dnia 10 czerwca 1858 roku.

Cenzor, Paweł Kukolnik.

MIMOZA.

POWIEŚĆ SENTYMENTALNA,

PRZEZ

LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

Ces deux personnes n'en font qu'une. Elles sont tellement entrelacées comme les deux âmes et les deux existences des deux époux, que la vie de l'un est le contre-coup perpétuel de la vie de l'autre, et que le même événement ou le même sentiment, répercuté dans un double écho, n'y produit qu'un seul et même intérêt.

DE LAMARTINE.

I.

Nielubię, gdy się romans zaczyna od balu;
Nielubię heroiny wyciętéj z żurnalu,
Na którą się modniarka składa i perukarz—
Bo najczęściéj pod blichtrem serca niewyszukasz,
Zwłaszcza, gdy idealnéj szukasz heroiny
Na szybach woskowanych, we mgłach krynoliny....
Lecz któż niewie, jak rzadko spotkać ją w tym świecie,
Gdzie uczucia tak sztuczne, jak robione kwiecie
Gdzie spójrzenia, uśmiechy i łzy wykłamane—
Jednakowoż bywają dusze tak wybrane,

Że żal patrzeć jak łańcuch z pajęczyn uwity
Przykuwa nie Maryle same, a Judyty.....

II.

Na przekor założeniu temu, moja powieść
Chociaż nietendencyjnéj natury, chce dowieść
Że na balu w Warszawie.... Przecudne tam bale!
Nietylko w sam karnawał, i po karnawale
Ochota nóg się trzyma z szlachetnéj podniety
Ażeby opisywać miały co gazety.
Otóż, na jednym balu— tak powieść dowodzi:
Był panicz i panienka,— oboje zaś młodzi
I na świat wstępujący. Niewiem czy się godzi
Nazwać ich? więc nienazwę; lecz węzeł zawiążę
Gdy powiem: ona była pięknością, on— xiążę.
Że zaś piękność— tu węzeł mój zadzierzgnę lepiéj—
Niezawsze się na drzewie herbownéj krwié szczepi,
I niezawsze z posagiem chodzi w jednéj sforze...
Otoż wpadam w socyalizm! uchowaj mię Boże
Od téj zmory, co dusi nasze powieściarze,
I daj, niech bez tendencyi tę powieść domarzę.

III.

W potokach światła, woni, kolorów, gorąca,
Parę tańczącą para prześciga tańcząca;
Walc wirowaty salę jak uragan wstrząsa:
Klarynety wciąż górą, bas niby się dąsa;
Skrzypce, jak śpiew pastuszka w dolinie pod lasem,
Rozlegają się echem i kłócą się z basem—
To Strauss lubieżne tony do serca tak leje
Jakby napój miłośny— i wszystko szaleje.....

Girlanda tylko matron zbyt chudych, lub tłustych,
Ustawiona pod ścianą, cenzura dla pustych,
W wysokiém nastrojeniu na kamerton cnoty,
Przez podwójne lornetki śledzi te obroty
Par tańczących i wzrokiem pomiędzy nie wpada,
Aż tancerka tancerza porzuca i siada.....
Właśnie usiadła jedna sukienka białutka
Z twarzyczką jak w mgłach xiężyc lub w mleku jagódka—
Wolę to porównanie, bo nie osyaniczne—
Słowem, dziéwcze to było tak śliczne, tak śliczne...
Lubo niewiem, czy jasną płeć miała, lub smagłą?
Gdyż najpiérwsze wrażenie bywa rzeczą nagłą,
Jak działanie promieni słonecznych Daguerra—
Wrażenie się przyjmuje, ale nierozbiera....
Najpewniéj, że w niéj wszystko było odpowiedne
I w cząstkach i całości, i tak niepowszedne
Szczególniéj ócz wyrazem, potém ust uśmiechem,
Że zgubić dla niéj duszę niebyłoby grzechem...
Chociaż grzechem być może w tegoczesnym duchu,
Co się rad zabezpiecza od tego wybuchu
Przez wolne wydymianie sercowych wulkanów,
W grze, sporcie i wojażach naszych Anglomanów
Wychodzących z infimy....
Usiadła pod ścianą,
Słuchała niesłuchając, już przygotowaną
Jakąś długą perorę mówioną półgłosem;
Zniosła ostre spójrzenie, rzucone ukosem;
Zniosła nawet— co dziw mi— na czoło zsunięty
Promyk włosów; a wachlarz ma nierozwinięty,
Choć po szalonym walcu chłodzić się wypada,—
Zwłaszcza, gdy pierś zmęczona wznosi się i spada
Jak fala, co uderza o morskie krawędzie—
Szumne to porównanie znalazłem w Ostendzie.

IV.

Gdyby tam jaki bystry dostrzegacz stał z boku,
I uważał niezwykłą odmianę w jéj oku
Co z pod rzęsów jedwabnych długi promień słało
W jeden punkt, tylko w jeden— bo nic niezbaczało,
Jak i słońce niezbacza patrząc w Boże światy
Gdy odświeża je wiosną w zieloność i kwiaty,—
Pewnieby w lot pochwycił, jak wyżeł przepiórkę,
Jakiś sekret i w serca aż zajrzał komórkę.
Szczęściem, że go niebyło! wreszcie, trwało krótko;—
Bo oto przed pięknością, xiężycem, jagódką,
Młodzieniec wzrostem, czołem, profilem tak inny
Od reszty,— stanął przed nią; a jakiś pan zwinny
Choć otyły, zapewnie gospodarz zabawy,
Przedstawił go, z tytułem xięcia, do Warszawy
Tylko co przybyłego....
Panna się spłoniła,
Odrzekła cóś półgłosem i oczki spuściła;
Choć pewnie weń patrzyła owém światłem duszy,
Co widzi o mil tysiąc i co słyszy w głuszy.—
Wszak bywają osoby o dwoistym wzroku,
Co widzą w oddaleniu, nawet w nocnym mroku,
Lepiéj niż na dniu,— jest to organizm nerwowy;
Wreszcie tak samo widzą i koty i sowy—
Lecz ja chciałbym tu skreślić stan dwóch serc niezwykły:
Gdy się spotkały w tłumie i naraz przenikły
W skutek prądów tajemnych ku sobie biegnących
I gdzieś się w napowietrznéj drodze krzyżujących,
Aż zawiązują węzeł, sympatyą nazwany,
W moc którego nieznaną, już kocha nieznany.

I zanim się ich oczy spotkają, dłoń zbliży,
Już czują cóś w powietrzu i krew' bije chyżéj,
A wewnątrz się rozlewa tęsknota tak rzewna,
Wszystkie myśli przenika harmonja tak śpiewna,
Że co widzą, co słyszą, co dotkną— to wszystko
Przedstawia się jak z innych światów pojawisko:
Kwiaty lepiéj im pachną, niebo błękitnawsze,
I zieloność zieleńsza, ludzie dobrzy zawsze
Jak anioły— a ziemia istny raj przed grzechem....
Możnaby świat spółbożyć takich serc uśmiechem!
Lecz dobre się nieszczery jak mór, lub cholera—
I ten uśmiech na ustach ironji umiera!
Cóż dziwnego, że para tak usposobiona
Szukała się— znalazła... i w jego ramiona
Gdy zaprosił do tańca, jak gołąbka biała
Rozpostartemi skrzydły na piersi zleciała.
I oboje w tłum wpadli.

V.

Próżno chcieć ode mnie
Bym opisywał, jak to walcować przyjemnie,
Jak wonne tchnienie wciągać, oko topić w oku,
I ulatywać w niebo w wirowym obłoku—
Bo mógłbym jak raz trącić o płaską zmysłowość,
Lub zabrnąć w Balzakową opiso-rzeźbowość,
Z zasady rozdrabianą dzisiaj na atomy,
Z czego treść arcy-kusa rośnie w długie tomy
I na łokcie się płaci. Ja sam téj metody
Trzymam się, i co chwila wymyślam przeszkody
Zupełnie jak w gonitwach końskich z przeszkodami;
Gdyż im dłuższa rzecz będzie, xięgarz więcéj da mi.

VI.

W tém orkiestra ucięła, szmer powstał na sali
Ogólny szturm na biufet.....

VII.

Gdzież będziem szukali
Pary naszéj? Nieśmiałbym posadzić ich przecię
Przy szumiącym szampanie, truflowym pasztecie,
W gawędce o miłości z krytycznym poglądem,
Niemniéj filozoficzno-estetycznym sądem,
Co się często kochankom tegocześnym zdarza,
Że lawę namiętności leją z kałamarza.
Tam— ich niéma. Lecz gdzież są?
Gdzieżby indziéj byli
Jeśli nie tam, gdzie xiężyc świeci, słowik kwili,
Wody mruczą, a drzewa wieczorne pacierze?—
Zwykle piękna natura dziesiąty grosz bierze
Z piérwszych uczuć,— a zatém wniosek oczywisty,
Że w każdym zakochanym trochę panteisty.
Zgadłem!... otoż ich widzę w oknie. Cień firanek
W połowie ich zasłania, a xiężyc kochanek
Znów w połowie oświeca. Podobnie ich miłość
Teraz jasna— w przyszłości pochmurna zawiłość....
Ale gdzież im te myśli trapiące przyjść mogą,
Gdy w téj chwili prócz siebie niewidzą nikogo?
Bo i pocóżby mieli wyprzedzać tę chwilę,
Gdy w niéj upojeń, szczęścia, zbiegło się aż tyle!...
Cherubin przed jasnością Bożą ócz niemruży,
Tylko mdlejąca wiara wciąż lęka się burzy.

Niewiem co tam mówili; milczeli najpewniéj.
Milczenie się wyraża w miłości najśpiewniéj
I najgłębiéj,— jak cisza Ukrainnych stepów
Gdzie niezmierna tęsknota od niebieskich sklepów
Wieje w serce człowieka, pogrąża w zadumie,
Że już sobie ze światem rady dać nieumie.
Milczeli— pocóż mówić, gdy wszystko dokoła
Tłumaczyło ich myśli. Włoskich topól czoła
Kłaniały się winszując narodzin Erosa....
Od gwiazdek uśmiechniętych spadywała rosa
Wilgotnym pocałunkiem; róż pąkowie prysły
I cudną woń posłały wietrzykiem od Wisły;
A słowiczek, poeta odwieczny a nowy,
Wyśpiewał dla nich sonet. Na cóż im rozmowy?
Na co rozmowy, kiedy ich źrenic promienie
Spływały się ze sobą, mięszało westchnienie,
Usta drżały jak listki, a ściśnięte dłonie
Gadały o najmniejszym drgnieniu serca w łonie.
W kontemplacyi wzajemnéj wszystko się zamyka;
Jest to w sztuce miłości największa mistyka,
O któréj ni Grek żaden, ni Owid niewiedział;
Chrześcjaństwa od pogaństwa najszerszy w tém przedział,
Który znowu najnówsza chce godzić nauka:
Że kto duszę posiada, ten i ciała szuka.
Jeśli romanse grzeszą zbytnią gadaniną,
Tedy niemy bohater, z niemą heroiną,
Tępoby posuwali ten dramat miłośny,
I każdyby go cisnął, mówiąc: że nieznośny;
Że autor niepotrzebne nasuwa domysły,
Że i w miłości język powinien być ścisły
Jak w algebrze;— co słusznie, wszak dzisiaj kochanie
Jakby algebraiczne wygląda zrównanie.

VIII.

Niewiem czy xiążę przeczuł naszę niecierpliwość,
Czyli też przyrodzona uniosła go żywość,
Czy wreszcie powódź uczuć, tak nagle, jak wody
Górskie, śród najpiękniejszéj wezbrane pogody,
Niemogła się pomieścić w piersi bez pęknięcia,—
Co się i malowało w rysach twarzy xięcia
Bladych, skurczonych bolem téj wewnętrznéj burzy—
Bo się chwycił za piersi, i jęknął: och dłużéj
Milczeć mi niepodobna!— W nieaktorskim geście
Znać było nieudane cierpienie. Nareszcie
Przybrawszy wyraz twarzy spokojnie posępny,
Rzekł:

„O przebacz mi pani! jeżelim występny,
„Jeżelim cię śmiałością moją mógł obrazić....
„Tyś wybrana i święta— a czyż mógłbym kazić
„Choćby cieniem złéj myśli anielskość dziewiczą?
„Ku tobie mię coś niosło siłą tajemniczą;
„O mil tysiąc przeczułem, że ktoś mię tu czeka;
„O mil tysiąc wiodła mię jakaś postać lekka
„Jak we śnie kiedy człowiek po powietrzu lata".

Z tych słów wydał się xiążę, że jest dyplomata,
Bo odgadł sytuacyę, w którą go rzuciła,
Od wszelkiéj dyplomacyi potężniejsza siła.
A że w tém odgadnięciu i ona postrzegła,
Jak się w jedném uczuciu z kochankiem swym zbiegła,
Więc milcząca, ku ziemi spuściła powieki.

„Pani!— mówił znów xiążę— twój jestem na wieki!
„Jedno mgnienie rozstrzygło, namysłu nietrzeba;
„Bo czuję, że się na mnie spełnia wyrok nieba...
„Niewiem jakie przeszkody świat pod nogi ciśnie—
„Lecz wiem, że łańcuch świętéj przysięgi nieprzśnie;

„I cokolwiek tu spotka, ślubów mojéj duszy,
„Ludzie mogą naruszyć, niebo nienaruszy.
„Ażebyś niemyślała, że w mozgu się pali
„Szaleńcowi— daj mi tę gałązkę konwali;
„Będzie to moich przysiąg świadek, i zadatek
„Wzajemności twéj pani. . . O daj mi ten kwiatek!
„Położę go na sercu; gdy to bić przestanie,
„W niego przejdzie nadzieja moja i kochanie,
„I wonią mówić będzie, niż ja mówię tkliwiéj,
„Że choć tu nieszczęśliwi, tam będziem szczęśliwi!“
Zapomniałem z początku kiedym te osoby
Wyprowadzał na scenę, wymienić ozdoby
I znaki szczególniejsze: kolor sukni, włosów,
Czy w nich był powój, fjołki, lub girlanda z wrzosów;
Jaka tusza, nos, usta jakiego rozmiaru?
Do pisania paszportów widać niemam daru.
Chcąc jednak to naprawić, potrzebna jest wzmianka,
Że w jéj włosach świeciła konwalji równianka,
I że kilka gałązek uciekłszy z szeregu
Leżało na jéj szyi jak płateczki śniegu.
Otóż do tych to zbiegów xiążę miał przemowę,
I żądanie przy wstępie trochę romansowe,
Co chyba wytłómaczy ta jedna uwaga:
Że na wstępie szczególniéj popłaca odwaga,
Zwłaszcza kiedy tak jedna jak druga osoba
Czuje pociąg i jedno w drugim się podoba.
Jakoż xiążę zgromiony niebył; lecz przeciwnie,
Słodko się uśmiechnęło dziéwcze, i naiwnie
Podało mu uszczkniętą konwalji gałązkę,—
Nie jak ów, co to znalazł zgubioną podwiązkę,
I aktem komedyanckim dar skompromitował:
Ona dała pamiątkę, a xiążę ją schował.
Wszystko to się odbyło prędzéj niż w tym rymie;
A w takiéj tajemnicy, że nawet jéj imie

Niebiegało po sali rzucone przez ciocię,
Pytającą: gdzie Kocia? kto mi porwał Kocię?
Pewność tę jeszcze lepiéj ten wzgląd udowodni,
Że ludzie się nietrudnią drugimi gdy głodni,
Szczególniéj, gdy zastawne czekają ich stoły;
Wyjątkiem od reguły jest głodny, a goły.

IX.

Cóż daléj? czytelniku zapytasz wraz ze mną,—
Cóż daléj? przyznam ci się, że daléj dość ciemną
Podano mi legendę, niby kropek kilka....
W których może się zmieścić i pasterska chwilka,
I balkonowe sceny Romea z Juljetą,
I porwanie z klasztoru, i podróż karetą,
Pogoń, odbicie, scena z zagniewanym tatą,
Jakimściś kontuszowym zaciętym Sarmatą,
Co się na sentymentach nieznа ani trocha,
Co myśli, że dość kazać— a serce pokocha,
I nawzajem, że grzechem kochać bez rozkazu,—
Słowem, tysiąc scen, rysów do tego obrazu
Mógłbym brać, aby wypchać ten środek, jak ptaki,
Wypychają, w żołądek kładąc sierć lub kłaki—
Aż ptak będzie jak żywy, tak złudną z piór szata;
Lecz w tém sęk, że nieśpiewa, ani też nielata.
Te wszystkie kombinacje, jak panny do wzięcia,
Przeciągały przede mną;— lecz nic przedsięwzięcia
Niezmieniało mojego. Dwa skrzydła motyle
Dano mi, więc je razem ze sobą zeszpilę,
A o kadłub, już mniejsza— bo cóż po kadłubie?
W motylu każdy skrzydła lubi, i ja lubię;
Tak samo i w powieści; gdy początek dany
I koniec— to już mniejsza, czém kadłub wypchany.

Zresztą, źle jest z wszystkiego naraz się wygadać;
Co braknie, czułe dusze mogą podokładać.

X.

Cóż robi nasza piękność po owym wieczorze?
Co może;— a co xiążę? on również co może.
A zatém nic nierobią oboje. W tym szale
Wiele się wzdycha, marzy, przemyśliwa, ale
Zwykle nic się nierobi; bo i robić trudno
Gdy w samotności gwarno, a w gwarze bezludno,
Kiedy jedno za drugiém po obłokach goni,
Szuka w kwiatach i trawkach, gdzie igra Fawoni,
Bożek, którego tutaj wskrzesiłem dla wiersza;
Restauracja klasyczna, zaiste niepiérwsza,
Wszak *ktoś tam* o klassyków Warszawskiego xięztwa
Niedarmo tyle kopij skruszył— bez zwycięztwa.
Otóż choć się szukają zrazu gdzie ich niéma,
Choć miłość taką próbę dość długo wytrzyma,
Jednakowoż ból serce ugniata jak zmora:
Xiążę się rozchorował, i ona też chora.....
Choroba jest potrzebna jak burza w naturze—
Serce jeśli niepęknie, wzmocni się przez burzę.
A widać, że obojgu wyszło to na zdrowie:
Bo się więcéj zbliżyli odtąd kochankowie.
Jakież z nich nowicyusze! jaki brak rutyny!
Dzisiaj rzadko kto chory z tak błahéj przyczyny,
Pewny znanéj recepty: klin klinem wysadza.
Gdy jedno serce chybi, drugiem wynagradza.
Myśli takie na chwilę u nich niepostały:
Jakoż są to wyjątki— albo ideały,
Tyle tylko z drugimi mające wspólnego,
Że on chciałby w nią patrzeć— ona patrzeć w niego.
Zbliżyli się nakoniec! Lecz takie zbliżenie
Kochanek przedsiębierczy miałby w nizkiéj cenie,

Bo i zbliżenie nawet różnie się tłumaczy:
Czyż Gustaw potępieniec na szczycie rozpaczy,
I po stracie nadziei niechciał przestać na tém,
By Maryla z nim była jak „siostrzyczka z bratem“?
Któżby na tém nieprzestał? Wszak to same szczęście!
A jednak, gdy je mamy, marzy się zamężcie.
Miłość jest, jak pragnienie niezgaszone niczém:
Mógłbym to poprzeć Biblją, Dantem, Mickiewiczem,
A nawet z życia wziętym przykładem okrasić,
Gdyby dziś nieumiano pragnienia tak gasić,
Że nic się ogniotrwałéj piersi już niecsepi....
Rozsądźcie, czy to lepiéj, czyli też nielepiéj?—
Nim trybunał miłości w sprawie téj orzecze,
Muszę wracać do wątku, bo jeszcze uciecze,
Jak z wiatrem nić pajęcza którą snuje jesień,
Niby ostatni kwiatek, stygnących uniesień.....

XI.

Wracam tedy do rzeczy. A więc się zbliżyli,
I widywali często, z daleka— lecz czyli
Były jakie zabiegi ze strony xiążęcia,
Aby się ojcu panny przedstawić na zięcia?
Tego niewiem; zapewnie późniéj to nastąpi.
Wiemy jak zakochani zazwyczaj są skąpi
W szafunku chwil grą uczuć tyle zaprzątniętych,
Ażeby po protekcyę gdzieś do wszystkich świętych
Biegać, kłaniać się, ściskać, wyprawiać obiady,
Układać twarz i mowę jak do maskarady,
A na dobitkę robić z notaryuszem targi—
Niźli to, milsze dla nich cierpienia i skargi.
Jakoż o tém niemyślą.
Codzień ona blada,
Rumieniec znikł od balu— w otwartém usiada

Oknie, po za kwiatkami, co w donicakach rosną,
A przed nią z naciągniętą kanwą stoi krosno,
Gdzie haftuje; tradycya ta od Penelopy;
Wszystkie tęskniące panny iść muszą w jéj tropy.
A jednak kwiatki, listki, pod jéj paluszkami
Jakoś wschodzić nierade— bo haftuje łzami;
Główkę wspiera na dłoni, wzdycha raz po razu—
Czasem klęknie, i rączki złoży do obrazu
Częstochowskiéj Madony— i wtedy, o cudzie!
Cóś ją ciągnie do okna popatrzeć... Tam, ludzie
Niby rzeka, ulicą płyną— obce twarze...
Lecz chód jego w ulicznym wnet rozezna gwarze,
I nigdy się niezmyli. Bo oto młodzieniec
Przesuwa się, wzrok podniosi— a na nią rumieniec
Występuje tak nagły, serce drży, wzrok ćmi się,
Aż niewie czy to jawa, a może jéj śni się?
Takie jedno zbliżenie na cały dzień starczy;
Nicby z nimi niewskórał i język potwarczy.
Lecz z czasem i on śmielszy; lubo się zdawało,
Że już po piérwszym kroku niewiele zostało;
Bo wstęp był impetyczny jak początek ody.
Dziś spokojniejsza szyba téj głębokiéj wody;
Ich gwiazdy, chociaż stałe, wciąż dążą ku sobie,
Że jedna doba, drugiéj niepodobna dobie.
Xiążę coraz się częściéj ulicą przechadza;
Czasem bukiet ma w ręku, co myśl serca zdradza
Symbolem purpurowym, żółtym lub niebieskim—
Czasem też na przepysznym bachmacie Czerkieskim,
Powoli po pod oknem przejeżdża, a źwierze
Zwykle karne i grzeczne, jakoś na kieł bierze,
Wspina się, w miejscu kręci— nieraz popręg pryska—
I spójrzenia ich dłużéj sypią się z ogniska....
Aczkolwiek ócz wymowa ma swe Cycerony,
To się czucie wymówniéj wyraża przez tony;

Najwymówniéj w dotknięciu, w uścisku najdzielniéj.
Lecz tę skalę kto inny niechaj uzupełni.
To pewna, że miłości aż dwa są rodzaje:
Jedna tutaj się kończy, druga nieprzestaje
I za grobem snuć swoich marzeń i nadziei;
Jedna nienasycona, gdy druga się przei.
Że kochankowie nasi do piérwszéj należą,
Widać to ze wszystkiego: bo cierpią, i wierzą,
I ulgi nieszukają w tém co ją przynosi.
Przecież kto się chce zbliżyć do panny, ten prosi
Rodziców, albo krewnych, o wolność bywania;
Rozpoczyna formalne o rękę starania;
Walczy z przesądem, upór, intrygę zwycięża,
I chcąc być mężem, musi zdobyć imie męża.
Tryb to zwykły; lecz oni odmiennego kroju:
Codzień przejrzeć się wzajem, jak słoneczko w zdroju,
Westchąć, zblednąć, zczerwienieć, kłaść rękę na sercu,
Jakby się przysięgało na ślubnym kobiercu,
Spotkać się na spacerze, lub w kościelnym tłoku,
Usłyszeć nótę dumki miłośnéj o zmroku,
Znaleźć zgubiony bukiet, a wierszyk w bukiecie—
To już dla nich wystarcza, to szczęście w ich świecie.
I tak ubiegło lato na senném marzeniu,
Niby anioł, co spłynął na złotym promieniu,
I przyniosł aż z Edenu kwiatów pełne kosze,
Któremi posypywał wszystkie ich rozkosze,
I pragnienia człowiecze, że prawie myśleli,
Iż mogą tu na ziemi kochać jak anieli.
Lecz trafem, między inne, rodzaj niezabudki
Wmięszał się i ostrzegał, że raj ziemski— krótki. . . .
Kwiat ten zowią przeczuciem.
A cóż jest przeczucie?
Oto najsłodszych sercu rozkoszy, otrucie!

XII.

W romansie tym przeczucie grało wielką rolę,
I tak jéj, jak i jego owładnęło wolę,
Że naraz, i téj chwili, oboje wiedzieli,
Jak we śnie magnetycznym, gdzie się spotkać mieli;
I pewno niechybili. Czy w Saskim ogrodzie,
Czy w aleach, gdzie z ciotką o wieczornym chłodzie
Wyjeżdżała powozem, czy na nabożeństwie
Wiedział gdy słaba, wiedział gdy w niebezpieczeństwie,
Bo raz wpadł był do domu i narobił krzyku,
Że gore! Ona również w swoim pokoiku
Siedząc, naraz uczuła przestrach niespodziany,
W chwili, gdy go w nurt Wisły niósł koń rozhukany.
Słowem taką sympatyą zrosły się ich dusze,
Że przykład aż na braciach Syamskich dać muszę;
Bo jeśli się plecyma zrość mogli bliźnięta,
Czemuż dusza niemoże z duszą być zrośnięta?
Przebaczcie, jeślim znudził tą metafizyką;
Wszak każdy ma pretensję, zapewne dość dziką
Tłumaczyć fenomena, co są nad pojęcie.
Niedarmo filozofy brodzą w tym odmęcie
Od czasu, jak im Szekspir rzekł prawdę niemiłą:
Że są rzeczy, o których ani się im śniło.
Odtąd pyszny filozof wszystko rad tłumaczy,
Z tą maleńką różnicą, że każdy inaczéj.

XIII.

Niewiem czylim sympatyę zdobył dla méj pary,
I czyli kto nie powie, że to sposób stary
Kochać tak niedołężnie i sentymentalnie?
Nieprzeczę— i już czuję jak mię krytyk palnie—

Lecz cóż począć? tak było! niemoja w tém wina:
Że bohater marzyciel, marząca dziewczyna,
Po powietrzu latają jak Dantowskie duchy,
Z kwiatów życia strząsają ledwie same puchy;
Smutków, radości ziemskich, prawie jak niedzielą,
I żywi, gdzieś na gwiazdkach gniazdo sobie ścielą
Z westchnień, spójrzeń, snów, rojeń, i pieszczot niewinnych,
Jak gdyby mieszkańcami byli światów innych,
Jak gdyby rzeczywistość w zębate swe koła,
Nieśmiała jak człowieka porwać i anioła?—
Gniewajcie się jak chcecie, lecz miłość prawdziwa,
Rzadko jest działającą, częściéj gnuśną bywa;
Jéj ogień niehartuje, owszem serca topi;
Najtęższi przy Omfalach, zniewieścieli chłopi.
Bo kiedy łzy do oka cianą się bez przerwy,
A serce pierś rozsadza, rozstroją się nerwy,
A za gardło ból chwyta, a gorączka pali—
Czy podobna w tym stanie być mężem ze stali?
Mniemam też o niejednym wielkim bohaterze,
Co zasłynął romansem, że kochał nieszczerze,
A przynajmniéj uczucie podzielił na dwoje,
Między sławę rycerską, a kochankę swoję.
Przeciwnie tam, gdzie miłość ma swój cel jedyny:
Światy marzeń ogromne, a małe są czyny;
Bohater, istne dziecko, co na koń drewiany
Wsiadłszy, zrywa wędzidłem, naciska kolany,
Miota się, rusza cały, a koń stoi wryty...
Grek niedarmo z pian morskich postać Afrodyty
Tworzył,— a ztąd miłości symbol: morska pianka.
I takim był mój xiążę i jego kochanka.

XIV.

Ile ciemna legenda dostarczyła rysów,
Tylem o nich powiedział.
Pod cieniem cyprysów,
Arab fantazyi swojéj może puścić wodze,
Bo ciekawych słuchaczy niebrak w nudnéj drodze;
Zresztą puszcza bezbrzeżna, piaskami zasiana,
Wydaje tak powieści jak Fata-morgana.
Lecz u nas, gdzie bez gazet żyć prawie występkiem,
Tym podobne androny, pół-uchem, pół-gębkiem,
Słuchają się i mówią. Salon nie pustynia,—
Choć w puszczy, niż w salonie prędzéj muz świątynia.
Com słyszał, to powtarzam, zwłaszcza, że fakt pewny,
A nie bajka gdzie wchodzą zaklęte królewny.
Owoż jednego ranka, dziwny kaprys losu
Zburzył ten raj kochanków. Piorun bez rozgłosu
Spadł i rozciął jak mieczem dwie duszyczki bliźnie,
Że się już niepołączą, aż w wspólnéj ojczyźnie;
Mówiąc jaśniéj:— mój xiążę wezwan telegrafem
Na dwór, wracał natychmiast; również dziwnym trafem,
Ojciec panny zaniemógł; więc przysłano po nią,
I oboje w przeciwne strony, na raz gonią:
On na północ, daleko.... ona o mil kilka....
Chwilka ich połączyła— rozłączyła chwilka.
Czy złowrogie przeczucie ostrzegło ich wprzódy?
Czy sny były straszące, lęk serca i nudy?
Tego niewiem; najpewniéj, że cóś być musiało,
Lecz nicby niepomogło, kiedy tak się stało;
I konieczność ich wzięła jeszcze w takie kluby,
Że ni ona lubego— ani on swéj lubéj
Niemógł nawet ostatniém pożegnać wejrzeniem....
Słońce, dzień ten powinno było choć zaćmieniem,

Niebo, łzami obchodzić, kwiaty listki stulić....
Przecięż wdzięczna natura mogła się rozczulić
Nad nimi, kiedy uczuć była powiernicą...
A tymczasem, jak na złość, dzień nad okolicą
Rozpostarł lazurowe bez plamki namioty,
Złote słońce świeciło, świecił xiężyc złoty,
I świat się uśmiechiwał jak dziecię z pieluszek,
Niebacząc na łzy krwawe rozdartych serduszek.

XV.

Grad tęsknic, melancholii, trwóg, gorzkich wyrzutów,
Spadł na nich i okolił jakby klatką z drutów.
Osóbno przesadzone ptaszki obojętnie,
Patrzą na świat dokoła, choć wabi ponętnie
Cukierkami rozkoszy; choć przyrzeka zatrzeć
Te rysy, a tam w głębi, choć niekaże patrzeć
Po za siebie, a tylko w urocze obrazy
Różowemi małżeństwa powleczone gazy,
Piękne imie i statek, folwarki i cugi,
I podobnych konjunktur szereg jeszcze długi...
Ten język dla obojga był niezrozumiany,
I odpadał, jak grochy rzucone o ściany.
Mimo tego, z obojgiem co chciano, zrobiono:
On został cudzym mężem, ona cudzą żoną.
Bez żadnéj protestacyi spełnił się obrządek,
Jakby tego wymagał społeczny porządek,
Wola ojców; nareszcie, że to rzecz przyjęta,
By chłopcy się żenili, za mąż szły dziewczęta...
Niewierzyłem, wyznaję, w całe to podanie,
Żeby się związek taki odbył jak śniadanie,
Bez mdłości, przekleństw, szlochów i bez krwawéj sceny;
Lecz widać, że dziś rzadziéj sztylet Melpomeny

W życie nasze się mięsza; z czego wniosek taki:
Że nieprawda, co piszą Sandy i Balzaki.

XVI.

Był dzień majowy ciepły; mgła wilgotnych woni
Wisiała nad sadami bzów, wiśni, jabłoni;
Słowik zaś te zapachy chcąc zagłuszyć w pieśni,
Przekonał, że duch woni, duch śpiewu, rówieśni
Są jacyś geniuszkowie. Jeśli woń odurzy,
To śpiew z serca wyciśnie uczucie, jak z róży
Wyciskają na wschodzie olejek pachnący...
Był to dzień.... dosyć tego!
Na ganek służący
Przyniósł z poczty dzienniki, i list pod adresem
Saméj pani. Gazety porwał pan obcesem,
I zatonął po uszy w dziennéj polityce.
Pani list otworzyła....
Oblicze kobiéce
Niejest duszy źwierciadłem.— Niech to nieobraża;
Wszak oblicze z marmuru, pod dłutem rzeźbiarza
Jedno-li poruszenie wewnętrzne wyraża;—
Toż marmurową maskę gdy wdzieje kobiéta,
Nic przez nią najciekawsze oko niewyczyta,
Krom tego, że los jakieś popisał tam runy,
Za któremi cierpienia leżą lub całuny...
Czytała— a na masce marmurowo białéj,
Niedrgnął jeden nerw więcéj; i prócz plamki małéj,
Co zrumieniła lice, nieznać plamki innéj—
List pewnie obojętnéj treści i niewinny.
Sam mąż, co zrazu zérknął nad arkusz dziennika
Chcąc ją spytać zkąd list ma, i co tam zamyka?
Gdy ujrzał marmurowość, pytania niewtrącił.
Dobrze zrobił! Na wieki byłby sobie zmącił

Wieśniaczy, czerstwy żywot. On, co się tém chlubił,
Że górnych sentymentów w kobiécie nielubił,
Cenił w niéj gospodarność przy zdrowiu, urodzie,
Za złe niemiał, chociażby hołdowała modzie,
Byle znowu wciąż nieszły sążniste rachunki,
On, co przyszedł do takiéj, jak powiadał, żónki,
Co była i gosposią, ładną i posłuszną,—
Musiałby teraz zgłębiać zagadkę jéj duszną.
Sęk nielada! Logogryf rozwiązywać taki!
Ztąd sądzę, najszczęśliwsze podobne prostaki:
Bo co wewnątrz? niedbają, jak ci antykwarze
Ceniący Benoenuta rzeźbę na puharze,
Niepatrzą w środek, myśląc, że naczynie próżne.

XVII.

U gminu wieści noszą jaskółki podróżne—
I ta forma w poezyi bardzo jest na rękę,
Bo ptaszkowi do dziobka dość włożyć piosenkę,
Aby z efektem oddał smutną katastrofę—
Aktorka, gdy umiera, woli paść na sofę
Niż na ziem; ja rad nierad padam na podłogę—
I, już ten list nieszczęsny powtórzę jak mogę!
Wprzódy jednak maleńki szczegółek dołożę.
Dzisiaj właśnie, rok temu, na balu....
— Mój Boże!
Któż potrafi rozwikłać losu plątaniny!
Dosyć, że dziś rocznica, niby urodziny
Miłości extatycznéj, dziwnéj, niepodobnéj,
Upowitéj promieńmi, nadziei zagrobnéj,
Kołysanéj w najgłębszym dwójga dusz tajniku,
I pragnącéj co prędzéj na gwiazdy promyku
Wrócić znowu zkąd zbiegła— pomiędzy anioły—
Snadź za czysta na ziemskie walki i mozoły!

XVIII.

I wybuch jéj rozpaczy przeszedł bez wybuchu.
Jakoż wszystko stłumiła w sobie, w piersiach, w duchu,
Gdy czytała wyrazy listu od kochanka—
Bo to był list od niego. . . . .
„Pani! tego ranka
„Lekarze byli u mnie; poznałem z ich twarzy,
„Że już nic się spodziewać niemam od lekarzy.
„Ledwo kilka dni życia zostało mi; czuję
„Jak duch mój gdzieś w daleką drogę się gotuje.
„Dokąd pójdzie? sam niewiem; lecz jeśli choć trocha
„Zatrzyma w sobie woli, to ku téj co kocha. . .
. . . . . .
„Do listu, kilka zeschłych konwalii gałązek
„Dołączam, pod ich godłem zrobił się nasz związek—
„One moję przysięgę słyszały— te świadki,
„Zasadź w ziemię— pielęgnuj jak zwyczajne kwiatki,
„Jeśli odżyją barwą i wonią po zgonie,
„To znak, że ja w nich żyję i dla ciebie wonię. . . .“

XIX.

I koniec. . . . Zakochani miewają pomysły,
Tak dziwne, że je rozum nieprzyjmuje ścisły;
I ja sam bym odrzucił, gdyby nie uwaga,
Że żadnéj cudowności rozum niepomaga,
Owszem depcze jak bajkę i do chorób liczy
Wszelki z zagrobnym światem związek tajemniczy.
A jednak to zdarzenie wyszło z ust prawdziwych,
I heroina sama liczy się do żywych,

A niezmyślonych osób; istna *sensitiva*,
Od świata stula listki— ale w świecie bywa,
I pyta: co tu robię?— U wód za granicą
Spotykać się z światową mogłeś samotnicą,
Gdyż jéj dziwna historya z ust do ust krążyła.
Zapytana o prawdę— nigdy nietaiła,
Owszem pokazywała dowód, ów uschnięty
Kwiat konwalii pieszczony jak depozyt święty,
I nigdy nieodstępny. Liście, białe dzwonki,
Odżyły tak wspaniale, że ołtarz patronki
Niepodobna ozdobić nawet piękniejszemi;
A zapach wydawały jakby nie téj ziemi
Tylko innéj; w legendach gdy święty się zjawia,
W powietrzu taką wonność po sobie zostawia.

Kraków, 15 lutego
1858 roku.

PRZESYŁAJĄC MIMOZĘ,

do hr. J. P.

Pani, co rzadki posiadasz przywiléj,
Że umiesz mówić i słuchać najmiléj,
Często i niewiesz w rozmowy zapale,
Jak sypiesz perły, dyamenty, opale,
Niby z Tysiąca Nocy xiążę Wschodnie,
Gdy każe skarby miotać na przechodnie.
Los mi nadarzył jednego wieczora,
Żem miasto rupii, schwycił Koh-i-nora,
I rad nad podziw monarszéj szczodroty,
Chciałem ten klejnot mieć w oprawie złotéj.
Chełpliwość srodze była ukarana,
Bo to był kamień z władzą talizmana,
Który mi zaraz dziwny figiel spłatał:
Żem już po ziemi niechodził a latał
Wirowym lotem wiatrakowych skrzydeł,
W zaklętym świecie bajecznych mamideł,
Goniąc a goniąc bez tchu, wypocznienia,
Jakieś dwie Diwy, dwie Peri, dwa cienia
Zrobione z woni, muzyki i tęczy...
Myślałem, że mię ta pogoń zamęczy—
Ale na szczęście dopadłem gdzieś soli,
I one cienie wziąłem do niewoli.
Sekret to bowiem jeszcze średniowieczny,
Że kiedy dręczy Kobold niebezpieczny,
Lub czarnoxiężnik gdzie na zdradzie stoi,
Solą się tylko zły duch uspokoi.

Szeroko o tém legenda pisała:
Jak marmurowa Venus z piedestała
Zbiegłszy, goniła za artystą w tropy,
Przez całą drogę z Rzymu, po Alp stopy;
Jak po noclegach, spoczynkach, popasach,
Czy to w ruinach, czy w skałach, czy lasach,
W różnéj postaci trapiła biedaka,
Mieniąc się we lwa, rysia, wilkołaka,
To znów czarnego na koniu rycerza,
Co miał twarz trupią, skrzydła nietoperza;—
Aż raz w zamczysku, gdy go noc napadła,
Ta sama Venus wieczerzę z nim jadła
Lukullusową. Różne tam szatanki,
Siarczyste wino lały mu do szklanki,
Owoców, potraw, stawiały obfície,—
Artysta zmiatał— był przy apetycie.
Lecz mu się jadło niesłone cóś zdało,
Więc ze solniczki soli szczyptę małą
Wziął— i w momencie pękła czarów siła—
Tylko bogini w powietrzu zawyła....

I ten talizman, i bogini ona—
To fikcya stara— tylko odnowiona:
Że kto ze światem fantazyi się zbrata,
Ten dla zwykłego jak stracony świata,
Pewnieby w końcu zamienił się w parę,
W błędny ogniczek, lub ponocną marę,
Gdyby ratunku niebyło w téj soli,
Co z ziemską biédą godzi mimowoli...
Niewiem czy garść jéj niezanadto spora
W téj to powieści— i czy Koh-i-nora
Wartość niezgasła w pośledniéj oprawie?
Osądź łaskawie.

NOTATKI DZIWAKA.

ROZBITEK № 1.

MARZYCIEL-MATEMATYK.

Dziennik Karola.

23 Czerwca.

Słowa professora Jana: „Karolu, strzeż się téj kobiety! zanadto piękną i zanadto poczciwą ma fizyonomiję, może ci na wstępie do życia, życie zagrabić,“ — stanowiły dla mnie niepojętą zagadkę, i chociaż wtenczas zwróciłem na inny przedmiot rozmowę, lękając się teoryj mojego drogiego nauczyciela, ktore niekiedy robiły na mnie boleśne wrażenie, jakiś niepokoj mię dręczył, czułem potrzebę osamotnienia.

Siedząc na Bekieszowéj górze, długo przypatrywaliśmy się miastu, co się u naszych stóp rozsiadło. Gwar życia stłumiony dolatywał nas jakby jaka niezrozumiana prośba czy skarga. Wieczorne mgły, podejmujące się powoli, przykrywały wszystko na wpół przejrzystą zasłoną, i próżno oko starało się przez nie cóś dopatrzyć, rzeczywistość przybrała fantastyczne formy.

Bujaj moja myśli, bujaj swobodnie! Niezrazi cię widok rzeczywistości! — Zaludniaj, tworami twéj wyobraźni, świat otaczający, wysnuwaj co najcudniejsze widzenia i pieść się z niemi ciągle i dłużéj jeszcze. Moja przyszła dola mgłą niepewności przykryta,

i wśród téj mgły wyrastają widma obowiązku i zaparcia się swoich uczuć i nadziei.

I próżno staram się ubarwić dni jutrzejsze, pokrzepić zapał głosem powinności: mimowoli z piersi wydobywa się skarga niezeznana, westchnienia tłumione. — Na co? za czem? któż zgadnie?

Ruszać w świat daleki, kędy wszystko będzie dla mnie obcém, gdzie może niespotkam ani jednéj duszy bratniéj, coby mię mogła zrozumieć, uczucia podzielić. I po co?

Cóż mi przyszłośc dać może?

Nieumiałem sobie odpowiedzieć na te wszystkie tłumnie cisnące się zapytania: niepewność i zwątpienie zagościły w méj pierśi. Żal mi było lat, przepędzonych na szkolnéj ławie, żal pustoty i nieoględności dziecinnéj, — myśl o jutrze z poważnym wyrazem na twarzy, dreszczem mię przejmowała. Ej boleśno, dążyć, a niewidzieć celu! tęsknić i niewiedzieć za czém!

Niepamiętam jak długo tak siedziałem bojując z własnemi myślami i starając się rozwikłać gordyjski węzeł przyszłości; w takich bowiem chwilach, kiedy się nam uda odosobnić się od świata zewnętrznego i tylko, bez zeznania, podlegać jego wpływowi, czas dla nas nieistnieje, przestrzenie nikną, duch, w całéj swéj potędze, rozwija skrzydła do lotu, żyje sam w sobie, z siebie całe życie wysnuwa; wtenczas to właśnie rozwija się w nas cała siła twórczości.

Niewiedziałem dobrze, co się koło mnie dzieje, kiedy mnie wyrwało z zadumy zapytanie professora Jana.

— Kiedy jedziesz, Karolu?

Obejrzałem się dokoła jakby się budząc ze snu. Obok mnie siedzieli Drawdzik i professor Jan, na ich zacnych twarzach malował się jakiś niepokój, obaj badawczo patrzali mi w oczy. Niepodobało się mi to wdzieranie się samowolne do moich myśli, i widoczna chęć ich odgadnienia: chociaż więc wiedziałem, że źródłem ich

troskliwości była najszczersza przyjaźń i że może dla tego tylko chcieli odgadnąć, co było powodem mego zamyślenia, żeby mię zasłonić od zwątpienia radą przyjaźną; lecz, że niemogłem z całą serdecznością, na jaką zasługiwali, wypowiedzieć im wszystkiego co mi się po głowie snuło, wolałem udać obrażonego, i z obronnéj, od razu stanąć w pozycyi zaczepnéj.

— Czyżem już wam do tyla dokuczył, że mię chcecie wyprawić co rychléj? niespodziewałem się, — odpowiedziałem nie bez żółci.

Professor Jan popatrzył mi w oczy, jakby chcąc zbadać przyczynę słów moich, i pokiwał głową, mówiąc:

— Ja niesłyszałem — fałszu niesłuchałem; ludzie z sercem niekłamią nigdy. Karolu, ty tak niemyślisz; słuchaj serca, to najlepszy doradca.

— Daruj mu, drogi professorze, — przerwał Drawdzik — możeśmy go ściągnęli z siódmego nieba, do którego w swych marzeniach zawędrować raczył; to i cóż dziwnego, że się na nas zażalił i nas podejrzewa.

— Ależ nieróbcie ze słów moich sprawy stanu! niesądziłem, że z przyjaciółmi trzeba ważyć każde słowo; — dodałem jeszcze bardziéj rozdąsany, że mię Drawdzik odgadnął.

Dziwna bo też ludzka natura! nigdy się niemoże wyrwać z więzow miłości własnéj, a zawsze swe planiki chciałby każdy z nas okryć nieprzejrzystą zasłoną tajemnicy, któréj niepozwalamy podejmować nawet najbliższym naszemu sercu osobom, nie dla tego, żebyśmy przywiązywali wielką wagę do saméj tajemnicy, ale najczęściéj, przez miłość własną, żebyśmy niebyli odgadnięci.

Takie małe tajemnice naszych rojeń młodocianych nieraz w chwili serdecznego wylania, wypowiemy przed osobą nawet obojętną, ale niedarujemy najbliższemu przyjacielowi, skoro naszę myśl w lot pochwyci znienacka, i da do zrozumienia, że nas odga-

dnął, a przez to samo poda w podejrzenie naszę zręczność ukrywania, tego co się myśli.

— Posłuchaj mię Karolu, — powiedział Drawdzik biorąc mię za rękę, — nie dziś żyjemy z sobą i wiesz dobrze, jak ci życzę: o professorze niemówię, on cię kocha jak syna, tyś wiedział o tém; a jednak w twoich słowach były ślady nieukontentowania; to nie bez przyczyny; wyspowiadaj się nam ze wszystkiego, a jeżeliśmy zawinili przepraszamy cię z góry.

— O tak, szczerość, cecha ludzi bez skazy! Tyś czysty, mój Karolu; bo ja cię kocham, a ja nigdy ludzi dwulicych niekochałem.

Na twarzy professora Jana widoczném było zmartwienie; ton z jakim odpowiedziałem na zwyczajne, niemające żadnego znaczenia pytanie, musiał go dotknąć boleśnie, tém bardziéj, że ja co tyle od niego doznałem, zamiast wdzięczności, płaciłem mu żółcią. Wstyd mi się zrobiło mojego niewczesnego wyskoku, którego niepodobna było niczém wytłómaczyć, chyba rozkapryszoném usposobieniem drażliwego dziecka.

— Daruj mi, drogi professorze,—odpowiedziałem,— i ty kolego niemiéj mi tego za złe; ale miejcie mię za wytłómacznego: kto wie, gdzie los mnie rzuci, czy was kiedy uda mi się spotkać, cóż więc dziwnego że mi smutno byłoby z wami się rozstawać, i że tę chwilę chciałbym odwlec? Wiem ci ja dobrze, że niemam już co robić w Wilnie, że czas mi jechać do domu, ale pozwólcie mi z wami się nacieszyć, nieprzypominajcie mi téj chwili, kiedy będę już musiał z wami się rozstawać. Wy żyjecie w imie obowiązku; ale ja niezapomniałem że mam serce, nienauczyłem się trzymać go na wodzy, i kazać mu milczeć skoro się odezwać niema prawa — i dla tego niedziwcie się wcale, żem zabolał, kiedyście mi wspomnieli o wyjeździe.

— Matka, ojciec, święte obowiązki: jedź dzisiaj, Karolu! — odezwał się professor Jan, błagającym tonem.

— O tak, jedź dzisiaj, Karolu! — rzekł Drawdzik, — posłuchaj

professora. Od wielu to już dni, starzy rodzice wyglądają cię, a doczekać niemogą? Jedź pod domową strzechę pokrzepić się przywiązaniem rodziny, która cię nigdy niezdradzi. Napisałeś do nich, że wyjeżdżasz jutro; zrób im niespodziankę, przyjedziesz wcześniéj, skrócisz o jeden dzień ich niespokojność o ciebie. A przecież za ich przywiązanie, za tyloletnią troskliwość, z którą ujmując sobie potrzeb koniecznych, dzielili się z tobą, byleś tylko wyszedł na człowieka, — powinieneś, wedle sumienia, o ich przyjemności myśleć przedewszystkiém.. O mój Boże! czemuż to nie każdy taki szczęśliwy! po mnie nikt nietęskni, nikt mnie nie wygląda! moje powodzenie nikogo nieucieszy, strapienie niezmartwi nikogo. Wczora po akcie publicznym, poszedłem na cmentarz Bernardyński, tam pod ścianą ukląkłem nad mogiłą, zrosiłem ją szczeremi łzami: może te łzy przesiękną aż do głębi, lub polecą, ze słowami modlitwy, do nich, do moich najdroższych — oni pobłogosławią, z wysokiego nieba, swe biedne dziecię na życia drogę. I spokoj wstąpił w me piersi, z otuchą w sercu wracałem z cmentarza, bom się podzielił ze swą radością, zaczerpnął sił do życia, z mogiły.

Gdy to mówił Drawdzik, dwie łzy, długo wstrzymywane, stoczyły się mu po twarzy; a mnie mimo woli stanął przed oczami nasz skromny domek: zda mi się widziałem, jak o wieczornéj dobie, za długim stołem, siedziała cała rodzina; obok ojca było miejsce próżne, i przygotowane nakrycie, matka z tęsknicą na twarzy spozierała w tę stronę. Serce mi silniéj zabiło, słówa kolegi jak wyrzut ciężyły mi na sercu. On ma tylko mogiłę, a najpierwiéj do niéj pośpieszył, gdy ja....

— Professorze! Franciszku! dziękuję wam, wyście mi otworzyli oczy. — O tak, do domu — do moich staruszków! Każda chwila mi droga: oni mnie czekają i tęsknią do mnie; a ja niewdzięczne dziecię, mamże bez koniecznéj potrzeby, przedłużać czas rozłąki? — O, tak niebędzie! Dzięki wam za szczerą radę! —

I wyciągnąłem do nich dłonie, czekając uściśnienia, któreby mię upewniło, że w ich przekonaniu, oczyściłem się z zarzutu zobojętnienia dla rodziny; — a tak niejest, Bóg widzi, żadna ofiara, żadne poświęcenie, dla ich szczęścia, niebyłoby dla mnie ciężarem.

Professor Jan przycisnął mię do pierśi i pocałował w głowę.

— Bóg dobry — słuchaj serca, Karolu. Pamiętaj w życiu na ojca i matkę; ich wola — Boża wola. Nieszukaj w świecie innego przywiązania, — znajdziesz gorączkowe wyskoki; ale to fantazma, prawdy w tém ani źdźbła.

Ostatnie wyrazy odkryły mi jasno całą strategiję moich drogich przyjaciół: zrozumiałem dla czego chcieli mnie dzisiaj koniecznie wyprawić, widzieli bowiem z wrażenia, jakie na mnie spotkanie w ogrodzie zrobiło, że jutro mogę zabrnąć daléj. Obie strony były w fałszywéj pozycyi, i dla tego niemogliśmy się porozumieć; ja udałem, że się niedomyślam, professor Jan i Drawdzik lękali się cóś napomknąć, żebym niepomyślał że mnie chcą na pasku prowadzić, a co gorsza, żeby oporem nieobudzić we mnie uczucia, które jeszcze było w uśpieniu. Ja musiałem milczeć, bo i cóżbym powiedział? ja sam siebie nierozumiałem, wiem tylko, że rozmowę o tém uważałbym za profanacyę uczucia.

— No to idź do domu i pakuj do mantelzaka rzeczy! — powiedział Drawdzik, — a ja skoczę na Żmudzką ulicę, nająć żydka dla ciebie. Wiesz, że to zrobię lepiéj od innych; znacie mię z téj strony, że nieprzepłacę drożéj jak warto. Za godzinę pojedziesz z Rabinem daléj w drogę, my cię przeprowadzimy. Zajdę do Ignaśia i poszlę go kursoryą, żeby się wszyscy zebrali.

— No, do widzenia! a czy professor Jan z nami?

— Z wami. Przed wyjazdem parę słów rady. Doświadczenie wesprze zapał. Żal się rozstawać, to źle: przyzwyczajenie to niewola; przywiązanie, to skutek przyzwyczajenia — przeciw teoryi i moim zasadom.... ostatni raz.... Dobry chłopiec.... szkoda....

Tkliwe serce.... wrażliwy.... artysta.... nieszczęście.... laur na mogile....

Cedził po słówku, mrucząc staruszek zchodząc w zamyśleniu z góry Bekieszowéj. Często bardzo mu się zdarzało tak myśleć głośno, mianowicie kiedy był wzruszonym; ale dla tego, by z tych oderwanych wyrazów myśl złożyć, trzeba było go tak znać jakeśmy go znali, — a i dla nas niekiedy bywał zagadką.

Kiedyśmy się zbliżali do ostatniego zakrętu ścieżki, mimowoli wzrok mój zwrócił się, do owéj ławeczki; ale na ławce niebyło nikogo. Kiedym się odwrócił, spotkałem się z badawczém spójrzeniem professora Jana i niewiem dla czego, ale czułem że mi rumieniec zalał twarz całą; a professor Jan spuścił głowę i daléj mruknął:

— Tak, tak.... nieszczęście.... piękna.... młodość, czas i praca uleczą.... jest rana.... niedmuchaj w iskrę.... zły znak.

Professor Jan był zakłopotany i zamyślony, ja także niemiałem popędu do rozmowy, może dla tego, że mi niewolno było mówić o tém, co mi przyjemność mogło sprawić? przechodziliśmy więc, przez aleje ogrodu, niemówiąc do siebie ani słowa, jakbyśmy byli obcymi dla siebie.

Nierozumiem dla czego professor Jan nierozpytywał mnie o kapitanie i o jego córce; przecięż mógł tak jak się to zwyczajnie dzieje, zapytać kto oni są? zkąd ich znam? i jakie nasze stosunki?

Jego milczenie w tym względzie musi mieć jakiś powód, czyżby mię podejrzewał? ale nie, to niema żadnéj podstawy; chociaż kto wie? Jego oderwane wyrazy wiele mi dały do myślenia; zresztą naglenie mnie do wyjazdu, także ma swój cel. Niesłychanie byłem ciekawy, co też sobie wyobraża, kochany pedagog, ale niesmiałem go wprost zapytać, a wszystkie moje strategiczne manewra, żeby naprowadzić na ten przedmiot rozmowę, na nic się niezdały, zbywał mię monosylabami.

Na ulicach spotykaliśmy mnóztwo osób, wracających ze spa-

cerów, wesołe rozmowy, śmiech szczery rozmawiających, jakieś boleśne na mnie robiły wrażenie, wolałbym widzieć, twarze smutne dokoła, niż uśmiechające się i nadziei pełne, był to egoizm tęsknicy; mnie było smutno, po cóż się oni weselą?

Piérwszy to jeszcze raz wyjeżdżając do domu, niezapomniałem o wszystkiém, w rodośném upojeniu; przeszłych lat jeden ten wyraz, wakacya, był zródłem nieprzebranéj radości, a teraz wyjeżdżałem do domu, z tęsknicą w sercu, czyż bym się tak mógł, w przeciągu jednego roku, zmienić?

W milczeniu przeszliśmy przez Zamkową ulicę, zwróciliśmy do mojéj bramy, bez zeznania wdrapałem się po wschodach, których stopnie uginały się jak klawisze, instynktowo otworzyłem drzwi swojéj stancyjki i z gorączkowym pośpiechem zacząłem zbierać swoje manatki, co niewiele mi trudu kosztowało.

Professor Jan przypatrzywał mi się mrucząc, przez pewien czas, w końcu widać niemogąc już dłużéj wytrzymać, odepchnął mię od mantelzaka, mówiąc:

— Bez planu, bez symetryi, robota ladaco: spocznij sobie, ja ci złożę; i zaczął wyjmować z całą pedanteryą odzienie, bieliznę i xiążki, złożone już do mantelzaka.

— Patrz, surdut źle złożony, — ciągnął daléj, jakby pomagając słowem zajęciu; — nieoględność matką marnotrawstwa; marnotrawstwo, to kajdany na niezależność; rozumna skrzętność wyswabadza człowieka z więzów, jakie nań stanowisko społeczne wkłada, — bądź skrzętny, ale nie skąpy; niezbieraj, ale umiéj wydatkować. Cała filozofia swobody indywidualnéj, na skrzętności się opiera; zapracować wiele łatwo; wydać mniéj jak potrzeba, trudno: szanuj pracę jako cel, ale nie jako środek.

— Ależ drogi professorze!—przerwałem mu,—tego ostatniego zdania nierozumiem, żeby praca miała cel sama w sobie, przecież sam proces pracowania nienader jest przyjemnym i tylko nadzieja, jest dźwignią wszystkich cnót i poświęcenia wszelkiego — któż-

by cierpiał i dręczył się przez całe życie dla samego cierpienia, niemając nadziei, że jego troski i pot krwawy będą kiedyś policzone.

— U was tak zawsze: daj pierniczka, będę grzeczny, wieczne dzieci; czas stać się mężami, uznać godność człowieka we własnych piersiach,—być zacnym dla zacności, robić dobrze dla dobra samego, inaczéj niéma zasługi, czysta spekulacya, — ja ci daruję kamyk, a ty mi daj w prezencie brylant. I kogoż to chcecie oszukać waszemi wybiegi? któż to będzie płacił frycowe? bo gdy jeden korzysta bez zasługi, musi dla równoważenia téj korzyści ktoś inny stratę ponieść, na tém prawo równowagi: Le bon Dieu n'est pas si simple! — powiadał stary pieśniarz Francuzki — i słusznie powiadał.

Gdy to mówił professor Jan, kończąc składać mantelzak — drzwi się z hałasem otworzyły i wpadł do pokoju Ignaś, a za nim kilku kolegów. Postrzegłszy jak się professor nachyla, poczciwy Ignaś podbiegł wołając:

— A toż co, kochany professorze? tego już zanadto, żebyś w twoim wieku, nas urwisów wyręczał; na to nigdy niepozwolę! — i porwał w objęcia professora, pocałował go w ramię, i prawie gwałtem odwiódł od mantelzaka, posadził na jedyném krzesełku, i tak daléj ciągnął.

— Ot tak, kochany professorze, siedź spokojnie, gderaj nas, bo warto, rozkazuj a my będziemy wypełniać. A tobie co się stało, Karolu, — dodał zwracając się do mnie — że dziś znienacka nam się wymykasz? Pytałem się starego Franka, ale będziesz mądry kiedy się z nim dogadasz. Trzeba, trzeba, musi jechać; twierdził mi z takim wyrazem na twarzy, jaki ma bóztwo konieczności. A jak wygląda i czy jest bóztwo konieczności, kochany professorze? bo przyznam się ja w mitologii nienazbyt jestem mocny. Wprawdzie teraźniejsi historycy wprowadzają jakąś konieczność historyczną, ja to tego dobrze niezrozumiałem; ale kiedy ta konieczność historyczna może jakkolwiek wyglądać, to zaręczam nie-

inaczéj jak Drawdzik, kiedy mi, paulatim lentule cedził: — trzeba, i trzeba. No i cóż to za gwałtowna potrzeba, moj Karolu? Wyspowiadaj się nam,nagradzając za zawód: bośmy się na dzień jutrzejszy wybierali, jak na wielką wyprawę wojenną, mieliśmy cię, in corpore, przeprowadzić aż na góry Ponarskie. Ja miałem mieć mówkę pożegnalną. Może niewierzysz w moję wymowę? ale uspokój się, Drawdzik miał podpowiadać, ja byłbym tylko organem przejawu. „Die Uebung macht den Meister", — jak twierdził nasz koszlawy Niemiec, choć tylko słowami: bo ucząc przez piętnaście lat grammatyki, sam się jéj nigdy niemógł nauczyć, — ale, nie jego wina, on za to w swoim fachu był mocny, kosy uczył gwizdać, — teraz wiek specyalności.

Wiele słów — niesforność myśli; — dorzucił jakby do siebie professor Jan.

— Zgoda, drogi professorze! przyznaję się do winy, terkoczę jak turkawka, ale cóż miałem począć? Karol nieodpowiada, tylko przewraca oczy i o mało, mało niechlipie, wszyscy milczą; a ja nieznoszę ciszy, bo wtenczas mogłaby mi przyjść chętka, zastanowić się nad sobą samym, a toby mi wielkiéj przyjemności niesprawiło. Zmarnował się chłopiec! powiecie, — i ja z wami powtórzę; ale jeszcze dodam, iż zeznaję, żem się zmarnował i nieobiecuję poprawy: bo to już u mnie we krwi, znajcie krew obywatelskiego dziecka! poczciwa, hulaszcza, kochająca, szczera; ale niewymagaj od niéj wytrwania, pracy, długiego poświęcenia, bo na chwilowe każdy się zdobędzie.

Niewiem jakby długo Ignaś nasz dowodził o swoich wadach, żeby najniespodziewaniéj niezjawiła się w mojéj stancyjce postać, zupełnie nam nieznajoma, z zapytaniem:

— Czy tu mieszka pan Karol Cichowski?

Był to starzec lat blizko siedmdziesięciu, z siwym jak mleko wąsem, z kresą przez całą twarz, na któréj malowała się szczerość i prostota.

Ubranie miał na sobie z szarego sukna, trochę podszarzane; w ruchach widoczna była rubaszność starego wiarusa.

Zdziwiło mię niepomału zjawienie się tego człowieka; i nieumiem sobie zdać sprawy dla czego, ale jakieś przeczucie boleśnie ścisnęło mię za serce.

— To ja jestem, kogoż mam honor witać? — zapytałem.

— Jestem Jerzy Wajtis, stary sługa majora Dzielnowskiego; to do pana, — odpowiedział mi stary wiarus i podał malutki bilecik.

Wziąłem tę kartkę malutką, zaadresowaną ślicznym kobiecym charakterem, i długo przypatrywałem się, nierozpieczętowując, jakby chcąc z adresu odgadnąć, kto do mnie pisze i w jakim interesie. Wreszcie, nie bez pewnego drżenia, złamałem pieczątkę, przebiegłem liścik, — ciemno mi się w oczach zrobiło, niemogłem słowa wymówić, brakło oddechu, chociaż niepojmuję jakie uczucie zrodziło się w méj piersi.

Listek był następujący:

Panie Karolu!

Ojciec mój zasłabł nagle, ja jestem sama, niemamy tu nikogo z blizkich, nikogo z przyjaciół.... Ufam, że mi nieodmówisz pan swéj pomocy. Zaklinam pana na przyjaźń naszych rodziców. Rozpacz mi dyktuje; piszę przy łóżku umierającego ojca: niech to przed panem wytłómaczy niewłaściwość mojego postępowania. *Marya D.*

Milcząc podałem liścik professorowi Janowi, czekając jego rady, jakby chcąc zwalić z siebie odpowiedzialność na niego.

— Idź; obowiązek sumienia.... późniéj odwrócił się do okna, i widziałem jak łzę otarł rękawem, mrucząc te słowa: Fatalizm — tak mu sądzono — biedny chłopiec.

W jednéj chwili byłem na dole, tuż za mną pośpieszał służący; w bramie dopędził mię Ignaś, ścisnął za rękę i idąc ze mną daléj, tak mówił:

— Karolu, ciebie cóś niedobrego spotkało: ja cię nieodstąpię; daję ci słowo honoru, że się niebędę starał zbadać twéj tajemnicy, ale mogę ci być potrzebny, — rozporządzaj.

W milczeniu ścisnąłem go za rękę: bo są chwile w życiu, gdy słowa nic wypowiedzieć niesą w stanie.

— Powiedzcie mi, panie Jerzy, co to za nagły przypadek? zapytałem zwracając się do służącego, co ze spuszczoną głową postępował za nami. Przed parą godzinami widziałem jeszcze pana majora w ogrodzie Botanicznym.

— Ot widzi panicz, to nie piérwszy raz. Moje panisko, to jak się czego zmartwi, to jakby go kosą podcięło; zda się panie niezłomek, a leży bezwładnie, ani ręką, ani nogą. Bo to widzi panicz, jeszcze dawnemi czasy, jeszcze panicza niebyło, wtenczas na świecie, jakiś, odpuść Boże, Hiszpan tak go musnął kulką po czaszce, że ledwieśmy go odchuchali; ale od tego czasu, byle jaki powód, wpada w odrętwienie, i tak czasami parę dni poleży nim się odchwyci. Ale co dziś, to gorzéj jak zawsze; ledwo powrócił z ogrodu, aż tu woźny przyniósł jakieś pisanie, nasz pan przeczytał, pochwycił się za głowę, jęknął i jak snop na ziemię.

— Ale czyż posłaliście po doktora? — zapytałem, zniecierpliwiony długiém opowiadaniem.

— A byłci tam jakiś doktor, ale cóś z niemiecka wygląda, a do tego faktor go przyprowadził, to ja i niebardzo wierzę. Bo to widzi panicz, jak dziś pamiętam, byliśmy z moim panem w Niemczyźnie; mój pan zasłabł swoim zwyczajem, ja tędy i owędy; ale cóż tu począć? same Niemcy, ani jednego człowieka...

— Dobrze, dobrze, mój panie Jerzy; a teraz powiedz mi, co ten lekarz doradził?

— Ja mówiłem panience, że nic z tego niebędzie; ale cóż poradzisz! zaprosili Niemca, trzeba było go słuchać, puścili krew' — ale co to pomoże? już ja to wiem! ale cóż kiedy mnie starego nikt niesłucha!

Ze słów starego mogłem wnioskować, że choroba majora była niebezpieczną, i że może wpadł w ręce jakiego niedoświadczonego lekarza, co zamiast pomocy może jeszcze pogorszyć cierpienia. Dowiedziawszy się więc u pana Jerzego gdzie mieszkają, zwróciłem się do Ignasia z prośbą, żeby pobiegł co rychléj uprosić jednego ze znakomitych lekarzy, a sam poszedłem daléj, niepokojony jakąś wewnętrzną trwogą i smutném przeczuciem. Dziwne to serce ludzkie! któż zgłębi jego tajniki, kto źrodło wszystkich uczuć odgadnie? Nieżyczyłem choroby majorowi; ale jednak, strach się przyznać, lękałem się zostać go do sił powróconym. Tam gdzieś, w naiskrytszym tajniku serca, gnieździło się, niemające odwagi wypowiedzieć się, jakieś dziwaczne uczucie, co niezbyt było dalekiém od zadowolenia. Cieszyło mnie to wewnętrznie, że nieszczęśliwy traf zbliżał mnie do téj dziewczynki, którąm raz w życiu spotkał i która jakieś niepojęte zrobiła na mnie wrażenie. O! jakże pragnąłem być dla niéj pomocą! boleśno mi tylko było, że niejestem lekarzem, i że niemogę, swą nauką i poświęceniem, podźwignąć z choroby majora, do zdrowia go powrócić, a późniéj, z niemém uwielbieniem, spójrzeć jéj w oczy, i niechby w mojém spójrzeniuwyczytać mogła: to wszystko dla ciebie, aniółku świetlany, twoje piękne oczy już się niezałzawią, a boleść będzie daleka od ciebie; ty mnie to wszystko zawdzięczasz, a ja nic w zamian nieżądam od ciebie.

Kiedyśmy już weszli na dziedziniec Kosobudzkiego domu, gdzie czasowie zamieszkał major, w jedném z okien postrzegłem przytłumione światło; jakieś przeczucie ścisnęło mię za serce, przyśpieszyłem kroku, jednym tchem wbiegłem na schody i otworzyłem drzwi do mieszkania. W piérwszym pokoju było ciemno, i tylko, przez wpółotwarte drzwi do drugiego pokoju, przedzierało się światło niepewne i słychać był ciężki oddech chorego. O mój Boże, mój Boże! oświeć mię, co się ze mną stało? przecięż major

był dla mnie zupełnie obcym człowiekiem; a jednak, kiedym przechodził przez ciemny pokój, pulsa mi biły gwałtownie, instynktowie przeczuwałem, że to będzie stanowcza chwila w mém życiu, i żeby się ziemia podemną rozstąpiła i niedozwoliła mi dójść do tych drzwi, za któremi jęczał cierpiący bliźni, czuję że niegniewałbym się wcale. Jerzy mię uprzedził i wszedł do drugiego pokoju, ja się zatrzymałem chwilę, niewiedząc co z sobą począć; w tém drzwi się otworzyły zupełnie, i na progu pokazała się Marynia, lecz jakże była inną! Na jéj twarzy, skrystalizowanéj boleścią, niewidać było śladu łez, oczy pałały jakimś gorączkowym ogniem i rezygnacyą; widziałem w niéj, już nie owe dziecię jasnowłose, co się rumieniło, w pół uśmiechnięte przed kilku godzinami, ale niewiastę silną poświęceniem. W milczeniu wyciągnęła do mnie rękę, jako niemą oznakę podziękowania. Jakżem był malutki i nędzny przy tém dziewczęciu, któréj boleść i nieszczęście nowych sił do poświęcenia dodaje! jam się spodziewał znaleźć rozchlipane dziecko; sądziłem, że ją tulić i pocieszać trzeba będzie: a znalazłem nieodrodną córę Polskich niewiast, których miejsce przy łożu cierpienia sercu blizkich, a którym nigdy niezabraknie siły do poświęcenia i miłości. Kiedyśmy wchodzili do pokoju, ona się zwróciła do mnie z temi słowy:

— Panie Karolu, niech panu Bóg nagrodzi, żeś nieodmówił méj prośbie. Możem źle zrobiła wzywając pana, alem straciła głowę w boleści... niech to mnie tłómaczy. Pan mi to darujesz?

Ja cóś chciałem odpowiedzieć, ale słów mi zabrakło. Musiała jednak wyczytać odpowiedź w méj twarzy, bo skinęła główką i odeszła do łóżka ojca. Zostawiony sam sobie, mogłem się obejrzeć dokoła i zdać sobie sprawę z tego co mię otacza.

W pokoju było na wpół ciemno, świeca przysłoniona zieloną umbrelką, jakieś tajemnicze światło rzucała dokoła. Na łóżku leżał major z przewiązaną ręką, po krwi puszczeniu; twarz jego, niemal granatowa, dziwny stanowiła kontrast z białemi włosami i wąsami;

oczy miał zamknięte, pierś się ciężko podnosiła, a w całéj postawie, sztywnie wyprężonéj, widoczne były ślady niedawno stoczonego boju ze śmiercią. Długo się wpatrywałem w twarz tego starca, śledziłem badawczym wzrokiem zmiany, jakie na niéj kilkogodzinowa choroba zostawiła. Przy łóżku stał lekarz z zegarkiem w ręku, trzymając za puls chorego. Szczęśliwy traf przyprowadził, do łoża cierpiącego majora, młodego lecz znanego ze swéj nauki lekarza, co rychłym ratunkiem wyrwał go ze szponów śmierci; u węzgłowia, wsparta o poręcz łóżka, stała Marynia, wpatrując się badawczo w twarz lekarza, jakby chcąc z niéj wyrok dla siebie wyczytać; przy drzwiach stał wyprostowany Jerzy Wajtis, i od czasu do czasu ocierał rękawem grubéj sukmany łzę, co się ukradkiem po jego zoranéj zmarszczakami twarzy toczyła; pod oknem siedziała wiejska dziewczyna, zapewnie garderobna córki majora, i na dobre szlochała. Lekarz widać dostrzegł niepokój, malujący się na twarzy dziewczęcia, bo niewypuszczając ręki chorego, powiedział półgłosem:

— Uspokój się pani, niebezpieczeństwo minęło, troskliwość reszty dokona.

Marynia złożyła ręce, jakby do modlitwy, i z błagającym spójrzeniem powiedziała:

— Ach zlituj się pan, nieopuszczaj nas.

Właśnie wtedy posłyszałem stąpanie na schodach. Domyślając się, że to nasz zacny doktor Piotrowicz pośpiesza na wezwanie, czułem się w obowiązku uprzedzić obecnego lekarza, żeby tego niewziął za brak zaufania z naszéj strony, podszedłem więc doń i szepnąłem mu na ucho:

— Niech mi pan niebierze za złe, że niewiedząc, iż pana już tu znajdę, uprosiłem doktora Piotrowicza, który właśnie nadchodzi.

— Ależ panie,— odpowiedział młody lekarz, z nieudaną szczerością, — gdzie idzie o życie bliźniego, tam wszystkie konwenanse

muszą ustąpić z placu. Przeciwnie, jestem panu wdzięczny; światła rada d-ra Piotrowicza zawsze się przyda.

Uspokojony z tego względu, wyszedłem na spotkanie doktora, by go uprzedzić o tém co się stało. Doktor Piotrowicz był jednym z najsławniejszych w Wilnie lekarzy, a oprócz tego najzacniejszym człowiekiem. Niebyło wypadku żeby kiedy odmówił swéj pomocy, nieoglądając się wcale na to czy jego pracę wynagrodzą. Był on opatrznością uczącéj się młodzieży; ileż to razy widziałem go, siedzącego po całych nocach przy łóżku niejednego z moich kolegów, przynoszącego lekarstwa, wspierającego datkiem pieniężnym konwalescenta, żeby zbytniém troskaniem się o jutro i chléb powszedni niepotrzebował sił nadwerężać.

Gdym go spotkał w piérwszym pokoju, popatrzał na mnie z podziwieniem, jakby chciał zapytać: a ty co tu robisz? ale widać sam sobie rozwiązał to pytanie, bo zatrzymawszy się na środku pokoju, tak rozpoczął przedwstępną indagacyę:

— Jaka choroba?

— Zdaje się uderzenie krwi do głowy; zresztą, ja niemogę o tém sądzić, bo sam niedawno tu przyszedłem, i wiém tylko, że chory leży zdrętwiały i nieprzytomny, cały zsiniały.

— To dobrze, mnie twój sąd niepotrzebny. Czy był jaki ratunek?

— Jest tu znany panu, młody doktor, puszczono krew', ale chory niewrócił do przytomności.

— To dobrze, a jaki exemplarz?

— Człowiek lat siedmdziesięciu, i niegdyś żołnierz, teraz gospodarz.

— To dobrze. Przy takich warunkach życia najczęściéj się w taki sposób kończy. No, a cóż więcéj?

— Mówiono mi, że otrzymał kiedyś ranę w głowę.

— To bardzo dobrze — jestem w domu — obrażenie miejscowe, cierpienie peryodyczne. A czy niebyło jakiego powodu?

— Zdaje się, że czegoś się zmartwił, jakaś przykra wiadomość.

— A tak, tak, to dobrze — trudna rada, cierpienie będzie skomplikowane. No, a czy ma tam kogo przy sobie?

— Jest córka, lekarz przywołany i służba.

— To dobrze — no chodźmy, ale uważasz waść, żeby to nierobiło przykrego wrażenia na dziecko, nim się my z kolegą naradzim o środkach zaradczych, wyprowadzisz córkę do drugiego pokoju, dość jednego pacyenta. Kobiety, widzisz waść, to jak szkło, trzeba z niemi ostróżnie.

Powiedziawszy to, pewnym krokiem przeszedł przez pokój, otworzył drzwi, i niezwracając na nikogo uwagi, wprost zdążał do chorego, z wlepionym weń wzrokiem. Młody lekarz trochę zakłopotany, ustąpił mu swego krzesła przy łóżku, a sam stanął trochę na stronie, wpatrując się w twarz Piotrowicza, jakby chcąc zeń wyczytać wyrok o sobie. Doktor Piotrowicz milczący siadł na krzesło, wziął za puls chorego, siedział tak przez chwilę zamyślony, później powstał, omacał budowę głowy i szyi, znowu wziął za puls, jakiś uśmiéch przebiegł po jego twarzy, i zwracając się do mnie rzekł:

— No i cóż? — pamiętasz co mówiłem?

Zrozumiałem że d-r Piotrowicz chce sam z kolegą pozostać i z nim się poradzić nad sposobem leczenia, ale niemiałem odwagi powiedzieć Maryni, że jéj obecność przy łóżku ojca jest niepotrzebna; ona musiała postrzedz moje zakłopotanie, bo zbliżywszy się do mnie, zapytała półgłosem:

— Może czego potrzeba?

— Trzeba żebyś pani wyszła ztąd na chwilę, póki się konsylijum odbędzie.

— Ja? — powiedziała z zadziwieniem; a w tym jednym wyrazie tyle było wymowy, tyle miłości dziecięcéj, która niechce pojąć, że córka może łoże chorego ojca opuścić,— że jakby na poparcie méj prośby musiałem dodać:

— Może to kaprys doktora Piotrowicza, ale musi pani mu dogodzić, bo w jego ręku zdrowie ojca pani; on nieznosi, by ktokolwiek był obecnym pod czas konsylijum.

— Ależ mogą być potrzebne niektóre objaśnienia; — któż bezemnie potrafi to zrobić?

— Ja uprzedziłem doktora o wszystkiém. Jerzy mi rozpowiedział.

— Pan? — przerwała, badawczo patrząc mi w oczy; późniéj jakby jaka myśl jasna przebiegła jéj po głowie, bo się czoło rozpromieniło, na twarzy przemknęło cóś podobnego do cienia uśmiechu.

— Kiedy tak, to chodźmy,— dodała; — przepraszam cię panie Karolu: zapomniałam, że pan myślisz za nas dwoje; są przysługi, które się nigdy niezapominają — dziękuję panu, — i jeszcze raz popatrzyła na chorego ojca i kiwnąwszy na służącą i Jerzego wyszła do drugiego pokoju. Jam się na chwilę przyzostał, chcąc zasięgnąć wiadomości o zdaniu Piotrowicza, zapytałem:

— Co będzie, doktorze?

Doktór potarł ręką czoło i cichym głosem odpowiedział:

— Wszystko w ręku Boga, mój chłopcze. Jdź do córki, staraj się ją pocieszyć, ale już nieodchodź dziś do domu, posiedź przy chorym, za parę godzin może się rozwinąć gorączka, jeżeliby cóś było zastraszającego, dasz mnie wiedzieć. No, teraz idź, ja mam tu do pomówienia z kolegą. Ale, ale! miejcie tam na pogotowia senapizmę, i wolałbym żeby córka niesiedziała przy chorym; kiedy potrafisz, to staraj się wmówić, żeby sobie spoczęła, choć to będzie trudno, bo takie wątłe budowy, to wrażliwość w sukienkę odziana, stary może bredzić późniéj, to robi złe wrażenie. No ruszaj, jak będzie potrzeba, to cię zawołamy.

Wychodząc do drugiego pokoju, spostrzegłem Marynię, stojącą u okna, miała ręce załamane, wzrok podniesiony do góry, jakby z niemém błaganiem Ojca Niebieskiego, by na jéj boleść wejrzał

łaskawie i nie skazywał jéj na sieroctwo. O jakże była piękną w swéj boleści!

Skorom do niéj podszedł i zatrzymał się na kilka kroków, niechcąc przerywać jéj zadumy, spuściła główkę na piersi, dwie łzy stoczyły się po jéj twarzy, i tak pozostała przez kilka chwil milcząca. W całéj jéj postaci widać było złamanie, i z owéj silnéj niewiasty, co przy łożu umierającego ojca ze swéj miłości czerpała energiję, bo widziała że iéj pomoc i czujność potrzebne, teraz zjawiła mi się zbolała, znękana, szukająca wsparcia i opieki... Czemuż niemogę oddać swego pół życia, byle tylko jéj ojcu zdrowie powrócić, a na jéj twarzy znów uśmiéch szczęścia i radości zobaczyć? lecz widać nie dość chcieć się poświęcać, trzeba jeszcze zdobyć prawo do poświecenia, trzeba jeszcze do tego Bożéj opieki,— jam pragnął silnie i szczerze, ale Bóg mnie niewysłuchał. Mój Boże, mój Boże! tylu ludzi niepotrzebnych żyje na świecie, czemuż o nich śmierć zapomina, a przechodzi tam właśnie, gdzie jéj odwiedzin najmniéj czekają.... Po chwili podniosła główkę, i potarłszy rączką czoło, jakby chcąc czarne myśli rozpędzić, zwróciła się do mnie z zapytaniem:

— Jakaż nadzieja?

— O bądź pani spokojna,— odpowiedziałem:— doktor Piotrowicz wyratuje, kazał mi panią pocieszyć i właśnie z tém tu przychodzę.

— Poratuje.... a widziałeś pan ten uśmiéch, co przebiegł po jego twarzy? O ja go dobrze widziałam, ja niespuszczałam oka z jego twarzy. O panie Karolu! jacy ci ludzie okrutni: on się uśmiecha z pomyłki kolegi, a niewie tego, czém się ten uśmiéch odbił w mojém biedném sercu.... Pomyłka, ależ od téj pomyłki życie zależy. Panie Karolu, niebądź nigdy lekarzem, żeby na cię żadna sierota niepłakała, żeś jéj swoją pomyłką ojca wpędził do grobu.

— Panno Maryo, zkąd takie dziwne myśli? pani nieznasz dok-

tora Piotrowicza, onby się nieuśmiechnął wobec śmierci; on także jest ojcem, wie jak to ciężko zostawiać dzieci sierotami; a uśmiechnął się (jestem pewny) z zadowolenia, że w porę przybył, on potrafi jeszcze śmierci wydrzeć ofiarę.

— Panie Karolu, niedziękuję już panu, bo po cóż te słowa? w imie naszéj dziecinnéj znajomości wzywałam pańskiéj pomocy, znalazłam pomoc i słowa pociechy. Siostra pańska musi być bardzo szczęśliwa, ona pewnie bardzo pana kocha.

Wyrazy te, wymówione z prostotą i szczerością, miały ten urok niewinności co najtwardsze potrafi zmiękczyć serce, wolne były od wyszukania, lub jakiéjkolwiek bądź intencyi i dla tego może, tak mnie silnie wzruszyły, żem błagająco prawie się odezwał:

— Panno Maryo, pani mi pozwolisz tu zostać póki ojcu niebędzie lepiéj?

— Nietylko pozwolę, ale proszę; będziemy czuwać razem.— Mówiąc to trochę się zarumieniła, jakby się przelękła, że zawiele powiedziała. I znowu przez kilka chwil milczeliśmy oboje, bo i cóżbyśmy mogli więcéj powiedzieć?

Daléj prowadzić rozmowy w tym samym tonie niebyło podobna, a zresztą są chwile w życiu, kiedy tak dobrze pomilczeć razem!

Po pewnym przeciągu czasu, który może sobie trwał długo, ale mnie się wydał bardzo i bardzo krótkim,— chcąc zwrócić na inny przedmiot rozmowę (bo jéj podziękowania chociaż mnie cieszyły, ale i żenowały zarazem), zapytałem:

— Niech mi pani powie jak to się stało, jeżeli wolno pytać?

— O to długa historya, panie Karolu. Mój ojciec miał przyjaciela młodości, z którym razem byli w legijonach, a i późniéj pod jedną walczyli chorągwią, to też kochali się jak bracia; lat temu sześć czy siedm, przyjaciel mojego ojca zasłabł nagle i w przeciągu kilku dni życie zakończył, zostawiając opiekę nad żoną

i synem dwóletnim, zaręczam panu, że się mój ojciec sumiennie wywiązywał z téj opieki, i całemi siłami, nieszczędząc swego własnego funduszu popierał proces, który zagrażał niemal całemu majątkowi sieroty. Przed kilką godzinami otrzymał mój ojciec wiadomość, że proces przegrany w piérwszéj instancyi, a chociaż jeszcze pozostała nadzieja ratunku, możesz pan sobie wyobrazić, jaki to był cios okropny dla mojego ojca. Co się daléj stało niepotrzebuję panu mówić.

Właśnie, gdy Marynia kończyła swe opowiadanie, posłyszałem głos doktora Piotrowicza, wołający mię z drugiego pokoju, co mię zbudził z błogiego upojenia, z jakiém przysłuchiwałem się, nie już samemu opowiadaniu, ale muzyce głosu. Niewiem czemu to przypisać, ale głos największe na mnie robił zawsze wrażenie i często nawet dość trafnie wnioskowałem o ludziach tylko z dźwieku tonów, co się z ich piersi wydobywały. A cóż jeszcze gdy ta pieśń słowa ludzkiego z takiéj piersi pochodziła.

Pośpieszyłem na wołanie doktora, i znalazłem go na miejscu; kiedym wchodził, zwrócił się do mnie mówiąc:

— Trzeba, mój chłopcze, nieodstępować chorego; wstrząśnięnie silne, ale na wszystko jest rada; spisaliśmy wam, jak macie postępować. Jutro rano zajdę; jeżeliby jednak jaka zmiana zaszła proszę przysłać po mnie. To ciekawy exemplarz, zapisuj mi wszystkie zmiany, jakie ci się uda zauważać. A teraz bywajcie zdrowi; chodźmy kolego, mam tu w pobliżu jedną chorą, obejrzymy ją razem, choroba zawikłana, pomożesz mi.

Widocznie te słowa były zwrócone do młodego lekarza, w chęci podniesienia go w naszych oczach.

Doktor Piótrowicz stanowił wyjątek między ludźmi poświęcającymi się temu mozolnemu i tyle wymagającemu zabaczenia osobie zawodowi, wolen był od zazdrości. Przedewszystkiém starał się popierać swoją wziętością młodych rozpoczynających praktykę

lekarzy, skoro w nich dostrzegł sumienne zamiłowanie swego powołania, wytrwanie i bezinteresowność. Zwykle powtarzał następującą maxymę, którą przyjął za zasadę swego postępowania:

— Podnieśliśmy oręż, bracia lekarze, przeciwko śmierci zajazdom: bądźmyż, jak owi rycerze krzyżowi, wytrwali i mężni, bo nieprzyjaciele w tysiące podstępów zbrojni! Idźmy do boju ramie przy ramieniu, pierś przy piersi, niech chwiejącego się wspiera mocniejszy; a hańba temu, coby współszeregowcowi nogę podstawił,— boć to nie rycerska sprawa, ale przemycarzy swiatła, co zachwyciwszy jakąś odrobinę nauki, wnet ją stroją w ubiór pajaca, i chcą łamanemi sztukami lud zadziwiać. Tylko wspólna porada i wspólna praca może nam przewodniczyć w niepewnéj wędrówce badań naszych.

Garnijmy do siebie i wspierajmy młodych zapaśników, boć to nasze dzieci z ducha, zostawmy im spościznę naszéj nauki i doświadczenia; każdy krok mylny starajmy się naprawić, ale niezrażajmy i nie zniechęcajny ludzi poświęcenia, bo nasza dola wszystkim wspólna, dosyć wieńców cierniowych zgotuje sama, grzechém by przeto było, żeby jeszcze ręka bratnia miała cierni przysparzać.

Czuwajmy, bo niewiemy gdzie i kiedy zawzięty nieprzyjaciel bój nam wytoczy.

A do tego boju idźmy z wiarą i miłością. Z wiarą w pomoc Bożą, co nam zasłonę zdejmie z oczu i pozwoli przejrzeć wszystkie tajnie cierpiącego organizmu; z miłością dla przywalonych niemocą, która nas natchnie i oświeci, i niedozwoli frymarczyć w obec umierającego bliźniego, lub też przewlekać cierpienia, by pacyenta zamienić na kapitał stale procentujący, co się ciągle leczy, ale niewylecza.

Takich lichwiarzy zdrowia i życia ludzkiego, winniśmy wspólnie prześladować, by żaden z nich nieśmiał się szczycić chlubném mianem następcy Eskulapa.

Lekarz to kapłan, a nie przemysłowiec żaden, niewolno mu przeto, w brewswemu kapłaństwu, mieć tylko dochód nawzględzie.

I rzeczywiście doktor Piotrowicz niemiał dochodu na względzie, bo pomimo niesłychanie rozległéj praktyki, niemiał żadnego fundusza, prócz zebranéj przez lat wiele biblijoteki dzieł medycznéj treści. Każde nówsze odkrycie w dziedzinie nauki, on piérwszy musiał przeczytać i sprawdzić; gdyby go ubiegł który z kolegów, mocnoby go zmartwił: była to może słabość, ale jakże niewinna!

Przez całą noc przesiedzieliśmy przy łóżku chorego: Marynia wpatrzona w twarz ojca, ja przechodząc wzrokiem od chorego do córki, a przy drzwiach na krzesełku stary Wajtis mruczał półgłosem pacierze.

W obec cierpiącego ojca, nieśmiałem rozpoczynać rozmowy; w razie potrzeby spełnienia poleceń lekarza, porozumieliśmy się monosylabami, i znowu milczeliśmy, poglądając nieraz ukradkiem na siebie.

Pomimo monotonii położenia, niemudziłem się wcale; usta milczały, ale myśl samowolnie rozwijała skrzydła i bujała tak daleko tak swobodnie, tak rozkosznie, jak nigdy.

Zdaje mi się, żeśmy swoje myśli odgadywali wzajem, bo skoro się nasze oczy spotykały, Marynia spuszczała swoje ku ziemi z rumieńcem na twarzy, a mnie jakoś w twarz paliło, musiałem się takoż czerwienić.

Ileż to cudnych zamków nadpowietrznych, przyozdobionych w najrozmaitsze fantazma, dalekich od prawdopodobieństwa, a tak zda się w marzeniach prawdopodobnych, wznosiłem i druzgotałem w chorobliwie podniesionéj wyobraźni!

Teraz kiedy to spisuję, chociaż zaledwie kilkanaście godzin dzieli mię od téj chwili, niemam odwagi przelać je na papier, by odbywszy kąpiel w atramencie nie skarlały do śmieszności, i nie stanęły, w swéj naiwnie eterycznéj postaci, przed memi oczami, z ciężkim wyrzutem na ustach:

„My twoje myśli, za cóż nas puściłeś w świat słabe i kalekie, bez okrycia i podpory? lada powiew rzeczywistości, nas dreszcze śmiertelne przejmują, — lepiéj było nam niewychodzić z cichego kącika, naszego mieszkania pod twoją czaszką, tam my byłyśmy u siebie, a tu nam wszystko obce, jesteśmy celem pośmiewiska, innych rozsądnych myśli, co przyzwoicie odziane, z widocznym celem krążą po świecie. A nasza dola, to dola ogników błędnych. Po cóż było nas puszczać między ludzi? Mówisz, żeśmy ci drogie, a czyż matka, co kocha swe dziecię, wyprawi je w świat same bez opieki i ochrony, by ludzie, widząc obce pacholę, śmiechem szyderstwa je spotkali, a zamiast gościnnosci przy ognisku domowém? w odległych puszczach przytułku szukać kazali?“

O nie, moje myśli, moje marzenia — wy zostaniecie ze mną; żadne ciekawe a obojętne oko was nie dójrzy, nieodgadnie waszego istnienia.

Nad rankiem, chory otworzył oczy; popatrzał na nas wzrokiem bezmyślnym, podniósł nawet głowę, jakby co chciał przemówić, lecz widać sił zabrakło; głowa osunęła się na poduszki — i chory zasnął snem posilnym, oddech był regularny, siność z twarzy zaczęła znikać, a na czole ukazały się krople obfitego potu.

Widok ten wlał w nasze serca otuchę, powiedziałem kilka słów pociechy i nadziei, i przypatrywałem się jak powoli, powieki Maryni ociężały, od potrzeby wypoczynku, główka się pochyliła ku piersi i piérwszy promień wschodzącego słońca zastał ją już śpiącą.

Lękałem się jej zbudzić, i dla tego cichaczem powstałem, kiwnąłem na Wajtisa, żeby nieodchodził, i na palcach wymknąłem się z pokoju.

Wychodząc na ulicę spostrzegłem dwie postacie, przechadzające się przed domem: był to professor Jan i Ignaś.....

OD MERECZA DO KOWNA.

GAWĘDA PUSTELNIKA,

PRZEZ

STANISŁAWA MORAWSKIEGO.

VIII.

JEZNO.

Możeście niesłyszeli, że na świecie jest jakie Jezno? a jednakże pałac tutaj przez Antoniego Paca, pisarza w. x. Lit., wystawiony, dał językowi naszemu tak powszechnie znajome przysłowie: „*Wart Pac pałaca, a pałac Paca*“.

Jest to prawdziwy *gmach*, nie pięknością budowy, nie wdziękiem konturnów, bo niema w sobie żadnego stylu, lecz ogromem swoim zwracający uwagę. Pożar w roku 1837 zdarzony zburzył do reszty już i podówczas od lat trzydziestu zaniedbaną i w połowie opuszczoną siedzibę Polskiego magnata, to jest cały korpus, i jeszcze tu i ówdzie świecące się ozdoby tego pałacu. Stał się on już odtąd zupełną ruiną. Ocalały same pawilony, z których jeden tylko dziś zamieszkały o dwóch piętrach, nielicząc dołu i suterenów, patrzy na tuż pod nim lśniące się jak kryształ jezioro, nietak jeszcze dawno we wszelkie ryb wyśmienitych gatunki wielce zamożne.

Niebraknie pogadanek i bajeczek o tym pałacu. Piérwsze naprzykład podanie, za któregoby prawdziwość niejeden tutej-

szy człowiek do przysięgi poszedł, a które dzisiaj słusznie przed innemi prym trzymać powinno, jest to: że Pac, wznosząc tę budowlę, zamurował gdzieś w niéj potajemnie sto tysięcy dukatów, i przy skonaniu następcom swoim przekazał, aby w razie upadku i zubożenia familii, gmach ten do tła rozbili, a znalezionemi pieniędzmi ród swój do nowéj prowadzili świetności.

Powiadają także, że pałac ten, podług pierwiastkowego planu, miał być prawdziwym kalendarzem olbrzymiego rozmiaru. Miał bowiem wnętrze swoje oświecać 365 oknami i jedném tak nazwaném *wołowém okiem*, poświęconém na rok przestępny. Wchodzić do niego miano dwónastą bramami, a 52 drzwi miało w nim stosunki służbowe ułatwiać. Co do okien i drzwi bodaj czy wszystkie sumiennie zliczywszy, i daleko więcéj się ich tutaj nieznajdzie; ale bram dwónastu niebyło i niéma.

Jest jeszcze jedno podanie na nieszczęście najzupełniéj historyczne, dowodzące smutnéj swawoli naszych magnatów, niekarconych majestatem prawa i siłą jędrnéj wykonawczéj władzy, dowodzące srogich nadużyć dokonywanych przez ludzi potężnych i możnych, przypominające nam średniowieczne Niemieckich rycerzy rozboje. Śpieszył się Pac ze swoim pałacem, chciał go jak najprędzéj mieć i widzieć gotowym: zewsząd przeto jak mógł ściągał robotnika. Przez Jezno przechodził wówczas jeden z głównych gościńców Litwy, *Prześkim* zwany. Gwoż Pac, będąc jeszcze razem bodaj i starostą Kowieńskim, chciwy jak mówią na ręce robocze, bezbożnie, samowolnie, zbójecko łapać ludziom swym kazał jadących tym gościńcem podróżnych, kupców, Żydów, chłopów, a nawet uboczną szlachtę; i zakuwszy ich w kajdany, czas jakiś najmniéj trzy tygodnie wynoszący, do robót mularskich w pałacu używał, albo sposobem Faraona do noszenia cegieł i żwirów z cegielni swojéj zapędzał. Wielu podobnych męczenników, z upokorzenia roz-

paczy i trudu jakoby pomarło. Powszechne zatém było i dotąd jest jeszcze u ludu mniemanie, że dusze tych ofiar ciągle po pałacu jęczą. Rzeczywiście tyle tu było korytarzów i ciągów, że przy najmniejszym, niezwracającym nawet niczyjéj uwagi wietrze, wycie i świst przeraźliwy przeciskającego się przez różne szpary i zakamarki powietrza, ludowi zabobonnemu, świadkowi kiedyś zbrodniczéj niesprawiedliwości magnata, taką baśń podały i dotąd ją utwierdzają w jego potomkach.

Wszyscy tu naokoło powiadają jeszcze, że Pac włokę sosnowego lasu, *Borkiem Szyłańskim* zwanego, kupił u szlachcica z Szyłan, *za bułkę chleba;* ale jak to było, z jakim się to stać mogło konceptem, czy na wojnie, czy w czasie głodu, nikt mnie już pomimo starań tego nauczyć niemógł, choć każdy tu o owéj *bułce* prawi.

Jeżeli bytność monarchów w domach osób prywatnych zlewa na takie domy historyczne zaszczyty; to pałac Jeźnieński szczycić się jeszcze może dwukrotnym chwilowym pobytem jednego z najpotężniejszych swojego czasu mocarzy, cesarza Alexandra I, który rzadkim w życiu swojém (jak sam przynajmniéj gospodarzy zapewniał) przykładem, szczęśliwie i w śnie spokojnym noce swoje tutaj przepędził. Dotąd się tu jeszcze nadziwić niemogą, że pan tak wielki na słomie kulowéj w podróżny wor skórzany wepchniętéj i na poduszce włosem nadzianéj, wczasu swojego używał.

W pałacu Jeźnieńskim, który w młodości mojéj za dziedzictwa Pęczkowskich bardzo często zwiedzałem, szczególniéj uderzały wspaniałością właściwe pokoje Antoniego Paca i żony jego Teresy Radziwiłłówny, *białemi pokojami* zwane. Całe z boazeryi biało lakierowanéj, ze złoconemi w drzewie rzeźbami, herbami i ozdobami na ścianach, z takiemiż wielkich rozmiarów meblami, to w guście Ludwika XIV, to pani de Pompadour rżniętemi, z ogromnemi przepysznemi alkowami w sy-

pialniach, zadziwiały jeszcze oko nawet w kilkadziesiąt lat po zupełnym prawie upadku tego wsławionego na Litwie gmachu. Kilkosążniowe Weneckie lustra, to jest źwierciadła wmurowane do ściany, w białych także ze złoconemi rąbkami ramach, którebyś nazwał dzisiaj *rococco*, wspaniałe, kolosalne, a w różne desenie złocone piece, wzniesione na kształtnych filarkach, na łokieć przynajmniéj od inkrustowanych parkietów, marmurowe uszaki, takież ogromne kominy z rzeźbą, rozmaitemi złotemi napisami w marmurze rytemi ozdobne, czyniły to mieszkanie prawdziwie pańskiem, że nierzeknę, królewskiém. Na jednym z tych kominów, pamiętam, że napis był taki, w rodzaju zagadki:

„In sublimi, delitesco;
In humili, splendesco;
In foco appareo,
In cinere pereo.“

I tę Łacinę mnie dziecku przybyłemu na wakacye z drugiéj klassy szkolnéj xiądz Rymowicz, kanonik Inflancki, proboszcz Jeźnieński, zacny i poczciwy staruszek, tłómaczyć z wielką dla rumieńca i mądrości mojéj mitręgą nielitościwie kazał.

Galanterya męża a może i duma z wielkiéj paranteli, wszędzie tu hojnie w rzeźbach herby Radziwiłłowskie ze swojemi mięszała; a Teresę z Radziwiłłów Pacowę nietylko w domu u siebie, ale nawet i w dokumentach publicznych, nigdy inaczéj jak xiężną jéjmością nienazywano.

Wchód od pałacu w samym korpusie przez wielką wspaniałą bramę miał tuż zaraz dwoje również wspaniałych, szerokich i wygodnych, marmurem wyłożonych schodów, liniją spiralną prowadzących do ogromnego przedsionku, obejmującego całą środkową szerokość téj wielkiéj budowli. Posadzka tutaj i drugie kolosalne podwójne schody, z dwóch stron na wyższe wstęp dające piętro, wyłożone były także taflami mar-

muru. Sam przedsionek przedzielony był z jednéj strony, w miejscu gdzie się dolne schody kończyły, łękowato wygiętą i misternie wykonaną baryerą, stanowiącą galeryę dla muzyki. Z galeryi téj wychodziło się na balkon frontowy, bogato z żelaza wykuty, ozdobiony balustradą. Z drugiéj strony przedsionka był wielokrotnie większy od tego balkon, na murowanych a grotę tworzących oparty kolumnach, i dawał poważny i wspaniały widok na ogród Francuzko-Włoski. W ogrodzie tym, były i dotąd po części są jeszcze, choć już zaniedbane i popsute, ulice ze stuletnich jodeł, lip i grabów, kunsztem Włocha jakiegoś, którego tu nikt już niewie nażwiska, sprowadzonych z lasów Pacowskich. Drzewa te wszystkie, w zimie obwiązane w około, z obmarzłą koło korzeni ziemią w ogromnych płozowych furach, kilkudziesięcią wołami ciągniętych, w doły już gotowe ostróżnie wsuwane, tym sposobem w ogrodzie sadzone były i szczęśliwie się przyjęły. Teraz tu jeszcze o tém starzy chłopowie prawią; a jeden z moich włościan, dzisiaj stuletni staruszek, będąc podówczas *pastuszkiem*, patrzeć na to jak na dziwo biegał, i chętnie o téj sprawie podochocony gawędzi.

Pod całym gmachem, znajdziesz po części i dotąd jeszcze żelaznemi zamykane bramami, suche i starannie kiedyś urządzone piwnice i sklepy, jednę z największych w ostatnich wiekach prywatnego życia Polskiego ozdobę. Sklepy te i piwnice, które gościnna dawnych dziedziców Jezna, uprzejmość sprowadzanemi z Królewca, Kłajpedy i Gdańska, kufami win najrozmaitszych, umiała napełniać, *i szlachtę bracię* małmazyą, petercymentem i starym węgrzynem uraczać.

Kaplica pałacowa, malutka jak minijatura, i jak minijatura piękna; cała to prawdziwym, to fałszywym białym marmurem, ze złoconemi kantami i żyłkami, z przedziwnym gustem ozdobiona, ze śliczną białą ławeczką, ponsowym axamitem obitą, wyglądała prawdziwie jak cacko i należała do osobliwości tego

pałacu. Wszystkiego, ale to *wszystkiego* com opisał, dzisiaj i śladu tu niéma. To co niby zostało, jest co do nogi inném, skutkiem *zamiany* podlejszemi rzeczami dawnych piękniejszych i droższych przedmiotów, dokonanéj stosownie do urzędowego inwentarza. Pożar ten nawet nieszczęsny, o którym mówiłem, bardzo łupieżcom poszedł na rękę.

Wszedłszy, po tych kolosalnych, prowadzących z przedsionka schodach, na wyższe piętro, znalazłeś ogromną, w całą szerokość pałacowego korpusu *salę bolową*, mającą po bokach piękne bufety, ozdobioną po ścianach pięknemi przez malarza z Włoch sprowadzonego dokonanemi *freskami*. Przedstawiały one, w stosownych do wielkości tych ścian rozmiarach Apollina, Muzy, Bachusa, Sylena i mnóztwo innych wesołych bożków Olimpu.

Ogrom téj sali, pozbawionéj od spodu przyzwoitéj podpory, czynił ją już nawet za *xiężnéj jejmości Pacowéj* wielce niebezpieczną. Ztąd też, po nacieszeniu się tém cackiem wielkiego kalibru, po kilku tam odbytych balach, na głucho potém zamkniętą została. Nad tém już piętrem wznosiły się tylko duże niezbyt wysokie czworoboczne wieże, uwieńczone żelaznemi ostro w kolce najeżonemi szyszkami, które wespół ze stalowego koloru polewaną dachówką, pokrywającą cały dach korpusu, kończyły te poważne, jeśli nie ponure, konturny znakomitéj budowli. Policzywszy co ten gmach i jego wewnętrzne ozdoby, to jest, herby, marmury, posadzki, drzwi, tafle, kominy, kosztować w owym czasie musiały, zgodziłby się każdy, że to wystarczyłoby pewnie na największą fortunę *dzisiejszego* Litewskiego magnata. A już nic niemówię o pomarańczarniach, cieplarniach i innych wymysłach, których i ja niepamiętam, bo te wprzódy jeszcze, albo sprzedane, albo rozebrane i na inny użytek przerobione były. Jezno tymczasem było tylko cząstką wielkiego Paców majątku.

Ale i kościoł Jeźnieński, pod wezwaniem św. Michała, *Opus elegantissimum*, jak go xiądz Kazimierz Gosztowt, świętéj teologii doktor i po x. Michale Wysockim drugi proboszcz Jeźnieński w r. 1692 nazywa, nie na mniejszą dotąd zasługuje uwagę. Jest to także z muru wzniesiona pamiątka zacnéj szlachetnéj rodziny zacnego imienia Paców, datująca od 1643 roku. Zaczął ją Stefan podkanclerzy w. x. Lit., a syn jego, z Maryancelli Rudominówny spłodzony, Krzysztof Pac, kanclerz wielki Litewski, znakomity mąż stanu, pobożnie i chętnie dokończył. Kościoł ten, nietyle okazały zewnątrz, wewnątrz wielce wytworny i miły, do najpiękniejszych w Litwie bezwątpienia należy. Kazimierz Pac, biskup Żmudzki, z dyspensy Alexandra Sapiehy, biskupa Wileńskiego, z odpowiedną godności rodu swojego wystawą i królewskim przepychem, poświęcił ten przybytek Pański dnia 17 sierpnia 1680 roku. Ci, co dziś tak na *panów* i wielką naszą szlachtę sypią pociski, przekleństwa i niesłuszną mają ku nim nienawiść, a dziś się zowią dziećmi *postępu*, niechby naprzykład raczyli przeczytać dokument fundacyjny Jeźnieńskiego kościoła. Krzysztof Pac wyraźnie tam powiada: jako, chcąc nietylko do materyalnego, ale i do duchownego szczęścia *ludu* się przyłożyć, wznosi ten dom Boży, ażeby mógł potém śmiało zdać sprawę przed Stwórcą swoim, ze włodarstwa swojego. We sto prawie lat potém, bo w 1770 roku, Antoni Pac na nowo ten kościoł w przedziwnym guście przerobił, o całe prezbyteryum powiększył, freskami ozdobił, a w urządzonych pod ziemią lochach i kaplicy groby dla swojéj rodziny przeznaczył. Tak w nowym zupełnie stylu odświeżoną świątynię Tomasz Złeńkowicz, biskup Anopolitański, w 1772 roku powtórnie poświęcił. Dwoje schodów, w środku samym kościoła umieszczonych i tylko balustradą dla bezpieczeństwa modlących się ze trzech stron ogrodzonych, prowadzi do kaplicy dolnéj, po któréj bokach za żelaznemi

pięknie w arabeski kutemi bramami, złożone są w liczbie sześciu zwłoki rodziny Antoniego Paca, w ołowianych, blaszanych, a potém w dębowych jedna w drugą włożonych trumnach. Antoni Pac, pisarz w. x. Lit., Teresa z Radziwiłłów Pacowa, jego małżonka, i córka ich mniszka w białym habicie, tu pochowane. Ambona, prześlicznéj i misternéj roboty, cała złoconą rzeźbą i różową po całém tle folgą ozdobiona, pomiędzy najpiękniejszemi w Litwie naszéj śmiało liczyć się może. Portrety Krzysztofa Paca i żony jego Klary-Izabelli, de Maillis Laskarysówny, jako piérwszych fundatorów, znajdują się dotąd na ścianach kościoła zachowane jakkolwiek. Pod portretem kanclerza taki jest napis: „Krzysztof Pac, kanclerz wielki x. Litewskiego, Piński, Szadowski, Wołkowyski, Kocieniecki, Wilkijski, Tryski, Ostryński, Niemonajski starosta, Grażyski leśniczy, ekonomii Grodzieńskiéj administrator.“ Pod portretem żony powtórzone też same tytuły. Nad prezbiteryum po bokach, są obszerne i piękne górne kaplice, ślicznemi ołtarzami ozdobione, galeryą tylko z fałszywego, białego ze złotemi żyłkami marmuru od reszty kościoła oddzielone, tak, że lud z dołu łatwo odprawującéj się tam mszy świętéj wysłuchać może. To były razem i loże familijne, z których i sami Pacowie i fraucymer pani kiedy się podobało *incognito* nabożeństwo swoje odbywać mogli.

Piękny ten i kiedyś bogaty kościoł, w powstaniu za czasów Kościuszki, dużo, z powodu rabunku ucierpiał.

Pacowie stali się dziedzicami Jezna przez xiążąt Hołowczyńskich. Naczelnik rodu tego, xiążę na Hołowczynie herbu Łabędź, był sekretarzem i powiernikiem królowéj Heleny, małżonki Alexandra króla. W nagrodę zasług swoich dostał Jezno na wieczność. Ostatni potomek rodu tego, xiężniczka Hołow-

czyńska wyszła za Paca i wniosła w ten dom tak Jezno, jako *Hołowczyn*, dobra i dotąd w Mohylewskiém znajome.

Michał Pac, starosta Kowieński, do tego stopnia nadwerężył na ałtasy, axamity, grodetury, Królewieckie wina, słowem na hojne i pańskie życie, zostawiony po ojcu majątek, że przy zdarzonych tuż obok wielkich nieszczęściach kraju, ofiarach, rabunkach, — równo ze śmiercią jego syn Ludwik, jenerał, na wygnaniu w Smyrnie przed kilku laty zmarły, ledwie niewszystkie dobra Litewskie na exdywizyę oddać był przymuszonym. Jezno więc razem z Hołowczynem, przyjmując część Pacowskich na tych dobrach opartych długów, nabyli Pęczkowscy. Wkrótce jednak ludzie ci zacni, bogobojni, gościnni i dobrzy, ciągle objadani przez tak nazwanych przyjaciół, przez co Jezno *Wjezdną karczmą* za nich nazywać zaczęto, a przytém i nieszczęściami czasu, upadkiem zbożowego handlu, przechodami wojsk i konsystencyą całych armij Rossyjskich w czasie wojennym zgubieni, sami na nową exdywizyę oddać się byli zmuszeni, i zaraz ze zgryzot i kłopotów pozbyli się poczciwego żywota. W owym bowiem czasie już się był duch exdywizycyjny w Litwie w zupełności wyrobił. Otoż tu się tedy, jak stado kruków na ścierwo, rzuciła tłuszcza i officyalistów i urzędników koronnych i sędziów. Byli to właśni nasi spółobywatele. *Dziesięć lat* Jezno objadali a pałac i to co w nim tylko było, od wołu do jaja, łupili, szarpali i darli, samym nawet chorągiewkom na dachach misterną wprawdzie odznaczającym się robotą, nieprzepuścili. Tym sposobem wierzycieli i Paców i Pęczkowskich, najzupełniéj zgubili.... Antoni Pac, chcąc raz żonie swojéj Teresie przyjemną w dzień imienin zrobić niespodziankę, folwark dożywociem jéj zapisał i na pamiątkę swojego i jéj imienia Teresantolem nazwał. Lud, a nawet i sam dzisiejszy dziedzic tego majątku,

łamiąc źródłosłów, *Trezantolem* go nazywają. Tu właśnie urodził się niedługo po zaborze kraju, ubogiemu podówczas podpółkownikowi wojsk Rossyjskich, hrabiemu Wittgensteiu, syn z żony Polki Snarskiéj spłodzony i tu ochrzczony. Ktokolwiek na świecie podówczas, mógł się domy-ślać, albo przewidzieć, że on sam wkrótce potém będzie feldmarszałkiem? a bardziéj, że ów syn stanie się mężem ostatniéj latarośli Radziwiłłów Nieświeżkich, xiężniczki Stefanii córki xięcia dominika Radziwiłła, że on cały ogromny Radziwiłłowski zagarnie majątek, z tak stanowczym i przeważnym wpływem na ogólną całéj Litwy zamożność?

Cóżkolwiek bądź, wracając do Jezna, Paców już u nas niéma, bo czas, ten wielki niwellator, zmiotł, zmazał i zniszczył i ród zacny Paców i ich ogromną fortunę, na któréj jednym tylko ułamku teraz z górą ośmdziesiąt rodzin zasiadło.

Ostatnia Pacówna, córka Ludwika, sławnego jenerała Polskiego, wyszła niedawno za Xawerego xięcia Sapiehę wdowca po Sobańskiéj. A tak dwa wielkie i znakomite imiona, tak długi szereg dostojnych zajmujące ludzi, które polityka królów Polskich tylokrotnie jako spółzawodników naprzeciw siebie zręcznie stawić umiała, z woli przeznaczenia zlały się nakoniec w krew' jedną; a z owego wspaniałego, i ciągłém weselem kiedyś żyjącego Jezna same już tylko zostały popioły i prochy.

IX.

SIEKANKA.

Po drodze z Jezna do Kowna, niemając do udzielenia czytelnikom nic takiego, coby stanowiło ciąg poprzednich mych opowiadań,— skupiam w tym rozdziale, któremu i daję tytuł *Siekanka* (to jest mięszanina), to wszystko co mi się jadącemu na myśl nawinęło.

O wodach słonych w Stokliszkach, *Żupami i Żupkami* odwiecznie tutaj i powszechnie zwanych, niejedno już pióro spółczesne, skrzętnie ich dzieje zebrawszy, opowiadało; a skutków ich lekarskich coraz to więcéj rozchodzi się sława. Odkopują tu zręby, dobywają niekiedy cegły z pod korzeni stuletnich dębów, znajdują czasem pieniążki Zygmunta-Augusta— ślady, że tu dawno już bardzo ręka ludzka starannie słonéj dotykała ziemi. Ale Stokliszki już nieco od samych brzegów Niemna odbiegły, i chociaż kościołem, kosztem Boufałów z muru wzniesionym, pochwalić się mogą; na drodze wszakże naszéj nieleżą, i tylko chyba zaciętym uporem, dumą, zuchwałością włościan i więcéj niż wiekowemi ich zatargami ze dworem, to jest ze starostami swoimi, do pasu prawdziwie Nadniemeńskiego należą. Ostatnim z ręki *Polskiego króla* starostą Stoklisskim był Tomasz Minejko, poważny i prześliczny starzec, zawołany i nie do uwierzenia celnie strzelający myśliwy, w setnym bodaj roku życia swojego zmarły. Długie tego zacnego człowieka życie stało się rozpaczą tych, co to starostwo w nadziei rychłéj staruszka śmierci u rządu wyprosić chcieli: wszyscy bowiem pierwiéj daleko od niego pomarli. Ostatni z nich

jenerał Murawjew, dostawszy je na lat dwadzieściacztery, kupił u Minejki to *nieskończone* jego dożywocie. Dziad potém żył jeszcze lat kilka.

Gdybyś niemiał krętych łamanin starego Litewskiego *Kronosa*, miałbyś od Jezna do Kowna nawprost tylko cztery mile. Dziś jednak, że się brzegiem Niemna po za samėj wlec musisz granicy, jadącemu dobrze, drogi ci na cały dzień stanie bo najmniėj ośm mil zrobisz. Zaraz za Jeznem zobaczych dziedziczne włości miasta Kowna, ostatnie już ślady dawnych jego bogactw. Prawo do ich dziedzictwa, przez pół wieku szacowane i uznane od dzisiejszego rządu, dzisiaj dopiéro niestosownością swoją uderzyło w oczy. Dziś pytają, jak to szewcy i krawcy, to jest mieszczanie, mogą być panami i włościan i włości? Na téj zasadzie miasto Kowno, jak baran mącący wodę, chociaż przedstawia w sobie osobę zbiorową, czeka jednakże co chwila dóbr swoich utraty. Owoż za Jeznem trafiasz na te, co do prawa dziedzictwa w wątpliwość podane Koszany, i na Jachniszki, niegdyś własność zacnego i możnego domu Sopoćków, okupione przez Kowno, po stracie dóbr do Prus i xięztwa Warszawskiego odpadłych, które nabył Godlewski.

Jachniszki, kiedyś ślicznie drzewem zabudowane, pięknemi, jak widać było, dachami wszędzie dawniéj pokryte, odznaczały się jeszcze i za mojéj pamięci samemi nawet ruinami swojemi, od tych okolicznych tutejszych, niby w kwiecie wieku swojego będących majątków; ale je czas, przechody wojsk, a bardziéj jeszcze bezrząd do reszty zniszczyły. Nic już tam niezostało z dawnych wytwornych budowli, oprócz tylko jakich lichych szczątków dosyć pięknego kiedyś ogrodu, we Włoskim guście urządzonego, do którego dotąd jeszcze chciwa zniszczenia siekiera zrzadka się jakoś przekrada, i wkrótce go najpewniéj wyniszczy.

Potém na lewo, masz Dorsuniszki, królewszczyznę, dożywociem kiedyś nadaną dobréj, pięknéj, poetycznéj i ukochanéj żonie pełnego poezyi męża, a tak prędko niestety zgasłéj królowéj naszéj Barbarze. Był tu za pogańskich jeszcze czasów dosyć obronny drewniany zamek, który samiż Litwini unosząc się przed białym Niemieckim mieczem i piekielnym ogniem najezdniczych Krzyżaków, obrócili w perzynę. Starostwo to, którego z téj drogi naszéj niedojrzysz, było w długiém posiadaniu xiążąt Ogińskich. Kronie, gniazdo ich domu na Litwie, zachowały na sobie pamiątkę nazwiska dawnego Niemna: bo go, jak wiecie, *Kronis* dawniéj nazywano. Tu kiedyś, staraniem tychże xiążąt, a szczególniéj Bohdana, wystawiony z muru Unicki kościołek, w 1831 roku na Greko-Rossyjską zamieniono cerkiew'; same zaś Kronie, prawem konfiskaty po Gabryelu Ogińskim, od daty ostatniego powstania, razem z innemi jego dobrami, stały się własnością rządu.

Pomiędzy wioską nazwaną Migany i temi Kroniami, można widzieć, z drogi naszéj na lewo, dosyć jeszcze kształtną, ostrokręgową ze ściętym wierzchołkiem górę, po któréj całe lato wesołe sąsiedzkich włościan harcują kozy. Pomówmy tu chwilkę o tych pogańskiéj przeszłości pamiątkach, choćby się nam w téj mówie i nazad trochę obrócić przyszło. Takich gór widocznie ręką ludzką z wielkiem, staraniem sypanych, ile wiem, kilka tu u nas naliczysz. Będziesz miał z nich jedną wkrótce przed sobą w Teodorowie, na któréj wierzchołku, chroniąc ją od mogącego spotkać zepsucia, dziedzic téj ziemi, p. Leon Szukszta niedawno, pięknie ogrodzone założył mogiły. Druga jest ta, od którejśmy mowę naszę zaczęli. Głosi o niéj podanie ludu, mianowicie przy kieliszku w karczmach, że tu był kiedyś bardzo wielki pałac, który się razu jednego, ni ztąd ni

zowąd, „*skróś ziemię*“ zapadł i tylko kształt dachu jego pozostał w postaci tego nasypu. Trzecia taka górka prześliczna, jakby ją tokarz utoczył, i sama dziwnie miła i dziwnie zawsze piękną pokryta darniną, leży na lewo od gościńca Trockiego, o wiorst cztery za Stokliszkami, na gruncie do majątku *Lelan* należącym, prawie pod samą kamienistą i na wysokiéj górze osadzoną wioską, zowiącą się dzisiaj Krzystofiszki. Ślady pni dębowych około téj górki dowodzić się zdają, że była kiedyś osadzoną drzewami, a może, co pewniéj, stała jeszcze śród dzisiaj wyniszczonego już lasu. Na wierzchołku jéj czasem pokazują się palone cegły, gładkiéj i wytwornéj roboty. W porównaniu wsi Krzysztofiszek górka ta daleko stoi niżéj. Chciwy przysporzenia gruntu włościanin ze wsi Lepetańców psuje bezkarnie od lat kilku czyste i wdzięczne górki téj zarysy, podorując ją i z wierzchu i z boków, zasiewa tam po kilka garści zboża, i dziwi się jeszcze, że bez żadnego nawozu lepiéj i bujniéj tu wszystko niż na polu rodzi. Dodać i to niezawadzi, że dosyć blizko od tego miejsca znajduje się jeziorko *Lelis*; rzeczka z niego wychodząca *Lelka* się nazywa. Czwarta górka, również kształtna jak i poprzedzająca, jest na prawo od drogi prywatnéj, pod wsią Domejkowem, przy zaścianku *Wilkach*, dawniéj do Jezna należącym, o kilkadziesiąt kroków od jeziorka *Wilczém* zwanego. Włościanie tu pytani powiadają, że ludzie *po stworzeniu świata*, kiedy jeszcze prawdziwego Boga nieznali i czcić go nieumieli, fartuchami mu na ofiarę ziemię tutaj znosili. Jest jeszcze drugie o tém miejscu ciekawsze podanie. Młodéj dzieweczce, niewinnéj i pięknéj, a do tejże wsi należącéj, przyśniło się raz: żeby nikomu się niezwierzając, poszła o samej północy na wierzchołek téj góry i kopała tam ziemię. Starzec w bieli, co jéj to we śnie poradził, zapewnił ją, że znajdzie tam ogromną skrzynię z pieniędzmi, z któréj jednakże *garścią* zaczerpnąć ma niewięcéj *nad*

trzy tylko razy, jeżeli chce uniknąć wielkiego nieszczęścia, a zostać bogatą. Dziewczynka poszła, skarb znalazła, trzy garście złota do fartuszka wzięła; ale ją djabeł spokusił na czwartą! skoro tylko rękę do skrzyni po raz czwarty włożyła, z wielkim łoskotem ciężkie zapadło wieko, prawą rękę dzieweczce po sam łokieć ucięło, a skrzynia sama natychmiast z tą ręką pogrążyła się w ziemi. Piąta nakoniec mnie tutaj wiadoma górka znajduje się w Kisieliszkach nad rzeką Wierzchnią, wielce także wytworna i kształtna, odosobniona i wyższa od innych otaczających ją wzgórków. Dzisiaj na około obrosły ją krzaki, i nikt na nię żadnéj uwagi niezwraca. Wszystkie takie nasypy, od kilku do kilkunastu, a czasem i więcéj sążni nad poziom wzniesione, zowią się tu powszechnie po-Litewsku *Pilikalnis*, co znaczy: *Sypana góra*. Pochodzi to od wyrazów *pilt'*, sypać, i *kalnis*, kalnialis, pagórek. Wszakże i wyraz *Pilenaj*, oznaczający w tym języku popioł, w dochodzeniu źródłosłowu przydać się może.

Widocznym jest *ciąg* takich starannie usypanych kurhanów, idących aż do samego Merecza, a może i daléj. Ciąg ten, w swoim czasie, cel swój jakiś wielki mieć musiał.

Na zupełnie im podobne nasypy, bo nawet ścinane tymże samym sposobem u góry, odkrywane dzisiaj ciągle w północnéj Ameryce, w okolicach rzek Missisipi i Ohijo. pp. *Davis*, *Squier* i inni zwrócili uwagę uczonych całego świata; na to się i nasi zapewnie oglądnąć zechcą.

Zaraz za Kroniami znowu masz ciągle Niemen na oku. Zwracając ku niemu twarz swoję, ujrzysz wkrótce tu i ówdzie rozrzucone wioseczki. Są to Borewicze p. Leona Borewicza...

Lecz zwróćmy wzrok nasz na drugą stronę rzeki na inne *Borewicze*, zwane białemi, czystą, schludną, wytworną wieś innych wcale Borewiczow, lubo jednéjże krwi ze wspomnianym p. Leonem. Tam przed laty dwódziestą, za bardzo mło-

dych lat moich, mieszkała najpiękniejsza może w całéj Litwie i Polsce, pani Borewiczowa z domu Reunówna. Takie o niéj było powszechne zdanie. Któż się odważy dotykać piórem wdzięków kobiety? kto jest w stanie opisać prawdziwą piękność ciała, ożywioną jasnym pomieniem szlachetnéj duszy, obleczoną w cnotliwą skromność zacnéj białogłowy? Widziałem ją kiedyś mężatką, dziewiczym zrumienioną wstydem, pierzchliwą jak wschodnią gazelkę, drżącą jak listek majowy, lub młody kwiatek na słabym zawieszony prątku, gdy wchodzić musiała na światowe bale, gdzie śród jednogłośnego i mężczyzn i kobiet podziwu, tylko słusznych mogła spodziewać się hołdów. Pani ta, zostawszy wdową, wyszła potém z miłości za Tadeusza xięcia Ogińskiego, urodzonego z Lasockiéj. Świat mu tego małżeństwa słusznie zazdrościł, rzadko bowiem wielka piękność kobiety obok z cnotą chodzi.

Lecz oto rzeka Strawa, werznąwszy się gwałtem w niechętne wysokich gór żebra, bystra, najeżona mnóztwem kamieni, stromemi urwiskami straszna, przy samém ujściu do Niemna zachodzi tobie drogę. Na téj kapryśnéj rzece, gnieździ się często, jak mówią tutejsi mieszkańce, najpiękniejszy z ptaków Europy, noszący na sobie od wieków całe brzemie poetycznych, najdziwniejszych, a zawsze wytwornych i rozkosznych podań, zwany *Zimorodkiem*. Grecy, ze zwykłym sobie pełnym wdzięku genijuszem, tysiące o nim cudownych upletli bajek, które wszędzie za nim chodziły i chodzą, tak, że się z niemi i na dzikim nawet spotkasz Sybirze. Zawsze jednak wszystkie jego wielbione własności były człowiekowi przyjaźne, a nigdy szkodliwe. Rzadki był ten, co mógł tego ptaszka posiadać; ale kto go raz już posiadł, miał całe szczęście życia swojego w swém ręku!.... Chcesz stałéj i ślepéj miłości — miéj zimorodka, a on o jakiéj tylko zamyślisz dzieweczce, do kochania się w tobie na zabój najpewniéj zmu-

si. Chcesz znaleźć skarby — miéj zimorodka. Chcesz, żeby piorun dom twój statecznie omijał — miéj zimorodka. Chcesz żeby grady szanowały zawsze twe niwy — miéj zimorodka. Chcesz błogosławieństwa nad całą twoją rodziną i pomyślności we wszystkiém — miéj zimorodka. Chcesz po głębokich bez trwogi szybować morzach — miéj zimorodka. Zimorodek więc dla serca, dla duszy, dla szczęścia, od ognia, od wody, na lądzie, na wodach... wszystko to dowodzi przynajmniéj jego rzadkości, i że on wszędzie przez swe cudowne przymioty, zakrawa na ów nasz *kwiat paproci*, w noc świętego Jana zebrany. Uczeni jednakże mówią, że ptak ten niejest tak nadzwyczajnie rzadki. Mieszka on chętnie na Pińskich błotach, których dotąd nikt jeszcze przy świetle nauki, a szczególniéj przy doświadczeniu miejscowych ludzi, niebadał. Na Strawie wszakże Zimorodek jest osobliwością, o któréj tylko starzy myśliwi z Bortkun i Hermanowicz i mali pastuszkowie mówią. Lecz dotąd, o ile wiem, nikt go niezłapał, lub (jak powiada przysłowie) na piękny jego ogonek nienasypał soli. Długo wierzono, że ptak ten parzy się w zimie, około przesilenia dnia z nocą, że zatém i pisklęta swoje w zimie wysiaduje, — i to mu właśnie dało nazwisko. Ciągle patrzący na morze, ze swawolną wyobraźnią Grecy wierzyli, że gniazdo zimorodka swobodnie, przez cały czas siedzenia ptaka tego na jajach, po wodach pływa, i że sam ocean wtedy się ucisza i żadnéj nieulega burzy. Święcili tém wierzeniem pamiątkę cnoty siedmiu córek olbrzyma Alcyona i cnotę córki Eola takiegoż nazwiska. I tutaj wierzą, że zimorodek na oparzeliskach rzek gniazdo swoje trzyma. Bóg jeden wie tylko, jaka homeopatyczna część prawdy śród milijona bredni i gusłów zawierać się tutaj może. Drwić zawsze i we wszystkiém z przekonań prostego ludu niemożna: bo wyznać trzeba, że to zadziwiający trafnością rzeczy ziemskich postrzegacz, że kiedy się i myli, to więcéj w teoryi, niż w doświadczeniu. Musi

być przecięż jakaś przyczyna, czemu prędzéj zimorodek, niż inna jaka ptaszyna, na taką wyższość *po całym świecie* zasłużył. *Nauka* powiada, że ptaszek ten *Alcedo ispida* systematycznie zwany, doskonałym jest rybołowem i umiejętnym zręcznie schwytanéj rybki na brzegu rzeki lub bagna mordercą, a najtęższe wytrzymując zimna, nigdy nas nieodlatuje, że trzyma się oparzeliska, a gniazdo swe i kryjówki wzorem jaskółek *brzegówkami* zwanych nad poziomem wody w norach uwija, pisklęta zaś swoje, innych ptaków obyczajem, wyprowadza zawsze *na wiosnę*. Nieoszacowany, wielki nasz Kluk słyszał, ale za to nawet nieręczy, że ususzony i między odzież włożony zimorodek od molów ją broni. Jakaż to proza *nauki*, kiedy ją obok tylu ponętnych bajek postawisz! Lecz daremnoby wyszukiwać tego ptaszka, zdobnego w piórka lazurem, szmaragdem i rubinami świecące. Ze wszystkich najświetniejszych cnót jego, ta byłaby zapewnie najpiérwszą, która i ludzi i rzeczy od wszystko trawiącego *mola* ochroniéby mogła.

Wróćmy nareszcie do drogi gdzie nas zabójcze jak tutaj góry czekają. *Dopóki powietrzem* podróży swéj tędy do Kowna ludzie odbywać niezaczną, lub się w bogactwa i przemysł niewzbiją Litwy mieszkańce i tu żelaznéj niezaprowadzą kolei, — góry te, które masz przed sobą, będą zawsze rozpaczą i nóg i pojazdów i koni. Szlachta zowie je *Wołami* lud zaś prosty *Wałami*. Pamiętam, że ojciec mój wszystkich tych, co je Wałami zwali zawsze poprawiał, dowodząc, że je *Wołami*, przenośnie, od trudności przebycia w dawnych szczególniéj czasach nazwano. Prawda, że wałow żadnych i śladu nigdzie tu niéma, i z samego położenia miejsca, niktby ich tutaj niesypał. Przy opłakanym stanie dróg naszych, góry te i przepaścistemi parowami i krynicami i lepką jak smoła gliną i piaskami, w biegu swoim przeplatane co chwila, prawdziwą dla podróżnych stają się męczarnią. Gdybyś miał serce kamienne i w niém tylko samą wzgardę dla źwie-

rząt nosił, to i w ówczas jeszcze twojego pożałowałbyś konia: zsiadłszy z siodła, lub wyszedłszy z pojazdu, wolałbyś własne poświęcić nogi, niż kazać się ciągnąć i czepiać tym biednym stworzeniom, po tak niegościnnych urwiskach i szlakach. Ale te chwile ciężkiéj pieszéj wędrówki zaraz ci Pan Bóg miłym podarunkiem sowicie nagrodzi. Jakież się tu z gór tych przed tobą odkryją widoki!... Jak orzeł bujający w powietrzu, ujrzysz się raptem wyniesionym nad Niemen, co się wstęgą gdzieś tam w przepaści pod nogami twojemi wywija i toczy. A tam, za rzeką, niezwykłą rzeczy sprzecznością, masz znowu wielkie a jak stół gładkie płaszczyzny, bogate łąki i niwy, falistym jakby morze jakie pod wiatrem kołyszące się kłosem. I chciwe oko twoje, ile mu sił wystarczy, to tam to ówdzie, w dalekie kraju Polskiego wbiega okolice. Zapomniawszy zupełnie o znużeniu, uczuwasz w sobie jakąś nieopisaną wesołość i szczęście, jakieś nowe życie, radbyś ptakiem jeszcze wyżéj się wynieść; dziękujesz sobie z serca, żeś pieszo tę chwilową odbył pielgrzymkę, dziękujesz Stwórcy, że i twojéj ojczyźnie niepożałował takich widoków, jakiemi tylko Nadreńskie chełpią się kraje. Kto z wierzchołków *Wołow*, spuszczając się ku Bobcinowi, z góry, grzbiet gór *Romajńskich* za Kownem kończącéj, nieuwielbił tych łąk, tych od natury przedziwnie zasadzonych klombów, tych na sześć mil ciągnących się widoków, śród zaokrąglonych, rozkosznych Niewiaży zakrętów; kto niezatrzymał się w maju za Pohulanką pod Wilnem, żeby się czarującym na Antokol nacieszyć widokiem; komu nakoniec choć raz niestanęła łza w oku jadącemu przez całą prawie od Wielony do Jurborga po za Niemnem przestrzeń, kto tam nieoddał hołdu zamkowi Giełgudów: — ten zaprawdę zanadto już ma twardą duszę czy serce. I jaż widziałem przecię cudowne Bozkiéj ręki dzieła nad Renem, i całą Wołgę od jéj lichego źródła, aż do oddychającego królewskim majestatem i wspaniałością uj-

ścia, przebiegłem; biłem czołem przed tą potężną a pełną wdzięków przyrodzenia sztuką, która wszelkie nasze wysiłki w téj mierze w zupełną nicość obraca! Lecz po tém wszystkiém jeszcze z dumą Litwina i na swoje ojczyste piękności zachwycone nieraz zwracałem oczy, żałując z serca, że je żadna dotąd prawdziwego natchnienia ręka nieumiała skréślić dla wzajemnego i ludów Zachodnich i Wołgskich Słowian podziwu. Jedne tylko Werki pod Wilnem były pod tym względem szczęśliwsze, dla tego też tu o nich niewspomniałem zgoła. O, gdybym mógł być pewnym, że się duch ludzki przez czas jakiś nad mogiłą jeszcze unosi, żebrałbym łaski u bliźnich, aby tu, na *Wolach*, zwłoki moje pogrzebiono.... zkądbym oczyma duszy patrzał i patrzał! Dla czegoż nikt tutaj swojego mieszkalnego niewystawił domu, kiedy o staj kilka, na martwych glinach, całe wsie, całe okolice stanęły? Niemiałażby tak piękna natura przemawiać do zmysłów całego tutejszego ludu, tylko z nią i około niéj obcującego zawsze? Takie sobie każdego razu, mijając te miejsca, zadaję pytanie.... Ale tu się już groźna głębokim piaskiem zaczyna pochyła równina, po któréj łatwiéj daleko na szczyt tych *Wołow* posunąć się można. Tu zaraz, co innego twoję uderzy uwagę. Śród sosnowego, tu zaczynającego się boru, widzisz częste, o sążeń lub dwa jeden od drugiego, wyraźnie ręką ludzką usypane i dzisiaj jeszcze dobrze na trzy i cztery stopy nad poziom wzniesione kurhany i kopce. Cały bór niemi zasiany. Na wielu z nich ze środka już grube w średnicy wznoszą się sosny. Co te kurhany znaczą, kto i kiedy je usypał? żadnego o tém niéma podania, — same domysły. Jak wszystkie nasze murowane zamki na Bonę, tak i wszystkie kurhany składają na Szwedów albo na morowe powietrze. Podobneż do tych i dosyć liczne nasypy znajdziesz także za Jeznem, w prześlicznym *Piesztowiańskim* borze. Niektórzy się domyślają, że to pogańskie jeszcze mogiły. Wątpliwości wszakże niepodlegą,

że te kształtne pagórki dłoń ludzka umyślnie wzniosła, ale się tu ich żadna jeszcze, ile wiém, starożytnika naszego niedotknęła ręka. Mówił mi szkolny mój kolega, a dziedzic lub bodaj czy nienajbliższy przynajmniéj sąsiad tego miejsca pełnego zagadki, p. Leon Szukszta, że będąc kiedyś przez rząd naznaczony deputatem na poprawę publicznéj drogi, kiedy mu ją dla sprostowania kierunku przez cząstkę tych kurhanów prowadzić przyszło, kopać tam kazał, — i wówczas, nielicząc tego, co spędzony na tę robotę lud rozchwytał, znajdowano tam nieraz oburęczne ogromne miecze, szyszaki, berdysze, siekiery i różne zerdzewiałe cząstki do składu pancerzy wchodzące. Czy zachowano to aż dotąd w domu szanownego obywatela, czy jak stary łom i graty, na razie w pilnéj potrzebie, nim się po żelazo posłało do miasta, na szyny do kół i na obręcze do czopów browarnych przekutém zostało, — nic z pewnością powiedzieć niemogę. Podobniéj jednakże do prawdy, że to już przerobione pod kołami chodzi. Mimo to, ani setnéj nawet części owych kurhanów niezryto podówczas; reszta więc ciekawą stanowiąc dla uczonych grzankę, na pilną, szczerą, sumienną rękę badacze przeszłości czeka.

Gdy się teraz od tych kurhanów, na Niemen patrzących, w przeciwną stronę obrócisz, zobaczysz dachy Teodorowa, dziedzicznego tegoż pana Leona Szukszty folwarku, na którego ziemi znajduje się jeden z owych ostrokręgowych nasypów, leżący z drogi na prawo, w dosyć malowniczą zamieniony mogiłę.

Otoż, u spodu téj góry i Rumszyskie pokazują się pola, i tu ich śliczna zbożorodna płaszczyzna, tak pozioma i gładka, jakbyś ją heblem wyrównał. Tu zawsze urodzaj, choćby gdzie indziéj i groziło głodem. A tuż za nią i same Rumszyszki. Królewszczyzna ta i liche miasteczko, z drewnianym ubożuchnym kościołkiem na dole, z plebanią na wysokiéj górze, która nogi proboszczom swoim odbiera, sławiły się oddawna i sła-

wią aż dotąd, samemi tylko ujemnemi cnotami. Tu są właśnie, owe groźne dla statków *rapy* na Niemnie, z których jedna *djabelskiego mostu* nosi nazwisko. I niełatwo tu komu wybijesz z głowy, że djabeł w téj psocie niemiał udziału. *Rapy* czyli rafy, są to porohy, to jest zbiory ogromnych kamieni pod i nadpoziomem rzeki sterczących, zalegających całe prawie koryto Niemna, o które się z gwałtownym i wrzącym szumem klekocząca woda rozbija, przybierając rozmaite kierunki i prądy. Ledwie gdzieś ciasne znajduje się miejsce i to już staraniem ludzkiéj ręki zrobione, kędy się dobrze doświadczony sternik z wiciną przecisnąć może. Takich miejsc siedm wszystkiego liczą, ale trzy z nich najwięcéj trwożą sternika. Od wieków robiono, a przynajmniéj starano się oczyścić Niemen z tych *rap* niefortunnych. Już Mikołaj Tarło, chorąży Przemyski, z rozkazu króla Zygmunta-Augusta, tą się ważną sprawą zajmował. Część kamieni wydobyto na brzeg,— ale to było jak kropla w morzu. Król Stanisław-August w 1767 roku, chcący dobrodziejstwem piérwsze panowania swojego lata odznaczyć i ożywić Litewski handel, własnego nawet nieżałując kosztu, polecił zniszczenie tych *rap* Komissyi skarbowéj pod kierunkiem sławnego matematyka xiędza jezuity Franciszka-Xawerego Narwojsza, potém kanonika katedralnego i professora matematyki wyższéj w uniwersytecie Wileńskim. Znałem jeszcze w piérwszéj młodości mojéj tego czcigodnego, suchego, słusznego dosyć urodą, a jak gołąbek białego staruszka. Z wydobytych głazów, miały być wystawione po obu brzegach Niemna wspaniałe pomniki, z jednym z najpiękniejszych, jakie mi się czytać zdarzyło, nowożytnych Łacińskich napisów. Ułożył go król sam, chętnie się Łacińskim wierszem bawiący, i pod cudzym puścił go nazwiskiem.

Okoliczności polityczne i wielkie wewnątrz i zewnątrz kraju nieszczęścia wstrzymały tę już dobrze rozpoczętą i chwalebną

pracę. Mimo to, przechód dla statków nieco więcéj ułatwionym został; zawsze jednak i po-dziś-dzień wielce jest niebezpiecznym. Głazy wyjęte, znowu przy puszczaniu rzeki na wiosnę, naporem lodów w jéj koryto po większéj części wniesione zostały. Reszta po brzegach nagromadzona i w ziemię głęboko już wrosła świadczy tylko o bezskutecznie kiedyś podjętych trudach. W roku 1829, na liczne wdania się i prośby, wielki xiążę Konstanty, brat cesarski, wysłał tu inżynierów Polskich dla ocenienia, jak najstosowniéj i z najmniejszym kosztem możnaby rzekę oczyścić. Wtedy był właśnie projekt kilka rzek naszych razem powiązać jednym wielkim systematem kanałów. Ogrom pracy na rapach naprowadził na myśl rozsadzania prochem na miejscu upartych kamieni. Rzecz się i zimą i latem prowadzić miała. I toby zapewnie przyszło do skutku, gdyby zaraz wybuchłe powstanie wszystkiego na dawnéj niezostawiło stopie. Rumszyszki przyznaćby się mogły jeszcze i do innéj sławy. Tu bowiem roku 1385, Konrad Zöllner, na czele hufców Krzyżackich cofając się od Wilna, zdobył okopy Litwinów i Niemen drwiąc przeszedł.

Za Rumszyszkami znów Niemen gładko wody swoje toczyć zaczyna. Tu zaraz posłyszysz wesołe uszczęśliwionych flisów i sterników śpiewy, co już na *płytach*, berlinkach, wicinach, owe straszne a sen im odejmujące rapy przebyli.

Wkrótce też ściągną twoję uwagę na drugiéj stronie miernicżym kształtem wzniesione wzgórza, i odpowiedne im do-dziś-dnia dość głębokie rowy. Są to rękami kmiotków naszych kiedyś z woli cesarza Francuzów sypane okopy i szańce (*), które tu bronić niby miały niepodległości naszéj, a teraz w ziemię ledwie że już niezupełnie zagrzęzłe, ostatnie tylko po sobie zostawują ślady. Siada dziś na nich bez trwogi z łozową dudką

(*) Chcieli je potém kończyć Rossyanie, ale zaniechali roboty.

pastuszek,— i to, co nietak dawno jeszcze hukiem dział ziemię potrząsało i krwią ludzką się oblewało, dzisiaj swawolne tratują kozy.... Już cię tu czasem i *bacik Pruski* w oko uderzy. Prawdziwe to cacko na wodzie; misternie różnemi barwami ozdobny, schludny, wytworny żaglowy statek, aż z Królewca lub Memla do ciebie tutaj przybyły, jak pełna wdzięków xiężniczka, urąga się z chłopskiéj niezgrabności twojéj ciężkiéj wiciny.

Władysław IV, chcąc stare, poczciwe i piękne Kowno podnieść i wzbogacić, naznaczył je miejscem składowém zbożowego handlu, i daléj jak za Kowno, zboże wywozić ziomkom naszym zabronił. Jęli się więc Niemcy po nie tutaj schodzić, i Kowno wspaniale natychmiast wzrosło. Zwyczaj ten raz zaprowadzony, pomimo zmiany czasów i najopłakańszych późniejszych wypadków, sprawił to, że po-dziś-dzień w lecie Niemen pod Kownem, jak ogród jaki, Pruskiemi kwitnie zawsze batami. Baty takowe, czasem przy pomyślnéj wodzie i wyżéj się pod Rumszyszki zapędzając, to nam cóś dobrego z zagranicy przywiozą, to nasze jędrne i odżywne zabierają plony. Taki jest skutek starego nałogu: bo dzisiaj już każdy, kto chce i może, na własnym statku zboże do Prus bez żadnéj przeszkody prowadzi.

Niech cię te srogie nienudzą i niegniewają piaski, bo droga tutaj ciągle pięknemi widokami usłana. Z téj strony na prawo masz obok siebie i piękne góry i zielone jary. Na lewo Niemen, a za nim to piękne wioski i murowane dwory, to piękniejsze niwy, to dosyć dobrze utrzymane bory, to czysty błękit wszędzie tam jeszcze Polskiém nazywającego się powietrza. Na naszéj zaś stronie od lewéj ręki zabiega ci bór sosnowy, i piękna, szlachetna, wznosząca się nad nim kościelna kopuła. To dawniejsza *Mons Pacis*, to *Pożajście*, ów sławny niedawno jeszcze Kamedułów klasztor, owa głośna i wszélkim

rodzajem sztuki ozdobiona *pustynia, erem*, gdzie człowiek ciężkiemi przygodami życia i nieszczęściem znękany długo znajdował w bogomyślném osamotnieniu, szczęśliwy przytułek.

Hojny najpiękniejszych naszych kościołów budownik, mąż wiekopomny, Krzysztof Pac, kanclerz w. Litewski, wszystkie te cuda tutaj w r. 1662 potworzył. Nielicząc marmurów i ciosów w kościele, jeszcze i sam klasztor i refektarz, salą Pacowską czasami zwany, monarchicznie ogromnemi i wybornemi Włoskiéj szkoły obrazami ozdobił. Na to się długo jak na dziw jaki, wszelkiego stanu i narodu ludzie schodzili. Szwed to miejsce szanował. Karol XII, wprowadzony do téj sali, cały zbryzgany błotem i zziębły, rzucił się ochoczo pogrzać do malowanéj zasłony kominka, biorąc mistrzowską sztuką udany ogień za prawdziwe płomie. Obeszło go silnie to złudzenie oka; zniecierpliwiony, trącił tę kłamliwą zasłonę swoim wielkim palonym botfortem, i ślady błota tego na pamiątkę zostawił, ale niczego się nietknął. Bezbożna nawet Francuzkich łupieżców ręka zdrętwiała kiedyś przed temi wszystkiemi cudami. Wszystko co tu było do roku 1831, na kilka milijonów cenionem było. Ogromny i opatrzony we wszelkie rodzaje ulepszonych drzew owocowy ogród, ozdobny wysoką wieżą wzniesioną na górze i dzisiaj dającą widok na Niemen i czarowne okolice jego, zamykał we wnętrzu swojém nielicząc pięknego w kwadrat zabudowanego klasztoru, maleńkie, wytworne, murowane pustelnicze domki. Każdy z nich ogrodzony był sobie właściwym parkanem. Tam każdy pustelnik oddzielnie mieszkał, mając swój odzielny kwiatowy, owocowy i jarzynny ogródek; tam je każdy z nich własną uprawiać ręką był obowiązany. Życie było tu twarde i niezazdrośne. Zakonnicy spali tu na gołych tapczanach, we włosienicach chodzili. Bosy, z głową ogoloną, a z brodą niekiedy

po sam pas długą, odziany w biały habit każdy wyglądał jak mara. Nader surowe, nad ludzką naturę, były świętego Romualda ustawy! Wszystkie zmysły człowieka jakby umyślnie w świątobliwie złośliwym duchu wyszukaną, karciły się tutaj pokutą! Sen, pokarm, modlitwa nawet, pełne były tysiącznych udręczeń ciała. Kobiety tylko w dzień św. Romualda mogły się w tym pokazywać kościele.

Za mojéj pamięci było tu kilku xięży, resztki rycerzy z wojsk i legijonów Polskich, na pustelnicze życie przybyłych. Niejeden z nich cały kartaczem i szablą wrogów zorany, tyle już tylko miał palców, ile mu do ofiary mszy świętéj nieodbicie było potrzeba.

Lubo czas, niejedno tu nadużycie wprowadzić za sobą musiał, niemożna wszakże bez ukorzenia rozumu wspomnieć o miejscu, gdzie tak długo tyle myśli, tyle bolów i ran duszy tajemnych, zupełnie oddalonych od pociechy świata, jednemu tylko Bogu poświęconych było. Z drugiéj strony, niemożna się było niecieszyć, że mamy tuż u siebie bezpieczną i spokojną przystań dla długiego i wszelkiemi próbami doświadczonego nieszczęścia! A jednakże tak surowéj, tak nadludzkiéj czci Boga poświęcone miejsce winne było swoje istnienie ciężkiemu fundatora grzechowi. Kanclerz na łowach spotkał w tym borze szukającą jagód, piękną młodą i niewinną jak jagnię dziewczynę. Chuć zwierzęca, co w żyłach jego raptem zagrała, sprawiła, że na nic niepomny, gwałtownie skrzywdził na kolanach o litość u niego żebrzącą cnotę. I wyrzut sumienia zaległ mu natychmiast duszę ołowiem. Żałował więc grzechu ciężkiego, i płakał ułomności swojéj! Lecz gdy robak zgryzoty toczył mu nieprzerwanie to z tylu względów szlachetne serce, chcąc jakkolwiek za zbrodnię swoję wykazać skruchę, wielką część ogromnego majątku, jakim go Bóg obdarzył, na fundacyę tutaj klasztoru gorzkich pokutników poświęcił. Tu siebie nawet

pochować kazał, a dla wiecznéj grzechu i poniżenia swojego pamiątki, nażwiskiem przypominającém w języku Litewskim wszeteczne życia swojego błędy miejsce to nazwał....

Skoro wreszcie te głębokie, do Mereckich nieco podobne, piaski ominiesz, będziesz miał tu zaraz i *Szaniec*, będący dziś własnością Prozora, zacnego syna sławnego za młodych lat moich z poczciwości, dobroduszności i męztwa, Onufrego Prozora, półkownika wojsk Polskich, siwego, z białemi jak śnieg wąsami, ale jędrnego i czerstwego staruszka, wojaka, co miał osobliwsze a hałasliwe „*Mossa-tuf*“ przysłowie, co pisać nieumiał i umieć niechciał, i tę naukę do śmierci miał za najzupełniejsze błażeństwo,— ale co tak pisał pałaszem, że niejedno po nim na pyskach wrogów pozostało dzieło. Były tu kiedyś i twierdze i szańce, jeszcze przodków naszych ręką sypane,— dziś i śladu już tego niéma, zostało tylko nażwisko. Za *Szańcem* zobaczysz zaraz Kowna wieże i czerwieniejące berberysem góry. Już widzisz i szczątki owych kształtnych Francuzkich okopów, w gzygzak idące po tych pięknych górach. Dziś Kowno krzepić się zaczyna.

Mówić o starém, sławném od ośmiuset lat Kownie niebędę; zostawmy to tym, co nasze opisują dzieje.

A tymczasem spójrzmy tam na Wiliję, gdzie jéj z Niemnem weselne gody. Spójrzmy na gaj, na Alexotę, na Kaunis, na silną jeszcze świątynię pogańską, świątynią Perkuna zwaną, któréj początek uczeni dzisiejsi dziejobadacze do dałeko późniejszych odnoszą czasów,— lubo w 1818 czy w 1820 roku obywatele nasi na obrady przybyli, ryjąc się z młotem w ręku po niszach tych ścian odwiecznych, znaleźli w jednéj z framużek, zamurowanego pogańskiego, z bronzowanéj miedzi odlanego bożka. Przesłali go natychmiast ówczesnemu towarzystwu

Przyjaciół nauk w Warszawie. A ta świątynia, czyjąby ona niebyła, dzisiaj na lichy obrócona teatrzyk.

W Kownie znajdziesz w gruzach dziś już leżący *zamek*, ostatni raz własną Krzyżaków poprawiony ręką, a w nim gdzieś najpewniéj być musi aż dotąd choćby jedna cegiełka, po któréj kiedyś stąpał ów sławny więzień Szach-Achmet, chan Kipczackiéj Ordy, z Trok w roku 1506 tam przeniesiony, w dziejach naszych powszechnie *Szachmatem* zwany. Masz tam i starą sławę poczciwych, zacnych, a z Litwą już zrosłych rodzin bogatych Niemieckich kupców, tudzież jakby dawny Polski dom inwalidów, czyli schronienie zwyczajne, wysłużonych i ranami pokrytych Polskich rycerzy. Ówdzie przed tobą się wznosi pamięć sławnych owych warstatów, na których król Stefan sztuczne swoje dla wojny Moskiewskiéj kazał budować pontony. A ileż z muru wzniesionych, a dziś już zniszczonych kościołów! Tam wytworny, świadek gustu Tettmajera, wdziękiem swoim bije w oczy ratusz. Tam tyle nowych, na *trzykrotnym* odwiecznym bruku wznoszących się drewnianych, jakby papierowych domków.... Tam całe wielkie leży poema.

Bogdajby znalazł się rychło wieszcz Boży, coby te prochy świętą, a godną przedmiotu swojego i ludzkiéj pamięci, pieśnią ożywił.

X.

USTRONIE.

Gdyśmy już cały Niemen, od Merecza do Kowna obeszli, ja wracam w moje śliczne gniazdeczko, jak gniazdo remiza, między *Buchtą* i Jeznem nad błękitną *Wierzchnią* wiszące. Oto

czytelniku, mój domek wygodny, schludny, gościnny; oto piękne kwiaty samopas wyrosłe i te sztucznie umiejętną ojca mojego ręką zasadzone cieniste klomby. Oto i Wierzchnia, wijąca się wężem po całéj ziemi mojéj w najrozmaitsze a pełne malowniczych kaprysów zakręty. Masz tu krótkie wprawdzie, zewsząd lasem obcięte, dziwnie piękne, cudowne, a coraz nowe widoki. Nieznajdziesz tu gór takich jak *Woły*; lecz jeśli chcesz urwisk, co w małym rozmiarze cudnego kraju naśladują skały, masz tu je obficie po brzegach téj swawolnéj Wierzchni; masz i parowy i wysokie równe z poziomem jéj wody, zielone, a w tłusty murog bogate łąki. *Prawdziwe to Ustronie*, miłe, ciche ustronie; cacko wypieszczone poczciwą ręką ojca mojego i słusznie przez niego tak nazwane. Tutaj się często lały łzy mojego dziecięctwa, a częstsze jeszcze łzy piérwsze mojéj młodości. Dziś zaś, ledwie już nie starzec, z uśmiechem łagodnéj wyrozumiałości, z gromem w prawdomównem słowie z ostrém, lecz słuszném, a nieznaném dotąd nikomu pióra mojego żądłem, dwunasty już rok, jak najzupełniéj oddalony od ludzi i świata, wolne od troski gorzkich życia wyrzutów przepędzam tu chwile, posiadacz małego ziemskiego raju, wtłoczonego dziwném losu zrządzeniem w czyscowe otchłanie.

Nieraz się tu człowiek teraz w kątku zaśmieje, patrząc na pełne prostoty zadziwienie tych ludzi, którzy po dopełnionym grzechu czekając strasznéj surowego samotnika lub srogiéj nieubłaganego moralisty kary, tylko się z łagodném spotkają kazaniem: bo jak już zło zrobione, trzeba mieć względną wyrozumiałość na słabość natury człowieczéj. Gromem słów rozsądek uprzedzać tylko zawsze powinien zarodki lub dokonanie złego.

Wszystko, co gdzie indziéj częściami rozrzuconém bywa, tu jakby cudem na przestrzeni włok kilkudziesiąt masz w obfitości, że dosyć tylko do tego wyciągnąc rękę. I lud i szlach-

ta *złotem jabłkiem*, słusznie to miejsce nazywa. Są tu bowiem, jak mówi przysłowie, i ryby i grzyby. i raki; są orzechy, miody po barciach i kłodach, wszelkiego rodzaju jagody; są całe laski dzikich jabłoni i gruszek, a z ich owoców słodkie napoje, rozkosznie gaszące pragnienie rolnika zlanego potem poczciwéj pracy. Są tu i sosny, i jodły, i jesiony i graby i brzosty i wiązy i dęby; masz i tłustą glinę, po któréj wszystką tę rolę samą zasiejesz pszenicą; a masz przytém i wapna i kredy. Nieraz tu się nawet i z wielką bryłą bursztynu spotkasz. Znajdziesz i ziemię, co bez trudu ludowi na czarno i płótna jego i wszelką tkaninę jak Chińskim tuszem powlecze: dosyć tylko dane przedmioty, pod szmatą podjętéj darniny na dni kilka położyć, a skutek nastąpi. Masz tu prócz rzeki aż siedm donośnych strumieni, chłodzących powietrze i użyźniających niwy. Masz wszędzie w licznych krynicach najprzedniejsze wody, którym nigdzie tu na około równych ni w smaku, ni w chłodzie nieznajdziesz; a jeśli zechcesz, pokażę ci źródła, i w siarkę i w żelazo obfite. Wieśniacy odznaczają się schludnością. Dziewczęta, jak lalki, albo całe w bieli, albo jak sroczki bieliznę swoję pokrywają czarną spodniczką, a tak ponętne, że patrząc na nie i okoliczni i przechodni oblizują się mołojce; a i chłopców tutejszych, cudne dziewczęta, chętniéj niż innych wabią ku sobie. Gdyby dobroczynna ręka jakiego czarnoxiężnika, lub biała, pulchna i piękna wieszczki jakiéj rączka, zmieniła wielu z tutejszych mieszkańców, gdyby to u nich znaleźć więcéj dobroci, uprzejmości, szczerości, prawości, oświaty, bojaźni Bożéj, a mniéj chytrości, fałszu, uporu, zawiści, pieniactwa, plotek, bezwstydu: to prawdziwie, człowiek szczęśliwą mierność lubiący, niewzdychający za wielkiém świata bogactwem, znalazłby tutaj wszystkie przedsmaki raju. Ale tutaj, wszystko, co jest schludném porządném i całém, np. dobrze zbudowany mostek, czysta drożyna, cały płot, czynią jawne wyrzuty niektórym okolicznym mieszkań-

com, i rodzą zawiść w tych, którzy tego niemają, a którzyby to wszystko i więcéj daleko mieć mogli, gdyby niedbalstwo na przeszkodzie niestało, i gdyby zamiast śpiesznego użycia, ciężką pracą rolnika zarobionego grosza, na karty, wieczorynki, obiadki, baliki i tym podobne zbytki, chciano dochód swój obrócić na pożyteczniejsze i trwalsze jakieś pociechy zabawy, np. na wsparcie ile można bliźniego i na użycie dobrodziejstw wioski, jak ich na wsi *człowiek* używać powinien. *Bydło* tylko tratuje, marnuje, depce trawę, po któréj się pasie.

A!... podnieś teraz głowę na fronton domku mojego, i czytaj dawny jego nadpis, który ręka czasu już nieco zacierać i trawić zaczęła: „*Pracy, przyjaźni i pokojowi.*“ Było zaś tu dawniéj: „*Labori, amicitiae et paci*, “ — póki każdy z nas tutaj po-Łacinie umiał; ale kiedy potém wyraz *Paci*, za Paca, starostę Kowieńskiego brać już poczęto, staroświecką tę dewizę na Polski język przełożyć przyszło. Ojciec mój żył domem otwartym i niebył takim jak ja pustelnikiem.

Przestąpiwszy łaskawie próg mój gościnny, znowu tu zaraz w sieniach ze starym się spotkasz zwyczajem, to jest z tablicą, z napisem! Niegorsz się z tego ojców naszych narowu; nieszkodził on nigdy, pomagał raczéj często jako programm duszy republikanina. Niezwracałbym twojéj na tę tablicę uwagi, gdyby ona świętą dla mnie niebyła. Napis, który tu widzisz przed sobą, jest dziełem ojca mojego, może i dla tego tak mi się on pięknym wydaje:

„Człek żyjąc w społeczném gronie,
Kiedy go smutki poruszą,
Ucieka w lube ustronie,
By z własną rozmawiać duszą.
Tu przez rozumu potęgę,
Kojąc myśl kłamstwy łudzoną,

Przeszłości otwiera xięgę,
A przyszłość widzi zbliżoną.“

Dzisiejszy pustelnik, kiedyś *Staś*, bawiący się z piłką przy téj tablicy, a dzisiaj siwym już włosem to tu to ówdzie popruszony dziadek, gdyby dotąd jeszcze trwała moda napisów, dodaćby mógł od siebie, a nieskłamałby podobno, bo to już dwónastoletnia *dawność* to jest *doświadczenie* stwierdziło: „*Satis mitri sunt multi, satis mihi sunt pauci; satis mihi est unus, satis mihi est nullus.*“ Ale to byłaby niejego utworu dewiza, są to bowiem słowa wielkiego filozofa Rzymu!

Wszedłszy śmiało, nim się gospodarz z czeladką swoją rozmówi, weź tu czy dziennik jaki ze stołu, czy płochych mód wizerunek, czy płochszą od nich gazetę, czy xięgę z szafy albo i na te, misternym kunsztem wypchane przez krajowca krajowe ptaki, krajowém popatrzaj okiem. Jeżeli zechcesz, rzuć jedno spójrzenie i na te wiszące po ścianach obrazy. Spotkasz tu pęzel i Peszki i Oleszkiewicza; tu i Kaniewski i wielki Suchodolski nieżałowali ręki swojéj dla ciebie; tu szkice Orłowskiego, historyczną na sobie noszące pamiątkę; tu Rustem, Jotejko, Januszewisz, Głowacki, Gładysz, Moraczyński próby talentu swojego przynieśli; tu Albano i Rafael; tu masz ów stary, odwieczny obraz Chrystusa na krzyżu, który przez tylu już był podziwiany artystów, a nikt nieodgadł czyjego on pęzla; tu Stefan Czarniecki, tu i Sobieski z laurem na czole, rzadki pierwotwór z taką ozdobą słusznie wielkiemu bohaterowi należną; tu i Kościuszko i dzielny Poniatowski i Sowiński Józef, takie przed tobą pokażą oblicza, jakie mieli doprawdy za życia, bo ten co ich zebrał portrety, żył z nimi wszystkimi w blizkich stosunkach. Chcesz, to i obu Lampich znajdziesz tutaj utwory.

Ale nieomiń tego małego, rozrzewniającego mnie zawsze obrazu. Jest to portret młodego, pięknego i prawdziwie po-

rycersku kochać umiejącego Rossyanina. Człowiek ten śmiertelnie raniony, konając na polu bitwy wręczył go, tak jak go widzisz na wałek zwinięty, walczącemu tuż przy nim w téj chwili nieprzyjacielowi, z zaklęciem na rany Chrystusa Pana, żeby go na pamiątkę kochance jego, któréj razem ze swojém wymienił nazwisko, jak będzie można najrychléj odesłał. Nieprzyjaciel dał mu na to szlacheckie słowo, a głowę jego we krwi się broczącą na obok leżącego trupa oparłszy, daléj popędził. Tym nieprzyjacielem był właśnie mój ojciec. Ale śród gradu kartaczy, w samym warze i pyle zaciętéj rozprawy, śród krwi strumieni, tryumfu pogoni, wyszły mu, niestety, z pamięci nazwiska, i owego szlachetnego wroga, i również zapewnie zacnego przedmiotu tak rzadkiéj, wiernéj i tkliwéj miłości! Portret ten więc w domu naszym pozostać musiał, bo usilne i długie starania wykryć, kto był ten prawdziwy rycerz, niemogły, chociaż dobrze pamiętano o tém, tak pośród burz i nieszczęść powstania Kościuszki jako i podczas klęsk zrodzonych po niém. Nigdy tak srogiego roztargnienia ojciec mój sobie darować niechciał, sam wielce i słodyczy i bolów miłośnych świadomy: może więc i słusznie ten brak swojéj pamięci, za ciężki choć mimowolny grzech do śmierci uważał. A wydarzyło się to w lipcu 1794 roku. Wszystko więc tu zdaje się jednym głosem o mnie powiadać: „Jakiż to szczęśliwy człowiek! czegoż mu braknie?“ Nadto, jest tam coś jeszcze i w małéj piwniczce, gdzie bodaj najmłodsza flaszka najmniéj dwa dziesiątki lat liczy, a jedna z nich, nawet jeszcze przed stu trzydziestu laty, na ten już świat patrzała. Możnaby więc czasem z biedy i sobie i przyjaciołom powiedzieć: „*Nunc vino pellite curas; eras ingens iterabimus aequor!*“ I ty nawet, moje kochane Ustronie, widzisz, że mam dostatnią i szczęśliwą *mierność*, bez trosk bogatego magnata, że przestaję na swojém, nigdy w życiu cudzego niełaknę: widzisz te xięgi, te płody sztuki, te konie, pojazdy, to wytwor-

ne mieszkanie, te ozdoby, cacka, kwiaty, tę zieloność, drzewa, strumienie i rzeki, jak mam z czego dogodzić sobie rozjtropnie bez zbytku i jak bliźniemu jeszcze na pomoc maleńką stanie. Lecz mimo to wszystko, choćby na oko tak i być powinno, człowiek ten trawiąc w sobie gorzkie piołuny przeszłości, burząc się w duszy na złości dzisiejszéj chwili, patrząc proroczną myślą na krwawe łony przyszłego czasu, aż po dzień dzisiejszy włącznie ani jednéj minuty w życiu niemiał szczęśliwéj. Takie Bóg nad jego duszą przeznaczenie położył. A jeśli i były rzadkie szczęśliwsze chwile, to chyba tylko we śnie spokojnym i pełnym cudownych obrazów, lub tylko nad xięgą, wielkie dawnych cnót ludzkich dającą przykłady. Bo powiedzieć sobie na ucho można, że trzebaby się nam było czy wiekiem pierwiéj czy wiekiem późniéj urodzić; iść z naszym na równi trochę trudnawo.

O, bo też ta ciągła walka wiecznie zawodzonéj i zbolałéj duszy,— to boleśne pragnienie miłości, przyjaźni, spółczucia, szlachetności, bezinteresowności, bojaźni Bożéj, sprawiedliwości, kiedy nikt ich dokoła ciebie niepojmuje znaczenia,— jest najsroższą dla czułego i prawego serca w tem życiu męczarnią.

Zacna, znakomita i można niegdyś, a dzisiaj do tła już wygasła *Eperyeszych* rodzina, z Węgier biorąca początek, żyła kiedyś na téj pięknéj ziemi. Był tu za ich czasów staw sławny, od wieku już z górą na dużą przemieniony łąkę, gdzie się najsławniejsze na całą Litwę hodowały karpie. Lubo karpie wtedy u nas niebyły rzadkością, tu wszakże tak przedziwny smak miały i takiego dochodziły wzrostu, że, jak *sieje* w Wigrach, posyłano je w podarunku królom za osobliwsze łakocie i przysmak.

Jeżeli podań jakichkolwiek miejscowych szukasz, jest tu jedno wielce do prawdy podobne: że uciekający przed Szwedem i morowém powietrzem Eperyeszowie, zabrawszy z sobą co mo-

gli, siedm wielkich skrzyń dębowych, puharami i srebrem stołowém pełnych, zakopali tutaj do ziemi. Lecz i uciekający i goniący i ci co tu zostali, wszyscy od moru poginęli. A że tu byli Szwedzi, nieraz w ziemi znajdowane okrągłe ich bagnety świadczą. Została więc tylko pamiątka schowanego skarbu, którego już nikt odtąd szukać się nieważył. Miejsce skarbu nam było wiadome; ale ani ojciec mój, ani ja, bogactw niechciwi, przestając na tém co Bóg nam daje na wierzchu téj ziemi, w zajęciu się szukaniem swych tradycyjnych sreber jakąś niedelikatność i upokorzenie znajdowaliśmy zawsze, i nigdyśmy się żadną próbą miejsca tego nietknęli. Przyjdzie zapewnie czas, jak przychodzi on na wszystko, że to dzisiaj w ziemię głęboko zagrzęzłe srebro znowu na wierzch jéj jakimsiś przypadkiem wyjść musi. Niechże się sobie tém cieszą ci, co będą po nas.

Niezabraknie ci tutaj, jeśli zechcesz, i krwawych pamiątek. Tutaj, za króla Stefana, Mikołaj Kisiel, zapalczywy i narowisty sąsiad, napadł ze szlachtą chałastrą i ubił spokojnego Jundziłła, blizkiego krewnego Sapiehów. Wdową po nim, wierna świętości przysięgi, przez wszystkie przeszła prawa koleje, wołając o pomstę za męża. Sprawa się aż do czasów Zygmunta III przewlekła i w końcu sądem samego króla Kisieliszki, gniazdo zapamiętałego Kisiela, jako zapłata krwie niewinnie wylanéj, dziedzictwem na wieczne czasy do Jundziłłów przeszły, a po Eperyeszych dopiéro Pacom się dostały.

Zechcesz-li bajek o strachach, wilkołakach, upiorach, — i to także znajdziesz. Na szczęście jednak na wszystkich tych *strachach* dobry i słodki bożek miłości tajemnie zawsze siadywał. Był czas naprzykład, że tu wielką trwogą przejmował ogromny wół czarny. Wychodził on zawsze po północy na łąkę pod samym dworem, a jak tylko kur zapiał, statecznie wracał do lasu. Stróże nocni umierali z trwogi,— włość cała mówiła pacierze, a wodą święconą trzy razy skrapiano łąkę. Wół ten

bowiem, kiedy przy świetle xiężyca kto na niego miał odwagę rzucić zuchwałe półoka, nosił do góry sterczące ogromne rogi, a wbiegał zawsze na łąkę z wielkim szumem. Wiele już o tém na około chodziło gadek, a dreszcz nie po jednym sąsiedzie, przeszedł bez żartu. Rozsądek światłego dziedzica odkrył wkrótce swawolę tęgiego, barczystego, a sprytnego z obcéj włości parobka, który, przywiązawszy do głowy czarnego wołu swojego krzywe olszynki, a samego wołu w drobne i w liść bogate ustroiwszy gałęzie, puszczał go na łąkę, tę mając przyjemność i korzyść, że i wołu cudzą trawą do syta napasł i w tuż obok leżącym parowie schodzić się mógł bezpiecznie ze swoją we wsi tutejszéj mieszkającą kochanką, bo nikt w tę stronę, gdzie się cudowny wół pasał, niemiał serca podstąpić. A i za moich już czasów, jakem się tu zjawił, zaczęły się były ni ztąd ni zowąd przechadzać po łąkach i po nad rzeką nadzwyczajnéj urody, a jak śnieg białe upiory. Trwoga znowu była powszechna; nikt wieczorem nieśmiał patrzeć w tę stronę. Wziąłem był to zrazu za żarcik i plotkę; ale kiedy się to co noc prawie powtarzać zaczęło, zwoławszy włość, zapowiedziałem wszystkim, żeby się już nielękali zgoła, gdyż sam idę na czaty i do każdego takiego urodziwego upiora oto temi kulami strzelać bez miłosierdzia będę.

Zalękły się strachy i opuściły te niegościnne brzegi, a wszystko odtąd ucichło. Doszedłem wkrótce, że z mojéj wsi dziewczęta, wyuczywszy się u mieszkającego w sąsiedniéj wiosce Żyda figlarza chodzić na szczudłach, udawały te strachy, dla tego, żeby się z młodą szlachtą z okolicy Sakowicz swobodnie i bezpiecznie, od ojców i matek, na nocne schodzić mogły zabawki.

Ale ja myślę, że i po mnie powoli siakie takie natworzą się bajeczki. Dowiedziałem się bowiem niedawno o wieściach, jakie o mnie samym tu chodzą. Przysłał mnie ktoś *Pamiętnik naukowo-literacki* z 1849 roku, wydawany przez niegdyś Trockiego obywatela, Romualda Podbereskiego, z którym

niemiałem przyjemności nigdy być znajomym, anim go kiedy w żywe oczy widział. Ktoś ze współpracowników téj publikacyi, opisując tam w żartobliwym sposobie, podróż swoję do wód Stokliskich, gabnąwszy ostro mieszkające w tych stronach osoby, niezaniedbał wspomnieć i o mnie, jak o żelaznym tutejszym wilku. Wspomniał wszakże z większym daleko niż zasługuję i niżby się po autorze można było spodziewać zaszczytem, a to mówiąc o pani Kurowskiéj, z domu Podbipiętownie, „że ta excentryczna kobieta, *posunęła śmiałość* aż do zapukania do drzwi pewnego filantropo-mizantropa w sąsiedztwie,“— to jest, do drzwi moich, które nigdy przed nikim na świecie niebyły zamknięte. Ja tylko sam, do niczyich już nigdy niepukam. Autor artykułu, młody jak widać człowiek, niezna jeszcze nadzwyczajnéj odwagi i śmiałości kobiet. Nietakich rzeczy dokażą one, skoro tylko *o ciekawość* idzie. O, biegną tu one nieraz jak na odpust jaki,— a zwykle niby dla tego, że chcą kupić piękne Ustronie. Otoż, odczytując te brednie, dowiedziałem się poraz piérwszy w życiu, że mnie i lud i szlachta tutejsza przypisuje styczność z *duchami*, że ja niby *przez nich*, niewychodząc nigdy z domu, wiem zawsze dokładniéj i bez porównania lepiéj od innych, co się dzieje u ludzi na świecie. Wziąłem to zrazu za wymysł żartobliwego autora, szukającego daremnie Francuzkiego dowcipu po naszych fatalnych Litewskich drogach; alem się potém dowiedział, że podróżnik ów napisał prawdę, jaką słyszał.

Prace kiedyś moje nad magnetyzmem żwierzęcym, długa w mym domu obecność tak zwanéj *Jasnowidzącéj*, przypadkiem trafnie, a czasem rozumowaniem odgadnięte myśli prostego, a skrytego i zawsze wielce chytrego przy prostocie swojéj włościanina, ciągłe nad xiążkami ślęczenie, zrodziły powoli takie przekonanie, które mnie kiedyś może na jakiegoś Twardowskiego wystrychnie. Oto jeden z rysów, jedna z próbek tutejszéj

oświaty. Już i ojcu mojemu niewiele do tego brakło. Mówiono podówczas wiele o *Massonach*, to jest, o *Wolnych mularzach*, tutaj u nas Farmazonami zwanych. Chłopi więc zaraz ojca mojego, odznaczającego się mnóztwem rysów od innych tutejszych miejscowych ludzi, jak tylko już stale tutaj zamieszkał, wyrazem *Chwarmazonas* sekretnie nazywać zaczęli.

— Cóż to jest *Farmazon?*— zapytałem z nich jednego.

— „To, paniczu,— rzekł kręcąc w ręku czapkę swoję na wszystkie strony,— to taki człowiek, co jeśli zechce, ot choćby w wóz siana w oczach pańskich obrócić się może".

Gadajże z nimi!

Poznawszy tedy, kochany czytelniku, całe moje malutkie Ustronie, zapewnie dziwisz się i pytasz: „Dziwaku, czegoż ci braknie? Tu wszystko dla miłości Boga, dla miłości bliźniego stworzono". . . . . .

Ale, o biedny téj wdzięcznéj oazy włodarzu! nietutaj poznałeś słodkie *prawdziwéj* miłości poszepty! I ręka twoja tutaj nigdy się z ręką duchem twoim ukochanéj istoty niesplotła, a serce nigdy niebiło....

W miejscu, dla tych właśnie najdroższych uczuć widocznie stworzoném, wzdychać tylko mogłeś do tego, co się już nigdy w tobie powtórzyć niemiało. Tu tylko niekiedy poiły cię może dosytu czyste zmysłowe rozkosze, owiane własném twojém złudzeniem, ubarwione kształtami, w które młodą kochankę własna twoja wiecznie paląca się odciskała *głowa*. Tu na oko, jak i sam może dobrodusznie wierzyłeś, wszystko było dla ciebie miłością. Tu i ten szmer strumienia, ten war burzliwéj z upartym głazem wiecznie kłócącéj się rzeki, ta zieloność murawy, ten cień w liść bogatych a kryjących z nią ciebie przed światem drzewek, ta święta młodziutkiéj dzieweczki prostota, ta bojaźń groźnéj surowego ojca potęgi, ta trwoga, te dreszcze o dobre imie oddanego tobie dziecięcia, w takiém cię długo przeko-

naniu trzymały! Było to może przez jakąś chwilę, *prawdziwą i szczęśliwą miłością*, lecz nie tą wielką, potężną, świętą, z której się cieszyć mogli anieli!

To też po latach wielu... o marności, o nędzo, przywiązana do naszéj ludzkiéj natury! zobaczyłeś znowu też same miejsca, też same a jeszcze wspanialéj i hojniéj cień dające drzewa, też same strumienie, tęż zawsze kłótliwie z głazem łamiącą się rzekę, też świeże, rozkoszne, kraśne i stale do ciebie uśmiechające się kwiaty,— zastałeś jeszcze bodaj błądzące śród szelestu liści echa i dawnych przysiąg i dawnych uniesień; a *duszę* tę, która ci się zamłodu tak czystą jak kryształ krynicy zdawała, znalazłeś może już przywaloną ciężkiém wszelkich przeciwności brzemieniem, ciało zaś jéj udręczone i przedwcześnie zwiędłe, pod tylu wietrznych lat zgubną trucizną!.. I silny, hoży, krzepki, cisnąłeś wzrokiem pogardy i wstrętu na to, coś tak długo młodemi i łakomemi pożerał i pieścił kiedyś oczyma! Lecz słuszną byłoby rzeczą i swego własnego zapytać sumienia: byłżeś ty sam lepszy? Na to, gdy będzie trzeba, na tamtym świecie odpowiesz. Poco cię tutaj czy za mniejszego, czy za takiegoż, czy za słabszego jeszcze od innych grzesznika mają uważać?

Długoż mnie, o mój Boże! opuszczonego od świata, zapomnianego sercem od starych przyjaciół, oderwanego śmiercią od tych, co mnie szczerze kochali, sierotę trzymać jeszcze tu będziesz?! Długoż jeszcze, czytając serca mojego karty, tą pięknością przyrodzenia, którąś tu ręką Twoją wszechmocną utworzył, gorzkie duszy mojéj boleści łagodzić będziesz?...

Samotnikowi trzeba umierać młodo.

Starzec, wtedy tylko godzien zazdrości, wtedy śmierć jego i szlachetna i piękna, gdy łoże jego śmiertelne ozdabia liczne

grono prawdziwie *cnotliwych wnuków*. Wtedy siwy włos jego przestaje być *męczeńską* życia tego *koroną*, a być zaczyna srebrnym i jasnym *wieńcem nagrody* za to wszystko, co tu pomiędzy ludźmi przecierpiał.(*)

Pisałem w Ustroniu,
1849 i 1850 roku.

(*) Zapowiedziany rys bijograficzny życia ś. p. Stanisława Morawskiego, umieszczony zostanie w jednym z następnych tomów naszego pisma.
(*Przyp. Red.*)

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA

O ZAMKACH, HORODYSZCZACH I OKOPISKACH STAROŻYTNYCH,

NA LITWIE I RUSI LITEWSKIEJ,

PRZEZ

KONSTANTEGO HR. TYSZKIEWICZA.

OKOPISKO W MŁYNKU BOROWYM.

W granicach dóbr Łohojskich, w obszernych lasach, w jakie ta część powiatu Borysowskiego obfituje, o trzy mile w kierunku na północ od Łohojska, niedaleko od młynka stojącego na rzeczułce biegącéj wśród borów, od którego to uroczysko nazwę Młynka Borowego przybrało, na obszernéj płaszczyźnie, wznosi się samorodna góra na dwadzieścia sążni nad poziom wyniesiona, u stóp któréj od wschodu ku zachodowi ciągnie się wązkiém pasmem błoto; u ludu ona zamkiem się nazywa. Na wierzchołku téj góry znajduje się najpiękniéj dochowane *Okopisko sądowe*, mające powierzchni kulistéj sześćdziesiąt siedm prętów Litewskich, na około fossą na sześć sążni szeroką oprowadzone z dwóma wejściami foremnemi, sobie przeciwległemi.

Jedno główne, położone między południem i zachodem, a od niego na czterdzieści pięć sążni długi grzbiet okopany i kulisto zakończony wzdłuż góry się ciągnący. Drugie między północą a wschodem przez fossę przeprowadzone i samorodnym cyplem góry zakończone, stanowi jedno z najciekawszych okopisk jakie w badaniach archeologicznych po kraju naszym dokonywanych, odkryć nam się udało: albowiem śledząc to okopisko we wszystkich szczegółach od południowéj jego strony na saméj pochyłości góry, tuż około wejścia głównego, po dużych kamieniach nieforemnie wyglądających z pod warstwy ziemi, mchu i liścia przez wieki spadającego na nie, za pomocą wskazówki towarzystwa naukowego Krakowskiego wydanéj w roku 1850, w celu przewodniczenia archeologicznym poszukiwaniom, udało się nam odszukać owe ciekawe, a tak rzadkie miejsce słuchania wyroków sądowych w starożytności. „Kamienie w pewnym porządnym szyku ułożone (słowa odezwy towarzystwa naukowego Krakowskiego na stronie 13 umieszczone), czasem stanowią okrąg koła mniéj więcéj regularny, czasem koło obdłużne czyli owal, czasem też prostokąt, lub inną jaką figurę. Przeznaczenie tych okoleń mogło być bardzo rozmaite, były to czasem miejsca ofiar pogańskich zborów, narad i sądów pokoleń, czasem też stanowiły niejako szranki dla walczących w pojedynku; na te ostatnie okolenia osobliwie zwrócić należy uwagę w okolicach bliżéj morza Baltyckiego położonych. Rysunek takiego ogrodzenia z dokładnym wymiarem byłby wielce pożądanym i taki wraz z opisem otaczającéj okolicy, mógłby rzucić światło na przeznaczenie każdego w szczególności okolenia.“

W zupełności podobne temu opisaniu okolenia kamienne u stóp tego okopiska odkryć się nam udało. Są to w figurze owału trochę na prostokąt zakrawającego, okolenia mające długości po dwa i pół arszyny i po arszynie i trzy ćwierci szerokości, kamieniami mniejszemi do koła obłożone, mające z jednéj strony,

a czasem z dwóch przeciwległych sobie, na węższych końcach okolenia po jednym większym nieforemnym kamieniu rębem postawionym. Okolenia te niemają prawidłowego względem okopiska położenia; z dziesięciu takowych przez nas odkrytych bądź całkowicie dochowanych, bądź z rozruszonemi kamieniami, zachowujących tylko wklęsłość w ziemi lub ślady miejsca gdzie były niegdyś kamienie mniejsze, to okolenie okrążające, żadne prawie jednostajnego niema kierunku. Jedno z nich prosto ku górze obrócone, drugie bokiem leżące, do okopiska położonemi były; wśród tych okoleń znaleźliśmy kilka dużych, nieforemnych kamieni, lecz przy nich śladu wyżłobienia w ziemi, ani mniejszych kamieni niebyło, znać ręka ludzka mniejsze kamienie porościągała, czas zaś dokonał swego dzieła, zacierając ślady wyżłobienia w ziemi. Z bojaźni abyśmy w sądach naszych niepobłądzili determinując takowe kamienne okolenia, które z formy swojéj bardzo są podobnemi do pogańskich mogił, zwanych Żalami, Żalnikami, Żaliskami, — skopaliśmy niektóre z nich i gdy żadne z takowych skopane w głąb' na sążeń, niezamykało w sobie szczątków kości szkieletu ludzkiego, powzięliśmy pewność, iż miejsca te niebyły mogiłkami pogańskiemi. Gdy one niemi niebyły, położone u podnoża sądowego okopiska, czemżeby inném być mogły, jeżeli nie owém ciekawém miejscem w starożytności, słuchania wyroków sądowych, lub miejscem utarczek pojedyńczych? „Pojedynek, pisze J. Lelewel, należał do liczby dowodów winy, lub niewinności w prawnictwie obyczajniejszych narodów“ (*). Że zwyczaj utarczek pojedyńczych, czyli pojedynków odbywanych publicznie w obliczu sędziów, istniał też na Litwie i pobratymczéj z nią Rusi Litewskiéj, — daje nam

(*) Pojedynki w Polszcze przez Joachima Lelewela, Poznań 1856 roku, str. 4.

o tém świadectwo p. Narbutt, gdy mówi: „że w Litwie były we zwyczaju i pojedynki, nietylko wynikłe z obrazy honoru, ale nawet uważane za środek dowodzenia prawdy; że od rady, kopą zwanéj, zależało uznanie słuszności pojedynku, lub też jego wzbronienie; że niestawający, był wyjęty z pod prawa i musiał z kraju uchodzić; że wreszcie kobiety, starcy, kalecy i kapłani mogli w odwodzie stawiać zastępców“ (*). Po odczytaniu słów tych dziejopisa Litwy starożytnéj, gdy zwrócić zechcemy uwagę na te okolenia kamienne, u stóp okopiska położone i zatrzymamy ją nad nieforemnością położenia tych okoleń, tak względem okopiska, jako i ich samych względem siebie, mimowolnie nastręcza się zapytanie: czyby te okolenia kamienne parami zbliżone do siebie, niebyły z umysłu tak rożnemi w starożytności, aby dać miejsce zbliżenia się dwóm ludziom walczącym pojedyńczo z sobą w obliczu sądu kopy? Opierając się na poważném świadectwie historyka naszego, niemniéj na prawdopodobieństwie przypuszczenia, któreśmy o owych okoleniach kamiennych uczynić sobie pozwolili, ośmielamy się je ogłosić za takowe w poszukiwaniach naszych.

Uroczyska podobne, które my dzisiaj okopiskami nazywamy, w przestronnych miejscach na wierzchołkach gór dokoła okopywane, nie od okopu je okrążającego, jak niektórym się zdaje, nazwę okopiska przybrały. Uczony Czacki od liczby sześćdziesiąt, to jest od kopy zbierających się na owe sądy sędziów, nazwisko miejscu sądowemu naznacza. P. Kraszewski początek nazwania okopiska naturalniéj i prościéj wyprowadza; upatruje źródłosłów tego nazwania w języku Litewskim,

(*) Dzieje Litwy T. III. str. 515, zacytowano u professora Jaroszewicza, w Obrazie Litwy, część I, str. 155.

gdy mówi: „Nazwanie to, niejest Słowiańskie i wcale co innego znaczy. Pochodzenie jego czysto-Litewskie: wyraźnie nazwany od *kopa* pagórek, *kopu* wchodzę na wyniosłość“ (*). Professor Jaroszewicz mniema, iż nazwa okopiska początek swój bierze od zbierania obyczajem Ruskim ludzi tak zwanéj kopy na kopowiskach, może kopcach granicznych, dla zrobienia opytu czyli śledztwa o popełnioném zabójstwie, lub kradzieży (**). Wacław-Alexander Maciejowski mówiąc o sądach gromady, „miejscem zgromadzenia kopy, powiada on, był kopiec graniczny, (bo się i tak wyrażano) kopu“ (***). Jakkolwiek, bądź było to obyczajem u starożytnych, nim porządek cywilny niezostał jeszcze ujętym w pewne formy i prawidła towarzyskie, iż ludzie poważniejsi wiekiem, czyściejsi od innych obyczajami i przykładném życiem zyskiwali powszechną wiarę i ogólny szacunek; ci z pośrodka innych głosem ogólnym wybrani, zasiadali publicznie dla sądzenia sporów, lub spraw, które w gromadzie pokolenia, namiętność lub burzliwość ludzka wszczynać mogły. W prostodusznéj szczerości i w prostocie obyczajów jakie cechowały pierwiastkowe ludzi towarzystwa na téj ziemi osiadłe, ufność bez granic, wiara w cnoty publiczne, być musiały najpiérwszemi i najgłówniejszemi warunkami i jedyną podstawą życia społecznego. Ztąd strony ustnie wytaczające publicznie swoję sprawę przed wybranymi sędziami, przestawały na wyroku ogłoszonym przez wybranych z pośrodka siebie sędziów, nieszukając wyższych instancyj, albowiem w starożytności, gdy ustały odwoływania się w sprawach prywatnych do gajów świętych, lub do sprawiedliwości krewe-krewejty; krewów i krawulów, sąd wybranych był jedynym są-

(**) Litwa, starożytne dzieje i t. d. T. I, str. 183.

(**) Obraz Litwy, część I, str. 159.

(**) Historya prawodawstw Słowiańskich, T. IV. str. 16.

dem, a okopisko jedyném miejscem juryzdykcyi, lud zaś cały szanował wyroki sędziów, niemniéj cześć zachowywał dla miejsca sądowego. Liczenie na kopę złożoną z sześciu dziesiątków, być musiało w używaniu u dawnych mieszkańców naszéj ziemi, gdy ten zwyczaj doszedł do nas i tak się powszechnie wcielił w rachunek naszego domowego życia i porządku; u nas przecię w całym kraju w poważnych sprawach, zarówno i w najdrobniejszych okolicznościach domowych, rachunek na kopy jest pospolitym. W handlu leśnym towar drewniany wszelkiego gatunku na kopy się liczy. W krestencyi polnéj, ziarno w snopie obliczamy na kopy. W gospodarstwie owce zwykle się na kopy liczą. Ptastwo, sery, jaja, owoce, grzyby, kafle nawet do pieców kopami się przedają i kupują. Zdaje się wszakże, że liczba sześćdziesiąt niebyła nigdy warunkiem sądu kopy. Tadeusz Czacki z ułomków Rotunda Melesiusza dochodząc początku kopy, mniema, iż liczba zgromadzenia sześćdziesięciu w Litwie składająca sądy, o wszystkiém stanowiła. Kiedy tymczasem żaden z pisarzy naszych piszących po Czackim w sądach kopy ilości zasiadających w niéj sędziów, stanowczo i z pewnością zakreślić nieumie. P. Kraszewski mniema, iż sądy kopy jako niebędące pochodzenia Słowiańskiego, nieograniczały się sześćdziesięcią mężami. W.-A. Maciejowski znachodzi ślady, iż Ruś zamiast sądu kopy miała sotnie, lecz nie jest pewnym, czyli liczby sto musiała dochodzić gromada, czyli, co jest pewniejszém, mniéj a nawet i więcéj wynosić mogła, chociaż jéj i tak nazwisko sotni nadawano. „Obowiązek sotni, mówi on, był tenże sam co i kop“ (*).

Gdy porządek i prawa cywilne kształcąc się kolejno od Litwy pogańskiéj, z czasów jéj przedpiśmiennych coraz się porząd-

(*) Historya prawodawstw Słowiańskich T. IV. str. 16.

kowały i dopełniały, zwyczaj wyrokowania publicznego przy zgromadzaniu się sądu kopy przechował się do czasów późniejszych. Każda gromada, że niepowiem wieś każda, w nazwaniach miejscowych przechowała nazwiska kopiszcz, to jest miejsc na których się gromady zbierały dla rozsądzania spraw wioski, lub dla narad prywatnych między sobą. O téj wielkiéj liczbie podobnych uroczysk w stronie tutejszéj zaświadcza wypis z dokumentu rozgraniczającego dobra Łohojskie od dóbr Pleszczeńskich w województwie Mińskiém w 1612 roku nastały, zacytowany w Badaniach archeologicznych Eustachego hr. Tyszkiewicza, w którym idąc po granicy, kilkakrotnie nazwisko kopiszcz wymienia. Kopiszcza te służące niegdyś bezwątpienia za miejsca narady gromad wioskowych, dzisiaj nic prawie nieznaczące, z upadkiem tego ludowego zwyczaju całkiem zaniedbanemi zostały. Lubo wielka tych kopiszcz liczba przed laty istniała, żadne przecię z nich dzisiaj nieodznacza się szczególniejszą cechą, kiedy okopiska większe, na wierzchołku wzniosłych gór tam i ówdzie w pewnych odległościach poumieszczane, mające właściwe sobie charaktery, dotrwały do czasów naszych, zachowały u gminu nazwę zamków i są daleko rzadszemi od tamtych uroczyskami w każdéj okolicy. Czyby niegodziło się ztąd domyślać, iż w starożytności drobne okopiska na narady i zbiory sądowe wioski przeznaczone, mogły być przedwstępną czyli piérwszą juryzdykcyą gromady, od któréj skargi zanoszono do sądu kopy jakiéjś poważniejszéj, mającéj swoje posiedzenia na wierzchołku gór wybranych i fossą oprowadzonych. Z wierzchołka tych okopisk lud pospolity nietylko słuchał wyroków sądowych w sprawach prywatnych, lecz mu też z nich ogłaszać musiano i ogólne krajowe postanowienia. O powodzie, któren nas na tę myśl naprowadza, zaraz mówić będziemy.

Sądy publiczne, ta jedna z najpiękniejszych instytucyj ludz-

kich, co wzięła swój początek w czasach czystéj i świętéj patryarchalnéj prostoty, gdzie sędzia ogólném zaufaniem obdarzony, składa w ręce publiczności skarb najdroższy, opiniję własną, jako zakład tego, iż w obliczu świadków wyda w sprawie wyrok sprawiedliwy i bezstronny, z różnemi odmianami forma i pozycyi do czasów ostatnich doprowadzone, za pamięcią już naszą w tym kraju skończyły się (*).

OKOPISKO W SUKROMNEM.

Z wierzchołka okopiska w Młynku Borowym, w stronie ku zachodowi po nad lasami, które podnoże téj góry zapełniają, o dwie wiorsty w prostym kierunku, uderza wydatnie oko każdego wyniosła nad lasy góra. Zaostrza ona ciekawość badacza, bo niepodobna aby jakiegoś związku z odległą przeszłością niemiała, ażeby starożytni przedchrześcijańscy ludzie, którzy do wierzchołka wyniosłych gór przywiązywali zwykle tajemnicze jakieś znaczenia, na téj niebyli umieścili jednego ze swoich uroczysk. W rzeczy saméj wierzchołek téj pięknéj góry pośród lasu położony, na dwadzieścia dwa sążnie nad poziom wyniesiony, od północy i zachodu wielkiemi błotami okrążony, zowiący się w narzeczu Rusińskiém miejscowego ludu Sukromnem, oprowadzony dokoła fossą na pięć sążni szeroką, mający jedno wejście od południa, odkąd po grzbiecie kulistym mniejszéj góry pochyło idącym ku południowi przedłużonym na czterdzieści ośm sążni, niedaleko od wchodu znajdują się podobneż jak i w wyżéj opisaném okopisku kamieniami wyłożone miejsca dla słuchania wyroków sądowych. Niesą one tak wyraźnemi jak te, któ-

(*) Sądy publiczne w Litwie skasowane zostały ukazem datowanym 25 lipca 1840 roku.

re nam przy okopisku w Młynku Borowym odkryć się udało, lecz zdają się mieć wszystkie żądane cechy i dla tego odważamy się je tutaj podobnież nazwaniem miejsca słuchania wyroków sądowych zadeterminować. Uroczysko to powierzchnię ma kulistą dwieście sześćdziesiąt dwa pręty Litewskie zawierającą, jest najforemniejszém i najpiękniejszém okopiskiem. Leży ono na przestrzeni lasów należących niegdyś do dóbr Łohojskich, dzisiaj w granicach własności dziedzicznéj obywatela p. Alexego Czudowskiego. Nazwanie uroczyska tego obojętném być niemoże dla czyniącego poszukiwania, i dla nas ono niém niebyło. W chęci głębszego zbadania rzuciliśmy się do jedynego u nas źródła, to jest do podań gminnych. Najstarszy włościanin ze wsi przyległéj ozyry nazwanéj, nazwiskiem Szymon Lis, pytany przez nas jakieby się przechowały pośród nich podania ludowe o téj górze, zamkiem u nich nazywającéj się, w następny sposób o nich nam opowiedział: „Dawniéj, bardzo dawno temu, kiedy jeszcze ludzie byli więksi i silniejsi na świecie i ciągłe prowadzili wojny z sobą, gdy się po nich zabierano do zgody, przez wybranych z pośrodka siebie naczelników, na wierzchołku téj góry *sukromilisia*, co znaczyć miało po-Polsku, jak badany przez nas włościanin nam wytłómaczył, *jednali się*.“ Podanie to naprowadza na oczywisty wniosek, iż to okopisko w starożytności służyć musiało między innemi sprawami publicznemi na ogłaszanie ludowi ogólnych postanowień krajowych w liczbie zaś tych i warunków zawartego po wojnach przymierza. W Rusińskiém narzeczu używany wyraz сукромиться, jednać się, niejest całkiem znanym w dzisiejszéj mowie Ruskiéj; radziliśmy się wielu bieglejszych od nas w tym przedmiocie ludzi, prosiliśmy wielu uczonych o wyszukanie w dawnym Słowiańskim języku znaczenia tego wyrazu, dla porównania prawdopodobieństwa jakiego w wykładzie tego okopiska, opierając się na opowiadaniu

włościanina, trzymać się czuliśmy się obowiązanymi. Wszyscy proszeni przez nas odpowiedzieć nam raczyli, iż jak w mowie staro-Słowiańskiéj, tak i w dzisiejszym wykształconym języku Rossyjskim nieznano całkiem wyrazu **сукромиться**; lecz wieleż my jeszcze wyrazów i rzeczy całkiem nieznamy! Ciagłe badania odkrywają przed nami bezprzestannie nowe przedmioty z któremi powoli oswajać się i zaznajamiać się nam przychodzi. Wyraz **сукромиться** w Rusińskiém miejscowém narzeczu istnieć musiał, i musiał wyrażać pojednanie, kiedy go włościanie powtarzają i z taką pewnością tłómaczą: na téj więc powadze ludowego narzecza oparci, wniosek nasz o tém okopisku ugruntowaliśmy.

W téj chwili, kiedyśmy niemający na czémś poważniejszém oprzeć się, wsparci tylko powagą słowa ludowego, wyraz Sukromne, oznaczać mający pojednanie się, za takowy przyjmując, przeznaczenie owego okopiska już byli zdeterminowali, — piśmienictwo Czeskie przybyło nam w pomoc dla objaśnienia téj wątpliwości. Jeden z naszych badaczów starożytności (któremu tutaj za tę uczynność zawdzięczamy), wskazać nam łaskawie raczył artykuł pod tytułem: „Nacrtky z obecneho zivota v Cechach a wlaste w Praze v XVI veku“, to jest: zarysy z domowego życia w Czechach, a mianowicie w Pradze w XVI wieku, — umieszczony w piśmie peryodyczném Czeskiém *Obzór*, wychodzącém w Pradze na rok 1855. W tym artykule pisarz ogłaszając akta sądów tajemnych (sukromnych) w swéj przedmowie tak się wyraża: „Pod tym tytułem mamy wydawać niektóre swą treścią zajmujące wypiski, z najdawniejszych xiąg, świadków, przechowujących się w obecném archiwum w Pradze; xięgi świadków (libri testimoniorum) sporządzone były z powodu rozpraw *v.* sądów tajemnych, (soukromnych), gdzie jedna i druga strona, sprawę swą przez opowiadania świadków objaśniała. Świadkowie, będąc do sądu wezwani, musieli wy-

znawać pod przysięgą, co wiedzieli o rzeczy spornéj, która się zdarzyła, a pisarz przysięgły zeznania ich każdego poosóbno słowo do słowa zapisywał. Xiąg takich znaleziono w archiwum w Pradze 56, które się zaczynają od roku 1490, idą daléj porządkiem bez przerwy aż do drugiéj połowy XVIII wieku. Xięga najstarsza ma ten napis: Anno salutis nostrae MCCCCXC liber testimoniorum assignatus est Matheo Baccalario Crudimensi, tunc stilo civitatis supreme assignato, Johanneque Kamennik proconsule per serenissimum regem Vladyslaum f. 11 ante Johannis Baptistae primitus locatae. Incipit feliciter. Co się tycze poznania obyczajów, ukształcenia i życia domowego, niéma zaiste nic, coby wieki ubiegłe tak żywo a razem tak wiernie kreśliło jako te xięgi. Wszystko, co w nich jest wyrażone, są to wyjątki z dawnego żywota ludów. Język jest do zadziwienia sprawny, jędrny i obrótny, wyrównywa pismom najlepszym literatury naszéj z średnich wieków; z wielu względów może posłużyć za dobry wzór, zwłaszcza do pism ludowych konwersacyjnych i opowiadań.“

Artykuł powyższy pisma Czeskiego, któren tutaj cytujemy niezostawuje już nas w obojętności ani na jedną chwilę, iż okopisko, o którém mówimy było miejscem sądów tajemnych pokolenia. W Czechach sądy te od kilku wieków szły porządnie i piśmiennie, boć Czesi w roku 1490 pisać już dobrze umieli; my zaś naród jeszcze młody w dziejach cywilizacyi, mieszkańce lasów i puszcz dzikich, w onéj dacie, nieznający jeszcze pisma, ani mający porządnych miast, wiosek ani mieszkań, kontentować się musieli wierzchołkiem góry sądowéj, choć nieumiała wytłómaczyć prawdziwego jéj przeznaczenia. (*)

(*) Wszelako nie od rzeczy sądzimy wspomnieć, że język Polski zdaje się potwierdzać mniemanie Białoruskiego ludu, co do wyrazu *Sukromić się* (jednać się). W języku Polskim wyrazy: ***Poskromić***,

Rzeczą zdaje się być niemniéj godną zastanowienia, na którą pragniemy zwrócić uwagę badaczów starożytności naszych, iż wszystkie okopiska przez nas zbadane, mają wejścia na południe obrócone; czyby ta jednostajność zachowana na wszystkich okopiskach niemiała w sobie jakiejś jednostajnéj formy u starożytnych przyjętéj i przywiązanéj do biegu słońca? Kawał téj ziemi w powiecie Borysowskim położony, składający niegdyś dobra Łohojskie, więcéj od innych sąsiednich okolic napełniony zamkami, horodyszczami, okopiskami, niezliczoném mnóztwem kurhanów, żalników, kopiszcz i rozmaitych uroczysk rozrzuconych po lasach, o których to ostatnich na inném miejscu kiedyś szczegółowie mówić zamierzamy, domyślać się każą, iż ziemia ta w starożytności gęściéj od innych sąsiednich zasiedloną była i stanowiąca jakąś obszerną dzielnicę xiążęcą, stosunki towarzyskie rozleglejsze, więcéj rozwinięte i potrzeby wzajemności między ludźmi dawniéj od innych uporządkowane miała. Coby do tego powodem być mogło? odgadnąć niełatwo: albowiem część ta kraju lasami porosła, lubo po niéj jak dzisiaj płynące rzeki jedne na południe przez Berezynę, Dniepr ku morzu Czarnemu, drugie przez Dźwinosę, Wiliję, Niemen w Niemieckie kraje ku morzu Baltyckiemu, stosunki otwierały, nigdy bogactwem uzbieraném przez rolnictwo i zamianę płodów w starożytności słynąć niemogła; dowodem oczywistym na to

---

Poskromić się, *Skromny* i t. p., widocznie ten sam mają źródłosłów co Białoruski wyraz *Sukromić się*, i prawie to samo znaczą: gdyż wyrażają zrobienie *pokoju*, czynienie *spokojnym*, *łagodność* charakteru i t. d. Trudno nam o przykłady znajdowania zródłosłowu czysto Czeskiego w wyrazach mowy Białoruskiéj; przeciwnie zaś źródłosłowów czysto Polskich jest w niéj ogromna liczba, zdarza się spotykać nawet takie, które dotychczas są w żyjącéj mowie Białorusinów, lubo w języku Polskim tylko w starych pisarzach się przytrafiają.

(*Przyp. Red.*)

służyć mogą poszukiwania tak liczne przez lat wiele dokonywane w kurhanach i mogiłach przedchrześcijańskich, gdzie każden sprzęt z nich dobyty i porównany ze sprzętami nabytemi z wykopalisk stron odleglejszych, a bliższych czystéj Litwy ku Wilii, Niemnowi i morzu Baltyckiemu posuniętéj, wielkie ubóztwo objawiał. Zgłębiając i porównywając z wykopalisk zamożność dawnych mieszkańców tego kraju, dziwnie uderzające co do ich ubóztwa i mierności znajdujemy podobieństwo z położeniem dzisiejszych. Powiat Borysowski dzisiaj, gdzie rolnictwo tak daleko już posunięte, i stosunki handlowe tak są ułatwione, pod względem bogactwa rolniczego i przemysłowego najniżéj od innych sąsiednich stoi, w nim mieszkańcy dzisiejsi często bardzo cierpią niedostatek w chlebie i nieurodzajach: ziemia albowiem powiatu Borysowskiego z powodu wielkich lasów, mnóztwa rzek i błot, z natury swéj chłodna, sopowata, nieżyżna, staje się przyczyną do tego, że mieszkańcy jéj ogólnie w najurodzajniejszych latach nigdy do rzędu bogatych okolic przez obfitość płodów rolniczych zaliczonymi niebyli. Dalsze powiaty ziemi naszéj, jakby od ogniska tego ubóztwa rozchodząc się we wszystkie strony coraz daléj w promieniu, za dostatniejsze się u nas liczą. Tak w jedną stronę na południe ku Wołyniowi, powiat Miński jest znacznie żyżniejszym, za Niemnem Słucki już ma większy dostatek chleba i rolniczych płodów, za nim Pińsk, a daléj Wołyń bogactwem ziemi słynie. W drugą stronę ku północy po za Wiliję, powiat Wilejski znacznie jest urodzajniejszym od Borysowskiego, daléj idzie Wileński i Święciański, za nim czysta Litwa i Żmudź święta, dwa bogactwa rolnicze naszego kraju. W tymże samym stosunku i u starożytnych przedchrześcijańskich ludzi zamieszkałych tutaj u tego podziemnego dzisiaj świata, któren z wykopalisk tylko ciągle poznajemy, iść musiały dostatki. Wnosim o tém z porównania sprzętów wykopywanych z mogił i kurhanów na całéj téj prze-

strzeni. Jeżeli w grobach rozkopanych w powiecie Borysowskim same tylko żelaztwo, bronzy i inne ozdoby metaliczne podłego kruszcu i lichéj bardzo roboty wydobywanemi bywały,— daléj w promieniu idąc w obie strony ku morzu Baltyckiemu i ku Wołyniowi, sprzęty srebrne i złote, bogate ozdoby kobiece, broń zbytkowniejszą rozkopane kurhany i mogiły nam często tu i ówdzie dawały. Wiadomo, iż od północy plemie Skandynawów, od południa Grecya, Bizancyum i Włochy dostarczały rolniczemu Krywiczan krajowi zbytkowne sprzęty w naczyniach i ozdobach. Prowincye naszéj ziemi bliżéj morza położone, żyżniejszą mając ziemię, płodami rolniczemi obficiéj z niéj dobywanemi i ich zamianą z handlującymi cudzoziemcami wzbogaceni, od tychże z większą łatwością bogatsze sprzęty nabywać mogli; daléj w środek kraju zagłębionym mieszkańcom, przy tak mało wówczas ułatwionych środkach komunikacyi, a przy coraz mniejszéj możności, z trudnością przychodząca zamiana płodów, coraz bardziéj utrudniała ich nabywanie, zkąd pochodzi, iż coraz daléj w głąb' kraju naszego po założonych promieniach postrzeżenia nasze archeologiczne prowadząc, coraz do uboższych sprzętów zstępując, musimy wyrobić w sobie to mocne przekonanie, iż zakątek ten ziemi Krywiczańskiéj w starożytności, któren my dzisiaj powiatem Borysowskim zowiemy, był jak i teraz najuboższym z całéj téj przestrzeni naszéj ziemi. Gdy odległość od morza, nieurodzajność ziemi, brak komunikacyj handlowych i brak płodów do wzajemnéj zamiany, ubóztwo tego zakątka ziemi Krywiczańskiéj w starożytności, stanowiącéj dzisiaj ziemię Łohojską, zdecydowanie nam przedstawia,— zkądże pochodzi liczne na niéj nasiedlenie? Inaczéj się to wytłómaczyć niedaje, jak przez tę myśl, iż Łohojsk, starożytna Słowiańska posada, mająca dwa obszerne, blizko siebie położone obronne zamki, stanowić musiał niegdyś dzielnicę większą i znamienitszą od innych, że na

własności téj dzielnicy lepiéj urządzony porządek cywilny, sprawiedliwsze i łagodniejsze prawidła życia społecznego zachowywane od sąsiednich, ściągać mogły na tę ziemię liczne osady ludzi, a z nimi szybczéj rozwijać się musiały warunki życia społecznego, na zadosyć-uczynienie którym wznosiły się w różnych miejscach horodyszcza ofiarnicze, okopiska sądowe i kurhany grobowe, których takie mnóztwo rozrzucone po wszystkich stronach na tym kawałku ziemi, dla badań archeologicznych dzisiaj tak obszerne nastręczają domysły.

ZAMEK W ZASŁAWIU.

Piękny ten zamek obronny, we wszystkich dawnych kształtach do dziś dnia w niczém nienaruszony, założony przez Włodzimierza Wielkiego przeznaczony na wygnanie małżonki jego Rogniedy z synem Izasławem, ciekawą zajmuje kartę w dziejach Krywiczańskiéj ziemi. Życie Włodzimierza, xiążęcia wyższego nad wiek w którym panował, charakter, dzieła jego wojenne i cywilne sprawy, któremi kraj swój podniósł i zabezpieczył i piérwsze ślady porządku cywilnego w nim ustalił, zasługują zaprawdę na to, ażeby bliżéj zbadanemi były. W młodości excentryczny, porywczy, gwałtowny, umysłu przedsiębierczego, każdą myśl pierwszą co mu do głowy przyszła, śmiałą, zbrodniczą nawet, bez żadnego namysłu w czyn zamieniał i bez względu na środki z największą szybkością wykonywał. W reformach krajowych przemiany czynił z największém okrucieństwem, jakie władza panującemu w tym wieku dawała, raptownie, bez przejść powolnych, bez stopniowania, w drugiéj połowie życia nagle z człowieka okrutnego, przechodzi w łagodność, słabością prawie nazwać się mogącą; dobroczynny,

oddaje się ćwiczeniom pobożnym, ślepo ulega władzy duchowieństwa. Z tym odcieniem nowym charakteru do końca swego życia pozostaje. Takie niezwyczajne przejścia w życiu i charakterze panującego, któremu potomność imie Wielkiego przyznała, musiały dla kraju, nad którym panował, znamienite na korzyść jego potworzyć przejścia, przemiany, instytucye. Niezbytnią rzeczą nam się zdaje, gdy przypomnim sobie tutaj pokrótce niektóre wydatniejsze peryody z życia tego znamienitego w swoim czasie xiążęcia.

Po wezwaniu Waregów na tron Ruski, gdy dynastya nowoutworzona ustaloną została, około roku 972, po śmierci Światosława synowie jego objęli rządy nad krajem. Jaropełk panował w xięztwie Kijowskiém, Oleg w ziemi Drewlanów, Włodzimiérz w Nowogrodzie. Wojewoda Sweneld uczestnik wojennych czynów Igora i Światosława, pałający zemstą ku Olegowi, czyni piérwsze kroki zamieszania w kraju, podburza Jaropełka do wydania wojny bratu i do opanowania jego dzielnicy; z uzbieraném na ten cel wojskiem napadają na Olega, i pod Owruczem go porażają. Oleg w ucieczce szukający ocalenia, wśród tłumu nieporządnie uciekającego wojska, do fossy zrzucony i w niéj przez tłum w nieładzie szukających ucieczki ludzi zaduszony, kończy życie; Jaropełk tą koleją jako zwycięzca brata staje się panem jego dzielnicy i łączy ze swojém xięztwo Drewlanów. Włodzimiérz xiążę naonczas Nowogrodu, dowiedziawszy się o postępku Jaropełka i o zaburzeniach ztąd wynikłych w kraju, rzuca swoję dzielnicę i ucieka do Waregów. Jaropełk korzystając z tego zdarzenia, wyprawia do Nowogrodu swoich namiestników, zajmuje bratnią dzielnicę i tym sposobem jeden zostaje samowładnym monarchą Rossyi.

Włodzimiérz wysadzony z dzielnicy i pozbawiony praw xiążęcego dziedzictwa obmyśla nad środkami nietylko wrócenia do niego, lecz nadto nad sposobami wyparcia brata swego

Jaropełka ze wszystkich jego posiadłości i opanowania władzy nad całą monarchiją przez Światosława im zostawioną. W tym celu przez dwa lata swego wygnania na ziemi przodków swoich Waregów zbiera liczne wojska pod chorągiew' swoję. w 980 roku z nimi przybywa do Nowogrodu, wypędza z niego namiestników Jaropełka, i tak obejmuje prawa do swojéj dzielnicy. W xięztwie Połockiém, nad ziemią Krywiczanów panował podówczas Rogwołod podobnież z pokolenia Waregów. Miał on córkę słynącą z wdzięków na imie Rogniedę zaręczoną Jaropełkowi. Włodzimiérz knując potajemne zamiary przeciw swemu bratu, nietylko go zamyślał zepchnąć z władzy, lecz postanowił mu odebrać nadobną narzeczonę jego. W tym celu przez wysłanych posłów do Rogwołoda zażądał ręki córki jego. Rognieda może lękając się namiętnego charakteru Włodzimierza, może wierna Jaropełkowi, dumnie odrzekła przysłanym posłom, że niemoże połączyć się małżeństwem z synem niewolnicy, albowiem wiemy z dziejów, iż Włodzimierza matka była klucznicą przy Oldze. Oburzony Włodzimiérz tą odpowiedzią Rogniedy, z zebraném wojskiem rusza na Połock, zdobywa go, zabija Rogwołoda ojca Rogniedy i dwóch jéj braci, i żeni się z Rognieda. Dopełniwszy tak okrutnego i gwałtownego czynu, prowadzi swe wojska pod Kijów. Tam opasawszy okopami swój obóz, nieśmiejąc z powodu sił słabych wstępnym bojem attakować téj stolicy, postanowił ją zdobyć podstępem. W tym celu uhodzi w tajemny związek z niejakim wojewodą Błudem posiadającym pełne zaufanie Jaropełka. Ulubieniec ten monarchy, ujęty obietnicami Włodzimierza, zdradza swego dobroczyńcę, pod pozorem, iż jakoby Kijowjanie byli w związku z Włodzimierzem, wmawia Jaropełkowi niepewność jego osoby, w jakiéj się ona w tém mieście znajduje, namawia go do ucieczki do Rodnia, miasta blizko leżącego przy ujściu Rossy do Dniepra. Kijowianie opuszczeni przez swego monarchę, ogło-

dzeni przez Włodzimierza, jemu poddać się zamyślają, gdy tymczasem Włodzimiérz pospiesza obledz brata w ostatecznem jego schronieniu. Jaropełk przelękniony widokiem licznych wojsk oblegających ostatnie jego schronienie, przez zdradę Błuda nakłoniony do poddania się bratu. Niesłucha rad wiernego mu sługi Warażka, co mu radził aby się bratu niepoddawał, bo zginie, lecz żeby na czas niejaki Ruś porzucił, nim się okoliczności jego nieprzemienią. Dobrego serca lecz słabéj woli Jaropełk przychyla się do zdradnéj rady swego wojewody, zgadza się bezwarunkowie na poddanie się bratu i na przyjęcie tego co mu brat przeznaczy; nadto pod pozorem zawarcia układów osobistych z bratem przez Błuda do Włodzimierza zaprowadzony, w mieszkaniu jego przez dwóch Waregów najętych, zamordowanym zostaje; żonę zaś jego brzemienną Włodzimiérz bierze na swą nałożnicę. Włodzimiérz tą straszną drogą opanowywa dzielnice dwóch braci swoich w 980 roku staje się panem całéj Rusi i rządy swoje nad nią rozpoczyna. Wojsko Waregów przez Włodzimierza zebrane do opanowania Kijowa, sądząc się być zwycięzkiém, domagało się znacznéj daniny od mieszkańców Kijowa. Włodzimiérz, niemogąc się pozbyć w téj chwili wojska zaciągniętego, a niechcąc mu dawać praw okupu nad mieszkańcami Kijowa, pięknemi obietnicami łudził je póty, aż uzbierał we własnym kraju siłę odpowiednią do odparcia wojska Waregów. Waregowie widząc się oszukanymi przez Włodzimierza, nieośmielili się z nim do rozprawy siłą, prosili tylko o pozwolenie odejścia do Grecyi. Włodzimiérz ważniejszych z pośrodka nich utrzymał przy sobie, dając im w zarząd niektóre miasta w swoim kraju; na oddalenie się reszty z radością zezwolił.

Włodzimiérz po objęciu rządów nad krajem, cały się z zapałem bałwochwalstwu poświęcił: karmiąc w sobie myśl kłaniania się bogom pogańskim chciał snać przez stawianie im

bałwanów i przez ofiarę z krwi ludzkiéj, zmazać grzech bratobójstwa nad nim ciążący. Wystawił niedaleko swego letniego pałacu na poświęconym wzgórku, pomiędzy innemi, wspaniały posąg Perkuna ze srebrną głową, przed którym tłumno skupiał się zaślepiony naród i ziemię broczył krwią ofiar. Toż czynili i w innych miastach namiestnicy z rozkazu swojego xiążęcia.

Włodzimiérz niesyty krwi przez ofiary bogom poświęcone, wnet po ustaleniu swéj władzy zażądał wojny. W roku 981 wypowiedział ją sąsiedniemu monarsze Mieczysławowi, panującemu nad Polską, w widokach oddjęcia mu tego co wprzód Oleg zawojował w Czerwonéj Rusi dziś Galicyi, a co późniéj za Jaropełka do Polski odpadło. Zdobył on miasta: Czerwień, Przemyśl i wiele innych. We dwa lata następnie uskramia Włodzimiérz bunt Wiatyczanów, zawojowywa krainę Jadźwingów, daléj w stronę północno-zachodnią przez zawojowanie Inflant rozszerza granice państwa aż do morza Baltyckiego.

Po odniesieniu tak świetnych zwycięztw, które kraj Ruski nowo zdobytemi prowincyami powiększyły i sławą wojenną okryły, Włodzimiérz chcąc bogom za nie podziękować, kazał aby losy pociągnięto na to, który z młodzieńców i z dziewic z krwi własnéj ma uczynić bogom ofiarę. Los padł na młodego i pięknego młodzieńca Warega, którego ojciec już był Chrześcijaninem. Gdy mu to objawiono, ojciec niechcący wydać syna na ofiarę, sam z nim przez lud zamordowanym został.

Zetknięcie się Włodzimierza z Polską przez wojnę Mieczysławowi wydaną, przypadło właśnie około téj pory, kiedy Mieczysław król Polski w kraju swoim krusząc bałwany, pojęcie o prawdziwym Bogu rozszerzał. Potrzeba przyjęcia Chrześcijaństwa trafiła do myśli Włodzimierza, tém więcéj, iż ono było życzeniem bogobojnéj Olgi. Ruś, w któréj już oddawna powoli tam i ówdzie potajemnie Chrześcijaństwo krzewić się

poczynało, przystąpiła prawie w jednym czasie z sąsiedniemi krajami, jako to: Węgrami, Polską, Szwecyą, Norwegiją, do przyjęcia wiary Chrześcijańskiéj. Gdy Włodzimiérz tę wolę objawił, różnych wyznań missyonarze z Taurydy przybyli do Kijowa. Włodzimiérz wszystkich z kolei słuchał. Najpiérwszymi byli Mahometanie Bulgarscy, przysłani z nad brzegów morza Kaspijskiego; opisanie seraju mahometa i będących w nim rozkoszy podobało się xiążęciu, lecz obrzezania i wstrzymania się od wina nieprzyjął. Posłowie Niemieckich Katolików, mówiący o próżności posągów i o wszechwładztwie jednego Boga, odesłanymi zostali, bo się xiążę niechciał poddać władzy papieża. Posłowie Żydowscy w wykładzie praw Mojżesza nietrafili do przekonania xięcia. Nakoniec przysłany od Greków, wykładem Biblii starego i nowego Testamentu, historyi stworzenia raju, grzechu piérwszych ludzi, potopu, odkupienia Chrześcijaństwa, siedmiu zborów, sądu ostatecznego i t. d., tak mocno zajął umysł Włodzimierza i takie na nim zrobił wrażenie, iż xiążę ten postanowił być ochrzczonym, aby tą drogą zmyć swoje winy i trafić do raju. Włodzimiérz odprawia Greckiego posła obdarzonego wielkiemi podarkami, sam zaś zbiera radę bojarów i starców miejskich, przed nimi odkrywa myśl swoję, i zeznaje, iż ma wielką trudność w zdecydowaniu się na to, jakiby miał obrządek przyjąć, żąda ich w tym względzie rady. Bojarowie i starcy o radę zapytani, doradzają xiążęciu aby dziesięciu najrozumniejszych ludzi z kraju wybrał i takowych posłał do wszystkich państw, aby tam kolejno przypatrzyli się obrzędom jakiemi każdy naród swego Boga chwali. Usłuchał rady swych bojarów wielki xiążę, w 987 roku wyprawił dziesięciu rozsądnych mężów dla zrobienia tego doświadczenia. Posłowie wysłani znaleźli, iż w kraju Bulgarów smutne są świątynie i modły samotne. Nabożeństwo Niemieckich Katolików znaleźli bez żadnéj okazałości ani piękności. Nakoniec w Konstan-

tynopolu obrząd kościoła Greckiego, jego wystawa w nabożeństwie celebrowaném przez patryarchę, ich śpiewy kościelne, mnóztwo wonnego kadzidła, milczenie narodu, świątobliwa powaga i tajemnica obrzędów, zdziwiła i podobała się Włodzimierzowym posłom. Wróciwszy do kraju, gdy zdali sprawę xiążęciu z wrażeń jakich sami doznali, zachęcili go do przyjęcia i do wprowadzenia w kraju obrządku Greckiego. Włodzimiérz na przyjęcie wiary Greckiéj zdecydowany, nieprzyjmuje chrztu wśród swego narodu, w swojéj stolicy, gdzie już były Chrześcijańskie świątynie, lecz pragnąc większego w tym ważnym czynie blasku i rozgłosu po świecie, w 988 roku zbiera liczne wojska, mnóztwo statków, i tak zbrojno po Dnieprze płynie do Chersonu, miasta starożytnego i handlowego, podległego władzy cesarzów Greckich, aby tam przyjąć wiarę Chrześcijańską. Włodzimiérz zawija do odnogi Chersońskiéj; wyprowadza na brzeg wojsko i ze wszystkich stron opasuje miasto. Chersończykowie do wolności przywykli, o poddaniu się Włodzimierzowi zgoła niezamyślają, lecz się opierają mężnie. Wielki xiążę Ruski próżno im grozi, iż przez trzy lata stać będzie pod murami miasta, aż się oni poddadzą. Mężny odpór i ciągła gotowość do boju odpowiadały bezprzestannie groźbom xiążęcia. Po długich pasowaniach się ze stron obu, znalazł się w obozie oblężonych niejaki Anastazy, przyjazny Włodzimierzowi, który za pomocą wypuszczonéj do wojsk Włodzimierza strzały z napisem, uwiadamia go, iż na wschód za obozem oblegających są krynice, które za pomocą rur dostarczają Chersończykom wody, że przecięcie tych źródeł, pozbawiając oblężonych tego niezbędnego produktu zmusiłoby ich do poddania się. Wielki xiążę korzysta z rady, każe przekopać wodociągi, pozbawia oblężonych świeżéj wody; ci pragnieniem znużeni, poddają się Rusinom.

Włodzimiérz zawojowawszy wielkie i bogate miasto, nadęty

swą potęgą, z pychą się w niém rozgościł. Przez posłów swoich do cesarzów Bazylego i Konstantyna, objawia, iż on chce być małżonkiem ich siostry Anny, że w razie jéj odmówienia wysyła wojska na zdobycie Konstantynopola. Propozycya Włodzimierza trafiła w myśl cesarzów Greckich. Związek z możnym xięciem Ruskim wygadzał ich polityce zakłócanéj bezprzestannie nieuległością wewnętrzną i zaburzeniami naczelników ich wojska. Bazyli i Konstanty odpowiedzieli przysłanym od Włodzimierza, iż po przyjęciu wiary Chrześcijańskiéj przyrzekają mu rękę siostry. Włodzimiérz usposobiony do przyjęcia wiary Chrześcijańskiéj, przystaje na tę cesarzów propozycyę, lecz domaga się aby wprzódy w zakład zaufania i przyjaźni cesarze Greccy przysłali mu swą siostrę. Lubo Anna przelękła się tego związku z barbarzyńskim, jak w Grecyi o nim sądzono, xiążęciem, wszakże ulegając polityce krajowéj z siebie tę ofiarę uczynić musiała. Nierada i smutna królewna wyprawiła się do Chersonu z pocztem licznym duchownych i urzędników. Przyjęta przez miasto z oznakami radości i życzliwości, została Włodzimierza chorego na oczy tak mocno, iż nic widzieć niemógł. Anna namówiła go do chrztu, i w téj chwili gdy kapłan wkładał na niego rękę, jakby łaską Bozką przejrzał. Bojarowie Ruscy zdziwieni tym cudem wraz ze swoim monarchą wiarę przyjmują. Po dopełnieniu tego obrzędu, dokonanego przez metropolitę Chersońskiego i Bizantyjskich kapłanów, wielki xiążę zaręcza się i ślub bierze z Anną. Po zaślubieniu Anny, na pamiątkę wiary nowoprzyjętéj, w Chersonie cerkiew' wystawia, poczém zawojowane to miasto wraca nazad cesarzom Greckim, wywożąc z niego do Kijowa zamiast okupu, wiele Greckich kapłanów, bogatych naczyń cerkiewnych i mnóztwo relikwij świętych.

Włodzimiérz po powrócie do Kijowa przejęty zasadami nowéj wiary zaszczepionemi przez metropolitę Chersońskiego,

wnet bałwany kruszy, do Dniepru je strąca, a mieszkańców swojéj stolicy, bez względu na to jakiegoby stanu oni byli, tłumnie pędzi do Dniepru, i tam w obecności swojéj, przez przywiezionych z Chersonu kapłanów, wodą Dnieprową polewa i chrzci ich w imię nowego Boga.

Wpływ pojęć Chrześcijańskich i przewaga jakiéj nad nim używać zaczęła Anna, nowa małżonka wielkiego xiążęcia, przerobiły całkiem dziki i srogi charakter Włodzimierza. Od téj wielkiéj w życiu jego przemiany, żaden czyn srogi ani nieludzki niepokalał panowania tego xiążęcia; oddany rządowi kraju, wewnętrznéj jego administracyi, z całém poświęceniem się i z całą łagodnością ojcowskiego i mądrego xiążęcia, spełniać zaczął obowiązki powołaniu swemu właściwe. Wraz po udzieleniu chrztu świętego mieszkańcom Kijowa, na pamiątkę téj uroczystości buduje drewnianą cerkiew' ś. Bazylego; posyła po biegłych architektów do Konstantynopola, za pomocą tych wznosi nową, wspaniałą murowaną Najświętszéj Panny, na tym miejscu właśnie gdzie w 983 roku młody Wareg ze swym ojcem zamęczonym został. Do jéj upięknienia przeznacza sprzęty bogate przywiezione z Chersonu. Kapłani rozesłani po różnych prowincyach państwa opowiadają wiarę Chrystusową. Włodzimiérz niegwałci niczyjego sumienia, nienarzuca siłą nikomu pojęć nowéj wiary, lecz aby jéj prawdy mocniéj i skuteczniéj wszczepić w pojęcia ludu, zakłada po kraju szkoły, za pomocą których przy wykładaniu xiąg świętych na Słowiański język tłómaczonych jeszcze w IX wieku przez Cyryla i Metodego, rozszerza oświecenie po kraju.

Włodzimiérz pojmować musiał aż nadto, jako to widzieć się daje w początkach jego rządów, myśl tę, iż jednowładztwo koncentrując wszystkie gałęzie krajowego zarządu w woli jednéj osoby, porządek i szczęście kraju tą koleją zapewnia, kiedy bratobójstwem i krwią ludu tak obficie rozlaną, do jedno-

władztwa się wdzierał. Wszakże, pomimo to mocne przekonanie, niewiedzieć dla jakiéj przyczyny, w roku 990 kraj swój między dwunastu synów, niedorosłych jeszcze młodzieńców, których miał z kilku żon razem zaślubionych, (albowiem w owym czasie wielożeństwo niebyło występkiem jeszcze), rozdzielił, dając każdemu z nich rządy nad osóbną prowincyą. Krok ten w późniejszym czasie stał się powodem niezgody i wojen domowych, wypadku tak zgubne ciągnącego za sobą następstwa.

W celu ucywilizowania narodu i zasłonienia południowéj Rusi od napadu Pieczyngów, w tymże 990 roku nad brzegami rzek Desny, Ostery, Trubeży, Suły, Stulmy, Włodzimiérz zakłada nowe miasta i takowe Słowianami Nowogrodzkiemi, Krywiczanami, Czudami, Wiatyczanami, nasiedla.

W roku 993 wojna wynikła z Chorwatami odwodzi Włodzimierza od zatrudnień administracyjnych w kraju i przerywa w nim czynność około urządzeń wewnętrznych. Wojnę tę kończy Włodzimiérz z Chorwatami, aby dać odpór Pieczyngom, którzy przybywają z za Suły i niszczą prowincyę Kijowską. Wojna z Pieczyngami ukończoną została, według powieści przez Ruskiego historyka przytoczonéj, pobiciem Pieczynga przez Rossyanina w osobistym pojedyńczém spotkaniu się w obliczu dwóch wojsk przeciwnych sobie. Na pamiątkę tego niezwyczajnego w dziejach rozstrzygnięcia się wojny, w któréj jakoby dzielném osobistém natarciem, którém powalił o ziemię ogromnéj postaci barczystego Pieczynga, młodzieniec Ruski pochwycił u nieprzyjaciół sławę. Włodzimiérz na tém miejscu, nad brzegiem Trubeży założyć miał jakoby miasto, które Pereiasławiem nazwał. Niedługo karmił się xiążę owocami pokoju. Wprędce potém Pieczyngowie zebrawszy liczne wojska przyszli do Bazylewa, miasta nowozałożonego przez Włodzimierza nad rzeką Stulmą. Wielki xiążę z garstką małą wojska prze-

ciw licznym zastępom nieprzyjacielskim wyszedłszy w pole, cudownym jakimś trafem skryty pod mostem zguby uniknąć potrafił. Pieczyngowie oblegania miasta zaniechali i nazad odeszli. Wielki xiążę to ocalenie swoje przypisując szczególniejszéj łasce Pana Boga, na podziękowanie Mu wznosi w Bazylewie świątynię Przemienienia Pańskiego. Hojnie obdarza ubogich, z Bojarami zaś na wesołych ucztach czas przepędza. Za powrótem do Kijowa też same oznaki radości z tamecznymi bojarami powtarza; obyczaj uczt co niedzielę odtąd w swoim pałacu dla bojarów i urzędników zaprowadza, gdzie wśród biesiadnéj drużyny, zwykł był z nią się naradzać, we wszelkich sprawach krajowych tak wojennych, jak i cywilnych. Dwór, kuchnie i kassa jego były gotowemi do przyjęcia, nakarmienia i zaopatrzenia w pieniądz biednych, mających prawo zawsze przychodzić do niego we wszystkich swoich potrzebach. Dobroczynność, ta cnota, pojęta przez Włodzimierza wespół z przyjęciem Chrześcijaństwa, coraz więcéj się w nim wyrabiająca i wzrastająca przeszła wkrótce na słabość: albowiem nietylko, że ten xiążę odznaczał się dobroczynnością w zasiłkach dawanych tym, którzy do niego przychodzili; nietylko że sam szukał po stolicy chorych, kalek i tym pomoce stosownie do ich potrzeby rozdawał, lecz z największą słabością pobłażał występkom, ocalał życie samych nawet zabójców, karząc ich tylko karą pieniężną. Z tego powodu liczba przestępstw mnożyła się i powtarzała bezprzestannie; doszła nareszcie do tak wielkich rozmiarów, iż duchowni, pasterze cerkwi przymuszonymi byli przez duchowne wpływy, wymódz na Włodzimierzu zaprowadzenie kary śmierci na złoczyńców, co też on upewniony przez kapłanów, iż to się niesprzeciwia zgoła pobożności, przyjął i karę pieniężną przemienił na karę śmierci, ustanowioną przez przodków jego.

Włodzimiérz samym pobożnym ćwiczeniom oddany, stracił był całkiem rycerskiego ducha, pokój przekładał nad wszystko, w nim widział on rękojmię wewnętrznego porządkowania się w kraju, szczęścia ludu podległego swemu panowaniu, zachował ze wszystkiemi sąsiedniemi mocarstwy, jako to: z Polską, Węgrami, Czechami pokój i przyjaźne stosunki. Pieczyngowie tylko, licząc na jego zamiłowanie w pokoju, bezprzestannemi napadami na Rossyę niszczyli jéj ziemię. Na przełożenie mądrych biskupów i starców, iż obowiązkiem jest panującego zasłaniać kraj swój od napadu nieprzyjaciół, Włodzimiérz wziął się nanowo do wojny. W roku 997 zbiera w Nowogrodzie nowe wojska, gdy tymczasem Pieczyngowie korzystając z nieobecności tego xiążęcia w stolicy, podstępują pod Kijów, otaczają Białogród, przecinają stosunki między mieszkańcami tych miast. Głód powstaje w Kijowie; mieszkańce miasta niewidząc na czele swojém ulubionego przez nich xiążęcia, głodem utrudzeni i znękani, składają narady i zamyślają poddać się Pieczyngom. Bajecznym fortelem, o dwóch kadziach strawy, które niby sama ziemia dla wykarmienia mieszkańców miasta obficie dawała, który i historya za bajkę też podaje. Zdziwieni i oszukani Pieczyngowie odstąpili od miasta i zaniechali zdobywanie Kijowa. W roku 1011 umarła Anna żona Włodzimierza, ta gwiazda, która jako narzędzie dobroci Bozkiéj dana xiążęciu za towarzyszkę, jemu we wszystkiém w ciągu życia przyświecała i Rossyę z ciemnic bałwochwalskich wyprowadziła. Nieopłakał jeszcze Włodzimiérz téj wielkiéj straty, kiedy wojnę cztery lata trwającą rozpocząć musiał z Erykiem xięciem Norwegskim, który północne prowincye posiadłości Włodzimierza plondrował i miasta jego tam zdobywał. Przy schyłku dni swoich Włodzimiérz rządami państwa zmordowany, nieszczęściem jakie mu nawlekła smutna strata Anny, skołatany, dożyć musiał strasznego następstwa, jakiego rozdział państwa

między synów jego, stał się powodem. W roku 1014 syn Włodzimierza Jarosław rządca Nowogrodu ośmielił się ogłosić swą nieuległość ojcu, zaprzestał płacić pieniężną daninę, do jakiéj był obowiązany. Włodzimiérz obrażony tym postępkiem Jarosława, przygotować rozkazuje wojska na wyprawę do Nowogrodu w celu ukarania nieposłuszeństwa w synu. Jarosław omamiony chęcią władzy, odważa się wezwać z za morza Waregów, dla podniesienia zbrodniczego oręża przeciw ojcu. Lecz niebo odwracając tę klęskę, niepozwoliło zapisać w historyi przykładu tak wielkiego zgorszenia;— nieprzyszło do wojny między ojcem a synem. Włodzimiérz ze smutku zapewnie mocno zachorował, i w roku 1015 w Berestowie, w pałacu za miastem, po zdaniu władzy nad wojskami ukochanemu synowi swemu Borysowi, w wyprawie przeciw Pieczyngom znowu państwo jego napadającym, w dni kilka umarł, niezostawiwszy żadnego rozporządzenia, co do następstwa po sobie w rządach nad krajem.

Włodzimiérz wyższy nad wiek w którym panował, jako człowiek publiczny dał liczne dowody swojéj wyższości, gdy krajowi którym rządził dał wiarę Chrześcijańską, dał pożyteczne cywilne instytucye, potworzył miasta, kraj zaludnił, stworzył w nim piérwsze pojęcia życia cywilnego, zostawił w nim pamięć wojennéj sławy uzbieraną przez szczęśliwe podboje, groźny swą potęgą i siłą nieprzyjaciołom sąsiednim, ustalił z nimi przyjaźne stosunki. Wszakże pomimo tak świetnych czynów swego panowania, pomimo iż mu potomność imie Wielkiego, a kraj własny nazwę równo-apostolskiego przyznały, w życiu swojém domowém nieumiał się urządzić i nieumiał zabezpieczyć domowéj spokojności. W piérwszéj połowie swego życia namiętny, lubieżny, rozpustnik, jak drugi Salomon: żadna ładna niewiasta niebyła u niego panią swych wdzięków, ani własnością męża swego; a młoda każda dziewica ze swéj cnoty dla niego ofiary składać przymuszoną była. Oprócz wielu

żon ślubnych, które miał jednocześnie, niezmierną liczbę nałożnic posiadał. Owocześna kronika, jeśli jéj wierzyć mamy, podaje nam wiadomość, iż miał on ich 300 w Wyszogrodzie, 300 w dzisiejszym Białogródku niedaleko Kijowa, 200 we wsi Berestowie. Nic zatém dziwnego, iż przy życiu tak rozwiązłem, przywiązanie żon ślubnych słabnąć, w pogardę i nienawiść ku niemu się przemieniać musiało. Rognieda zaręczona Jaropełkowi, przez krew' ojca i braci zdobyta i zmuszona do zaślubienia Włodzimierza, pomimo iż z nim czterech synów i dwie córki miała, niemogła go kochać miłością żony, lecz ulegając gwałtownemu charakterowi xiążęcia z musu nią była tylko. Owoż jak nam historya podaje, Rognieda dla swych zgryzot Gorysławą nazwana, lubo przebaczyła mężowi swemu zabicie ojca i braci, lecz gdy xiążę inne żony nad nią przekładał, a nawet tę nieszczęśliwą z pałacu oddalił, przywyknienie ku niemu w nienawiść zmieniła. Jednego dnia, gdy Włodzimiérz odwiedził samotne jéj mieszkanie, niedaleko Kijowa, nad brzegiem Łybedy i zasnął tam snem twardym, Rognieda chciała go nożem zamordować. W chwili spełnienia tego strasznego zamiaru, xiążę ocknął się i raz ten usunął od siebie. Rozpaczająca Rognieda w téj chwili wyrzuciła mu śmierć okrutnie zadaną jéj rodzinie, i płacząc rzewnie uskarżała się na swą dolę, że zapomniana od niego z synem Izasławem żyć w upokorzeniu musiała. Włodzimiérz oburzony tym postępkiem, postanowił własną ręką śmierć zadać obrzydzonéj przez się małżonce; polecił jéj aby się ubrała w swoję weselną odzież, i siedząc na bogatém łożu w świetnym pokoju oczekiwała śmierci. Zagniewany mąż i sędzia przybywa na naznaczone miejsce dla spełnienia zapowiedzianéj kary . . . gdy młody Izasław nauczony przez swą matkę, podając mu obnażony miecz, rzecze: „Ty niesam tu jesteś, mój ojcze! syn będzie świadkiem!“ Włodzimiérz rozbrojony tym postępkiem, nieznalazł w sobie od-

wągi do spełnienia morderstwa, rzucił miecz o ziemię, oddalił się i wnet zebrał radę bojarów, rzecz im opowiedział i żądał ich na to sądu. „Monarcho! — powiedzieli bojarowie — mając wzgląd na młodzieńca, przebacz występnéj i daj im udzielném prawem prowincyę jéj ojca.“ Usłuchał Włodzimiérz rady bojarów i natychmiast rozkazał zbudować w Krywiczańskiéj ziemi nie w Witebskiéj teraźniejszéj gubernii, jak pisze Karamzin, lecz o mil pięć od Mińska, nowe miasto i w niém obronny zamek, który Izasławem nazwał. Tam w roku 986 nieszczęśliwą Rogniedę z synem Izasławem na wygnanie zesłał (*).

Oto jest piérwszy początek tego obronnego w Izasławiu zamku. W późniejszych on nieco czasach założony od zamków, broniących dzielnice piérwszych władców Krywiczańskiéj ziemi, usypany z rozkazu xiążęcia, co sztukę wojenną lepiéj od innych współczesnych sobie pojmował, ma już widzialne formy ulepszonych pojęć o nauce fortyfikacyi. Zamek ten leży nad prawym brzegiem znacznéj rzeki Świsłoczy, która go od wschodu oblewa przy zejściu się dwóch rzeczek; od południa rzeczki Czernicy, od północy rzeczki Kniahińki, która najpodobniéj do wiary, iż w narzeczu miejscowém z powodu zesłania tam na wygnanie nieszczęśliwéj żony Włodzimierza kniahińką nazwaną być musiała. Na błotach przestrzeń między temi rzekami zapełniających, w nieforemnym prostokącie oprowadzonym dokoła ziemnemi wałami, mającemi wysokości sześć sążni w pochyłości, ma kotlinę na dwa morgi i sto pięćdziesiąt sześć prętów Litewskich powierzchni wynoszącą. Po czterech jego rogach są bastyony w formie serca na ośm sążni nad powierzchnią błota usypane, postacią swą bardzo przypominające bastyony dzisiejszéj już udoskonalonéj sztuki budowania fortec.

(*) W opowiadaniu życia Włodzimierza Wielkiego, i w naznaczeniu początku zamkowi Zasławskiemu trzymaliśmy się Karamzina.

Na czterech bokach samego prostokąta znajdują się duże platformy, jedne okrągłéj, drugie okrągło-podłużnéj formy; platforma, znajdująca się na południowém ramieniu prostokąta, oddzielona jest od niego fossą na sześć sążni szeroką. Dalsze trzy pod zasłoną wału, mającego wysokości w pochyłości sześć sążni przytykają do wałów zamkowych. Duża platforma od zachodu umieszczona, mająca dwadzieścia sążni szerokości, dziewięćdziesiąt ośm prętów Litewskich powierzchni, fossą, mającą szesnaście sążni w szerz, od pola rozdzielona, stanowiła wyraźnie obronę wrot zamkowych. Całą tę powierzchnię błotnistą musiała zalewać woda, łatwo się z dwóch rzeczek wpadających do Świsłoczy, podnosić dająca. Od zachodu na pozycyi płaskiéj, pagórkowatéj, zamek ten od przyrodzenia niebył strzeżonym; założyciel jego przewidział potrzebę zabezpieczenia go z téj strony, i dla tego o dwieście pięćdziesiąt sążni od samego zamku usypano małą warownię formy okrągłéj, mającą nad poziomem w pochyłości wały na dziesięć sążni wysokie. Kotlinę w nim, również okrągłą, otacza obronny wał w pochyłości na pięć sążni wysoki. Takim był zamek, w którym Rognieda, żona znakomitego xiążęcia zesłana na wygnanie do ziemi Krywiczańskiéj, dziedzictwa niegdyś przodków swoich z pierworodnym synem Izasławem, resztę życia spokojnie pędzić miała. Lecz spokoj niebył jeszcze udziałem téj nieszczęśliwéj kobiety; nie tutaj ona jego używać mogła, albowiem, pomimo, iż w dzielnicy sobie przeznaczonéj, na Izasławiu oddzielną panią swéj woli być się zdawała, dochodziły ją wszakże nieraz od strony Włodzimierza przykre i upokarzające przełożenia. Owoż po dacie przyjęcia wiary chrześcijańskiéj przez tego xiążęcia, panującego nad Rusią, Włodzimiérz W. oświadczył Rogniedzie, iż gdy obrządek Chrześcijański jednę tylko żonę mieć pozwala, on, zachowując sobie ostat-

nią, pojętą w Chrześcijaństwie, uwalnia Rogniedę od małżeńskich ślubow i pozwala jéj zostać żoną któregokolwiek ze swoich bojarów. Rognieda, rozżalona za to jego upokarzające godność i dumę prześladowanéj żony przełożenie, odrzekła mu, iż z xiężnéj panującéj i żony — sługą Włodzimierzową zostać niemyśli, że i jéj zbawienie duszy jest równie potrzebném, jak i xiążęciu Włodzimierzowi, do którego tąż samą, co i on drogą dójść zamierza i w tym celu postanawia przywdziać zakonną sukienkę. Postanowienie to Rogniedy podobało się Włodzimierzowi. Rognieda między rokiem 988 a 990 mniszką zostając przyjęła zakonne imie Anastazyi. Po tém spełnieniu świętych ślubów przez żonę Włodzimierzową — trzeci jéj syn Jarosław kaleka na nog od urodzenia, wyzdrowiał cudownym sposobem (*).

Rognieda po troskach i umartwieniach życia, których jako żona Włodzimierzowa bezustannie w upokorzeniu doświadczała, zaledwo na ostatek dni swoich za kratą klasztorną, w spokojném życiu, spędzaném na modlitwie i pobożnych ćwiczeniach, dla troskami i smutkiem skołatanéj i przeciwnościami połama-

(*) Po siem że posła Wołodimer k żenie swojej Rogniedie głahola: „az ubo ot niemi kreszczen jeśm i pryjach wieru i zakon Chrystianskij, podobajet mi jedinu mieti żenu, juże nynie pojach wo Chrystianstwie, tyże izbiery siebie ot wielmoż moich, jeho że choszczeszy i soczetaju tia jemu". Ona że otwieszczawsza, recze jemu: „jehda li tiebie trebie carstwa niebesnoho, mnie że nie trebie jeho? k siemu że bywszy kniaźnieju, kako mohu stierpieti w słuhi twojeho raba byti? no proszu uniewiesti mienia twojemu Christu i da primu światy angielsk inoczeski obkaz", jeże lubo byst' Wołodimeru. Syn że jeja Jarosław, chrom syj ot czerewa matiere swojeja, iże bie pry niej sidia, jehda usłysza sia słowesa ot matiere swojeja, wozbłahodari Boha o razumie i dobrom izwolenii jeja; i abije zdraw byst' i naczati choditi, dosiele nie chodiw; Rognied' że postryżesia wo inoczestwo i nareczeno byst' imia jéj Anastasia. — Gustinskaja letopiś, dodatek do Ipatiewskoj letopisi, wydanie Petersburskie, str. 258.

néj swéj duszy odpoczynek znalazła; niedługo nim się ta xiężna cieszyła; albowiem w 999 roku zakończyła pobożnie swój ziemski żywot (*).

Włodzimierzowa żona, przyjmując zakonną sukienkę, zostawiła na zamku, przez Włodzimierza dla niéj zbudowanym swego syna Izasława, już dojrzałym człowiekiem, nieprzeczuwając losu, jaki xiążęcia tego wprędce miał napotkać. Włodzimiérz W. rozdając rządy kraju między swe syny, w 999 roku Izasława uczynił xiążęciem, rządcą nad Krywiczańską ziemią. Zamek Izasławski, którego przeznaczeniem być miało strzeżenie tylko wygnanéj i od Włodzimierza oddalonéj żony, odtąd zostaje obronną dzielnicą panującego nad xięztwem Połockiém xiążęcia. Izasław obejmuje rządy nad krajem, wydartym siłą dziadowi jego; lecz niedługo cieszy się tytułem i władzą rządcy Krywiczańskiéj ziemi: we dwa lata po śmierci swéj matki, Izasław (1001 r.) żyć przestaje. Wrotysław syn jego obejmuje po ojcu dzielnicę Izasławską i rządy nad Krywiczańską ziemią. Tutaj występuje znowu na widownię historyczną ta krwawa epoka dla Krywiczańskiéj ziemi, o któréj już mówiliśmy wyżéj: brat uzbraja się na brata, aby mu wydzierać posiadłości jego. W tych strasznych domowych zatargach nikną posady, płoną ogniem miasta, krew' niewinnego ludu leje się bądź w obronie praw dumy, bądź urojonych żądań panujących xiążąt Ruskich między sobą. Zamek Izasławski w tych przechodach spustoszenia, wszędzie w dziejach wspominany jako dzielnica xiążąt panujących, o którą się oni kuszą i nawzajem sobie orężem wydzierają, stanowi przedmiot poszukiwań naszych. Postępujmy więc za nim. Wszesław syn Wrotysława obejmuje po ojcu xięztwo Połockie i dzielnicę Izasławską; obaj ci xiążęta w ciągłych zatargach wojennych

(*) W leto 6507 predstawisia Jarognied' matî Jarosławla, — tamże str. 261.

z xiążętami, panującymi na Kijowie, sprowadzają bezprzestannie straszne klęski na ziemię Krywiczańską; pokilkakroć nachodzona ona przez wojska nieprzyjaciół ulega zniszczeniu; miasta jéj główne oblegane i orężem zdobywane przechodzą przez okropne koleje i przez straszny krwi rozlew; w liczbie tych grodów, których zdobywanie stanowi główny przedmiot wypraw wojennych na Krywiczańską ziemię, zamek Izasławski zawsze wspominają owoczesne dzieje. Wszesław w wojnie z Wsewołodem stracił znaczną część swéj dzielnicy, albowiem Włodzimiérz, syn Wsewołoda, xiążę Kijowski Monomachem przezwany, z wojskiem gdy wtargnął w Krywiczańską ziemię, zamek Miński, stanowiący jednę z najsilniejszych warowni xięztwa Połockiego, zdobył, ogniem i mieczem zniszczył. Hleb starszy syn Wszesława, po śmierci tego xiążęcia w r. 1101 nastałéj, prawem dziedzictwa obejmuje rządy nad xięztwem Połockiém. Myśl straszeństwa swego rodu i praw do panowania nad całą Rusią, którą odziedziczył po ojcu, dręczy bezprzestannie młodego xiążęcia; dla jéj utrzymania nieustaje on w wojennych krokach; ciągłe zbrojne zatargi wszczyna i prowadzi z Wsewołodowym synem. Lecz nietutaj jest źródło téj wielkiéj klęski, jaka grozi staréj Krywiczan ojczyźnie: zgubna myśl podziału xięztwa między Wszesławowe syny staje się prawdziwą smutnych następstw przyczyną. Xięstwo Połockie rozdzielone zostaje pomiędzy trzech braci synów Wszesława; zamki stanowić mają dzielnice tych trzech xiążąt. Dawid, brat młódszy Hleba, niezadowolny z części, która mu się w podziale z ojcowizny dostała; udaje się do Kijowa, aby tam u xiążąt swych pokrewnych, pałających ciągłą nienawiścią ku rodowi xiążąt Połockich, chcących zawojować tę Słowiańską ziemię i wcielić ją do swoich posiadłości, znaleźć protekcyę i krzywd swoich poparcie. Znowu się wszczyna wojna. Xiążęta Kijowscy, radzi z téj zręczności, pod pozorami danéj xiążęciu Dawidowi pomocy w r. 1115 wojska

swe, pod dowództwem Jaropełka, syna Włodzimierzowego przeciw Hlebowi na obleganie Mińska posyłają; i znowu pod tytułem wymiaru sprawiedliwości rozpoczyna się krwi rozlew i odnawiają się klęski po kraju. Wypadkiem téj wojny było zdobycie Mińska, w którym się Hleb zamknął i mężnie bronił. Pojmany, jako jeniec do Kijowa odprowadzonym został i tam życie zakończył; zamek zaś Miński z częścią kraju, należącą do Hleba został odtąd własnością zwycięzcy. Pozostali dwaj bracia, po ustąpieniu Hleba z xięztwa Połockiego, ziemię Krywiczan, pomimo iż Hleb był zostawił trzech synów: Wsewołoda, którego kronika późniéj Wszesławem i Wiaćką, Włodzimierza, którego Wołodarem nazywa, i Rościsława; usuwając ich od praw do spuścizny po ojcu, pomiędzy siebie rozdzielili. Mińsk zdobyty i przez xiążęta Kijowskie trzymany, nienależał do działu pomiędzy bracią Hlebowymi; rozebrali oni zatém na własność swoję inne miasta i dzielnice; w liczbie tych Izasław, Łohojsk i Borysów dostały się Borysowi. Dawid wziął Połock z przyległemi miastami. Trzéj synowie Hleba wyzuci z należnéj im części po ojcu w Krywiczańskiéj ziemi, udali się do Kijowa dla szukania tam u krewnych swoich opieki i sprawiedliwości; tymczasem Borys, xiążę na Izasławiu i brat jego na Połocku panujący, xiążęta mali, pomimo iż bezsilni, niezgodą i wojnami domowemi znękani, wyłamujący się jednak bezprzestannie z pod uległości xiążętom Kijowskim, podali dobrą zręczność do wykonania zamysłu powziętego oddawna: zawojowania i wcielenia xięztwa Połockiego do Rusi. Był to rok 1128; w nim Mścisław wysyła pod dowództwem krewnych i synów swoich przygotowaną wyprawę na zawojowanie xięztwa Połockiego i na ostateczne wytępienie linii xiążąt, idących z pokolenia Rogniedy. Głównym celem téj wyprawy, o któréj opowiedzieliśmy wyżéj, gdy była mowa o zamku Łohojskim; było obleganie i zdobywanie zamku Izasław-

skiego, dzielnicy natenczas xiążęcia Borysa, syna Wszesławowego. W tym kraju w owe czasy drogi publiczne i przeprawy musiały być rzeczą rzadką; te zaś jedynie, które ręka ludzką wyprowadziła po przestrzeni porosłéj lasami, utrudnionéj przez swobodnie płynące, mostami, ani groblami jeszcze nieujęte rzeki, przez nieosuszone bagna i tysiączne inne naturalne zawady, strzeżone i zaopatrzone być musiały zamkami obronnemi, których obejść i ominąć niepodobna było. Przystęp do zamku Izasławskiego, który zdobyć zamierzono, utrudniały i zasłaniały dwa zamki leżące po drodze, jeden Borysowski, drugi zaś Łohojski. W roku 1129 wyprawa na zamek Izasławski miała miejsce; na nią skierowanemi były wszystkie siły, jakie Mścisław na podbicie Krywiczańskiéj ziemi był zebrał. Wsewołod Olgowicz i Izasław z wojskami sobie powierzonemi, iść musieli temi dwóma drogami; piérwszy z nich, ciągnący z wojskiem na Borysów, drugi idący na Łohojsk, napotkali przeszkodę; w dwóch tych warowniach; obaj jak wiemy zdobyli takowe, i po ich zdobyciu połączyli swe wojska z wojskami stryjów w celu oblegania Izasławia. Liczne wojska Mścisława obległy zamek i miasto Izasław, żądając od mieszkańców poddania się. Oblężeni mieszkańcy miasta Izasławia, widząc niepodobieństwo dania odporu siłą tak licznemu wojsku, postanowili poddać się, lecz żądali przysięgi od Wiaczesława, że on ocali ich od wszelkiego gwałtu; przysięga była daną, lecz jéj niedotrzymano. Poddało się miasto wraz z zamkiem wojsku oblegającemu. Nocą w ślad za drużyną tysiączników posłaną do miasta, rzucili się wszyscy żołnierze z oddziału Andrzeja i Wiaczesława. Xiążęta, gdy niemogli, raczéj niechcieli ich wstrzymać, biedni mieszkańce miasta Izasławia stali się ofiarą rozpasanego żołnierstwa. Po zdobyciu Izasławia, Wsewołod z Nowogrodzianami udał się pod Połock; mieszkańcy tego miasta dobrowolnie bez oporu wojskom xią-

łęcia się poddały i wygnały panującego nad sobą xiążęcia Dawida (*). Tém się zakończyła owa świetna wyprawa Mścisława, któréj rezultatem było zawojowanie ziemi Krywiczan i ostateczne wytępienie rodu xiążąt Połockich. Wiemy z historyi, iż rządy nad tym zawojowanym krajem przez Mścisława oddane były Izasławowi, jego synowi. Izasław przez świéże zawojowanie Krywiczańskiéj ziemi, został samowładnym panem całéj Rusi. Kiedy się zdawało, iż on jéj nigdy z pod rządów swoich niewypuści, ani przez zgubny przykład podziału, co tyle klęsk przez zatargi i wojny domowe bezprzestannie na kraj naprowadzał i pokój ten stan od ludzi pożądany wiecznie rozrywał i zakłócał, ojczyzny swéj nieosłabi; inaczéj się rzecz dzieje. Mający w swéj opiece trzech Hlebowych synów, którzy pokrzywdzeni i z ojcowizny wyzuci przez stryjów swoich, udali się byli do Kijowa, aby u panujących tam xiążąt pokrewnych swoich znaleźli wsparcie, wraca im po naddziadach ich dziedzictwo i rozdziela między nich Krywiczańską ziemię. Wołodara osadza na Mińsku, Rościsława na połocku, zamek zaś Izasławski wespół z częścią przyległego mu kraju oddaje Wszesławowi. Prędko bardzo poszły znowu niezgody, a za niémi wojna. Ten krwi rozlew i to zniszczenie kraju: bo gdy rządy potomka Rogniedy niepodobały się Połoczanom i w 1158 roku, po siedmiu leciech swego panowania Rościsław z Połocka wygnanym został. Rogwołod, xiążę Kijowskie wezwany przez Połoczan objął rządy nad niémi. Rościsław wygnany, w wybuchu swéj zemsty idący od Połocka ku Mińskowi, gdzie brat jego Wołodar panuje; niszczy tę krainę ogniem i mieczem, zkąd udaje się pod Izasław. Rogwołod, goniący za nim, gdy Mińska niezdobył, z wojskiem oblega w r. 1159 zamek Izasław-

(*) Karamzin T. II. str. 158. Ipatiewskaja letopis· — wyd. Peterzburskie str. 11.

ski, będący dzielnicą Wszesława. Wszesław w nim zamknięty, odpiera zbrojne pociski, lecz gdy wojska Rogwołoda coraz silniéj nań nacierają obrona zamku stała się niepodobną. Wszesław licząc na przyjaźne stosunki z Rogwołodem, pewny, iż go niewyzuje z posiadanéj przez niego dzielnicy, idzie naprzeciw niego, zamek mu podaje i czeka swego przeznaczenia. Rogwołod, nabywszy orężem prawo rozporządzania się własnością Wszesława, odbiera mu zamek Izasławski i oddaje go Wrotysławowi. Wszesława zaś przenosi na inną całkiem dzielnicę, oddając mu Zamek w Strzyżewie, leżący w dzisiejszé gub. Witebskiéj w powiecie Lepelskim (*). Rozporządziwszy w ten sposób dzielnicą Wszesława, Rogwołod, z wójskiem wraca pod Mińsk i rozpoczyna obleganie téj warowni.

Wyzuty ze swéj ojcowizny Wszesław, przestaje na spokojném dzierżeniu nowonadanego sobie zamku Strzyżewa; lecz bracia jego Wołodar i Rościsław w dopominku krzywdy, zadanéj na ojcowiźnie ich bratu, postanawiają odebrać zamek Izasławski i wcielić napowrót do xięztwa Połockiego, dziedzictwa Rogniedy, któréj oni ostatniémi byli przedstawicielami. Na dzielnicy Izasławskiéj, świéżo usadowieni przez Rogwołoda xiążęta Wasilewicze, potomki linii młódszéj xiążąt Kijowskich, niémieli jeszcze czasu rozpocząć swych rządów nad nową swą posadą, kiedy Wołodar i Rościsław z wojskami swemi oble-

(*) I prydosza pierwoje ko Iziasławlu na Wsewołoda. Wsewołod że zatworysia w Iziasławli i odstupisza w horodie. Wsewołod że bie imi wielikuju lubow' k Rogwołodu, i na tu lubow' nadiejasia, jechaw k Rogwołodu pokłonisia; Rogwołod że wda Iziasławl Braczysławu, toho bo biasze otczyna, a Wsewołodu da Strežen. I ottuda pojde k Miensku i stoja u Mienska 10 dniéj i sotwori mir z Rostisławom i chrest cerowasza, wozwratisza sia, wo swojasi, a Wołodar że nie cełowa chresta, tiem, aże chodiasze pod Litwoju w lesiech. Ipatiewskaja letopiś, S. Petersburg. 1843 str. 83.

gają zamek Izasławski, zdobywają go, pojmanych w nim xiążąt Wasilewiczów kują w kajdany i jako jeńców wojennych uwożą do Mińska. Po tym wypadku, w r. 1166, Rogwołod śpieszy z wojskami pod Mińsk, aby tam dopomnieć się krzywdy xiążąt pojmanych i odzyskać napowrót ich dzielnicę. Zamek Miński dzielny odpór daje wojskom Rogwołodowym. Po kilku tygodniowém, a zawsze bezowocném obleganiu téj twierdzy, Rogwołod, widząc, iż jéj siłą niezdobędzie, tém więcéj, iż go wieść tutaj doszła, że Połoczanie, nieradzi rządom jego, xięcia Świętosława Wasilkowicza wzywają na rządcę do siebie; zabiera się do układów z bracią-synami Hlebowymi; w skutek zawartych układów, xiążęta Wasilewicze na wolność wypuszczeni zostają; zamek zaś Izasławski znowu składa dzielnicę potomków Rogniedy.

Na tém się zatrzymują wojny i podboje Ruskich xiążąt między sobą; na synach Hlebowych zdaje się, że się skończyło panowanie xiążąt Połockich, idących ze krwi Regniedy nad Krywiczańską ziemią. Tutaj ustają wzmianki historyczne o szczegółowych przejściach xiążąt i ich dzielnic, nową wcale postać przybierają dzieje tego kraju: około téj bowiem daty występuje na widownię historyczną całkiem nowe plemie, światu dotąd nieznane, które jakoby z Palemonem od Rzymu przybyć miało nad brzegi dzisiejszego Niemna. Plemie to, usadowione z razu nad brzegami téj rzeki w gęstych dzikich lasach, jakiemi ziemia ta porosłą była, rozpoczyna życie koczujące, pasuje się z trudnościami, jakie mu przyrodzenie surowe i nieuprawne przedstawia; z latami rozradzając się w obszerne rodziny i rozchodząc się po téj części niezamieszkałéj ziemi, jako własności powszechnéj, na mieszkanie dla ludzi od Stwórcy danéj, coraz się rozszerza. W XII wieku zajmuje ono już przestrzeń na północ od brzegów poważnego Rubonu po piękną Nerysę do brzegów Niemna i daléj na południe po za tę rzekę; na wschód

graniczy z Krywiczańską ziemią, któréj xiążętom liche daninę w wiciach i miotłach składać corocznie jest obowiązane. Po całéj téj przestrzeni, plemie to rządzone z razu przez arcykapłany, potém przez xiążęta, które wyszły i wybiły się z łona jego, cześć oddaje Perkunowi, kłania się świętemu Zniczowi. Nienajeżdżane przez nieprzyjaciół, ani zakłócane w swém wewnętrznem życiu, wyrabia powoli lecz porządnie wszystkie warunki życia społecznego. Tém plemieniem byli Litwini, którzy sprzykrzywszy sobie daninę, jaką od czasów Izasława xiążętom Ruskim składać obowiązani byli, widząc Ruś sąsiednią szarpaną domowemi wojnami, osłabioną, nietylko iż daninę płacić zaprzestali, lecz w prędkim czasie postrzegamy w dziejach Litwę najeżdżającą Ruskie prowincye, zwyciężającą i wcielającą je pod swoje władanie. W XIII wieku już zostają xiążęta Litewscy w ciągłych bojach z Włodzimierzowemi potomki, coraz daléj rozciągają swoję władzę i panowanie. W 1235 r. w. x. Litewski Ryngold już wciela Ruś pod panowanie Litewskie. Krywiczańska ziemia ze swemi zamkami i miastami po dwóch stoczonych bitwach z xiążętami Ruskiémi jedną pod Mohilną, drugą w rok potém (1236 r.) pod Kamieniem, staje się niezaprzeczoną własnością xiążąt Litewskich.

Pierwiastek narodowości Litewskiéj jędrny, zdrowy, łatwo znalazł przewagę nad sąsiednim. Zasady porządku cywilnego czyste, mądre i dobrze obmyślane, prędko się rozwinęły po Słowiańskiéj ziemi. Ona pojęciami religijnemi i podobieństwem obyczajów, temi warunkami żywotnemi z sąsiednią Litwą złączona z upragnieniem takowe przyjęła, tém więcéj, iż Krywiczanie ciągłym nieporządkiem i bezprzestanną wojną, prowadzoną między xiążętami, zmęczeni znudzeni i potargani, potrzebowali odpocząć i życzyli uporządkować się. Zwycięzcy uszanowali zwyciężonych; nietargnęli się na narodowość Ruską, ani chcieli im własną narzucać. W tém była mądrość prawdziwa

Litewskiego rządu i ona się stała podstawą téj wielkiéj spójni między dwóma sąsiedniemi plemionami, które odtąd połączone ścisłym węzłem we wzajemnéj ufności i jedności braterskiéj składały przez sześć wieków jednę całość, pod nazwaniem Rusi Litewskiéj.

W tych wojennych kolejach, pomiędzy Litwą a xiążętami Ruskimi, przez jakie przechodziła Krywiczańska ziemia, tracimy z oczu nadługo szczegółową wiadomość, o losie i przejściach, jakiego doświadczały dzielnice xiążąt i ich obronne zamki; lecz naturalną koleją dziać się musiało tak, że każdy z nich zawojowany i zdobyty, stawał się osobistą własnością zwycięzcy. Wszakże w ciągu tych przejść wojennych, w epoce zawładania już xiążąt Litewskich Ruską ziemią, musiały niektóre zamki obronne stanowić jeszcze własność xiążąt Ruskich: albowiem napotykamy nieraz tam i ówdzie w kronikach Ruskich pojedyńczo i odrębnie wzmiankowane nazwiska xiążąt Ruskich, władających jeszcze szczegółowemi dzielnicami; co domyślać się pozwala, iż xięztwo Połockie nie od razu zawojowanem zostało; lecz, że się w szczegółowych zamkach uzbrojone i zamknięte jakieś Ruskie xiążęta, przez pewien przeciąg czasu opierając się sile xiążąt Litewskich, miały myśl uratowania swéj ziemi od obcéj władzy, lub nadzieję utrzymania się przy swéj dzielnicy. Może też polityka owoczesna wymagała pewnéj względności dla xiążąt zawojowanego kraju, pozwalając im dokończyć życia niejako w dziedzictwach i prawach ich rodowych. Natrafiamy albowiem na wzmiankę w dziejach, w latach, gdy już Ruś niekwestyjonowanie składała prowincyę Litewską (1326), iż xiążęta Ruscy: Wasil xiążę Połocki i Teodor Świętosławowicz Miński, w imieniu w. x. Giedymina zawierają układy z Nowogrodem w. i rycerzami Inflantckimi (*). Jeszcze je-

(*) Ob. Karamzin T. IV nota 192, Nowogrodzki latopisie,

den przykład kuszenia się o odzyskanie przez xiążęta Ruskie napowrót Krywiczańskiéj ziemi, zanotowaliśmy w dziejach odnoszących się do tego peryodu. W téj strasznéj klęsce dla Rusi, kiedy Tatarzy pod dowództwem Batego Ruś naszli i ją zawojowali, dwaj xiążęta Haliccy, Danijel i Wasilko w 1249 r. łączą się z nieprzyjaciołmi swéj ojczyzny, i wespół z nimi idą naprzeciw xiążętom Litewskim, w celu odebrania od nich Krywiczańskiéj ziemi. Niedaleko od zamku Izasławia pod miasteczkiem Kojdanowem, przez xiążęta Litewskie potomki Mendoga do szczętu pobici, zaniechać musieli ostatecznie kuszenia się do odzyskania ziemi przodków swoich. Od tych ostatnich wypadków, 50 lat przeplatanych napadami bezsilnemi upłynęło zaledwie, kiedy Witenes, naczelnik nowéj dynastyi Litewskiéj, ostatecznie podbija Ruś całą; wciela ją do Litwy i oddaje pod panowanie syna swego Giedymina. Odtąd już wzmianki niéma w dziejach Rusi Litewskiéj o władzy bezpośredniéj xiążąt Ruskich. Ziemia ta przeszedłszy pod rządy Litwy, podziela koleje kraju, do którego wcieloną i z którym nierozłącznie spojoną została.

W przeznaczeniu miast, jak i w przeznaczeniu pojedyńczych osób, jest jakaś tajemnicza władza, co prowadząc takowe przez niezbadane od nikogo drogi, wskazuje każdemu właściwe stanowisko na świecie. Darmo człowiek pyta: z jakiéj przyczyny jedne z nich schodzą z widowni historycznéj, niezostawując po sobie śladu, ani pamięci, że istniały? czemu drugie, niemające na pozór żadnych praw do tego, wzbudzają niejakiś interes historyczny? Wszystko milczy dokoła, bo na to niéma odpowiedzi, bo niepozwolono jest ludziom przenikać skrytości owéj tajemniczéj władzy. Zamek Zasławski, starożytna dzielnica nieszczęśliwéj, zgryzotami nękanéj żony Włodzimierza, należy bezsprzecznie do téj drugiéj kategoryi. Dosyć zaprawdę dla wzbudzenia interesu historycznego byłoby tego wspomnienia,

iż on jest dziełem wielkiego w dziejach xiążęcia; że w nim po troskach, smutkiem i łzami przeplatanego życia, odpoczywać miała od męża na wygnanie zesłana Gorysława. Lecz nie na tém się kończą pamiątki owego starego grodu. Pod Izasławem, Włodzimierzowym synem staje się on nową niejako stolicą Krywiczańskiéj ziemi; następnie rzucony na los strasznym wojnom domowym, jakie xiążęta Połoccy między sobą bezustannie wiodą, w nieprzerwanym szeregu wypadków ciągle wychodzi na jaw i staje się przedmiotem pokuszenia wojujących między sobą xiążąt, kolejno broni praw dzielnicy jakiegoś xiążęcia; naostatek gdy przy zupełném zawojowaniu Rusi przez ww. xx. Litewskich, wzmianka o tym zamku ustaje i zdawałoby się, iż pamięć o nim zaginąć z istnieniem Rusi powinna była zupełnie, — nowa świetności era otwiera się dla zamku Zasławskiego. Oto stanowić on poczyna gniazdo nowéj linii xiążąt na Litwie, którzy swoję nazwę od imienia miejsca i obronnego zamku poczynają. Olgierd z Kiejstutem po śmierci swego ojca zawistni bratu posiadanych przez niego, a wydzielonych mu za życia Giedymina posiadłości na Wilnie, Oszmianie, Wiłkomierzu i Bracławiu z tytułem w. xiążęcia, podnieśli byli przeciwko niemu wojnę, i wyzuwszy Jawnutę z posiadłości jego na Litwie, w zamian za nię oddali 1342 r. na Rusi Litewskiéj zamek Zasławski, w którym ten xiążę umarł 1366 r. (*). Według Kojałowicza, na którym się Niesiecki opiera (**), Jawnuta miał być głową rodu xiążąt Zasławskich na Litwie. Xiążę ten odrzuciwszy z herbu Pogoń Litewską, przez niechęć zapewnie za zadaną mu krzywdę, wyzuciem go z posiadłości przez ojca mu nadanych, przyjął za herbowny klejnot gwiazdę mię-

(*) Teodora Wagi historya przez Joachima Lelewela skrócona str. 45.
(**) Korona Polska wyd. 1743 r. T. IV. str. 693.

dzy dwóma xiężycami, a na grzbiecie wyższego xiężyca krzyż, na hełmie zaś czapkę xiążęcą; tym się herbem przez Jawnutę przybranym, potomkowie jego odtąd pieczętować poczęli.

Zamek Zasławski od Izasława, syna Włodzimierzowego, jak wiemy Izasławlem nazwany, w całym ciągu panowania Rusi nad Krywiczańską ziemią, na kartach dziejów tę nazwę nosi; myśmy go w badaniach naszych przy upadku władzy xiążąt Ruskich Izasławiem z oczu stracili. W całém przejściu wojenném téj ziemi na własność xiążąt Litewskich, szczegółowa historya Zasławia na pewien lat przeciąg zaciemnia się i wszelkie o nim wzmianki ustają. W ciągu téj niepewności Izasław ulega małéj zmianie w swém nazwaniu: pośród położeń rozmaitych, które przebywał zapewnie, a których dzisiaj już dośledzić niepodobna, przechodząc z jednéj narodowości na drugą, w ciągu tych przechodów, niewiedzieć kiedy stracił piérwszą literę ze swego nazwania; w chwili, gdy go Jawnuta dostaje na swoję dzielnicę, już go Zasławiem tylko, niezaś Izasławiem, jak przedtém, a ród xiążąt od niego poczynający się xiążętami Zasławskimi czytamy. Jawnuta zostawił po sobie na xięztwie Zasławskiém trzech synów: Szymona, Michała i Iwana. Piérwszy z nich w latach młodzieńczych poległ w bitwie z Witoldem pod Wilnem. Dwaj bracia jego, gdy spokojnie używają życia na Zasławskiéj dzielnicy, niezgoda pomiędzy xiążęty Litewskimi wszczyna wojnę w kraju; złamanie przysięgi, złożonéj Świdrygielle, wyniesienie przez Litwinów, za wpływem Władysława Jagiełły, na godność xiążęcia panującego Zygmunta Kiejstutowicza była jéj powodem. Burzliwy Świdrygiełło, obrażony tym postępkiem, pałając chęcią powrócenia odjętéj sobie władzy, z zemstą w sercu rozpoczyna wojnę w kraju, udaje się do Połocka, stolicy niegdyś Krywiczańskiéj ziemi; tam obwołany xiążęciem Rusi, zbiera liczne wojska, namawia xięcia Twerskiego na swoję stronę i ze wspólnemi siła-

mi wkracza w Litwę. Pod Oszmianą pobity przez Zygmunta w r. 1431 nieprzestaje na téj klęsce; z awanturniczém a zawsze mocném postanowieniem wydarcia Zygmuntowi rządów nad krajem, lub zemszczenia się nad niewierną sobie Litwą, plondruje po niéj, niszczy i pali wszystko, co w swoim przechodzie po drodze napotyka. Tegoż lata, gdy świeże go doszły z Rusi posiłki, nakłoniwszy do wojny mistrza Inflanckiego, znowu pod Wilno podstępuje; od Wilna idzie do Trok, pali Krewo, niszczy Litewską ziemię i obraca swe wojenne kroki ku Rusi. Wojska Litewskie, goniące za nim, zadają mu porażki; lecz Świdrygiełło przy wsi Kopaczach dogoniony, daje bitwę Litwinom, w któréj zwycięża wojska Zygmunta. Dzielnica Zasławska staje się ofiarą gniewu mściwego Świdrygiełły, albowiem po bitwie pod Kopaczami, niegoni ten xiążę za wojskami Litewskiemi, lecz obraca swe wojenne kroki na miasto Zasław i jego obronny zamek. W roku 1533 po niedługim oporze Świdrygiełło warownię Zasławską siłą zdobywa i bezbronnych mieszkańców miasta w pień wycina (*).

Smutny widok zniszczenia przedstawiać musiał pod ten czas zamek xiążąt Zasławskich. Sam spalony, miasto zniszczone, lud w nim wypleniony, niejaśniał xiążęcą wielkością; przedstawiał on raczéj ubóztwo synów Jawnuty, z którego aby się podźwignąć i klęskę świeżo sprawioną poprawić; długiego trzeba było czasu. Na pozostałych potomkach, Jerzym i Jędrzeju synach Michała, i Michale, Bohdanie i Teodorze synach Iwana, xiążętach Zasławskich ciężył ten obowiązek, którym świetność ich dzielnicy, podobniejsza do ubóztwa, niżli do xiążęcéj okazałości, w spuściźnie się dostała. Za panowania Zygmunta I,

(*) Starożytna Polska Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego, poszyt XXXII, str. 824.

Bohdan syn Jana xiążę Zasławski, posiadał namiestnikowstwo Mińskie; przekonywamy się o tém z dwóch listów, pisanych przez króla: z piérwszego w r. 1513 datowanego, którym król wzywa go do potwierdzenia klasztorowi Mińskiemu Wniebowstąpienia Pańskiego naznaczonego w Mińskim zamku miejsca na wybudowanie domu przytułku; drugiego, datowanego w r. 1522, o zabronieniu mieszczanom robić uciski ludziom klasztoru Wniebowstąpienia Pańskiego wymaganiem podwód i powinności; w obu Zygmunt I nazywa go Namiestnikiem Mińskim (*). Teodor więc najmłódszy syn Iwana musiał być dziedzicznym władcą Zasławia, gdy na nim się kończy na Litwie linija xiążąt Zasławskich; miał on bowiem jedyną córkę na imie Annę, którą gdy poślubił Janowi Hlebowiczowi, wojewodzie Wileńskiemu, zamek Zasławski wespół z miastem i z dobrami doń należącemi po xiężniczce Zasławskiéj przeszedł na dom Hlebowiczów.

Z wygaśnięciem linii xiążąt Zasławskich, niekończy się jeszcze świetność Zasławia; dom Hlebowiczów, dostatni na Litwie, przenosi do niego swoję rezydencyę; znowu zamek Zasławski ożywia się świetnym dworem Litewskiego pana, a stosunki wzajemne wojewody Wileńskiego, zamieniane ciągle po kraju, sprowadzają do niego liczne poczty panów, uczonych i tłumy szlachty, trzymającéj się za klamkę wielkiego dworu, lub szukającéj u jéj właściciela pomocy w interesach, lub promocyi w widokach wyniesienia się osobistego. W nim mieszkający Jan Hlebowicz, wielki zelant dla wyznania Helweckiego, kościoł Katolicki farny, będący w mieście na zamku oddał temu wyznaniu. Szymon Budny był tutaj pastorem, za-

(*) Zbiór dawnych Dyplomatów i aktów miast Mińskiéj gubernii, Mińsk, 1848 r. str. 7 i 9.

łożył w Zasławiu drukarnię, w której w roku 1574 miał jakoby drukować przekład Polski swojéj Biblii, stanowiący dzisiaj tak wielką rzadkość biblijograficzną. Syn wojewody Wileńskiego Mikołaj Hlebowicz, kasztelan Wileński, nieodziedziczył po ojcu zapału dla kościoła Helweckiego, powrócił do wyznania Rzymskiego; i na pamiątkę tego powrótu, kościoł przez ojca oddany pastorom wyznania Helweckiego, wyznaniu Rzymskiemu powrócił i takowy w r. 1625 odnowił, a plebaniję nadaniem folwarku uposażył. Zdaje się, iż za dziedzictwa tegoż Mikołaja rezydencyę ze starożytnego zamku Zasławia przeniesiono gdzieindziéj, a następnie w opuszczonym zamku kościoł i klasztor dla xięży Dominikanów ufundowano; wieżę przed tym kościołem sześciopiątrową, do dziś dnia istniejącą, z czerwonéj cegły pobudowaną, jak niemniéj bramę wjazdową murowaną sklepioną, podobnież z czerwonéj cegły, wnosząc z materyału i stylu, odnieść wypada do dni Jawnutowych. Dwa te zabytki murowane pozostać musiały od czasów istnienia zamku xiążąt Zasławskich, lub nieco dawniéj jeszcze. Kościoł i klasztor xięży Dominikanów, jak to oczywiście z muru postrzegać się daje, późniéj do starożytnéj wieży przymurowanemi być musiały. Wieża na piątém piętrze (albowiem szóste z dachem ją przykrywającym przed laty piorun w nią uderzywszy, całkiem skruszył), na jednéj ze ścian swoich od północnéj strony, ma na sobie ślady jakby napisu, którego litery czas zatarł i z dołu całkiem nieczytelnemi, ani zrozumiałemi uczynił; niemając pod ręką przyrządów potrzebnych, dla podrusztowania się do wyższego piątra téj wieży, niedajemy dzisiaj czytelnikom naszym z tego mniemanego napisu sprawy, albowiem odczytanie jego zostawiliśmy do późniejszego czasu.

Do wieży tutaj wzmiankowanéj odnosi się ludowa legenda, którąśmy na miejscu, pośród gminu odszukali: jest ona cał-

kiem prozaiczną, bo niéma ani téj rzewnéj tęsknoty za miejscem i wspomnieniami, które tak często napotykamy w prostodusznych pieśniach ludu, ani jest romantyczną, bo miłość, co wszystkiemu nadaje przeważny interes, niejest do niéj wprowadzoną; gra tu główną rolę uczucie całkiem podrzędne — zazdrość, i to zazdrość nie cnót, nie przymiotów, nawet niewdzięków, lecz zazdrość ziemnego materyalnego bogactwa. Nie wartoby jéj zaprawdę powtarzać tutaj, gdy mówimy o miejscu, co było piérwszém ustroniem cnotliwéj xiężny, któréj historyczne życie smutkiem potargane, wywołało powszechne współczucie i poszanowanie. Lecz żeśmy przywykli ze wszystkiém, co się uzbiera na drodze poszukiwań naszych, podzielić się z naszym czytelnikiem i tę legendę zapisujemy tutaj.

Tak ona była nam opowiedzianą: — Dwie jakieś xiężniczki, niewiadomo kiedy, bo lud zwykle w swoich opowiadaniach daty nienaznacza, ani nazwisk niecytuje, mieszkać miały na Zasławskiéj dzielnicy; jedna z nich zajmowała zamek większy, drugiéj mieszkanie było w poblizkim mniejszym okopie. Piérwsza z nich lubiła wychodzić na wieżę zamkową i z wyższych jéj piąter poglądać na okolicę, co jéj własność stanowiła; lecz ile razy spójrzała w stronę zamku mniejszego, tyle razy ją dręczyło, iż niejest panią téj własności, że druga xiężniczka ją posiada. Aby wcielić do własności swojéj dzielnicę sąsiedniéj xiężniczki, powzięła myśl zbrodniczą zatracenia jéj przez zdradę: przygotowywa na swym zamku wspaniałą ucztę i zaprasza na nię sąsiednią sobie xiężniczkę. Gdy tamta na dzień naznaczony przybyć miała, rozkazuje straży zamkowéj, aby podpiłowano pale pod mostem, który prowadzi do jéj zamku; spełniono rozkaz pani zamku większego, i gdy xiężniczka, zaproszona na ucztę, jedzie w naznaczoną godzinę, most się pod nią wywraca, xiężniczka wpada do stawu i w nim się topi. Po

śmierci straconéj, tak prostym podstępem, część jéj dostaje się owéj dziedziczce zamku i składa na przyszłość jéj dzielnicę.

Na kotlinie zamkowéj znajduje się sześć jam różnéj wielkości, stanowiących ślady miejsc, na których stały dawniejsze budowy starożytnego zamku. Około roku 1678 Kazimiérz Sapieha wojewoda Wileński, pojął w małżeństwo Krystynę córkę jedyną Jerzego-Karola Hlebowicza i Katarzyny Radziwiłłówny, ostatnią z imienia Hlebowiczów; z nią dobra Zasławskie wespół z miastem i z zamkiem weszły do domu Sapiehów. Od téj daty Kazimiérz Sapieha piérwszy zaczął się pisać hrabią na Bychowie i Zasławiu. W 1755 roku miasto Zasław prawem przedaży od Sapiehów przeszło na Antoniego Przeździeckiego referendarza Litewskiego (*). Dobra Zasławskie przez Michała Przeździeckiego, a uprzednio jeszcze przez matkę jego z xiążąt Radziwiłłów Mostowską, obciążone długami, w całości utrzymać się niemogły: jakoż w roku 1815 zostały rozdzielone sądem taxatorsko-exdywizorskim, między wierzycielami jego; w ślad za tém Michał Pruszyński b. podkomorzy Ihumeński okupił tę majętność ze schedami kapitulnemi od xięcia Adama Czartoryskiego i od półkownika Karola i brata jego marszałka Konstantego Przeździeckich. Po śmierci Michała Pruszyńskiego syn jego starszy pan Ludwik Pruszyński w roku 1835, przez układy z bracią swoimi, został dziedzicem całego Zasławia.

Kiedy z rozporządzenia Rządu przez kassatę klasztorów zmniejszano ich liczbę na Litwie, klasztor w Zasławiu w roku 1832 uległ temu losowi. Kościoł i mury klasztorne oddano w zarząd Prawosławnego duchowieństwa, kościoł przerobio-

(*) Michał Baliński i Tymoteusz Lipiński — Starożytna Polska, poszyt XXXII, str. 823—824.

no na cerkiew' parafijalną tego wyznania; taką do dziś dnia zostaje.

Takie było życie polityczne zamku Zasławskiego; przebył on swą świetność, przetrwał burze polityczne, wojny krajowe, nieład i nieporządek domowy; wszystko z czasem przeszło, wszystko z nim umilkło; dzisiaj z pośród jego wałów opuszczonych, posępnych, gdzie cisza niczém nieprzerwana, myśli człowieka pozwala swobodnie zagłębiać się w odległą przeszłość, skromny dzwonek parafijalnego kościoła wzywa codziennie wyznawców swego obrządku, do złożenia Bogu dziękczynnéj modlitwy za wszystko tak dobre, jak i złe, które już przeszło.

ZDANIE SPRAWY

O

TATARACH LITEWSKICH,

PRZEZ JEDNEGO Z TYCH TATARÓW

złożone

SUŁTANOWI SULEJMANOWI,

w r. 1558.

Z języka Tureckiego przełożył, objaśnił i materyałami historycznemi uzupełnił

A. MUCHLIŃSKI,

professor zwyczajny literatury Tureckiéj w CESARSKIM St. Petersburskim uniwersytecie.

MATERYJAŁY Z METRYKI LITEWSKIÉJ.

Xięgi zapisowe:
N. 5. ł. 72.

Tatarom na ludi Maksimowiczy i ziemlicu u Pretieniewiczoch w Nowhorodskom powietie.

Sam Alexander Bożju miłostju. Panu Trockomu Namiestniku Nowhorodskomu panu Janu Jurewiczu. Bili nam czołom Tatarowie Naszy na imia *Chazko, a Obdyszko, a Lehuszko, a Kadysz*, i powiedili Nam, sztoi pierwo sieho otiec Nasz korol jeho miłośt, dał był otcu ich *Bohdanu* trech bratenikow Maksimowiczów odnu służbu na imia Hrynca, a Kliszka, a Sawku, też dał

był jeho miłość ziemlu pustowskuju u Pretenowiczoch na imia Zajecewskuju.

A potom dej otiec Nasz korol jeho miłość tyje ludi i ziemlicu pustowskuju u otca ich za sia otniał dla niekotoroho jeho wystupu, a oni dej byli w tot czas mały, toho wystupu otca swojeho niewiedali, i bili nam czołom abychmo im tyi ludi i ziemlicu dali, ino my im z łaski naszoje dla ich służby tyi try brateniki Maximowiczy Hrynca a Kliszka a Sawku dali im i tyje ziemli w Preteniewiczoch Zajecewszczynu, potomu kak otiec nasz korol jeho miłość steu ich Bohdanu dał, i twoja by miłość im w tyje ludi uwiazanie dał. Pisan w Horodnie, Henwaria 24 dień, Indykta 1. (1498 r.)

N. 6. f. 50.

Marszałku Tatarskomu Kiełdyjaru Kurcewiczu na dwie służby ludiej u Nowhorodskoj wołosti.

Namiestniku Nowhorodskomu panu Juriu Pacewiczu i innym Namiestnikom naszym, chto potom budiet ot nas Nowhorodok dierżati. Bił nam czołom marszałok Tatarskij Kiełdyjar Kurcewicz a prosił w nas dwu czełowiekow u Nowhorodskoj wołosti na imia Iwana i zbratieju Rusiłowiczow, a powiedał nam sztoi tych ludiej dwie służby. Ino my tyje ludi służby dali jemu so wsimi ich ziemlami i ty by dał jemu w toje uwiazanie. Pisan u Wilni, Aprila 7 dień Indykt 18. (1505 r.)

Do najdawniejszych dokumentów odnoszą się także:

N. 6. f. 130.

Wyrok mieży Tatary *Dowletijarom* a *Bachtijarom Sejtowiczy*, a panom Janom Pietrowiczom o ludi Skorbiejewiczy szto predok ich *Isup* dierżał, u Wilni, Maja 17 dień, indykt 2.

N. 9. f. 4.

Potwierżenie listu marszałka nadwornaho *Tatarynu Iliaszu* na ziemlu Pusłowskuju w Trockom powietie w Somiliskoj wołosti na imia Sowiatewszczynu. 1511 roku.

N. 9. f. 185.

Tatarynu kniaziu Mysaku i z czotyrma synmi danina na ziemlu Pusłowskuju na imia Nieszatynskuju w powietie Krewskom. 1514 r.

N. 9. f. 188.

Danina *kniaziu Lehuszku* Tatarynu na 4 służby w Zyżemskom powietie. 1514 r.

N. 11. f. 105.

List do kniazia *Obdarachmana Tataryna* o pojmanie posła hospodarskoho Jasmana i o inszych posłańców despekty. 1522 r.

N. 12. f. 101.

Potwierżenie Tatarom, synom kniazia *Melikbaszyny*, kniaziu Martuzei a kniaziu *Awsinu* na imienie ich Kroszyno w Nowhorodskom powietie wiecznostju. 1523 r.

N. 12. f. 283.

List pisaru Tatarskomu kniaziu *Kulzomanu Chodyrewiczu* na czotyry czołowieki i try ziemli Pusłowskije u Wasiliszskom powietie wodłuh daniny korola jeho miłosti Alexandra. 1525 r.

X. Z. N. 15. f. 80.

Wyrok marszałku i pisaru Tatarskomu kniaziu Abrahimu i drugim powinnym jeho z innymi Tatarami o prymowku im ku czti ich z storony zrady. 1529 r.

X. Z. N. 15. f. 83.

Wyrok Tatarynu Nowohrodskomu *Teweszu*, matce i niewiesce jeho, z kniaziem Adkom Majkowiczom o zabitie brata jeho Timka od ludiej toho Adka. 1529 r.

X. Z. N. 15. f. 183.

Pod let Bożeho narożenia 1533 miesiaca Sentiabria 3 dnia indykta 7. Tyi listy rozkazał Hospodar spisati o wojnu po wielikomu kniazstwu Litowskomu protiw Tatar.

Żygimont Bożju miłostju korol Polskij i daléj. Wojewodie Wileńskomu kancleru naszomu starostu Bielskomu i Mozyrskomu panu Olbrachtu Martynowiczu Gasztołtu. Tymi razy pisał k nam starosta nasz Czerkaskij i Kaniewskij dierżawca Propojskij i Czyczerskij pan Ostafiej Daszkowicz powiedajuczy, iż Sapgirej Perekopskij sam swojeju gołowoju i z mnogimi ludmi wojskom swoim wżo Dniepr pereszli i od zamku naszoho Czerkas u trynadcati milach stojat pobliż granic państwa naszoho wielikoho kniażstwa Litowskoho i majut wolu do panstw naszych iti, ziemli naszoje kaziti, czoho i im Boże niepomoży. A proto sztoby twoja miłost u wojewodstwu i powietiech swoich wsim chorużym kniaziem i panom, kniahiniam, paniem, wdowam, i bojarom i dworanom, i wsim poddanym naszym grozno prykazał, ażby oni toho czasu niczoho niemieszkaja ku toj służbie naszoj sprawili i zradili konno a zbrojno i byliby wsi pogotowu s tym pocztom wodle ustawy naszoje i ufały ziemskoje, i jak my drugim listom naszym ich oboszlem, a na kotoryj rok na kotorom miesteu każem im byti i oni by wżo niechaj wsi na tot rok na tom miesteu konno a zbrojno tam byli bez wsiakoje wymowy i bez każdoho spłoszeństwa, a tak tey sia ktomu spieszyli czym narychlej ku otporu tomu niepryjatielu naszomu tiahnuli jako na gwałt prysłuszyt, a my też do tych wsich powietow listy naszy pisati kazali, prykazujuczy im ażby wsi oni k toj posłuzie naszéj gotowy byli i rozkazaniu naszomu dosyt uczynili, żeby czasu pryhody panstwu naszomu niekotoroje szkody i wpadu od ludiej tych niepryjatielskich dla niepospiesznosti abo kotoroho omieszkania ich niepryniało.— Pisan

u Wilni pod let Bożeho narożenia 1533, miesiaca Sientiabra 3 dnia indykta 7.

O tom że listy ko wsim chorużym Tatarskim.

Ko wsim chorużym i kniaziem i panom i kniahiniam paniem wdowam i bojarom i dworanom i wsim poddanym naszym tyi kotoryi imienija swoi majut po wsiemu powietu Wilenskomu po Oszmienskoj storonie. Tymi razy pisał k nam starosta nasz Czerkaskij .... *i tak daléj jak wyżéj.*

A protoi prykazujem wam pod naszym wielikim karaniem, ażby jestie toho czasu niczoho niemieszkaja jak skoro siei nasz list do was pryniesien budiet k toj służbie sprawili i zradili, *i tak daléj jak wyżéj.*

O tom że listy ko wsim Marszałkom i Chorużym wsich Stiehow Tatarskich.

Zygimont Bożju Miłostju, k wsim Marszałkom, Chorużym wsich Stiehow Tatarskich i wsim też Tatarom po wsiemu państwu Naszomu Wielikomu Kniaztwu Litowskomu, powiedajem wam iz tymi razy pisał k nam starosta Nasz Czerkaskij, *i tak daléj jak wyżéj.*

X. 20. kar. 32,

List pisany do Wojewody Trockoho, wyzwolajuczy Tatar powietu Trockoho od dawania Kunic z Mirskich, i ot inszych obtiażliwostiej, kotoryje im wradniki Trockije diełali.

Żygimont etc.

Wojewodie Trockomu, Marszałku Ziemskomu, Dierżawcy Punskomu i Mereckomu panu Janu Janowiczu Zaberezińskomu i inym Wojewodam chto na potom budiet ot Nas Troki dierżati. Żałowali Nam Tatare powietu Trockoho stiahu chorużstwa Tatarskoho Obduły Abramowicza o tom: sztoż dej wradniki Twojeje miłosti Trockije krywdy im diełajut, i nowiny uwodiat

i kałut im Kunicy Smirskije po dwadcati i po czetyre hroszy sobie dawati i winy niepomiernyje s nich sobie bierut i wielikije obbiaźliwosti im dielojut; dla kotorych że dej tiażkostiej Ty i poddanyje Naszy ku wielikomu upadku i ubozstwu pryszli i nakoniec zhinuli służby ziemskoje posłużyti Nam niemogut, i niemało wżo imienija swojeho dla toho prodali, a inszyi pozastawlali. I bili Nam czołom abychmo ot tych win i Kunic ich wyzwolili; ino My widiaczy takowyj upad tych poddanych Naszych ot tych tiażkostiej, win i Kunic ich wyzwolili, i Twoja by miłost' wradnikom Swoim prykazał, ażby oni tych win i Kunic Smirskich w nich niebrali, i żadnoho obtiażenia w tym im niedielali, i dali im w tom upokoj, aby ty i poddanyi Naszy ku ubozstwu nieprychodili i służba Nasza ziemskaja Nam nie zhinuła. Pisan w Krakowie, pod let Bożeho Narożenia 1537, miesiaca Jula 21 dień indykta diesiatoho.

X. Z. N. 24. f. 29.

Prywilej Kniaziu Machmetu Ułanu Osanczukowiczu na wrad Marszałstwo, nad *stiahom Ułanow Osanczukowiczow.*

Zygimont Bożju Miłostju,

Bił Nam czołom Kniaź *Machmet Ułan Osanczukowicza* i prosił w Nas Marszałstwa nad stiahom Ułanow Asanczukowiczow, kotoroje Marszałstwo died jeho Majko a diadko jeho Adko Ułan dierżali. Ino My z łaski Naszoje na jeho czołom bitie i dla jeho k Nam służby to uczynili tot wrad Marszałstwo, kotoroje predki jeho dierzali jemu dali. Majet on toje Marszałstwo *nad stiahom Ułanow Asanczukowiczów* dierżati i w Nim sia riaditi i sprawowati, i na tom miesteu byti, potomu kak i died jeho Majko i diadko jeho Adko onoje Marszałstwo riadili i sprawowali. I na to jeśmo jemu dali siei Nasz list z Naszeju pieczatiju. Pisan u Mostiech pod let Bożeho Narożenia 1540 miesiaca Maja 15 dień, Indykt 13.

Daléj następują w tejże metryce:

X. Z. N. 24. f. 36.

List danyi *Tatarom Rudomińskim i Memeżskim* Wileńskoho powietu, wyzwolajuczy ich od posyłania z listy czerez Wojewod Wileńskich odno zostawujuczy wodłuh dawnoho sposobu pry służbie ziemskoj. Pisan u Wilnie 1540 leta Jula 4 dień.

X. Z. N. 24. f. 36.

List *Tatarom Kozakom Mereczlańskim* trem osobam, na zostawienie ich wodłuh listu Sudowoho Carewicza Oziubek Sołtana pryczti, za prymowkoju niekotorych Tatar. Jula 5-ho 1540 leta.

X. Z. N. 27. f. 155.

Wyrok Tatarynu Achmet Ułanu Asynczykiewiczu z Abrahimem Bachtyarowiczom o prymowku jakoby on s pola utiekati miał ze służby Hospodarskoje. 1541 r.

X. Z. N. 28. f. 6.

List pisanyj do Starosty Czerkaskoho Kniazia Andreja Hlebowicza Prońskoho, aby Kozakow do ziemli Tatarskoje dla wzruszenia peremirja z Carem Perekopskim niewsyłał i swawolnych imat' kazał, pod srogim karaniem. 1541 r. Auhusta 26 d. indykt 14.

X. Z. N. 28. f. 27.

List danyj Tatarynu Obdule Abrakimowiczu na dozwolenie prodati Wojewodinoj Trockoj paniej Pietrowoj paniej Annie Alexandrownie sieła na imia Krasnoje wysłuhu otca jeho. 1542 r.

X. Z. N. 28. f. 64.

List Tatarom powietu Trockoho danyj, iż niemajut ich Wojewodowie Trockije i ich Namiestniki na swoi potreby i pry-

sługih swoich na dierżkowanie, abo dla iskania jakich złoczyńcow posyłati; *to krom inszych prostych Tatar na to ustanowienych.* 1541 r. Oktiabra 14 dień.

X. Z. N. 89. f. 129.

Potwierżenie Tatarom Wielikoho Kniażstwa Litowskoho na niekotoryje artykuły wolnosti ich.

Żygimont Tretij Bożju miłostju Korol Polskij Wielikij Kniaź Litowskij, Ruskij, Pruskij, Żomojtskij, Iflantskij, a Szwedskij, Gotskij, Wandalskij diedicznyj Korol.

Oznajmujem sim listom Naszym wsim wobec komu by to wiedati należało, niniesznym i na potom buduczym, iż na tie pieresznem Sojmie Wolnom Warszawskom, bili Nam czołom poddanyje Naszy Kniazi, Ułanowie, Murzy, Chorużyje, Marszałkowie, i wsi Tatarowie w państwie Naszom Wielikom Kniażstwie Litowskom osiełostju mieszkajuczyje, i pokładali pered Nami dwa prywilija prodka i wuja Naszoho Swietobliwoje pamieti Korola Jeho miłosti Zygimonta Awhusta, prodkom ich i im samym na niekotoryje artykuły wolnosti ich nadanyje, prosieczy Nas pilnie, żeby jeśmo ich samych i potomkow ich pry tych prawach i wolnostiach od prodkow Naszych nadanych zostawili i listom prywiljem Naszym to im utwierdili.

W czom prośbu ich baczeczy byti słusznuju, łaskawie jeśmo na to pozwolili, a tyja prywilija prodka naszoho w siei nasz list wpisati kazali, kotoryje odin po druhom, słowo od słowa, tak sie w sobie majut: *Zigimont Auhust* Bożju miłostju Korol Polskij, wielikij kniaź Litowskij, Ruskij, Pruskij Żomojtskij, Mazowieckij, Iflantskij i inych. Czynim znamienito sim listom naszym, chto na nieho posmotrit, albo cztuczy jego usłyszyt niniesznim i na potom buduczym, komu budiet potreb toho wiedati. Szto pierwéj sieho za szczastliwoho panowania otca naszoho Zygimonta Korola Jeho miłosti i wieliko-

ho kniasia a zà ufałoju panow rad ich miłosti i pospolitoju ziemskoju tutosznieho państwa naszoho otczyznoju wielikoho kniazstwa dołożono i opisano u statutiu praw ziemskich iż Żyd, Tataryn u świedectwie protiw Christianom niemajut byti pryjmowany, wodle kotoroje ufały i Statutu od Jeho Korolewskoje miłosti danoho wsi stanowie Obywateli toho państwa Naszoho, aż po sieś czas zachowywalisia i zachowywajut, oczom Ułany, Murzy, Kniazi, Marszałki, Chorużyje i wsi Stiahi Tatarskije kotorych predkowie za panowania predkow Naszych Ich miłosti Wielikich Kniaziej Litowskich i na imia Ich miłosti wyjechawszy z ziemli ich prysożonoje u zdzieszniem państwie Naszom osieli i Naszymi poddanymi zawzdy byli i oni tiepier sut', nieodnokrot' bili czołom, abychmo łasku Naszu Hospodarskuju uczynili, a onyj artykuł protiwko nich stiahnienyj na storonu odłożywszy, jako i poddanych Naszych Bojar, Szlachtu narodu Chrystiańskoho, ku świedectwu ich prypustili; jakoż, i tych czasow pryjechawszy oni z posługi Naszoje Hospodarskoje z ziemli Inflantskoje potomuż czołom bitie i prożbu swoju Nam donosili, abychmo ich ku takowomu swiedectwu jako wyszej pomieniono pripustili i szczodrobliwosci łaski Naszojo Hospodarskoje w tom im okazali, gdież i wsi panowie Rady Naszy ich miłosti Nas upryczynie za nimi żedali, służby ich kotoryje oni u wojskach Naszych protiw niepryjatielu czynili pilnie Nam zalecajuczy. Ino my z łaski Naszoje Hospodarskoje i uważywszy takowoje żedanie i pryczynu Panów Rad Naszych Ich miłosti; a k tomu na czujnuju i dbałuju pilnost' ich u służbach Naszych i ziemskich, bacznost' majuczy, tot artykuł u statutie koło swiedectwa ich opisanyj i protiwko im stiahmenyj na storonu otkładajem i prypuszczajem wsich takowych, kotoryje służbu ziemskuju wojennuju służat ku zupołnomu swiedectwu i takowomuż prawu, jako i poddanyje Naszy ludi narodu Chrystianskoho wzywajut, pod tym obyczajem, iż jestliby Chrestia-

ninu s Chrestianinom, albo też Chrestianinu s Tatarynom także Tatarynu s Chrestianinom o szto kolwiek prawo było, a pryszłoby mieży nimi na pokonanie dowodom, tohdy wżo od sieho czasu Tataryn, potomuż jako i Chrestianin za swiedka pryniat byti majet. A panowie Rada ich miłosti i wsi Wradniki Naszy Kniazskie, Pańskie, i Duchownych, nie wodle toho artykułu Statutowoho, ale wodle sieho listu prywileju Naszoho k nim w tom zachowati sie i także jako i szlachtu narodu Chrestianskoho, odnakim prawom suditi i ku swiedectwu pryjmowati majut. A tych wsich kotoryje by takowoho prawa i artykułu uzywajuczy służbu ziemskuju służyli albo służyti budut majut Chorużyje ich w Rejestra swoi pisati dla toho aby wiedomost' o nich była. Wied' że kotoryje by iz nich służby ziemskoje, wojennoje wodle Statutu i ufał sojmowych nie służyli, albo służyti niechotieli tyje sieho listu Naszoho i artykuła w niem opisanoho, niebudut moczy używati ale podle toho pierszoho artykuła Statutowoho, majut sużony i sprawowany byti. A na twierdost' toho i pieczat' Naszu wieleli jeśmo pryniesti k siemu Naszomu listu, Pisan u Wilni leta Bożeho Narożenia 1561 miesiaca Nojabra 25 dnia. Podpis ruki Jeho Korolewskoje Miłosti, Ostafij Wołowicz Marszałok Dwornyj podskarbi Ziemskij, Pisar.

Drugij Prywilej: Zygimont Awhust Bożju miłostju, Korol Polskij, wielikij kniaż Litowskij Ruskij; Pruskij, Zamojtskij, Mazowieckij, Iflantskij i inych. Oznajmujem sim listom Naszym niniesznim i na potom buduczym, szto pierwo sieho za prodkow Naszych, i za szczastliwoho panowania Naszoho, nadany i uprywiljewany wolnosti i swobody Kniaziem, Ułanom, Chorużym, Marszałkom i wsim Tatarom kotoryje osiełosti w panstwie Naszom Wielikom kniażstwic Litowskom majut; Ino tych czasów buduczy Nam Hospodaru, na sojmie Wielikom Wolnom Horodeńskom, opowiedali pered Nami Knia-

zi, Ułany Chorużyje, Marszałki i wsi Tatarowie państwa Naszoho Wielikoho kniazstwa Litowskoho o tom, jakoby w Statutie nowo od Nas Hospodara, i wsim obywatelem państwa Naszoho Wielikoho kniazstwa Litowskoho, ku sprawowaniu wsiakich spraw wydanom, niekotoryje artykuły protiwko wolnostiam i swobodam ich, ot prodkow Naszych i ot Nas Hospodara nadanych ufaleny, a mianowicie dej i rozdiele diewiatom artykuł tretij, w rozdiele dwanadcatom artykuł piatyj, im dotkliwyje i wolnostiam ich szkodliwyje opisany. Zaczem oni wielikoje ubliżenie wolnostiej swoich byli mienujuczy, bili nam czołom iż bychmo ni wczom, praw, swobod i wolnostiej im nadanych nienaruszajuczy pry mocy zostawili, i niekotoroho ubliżenia im nad prawo i wolnosti im nadanyje pryimowati niedopustili. Oczom panowie Rady Naszy ich Miłost', duchownyje i swieckije za nimi zalecajuczy, wieru, cnotu i ochotu ich, kotoryje oni w służbach ziemskich wojennych czasto okazywajut, nas żedali. A tak gdyż za doznaniem wiery i cnoty ku służbam Naszym Hospodarskim i ziemskim, tyje poddanyje Naszy, wsi Tatarowie panstwa Naszoho Wielikoho kniazstwa Litowskoho ot predkow Naszych i ot Nas Hospodara, wolnostiami i swobodami szlacheckimi obdarowany buduczy, i do tych czasow ich wżywali, Tohdy mi Hospodari tiepier znajuczy wieru i cnotu ich w służbach Naszych Hospodarskich i ziemskich pry wsich wolnostiach, prawach i swobodach, pierwiej narodu ich od pret kow Naszych i ot Nas Hospodara nadanych zostawujem, i to im sim listom Naszym utwierżajem, majut oni wo wsiem raditi ni isprawowati w sprawach swoich, zarowno z inszymi obywatelmi Państwa Naszoho Wielikoho kniazstwa Litowskoho stanu szlachetskoho, potomu jako i do sich czasow wolnostiej swoich używali i w nich sia sprawowali. A artykuły wyszej pomienienyje, w statutie nowo wydanom opisanyje to jest w Rozdiele diewiatom artykuł tretij, a w rozdie-

le dwanadcatom artykuł piatyj, i inszyje wsi artykuły statutowyje, kotoryje by prawom i wolnostiam ich, ot predkow Naszych i ot Nas Hospodara im nadanym, protiwny byti, niczoho wolnostiami swobodam ich szkoditi i na perekazie byli niemajut wiecznymi czasy. I na to jeśmo Ułanom, Chorużym Marszałkom i wsim Tatarom państwa Naszoho Wielikoho kniażstwa Litowskoho, dali sieś Nasz list, do kotoroho jeśmo i pieczat Naszu prywiesiti rozkazali. Pisan u Horodnie leta Bożeho narożenia 1568 miesiaca Junia dwadcatoho dnia. Podpis ruki jeho Korolewskoje Miłosti, Nikolaus Radziwill Palatinus Vilnensis Cancellarius M. D. Litt. Ławryn Wojna, pisar. Kotoryje prywileja prodka Naszoho, wyszéj w sieś Nasz list wpisanyje, My prereczonym Kniaziem, Ułanom, Chorużym, Marszałkom i wsim Tatarom w państwie Naszom Wielikom kniażstwie Litowskom osiełost majuczym, i kotoryje Nam i Reczy pospolitoj służbu wojennuju służat, potwierżajem i pry tych wsich punktach i artykułach, na prawa i wolnosti ich nadanych onych samych i potomkow ich zostawujem wiecznymi czasy. I na to dali jesmo im sieś Nasz prywilej i podpisom ruki Naszoje Hospodarskoje do kotoroho i pieczat Naszu Wielikoho kniażstwa Litowskoho prywiesiti jeśmo kazali. Pisan u Warszawie, na sojmie walnom, leta ot narożenia syna Bożieho 1609 miesiaca Fewrala 20 dnia.

Podpis Ruki Hospodarskoje.

Jan Sokolinskij, Pisar.

X. Z. N. 100. f. 107.

Na Choruzstwo Tatarskoje *Kasimu* Murzie, Stiahu Nowhorodskoho.

Zigimont Tretij etc.

Oznajmujem sim listom Naszym, komu by o tom wiedati należało. Iż po zojstiu s sieho swieta Chorużoho Tatarskoho, stia-

hu Nowhorodskoho na imie *Machmeta Murzy Barynskoho*, wrad Choruzstwo Tatarskoje do wolnosti szafunku Naszoho pryszło i spało. A tak My Hospodar, majuczy czerez panow rad i wradników Naszych dwornych, zaleconyje służby Tataryna Naszoho Wojewodstwa Nowhorodskoho *Kasima Murzy Barynskoho*, kotoryje on czerez czas niemały w różnych ekspedycyach tak Moskowskoj z Iflantskoj, jako i niedawno prosłoj Wołoskoj służuczy, i w czastych potrebach z wojski niepryjatiela Kryża swietoho, z obważeniem zdrowia i majetnosti swojej bywajuczy smiele poczynał, za kotoryje takowyje służby jeho, chotieczy my Hospodar łasku Naszuju pokazat' i chutliwszoho do dalnych służb naszych uczynit', tot wrad Choruźstwo Stiahu Nowhorodskoho prereczonoho Kasimu Murzie Barynskomu dajem i na osobu jeho prekładujem, tak iż on majet tyje choruźstwo Tatarskoje so wsim Stiahom z dawna prysłuchajuczym na osobie swojej ponosieczy, wsiakoje władny tomu wradu zdawna należaczoje, jako Choruźyje bywszyje Tatarskije mieli za żywot' aż do żywota swojeho dokładajuczy tei i to, aby każdy Tataryn kotoryj odno kolwiek s pierwszym Choruźym Tatarskim aby też i s tiepieresznim, tak też i Tatarowie wojewodstwa Mstisławskoho, kotoryje dekretom Naszym nakazani służbu Tatarskuju otprawowat' pospołu s Tatarami Naszymi, s tym że Choruźym Tatarskim Nowhorodskim, pod straczeniem majetnosti swoich służyli, postierehajuczy toho, aby nic służba Nam i Hospodaru i Reczy pospolitoj nieumniejszała. Szto wsim w obec i każdomu z osobna mienowitie Tatarom Stiahu Nowhorodskoho, i tym kotoryje z dawnych czasow w tym Choruzstwie służbu otprawowali, ku wiedomosti prywodieczy choczem mieti, aby jestie pomienieno Kasima Murzu Barynskoho za prawdiwoho Choruźoho Naszoho Tatarskoho mieli. I na tośmy dali jemu sieś Nasz list s podpisom ruki Naszoje i s pieczatju Naszoju Wielikoho

kniazstwa Litowskoho. Pisan u Warszawie, miesiaca Aprela 5 dnia roku 1623.

Sigismundus Rex.

Krzysztof Stefan Sapieha
Pisarz W. X. Litt.

X. Z. N. III. f. 97.

Confirmatia Tatarom W. X. Lit. praw y wolności ich.

Władysław Czetwiertyj etc.

Oznajmujem sim listom Naszym, komu to wiedati należyt. Pokładanyj był pered Nami imieniem Kniaziew, Ułanow, Murzow, Chorużych, Marszałkow i wsich Tatarow w państwie Naszom wielikom kniazstwie Litowskom osiełostiu mieszkajuczych Prywilej na pargaminie pisanyj s podpisom ruki swietobliwoje pamieti Korola jeho miłosti Zygimonta Tretieho, Pana Otca Naszoho pod datoju na sojmie wolnom Warszawskom roku tysiacza szest'sot diewiatoho Fewrala dwadcatoho dnia, kotorym jeho Korolewskaja Miłost', dwa prywileja Antecessora Naszoho Korola jeho miłosti Zygimonta Awhusta, prodkom ich i im samym wsim Tatarom u wielikom kniazstwie Litowskom mieszkajuczym, nadanyje, stwierżati raczyt. Odin zniesienia z nich Artykułu w Statutie praw ziemskich napisanoho, o niepryjmowaniu ich ku swiadectwu, a prypuszczajuczy tych wsiech kotoryje by służbu ziemskuju wojenuju służyli ku zupołnomu swiedectwu i takowomuż prawu jako i poddanyje Naszy ludie narodu Chrestianskoho wżywajut, *i sudom takim jakim sie sudiat Szlachta narodu Chrestianskoho* pod datoju w Wilnie roku 1561, miesiaca Nojabra dwadcat' pierwoho dnia, drugi prywilej kotorym jeho Korolewskaja Miłost', pewnyje artykuły w Statutie wielikoho kniazstwa Litowskoho mienowanyje to jest w rozdielie diewiatom artykuł tretij a w rozdiele dwianadcatom artykuł piatyj i inszyje wsi artykuły, w Statutie prawom i wolnostiam

ich ot swietoje pamieti zoszłych Antecessorow Naszych im nadanym protiwnyje znosił, warujuczy to, iż niczoho swobodam i wolnostiami ich szkoditi i na perekazie byti wiecznymi czasy niemajut, pod datoju w Horodnie roku 1568 Junia dwadcatoho dnia. I wniesiena jest zanimi prez panow Rad i wradnikow Dwora Naszoho także posłow ziemskich prożba abyśmo ty obadwa prywileja i punkta w nich wyrażonyje stwierdili i onych wodle praw i wolnosti od swietoje pamieti Korolew Ich miłosti Antecessorow Naszych nadanych zachowali. My czynieczy to napryczynu Panow Rad wradnikow Dwora Naszoho i posłow Ziemskich, a niemniej majuczy miłostiwyj wzhlad i baczenie na wiernyje życzliwyje, pracowityje i odważnye zasłuhi ich jako za swietobliwoje pamieti Antecessorow Naszych w roznych ekspedycyach wojennych, zadnoje nieomieszkiwajuczy oddawanyje tak kotoryje proszłoje ekspedycyi Moskowskoje za szczastliwoho panowania Naszoho, tujuż wieru życzliwostju odwahoju zdorowia z rozlaniem krwi i z stratoju dostatkow swoich zaraz za nastupieniem wierułomnoho niepryjatiela Moskwityna na państwa Naszy aż do zawartia paktow z Narodom Moskowskim, obecnie pry boku Naszom buduczy i statecznie trwajuczy, oddawati nieperestawali. A chotieczy ich i do dalszych usług Naszych ochotniejszych uczyniti prywilija obadwa i punkta wsi w nich wyrażonyje mocju i powaguju Naszoju Hospodarskoju stwierżajem i prereczonych Kniaziew, Ułanow, Murzow, Chorużych, Marszałkow i wsich Tatarow w państwie Naszom i wielikom kniażstwie Litowskom osiełost' majuczych, kotoryje Nam i Reczy pospolitoj służbu wojennuju służat, pry wsich punktach artykułach na prawa i wolnosti im nadanych o nich samych i potomkow ich wiecznymi czasy zachowujem i zostawujem. Na szto dla bolszoje wiery ruku Naszu podpisawszy pieczat' wielikoho kniażstwa Litowskoho prytisnut rozkazali jeśmo. Dan u Warszawie na sojmie dwuniedielnom dnia dwadcat' pierwoho

miesiaca Jula, leta ot Narożenija syna Bożoho 1634 panowania korolewstw Naszych Polskoho wtoroho a Szwedskoho tretieho roku.

Vladislaus Rex.

Kryształ Korwin Gosiewskij
Pisar Wiel. Kniaistwa Litowskoho.

Confirmacya *Tatarom Wołyńskim i Ukraińskim praw ich*, przez Króla Jana Kazimierza dana na sejmie wolnym sześć niedzielnym dnia XXIV miesiąca maja *roku P. 1659.*

Jan Kazimierz z Bożéj łaski król Polski, oznajmujemy etc. Pokładany był przed nami przez urodz. Alexandra Kryczyńskiego rotmistrza naszego, i przez kniazia Ramazana Miłkomanowca mołły Ostrogskiego i wszystkich Tatarów naszych Wołyńskich, Ukraińskich przywiléj świętéj pamięci K. J. M. Władysława IV, Pana Brata Naszego, confirmacyjny, pismem Ruskiém pisany extraktem z xiąg kancelaryi naszéj większéj W. X. Lit. wyjęty pod datą w Warszawie na sejmie dwieniedzielnym d. 21 miesiąca lipca roku pańskiego 1634, kniaziom, ułanom, murzom, chorążym, marszałkom i wszystkim Tatarom w państwie naszém i w W. X. Lit. osiadłościami mieszkającym za prośbą wiernych panów Rad Naszych i posłów ziemskich za nimi uczynioną dany, którym przywilejem K. J P. brat nasz przywiléj świętéj pamięci K. J. M. P. ojca naszego confirmacyą przywilejów dwóch, pierwszego świętéj pamięci od K. J. M. Zygmunta-Augusta na zniesienie z tych Tatar artykułu spraw ziemskich i nieprzyjmowanie ku świadectwu napisanego i przypuszczeniem tych wszystkich Tatar, którzyby służbę ziemską wojenną służyli ku zupełnemu świadectwu i takowemuż prawu jako i poddani nasi narodu Chrześcijańskiego używają i do sądu tegoż jakim się sądzi szlachta narodu Chrześcijańskiego, a drugiego na zmienienie pewnych artykułów Statutu w. x. Lit. prawom i wolnościom

ich od ś. p. królów JJM. Panów Antecessorów Naszych im nadanym, przeciwnych, z warunkiem takowym, iż te artykuły nic swobodom i wolnościom ich szkodzić niemają wiecznemi czasy, pomienionym Tatarom danych, w sobie zawierających stwierdza i umacnia, ich samych także i potomków ich przy wszystkich punktach, klauzulach i artykułach na prawo i wolności im nadanych zachowuje i zostawuje. Wniesiona była przytém prośba imieniem tychże pomienionych kniaziów Tatarów naszych przez niektórych wiernych pp. rad, posłów ziemskich i urzędników naszych, abyśmy pomieniony przywiléj we wszystkich onego punktach, klauzulach, i artykułach stwierdzili i approbowali, który słowo w słowo na język Polski przetłómaczony wpisując tak się w sobie ma: Władysław czwarty z Bożéj łaski etc. etc. etc. Oznajmujemy etc. Suplikowano nam jest imieniem kniaziów Tatarów naszych w ziemi Wołyńskiéj i Ukraińskiéj, w dobrach naszych tak królewskich, duchownych jak i szlacheckich mieszkających o wydanie z xiąg naszych kancelaryi wielkiéj W. X. Lit. Extraktem przywileju naszego confirmacyjnego niżéj wyrażonego od tytułu z początku aż do końca słowo w słowo tak się w sobie zawierającego. Oznajmujemy tym listem naszym komu o tém wiedzieć należy. Iż pokładany był imieniem kniaziów, ułanów, murzów, chorążych, marszałków i wszystkich Tatarów naszych w państwie naszém i w wielkiém x. Lit. osiedłością mieszkających, przywilej na pergaminie pisany z podpisem ręki ś. p. K. JM. Zygmunta III pana ojca naszego, pod datą na sejmie walnym Warszawskim w roku MDCIX, dnia XX miesiąca lutego, którym J. K. M. dwa przywileje antecessora naszego ś. p. K. J. M. Zygmunta-Augusta przodkom ich i im samym Tatarom wszystkim w w. x. Lit. mieszkającym nadane stwierdzić raczył, o zniesienie z nich artykułu w statucie praw ziemskich napisanego o nieprzyjmowaniu ich ku świadectwu, a przypuszczając tych wszystkich, którzy-

by służbę ziemską wojenną odprawowali i w wojsku przy hetmanach naszych zostawali, ku zupełnemu świadectwu i takowemuż prawu jako i poddani nasi ludzie narodu Chrześcijańskiego używają i sądzą i jakiém się sądzi szlachta narodu Chrześcijańskiego, pod datą w Wilnie roku Pańskiego 1561 dnia 25 miesiąca listopada. Drugi przywiléj którym J. K. M. pewne artykuły w Statucie starym Stefanowskim w. x. L. miánowane, to jest: w rozdziale IX artykuł III i w rozdziale XII artykuł V, a w teraźniejszym Statucie rozdziale XII artykuł IX i X i inne wszystkie artykuły w statucie i w konstytucyach a mianowicie w roku MDCVII i w roku MDCXVI uchwalone prawom i wolnościom ich od ś. p. zeszłych antecessorów im nadanym, przeciwne i szkodliwe, znosząc, warując to iż nic swobodom i wolnościom ich szkodzić i przeszkodą bydź niema wiecznemi czasy, pod datą w Grodnie w r. 1568 d. XX miesiąca czerwca, wniesiona jest za nimi przez wiernych pp. rad i urzędników dworu naszego, także i posłów ziemskich prośba, abyśmy im oba przywileje i punkta w nich wyrażone stwierdzili i onych według praw i wolności od świętéj pamięci KK. Ich Mość antecessorów naszych nadanych zachowali. My czyniąc to na przyczynę wiernych pp. rad i urzędników dworu naszego i posłow ziemskich a niemniéj mając miłościwy wzgląd i baczenie na wierne i życzliwe pracowite i odważne úsługi ich, jakoże ś. p antecessorów naszych w różnych expedycyach wojennych żadnéj nieomieszkując potrzeby doznawali tak przeszłéj expedycyi Moskiewskiéj za szczęśliwego panowania naszego wiernie i życzliwie z odwagą zdrowia przelaniem krwi, utratą dostatków swoich zaraz za nastąpieniem Moskwicina nieprzyjaciela na państwo nasze, aż do zawarcia pakt z narodem Moskiewskim obecnie przy boku naszym będąc i statecznie trwając oddawać i oświadczać nieprzestawali. A tak chcąc ich do dalszych usług naszych ochotniejszymi uczynić przywileja oba-

dwa i punkta w nich wyrażone mocą i powagą naszą królewską stwierdzamy i przerzeczonych kniaziów, ułanów, murzów, chorążych, marszałków i wszystkich Tatarów w państwie naszém i w. x. Lit. mieszkających, którzy nam i Rzeczypospolitéj służbą ziemską wojenną odprawują, i w oczach przy hetmanach naszych bywają i służą we wszystkich punktach i artykułach, przy prawie i wolnościach im nadanych ich samych i potomków ich wiecznemi czasy zachowujemy. Na co dla lepszéj wiary ręką naszą podpisawszy pieczęć w. x. Lit. przycisnąć rozkazaliśmy. Dan w Warszawie na sejmie dwuniedzielnym dnia XXI miesiąca lipca roku MDCXXXIV, panowania królestw naszych Polskiego II, a Szwedzkiego III roku. Vladislaus Rex. Krzysztof Korwin Gąsiewski pisarz w. x. Lit.

My tedy Jan Kazimierz król do pomienionéj prośby szlachetnych kniaziów Alexandra Krycińskiego rotmistrza naszego i Ramazana Milkomanowicza mołły Ostrogskiego i wszystkich Tatar na Wołyniu i Ukrainie mieszkających imieniem do nas wniesionéj łaskawie się skłoniwszy i do konstytucyi na teraźniejszym sejmie walnym sześć niedzielnym strony praw i wolności ich uchwalonéj, a niemniéj mając na odważne tak przodków ich jako i onych samych w téj rzeczypospolitéj oddawane merita, pomienionym Tatarom Wołyńskim i Ukraińskim, ponieważ do wszystkich swobód i wolności Tatarom w. x. Lit. nadanych zarówno należą i nimi z przodków swych szczycą się i zażywają, wyżéj specyfikowany przywiléj konfirmacyjny ś. p. króla J. M. Władysława pana brata naszego i punkta wszystkie w nim wyrażone, ile w czém prawu pospolitemu nieprzeciwne stwierdzamy, zmacniamy i approbujemy, a przerzeczonych kniaziów Tatarów naszych w ziemi Wołyńskiéj i na Ukrainie osiadłościami mieszkających, którzy nam i Rzeczypospolitéj służbą ziemską wojenną odprawują i przy wszystkich punktach i artykułach na prawa i wolności Tatarom w. x. Lit. nadanych a im

zarówno należących onych samych i potomków ich wiecznemi czasy zachowujemy i zostawujemy. Na co dla lepszéj wiary przy podpisie ręki naszéj pieczęć koronną przycisnąć rozkazaliśmy. Dan w Warszawie na sejmie walnym sześć niedzielnym dnia XXIV miesiąca maja roku p. MDCLIX, panowania królestw naszych Polskiego XI a Szwedzkiego XII roku.

Jan Kazimierz król.

Andreas Miaskowski Scholastic Gnieznen. Abbas Praemeta Regens Cancellarius Regni.

K. Z. N. 141. f. 19.

Zachowanie kniaziów Tatarów w wielkiém xięstwie Litewskiém mieszkających przy wolnościach nadanych.

Oznajmujemy tym listem przywilejem naszym komu to wiedzieć należy. Ztąd wszelkich królów i monarchów osobliwie w sercach poddanych kwitnie nieodmienną żarliwością nieśmiertelna sława, gdy dobrze zasłużeni w Rzeczypospolitéj słusznie sowitych prac i odwag swoich nieraz za dostojeństwo majestatu pańskiego podjętych odbierają rekompensy, do których oraz szczodrobliwością do tronu pańskiego bywają zachęceni munificencyą. Tymże idąc torem *kniaziowie Tatarowie*, którzy pod xiążętami różnymi senatorami mieszkają w usługach naszych Rzeczypospolitéj, gdy rycerskie ich dzieła i wierne ku nam i Rzeczypospolitéj usługi dobrze są zalecone, którzy zdrowie i fortuny swoje w polu Marsowém chętnie ważąc, nieraz przeciw różnym nieprzyjaciołom własnemi zastawiali się piersiami, a chcąc ich pańską naszą nagradzać szczodrobliwością, témbardziéj przykładem przodków ich do dalszych cnót i odwag zachęcić, tedy uważając to aby zarówno z drugimi prawa wolności używali, niżeli którzy na dobrach ziemskich zostają, tak, w koronie Polskiéj jako i w w. x. Lit. według postanowionéj

konstytucyi; co do wiadomości wszem w obec mianowicie wielmożnym senatorom, urodzonym dygnitarzom, rycerstwu szlachcie i Tatarom, którzy w służbie wojennéj zostając przywodzą, mieć chcemy aby wszelakich zażywali zarówno z drugimi praw swoich i wolności, inaczéj nieczyniąc dla łaski naszéj. Na co dla lepszéj wiary ręką się naszą podpisawszy, pieczęć w. x. Lit. przycisnąć rozkazaliśmy. Dan w Grodnie w marcu 1679 roku.

(Z archiwum domowego wyd. przez K. W. Wojcickiego. Warszawa 1856 r.)

EXTRAKT.

Utwerżenia Tatarom na prawa i wolnosti ich od prodków Jeho Korolewskoje Miłosti nadanyje takiż y artykuły nekotorye w Statute nowo wydanom opisanyje wolnostiam y swobodom ich szkoditi nemajut, w roku 1568 danego.

(Z roku 1766).

(Z autentyku).

Stanisław August, z Bożéj Łaski Król Polski, Wielki Xiążę Litewski, Ruski, Pruski, Żmudzki, Mazowiecki, Kijowski, Wołyński, Podolski, Podlaski, Inflancki, Smoleński, Siewierski i Czernihowski.

Oznajmujemy tym listem extraktem naszym komu to wiedzieć należy, iż w xięgach metryki kancelaryi naszéj wielkiéj w. x. Litewskiego znajduje się utwierdzenie Tatarom, na prawa i wolności ich od przodków Jeho Korolewskoje Miłosti nadanyje takiż i artykuły niekotoryje w Statuti nowo wydanom opisanyje, wolnostiam i swobodom ich szkoditi ne majut, za najjaśniejszego predecessora naszego króla jmci Polskiego i wielkiego xiążęcia Litewskiego Zygmunta-Augusta, roku tysiąc pięćset sześćdziesiąt ósmego, miesiąca junii dwudziestego

dnia dane, i suplikowano nam jest przez panów rad i urzędników przy boku naszym rezydujących, abyśmy to utwierdzenie, z tychże xiąg metryki kancelaryi naszéj wielkiéj w. x. Litewskiego, per Extractum authentice wydać pozwolili, które słowo do słowa wypisując tak się w sobie ma.

„Zigimont Awhust etc.

„Oznajmujem sim listem naszym niniesznym, i na potom buduczym, szto perwej seho za prodków naszych, i za szczastliwoho panowania naszoho, nadany i uprywilewany wolnosti i swobody, Kniaziem, Ułanom, Chorużym, Marszałkom, i wsim Tatarom, kotoryje osełosti swoi w państwie naszem Welikom Kniaztwie Litowskim majut, ino tych czasow buduczy Nam Hospodaru na Sojmie Wielikom walniem Horodeńskom opowedali pered nami, Kniazi, Ułany, Chorużyje Marszałki i wsi Tatarowie państwa naszoho Welikoho Kniaztwa Litowskoho o tom, jakoby w Statute nowo od nas Hospodara wsim obywatelom państwa Naszoho Welikoho Kniaztwa Litowskoho, ku sprawowaniu wsiakich spraw wydanom, niekotoryje artykuły protiwku wolnostiam i swobodam ich od prodkow naszych i od nas Hospodara nadanych ufaleny a menowite dej w rozdele diewiatom, artykuł treti, a w rozdele wtoromnadcat artykuł piaty, im dotkliwe i wolnostiam ich szkodliwe, opisany; zaczym oni nemałoje ubliżenie wolnostej swoich byti mennjuczy, bili nam czołom iżbyśmy ni w czom praw, swobod, i wolnostej im nadanych nenaruszajuczy pry mocy zostawili, i nikotoroho ubliżenia im nad prawo i wolnosti nadanyje pryjmowati niedopustili o czom i panowe rady naszy ich miłost duchownyje swetskije za nimi zalecajuczy weru, cnotu i ochotu ich kotoruju oni w służbach zemskich wojennych czastokrot okazywajut, nas żedali, a tak gdyż za doznaniem wery i cnoty ku służbam naszym hospodarskim i zemskim, tyje poddanyje naszy wsi Tatarowie państwa Naszoho Welikoho Kniaztwa Litowskoho, od

prodkow naszych i od nas Hospodara nadanych zostawujem, i to im sim listom naszym utwerżajem. Majut oni wo wsem raditi i sprawowatisia w sprawach swoich zarowno z inszymi obywatelmi państwa Naszoho Welikoho Kniażstwa Litowskoho stanu szlachetskoho, potomu jako i do sich czasów wolnostej swoich używali, i w nich sia sprawowali; a artykuły wyszéj pomenenyje w Statute nowo wydanom opisanyje, to jest w rozdele dewiatom artykuł treti, a w rozdele dwanadcatom artykuł piatyj, i inszyje wsi artykuły statutowyje, kotoryjeby prawom i wolnostiam ich od prodków naszych i od nas Hospodara im nadanym protiwny byli, niczoho wolnostiam i swobodam ich szkoditi i na perazie byti nemajut wecznymi czasy: i na to jesmo Ułanom, Chorużym, Marszałkom i wsim Tatarom państwa naszoho Welikoho Kniażstwa Litowskoho, dali sei nasz list, do kotoroho jesmo i peczat naszu priwesiti rozkazali. Pisan w Horodne, leta Bożeho Narożenia tysecza piatsot szestdesiat osmoho meseca Junia dwadcatoho dnia.“— My tedy król do pomienionéj supliki łaskawie się skłoniwszy, zwyż wyrażone utwierdzenie Tatarom prawa z xiąg przerzeczonych metryki kancelaryi naszéj wielkiéj w. x. Lit. extraktem stronie potrzebującéj wydać, i dla większéj wagi pieczęć w. x. Lit. przycisnąć rozkazaiśmy. Dan w kancelaryi naszéj w. x. Lit. dnia 21 mca Augusti, roku Pańskiego MDCCLXVI, panowania naszego wtórego roku

(podpisano) *Ant. Przeździecki, p. w. x. Lit.*

(L. S.) Za sprawą JW. JMPana Antoniego-Tadeusza na Zasławiu, Czarnym, Ostrowiu, i Dziukowie hrabi Przeździeckiego, podkanclerzego w. x. Lit. sądowego Pińskiego i Dębskiego starosty, półkownika Petyhorskiego, kawalera orderu Orła białego.

Józef Mikłaszewicz,
Metryk w. x. Litewskiego.

Podobny przywiléj Jana III-go z r. 1689: O zachowaniu kniaziów Tatarów w w. x. Lit. mieszkających przy wolnościach nadanych, którzy pod xiążętami różnymi senatorami mieszkają, uważając, aby zarówno z drugimi praw wolności tak w koronie Polskiéj jak w w. x. Lit. i postanowionych konstytucyj używali, znajduje się w xiędze zapisów, N. 141 f. 32.

DODATEK.

Wiadomość o xiędze Rewizyi dóbr Tatarskich.

Xięga Metryki Litewskiéj, zawierająca Rewizyę dóbr Tatarskich, oprawna w pargamin, ze skórzanym grzbietem, nazywa się dziś w Metryce *Книга перепиcей. N. 12.* W niéj na pergaminie, *z wierzchu* oprawy znajdują się następujące napisy: „*Rewizya dóbr Tatarskich w wielkiém x. Lit. za panowania pana naszego K. J. M. Z. III.* Daléj wyciśnięty jest *herb* korony Polskiéj. Następnie u spodu oprawy: *Przez Jana Kierdeja pisarza ziemskiego Oszmiańskiego skończona, A. D. 1631.* Na skórzanym grzbiecie téj xięgi napisy: *Acta Mag. Duc. Litv. Anno 1631. Regnante Sigismundo III. EE.*

W początku téj xięgi, na kartach 4ch znajdują się, spisane przez Kierdeja w kształcie wstępu, powody do sporządzenia xięgi i historya saméj rewizyi.

Daléj od karty 6 do 36 znajduje się rejestr dóbr Tatarskich, z pokazaniem kart, na których takowe obszernie przez Kierdeja są opisane. Rejestr ten ma taki tytuł: *Summaryusz dóbr Tatarskich w wielkiém xięztwie Litewskiém, z których według teraźniejszéj rewizyi służba wojenna miałaby być odprawowana, dla prędkiego nalezienia, w głównym rejestrze, krótko zebrany.* Tu następuje wyliczenie dóbr, z podziałem na chorąztwa, województwa i powiaty, i wymienieniem kto obecnie takowe posiada

i *ile koni* stawia, i na jakiéj stronicy xięgi dobra są obszernie opisane.

Po karcie 36, na któréj kończy się *Summaryusz*, następuje nowa numeracya kart od N. 1, od którego zaczyna się szczegółowy opis dóbr wyliczonych w summaryuszu, z wykazaniem stopniowego ich przechodu, od jednych osób do drugich; naprzykład, na stronicy 1: *Dobra Waka* (województwo Wileńskie) tak są opisane:

W A K A.

Atikiez Biezgimowicz miał dworzec swój po żenie na Wace w powiecie Wileńskim, z gruntami, łąkami i lasami.

Który jako po bezpotomnym spadł blizkością na powinnego jego *Abrahima Zawackiego.*

Potém on Zawacki ten dworzec przedał wiecznością jaśnie wielmożnemu imści panu Pawłowi Sapiezie naonczas koniuszemu w. xięztwa Lit. a teraźniejszemu podkanclerzemu. I teraz tych dóbr przy majętności swéj dziedzicznéj Wace jego mość jest possesorem. Z tego dworca przedtém Tatarowie za swéj possesyi ku posłudze Rzeczypospolitéj stawiali koń jeden. (W rejestrze na karcie 6 (piérwszéj numeracyi) dobra Waka tak są w skazane: *Waka. Jego Mość pan podkanclerzy z dóbr u Zawackiego nabytych koń jeden fol. 1*).

Tym sposobem jak Waka, opisane są obszernie wszystkie dobra Tatarskie, w wielkiém x. Lit. przez Kierdeja zrewidowane, i opis ten mieści się na kartach 814.

Tak więc: *piérwsza numeracya* xięgi Kierdeja, składająca się z 36 kart zawiera: wstęp i summaryusz, od karty 1 do 36; *druga numeracya*, następująca zaraz za piérwszą, składająca się z 814 kart, zawiera obszerny opis dóbr Tatarskich od karty 1 do 814.

Daléj następuje *trzecia numeracya*, składająca się z 81 karty; zawiera opisanie szczegółowe dóbr Tatarskich według rewizyi Ogińskiego odeszłych do szlachty, od karty 1 do 81.

Nakoniec *czwarta numeracya składająca się* 27 kart, zawiera *Summaryusz dóbr Tatarskich według Rewizyi Ogińskiego, z pokazaniem, karty* na któréj szczegółowego opisu tych dóbr szukać należy, od karty 1 do 7.

Na tém koniec xięgi *Перепись N. 12.*

Rewizya dóbr od przodków króla imści królów imści Polskich wielkich xiążat Litewskich na służbie wojennéj Tatarom w. x. Lit. nadanych, wprzód za listownym króla imci rozkazaniem, potém za uchwałą wszech stanów konstytucyami roku 1628 i 1629, przez nieboszczyka imci pana Jarosza Piaseckiego pisarza polnego w. x. Lit. Gieranońskiego, Lipińskiego i Dziewieniskiego starostę, a Jana Kierdeja pisarza ziemskiego Oszmiańskiego, rewizorów zesłanych, odprawowana, a po zejściu z tego świata pana Piaseckiego pisarza polnego kolegi mego przez mię jednego Jana Kierdeja teraźniejszego koniuszego Wileńskiego pisarza ziemkiego Oszmiańskiego skończona, i na sejmie walnym Warszawskim sześciuniedzielnym w roku teraźniejszym 1631 referowana, takowym sposobem.

W roku 1624 jego kr. mość Pan nasz miłościwy przez list swój rozkazać raczył, zeszłemu koledze memu jego mści panu Jaroszowi Piaseckiemu pisarzowi polnemu w. x. Litt. i mnie wiernemu poddanemu jego kr. mci, abyśmy dobra w wielkiem xięztwie Lit. od przodków jego kr. mci świątobliwéj pamięci królów ich mści Polskich i wielkich xżąt Lit. na posłudze Rzptéj wojennéj Tatarom nadane zrewidowali, a jako się wiele takowych dóbr w possesyi Tatarskiéj w dzierżeniu pp. obywatelów w. x. Lit. okaże j. kr. mści, panu naszemu miło-

ściwemu, na piśmie podali. W czém idąc za wolą i listownem j. kr. mci rozkazaniem, w roku dawno przeszłym 1623, obwieściwszy urzędownie wielom pp. obywatelom w. x. Lit. i chorążym Tatarskim, a naprzód w województwie Nowogródzkiém, kędy tych dóbr Tatarskich najwięcéj, zjachaliśmy sami do Nowogródka, gdzie ledwo kilku z panów obywatelów przed nas stawiwszy się, jedni o dobrach takowych w dzierżeniu swém mając dawali sprawę, drudzy w obmowie stanąwszy, iż na takową lustracyę niepozwalają, precz odjachali, za czém też i nam uczyniwszy pilności swéj protestacyę odjechać ztamtąd przyszło. Potém za nastąpieniem w tymże roku po wszystkiém w. x. Lit. plagi Pańskiéj, powietrza morowego, musieliśmy do czasu zaniechać. Gdy zaś nieprzyjaciel xżę Sudermański do prowincyi Inflanckiéj wtargnął; za uniwerszałami ich mści panów hetmanów, Tatarowie wszyscy z chorążymi podług powinności, ile im razy kazano, do Inflant z poczty swemi chodzili. I tak ta rewizya, lubo się miejscami przez nas odprawowała, jednak, za takiemi trudnościami końca brać niemogła. Więc też dokumentów, któremibyśmy takowych dóbr pod dzierżącymi dowodzić mogli, niemieli. I lubo to w roku 1628 na sejmie konstytucyą do téj rewizyi j. kr. mść pan nasz miłościwy nas naznaczywszy, dokumentów wszelakich z skarbu w. x. Lit. a zwłaszcza rewizyi tych dóbr przez kniazia Matwieja Ogińskiego ciwuna Wileńskiego w roku 1559 odprawowanéj, dodać nam rozkazać raczył; jednak imści Pan Brolnicki skarbny (mając listownie od imści pana podskarbiego rozkazanie, aby nam tę rewizyę wydał), za częstem naszém upominaniem się, przez cały rok wydać jéj z skarbu niechciał, na co i proces jest uczyniony. Aż za szczęśliwém przybyciem królewica imci Władysława do Wilna, gdyśmy o niewydanie tych dokumentów na pana skarbnego donieśli skargę, za napomnieniem królewica imci, przez imci xdza. biskupa Wi-

leńskiego w Bodze zmarłego, pan skarbny odjeżdzając sam na sejm w roku 1629 przypadający, wydać nam tę rewizyę kniazia Ogińskiego a tractem rozkazał. I tak cały rok musieliśmy próżnować, gdyż bez tego dokumentu niepodobna było statecznie i gruntownie tę skończyć rewizyę. I chociaż ten jeden dokument (w którym tylko to opisano czego Tatarowie w possesyi swéj za rewizyi kniazia Ogińskiego byli) wydać rozkazał; ale co z dóbr Tatarskich do szlachty obywatelów w. x. Lit. odeszło, tego dla jakichści swych respektów wydać nam niechciał czyli w skarbie niemiał, bez którego dokumentu iż trudno było dojść dóbr tych, które szlachta u Tatar nabywszy trzymali, przyszło nam zkąd inąd nabywać autentyków, osobliwie za listem króla imci pana naszego miłościwego do potomków kniazia Ogińskiego, aby oni dodali nam rejestrów rewizyi przodka swego. Pani podkomorzyna Trocka Bohdanowa Ogińska dała nam niemałą xięgę sam autentyk stary, Ruskim pisany charakterem, w którym wszystkie dobra od Tatar do szlachty obywatelów w. x. Lit. odeszłe są opisane. Z tych tedy przyczyn wzwyż opisanych i dla nieprędkiego wydania z skarbu także zasiągnienia od kniehini Ogińskiéj rejestru, ta rewizya dawniéj skończona być niemogła; ale gdyśmy już tych wszystkich zasięgli rejestrów, przyłożyliśmy zarazem wielkiéj pilności, prace, starania, jeżdżąc po wszystkiém niemal wielkiém z xięztwie Lit., gdzie się kolwiek te dobra Tatarom nadane najdowały, statecznie zweryfikówaliśmy. A iż kolega mój ustąpił z tego świata, mnie przyszło tę pracę na się przyjąć, i zniosłszy porządnie, naczysto przepisawszy, przed majestat króla imci na sejm teraźniejszy przynieść.

Z któréj rewizyi najduje się to: iż chorążowie Tatarscy, których jest sześć, tak bardzo małą liczbę pocztów wszystkich Tatar mieli, że ledwo pod wszystkiemi chorągwiami ich, gdy kazano na posługę, zebrać się mogło koni 120. I gdyśmy w tém

pilną czynili inkwizycyę, znosząc rewizyę kniazia Ogińskiego, do któréj i konstytucya przychylać się nam kazała, nalazło się na wielu miejscach, iż Tatarowie mając gruntów i niezłych dosyć, mniéj niżeli powinni, i nie według danin królów ich mci i rewizyi stawiali poczty swe.

Drudzy zasię omale mając gruntów, służą według dawnych powinności i rewizyi. Ale też i to na niektórych miejscach nalazło się, iż omale mając gruntów, sami zniszczeli, rozeszli się pod ich mciami pany senatorami osiadłości przyjęli, drudzy aż na Wołyń poszli, a grunciki swe małe innym sąsiadom rozprzedali, a inni darmo porzucali, i dla tego służba Rzptéj ginęła. Jakoż i w dawnéj rewizyi na wielu miejscach zwłaszcza na Łososnie pod Grodnem opisuje, iż ledwo miał drugi gruntu na beczek trzy, albo cztery, a z tego konia stawiać był powinien, i na innych wielu miejscach koło Wilna. A co za przyczyna tego, iż jedni mając dobre majętnostki, jednego tylko stawiali konia, drudzy zaś na ogródkach jeno siedząc, konia też stawią, — takową o tém chorążowie Tatarscy i sami Tatarowie dawali sprawę: — iż przedtém jeszcze, przed rewizyą piérwszą nietak często wojny bywały, a kiedy się im z rozkazania hetmańskiego, z powinności za granicę nieprzyjacielską ruszać kazano, tedy im z skarbu Rzplitéj sukno Luińskie, szyftuchy albo karazye dawano, które wtenczas tanie były, chorążym zaś Tatarskim bławaty albo falendysze; dla czego każdy Tatarzyn, chcąc mieć suknię z ochotą podejmował się z małego gruntu stawiać konia, i dobrowolnie się do rewizyi wpisowali. Teraz zaś gdy częste nastały wojny, i onym co rok a czasem dwakroć w rok, na konie wsiadać i do Inflant iść kazano, sukień też nigdy niedają: zatém ci co małe mieli spłachcie, inszego przemysłu, handlów niemając, ubożeć musieli. Jakoż którzy bardzo ubodzy są w téj naszéj rewizyi wyrażeni, — osobliwie w téjże naszéj rewizyi najduje się, iż niektórzy panowie szlach-

ta obywatele w. x. Lit., dóbr z takowym ciężarem nabywszy, wojnę wespół z Tatarami odprawują. Jest też i tych niemało, którzy nabywszy po rewizyi kniazia Ogińskiego takowychże dóbr Tatarskich, téj powinności niepełnią: jedni mają konfirmacye teraźniejszego króla imci pana naszego, iż ich od powinności wojennéj Tatarskiéj wyzwolono, a drudzy i tych niemając konfirmacyj, niesłużą.

Są też inne dobra Tatarskie, których jeszcze przed unią i rewizyą kniazia Matwieja Ogińskiego panowie szlachta różnemi sposoby u Tatar nabywszy, trzymają, i konfirmacye przodków króla imci mają; a inni zaś, jeno się samą szczycąc dawnością, téj wojennéj posługi nieodprawują. Których przywilejów niemogąc my rozsądzać, jeno wpisawszy wszystkich dzierżących tych dóbr w tę rewizyę naszę, przed majestat j. kr. mci, pana naszego miłościwego, przyniosłem.

Niektórzy też z panów obywatelów za nie pojednokrotném o zjechaniu naszém do nich przez jenerały oznajmieniem, znieważając zwierzchność króla imci pana naszego miłościwego i uchały sejmowe, praw swych, które na takowe od Tatar nabyte mają, pokazować nam niechcieli i sami niestanowili, jako to w relacyach jenerałowych szerzéj opisuje; tedy abyśmy i w tém głucho niestanęli, pilnośmy się u chorążych Tatarskich (którzy obecnie przy odprawowaniu téj rewizyi przy nas byli) i u innych różnych Tatar o takowych dobrach, jako wiele ci co sprawy dać o sobie niechcieli, w swém dzierżeniu mają, wywiadowanie czynili, i z różnych zasiągłszy dokumentów pewnéj wiadomości, i z dawną rewizyą jako wielka powinność z tamtych dóbr jest opisana, zgodziwszy się, tuśmy do téj naszéj wpisali rewizyi.

Którą to rewizyę pisząc i sporządzając, niemała była trudność, iż kniaź Ogiński nie swym porządkiem te dobra Tatarskie wpisował, a to z téj przyczyny, że podówczas niebyły je-

szcze w w. x. Lit. rozdzielone powiaty. Lecz teraz dla lepszego porządku według powiatów zebrawszy w tę rewizyę wszystkie chorągwie Tatarskie jako z Ordy swemi familijami do w. x. Lit. przyszły, wpisaliśmy. Których familij jest *sześć* i każda ma swą *chorągiew*': a naprzód chorągiew' *Ułańska*, druga *Juszyńska*, trzecia *Najmańska*, czwarta *Jałoirska*, piąta *Kondracka*, szósta *Baryńska*. Te familije ich niewszystkie razem ale różnemi czasy za przodków króla imci, z Ordy do w. x. Lit. były przyprowadzone; jednak każda familija z swoją kompaniją przyszła, którym królowie ich mci po różnych miejscach w wielkiém xięztwie Litewskiém opatrzenie dawać raczyli. Teraz, gdy powiaty w. x. Lit. rozdzielone są, tedy też jako wiele w którym powiecie chorążowie do swych chorągwi mają należących Tatar, aby o nich wiedzieli, tu w tę rewizyę naszę porządkiem się wpisało.

Do tego temiż konstytucyami dwiema wzwyż pisanemi król imść pan miłościwy, wkładając na nas tę rewizyę rozkazać raczył, abyśmy wszystkich Tatar, którzy furmaństwem albo rzemiosłem się bawią i oddawaniu i płaceniu pogłównego ulegają, zrewidowali;— o czém gdyśmy czynili pilną inkwizycyę, nalazło się to: iż pod Wilnem w Łukiszkach, na Memeży, w Rudominie, w Sorok-Tatarach, Kołnołarach, Kozoklarach i na Wace, mało takowych co swoje obeścia mają i handlami się bawią, ale wszyscy na małych spłachciach, w jednym domie kilka ich mieszkając i synów niemało dorosłych mając, gdy im na wojnę jechać każą, jedni z powinności a drudzy za pieniądze zaciągnąwszy się służą. Ci zaś co doma zostają, niemając inszych zabaw, handlami i rzemiosłem, a drudzy furmaństwem się bawią. Jednak tych, którzy nigdy niefurmanią ani handlują, jeno dziełem rycerskiém się bawią a z gospodarstwa żyją, mianowicie w téj rewizyi na swym miejscu, gdzie sami domami mieszkają, opisaliśmy. A drudzy wszyscy nemine excepto,

w tych wsiach pomienionych koło Wilna, słusznie li płaceniu pogłównego podlegać mają, to pod wolę i miłościwe baczenie króla imci poddaję.

Tę tedy rewizyę, jeżdżąc po wszystkiém wielkiém xięztwie Litewskiém, gdzie jeno kolwiek te są dobra, pracowicie o wszystkiém uczyniwszy wywiadywanie, integrafidę w ten rejestr rewizorski wpisałem, i pod nogi króla imci pana mego miłościwego kładę. Pisan w Warszawie na sejmie walnym dnia 10 marca roku Pańskiego 1631.

NB. 1, *Chorąztwo Ułańskie*, ściahu Grodzieńskiego i Oszmiańskiego; teraz chorążym *Czymboj Ułan Maluszycki.*

2. Chorąztwo *Dawyda Charbiejewicza Murzy*, nazwane *Juszyńskie*, ściahu wojewodztwa Trockiego.
3. Chorąztwo *Najmańskie*, ściahu wojewodztw Wileńskieg o, teraz chorążym *Abrahim Kieński.*
4. Chorąztwo *Jałoirskie* ściahu Nowogródzkiego: natenczas chorążym *Helijasz Zabłocki.*
5. Chorąztwo *Kondrackie* ściahu Mereszlańskiego, chorąży *Jachia Zawacki.*
6. Chorąztwo *Barińskie*, ściahu Nowogródzkiego, teraz Szachmacera Rudnickiego.

I. CHORĄZTWO UŁAŃSKIE.

A. WOJEWÓDZTWO WILEŃSKIE.

Waka (koń 1):

1. Alikien Biergimowicz.
2. Abrahim Zawacki.

Kiena nazwana Orklany (koni 5):

3. Jacki Ochmecewicz.
4. Helijasz Safianowicz.
5. Milasz } Ryzwanowic ze.
6. Chewiaj }
7. Sieńczuh Lechuszewicz.
8. Suliman Dziaferowicz.
9. Dawid Churomczyn.
10. Olej Janusowicz.
11. Abduła Janusowicz
12. brat jego Józef.
13. Ziekiera Alejewicz.
14. Abduła Janusowicz.

synowie jego:

15. Szczęsny, } Abduliny.
16. Abrahim, }
17. Tomasz, }
18. Machn, }
19. Furs, } synowie Józefa Janusowicza, Józefowiczowie.
20. Reczyf, }
21. Smail, }
22. Abduła, }
23. Szczęsny Isupowicz.
25. Szachmence Isupowicz.
25. Atrakim Osanowicz,
26. Mustafa Orazowicz.
27. Selim Szczęsnowicz.
28. Aley, } Selimowicze.
29. Bohdan, }
30. Abram, }
31. Isup Szczęsnowicz.
32. Chalimbek, } Isupowicze.
33. Churompa, }
34. Ameć, } Bohdanowicze.
35. Isenbek, }
36. Kasim Achmeciewicz.
37. Asan Kasimowicz.
38. Asan Bohdanowicz.
39. Musa Smaiłowicz.
40. Olej Szemerdzieniewicz.
41. Suliman Dziafierowicz.

Mołła Tatarski gdzie sam mieszka na Kienie przy Meczecie:

42. Jakób Mustopicz,

Mereszlany (koń 1):

43. Machmeć Juchnowicz Ułan.
44. Adam Sielimnycz.

B. POWIAT OSZMIAŃSKI.

Łostoja (koni 6):

45. Machmeć, } Abrahamowicze.
46. Bohdan, }
47. Abrahim Fursowicz.
48. Machmeć Juchnowicz.
49. Juchna Jośkiewicz Ułan.
50. Furs Juchnowicz Ułan.
51. Jan Pachmucewicz Ułan.
52. Szachuta Janowicz.
53. Bohdan Fursowicz Ułan.
54. Furs, } Fursowicze.
55. Juchna, }
56. Abrahim, }
57. Samuel, }
58. Jan, }
59. Machmeć, } Abrahimowicze.
60. Bohdan, }
61. Abrahim Fursowicz Ułan.
62. Machmeć Juchnowicz Ułan.
63. Alej Nieczejewicz.
64. Isup Alejewicz.
65. Czymbaj Jachnowicz.
66. Jachno Fursowicz.
67. Jan Fursowicz Ułan.
68. Jachno Bohdanowicz.

Urleniata (koni 3):

69. Achmeć, } Fursowicze Uła:
70. Bohdan, }
71. Czymboj Jahicz Ułan.
72. Abram Gurzdow.

Berezynia:

73. Furs Juchnowicz Ułan.

Sielec (koń 1):

74. Machmeć Juchnowicz Ułan.
75. Abrahim Kieński chorąży Najmański.

Mysa (koń 1):

76. Habil Nurkowicz.
77. Furs Juchnowicz Ułan.

Hamiżycze (4):

78. Szczęsny Kurmanowicz,
79. z bratem Jaśkiem.
80. Józef Połtor.
81. Jsup Żukowicz z bracią.
82. Jaśko Kurmanowicz.

Koziaki (3):

83. Stanisław Muchohon.
84. Mucharem Nuriejciewicz,
85. z bratem Abrahimem.

Mysakowicze (1):

86. Masko, i
87. Juchno, Jałymowicze.

Tułubaje (1):

88. Usiejez Iwaszkiewicz.
89. Smaili, i
90. Jaśko, Ołymowicze.

Bohdanowo pod Krewem (koń 1):

91. Bohdanowa Tursowiczowa.
92. Czymbaj Ułan chorąży.

Kumielany (1):

93. Ostafi Kierdéj.

Kajacienieta (5):

94. Alej Ambekiewicz mołła.
95. Juchnowicze.
96. Arazowicze.
97. Mustafa Jurkiewicz.
98. Juchnowicze.
99. Smolski Sielimbiekiewicz.
100. Alej Ambiekiewicz.
101. Jachia Zawacki chorąży.
102. Smolski Sielimbiekiewicz z bracią.

Połoczany (1), *Ponizie* (1):

103. Abduła Ambiekiewicz.

Pod Kurzeńcem (1):

104. Murtoza Achmeciewicz.

Świetlany (1):

105. Bohdan Mochraszewicz.

C. POWIAT LIDZKI.

Podegucie (1):

106. Asanowa Alejewiczowa z zięciem.

Niekraszewicze pod Raduniem (1):

107. Abduł Salomonowicz.
108. Isup Murtozicz.

D. WOJEWÓDZTWO TROCKIE.

Ligojnie:

109. Smail Abdziulewicz.

E. POWIAT GRODZIEŃSKI

Łososna:

110. Wojna Aisiecz.
111. Asan Charbiejewicz,
112. Chaleb Abrakunowicz.
113. Lekimberdziej Dzionberdziejwicz.
114. Smail Kulzimanowicz.
115. Alej, i
116. Smail, Bohdanowicze.
117. Asan Kulzimanowicz.
118. Bazunowicz.
119. Bachty Tabułkanowicz.
120. Achmeć Salomonowicz.
121. Chasian Murtowicz.
122. Charbej Musicz.
123. Chusieja Buchtanowicz.
124. Asan Ajsicz.
125. Adrahman Achmeciewicz.
126. Adrahman Kidyrowicz.
127. Chasienowa Bohdanowiczowa.
128. Charbej Murtozicz.
129. Alej Bajkozicz.
130. Safian Tachtamysz.
131. Muchar Snindziukowicz.
132. Alej Kurmaszewicz.
133. Muchar Bohdanowicz.
134. Isup Kulzimanowicz.
135. Aisa Bajranewicz.
136. Juhno Smailewicz.
137. Smail Kulzimanowicz.
138. Chasien Jakubowicz.
139. Ryzwan Asanowicz.
140. Ryzwan Dziawtymerowicz.
141. Achmeć Safianowicz.
142. Isup Sulimanowicz.
143. Lechimberdej Dowberdowicz.
144. Chazbej Smailewicz.
145. Kulziman Sielimnycz.

Mełła:

146. Jackia Jakubowicz.
147. Isup Alejewicz.
148. Kulziman Tamtonowicz.
149. Tanberdziej Sielimnycz.
150. Mucharem Orazowicz.
151. Murtoza Mejmanowicz.
152. Joseph Dymbiewicz.
153. Charbiej Sulincanowicz.
154. Ajsa Dzianajewicz.
155. Asan Kulzimanowicz.
156. Abrahim Smalewicz.
157. Asan Kulzimanowicz.
158. Murtoza Achmeciewicz.
159. Reczyp Kulzimanowicz.
160. Sielimon Asiecz.
161. Chasien Rafałowicz.
162. Isup Sulejmanowicz.
163. Smail Kulzimanowicz.
164. Isup Kurmanczykiewicz.
165. Machmeć Safianowicz.

Dziemidkowo:

166. Smail Ahrahimowicz.
167. Smail Mikomanowicz.
168. Achmat Isupowicz.

169. Asan Bohuszewicz.
170. Adrahman Abrazowicz.

F. WOJEWÓDZTWO NOWOGRÓDZKIE.

Małyszycze (5):

171. Tataryn Jachia Ułan.

Rajca.

172. Czymboj Ułan chorąży Tatarski.

Sipowicze, Koryca:

173. Achmieciowa Ułanowa.

G. WOJEWÓDZTWO MIŃSKIE.

Zasule:

174. Kniaź Olkiecz Bierginowicz Ułan.
175. Kniaź Asan Achmeciewicz Ułan marszałek.

H. POWIAT MOZYRSKI.

Michnowicze:

176. Turs Ułan Juchnowicz.
177. Asan Iwaszkiewicz.
178. Szeich Ambekiewicz.
179. Jaśko Minbułatowicz.

II. CHORĄZTWO DAWYDA CHAZBIEJEWICZA MURZY JUSZYŃSKIEGO, ŚCIAHU WOJEWÓDZTWA TROCKIEGO.

Naprzód:

Chazbiejawicze na Wace	2.
Kulzimenowicze	10.
Prudziany	10.

A. POWIAT OSZMIAŃSKI.

Opita	2.
Rojze	10.
Troki	6.
Usukolni	5.
Podkozielbiszkanie	1.
Rynkonty	1.
Strawiniki	3.
Kozoklary	10.
Kołnołary	23.
Sorok-Tatary	42.
Ligojnie	3.
Krejwany	8.
Sieńkiewicze	4.
Antokolnie	4.
Ponary Kurmanczykowicze	2.
Poporcie	3.
Pożyle	3.
Gudziany	6.
Dzieszyszki	1.
Piekcieniszki	5.
Sejmany	5.
Bazary	12.
Pieszkibrole	15.
Pod Paniami	2.
Pod Żyżmory	2.

B. POWIAT LIDZKI.

Talkowicze	2.
Kreczewicze	3.
Melechowicze	4.
Sobolunce	6.
Siundziukance	2.
Niekraszance	2.
Nowo-Tatary	3.

C. POWIAT GRODZIEŃSKI.

Swiach . . . . . 3.
Łososna . . . . . 2.
Dziemidków . . . . 1.
Mikielewszczyzna . . 1.

D. POWIAT SŁONIMSKI.

Roholna . . . . . 5.
Adamowicze . . . . 1.
Safianowicze . . . . 1.
Stradzynki . . . . 3.
Szerejkowszczyzna . . 3.

Domów 244.

III. CHORĄZTWO NAJMAŃSKIE, ŚCIAHU WILEŃSKIEGO ABRAHIMA KIEŃSKIEGO.

Naprzód:
Łukiszki . . . . 32.
Rudomina . . . . 8.
Memeza (Niemież) . . 8.
Kiena . . . . . 4.

A. POWIAT OSZMIAŃSKI.

Ponary . . . . . 1.
Kajacienieta . . . . 2.
Łoszany . . . . . 1.
Polany . . . . . 14.
Sielec . . . . . 9.
Dowbuciszki . . . . 5.
Ponizie . . . . . 14.
Świetlany . . . . 2.
Staroziele . . . . . 3.
Cicin . . . . . 7.
Suckow 3,
Pod Kurzeńcem . . . 1.

B. POWIAT LIDZKI.

Błotnia . . . . . 1.

C. WOJEWÓDZTWO TROCKIE.

Pod Żyżmorami . . . 3,
Wiekokszczyzna . . . 2.
Ligojnie . . . . . 1.

D. WOJEWÓDZTWO MIŃSKIE.

Osowiec . . . . . 4.
Myślewicze . . . . . 1.

Domów 126.

IV. CHORĄZTWO JAŁOIRSKIE HELIJASZA ZABŁOCKIEGO.

Naprzód:
Waka . . . . . 2.
Na Wace Prudziany . . 4.
Zwalce przy gościńcu Kowieńskim . . . . 3.
Memeża . . . . . 1.
Kiena . . . . . 3.
Kosia . . . . . 3.
Biena . . . . . 1.
Korzyść . . . . . 1.
Miedniki . . . . . 1.
Onzodów . . . . . 6.

A. POWIAT OSZMIAŃSKI.

Bienica . . . . . 3.
Lenkowszczyzna . . . 1.
Manuszycze . . . . . 1.
Rymczeniszki . . . . 3.

B. WOJEWÓDZTWO TROCKIE.

Kozoklary . . . . . 5.

Ligojmi . . . . . 1.

C. WOJEWÓDZTWO NOWOGRÓDZKIE.

Zabłocie. . . . . 5.
Noworowicze . . . 1.
Przecieniewicze . . . 3.
Mandzin . . . . . 4.
Nieznanów . . . . 1.
Szczonowo . . . . 2.
Bidła . . . . . 1.
Kamionka . . . . . 2.
Niehrymowo . . . . 2.
Łuki . . . . . 1.
Łukoszyno . . . . 1.
Wołca . . . . . 1.

D. POWIAT SŁONIMSKI.

Rochotna . . . . . 4.

E. WOJEWÓDZTWO BRZEŚKIE.

Dziedkiewicze . . . 6.

F. WOJEWÓDZTWO MIŃSKIE.

Osowiec . . . . . 1.

Domów 78.

V. CHORĄZTWO KONDRACKIE ŚCIAHU MERESZLAŃSKIEGO JACHI ZAWACKIEGO.

A. WOJEWÓDZTWO WILEŃSKIE.

Prudziany na Wace . 8.
Mereszlany . . . . 19.

B. WOJEWÓDZTWO TROCKIE.

Rojże . . . . . 34.

C. POWIAT OSZMIAŃSKI.

Ponizie . . . . . 3.
Świetlany . . . . . 2.
Mysa . . . . . 3.
Z pod Kurzeńca . . . 1.

D. POWIAT MIŃSKI.

Bujlewszczyzna . . . . 1.
Nowosiołki . . . . . 2.
Z pod Krasnego-Sioła . . 3.
Wołki Krześcianie . . . 2.

E. POWIAT ORSZAŃSKI.

Kryczyn . . . . . 3.

Domów 81.

VI. CHORĄZTWO BARYŃSKIE ŚCIAHU NOWOGRÓDZKIEGO SZACHMANCERA RUDNICKIEGO.

A. WOJEWÓDZTWO WILEŃSKIE.

Onzodów . . . . . 1.

B. POWIAT OSZMIAŃSKI.

Rymcieniszki . . . . . 2.
Nierówka . . . . . 1.

C. POWIAT LIDZKI.

Kudajewicze . . . . . 1.
Milkiewicze . . . . . 11.
Gudziany . . . . . 2.

D. WOJEWÓDZTWO NOWOGRÓDZKIE.

Małesielco . . . . . 2.
Niesutycze . . . . . 7.
Sulatycze 2
Koryca . . . . . 2.
Łozoczyce . . . . . 2.
Rajca . . . . . 2.
Sienieżyce . . . . . 3.
Jatra . . . . . 2.

Rudniki . . . . . 3.

E. POWIAT SŁONIMSKI.

Bozki . . . . . 1.
Rohotna . . . . . 3.

F. WOJEWÓDZTWO MIŃSKIE.

Ułanowicze . . . . 2.

G. WOJEWÓDZTWO MŚCISŁAWSKIE.

Sutoki . . . . . 7.
Dziedleowicze . . . . 4.
Horodnia Komorowicze 16.
Wieś Stara . . . . 1.

H. ŚCIAN ORDYŃSKI, W. NOWOGRÓDZKIE.

Pucewicze . . . . . 1.
Łowczyce . . . . . 3.

Domów 82.

W końcu następuje w xiędze Kierdeja, kopija rewizyi kniazia Ogińskiego po-Rusku spisana.

Dobra Tatarskie w wielkiém xięztwie Litewskiém, które przed dawną rewizyą kniazia Matwieja Ogińskiego ciwuna Wileńskiego z possesyi Tatarskiéj do różnéj szlachty odeszłe, przez mię Jana Kierdeja pisarza ziemskiego Oszmiańskiego rewizora króla jegomości dostatecznie zweryfikowane, na które to dobra iż z skarbu w. x. Lit. dokumentów i dowodów dać niechciano, tedy za listem króla jego mci pana naszego miłościw u potomków nieboszczyka kniazia Ogińskiego otrzymaliśmy *xięgę staroświeckim chrakterem po-Rusku pisaną*, w któréj wszystkie dobra Tatarskie przed rewizyą xięcia Ogińskiego do szlachty odeszłe mianowicie są opisane. Lecz że na wrócenie téj xięgi ichmściom kniaziom Ogińskim assekuracyę dać musieliśmy, tedy wszystkie punkta w téj xiędze opisane, słowo do słowa w tej naszéj rewizyi wpisawszy, przeszłych i teraźniejszych possesorów tych dóbr dostatecznie wyraziwszy, tę xięgę ich mściom wróciliśmy. A te dobra Tatarskie wpisując, tak się w sobie mają.

Dobra Tatarskie przed uniją do różnéj szlachty obywatelów w. x. Lit. odeszłe:

Brodzianey a nowo nazwane *Szyrwenty*, dobra Tatarskie pod Muśnikami, które przed rewizyą kniazia Matwieja Ogińskiego ciwuna Wileńskiego od Tatar do szlachty odeszły, *i w rejestrze kniazia Ogińskiego* temi słowy *po Rusku* opisane:

Неякій былъ пріѣхалъ Татарынъ Олымъ Уланъ Орусовичъ дано ему людей на имя Бродяньцы служобъ двадцать суполныхъ надъ рекою Шырвеньтою межы Мусники и Шырвинтъ местечка на гостинцъ Виленскомъ kotoryj, bieżyt z Wilny do Wiłkomiry i ku temuż Tatarynu dano ośm ziemi pustowskich na dwornuju paszniu. Tot Tataryn *Ołym Ułan* dierżał dożywota swojeho. Koli zmier bez potomstwa murzkoho odno zostawił po sobie dwie doczki na imia *Jasiu* a *Zorku*, Jasia niewiedati hdie zhinuła, a Zorka poszła za Tataryna za *Obduła Obrahimowicza*, kotoryj Obduła wział po niéj toje imienije, i dierżał toje imienije po żonie swojéj czas niemałyj. Siemien Żaba staryj nieboszczyk mieł tam dworec niepodaleku od toho Tataryna, na imia Woronowskij, i począł krywdit' toho Obdułu i pobrali jemu niemało ludiéj i ziemli i samoho niemałom niezabił. Widieczy to Obduła, iż tam żywuczy na tom ostatku i nie prespieczon buduczy zdorowia swojeho i bojaczysia toho, prodał to nieboszczyku Siemienu Żabie za rownuju summu za trysta kop hroszej, i to w nieho i spieniezmi fantami pobrał, a napisano czotyrysta kop hroszej. I ku tomu dworu Tatarskom, ziemli pasznoje na boczok trysta, hajew i lesow jest mnożstwo, sienażatiej na woz trysta, służob ludiej dwadcat' supolnych. Perewoz na reczce Szyrwentie mytnyj, na druhoj reczce Wiesie dwa mosty mytnych, nad perewozom karczma, stodoła szynkownaja tuż podle dwora. Użo Żaba osadił miesteczko, i torh jest u tom miesteczku korczom pietnadcat' i kostieł Lac-

kij i cerkiew' Ruskaja, czeledi też niewolnoje i tym dworom prodano niemało, osobliwie nadto wział czeledi niewolnoje domow diesiet, za kotoryi niepłatił, tak pobrał to wsie toje na gruntie Tatarskom.

Tych dóbr wyż wyrażonych teraz dzierżą trzy części szlachta panowie Żabowie, a trzecią część dzierży pan Olbrycht Pietkiewicz.

Z których dóbr Tatarowie za swéj possesyi ku posłudze Rzptéj, o tém taż świadczy rewizya, stawiali koni cztery.

Waka od Tataryna *Oraza Czynkorewicza*, *i Mahmeta Obdrezakowicza*, przeszła do pani Bohdanowoje, niniejszaja Stiepanowoje Sapieżynoje. Teraz dzierży jaśnie wielmożny imć pan Paweł Sapieha podkanclerzy w. x. Lit.

Kiena. Majętności Tatarskie na Kienie, w rewizyi kniazia Matwieja Ogińskiego w te słowa są opisane pismem Ruskiém: Tataryn *Machmet Obdrezakowicz* prodał dworec swoj na Kienach w powietie Wileńskom Jorku Mazuru mieszczaninu Wileńskomu, to tieper dierżyt *pan Workołab Korsak* niewiem za jakiém prawem.

Dobra Tatarskie odeszłe od Kieny.

Furs Tachtamyszewicz i z bratieju swojeju opowiedał, iż kniaź Konstantin Iwanowicz Ostróżskij ziemli ich ku imieniu swojemu Swirańskomu prywiernuł, i to też kniaź Furs Kieński opowiedał.

Zaniszki dierżał Tatarym *Sejdemem Sejżamałowicz*; teraz dzierży pan Władysław Monwid.

Niemierowskie: kniaź *Olichno Osmanowicz* chorużyj i diadkowin jeho *Janysz Tapirewicz;* teraz pan Kozioł; jest tam teraz chłop Tatarski *Botejko.*

Powiat Oszmiański.

Tomiłowicze: *Bohdan, a Misko a Obrahim Taktamowiczy* chorużstwo *Pietra Minbułatowicza* (teraz pan Rudkowski).

Świetlany kniazia Murtoza Kliszbiewicz (teraz p. Janusz Kiszka wojewoda Połocki).

Ponary: *Oléj Bohdanowicz* Tataryn (teraz Jan Judzicki).

Dogiedejek: Tataryn *Obduła Baktyszewicz* (teraz pan Piotr Monhart horodniczy Wileński).

Kurzeniec: Tatarowie *Bohdan Jackowicz, a Waśko Jackowicz a Oraz Fukowicz.* (teraz Pan Michał Wojna).

Olszany: Tataryn *Szaban Reczypowicz* (teraz p. Paweł Sapieha podkanclerzy).

Zakrzewie: Tataryn *Oraz Onisbiewicz* (teraz p. Mateusz Zakrzewski).

Mirkliszki: *Oléj Legiszewicz* choruzstwa Mahmeta Ułana Juchnowicza z bratjeju *Usieinqm a Skurmanom* (teraz x. Radziwiłłowie).

Krewo: Tataryn Krewskoho powietu *Adjor* (teraz xięża do plebanii Krewskiéj).

Ponizie: *Obdarachman* i otiec jeho *Andysz* (teraz Piotr Rokicki).

Podolszany: Tataryn *Żdan Jełymowicz* choruzstwo Machmeta Ułana (teraz Łostowcy).

Polany: *Bohdan Tartamowicz, Sungan Michnowicz, Mahmet Satyszewicz, a Kołdysz Jackowicz* (teraz Wołowiczowa).

Po powiecie Oszmiańskim, następuje opisanie dóbr *powiatu Lidzkiego.*

Powiat Lidzki: Nacza, województwo Trockie: Pod Żyżmorami, Żyżmory Poporcie, Krasne-Sioło, Sołkiniki, Wysoki-Dwór; pod Wysokim-Dworem Żykoraci; pod Sumiliszkami; pod Żejmami, Litowaryszki, Michniszki, Ligojnie, Kułakiszki, Kozoklary, Sorok-Tatary.

Powiat Grodzieński: Świack, Losośna; *województwo Nowogródzkie:* Ruta, Sulatycze, Niesutycze, Wołkowicze, Koryca, Korelicze, Katczycze, Wowca, Moszewicze, Boracin, Kuścin, Świstowicze, Rajca, Ramiejki, Pieresieka, Siehda i Wowca, Małuszyce, Wierzbnowo, Łowczyce, Kaiszowki, Czemrowo, Moszewicze, Tupały, Koryca Jelna.

Powiat Słonimski: Rohotna.

Województwo Brzeskie: Dziedkowicze.

Powiat Orszański: Krajczyn.

Województwo Mińskie: Dobra Tatarskie Pilipowicze, Słowohoszcz, Niwki i inne dobra pod Łohojskiem, Czmielewicze, Huby, Rewanicze; Chołchło; Mołodeczno, Osowiec, Wieś Korable, Wzasieli; Cieplany, Karpowicze, pod Ihuminem Kierduciszki.

Powiat Mozyrski: Szesków.

Jeszcze jeden przykład, wyjęty z Rewizyi kniazia Ogińskiego. *Województwo Mińskie.*

MOŁODECZNO.

W téj rewizyi kniazia Ogińskiego dobra Tatarskie odeszłe pod Mołodecznem w te słowa opisane.

„Mahmet Jakubowicz opowiedał, iż miel dworec swoj i z dwor-

neju pasznieju pod Mołodecznom, niewiem za szto otniał w nieho niejakij Klewieckij Lach, kotoryj służył u jeho miłosti pana wojewody Wileńskoho, niewiem za jakie szkody otniawszy to prodał Janu Krawcu mieszczaninu Mołodeczeńskomu, kotoryi tot mieszczanin żywiet w Mołodecznie, pod kniaziem wojewodoju Witebskim; tot dworec wziato z budowaniem i z statkom, i z ziemleju so wsieju i z czeladju niewolnoju, z diesietmia parobkami, to wsie dierżyt prożnie, bez wiedomosti hospodarskoje. S kotoroho dworca tot Tataryn koń ku służbie ziemskoj stawliwał. To tiepier tot mieszczanin służby niesłużyt.

Opowiedali Tatarowie hospodarskie powietu Wileńskiego, Hornistwa Mortozy Oliszkowicza, kotoryi żyli pod Mołodecznom, na imia Muztuza Mahmetiewicz z bratom swoim Jenusom Mahmetiewiczom, iż kniaż Andrej Michajłowicz Sanguszkowicz Koszerski starosta Łuckij, ziemli ich otczyznyje z dworcami pod Mołodecznom zabrał, a ich samych wyhnał, ziemli toje na boczok szestdiesiat, lesu na boczok dwadcat, sienożati na woz piatdiesiat i prywieznuł to ku imieniju swojemu Mołodeczyńskomu.

Tyjeż Tatarowie osobliwie mieli wysłuhu otca swojeho Mahmeta Chodiuszewicza dwie ziemli pustowskich na imie Wojdykowszczynu a Kłosowszczynu. W tych ziemlach pustowskich ziemli było pasznoje na boczok szestdiesiat, zaroslej na boczok diesiet, sienożatiej na woz piatdiesiat, a tyje ziemli w nich otniał i prywiernuł to ku dworu swojemu Mołodeczyńskomu. A tak tyje Tatarowie jak z otczysnych ziemi swoich, tak i z wysłużonych ziemi, dwa koni ku służbie ziemskoj stawliwali. To tiepier kniaż Jeho miłost, niewiem za jakim prawem tyi ziemli Tatarskie pod soboju dierżyt.

Tyjeż Tatarowie opowiedali iż bojaryn hospodarskij po-

wietu Wileńskoho, kotoryj żywiet pod Mołodecznom Annos Hryniewicz, iż ziemli ich bezwinnie otniał, na boczok sorok i Tataryna z nieje wygnał.

Umysł Siundziukowicz z bratieju Bohdanom a Leguszom majut dom pod Mołodecznom; otniał w nich ziemli; ich kniaź Koszerskij na boczok dwadcat', zaroslej na boczok czotyry sienożatiej na woz dwadcat' piat' ku imieniju swojemu Mołodeczyńskomu.

Obdyn Jakubowicz opowiedał iż kotoryj żywiet pod Mołodecznom, iż kniehinia Michajłowna Mystisławskaja koli Mołodeczno dierżała, odniela w nieho ziemli otczyznoje na boczok dwadcat' sienożatiej na woz pietdiesiat ku Mołodecznu i tiepier dierżyt kniaź wojewoda Witebskij po żonie swojéj to je Mołodeczno.

Te wszystkie folwarki, poddane i grunty Tatarskie dzierży teraz wielmożny imść pan Alexander Gąsiewski wojewoda Smoleński, przy téj majętności swéj Mołodecznie.

Z których dóbr Tatarowie ze swéj possesyi ku posłudze Rzeczypospolitéj stawiali koni cztery.

PIŚMIENNICTWO W W. X. POZNAŃSKIÉM OD r. 1850

I CHARAKTER TEGOŻ W POPRZEDZAJĄCYCH LATACH,

PRZEZ

ANTONIEGO BIAŁECKIEGO.

IV.

Zaczynamy od dziennikarstwa. Przed rokiem zawiązanego *Towarzystwa przyjaciół nauk* sprawozdanie na walnem zebraniu 12 lutego 1858 czytane, temi poczyna się słowy: „Wielkie „xięztwo Poznańskie zostawało w ciągu lat ostatnich pod wzglę„dem nauk, umiejętności i oświaty rodzimej w nader smutném „położeniu. W powszechności senność, rozstrój lub bezwładne „zobojętnienie na dolę bieżącą i niepamięć na przyszłość; bez „widomego wyrazu życia, bez ogniska, do któregoby się stacza„ły usiłowania umiejętne pojedyńczych i na odwrót, z którego„by sączyła się dla nich zachęta i pokrzepiająca podnieta do wy„trwania w pracy i czynnéj trosce o zachowanie jeżeli niepod„niesienie oświaty krajowéj: oto wierny obraz położenia nasze„go, jaki nam przedstawiał dziesiątek nieomal lat upłynionych..." Fakt ten rzeczywiście prawdziwy zapisaliśmy już na piérwszéj karcie niniejszego pisma. Powyżéj skreślonym obrazem staraliśmy się go wyjaśnić i wytłómaczyć. Konieczną bowiem widzimy smutnego objawu tego konsekwencyę w poprzedzającym

go składzie rzeczy, w nim jedynie źródła tamtego dopatrując. Tak nagle rozbudzona czynność, na tak nienaturalnéj i niewłaściwéj drodze, tyle nadzwyczajnym, explozyjnym zbiegiem wypadków wywołana ruchliwość, wytrybywona w sztucznem elektrycznem cieple roślina, zbyt nagłe, zbyt bujne a wiotkie wypuściła w jednéj chwili latorośle, aby do dłuższego ożywiania tychże żywotnych soków starczyło. Musiało ich braknąć, musiały przestać niebawem, zaopatrywać rozległe gałęzie i odnogi w przyzwoity pokarm. Przeminęły wypadki, zadowolniła się wytężona ciekawość, zakończył się sprzecznie z pragnieniem zwrót całéj sprawy. Prędko przeto przeszła gorączkowa ruchliwość w stan znużenia i osłabienia, wysilenie w bezwładność, czujność w odrętwienie. W całém pośpiesznem działaniu tych lat leży wina; niebyło spokoju, niebyło rozwagi, poczucia o potrzebie wytknięcia sobie pracy skromnéj, powolnéj, która nigdy od razu, ale dopiéro w toku lat wydaje zbawienne owoce.

Raptowne, szeroko zakreślone podjęcie roboty publicznéj, niemogło zapewnić sobie ani materyjału, ani pomocy, ani dość obszernego pola, na którémby swobodnie rozwinąć się mogło. Tyle pism peryodycznych na raz wydawanych, którym niewolno było pokazać się za granicy małego kraiku, niebyło w stanie zabezpieczyć sobie ani pracy podsycającéj je, ani (że tak się wyrazimy) konsumpcyi ich. Piérwsza przeszkoda musiała je zwalić, piérwsze wstrząśnienie zburzyć cały gmach na wątłéj wsparty podwalinie. Przebieg ten widzieliśmy. Zostało kilka po r. 1850, ale i z tych część albo krótko już wegetowała, albo jak skołatany, zużyty okręt lawirowała chwilę, aż nareszcie wolno, za poprzednikami w głębię przeszłości się spuściła. Powtarzamy, że stosunek ten niebył wcale zrównoważeniem szali przekonań, zniesieniem spornego punktu lub nasyceniem potrzeb,— nie:— potrzeby zostały, może w mniejszéj liczbie, ale znikło ich uczucie, co zresztą wcale niejest paradoxem.

Z pomiędzy czterech pism, które po dniu 30 czerwca 1850 w prowincyi zostały, gdyśmy już o *Szkółce niedzielnéj*, *Szkole Polskiéj* poprzednio mówili, a o *Ziemianinie* jako zbiorze sprawozdań posiedzeń towarzystw gospodarskich, tłómaczeń najwięcéj artykułów agronomicznych obcego źródła, niewiele jest do powiedzenia; pozostaje zatrzymać przez chwilę uwagę nad dotąd wychodzącym *Przeglądem Poznańskim*, pismem wysokiego znaczenia i wartości, a które jak wzmiankowaliśmy w r. 1845 założonem zostało. Umyślnie prawie wstrzymaliśmy się z pomówieniem o nim do tego miejsca, w którém, ułatwiwszy się z czém inném, swobodniéj mu teraz słów parę poświęcić możemy.

Gdy wichrem zachodnim wniesione ziarna nowych pojęć, teoryj, padły w większą część umysłów,— gdy kiełkując zdawały się wyłącznie niemi owładnąć,— gdy w skutek tego złudnym pozorem nowości zdawały się zwrócić ich działalność całą i usiłowania wszelkie na drogę mylną, obcą myśli narodowéj, wstrząsając porządkiem, tradycyą, religiją i wszelkiemi podwalinami stosunków społecznych:— garstka obywateli xięztwa oparłszy się temu popędowi chwili, pragnęła zwrócić oko i uwagę ziomków na niebezpieczny kierunek, w który się większość rzuciła; podniosła przeto głos w celu nawołania z niego na tor, który w swém sercu i przekonaniu za najwłaściwszy dla kraju uważała. Sądząc, że jak od zawiązku narodu naszego, religija Katolicka była głównym jego moralnym pierwiastkiem, głównym czynnikiem życia, z sprawami jego najściśléj złączona,— tak i teraz stanowisko na téj posadzie oparte, będzie najpewniejszém, w skutkach najpomyślniejszém krajowi, wreszcie najzrozumialszém. Strzeżenie prawd religii Katolickiéj od skażenia w narodzie, uważając za najpiérwszy obowiązek, pragnęła czuwać, aby wszelki objaw życia, pracy publicznéj, niestawał z niemi w sprzeczności. Na tych tedy zasadach, na tych pra-

gnieniach—w najlepszéj wierze, najszczerszéj miłości kraju i ziomków, postanowiono przemówić pismem peryodyczném, które nazwano *Przeglądem Poznańskim*.

Wiele podówczas narobiło wrzawy i zdziwienia gdy na piérwszych kartach tego pisma redakcya zrobiła wyznanie wiary swojéj, jasno, szczerze i dobitnie wypowiedziawszy czego chce, jak pojmuje różne stosunki życia, objawy i kierunek myśli obecny— jaką drogę i podstawę swéj pracy zakreśla. Wielom niepodobała się tu otwartość, inni wątpili w prawdziwości pobudek, a inni od razu przeciwnikami się oświadczyli. Przeczuwał to przyjęcie *Przegląd*, i dla tego mówiąc o wszelkiéj pracy w myśli Chrześcijaństwa podjętéj, wołał: „Pracujmy całe „życie, pracujmy bez ustanku, używajmy *tylko* srodków dobrych,— „wtedy choć nam się niewszystko powiedzie, choć boleśnych „doznamy zawodów, będziemy mogli zasmucić się, *niezniechęcimy się nigdy*."

A kreśląc obraz bieżącéj epoki przejścia, zachwiania się podwalin społeczeństwa, dodaje: „Nas wiara spokojnymi czyni; „wiemy, że jak Chrystus uratował świat Rzymski rozpadający „się zepsuciem, tak objawienie Chrześcijańskie ochroni i zbawi „oświatę Europejską, którą napada niemoc zgrzybiałości." Zwracając się zaś do kraju: „My Polacy—mówi—którzy tak często „za popędem obcych idziemy, wyobrażenia gdzieindziéj zużyte „tak długo zwykle przerabiamy, czyż znowu będziemy czekali „aż porwie nas ruch ogólny, czyż własném uczuciem, z wła„snego popędu niestaniemy przy *nauce ojców* naszych, nauce po„łączonéj ściśle z przeszłością i przyszłością narodu tarczy jego „w teraźniejszości,— nauce wreszcie, która wsiąkła w krew' lu„du tak, że tylko na niéj się opierając, zdołamy w dopełnieniu „obowiązku wyraźnego czasów naszych, podnieść klassę naj„niższą do moralnéj godności człowieka?"

Na téj tedy *nauce ojców*, nauce z przeszłością złączonéj pra-

gnie redakcya widzieć rozwijający się pochód teraźniejszości. Postanawia energicznie czuwać nad tym kierunkiem i gorliwie ostrzegać o zboczeniach; wszakże przeczuwając trudną drogę zawodu, tak jeszcze bliżéj objaśnia stanowisko swoje, gdy kończy wstępne przy zajęciu jego słowo (1845. s. 26): „Katoli„kom niezgadzającym się z nami w zdaniach oświadczamy, że „żadna niecierpliwość krokami naszemi niekieruje i że niéma tak „silnego pociągu, któryby nas we współzawodnictwo ze szko„łami niechrześcijańskiemi wplątać zdołał; wiemy, że tylko po„kora duchu, pogoda wewnętrzna i zaufanie w Bogu, mogą nas „doprowadzić do jasnego odwiecznych prawd pojęcia i słowom „naszym dać płodność i powagę. Widzimy z drugiéj strony jak „przy ciągle drażnionéj działalności ludzkiéj, pośpiech, brak wia„ry w przyszłość, wzgląd na chwilowe okoliczności, moc ży„wotną najświetniejszym usiłowaniom odbierają, jak wysilenie „żeby prawodawczą oblec togę, naukę dzisiejszą pozbawia wa„gi prawdziwéj. W Bogu nadzieje nasze składając, gorączko„wéj się niepoddamy gorliwości: zresztą oczy nasze w każdéj „chwili zwrócone są na kościół, jemu w rzeczy dogmatu przy„znajemy zupełną władzę ostrzegania i nagany. Oprócz tego „nam o prawodawstwo niechodzi, prawodawstwo mamy dosko„nałe: nieprzychodzimy nauczać, to do kapłanów należy, nasz „zawód jest świecki. Jeśli zdołamy obudzić miłość i ufność do „obecności, większe zajęcie dla najważniejszych na świecie za„dań, surowsze przekonanie o obowiązkach, sumienniejszą pra„cowitość i porządniejszy specyalny wszelkiéj pracy kierunek „w młodém pokoleniu, od którego tyle się spodziewamy i tyle „wymagamy, powiemy żeśmy cel nasz osiągnęli.

„Raz jeszcze powtarzamy, że Przegląd Poznański niebędzie „i być niemoże od początku organem ściśle odznaczonéj opinii re„ligijnéj; współpracownicy nasi, którzy się w odmiennych miej„scach i w kierunkach odmiennych ukształcili, przynoszą ró-

„żność w zdaniach i różność w metodzie Dziś podajemy punkt „środkowy dla usiłowań do jednego dążących celu, z czasem, „jeśli Bóg pobłogosławi, jedność się myśli na tém polu wyrobi. „Na co od razu wszyscy się zgadzamy, to na to, że nauka na„sza jest przedewszystkiém nauką żywą i budzić w ludziach „wiarę i cnotę, piękność i poświęcenie powinna.

„Pismo nasze będzie nosiło kolor literacki, krytyce wiele „miejsca poświęcimy, tylko nie krytyce niespokojnéj, zaczepnéj, „nienawistnéj, ujemnéj, jakby się wielu wyraziło, ale poważnéj „i uczciwéj, któréj, jak to widzimy w pismach Angielskich, dzie„ła brane pod zastanowienie podają sposobność rozbierania ob„szernie przedmiotu zwykle mającego wielką czasową żywot„ność. Kwestyi rzeczy miejscowych, będziemy dotykać w mia„rę ich ważności i względu na pożytek a możebność. Każdą „pracę naukową choćby przytrudną dla ogółu czytających, „pracę z działu umiejętności ścisłych lub filozoficznych chętnie „przyjmiemy.

„Przeciwnicy przekonań naszych, choćby najzaciętsi, cie„szyć się powinni, że im pole do próby otwieramy; niech nas „tylko wszyscy bez wprzód powziętych uprzedzeń słuchać ze„chcą. Z naszéj strony ufamy, że w czytającéj Polskiéj po„wszechności jest już tak wysoki stopień wykształcenia, że jéj „poważnie z wyobrażeń swoich zdawać sprawę i poważnego się „od niéj spodziewać rozbioru można. Stawamy przed ziomka„mi uzbrojeni w szczere chęci, w wytrwałość i cierpliwość, spo„dziewamy się, że nam sprawiedliwością w sądach otuchy do„dadzą.“

Wyłożony ten plan pracy z całą usilnością starał się Przegląd przez trzynaście lat istnienia swego przeprowadzać. Niezwyczajna, rzadka wytrwałość, jedynie najgorętszém umiłowaniem celu wywołana, dozwoliła mu przebyć ciężkie walki z wszystkiemi przeszkodami jakie tylko w podobnéj pracy na-

potkać można; walki, które kosztowały niezawodnie wiele poświęceń, trudów i mozoły. O ile nam znane te stosunki niewiemy czy które Polskie pismo potrafiło tyle prób pokonać. Choćby nie dla wszelkich innych powodów, to dla tego już powinno sobie szczery zjednać szacunek i uznanie.

Pod względem ściśle naukowym, *Przegląd Poznański* stanął od razu na stopniu wyższego wykształcenia. Z gotowemi zasobami wziął się do pracy. Artykuły jego, mianowicie wstępne, dotykające zarówno działu historycznego, moralnego, jak i kwestyj czasowych, nosiły cechę starannego obrobienia, usiłowań wyczerpnięcia przedmiotu, poglądu wyższego, rozleglejszego,— odziewając się zawsze charakterem poważnym, spokojnym. Redagowane z namysłem nie na dzisiaj tylko, niestracą wartości swéj choć i w późniejszym czasie.

Krytyka, zajmując obszérny dział, wolna od osobistości, uprzedzeń, wywarła niemały wpływ na piśmiennictwo krajowe. Sądem wszechstronnym, surowym może za nadto, ale wypowiedzianym zawsze przyzwoicie, ze znajomością traktowanego przedmiotu; musiała zjednać sobie przyznanie u piszących i u czytających. Co tylko ważniejszego, z jakiego bądź działu literatury krajowéj, a w wielkiéj części i obcéj się skończone ukazało, przychodziło zawsze pod troskliwy rozbiór.

Belletrystyka właściwa, poezya najmniéj miejsca zajęła w *Przeglądzie*; najmniéj też zdawał się na nią zwracać on uwagi. Niesłychanie za to wiele (co mu głównie za winę poczytują) materyałów podał do historyi nowocześnéj kościoła w kraju i za granicą tak wewnętrznéj jak i zewnętrznéj, zastępując w téj mierze brak stosownego w Polsce organu, szczególniéj po upadku ostatniego pisma religijnéj treści w Poznaniu. Równie ważnych wiele notat zapisał do bijografij umierających znakomitości naukowych lub politycznych.

Słowem (zniewoleni wstrzymać się od szczegółowego po-

jedyńczych artykułów rozebrania, a musząc się ogólnikami posługiwać), wynurzając zdanie nasze o zbiorowéj pracy przez *Przegląd Poznański* dokonanéj, o stanowisku, które zajmuje, z przyjemnością wyznajemy, że niemamy dosyć słów na wyrażenie całego szacunku uznania, które dla pisma tego posiadamy. Dzisiaj, gdy zewsząd pomyślne głosy w kraju słyszéć się dają, wzywające do pracy poważniejszéj, surowszéj, pożyteczniejszéj— nie dla zabawy, pomniejszych widoków, ale ku wyższemu celowi, w obszerniejszym zakresie przedsiębranéj— uważalibyśmy za najszczęśliwszy zwrót w piśmiennictwie, gdyby pojedyńcze usiłowania przejęły się tym charakterem, tym nastrojem, tém uszanowaniem i miłością szlachetnego celu, oraz tą żarliwą, niezmordowaną wytrwałością, jeżeli nie temi zasadami w szczegółach, których lat tyle Przegląd dawał dowody.

Zarzuty, którebyśmy mieli temu pismu do zrobienia, są w stosunku do zalet małe, i dla tego streszczając je pokrótce, zostawimy je, z zarzutami przez wielką część czytającéj i piszącéj publiczności mu robionemi.

Pora, w któréj *Przegląd* powstał, dla przeprowadzenia przyjętych przez niego zasad, była już najnieprzyjaźniejszą. Oględne uszanowanie przeszłości, tradycyi, religii, przyjęcie tychże za podstawę w rozwoju bieżącego życia, nie zaś obalanie tego wszystkiego, dla błyszczącego w mgłach marzeń światełka— poczytane być musiało w owym czasie za zbrodnię, odstępstwo: wyklęte mianem stronnictwa arystokratycznego, ultra-konserwatycznego i tym podobnych epitetów nomenklatury postępowéj. Wyraziliśmy poprzednio nasze przekonania w téj mierze— tu więc własnych uwag nic dodać niemamy.

Obok tego zarzucano *Przeglądowi*, że jest pismem, które chce być literackiém a przeładowywa swoje kolumny artykułami treści religijnéj. Podzielamy w znacznéj części to spostrzeżenie, uważając zbyt często nieproporcyę jednych do dru-

gich. Przypominając wszakże położone na wstępie założenie redakcyi, w którém ta oświadczyła wyraźnie, że jéj pismo *ma mieć* barwę religijną, widzimy w tém tylko lojalność i konsekwencyę. Zbytnie zapełnianie się pracami tego rodzaju, dozwala się tłómaczyć wszakże chęcią pomagania w kształceniu się duchownym, przywiązaniem wielkiéj wagi do spraw kościoła Katolickiego, nakoniec uczuciem potrzeby zwrócenia większéj baczności na takowe ogółu, który zajęty wszystkiém, tém co religii i kościoła się dotycze, zdawał się najmniéj interesować.

Jeden z najprawdziwszych zarzutów, który robiono Przeglądowi, a do którego w zupełności się przychylamy, jest, że stojąc na stanowisku wiernie Katolickiém, w sądzeniu wszelkich spraw, objawów i t. d., skłonnym jest do potępienia, skoro tylko w rzeczy, którą ocenia, niewidzi téj żarliwości, tego gorącego tchnienia religijnego, którém sam oddycha. Postawiwszy za zasadę: że wszystko powinno się rozwijać, wypływać, kierować po myśli Katolickiéj,— trzyma się tejże zaściśle, zasurowo. Zaściśle, zasurowo, nie żebyśmy oderwaniu się potakiwali, ale że niepodobna wątpić, iż może praca jakaś mieć wartość, prawą intencyę, szlachetny cel, chociaż nieprzebija się w niéj wszędzie dobitnie i wyraźnie myśl religijna w pierwiastku; że może być dobrym, prawowiernym Katolikiem jeszcze i ten, kto ściśle, bacznie form niezachowuje, czyniąc to nieraz nie z braku chęci, dobréj woli, czystéj wiary, ale przez zapomnienie, mniejszą skrupulatność, lub w końcu zapatrywanie się na formę samą z innego stanowiska. *Przegląd* nieuznaje innych celów w ostatnim wyniku, jak tylko religijny lub polityczny, jak to świeżo powtórzył (1857), mówiąc o piśmiennictwie peryodycznem. Chociaż jednak zgadzamy się w zupełności z słowami jego w r. 1850 wyrzeczonemi: „że Katolicyzm niejest tylko dla nas *dodatkiem*, „*przypadłością* narodowości Polskiéj, ale jéj integralną częścią „i żywotném tchnieniem, że on podnosi nas ze stanowiska po-

„gańskiego odosobnienia na godność Chrześcijańsko-społe czne-„go narodu, mającego posłannictwo w dziejach oświaty,“— pragnęlibyśmy w zastosowaniu wielkiéj téj prawdy do sądu o rzeczach krajowych więcéj czasem wyrozumiałości i pobłażania. Zamało ich ma *Przegląd*, pomimo uczynionéj w tym względzie na wstępie obietnicy. Między mnóztwem przykładów cytujemy jeden. W ostatnim poszycie r. 1857 oceniając jedno z najlepszych dziś pism Polskich, oddając mu zasłużone pochwały— ubolewa jednak, że w niém, „tak jak w największéj liczbie xią-„żek i pism Polskich znać *ogólne* uszanowanie dla religijnych „rzeczy, ale skoro przychodzi do wniosków praktycznych, za-„raz napotykamy połowiczność i obojętność, ubarwione pozora-„mi umiarkowania, bezstronności, wytrawności, wyższego po-„glądu, w końcu uniesienia dla wszystkiego co nacechowane „genijalnością, lub co ma wartość umiejętną. Zaiste gdyby praw-„da takich tylko znajdywała obrońców, łacnoby ją fałszywe fi-„lozofije oraz fałszywe poezye w dziedzinie umysłu i serca po-„konały.“

Niepodzielamy téj obawy: zanadto żywo wrosła i wsiąkła w krew' narodu wiara ojców, aby pojedyńcze osłabienia, błędy, lub niedość gorące w każdéj chwili oświadczenia, na całość zgubny wpływ wywrzeć miały.

Tém postępowaniem szkodzi i szkodził *Przegląd* wiele sobie i sprawie swojéj. Dodawszy mentorski, z góry traktujący ton zawsze się przebijający, ową świadomość o wyżynie własnéj ciągle pokazywaną,— stało się, że większość się zraziła, poszła chętniéj za mylnym nawet rozgłosem, bo drażniona ciągle, skłonniejszą była do tego. *Przegląd* chciał być ostrzegającym nauczycielem; lecz mylną obrał metodę. Zamiast dać się pokochać pierwiéj, łagodnością, pobłażaniem nawet w pewnych granicach; zamiast kazać umiłować zasady, które chciał głosić, być więcéj wyrozumiałym na to, że niepodobieństwem, aby one

od razu, powszechnie przyznanemi i w życiu zastosowanemi były,— zraził do siebie surowością, szorstkością pewną, i został tylko tym nauczycielem, którego szacują, ale którego niekochają, którego się boją, od którego stronią. Głoszona nauka więcéj jeszcze na tém straciła.

Przegląd niejest wolny od zbytniego zaufania siłom własnym. W poprzednim względzie widoczném to było, ale jest jaśniejszém w okoliczności, która nierównie więcéj od poprzedniéj zaszkodziła jemu i jego zasadom.

W całym kraju nienawidzonym jest zakon Jezuitów. Zdanie Przeglądu inne w téj mierze; wyjawił je kilka razy otwarcie, lecz niezadowolnił się tém. Sądził, że potrafi przerobić opiniję słuszną czy niesłuszną, uprzedzenie czy przekonanie, i począł niezmordowanie walczyć w obronie Jezuitów. Z dziwną wytrwałością śledził każde słowo, każdy wiersz gdziebądź przeciw nim wyrzeczony i zamaszyście zaraz gromił, protestował i osłaniał. I tu widzimy znowu niewyrozumiałość niezastosowanie się do usposobienia narodowego, wreszcie zbyt ciasne zapatrywanie się. Cóż bowiem dokazał? Jezuitom niepomógł, opinii nieprzerobił, ściągnął na siebie powszechną niechęć, nieufność, nazwę *Jezuickiego organu*— odstręczył i zaszkodził w największy sposób poczciwéj pracy, szlachetnym dążnościom swoim. Niepojmujemy zkąd powstała ta nieoględność w piśmie, którego redakcya dała dowody rzadkiego bystrego spójrzenia, przeniknienia i przewidzenia najzawikłańszych kwestyj! Powinien był poświęcić Przegląd płonną walkę dla sprawy daleko ważniejszéj, którą miał spełnić— lub zadowolić się na jednorazowém objawieniu zdania swojego. Dotkliwie co chwila daje uczuć ogół Przeglądowi niechęć swoję;— świeżo zarzucają go pisma publiczne, najpopularniejsi autorowie (*), większość czytająca, pociskami

(*) Najniesłuszniejszy, najboleśniejszy wyszedł zarzut od p. Kraszew-

najboleśniejszemi, nieuzasadnionemi, niechcąc widzieć w obec niezręcznego postępowania jego, szczerości i prawości pobudek. Mało kto ma może tyle szacunku, uznania i najszczerszego

---

skiego. Niedawno obwinił on *partyę* Przeglądu (*partyi* pismo to niestanowi żadnéj, sekciarstwem niejest, lecz trzymaniem się zasad nader zwyczajnych, narodowi wspólnych, co zresztą każde pismo czasowe mieć powinno, i choćby miało odrębny jakiś kierunek, jeszcze współpracownicy partyi niestanowią), *że chłopa niema za Bozkie stworzenie, cnotą nawet ku niebu wznieść mu się niepozwala, a w raju mu miejsca zazdrości.* Uważamy za obowiązek sumienia jako bawiący tu na miejscu, znający dokładnie te stosunki, wreszcie mający właśnie sposobność przypatrzenia się tymże we względzie gospodarskim, uroczyście oświadczyć, że p. Kraszewski popełnił wielką niesprawiedliwość. Niewchodząc w żadną polemikę, pobieżnemu odezwaniu się temu niechcąc jej cienia nawet nadawać, nieszukając powodów, które p. K. do wyrzeczenia podobnych zarzutów skłoniły, ani świadectw i zasad, na których mógł je oprzeć— pragniemy zgodnie z sumieniem, z przekonaniem tylko, a właśnie poparci znajomością gospodarskich stosunków u tych ludzi, którzy ową *niby* partyę stanowią— krzywdę odeprzeć. Znamy bliżéj kilka powiatów w Poznańskiém; niezdarzyło nam się spotkać ludu tak poczciwego, tak pracowitego, tak moralnego a dobrze się mającego, jak w Kościańskiém i Szremskiém, w tych właśnie majątkach, których posiadaczy p. Kraszewski powyższemi pociskami obrzucił. Spotykaliśmy tam wszędzie urządzone kosztowne szpitale, ochrony, szkółki; obchodzenie się z ludem więcéj psujące go pobłażliwością, łagodnością niż surowością; rzadką troskliwość o stan jego materyalny i moralny; niewidzieliśmy wypadku, aby potrzebujący miał odmówioną jakąbądź pomoc. Najmilsze, pamiętne wrażenie wynosimy z obejrzenia tego wszystkiego, i nieprzestaniemy starać się, aby podobny system obchodzenia się z ludem był naśladowany. Tém więcéj przeto zabolały nas krzywdzące, niesłuszne i nieuzasadnione zarzuty p. Kraszewskiego. Podniosłszy głos w obronie prawdy, nie dla żadnych postronnych powodów, wiemy dobrze, iż on uwzględniony niebędzie. Wystąpić przeciw téj popularności, téj powadze, któremi imie p. K. uświetnione, nam, prawie nieznanym, jest dla zyskania wiary u ogółu zupełnie

współczucia dla tego pisma, co my; ale mimo to niemożemy się wstrzymać od zarzutu, że sam sobie w wielkiéj części powyższemi zboczeniami zaszkodził. Jesteśmy najmocniéj przekonani, że każdy kto zechce z dobrą wiarą, względnością przystąpić do rozpoznania wartości *Przeglądu*, znajdzie tam wszystko, co mu szacunek i uznanie nakaże. Tyle nagromadzonéj nauki, zdolności, uczciwych dążności, zostaną na późniéj bogatym materyałem i skarbem; staną się one kiedyś w pięknéj swéj prawdzie i dla większości zrozumiałe, przystępne i pożądane. Szkoda, że *dzisiaj* niepotrafił Przegląd do niéj przemówić i zjednać ją sobie: w najobszerniejszém kole, na które się dodatnio oddziałało, leży tylko miara zasługi; dla indywidyów nielicznych niewarto było tyle mozoły, poświęceń i cierpienia.

Pismo to zaczęło z rokiem bieżącym czternastą rocznicę swego istnienia; przebywa właśnie pod wszystkiemi względami nową walkę, probującą wytrwałości jego, a grożącą dalszemu wydawnictwu. Mamy nadzieję, że ta sama żarliwość i energija która go dotąd broniła, i teraz pozwoli trudne okoliczności zwyciężyć; byłoby niewymówną dla nas pociechą i radością, gdyby słaby głos z serca i przekonania płynący, pogodził z jednéj strony ogół Polski z tyle zacném pismem, a z drugiéj zwrócił uwagę redakcyi na wskazane uchybienia

Wracamy do przejrzenia pism peryodycznych, bieżącego okresu nowo założonych.

Od 1-go lipca 1850 r. zaczął wychodzić *Goniec Polski*, mający zastąpić upadłą gazetę. Przechował jéj ducha, umiarkowany, wytrawny sąd, spokojny koloryt i staranną redakcyę, którą się głównie zajmował Wład. Bentkowski pod firmą A.

płonném, prawie śmiesznem. Doskonale wiemy o tém; dla takich jednak względów niemogliśmy stłumić wewnętrznego głosu obowiązku względem sumienia, rzetelności i prawdy. *)

*) Szanując wszelką, byle na dobréj wierze opartą opiniję, zostawiliśmy

Rosego. Z największemi walcząc przeszkodami do końca r. 1851 wychodził— wreszcie zmuszony im uledz, przestał w tym czasie ukazywać się i odtąd nieposiada xięztwo porządnéj politycznéj gazety.

Z początkiem r. 1856 pod redakcyą dr. Julijana Zaborowskiego powstało pismo *Przyroda i Przemysł*, badaniom tych obojga poświęcone. Nad podziw zdołało się nietylko utrzymać, ale i do pewnego stopnia wykształcenia dojść w téj tyle zaniedbanéj gałęzi nauki. Popularnym wykładem, dobremi rycinami zyskało sobie czytelników, a pracą najzdolniejszych naszych naturalistów (Zejsznera, Mejera, Czyrniańskiego, Jastrzębowskiego, Szenica, Sosnowskiego, Szafarkiewicza, Urbańskiego, Mieczyńskiego i t. d.) wartość wewnętrzną podnieść. Rokuje najlepsze nadzieje, a otwiera najświeższą chwilę ożywienia się ruchu literackiego w xięztwie Poznańskiém. Tak więc posiada ono obecnie następne pisma: Przegląd Poznański, Przyrodę i Przemysł, Ziemianina i Gazetę w. x. Pozn.

Do xiążek raczéj niż do pism peryodycznych policzyć wypada co rok ukazujące się od 1850 *Pokłosie*, zbierankę literacką na dochód sierot. W sześciu tomach, które wyszły, napotykamy tam ulotne płody rozmaitych pisarzy, rozmaitéj wartości; poezyi najwięcéj. Cel szlachetny, trud zacny wstrzymują od bliższéj analizy. W każdym razie dobra to publikacya, mogą-

---

w całości wyżéj przytoczone zdanie zacnego autora; uważamy wszakże za powinność naszę wynurzyć, że niepodzielamy zaostro wyrzeczonego sądu o Kraszewskim. Dobre chęci uzwględniają się w pisarzach zaledwie poczynających występować na arenie piśmiennictwa; od takich zaś jak pracownicy Przeglądu wyglądamy czynem wypowiedzianych chęci. Kraszewski niewiedział o innych wewnętrznych pobudkach, jakiemi się kieruje redakcya Przeglądu, oprócz tych, jakie ta wyjawia piśmiennie. Ztąd i zdanie jego niemogło opierać się na domysłach *o owych dobrych chęciach*, ale na faktach. Dodajmy jeszcze, że w tym razie Kraszewski był tylko echem opinii publicznéj.

(*Przyp. Red.*)

ca być powierzoną w ręce czytelników młódszéj generacyi. Roczniki za 1857 i 1858 jeszcze z druku niewyszły.

Jak powiedzieliśmy na początku uwag naszych,— w ostatnich latach czynność na polu literackiéj pracy w xięztwie przez mieszkańców jego okazana, prześcignięta została przez inne prowincye kraju naszego tak liczbą jak i wartością, a nadewszystko pozbawioną stałego i wyraźnego łącznością ciągu, w którymbądź oddziale nauki lub belletrystyki. Dorywcze to i zaczęte dopiéro usiłowania.

Wyjątek stanowią może prace jednego z pomiędzy nas męża, prace, które oko całego kraju na siebie zwróciły, a rozmiarem i świetnością przechodzą wszelkie dotąd tego rodzaju próby. Łatwo się domyśleć, że tylko o uczonym i zasłużonym Tytusie hr. Działyńskim tu mowa. Wydawnictwa jego pomników dziejowych, czerpanych w sławnéj i zamożnéj biblijotece Kurnickiéj, zalecają się jak wiadomo trafnym doborem, troskliwą redakcyą, umiejętnemi objaśnieniami i przepyszną edycyą. Szereg ich znaczny, dostarczył już krajowi najciekawszego materyału do badań naukowych; następne postępując coraz daléj, uzupełnią pomnikową tę pracę. Użalanie się powszechne na nieprzystępność ich, z powodu niepopularnéj w skutek tak okazałego wydania ceny, ma pewną słuszność za sobą; z drugiéj jednak strony jest rzeczą wiadomą, że tego rodzaju dzieła zostają zawsze w rękach nielicznego grona badaczy. Ogół się niemi niezajmie. Tamci zaś uwzględniając wewnętrzną wartość mniéj na cenę zważają (*). A trudno do tyla ograniczyć upodo-

(*) Lecz niesamych tylko badaczów z powołania zajmuje przeszłość rodzinnego kraju: taki np. fakt dziejowy, jak sejm Lubelski 1569, obchodzi każdego, kto tylko ma do czynienia z piórem; a tymczasem niekażdemu środki pozwalają nabywać kosztowne choć arcy-piękne xiążki,— wolałby je mieć na szarym papierze, byle o kilkanaście złotych taniéj. Gdyby głos nasz doszedł do hr. Działyńskiego, ośmieli-

banie szanownego wydawcy, znajdującego zadowolenie w tém, że kiedy wszystkie kraje posiadają już najozdobniejsze publikacye rzeczy małéj wartości, on piérwszy własnym kosztem oblekа ogłaszane przez siebie pomniki przeszłości naszéj szatą na jaką zasługują. Warto przy sposobności wspomnieć i o tém, że tak wysoka cena nakładaną bywa przez xięgarzy, którzy niepomni jak tanio nabywają rzeczone dzieła od wydawcy, podnoszą ją dla publiczności w dwójnasób (*).

Historyka nieposiada obecnie w. x. Poznańskie. Oprócz Łukaszewicza (o którego publikacyach powyżéj mówiliśmy), pojedyńcze najmniéj znane ustępy z głęboką nauką, krytycznie

---

libyśmy się, wyrażając życzenie wielu, przełożyć zasłużonemu na polu ojczystego piśmiennictwa mężowi prośbę, aby krom świetnych exemplarzy, które dostawać się będą zamożniejszym, kazał odbijać część nakładu wydawanych przez się dzieł mniéj świetnie dla mających ograniczone środki. Powstałe tym sposobem okrawki summ łożonych na wydania, możeby kiedy sprawiły lubownikom ozdobnych xiążek najmilszą niespodziankę, może dałyby im w ręce nieznaną prawie piérwszą edycyę dzieł Kochanowskiego, wykonaną w podobiźnie... Ale czy niezawiele tylko chcemy od zacnego rodaka, który krajowi tyle już wyświadczył przysługi?

(*Przyp. Red.*)

(*) Wydania Działyńskiego są: Zbiór praw Litewskich od r. 1389—1529, tudzież rozprawy sejmowe o tychże prawach od 1544—1563, 1841. Acta Tomiciana, 6 tom. 1852—7. Liber Geneseos illustris familia Schidloviciae, 1852. Annales domus Orzelscae per Joannem Orzelski castellanum Rogosnienem, 1854. Annales Stanislai Orichovii Okszii, 1854. Źródłopisma do dziejów Unii korony Polskiéj i w. x. Litews. Dyaryusz Lubelskiego sejmu Unii, 1856. Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum. Zabytek dawnéj mowy Polskiéj, 1857. Drukuje się żywot Jana Zamojskiego przez Heidensteina.

opracowującego (*), dorabia się na tém polu imienia Kazimierz Jarochowski. Rozpoczęta jego praca około skreślenia *Panowania Augusta II*, a doprowadzona w wydanym tomie do chwili wstąpienia Karola XII na ziemię Polską, jest pięknym początkiem. Przedewszystkiem zaleca się sumiennem obrobieniem i wyczerpaniem znanych autorowi źródeł, pomimo, że w wielu poglądach i ocenieniach niezawszeby się z nim zgodzić można; oraz że znać, iż autor niewyrobił sobie dość spokojnego sądu, nieutrząsnął się z drażliwości na pojęcia, które dzisiejszą mierząc skalą, inaczéj się wydają, niż uważane pod wpływem i okolicznościami czasów któremi się trudni. Wydawnictwem pięciu dotąd tomów *Teki Gabryela Junoszy Podoskiego*, obfitującéj w bardzo ciekawe dokumenta, relacye sejmowe, listy i t. d. od 1717—1733, przysłużył się wielu badaniom historycznym.

X. kanonik Jan Jabczyński napisał nader pracowitą xiążkę p. t. *Rys historyczny miasta Dolska*, 1857. Praca sucha, bez wszelkiéj krytyki, artystyczności, zalecająca się jedynie wypisaniem wizyt biskupich w archiwum kapituły Poznańskiéj.

Dobre szkolne kompendyum zebrał prof. gimn. dzisiejszy bibljotekarz xięgozbioru imienia Raczyńskich w Poznaniu, Antoni Popliński, p. n. *Historya powszechna dla klass średnich szkół realnych*, 1850. Podobnie Błociszewski wydał *Historyę powszechną*, 4 tom. Pomniejszych prac, mniejszą gruntownością się zalecających, dla postronnych widoków podjętych, jak np. *Co się działo w Polsce od samego początku, aż do pierwszego rozbioru?* 1852, bezimiennego autora — *Rozprawy tyczące się dziejów pierwotnych Polski*, przez S. 1852 — *Jenerał Dem w Siedmiogrodzie* 1854 i t. p. trudno do dzieł historycznéj wagi zaliczyć.

Z pomiędzy chlubnie przysługujących się literaturze, opraco-

(*) Drukuje on obecnie nakładem Żupańskiego, niesłychanie podobno ciekawe *Dzieje Kościołów w Wielkiéj Polsce*, w 4 tomach.

waniem zabytków dawnéj epoki piśmiennictwa naszego, głównie na wszelkie uznanie zasługują: Józef Przyborowski i dr. Rymarkiewicz. Piérwszy wydał r. 1857 *Wiadomość o pismach i życiu Jana Kochanowskiego*, owoc długich, sumiennych i zdolnych badań nad największym Polskim piewcą. Zebrane szczegóły o życiu, stosunkach jego, podane najdokładniejsze bibliograficzne wiadomości, umiejętny przegląd krytyczno-porównawczy, niepozostawiają nic do życzenia, jak tylko aby autor daléj podobną pracą nas obdarzał. Ma to być niejako wstępem do zamierzonego wydania wszystkich dzieł Kochanowskiego, nakładem Żupańskiego, których redakcyą ma się zająć p. Przyborowski.

Dr. Rymarkiewicz wydał zaś 1855 *Zbiór rytmów Kaspra Miaskowskiego*, poprzedzony pouczającą i piękną przedmową, rzucającą wiele światła na jego życie i literackie stanowisko. Tenże wydawca ogłosił (1856) trzy tomy *Wzorów prozy na wszystkie jéj rodzaje, stopnie i kształty*, dla szkół przeznaczone.

Dzieł religijnéj treści pojawiło się w ciągu bieżących ośmiu lat bardzo mało. Przykro to wprawdzie, ale trudno pominąć zarzutu, że duchowieństwo nasze, prawie wcale niezajęte umysłową pracą, a pojedyńczo, kiedy niekiedy pojawiające się płody zbyt są nieliczne i drobne, aby ten zarzut unieważnić mogły. Zamało zdaje się przywiązywać wagi, czy zamało mieć chęci, do zatrudnienia się obszerniejszą piśmienną pracą. Zdaniem naszém jest przecię głównym obowiązkiem przemawiać publicznie w sprawach religii, ze strony duchowieństwa wszędzie, a bardziéj w prowincyi Poznańskiéj niż gdziebądź indziéj; szerzyć naukę nietylko opowiadaniem jéj z kazalnicy, ale utrwalać ją słowem pisaném; walczyć nietylko przykładem, głosem, ale i piórem przeciw obojętności, błędom, nieświadomości i nieprzyjaciołom kościoła Katolickiego.

Boleśném jest, powtarzamy, że niewywiązują się z tych obo-

wiązków kapłani nasi tak, jak im to ich powołanie, stanowisko, urząd wreszcie nakazuje; smutną koniecznością, że w braku właściwych apostołów, muszą się imać trudnego zadania, nieraz ludzie mniéj uzdolnieni w rzeczach teologii, aby jako tako, powierzchownie przynajmniéj, coraz gwałtowniejszéj potrzebie zaradzać.

Zapisujemy kilka ważniejszych płodów religijnéj treści.

X. Jan Jabczyński wydał: *Kazania i mowy miane przez znakomitych mówców duchownych*, 1850. Zbiór ten obejmuje 33 kazań i mów z połowy XVIII w. aż do dzisiejszych czasów; między innemi spotykamy tam jedną mowę Krasickiego, mianą podczas koronacyi Stanisława Augusta, bardzo małéj wartości; jedno kazanie Kołłątaja, jedno Wyrwicza, pięć Karpowicza, trzy Łańcuckiego, Przeczytańskiego, Piramowicza i t. d. W następnym tomie ma ich się więcéj ukazać tak z bliższych jak i obecnych czasów.

XX. Prusinowski i Janiszewski ogłaszali pojedyńczo mowy przygodne swoje, na różnych pogrzebach i uroczystościach miane.

Niewiadomy autor spisał w r. 1854: *Dzieje błogosławionego ojca Andrz. Boboli.*

X. W. Lewandowski wydał mały *Katechizm Rzymsko-Katolicki dla niższych klass*, 1857.

X. Wincentego Łańcuckiego *Kazania i mowy* ukazały się nakładem N. Kamieńskiego w r. 1856 wydane przez x. Teodora Kilińskiego.

X. Putjatyckiego *Pismo o religii naturalnéj i objawionéj*, 1854, zasługuje ze wszech miar na uwagę.

Xięgarnia J. B. Langego w Gnieźnie, przysłużyła się wydaniem trzech tomików *Żywotów świętych dla dzieci*, 1854—57, bezimiennie.

X. Antoni Tyc (obecnie dziekan przy kościele Trzemeszeń-

skim) opowiedział *Dzieje Nowego i Starego przymierza*, dla użytku młodzieży szkolnéj, 1850. Wydał był dawniéj (1841) *Lekcye i ewangelije* na wszystkie niedziele i święta, podług przekładu Wujka. *Roczniki do rozszerzania wiary* na całéj kuli ziemskiéj, wydawane nieregularnie małemi zeszytami w Poznaniu, są słabém tłómaczeniem wiadomości o missyach w krajach niechrześcijańskich, z obcych pism czerpanych.

X. Jeremijasza Smętosza *Siedm kwart o męce Pańskiéj*, 1850,— x. Fr. Wawrowskiego *Pisma św. Augustyna*, 1852,— *Krótkie a pewne odpowiedzi* na zarzuty przeciw religii, z Francuzkiego tłómaczone 1853,— *Powinności Chrześcijańskie czyli katechizm misyjny* i t. p. są częścią małéj wartości broszur, które dość licznie wydają księgarnie na prowincyi: w Gnieźnie, Lesznie, Pleszewie, Inowrocławiu, w celu zasilania jarmarcznych czytelników pomiędzy ludem.

Przekładami płodów obcéj literatury trudniono się dosyć. Szczególniéj dostarczyło kilku professorów, prac zdolnych na tém polu, spolszczając starożytnych niektórych pisarzów utwory.

Antoni Bronikowski nauczyciel gimn. w Ostrowie przełożył: *Ekonomikon* Xenofonta, 1857. Obecnie zajmuje się tłómaczeniem Platona.

Zygmunt Węclewski naucz. gimn. w Poznaniu: *Choefory* traged. Eschylosa,—*Agamemnon* trag. tegoż autora, 1856.

Dr. Marceli Motty, prof. szk. realnéj w Poznaniu, wydał wierszem *Listy* Horacyusza, 1856, oraz *Satyry* jego, 1853; prócz tego *Bukoliki* Wirgilego, 1852.

Dr. Antoni Małecki, dawniéj naucz. gimn. w Poznaniu, następnie dyrektor gimn. w Krakowie, potém prof. filologii starożytnéj na uniwersytecie Jagiellońskim,—przeniesiony w r. 1853 do Inspricka w Tyrolu, wykładający obecnie od dwóch lat historyę literatury Polskiéj we Lwowskim uniwers., przetłómaczył *Elektrę* Sofoklesa, 1854.

Ludwik Jagielski zadał sobie wiele pracy nad przekładem *Frithjofowéj Sagi Izajego Tegnera;* wszakże obraniem niezwyczajnéj formy języka i rytmu, uczynił ją prawie nieprzystępną; a jako osobliwość w swym rodzaju zawsze podziwienia godną.

Andrzéj Edward Koźmian (*), syn świeżo zmarłego sławnego piewcy Ziemiaństwa, (którego *Pamiętniki* i poemat *Stefan Czarniecki* obecnie Żupański drukuje), ślicznym, wiernym i artystycznym przekładem *Makbeta* Szekspira (1857) na najchlubniejsze zarobił imię. W całości i szczegółach wykończona ta praca, równa się oryginałowi. Myśl, charakter wielkiego utworu najznamienitszego dramatyka i poety nic niestraciły na tem wspaniałém tłomaczeniu. Pierwszą to podobną pracę zdobyła Polska literatura.

Jenerał Franciszek Morawski, przełożył w r. 1853 pięć poematów lorda Byrona.

Niewiadomy autor rozpoczął dobrze tłomaczyć *Dzieje Angielskie* Macaulaya, i wydał dotąd tom jeden, 1854; dalszych oczekujemy.

Podobnie nieznanego pióra wyszedł *Żywot św. Weroniki* z Włoskiego, 1856, i *O sposobie osiągnięcia prawdy* z Balmés'go, 1853.

Hieronim Feldmanowski, przełożył ze Szwedzkiego *Obrazki i Improwizatora* Andersena, 1857. Znającym ten język ocenienie zostawiamy.

Na polu nauk ścisłych, pojawiały się usiłowania w różnych

(*) Tłómacz znany już z znakomitego w swoim rodzaju *Życiorysu Bartłomieja Nowodworskiego*. Oprócz tego napisał *O kmiotku Polskim*, 1843, i wydał *Rękopism historyczny Polski, dworzanina i wychowańca Zygm.-Augusta*, 1845, oraz *Wyciągi Piotrowickie*. Najczęściéj bezimiennie rozsyłał po dziennikach mnóztwo pomniejszych szkiców, artykułów, korespondencyj, cechujących się potoczystym stylem, dowcipem, interesującemi wiadomościami.

gałęziach wiedzy. Głównym zlewem badań w dziedzinie historyi naturalnéj, jest jak już mówiliśmy, powstała w r. 1856 *Przyroda i Przemysł.* Redaktor dr. Julijan Zaborowski (autor doktoryzacyjnéj rozprawy: *De triplici in materia cohaerendi statu*, 1856), professor szkoły realnéj w Poznaniu, wraz z kolegami swymi d-rem Szenicem, Studniarskim, d-rem Szafarkiewiczem, ogłaszają tu najwięcéj swych poszukiwań.

D-r Gąsiorowski ukończył w 1855 obszerne i znakomite dzieło p. t. *Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj w Polsce*,— Praca któréj wartości niepodobna nam naznaczyć, któréj ważność i pożytek sam tytuł wskazuje (*).

D-r Matecki pismem *O słownictwie chemicznem Polskiém* sta-

(*) Pobieżnie notujemy nasuwającą nam się uwagę. Ciekawą byłoby rzeczą dowiedzieć się, gdzie leży powód, że u nas w Polsce, w stosunku do liczby lekarzy, z których wielu bardzo chlubne imiona zyskało w swéj okolicy zdolnością, nauką, znajomością przedmiotu, tak mało pojawia się ich prac piśmiennych w téj sztuce? U Niemców co doktor to pisarz. Dostojność doktora (jakiéj bądź nauki) zdaje się wkładać obowiązek pracowania publicznie, ogłaszania rezultatów swéj pracy słowem pisaném. U nas tytuł doktora zbyt często bywa ostatecznym celem wysilenia się, krańcem naukowéj dążności. Jak student po examinie rozpoczyna *doktor* długie wakacye swoje. Ufny, że jest istotnie *doctissimus vir* jak w dyplomacie mu powiedziano, nieczuje potrzeby spytania siebie, czyby ten *superlativus* niedał się w części słusznie na *comparativus* zamienić, i czy dla tego niewypada mu teraz jeszcze uczyć siebie, a po drodze i drugich? Używa starannie tytułu swego na biletach wizytowych, podpisach i t. d., wymienianie go w potocznéj rozmowie słyszy z rozkoszą, ale zbyt rzadko, wyjątkowie wypełnia obowiązki z tą godnością spojone. Na zarzut ten zasługują głównie lekarze. Tytuł *doktora* uważają za potrzebny tylko po to, aby aptekarz zrobił zapisaną receptę. Opatrzeni w kilkadziesiąt formułek (których niezapomnieć starają się), żyją spokojnie i niewinnie na świecie Bożym, a poważnie spoglądając na laików, *poświęcają się* dla dobra ludzkości!

rał się ustalić zawikłaną jeszcze nomenklaturę téj nauki u nas. (W r. 1840, wydał był xiążkę: *O najnowszych sposobach leczenia skrzywień ludzkiego ciała*, oraz: *Poradnik dla młodych matek, czyli fizyczne wychowanie dzieci w pierwszych siedmiu latach*).

Joachim Szyc wydał niedokładną *Geografiję dawnéj Polski*, 1852. Dr. Szafarkiewicz *Historyę naturalną* dla szkół, 1850. Zawadzki *Geografiję ogólną*, 1852. Mittelstaedt ogłosił *Uwagi nad gospodarstwem wiejskiém*, 1851. Adam Krzyżtopór (pseud. Tomasza hr. Potockiego), bardzo ważne i gruntowne spostrzeżenia p. n. *O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce*, 1851. F. X. Sempiński *Opis hist. geograficzny* w. x. Poznańskiego, 1853. Kazimiérz Szulc, ciekawą rozprawę: *O głównych wyobrażeniach bałwochwalczych naszego ludu*, napisaną w celu sprostowania niektórych mylnych uwag, zawartych w Lelewela *Bałwochwalstwie Słowian*, i Berwińskiego *Studyach nad literaturą ludową*. Kazimiérz Szulc dał się był już poznać zebranemi badaniami nad Słowianami Illyryjskimi w rozprawie p. n. *De origine et redibus veterum Illyriorum*, tudzież rozpoczętém wydawnictwem *Znicza* we Wrocławiu, będąc na tamtejszym uniwersytecie. *Znicza* wyszło dwa zeszyty w 1851 i 52 roku. Zadaniem tego pisma miało być zjednoczenie pracy młodzieży uniwersyteckiéj Polskiéj w jednym organie, nie w celu pouczania narodu, lecz aby tym sposobem ułatwić sobie samym kształcenie naukowe, podawaniem zdobytych wiadomości w różnych wszechnicach krajowych i zagranicznych, biblijotekach publicznych i t. p. Dobre chęci wydawców rozbiły się o nieprzychylność ze strony ogółu, krzywo patrzącą na literacką pracę młodzieży, nieufając jéj, uważając w tém oderwanie się od studyów i t. p. Jedną z najlepszych rozpraw, którą pisemko to podało była: *O sołtysach w Polsce* przez Marońskiego.

Dr. Hipolit Cegielski (*) wydał w r. 1851 wyborny *Zbiór wzorów poezyi*, naukę o tejże poprzedzony, w którym zamiejętnie pomieścił najlepsze ustępy Polskich śpiewaków. W r. 1852 ogłosił rozprawę *O słowie Polskiem* i konjugacyach jego. Przed miesiącem ukończył druk doskonałego dziełka, opisującego *Machiny i narzędzia rolnicze* za najlepsze uznane, którém się bardzo gospodarzom przysłużył.

Belletrystykę właściwą, powieść i poezyę najmniéj w tym peryodzie Wielkopolanie uprawiali. Pióro Pauliny Wilkońskiéj przywłaszcza sobie Poznańskie, gdyż od pewnego czasu osiadła w niém autorka. Lecz właściwie płody jéj mogą się zaliczyć od r. 1856 dopiéro między tutejsze. Poprzednie (**) drukowała w Warszawie. Od tego więc czasu wydała *Irenę*, powieść 1856,— *Panią podkomorzynę*, pow. 1857,— i *Obrazek Poznański*, 1857. Wszystkie te trzy prace pisane dobrym stylem, odziane nader rzewnym charakterem, podjęte więcéj dla myśli, tendencyi, niż sztuki. Fikcyi, dramatyczności brak im zupełny. Jest to najsłabsza strona jéj pióra. Najlepszym z tych trzech szkiców jest *Pani podkomorzyna* i ma najwięcéj wykończenia. Słab-

(*) Do r. 1848 prof. gimn. w Poznaniu, autor dobréj gramatyki Greckiéj. W skutek politycznych zajść, opuściwszy katedrę, założył handel żelaza, a od r. 1854 fabrykę machin rolniczych, zaopatrującą nietylko prowincyę Poznańską, ale i część Królestwa Polskiego wyrobami, których opinija ustaloną została. Szacowny ten mąż, zwalczywszy przesądy, przyczynił się niemałe do podniesienia przemysłu, do zwrócenia znacznych kapitałów w ręce Polskie. Zasługa ta jego jest też należycie oceniona, głosem powszechnego poważenia, który otacza zacnego professora.

(**) Wieś i miasto, 1841. Za późno i jeszcze dość wcześnie, 1846. Tak się dzieje, 1848. Poranki i wieczory— obrazy, szkice i powieści, 1847. Godzina rozrywki, 1849. Wawrzyna, 1851. Helena, Wrożka, 1855. Różni ludzie, 1855.

sza *Irena*, grzesząca przesadą; razem z poprzednią zalecają się głównie moralną stroną. W idealnéj piękności narysowane tam charaktery kobiét, wskazane ich obowiązki i zakres życia. To też było zapewnie celem autorki w jéj pracy.

Obrazek Poznański zbyt pośpiesznie skreślony, jest tylko jednostronnym, słabym szkicem stosunków tutejszych na tle walki dwóch narodowości. Wiele zalet— wiele braku,— chęć poczciwa.

Jedyny, prawdziwy wieszcz, podpierający przybytek poezyi w kraju Wielkopolskim, chlubnie znany i po za jego granicami, jest sędziwy nasz Franciszek jenerał Morawski, tłómacz Byrona. Mało pisał na większy rozmiar, lecz mnóztwem drobnych wierszy, bajek, dał się pokochać czytelnikom Polskim. Autor *Wizyty w sąsiedztwo* wydał w r. 1850 miłe, piękne opowiadanie wierszem, p. t. *Dworzec mego dziadka*. Prosta, rzewna ta dykcya z upodobaniem była czytaną i jak najlepiéj przyjętą. Tom ulotnych *poezyj* drukował w Wrocławiu. Bajki porozrzucane w różnych pismach, czekają zbiorowego wydania. W rękopiśmie ma szanowny autor tłómaczenie *Andromaki* i Rasyna (równające się jak słyszeliśmy oryginałowi), przedstawianéj niegdyś z świetném powodzeniem w Warszawie. Pierwszém odznaczeniem się jenerała Morawskiego potęgą słowa, była mowa powiedziana na śmierć xcia Józefa Poniatowskiego w Sudan— dziś wyczerpana z handlu, pomimo kilka wydań, w których się ukazała.

Dr. Małecki probował swego talentu na polu dramatycznéj poezyi w dwóch pracach, które wydał, a mianowicie: *List żelazny* tragedyę, i *Grochowy Wieniec* komedyę, 1856. Pod względem zdolności dramatycznéj, odmówiono jéj tłómaczowi *Elektry*. Poetyczna, zwłaszcza zewnętrzna strona, dowodzi już znacznego wyrobienia pióra. *Grochowy wieniec* zasługuje jeszcze tém na u-

wagę, że osnuty jest na treści jednego ustępu Pamiętników Paska, których autor główną gra rolę.

Pod pseudonymem *Maryi z Gniezna*, wyszły tamże 3 tomy jéj *Poezyj religijnych*, 1857. Poczciwe myśli ale bardzo słabo wyrażone. Wodnistość, rozwlekłość, przesadzona sentymenalność są ich cechami.

T. Klonowski wydał *Zbiór pieśni i piosneczek* z nótami, 1854.

D-r Antoni Bronikowski, prócz rozrzuconych tu i ówdzie drobnych, często udatnych wierszy, ogłosił poczet ich większy p. n. *Mnemonion, fragment*, 1852. Bronisławy Kamińskiéj, *Legendy historyczne*, 1852, i bezimiennego autora (Miniszewskiego) *Legenda o królu Lechu, opowiadanie Olesia*, 1850, dopełniają tak szczupłego poczetu poetycznych utworów téj epoki.

W dziale pism belletrystycznych musimy pomieścić jeszcze *Studya o literaturze ludowéj* Ryszarda Berwińskiego, 1855— wchodzące w ich liczbę traktowanym przedmiotem. Pominąwszy tę okoliczność, że stanowisko, z którego się autor w swych *Studyach* zapatrywał na literaturę ludową, zdanie jego własne o tejże, wymagają specyalnego rozstrząśnienia, jako nietylko zupełnie odmienne, ale i sprzeczne ze zwykle dotąd przyjętemi,— z *przyjemnością* zapisujemy, że sposób obrobienia kwestyi poważny, sumienny i z niemałą zdolnością. Téj ostatniéj dowiódł już po części dawniéj Berwiński w swych *Powieściach Wielkopolskich* 1840, i *Poezyach* 1844, któremi nawet pewne imie sobie wyrobił;— lecz po piérwszy raz przekonał, że potrafi być poważnym, zająć się pracą pożyteczniejszą, ważniejszą w oznaczonéj dążności. Wszystkie bowiem jego utwory, tak razem imiennie wydane, jak i w pismach do których należał umieszczane, choć noszą cechę pewnego talentu, nie są ujęte stałą zasadą, charakterem, w jakimś wyraźnym kierunku. Wiersze zwykle ckliwe, czasem polotne, często niezgrabne— raz wznoszące

się piękną, poetyczną myślą dosyć wysoko— drugi raz spadające najniżéj rozpustnym śmiechem, syczące Hejnowskim cynizmem bez Hejnowskiego dowcipu.

Wzorem podobnéj mięszaniny z przewagą ostatniego pierwiastku jest w części drugiéj poezyi zawarty *niby* poemat p. t. *Don Juan Poznański.* Liche, plotkarskie wierszydło, bez formy i sensu— osnute na jakiejś miłośnéj awanturze, a co gorzéj jak niesie kronika miejscowa, własnéj. Z całéj téj ramoty najlepszy ów czterowiersz, malujący zwięźle mięszaninę pojęć w xięztwie Poznańskiém w onym czasie, zamieściliśmy na wstępie trzeciéj części naszego pisma. Powtarzamy przeto, że z *przyjemnością* zapisujemy obok zacytowanéj nowéj pracy, inny, lepszy zwrót autora, obecnie daleko od kraju bawiącego (*).

Pomijając drobne różne broszury, efemerycznéj wartości i istnienia (bo trudno się o nie dopytać nieraz nawet) pisemka politycznéj treści,— wypada uzupełnić nasz przegląd wzmianką o xięgarskim ruchu, a właściwiéj wydawnictwie wielu bardzo utworów literackich z innych stron kraju nadesłanych.

Wydawców rzeczy Polskich mamy w prowincyi następnych: w *Poznaniu*, Żupańskiego, Merzbacha, Kamieńskiego i Poplińskiego; w *Lesznie*, Günthera; w *Gnieźnie*, Langego; w *Pleszewie*, Putjatyckiego.

Najczynniejszym, najwięcéj zasługi mającym jest xięgarz i wydawca Poznański, Jan-Konstanty Żupański. Zamiłowany w za-

(*) Zastrzegamy sobie, że mówimy tu tylko o *rodzaju* pracy, nie o jéj wartości, tak co do autora jak i co do téj xiążki. Inaczéj bowiem wyraziéby się nam przyszło roztrząsając ją. Berwiński w czasie pierwszéj swéj manijery należał do bezwarunkowych chwalców ludu;— w *Studyach* udowodnia on, że tenże w swoich obrzędach, pojęciach, zwyczajach i t. d., ma dużo nieswojskiego, z tradycyą niezwiązanego, co zostało naniesione razem z Chrześcijaństwem przez duchownych i uczonych.

wodzie swoim, wypełnia obowiązki jego, mając przed oczami więcéj niż tak zwykłą dzisiaj rachubę i spekulacyę kupiecką tylko. Chętny, ruchliwy, czynny, łoży nakłady choć niewidzi prędkiego zysku, a często i doraźnego zwrótu kapitału; lecz powoduje się trafném ocenieniem wartości dzieła, lub odgadnieniem potrzeby jego w kraju. Co chwila cóś świeżego wychodzi z pod jego firmy, i śmiało przyznać należy zacnemu temu xięgarzowi, że bardzo wiele pomocy znalazła w nim literatura krajowa,— bezsprzecznie oddać mu wypada piérwsze miejsce między jego kolegami w Polsce. U niego wyszły wszystkie dzieła Lelewela w liczbie 20 tomów (w to wliczone osóbne odbitki niektórych ustępów); Lenartowicza: Lirenka, Zachwycenie i Błogosławiona 1855—7; Łukaszewicza, Libelta, Cegielskiego, Berwińskiego, Bronikowskiego, Morawskiego, Gąsiorowskiego, Mottego, Raczyńskiego, Trentowskiego; *Starożytności Polskie* (w sposób encyklopedyi), zebrane w r. 1842 przez Wolniewicza Wład., Moraczewskiego Jęd., Kierskiego Emila, Libelta, Kurnatowskiego;— z obcych między wielu innemi: Niemojowskiego *Obrazy z Pisma św.*, 1836; Odyńca *Felicyta*, 1838; Winc. Pola *Pieśń o ziemi naszej*, *Obrazy z życia i podróży*, 1846; Siemieńskiego *Poezye*, 1844, *Legendy i podania*, 1845; Zielińskiego *Stepy*, 1836; Potockiego, *Święcone*, 1854. Żyglińskiego, *Poezye*, 1844. Leszka, *Parafiańszczyzna*, 1850; M. Manna, Liga i doświadczenie, 1849; Sztuka i miłość, 1849; Bronisława L. *Pokutnicy*, 1854;—Bezimiennie: *Powieść z czasu mojego czyli przygody Litewskie*, 1857; *Palec Boży*, 1852; *Pamiętniki o Samuelu Zborowskim*, 1844; *Wspomnienie o Kownie*, 1854; Kielesińskiego, *Album*, 1853, i wiele innych.

Ludwik Merzbach wydaje *Przyrodę i przemysł*, *Ziemianina*, *Pokłosie*, kalendarze;— nabył prawie wszystkie dzieła Działyńskiego;—ogłosił: Jabczyńskiego *Rys hist. Dolska*, *Kazania*, — Wilkońskiéj powieści,— Feldmanowskiego, Jagielskiego przekła-

dy i t. d. Zajmuje się najwięcéj wydawaniem rozpraw filologicznych, przyrodoznawczych, gospodarskich, tłómaczeń, rejestrów i rubryceli. Oględniejszy i mniéj pochopny niż Żupański zajmuje jeszcze zawsze drugie miejsce po nim.

N. Kamieński i spółka trudnił się najwięcéj nakładem religijnych xiążek, wydawnictwem dzienników; u niego wyszły z główniejszych: Moraczewskiego *Dzieje Rzeczypospolitéj*, *Teka Podoskiego*, Goszczyńskiego, Siemieńskiego niektóre powieści, Dembowskiego *Piśmiennictwo Polskie*, wiele xiążek do nabożeństwa, wszystkie dzieła Tomasza a Kempis, drobne rozprawy historyczne, polityczne i socyalne. Zresztą więcéj poświęca zachodu koło urządzenia sortymentu i czytelni niż starania się o nakłady.

Ernest Günther należy do najczynniejszych na prowincyi xięgarzy i wydawców, choć pewno więcéj interes ma na oku niż troskliwość o pomyślność literatury. Zaznajomił najprzód publiczność Polską z firmą swoją wydawnictwem Przyjaciela Ludu, Szkółki niedzielnéj, Ziemianina do r. 1855; — późniéj ogłaszał mnóztwo xiążeczek i pisemek dla ludu, trzeci religijnéj, moralnéj i naukowéj, rzeczy szkolnych, rozpraw gospodarskich, tłómaczeń i t. d. Wydał prawie wszystkie dzieła x. Antoniewicza, przekład części Długosza przez Gustawa Bornemanna, dotąd nieskończony, — kilka prac Wodzickiego, Morawskiego; — *Sen* poemat J. S., *Wiesława* Brodzińskiego, *Życie J. Śniadeckiego* przez Balińskiego Mich.

Putjatycki w Pleszewie bardzo mało podjął nakładów: kilka xiążek szkolnych, pieśni religijnych, broszurek jarmarcznych; w r. 1854 i 55 ogłosił x. A. Putjatyckiego zgrom. MM. *Pismo o religii naturalnéj i objawionéj*, i *Astronomiję popularną* tegoż autora.

J. - B. Lange w Gnieźnie należy do pomniejszych xięgarzy, których zadanie cięży więcéj na odpowiedzeniu potrzebom szko-

X. MARCIN POCZOBUT.

OBRAZ ŻYCIA AKADEMICKIEGO,

PRZEZ

MICHAŁA BALIŃSKIEGO.

II.

Rok 1780 zwiastował Poczobutowi ziszczenie wszystkich jego chęci, które dotąd za marzenia poczytywał. Wkrótce miały się ukoić troski jego, zarówno o byt materyalny, jak o utrwalenie obserwatoryum i o ulepszenie stanu słabo istniejącéj akademii. Chreptowicz zajmując się coraz troskliwiéj polepszeniem losu Poczobuta, zamierzał dlań wyjednać koadjutoryę jakiegoś probóstwa; ale sam los otworzył mu prędszą i łatwiejszą drogę do zamożności i władzy, a razem szersze pole do pracy dla dobra narodu. We wrześniu tegoż roku umarł x. Chevalier niedawno mianowany rektor akademii Wileńskiéj. Był on prócz tego proboszczem szpitala Świętéj Trójcy w Wilnie, starożytnéj i zamożnéj chociaż podupadłéj, bo najgorzéj zarządzanéj fundacyi Zygmunta I. Chreptowicz nietracąc czasu i uprzedzając wszelkie starania innych, napisał natychmiast gorący list do magistratu Wileńskiego mającego prawa prezenty, z usilném poleceniem Poczobuta, jako najgodniejszego téj posady. Magistrat wysoką rekomendacyą podkanclerzego znie-

wolony, a razem uważający na wielką osobistą powagę Poczobuta zjednaną w mieście i w całym kraju, niewahał się ani chwili w powierzeniu tego chleba duchownego sławnemu astronomowi. Już 28 września magistrat pełen życzliwości złożył mu ową prezentę, i co większa! biskup Massalski zmieniając ciągłą jakąś niechęć ku Poczobutowi na niezwykłą uprzejmość, piérwszego października instalował go bardzo uroczyście na probóstwo w obecności prześwietnéj kapituły, a potém całe to grono razem z solenizantem sutym obiadem uczęstował. Z taką to wszystko odbyło się na pozór serdecznością, że nowy proboszcz dobrodusznie wyznawał i wierzył „nieskończonéj dobroci“ ku sobie biskupa. Biedny Poczobut nieprzewidywał wtenczas jak wiele kłopotów i goryczy przyniesie mu owe piękne probóstwo, i jak go potém zawiedzie zmienny w swoich skłonnościach, a zawsze uległy osobistemu interesowi pasterz! Ale ze zgonem x. Chevalier osierocony także został urząd rektora akademii. Teraz już i komissya edukacyjna musiała zwrócić oczy na Poczobuta, który z każdym dniem nabywał coraz większych zasług i coraz większego prawa do osiągnienia nakoniec dostojnego przewodnictwa instrukcyi publicznéj w Litwie, — tém bardziéj, że wszystkim komissarzom wiadomo było, jak i sam Poczobut pożądliwy działania na obszerniejszém polu, życzył sobie mocno zająć się takiemi obowiązkami. Wszakże Chreptowicz upewniony o zamiarach komissyi względem Poczobuta, zapytał się go czy przyjmie rektorstwo, i czy zatrudnienia tego urzędu niebędą przeszkadzać pracom w obserwatoryum? Odpowiedź Poczobuta była stanowcza i krótka. „Rektorstwo akademii przyjmę z wielką chęcią dla wielkich i ważnych przyczyn. Nawet im bardziéj do astronomii przywiązany jestem, tém chętniéj niém się zajmę, jeśli się prześwietnéj komissyi dać mi ten urząd podoba. Upewniam zaś, że ani astronomija od rektorstwa, ani rektorstwo od astronomii żadnéj szkody i żadne-

go ambarasu mieć niebędzie. Owszem złączenie tych dwóch obowiązków, będzie z nieskończoną obojga korzyścią.“ Dla utwierdzenia pomyślnego skutku swych życzeń i dla załatwienia różnych spraw akademickich, Poczobut, zawsze energiczny i determinowany w swoich działaniach, postanowił natychmiast wybrać się do Warszawy, gdzieby mógł osobiście wynurzyć się przed swym protektorem, a razem komissyę skłonić do życzeń swoich. Jakoż przybywszy do stolicy zabawił tam pięć niedziel prawie, gdzie zapewnioną sobie mając nominacyę na rektora, obeznawał się z pracami i planami szkolnemi komissyi edukacyjnéj, i przyjmował od niéj instrukcye do sprawowania przyszłego urzędu. W powrócie swoim do Wilna, gdy stanął w Grodnie w listopadzie, spotkała go tam bardzo pocieszająca wiadomość, że król Pruski uwolnił od cła transport narzędzi astronomicznych, obstalowanych w Londynie przez xiędza Strzeckiego, dla obserwatoryum Wileńskiego, między któremi znajdował się ów piękny kwadrans muralny, co to i teraz może zaświadczać o opatrzeniu tego zakładu w najlepsze sposoby do czynienia znamienitych obserwacyj, jakiemi się wówczas odznaczał w Europie. Ta hojna grzeczność ze strony rządu Pruskiego, była pobudką dla Poczobuta do starania się o podobną powolność u własnego. Zaraz więc przejeżdżając przez Grodno zaniósł oto jedną prośbę ustną do podskarbiego wielkiego Litewskiego obecnego naówczas w tém mieście, a drugą na piśmie do komissyi skarbu posłał do Warszawy, niezapominając razem pobudzać komissyi edukacyjnéj do wstawienia się należytego o pomyślny skutek tego interesu. Wszakże skończyło się na tém, że komissya skarbu, niemając prawa uwalniać od cła nikogo, zezwoliła tylko na rewizyę paków z instrumentami astronomicznemi w Wilnie. Dziko to się wydawało naszemu astronomowi, że swoi domagali się podatku od rzeczy nieprywatnéj ale publicznéj, wtenczas kiedy obcy tak uprzej-

mie oswobodzali od niego. I dla tego radził ażeby od rady nieustającéj żądać rozwiązania téj kwestyi. Czynny Poczobut z taką pilnością prowadząc sprawy edukacyjne i swoje osobiste, niezapominał jednak o swych przyjaciołach i towarzyszach w zawodzie nauczycielskim. Zawakowało probóstwo Święto-Jańskie w Wilnie przy kościele akademickim, po zejściu xiędza Ancypy; Poczobut postanowił otrzymać je dla kolegi Strzeckiego, który dotąd musiał przestawać na bardzo chudym chlebie akademickim, chociaż był astronomem j. kr. mości. Trzeba było i tu użyć protekcyi podkanclerzego Chreptowicza, który też na piérwsze wezwanie, wyjednał zaraz od Massalskiego żądaną prezentę. I Strzecki już w listopadzie pośpieszył objąć kościoł po-Jezuicki św. Jana i probóstwo. Ale wnet strach ogarnął nowego plebana, a z nim i Poczobuta. Rozeszły się wieści że jeden za spółubiegających się o to beneficyum, udał się za pomocą koadjutora Smoleńskiego Naruszewicza do króla, o prezentę na nie; a co gorsza, z drugiéj strony przyszła wiadomość, że już król imść, nie komu innemu, ale samemu Naruszewiczowi oddał pomienioną plebaniję. Przerażeni tém Poczobut i Strzecki, który już od 12 listopada instalowany w spokojnéj possesyi probóstwa zostawał, napisali do x. biskupa koadjutora, błagając z pokorą i ufnością, ażeby tego kawałka chleba kościelnego chudemu literatowi trudnić nieraczył.

Przy końcu listopada roku 1780 xiądz Marcin Poczobut objął publicznie i uroczyście urząd rektora akademii Wileńskiéj, pełen wdzięczności dla Chreptowicza, który najwięcéj się przyczynił w komissyi do tego wyboru, i który odtąd stał się prawdziwym jéj i szczególnym opiekunem, jakby dzisiejszym kuratorem. Wywzajemniając się mu nowy rektor, o ile w jego mocy było, troskliwą rozciągał pieczę nad wychowaniem dwóch synów podkanclerzego, Adama i Irenego Chreptowiczów, którzy pod dozorem Szymona Malewskiego późniejszego professora

w téjże akademii, odbywali w niéj kursa nauk publicznych. Tak dalece zaś Poczobut był oddany swojemu mecenasowi, że choć został rektorem, choć tyle pracy i kłopotów z tego powodu nań się zwaliło, — nieuchylał się pomimo tego od spełniania ochoczo najmniejszych jego poleceń i czynienia mu rozmaitych przysług. Czy o geometrę dla pani Krakowskiéj wystarać się do Białegostoku, czy najlepszego w Wilnie malarza, który najsztuczniéj wzoruje ściany *alfresco*, zwanego Ekkenfelder, wysłać do Szczors, czy kamienicę Chreptowiczowską najkorzystniéj sprzedać: wszystkie te posługi przyjmował na siebie Poczobut, i wypełniał je najgorliwiéj. Lecz nakoniec przyszło mu już na prawdę zatrudnić się sprawami akademii, potrzebującéj gwałtownie przeistoczenia, któréj rządy z pełną ufnością powierzyła mu komissya. Bawiąc w Grodnie zwrócił on uwagę na rozwiązujące się zakłady nauk i przemysłu wzniesione geniuszem Tyzenhauza w ekonomii królewskiéj. Najcelniejszym nauczycielem w tamtejszéj szkole lekarskiéj, był słynny z dzieł swoich po całéj Europie naturalista Jan-Emmanuel Gilibert, z Lugduna gdzie był professorem botaniki, sprowadzony tu w r. 1776. Poczobut postanowił go wezwać do Wilna i dać mu katedrę w akademii. Jakaż była jego radość, kiedy go znalazł zupełnie skłonionego do przyjęcia obowiązków nauczycielskich w Wilnie, tak nawet, że sam Gilibert uprzedził jego propozycye swoją gotowością do przeniesienia się do Wilna. Jednakże Poczobut, niemogąc sam swoją władzą kończyć umowy z Gilibert'em, ostateczne porozumienie się odłożył do mającego wkrótce nastąpić przejazdu samegoż podkanclerzego przez Grodno. Jedną zatém z najpilniejszych rzeczy, którą miał do spełnienia Poczobut za powrótém do Wilna, było uwiadomienie Chreptowicza o zagajeniu układu z Gilibert'em, z prośbą usilną ażeby się z nim widział w Grodnie, i dla umowy na miejscu, wezwał go za sobą do Wilna. Zachęcał też wziąć i Mintza bardzo dobre-

go chemika, dodając i to, że jeśli oba ci ludzie tak zdolni i tak potrzebni w akademii, niebędą od niéj przygarnieni, o wyniesieniu się z kraju myśleć zaczną, akademija zaś potém niełatwo takich znaleźć potrafi. Po Gilibercie troszczył się najwięcéj nowy rektor, że xiądz Hieronim Strojnowski młody Pijar, zdolny i dobrze usposobiony a przez komissyę edukacyjną przeznaczony do dawania w akademii lekcyj prawa przyrodzonego i narodów, mieszkał w Wilnie w kollegijum Pijarskiém bezczynnie, niemogąc się doczekać z Warszawy ostatecznego rozporządzenia o sobie, ani pensyi, a co gorsza niemogąc rozpoczynać lekcyj dla braku uczniów. Trudno jednak było zaradzić tak prędko wielolicznym niedostatkom akademii Wileńskiéj w tym czasie, żeby się kursa porządniejsze we wszystkich jéj kollegijach zaczęły w końcu roku 1780, razem z objęciem urzędu rektorskiego przez Poczobuta. Trzeba było o wszystkiém myśleć, bo nic prawie porządnego niebyło prócz astronomii i początków fakultetu lekarskiego. Inne nauki tlały w niedołęztwie z małym wyjątkiem. Piérwszy więc rok szkolny za jego urzędowania upłynął bez żadnéj odmiany, i bez żadnego polepszenia. Cierpliwy jednak był Poczobut, bo go krzepiła nadzieja, że przy gorliwości komissyi i przy takiéj opiece jak była Chreptowicza, potrafi wydołać wszystkiemu, a przynajmniéj zaradzić gwałtowniejszym potrzebom instrukcyi publicznéj. Zaczął więc w imie Boże mozolne trudy dwudziestoletniego przewodnictwa swego w akademii. Wiadomo jest że składały ją wówczas podług systematu komissyi edukacyjnéj dwa główne działy, to jest: kollegijum fizyczne i moralne, w piérwszym mieściła się matematyka, nauki przyrodzone i medycyna, do drugiego należała teologija, prawo, historya i literatura. W każdéj gałęzi brakło ludzi do umiejętnego wykładu nauk, stosownie do ich postępu i ówczesnego stanu. W kollegijum fizycznem medycyna była reprezentowaną przez dwóch lekarzy cudzoziemców, Regnier'a

i Briotego, ludzi nieźle usposobionych i znanych już z dobréj strony w Wilnie. Trzeci także Stefan Bisio uczeń akademii Padewskiéj i znajomy z ciekawéj rozprawy swéj o kołtunie, wezwany został na professora fizyologii i anatomii. Z tamtych dwóch piérwszy miał uczyć chirurgii i sztuki położniczéj, a drugi przeznaczony na demonstratora operacyj chirurgicznych i anatomii. A największego blasku przydawał temu wydziałowi Gilibert professor emeryt akademii Liońskiéj, który przeniósłszy się z Grodna, po upadku Tyzenhauza, do Wilna w roku 1781, ze wszystkiemi zbiorami naukowemi i roślinami ogrodu botanicznego na Horodnicy, darowanemi akademii Wileńskiéj przez Stanisława-Augusta, zajął w niéj katedrę mozolną dla wielości przedmiotów. Powierzony mu bowiem został wykład całéj historyi naturalnéj, to jest zoologii, botaniki i mineralogii, i prócz tego materyi medycznéj, razem z dozorem apteki akademickiéj Pod względem więc medycyny reforma Jezuickiéj akademii pomyślnie się zaczynała. Tak licznie i z takim wyborem na ową epokę osadzone katedry medycyny w akademii Wileńskiéj, były powodem, że chociaż się ona dzieliła urzędowie tylko na dwa fakultety, fizyczny i moralny, wszakże i publiczność i sama akademija nawet, temu gronu uczonych profesorów medycyny, nadała miano *kollegijum medycznego.* Mury nawet osóbne od głównego gmachu akademii, w których oni zamieszkali wyłącznie, położone naprzeciw kościoła Świętego Jana, stale się już odtąd nazywały *collegium medicum.* Do upadku zaś Jezuitów mieścił się tam konwikt, albo *collegium nobilium* Jezuickie, założone przez spółzawodnictwo z Pijarami: była to szkoła dla dzieci szlacheckich, dziś odrodzona w inszym nieco sposobie pod nazwą instytutów. Ale do uzupełnienia kollegijum fizycznego, największego kłopotu rektorowi przyczyniał niedostatek dobrych matematyków. Zrazu więc udał się do starego swojego przyjaciela, astronoma Wiedeńskiego x. Hella z proś-

bą o wybranie dwóch zdolnych i porządnych nauczycieli, do matematyki wyższéj i stosowanéj. Zagaił tę rzecz przez xiędza Bohusza prałata Wileńskiego, jadącego do Włoch, i już otrzymał od niego z Wenecyi doniesienie o możności wynalezienia takich ludzi: niepopierając wszakże daléj interesu z Hellem, przedstawił do uwagi Chreptowicza, czyby mu się niezdało użyć x. Narwojsza ex-Jezuitę do dawania lekcyj matematyki wyższéj, jako człowieka ochoczego do téj nauki i nabierającego odwagi do pracy. Był to jeden ze zdolniejszych ex-Jezuitów, który wiele korzystał z lekcyj prywatnych, dawanych młodzieży zakonnéj, przez dwóch Jezuitów Francuzkich, którzy na lat kilka przed kassatą przybyli do Wilna, unikając prześladowania na Zachodzie. Zdaje się wszakże, iż ta rekomendacya była dosyć obojętną, gdyż rękojmia pilności Narwojsza na tém się najbardziéj zasadzała, że sam Poczobut obiecywał mieć nad jego lekcyą ciągłą baczność. Jednakże ta myśl zajmowała zawsze nowego rektora, w wyborze professorów do akademii, żeby o ile można starać się o nauczycieli krajowych. Trudno to było wprawdzie, przy takim upadku szkół jaki był dotąd w całéj Polsce, jeżeli wyjątek zrobimy z kollegijów Pijarskich, a i tak nawet niebyło innych do tego kandydatów jak sami xięża, ex-Jezuici lub Pijarowie. Co się zaś tycze medycyny, o téj już mowy niebyło, żeby się ktoś do niéj znalazł pomiędzy krajowcami. Cudzoziemcy wyłącznie osiągnęli przez cały wiek ośmnasty praktykę lekarską w Wilnie. Jeszcze wówczas szlachta uboższa, mianowicie w Litwie, niemogła przypuścić, żeby się professya, jak nazywali, doktorska mogła się zgodzić z herbowym klejnotem,— chociaż samo nazwanie *doktor*, powinno byłoby nadawać wielkie znaczenie zaszczyconemu takim tytułem, ponieważ oznaczało uczonego, a zatém przypuszczało, że inni mniejszą od niego mieli naukę! Tymczasem Poczobut zgromadziwszy wymienionych wyżéj cudzoziemców do porządnego uczenia medycyny,

co wielkiém już było dobrodziejstwem dla kraju, dopełnił kollegijum fizyczne dwóma katedrami fizyki i matematyki stosowanéj zajętemi przez ex-Jezuitów Mickiewicza i Kundzicza, obok dawno już istniejącéj lekcyi astronomii bardzo dobrze wykładanéj przez x. Strzeckiego. Ale z kollegijum moralném inaczéj się rzecz działa. Dwóch Pijarów, Olechnowicz i Syruć, piérwszy prawa cywilnego i krajowego, drugi prawa Rzymskiego, professorowie, przygotowani byli zacząć wykład swoich przedmiotów, a przy nich stary ex-Jezuita Rogowski miał dawać lekcye wymowy razem z językiem Łacińskim i Greckim. I ci trzéj składali cały fakultet, a czas naglił do rozpoczęcia kursów publicznych. Poczobut więc otrzymawszy od komissyi patenta professorskie, dla Regnier'a i Briotego, postanowił otworzyć walném posiedzeniem, tak reformowaną szkołę główną Litewską, nieczekając na nieobsadzone jeszcze katedry matematyki wyższéj, medycyny praktycznéj i chemii, oraz na nieurządzone ostatecznie lekcye teologiczne. Kazał więc drukować prospekt lekcyj, a przy nim tablicę na wielkim arkuszu obejmującą rozkład ich na godziny, którą poprzybijano na murach w obrębie akademii, i rozdano uczniom i nauczycielom. Wielki to był dzień dla stolicy Litewskiéj, to publiczne otwarcie dla nauk starożytnéj a teraz pod opieką Stanisława-Augusta odnawiającej się akademii Batorego. Dwudziesty czwarty listopada, poprzedzający rocznicę koronacyi królewskiéj, przeznaczony został na zaczęcie téj pamiętnéj uroczystości. Wywieszono więc najprzód herb nowo ustanowiony przez komissyę edukacyjną dla akademii, nade drzwiami sali publicznéj zwanéj *Aulą*; gdzie za ostatnich czasów uniwersytetu, po jéj przerobieniu, obok wieży Swięto-Jańskiéj, znajdowała się biblijoteka. Na polu umieszczoném w paludamencie pod mitrą wielkoxiążęcą widać było Pogoń Litewską z tarczą, na któréj zamiast zwyczajnego podwójnego krzyża jak w herbie państwa, i zamiast liter imienia

Jezus przez akademiję Jezuicką używanych, znajdował się węzeł cyfry Stanisława Augusta, S. A. R. (Stanislaus Augustus Rex) z dwóma berłami pod nią. Paludament opasany był wstęgą u wierzchu i po bokach, mającą napis: *Schola Princeps Magni Ducatus Lithuaniae* (szkoła główna wielkiego xięztwa Litewskiego); całą zaś tarczę herbową otaczał wieniec z dwóch gałęzi laurowych związany u spodu wstążką, a u wierzchołka zetknięty i biretem akademickim nakryty. Taki herb olbrzymich rozmiarów zwiastował już od samego rana całéj ludności miasta nadzwyczajną uroczystość w akademii. Lecz o drugiéj godzinie dopiéro po południu rozwarły się podwoje Auli i sam czcigodny rektor Poczobut, a z nim wszyscy professorowie składający senat akademicki, wspaniałemi ze szkarłatu togami doktorskiemi przyodziani, weszli do niéj, i zająwszy wyznaczone miejsca wraz z licznie zaproszoną i naciskającą się publicznością, oczekiwali wyższych jeszcze gości, którzy większego jeszcze blasku mieli przydać obchodowi. Jakoż wkrótce ukazał się xiążę Adam, Czartoryski jenerał ziem Podolskich, który jako marszałek trybunału głównego wielkiego xięztwa Litewskiego, znajdował się właśnie w jego stolicy, a co większa, jako jedyny wówczas komissarz edukacyjny, bo Massalskiego niebyło, powinien byłby przewodniczyć w całém tém zgromadzeniu. Wszedł on w towarzystwie dwóch znakomitych senatorów, Niesiołowskiego wojewody Nowogródzkiego i Zyberga Brzesko-Litewskiego, a zanimi posunęli się deputaci trybunału, urzędnicy ziemscy i wielu dostojnych obywateli. Poczobut powitawszy xięcia jako jednego z naczelników edukacyi narodowéj, w imieniu odnowionéj akademii, rozpoczął posiedzenie mową Łacińską wybornym stylem napisaną. W niéj wspomniawszy wielkich niegdyś królów naszego narodu, Kazimierza W., Władysława Jagiełłę, i Stefana Batorego, jako założycieli uniwersytetów w Polsce, Władysława IV, jako wielce życzliwego dla akademii, Waleryana

Protassewicza jako szczególnego jéj fundatora, wysilał się zresztą na pochwały Stanisława-Augusta, któremu przyznawał słusznie wielki popęd dany w kraju do ulepszenia wychowania młodzieży. Oddając sprawiedliwość innym królom poprzednikom jego; nieznajdował jednak równego jemu, któryby tak nieśmiertelnemi nagrodami, jak medale bite na cześć uczonych (a tu wspomniał i o swoim z napisem: *Sic itur ad astra*), i takiém ustanowieniem jakiém jest komissya edukacyjna, zapewnić zdołał narodowi swemu niezliczone pożytki, a sobie samemu wiecznotrwałą pamięć! Poczobut w téj mowie strzegł się uczynić jakiejkolwiek wzmianki o Jezuitach i o dawniejszym stanie ich akademii; a zakończył dosyć długą tę swoję mowę, oświadczeniem wdzięczności królowi, mianowicie za hojnie obdarzenie przez niego, kollegijum medycznego szkoły głównéj Litewskiéj, znakomitym zbiorem xiąg i narzędzi, wielką ilością roślin do ogrodu botanicznego, równie jak teatrem anatomicznym i muzeum fizyczném, wynurzył też zarazem ile obowiązków powinien mieć cały kraj światłym mężom, składającym komissyę edukacyjną, którzy się tak gorliwie poświęcili do odrodzenia oświaty w narodzie. Zręcznie rektorowi na to wszystko w krótkich słowach odpowiedział xiążę marszałek trybunału, oświadczając, że komissya całą pomyślność swoich usiłowań, i wszystką nadzieję swoję zasadza na przezorności, z jaką starała się dobrać osoby do składu i zarządzania szkoły głównéj, bez względu na uprzedzenia i zadawniałe przesądy, a ztąd na zbyt skwapliwą krytykę któréj ulegać musi akademija w tym sposobie odrodzona, jak każda nowa instytucya gdziekolwiek. Poczém rektor złożył do rąk xiążęcych wszystkie patenta dla professorów i urzędników szkoły głównéj od komissyi przysłane, a obwieściwszy zebranéj w sali publiczności, że xiądz Kazimiérz Naruszewicz prałat scholastyk Smoleński mianowany jest sekretarzem tego uniwersytetu, polecił mu ażeby po przy-

jęciu od xięcia komissarza edukacyi narodowéj należącego sobie patentu wezwał po imieniu i nazwisku wszystkich członków szkoły głównéj do odebrania swoich dyplomów. Po ich rozdaniu przez xięcia, powstał j. x. sekretarz, i w mało co krótszéj przemowie, również dobrą Łaciną powiedzianéj, wyłuszczył jasno i śmiało, że od akademii tworzącéj się nanowo niemożna wymagać, ażeby od razu stanęła na równi z innemi sławnemi w Europie uniwersytetami, że jak obywatele mają prawo wymagać nauki i dobrych przykładów od niéj, tak nawzajem akademija powinna i ma nadzieję oczekiwać spółczucia i spółdziałania ich, a razem pobłażania. „Wszystkie początki są trudne, rzekł mowca, i nietak nagle dościga się doskonałości szczytu. Zważyć bowiem wypada jak wielkie i ciężkie przedsięwzięcie dokonać mamy, bo z gruzów starodawnéj świątyni nauk wirem losów rozwalonéj, wznieść i odbudować nowy przybytek musimy. Sprzyjajcie więc nam i brońcie jako nauczycieli waszych dzieci, ponieważ znajdą się tacy, którzy (obym był fałszywym prorokiem!) nowemi i nieznanemi sobie umiejętnościami olśnieni, niebędą umieli ocenić korzyści z nich wynikających, albo co gorzéj i niebezpieczniéj jest, umysły młodzieży odstręczać od nich są gotowi. Czego, mniemamy, dwie są przyczyny, jedna nieuctwo i ciemnota, druga zawiść do ludzi naukom oddanych. Waszéj więc, dostojni słuchacze, wyrozumiałości i życzliwości nam potrzeba koniecznie i przedewszystkiém. Kiedy zaś tylu było monarchów, niemówię obcych, ale naszych własnych, którzy nauki i uczonych szanowali i miłować umieli: dlaczegożbyście i wy nieposzli za ich przykładem? Tém bardziéj tego się od was spodziewać wypada, że tyle zacnych i prawdziwie uczonych mężów należy już do téj szkoły głównéj, któréj wysokiego naczelnika, czcigodnego rektora, królewskiego astronoma, a Londyńskich i Paryzkich akademij nauk członka, za przykład daję, że niewspomnę ja-

nych obecnych tu professorów, których skromności obrazić niechcę!“ Tak się odzywał bez ogródki do licznego zgromadzenia różnego stanu osób, Kazimierz Naruszewicz brat rodzony słynnego już naówczas poety i dziejopisa, Adama biskupa koadjutora Smoleńskiego,—niezapomniawszy przydać wzmianki i o tém, że Stanisław-August udarował go pierścieniem, który przez ręce brata otrzymał razem z odą od niego napisaną. Gdy następnie rozdano prospekt lekcyj mających się dawać w uniwersytecie, po-Łacinie ułożony, razem z tablicą wykazującą porządek ich i rozkład: tenże sam sekretarz podziękował krótką przemową w Polskim języku, zgromadzonym gościom za ich obecność na tym akcie. Poczém rektor poprzedzony od senatu akademickiego, udał się do kościoła Świętego Jana, gdzie nabożeństwem i odśpiewaniem hymnu „Ciebie Boże Chwalimy“, dzień ten pamiętny dla akademii zakończył. Ale niebył to jeszcze zupełny koniec uroczystości; przerwał ją tylko nazajutrz solenny obchód rocznicy koronacyi królewskiéj. Akademija przez oba te dni wieczorem oświetliła, jak to bywa zwykle, wszystkie swoje gmachy, na ich bramie naczelnéj zaś wystawiła misternym ogniem jaśniejący portret Stanisława-Augusta z napisem koniecznie Łacińskim, bo bez Łaciny kroku wtenczas stąpić niemożna było: *Literarum ac Literatorum patri* (nauk i uczonych ojcu). Na trzeci dzień 26 listopada 1781 roku odnowiła się onegdajsza uroczystość. Poczobut również samemu rozpoczęciu lekcyj uniwersyteckich, chciał nadać cechę uroczystości. Zrana więc 26 listopada zgromadziła się znowu cała akademija w togach, pod jego przewodnictwem, do kościoła Świętego Jana, gdzie Łopaciński biskup sufragan Żmudzki śpiewał pontyfikalnie mszę o Duchu świętym. Po jéj skończeniu, rektor i wszyscy professorowie, prowadząc biskupa i wojewodę Nowogródzkiego, który słuchał mszy razem z innymi, udali się do

sali, gdzie miała się odbyć lekcya medycyny teoretycznéj (*). Przed jéj zaczęciem professor tego przedmiotu Stefan Bizio prezes kollegjum fizycznego, a medyk nadworny i konsylijarz króla imci, przeczytał stosowną do nauki przemowę. Podobnież przez cały tydzień w godzinach wskazanych prospektem, zaczynały się rozmaite lekcye, z takiemiż przemowami, które zwykle prefacyą nazywano, i na których nieomieszkali być obecnymi ciż sami biskup i wojewoda, oraz niektórzy inni ciekawsi ze szlachty znajdującéj się wówczas w mieście. Poczobut chcąc zachować nadal pamiątkę téj wielkiéj uroczystości, kazał wydrukować w jednym poszycie *in folio*, obie mowy z dołączeniem prospektu rozpoczętych lekcyj, pod tytułem ogólnym: *Universitas et Academia Vilnensis olim a Valeriano Protasewicz Vilnensium antistite condita, a Gregorio XIII. P. M., a Stephano Bathoreo aliisque Poloniae Regibus, atque ab universis, Regni Ordinibus probata et confirmata, nunc ab amplissimo collegio Praefectorum Institutioni Publicae instaurata, ac nomine Scholae Principis insignita. Anno Domini 1781. Vilnae typis Sacrae Regiae Majestatis penes Academiam.* (26 kart nieliczbowanych). Na czele mowy rektorskiéj umieszczono małą rycinkę wyobrażającą herb szkoły głównéj wśród kilku budowli składających kollegija akademii. To jednak godne uwagi, że w prospekcie obok Łacińskiego znajduje się wykład tychże lekcyj po-Polsku; co było także wielką nowością, bo Jezuici dawniejszéj swojéj akademii, nigdyby się nieodważyli w jakimkolwiekbądź sposobie, w pospolitéj mowie ogłaszać publiczności prawdy naukowe.

(*) Jedyném prawie natenczas miejscem sposobném do dawania lekcyj w kollegijum medyczném, była sala o trzech oknach większych na dole w dziedzińcu na prawo od wejścia, gdzie dawniéj lekcya chemii się odbywała, przed wzniesieniem pięknéj późniejszéj sali. Tam więc zapewnie Bisio zagajał swoję lekcyę.

Poczobut zajął się tedy bardzo gorliwie swoim nowym urzędem, a kłopoty, prace i honory spływały na niego zarazem. Już w roku 1781 zrobiono go kanonikiem Smoleńskim, ale to był stopień duchowny bez żadnego podobno dochodu. Nauki w szkole głównéj szły podług nowo zaprowadzonego porządku powoli ku lepszemu, pod czujnym dozorem rektora; lecz podniesienie obserwatoryum do zamierzonego stopnia świetności, było zawsze przedmiotem jego najżywszéj troskliwości. A tu jeszcze wiele trudności do załatwienia w tym celu zostawało. Niebyło gdzie umieścić w sali obserwatoryum, zaszczupłéj na to, pięknych narzędzi astronomicznych sprowadzonych z Londynu, mianowicie owego kwadransa wielkiego, który w owczesnym stanie nauki, był największą zaletą całego zakładu. Poczobut postanowił przy południowéj ścianie obserwatoryum dodać z fundamentów przez wszystkie piętra nową budowę murowaną gruntownie i ozdobnie. Komissya chętnie potwierdziła plan Poczobuta i na przyprowadzenie go do skutku udzieliła mu summę 10,000 złt. p. Kiedy zaś trudno było z tak szczupłym funduszem przystąpić do dzieła Poczobut dołożywszy z własnego funduszu drugie tyle, niewahając się długo, zaczął tę budowę. Jednego zatém dnia z ostatnich miesiąca sierpnia roku 1782, astronom nasz zebrawszy wszystkich professorów szkoły głównéj i przyjaciół z kapituły, na miejsce przygotowane w murach akademickich przy obserwatoryum, do założenia fundamentu: zaprosił xiążęcia jenerała ziem Podolskich Czartoryskiego przewodniczącego wówczas jeszcze na sądach trybunału głównego Litewskiego, ażeby własną ręką chciał położyć kamień węgielny na tę budowę, jako komissarz edukacyi publicznéj (*).

(*) Niebędziemy tu powtarzać napisów położonych na kamieniu węgielnym i t. d. bo są już wymienione w roczniku Wileńskim na rok 1853, przez Gusiewa w rozprawie jego o Wileńskiém obserwato-

Urządziwszy całą tę fabrykę, Poczobut spokojnie oddawał się skrupulatnemu spełnianiu podwojnych obowiązków swoich rektora i astronoma: kiedy go niespodzianie komissya wezwała do Warszawy na schyłku tegoż roku. Czekało go tam ważne zatrudnienie, naradzano się bowiem nad ustawą powszechną dla szkół publicznych w kraju, albo raczéj nad poprawą jéj projektu, od dwóch lat już na próbie będącego. Spotkał się tam Poczobut z Kołłątajem, i razem z nim przyczynił się do ostatecznego ułożenia tego statutu. Lecz obok tego, podczas jego mieszkania w stolicy, wypadło mu walczyć z niebezpieczeństwem grożącém exystencyi szkoły głównéj Litewskiéj. Chciano ją zamienić na podrzędne liceum; lecz gorliwość i zasługi Poczobuta, i dzielny opór w komissyi znakomitych jéj członków z Litwy x. Adama Czartoryskiego i Joachima Chreptowicza, ocaliły ją od tak fatalnéj przemiany. W maju dopiéro 1783 roku Poczobut wrócił z nową ustawą do Wilna, i już zaraz tam znalazł ciężkie zmartwienie dla siebie i wielką stratę dla akademii. Gilibert, ów znakomity naturalista, ozdoba i jeden z najsilniejszych filarów jéj, rażony boleśnym wypadkiem w domu własnym, nagle rodzinę swoję, i szkołę główną i miasto opuścił, śpiesznie udając się do Lugdunu (**). Wypadek ten niespodziany pozbawił akademiję wybornego nauczyciela, tylko co nabytego, a Poczobuta znowu naraził na frasobliwe poszukiwanie godnego do zastąpienia Gilibert'a professora. Nim jednak przyszło do tego, szkoła główna Litewska i rektor jéj moc-

---

ryum str. 88, tudzież, w Historyi nauk przyrodzonych przez Gustawa Belke i Alexandra Kreusera, T. IV. str. 277.

(*) Przygoda ta Gilibert'a opisana jest w ciekawéj rozprawie, uczonego i wielce zasłużonego professora Adamowicza: *Krótki Rys początku i postępu Anatomii w Polsce i Litwie.* Wilno 1855, str. 42.

no zajęci zostali wielkim i świetnym obchodem, stuletniéj pamiątki zwycięztwa odniesionego nad Turkami pod Wiedniem przez króla Jana III Sobieskiego; wykonanie tego poleconém jéj zostało okolnikiem xiążęcia Michała Poniatowskiego biskupa Płockiego, prezydującego w komissyi edukacyjnéj, datowanym z Warszawy dnia 7 lipca 1783 roku. Niezgłębiając politycznych powodów, które skłoniły ówczesny rząd Polski do tego jubileuszu, w każdym razie uroczystość taka miłe wspomnienia obudzała w narodzie, a tém samém i w publiczności Wileńskiéj. Pocaobut dołożył wszelkich usiłowań, ażeby akademija co do wspaniałości obchodu nikomu niedała się upośledzić. Dwa dni w październiku tegoż roku poświęcono téj stuletniéj pamiątce. Dnia 11 odbyło się żałobne nabożeństwo za poległych w téj sławnéj walce rycerzy Polskich. W tym celu wzniesiono pośród kościoła akademickiego ś-go Jana, ozdobną piramidę ze stosownemi napisami, żałobnemi godłami i wizerunkiem Jana III, która się opierała na szerokiéj bateryi osadzonéj czterma działami polowemi, przy których stało na straży ośmiu kanonijerów i dwóch podoficerów z artyleryi Litewskiéj. Obok piramidy ustawione były dwie kolumny, z karabinów, pancerzy i chorągwi Tureckich ułożone. Mszę wielką celebrował xiądz Tomasz Zienkowicz biskup Ariopolitański dziekan katedralny. Słuchał jéj siedzący w prezbiteryum na tronie biskupim sam pasterz dyecezalny Massalski, otoczony suffraganami i kapitułą; daléj nieco na ustawionych wzdłuż filarów kościelnych krzesłach, usadowiły się przedniejsze panie jakie wówczas przewodniczyły na wielkim świecie Wileńskim, to jest: wojewodzina Smoleńska Tyszkiewiczowa, Nowogródzka Niesiołowska i sędzina Massalska. A w głębi świątyni dopiéro umieścił się cały senat akademicki ze swoim prześwietnym rektorem, w żałobnym ubiorze, w pośród licznego bardzo zgromadzenia uczącéj się młodzieży, w wyższych i niższych szkołach. Nabożeń-

stwo odbyło się wspaniale i uroczyście; rozrzewnienie było powszechne. I to był dzień żałoby. Nazajutrz dopiéro 12 października obchodzono pamiątkę zwycięztwa. Kościół też przybrał inną postać. W miejscu owéj piramidy zbudowano tryumfalną kolumnę, któréj czworoboczna podstawa uzbrojona była także działami, krawędzie zaś okolone czterdziestofuntowemi kulami, przedzielonemi bagnetami, co tworzyło jakby ogrodzenie jakie sztachetowe. Po rogach stało czterech grenadyerów z bronią z pułku szóstego. Nad tą kolumną zwieszał się baldachim w kształcie Tureckiego namiotu, utrzymywany w szponach orła unoszącego się pod samém prawie sklepieniem; co mianowicie dla swojéj misternéj roboty zwracało ciekawe oczy publiczności niemniéj licznie zgromadzonéj do kościoła. Inne znowu napisy, a zawsze stosowne do drugiego dnia uroczystości, zdobiły ową kolumnę zwycięztwa. Obchód dnia tego był już solenniejszy i trwał daleko dłużéj. Nie suffragan, ale sam biskup dyecezalny Wileński, xiążę Massalski, miał mszę śpiewaną; a jeden z professorów teologii w szkole głównéj, najznakomitszy wówczas kaznodzieja w Wilnie, xiądz Michał Karpowicz, powiedział kazanie dobre i rozumne, usiłując obudzić w przytomnych, a szczególniéj w młodzieży szkolnéj, ducha porządku, posłuszeństwa prawom i dobrze pojętéj miłości kraju, wystawując śmiało i w żywych obrazach czém był naród kiedy Sobieski ocalał Wiedeń i Europę od Turków, a czém się stał po upływie całego wieku nierządu i zniewieściałości! Po nabożeństwie i odśpiewaniu hymnu „Ciebie Boże chwalimy“ powróciło jeszcze raz całe to świetne zgromadzenie o 4-éj godzinie po południu do kościoła, gdzie x. Mackiewicz wice-professor akademii i sekretarz kollegijum moralnego miał długą bardzo mowę w języku Łacińskim. W niéj, okazawszy na jak trwałéj posadzie czci dla religii, posłuszeństwa dla praw, i zwierzchności, zamiłowania w naukach, i ćwiczenia się w sztuce ry-

cerskiéj, opierała się sława narodu; jak Jan III był wzorem tych wszystkich zalet dla potomnych: zachęcał słuchaczów do wskrzeszenia i naśladowania staroświeckiéj cnoty! — Takie kazanie i mowa, powiedziane z otwartością i powagą, niemałe zrobiły wrażenie na obecnych. Oddawano sprawiedliwość mądremu urządzeniu całego obchodu, którego uroczystość powiększała piękna postawa wybranych kompanij z półku szóstego piechoty imienia xiążąt Massalskich i artyleryi Litewskiéj, stojących w paradzie wzdłuż kościoła. Rektor i akademija odbierali podziękowania od wszystkich za tak trafne ułożenie tego pamiętnego obchodu, a kapitan artyleryi Lit. Knakfus architekt j. kr. mości za gustowny plan żałobnéj piramidy i tryumfalnéj kolumny i piękne ich wystawienie. Biskup zaś Inflancki Kossakowski na dowód zadowolenia swego, oddał do zbiorów akademickich medal złoty wartości 30 czerwonych złotych, bity niegdyś podczas koronacyi Jana III. Po tém wszystkiém zebrali się jeszcze raz liczni goście na trzeci dzień do Auli, i tam w obec akademii, wszystkich szkół i młodzieży, słuchali znowu długiéj a do uroczystości stosownéj mowy w Polskim języku miánéj przez x. Szalewicza nauczyciela wymowy w szkołach podwydziałowych. Obok takich solenności, Poczobut pracował nieustannie nad pomnożeniem nauk w szkole głównéj Litewskiéj, już gorliwie wypełniając rozporządzenia Komissyi edukacyjnéj, już spólnie z podkanclerzym Chreptowiczem najprzywiązańszym orędownikiem téj akademii, zapełniając wakujące katedry wyborem o ile można było najzdolniejszych professorów. I rzeczywiście w ciągu dwóch lat od jéj reformy tyle dokazał, że i kollegijum moralne wprzódy zaledwo z kilku osób złożone, już przy zaczęciu lekcyj uniwersyteckich w jesieni roku 1783 prawie całkowicie uzupełnione zostało. A chociaż dla trudności w zgromadzeniu i nominacyi nowych nauczycieli, otwarcie kursów zwykle przy końcu września naznaczane, przeciągnęło się

o miesiąc później: uroczystość ta jednak świetniéj i z nadzieją większego pożytku dla uczniów odbyła się 28 listopada, i przeciągnęła się do kilku dni następnych. Rektor mogąc już wtenczas pochlubić się usiłowaniem zwierzchności edukacyinéj o dobro publiczne i rozszerzenie światła pomiędzy młodém pokoleniem: starał się zaczęcie to nauk w roku 1783, chociaż nieco spóźnione, uczynić okazalszém i dla wszystkich widoczniejszém. Sproszono więc na ten akt ile można najwięcéj i najznakomitszych dostojników, jacy się mogli wówczas znajdować w Wilnie, a i publiczność różnych stanów tłumnie się zebrała, bez szczególnych zaprosin, bo każdy był ciekawy oglądać i słyszeć tylu nowych professorów. Gdy się to wszystko zgromadziło w Auli, w piątek 28 listopada, i gdy nakoniec przybył biskup Massalski, prezydent komissyi edukacyjnéj, i dotąd jeszcze zachowujący godność kanclerza akademii, razem z wojewodą Niesiołowskim, z czterma suffraganami i z marszałkiem trybunału głównego jenerałem Morawskim, w gronie wszystkich deputatów tegoż trybunału: wystąpił z pośrodka senatu akademickiego, sekretarz akademii x. Naruszewicz, i mową zawsze Łacińską otworzył kursa nauk w szkole głównéj na rok 1783—4. Wystawiwszy w niéj cały szereg rozmaitych umiejętności, mających się wykładać w owym przeciągu czasu, przez tylu nowo zobowiązanych światłych nauczycieli, zachęcał młodzież do korzystania z ich wiadomości i poświęcenia się. Po nim mówił także po-Łacinie, xiądz Dawid Pilchowski, kanonik Inflanocki, a w akademii prezes kollegijum moralnego i professor literatury, mąż prawdziwie uczony, tłómacz wyborny Salustyusza, i bardzo w Litwie poważany. Mówił nader wymównie, posiadając doskonale i wzorowie język Łaciński, a również zagrzewał uczniów do przykładania się do nauk, których sferę tak znakomicie komissya rozszerza corocznie w szkole głównéj. Zakończono to posiedzenie zwykłem rozdaniem prospektu i ta-

bic z rozkładem czasu na lekcye. Ale nieprzestał na téj ceremonii Poczobut, mając ten główny cel, ażeby publiczność wszelkiemi sposobami oswajać z każdym rodzajem nauk zaprowadzających się w akademii — publiczność, która po większéj części, z uczniów szkół Jezuickich, albo z aplikantów palestry złożona, żadnego dotąd wyobrażenia jasnego o nich nieuniała, owszem zwyczajem nieuków szydząc z tego, nieużyteczność ich wszystkim wmawiała. Niemówimy wcale, żeby takie uprzedzenia były w kraju powszechne, ale chcemy powiedzieć, że niestety były u większości powszednie. Walcząc z niemi zacny Poczobut, musiał chwytać się rozmaitych środków do wykorzenienia tak grubych przesądów. Każdéj więc nowéj katedry otwarcie w szkole głównéj, postanowił uczynić niejako publicznem. Nazajutrz więc po mszy w kościele ś. Jana i odśpiewaniu *Veni Creator* przez Łopacińskiego suffragana Żmudzkiego, ciż sami znakomici goście, i rozmaici inni słuchacze, zebrali się na zaproszenie rektora, do pewnéj sali, dla posłuchania co powie znany wszystkim xiądz Strzecki, astronom królewski i prezes kollegjum fizycznego, o astronomii, któréj był professorem, o nauce, którą wtenczas na Litwie uważano za ciekawą tylko, ale zrozumiéć jéj pożytku jeszcze niezdołano. Miał on uczniów nieco, którym trzy razy w tygodniu tę naukę wykładał, we wtorek, czwartek i sobotę po godzinie, ale takim podobno co do słuchania jéj byli obowiązani, jako kandydaci do stanu nauczycielskiego. Wszakże x. Strzecki wypowiedział gładko i powabnie wszystkie zalety astronomii, i dowiódł potrzeby jéj w każdym kraju, wysławiając tylu Polaków, którzy oddając się téj nauce, wielkiéj sławy dostąpili. Zaledwo skończył astronom, powstał w tejże saméj sali jeden z nowo mianowanych, professor prawa natury, xiądz Hieronim Strojnowski Pijar, i również stosowną do przedmiotu przemową zagaił kurs swojéj nauki. I takim samym sposobem w następnych

dniach rozpoczynały się jedne po drugich lekcye rozmaitych przedmiotów, w obec różnie odmieniających się gości. W poniedziałek Kornelijusz Pocałojewski, jedyna świecka osoba w całém kollegijum moralném, zagaił lekcyę praw kościelnych, przy dwóch prałatach, Toczyłowskim suffraganie Wileńskim i Łopacińskim Żmudzkim, oraz kilku deputatach trybunału. Tak we wtorek xiądz Narwojsz tytułujący się matematykiem j. kr. mości, uprosiwszy sobie na głównego słuchacza biskupa Zienkowicza, prócz innych, dał poznać uczniom jakim sposobem wziąwszy za przewodnika Newtona, będzie im wykładał matematykę wyższą. Tak następnie we środę, nowy zupełnie professor teologii moralnéj i historyi kościelnéj, xiądz Wilhelm Kaliński, Missyonarz, który przez swoje wybórne kazania, stał się spółzawodnikiem Karpowicza, w przytomności xiędza suffragana Łopacińskiego, odczytał bardzo zajmujący wstęp do swoich lekcyj; a po nim wnet toż samo zrobił x. Syruć zajmujący katedrę Pisma świętego i prawa Rzymskiego. Karpowicz spóźnił się nieco z otwarciem swojéj lekcyi teologii dogmatycznéj, bo dopiéro czwartego grudnia ją zaczął: ale zato znany już jego talent wymowy, sprowadził więcéj ciekawych słuchaczów. Sam nawet xiążę Massalski i aż czterech suffraganów, oraz wielu kanoników i prałatów, należało do ich liczby. Nakoniec dnia 5 grudnia wystąpił po raz piérwszy, bardzo pożądanego od światlejszych ludzi przedmiotu, historyi powszechnéj nowo mianowany professor, xiądz Tomasz Hussarzewski, Missyonarz, regens dyecezalnego seminaryum, człowiek zdolny i wiele posiadający nauki. I dla nowości przedmiotu, i dla zalet professora, i nakoniec dla tego, że to już była ostatnia lekcya, którą zaczynano publicznie i uroczyście: zebrało się znowu więcéj słuchaczów, a między nimi przybyli światły wojewoda Nowogródzki Niesiołowski i sam xiążę pasterz dyecezalny, a w jego orszaku naturalnie wielu prałatów.

Hussarzewski w dobrze ułożonéj przemowie o pożytkach z gruntownéj i krytycznéj znajomości historyi, dał poznać wszystkim, że będzie wkrótce jednym z najlepszych professów akademii. — To wspaniałsze nad inne otwarcie kursów w szkole głównéj Litewskiéj, przekonało Litwę, że komissya edukacyina nie napróżno pracowała nad rozszerzeniem i ułatwieniem środków do oświaty młodego pokolenia, i że xiądz rektor Poczobut gorliwie urząd swój sprawował. Ostre nawet szyderstwa ludzi przesądnych a zarozumiałych, niemogących jeszcze oswoić się z nowym porządkiem rzeczy, których wtenczas Wilno niemało liczyło, zaczęły uciszać się mimowolnie na widok wzmagającéj się codzień reformy w naukach, wspieranéj, przez duchowieństwo i znakomitsze osoby w kraju! —Tymczasem Poczobut widząc jak pomyślnie powiodło mu się wypełnić polecony od komissyi edukacyjnéj jubileusz zwycięztwa Jana Sobieskiego pod Wiedniem: kazał dla utrwalenia pamięci téj uroczystości w kraju, zebrać w jedną xiążkę kazanie, mowę, okolnik komissyi i opis obchodu, a dodawszy od siebie dedykacyę do króla i dwie ryciny wyobrażające oba pomniki wzniesione wówczas w kościele św. Jana, wydrukować ją w Wilnie (*). Chciał zaś tak przygotowany opis ofiarować królowi, jeżeliby jadąc na sejm do Grodna w r. 1784 mający się odbyć, zboczył jak się spodziewano do stolicy Litewskiéj. Ale pokazało się potém że w programacie podróży jego niebyło wcale Wilna. Stanisław-August powziął zamiar w swobodniejszym czasie od walniejszych spraw krajowych, zwiedzić Polesie, a przynajmniéj

(*) Pamiątka stóletnia zwycięztwa pod Wiedniem przez Jana III króla Polskiego nad Turkami otrzymanego roku 1683, z woli prześwietnéj komissyi edukacyi narodowéj przez szkołę główną w. x. Lit. uroczyście obchodzona, dnia 11 i 12 października roku 1783. (W Wilnie w drukarni j. k. m. przy akademii. kart 48 in 4-to).

część jego w okolicach Pińska, dla poznania urządzającej się tam kanalizacyi i połączenia rzek ważniejszych, po drodze zaś rozerwać się łowami w sławnéj puszczy Białowieżkiéj. Wybrał się w tę drogę 26 sierpnia z Warszawy w licznym orszaku, do którego przedewszystkiém należał podkanclerzy Chreptowicz. Ten zatém wyrachowawszy podług rozkładu drożnego, czas przybycia królewskiego do Szczors, uwiadomił Poczobuta o tém, wzywając go, żeby do tych dóbr jego przybył, dla powitania króla w imieniu akademii. Skoro więc Stanisław-August, po tygodniowém goszczeniu swojém w Nieświeżu, gdzie się na jego przyjęcie wysadził najwspanialéj Karol xiążę Radziwiłł zwany „panie kochanku" Wojewoda Wileński, zbliżał się w dniu 22 września do Szczors, — między innemi poważnemi osobami dla przyjęcia tam króla przybyłemi, witał go także zasłużony i dobrze mu znajomy xiądz rektor Poczobut. Składając mu wówczas hołd od siebie i szkoły głównéj wielkiego xięztwa Litewskiego, ofiarował też razem xiążkę zawierającą opis odbytéj uroczystości w Wilnie, o któréj teraz powiedzieliśmy. Król przyjął to ze zwykłą sobie uprzejmością, i do mnogich zasług rektora, doliczył i tę jego troskliwość do spełnienia owego polecenia komissyi, które miało wielkie znaczenie i zgodne było z widokami monarchy. Po wyjeździe Stanisława-Augusta do Grodna, Poczobut pośpieszył zaraz napowrót do Wilna, gdzie go zajmowała bardzo, postępująca chociaż powoli ale gruntownie, budowa obserwatoryum, i nadchodzące blizko otwarcie lekcyj w szkole głównéj na rok 1784—5. Akademija w tym czasie powiększyła grono swoich nauczycieli bardzo ważnym nabytkiem: sprowadzony bowiem został przez komissyę edukacyjną z Turynu uczony Józef Santorie, doktor medycyny i uczeń D'Arcet'a na professora chemii do Wilna. Nauka ta nowa jeszcze w Europie, a w Litwie zaledwo słyszana, wymagała większéj niejako solenności w zaczęciu jéj lekcyj, ponieważ publicz-

ność niemiała jasnego pojęcia o jéj potrzebie i korzyściach. Znając to wszystko Poczobut, nieomieszkał przydać świetności otwarciu téj katedry, przez zaproszenie na przemowę Sartoris'a, w Auli mianą, co tylko było wtenczas najznakomitszego w stolicy Litewskiéj. Właśnie też i sam prezydent komissyi edukacyjnéj Massalski i kilku jeszcze biskupów, z wielką liczbą prałatów i kanoników kapituły Wileńskiéj, a nakoniec pan Biszping marszałek trybunału duchownego ze swoimi deputatami, przybyli na to posiedzenie uczone. A chociaż zaledwo część jakaś słuchaczów, mogła rozumieć co mówił o chemii po Łacinie Sartoris: każdy jednak widząc człowieka poważnego i biegłego w oddaniu tego co umiał, opuszczał salę w tém przekonaniu, że jeśliby ta nowa nauka była nawet niepotrzebnym wymysłem, to przecię w każdym razie akademija i Wilno może skorzystać, że nabyło w Sartorisie człowieka rozumnego, i dobrego zapewnie lekarza.

JESZCZE O ZORYANIE CHODAKOWSKIM

CZYLI

ADAMIE CZARNOCKIM.

(Korespondencya z Warszawy Hip. Skimborowicza.)

Kiedyście mię zaczepili w drugim Numerze swéj *Teki* (str. 302), to muszę, obok podzięki dla p. D. Chodźki za jego artykuł o Adamie Czarnockim, *alias* Zoryanie Dołędze-Chodakowskim, dorzucić kilka sprostowań lub dopełnień, bez których niemoże się obejść życiorys żadnego z pisarzy obecnego wieku. Dopóki czas po temu, zbierajmy jak najskrzętniéj wszystkie, by najmniejsze szczegółki, aby z nich kiedyś bezbłędna urość mogła całość.

Pan Chodźko, obok Kraszewskiego i Wojcickiego, przytacza, że i ja uwierzyłem z nimi jego podaniu wytłoczonemu jeszcze w ś. p. Encyklopedyi powszechnéj (T. IV od str. 270 do 272). I dla czegoż niemiałem wierzyć, kiedy oprócz zaufania na jakie ze wszech względów zasługuje prawy pisarz, i jam posiadał w ręku nietylko też same zasoby jakie miał p. Chodźko, ale nadto i kilka innych, których tu w części użyję.

Już z tomu III wydawanego przezemnie *Przeglądu Naukowego* w roku 1842, mógł widzieć szanowny bijograf, żeśmy mieli przed sobą rękopisma niektóre badacza Słowiańszczyzny przedchrześcijańskiéj. Posiadaliśmy także trzy zeszyty wypisów, dokonanych

w Moskwie z prac mniemanego Zoryana, przez p. Kuczyńskiego, urzędnika kom. sprawiedliwości, które się potém dostały do zbiorów jednego z byłych ministrów s. w. i d. Czytaliśmy i memoryał, a raczéj po prostu czteroarkuszową prośbę, podaną nie w roku 1809 (jak pisze p. Chodźko w Tece) ale 10 stycznia 1810 roku do Zacharyasza Jakubowicza Karniejewa, i żałujemy, iż szanowny żywotopisarz nieprzytoczył ztąd własnemi słowami Adama wielu szczegółów odnoszących się do sprawy jego. Wprawdzie styl tego Nowgorodzkiego podania i dziwny sposób wyrażania się, wstrzymywał zapewnie pana Chodźkę od dosłównych wypisów; ale w rzeczach tyczących się dziejów sławnego człowieka, wszystko co było, powinno się właściwémi oddać cieniami. I niebędzie to nawet zabrudzeniem obrazu: bo w swém usprawiedliwieniu się roztacza obwiniony wszystkie prawne i do okoliczności zastosowane środki, które tylko znamionują talent jego adwokacki, od którego miał wstręt wyraźny w dalszym ciągu życia. Styl zaś zepsuty, zmakaronizmowany podwójném użyciem języków *Słowiańskich* (jak sam się wyraża), i to nietylko w całych ustępach przydłuższych, ale nawet w krótkich okresach zwyczajnych, jak z jednéj strony dowodzi braku, w początkach ukształcenia, dobrych zasad naukowych, tak z drugiéj strony chlubnie przekonywa, ile może zdziałać własną pracą podobny Czarnockiemu umysł, nieposiłkowany światłem żadnych wyższych zakładów naukowych, ani posiadający nawet obfitych zasobów z pierwiastkowego wychowania, stanowiącego najczęściéj główną zasadę przyszłego powołania człowieka. Że zaś Zoryan jako człowiek niepospolity, wszystko samemu sobie był winien, przeto, nietylko iż go nieponiżają niedostateczna znajomość języków Słowiańskich, a szczególniéj ojczystego, oraz małe zasoby nauk przygotowawczych; lecz wyświecając jego wyższość, dają nam do myślenia, jakby wiele mógł zdziałać podobny Czarnockiemu genijusz badawczy, gdyby spotę-

gowanym był niezbędnemi ku temu środkami i okolicznościami przygodniejszemi.

Pan Chodźko, wspominając o sylwetce Chodakowskiego, niewzmiankuje nic o tém, że Kielisiński wyrył na miedzi jego i żony wizerunek konturowy z listu, w którym sam autor naszkicował siebie i małżonkę, pisząc do ś. p. Gwalberta Pawlikowskiego.

Mam w téj chwili sześć listów jego w autografach, datowanych 28 listopada 1818 r., — 30 października 1819, — 2 lutego 1820 r. z Petersburga, — 22 grudnia 1821 z Moskwy, — oraz 7 lipca i 9 października 1822 roku. Nim je wam przyszlę do druku w większéj części wyciągów, tymczasem wypisuję tu zdania, jakie sam autor o własnéj pracy poufnie wydawał.

„Posyłam rzecz, któréj niemiałem czasu lepiej kwiatami ozdobić i szlachetniéj wystawić: pogaństwo odmalowałem pogańskim sposobem; przynajmniej rzetelnym. Prawda, że wielu gniewa się, wielu chwali; co głowa, to rozum... Mam jednak zapewnienie, że synowie Rusej Kosy wdzięczniej przyjęli. Poznasz w tym krótkim zarysie, jaki jest mój cel," i t. d.

W drugim liście do téjże osoby, mówi: „Spodziewać się powinienem, że to pisemko moje... czytasz i przerażasz się dzikością rzeczy obranéj, jak równie sposobem tłómaczenia się mniéj zwykłym. Tak wnoszę z powszechniejszego sądzenia o tém, wypieszczonych w kolebce południowéj Minerwy. Są jednak, co potwierdzają mnie i z téj rudy czystego z czasem kruszcu spodziewają się. Ja przynajmniéj mogę to obiecywać w miarę nieustającéj ochoty mojéj, w miarę zachęceń i wzrastających coraz więcéj materyałów. Nigdy nietrafiły się trudniejsze wyszukiwania historyczne i nigdy może większego poświęcenia się dla nich niebyło. Oboje mając w myśli, odważam się nogą śmiałą iść wszędy, zarówno w świetne podwoje i w nachyloną chałupkę wieśniaka; wszędy nawijające się korzyści jedną ręką zrywam."

A w innem znowu piśmie powiada: „Na żądanie kuratora

uniwersytetu Wileńskiego, dla otrzymania rządowéj opieki, musiałem *zbyt wczesną*, z materyałów dotąd zebranych, napisać rozprawę. Nieumiém zgadnąć, co o niéj świat uczony i krytyka natężona wyrzekną; to mam tylko w zapewnieniu ze strony protekcyjnéj, że mi nada większy popęd, pomoc rządową i stałe sposoby ku dokonaniu mego przedsięwzięcia. Z powodu tego, że w tém mieście osnułem piérwszy wątek moich myśli, łącząc więc usiłowania jego, oddałem moją legendę do pisma peryodycznego Cwiczeń naukowych“ (*).

W liście do Bandtkiego tak się wyraża: „Przebąknienie moje o Słowiańszczyźnie przed Chrześcijaństwem, jest to prędkie skreślenie i nadto ogólne, do tego żelaznym stylem złożone. Nadto byłem znaglonym i niemiałem czasu ozdobić i ogładzić stylu. Lecz mniejsza o styl; nam chodzi więcéj o rzecz, która zdawała się być zupełnie straconą. Dają mi tu wszyscy poklask, ale niewiém, co o téj oryginalności świat krytyczny wyrzecze. Xiążę kurator, przełożone na Rossyjskie, przedstawia do Petersburga. ....Jest mojém życzeniem, aby te myśli przesłać Ossolińskiemu i księdzu Bobrowskiemu do Wiednia. Możeby ten promyk był przydatny w wyszukiwaniach podobnych u Słowaków Austryackich.“

W piątém zaś miejscu wypisuje, co mu nastręczyło myśl badania tak odległéj przeszłości:

„Cztery lata spędziłem, nieprzywiązując się do żadnego miejsca. Sposób życia pierwiastkowy, nienęcił mnie; zdawał się

(*) Patrz: *Cwiczenia Naukowe*, oddział literatury, Tom drugi, rok 1818, od str. 3 do 33 *O Słowiańszczyźnie przed Chrześcijaństwem*; na końcu Z D C. „Pisałem w Sieniawie nad *Sonem* 1818 roku w miesiącu marcu.“ — Pan Chodźko tak się wyraża, jakby w *Pamiętniku Lwowskim* miała być inna praca Z. D. C. a to tylko przedruk z *Cwiczeń*, jak również powtórzenie w Krakowie 1835 r., a przekład w *Wiestniku Europy*.

być poziomym; nieobiecywał żadnéj trwałości, ani chwały (*). Przeszłe zdarzenia nauczyły mię cierpliwości i obszerniejszych wyobrażeń. Nawykły do niewczasu, lubiący podróże, umyśliłem obejrzeć cały ród Słowiański i z niego wywieść pasmo nowych uwag tyle potrzebnych dla objaśnienia piérwszych dziejów Północy i ukazania źródła narodowości naszéj..." i t. d.

Gdzieindziéj znowu nadmienia:

„Snuję się po różnych kątach Halicza: byłem w Przemyślu... Przyglądam się Rusi, która mi wiele podaje swojej starożytności... Rzecz osobliwą znalazłem we wsi Czermnie nad Huczwą... Byłem we Lwowie przez parę niedziel" i t. p.

Wypisujemy tutaj podobne wyciągi, już to dla tego, aby wykazać zdania, właściwym tylko Chodakowskiemu sposobem wyrzeczone; już-to ażeby zachęcić kogokolwiek do zebrania w jednę całość jeżeli nie wszystkich prac Zoryana (nawet i przełożonych), to przynajmniéj listów, w których streszcza wycieczki swe po kraju własnym. Smutno jest bowiem widzieć tyle pism jego przepomnianych już poniekąd, jako w innym skréślonych języku, podczas, kiedy zkądinąd wiemy że on tak miłował swe rodzinne strony i tak zawsze do nich tęsknił! Na potwierdzenie słów naszych przytaczamy wyjątek z notatki kreślonéj na kilkanaście dni przed śmiercią, to jest 1 listopada 1825 roku:

„Wraca bocian w kraje przodków swoich! Porzuca jaskółka nasze okolice, i gil pieśń wznosi na bezlistném drzewie! Ach kiedyż ja porzucę to życie, co mi już przykre jest, co mię udręcza? Kiedyż powrócę w żalnik, tę krainę, w któréj znajdę się jak pod własną strzechą?"

(*) Niemówi tu o swym zawodzie wojskowym, lecz o służbie prywatnéj, o któréj jeszcze ostrzéj się wyraża w innym liście, jak to zobaczymy niżéj.

Nieszczęścią więc i spotykane w całém życiu zawady, potrafiły znękać i najwytrwalszego nawet podróżnika-badacza! — podołały przygnieść swym ciężarem żelaznym owego mężnego ziomka, co dla miłości nauki wyrzekł się stron rodzimych, imienia, kraju, słowem *wszystkiego!* Jakaż-to różnica od owego stanu ducha, kiedy przed dziewięcią laty wprzódy, rzucał zupełnie odmienne na papier myśli:

„Jest szczęście na ziemi! tułać się pomiędzy ludem, żyć całą siłą poetycznego życia wieśniaków! Jakżem szczęśliwy w mojéj siermiędze, z moją nędzną strawą, gdy mi opowiadają, wspomnienia swoje, życzenia swoje! Między ludem cnota mieszka, między ludem poezya mieszka. Pokażcie mi choć jednego rolnika-chłopa, coby z własnego popędu źle robił? Złe ma serce ten, kto ludu nie kocha całą bratérską miłością!“

Po dziesięciu zaś lecieeh téj tułaczki, a na parę lat przed skonem, jeszcze nietraci bynajmniéj świetnych nadziei i rojeń przyszłych szperacza, mówiąc o sobie w roku 1822:

„Z zapasem mojéj wiadomości geograficznéj i przeszłéj włóczęgi, a teraz już z cyrklem w ręku, niezgubię się w tym ogromnym przestworze i zarumienię wszystkich swoich i niesłowiańskich mędrców, którzy lekko sądzili o naszych przodkach i o mnie, przedsiębiorącym wskrzesić ich pamięć!“

Z takich wylań się duszy, najlepiéj poznajemy pisarza. Dla tego nadzwyczaj wysokiéj są ceny prawdziwe pamiętniki każdego autora. Mówiąc *prawdziwe*, chcemy tym jednym wyrazem odłączyć wszelkie bądź fałszywe pamiętniki, kreślone przez ludzi nieszlachetnych, od których i nasze piśmiennictwo, na nieszczęście, wolném być niemogło, bądź pisane, jak to mówią, *nie na gorąco*, lecz w późniejszych chwilach, z przypomnień, lub dla spekulacyj xięgarskich od razu z lat kilkunastu. Przy całéj sumienności, podobne streszczenia chwil ubiegłych, niemają owych *danych*, jakie mimo woli wypływają z pod pióra w chwili ongi obecnéj, pod wrażeniem natych-

miastowém, przy nieostygłéj jeszcze gorącości serca: później gra tylko pamięć ożywiana sztucznem ciepłem wspomnień. Rzecz zaraz opisana, i tenże sam przedmiot w lat kilkanaście do umysłu działacza przywołany, co do wierności swéj tak się różnią, jak portret przez mistrza uchwycony z natury w młodości jego, lub całéj sile męzkiego wieku, i tenże sam wizerunek malowany z przypomnień tylko, wtedy, kiedy już ręka drżeć poczyna, choć pędzel jego wówczas wprawniejszym i artystyczniéj wykończonym być może.

Otoż dzień po dniu pisanym pamiętnikiem, jest rękopism Chodakowskiego pod tytułem: „*Bez chęci podróż moja* i t. d.“ Długi czas bawiąc na Wołyniu, Czarnocki zostawił ów pamiętnik u nauczyciela domowego ś. p. Łukasza Gołębiowskiego, nazwiskiem podobno Cieszeja. Oprócz pieczęci, strzegącéj ten autograf, były jeszcze dopisane słowa następne ręką autora: „*Po mojéj śmierci otworzyć dopiéro można.*“ Gołębiowski skłaniał posiadacza téj drogiéj pamiątki, aby ją złożył w darze b. towarzystwu Przyjaciół nauk w Warszawie. Czy p. Cieszej to uskutecznił? a jeśli i uczynił, azali ta xięga znajduje się w byłéj biblijotece? o tém nic wiedzieć, a następnie i powiedzieć tutaj niemożemy. To pewna tylko, że Łukasz Gołębiowski znając osobiście Czarnockiego, naprzód z biblijoteki Poryckiéj a potém Puławskiéj, w których niemało czasu strawił nasz Zoryan, był ciekawym dowiedzieć się szczegółów jego życia. Gdy więc w latach 1826 i 1827 pewni już wszyscy byli, że Chodakowski umarł, wtedy Cieszej ów rękopism rozpieczętował, a Gołębiowski nieczekając téj chwili niepewnéj, kiedy Pamiętnik dojdzie do zbiorów towarzystwa Przyjaciół nauk, wynotował zeń ciekawsze rzeczy, i mnie, jako przyjacielowi swemu, własną ręką przepisał w roku 1840.

Niektóre szczegóły przytaczamy tutaj, jako dopełnienie do artykułu pana Chodźki. Liczył on stronic 255, i według nas, raczéj brulijonem lub raptularzem, niż pamiętnikiem nazwany byćby powinien. Aleśmy już powiedzieli, że dla prawdy dziejowéj

lepsze są podobne notatki dorywcze od wystudyowanych pamiętników.

Prosimy tu pana Chodźkę, aby, jako będący bliżéj miejsc rodzinnych Czarnockiego, sprawdził lub objaśnił niektóre rzeczy przez nas przywiedzione:

„Lichém przeznaczeniem stworzonemu tam gdzieś pod Hajną (?)" Czy to Hajny? czyli Hajna? i czy rzeczywiście tam się rodził nasz Adam?

W liście tu zamieszczonym do xcia Radziwiłła, nazywa siebie Słuczakiem; w innych miejscach wspomina, że w blizkości Nieświéża i Słucka przyszedł na świat. Piotra Czarnockiego, rotmistrza Orszańskiego w Połhinach (w Mińskiém), na str. 98 nazywa „kochanym braciszkiem."

Wymienia towarzyszów trzydziestu tygodni, które nie do niego należały. Daléj od 31 grudnia 1809 r. opisuje swą podróż przez Nowogród, Moskwę, Włodzimiérz nad Klazmą i t. d. Smutek go ogarnął gdy przebywał rzekę Wołgę, jakoby granicę Europy. Po Kazaniu, Permie, wspomina o Kamyszławie, gdzie ich częstowano za przysmak miazgą sosnową i świeżemi szyszeczkami. I wtedy już przebijał się w nim badacz i niezwykły podróżnik. Po drodze, co gdzie mógł słyszeć, zbiera i zapisuje, jak np. o Czeremisach, Czuwaszach, Watiakach, Wogułach, Kirgizach i t. p. W Presnowsku znalazł się dopiéro Adam 27 czerwca 1810 roku: więc w ciągu półroku przebył werst 3,923. Dziennik ten zaczyna się od 52 stronicy; niektóre zaś szczegóły są na str. 37, 46 i 48. Od str. 50 do 52giéj mieści się tu szereg imion krajowych, które spisał, poczynając od czasów Puławskiego. Pisuje różnym osobom prośby i listy do krewnych, jak np. dla Rzewuskiego, do Chodkiewiczowéj; notuje co rośnie, a czego gdzie niéma; zachowuje pamięć gdzie niegdzie dostrzeżonych zwyczajów; wypisuje zdania z dzieł czytanych (jak np. ekłogę o zwyczajach ludów północnych przez J. U. N.); sekreta lekarskie tamtejsze; notatki do kogo w owym czasie pisał; wiado-

mości o pokładach metallicznych; wiersze Tatarskie; naźwiska miejsc Słowiańskich dziś przeinaczonych; nareszcie przydaje słowa i sposoby mówienia, czyli dykcyonarzyk w języku Czeremisów, Czuwaszów, Tatarów, Watiaków, Kirgizów, Jakutów i plemion Baratskich.

Półk, w którym służył Adam, otrzymuje rozkaz wyjścia ku Litwie. Marsz rozpoczął się w poniedziałek 12 września 1810 r. (str. 147—189); zimowe leże mieli w Permie od 7 listopada 1810 do 18 lutego v. s. 1811 r. W obozie pod Bobrujskiem stali dwa miesiące od 21 czerwca do 21 sierpnia. Tam wyrobił sobie wyjazd do K. i L. Rzeczy jego, jako zmarłego, odesłano w powiat Słucki (str. 206).

Dnia 19 i 24 grudnia 1811 r. pisze już z Warszawy. Były tu również listy (a raczéj ich brulijony) do xięcia Józefa Poniatowskiego z objaśnieniem planu jednego z miast, do Sobolewskiego i innych z różnemi projektami (str. 240 i dalsze).

Dnia 18 lutego 1812 r. do x. Radziwiłła półkownika 8 półku ułanów donosi, że przeznaczony jest do 5-go półku piechoty jako adjutant-podoficer. (To się zgadza z notatką jego daną Polewojowi (*), i umieszczoną w *Synu Ojczyzny* 1839 r. a przedrukowaną w *Dzienniku Warszawskim* dopiéro 1855 w N 101).

Do x. Hippolita obrządku Greckiego, podpisał się Zoryan Linbrański (str. 230),

Od marszałka Davoust'a wysłany był nad Niemen, i ze swego posłannictwa zdawał raporta 4 i 19 maja 1812 r., z których naczelny wódź był kontent, jak sam powiada Adam czy też Zoryan Linbrański, Chrzanowski, Chodakowski, a właściwie Czarnocki.

(*) Ponieważ w notatce Zoryana, danéj redaktorowi P. znajduje się wiele *umyślnych* a koniecznych naówczas błędów, przeto p Chodźko zechce sprawdzić, czy matka Adama była w istocie Anna z Korzeniowskich?

Dnia 30 maja uwolnienie ze służby na własną otrzymał prośbę, a zyskawszy nieograniczony urlop, znajdował się przy głównéj kwarterze korpusu, przymując na siebie nadzwyczajne pono missye. Po cofnięciu się armii Napoleońskiéj i swojém ze Smoleńska, po przygodzie pod Borysowem, dla wielu okoliczności zmuszony był ukrywać się koło Kiezgałowic u S....

Wypisuje wreszcie w tym dzienniczku gdzie przebywał od 15 kwietnia do 10 września 1814 r. (str. 247).

Na stronicy 250 mówi o Julii Czarnockiéj, do któréj pisze nawet wiersze.

Naźwisko Chrzanowskiego przyjął na się w Galicyi, gdy został rozbitkiem odpadłym od armii Francuzkiéj (*).

Ciekawym jest na pieczątce Czarnockiego Adama napis w około herbu, na który nikt z przepisujących listy niezwrócił uwagi.

Żywot Chodakowskiego, od dzieciństwa do grobowéj deski, usłany był po większéj części samemi cierniami. Zaledwie kilka tylko przyjemniejszéj woni kwiatów zerwał na drodze pielgrzymki ziemskiéj. Czytamy bowiem w jednym z listów:

„Mówiąc po-szczeremu (tylko proszę nieprzyjąć z gniewem) moja korespondencya tyle uważa się od was, ile ten smarkacz Adaś, co to wyrosł u was, a niebył godzien, aby go choć raz jeden wziąć do Radziwillimontów... jakaś bojarska powaga temu przeszkadzała, czyli, iż z tego smarkacza mało spodziewano się, jak rozstałem się z waszą parafiją nikomu nieznany, i najmniej znający tę stronę, w któréj piętnaście lat żyłem. Winieniem to oko-

(*) Oprócz wzmiankowanych przez pana Chodźkę źródeł Polskish, pisano jeszcze o Chodakowskim: a) we Wspomnieniach Eustachego Marylskiego; b) w Kuryerze Polskim N 259 z r. 1830; c) w Pamiętniku umiejętności w T. IV z r. 1830; d) w Przeglądzie naukowym wydawanym w Warszawie 1842 r. T. III; e) w Dzienniku Warszawskim 1855 r. N 101 i f) w Gazecie Codziennéj, w listach z Cudnówki 1855 r. przez T Z (ostatnie głoski imienia i naźwiska).

licznościom, których piérwszą sprężynę poruszyłem na oślep, iż nagrodziłem młodociane uniżenie i szlacheckie wychowanie imiennika. Mnie dziwi ta myśl, iż byłem przytulony i wychowany od Polaków, lecz nie jak Polak. Czułem wtedy tę nieprzyzwoitość i długo niemogłem podnieść się do wyższego uczucia. Pamiętam, że użalano się na moję obojętność ku dobroczyńcom, — ta istotnie była, lecz sprawiona przez nichże samych... Znałem rękę X.; całowałem ją, lecz nie jak ojcowską, bo mi się przypominał nieraz chudy pachołek — a wyłączność moja w wielu rzeczach nieprzywiązywała serca mojego. Byłem Polakiem i czułem, że Klecka i Woron... parafije zbyt ścieśniają moję duszę."

W imionniku przyjaciela A. B. (Bołądzia czy Buszczyńskiego? niewiemy) podobnież ze smutném przekonaniem wyraził się 5 maja 1807 r. temi słowy:

„Przyjm ostatnią przyjaźną radę: niesłuż, niesłuż prywatnemu człowiekowi, choćbyś miał z głodu umrzeć. Tułałem się po świecie, byłem biedny i szczęśliwy; a teraz pragnę tylko śmierci, mając dostatek i służąc!"

Kiedy mu się urodził w Ladodze syn Alexander, którego musiał powierzyć na wychowanie jakiejś pani burmistrzowéj, wtedy z powodu wczesnéj śmierci dziecięcia swego, wyrzekł: „nierodzić się Polakowi na obcéj ziemi!"

Od czego zaczął swój zawód życia, na tém i zakończyć musiał, mimo utyskiwań nad podobnym losem do A. B. Przyjął obowiązki rządcy prywatnego u jednego z rodaków, mającego swe posiadłości w gub. Twerskiéj, licząc zaledwie czterdzieści lat wieku swego!

Uważaliśmy za powinność, dopełniając kilku rysów do obrazu żywota Chodakowskiego, któryście wydrukowali, rozwieść się po raz drugi, nieco szerzéj i szczerzéj nad mężem wielkich zasług, większych nadziei, a największych podobno przygód i nieszczęść!

LISTY O GOSPODARSTWIE.

II.

O uprawie buraków i cukrowarstwie.

„Prawdę przed wszystkiém zwykłem mawiać o sobie.“

Każda myśl wielka zesłana dla szczęścia ludzi, ma tę cudowną własność, iż jakby dobroczynny element jaki, niedościgłemi drogami po świecie się roztacza, wszystkie umysły elektryzuje, gorącą sympatyę rodzi, i zapalonych współwyznawców tworzy; z jéj łona niewątpliwie wyszli wielcy ludzie, wylęgły się wielkie rzeczy, potworzyły się dziwne zjawiska. Aleć i myśl wielka jak rzecz każda ma swoje niemowlęctwo, w którém jeszcze pożytku nieprzynosi; tém niemowlęctwém zaprawdę jest jéj wielki ogólny przesadzony rozgłos, jéj pośpiech i natrętność z jakiemi się ona wszystkim narzuca. Z czasem dopiéro przepuszczona przez filtry rozumu, rozwagi i doświadczenia, gdy przyjdzie do przyzwoitego oczyszczenia, kiedy trafi na właściwe żywioły co ją przyjmą, i wywierać na nich zacznie swoję dążność, wtenczas spełni ona wielkie posłannictwo na ziemi, bo wtenczas pocznie rozdzielać między ludzi dary Boże. Ileż to wielkich myśli w niemowlęctwie niepoznanych, odtrąconemi z pogardą zostały? Wieleż ich całkiem na czas upadło?

lecz się one z niewiadomości ogólnéj lub ciemnego przesądu otrząsły, przez wszystkie zawady wybiły i własną siłą powstały dla szczęścia Ludzkości, bo ich ożywiała siła prawdy bez któréj nic niebędzie miało mocy, bo wtedy wyrabiać one w sobie poczęły stopień właściwéj dojrzałości. Ideja o cukrowarstwie bezsprzecznie należy do tych wielkich myśli, które nasz wiek zdobią i cechują: cukrowarstwo, ten wielki pomysł gospodarski, stał się tak silnym zasobem rolnictwa w ogólności, i dźwignią tak potężną bogactw wielu krajów, jak niemi są wszelkie przedsięwzięcia dla rolnika, które ścisłym węzłem z rolą się łączą. Cukrowarstwo zawróciło było głowę z kolei i gospodarzom Litewskim: był czas niejakiś, gdy tylko o cukrze z buraków marzono, rozprawiano i pisano, buraki miały uczynić każdego panem milijonowym, i to niepóźniéj jak w lat kilka; takie w kraju naszym jest ogniste wyobrażenie, taka wiara w prędkie panoszenie się ludzi przez spekulacye, na których pozorną stronę poglądając, widzieć ani pojąć niechcą trudów, ryzyki, i niepowodzeń z każdą spekulacyą złączonych.

Pan N. Nowicki rzucił najpiérwszy nasiona cukrowego szału w naszym kraju (mówię szału, bo jakże nazwać się godzi to co polotnie pochwycone jako myśl nieobrobioną, bez rozwagi, wyrozumowania i potrzebnego doświadczenia, w praktykę tak gwałtownie wprowadzamy, a po czasie rozczarowani postrzegamy niedostatki, któreśmy pierwiéj przewidzieć i wyrozumować, a baczném i rozważném postępowaniem ochronić się od strat na jakie nas naraziły, byli powinni?) rzucił je przez wydaną xiążeczkę o sposobie robienia cukru domowym sposobem na własny użytek. Gdy do tego, jak ręczał pan Nowicki, tylko parę rondelków miedzianych i kilka wiaderek z drzewa potrzeba było, a miało to być niewięcéj utrudzające jak smażenie konfitur; dla czegożby szlachcic Litewski niezażądał mieć dla swojéj apteczki produktu słodkiego, którego nabywanie dotąd mu grosz

wyciągało, a teraz mu ziemia jego własna przy tak małém staraniu i pracy do domu przynieść miała? Kobiety piérwsze za tę się myśl chwyciły, poprobowało tego przedsiębierstwa jak wiemy wiele gospodyń na Litwie: w sierpniu z tą dobroczynną xiążeczką w ręku nie w jednym dworze gospodyni domu tarciem i maceracyą buraków zajęta, areometrem przez Żyda blacharza razem optyka (sic) w pobliższém miasteczku na wiarę jego sporządzonym gdy gęstość soku burakowego mierzy, wszystko co żyje w domu koło niéj się rusza, krząta, biega; nakoniec pani część domu, w któréj fabrykacyę założono, zabrudziwszy i zapowietrzywszy, cukru się niedoczekała; zniechęcona niepowodzeniem probować daléj szczęścia niechciała. Upadło zatém wprędce koleją bardzo naturalną to przedsiębierstwo: bo jakież przedsiębierstwo aby najmniejszéj wagi ostać się może bez specyalnéj nauki, narzędzi, kosztu i proffesyonisty wyłącznego, któryby niém kierował? powiadają, że Twardowski kiedyś przed laty bicze z piasku kręcił, lecz ta nauka nieszczęściem do czasów naszych niedoszła.

Po panu Nowickim, gdy ideja cukrowarstwa tak się uogólniła, a z tak wielkim zapałem i upragnieniem wszędzie chwytaną i podnoszoną być poczęła; bądź dla pożytku ogólnego, bądź dla dogodzenia publicznéj żądzy, bądź naostatek dla wzbogacenia piśmiennictwa, ochoczo rzucono się do pisania o cukrze, wielu znamienitych nauką i zamiłowaniem postępu krajowego ludzi wzięło się do tego przedmiotu, tworzyć poczęto traktaty, uczone rozprawy i całe dzieła o uprawie buraków, o wyrobie cukru i o bogactwie kraju jakiego oczekiwać się godzi po upowszechnieniu się téj gałęzi przemysłu krajowego. Co chwila zjawiały się nowe, to cieńkie, to grube wolumina z tablicami i rycinami, to bez tych, traktujące o cukrowarstwie i burakach, z najdokładniejszém obliczeniem nakładów i korzyści jakie cukier właścicielom ziemskim przynieść powinien. PP. Bartoszewicz,

Józef Bełza i tylu innych tworzyli o cukrowarstwie xięgi. P. Nepomucen Kurowski w Tygodniku rolniczo-technologicznym gorliwie i niezmordowanie tłómacząc z obcych języków naukę wyrabiania cukru z buraków, niedał się nikomu wyprzedzić w gorliwości i w chęci usłużenia krajowi. Kalendarz Rolniczo-gospodarski ze swojéj strony śpieszył z nauką domowego wyrabiania cukru z buraków. Tygodnik Petersburski otworzył swoje kolumny dla sztuki cukrowarskiéj i dla jéj polemiki; p. Szpakowski, x. Moszyński i w. i. tam słodkie swoje umieszczali artykuły; a wieleż to mój Boże! rad, nauk i przestrog, jakie zachować należy w uprawie buraków, razem się zewsząd posypało!

Na odgłos tylu rad przekonywających, i na zapewnienie tak obfitych korzyści już obliczonych najskrupulatniéj ze wszelką dokładnością, któżby się wahał choć jednę chwilę nad wzięciem się do dzieła? Rzucono się z wiarą na oślep do cukrowarstwa. Tu zaczęła się epoka odkąd upadać poczęła myśl robienia cukru domowym sposobem na własną potrzebę; a myśl większa, świetniejsza, nieegoistyczna jak uprzednio, ale nacechowana miłością ogółu, miłością pożytku publicznego, myśl wprowadzenia cukrowarstwa w nasze gospodarki, z poniesieniem potrzebnych na to nakładów, piérwszą zastąpiła. Sztuka rozdzieliła się odtąd na dwie oddzielne części, na naukę uprawy buraków tak ściśle z rolą i gospodarstwem wiejskiém spojoną, a zatém tak blizko nas rolników dotykającą, i na część techniczną wyrabiania z buraków cukru, już daléj od rolnictwa odsuniętą, a zawsze bratnią z przedsiębierstwem i przemysłem krajowym. W wykładzie piérwszéj słuchaliśmy głosu teoretyków uczonych najczęściéj bez kawałka ziemi, lub praktykantów gospodarzy na jednym zagonie; u tych panów wszystko zawsze rodzi i bogaty plon przynosi. W drugiéj słuchaliśmy technologów, mężów znamienitych w swojéj nauce; ztąd i cukrowarstwo na-

sze kto je rozważał ściśle zupełnie miało dwie natury z sobą nierozdzielne jak je ma nasze gorzelnictwo, jedną ściśle rolniczą do ziemi przywiązaną, drugą przemysłową fabryczną: kto umiał obie z sobą spowinowacić i do doskonałéj doprowadzić harmonii, ten wyszedł z zadania zwycięzko. Z buraków, oceniwszy takowe na pieniądze ceną przyjętą we wszystkich pismach w tym przedmiocie wypracowanych, licząc beczkę po złp. 10 a nawet i 12, z wielkiemi korzyściami, ze znacznym procentem przechodzi się na cukier; kładąc nawet dosyć mierny wychód cukru z buraków, przyjąwszy za podstawę z beczki buraków wydatku cukru funt. 16, a w początkach się płacił na Litwie funt cukru po złp. 2, tą koleją uczyniłaby beczka buraków złp. 32, we troje prawie wartość jéj produkcyjna zwrócona: było więc czém pokryć koszta wyrobu i pochwalić się pomyślnym rezultatem; podług wszelkich nawet zasad ekonomii politycznéj taki świetny obrót kapitału zapewnia bogactwo i pomyślność krajową. Lecz tu jest główna zagadka jak do buraków się dobrać aby beczka ich tylko 12 złp. kosztowała, to jest filozoficzny kamień, to Alfa i Omega cukrowego alfabetu, o którą się piękne niedoświadczonych a gorących przedsiębierców nadzieje roztrąciły. Wszystkie xięgi nas nauczały jak ziemię uprawiać, jak ją nawozić i spulchniać potrzeba; myśmy w tę ziemię z natężeniem umysłu patrzyli, próli ją i spulchniali, lecz nikt z nas niepodniósł oczu w górę, niespójrzał w niebo, wszyscyśmy zapomnieli o związku nierozdzielnym istniejącym między ziemią a niebem, zapomnieli, że słońce niewszystkich równém ciepłem ogrzewa, i kiedy ziemię uprawić, polepszyć nawet całkiem w inne własności przerobić jest w ręku człowieka, słońcem Pan Bóg tylko rządzi.

Wówczas kiedy ta ideja cukrowarstwa całą potęgą ogarnęła umysły postępowéj społeczności, ja byłem młódszym w latach, a całkiem młodym gospodarzem; jak młody, bez potrzeb-

nëj rozwagi, nieprzyjmując rad światłych doświadczeńszych odemnie ludzi, do niéj przylgnąłem, całą duszą ją pokochałem, w piersi ją mojéj żywiłem, a ona mnie trawiąc bez odpoczynku stała się wyłącznym celem moich dumań, żądań i życzeń. Już się wznosiła budowa na fabrykę, już się kuły w kuźniach i hamerniach aparaty, już buraki sprowadzone i posadzone codziennie mojém okiem dozorowane zdawały się zapowiadać bogactwo gospodarskie w nowéj formie do mnie się uśmiechające, już szła z Warszawy od Iwensa tarka, robiły się prassy, formy, a professyonista cukrowar sprowadzony czekał rychło swą sztukę pokaże.

Jakież smutne odczarowanie! jaki zawód boleśny! jakie upokorzenie dla pełnego ognia i zapału ziemianina, gdy po czterech latach mozolnéj, usilnéj a tylą nadziejami zachęcanéj i podsycanéj pracy, trzeba było wyczerpnąć tę pewność, że cukrowarstwo u nas do kwitnącego stanu doprowadzić niepodobna, że ono nigdy się niestanie dźwignią rolnictwa w naszéj stronie, a rzecz całą, co mnie tyle zachodu tyle bogatych nadziei i pięknych urojeń na drodze postępu krajowego kosztowała, rzucić całkiem przyszło.

Buraki sadzone w kwietniu podług wszelkich metod przez uczone xięgi nam podanych wyprobowane, zawsze leżały bez kiełkowania dla chłodu znajdującego się jeszcze w téj porze roku w ziemi; potém zwykle tutaj przypadające wiatry, które na zewnątrz ziemię osuszają do kiełkowania się nieprzykładają; stan ziemi nieocieplony do tego stopnia ile buraki potrzebują trwa zwykle do pół maja, ziarno zatém leży w ziemi bezczynnie od piérwszych dni kwietnia do pół maja, tracić zaczyna własność kiełkowania, ledwo tysiączne tę zachowa i to słabo; to szczęśliwe, które się utrzymało, dopiéro z końcem maja z ziemi rostek pokazuje, którego bacznie w gęsto już porosłéj na roli trawie przy jéj piérwszém opleciu wypatrywać trzeba.

W piérwszych dniach czerwca już rostek staje się wyraźniejszym bo dostaje listki, już go łatwiéj od trawy wypatrzyć i rozróżnić można; następuje drugie plecie pola. Po drugiém opleciu odkrywa się na pewne niedostatek buraków na morgu gdzie prawie cała ziemia jest czystą, bo się na niéj ledwo silne tylko kaliwo utrzymało. Tu następuje operacya dosadzania miejsc pustych flansami na rozsadnikach w ogromnych massach przygotowanemi; posadzona rozsada trafia najczęściéj w posuchę, bo tutaj posucha w piérwszych dniach czerwca najczęściéj panuje; trzeba więc ruszać wszystko co żyje, aby rozsadę zasadzoną morgami najmniéj przez dni 12 codziennie około zachodu słońca polewać. W czerwcu od posuchy najczęściéj na rośliny okopowe napada meszka, która je objada i niszczy: owoż buraki téj klęsce niemal co roku mniéj więcéj tutaj podlegały; dopiéro w lipcu wszystko plantacyi buraków zdaje się sprzyjać, słońce mocno grzeje, a buraki wypielęgnowane tysiącem starań macierzyńskich gospodarza rosnąć i bujać zaczynają, nać pokrywa całe pole, a nadzieja plonu w niepamięć puszcza kilkamiesięczny kłopot i trudy w ich niemowlęctwie ponoszone. Piérwsza połowa sierpnia jeszcze im sprzyja; ale trzeba się mieć na baczności, bo przymrózki w drugiéj połowie tego miesiąca do nas zawitają: zaraz więc po 15 tego miesiąca w bacznem i przezornem gospodarstwie wybór buraków z ziemi następuje. Przy wyborze pokazuje się, że burak ten szczęśliwy, który się o swojéj sile z ziemi wydobył i wszelkie przeciwności przetrwał, jest tak pięknym jak tylko nim być może, wielkość jego i soczystość nic do życzenia niepozostawia; w lepsze lata, t. j. w te, w które deszcz częściéj przechodził, a słońce lipcowe stale i dobroczynnie ziemię ogrzewało, buraki mojéj uprawy dochodziły wagą od 4—7 funtów niemal każden, lecz na jeden takowy liczyło się kilkaset z rozsadników wychodowanych, które mają tę nieszczęśliwą własność, iż najczęściéj

nie w jeden pień jak się mieć chce, ale w mnóztwo odrośli się rozrastają; taki burak wyrwany z ziemi przedstawia widok jakby brody rozczochranéj, z któréj gdy się go oczyści, bardzo niewiele w nim się na użytek zostaje. Tak oczyszczony plon corocznie jak dla przyjęcia do wyrobu według wymagań cukrowarskiéj sztuki, w przecięciu nieprzeszedł mnie nigdy 14½ beczki z morga 300 prętowego, choć mojéj gospodarki wcale niekładę w poślednim rzędzie na Litwie.

Żebym dał dokładniejszy obraz strat jakie w gospodarstwie mnie plantacya buraków przyniosła, cyframi najsumienniéj i najszczegółowiéj zbieranemi w ciągu uprawy buraków w mojém gospodarstwie, każdego kto mnie przeczytać lub posłuchać zechce objaśnię.

Nieobejmuję obliczenia wydatków, ani zbieranych korzyści w drugiéj części przedsiębierstwa, t. j. w przejściu z buraków na cukier ponoszonych: te zawsze się okażą, jak wyżéj rzekłem korzystnemi; kto ma zręczność skupywania buraków za pieniądze bez ich uprawy, ten niech cukiernię zakłada, lecz ten będzie wiecznie fabrykantem tylko, a na rolnictwo pośrednio i z daleka wpłynie. Nieodstępując na chwilę od mojéj zasady własném doświadczeniem stwierdzonéj, iż cukrowarstwo dla nas o tyle jest pożyteczném o ile ono korzyść w rolnictwie przynosi, i nierozdzielnym z niém węzłem zostaje spojone,— piérwszą tylko jéj część do rolnictwa odnoszącą się, t. j. produkcyę buraków w stosunku do robocizny, nawozu i korzyści odnieść się mogących z obsiania inném ziarnem zajętego pod tę plantacyę gruntu, obliczoną w wiernym i szczerym rachunku, tu przedstawiam.

W majątku moim Ł... na Litwie w gubernii Mińskiéj między 54° a 55° długości, a 45° i 46° szerokości północnéj, położonym w roku 1846 piérwszą rozpocząłem uprawę cukrowych buraków; zajęła ona na rok piérwszy jakby w ro-

dzaju próby w jednym tylko folwarku dokonanéj przestrzeń 14 morgów Litewskich. W latach po sobie następnie idących, jako to: w 1847, 1848 i 1849, uprawa o niewiele rozszerzoną została, zatém lata wszystkie z nic prawie nieznaczącemi odmianami co do rachunku, będą do siebie podobnemi. Weźmiemy przeto pod rozbiór szczegółowy nakład w robociźnie jednego tylko morga, wypadek jaki z niego otrzymamy będzie dla nas dostateczną wskazówką o reszcie. I tak:

	Dni męskie uprzężne.	Dni żeńskie.
Na piérwszą orkę morga w jesieni gdyby ziemię spulchnić przynajmniéj na cali 11, orząc socha za sochą	4	—
Na zabronowanie tego morga	1	—
Na wywiezienie jesienią nawozu w ilości fur 120,	10	—
Na roztrząsanie i rozdrobienie tego nawozu . .	—	3
Na zaoranie nawozu podobnież prowadząc sochę za sochą	4	—
Na zagrabywanie nawozu przy jego worywaniu	—	2
Na zabronowanie powtórne morga	1	—
Na trzecią orkę wiosenną tymże sposobem dokonaną	4	—
Na zabronowanie	1	—
Na czwarte i ostatnie pooranie	3	—
Na pobronowanie	1	—
Na radlenie morga w grządki	1	—
Na posadzenie nasion burakowych	—	2
Na piérwsze oplecie buraków z trawy	—	15
Na drugie oplecie	—	10
Na trzecie oplecie	—	5
Na dosadzenie rozsady	—	2

Na dowiezienie do morga wody dla polewania rozsady przez dni 12	24	—
Na polewanie rozsady przez dni 12	—	24
Na oborywanie w ciągu lata buraków licząc najmniej co dni 10 raz jeden, od 20 czerwca do 20 lipca uczyni	3	3
Na wydobycie buraków z ziemi	—	8
Na zwiezienie buraków do składu	2	—
Na oczyszczenie buraków do fabryki	—	8
Zatém ogół nakładu na jeden morg wynosi . . .	59	82

Licząc więc według taxy miejscowej dzień roboczy męzki po złp. 2 uczyni złp. 118
Dzień roboczy żeński po złp. 1 uczyni 82

Razem . . 200

Morg więc uprawny pod buraki, nielicząc w to kosztu położonego na kupno nasion burakowych, ani kosztu robocizny poniesionego przy zaprowadzaniu i utrzymywaniu obszernych rozsadników nieodbicie potrzebnych do wsparcia w polu uprawy buraków, wynosi koniecznego nakładu złp. 200

Że zaś w najlepszym zbiorze buraków, w ostatecznym rezultacie naliczyłem plonu 14½ tylko beczki z morga, co po przyjętej za normę fabrycznéj cenie t. j. po 12 złp. za beczkę, ledwo uczyni złp. . . . 174

Pozostaje mnie zatém jako rolnikowi z morga złp. 26 na czystą stratę; gdzież jest procent od mojej ziemi? gdzież korzyść z nawozu? gdzie wynagrodzenie pracy rolnika?

Jedyną i prawdziwą wygodę, jaką uprawa buraków mnie dała, była pasza bydła: od pół lipca do pół sierpnia bydło się bardzo

skarmiało nacią grubą soczystą a słodką, obłamywaną codziennie od buraków w dosyć dużej obfitości. Potém miazga od buraków przy przerabianiu ich na cukier przez tarkę dobyta również mnie wygadzała: tą rozprawadzoną do rzadka wodą i mąką owsianą osypaną, widzialnie rzec można spasały się sztuki do rzezi przeznaczone. Lecz operacya ta ostatnia szybko i gwałtownie w fabryce postępująca, zbyt krótko moje gospodarstwo podobnym darząc zasiłkiem, niedokonywała rozpoczętego dzieła w karmi bydła.

Dla dotykalniejszego porównania rożnicy w korzyściach jakie nam przynieść powinien morg podobnie uprawny obsiany ziarnem stosownem, przeprowadzimy kolejno rachunek szczegółowy nakładu w robociźnie, i korzyści pieniężnych otrzymanych z plonu.

ŻYTO.	Dni żeńskie.	Dni uprzężne męzkie.
Na wywóz nawozu po 100 fur na morg . .	8	—
Na roztrząsanie tego nawozu	—	2
Na zaoranie nawozu	2	—
Na wgrabywanie nawozu	—	2
Na bronowanie	1	—
Na drugą orkę	2	—
Na rozsianie ziarna	¼	—
Na zabronowanie	1	—
Na przepędzenie zagonów	⅛	—
Na koszenie i wiązanie żyta	2	3
Na zwiezienie z pola	2	—
Na omłócenie w młócarni	—	5
Razem . .	18⅜	12

Co zredukowawszy na pieniądze po taxie wyżej założonej uczyni za dni męzkie . . . . , złp. 36 gr. 22½
Za dni żeńskie . . . . . „ 12 —

Razem . . złp. 48 gr. 22½

Że zaś morg podobny daje w przecięciu żyta kop 20, a kopa tutejszej więzi z wymłótu daje zwykle po 28 garncy, zatém kop 20 wyda żyta beczek 3, ośmin 6; kładąc cenę po rs. 8 za beczkę, morg uczyni dochodu rs. 30 czyli złp. . . . . 200 —
Potrącając nakład robocizny złp. . . . . 48 gr. 22½

Pozostaje rolnikowi za ziemię i za pracę jego czystej korzyści . . . . . złp. 151 gr. 7½

KARTOFLE.	Dni męzkie uprzężne.	Dni żeńskie.
Na orkę jesienną	2	—
Na zabronowanie morga	1	—
Na orkę wiesonną	2	—
Na zabronowanie	1	—
Na orkę ostatnią przed sadzeniem kartofli . .	2	—
Na zabronowanie	1	—
Na przepędzenie grządek . . . . , . . .	1	—
Na znaczenie pola	½	—
Na wywiezienie nasienia	⅛	—
Na sadzenie kartofli	—	4
Na zakrycie posadzonych kartofli	1	—
Na zabronowanie morga po obejściu kartofli .	¼	—
Na oborywanie morga po razy 8, do lata . .	4	4
Na wybór piérwszy kartofli z pola	2	20

Na zabronowanie	1	5
Na wybór powtórny kartofli	2	6
Na zwiezenie z pola kartofli	3	
Razem . .	23/4	39

Redukując na pieniądze uczyni za dni męzkie uprzężne . . . . . złp. 47 gr. 22½
Za dni żeńskie . . . . . „ 39 „ —
Razem . . złp. 86 gr. 22½

Z morga tak uprawnego w czasach kiedy kartofle niepodpadały jeszcze chorobie, w przecięciu nabierałem po beczek 30; beczkę po rs. 2 każdy chętnie płacił na gorzelnię. Morg zatém przynosił rs. 60 czyli . . . . . złp. 400 —
Potrąciwszy nakładu . . . . . złp. 86 22
Pozostaje czystej korzyści . . złp. 313 gr. 7¼

JĘCZMIEŃ.	Dni męzkie uprzężne.	Dni żeńskie.
Na piérwszą orkę	2	—
Na pobronowanie	1	—
Na powtórną orkę	2	—
Na zabronowanie	1	—
Na 3-ią orkę	2	—
Na zasianie	¼	—
Na pobronowanie	1	—
Na powalcowanie	⅛	⅛
Na zżęcie	—	6
Na zwiezienie	3	—
Na omłócenie	—	5
Razem . .	12⅜	11⅛

Redukując na pieniądze za dni męzkie uprzężne uczyni . . . . . złp. 24 gr. 25
Dni żeńskie . . . . . złp. 11 gr. 5

Razem . . złp. 36 —

Z morga tak uprawnego otrzymuję zwykle kop. 30; kopa wymłócona daje półtory ośminy; zatem z kop 30 otrzymuję beczek 5, ośmin 5; przedając ceną średnią po rs. 6 za beczkę, uczyni rs. 33 kop. 75, czyli . . . . . złp. 225 —
Potrąciwszy nakład . . . . . złp. 36 —

Pozostaje czystej korzyści . . . . . złp. 189 —

OWIES.	Dni męzkie uprzężne.	Dni żeńskie.
Na piérwszą orkę	2	—
Na zabronowanie	1	—
Na zasianie	¼	—
Na drugą orkę po zasianiu	2	—
Na pobronowanie	1	—
Na skoszenie i uprzątnięcie	2	3
Na zwiezienie	2	—
Na omłócenie	—	5
Razem . .	10¼	8

Redukując na pieniądze dni męzkie uprzężne uczyni . . . . . złp. 20 gr. 15
Dni żeńskie . . . . . złp. 8 —

Razem . . złp. 28 gr. 15

Z morga tak uprawnego zbiera się zwykle kop 30; kopa zaś z wymłotu daje po 2 ośminy; morg zatém

przyniesie w ziarnie owsa beczek 7 ośmin 4; licząc beczkę po rs. 3, uczyni rs. 22 kop. 50, czyli złp. . . 150

Potrąciwszy nakład złp. . . . . 28 gr. 15

Pozostaje czystej korzyści . . . . złp. 121 gr. 15

REKAPITULACYA.

	Złp.	gr
Żyto dało na czystą korzyść	151	7½
Kartofle	313	7½
Jęczmień	189	—
Owies, ziarno najlichsze	121	15
Buraki czystej straty przyniosły	26	—

Taki był rezultat mego cukrowarstwa w ciągu lat czterech. Cyfry, ta formuła niewątpliwa, wykryły całą niestety prawdę wymarzonego postępu, i podwyższonych korzyści przez cukrowarstwo w mojém gospodarstwie; smutnemi były numeralne konsekwencye poniesionych wydatków w nakładzie i czasie, lecz stokroć był dla mnie boleśniejszym zawód, którego doznałem w moich dążnościach. Niebyło co począć: rozsądek radził zaniechać cukrowarstwa, zaniechałem go, a cukiernia opustoszała z długim panującym nad tą pozycyą kominem, jakby grobowy pomnik świadczy o upadłych dążnościach. Zamknąłem bo mi tak rozsądek radził; lecz niespokojny sam w sobie, sądziłem iż miałem do wyrzucenia nieumiejętność z jaką chodziłem około tego nowego całkiem u nas przedsiębierstwa, albo zaniedbaniá jakowegoś w nim się dopuściłem, lub nakoniec niedopełniłem czegoś, czego sam przed sobą wytłómaczyć nieumiałem,— tém boleśniéj mnie ta myśl dręczyła, gniotła i upokarzała, gdy

mnie ze wszech stron dochodziły jakby na urągowisko przechwałki o świetném powodzeniu zakładów u innych braci, którzy współcześnie ze mną tę myśl cukrowarstwa byli poślubili. Wołyń, Podole i Ukraina niezwyczajnych rezultatów w cukrowarstwie brzmiały odgłosem, bajeczna prawie liczba cukierni nowych się rodziła, a wiadomość o ilości wyrabiającego się w nich cukru i bogactwach spływających codzień, niemal co godzina na właścicieli zakładów, już nawet przechodziła w bajkach pozwolone numera.

Chcąc w tym względzie najprzód uspokoić moję własną wątpliwość, potém skorzystać z nauki, jakąby oglądanie podobnych zakładów mnie podać mogło, umyśliłem odbyć małą podróż po Wołyniu i Podolu, i przekonać się o istotnéj wadze tego interesu i tak wielkiéj wyższości cukrowarstwa w południowych prowincyach nad naszym krajem. W 1849 roku pojechałem na kontrakta do Kijowa, tego głównego ogniska wszelkich operacyj finansowych toczących się w południowych prowincyach naszego kraju. W rzeczy saméj z razu zdziwiony zostałem wielkością obrótów brzmiących w ustach obywateli tego kraju; wyrazy cukier, cukier, jeszcze cukier, na wszystkie strony powtarzano, o cukier układy się toczyły wszędzie, na cukier kontrakta proponowano każdemu; a wszystko na tak wielkie rozmiary, że Litwinowi do nich nieprzywykłemu dziwnemi z razu i imponującemi one się zdały. Lecz ze wszystkiém się człek powoli oswaja: wytrzymawszy i przetrawiwszy w sobie to piérwsze wrażenie jakie na mnie wielkość interesów cukrowych toczących się w Kijowie sprawiła, zacząłem się dalszych dopytywać szczegółów, i powoli z rozwagą i zimną krwią rozpatrzywszy się w interesach, począłem się zbliżać do źródła prawdy która zwykle na dnie leży. Bez kwestyi najmniejszéj że wszystkie tam operacye cukrowe liczą się na tysiące i krocie; lecz w tych krociach czyli setka nawet jest czystą jaką

ona być powinna, jakiéj my tutaj żądamy po naszych spekulacyach, to ulega wielkiéj wątpliwości. Niebędę ja tu mówił o zakładzie hr. Branickich ani x. Sanguszki, boć wolno jak mówią panu, jako panu, robić cukier z chrzanu: te dwa najznakomitsze w całym kraju z bogactw domy nie w duchu spekulacyi ani spieniężenia się zapewnie przedsięwzięli cukrowarstwo, lecz postępując z ideją czasu jako możni panowie, od których wszelki dobry przykład w kraju iść powinien, fabryki pootwierali; jak dochód z nich uzbierany niezastanowi tych wielce bogatych ludzi, tak i strata poniesiona im się czuć niedaje; nadto mając oni zasoby pieniężne z innych źródeł tak obfite, niepowodzenie jakie napotkać mogliw cukrowarstwie bedącém jedną gałęzią tylko ich gospodarki, mieli o czém przetrzymać, nieczując się zmuszonymi bynajmniéj do żadnych w tym interesie pośpiechów. Chcę tu mówić o reszcie obywateli tego kraju mniéj możnych od tamtych, którzy przez czystą spekulacyę do tego się dzieła wzięli; nieobliczałem ci ja wprawdzie szczegółowie dochodów ani strat żadnego obywatela wynikłych z przedsiębierstwa cukrowego; lecz rezultata finansowe ogólne jakie się okazały na massie przedsiębierstwa w tym kraju, przekonać dostatecznie mogą o pozorności tylko wygód istniejących w téj gałęzi przemysłu krajowego. Jeżeli powiem, że cukrowarstwo tamecznych właścicieli ziemskich zubożyło,— każden się zdziwi niezawodnie: bo rzeczą zaprawdę jest dziwną, aby w kraju gdzie ziemia jest tak żyzną, gdzie słońce jest tak ciepłe i tak długo ziemię ogrzewa, a bogactwa pieniężne do bajecznych podań dochodzą, cukrowarstwo miało się nieudać; ja sam na takowe założenie niemniéj się zdziwiłem, lecz gdy opowiem jak mnie przyczyny tego upadku wytłómaczono na miejscu, wszyscy mu ze mną słuszność przyznać muszą.

Oto gdy ideja cukrowarstwa tak uogólnioną się stała, i tak wielkie korzyści przedsiębiercom w teoryi zapowiedziała, oby-

watele Wołynia, Podola i Ukrainy ochoczo rzucili się do téj gałęzi przemysłu, licząc na swoję czarną ziemię i ciepłe słońce, a do tego przywykli wszystko traktować na wielkie rozmiary, obszerne łany, które im złotodajną pszenicę rodziły, zmienili w plantacye buraków; powstawać zaczęły ogromne gmachy z muru na fabryki, aparata, machiny i narzędzia potrzebne kolosalnego rozmiaru z Francyi i Belgii posprowadzano. Ta operacya ogromnych kapitałów wymagająca gdy nie u wszystkich gotowe na zawołanie zastała, zmusiła przedsiębierców do zaciągnięcia znacznych długów; zaciągano je zawsze z tą pewnością, że buraki takowe lekko i w prędkim czasie wypłacą. Gdy przyszło do ostatecznéj rozprawy, doświadczenie czystą prawdę odkryło: buraki na cukier przerobione nietylko że niewróciły kosztów nakładu, ale w wielu miejscach czystym zarobkiem niepokryły procentów od nakładu, a łany obszerne co stanowiły przedtém prawdziwe bogactwo ich właściciela, zajęte przez buraki już dawnéj pszenicy niedały; tak obywatel, pomieniał pewny na urojony i wymarzony dochód; drugi, trzeci a dziesiąty rok gdy się to powtórzyło, czémże pytam, jeżeli nie zn bożeniem właścicieli ziemskich to przedsiębierstwo skończysię musiało?

Na Litwie inaczéj się stało: cukrowarstwo niewywarło tak ogólnéj krajowéj klęski; słońce tutaj niejest tak ciepłe, zatém i mieszkańcy téj krainy chłodniejsi, nietak się gorąco i nie z tą ką się zuchwałością rzucili w cukrowarstwo.

Możniejszych obywateli zakłady bez żadnego porównania mniejszym kosztem urządzone, niegroziły im ruiną w razie upadku fabryki, jak równie małą cząstkę pola w porównaniu możności pod buraki uprawiwszy, nieczuli obawy ani trwog o niedostatek chleba i intrat w razie gdyby się niepowiodło; tą drogą postępując jedni się cofnęli choć ze stratą lecz bez ruiny, inni dotąd pozostali przy fabrykacyi. Z możniejszych obywa-

teli co dzisiaj jeszcze fabrykują, mamy takich którzy mając obszerne posiadłości swoje w stronie gdzie wyręczanie podatku Monarszego z włościan niełatwą było zagadką, pozaprowadzali w wioskach na ogrodach włościańskich usiewy buraków cukrowych, te od włościan przyjmują w gotowych pieniądzach i tą koleją zapewniają podatek, za który sami są odpowiedzialnymi. Tym się cukrowarstwo jakkolwiek powodzi: bo się oni od razu wybili na stanowisko fabrykantów nie zaś producentów,—rzecz na pieniądze prowadzona już im czystą korzyść przynieść musi.

U ludzi małego funduszu, podupadłych na interesach lub na kredycie, piérwszą i jedyną myślą było poprawienie sytuacyi przez pomnożenie dochodu z majątku; byli między innymi i tacy, u których gdy rzecz iść niemogła przedsiębierstwo to w kuglarstwo zamienili, stało się ono chwilowém narzędziem dla wsparcia ich obrótów; pola niegdyś zasiewane jęczmieniem, pszenicą lub grochem, na które sąsiad o miedzę siedzący codziennie niemal patrząc jego dochody wiernie i z pewnością obliczyć umiał, dzisiaj burakiem, nieznaną dotąd rośliną obsadzone, ciągłemi do tego przechwałkami o wzrastającém bogactwie przedsiębiercy podnoszone, podziwienie i przesadzone wyobrażenie o korzystnych obrótach i o gwałtownėm podnoszeniu się sąsiada utrwaliło. Dobroduszny szlachcic gdy ujrzał w ręku własnym bryłę zsiadłą, białą, słodką, co ją cukrem zowią, którą mu z zamorskich krajów dotąd handlarze podwozili, wyrobioną około siebie z buraka, co mu jego rodzinna ziemia wydała,—niezwyczajnością widoku zdumiony, a zapamiętale przywiązany do własnego kraju, nowy jego tryumf rozkoszną radością opłacił, nieumiejąc obliczyć jego rzeczywistéj numeralnéj wartości, jedno otaxowawszy go serdeczną rodową pociechą, ze czcią i z rozrzewnieniem patrząc na sąsiada, który ją wyrobił, jego odtąd poprawę interesów i sławę głosił; nieraz z własnego worka uczciwie, z krwawym potém i mozolnie za-

pracowanego mu pożyczył na tę ewikcyę grosza, któregoby przed rokiem temuż niedał na żadną w świecie namowę jako podupadłemu w interesach.

Stan sądu publicznego w ogólności tak o rzeczach jako i o ludziach jest całkiem niedojrzałym i niewytrawionym jeszcze w naszéj krajowéj społeczności; ideja jakakolwiek choćby najfałszywsza, kiedy szczęśliwie trafi do myśli i upodobania ogółu, bez jéj krytycznego rozbioru, bez ścisłego o niéj sądu, bez przyzwoitego wyrozumowania, tylko na słowo piérwszego lepszego powtarzana, w pochwałach do najrozleglejszych przesadzonych nawet dochodzi rozmiarów, — jak równie niewiedzieć dla czego innego, niełaską gdy okryją, za jedno nic, bez przekonania, bez winy zbezczcić go, skrzywdzić i z błotem zmięszać ludzie są gotowi.

Czas więc i drogo opłacone doświadczenie przekonały publiczność, iż cukrowarstwo w kraju naszym nienależy jeszcze do liczby tych głównych dźwigni gospodarstwa i bogactwa krajowego.

W południowych prowincyach naszego kraju cukrowarstwo własnym ciężarem padło, na Litwie ono bez klęsk ustało; wyłączni obywatele, którym bądź miejscowość szczególniejsza, bądź urządzenie się z tém przedsiębierstwem jakieś trafne czy szczęśliwe pozwoliło, pozostali przy cukrowarstwie; autorowie przestali już pisać i zachęcać: a tak cała ideja gorąco zrazu pojęta, dzisiaj ostygła i zawisła! Może kiedyś w przyszłości badania uczonych, lub mozolna praca ludzi praktycznych wpadną na nowe jakieś prawidła albo kombinacye przemysłu gospodarskiego dotąd przed nami zakryte, które nową téj gałęzi wskażą drogę; w okresie ciągłych wynalazków jakim jest dzisiejszy, gdzie ruch umysłowy tak potężne czyni postępy, gdzie przemysł i nauka do zadziwiających dochodzą rezultatów nie-

godzi się o niczém wątpić: czekajmy więc i czuwajmy z wytrwałością i nadzieją.

Cześć najwyższą składamy nauce, cześć równą i światłym jéj opowiadaczom; lecz własne doświadczenie nam tę pewność niechybną podało: że dotąd obywatel Litewski pod 54 a 53 stopniem szerokości północnéj osiadły, powinien żyto, jęczmień, kartofle na własnych niwach uprawiać, a cukier na domowe potrzeby od sąsiadów kupować.

LISTY

DO REDAKTORA „*TEKI WILEŃSKIÉJ*,“

PRZEZ

K.-WŁ. WOJCICKIEGO.

I.

W pogodne dni majowe r. b., po dwudziestu ośmiu latach zbliżając się do Krakowa, odżywiały się dawne moje wspomnienia i znane postacie. Wiele z nich już w mogiłach spoczęło; inni pokryci siwizną zbliżają się pochyleni wiekiem i pracą do tego wieczystego schronienia; wielu miałem poznać lub odnowić dawne stosunki przyjaźni.

Za przybyciem do starożytnéj stolicy Piastów i Jagiellonów, pośpieszyłem złożyć mój hołd Józefowi Muczkowskiemu, którego wysoce ceniłem nietylko jako jednego z sumiennych badaczy naszéj przeszłości, ale jako obywatela, charakteru pełnego szlachetnéj prawości. Takie postacie, niestety! rzednieją na naszéj ziemi coraz więcéj, bodajby wkrótce niebyły osobliwością.

Poznałem Muczkowskiego w r. 1826 piérwszy raz w Poznaniu, w saméj sile wieku męzkiego; widziałem go w Warszawie po dwakroć; teraz znalazłem wiele zmienionego. Gołębia siwizna przykryła czoło; ale została w nim dawna czerstwość i ta wyprostowana postać, odznaczająca tak wybitnie wojaków Napoleońskich.

Spędziwszy miły wieczór w gronie jego rodziny i kilku bliższych przyjaciół, patrząc na tę pełność jeszcze w nim życia, ten humor wesoły i tak swobodny, dalecki byłem od myśli nawet, że we trzy miesiące niespełna, przyjdzie mi opłakiwać zgon jego, że nieuścisnę już téj ręki przyjacielskiéj, która służyła tak wiernie ojczyźnie szablą jak piórem.

Umarł mąż prawéj zasługi, a dotąd oprócz prostych doniesień o zgonie jego, nikt nieuczcił go wspomnieniem, aby cały kraj wiedział, że zgon takich jak Muczkowski ludzi jest prawdziwie narodową stratą.

Z notat więc jakich mi udzielił za życia, z opowieści jego skreślę życiorys; niebędzie on zupełnie jakbym pragnął dokładny, ale da wyobrażenie przynajmniéj zasług Muczkowskiego.

Urodził się dnia 17 marca 1795 w *Maszkach* w województwie Lubelskiém. Otrzymawszy w domu piérwsze nauk początki, od r. 1803 do 1812 przechodził szkoły normalne, gimnazyalne, a następnie po utworzeniu xięztwa Warszawskiego szkoły departamentowe w Lublinie. Utraciwszy najprzód matkę a następnie na początku 1810 r. i ojca, bez żadnéj opieki i pomocy, sam sobie zostawiony, pomimo ciężkiej niedoli, zdołał ukończyć szkolne i uniwersyteckie nauki, a trudniąc się przytém wychowaniem swego młódszego brata *Antoniego*, podał mu sposobność nabycia wyższego ukształcenia, kiedy swym ciężko zapracowanym groszem ułatwił mu możność uczęszczania na uniwersytety we Wrocławiu i Berlinie (A).

Ile razy Muczkowski wspomniał o tych latach walki z losem, pracy nad siły, nieraz o głodzie, uśmiechał się wesoło, bo to był tryumf wytrwałości młodzieńczéj i hartu męzkiego już charakteru. Wspomnienie to, rzucone mimowoli z przypadku w potocznéj rozmowie, musiało w słuchającym obudzić cześć i uszanowanie dla niego, bacząc ile to miał przeszkód, z jakiemi trudnościami łamać się musiał, zanim doszedł do ostatniego stanowiska.

Szkoły ukończył w r. 1812; radość z otrzymanego patentu krótką była, opłacił ją rzewnemi łzami i żałobą: utracił bowiem brata starszego Franciszka, a nieodłącznego towarzysza swego szkolnego, przyjaciela wspólnéj im niedoli.

W tym czasie udał się do Krakowa w celu dalszego kształcenia się naukowego. Zapisał się w poczet uczniów wydziału filozoficznego, na który przez półczwarta miesiąca pilnie uczęszczał. Ale były to czasy pełne zapału wojennego: straszliwa klęska Napoleona W. podniecała jeszcze młodzież naszą więcéj; marzyła ona poetycznie, że kolos potęgi szczęśliwego dotąd zwycięzcy, zgruchotanéj przy łunie pożaru Moskwy, jeszcze się dźwignie z upadku i nową aureolą sławy uwieńczy. Marne nadzieje! prędko z oczarowania wywiodły.

Młody Muczkowski, gorący wielbiciel pracy naukowéj niepotrafił się oprzeć powszechnemu zapałowi; w połowie stycznia 1813 r. rzuca mury akademii Jagiellońskiéj i wstępuje jako ochotnik w szeregi wojsk xięztwa Warszawskiego, do półku ułanów Polskich gwardyi cesarza Napoleona.

Dotrwawszy wiernie na raz obranem stanowisku odbył kampaniję w Niemczech i we Francyi.

Po bitwie pamiętnéj pod Waterloo i zupełnym upadku Napoleona, wraz z szczątkami wojska Polskiego wrócił do kraju. Ochłodły w zapale, rozczarowany z wielu młodzieńczych nadziei, świadek tylu bitw krwawych i morderczych: niewidząc dla siebie żadnego losu w zawodzie wojskowym wśród wrożby powszechnego pokoju, z rozbudzoną dawną chęcią do nauk, od których go tylko oderwać mogła burza wojownicza ówcześnie cały świat ogarniającą, — w marcu 1815 roku wystąpił z wojska, wrócił do Krakowa, zapisany w poczet uczniów akademii Jagiellońskiéj ukończył wydział filozoficzny.

W r. 1817 gdy ustanowiono Komissyę organizacyjną przez trzy opiekuńcze dwory do uorganizowania rzeczypospolitéj Kra-

kowskiéj, mianowanym został Muczkowski adjunktem przy biblijotece uniwersytetu Jagiellońskiego. W r. 1819 powołany na nauczyciela do gimnazyum Poznańskiego, przez lat ośm uczył tam języka Polskiego, Łacińskiego i Greckiego. W r. 1827 w grudniu na własne żądanie został uwolniony od obowiązków professora.

Mieszkając w Poznaniu, zbliżony do znanego miłośnika nauk Tytusa hr. Działyńskiego, z którym razem odbył naukową podróż do Danii i Szwecyi 1823 r., zamierzył wydawać: *Zbiór najcelniejszych i najrzadszych rymotwórców Polskich z wieku XVI i XVII.*

Na początek téj publikacyi ważnéj wydał niesłychanéj rzadkości zbiór poezyj *Mikołaja Sępa.*

Oddawna już Niemcom niepodobał się gorliwy wykład języka Polskiego przez Muczkowskiego, tém bardziéj też wydawnictwo dawnych poetów Polskich,—dali to mu uczuć wyraźnie; niezwlekał więc bynajmniéj zażądania uwolnienia od swoich obowiązków. Wtedy to równocześnie zajmował się wydaniem poezyj Adama Mickiewicza w V tomach, znaném pod imieniem *edycyi Poznańskiéj*.

W r. 1829 powrócił do Krakowa i tu stale osiadł, gdzie do końca 1830 roku trudnił się prywatną edukacyą. Od stycznia 1831 roku jako zastępca a następnie rzeczywisty professor, uczył w Krakowskiém liceum św Anny literatury Łacińskiéj i Greckiéj, a nakoniec rzeczywistym professorem mianowany przez następne dwa lata pracował w téj szkole. W r. 1834 powołany na *kustosza* biblijoteki uniwersytetu Jagiellońskiego, a następnie w grudniu w skutek odbytego konkursu mianowany zwyczajnym professorem biblijografii i biblijotekarzem tegoż uniwersytetu, do chwili zgonu pełnił te obowiązki.

Dnia 31 lipca r. b., chcąc uzupełnić notaty do opisu kapliey Jagiellońskiéj, który dla towarzystwa naukowego wykończał, wyszedł z domu o szóstéj rano, bo zwykle wcześnie wstawał do

pracy, wszedł na Wawel do katedry i wstąpiwszy na parę stopni pomnika grobowego *Władysława Jagiełły* porównał i uzupełnił zdjęty napis. Wyszedłszy na podwórzec zamkowy, przy odczytaniu znalazł wątpliwość w jednym wyrazie, wrócił więc i gdy w tymże samym miejscu stanąwszy, wspiął się nieco dla lepszego wydecyfrowania: dotknięty uderzeniem apoplektyczném upada i uderza się silnie tyłem głowy o róg kamiennego grobowca.

Pusty był kościoł i kaplica; Muczkowski z głęboką raną w głowie, utraciwszy przytomność, leżał czas dosyć długi bez pomocy i ratunku, zanim go świętnik dostrzegł, ale już wszelka pomoc była późna i daremna.

„Zmarł jak na żołnierza przystało na swojém stanowisku, zmarł u stóp grobowca Władysława Jagiełły, którego postać za życia była mu z całych dziejów naszych najbardziéj ulubioną; zmarł jak *Zygmunt* nasz *stary*, który w tejże katedrze niedaleko grobowca, co sobie wystawić kazał, modląc się dłużej nad godzinę, ażeby umysł starością zmordowany nadzieją pewnego zmartwychwstania pokrzepił, gdy właśnie wymawiał te słowa Hijoba: „Wiem że Zbawiciel mój żyje,“ apoplexyą ruszony upadł i wkrótce w pokoju swoim skonał“ (*).

Wieść o zgonie męża znanego i powszechnie szanowanego w Krakowie żałobą stary gród okryła. W całym narodzie wiadomość o nagłéj śmierci Muczkowskiego smutek wywołała: bo imie jego znaném było i prace naukowe wysoce cenione.

Zmarł w sobotę, w dzień właśnie który ojcowie nasi za szczęśliwy poczytywali i w nim pragnęli chwili zgonu. W dniu tym poświęconym Matce Bozkiéj, wedle dawnego narodu naszego podania, zawsze choćby na chwilkę tylko słońce musi zaświecić:

(*) Czytaj korespondencyę z Krakowa o zgonie Muczkowskiego. (Gazeta Warszawska, N 201).

wybierano dzień ten na śluby, którym wróżono dolę szczęśliwą, jak śmierć uważano za łaskę Bożą i rękojmię zbawienia.

Pogrzeb Muczkowskiego w dniu 3 sierpnia był najlepszym dowodem tego szacunku publicznego jaki zyskał uczciwém życiem i charakterem prawym, pełnym szlachetności. Oddawna niewidziany tłum mieszkańców Krakowa ze wszystkich warstw społeczeństwa, pomimo dżdżystéj pory, towarzyszył na cmentarz (*).

Szczegóły tego pogrzebu dopowie wam Ludwik Kondratowicz, który będąc zaproszony w dniu tym na obiad składkowy, oświadczył: że w obec takiéj publicznéj żałoby, niemoże przyjmować jakkolwiek drogiego mu objawu życzliwości autorów i obywateli Krakowskich, i że za najwyższy choć smutny poczyta sobie zaszczyt, który go spotkał w Krakowie, że na barkach swoich tak drogą narodowi trumnę do grobu poniesie.

Muczkowski objąwszy zarząd główny biblijoteki Jagiellońskiéj po zmarłym uczonym J.-S. Bandtkie, położył sobie za cel życia należyte i odpowiednie jéj uporządkowanie. Praca to była niemała, zadanie wielkie, gdyż J.-S. Bandtkie, szczególną wiedziony myślą, wszystkie xiążki nie podług przedmiotów i treści, ale wedle formatu ustawiał w szafach. Wprawdzie na oko miało to składny pozór, ale ładu właściwie biblijotecznego niebyło. Za przybraniem nowéj sali, po sprawieniu szaf nowych, zaczęła się

(*) Otrzymaliśmy pocztą kartkę pogrzebową, którą zachowujemy jako smutną a rzewną pamiątkę. Czytamy w niéj:
„Józéf Muczkowski dr. filozofii c. k. professor i biblijotekarz uniwersytetu Jagiellońskiego, przeżywszy lat 64, po krótkiéj chorobie na dniu 31 lipca przeniósł się do wieczności. Pozostała żona wraz z dziećmi, zapraszają przyjaciół i pobożną publiczność na wyprowadzenie zwłok wprost na cmentarz w dniu 2 sierpnia o godzinie 6 po południu, zaś w dniu następnym to jest dnia 3 b. m. o godzinie 10 z rana na nabożeństwo żałobne w kościele akademickim św. Anny odbyć się mające.

praca mozolna uporządkowania z gruntu całéj biblijoteki. Kiedy mnie w maju r. b. oprowadzał po téj bogatéj xiążnicy, pokazywał z całą uprzejmością jéj drogie i rzadkie zabytki, łatwo ocenić mogłem tę wytrwałą a olbrzymią pracę, jaką podejmował w ostateczném uporządkowaniu biblijoteki.

— Dużo tu widzę pracy jeszcze, kiedyż skończycie? — zapytałem.

— Gdy Bóg dozwoli, za lat kilka, bo codziennie pracujemy, — odrzekł Muczkowski, — a to robota zmudna, potrzebująca wiele cierpliwéj wytrwałości.

Pokazując mi zabytki dawnéj literatury, pełne treści i ślicznym językiem pisane, ubolewał, że najgłośniejszego imienia pisarze nas dają gorszący przykład kaleczenia ojczystéj mowy.

— Co w tém najsmutniejszego (mówił z wzrastającym zapałem), że są to ludzie, którzy wziąwszy przedmioty najpopularniejsze, chciwie czytane przez ogół, na ogół wpływają każeniem Polskiego języka. Czytając gazety wasze, powieści, opisy podróży i wycieczek, nigdzie nieznajdziesz sumienności w zachowaniu składni mowy naszéj: niedosyć, wprowadzili i upowszechnili zwróty Francuzkie, Niemieckie, Rossyjskie, równie jak wiele wyrazów! Pisząc z pośpiechem jak na obstalunek, zdają się niepojmować klęski jaką zadają najdroższemu skarbowi naszemu, który z przeszłości otrzymaliśmy w świętej spuściźnie. Niech im Bóg tego niepamięta!

Sumienny i surowy w badaniach swoich i w ocenie prac innych, pokazując mi sławny posąg Światowida zachowany w gmachu biblijotecznym, rzekł do mnie:

— Niemoże być żadnéj wątpliwości o jego prawdziwości. Dosyć jest spójrzeć na niekształtność dłóta i na wyraźne ślady starożytności, działania wody, w któréj spoczywał od wieków. Po obejrzeniu go zaraz troskliwém, gdy został przywiezionym do Krakowa, niewątpiłem ani na chwilę o jego autentyczności.

Kiedy w latach 1844—1845 zaczął wychodzić *Dwutygodnik*

Literacki pod redakcyą Waleryana *Kurowskiego*, Muczkowski wspierał go usilnie swojemi pracami. Tu pomieścił życiorysy *Bernarda z Lublina, Józefa-J.-N. Bogucickiego, Walentego Kuczborskiego.* Z rozpraw naukowych ogłosił w tém piśmie: *Początek biczowania się w Polsce; Wiadomość o związku filantropijnym w Krakowie; Założenie w r. 1643 szkoły Władysławsko-Nowodworskiéj w Krakowie; Bractwa Jezuickie i akademickie w Krakowie; O Janach Leopolitach w XVI wieku żyjących; O biblijach Szarfenbergerowskich; Początek przysłowia: „siedzi jak na Niemieckiém kazaniu“* (*).

Wyliczmy tu chronologicznym porządkiem prace naukowe Muczkowskiego, które najlepsze dadzą świadectwo przeważnych jego zasług dla literatury ojczystéj:

1) *Powieści z starego i nowego Testamentu*, Poznań, 1820 i 1831.

2) *Grammatyka języka Polskiego*, Poznań, 1825; (wydanie drugie przerobione, Kraków, 1836; wydanie trzecie przerobione i poprawne, Kraków, 1849).

3) *Zbiór najcelniejszych i najrzadszych rymotwórców Polskich z wieku XVI i XVII*, Poznań, 1827 r.; o nim wspomnieliśmy powyżéj.

4) *Piérwsze zasady języka Łacińskiego*, Kraków, 1832.

5) *Józefa-Jędrzeja Załuskiego. Biblijoteka historyków, prawników i polityków Polskich.* Nowemi przypisami pomnożył i wydał J. Muczkowski, Kraków, 1832.

6) We trzy lata 1835 r. opisał w języku Łacińskim wielką xięgę zwaną *Xięgą Czarownika Twardowskiego*, która za J.-S. Bandtkiego oddzielnie spoczywała, umocowana łańcuchem: jako rękopismu Pawła Paulivini zwanego *Pawłem z Pragi.*

(*) Wszystkie te pisma wyszły w oddzielném dziele, p. n. *Rozmaitości historyczne i biblijograficzne.* Kraków, w drukarni uniwersyteckiéj, 1845. w 8-ce, str. 216.

7) *Rękopisma Marcina Radymińskiego*, opisał i wiadomość o historyografach szkoły Jagiellońskiéj skreślił (z miedziorytem); Kraków, w drukarni Józefa Czecha, 1840, 8°, str. 156.

8) *Praktyczna grammatyka języka Polskiego*, oddział I, Kraków, 1843.

9) *Mieszkania i postępowanie uczniów Krakowskich w wiekach dawniejszych*, z godłem: „A dam dzieło ich w prawdzie," (Izajasz LXI, 8), z miedziorytem; Kraków, nakładem i czcionkami Józefa Czecha, 1842, w 8-ce, str. 158.

10) *Mała grammatyka języka Polskiego*. 1849.

11) *Wiadomość o założeniu uniwersytetu Krakowskiego;* Kraków, w drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego, 1849, w 8-ce, str. 103 (z facsimilem). Ta rozprawa wyszła powtórnie w r. 1851 z dodaniem wiadomości o kollegijum *Władysławsko - Nowodworskiém* i wspominki o *Mateuszu z Krakowa*, w 8-ce, str. 164.

12) *Posag uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie*, wiadomość historyczna; Kraków, nakładem Redakcyi „Czasu" i w drukarni „Czasu", 1850, w 8-ce, str. 192.

13) *Wiadomość o rękopismach historyi Długosza, jego Banderia Prutenorum, tudzież: Insignia seu clenodia regni Poloniae*, z 17 tablicami i facsimilem; Kraków, w drukarni uniwersyteckiéj, 1851, w 8-ce, str. 158.

Rozprawa ta zabrała mu kilka lat pracy: dla poznania rękopismów Długosza przedsiębrał umyślne podroże. Dziś przy rzuconéj myśli o wzniesieniu posągu w Krakowie dla tego piérwszego dziejopisa naszego i wydaniu dziejów jego w texcie oryginalnym wraz z przekładem Polskim, praca Muczkowskiego będzie wielce użyteczną wskazówką, gdzie odszukiwać rozrzucone z rożnych wieków odpisy rękopiśmienne Długosza (B).

W r. 1849 wydał w Krakowie:

Statuta nec non liber promotionum Philosophorum ordinis in Universitate Studiosum Jagiellonnica ab An. 1402 ad A. 1849.

Ostatnią z prac drukowanych Muczkowskiego, była czynna pomoc udzielona x. Piotrowi Pękalskiemu przy wydaniu w r. b. *Żywota świętego Wojciecha biskupa i męczennika z uwagami nad podaniem Czechów jakoby zwłoki jego w Pradze spoczywały.* Dodatki o monetach z wizerunkiem św. Wojciecha i sprostowanie błędnych podań o pieśni Boga-Rodzica, podanych przez Dominika Szulca, są pióra Muczkowskiego.

Wiele zostawił notat i badań rozpoczętych, o których sam nam powiadał; pewni jesteśmy, że czcigodna wdowa i ukształceni naukowo synowie, niedadzą długo pozostawać im w ukryciu. *Opis kaplicy Jagiellońskiéj*, przy któréj pracy życie zakończył, zapewnie gotowy do druku zostawił. Pragnęlibyśmy ażeby za pośrednictwem czy *Czasu* czy innego pisma podano nam wiadomość o wszystkich pozostałych rękopismach Muczkowskiego.

Oto jest krótki zarys żywota męża, którego zgon niespodziewany tak boleśnie uczuliśmy. Literatura straciła w nim sumiennego i pełnego nauki badacza, który na polu dziejów i piśmiennictwa ojczystego niemałe położył zasługi, społeczność nasza pełnego prawości niepokalanéj obywatela, rodzina troskliwego opiekuna i przewodnika, a biblijoteka Jagiellońska czujnego, gorliwego strażnika, co położył sobie za cel życia tę skarbnicę przeszłości narodowéj strzedz, wzmagać, bogacić i przywieść do tego ładu, aby dla młodych, następnych pokoleń, łatwo dostępna, mogła umysł jak i serce napawać poszanowaniem dla upłynionych wieków Polskich, z któremi wiążą nas ścisłe i nierozerwane ogniwa.

Warszawa, 15 września 1858

P r z y p i s y.

(A) Antoni Muczkowski urodził się w styczniu 1807 roku *w Zawieprzycach*. Początkowe nauki szkolne rozpoczął w Krakowie.

Po ukończeniu szkół gimnazyalnych w Poznaniu, uczęszczał przez rok na uniwersytet Wrocławski a następnie przez lat dwa poświęcał się filologii w Berlinie. Umarł d. 6 kwietnia 1852 r. Obszerny życiorys tego pełnego zasług i nauki badacza dałem w T. II *Cmentarza Powązkowskiego*, str. 126.

(B) Myśl piérwszą wzniesienia w Krakowie na Skałce posągu Długoszowi, gdzie prochy jego spoczywają, podał Włodzimiérz-Stanisław hrabia de Broel Plater. Odezwę, którą złożył na moje ręce, — co dosłównie załączam:

„Dawno już dawno w umysłach naszych wykarmiono myśl uczczenia wiekowego imion wielkich przeszłości świetnéj; lecz jako tyle innych poczuć i żądań, i ta ledwo w drobnéj cząstce się urzeczywistniła, — a koleją czasu przedstawiciele wielkości dwóch narodów, szli spocząć nieraz w ubogiéj mogile, nieraz zapomnieni, a wnukom przecz o nich pamiętać?

Czczijmy dziś mędrców narodu, my, którzy chcemy, by pożne pokolenia uczciły dziś obecne, nieraz pełne natchnienia; ale jeżeli wzrastać niebędziem codzień w drogie przeszłości zabytki, niczém się nieostoim.

Jan Długosz dziejopisarz i mistrz znakomitych królow szczepu Jagiełłowego, długo bez grobowego pomnika spoczywa! Ktoż z nas niezwiedzał w Krakowie *Skałki?* tam żadnéj pamiątki dlań niéma, choć zwłoki złożone! Każdy z rodaków wspomina jego imie w dziejach, a wydania ich dotąd odpowiadającego potrzebom nauk krajowych niéma, obejmującego i Polski przekład i żywot i wszelkie dziejowe, życiorysowe i krytyczne poszukiwania.

Ośmielony przeto głęboką wiarą, że Najwyższy pomoże wątłym usiłowaniom naszym, zamierzyłem otworzyć składkę, aby z funduszów zebranych, wznieść w Krakowie posąg dla Jana Długosza i przy pomocy uczonych wydać krytycznie *Dzieje*.

Wiem dobrze, że rzecz podobna powoli iść musi, i że niekażdy zechce dawać znaczną summę: przeto wolno będzie każdemu zapi-

sywać ofiarę swą, z warunkiem wypłaty jednorazowéj lub rok rocznéj, a wszelki grosz wdowi z wdzięcznością równą przyjętym zostanie. Wiem, że posąg potrzebuje długich przygotowań: przeto w imie pamiątek uderzam do serc artystów naszych, — a może po leciech kilku Polskie naźwisko witać będziem na pomniku. Zarazem wzywam uczonych,—a ci umiejący osądzić, jak ważném wydanie *Dziejów*, może zechcą między sobą rozdzielić prace, aby jak najdokładniejszém i zupełném zostało wydanie zamierzone.

Naźwiska wszystkich dawców zapisane zostaną w xiędze i raz złożone u podnoża pomnika, powtóre przy wydaniu *Dziejów* dołączone.

Dwie składkowe xięgi będą: jedna złożona w Towarzystwie rolniczém pod prezydencyą JW. Andrzeja hr. Zamojskiego, druga w Redakcyi Biblijoteki Warszawskiéj.

Składam na początek w celu wzniesienia pomnika dla Jana Długosza i na wydanie jego *Dziejów*, rubli srebrem tysiąc."

SZTUKA U SŁOWIAN,

SZCZEGÓLNIE

W POLSCE I LITWIE PRZEDCHRZEŚCIJAŃSKIÉJ,

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Tempus colligendi lapides.
Eccles. Cap. III, v. 5.

WYDANIE REDAKCYI TEKI.

WILNO

Drukiem Teofila Glücksberga,
Księgarza i Typografa Wileńskiego Naukowego Okręgu.

1858.

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno, dnia 10 czerwca 1858 roku.

Cenzor, Paweł Kukolnik.

SZTUKA U SŁOWIAN,

SZCZEGÓLNIE

W POLSCE I LITWIE PRZEDCHRZEŚCIJAŃSKIÉJ,

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Tempus colligendi lapides.

Eccles. Cap. III, v. 5.

KRAKOWSKIEMU TOWARZYSTWU NAUKOWEMU

z Uniwersytetem Jagiellońskim połączonemu,

W dowód wysokiego szacunku dla prac jego poświęca,

Członek Korespondent.

Do czytelnika.

Rzut oka na sztukę u Słowian i starożytności z nią w związku będące, który dziś wydajemy, przygotowany był jako wstęp do dawno przez nas przedsięwziętego dzieła o Ikonografii Polskiéj. Rozciągłość jego i trudności połączone z wydaniem całości obszernéj, ciągle do nowych pociągającéj uzupełnień i dodatków, skłoniły nas, żeśmy pomyślili o wydaniu téj cząstki pracy naszéj oddzielnie.

Piérwszy to raz starożytności różnych miejscowości Słowiańskich, znajdą się w jedną skupione wiązkę. Mieliśmy także zamiar dodać do téj xiążeczki naszego pomysłu mapę starożytniczą krajów Słowiańskich, tym rzutem oka objętych, któraby wskazała dobitnie, gdzie z jakich epok odkryte były zabytki, rozkopane mogiły, i t. p. Mapa ta, jak się nam zdaje, niebyłaby bez użytku i dla dziejopisarzy, wskazując najdawniejsze sadyby i stopniowe w różnych kierunkach rozradzanie się ludności, z któréj grobowych szczątków, często pochodzenie śledzić można. Dla starożytników także mapa ta mogłaby posłużyć, zwracając uwagę na miejsca, w których poszukiwania czynione już były i daléj rozwijane być mogą. Mapy téj jednak czas i ilość materyałów dotychczas posiadanych, dokonać nam niedozwoliły.

Próżném byłoby, cobyśmy tu na wytłómaczenie i zalecenie pracy naszéj czytelnikowi powiedzieć mogli: — sama się ona mu wyjaśni, gdy ją bez uprzedzenia weźmie w ręce. Słyszeliśmy wyrokujących na samo wspomnienie tytułu xiążki, że niepodobna pisać o sztuce u Słowian, bo sztuki u nich niebyło i ślady jéj niepozostały. Ale sąd taki wyrzec może tylko nieświadomy przedmiotu dotąd zaledwie dotkniętego i rzuconego odłogiem. Dalecy jesteśmy od przekonania, żeby te studya wyczerpać mogły zadanie: niedamy, bo dać dziś niepodobna rzeczy skończonéj i pełnéj; jest to raczéj plan pracy niż dzieło dokonane, ale niemniéj rzuci ono światełko, choć drobne, na jedną stronę bytu ludów Słowiańskich, dotąd zupełnie zaniedbaną.

Jeżeli się nam uda zwrócić oczy ludzi myślących na sztuki rodzinnéj zarody, skierować ku badaniom jéj nowym tych, którymby one łatwo przyszły i zużyteczniły czcze ich godziny; jeśli dowieść potrafimy, że sztuka niejest tam tylko wyłącznie, gdzie ją dotąd po-staremu widziano:—tych kilka lat pracy, które nam poszukiwania dosyć mozolne zajęły, sowicie się wynagrodzą.

Prawdę rzekłszy, niemamy nawet prawa do żadnéj nagrody. Niemiałem w życiu mojém godzin miléj i silniéj zajętych, nad te, które poświęcałem ulubionemu przedmiotowi — sztuce i starożytnościom, — uczucie towarzyszące pracy, sowicie ją płaciło. Radbym tylko dożyć chwili, w któréj całość poszukiwań moich przedstawić będę mógł sądowi ogółu, i dowieść, żem niekrzątał się darmo, że i mój grosz wdowi wart być może przyjętym do wielkiéj skarbnicy, tak obficie się dziś napełniającéj. Nim to nastąpi, chciejcie pobłażliwie spójrzeć na odrobinę, którą przynoszę, i przebaczyć nieuchronne błędy.

WSTĘP. — SZTUKA.

Zacznijmy od powtórzenia prawd oklepanych i porozumienia się o zasady, dalszemu rozwinięciu tych badań za podstawę służyć mające.

Człowiek, stworzony na obraz Boży, otrzymał w podziale duszę nieśmiertelną, która się nieustannie wspina ku niebu i żywotowi wiekuistemu. Téj aspiracyi ku przeczuwanéj ojczyźnie

rozmaite są objawy, w różnych kołach życia ludzkiego: pragnienie dobra, cnoty, prawdy, piękności, są częściami tego kwiatu, który jak helijotrop zwraca się zawsze ku słońcu swemu, ku Bogu.

Piękno, jego uczucie, pragnienie odtworzenia cieleśnego, mieszkającéj w nas idei piękności, są zasadą wszelkiéj sztuki. W niéj najgłówniéj, najsilniéj, objawia się twórczość człowieka, ograniczona wprawdzie, określona — ale jemu tylko właściwa, będąca wyłącznym jego darem.

Utworem więc sztuki, to tylko nazwać się może, co z uczucia piękna wynikło przez tworzenie, bez żadnéj myśli pożytku materyalnego; ale i w tém, co człowiek tworzy dla wygody i korzyści, z potrzeby ciała, może i musi mimowolnie przejawiać się ideja piękna.

Dopóki człowiek lepi budowy, kleci sprzęty, szyje suknie, aby się niemi posługował, obwarował, przykrył, ogrzał, w robocie jego niéma jeszcze sztuki, chyba jakaś zabłąkana, bez wiedzy samego twórcy iskierka.

Z uznającém się uczuciem piękna i żądzą objawienia go widomie na zewnątrz, poczyna się dopiéro sztuką prawdziwa. Lecz jak do wszystkiego, tak i do niéj przychodzi człowiek stopniowo, a piérwsze uderzenie dłóta, lub siekiery, które kloc nieociosany rzeźbi w kształty foremne, jest już ziarnem przyszłości.

Sztuka jest jednym ze środków wyrażenia leżącéj w nas myśli, któréj wszystkie strony, różnémi rodzajami czynów, dobywamy z siebie i stawim widomie, cieleśną okryte szatą. Ta suknia cieleśna, nieodbicie jest potrzebna myśli objawiającéj się na zewnątrz, by się stała żywą, dotykalną, i przeszedłszy przez wcielenie, znowu potém uduchowniona, odbiła się w drugich ludziach, za pośrednictwem zmysłów, przyswajających ją sobie. Pojęcie piękna musi się uwieńczyć słowem, czynem i uwidomić cieleśnie.

Sztuka jest *Kat-exochen* myśli ludzkiéj *czynem*, czynem najwyższym, pełnym, bo duchowo-cieleśnym, gdy filozofija naprzy-

kład, jest czynem czysto tylko duchowym, bo zwróceniem się myśli na siebie samą.

Sztuka daje ludzkiéj idei ciało i żywot rzeczywisty, uosabia ją. Istotą jéj, zasadą, nasieniem, jest *myśl*, ale w szacie piękna na świat wychodząca.

Myśl, ażeby się uzewnętrznić i wcielić mogła, potrzebuje przejść stopniowo drogę, która ją ku temu wiedzie rozwojem koniecznym, z jéj natury wypływającym. Myśl skupiona najprzód w sobie, ściągnięta, przeradza się w *uczucie*, z uczucia płynie *słowo*, na słowie buduje się *czyn*. Jeśli gdzie, to w sztuce ten rodowód czynu, jest dotykalny i widoczny. *Uczucie* swéj myśli zowie się tu *natchnieniem*, bez niego niéma dzieła sztuki, a czyja myśl wprzód niém niewystrzeli, niestworzy też żywego objawu, którego *na-tchnienie*, jest *tchem*, *duchem*, *duszą*.

Historya sztuki jest tylko jedną stronicą powszechnych dziejów myśli ludzkiéj.

Jak historya myśli dzieli się na cztery wielkie epoki, w których ideja działa naprzód sama o sobie niewiedząc, béz świadomości czynu, instynktowo — potém uczuwając się sobą — wreszcie zakréślając cel swojemu działaniu z innéj sfery (moralny) — ostatecznie tworząc już z pojęciem zupełném natury swojéj, siły i znaczenia; — tak i historya sztuki rozpada się także na cztery wielkie działy nieustannie się w różnych jéj cyklach powtarzające. Dzieje wszelkiéj sztuki, zamkniętéj i skończonéj jedném kołem (cyklem) obrótu Ludzkości, rozdzielać się muszą na cztery epoki: piérwotną i instynktową, liryczną, moralną i filozoficzną.

Cała sztuka rodzi się z myśli i ducha, i na nich spoczywa. Duch ten gdy ma się cieleśnie objawić, zależy i od wykształcenia i usposobienia indywidualnego artysty, przez którego dłoń na świat wychodzi, i od charakteru narodowości, któréj on jest cząstką, i od ducha czasu, wśród którego żyć mu dano. Historya

więc sztuki będąc w pewien sposób historyą jednéj strony myśli ludzkiéj, daje nam poznać, nietylko pojedyńcze indywidualne talenta twórców, ale ducha narodu i czasu, z pod których wpływu najpotężniéjsza nawet jednostka wyzwolić się niemoże. Artysta wyraża stopień wykształcenia ludu, jego żywota cel i zaprzątnienie, najtajniejsze cechy jego charakteru. Widzimy ztąd jasno, że sztuka osóbnéj niemoże mieć historyi, ale jest jedną z części składowych dziejów, jedną stroną historyi czynu ludzkiego, rozwoju wcielonéj myśli ludzkiéj.

Dla tego historyk kraju, co po za granicami dziejów, jak dawniéj bywało, zostawił całą sztukę, ledwie o niéj wspomniawszy przelotem, niedawał całości, ale tylko nieforemny, nieżywy obłamek dziejów ludu i czasu; dla tego i dziejopis sztuki, powinien się oglądać na dzieje kraju, w innych sferach działalności jego, bo bez téj pochodni, ani pojmie znaczenia utworów sztuki, ani ich ocenić potrafi.

W bliższych nas dopiéro czasach, dzieje sztuki, w najobszerniéjszém swém znaczeniu, uzyskały to obywatelstwo w xiędze historyi ludów, obywatelstwo, którego im długo odmawiano, — a do dziś dnia jeszcze ograniczając się sztuką na najwyższym szczeblu rozwoju, pomijają historycy niemowlęce jéj dzieła, zapominając, że i droga, którą sztuka dochodząc doskonałości przebywa, równie jak najwyższe jéj rozwinięcie, do dziejów należeć musi. Ta to myśl spowodowała nas do dzisiejszego rozbioru i zastanowienia się nad zabytkami sztuki przedchrześcijańskiéj u Słowian: jakkolwiek one może nieuderzają szczególnym wdziękiem, ani wyrobu doskonałością; zawsze to przecię pomniki myśli, dopominające się ocenienia, mające miejsce należne w historyi myśli i czynu Słowiańskiego.

Niéma ludu na kuli ziemskiéj, któryby w sobie niemiał jakiegoś uczucia piękna i nieobjawił na zewnątrz idei téj w jakikolwiek sposób. Najniżej pod tym względem stojące narody, najmniéj

uposażone indywidua, muszą choć strojem, sprzętem, tańcem, pieśnią, orężem, barwami szaty, wydać z siebie to uczucie i pragnienie piękności. Niepotrzebujemy zdaje mi się dowodzić, że przed obliczem historyi zarówno zasługuje na zastanowienie ozdoba z piór i szkiełek, którą wdziewa dziki Indyanin, jak najpiękniejszy posąg Grecki; że nieforemne bożyszcze czcicieli Budhy staje tu obok Fidyaszowego marmuru — bo w obojgu żyje myśl ludzka. Studyując człowieka musimy iść od bełkotu dziecięcia, do pieśni i jęku starca, niemogąc pominąć nic po drodze, bo fenomena wszystkie mają równe prawo bytu i wszystkie są konieczne. Zdaje mi się więc, że ci co zastanawiając się nad historyą sztuki, opuszczają pierwotne bytu jéj epoki, czynią nielogicznie. Już w tym płaczu i urywanych dźwiękach, które wymawia dziecię, żyje jak dąb w żołędzi — pieśń i mowa mająca z nich się narodzić.

Dla czegożbyśmy pod pozorem małego wykształcenia, nizkiego stopnia cywilizacyi ludu, barbarzyństwa epoki — sztuce jéj właściwéj odmawiać mieli miejsca na kartach dziejowych? Wszakże dzieje najdzikszych ludów, jako dzieje zarówno zajmować muszą historyka, z dziejami wykształconéj Grecyi i Rzymu, wszakci w historyi piątego wieku Atylla, stać musi na równi z potomkami Teodozyuszowymi? I sztuka więc, na najniższym nawet szczeblu rozwoju, u źródeł swych śledzoną i badaną być powinna. Łacniéj jest prawda czytać myśl jasną, i wypowiedzianą przez dójrzałego męża, niż zgadywać z mowy dziecka, co się snuje w głowie jego; ale obu tych głosów słuchać musi historyk. Nieidzie zatém, bym nierozróżniał wartości piérwszych prób sztuki, piérwszych objawów idei piękna, i arcydzieł jéj w pełni sił wydanych; — ale domagam się praw obywatelstwa, na kartach dziejowych, dla wszystkiego, co tylko natchęło uczucie piękna; pragnę, byśmy niezrażając się trudnością wyczytania mowy nieforemnie jeszcze kreślonéj, pracowali nad rozwikłaniem jéj hieroglifów, w których myśl leży spowita.

W sztuce Greckiéj epoka eginetyczną, na któréj późno się poznano, stanowi ważny i pełen znaczenia okres; czemużbyśmy w utworach ludów, zwanych barbarzyńskiemi, wzgardzili dziełami mniéj doskonałemi, trudniejszemi do pojęcia, ale pełnemi życia, treści i siły ??

II. DZIEŁA SZTUKI.

Nie każdy naród może mieć wielkich mistrzów, coby myśl jego całą i pełną wydali; lecz każdy ma swą sztukę i jéj historyę, bo żadnemu z nich nieodmówiło Niebo uczucia piękna, choćby cząstkowego i ułomnego, jakichś właściwych pojęć jego; —bo każdy potrzebował tworzyć i tworzył, w sposób sobie właściwy, bo każdy mniéj więcéj, żyje myślą i duchem.

Zbyt ciasne pojęcie sztuki spowodowało, że jéj całkowicie odmówiono niektórym ludom, niechcąc przez to uznać, by w nich było—przeczucie i pragnienie nieśmiertelności, i ta tęsknota ku niebiosom, która się we czci ideału i w drobnych nawet objawach, uczucia piękna wyraża. Tak naprzykład naszéj północy, a szczególniéj Słowiańszczyźnie, obok arcydzieł Grecyi i Rzymu, niemającéj co postawić jednorodzajowego i równoznacznego, odmówiono całkiem uczucia piękna, sztuki i jéj dziejów. Jest-li to słusznem? Czy wreszcie cała sztuka zamyka się w budownictwie, malarstwie, rzeźbie, rysunku? Uczucie piękna, czy się też niemoże objawiać niespodzianie, w każdéj niemal chwili żywota, w najmniejszym sprzęciku, w każdéj drobnostce zlepionéj ręką człowieka?

Nareszcie, godziż się tam tylko widzieć sztukę i uznawać ją, gdzie ona już rozkwitła i wydała owoce, a zapoznawać jéj nasiona, drzewo i liście? Nam się zdaje, że daleko większą być może zasługą, szukać nasion zagrzebanych w popiele rumowisk,

ziarnek, co nigdy może niezejdą, niż sięgać po gotowe owoce.

Sztuka w Słowiańszczyźnie, niemiała jeszcze czasu przejść wszystkich epok swojego rozwoju, może dla tego właśnie, że jéj kiełek rodzimy nieustannie obce zwichały wpływy — niemniéj jednak żyła już i istniała wszędzie, gdzie się kolwiek objawiało uczucie piękna, gdzie myśl idealnym wzorem gnana, usiłowała się wcielić, i przez materyał cieleśny wypowiadając duchową swoję istotę.

Nieszukajmy świątyń Greckich, gdzie ich niebyło i być niemogło, ale starajmy się pojąć charakter budownictwa ziemi naszéj, wyczytać wdzięk jego i odrębne piętna; w życiu powszedniém, sprzęcie codziennego użytku, usiłujmy rozpoznać, co rzemieślnikowi podała materjalna potrzeba, a co zrobił natchniony, choć nierozwiniętém, tęskném uczuciem piękności, żądzą nadania wdzięku dziełu swéj ręki. W polewie prostego garnka, najpośledniéjszego z wyrobów ceramiki, znajdziemy i odróżnim, zastanowiwszy się nieco, czego nauczyła potrzeba, czego wymagała trwałość, a co nakréśliła wykluwająca się już myśl ornamentacyi dla oka, ozdoby — zaspokajającéj tylko pragnienie duszy.

Niesłuchajmy tych, którzy mówią, że historyi sztuki mieć niemożemy, bośmy własnéj dotąd sztuki niemieli, zaprzątnieni wojną, zajęci urządzeniem społecznego żywota ciągle wrącego i wszystkie nasze spotrzebowującego siły. Ci ludzie chcą, byśmy im wskazali u nas koniecznie to, co było gdzieindziéj, i tak jak było gdzieindziéj; a niechcą zająć się szukaniem, szperaniem, składaniem szczątków, by uznać z nich, że i my mieliśmy uczucie piękna, zasadę wszelkiéj sztuki, żeśmy się objawili, nietylko w dziełach rąk naszych, ale w przyjęciu i ocenieniu dzieł obcych, żeśmy w każdéj chwili żywota, otaczali się utworami sztuki, sprzętem, w którym choć nie-

wyraźnie i mglisto, świtała potrzeba piękna, tęsknota do ideału.

Do dziedziny stuki, która koniecznie rozszerzyć się musi przez lepsze istoty jej pojęcie, nie to tylko zaliczyć potrzeba, co dawniéj wyłącznie dziełem sztuki zwano; — dopomina się ona daleko więcéj. Począwszy od rzeźbionéj oprawy nożyka, od rysowanago garnka odkopywanego w grobowcach pogańskich, do szabli misternie oprawionéj i złoconéj zbroi rycerza, do tkanéj wzorzysto makaty i sadzonéj sztucznie podłogi — wszystko to do historyi myśli, historyi sztuki, do charakterystyki narodu należeć powinno.

Gdzie tylko, powtarzamy, jest myśl odtwarzania piękna, pojętego w duszy, już jest zaród sztuki. Niejest dziełem sztuki szałasz zbudowany od słoty i wichru, dopóki chłopek, co go wznosi, nieuczuje potrzeby, ozdobić i uwdzięczyć téj kleci — chociaż budownictwo jest sztuką; — gdy z drugiéj strony, dziełem sztuki być może prosty koszyk z łoziny wypleciony, na którego bokach wyrazić umiał chłopak co go wiązał, w symetrycznych rysach, myśl ładu i harmonii, ciemno się objawiającą w głowie jego, ale widoczną w czynie ręki. W dziejach ludzkości i sztuki, często bardzo, nie ten czyta co napisał; przyszłość dopiéro wykłada charaktery kreślone instynktowo, nieświadomie.

Dotąd wszyscy prawie historycy sztuki zbyt niewolniczo trzymając się pewnych prawideł, wyciągniętych wyłącznie z epok najwyższego rozwoju, — niemyślą sie kierowali własną, ale regułą żelazną, po zągranicami któréj napisali sobie pustynie, jak na starych kartach geograficznych rysowano dłoń olbrzymią, gdzie spały jeszcze nie zwiedzone lądy. Uznają oni częstokroć za dzieło sztuki, co niém niejest jeszcze, lub co niém być przestało, jako utwór ślepo naśladowniczy; a odpychają prawdziwe arcydzieła dla tego, że na nie gotowych szufladek do ustawienia niemają. Podziały stare, jak numerowane półki, służą im za formę

klassyfikacyi, a co się w nich niemieści, odrzucają precz bez litości.

Z dzisiejszych codzień szerszych wyobrażeń o sztuce, cale inne wynikają warunki dla dziejopisarza, cale nowe podziały, inny punkt do zapatrywania się na utwory. Obok Michała Anioła, staje Benvenuto Cellini z rzeźbioną rękojeścią miecza; obok etrusków, szykują się polewane misy i kształtne dzbany Bernarda Palissy; obok Perugina i Fr. Bartolomeo, kładziemy skromnych mozaistów i tkaczy kobierców i pasów; obok rozpraw o budowie bazyliki, o proporcyi kolumny świątyń Jowisza i Neptuna, musimy położyć rozprawę o skromnych naszych modrzewiowych kościołkach, o kształcie słupów w śpichrzach i gospodach, kształcie tradycyjnym i zbyt jednostajnym, by miał być fantazyą lub przypadkiem; — słowem, obok arcymistrzów, musimy dać prawo obywatelstwa pracownikom, obok myśli potężnéj, rachować za cóś i cichszy głos piersi ludzkiéj. Zdaje się, że wiek, co przyszedł do pojęć emancypacyi stanów, równolegle w innéj sferze podnieść się powinien, do idei emancypowania, uznania wszystkich sztuki objawów i nadania im równych praw obywatelstwa w historyi sztuki.

W ozdobach stroju, w wyrobach złotniczych na małą skalę do rzeźby należących, wynaleźć można dopełnienia do dziejów całéj jednéj gałęzi sztuki — na blaszce z wyciskiem potworu, odkopanéj w grobie pogańskim, da się wyczytać choć jedno słówko epoki dotąd niemo stojącéj w historyi. Rozszerza się w ten sposób horyzont przed nami, pomnażają się źródła dziejów objawu myśli, zbogacamy się mnóztwem odrzucanego dotąd a ważnego, i z podziwem znajdujemy w zardzewiałych okruchach uczucie piękna, wyraz jego często szczęśliwy, ciekawy zawsze, gdzie wprzód była grobowa cisza i nicość.

III. SŁOWIANIE.

Starsze dzieje ludów Słowiańskiego szczepu niedosyć są dotąd rozjaśnione, by nam dopomódz mogły do klassyfikacyi i wytłómaczenia charakteru zabytków sztuki, znajdowanych na ogremnéj przestrzeni zajmowanéj przez plemie nasze. Nie tak dawno jeszcze Słowianie uważani byli za najmłódszych w Europie przybyszów, a dotąd, fatalnym jakimś losem, jak znaczną część ziem i ludów przywłaszczają sobie obcy (Germanie), tak i przeszłość Słowiańską pożerają dzieje innych plemion, z któremi nas nieświadomość zjednoczyła.

Szukać więc potrzeba historyi dawnéj Słowian wśród dziejów na pozór nam obcych, i dośledzać co błąd, uprzedzenie lub umyślna złość nam wydarła. Na téj drodze uczyniono już wiele: wspomnimy tylko Szafarzyka, prace u Czechów, Lelewela i Maciejowskiego u nas; lecz po tych, po odgrzebaniu gruzów i pozbyciu się naukowych przesądów, pozostało jeszcze dość dla następców.

W zabytkach sztuki znajdowanych na ziemi Słowian i wdawnych ich siedzibach, już się niejako czytać dają epoki główne przedhistorycznéj ich przeszłości, chociaż granic tych epok ściśléj oznaczyć niepodobna. Wielka jest różnica między grobowcem z wieku *kamieni*, a mogiłą z epoki *żelaza*, z ostatnich czasów, przed samém Chrześcijaństwa przyjęciem; między bronzem, z którego wyrabiano noże ofiarne, a naszyjnikiem zwiniętym w sploty, lub spięciem do najbliższych odnoszącém się lat, przy którém ze zdumieniem, często obok urny pełnéj popiołów, już się i krzyżyk znaleźć może, użyty nie w znaczeniu godła Chrześcijan, ale jako amulet, jako znamie bóstwa sąsiedniego ludu. Rozbiór pomników sztuki, który tu zamierzamy, okaże różnice i następstwo po sobie zabytków naszéj ziemi, dotąd nie-

rozklassykowanych należycie przez nikogo. Tu następnie napomknąć jeszcze musimy o głównych w dziejach Słowiańszczyzny wypadkach, mogących pokierować w badaniu charakteru pomników sztuki w najrozciąglejszém jéj znaczeniu.

W ósmym już wieku przed Chrystusem znajdujemy u Greków wiadomość o ziemiach Słowiańskich, przez które po bursztyn jadący kupcy przechodzić musieli; w szóstym wieku zdaje się, że i płody tych ziem i ich mieszkańcy dobrze Grekom byli znajomi. W piątym Herodot podaje już szczegółowe, i choć na opowiadaniach wędrowników oparte, wszakże bliższe prawdy wiadomości o *Skytach* zamieszkujących część Słowiańszczyzny. Pobyt jego w osadach Greckich nad Pontem, podał mu sposobność zaczerpnięcia od Greków tutéjszych wieści o ludach z któremi mieli ciągłe stosunki. Wpływ Grecyi i jéj kunsztów na ówczesnych mieszkańców Słowiańszczyzny, daje się wykazać jak to niżéj dowiedziemy, zabytkami odkopywanemi dziś, nietylko w krajach sąsiednich morzu Czarnemu, na Ukrainie, na Podolu, gdzie się trafiają naczynia i sprzęty, wyraźnie nacechowane pochodzeniem Helleńskiém, ale i w ziemiach Nadbaltyckich.

W czwartym wieku, wielki napływ *Keltów* od zachodu cisnących się na wschód, czyli być może przyczyną powinowactwa pomników Litewskich z Druidyckiémi? o tém wątpimy wielce: raz, że napady Keltów niedosięgły nigdy podobno Słowiańszczyzny Przedkarpackiéj, — powtóre, że starożytne zabytki, do Keltyckich podobne i widoczne z niemi mające pokrewienstwo, starsze są od téj epoki i sięgają czasów, w których plemie Keltów szerzéj rozsiedlone po Europie, całą ją swym wpływem przesiękło.

Około piérwszych lat ery nowéj, zjawiają się w Słowiańszczyźnie włóczęgi *Skandynawskie*, i na północno-wschodnie jéj ziemie przeważny wpływ wywierać poczynają, widny w po-

mnikach i podaniach religijnych, między innemi naprzykład w obchodzie Kupały, zapożyczonéj od rocznicy Balderowskiego święta.

Około tegoż czasu stosunki Słowian z Rzymem, stają się coraz częstsze i zbliżają kraje te ku państwu władającemu światem, tak, że od zachodu i zachodo-południa, wiara i oby czaj Rzymski, daje się wyśledzić u Słowian w obrzędach pogrzebowych, w czći bóztw, pojęciach o nich i materyalném ich przedstawieniu.

W sto lat po Chrystusie, Tacyt, malując świat Germański, zapoznaje nas z ówczesnemi *Wenedami* i niewyróżniając Słowian, już ich wszakże wskazuje.

Słowianie prą się ku zachodowi; Goci cofają się przed naciskiem plemion Wenedyjskich; Słowianie zajmują wybrzeża Odry i opuszczone brzegi morza Baltyckiego (II. i III. wiek); Rzymianie stykają się coraz częściéj, coraz mniéj przyjaźnie, z tymi, którzy zdają się czekać tylko przybycia Hunnów, by z nimi razem, runąć na państwo Rzymskie.

Przyjście *Hunnów* w czwartym wieku, sojusz ze Słowianami, uczęstnictwo ich w napadach na państwo Teodozyuszowe; stanowią nowy okres w pierwotnych dziejach naszych. Od piątego do siódmego wieku, plemiona Słowiańskie odbywają wędrówki, które o ostatecznem ich osiedleniu rozstrzygnąć mają; w dziewiątym i dziesiątym, światło wiary Chrześcijańkiéj, pada nareszcie na tę budowę i do nowego powołuje ją życia.

Z pielgrzymek, sąsiedztwa i wojen w ciągu wieków, pozostały widome ślady w zabytkach, jakie nam przekazała starożytność;—biją znich piętna Keltyckie, Greckie, Skandynawskie, Rzymskie i Germańskie z kolei; ale to wszystko przyswojone, złączone, stanowi nowy, odrębny, właściwy pierwiastek.

Niedziw, że nieraz dobyte z ziemi starożytności nasze, dziwnie przypominają znajdowane na drugim końcu Europy, że

i w bóztwach i w sprzętach Słowian, znać ich stosunki z Grecyą, z Rzymem, ze Skandynawami; ślady to tylko, że Słowiańszczyzna umiejętnie przyswajała sobie i zdobywała na korzyść własną żywot ludów z któremi się stykała.

Na ziemi, przez którą przewędrowało tyle ludów, plemion tyle, każdy musiał rzucić jakąś po sobie pamiątkę: wojownicy miecze i zbroje, kapłani bóztwa, niewiasty pierścienie — po jednych pieśń została, po drugich kamień grobowy, a każda epoka i ruch wyryły się na tym smentarzysku przeszłości.

IV. MOGIŁY.

Bez wątpienia, najstarszemi pomnikami, do których przywiązana była myśl wyższa, szlachetniéjsza, nieoglądająca się na żadną korzyść cieleśną — są usypy z ziemi, mogiły, sięgające najodleglejszéj starożytności.

Jako pomniki pierwotne zwracają uwagę badacza, już same przez się, już że nam choć w szczupłéj ilości dochowały pamiątki z czasów, o których suche tylko i niepewne mamy podania.

W piérwszych epokach bytu na ziemi, w czasach, które tak niesłusznie barbarzyńskiemi zowią, góry i wyniosłości były miejscami poświęconemi czci bogów, modlitwie, obrzędom pogrzebowym, ofiarom. Jeszcze dziś przekształcony cywilizacyą, oziębły i zużyty człowiek, doznaje wznosząc się na góry, wchodząc na wyniosłości, przejmującego jakiegoś wrażenia religijnego, któremu się oprzeć niemoże. Widok wielkiéj przestrzeni ziemi wzbudza w nim uczucie tęskne, uspasabia do modlitwy i dumania, które jest przedsienią modlitwy.

Oko obejmując razem tyle ludzkich siedzib, szeroki plac boju żywota, wprowadza do duszy myśl braterstwa, jedności

i nadzieję niewytłómaczoną, instynktową jakiegoś połączenia się w jedném ognisku nieśmiertelności. Uważano, że ludy zamieszkałe na górach, mają szczególniéj wyrobione, silne przywiązanie do kraju swojego i usposobienie wznioślejsze, poetyczniejsze, niżeli mieszkańców dolin, skazanych na błąkanie się w ciasnym równin widnokręgu. W pierwotnych wiekach, wyniosłości, jako miéjsca bliższe bóztwa, stały się piérwszych świątyń posadą, na nich wznoszono ołtarze i palono ofiary. Z téj czci gór i uczuć jakie one wzbudzały, łatwo. wytłómaczyć sobie sypanie kopców i kurhanów, na miéjscu gdzie składano zwłoki umarłych. Piérwszym niestety! pomnikiem na ziemi, po ołtarzu bóztwa, musiała być Albowa mogiła.

Ten stożek ziemi, który kształtem swym przypomina stare piramidy (mogiły z cegły zbudowane)—mający formę symboliczną płomienia (żywota nieśmiertelnego, nad mogiłą zwłok doczesnych), — na całéj przestrzeni kuli ziemskiéj się spotyka, a niektóre zaklęsłe dziś i przybite usypy sięgają najstarszych bytu Ludzkości wieków.

Usyp taki z kamienia lub ziemi ręką ludzką dokonany, z myślą unieśmiertelnienia pamięci bohatéra, wodza, króla, jest niechybnie jedném z najpierwotniejszych, najstarszych dzieł sztuki, w kolebce jeszcze marzącéj. Piękném się zdało usypać górę nad zwłokami zmarłego i uświęcić nią miéjsce jego spoczynku; a tak powstał grobowiec, garściami przez lud zrzucony, wprzód nim potrafiono wykuć granitowy sarkofag, zebrać nań płyty kamienne, wyżłobić pieczarę, późniejszych i wymyślniejszych czasów dzieło. W wędrówkach narodów, na placu potyczki, wojownicy żegnając się z wodzem poległym, zrzucali mu po garści piasku na oczy i położywszy przy nim oręż jego, ozdoby stroju, zakopawszy z nim razem ulubione mu istoty, szli daléj gdzie gnało przeznaczenie.

Niepotrzebujemy dowodzić, że grobowiec należy do dzieł

sztuki, bo do wzniesienia go nieznagliła żadna cieleśna potrzeba, tworzyła go myśl czysta, cześć, uwielbienie, żal, chęć przekazania wnukom uczucia, które ręką dźwignęło.

Mogiły z ziemi sypane, w rozmaitych kształtach, rozsiane są po całéj przestrzeni kuli naszéj i znajdują się wszędzie, gdziekolwiek zdawna zamieszkiwał człowiek: *Pallas* znalazł je nad Wołgą, w kraju pod Uralem i w stepach Kirgizkich; *Jefferson* w Wirginii; *Altwater* w Ohijo i nad brzegami jeziora Ontaryo; *Spartmann* u Kaffrów; *John Barrow* u Hottentotów. Znaczenie historyczne tych usypów z przeddziejowych czasów, najlepiéj wskazał *Ritter* (Vorhalle europaeischer Viskergeschichten, Berlin, 1820, 253), dowodząc, że jednym z piérwszych węzłów społecznego życia być musiały: cześć zmarłych, ofiary pogrzebowe i pomniki wznoszone członkom rodziny.

Grecy zwali mogiłę *χῶμα-ηριον*. — Rzymianie *Mercuri acerous*, *tumulus*; w Anglii zowią ją *barrow*; w Irlandyi *terpen*; w Szkocyi *Mont-moth*; w Szwecyi *Attehögar*; we Francyi *gal-gals*, *malle*, *butte*, i t. d. Czy wyraz u niektórych Słowian używany *Kurhan*, pochodzi z tatarskiego *Kur*, góra, i *chane*, dom, — bardzo wątpię, prędzéjbym szukał wywodu w wyrazie *kru*, *kruhan*, od okrągłości usypu, lub *gorkan*, *hurkan*, od góry, gdyż wyraz *kurhan* zdaje się czysto Słowiański. Słowiańską także jest *mogiła*, *mohyla*, po-Illiryjsku *homyla*. *Koeppen*, aż w Arabskim szúka piérwiastku *mogiły*, i znajduje go w wyrazie *menhel*, według Golius'a oznaczającym *tumulus*, *sepulcrum*, a właściwiéj miejsce w pustyni. Słuszniéj zda mi się *Vocel* wywodzi ją od *moh* zasadniczego pierwiastku, z którego i Słowiańskie *mohu*, i Greckie *μεγαο* pochodzi. Po-Wendyjsku *mol*, znaczy wyżynę, wyniosłość; *mogiła*, był to usyp wielki *mohuczy*, *mohutny*, podniosły. (Vocel. 29—30).

Usypy tego rodzaju, różnych kształtów i wielkości, w Słowiańszczyźnie i na przestrzeni dawnéj Polski i Litwy, w bardzo

mnogiéj znajdują się ilości, i do różnych należą wieków, epok i narodów. Rozpoznanie ich starożytności, niejest dziś łatwém, z powodu, że nawet tych, które badane były, opisy niesą po większéj części dość szczegółowe i dobitne; jednakże po pewnych już i oznaczonych powszechnie cechach, rozdzielić można mogiły na kilka głównych rodzajów, nie tak ze względu na ich powierzchowne kształty, jak raczéj na zawarte w nich szczątki i okruchy przedmiotów przy zgliszczach lub kościotrupach.

Uczeni Europejscy archeologowie nieustannie nowemi coraz spostrzeżeniami zbogacają ten oddział nauki starożytniczéj, dotąd jednak dostatecznie nieopracowany.

Wymienim tu cechy ogólne, na które się powszechnie zgodzono, przyjmując je za wskazówkę do podziału na pewne epoki starożytnych mogił. Zastanowienie się nad niemi i porównanie opisów wykopalisk naszych z obcemi pomnikami tego rodzaju, dozwala przyswoić nam tę klassyfikacyę całkowicie, jeśli nie co do granic i trwania epok zakreślonych przez antykwaryuszów, to przynajmniéj co do ich następstwa po sobie.

Na trzy więc główne działy, rozpadają się usypy wszelkie, na naszych znajdujące się ziemiach: na groty tak zwane epoki kamiennéj, epoki bronzu i żelaza. Pomiędzy niemi mieszczą się mogiły okresów przejścia, łączących z sobą odrębnie nacechowane epoki główne. Wskażem to zaraz obszerniéj, zastanawiając się nad niemi (*).

(*) A) *Wołotówki*, mogiły Białéj-Rusi, opisuje p. K. Goworski w *Pamiętn. Ces. Towarz. Archeol., S. Petersb., T. 5., str. 91;* rozkopywał on niektóre, i tak sprawę zdaje z poszukiwań swoich:

„Przy rozkopaniu tych mogił, których w mojéj obecności rozkopano do dziesięciu, najprzód napotykają się drobne węgle, na arszyn lub więcéj od wierzchołka kurhanu poczyna się leżący na całéj przestrzeni słój ziemi, który ma pozór marmuru, gdy jest gładko prze-

V. GROBY KAMIENNE.

Grobowce kamieniem okładane, znane były i w starożytnéj Grecyi: zwano je tam κρηπιδες, wedle Pauzanijusza istniały już tam w czasie cyklu wojen Trojańskich. Na północy także są to pewnie najstarsze pomniki grobowe.

---

cięty, a gdzie niegdzie popiół go przerzyna i czarnoziem, powstały z rozkładu węgli.

Kości leżą wzdłuż w jednym kierunku, zawsze ze wschodu na zachód zwrócone. Z rozkładu ich wnosić można, że trupy kładziono na stosie rzędem, jedne przy drugich, na nich drzewo i tak je palono. Niekiedy trafia się trzy warstwy kości poprzedzielanych węglami i popiołem. W niektórych wielkich mogiłach, w samym środku tylko są ślady jednego spalonego szkieletu. We wszystkich usypach znajdował p. Goworski garnki zupełnie do zwykłych Białoruskich podobne. Rozkopując kurhany przekonał się sprawodawca, że najprzód pod niemi ubijano ziemię na zgliszcze, na tym toku kładziono stos i palono zmarłego; a nareszcie zasypywano ziemią popioły. (Olgierdowa droga, 14 Sept. 1852).

Węgiel drew użytych na stosy, wskazuje dębinę i liściaste szczególniéj rodzaje, o które dziś w tym kraju trudno, bo na ich miejscu porosły sosny i lasy iglaste.

Nad rzeką Naczą w Białéj-Rusi, rozkopywał także p. Goworski kilka mogił, z czasów pogańskich, znajdujących się wśród wielkiego cmentarzyska, pełnego kurhanów krągłych, okładanych kamieniami, rozciągającego się na 200 sążni kwadratowych. Najmniejsze usypy miały sążeń w przecięciu; w kilku z nich znajdowano po jednym szkielecie, otoczonym żwirem i żwirem przysypanym. Zmarłych kładziono na prawym boku, twarzą w prawo do południa, głową na zachód. Zauważał rozkopujący, że trupy w lewéj ręce miały łokciowéj długości głównie, a w prawéj niewielkie kółka, z massy jakiéjś, dokoła zaostrzone, a w pośrodku wypukłe. Ręka prawa spoczywała na żołądku.

Kółka te zdaje się gliniane, musiały tu mieć toż samo znaczenie, co gdzie indziéj znajdowane krążki gliniane, bronzowe, i t. p.

Wiek, do którego się odnoszą, niemogący być ściśle odznaczonym, zowie się *epoką kamieni.*

U narodów pochodzenia Skandynawskiego i Germańskiego, mogiły tego rodzaju zowią się *Kamiennemi* (*Steendysser*); podobnych natrafiamy dość w Mazowszu, Litwie, Prusiech i innych krajach Litewsko-Słowiańskich. Mogiły téj epoki co do budowy swéj bywają dość rozmaite.

B) Chociaż starożytności te do Słowiańskich nienależą, damy tu treść poszukiwań p. E.-H. Muralta (*Pamięt. Cesar. towar. archeol. 1849, T. 2, str. 306*), o chronologii grobowisk, z obu stron Bosforu Cymmeryjskiego, dla porównania z tém, co u nas w tym rodzaju znajdować się może.

Za najdawniéjszy sposób grzebanie ciał umarłych, poczytuje autor palenie ich na stosach; w najstarszych grobowiskach nieznajdują monet dawniejszych nad Lizymacha (370 przed Chr.), ani rzeczy szklanych, natomiast naczynia malowane, całe lub pokruszone, z figurami czerwonemi na tle czarném i t. p.

Spotykają się w najstarszych mogiłach rzeczy złote, nadtopione, sprzęty metalowe. Grobowiska okładane są kamieniami; prochy zmarłych zbierano także w urny kamienne, w których złote ozdoby stroju się natrafiają.

Znajdowano też urny bronzowe, obok rysowanych, urny ołowiane, gliniane i jedną srebrną. Urny gliniane mają znaki, napisy krótkie, rysunki, i w sobie monety złote. Szkielety całkowite, niepalone, leżą zwykle w zasklepieniach, zwanych *Egipskiemi*, z powodu że nie okrągło na sposób Rzymski są sklepione, ale kamieniami prostemi wystającemi stopniowo zamknięte, tak, że u góry jedna płyta otwór pokrywa. Schodków tych bywa od trzech do czterñastu.

W niektórych z tych izb podziemnych, nic nieznaleziono, w innych wyroby złote bardzo pięknego stylu, z wieku III przed Chrystusem; figurynki Herkulesa Scytyjskiego, szklane naczynia, monety, i. t. p. Budowa sama korytarzy i izb grobowych, niekiedy znacznéj wielkości, zasługuje na uwagę; jedne z nich są z kamienia zasklepiane płytami, inne z gliny deskami pokryte; dokonane są z pewném staraniem. Sprzęty szklane, naczynia, garnki, znajdowano w nich wraz z późniéjszych cza-

Piérwsze są z wielkich głazów w kształcie skrzyni, lub izby zbudowane porządnie. Inne mają pozór słoikowatych pagórków kamieniami okładanych, kształtu podłużnego, owalnego, lub małe okrągłe (Steendysser właściwe), podługowate, owalne (Langdysser) i okrągłe większe (Runddysser). Podłużne bywają różnéj wielkości, od trzydziestu do sześciudziesiąt łokci, niektóre od stu do dwóchset. Szerokość ich zwykle nieprzechodzi piętnastu lub dwudziestu łokci. Kierunek mogił niezawsze bywa jednostajny, częściéj ze wschodu na zachód, ale i północno-południowe się trafiają. Zdaje się więc, że oryentowanie niebyło stałe i niemiało religijnego obrzędowego znaczenia.

---

sów monetami. Zresztą groby tego rodzaju są różnych epok, jak się z pamiątek i dzieł sztuki w nich znajdowanych okazuje.

Do téjże epoki drugiéj odnosi autor grobowce murowane z cegły w których i kości niepalone i urny z popiołami natrafiano, a obok nich rzeczy szklane.

Trzecie są mogiły w kształcie dołów, pokrytych kamieniami, a w nich także urny i sprzęty szklane znajdowano: z monetami Sauromatesa I, Eupatora, Pantikapejskiemi i innemi. Inne doły bez kamieni, pełne węgli i wypalonéj gliny, zawierały naprzemian kości palone i całkowite szkielety, ze szkłem i monetami, niektóre pokrywały deski.

Ostatnim grobowisk Nadbosforskich rodzajem są *Katakomby*: w których znajdowano szkło, monety, i kości palone. *Katakomby* odnoszą się do Rzymskiéj epoki, co dowodzi budowa ich i malowania, jakie w nich znaleziono.

Całkowite szkielety leżą na płytach, lub posłaniu z liści laurowych, przy nich malowane naczynia, monety, wyroby szklane.

Groby *drewniane*, są z epok różnych: w nich naczynia także i szkło się spotyka.

Sarkofagów odkryto dotąd bardzo mało.

Do Rzymskiéj także epoki należą *Kamienie rzeźbione* wypukło z napisami; z epigrafów i stylu roboty, okazuje się, że niesięgają odleglejszych czasów. Napisy z różnych epok, po większéj części, znajdowano w Kerczu, dawnéj Pantikapei.

Ostawianych kamieniami mogił przykłady są w Prusiech Litewskich. Kilka niekiedy kół kamiennych okrążały mogiłę. Izba mogilna w pośrodku lub z brzegu usypu mieszcząca się, składała się z kilku brył większych, na których spoczywał głaz, wieko kamienne, formujące sklepienie. Kamień ten wierzchni zastosowany do wielkości izby grobu, miewał od piętnastu do dwódziestu łokci obwodu, a cztery do pięciu w przecięciu. Płaska strona tego wieka stanowiła pokrycie izby, chropawa i nieobrobiona, zwrócona była na zewnątrz. Boczne ścianki między wielkiemi kamieniami, składającemi długie boki, zapierały mniejsze kamienie, wysokości od trzech do czterech łokci. Podłogę takiego grobu wybijano kamieniem gładkim, lub wyścielano drobnemi krzemykami, niekiedy przepalonemi. Izby okrągłe miewały do półtrzecia lub półczwarta łokcia w przecięciu; bywały też kwadratowe, podłużne, owalne.

W niektórych grobach oprócz izby głównéj, bywały dwie pomniejsze po bokach. Zdaje się, że budowy te, chociaż je późniéj ziemia przykryła, lub umyślnie strzegąc od profanacyi przysypano, początkowo musiały stać nad ziemią.

Główną cechą najstrarożytniejszych grobów z wieku kamieni, że w nich kości zwłaszcza ludzkie, powinny się znajdować niepalone. Szkielety leżą z rękoma wyciągnionemi wzdłuż ciała, lub siedzą skurczone, a przy nich znajdują się zwykle toporki, młotki, strzały, siekiery kamienne, guziki bursztynowe i naczynia ofiarne napełnione ziemią.

W mniejszych grobach tegoż rodzaju, podobnych do wyżéj opisanych, zawsze jedna się tylko izba mieściła; kamień-wieko spoczywał najczęściéj na pięciu podporach.

Mniejsze groby kamienne pospolitsze są wszędzie, częstsze też i u nas. Utrzymywano w początkach, że pomniejsze te budowy, nie grobowcami były, ale raczéj ołtarzami; że na płaskim kamieniu, umieszczonym z wierzchu, zabijano ofiary,

których krew' do środka spływała; wszakże hypoteza ta utrzymać się niemogła, będąc tylko prostym, na niczém nieopartym domysłem, który się żadną poprzeć niedawał wiadomością lub podaniem.

Usypy-mogiły, mające postać wysokich pagórków, a wewnątrz długie wnijścia, czyli szyje, wiodące do izby grobowej, w drugim ich końcu, od wschodu lub południa pomieszczonéj, z powodu ogromnych brył kamieni, użytych do ich budowy, zwały się w Danii *grobami olbrzymów* (Jettenstuben), a w Litwie i Żmudzi, témże nazwiskiem *Milżyniu Kapaj*.

Szyje ich czyli wnijścia, okładane były kamieniami, jak same izby i formowały korytarze, płasko z wierzchu pokryte. W środku przytykały pospolicie do izby okrągłéj, która była jedna, lub dwie czasem w jednym usypie. Niekiedy do tych dwóch oddzielnych izb, w jednéj mogile, wiodły dwie osóbne szyje.

Izby po półtrzecia do czterech łokci w przecięciu mające, tyleż prawie bywały wysokie; dorosły mężczyzna mógł w nich stanąć i mieścił się wygodnie. Otwory i wnijścia w wielu z nich starannie ziemią zasypane i ubite były. W pośródku znajdowano szczęty ciał niepalonych, sprzęty i oręż kamienny, bursztyn, składane paciórki i guziki, i naczynia gliniane.

Czasami w szyjach grobowych składano także ciała zmarłych; gdy cała izba stanowiąca grób rodziny, została zapełniona, niechcąc naruszać trupów, mieszczono nowo przybywających w przedsieniu. Niektóre z grobów kamiennych olbrzymich, mają kształt prostokątny i szyję podłużną, od ośmiu do dwunastu łokci długą, od trzech do czterech szeroką. Zresztą ten rodzaj grobów niczém prócz kształtu nieróżni się od okrągłych. Czasami naciskano w nich wiele ciał w postaci siedzącéj, każde z osobna ścianką przedzielając od innych.

Groby Litewskie i jeden Ukraiński, choć do późniejszéj nieco

odnoszący się epoki, zawierają kościotrupy siedzące w wielkiéj ilości.

Mówiliśmy już, że powszechnie groby te składają się z ogromnych płyt głazu, osobliwie wieka ich, pokrywy, i że z tego powodu zwano je na północy grobami olbrzymów. Nazwiska te nosiły i w Litwie, Prusiech i Żmudzi. Użycie wielkich brył kamieni, ich obrobienie, gdyż wiele jest ogładzonych starannie, dowodzą w wiekach, do których się grobowiska te odnoszą, wielkiéj biegłości w sztuce kamieniarskiej, chociaż nigdy prawie nieznajdujemy na tych płytach żadnéj rzeźby, żadnego rysunku, nic coby surowe i proste linije monumentu urozmaicało.

Kamień jednak, jakby się mogło zdawać z nazwania tego rodzaju grobów kamiennemi, niejest ich jedynym charakterem i cechą główną, gdyż i w późniéjszych mogiłach znajdują się użyte do ich budowy, w mało różny sposób kamienie. Szczególniéj tę najstarożytniejszą epokę odznaczają szczątki ciał niespalone, a obok nich sprzęt kamienny i zupełny brak żelaztwa; kamień tylko, szkło, bursztyn, srebro lub bronz, znajdują się w tych pierwotnych grobowiskach. Jeżeli w mogile znajduje się najmniejszy okruch żelaza, należeć ona będzie do znacznie już późniejszéj epoki. Wreszcie cechą wybitną, także właściwą mogiłom pierwotnym, jest układ kamieni kształtujących izby regularne, i sklepienie ich pokryte płaskiém wiekiem, opartém na bocznych ścianach.

Groby z tego wieku w naszych krajach, jak w Danii, znajdują się szczególnie ku brzegom morza, w stronach morzu przyległych, nad Baltykiem i w niezbyt od niego odległych prowincyach, rzadziéj daleko w głębi kraju. Mamy jednak przykłady ich idąc z biegiem Wisły, aż w Krakowskiém. Nieznane są całkowicie, o ile nam wiadomo, nad morzem Czarném, gdzie je zastępują cokolwiek odmienne, téjże epoki *mogiły Scytyjskie*, z izbami wszakże i szyjami.

Wszystkie te wielkie groby kamienne, należą do peryodu dziejowego, poprzedzającego przyjście ludów, które przyniosły z sobą zwyczaj i obrzędy palenia ciał zmarłych.

W Litwie do tego okresu odnieść się dają niodokładnie rozpatrzone i opisane, przez znanego podróżnika *Dubois de Montpereux*, (*Annuaire de Voyages, 1845, Paris, 158—193,—1846, 39—55*). Spotkał on je w okolicach *Upity i Szawel*, gdzie całe wzgórza pokryte są smętarzyskami dawnemi. W dziesięciu gromadach kurhanów pod *Łandyszkami* wśród lasu, pod wsią *Pakalniszki*, (nazwisko téj wsi przypomina bóztwo *Pokole, Pikolla*, wspominane przy obrzędach pogrzebowych Litewskich) — pod *Roginianami, Rozalinem, i Karpiszkami*, naliczył podróżny nasz, mogił po większéj części z epoki kamieni, do trzechset trzydziestu. Największe z nich miały po trzydzieści sześć stóp średnicy, najmniejsze po dwanaście, zwyczajne dwadzieścia i cztery. Chociaż *Dubois* znajdował w niektórych ciała palone, co już inną epokę, lub późniejsze, powtórne grobowców użycie dowodzi, po większéj jednak części, same w nim natrafił szkielety. W niewielu były popioły i ślady spalenia, inne znalazły się całkiem próżne, w innych kościotrupy były całe, o półtoréj tylko lub dwie stopy zakopane. Jeden szkielet trafił się siedzący, z ręką przy ustach i bronzowym pierścieniem na palcu obwiniętym, w kształcie ślimaka. W innéj mogile pod *Raginianami*, kościotrup był całkowity, ale bez żadnych ozdób; w drugim znowu przy zbutwiałym szkielecie, głową na zachód zwróconym, a nogami ku wschodowi, obok prawéj nogi leżał *topor żelazny*, starożytnéj formy, z otworem do wkładania drzewa u góry, ale nie na wylot. Ten *topor żelazny*, w mogile epoki kamiennéj znaleziony, dowodzi, że ona późniéj powtórnie, na grób użytą została, bo żelazo w nienaruszonych grobach tego okresu, nigdy się nieznajduje.

Dubois oglądał tu także grobowiec podwójny, mniejszą i wię-

kszą izbę wewnątrz zawierający (może izbę i szyję), obwiedziony kamieniem. Jeden z kościotrupów odkrytych przez podróżnego, miał na piersiach cztery czaszki, złożone jedna w drugą, a obok niego znajdował się szkielet osoby młódszéj ze wszystkiemi zębami.

Mogiły tego rodzaju, z kamienia budowane, znaleziono także na Żmudzi w okolicy *Kroż*, blizko źródeł *Windawy;* lud okoliczny zwał je grobami olbrzymów *Mylżyniu Kapaj*, (u Łotwy, podobne zowią się *Milsu Kappi*). W jednym z nich, nad *Okmianą*, bardzo porządnie zbudowanym z kamienia, znaleziono kości ludzi i koni.

W Inflantach dr. Kruse, poszukując starożytności, trafił na dosyć znaczną ilość grobowców, z wieku kamieni (*graeber unter Steinquadraten*), i w nich najciekawsze odgrzebał pamiątki, bo pospolicie mogiły tego rodzaju obfitują w sprzęt różny kamienny, broń i ozdoby stroju. Niewszystkie jednak okładane kamieniami, przez niego badane mogiły, do téj się epoki odnoszą. W wielu ciała znajdowały się niepalone, w północno-południowym kierunku pokładane i bogato strojne. Najważniejsze z nich doskonale skryte, dopiéro *Dźwina* podrywając brzegi w r. 1837 odkryła. (Zobacz rysunki wielkiéj ilości grobów, w *Necrolivonica*). Ślady grobowców, wielkiemi głazami okładanych, widział dr. Kruse nad Dźwinką, ku *Selburgowi*, pod *Lipawą*, *Kapschten*, w *Dondangen* i *Aszerode*. Pomiędzy niemi były i takie, które do epoki kamiennéj odnosić się niemogły, bo w nich stal i żelazo znajdowano.

W Prusiech nie brak mogił z wielkich kamieni budowanych, odnoszących się do epoki pierwotnéj; na wierzchu ich pospolicie układane były kamienie mniejsze w kształcie gwiazdy, a pod usypem z ziemi, znajdowała się izbica kamienna. Hartknoch wspomina grobowiec taki kamienny, pod *Kuglak* w Samlandyi, w którym żadnych urn nieznaleziono, (Dissertatio XIII, 192). Okrywał go wysoko sypany wzgórek.

Pospolitsze tu są jednak mogiły z epok późniejszych, jak świadczą wszyscy piszący o tym przedmiocie. (Zobacz: *De tumulis et urnis sepulchralibus in Prussia M. F. Reusch, Regiomonti, 1724*; i *Hartknoch. l. c.*).

W Polsce właściwéj, groby z wieku kamieni niesą także pospolite, ale się jednak trafiają. Tak naprzykład w powiecie Proszowskim w *Gruszewie*, rozkopano mogiły, pod stosami polnych kamieni, osobliwszym ułożonych sposobem, (jakim mianowicie, niepisze sprawozdawca). W jednéj z nich znaleziono kości ludzkie niepalone i kilka urn z gliny szaréj wypalanéj, lekkich, pięknego kształtu, (rysunek ich w Pamiętnikach towarzystwa przyj. Nauk T. IX). W drugiéj były same kości ludzkie, w trzeciéj końskie i ludzkie, a przy nich *siekiery kamienne* z zielonawego porfiru (porfiro verdo).

Do najstarszych także należał grób odkryty *w Szczekarzewie*, na górze zwanéj *Djabli taniec*. Kościotrup leżał w nim niespalony i cały, ale rozsypał się za dotknięciem. W głowach miał postawione naczynie gliniane, garnuszek mniéj więcéj około trzech kwart w sobie trzymający, miseczkę i przy niéj lampkę z knotem. Garnuszek przy odkopywaniu został zgruchotany, a lampkę i miseczkę właściciel miejsca miał odesłać do Warszawy.

We wsi *Żurownikach* w województwie Krakowskiém niedaleko Wiślicy, odkryto w r. 1817 grób, w którym znaleziono kości i trupią głowę. W niéj utkwiona była *siekiera kamienna, z krzemienia* wyrobiona, nakształt *Streitaxt* (hâche d'armes), pisze zdający sprawę. Grób sam zbudowany był z kamieni rodzaju pirytów, które się w całéj okolicy nieznajdują. Te były różnéj wielkości, wszystkie płaskie, z dwóch tylko stron, to jest z wierzchu i ze spodu obrobione. (Rozmaitości Lwowskie, Gazeta Krakowska).

Do grobów piérwszéj epoki należy także mogiła rozko-

pana we wsi *Beremianach*, w Galicyi, obwodzie Czortkowskim, przy ujściu Strypy do Dniestru. Znaleziono w niéj jakby rodzaj trumny, z sześciu płyt kamiennych złożonéj, a w niéj pięć czaszek, obok których leżały *siekiery kamienne*. Jedna z nich, znajduje się w zbiorze starożytności przy zakładzie imienia Ossolińskich we Lwowie.

Na Wołyniu także *w Krzemieńcu*, przypadkowo kopiąc, natrafiono na starą mogiłę, w któréj znaleziony został całkowity kościotrup, a przy głowie jego z obu stron leżały dwie pięknie oszlifowane siekiery z krzemienia, z których jedna znajduje się w zbiorze piszącego.

Do tejże najdawniejszéj epoki na północy, odnieść można niektóre prastare *mogiły Scytyjskie*, między Dunajem a Donem rozsypane. Rozkopywane gdzie niegdzie grobowiska te okazały wewnątrz izby kamiennemi płytami obudowane, zawierające ciała niepalone, a przy nich sprzęt srebrny, złoty, i bronzowy. W Chersońskiéj gubernii włościanie w wielu miejscach rozkopują kurhany takie, i dobywają z nich wielkie głazy, z których się ściany izbic grobowych składały. Mogiły Scytyjskie, według pana Tereszczeńko, odznaczające się babami, bałwanami na wierzchołkach wzniesionemi, niewszystkie jednak do okresu tego odnosić można, gdyż w wielu są ślady zgliszcz, ciała palone, a żelaztwo znajdowane w nich do początku trzeciéj epoki je usuwa.

Cechą najstarszych mogił Scytyjskich lub Przedskyłockich jeszcze czasów, są długie, wewnątrz kamieniami okładane przejścia, rodzaje izb i chodników, dość znaczną zajmujące przestrzeń, i kamienie obrabiane, w płyty ogładzone starannie, z jednéj przynajmniéj strony.

Do tegoż rodzaju odnieśćby można jeszcze mogiły, o których pisze Lippoman (7.), rozkopane dla postawienia na nich krzyżów, w Kijowskiém we wsi *Minijkach* nad Myką i *w Karaba-*

czynie. W piérwszéj z nich znaleziony był *młotek kamienny*, w drugiéj sprzęt dla nas niezrozumiały, a rzadszy jeszcze. Mogiła ta leżała nad drogą z Karabaczyna do Korosteszowa; dobyto z niéj dziki kamień brukowiec, dość wielki i w okolicy nieznajdujący się, aż o mil dwie nad Teterowem — zgładzony z wierzchu, nakształt płyty malarskiéj, a na nim był drugi mniejszy, w sposobie kuranta równie gładki, i kilka jeszcze kamieni procowych gładkich, okrągłych, na pociski używanych.

Grobowce z piérwszéj epoki i w reszcie Słowiańszczyzny niesą pospolite; w Czechach pod *Stockau*, znalezione co do budowy z głazów zupełnie podobne opisanym, ale w nich ciała już były palone. Usypy największe miały obwodu do pięciudziesiąt czterech kroków, a wewnątrz zbudowane były z potężnych głazów, związanych bez wapna, i kształtujących sklepienie, a raczéj strop prosty. Podłoga wyłożona była, wielkiemi kamieniami płaskiemi, na nich stały urny, może późniéj wstawione ze szczątkami kości.

Tyle jest grobowców z epoki najdawniejszéj, o których powziąć mogliśmy wiadomość z rozsypanych źródeł. Opisy ich niedosyć szczegółowe i dokładne, gdyż poszukiwania robiono najczęściéj cząstkowo i przypadkowo, a zdawano z nich sprawę nieumiejętnie. Są przecię dowodem, że pomniki tego rodzaju trafiają się w Słowiańszczyźnie na dosyć znacznéj przestrzeni.

Oprócz mogił, świadczą o zaludnieniu w téj epoce krajów Słowiańskich, szczególniéj Polski, Rusi i Litwy, znajdujące się w różnych miejscach, mniéj więcéj obficie, zabytki wyrobów tego czasu, narzędzia kamienne, siekiery, młoty, kliny, ostrza dzid, których próbki ma każdy, by najmniejszy u nas zbiorek starożytności.

Dla uzupełnienia rysu pomników, do tego czasu odnoszących się, musimy wyliczyć i opisać te wyroby kamienne, które w różnych stronach odgrzebane zostały, będące dodziś dnia nierozwikłaną zagadką dla historyków i starożytników. Epoka, do któréj się one odnoszą, poprzedzająca użycie i upowszechnienie kruszców, czyni je niezaprzeczenie najstarszemi zabytkami pracy ludzkiéj, a w prostych ich linijach oko badacza już udział sztuki dostrzedz powinno.

VI. WYROBY KAMIENNE.

Kamienny oręż, narzędzia i różne sprzęty, robione są pospolicie z tak zwanego *siekiernika* (Beilstein), *nerkowca* i *krzemienia*, i znajdują się tam nawet, gdzie materyał ten całkiem jest nieznany. Zastanowienia godném jest, że zupełnie podobne naszym wyroby kamienne rozsiane są nietylko po całéj Europie, ale niemal po całéj kuli ziemskiéj, jako pamiątka przed historycznéj epoki. W większéj ilości spotykają się one w Danii, na brzegach południowych morza Baltyckiego, w Hanowerze, Hollandyi, Anglii, Szkocyi, Irlandyi Francyi, Hiszpanii, Portugalii. Podobne im spotykamy wszakże w Azyi, Afryce i Ameryce. Robota tych narzędzi i broni, zwłaszcza drobnych strzał, ostrzów, tak gładka, dokładna, wyborna, że dziś przy wydoskonaleniu środków rękodzielniczych, przy podniesieniu rzemiósł, trudnoby cóś piękniejszego wykonać. Obrabianie nawet bez pomocy żelaza, długich a cieńkich i kruchych sztuk krzemienia, szlifowanie ich, jest dotąd dla nas zagadką.

Zabytki te świadczą o zamieszkaniu naszych krajów już w epoce, w któréj upowszechnione było użycie kamiennych narzędzi, a kruszec prawie nieznany. Wielu archeologów chcieli widzieć w siekierach, młotach, dłótach i t. p. same narzędzia

ofiarne, obrzędowe, poświęcone, do religijnych tylko służące obchodów; lecz wielka rozmaitość tych wyrobów, ilość ich niezmierna, okoliczność ta, że po większéj części siekiery kamienne i kamienie, obok kruszczów, rzadko nadzwyczaj się trafiają, lub nigdy prawie niechodzą z niemi razem, że wreszcie kształty niektórych wskazują dobitnie użycie do codziennych potrzeb życia, naostatek posługiwanie się podobnemi narzędziami dzikich ludów do dziś dnia, dostatecznie dowodzą, że przypuszczenie to utrzymać się niemoże, że użycia ich ograniczać w ten sposób niepodobna...

Być może, że w epoce po piérwotnéj następującéj, gdy kruszec począł zastępować kamienie, rzadsze coraz i niejako starożytnością swą uświęcone szczątki, przez kapłanów używane być mogły do ofiar i kładzione w mogiły; ale i to jest prostym tylko domysłem.

Oto są główniejsze kształty, które u nas przybierają wyroby kamienne, rysunki ich dosyć liczne, i opisy znajdują się: w *Rzucie oka na źródła archeologii krajowéj* Eustachego hr. Tyszkiewicza, (1842, tablice VI, VII, VIII), i w *Badaniach archeologicznych* tegoż autora, (1850, tab. III, IV).

Oprócz tych źródeł, korzystaliśmy z rozproszonych wzmianek i rycin, i z pięknego zbioru wyrobów kamiennych, w wielkiéj dosyć ilości zgromadzonych staraniem ś. p. Ludwika Pawłowskiego na Wołyniu, około Dubna, szczególniéj w okolicy *Wielkiéj Moszczanicy*. Kollekcya ta jest może w swoim rodzaju najobfitszą u nas i najrozmaitszą.

1. *Kamienie do szlifowania*, (Schleifsteine), które, jak się domyślają, służyły do ostrzenia broni kamiennéj, siekier, toporów, ostrzów, strzał, krągłe lub płaskate z rówkami po bokach. Znajdowane w Inflantach i *Witebskiém*, przywodzi E. Tyszkiewicz (Badania, IV, 4). Do tego rodzaju zaliczyć potrzeba za-

pewnie, wspomniane u Lippomana dwie płyty gładkie dobyte w Kijowskiém.

Trafiają się kamyki okrągłe, białe, średnicy około półtora cala mające, z obu stron płaskie, które zdaje się do niczego innego, chyba do ostrzenia broni służyć mogły, (zbiór po ś p. Ludwiku Pawłowskim).

II. *Kliny*, (Keile), które do łupania drzewa służyły: są kawałkami kamienia, albo z obu stron zaostrzonego po końcach, co rzadko, albo z jednéj tylko strony, równo płaskie, lub wydęte nieco. Niektórych koniec śpiczasty, innych ucięty prosto, albo nieco zaokrąglony.

Trafiają się w różnych stronach mniéj lub więcéj obrobione, z bokami nieszlifowanemi, lub o jednym końcu tylko zaostrzonym i wygładzonym; wreszcie oszlifowane starannie ze wszystkich stron.

Rysunki niedokończonych podaje E. Tyszkiewicz z *Kowieńskiego* (Badania, IV, 5.) i *Mińskiego* (Badania III, 8). Znaczna ich ilość bywa z nerkowca lub siekiernika: najczęstsze jednak są z krzemienia; (zbiór po Ludw. Pawłowskim ma ich sztuk do dziesięciu).

Chociaż według starożytników Duńskich, kliny miały być narzędziem do łupania drzewa, może być bardzo wszakże, że ich, jak utrzymuje Tyszkiewicz, używano za pociski wojenne, gdyż ku temu równie przydać się mogły. We Francyi w nadzwyczaj wielkiéj ilości znajdowane kliny, dozwoliły przypuszczać, że ich niegdyś jako zębów do bron używano.

Rzadko bardzo trafiają się kliny z niewielką dziurką, w grubszym niezaostrzonym końcu.

III. *Dłóta*, (Meissel), węższe tylko i ostrzejsze od poprzedzających, zawsze wyrabiane z krzemienia, służyć mogły do robót ciesielskich. Między niemi znajdują się mniéj lub więcéj

obrobione, szlifowane na wszystkie strony, długości od dwóch do trzech cali.

Mniejsze bywają bardzo misternie wykończane. Niektóre mniéj obrobione, szersze bywają u ostrego końca; (Tyszkiewicz, Badania, III, 9; Rzut oka (z pod Grodna), VI, 7).

IV. *Dzidy*, (Lanzenspitzen); ostrza te, co do kształtu podobne do ostrzów strzał, tylko śpiczastsze i większych rozmiarów, prawie powszechnie trafiają się nieszlifowane i zaledwie obrobione. Niekiedy w pośrodku rozszerzone są bardzo, a ku końcowi nagle się zaostrzają, częściéj bywają niebardzo kształtne. Miewają od cali trzech lub czterech, do siedmiu długości, a w środku szerokie bywają do dwóch cali, zawsze dosyć płaskie.

Niektóre od spodu kończą się liniją prostą, równo ściętą, inne zakończane bywają śpiczasto, lub jak strzała dwa mają końce. Tego rodzaju wyroby rzadsze są u nas od innych. Koniec grubszy przy osadzie, w miejscu gdzie do drzewca przytwierdzone były, ma ślady rówkowate, lub nawet się rozdwaja (J.-E. Vocel, Grund-züge, d. böhm. Alterthums, I, 4).

V. *Noże*, *Sierpy*, (Messer, Halbmondförmige Geräth-schaften), są płaskie, krzemienne, niecałe szlifowane, w jednym końcu przy rękojeści szersze, czasem w środku rozszerzone nieco, a z drugiéj strony, ostro i śpiczasto się kończące. Wszystkie, najprostsze nawet, zawsze są w jedną stronę nieco zagięte. Bywają zębate lub bez zębów, długości około pięciu cali, szerokości u nasady od półtora do dwóch cali.

Mocniéj w pół-xiężyca zagięte i zębione mogły bardzo służyć zamiast sierpów. (W zbiorze po ś. p. Pawłowskim, noży pięć, sierpów trzy).

VI, *Ostrza strzał*, (Pfeilspitzen), kształtu płomykowatego, maleńkie, od cala do trzech długie, płaskie, nieoszlifowane, mniéj lub więcéj foremne, czasem bywają bardzo zręcznie wyrabiane; zawsze materyałem ich krzemień. Kończą się ostrzem bardzo

śpiczastém, boki mają niekiedy zębione (Zbiór po Pawłowskim ma ich pięć; Czeskie zobacz u J.-E. Vocel'a T. I, 1).

VII. *Siekiery*, (aexte). Przychodzim wreszcie do rodzaju wyrobów, których i liczba, i rozmaitość jest największa. Siekiery, siekiero-młoty i młoty, są narzędziem głównem epoki kamiennéj, która w nich się najdobitniéj wyraziła. Siekierę cechuje i odróżnia ostre jéj zakończenie, a więcéj jeszcze umieszczenie otworu do drzewca w samym przeciwnym ostrzu końcu.

Mają one długości od czterech do siedmiu cali, w końcu rozszerzonym od półtora do półtrzecia cala, w końcu tępym pół lub trzy ćwierci cala. Niektóre z nich bywają bez otworów (*). Koniec tępy, prostemi ścianami ucięty, lub zaokrąglony mniéj więcéj foremnie.

W Danii spotykają się, i tam wszakże rzadkie, siekiery formy krzyżowatéj. W niektórych otwór bywa poczęty, zepsuty, a drugi obok wyświdrowany. Najpospolitsze są z krzemienia, bywają jednak z zielonawego serpentynu i inne. Czasem na bokach niemają kantów, i spuszczone są płaskawo, koniec nawet tępo zaokrąglony, tak, że całość staje się prawie owalną. Zbiór po ś. p. Pawłowskim ma ich kilkanaście. Tyszkiewicz z powodu częstego znajdowania siekier na roli, przypuszcza, że mogły jak motyki służyć do jéj uprawy; rzecz prawdopodobna (Rysunki w jego Badaniach, T. III, 2, 3 i 4; Rzut oka T. IV i VI).

VIII. *Siekiero-młoty*, (axthämmer), z siekiernika i krzemienia wyrabiane, znacznie grubsze od siekier, bo niektóre z nich przeszło cal bywają miąższe, ostrza zwykle mają tępsze, a dłuższe i szersze niż młoty. Tyszkiewicz ma je za jedne z najrzad-

(*) Pawłowski siekiery bez otworów, które oprawiane być musiały, w rozłupane drzewce, zowie Toporkami, odróżniając je mniejszą od dłót i berdyszów wypukłością.

szych wyrobów kamiennych, i przypuszcza, że miały znaczenie mityczne i służyły do jakichś obrzędów pogańskich. Domysł ten popiera nieco bardzo staranne ich obrobienie i przebijająca się już cząstka ozdobienia. W istocie niektóre w tępym końcu, foremnym guzem są zakończone, otwór otoczony bywa wyskakującym paskiem. Otwór ten posuwa się więcéj ku środkowi, niż w siekierach właściwych.

Tępy koniec rozmaicie obrabiany bywał, okrągło, guzowato, lub w prostą ścianę. (Rysunki u Tyszkiewicza: Badania T. III, 5; Rzut oka T. IV i VI).

IX. *Młoty*, (Haemmer), najpospolitsze może z wyrobów kamiennych, w niezmiernie wielkiéj rozsypane są ilości; robione bywają z nerkowca, serpentynu, siekiernika, a nawet z piaskowca, najrozmaitszéj wielkości i kształtów. Zwykle miewają od czterech do dziewięciu cali długości, chociaż mniejsze się jeszcze trafiają. Jedne mają formę grubych motyk i młotów, zwykle do rozbijania kamieni używanych, inne kształt siekier żelaznych, inne wreszcie postać nieforemnego walca, nieco śpiczasto w jednym końcu zaostrzonego.

Wysokość młotów od cala do dwóch dochodzi. We wszystkich prawie kanty dosyć są tępo i niewyraźnie oznaczone, lub nawet pozaokrąglane umyślnie. Otwór w młotach umieszczony w pośrodku samym, lub ku środkowi, prześwidrowany bardzo czysto i krągło; szerszy bywa z jednéj, węższy nieco z drugiéj strony, naumyślnie dla mocniejszego osadzenia rękojeści. Trafiają się otwory niezupełnie na wylot przechodzące. Średnica otworu stosuje się do miary młota i dochodzi niekiedy do półtora cala.

Grubszy koniec bywa obrobiony wypukło, lub płaską ścianą się odcina; zresztą, taka jest rozmaitość wielkości i rysunku młotów, że trzebaby profile ogromnéj ich liczby porównać, by dojść najpowszechniéj przyjętego kształtu. Od nieforemnéj

jakiéjś bryły z otworem, do wytwornie wyszlifowanego niewielkiéj miary młoteczka, odmian spotykamy tysiące.

Jednym z najogromniejszych młotów w Słowiańszczyźnie, jest ów olbrzymi, odkopany w Czechach, *w Kowary*, znajdujący się w zbiorze P. Pachel w Pradze; drugi, więcéj stopy długi, a dwanaście funtów ważący, z lasu Bukowiny, zachowuje Muzeum Czeskie w Pradze. (Zob. J.-E. Vocel, 5).

Rysunki młotów, zobaczyć można u Tyszkiewicza (Badania, III, 6, Rzut oka, VI, VII), u Narbutta, Kruzego i t. d. Zbiór po Pawłowskim ma ich kilkanaście różnych, jeden nieforemny z piaskowca. Wielka ilość znajdowanych we wsi Wielkiéj Moszczanicy pod Dubnem, na polach ornych, młotów, a między niemi z nerkowca, którego w téj stronie niéma,— dozwala wnosić, że mogły być do uprawy roli i rozbijania skiby używane, prawdopodobniéj od innych narzędzi kamiennych.

Lud, który w ogólności na wszystkie kamienne zabytki z jakąś zabobonną czcią pogląda i chętnie je zachowując, leczebne im skutki przypisuje,— zachował dla młota szczególniéj religijne poszanowanie, z którego sobie sprawy zdać dzisiaj nieumie.

X. *Buławy*, rodzaj wielkich młotów okrągłych, w pośrodku których znajduje się otwór do osadzenia drzewca.

Nazwanie tego narzędzia winniśmy panu Tyszkiewiczowi (Badania, III, 7), który jedno z nich skończone, drugie nieobrobione całkowicie, znalazł w Borysowskiém i okolicach Uciany. Büsching daje nam rysunek tych buław ze Szlązka (T. VIII, 2, 3), wyglądających jak młoty okrągłe wojenne, któremi, osadziwszy je na drzewcu, tłuc było można zręczniéj może niż młotem i siekierą. Jedna z tych buław u Büschinga, (VIII, 3).

Niezmiernie jest zastanawiającą, gdyż wyrób jéj misterny, wiele pracy kosztować musiał. Niejest to już prosta gałka osadzona na kiju, ale cóś nakształt owocu pomidora w regular-

ne wypukłości i wklęsłości ozdobnego. Motyw ten piękny, w wyrobie epoki kamiennéj bardzo jest uderzający pomysłem, smakownością, prostotą swoją. Im rzadziéj w kamiennych sprzętach znajdujemy wyraźną myśl ornamentacyi, tém ona większą na siebie zwracać powinna uwagę.

Litewska buława jest prostsza, ale kształtna, przypomina ona wielką, dosyć foremną paciórkę.

Dowodzenie hr. Tyszkiewicza, że tego rodzaju wyroby z kamienia ku samej ozdobie służyć niemogły, zbyt mozolnie będąc otrzymywane, niezdaje się nam całkowicie uzasadnione. W życiu ludów na tym stopniu cywilizacyi zostających, na jakim być musiały narody używające kamienia do piérwszych powszedniego życia potrzeb, — sprzęty ku ozdobie służące, otrzymywać się mogły, nietylko kosztem wielkiéj pracy, ale nawet zaprzedania. Każda potrzeba ludu wpółdzikiego, jest dlań zarówno potrzebą; rozmierzyć ich ważności nieumie, i zaspokaja istotną i płochą — jednakową ofiarą.

XI. *Berdysze*, tak nazwane przez ś. p. Pawłowskiego narzędzia, różniące się od dłót i klinów, znacznie większą grubością i brakiem kantów po bokach, a wypukłością w pośrodku, od którego spuszczone są zlekka i oszlifowane jak najostrzéj, tak, że niektóremi z nich dotąd krajać można. Kończą się zawsze liniją zaokrągloną, a tylec mają tylko zgruba obrobiony. Długość ich różna, od dwóch do siedmiu cali, krótsze zdają się być na wpół rozbite. Odznacza je nadzwyczaj staranne obrobienie ostrza.

XII. *Kamienie procowe*, krągłowo obrobione, podobne do małych dłót kamiennych, z otworem do przewlekania sznurka który je ciskał; w Litwie rzadkie. (Badania Tyszk. IV, 1).

XIII. *Szpulki kamienne* (Weberschifförmige Steine); kamyki płaskie z rowkiem dokoła, a otworem w pośrodku, mające kształt małego bloku; służyły do zwijania.

XIV. *Wałeczki*, zawsze nieco stożkowatego kształtu, niemogące być pozostałością otworów młotowych, jak utrzymuje Tyszkiewicz, gdyż otwory te wyraźnie są świdrowane. Ku czemu służyć mogły, niepodobna dziś odgadnąć. Bywają długie od trzech ćwierci cala, do cali dwóch, pospolicie z serpentynu i nerkowca. Na bokach ich są ślady jakiegoś toczenia w linijach spiralnych gęstych, i drobnych, osnuwających je do koła.

W końcu cieńszym miewają średnicy niekiedy mniéj niż pół cala, a koniec ten bywa wklęsły i starannie oszlifowany, w grubszym zawsze odłam nieregularny, okazujący jakby były od większéj bryły odbite. Zbiór Pawłowskiego miał ich do dwudziestu. Że się znajdują i w Czechach, świadczy J. - E. Vocel (Tab. I, 10).

XV. *Guzy i paciórki kamienne.* Paciórki mają kształt kółek płaskich z rębem wypukłym, lub postać gruszkowatą. Obok nich i razem z niemi trafiają się podobne, różnéj wielkości gliniane wypalane paciórki. Wedle wszelkiego podobieństwa, służyły do stroju, przywieszano je do pasa, noszono może na szyi (*).

XVI. *Kule*, doskonale okrągłe i oszlifowane bardzo starannie, także się w grobach starych trafiają; widzieliśmy z nich jedną około cala średnicy mającą, z kamienia białawego Zobacz Czeskie, u J.-E. Vocel'a. (T. I, 6).

Badacze starożytności Duńskich, liczą jeszcze do sprzętów kamiennych:

XVII. *Kamienie probiercze* (Probiersteine);

XVIII. *Żarna* (Kornquetscher), u nas o ile wiemy, nieznajdowane; a w ostatku, do najciekawszych pomników téj epoki należące,

---

(*) Najniezawodniéj noszono; ponieważ znajdowałem na kilkudziesięciu kościotrupach, pod czaszką; nigdy u pasa. *Przyp. A. H. K.*

XIX. *Urny* (Urnen). Urny kamienne, czasem kwadratowe, niewielkiego pospolicie rozmiaru, z kilku płaskich kamyków spojonych złożone, lub krągłe, objęte obręczami kruszcowemi, z narzynanemi ozdobami. W Danii, gdzie tak wielka ilość kamiennych pamiątek się znajduje, urny jak u nas są najrzadsze; w naszym kraju jednak mamy o nich wzmianki. W jednym z rozkopanych w W. Polsce grobowców, urna kamienna znalezioną została i przy dobywaniu rozbita; drugą roztłuczono także odkopując, we wsi *Nosaczowie* na Ukrainie.

W dalszéj Słowiańszczyźnie, wiemy o szczątkach urny kamiennéj, znalezionéj w Morawii, na górze zamkowéj w *Letowicach* (*Letowice*), przed 1840 rokiem. Trafiono na nię w głębokości stóp ośmiu, a razem znalazła się dość grubéj roboty figura z piaskowca, i gliniana głowa jakiegoś bożyszcza. Szczątki te przesłano Czeskiemu Muzeum w Pradze.

Że broń ta i sprzęty w części bywały nabywane przez mieszkańców (bo wyroby z rodzajów kamienia, w okolicy się nieznajdującego, często po polach natrafiamy), w części zaś robione były i w domu, dowodzić tego niepotrzebujemy. Znajdowano u nas młoty, siekiery, dłóta, w najrozmaitszych stanach obrobienia: wykończone, obite tylko, poczęte szlifować, z narysowanemi, lub na pół prześwidrowanemi otworami. Tyszkiewicz niechce wierzyć, by te narzędzia bez pomocy kruszcu wyrabiane być mogły; ale w ten sposób, wszystek wyrób kamienny, któren łatwo być mógł kruszcem zastąpiony, jużby miał tylko obrzędowe i religijne znaczenie, co się sprzeciwia prawdopodobieństwu, bo ilość i rozmaitość tych sprzętów świadczy o ich materyalnym użytku.

Może być, że w czasach późniejszych, lud zachowując zabytki epoki na wpół zapomnianéj, cześć im religijną oddawał, łącząc je do świętych obrzędów; że młot był symbolem Boga, przestawszy być narzędziem rolniczém i gospodarskiem; — ale

w epoce najodleglejszéj, potrzeba była powodem wynalazku, który do wysokiego stopnia doskonałości rozwinięto.

Zagadką jest po-dziś-dzień wyrabianie kamieni, bez pomocy narzędzi kruszcowych, ale niejest niepodobieństwem; a okoliczność ta, że przy kamiennych zabytkach, nigdy się prawie kruszec nieznajduje, i uwaga, że kruszcem łatwoby było kamień trudny do obrobienia zastąpić, zmusza przyjąć zagadkę, niewysilając się ani na rozwiązanie jéj, ani na obalenie.

Z tegoż wieku kamieni, obok sprzętu charakterystycznego, któryśmy wyżéj opisali, znajdujemy *paciórki* i guziki bursztynowe, podługowate, okrągłe, czasem bezkształtne bryłki, przedziurawione tylko dla nawleczenia. Niekiedy bywa ich sznurów kilka, śpiętych klamrami. W grobowcach téj epoki, znajdują się także gliniane naczynia ofiarne, o których niżéj powiemy obszerniéj; pospolicie z dnem zaokrągloném i uszami, jakby do zawieszenia przeznaczone były, mniéj lub więcéj ozdobne; przy nich zaś, kości zwierząt, koni, psów, świń, i zęby zwłaszcza psie i końskie.

Wszystkie te zabytki do zbyt od nas odległéj należą epoki, ażeby się ona ściśle dała oznaczyć, a początek jéj i trwanie zakreślić dziś mogło. W okresie tym lub całkiem jeszcze nieznano w Europie użytku kruszców, lub kruszec był tak rzadki, że go do codziennych życia potrzeb zastosować niebyło można. W Polsce, Litwie, i krajach sąsiednich, okres ten zdaje się nietylko poprzedzać wszelkie związki ludów Północ zamieszkałych, z Greko-Rzymskim światem, ale nawet sięgać może epoki przed przyjściem Skolotów-Scythów do Europy.

Epoka więc kamienna kończy się na jakie siedmset lat przed erą naszą.

Przypuszczenie to nieśmiało tu wnosim, bo w przekonaniu naszém, żadna epoka, z dalekiego stanowiska wydająca się odrębną, w istocie saméj, tak odciętą i oddzieloną być niemo-

że, jak ją daty historyczne wskazują. Nic się i w dziejach niestaje nagle, nic się nierobi skokami, „non it natura per saltus“; długie lata przejścia, łączą z sobą okresy, nieznacznie spływające w wielką jednorodną, choć różnotwarzą całość. Tak i epoka owa kamienna musiała mieć długie narodziny, trwanie, którego rozciągłości niczém dziś oznaczyć niepodobna, i długi w końcu upadek stopniowy. Narzędzia kruszcowe niemogły nagle zastąpić starych kamiennych sprzętów, seciny może lat ubiegły nim je po polach rozrzucono, długo zapewnie obok motyki, pracował młot stary i siekiera z krzemienia. Dla tego, trafia się już w grobach, z ostatnich lat téj epoki, ułamek bronzowy lub okruch żelaza, chociaż cechą właściwą, najgłówniejszą prastarych mogił kamiennych, jest właśnie zupełny w nich żelaza niedostatek.

Przestrzeń czasu, oddzielająca nas od tego okresu, wynosiłaby, wedle przypuszczeń naszych, około półtrzecia tysiąca lat..... Z poszanowaniem i zadumą spoglądamy, na te narzędzia pracy i boju piérwszych kraju naszego mieszkańców, wyroby, które z ich żywotem spojone były codziennie, któreby wyspowiadać nam mogły przeszłość nieodgadnioną, gdyby w prostocie swych kształtów tak nieme i małomówne niebyły. Wreszcie i zabytki te i grobowce z czasów kamieni, są bardzo już dziś rzadkie, a pamiątki w nich znajdowane, w tak małéj ilości i jednostajne, że żadna z nich nietryska światłem szczególném, na maluczką wiązkę domysłów, mozolnie w téj pustyni uzbieranych.

Zapatrując się na budowę grobów, na wyrób sprzętów, czytamy w nich tylko dobitnie wyrażającą się myśl — trwałości, nieśmiertelności żywota. Grób był niejako chatą na nowe życie zbudowaną, nie mogiłą, w którejby trup zgnił spokojnie; stawiano przy umarłym czego mógł potrzebować — jadło, suknie, oręż, psa, konia, — niewierząc, niechcąc przypuścić, by rze-

czywiście umarł, sądząc, że tylko zmienił rodzaj i warunki życia. Kamienny grób ten wypowiada jakby naiwną w śmierć niewiarę, jakby uparte mniemanie, przeczucie, przekonanie o nieśmiertelności. Wyprawiano umarłego na świat inny, ale niesądzono, by zginął; związek nawet między nim a żyjącymi utrzymywało coroczne odwiedzanie grobów, które od niepamiętnych wieków, w całym świecie, a szczególniéj w Słowiańszczyźnie, było zwyczajem religijnym. Stypa pogrzebowa, *strawa* Słowian, jest raczéj biesiadą pożegnania, niż obrzędem żałoby. Izby grobowe kamienne, nieprzysypane ziemią, z lampami w pośrodku, opatrzone we wszystko, co tylko do życia mogło być potrzebném, wyraźnie tę myśl piękną nieśmiertelności wypowiadają.

W samych budowach, zastanawiających podobieństwém swém do pomników Keltyckich: Lichavenów (trilitów), Dolmenów, i krytych chodników — największa piérwotna panuje prostota, ale obok niéj olbrzymią jakąś widać siłę. Kamienne płyty użyte do budowy, już są z jednéj lub dwóch stron starannie ogładzone, mniejsze nawet kamyki często ociosane, dla lepszego, trwalszego z sobą spojenia. Żadnego zresztą niespotykamy śladu cementu, ani pomocniczego środka, któryby bryły łączył z sobą sztucznie. Kształt izbic jest pierwotny, prostokątny, kwadratowy, rzadziéj kolisty, lub w formie mniéj więcéj przypominającéj ellipsoidę.

Układ w ostatku kamieni, na powierzchni ziemi, dokoła usypów, przypomina znowu Druidyckie Kromlech'y, opasujące kilką tajemniczemi, jednośrodkowemi kołami przestrzeń poświęconą. W tenże sposób co w Anglii i Bretanii, kołami współśrodkowémi kilką objęte, znajdujemy mogiły w Inflantach pod Aszerade, w Kurlandyi pod *Selburgiem*, na Żmudzi i w Litwie.

Niekiedy koła te przechodzą w elipsy spłaszczone. *W Prusiech*, pokrycie *mogił* kamieniami po wierzchu, w kształcie kil-

kopromiennéj gwiazdy ułożonemi, jest téj prowincyi wyłącznem, i zdaje się jéj tylko właściwém.

W głębi Rossyi także, około *Tweru*, znajdujemy obok mogił, do piérwszéj należących epoki, ślady jakichś kamiennych ulic, kół, wałów, mistycznego znaczenia. Oto ciekawy ich opis p. Th.-N. Glinki (z Izśledowanij M. Pogodina, T. III, str. 312):

„O werst ośmnaście od *Tweru*, są ślady jakichś *starożytności* niezapamiętanych. Zabytki te stanowią po większéj części kręgi usypów z ziemi, zwanych kurhanami, kamienie także, różnemi rysy, zarzynaniami, jakimś niby rodzajem pisma znaczone. Kurhany wszystkie prawie leżą na miejscach wyniosłych, a strona, w któréj są rozrzucone, stanowiła sam wierzchołek gór Alauńskich. Kamienie są niekiedy objętości ogromnéj a płyty ich, okruchy, bryły, widocznie ułożone były nieprzypadkowo, nie bez symetryi i myśli.

„Na wielu z nich są rysy jakieś niewidoczne, trudno się odróżnić dające od pęknięć, szpar, i skaz przypadkowych, ale niekiedy całe wiersze pisma jakiegoś stanowiące. Kamienie mniéj uszkodzone przez czas, są widocznie ręką ludzką zaokrąglane lub wyrabiane nakształt postaci jakichś.

„Kurhany sypane były starannie i bardzo mocno; od dołu okładano je dwóma, czasem trzema rzędami różnobarwnych kamieni, często w kształcie wielkich, długich płyt związanych z sobą, obrobieniem i kamiennemi klinami bez wapna, na sposób tak zwanych murów Cyklopskich.

„Pod kamieniami otaczającemi kurhany, znajdowaliśmy bruki, wyściółki kamienne i cement (?). Przy *wsi Nowoj*, widziałem rozwaliny ogromnéj jakiejś kamiennéj budowy, a kamienie różnobarwne, rozrzucone dokoła, zdawały się wszystkie płasko porozkrawane. Zdaje się ze wszystkiego, że tu istnieć

musiał gród Słowiański jakiejś gromady wychodźców z Indyj, wedle Chodakowskiego.“

W wyrobach z téj epoki piérwotnéj, tak kamiennych jak glinianych i bursztynowych w paciórkach, ozdobach stroju, sprzętach, pojęcie linij bardzo elementarne. Linije łamane, składane, wyginane śmieléj, są tu prawie nieznane, kombinacya z sobą linij prostych i giętych rzadka i ostróżna. Obok tego techniczna część roboty doskonała, wykonanie nadzwyczaj staranne; często nawet przy najwyższéj prostocie linij niebrak surowego jakiegoś wdzięku.

Ozdób właściwych mało bardzo, lub nic wcale; jeżeli są to niewykwintne i jednostajne. W wyrobach też z kamienia twardość materyału ograniczać musiała pracownika, który myśli swéj swobodnie rozwinąć niemógł. I w nich przecię są już chętki ornamentacyi: linije niekiedy widocznie wyszukane i zręczne, któremi kierowała niesama potrzeba materyalna, ale rodząca się fantazya — sztuka patrzy już przez to rzemiosło. Tak naprzykład *buława Szlązka*, cytowana wyżéj, przybiera postać owocu jakiegoś. Siekiero-młot jeden znaleziony w Witebskiém, ma kształtne ręby obejmujące otwór, a koniec tępy wyrobiony na podobieństwo guzika, odskakujący, już czystą tylko stanowi ozdobę. Toporki często oszlifowywane bywają kantowato, foremnie, w ścianki ostre, nakształt drogiego kamienia, z widoczną myślą ornamentacyi. Jakkolwiek są to tylko pierwociny ozdób i chętki przybrania w kształt wykwintniejszy narzędzia codziennéj potrzeby, któreby się bez niego obejść mogło, — w nich już jest zaród sztuki, a i to drobne ziarnko, oka badacza ujść niepowinno. Sztuka rozpoczyna się wyrazem siły w budowie grobowców, wyrazem prostoty w narzędziach kamiennych, wyrazem wdzięku w ich linijach surowych i czystych, w wykończeniu posuniętém do najwyższego stopnia,

któremuby dziś sprostać trudno. Jest w niéj cóś uderzającego powagą i majestatycznością (*).

VII. EPOKA BRONZU.

Wiek następujący po epoce kamienną zwanéj, starożytnicy północni zowią epoką bronzu, z powodu, że w pomnikach jego najwięcéj spotykamy narzędzi miedzianych i bronzowych. Jest on widocznie od kamiennego późniéjszy i nas bliższy; zabytki też jego, jakkolwiek kruszec ulega prędszemu zniszczeniu, doszły do dni naszych, w innych krajach ilości dosyć znacznéj, — u nas tylko są bardzo rzadkie.

Groby z epoki bronzu, która się tém szczególniéj odznacza, że obok sprzętów bronzowych, żelazo jeszcze znajdować się niepowinno, różnią się tém głównie od piérwszych kamiennych: że w nich grobowce były budowane z wielkich brył kamienia, a ciała składano niepalone ze sprzętem kamiennym i bursztynowym, — tu zaś niesą już otaczane kołami z kamieni, niemają izbic płytami sklepionych i z olbrzymich głazów spojonych. Drobne kamyki, okruchy, krzemień, ubita ziemia, całkowicie je składają. Mogiły mają kształt usypów stożkowatych, kurhanów, rzadko bardzo opasuje je rząd kamieni; w środku napotykamy szczątki ciał palonych, popioły składane w urnach, na-

(*) W zbiorze St-Petersburskiego ermitażu znajdują się liczne starożytności, odkopane przez ſp. Frołowa w kurhanach i starych Sybirskich rudniach. Pomiędzy niemi natrafiamy na zabytki epoki kamienia, takie, jakie na zachodzie Europy się znajdują: z odkrytych w górach Sajańskich, mamy tu młot kamienny (N. 1.), ze staréj rudni Zmiejewskiéj, kliny, dłóta i szpulki z białego marmuru z kilku kurhanów, najwięcéj z okolic Buchtarmińska.

czyniach glinianych, ozdoby stroju i sprzęciki bronzowe po większéj części.

Że palenie ciał większą uprawę religijną i obyczajową i rozwiniętą wyżéj obrzędowość, a może wpływ Greko-Rzymski oznacza, że kruszec i wyroby z niego czas bliższy nas wyrażają samemi kształty, dowodzić zdaje się nam zbytecznem. Na północy, szczególniéj w Danii, często się trafiają dwie warstwy grobów: u spodu grób prastary, olbrzymi, a nad nim nówszy, z ciałami spalonemi — to także następstwa epok po sobie dowodzićby mogło. Ze wszystkiego jawno, że w tym okresie palono ciała na stosach drewnianych, zbierano potém szczęty kości i popioły w garnki większe lub mniejsze, które w grobowcu ustawiano, otaczając i pokrywając kamykami. Czasami w urnę kładziono razem z popiołami bronzowe ozdoby, igły, iglice, guziki, noże, spięcia paciórki, a obok oręż i sprzęt oznaczający stan zmarłego. Garnek-urna, albo miał pokrywę glinianą, umyślnie doń robioną, albo się zamykał płaskim kamykiem. Na nim kładziono drobne kamienie, sypano i ubijano mogiłę. Używano czasem w miejscu urny czterech kamieni płaskich, złożonych w kształcie skrzyneczki, pokrytych także wiekiem kamiennem. Był to jakby skarlały grób kamiennéj epoki, na maluczką stopę, dający miarę dwóch okresów i społeczności, piérwszéj heroicznéj, dźwigającéj chętnie głazy dla umarłych, drugiéj, co już więcéj życiem zaprzątniona, ledwie czas miała drobne kawałki ściągnąć na kruchą lepiankę popiołom.

Jedną z cech mogił owego czasu, jest także, że nieustawiano urn i pozostałości zmarłego, w pewnym stałym porządku, w pośrodku, lub z boku, symetrycznie a jednostajnie, ale je rozrzucano bez starania, rozmaicie.

Czasem w miejscu, gdzie było zgliszcze, składano tylko

miecz i sprzęty, a przysypawszy je ziemią, potém dopiéro w mogile saméj zakopywano urnę z popiołami.

Gdzieindziej kości bywają pojedyńczo kamieniami przyrzucone, i oddzielnie pozasypywane ziemią. Niekiedy podle mogiły, przy niéj, pod nią, w około, gdzie grób służył dla całéj rodziny, rozrzucone są i rozstawione w ziemi urny; bywa ich po kilkanaście, po kilkadziesiąt razem obok siebie. Groby mieszczą się pospolicie na wyniosłościach.

Z tego okresu urny dosyć są pospolite: lecz o nich niżéj powiemy osóbno, obszerniéj się nad *necro-ceramiką* zastanawiając.

W krajach Słowiańskich grobowce, z czystéj epoki bronzu, w którychby żelaza śladu niebyło, nadzwyczaj są rzadkie. Bronz zjawia się u nas, nietak jak w Danii przed żelazem, oddzielnie, poprzedzając je, ale prawie z niém razem.

W Litwie, w mogiłach *pod Ucianą*, w Inflantach, często i w wielkiéj ilości, odkopują bronzy, ale wszędzie prawie, tu i w innych wykopaliskach, obok bronzu zjawia się współcześnie żelaztwo.

Bronz, epoki mu właściwéj, pierwotny, różni się od kruszcu późniejszego, podobnego doń i toż nazwanie noszącego, trafiającego się już wespół z żelazem: w chemicznym rozbiorze mięszaniny staréj ukazuje się tylko miedź i cyna, nic więcéj; piérwsza w stosunku do drugiéj, jak dziewięć do jednego (dr. Kruse).

Co się tycze czasu, w jakim okres bronzu przypada, ten się całkiem określić niedaje i wszelkim domysłom wymyka.

Świat Greko-Rzymski, w chwili gdy w ściślejsze wszedł stosunki z krajami Słowiańskiemi i północą, już używał żelaza, niemógł więc przynieść z sobą samych tylko wyrobów z bronzu. Zdaje się, że napływ jakiegoś ludu ze Wschodu tę epokę stanowić musiał. Niesłusznie do tego okresu odnosi-

libyśmy groby, w których bronz wprawdzie, a obok niego i monety Greko-Rzymskie znajdowano, naprzykład *w Koltzen* w Inflantach, gdzie i figurynkę bronzową, pochodzenia Greckiego odkopano.

W krajach dawniéj Polskich i sąsiednich, mało bardzo jest grobów, mogących się odnieść do epoki bronzu właściwéj, mało jéj zabytków, i tém właśnie różnią się starożytności nasze wybitnie, iż od razu niemal z epoki kamiennéj przeskakujemy do żelaznéj. Wszakże mamy ciekawe i ważne zabytki bronzowe, acz w niewielkiéj ilości.

Do téj epoki odnieść można, ze znanych nam wykopalisk, grób odkryty pod *Owińskiem* w Wielkiéj-Polsce, w którym znaleziono cieńką czarkę (miseczkę) bronzową. Niebyło w nim urn, ale kościotrup leżał niespalony w pośrodku, a po rogach widne były ślady ognia, i stało naczyńko wzmiankowane, które się teraz znajduje w Muzeum Berlińskiém.

Tu także zaliczyć potrzeba wielką rzadkość i pomnik niemal jedyny w swoim rodzaju (zobacz rysunek w Starożytnościach Galicyjskich Żegoty Pauli, T. XI, XII): *obosieczny nóż*, przeszło stopę mający długości, z pięknego czerwonego bronzu, znaleziony w wodzie, we wsi *Rużybowicach* (w Przemyskiém).

Nóż ten znajdował się późniéj w zbiorze Gwalberta Pawlikowskiego; rękojeść jego dość prosta, ku środkowi główna nieco rozszerzona, koniec powolnie zaostrzony śpiczasto. Takiegoż kształtu, ale większy jeszcze, *nóż bronzowy obosieczny*, rdzą zieloną pokryty, wykopano w kurhanie pod *Haliczem*, i złożono w zakładzie Ossolińskich we Lwowie. Rękojeść kruszcowa dość kształtna, powleczona pokostem czarnym, (Zobacz Starożytności Ż. Pauli).

W Poznańskiém także, w majętności Górze, pod *Sremem* nad Wartą, dobyto kilkanaście urn z téj epoki, i przy nich

znaczną ilość różnych kruszcowych sprzętów, dziwnych kształtów, oraz posążek kamienny w kształcie trupiéj główki.

W Wielkiéj-Polsce, gdzie jak w Galicyi, grobowce tego rodzaju częściéj niż w innych stronach kraju się znajdują, na Kraśnéj-Górze w *Lubaszu*, odkopano wiele mogił starych z urnami, a w nich szczęty kości niedopalonych, ale noszących na sobie ślady ognia, i różne sprzęciki. O budowie grobów, ustawieniu urn i szczegółach dobycia, niepiszą donoszący o tém odkryciu (Przyjaciel ludu). W urnach między innemi, odkryto szczególny wyrób, postać *ptaka* wylepionego z gliny mało co palonéj (długości cali trzy, objętości półtrzecia cala Reńskiego). Ptak ten, na podstawie bez nóg, z dziobem płaskim, dosyć niezgrabny, ma niejakie podobieństwo do kaczki lub gęsi, i jedno z tych dwojga wyobrażać musiał. Domyślano się, że to była postać jakiegoś bóztwa domowego; lecz ptaki podobne, wyraźnie rodzaj lampek grobowych i dziecinnych zabawek, znajdowały się w grobach Szlązkich niejednokrotnie, i zdają się łatwo tłómaczyć obrzędem Słowiańsko-Rzymskim, zamykania w grobach lamp, lub glinianych lampy zastępujących wyrobów i sprzętów, oznaczających stan i wiek zmarłego. Porównanie ptaka Lubaskiego ze Szlązkiemi wielce go objaśnia, dowodząc, że nie był wyjątkiem.

W innych popielnicach znalazło się kółko *miedziane*, ze czterma promieniami w pośrodku, od ogniska do obwodu idącemi, dość niezgrabnie wyrobionemi. Kółko to z jednéj strony było wypukłe, z drugiéj płaskie (średnicy miało półtora cala). Niewiemy znaczenia kółek takich, chociaż niesą bezprzykładne: znajdujemy je także w grobach Szlązkich, a co dziwniejsza, w starych Etruskich.

W innéj znowu urnie tamże znalezionéj, była paciórka szklana niebieska, w paski, kształtu owocu maliny. Obok

miseczka gliniana, a w niéj trzy kółka (krążki) gliniane, przedziurawione w środku.

Zdaje się, że grobowiska te, w których przebija się naśladowanie obrzędów Greko-Rzymskich (chociaż w nich żelaza nienatrafiono o ile wiemy, ani okruszyny), mogły należeć do epoki bronzu, lub przejścia do okresu żelaza.

Tubyśmy jeszcze zaliczyć mogli grób rozkopany w Kijowskiém, w powiecie Radomyskim, we wsi *Gnilice* (Iwanowskich), nad rzeką Myką, o którym mówi Lippoman (II). Odkryto go na świeżo wykarczowanéj z pod lasów polance, kopiąc doły na jakąś budowę. Mogił było kilka, wielkiemi płytami kamiennemi pokrytych, i takiemiż płytami obłożonych, w których stały urny, po kilka uszek mające, pełne piasku i popiołów.

Jedyną może do wieku bronzu na Ukrainie dalszéj odnoszącą się mogiłą, jest wykopalisko między *Piszczalnikami* a *Łazurcami*, — kurhan, w którym na dwa łokcie w głąb', pod powierzchnią ziemi, znaleziono warstwę popiołu, potém o łokieć, czy pięć ćwierci niżéj, dębowy węgiel i trzy *naczynia*. Jedno z nich było *gliniane*, bez ozdób, wysokie, ziemią nabite; drugie *miedziane*, nakształt nalewki, także bez żadnych ozdób; ostatnie *gliniane*, w kształcie urny *Driton*, pełne ziemi, z rysunkami figur i polewą bronzowego koloru. Ostatnia urna, na nieszczęście, została rozbita przy dobywaniu.

Mogiła ta, tak wyraźnie Grecka, z naczyniem bronzowém, z wazą w rodzaju Etruskim, świadczy wymównie o stosunkach głębszego kraju z osadami Helleńskiemi nad morzem Czarném. W blizkości jéj znaleziono wprawdzie żelazo, ale zdaje się, że ono pochodziło z innéj co do epoki mogiły.

W głównem wykopalisku bronz panował.

Do ostatków tego okresu, niewiém, czyby też odnieść niemożna mogił rozkopanych we wsi *Cygowie*, w obwodzie Stanisła-

wowskim w Galicyi, o których budowie brak nam dokładniejszych wiadomości. Położone były na wzgórzu, a w głębi oprócz popielnic, odkryto w nich pieniążki Rzymskie, z czasów *Karakalli*, i jakieś *narzędzie muzyczne* metalowe, w kształcie rurek, w kółko poskręcanych. Był też i *toporek kamienny*.

Do wykopalisk odnoszących się do epoki bronzu w Słowiańszczyźnie, należy ciekawe badanie mogił w gubernii Moskiewskiéj, w Zwiniegrodzkim powiecie, w latach 1838 i 1845; opisane przez A. D. Czertkowa (*Pamiętn. Cesar. archeolog. towarz., T. I, str. 234*). Znaleziono w nich same tylko bronzy, bez najmniejszego szczątku żelaza, a rozbiór chemiczny okazał ich starożytność, bo w mięszaninie śladu cynku nieodkryto. Kurhany więc te, jakkolwiek budową swoją od mogił epoki bronzu na zachodzie różne, do niéj niewątpliwie należą. Piérwsze rozkopywanie miało miejsce w r. 1835, i w kurhanach znaleziono całkowite szkielety, na bok leżące głowami, od zachodu na wschód obrócone, a przy nich paciórki, pierścienie, bransolety, dyademata, najzupełniéj podobne do tych, jakie przywodzi dr. Kruse, w *Necrolivonica*. Na palcu u nogi jednego szkieletu odkryto pierścień bronzowy. Sprzęty inne, wyrobem, kształtem i materyałem, nieróżnią się od wykopywanych na innych ziemiach Słowiańskich, szczególniéj po nad Baltykiem. Gdzie niegdzie dośledzono szczątków skóry, sukna i popielnic.

W 1845 roku nanowo poczęto rozkopywać pozostałe mogiły, których skład wewnętrzny podobny był do zbadanych w r. 1838. Szkielety leżały w nasypach piaskowych, niepalone, a przy nich paciórki kryształowe, bransolety, pierścienie, zwoje bronzowe, sprzążki, kółka znajomych i pospolitych kształtów, rdzą przejedzone i okryte. Jeden ze szkieletów zdawał się pogrzebiony siedzącym. Kruszec, z którego wszystkie ozdoby lane, kute i wyrabiane były, wszędzie jednostajny bronz przedstawiał, ani srebra, ani złota. Mogiły te, które p. Czertkow Warjago-Russom przyznaje, niewątpliwie są Słowiańskie, co porównanie ich z wykopaliskami

w innych stronach przeważnie dowodzi. Uderza nietylko podobieństwo, ale jednostajność form w sprzętach, porównanych do pomników u Kruzego, i w zachodniéj Słowiańszczyźnie; budowa tylko mogił, w których śladu kamieni niéma, jest różna i mniéj kunsztowna. W ostatnich mogiłach, odkryte maleńkie krzyżyki, niekoniecznie epokę Chrześcijańską oznaczają, gdyż godło to i poganom było znane, i przez nich przejmowane chętnie, jako amulet od Chrześcijan. Pan Saweljew zauważył, że sprzęt bronzowy tych wykopalisk, jest całkowicie podobny kształtem do srebrnych zwojów, pierścieni i bransolet, wyrabianych na Wschodzie. Fakt ten dowodzi, że starzy Słowianie, w ciągłych ze Wschodem stosunkach i pokrewni ludom Wschodu, przenieśli z sobą, aż ku Adryatykowi i nad brzegi Renu, wyroby swéj dawnéj ojczyzny. Zabytki tego rodzaju, daleko w Europę sięgające, wskazują, jak się rozciągały osady i wpływy ludów Słowiańskich.

Zabytki z epoki *bronzu* ze Scytyi odkopane w kurhanach i rudniach Syberyi przez p. Frołowa, a dziś znajdujące się w Ermitażu, dosyć są liczne. Z kurhanu między rzekami Tulbą a Irtyszem mamy parę bronzowych strzemion (12—13); tamże znaleziono piękną bronzową nakrywę, z wypukłą rzeźbą, sześć łosiów wyobrażającą (14). Nakrywa obwinięta w żółtą tkań bawełnianą, leżała pod prawą ręką szkieletu, w mogile na górze Kreml pod rudniami Buchtarmińskiemi. Inne wieko (15) z Kuźniecka, na południe od Tomska dobyto, zkąd też para pozłacanych bransolet (16). Bronzowe noże, szczątki pocisków, rzeźby wystawujące konie, ptaki, (orzeł z głową ludzką na piersi), uzdy, kółka, i t. p. dosyć obficie tu dostają po mogiłach. Znaleziono także płaskorzeźbę wyobrażającą myśliwca z dwóma psami i mieczem w ręku, i statuetkę z ostro-zakończoną czapką. Wszystkie te zabytki, których liczba stosunkowo do poczynionych dotąd poszukiwań bardzo jest znaczna, wskazują, że ku północy epoka bronzu dłużéj się

podobno przeciągnąć musiała, niż w naszéj Słowiańszczyźnie, i więcéj po sobie zostawiła śladów.

W zachodnio-południowéj Słowiańszczyźnie, mogiły z epoki bronzu niezbyt się także obficie znajdują. W Czechach wspomniane już wykopalisko pod *Stockau*, cechami niektóremi do piérwszego zarówno i drugiego okresu zaliczyć się dozwala.

W r. 1802 rozkopane mogiły pod Koczwar, także należeć tu mogą. Były one narzucone tylko kamieniami, a urny w nich znalazły się w pewnym ustawione porządku; w pośrodku stały większe popielnice, po bokach misy różnych rozmiarów.

Znaleziono tu pierścienie bronzowe, kawałki miedzi, a w innych wykopaliskach, w témże miejscu, już i żelazne sprzęty, przejście do trzeciego okresu stanowiące. W ogólności i tu, jak w Polsce, jak w Litwie i Rusi, groby z epoki bronzu właściwéj, są niezmiernie rzadkie, choć wyroby bronzowe, już po trosze z żelazem przemięszane, bardzo się często trafiają, a obok nich w małéj ilości srebro i złoto.

Wiek ten bronzu, sięgający bardzo odległéj, ściśle niedającéj się oznaczyć starożytności, z jednéj strony styka się z epoką kamieni, z drugiéj łączy się z ostatnią epoką żelaza. Często w mogiłach przejście od piérwotnego do drugiego okresu stanowiących, znajdujemy obok kamiennych, rzeczy bronzowe i niekiedy złote. Co się tycze saméj mięszaniny, bronzem zwanéj, ta najprzód składa się ze zmięszania miedzi i srebra, lub miedzi i cyny, potém z miedzi i cynku.

Jest to, jak zkąd inąd wiadomo, jeden z kruszców najdawniéj używanych, poprzedzający żelazo na Wschodzie i w Grecyi. Homer wspomina broń miedzianą; odkopują do dziś dnia szczątki jéj w Azyi i Grecyi. W najstarożytniejszych grobowcach znajdowane zabytki są z miedzi i mięszaniny bronzem zwanéj, do któréj w małéj cząstce wchodziło srebro lub cyna. Umiano ją hartować jak stal, robiąc z niéj noże, miecze i topory. Pomniki téj epoki

w znacznéj ilości i całkiem odrębnie znajdujące się w Danii, u nas są rzadsze i zawsze prawie obok nich kamień z jednéj, żelazo z drugiéj strony spotykamy, tak, że właściwie rzekłszy, epoki téj niemamy prawie. Są ślady tylko, że w czasie, który gdzieindziéj zostawił po sobie bronzy, i u nas ich używano, i przez tę ziemię przeszły ludy niemi się posługujące, — ślady, że z nimi łączyły nas stosunki; ale tuż zjawia się zaraz żelazo, tak, że ledwie w starożytnościach naszych epokę tę dostrzedz i odróżnić można.

Bronzową epokę uważają niektórzy za wyłącznie Keltycką (Heinr. Schreiber, Taschenbuch für Geschichte und Alterth. in Süd-Deutschl., Freiburg, 1839, 136); ale czy ją odnieść potrzeba do najstarszéj jakowejś pielgrzymki Keltów od Wschodu, czy do ich napadów na Słowiańszczyznę w trzecim wieku przed Chrystusem ??

Najcharakterystyczniejszy z pozostałych po téj epoce bronzu oręży, nosi jeszcze nazwanie *Celt'a*. W pierwotnych znowu grobach właściwie Keltyckich, tak jak w mogiłach z epoki kamiennéj, nieznajdujemy nigdzie śladów palenia ciał: powszechniéj w epoce bronzu, ciało składano w całości ?? Epoka więc bronzu, gdyby ją nazwać *Keltycką*, różniłaby się głównie na wschodzie Europy, całkiem odmiennym obyczajem. Ślady pobytu *Keltów* w Czechach, pozostały w *monetach*, znajdowanych po mogiłach, na których *koń*, typ Keltycki się ukazuje. Dwie także odkryte pod *Stockau*, posiada p. von Neuberg. Mniejsza z nich wystawia z jednéj strony konia, z wyraźnie oznaczoną uzdą, u spodu w półkole dziewięć punktów. Na drugiéj większéj jest także koń z jeźdźcem, a wkoło ozdoby półxiężycowe i głoski niewyczytane; z drugiéj strony głowa, w ozdobach bardzo skomplikowanych, a przy oku odcisk pół-xiężyca

Uczyńmy tu uwagę nawiasową, że Litwa, w któréj najwięcéj dopatrzyć można śladów epoki Keltyckiéj, w grobowcach, pomnikach, obrzędach bałwochwalczych, i sprzęcie, w godle państwa

zachowała konia z jeźdźcem (Waikimas), zupełnie do Keltyckich podobnego.

Ze trzech peryodów okresu bronzu, w których bronz z kamieniem sam przez się i z żelazem obok się znajduje, piérwsza i ostatnia tylko są u nas najwidoczniejsze.

Pomniki bronzowe, których główne rodzaje wyliczym tu obszerniéj, jeszcze mając o nich powiedzieć przy okresie ostatnim, niezmiernie u nas są rzadkie, jednakże tu i ówdzie w krajach Słowiańskich rozrzucone się znajdują.

I. *Bronzowe sztabki* (Paalstaebe); rodzaj siekiero-dłót, od trzech do dziewięciu cali długie, używane jako siekiery lub dłóta, ku końcowi rozszerzone, z boków zagięte na drzewce. Przykład podobnego narzędzia znajdujemy w starożytnościach Szlązkich, wydanych przez Büschinga.

II. *Celty* (Celte); tak nazwane siekiery i siekiero-młoty, które osadzano w drzewo na prost w tępym końcu.

Przepysznych kilka celtów bronzowych posiada Muzeum Czeskie; znajdujemy je rysowane u Vocel'a (T III, 13). W grobach Staro-Słowiańskich w Meklemburskiém, odkopywano celty bronzowe, osadzane na trzy do czterech stóp długich rękojeściach; z rzemieniem, który do noszenia ich, lub jak chce *Lisch* (Andeutungen über die altgermanischen und slavischen Graeberalterthümer Mecklemburgs), do chwytania po uderzeniu nieprzyjaciela miał służyć. Leżały one zwykle po prawéj stronie szkieletu.

Bronzowy celt, rysowany u Vocel'a, ma kształt siekiery, osadzonej nie tak jak dzisiejsze i kamienne, ale wprost naprzeciw ostrza otwór mającéj; rodzaj rękojeści, a raczéj zgiętéj sztabki, umocowującéj przy nasadzie, zdobi to narzędzie bojowe.

Najpiękniejszy celt bronzowy, z góry Pleszywec (Łysej?) pod *Ginec* w Czechach, znajduje się w Muzeum Praskiém.

Niekiedy do celtów się zbliżają, i jednego z niemi prawie być musiały użytku, nieco tylko od nich mniejsze, osadzane przeciw

ostrza, wzmiankowane już siekiero-dłóta, paliki, z których wiele wyrobione są wcale kształtnie i zręcznie.

Do tego rodzaju zaliczyć potrzeba dłóto-celt, rysowany u Büsching'a (T. II, 2), bronzowy, wcale pięknéj roboty, który się cały nasadzał dla mocy na klin drewniany. Büsching ma go za narzędzie, służące do odzierania ze skóry ofiar. Zdobią go pasy wypukłe, rączka i prążki złamane, pod kątem roztwartym na samem ostrzu.

III. *Noże i stylety*, bronzowe krótkie, w pośrodku rozszerzone, z rękojeściami małemi, niezbyt ozdobnemi, używane być musiały w rolnictwie i do potrzeb gospodarskich; niektóre mogły być ofiarne.

IV. *Miecze*, bronzowe są długie, ostro zakończone, czasem fugowane, grube, w pośrodku rozszerzone jak noże, z rękojeściami małemi o dwóch niezbyt odskakujących gryfach. Niebywają dłuższe nad pięć ćwierci łokcia, często daleko krótsze; służyć musiały więcéj do przebijania, niż do cięcia. Rękojeści ich pospolicie z drzewa, nabijane gwoździkami, lub całe bronzowe, rzadko złotą obwodzone blaszką, stosunkowo do główni małe. Pochwy były jak widać ze szczątków drewniane, ze skówkami kruszcowemi. Cechą pochew z téj epoki, że mają dwie tylko skówki po końcach.

Miecze tego rodzaju znajdowano w Galicyi; Czeskie rysuje Vocel (Tab. III, 8).

V. *Stylety*, może noże ofiarne, mało się rożnią od wyżéj opisanych; dość piękny stylet-nóż bronzowy, znaleziony pod Königgratz, daje J.-E. Vocel (Tab. III, 12).

W starożytnościach Słowiańskich, z okolice Hamburga zebranych przez Rhode'go, wielka jest ilość styletów, w zachodniéj Słowiańszczyźnie pospolitszych niż w północno-wschodniéj.

VI. *Ostrza dzid*, zupełnie podobne co do kształtu i wielkości późniejszym żelaznym.

VII. *Topory* wojenne, czasem wielkie do piętnastu cali, i ważące do siedmiu funtów. Ozdoby na nich w linije spiralne, pospolite są tylko w Danii. Jeden topór Czeski, zobacz u J.-E. Vocel'a (T. III, 10).

VIII. *Tarcze bronzowe*, najmniejsze około cali dziewiętnastu średnicy, największe dochodzą dwudziestu czterech. Składały się one z blach bronzowych, a brzegi ich ociskał dokoła gruby drót; z drugiéj strony, w pośrodku osadzona była rękojeść. Sama tarcz była z drzewa i skóry; niektóre miały szpice wydatne, czyli dzioby, jakie się i w późniejszych żelaznych znajdują. W Danii znajdowano ozdobione wytwornie linijami spiralnemi.

IX. *Hełmy* i zboje bronzowe najrzadsze; w smaku wiekowi właściwym, bywały linijami wężowemi porysowane. Jedyném u nas może uzbrojeniem bronzowém, jest staro-Helleński hełm i nagolenniki, znalezione w mogile, między *Petrykówką* a *Romejkówką* na Ukrainie. (Rysunek w *Obozrenii*, Fondukleja i *Ukrainie* M. Grabowskiego, T. XVI.).

X. *Trąby wojenne* (Luren); zgięte wytwornie, złocone i ozdobne, prawie trzy łokcie długie, znajdowano w Danii. Zarzucali je trębacze na ramiona, lub nosili na łańcuchach bronzowych. Do tego rodzaju narzędzi należały zapewnie trzy wielkie trąby z kości rzeźbione, okryte figurami i napisami, o których wspomina Czacki, że mu o nich opowiadał Stanisław-August. Wykopano je nad rzeką *Szwentą*, za Augusta III, i przesłano w darze ministrow Brühlowi.

XI. Do ozdób téj epoki, należą jeszcze *szpilki* i *iglice*, czasem do pół łokcia długie, w rodzaju stylów starożytnych, używane zapewnie do spinania włosów, z główkami z bronzu, lub kości, dość sztucznie wyrabianemi; *pierścienie* także do włosów służące, dyamenta na głowie noszone, *obręcze* opasujące ciało w pasie, w ostatku *naszyjniki* liczne i rozmaite z przywieszanemi blaszkami, kółkami, ozdobami, *bransolety* wielkie w linije spiralne zwijane

na ręce całe i na palce, robione w taki sposób, aby się wedle grubości rąk i palców rozchodziły. Bronić one musiały od cięcia. Należą tu także podwójne *guzy*, *zapinki* z dwóch guzów połączonych z sobą składające się, szpilki złote lub ociągane blaszką złotą, wkładane niekiedy do urn *paciórki*, sprzążki najrozmaitsze, szczypczyki, zapinki i różne ozdoby pomniejsze, których użytku oznaczyć dziś trudno. O tém wszystkiém poniżéj, przy trzeciéj epoce obszerniéj powiemy jeszcze.

W Czechach, równie jak u nas, znajdowano wielką ilość podobnych sprzętów bronzowych. Wylicza je i w części rysuje J.-E. Vocel (Tab. I, 11—12.). Są tu iglice bronzowe (style), rytowane zupełnie gładkie, *zapinki* różnego rodzaju (fibiae) do sukni, *naręczniki*, *pierścienie* (których wiele pod *Ginec* odkopano), *naszyjniki*, *ozdoby spiralne*, i t. p. Pod *Giczynem* znaleziono naszyjnik jeden złoty,—w urnach pod *Skalskiem* zwitek misterny z drótu złotego. Uderza szczególniéj wielce ozdobny napierśnik, odkopany pod *Zelenic*, składający się z blachy rytéj sztucznie, od któréj wiszą na łańcuszkach kulki i blaszki bronzowe.

Tu jeszcze wspomnieć należy, w Czechach tylko podobno znajdowane: *sierpy*, bronzowe, starożytne małe (strigilis), może do jakich obrzędów pogańskich używane (Vocel T. III, 7.), i *nożyce* bronzowe, nakształt zwykłych owczarskich zrobione, które do grobu niewiastom kładziono (Vocel T. III, 4.).

Jedyném prawie w swoim rodzaju, jest naczynie, rodzaj *kociołka bronzowego*, którego pozostały wierzch tylko zachował się w Czeskiém Muzeum, wykopany w r. 1771 w blizkości *Podmokl*, pełen pieniędzy złotych, do ośmdziesięciu funtów ważących (Zobacz d-ra Kalina von Jätzenstein: Böhmens heidnische Opferplätze, Gräber und Alterthümer.).

Wszystkie wyroby téj epoki dość są już ozdobnie wykonane, z widoczną myślą o piękności, o wdzięku, z intencyą ornamentacyi wykwintnéj. W wyborze ozdób, pojęcie linii, daleko jest już wy-

żéj, niż w piérwszéj epoce rozwinięte; przebija się uczucie symetryi i harmonii, w połączeniu jednorodnych wprawdzie jeszcze, ale różnie użytych pierwiastków i porządném, odpowiedném ich powtarzaniu. Wykonanie techniczne tych wyrobów kruszcowych, powiększéj części dokładne, staranne, piękne nawet, niekiedy pełne uczucia i smaku. Niektóre sprzęciki odlewane były w formach, i od ręki wykończane. Zdarzają się topory, może tylko jako znak dostojności noszone, składające się z dwóch blach obciągnionych na glinie, ozdobnych w wyciski i blaszki złote.

Liniją ornamentacyjną, właściwą téj epoce, jest *spiralna*, linija nieskończoności, symbol nieustannego biegu, — *spiralna podwojona*, *kolista* i tak zwane *ozdoby falowate*, z nich obu wynikłe

Wszystkie one jak widzimy, rodzą się z różnie użytego odcinku koła, którego piérwsze zarysy już przedstawiały w epoce kamieni, linije młotów i zakończenia niektórych narzędzi. Czasami małe, drobne ozdoby brzegów, szlaczki, bywają złożone z linij prostych, połamanych kantowato i formujących zęby.

Jeżeli wiek każdy, mimowolnie wyraża się nawet w kształtach, które ukochał, w epoce bronzu widzimy coś więcéj skończonego, doskonalszego, swobodniéj rozwiniętego, niż w poprzedzającéj; sama linija kolista doskonalszą jest, sztuczniejszą od prostéj, a kombinacye z niéj wynikłe nieskończone. Cała ornamentacya polega tu na połączeniach, na zestawianiu linij prostych i kolistych, ale osobno jeszcze idą linije krzywe, a całkiem oddzielnie proste, pod kątami łamane. Linije są czysto idealne, nigdzie w nich naśladownictwa natury. Ze wszystkich motywów, linija *spiralna* jest najpospolitszym; powtarza się ona w formie całych bransolet, pierścieni, spinek, czapek drócianych, i w ozdobach sprzętów do nieskończoności, — jest niejako godłem epoki.

Zastanawiając się nad utworami tego okresu, widzimy już w nim, nietykając nawet dzieł sztuki właściwéj, wielki artystyczny postęp.

Kunszt coraz widoczniéj w każdéj robótce przegląda, ozdoba staje się jéj konieczną częścią, obliczem każdego najmniejszego sprzętu. Rzemieślnik wyrabia dla pożytku, ogładza i rytuje wykwintnie dla oka, powoli przechodząc na artystę. Z ozdób stroju okazuje się, że i ubiór w téj epoce stać się musiał wytworniejszy, okrył się tysiącem drobnostek, dodatków, błyskotek.

Kobieta uczuła instynktowo, swe posłannictwo kapłanki piękna, zapożyczając w wyrobach ręki ludzkiéj to, co wdzięk twarzy i postaci podnieść może.

Ozdób, których dziki szukał początkowo w odartém skrzydle ptaka, w kwiecie, w przypadkowo zaokrąglonym i wyślizganym biegiem wód kamyku, w muszli skorupiaka — zażądał teraz od rzemieślnika; począł się rozmiłowywać w kształcie, w barwie, w grze promieni na bursztynowéj, lub massowéj paciórce.

Słowem, tu jak wszędzie, sztuka rozpoczyna się od ornamentacyi sprzętu, przechodzi w ozdoby stroju, nim się potrafi oderwać od ziemi i stanąć w swojéj mocy. Piérwsze nieforemne naśladowania postaci żwierząt i ludzi, są krokiem, który nowe ma dać siły sztuce i nowy materyał do wyrażenia myśli. Są to jakby głoski i dźwięki, z których się utworzy język.

Wiek bronzu właściwy, jak epoka kamieni, na sprzętach swych i pozostałościach, niema nigdzie śladu głosek, run, pisma, ani znaków, któreby się do nich zbliżały.

Ważném się nam zdaje, że sprzęt bronzowy i pozostałości grobowe tego czasu, wybitnie mówią o związku z Greko-Rzymskim światem. Znajdujemy tu iglice, spinki, lampy, style, łańcuchy, szczątki, zupełnie kształtami i ozdobami podobne do dawnych Rzymskich, do Etruskich. Szczególniéj w Słowiańszczyźnie zachodniéj, im bardziéj posuwamy się wgłąb' Europy, podobieństwo to staje się mocniéj uderzającém.

Słuszném więc zdaje się nam wnosić, że daleko ściślejszy stosunek łączył Słowian z Rzymem, daleko większy był wpływ

cywilizacyi Rzymskiéj na byt Słowiańskich ludów, niżeliśmy dotąd przypuszczali. Poprzemy to dowodami materyalnemi, w osobnym rozdziale pisma naszego (*).

VIII. EPOKA ŻELAZA.

Najbliższa nas i ostatnia, z któréj obfite pozostały zabytki, epoka *żelazną* zwana, przy pilniejszém badaniu, na kilkaby się

(*) Do pośredniéj między piérwszą a drugą epoki, odnieść należy grobowiec, o którego rozkopaniu uwiadamia Gazeta Codzienna, 1854, N. 208. Jest to jeden z najciekawszych, jakie dotąd w Polsce zbadano; oto opis wykopaliska:

„We wsi Dębe pod Kaliszem, znajduje się w ziemi wiele popielnic i żalników Słowiańskich. Teraz odkryto grób murowany z kamieni, przykryty płaskiemi kamieniami, w którym były dwie małe urny z czarnéj massy, bronzowa czara, i miseczka szklana; starożytności te znajdują się w Kaliszu, w ręku lubownika starożytnych pamiątek. Znaleziona czara, czyli czerpak bronzowy (patera ?), podobny do łyżki wazowéj, z krótszą nieco rekojeścią, otoczony jest u wierzchu obrączką, z deseniem delikatnéj roboty, a na rękojeści mały Bachusek spoczywa na winogronach, którego wypukła i piękna rzeźba okazuje smak Grecki, z czasów przed Alexandrem Wielkim. Zabytek ten dowodzi, jak obszerne były w ówczas stosunki handlowe w Europie. Bronz w czerpaku nadpsuty jest u spodu przez oxydacyę wina. Miseczka szklana, w któréj była żywność stawiona, podobna do wielkiéj miseczki od kawy, jest ze szkła mięszanego kolorowego, gdzie odbija zielone w odcieniach od granatowego, na sposób dawnych szkieł Florentyńskich. Jest to dowód, jak robota ze szkła u starożytnych wysoko była wydoskonalona. Urny z delikatnéj, lekkiéj, czarnéj massy, dosyć połyskujące, z małém uszkiem, w którém przedziurawienie do drótu lub sznurka, zawierały spalone kości i popioły.“ (O. T.)

Szkoda, że tak niedostateczną wiadomością, o ważném i ciekawém odkryciu tém, zadowolić się musimy; wartoby lepiéj je zbadać na miejscu.

jeszcze okresów rozdzielić mogła. Lecz przedmiot ten, cząstkowo, urywkowo i niedokładnie dotąd u nas opracowywany, dla braku materyałów i niedostatecznego ich rozpatrzenia, jeszcze się niedozwala ostatecznie wyjaśnić.

Większą część wykopalisk grobowych opisano niedokładnie, rozpatrzono powierzchownie, tak, że często epoki ich nawet oznaczyć niepodobna, bo poszukujący niezważali na stan znajdowanych szkieletów, na kruszce przy nich znalezione; a bardzo mała ilość dobytych szczątków rysowaną była i wydaną. Ztąd często największe zagmatwanie powstaje, na które chybaby nowemi poszukiwaniami zaradzić można.

Grobowce z wieku żelaza, doprowadzające nas do schyłku balwochwalstwa, i piérwszych lat Chrześcijaństwa, to jest do IX i X wieku, obficie rozsiane są wszędzie. Różnią się one wybitnie od mogił epoki kamiennéj, mniéj daleko, od poprzedzającego je okresu bronzu.

Zewnętrzna ich postać i skład wewnętrzny, zbliża je do grobowców bronzowych; ta jest jednak największa różnica między niemi, że tu znowu ciała znajdujemy palone i niepalone. W grobach obok kości ludzi, leżą szczątki koni i innych zwierząt. Najrzadsze, a najwspanialsze pomniki tego wieku, zbudowane są w kształcie izbic, z ogromnych brusów drzewa, z belek dębowych, ze ścianami i pułapami starannie ułożonemi. W grobach znajduje się mnóztwo popielnic, najrozmaitszych kształtów, urn okręcanych mieczami, pokrywanych kawałkami zbroi i t. p. Cieńkie blaszki złote, z wyciskanemi postaciami fantastycznych zwierząt i ptaków dziwacznych, naczynia srebrne wykładane blaszką złotą, odnoszą się po większéj części do téj ostatniéj epoki.

Wiek ten różni się nietylko materyałami, użytemi do wyrobów, ale nadanemi mu przez rzemieślnika-artystę kształtami zupełnie odmiennemi, które odcechowują epokę żelaza od po-

przedzających. Pomniki żelazne, niezmiernéj rozmaitości, głównie są następujące:

I. *Miecze*, wielkie (stalowe) rzadko obosieczne, z rękojeścią drewnianą, powleczoną skórą, okładaną kością lub rogiem jelenim dla zrównoważenia ciężaru główni, w końcu opatrzone gałką. Niekiedy rękojeść opasuje łańcuszek złocisty. Gryfy są dwa lub jeden tylko w dole, pochwy drewniane obleczone skórą, skówki długie i ozdobne. Miecze te nieliczne w początku, wysokiéj ceny, miały nazwiska właściwe i były drogiemi nabytkami; tak na północy, miecz Vermunda mądrego zwał się *Skrep*, miecz Rolfkraga miał imie *Skofnung*, a najpóźniejszy już, sławny Bolesławowski, któren mu anioł wedle podania miał przynieść z niebios, pamiętne nosił *Szczebca* nazwisko. Obszerniéj powiemy o mieczach, pisząc o uzbrojeniu i sprzętach.

II. *Topory* wojenne, były proste i szerokie.

III. *Ostrza dzid*, kształtem zbliżały się do teraźniejszych.

IV. *Pociski*, rodzaj żeleźców prostych, lub z hakami, które rzucano zamachem za pomocą rzemyka, jak kamienie procowe; czasem przy nich osadzone bywały pióra.

V. *Strzał ostrza* małe, płaskie, z haczykami.

VI. *Hełmy, zbroje, tarcze, napierśniki, naramienniki*, i t. d Hełmy bywały także ze łbów dzikich zwierząt, na drzewo naciąganych, pancerze z płótna tęgiego i skóry, napierśniki metalowe z kółek żelaznych, z blaszek i z łusek (rzadkie), lub drewniane blachą ociągane, w pośrodku dziobate, i t. d. i t. d.

Smak w tych wyrobach, od okresu bronzowego, wcale jest różny, i nieledwie gorszy: ozdoby rzadsze, na uzbrojeniach niéma ich prawie. Bój już tak widać zajmował rycerzy, że się na zbroję, by ich broniąc zdobiła, obejrzeć się niemieli czasu; rzemieślnik myślał o jéj trwałości, niesadził się na upiększenie. Najwykwintniejszą częścią uzbrojenia téj epoki, jest na-

pierśnik przychodzący pod szyję, spięty z tyłu, bronzowy, nieco wypukły, okładany blaszką wyciskaną. Do charakterycznych ozdób stroju kobiecego, należy rodzaj wielkiéj spinki, noszonéj na piersi, która się trafia w grobach do ostatka pogaństwa; *zapinki* i sprzążki, z trzech listków koniczyny złożone, lub skręcane wężowato. W bronzowéj epoce, złoto jeszcze znajduje się w małéj ilości na ozdobach cieńkiemi obciąganych blaszkami; tu spotykamy już całe wyroby złote, grubo z drogiego kruszcu ukute; srebro bardzo też rzadkie przy bronzach, u już skazuje się w wielkiéj ilości.

Naszyjniki bardzo wykwintne, często składają się z dwóch kręgów, spiętych na haczyk z tyłu, na przodzie rozszerzonych grubszych wyrabianych w plecionkę. Obwieszone bywały szkiełkami kolorowemi, monetami złotemi, do których dorabiano uszka, blaszkami w kształcie medalików. W téj epoce tjawiają się także nieforemne próby napisów, narzynania, runy.

Paciórki z bursztynu, z wypalanéj i farbowanéj gliny, z kryształu, karnijoli, złota, z blaszek złotych, srebra, lub mięszaniny kruszcowéj, znajdują się po grobach obficie. *Szkło* drogie jeszcze w téj epoce, w małéj ilości, na drobnych szczególniéj spotykamy ozdobach; paciórki z niego wyrabiane bywają białe, różnofarbne, zielone, nakrapiane, pasiaste, podkładane blaszką złotą, którą szkło znowu pokrywa po wierzchu. Paciórki te środkują między szklanemi, a masowemi. Masowe robiono z gliny, nasadzano odrobinami szkła, i emalij szklistéj lub ze szkła wysadzając złotem i sztuczkami kolorowemi, które z wierzchu pokrywała szklista przezroczysta powłoka, dając ze spodu przeglądać téj mozaice.

Paciórki droższe i rzadsze, używały się niekiedy za gałki do mieczów, osadzano je na wierzchu rękojeści; ukazują się szczególniéj na samym krańcu epoki pogańskiéj.

Pierścienie na ręce i na palce zamykane, i z dwóch sztuk

są składane, ozdobne, plecione, nasadzane, zwijane w sploty spiralne, jak w epoce poprzedniéj; trafiają się tu także i *bransolety* podobne. Pierścienie właściwe temu czasowi grubsze są, rozszerzone z przodu i niekiedy wcale misternie wyrabiane; używano wielkich srebrnych na szyję, na głowę, ale te były prostszéj roboty, z trójgraniastą ornamentacyą.

Naczyniu do picia, puhary, rogi, czasze, coraz wyrabiane są misterniéj i pracowiciéj. W Danii znajdują się całe srebrne, w pasy złote lub wysadzane sztukami złota, złote całe, z kości oprawnéj w blachę złotą, z rogów żwierząt w skówkach kruszcowych. Posążki z téj epoki, acz trafiają się, są rzadkie. W czasach przyjęcia Chrześcijaństwa i walki z niém ostatniéj bałwochwalców, niszczono ich mnóztwo, a w Polsce, Litwie, w Rusi, wielka mnogość wyrobionych z drzewa i materyałów wątlejszych, bezpowrotnie zaginęła.

W *ornamentacyi* epoki żelaza, odznaczają się zwoje foremne, sploty wężowate i smoki.

W charakterze ogólnym wyrobów, uważanych pod względem sztuki, widzimy zmianę wielką: cecha ornamentacyi, jéj motywa całkiem są różne, linija idealna przedzierzga się w żwierzę fantastyczne, czuć żywą naturę, za wzór do utworów wziętą; na tle jéj wyobraźnia tworzy niebywałe widziadła. Monochromowe proste ornamentacye pierwotne, zmieniają się w polychromy; barwa i rozmaite jéj kombinacye zjawiają się naprzód w paciórkach. W epoce bronzu linija sama, była jedynym żywiołem, jednym materyałem ornamentacyi, tu się z nią łączy i często ją zastępuje barwa; jest to zarazem postęp i upadek. Ozdoby coraz się mnożą, ale wykonanie ich staje się pośpieszniejsze, zaniedbane; fantazyi więcéj, mniéj pracy w jéj exekucyi, mniéj, że tak powiem, artystyczności. Znać mechaniczną robotę, znać zajęcie ludów, które walczą, dokonywając żywota epoki u schyłku, aby się w nowéj odrodzić. Ale wszystko się już

zdobi, wdzięczy, przyodziewa; wszędzie są intencye ornamentacyi, choć nigdzie wykonanie nieodpowiada myśli.

Cecha to wszystkich wieków upadku; i ta trzecia epoka historyi sztuki mogilnéj, nieznanego nam świata, zamykająca cykl pełny, obrót całkowity dziejów sztuki piérwiastkowéj, podlega ogólnemu prawu.

W piérwszym okresie widzimy zaledwie rodzącą się ideję piękna, którą objawia tylko pojęcie linii; w drugim kształci się uczucie piękna, rozwój jego stosunkowy widoczny i wielki; w trzecim przy największéj płodności i rozmaitości utworów, dostrzegamy schyłek i upadek, dający przeczuwać nową erę.

Jakkolwiek epoki te kunsztu piérwotnego mało są nam jeszcze znane, dosyć porównać piękny młot kamienny, starannie wyrobiony celt bronzowy, z pełnemi prostoty ozdobami topor żelazny, lub blaszkę z ostatnich czasów, z niezgrabnie odciśniętym na niéj smokiem — by się przekonać o wybitnym charakterze i cechach każdego okresu. Widzimy w nich cały odrębny i pełny cyklus historyi sztuki, która że się niewyraziła ani posągami, ani płaskorzeźby, ani dziełami większych rozmiarów, niemniéj zapoznaną być niemoże.

Wiemy, jak dziwném wielu wyda się to twierdzenie nasze, obstajemy jednak przy niém, przekonani, że sumienniejsze wejrzenie w pomniki, nie tak je urojoném przedstawi badaczom, jak się na piérwszy rzut oka zdać może. Zabytki wszystkich trzech epok, acz w niewielkiéj doszły nas ilości, porównane jednak z pomnikami współczesnemi innych krajów sąsiednich, rzucają światło dostateczne, do ich rozróżnienia, choć niewystarczające może do rozwiązania całkowicie zagadki. Jako dowody historyczne, zabytki te są także niezmiernéj wagi, wskazując wpływy, jakim ulegała Słowiańszczyzna, i równy stopień cywilizacyi z ludami ją otaczającemi, które podobnemi sprzęty i wyrobami się posługiwały.

Niemożna więc nam mieć za złe, że obszerniéj nad tym przedmiotem jeszcze zastanowić się musimy.

IX. MOGIŁY Z EPOKI ŻELAZA.

Grobowce z epoki ostatniéj i okresu pośredniego, łączącego ją z epoką bronzu, w Słowiańszczyźnie, krajach Polskich i sąsiednich, są rzec można niezliczone i nieskończonéj rozmaitości. Pilniejszém ich badaniem, łatwoby się dały rozklasyfikować, na kilka odcechowanych okresów oddzielnych; ale opisy wykopalisk, któremi się posługujemy, niedosyć są szczegółowe i umiejętne, by się to z ich pomocą dokonać dziś dało.

Potrzebaby, jak Zoryan Chodakowski, odbyć umyślną pieszą pielgrzymkę, od mogiły do mogiły, przedsięwziąć poszukiwania systematyczne, i opierając się na nich, cechy nanowo oznaczyć.

Do najszczególniejszych z téj epoki należą grobowce, w których znajdowano urny obwijane mieczami żelaznemi; mamy ich kilka przykładów.

Grobowiec tego rodzaju, odkryto w XVII w. *w Miedniewicach*. Mogiły były okładane kamieniami, w jednéj z nich znaleziono *żale* i *popielnice*, mieczami żelaznemi obwinięte, ale miecze tę rdza już była pojadła. Szczegółowego opisu wykopaliska tego niemamy.

Podobne groby, odkryto także w czasie robienia drogi z *Kołomyi* do *Kanionek* w Galicyi. W usypie jednym z saméj ziemi narzuconym, natrafiono na urnę glinianą, czarną, mocno wypaloną w któréj popioły w bryłki były pozbijane.

Okrywał ją nagłówek od zbroi, a krótki pałasz obosieczny okręcony był dokoła. (Rysunek urny i miecza znajduje się w „Starożytnościach Galicyjskich“ Żegoty Pauli, XVI, 4.).

O podobnéj, z tejże epoki popielnicy, pisze Duńczewski. Odkryto ją w roli pod wsią *Wola*, blizko *Miedniewic*, o siedem mil od

Warszawy. W r. 1826 odkopano także popielnicę mieczem obwiniętą w *Lesznie*.

Poetyczna to i piękna myśl była, popioły rycerza pokryć zbroją, a mieczem ją opasać; żadenby napis niemówił tyle i tak dobitnie, żaden grobowiec tak wyraziście, nietłómaczyłby czci dla zmarłego wojaka.

W Wielkiéj-Polsce, prowincyi w stare groby najobfitszéj podobno, to jest najludniéj w tych czasach zamieszkanéj, w *Kotowie*, pod Grodziskiem, w otwartém polu niedaleko od wioski, nad stawem, odorywano długo kamienie, i nierychło się domyślono, że liczne pokrywały mogiły.

W miejscu grobowca, którego śladu nad powierzchnią ziemi znać niebyło, a rydlem się go tylko domacywać musiano, zdjąwszy pokład ziemi, na pół stopy całéj gruby, natrafiono na kamienie, równo usłane, zajmujące przestrzeń pięć łokci długą i tyleż prawie szeroką. Odkrywając kamienie wkoło od brzegów, i tak postępując ku środkowi, znajdowano sam grób. Zwykle był on ocembrowany płaskiemi kamieniami drobnemi, na łokieć lub dwa wysoki, pokryty szerokim a płaskim granitowym głazem, na którym spoczywała jeszcze warstwa kamieni, w równi z temi, które dokoła ustawione były.

Po odkryciu wierzchu grobowca i odjęciu ścian bocznych, pozostawała bryła ziemi, ukrywająca w sobie urny, na dnie stojące, na kamiennym pokładzie. Jedna tylko lub dwie największe popielnice, napełnione bywały kośćmi, inne naczynia mniejsze, ofiarne, ziemię w sobie tylko zawierały. Kształt ich był wielce rozmaity objętość niejednostajna, tak, że w kilku odkrytych grobach, dwóch urn nieznaleziono jednakowych.

Stały razem po dwie i po pięć; w jednéj mogile, znaleziono ich razem osiem, z tych jednę tylko większą, resztę małe i drobne, tak, że najmniejsza ledwie cal sześcienny miała rozmiaru. Musiała to być ławnica.

Budowa grobowców, niebyła też jednostajna: jedne niemiały ocembrowania i niebyły płytami pokryte, urny tylko w nich stały, zasypane ziemią, i pokryte kamykiem; inne starannie były ostawione dokoła, ale bez usypu kamieni na wierzchu. Nad powierzchnią ziemi niebyło mogił żadnych, lub je czas może i oranie pola zgładziło. Z kości, których wiele znaleziono twardych i niedogorzałych, wnoszono, że ciała niemusiały być całkowicie palone, a może nawet niewszystkie przechodziły przez ogień.

W dwóch żalach znaleziono szczątki kruszcowe, żelazny gwoździ, kółko żelazne, paciórki szklane lazurowe, na drócie bronzowym, blaszkę bronzową zgiętą w rurkę. Grobowców tych rozkopywano około czterdziestu. Mała w nich ilość żelaza, bronz obok niego, odnieść je każą do piérwszych lat epoki żelaza, a zatém do bardzo odległéj starożytności.

Dla porównania z temi, weźmiemy znowu mogiłę najbliższą epoki Chrześcijańskiéj, rozkopaną pod wsią *Ruszcza-płaszczyzna*, w Sandomierskiém. Usyp to był wielki, piasczysty, który wiatr powoli rozwiewał, po odarciu z darni, wprzód całą mogiłę osłaniającéj. Znaleziono w niéj szkielety całe, niepalone, wielkie, na wznak leżące. Naczyń całych niebyło, ale skorupy potłuczone wielce grubéj roboty garnków i okruchy drobnego żelaztwa od rdzy pojedzonego.

Oprócz tego znalazły się noże, sztychulce, kruczki z kółkami żelazne, blaszki srebrne, kółka cynowe zgięte a niespajane (częste w grobach Inflant).

Ale najbardziéj zajmującém było odkrycie *medaliku bronzowego* z wyciskiem. Medalik ten okrągły (w przecięciu dwa cale mający) z uszkiem nieprzyprawianém, ale wyrobioném z jednéj sztuki, dosyć grubo, miał na sobie wyobrażenie jakiegoś *potworu* (*smoka*), i lekko był wyzłacany.

Smok wystawiony był czworonożnym, nogi trzypalczaste, ogon długi zakręcony, uszy stojące zakończone ostro, pysk także

dziobato zakończony. Lelewel znalazł w nim charakter Skandynawski, lecz piętno to noszą wszystkie pomniki podobne z okresu żelaza, na ogromnéj przestrzeni Północy i Słowiańszczyzny.

Niewątpliwie wpływ Skandynawski jest jego przyczyną. W wyrobach całego okresu tego, smoki, potwory, *smocze ozdoby* fantastyczne, są najpowszechniejsze, stanowią one charakterystyczny motyw, najżywotniéj rozwinięty u Skandynawów, naśladowany i przejęty po-swojemu przez ludy, mające z nimi stosunki.

Determinującym wiek mogiły, był znaleziony w niéj, rozkrojony pieniążek z *krzyżem*, z XI wieku, duków Bawarskich. Okazuje się więc, że tu zwyczaje pogańskie i obrzędy pogrzebowe przetrwały najmniéj do XI wieku.

Zkądinąd jednak, sama bytność krzyża, na wszelkim innym pomniku, oprócz pieniążków, nawet niebyłaby dziwną: na wielu bowiem zabytkach, z epoki pogańskiéj z wieku X i blizko go poprzedzających, w wielu mogiłach bałwochwalczéj Litwy, trafiają się rysunki, odlewy krzyżyków, lub kształty bardzo doń zbliżone.

Starożytnicy nasi (Narbutt) biorą go za jakieś godło czysto pogańskie, chociaż krzyż ten inaczéj i prawdopodobniéj tłómaczyć się daje. Wiara Chrześcijańska, jak tego najlepsze dowody mamy w Litwie, powoli, tajemniczo, wciskała się w początku między ludy Słowiańskie. Niektórzy przyjmując ją, a niepojmując jéj, mięszali obrzędy nowe ze staremi i znaki też wiar obu. Ztąd *krzyże* i znaki Chrześcijańskie, łatwo obok zabytków pogańskich, znajdowane być mogą. Mamy tego przykład w Czechach, w wykopalisku pod Zbecnem, w posągach opisywanych na Rusi, o których niżéj, i w wielu grobach Inflanckich. W dokumencie Pomorskim 1174 roku, jest ciekawe wyrażenie w opisie granic, wzmiankujące że rubież szła: *in quercum cruce signa tam quod signum Slavice: Kneze-graniza dicitur*. Mogły się te znaki gene-

rycznie Kniaziowemi nawet nazywać, bo Kniaziowie piérwsi przyjmowali wiarę Chrześcijańską, i oni też piérwsi tém godłem znaczyli granice swoje.

Do téj epoki żelaza, ale do piérwszego jéj okresu, w Litwie odnieść należy grobowiec jeden, pod *Raginianami* w Upickiém, w którego środku po rozkopaniu, znaleziono szkielet człowieka, a na jego piersiach siedm czy dziewięć czaszek ludzkich, jedna w drugą powkładanych. Na palcu miał *kółko żelazne* (do naciągania łuku), a obok niego leżało żeleźce od włóczni.

Tu także należy mogiła *rozkopana przez Teod. Narbutta* (Hist. Litwy, T. I, 364), w dziedzicznéj jego wiosce w roku 1822, która pokryta była z wierzchu sporym kamieniem pojedyńczym. W głębokości około trzech łokci, znaleziono zbutwiały szkielet leżący nawznak, z rękami zgiętemi tak, że końce ich przypadały przy głowie. W prawéj ręce miał żelazko zakrzywione, jakiém robią łyżki drewniane, w lewéj narzędzie jakieś żelazne z cieńkich sztuk złożone, ale do niepoznania od rdzy zjedzone. W nogach niżéj goleni, stało naczyńko gliniane, płaska miseczka, cali cztery średnicy mająca, pół-trzecia głęboka, cal prawie gruba, z czarnéj palonéj gliny, gładko wewnątrz wyrobiona, i jakby pokostem powleczona. Szczątki kości głowy przejęte były zielonym niedokwasem metalu, od zjedzonych wilgocią ozdób zapewnie bronzowych.

Do trzeciéj epoki policzyć należy na Białéj-Rusi, w *Lepelskiém* i *Borysowskiém*, znajdujące się wielkie kurhany, które tam wedle pana Fran. Wilczyńskiego zowią *Wołotówki*, w nich bowiem obok drobnych bronzów, znajdują się kości końskie, uzdy, wędzidła i inne żelaztwa.

W r. 1853 w maju, młody starożytnik Adam hr. Plater, robił poszukiwania około Wilna (o dwanaście werst), *w Rykanciszkach*, gdzie dwojakie, wielkie i mniejsze znajdują się kurhany. Rozryto kurhan jeden wielki, w którym znalazły się ko-

ści konia, i żelazne wędzidło, co się i w drugim powtórzyło. Zdawało się nawet poszukującym, że kurhany te mogły być sypane dla samych koni, gdyż ludzkich szczątków w nich nie odkryto.

Tu także należą mogiły rozkopywane przez Zoryana Chodakowskiego, około *Nowogrodu-Wielkiego*, rzeki Wołchowa, i jeziora Ladogi, w których wszędzie prawie znajdowało się żelaztwo.

Do tegoż czasu odnosim jeszcze, wielce ciekawy grobowiec stary, acz w nim bronzowy sprzęt przeważał stanowiący jednak przejście od epoki bronzu do okresu żelaza. Mogiła ta w Żwinogrodzkiém, *w Olszanie* (między Romejkówką a Petrykówką), miała obwodu sążni piętnaście, wysokości pięć do sześciu łokci. Postrzeżono najprzód rozkopując ją, kilka kawałków przepalonego drzewa, rozrzuconego bez żadnego porządku, daléj nieobrobiony dziki kamień, wagi 280 funtów, nareszcie pod nim szkielet ludzki; a jeszcze około trzech ćwierci łokcia głębiéj, gliniane naczynie, pełne *popiołu i ziemi*, które dobywając rozbito. W odległości łokcia natrafiono na stojący *hełm* bronzowy, dwa takież bronzowe nagolenniki, drugi szkielet, a przy nim dwa tuziny ostrzów strzał i dwie kruszcowe sztuczki zapewnie od łuku, nareszcie blaszkę z wyciskiem wyobrażającym orła, rozdzierającego rybę i kółko kościane. Po bokach mogiły, wykopano dwa kawałki żelaza z wydrążeniami i ułamek miecza. (Rysunki w *Ukrainie* M. Grabowskiego i *Obozrenii* Fundukleja, T. XV,—Ukr).

Około wsi *Wola-Rostocka* w Kaliskiém, w r. 1829 odkryto mogiłę ułożoną z kamieni, w któréj było trzy urny; z tych jedna blizko garnca obejmująca, z drobném żelaztwem, a dwie mniejsze, z których najszczuplejszéj objętości była całkiem zasklepiona.

We wsi Bałdrzychowie, w powiecie Łęczyckim, wydmuchał

wiatr z piasku smętarzysko starożytne z urnami; z tych jedna była znacznie większa od zwyczajnych, a zawierała popioły przepalone, kości, ostrza dzid i włóczni; nożyce nakształt używanych dziś do strzyżenia owiec, jakie i w Inflanckich znajdowano grobach, wreszcie różne drobne żelaziwo.

Tu jeszcze wspomnieć można Słowiańskie grobowce z urnami, odkopane w Szlązku pod *Sulau*, w mogiłach ostawionych kamieniami. Były one trojakie: z dużemi płytami kamieni na wierzch i po bokach w prostokąt ustawionemi, pod którem stały urny z popiołami i bez popiołów, cieńsze i mniejszéj objętości misy ofiarne; powtóre, mogiły nieregularnego kształtu, podłużne, kamieniami ostawiane, z urną w pośrodku; potrzecie, mogiły bez kamieni. Kości wszystkie nosiły na sobie ślady spalenia, a przy nich znajdowano *kółka miedziane* i szczątki żelazne determinujące epokę.

Wyroby gliniane, o których niżéj powiemy, jak wszystkie prawie Szlązkie, na szczególną zasługiwały uwagę.

Część *mogił Scytyjskich*, rozsianych na północy, w dawnéj Herodotowéj Scytyi, należeć może do piérwszego okresu; ale więcéj daleko podobnych do Scytyjskich i na ich wzór sypanych kurhanów do trzeciego się okresu odnoszą. Usypy te często bardzo wzniosłe, z których jeden zwykle wielki, nad otaczającym go pomniejszym króluje, rozsiane są na bardzo znacznéj przestrzeni kraju, dziś całkiem prawie do państwa Rossyjskiego należącéj, a mianowicie nad rzekami: Dunajem, Dniestrem, Bohem, Dnieprem, Końskiemi-Wodami, Ingułem, Bazałukiem i Donem. Między licznemi grobowiskami temi, szukać potrzeba jeszcze opisanych przez Herodota mogił królów Scytyjskich, położonych w miejscu zwanem *Herros*. Po śmierci króla, pisze Herodot, przygotowywano dlań dół prostokątny wielki; ciało zaś jego, wyjąwszy wnętrzności, balsamowano napełniając wonnościami i ziołami. Następnie za-

szyte zwłoki, obwiozłszy po ziemiach, którym panował, przyjeżdżano z niemi na miejsce zwane Herros. Tu składano je w grobie na łożu, dokoła ustawiając oręż, zasklepiano późniéj komnatę, pokrywano ją dachem, i w niéj grzebano razem z królem zabite sługi, konie zmarłego i złote sprzęty: złoto bowiem szczególnie było od Scytów upodobane i używane, a miedzi i srebra nieznali, (?). Nad grobem usypywano jak najwznioślejszą mogiłę.

Z opisem Herodotowym w części zgadzają się rozkopane mogiły Scytyjskie, ale w wielu z nich znać lub późniejszą epokę, albo inne plemie na wzór Scytów, odprawiające pogrzeby wodzów swoich.

P. A. Tereszczeńko (w Dzienniku ministerstwa oświecenia, 1853, Lipiec, 9), śledził i badał Scytyjskie mogiły, poczynając od Naddnieprowskiego powiatu, rzeczki Samary i ujścia jéj do Dniepru, po stepach Dnieprowych, ku Czarnemu i Azowskiemu morzu; a skutkiem badań jego jest przekonanie, że na Scytyjskich grobach, oprócz opisanych przez Herodota szczególności, stały bałwany pamiątkowe, które późniéj babami nazwano. Zwykle, jakeśmy już wzmiankowali, groby te odznaczają się wysoko nasypaną mogiłą, otoczoną mniejszemi dokoła, wewnątrz zaś zawierają izby sklepione płytami kamiennemi, korytarze i komory. Sprzęt w nich znajduje się kruszcowy, w wyrobie jego widne ślady wpływu osad Greckich i sztuki Helleńskiéj; ciała leżą niepalone, przy nich kości zwierząt, strzały, blaszki, uzdy, konie, i t. p. Oto jest opis rozkopania jednéj podobnéj mogiły w stepie, między Czarnym-lasem a twierdzą ś. Elżbiety. Przedsięwziął odkrycie jéj generał major Mielgunów naczelnik Nowo-Serbii, we wrześniu 1763 roku; zabytki znalezione odesłano Akademii nauk stołecznéj.

Mogiła tą leżała pomiędzy rzekami wielkim i małym Ingułem, w uroczysku zwanem *Kuczerowe-bujeraki*. Najprzód od-

rzucono ziemię czarną, na dwie stopy kurhan pokrywającą, i odkryto kamienny grubéj roboty posąg z piaskowca w rodzaju zwanych babami. Kopiąc daléj na stóp sześć z górą, natrafiono w stronie od zachodu rodzaj izbicy obłożonéj płytami kamiennemi, a w niéj same sprzęty, ale ani szkieletu, ani żadnych jego śladów nieznaleziono, choć prawie do poziomu mogiłę rozryto. Na samém dnie było zgliszcze stosu, przepalone kości, węgle i żużle stopionych rzeczy kruszcowych. Znalezione przedmioty, były następujące:

1. *Łańcuch złoty*, trzyrzędowy, noszony snadź na szyi, *z kółek* sztucznie spajanych spleciony. Rzędy pomiędzy sobą łączyły spinki, dające się wyginać na wszystkie strony. Ważył 56½ zołotników.

2. Dwa złote grube *kółka* (bransolety).

3. Siedmnaście blaszek bronzowych z wyciskami ptaków drapieżnych, bez nóg. Blaszki te wewnątrz miały po cztery uszka; sądzono, że służyły za ozdobę rzędu konia.

4. Dwa srebrne sprzęty w sposobie lichtarzy, na płaskich nóżkach; u góry przy otworze miały koronę pozłacaną, pod nią złocone kółko. Ważyły funtów dwa, 41 zołotników.

5. Pięć ułamków lichtarzy, ważących 58 zołotników.

6. Skówka od noża wojennego, podobna do Perskich robót w tym rodzaju, ociągnięta złotą blaszką, z wybijaniem.

7. Pochwy od noża, pokryte złotą wybijaną blaszką, z wyobrażeniem jakichś istot mitologicznych, podobnych do Centaurów. Postacie te, z ludzkiemi i oślemi głowami, nogi miały opatrzone w kopyta, ogony różnych zwierząt, każdy u boku miał rybę. Na kraju pochwy, dwa siedzące przeciwko siebie niedźwiedzie.

8. Podwójna, dość gruba blacha złota, na któréj były ślady przebicia gwoździami; z obu jéj stron wyobrażony był leżący jeleń, robotą wybijaną. Ważyła 14½ zołotn. gran 9.

9. Złota blacha, jak się zdawało, od pochew. Na niéj centaury, i dwóch ludzi skrzydlatych cóś nakształt kadzielnicy trzymających. Przed każdym z nich drzewo, między drzewami lichtarz siedmioramienny; z tyłu za każdym po jednéj róży. Waga $7^3/_4$ zołotników.

10. Trzy złamane blachy złote, na nich wyciśnięte: Centaur, dwa żurawie, i małpa. Waga $3^1/_4$ zołotnika.

11. Czterdzieści ostrzów strzał bronzowych.

12. Bruchtu różnego drobnego, wagi $11^1/_4$ zołotników.

13. Ułamki srebrne, wagi $12^1/_2$ zołotników.

14. Dwadzieścia gwoździ żelaznych z główkami pociąganemi srebrem, i trzy same główki.

15. Dwa sprzęty bronzowe, miejscami złocone, drobne.

16. Szczątki żelaztwa, i kółko żelazne do zawieszania.

W innych tejże epoki grobowcach Scytyjskich, obudowanych drzewem, i do bliższych nas czasów należących, wspomina p. Tereszczeńko, znalezione kości niepalone, proste garnki gliniane, uzdeczki, kółka złote, i rodzaj ozdób noszonych na piersi, które chociaż uznaje za Scytyjskie, mybyśmy je do późniejszéj odnieśli epoki. (Dziennik minis. ośw. 1853, Lipiec, 26 — 27).

Zdaje mi się, że do epoki *żelaza* odnieść należy zabytki niektóre Scytyjskie z Syberyi, przez Frołowa do Ermitażu przywiezione, oprócz właściwie żelaznych, srebrne i rogowe. Ze srebra znajdują się tu kółka, sprzążki, iglice, blaszki cieńkie od pochew miecza, pierścienie, niekiedy kamieniami nasadzane. Trafiają się tu i figurki drewniane, pokryte srebrnemi listkami. Tu należą też rzeźby na rogu, kółka z głowami żwierząt, i t. p. Żelazne mamy rękojeści miecza, strzemiona, gwoździe, reszty zbroi i nożów bojowych (185).

wadzają cemi budowlami fermy, które całą drogę zagrodziły. Sam wiedział o tém dobrze, ale Andi niesłyszał nawet o téj drodze, i dla tego jechał z tyłu szemrząc i narzekając na drogę, dowodząc, że jego Dżerry nogi sobie pokaleczyć może.

— Znam ja was ptaszki! wasze wybiegi na nic się niezdadzą, i dla tego radziłbym milczeć.

— Jak się wam podoba, mister!— odpowiedział Sam, znacząco mrugając na Andi, który o mało co na głos się nieroześmiał.

Sam był w doskonałym humorze: to się przechwalał swym wzrokiem, to mu się zdawało że na dalekim wierzchołku wzgórza spostrzegł postać kobiecą, to zwracając się do Andi, robił uwagę, że Eliza mogła się schować w gęstwinie.

Wnioski te robił zwykle w miejscach najbardziéj nierównych i niegładkich: w ten sposób trzymał w ciągłém natężeniu uwagę mistra Helli.

Po godzinie jazdy, nasza kompanija dojechała do niewielkiéj polany, na któréj się wznosiły budowle fermy, pustéj w obecnéj chwili, bo wszystko co żyło pracowało w polu.

Jechać daléj było niepodobna.

— A co mister? czy nie na mojéj stronie prawda?— powiedział Sam tonem obrażonéj niewinności.—Pan tu przyjezdny i chce lepiéj znać drogi od nas; wszak my tu się rodzili i tu wyrośli.

— Łotry! — krzyknął Helli, — to wasza sprawka.

— Przecięż ja panu mówiłem, a pan niechciałeś wierzyć; przecięż ja mówiłem, że droga zagrodzona i że niepodobna będzie przejechać. Ot i Andi słyszał.

Sem mówił prawdę — trudno mu było zaprzeczać. Nieszczęśliwy handlarz pomimo całéj wściekłości, musiał ją ukryć w sobie, i zawróciwszy konia powracać do gościńca, straciwszy napróżno tyle drogiego dlań czasu.

Eliza już miała czas położyć spać swego małego Harry, gdy trzéj jéj prześladowcy podjeżdżali do wioski. Sam jechał przodem, jego bystre oko dojrzało Elizę stojącą przy oknie i patrzącą zupełnie w inną stronę, Helli i Andi trochę się przyzostali. W tak krytycznéj chwili, Sam zrzucił z siebie kapelusz, i udając że wiatr mu go zerwał, krzyknął przeraźliwie, i zmusił tém Elizę usunąć się od okna.

Cała kompanija przejechała pod oknem i zatrzymała się u drzwi tawerny. Eliza widziała Helli. Wiszące nad głową niebezpieczeństwo nowe wlało siły w złamaną zmęczeniem kobietę, pochwyciła dziecię, i przez bokowe drzwiczki wychodzące z jéj pokoiku na rzekę, jednym susem zbiegła ze schodów i u-

ciekając jak łania przed pogonią, w jednéj chwili skryła się u urwistym brzegiem Ohijo. Helli spostrzegł uciekającą, zeskoczył z konia, zawołał na towarzyszy i popędził w ślad za nią. Strach dodał jéj skrzydeł, goniący tuż byli za nią, zatrzymała się przez chwilę nad samym brzegiem, a później jakby ożywiona Bożém natchnieniem z przerażającym krzykiem skoczyła z brzegu na krę. Wyniosłość brzegu czyniła taki skok nieprawdopodobnym, tylko szalony lub człowiek w rozpaczy mógł się na to odważyć.... Helli, Sam i Andi patrzący na to, mimowoli zakrzyknęli z przestrachu, wznosząc ręce ku niebu.

Kra zachwiała się i pękła przywalona ciężarem; lecz Eliza niezatrzymała się na niéj ani chwili: z rozpaczliwym krzykiem przeskakiwała z jednéj bryły lodu na drugą — niebezpieczeństwo samo jéj sił dodawało. Okropnym był widok téj nieszczęśliwéj kobiety idącéj w zapasy z rozhukaną naturą: obówie się jéj zdarło, każdy krok naprzód krwią swą naznaczała, a jednak siły jéj nieopuszczały, instynkt niedoli, kierował jéj stopą,— ślizgając się, padając i znowu powstając, migotała jak widmo zgryzoty sumienia przed oczami swych prześladowców.

Gdy już się zbliżała do brzegu, jak przez mgłę postrzegła dobroczynną rękę, co jéj podała pomoc — już stanęła na brzegu, ale bezsilna, złamana.

— Odważna z ciebie dziewczyna, niéma co powiedzieć!— odezwał się nieznajomy. Eliza poznała po głosie znajomego sobie dzierżawcę fermy, który kiedyś niedaleko mieszkał od domu jéj panów.

— O mister Sajmz! ratujże mię pan, przez litość ukryj mnie! — błagała Eliza.

— Cóż to się stało, dla Boga?—zapytał mister Sajmz;—wszakże jak mi się zdaje, ty byłaś u państwa Szelby.

— Moje dziecię... jedyne dziecię.... on przedał! tam na brzegu jego właściciel!... ratuj mię pan!... powiedziała biedna przerywanym głosem wskazując z przerażeniem na brzeg przeciwny.— O mister Sajmz! pan pewno masz syna?

— Mam, mam! — odpowiedział Sajmz pomagając jéj drapać się po urwistym brzegu na górę. — No, niéma co, odważna z ciebie dziewczyna! Ja lubię takich ludzi... Dziarska dziewczyna!

Gdy się wdrapali na górę, on się zatrzymał.

— Serdeczniebym pragnął ci pomódz, ale niemiałbym gdzie cię ukryć, i mogę tylko radą ci służyć. Ruszaj *tam*!— mówiąc to wskazał duży biały dom stojący przy głównéj ulicy wioski, trochę opodal od innych zabudowań. — Ruszaj tam, znajdziesz dobrych ludzi, co zawsze gotowi pomódz bliźniemu.

— Niech wam Bóg to nagrodzi! — z uczuciem powiedziała Eliza.

— Niéma za co! — odpowiedział Sajmz.

— Spodziewam się, pan nikomu niepowiesz.

— A do licha! za kogoż to mnie masz? Cóż to? ja szpieg jaki? Tyś dzielna z sercem kobieta, tyś zdobyła sobie prawo do wolności, i Bóg pozwoli ci ją znaleźć.

Eliza przycisnęła dziecię do piersi i poszła daléj prędkim pewnym krokiem. Mister Sajmz nieruszając się z miejsca, patrzał w ślad za nią.

— Szelby może mi zarzucić, że tak dobrzy sąsiedzi niepostępują.... Ale jakże tu inaczéj dać radę? Toćże i Szelby, gdyby spotkał moję kobietę w takich okolicznościach, nieinaczejby sobie postąpił.... Niemogę przecięż patrzeć z zimną krwią na polowanie ze psami na ludzi... a oprócz tego, cóż ja mam za obowiązek łapać cudzych niewolników?

Helli skonfudowany przypatrywał się całéj téj scenie, aż póki Eliza nieskryła się za wzgórkiem; wtedy tylko się odwrócił i spójrzał badawczo na Sama i Andi.

— Ot sztuka! — powiedział Sam.

— Chyba djabła miała w sobie ta dziewka! — powiedział Helli; — skakała po krach jak kot dziki.

— Cóż poradzisz? — powiedział Sam, drapiąc się w głowę, — ktożby ją tam mógł gonić po takiéj drodze? Dziękuję za łaskę, ja się nieurodziłem do takich sztuk! — mówiąc to Sam zaśmiał się gburowato.

— Ty się śmiejesz? — zamruczał handlarz, groźnie patrząc mu w oczy.

— Ach, dla Boga miłościwego! niemogłem wytrzymać, — dodał Sam, puszczając wodze swemu zadowoleniu, które przez tak długi czas musiał ukrywać w sobie. — Jakże tu nieśmiać się? Ona sobie skacze i skacze, a lód tak i pęka pod nogami.... Krak, krak... o jak Boga kocham! toż sadziła dziarsko!

Sam i Andi śmieli się do tego stopnia, aż się im łzy potoczyły po ich czarnych błyszczących policzkach.

— Poczekajcie, zaraz wy mi inaczéj zaśpiewacie! — zawołał Helli, zamierzając się batogiem; lecz Murzyni się uchylili, cios niedosiągł zamierzonego celu, i pierwiéj niż Helli goniąc za nimi wdrapał się na górę, już oni siedzieli na koniach.

— Dobréj nocy, mister! — powiedział Sam z wielką powagą. — Nasza pani pewno niespokojna o Dżerry. Wszak my już panu niepotrzebni wcale. A pani pewno niepragnie tego, żeby jéj

konie nocowały na lodzie.... Dobréj nocy, mister! — i szturchnąwszy Andi kułakiem, puścił konia cwałem. — I długo jeszcze można było słyszeć wesoły śmiech oddalających się Murzynów.

ROZDZIAŁ VIII.

Polowanie na ludzi.

Już zmierzchało, gdy Eliza rozpaczą wiedziona, cudownym sposobem przeprawiała się przez Ohijo. Mgły wieczorne, wznosząc się ponad rzekę, zakrywały ją w miarę tego jak się oddalała od brzegu. Bystry prąd i nagromadzone massy lodu stawiły nieprzebytą zaporę między nią i jéj prześladowcą.

Helli, rozgniewany niepomyślnym skutkiem swoich poszukiwań, powoli wracał do tawerny, by się tam namyśleć, co ma daléj przedsięwziąć? Gospodyni drzwi mu otworzyła i wprowadziła do niewielkiego pokoju zasłanego dość brudnym dywanem; pośrodku pokoju stał stół pokryty ceratą, dokoła stołu krzesła z wysokiemi poręczami, a nad kominem kilka figurek gipsowych pomalowanych jaskrawo; przy ścianie stała twarda ławka, na któréj zasiadł Helli, by tam rozmyślać o zmiennych losu kolejach i niestałości ludzkiego szczęścia.

— I po co mi się pędzać za tą małpą? — mówił do siebie, — czyż to warto zachodu? — I chcąc sobie ulżyć, wyrzucił z piersi zażalonéj kilka przekleństw, na siebie i ludzi. Bez zaprzeczenia uwagi mistra Helli, przeplatane djabłami i przekleństwami, niebyły bez zasady; wolimy jednak o nich zamilczeć przez wzgląd na szacunek jaki mamy dla naszych czytelników.

Głos silny a nieprzyjemny zbudził go z chwilowego zamyślenia. — Mówiący zlaził z konia u drzwi tawerny. — Helli podbiegł do okna.

— Daję mą głowę, że jeszcze się wszystko naprawi! Musi tu być jakaś sprawa napięta — wszakże to Tom Loker!

Helli z pośpiechem wybiegł z pokoju.

Koło bufetu stał mężczyzna sążnisty, z silnie rozwiniętemi barkami; miał na sobie kaftan ze skóry bawołu, sierścią nazewnątrz, co mu dodawało jeszcze więcéj żwierzęcego wyrazu, czemu wcale niezaprzeczała jego fizyonomija. Rysy twarzy i kształt głowy zdradzały okrucieństwo i wyuzdanie. Wyobraź sobie, czytelniku, głowę buldoga na ludzkim tułowiu, przyodziéj to wszystko najdziwaczniéj, a będziesz miał pojęcie o wrażeniu jakie musiała ta figura robić na obecnych. Obok był nieodstępny jego

towarzysz, stanowiący żyjący kontrast co do figury i budowy ciała. Była to mała, sucha kreatura, z czarnemi biegającemi oczami, z rysami twarzy ostremi i ruchawemi, z nosem ostrym ciekawie naprzód wyciągniętym.

Wszystkie jego ruchy i wyraz twarzy zdradzały spryt, przebiegłość i oględność.

Olbrzym pochwycił za ogromną szklanicę pełną wódki, i odrazu ją wychylił. Malutki człowieczek podjął się na palcach, oglądał się na butelki, jakby chciał zwietrzyć co się w nich zawiera, a późniéj drżącym piszczącym głosem poprosił *o mint-julep* (napój z mięty, cytryny, wódki i wody z lodem). Skoro mu podano, obejrzał szklankę z zadowoleniem człowieka, przekonanego, że się niepomylił w wyborze, i zaczął popijać małemi haustami.

— Jakie losy cię sprowadzają w te strony? jak się masz, Loker?— powiedział Helli wyciągając rękę.

— Tfu, do djabła! — grzecznie zawołał Loker — jakie licho ciebie tu przyniosło, Helli?

Mały człowieczek, który się nazywał Marks, przestał pić i podjąwszy głowę ciekawie się przypatrywał nowo przybyłemu, zupełnie z takim wyrazem na twarzy, z jakim się kot przypatruje poruszającemu się listkowi, za którym się kryje żyjąca istotka, mogąca być jego ofiarą.

— To szczęście, żem ciebie spotkał, Tom. Wpadłem w matnię musisz mię ratować.

— Oho! — mruknął olbrzym.— Teraz łatwo się domyśleć, dla czego cię tak ucieszyło nasze spotkanie. No i cóż tam się stało?

— Jesteś tu z przyjacielem? — zapytał Helli, patrząc z niedowierzaniem na Marksa, może kolega?

— Tak — Marks, człowiek, z którym miałem współkę w Naczez, wiesz?

— Bardzo mi przyjemnie poznać, — powiedział Marks wyciągając długą, kościstą rękę, bardzo podobną do wroniéj nogi. — Mister Helli, jeżeli się niemylę.

— Tak jest do usług, — odpowiedział Helli.— Ponieważ szczęśliwy traf nas tu sprowadził, prosiłbym o chwilę cierpliwości: mamy do pomówienia o jednym dość ważnym interesie.... Héj, ty stary!—zawołał zwracając się do człowieka stojącego za bufetem— dać tu wrzątku, cukru, cygar i podostatkiem tego co to wiesz.

Podano świece, ogień buchnął na kominie, a trzéj wspólnicy zasiedli koło stołu, nad wazą ponczu.

Helli zaczął rozrzewniające opowiadanie o swoich niepomyślnościach. Loker zacisnął usta i słuchał go w ponurém milcze-

niu. Marks pracujący nad przyrządzeniem pończu wedle swego gustu, od czasu do czasu przerywał swe zajęcie. Poglądał na Helli i kiwał twierdząco głową. Widocznie najbardziéj go zajmowało zakończenie téj historyi, ruszał ramionami, potrząsał głową a na wązkich ustach przebiegł uśmiéch wewnętrznego zadowolenia.

— No, niéma co mówić! — zauważał; -- che, che, che! dobrze się udało panu!

— Z tą dziatwą zawsze więcéj kłopotu jak korzyści, — smutnie zawyrokował Helli.

— A co wam się zdaje? żeby to znaleźć takie samice, coby niedbały o swe potomstwo,— powiedział Marks, — to byłby nieporównany nowy wynalazek!—i Marks poparł swój żart cichym śmiechem.

— Zapewnie, — zauważał Helli — ale mnie to do głowy nieprzychodziło. Ta dziatwa tylko kłopotu matkom nabawia; ale cóż poradzisz? zamiast pragnąć pozbyć się niepotrzebnego ciężaru, gdzież tam! im niespokojniejsze i wątlejsze dziecię, tém się więcéj do niego przywiązują.

— Mister Helli,— powiedział Marks, — podsuń mi wrzątek. Słusznie pan mówisz; ja też podzielam pańskie zdanie,i my wszyscy jesteśmy za tém.... Ale pocóż daleko szukać? Kiedym się jeszcze trudnił handlem, zdarzyło mi się kupić dziewkę; ładna była dziewka, zdrowa, silna, a i rozumna także. Miała dziecię, ale to takie wątłe, chore, krzyż miało nadwerężony, czy cóś tam innego — kto go tam wie. Cóż mi była z niego za korzyść? Przedałem go naprędce jednemu przemysłowcowi, który go kupił na ryzyko, a nuż się uda wyhodować. Trzeba było widzieć, co się działo z dziewką! Doprawdy można było pomyśleć, że dziecię było dla niéj drogie właśnie dla tego, że kalekie i niedołężne i że ją ciągle dręczyło. I płakała i narzekała, jakby wszystko traciła na świecie....To śmiéch doprawdy, jak człowiek rozważy, co to za pocieszne stworzenia te kobiety!

—Tak samo prawie było i ze mną,—powiedział Helli.— W przeszłym roku zdarzyło mi się kupić przy ujściu rzeki Czerwonéj, kobietę z dzieckiem. Chłopak był ładny, oczęta miał zda się także piękne; ale cóż? jak się późniéj pokazało, mały był ślepy. Trzeba było korzystać z czasu: przehandlowałem malca na beczkę wiśni.... Ale cóż? kiedym go chciał wziąć od matki, zaczęła się rzucać jak tygrysica raniona. Działo się to w chwili odpłynięcia; trzodce mojéj jeszcze niewłożyłem bransoletek: moja warjatka skoczyła jak kot na pak bawełny, wyrwała nóż u majtka, nikt nie śmiał się zbliżyć, a ona z dzieckiem buch do wody, i jak kamień poszła na dno.

— Tfu! do djabła! — odezwał się Tom Loker, słuchający tych opowiadań z widocznem niezadowoleniem. — Jesteście szlafmyce! U mnie to babstwo niepuszcza się na podobne sztuki, ręczę wam.

— Doprawdy? jakże sobie radzisz? — prędko powiedział Marks.

— Jak radzę? A oto tak: — Skoro kupię kobietę z dzieckiem, które mi sprzedać wypada, wprost podchodzę do niéj, pokazuję jéj kułak i powiadam: „Patrzaj, czy widzisz co to jest? Jak się odezwiesz, zetrę cię na tabakę! nieważ mi się pisnąć, słyszysz? Ten dzieciak do mnie należy, ty do niego nic mieć niemożesz, przy piérwszéj okoliczności ja go sprzedam — a tobie nieradzę bardzo się po nim wykrzywiać, bo pożałujesz, żeś się na świat rodziła.“ I to ich przekonywa, widzą że ja żartów nielubię, i żeby się która odezwała! milczą jak ryby — a niechno jeszcze zacznie chlipać, to.... I mister Loker uderzył kułakiem o stół z zapałem, który dobitnie zakończył myśl jego.

— To się właśnie może nazwać przekonywającą wymową!— powiedział Marks, szturchając zlekka Helli, i śmiejąc się ukradkiem.

Dziwny z ciebie człowiek Tom! chi, chi chi! Ty od razu potrafisz przekonać te baranie głowy. Ja sądzę że między wami nigdy niéma nieporozumień. Tom, jeżeli niejesteś djabłem, to już przynajmniéj musisz być sobowtórem tego jegomości.

Mister Loker wysłuchał ten komplement z właściwą skromnością, i był o tyle przyjemnym, o ile to się zgadzać mogło, jak powiadał Dżon Benijan z jego „*psią naturą*“.

Helli posilony gruntownie, poczuł w sobie budzącą się moralność i filantropiję, co się zwykle zdarzało po dobrym obiedzie temu człowiekowi, z tak poważnym i głębokim poglądem na ludzką naturę.

— No bratuniu, — powiedział, — przesadzasz trochę. Ja ci zawsze to mówiłem: pamiętasz, Tom, jakeśmy o tém rozprawiali w Naczez? ja ci zawsze dowodziłem, że trzeba z nimi jakoś obchodzić się łagodniéj, że z takiém postępowaniem wyjdziemy lepiéj na tym świecie, a i na tamtym lżéj nam bodaj będzie, a przecięż i o tém warto pomyśleć, kto wie może i umrzeć przyjdzie?

— Znajoma piosnka!— odpowiedział Tom,—ale zmiłuj się nickaż mi słuchać takich głupstw, gotowem z rozczulenia zachorować.

Mówiąc to Tom wychylił do dna szklankę wódki.

— A ja ci zawsze powtórzę,— dowodził Helli, rozwałając się

na krześle i towarzysząc swéj mowie znaczącemi gestami, — że piérwszą u mnie zasadą jest zarobić jak można najwięcéj pieniędzy na moich handlowych obrótach; — ależ pieniądze niewszystko na świecie stanowią, mamy przecięż duszę: ja się niewstydzę do tego się przyznać, trzeba i o niéj pomyśleć choć trochę. Ja jestem człowiek religijny — i tak, proszę wierzyć, niech się mi tylko uda ukończyć interesa, na seryo zajmę się swojém zbawieniem. A zresztą, powiedz mi, Tom, po co robić więcéj złego niż tego potrzeba? To zła rachuba.

— Myśleć o duszy! — powtórzył Tom tonem pogardliwym — dajże mi szkło takie, przez które mógłbym twoję duszę zobaczyć. Wiesz co, daj lepiéj zbawieniu za wygranę. Gdyby cię djabeł przesiał przez gęste sito — toć bodaj niby nieznalazł.

— A ty zaraz do połajanek, Tom! — powiedział Helli; — dla czegoż niechcesz się sumiennie zastanowić nad tém, com ci powiedział, dla twego własnego dobra.

— Ruszaj do djabła ze swoją duszą! ja obejdę się bez niéj,— zawołał Tom gniewnie. — Mów co ci się podoba, ale uwolnij mnie od kazań: twoja wymowa o mdłości mnie przyprawić może. Najprzód pozwól się zapytać: czém ty lepszy jesteś odemnie? Uczucia masz tyle co ja. Ale ty cały w psich sztukach: chciałoby ci się i z djabłem żyć w zgodzie i jeszcze po śmierci wyratować swą duszę. Ja cię znam na wylot! Cała twoja religija, to szachrajstwo. Całe życie pożyczałeś u djabła, a jak przyjdzie czas rozpłaty, chciałbyś umknąć. Wiesz co? to podle!

— Chwilkę panowie! wszak nie o to nam chodzi, — powiedział Marks. — Na każdą rzecz można się z dwóch stron zapatrywać; o tém przecię każdy wie dobrze. Mister Helli, bardzo zacny człowiek, i ma swoje przekonania i zasady w tym względzie. Ty, Tomie, idź swoją drogą, — ale po co się kłócić? do czego to prowadzi? Wróćmy do rzeczy. A zatém, mister Helli, pan potrzebujesz naszéj pomocy do odszukania téj dziewki?

— A mnie co do niéj! to własność Szelby; mnie chodzi o jéj syna, którego kupiłem niewiedzieć na co — postąpiłem jak głupiec!

— Boś ty był i będziesz głupcem, — przerwał z gniewem Tom.

— Przestań, Loker, — powiedział Marks oblizując się.— Czyż niewidzisz, że mister Helli porucza nam piękny interes. Nielękaj się o to, już ja nabyłem trochę wprawy w podobnych obrótach.

— A więc, mister Helli, jak wygląda ta dziewczyna?

— Biała, piękna i dobrze wychowana. Ja dawałem za nię

ośmset dukatów, a żebym dał i tysiąc, tobym jeszcze dobrze wyszedł na téj kupli.

— Biała, piękna i dobrze wychowana! — powiedział Marks, i cała jego fizjonomija ożywiła się na tę wiadomość. — A co Loker? początek świetny. My załatwim ten interes na swoje konto. Złapiemy dziewkę: chłopca, jak słuszna, oddamy mistrowi Helli, a dziewczynę zawieziemy do Nowego Orleanu i tam sprzedamy. Co? może zły projekt?

Tom, który przez cały czas rozmowy słuchał z otwartą gębą, raptem zacisnął zęby, jak pies co kość uchwycił.

— Zważcie tylko, że na każdym punkcie wybrzeża,—ciągnął daléj Marks — mamy sędziów pokoju, właśnie takich, jakich nam potrzeba; oni nam pomogą do załatwienia téj sprawy. Tom bierze na się kwestyę siły, a ja zjawię się do sądu dla przysięgi, że się rzecz tak działa a nieinaczéj, zjawię się wystrojony, w lakierowanych bótach, aż miło będzie spójrzeć. Zobaczycie, — mówił Marks puszczając cugle miłości własnéj — jak to ja umiem zaimponować! Dziś nazywam się mister Tik z Nowego Orleanu; jutro się zjawiam jako plantator z nad rzeki Perłowéj, na któréj u mnie pracuje siedmset Murzynów, a późniéj uchodzę za krewniaka Henryka Kleem. Każdy z nas ma wyłączną jaką zdolność. Tom naprzykład doskonale się umie pobić, ale wyłgać się niepotrafi, już to nie w jego naturze. Boże miłościwy, chciałbym spotkać drugiego, coby tak jak ja umiał, zręcznie opowiedzieć pod przysięgą, właśnie to co potrzeba do interesu, coby, z taką pobożnie ułożoną fizyonomiją, plótł niestworzone historye i nigdy się niezaciął, i niesplątał w świadectwach. Chodźcie o zakład, że oszukam najzręczniejszych sędziów i potrafię się wywinąć z najbardziéj zaplątanéj sprawy. Czasami aż wstyd mieć do czynienia z takimi prostakami! toć to się marnuje tylko talent naprózno, gdy człowiek niema gdzie zastosować swoich świetnych pomysłów.

Tom Loker, którego czytelnicy poznali, jako człowieka myślącego powoli i pracowicie i niełatwo dającego się przekonać,— niespodziewanie przerwał wymowę Marksa, i uderzając, swą potężną pięścią po stole, zawołał:

— Idzie!

— Pan Bóg z tobą, Tom! po cóż tłuc szklanki? — zawołał Marks,— zachowaj swoje pięście na późniéj, to się zdać może.

— Chwilkę panowie przerwał Helli, — a ja czy będę miał udział w zysku?

— Czy ci tego mało, że ci złapiemy chłopca? — huknął Loker; — czegoż ci więcéj?

— Ot tobie masz!— zawołał Helli, — ja wam stręczę interes to czegoś warte, musicie mi dać dziesięć procentów od czystego zysku.

— Czy tak? — zaryczał Loker, osypując Hellego gradem przekleństw i uderzając znowu pięścią po stole. — Cóż to ja ciebie nieznam, Den Helli? Chcesz mnie wyprowadzić w pole? Albo może ci się zdaje, że ja i Marks weźmiemy furę na barki, byle tylko się przypodobać waszmości? Żart na stronę: my bierzemy dziewkę, a tobie oddajemy chłopca; a jak będziesz indyczyć się, to ci i chłopca zabierzemy, ktoż nam zabroni? pokazałeś nam zwierzynę, polujmy — kto podstrzeli zwierza ten go weźmię. A jeżeli tobie albo Szelby przyjdzie ochota nas wytropić, to starajcie się dopytać gdzie zimowały w przeszłym roku kuropatwy.

— No mniejsza z tém, zgoda — odpowiedział Helli, widząc że sprawa niepomyślny dlań brała obrót. — Odszukajcie tylko chłopca i dziewkę — to już wasza rzecz! Przecież my nie pierwszy raz mamy z sobą interes. Tom! ja zawsze wierzyłem ci na słowo.

— Prawda,— odpowiedział Tom,— bo też ja nieznam waszych wykrętów, w rachunkach nieokpiłbym nawet djabła; przecięż tak Den Helli? gdy co obiecuję, to umiem dotrzymać słowa.... No i cóż Den Helli?

— Tak, tak, — powiedział Helli — skoro mi oddasz za tydzień chłopca, niebędę miał do ciebie żadnéj pretensyi.

— Ale ja będę miał,— przerwał Tom. — Już ja zapłaciłem ci nieraz za naukę podczas naszéj wspólki w Naczez. Musisz mi odliczyć, tu na tym stole pięćdziesiąt dollarów, albo niezobaczysz chłopca, jak swoich uszu. Znam cię, jakiś ty ptaszek!

— Bóg z tobą! co ci jest! Ja wam stręczę interes, na którym możecie zarobić około tysiąca dollarów; a ty jeszcze chcesz mnie obdzierać. Nie Tom, tego już nadto!— powiedział Helli.

— Cóż to ci się zdaje, że my niemamy na cały miesiąc zajęcia? Przypuśćmy, że my wszystko rzucamy, i zaczynamy pędzać się za twoim chłopcem; a jak my dziewki niezłapiemy, to przecięż niedasz nam ani grosza? Wszak niedasz? No daléj, ulżyj kiesce: połsetki dollarów na stół, a bierzemy się do roboty. Uda się nam, to ci je wrócimy; nieuda się, to przynajmniéj będzie opłacona fatyga. Przecięż tak, Marks?

— Rozumie się, że tak, — powiedział Marks tonem pojednawczym, przecięż to tylko dla pewności, che, che, che! My się znamy na prawie. Tom ci dostarczy chłopca gdzie powiesz; wszak prawda, Tom?

— Kiedy go złapię, to zawiozę do Cyncynatu, i zostawię niedaleko portu u Greni Belczer'a — powiedział Loker.

Marks wyjął z kieszeni zatłuszczoną xiążeczkę i przysunąwszy się do światła czytał mrucząc pod nosem: „Berns, hrabstwo Szelby, parobek Dżim, trzysta dollarów, żywego albo umarłego; Edwars, Dik i Lusi mąż i żona, pięćset dollarów; dziewka Polly i dwoje dzieci, tyleż za nią lub za jéj głowę.“ Umyślnie przeglądam nasze interesa, chcąc się przekonać, czy możemy ten komis wziąć na siebie... Loker! — powiedział po chwili milczenia, — trzeba będzie poruczyć te interesa Adamsowi i Szyryngierowi, póki jeszcze ślady gorące... oni oddawna już u mnie zanotowani.

— Czy niezadrogo będzie kosztować, dorzucił Tom.

— Ja ich uchodzę... Oni jeszcze młodzi, niepowinni przeto żądać wielkich zysków,—powiedział Marks,i znowu zajął się przeglądaniem xiążeczki.— Z trzema pierwszymi sprawa krótka: albo trzeba będzie ich podstrzelić, albo wyznać pod przysięgą, że się to stało — rozumie się za taką usługę, niemogą przecię wiele wymagać. Z innymi później damy rady; można jeszcze poczekać.— Mówiąc to złożył rejestr.— Teraz przejdźmy do sprawy obecnéj. Mister Helli, pan dobrze widziałeś jak wychodziła na brzeg?

— Jak ciebie teraz widzę.

— I człowieka, co jéj pomagał?

— I człowieka widziałem.

— Może ją gdzie schowali. Ale gdzie? to najważniejsza!.. Co ty na to powiesz, Tom?

— Dziś w nocy musimy się przeprawić za rzekę, — powiedział Tom.

— Ale zkąd dostać łodzi?—zawołał Marks.—Kra idzie straszna, Tom... niebezpiecznie.

— Cóż to ma do tego? dziś musimy być za rzeką, odpowiedział Loker stanowczo.

— Ach mój mocny Boże!— zapiszczał Marks, podchodząc do okna, — choć oko wykol.

— Stchórzyłeś, Marks! no ale mniejsza z tém! czy chcesz czy niechcesz, musisz jechać — jak tu przesiedzim dzień lub dwa, to czego dobrego, przejdzie jeszcze zaliniję, pierwiéj niż ci się uda....

— O ja się wcale nielękam! — przerwał Marks, tylko....

— Tylko co? — zapytał Tom.

— Tylko, że niéma łodzi, jak się tu przeprawić?

— Gospodyni mi mówiła, że dziś wieczorem jakiś kupiec przejeżdża: rad czy nierad, będzie musiał nas zabrać.

— Czy dobre macie psy? — zapytał Helli.

— Na całym świecie lepszych nieznajdziesz, — powiedział Marks.— Ale do czegoż to prowadzi? czyż masz jaką rzecz do niéj należącą, by dać psom powąchać?

— Mam, odpowiedział Helli z tryumfującą miną. — Oto chusteczka, którą w przestrachu zapomniała na łóżku, a oto jéj kapelusz.

— Jakie szczęście! — powiedział Loker. — Naprzód, panowie!

— Ale psy mogą ją zagryźć, jak napadną na dziewkę zmienacka, — zauważał Helli.

— Prawda, trzeba o tém pomyśleć — nasze psy rozerwały na kawałki jednego Murzyna w Mobilu.

— Zważcie więc, że się wasze psy niezdały w takich przedsięwzięciach, gdzie cała wartość towaru, leży w jego piękności, — powiedział Helli.

— Masz słuszność,— dorzucił Marks. — Zresztą na co się to przyda, skoro dziewka w czyimkolwiek się ukryła domu. W północnych stanach psy mało są przydatne, bo tu pomagają uciekającym Murzynom, a co gorsza przewożą ich na koniach. Psy są nieocenione na plantacyach, gdzie kiedy Murzyn ucieka, to już na własnych nogach.

— Idźmy, — powiedział Loker wracając do pokoju, z którego wychodził przed chwilą. — Powiedziano mi, że ten kupiec jest tu, a łódka przy brzegu: idźmy! No, Marks!

Szanowny mister Marks, z żalem obejrzał się po pokoju, który musiał opuścić, niechętnie wypełniał rozkaz, i dla tego powoli wybierał się w drogę. — Helli po kilku słowach rozmowy, z widocznem nieukontentowaniem, wyliczył na ręce Toma pięćdziesiąt dollarów; poczém dostojni wspólnicy pożegnali się i rozeszli.

Niejeden z naszych czytelników może mieć do mnie żal słuszny, za obrażenie uczuć religijnych i przyzwoitości, przez wprowadzenie go do takiego towarzystwa, jakieśmy wyżéj opisali. Chwilkę cierpliwości, kochany czytelniku! chciéj tylko zważyć, że polowanie na niewolników coraz się bardziéj rozszerza i niedługo może się stanie prawem uświęconą professyą. A gdy się cała przestrzeń od oceanu Spokojnego do Missisipi zmieni w niewolnicze targowiska dusz i ciał ludzkich, wtenczas handlarz Murzynami i łapacz niewolników będą zaliczeni do arystokracyi krajowéj. Skoro tylko gorączki zysku niezłagodzi, dobroczynny wpływ pojęć dziewiętnastego wieku, toć chwila tego smut-

nego widowiska upodlenia naszéj krainy, nietak jest odległą jakby się zdawać mogło. Cierpliwości, łaskawy czytelniku.

Tymczasem póki się ta scena odbywa w tawernie, Sam i Andi w nader wesołém usposobieniu wracali do domu. Mianowicie Sam niemógł ukryć swego zapału, który się przejawiał na zewnątrz to dzikiemi okrzykami, to nieporównanie komiczném wykrzywianiem się i gestami, to znowu się rozpływał w nader poważnych naukach moralnych, ku pożytkowi Andi wykładanych.— Sam, dziecię natury, nieumiał jak cywilizowany człowiek, ukrywać radości: on cieszył się jak dziecię, dziwaczył i swawolił na koniu jak mały chłopaczek.... I tak śmiejąc się i gawędząc, niedługo stanęli pod balkonem mistris Szelby, która skoro tętent posłyszała, wybiegła na ich spotkanie.

— To ty Sam? a gdzież są inni?

— Mister Helli został w tawernie. Widzi pani on się bardzo zmęczył.

— A Eliza, Sam?

— Przeszła za Jordan, i można powiedzieć, że jest w ziemi Chanaan.

— Co przez to rozumiesz? — zapytała mistris Szelby, drżąca ze strachu, gdyż niemogła zrozumieć rzeczywistego znaczenia zagadkowéj odpowiedzi Sama.

— Pani, Bóg przyszedł w pomoc nieszczęśliwéj: Eliza przeszła przez Ohijo tak cudownym sposobem, jakby ją Pańscy anieli, na swych przenieśli skrzydłach.

Sam rozmawiając z panią, zwykle udawał pobożnego i starał się tłómaczyć językiem biblijnym.

— Chodź do pokoju, Sam, — powiedział mister Szelby wychodząc na werandę;— tam opowiesz o wszystkiém, o co cię pani pytać będzie.... Chodźmy Emilijo, — dodał obejmując swą małżonkę. — Ty drżysz cała, możesz się przeziębić; po co, mój aniele, brać wszystko do serca?

— Po co brać do serca! przecież jestem kobietą, jestem matką. Kiedyś powoła nas Bóg do odpowiedzialności za niedolę téj nieszczęśliwéj .... Miłosierny Boże racz nam ten grzech przebaczyć!

— Jaki grzech, Emiljo? — Zrobiliśmy to, co było konieczném. Zważ tylko sama.

— A jednak smutne zeznanie winy cięży na mém sumieniu,— odpowiedziała mistris Szelby. — Cóż począć? niemogę przecież mówić tego, czego nieczuję.

— Ej, Andi, żwawiéj Murzynku!— zawołał Sem. Odprowadź konia do stajni. Cóż niesłyszysz? pan mię wołał.

Po chwili Sam wszedł do pokoju, ze swém palmowém ubraniem głowy w ręku.

— No Sam, opowiedz nam wszystko jak było, powiedział mister Szelby — a najprzód czy wiesz gdzie Eliza?

— Jakże niewiedzieć? Widziałem przecię na własne oczy jak po krach skakała. To cud był widoczny! Na drugim brzegu, jakiś człowiek dał jéj pomoc, a późniéj straciliśmy ją z oczu.

— Sam, ten cud zdaje mi się wątpliwym,— przerwał mister Szelby, — przejść po krach nietak łatwo.

— Już że niełatwo, to niełatwo! Bez pomocy Bożéj nikt tego niepotrafi. Ot ja zaraz opowiem: Mister Helli, Andi i ja podjechaliśmy do niewielkiéj tawerny, co to na samym brzegu Ohjo.... ja jechałem przodem i trochę mi było, jak pan to wie, pilno złapać Elizę.... Podjeżdżamy do tawerny, patrzę a Eliza w oknie — aż tu jak na licho wiatr mi zerwał, kapelusz z głowy... Niemogłem powstrzymać się, krzyknąłem — Eliza posłyszała i odskoczyła od okna.... Mister Helli, nic niewidział. Eliza wybiegła przez inne drzwi i co sił biegła do brzegu; — mister Helli zawołał na nas, puściliśmy się we troje w pogoń za uciekającą. Woda wyszła na parę sążni z brzegów, a tam daléj kry jak wyspy, ot tak i płyną, jedna drugą popychając. — Już, już mieliśmy ją schwytać, jabym zdaje się głowę założył, że już ją trzymamy w ręku, niebyło nawet gdzie uciekać. Aż w tém jak ona krzyknie! (od urodzenia takiego krzyku niesłyszałem), jak skoczy, jednym susem stanęła na krę — a tam już daléj przeskakiwała z jednego kawału lodu na drugi....

Kra się spiera, łamie, huczy, a ona biedna skacze jak kotka... Tak panie, już to był cud prawdziwy.

Mistris Szelby siedziała zamyślona w milczeniu. — Twarz jéj była blada od wzruszenia, obudzonego przez opowiadanie Sama.

— Chwała Bogu, że żyje! Ale gdzie ona teraz biedaczka?

— Pan Bóg nad nami! — powiedział Sam, wznosząc oczy do góry, z wyrazem pobożności i pokory. — Wszystko od jego woli świętéj zależy, bez Niego włos nam z głowy niespadnie, pani nas sama tego uczyła. Beze mnie sto razy mogli ją złapać. Któż cały ranek pędzał się za końmi aż do obiadu? A dziś wieczorem udało mi się sprowadzićmistra Helli z drogi, i pięć mil przemachaliśmy naprózno. Bez tego Eliza by nieuciekła, — wilk dopędziłby owieczkę. We wszystkiém wola Boża.

— Zawiele sobie pozwalasz, mości Sam. Ja na to nigdy niepozwolę, żeby w moim domu, ktoś się odważał robić podobne

figle dżentelmenom, powiedział mister Szelby serjo i z gniewem, na jaki się tylko mógł zdobyć w obecnéj chwili.

Z Murzynami, tak jak z dziećmi niełatwo trafić do końca, niełatwo udać że się na nich gniewamy; instynktem potrafią oni odgadnąć, wszystkie nasze usposobienia, bez względu na szczere chęci zamaskowania się przed niemi.

Z tego właśnie powodu Sam wcale się niezmartwił, słuchając gniewnych uwag swojego pana, chociaż starał się udać zakłopotanie i przystroił swą twarz w wyraz smutku i zgryzoty

— Mister ma racją, najzupełniéj ma racją.... ja postąpiłem źle, bardzo źle, co tu i mówić? panowie niemogą potakiwać takim niedorzecznościom. — Ja to dobrze rozumiem. Ale biednemu Murzynowi, ot czasami mimo woli przyjdzie ochota, zrobić, psotę takiemu panu jak mister Helli. — A zresztą jaki on dżentelmen? wiema ja o tém trochę.

—Bardzo pięknie, Sam żeś poznał twą winę, powiedziała mistris Szelby, a teraz idź do matki Chloe i poproś żeby wam dała co zjeść — musieliście się porządnie wygłodzić.

— Dziękuję najpokorniéj, łaskawéj pani, odpowiedział Sem, i pokłoniwszy się na prędce, wyszedł z pokoju.

Czytelnik się przekona, żeśmy słusznie zrobili uprzednio uwagę, iż Sam miał wrodzone zdolności, któreby mogły daleko posunąć go na polu politycznem — był to talent korzystania z każdéj okoliczności, umiejętność spożytkowania jéj ku podniesieniu swojéj osoby. — W pokojach udawał pobożnego i religjanta, a teraz, wsadziwszy kapelusz na bakier z pewną fantazją, udał się do matki Chloe, w zamiarze zadziwienia wszystkich swą wymową.

— Trzeba tych Murzynów trochę potumanić, mówił Sam do siebie.

Winniśmy tu nadmienić, iż do największych przyjemności Sam zaliczał sobie, gdy towarzysząc panu swojemu konno, na rozmaite schadzki polityczne, mógł się schować za parkanem lub wleść na drzewo i ztamtąd przysłuchiwać się mowom. Za powrotem do swego kółka śmieszył wszystkich, swemi opowiadaniami i przedrzeźnianiem tonu mowy i giestów sławniejszych mowców. Czasami się zdarzało iż wśród czarnych słuchaczy znalazł się i biały, który na widok wykrzywiań się Sama, śmiał się wraz z innemi, to już było prawdziwą dla niego uroczystością.

Sam najsumienniéj był przekonany, iż rzeczywistem jego powołaniem była sztuka wymowy, i nigdy niepominął okolicz-

ności, skoro mu się nastręczyła możność pochlubienia się ze swemi zdolnościami.

Między matką Chloe i Samem oddawna były swary, czyli raczéj pewien rodzaj oziębłego stosunku względem siebie.

Sam w obecnéj chwili, mając wzgląd na stanowisko w zarządzie kuchni staréj kobiety, postanowił zawrzeć z nią przymierze, chociaż bowiem wiedział, że każdy rozkaz pani, najsumienniéj zwykle bywał spełniany, ale mu właśnie chodziło nie o formalność w wykonaniu, ale o dobrą wolę kucharki, któraby wielce mogła wpłynąć, na jakość i ilość pokarmów ofiarowanych.

I dla tego stanął przed matką Chloe z miną pokorną, rozczuloną, jako człowiek co się naraził i cierpiał za bliźniego, napomknął że pani go przysłała w celu pokrzepienia sił starganych, a rozszerzył się umyślnie wychwalając zalety kucharskie i niezaprzeczone w tym względzie zasługi matki Chloe.

Rachuba nieomyliła go. Niejeden poczciwy, prostoduszny wyborca dał się podobnie złapać na podobną wędkę, może też Sam powziął myśl wkupienia się, nadskakiwaniem, w łaski Chloe, przez pamięć na swe polityczne zajęcia pod płotem i na drzewie. — Przykład z góry najzaraźliwszy. Nigdy syn marnotrawny, wracający pod rodzinną strzechę niedoznał takiego hojnego przyjęcia. Trzeba go było widzieć z jaką powagą i godnością rozsiadł się za stołem, po nad ogromną misą napełnioną czemś podobnem do Olla podrida, z resztek objadów dwóch dni ostatnich.

Wszystko tam można było spotkać i soczyste kawałki wędlin i ułamki pasztetów, skrzydełka kurcząt i t. p. i t. p. Sam siedział, w swoim kapeluszu nasuniętym z fantazją, jak władca i niekiedy z łaski raczył niezapominać o Andi, koledze w trudach podjętych.

Wkrótce kuchnia się napełniła ciekawemi, z których każdy pragnął co prędzéj się dowiedzieć jak się skończyła ta ciekawa historya. Teraz właśnie zaczynał się tryumf Sama.

Cały wypadek został jeszcze raz opowiedziany, z małemi dodatkami, Sam bowiem, na wzór naszych dyletantów, nielubiłby historya, przechodząc przez jego usta, miała co stracić na swéj barwności.

Opowiadanie przerywał niekiedy śmiech całéj kompanii, która wcale się nieczuła obowiązaną miarkować w swéj radości.

Sam, w pośród ogolnéj radości, umiał zachować poważny wyraz twarzy, godność mu niepozwalała dzielić z innemi uciechę.

poglądał więc na wszystkich z pewnym rodzajem pobłażania, i tak daléj ciągnął swe wymówne opowiadanie:

— Widzicie, bracia,— powiedział Sem, biorąc się z zapałem do kulszy indyka, — żem wszystko to robił, bacząc na wasze bezpieczeństwo. Skorom potrafił wyratować jednego, to ztąd wypada, że i wszystkich zasłonię w potrzebie. To się rozumie. Niech tylko licho przyniesie do nas innego handlarza, już ja go naüczę, jak muchy łowić. Tak, bracia, będę wam służył za tarczę i będę bronił praw waszych, do ostatniéj krwi kropli.

— Sem, a pocożeś mi mówił dziś zrana, że będziesz pomagał mistrowi Helli, złapać Elizę? cóś ty się plączesz, — dorzucił Andi.

— Czekaj, zaraz ci wytłómaczę, — odpowiedział Sem z wyrazem wyższości. — Niepleć tego, czego pojąć niejesteś w stanie. Z ciebie, Andi, dobry chłopak; ale niewypada ci sunąć nosa do spraw, w których rzecz idzie o wielkich zasadach..... czy rozumiesz ten wyraz?

Andi zaciął się, mianowicie go dotknęło dotkliwe wyrażenie: *sunąć nosa*; a chociaż większa część słuchaczy wcale go niezrozumiała, Sem tak ciągnął daléj:

— To było, ale czy mnie rozumiesz, Andi? to było *zeznanie*: z początku ja chciałem złapać Elizę, bo myślałem, że pan tego pragnie; ale kiedym się dowiedział, że mistris tego niechce, to się we mnie zrodziły *zeznanie* i *zasady*; czy rozumiesz? A jeszcze winieniem ci dodać, że lepiéj jest pani usłużyć, bo na tém i pan nic nietraci. A zatém widzicie, że tu były i *zasady* i *zeznanie*. Tak *zasady*!—powtórzył Sem z zapałem, biorąc się do ogryzania szyjki kurczęcia, — zasady, bracia moi! I czegoż będziemy warci, skoro odstąpimy od swoich przekonań? No i cóż ty na to, Andi?

— Ot weź się lepiéj do téj kostki! jeszcze niezupełnie ogryziona.

Towarzystwo słuchało Sema z otwartą gębą, mógł więc ciągnąć daléj.

— Kwestya *wytrwania*, zacni Murzyni, — mówił Sem, takim tonem, jakby rzecz dotykała kwestyj oderwanych, — *kwestya wytrwania* nie dla wszystkich jest jasną. Ot naprzykład człowiek chce czegoś przez cały dzień i całą noc, a na drugi dzień chce czego innego — tu już niéma wytrwania. Podaj kawał piroga, Andi!... Ale zastanówmy się nad tém gruntowniéj: — spodziewam się że dżentelmenowie i płeć piękna przebaczą mi jedno dość drażliwe porównanie. Słuchajcie.... ja potrzebuję wleźć na wóz sia-

na... bardzo pięknie: — przystawiam drabinę z jednéj strony — źle; stawię z drugiéj... I cóż? ja mam *wytrwanie*, bo łazę zawsze z téj strony, z któréj stoi drabina... Czy rozumiesz mię teraz?

— Bóg tam raczy wiedzieć o twojém wytrwaniu! — burknęła matka Chloe, która dotychczas zawzięcie milczała.

— Bardzo pięknie! — mówił Sem wstając z za stołu, dostatecznie posilony i z głębokiém poczuciem zdobytéj sławy; — tak, zacni współobywatele i wy piękne panie, wspólnéj, że tak powiem, płci z nami, — tak, ja mam zasady. I z dumą mogę to powiedzieć, że staję w ich obronie. Niech mnie za moje zasady spalą na ogniu, i cóż mię to obchodzić będzie? ja pójdę na stos, i w chwili ostatniéj jeszcze powtórzę, że oto tak i tak, że przelewam ostatnią kroplę krwi za swoje zasady, za swą ojczyznę, za dobro kraju!

— No dosyć już,—dosyć!— powiedziała matka Chloe, — ruszaj spać; cóż to, chcesz tu do wschodu słońca przesiedzieć? A wy, dziatwa, kiedy wam skóra miła, wynoście się mi żywo.

— Murzyni, — powiedział Sem, wznosząc w górę swój kapelusz, — błogosławię was na spoczynek; prowadźcie siebie dobrze.

Po tém rozczulającém błogosławieństwie, wszyscy się rozeszli.

ROZDZIAŁ IX.

Z którego się dowiadujemy, że Senator nic więcéj jak człowiek.

Był wieczór; w jednym z pokojów senatora Berd paliło się na kominie, a światło trzaskającego ognia igrało, odbijając się w samowarze i filiżankach przygotowanych na stole do herbaty.

Senator Berd przymierzał nowe meszty, które mu żona zrobiła, podczas jego nieobecności; a mistris Berd z wyrazem szczęścia i spokoju na twarzy, krzątała się koło stołu, zrzędząc od czasu do czasu na hałaśliwą dziatwę, swawolącą dokoła.

— Tom, niedotykaj się do klamki! Meri, Meri, po co targasz kota za ogon? wszak to go boli. Dzim, zleź ze stołu, czy to tu dla ciebie miejsce!... Niemożesz sobie wyobrazić, mój przyjacielu, jak rozkoszną zrobiłeś nam niespodziankę swoim przyjazdem,— powiedziała nareszcie mistris Berd do męża, skoro jéj udało się uśmierzyć wojnę domową.

— Przyszła mi myśl, ot pojadę sobie do domu, wypocznę chwilkę, pobawię się z wami, takem zmęczony aż mi głowa pęka.

Mistris Berd spójrzała, z intencyą na butelkę spirytusu kamforowego, stojącą w drugim pokoju, i już chciała pójść po nią, lecz mąż ją zatrzymał temi słowy:

— Mery, zlituj się, daj pokój lekarstwom! kawał zdrowéj strawy, przyrządzonéj w domu i szklanka gorącéj herbaty wrócą mi siły. To prawodawstwo strasznie mię nudzi.

Senator uśmiechnął się z zadowolenia, że tyle przynosi ojczyźnie w ofierze.

— Powiedz mi — zagadnęła go żona, — coście tam zrobili w senacie?

Mistris Berd nigdy się niewdawała w sprawy, twierdząc zwykle, że dla niéj zajęcia domowe wystarczają; dla tego senator spójrzał na nię z zadziwieniem.

— Nic ważnego.

— Powiedz mi, — ciągnęła daléj, wyście stworzyli jakieś prawa, zabraniające mieszkańcom dawać pod swym dachem przytułek Murzynom i Mulatom; tu o tém wszyscy mówią, ale ja niewierzę, żebyście mogli potwierdzić tak nieludzkie prawo.

— Co ci jest, Mery? zaczynasz politykować?

— Co za myśl! mnie wasza polityka nieobchodzi wcale; lecz, wedle mego zdania prawo takie byłoby okrutném, nieludzkiém niechrześcijańskiém, i dla tego właśnie pewnie nieprzeszło.

— Senat rozważył i potwierdził prawo wzbraniające przechowywanie Murzynów przychodzących do nas z Kentekki. Ci półwarjaci abolicyoniści tyle już głupstw narobili, iż nasi bracia z Kentekki mocno to wzięli do serca, musieliśmy przeto dla nich to zrobić, témbardziéj, że to się zupełnie zgadza ze zdrowym rozsądkiem i z obowiązkami dobrego Chrześcijanina.

— Jakież to prawo? Przecięż ono niezabrania nam dać przytułek, pod naszym dachem, tym nieszczęśliwym na jednę noc? Czyżby i to miało zabraniać? Czyż się sprzeciwia prawu, nakarmić, napoić, dać cokolwiek z odzieży i pozwolić spokojnie pójść daléj.

— Ależ, moja droga! przecięż to byłoby okazaniem pomocy, a tego właśnie prawo zabrania.

Mistris drobna, wątłéj budowy kobieta, była ze swéj natury trwożliwą i łagodną. Zycie w kółku rodzinném było jéj jedyną potrzebą; a rządziła domem, raczéj łagodnością i miłością, niż rozkazywaniem i powagą. Lecz były kwestye, które mogły ją doprowadzić do gwałtownego uniesienia: — każde okrucieństwo obudzało w niéj gniew, który tém był zawziętszym, iż się niezgadzał z jéj naturalném usposobieniem. Ona przywiązana i słaba dla swoich dzieci, raz, gdy się im zdarzyło ciskać kamieniami w bez-

bronnego kota, odważyła się przykładnie ich ukarać. — „Muszę wyznać, powiadał jeden z jéj synów, iż mi się wtedy porządnie dostało. Mama tak się rozgniewała, jak nigdy; ja dostałem rózgami, pierwiéj niżem miał czas obejrzeć się o co chodziło; a późniéj słyszałem jak mama płakała za drzwiami, to mię gorzéj bolało niżli moja kara. Mogę panom zaręczyć, iż późniéj nigdyśmy nieprześladowali istot żyjących.“

W obecnéj chwili mistris Berd porwała się z miejsca, i cała zarumieniona od wzruszenia, powiedziała pewnym głosem podchodząc do męża:

— Ja chciałabym wiedzieć, Dżon, co ty myślisz o tém prawie? czy uważasz je za sprawiedliwe i chrześcijańskie?

— Przecięż niewyrzeczesz się mnie, Mery, gdy ci wyznam, iż takie jest moje zdanie.

— Nigdym się po tobie tego niespodziewała; ależ przynajmniéj niegłosowałeś za tém prawem?

— Głosowałem, mój piękny adwokacie Murzynów.

— Czyż ci nie wstyd, Dżon, powstawać na ludzi bez dachu i przytułku! O, to haniebiące i podłe prawo! Przy piérwszej okoliczności, ja postąpię przeciwko prawu, a okoliczności niedaleko szukać... Mój Boże do czegośmy dożyli! zabraniają nakarmić i przyjąć pod strzechę nieszczęśliwych, właśnie dla tego, że ich całe życie, dręczone prześladowaniem.

— Nigdyśmy niepowinni pozwalać sercu, wziąć przewagę nad naszym rozsądkiem. Niejest to kwestya życia prywatnego; wiąże się ona z przyszłością całego społeczeństwa: massy ludu do tego się stopnia rozhukały, że dla poskromienia, winniśmy nakazać sercu milczenie.

— Nie, Dżon! ja nic waszéj polityki nierozumiem; wiem tylko tyle, ilem się z Biblii mogła nauczyć: a tam napisano, żem winna łaknącego nakarmić, pragnącego napoić, nagiego przyodziać, strapionego pocieszyć. Ja pojdę za tym głosem.

— A cóż będzie, gdy swém postępowaniem, na cały kraj sprowadzisz nieszczęście?

— Posłuszeństwo woli Bożéj niemoże być źródłem niedoli. Naprożnobyście mię chcieli przekonać. Zawsze lepiéj postępować tak jak ON przykazał.

— Posłuchaj mnie, Mery; ja ci dowiodę....

— Daremna praca, Dżon: chociażbyś przez całą noc wysilał się na argumenta, nic mi niedowiedziesz. Powiedz mi lepiéj, czybyś się zgodził odpędzić od progu swojego domu, nieszczęśliwego, umierającego z głodu i zimna, dla tego tylko, że on jest niewolnikiem? No i cóż? czy mógłbyś tak postąpić?

Prawdę mówiąc, nasz senator miał serce zacne, któreby mu niepozwoliło odepchnąć cierpiącego, — a co gorsza, żona wiedziała o tém, i właśnie uderzyła w najsłabszą stronę, napadła na bezbronnego. Próżno więc się uciekał do półśrodków obrony, byle tylko wygrać na czasie. Pani Berd widziała zakłopotanie swego przeciwnika i niezaniechała korzystać ze sposobności.

— Chciałabym widzieć, jakbyś się wziął do tego, mój Dżon? jestem bardzo ciekawa, czy byłbyś w stanie kobietę znękaną wypchnąć za drzwi na mróz i zawieję, lub ją zatrzymać i wsadzić do więzienia ?

— Bez wątpienia, byłby to dla mnie niesłychanie przykry obowiązek.

— Obowiązek, Dżon! o, nienazywaj tego obowiązkiem! przecięż wiesz dobrze, że tak niejest i być niemoże. Kto chce żeby od niego nieuciekali niewolnicy, niech się z nimi dobrze obchodzi, takie jest moje zdanie! Żebyśmy mieli niewolników (mam nadzieję, że tego nigdy niebędzie), mybyśmy potrafili powstrzymać ich od ucieczki; nieprawdaż, Dżon? przecięż od dobrego pana nikt nieucieka. A ci co uciekają, tyle mają do zniesienia: głód chłód, prześladowanie, przestrach i ciągły niepokój — iż wedle mnie grzechemby było powstawać na nich! — i chociażby prawa mi nakazywały, ja takich praw nieposłucham: ja ich nieprzyznaję!

— Mery, Mery, pomówmy o tém rozsądnie.

— Niecierpię rozsądnych rozpraw, mianowicie w takich kwestyach. Wy, panowie politycy, bardzo pięknie i obszernie o wszystkiém rozprawiacie, — a późniéj sami niechcecie temu wierzyć, coście dowodzili. O, ja was znam doskonale. Nie, Dżon, próżnobyś się biedził mnie przekonywać: ty, również jak ja, niemożesz wierzyć, że sprawiedliwość tak ci nakazuje postępować, i zaręczam, że, przy zdarzonéj okoliczności, postąpiłbyś wbrew barbarzyńskiemu prawu.

Właśnie w téj chwili krytycznéj dla senatora, stary Kekdżoj, czarny faktotum domowy, uchylił drzwi i poprosił panię do kuchni. Senator, jakby mu ciężar spadł z piersi, spójrzał na wychodzącą żonę z wyrazem ukontentowania połączonego z pewnym rodzajem zadąsania, i zasiadłszy w fotelu zaczął przeglądać gazety.

Niedługo potém z za drzwi dał się słyszeć łagodny, lecz wzruszeniem nabrzmiały głos jego żony:

— Dżon, Dżon, chodź tu na chwilę.

Mister Berd położył gazety i, wchodząc do kuchni, doznał najsilniejszego wzruszenia, spostrzegłszy tam, leżącą bez przytom-

ności, na dwóch zestawionych krzesełkach, kobietę młodą, lecz znękaną, w podartych sukniach, które złodowaciały na niéj od chłodu, w jednym tylko trzewiku, z zakrwawioną nogą.

W rysach jéj twarzy, łatwo można było dopatrzeć śladów pochodzenia, ze wskazanego na pogardę plemienia; a jednak była piękną, tą wyłączną pięknością, w któréj wyrazie gra namiętności z niewysłowioną boleścią zbratana, tworzy całość uderzającą z piérwszego rzutu oka, swą sposągowaną powagą i wzniosłością.

Mister Berd przerażony tym widokiem stał w milczeniu, zatrzymując oddech, jakby się lękał obudzić z uśpienia nieszczęśliwéj i powrócić ją do przestraszającéj rzeczywistości. Mistris i jedyna ich służąca Murzynka Dina starały się ocucić zemdloną, a stary Kekdżoj tymczasem wziął chłopca na ręce, zdjął mu bóciki, rozebrał i własnemi rękami starał się ogrzać zlodowociałe nożki dziecięcia.

— Doprawdy, serce się kraje patrząc na nię, — powiedziała Dina ze współczuciem;—musiało ją zbyteczne gorąco w kuchni pozbawić sił, bo kiedy tu wchodziła była zupełnie przytomną, prosiła mię, żeby jéj pozwolić ogrzać się trochę — jam zapytała zkąd przychodzi, — a ona, aż strach wspomnieć, zachwiała się tylko i upadła zemdlona na ziemię. Ręce ma białe i niespracowane, — zapewnie to delikatne stworzenie, co nieznа ciężkiéj pracy.

—Nieszczęśliwa! — powiedziała mistris Berd ze współczuciem.

Właśnie w téj chwili nieznajoma podniosła powieki, i swemi czarnemi pełnemi wyrazu oczami, poglądała z zadziwieniem dokoła.

W krótce jednak, jakby przypomniała sobie, co się z nią działo, i z wyrazem najokropniejszéj rozpaczy zawołała:

– Harry! gdzie mój Harry! Oni go porwali!

Dzieciak, na matki wołanie, zeskoczył z kolan Murzyna, podbiegł do nieszczęśliwéj kobiety, i wyciągnął doń swe drobne rączęta

— Tyś przy mnie, mój Harry! przytul się do swéj mamy, moje dziecię drogie! — zawołała ona, i zwracając się do mistris Berd z gorączkowém drżeniem w głosie zaczęła ją błagać:

— Ach pani ukryj go, nieoddawaj tym ludziom mojego dziecięcia! on u mnie jeden, jak słońce na niebie.

— Nielękaj się, moja droga, — odpowiedziała pani Berd — możesz być spokojną, nikt ci u nas nic złego niezrobi.

—Niech ci Pani Bóg nagrodzi! — powiedziała biedna kobieta głosem łzami nabrzmiałym, i zakrywając twarz rękami, rozpłakała się na dobre.

Dzieciak widząc łzy matki, przytulił się do niéj, jakby chciał swém objęciem, jéj boleść ukoić.

Dzięki kobiecéj troskliwości, któréj tajemnicę p. Berd posiadała w wysokim stopniu, biedna Eliza wreszcie się uspokoiła; położyła się na przygotowaném dla niéj posłaniu, i przyciskając do swéj piersi dziecię, zasnęła snem twardym, wraz z dzieciakiem, który niemniéj od swéj matki był zmęczony.

Niechciała się rozstać ze swym synem ani na chwilę i pomimo nalegań, aby go pozwoliła położyć oddzielnie, niezgodziła się na to, dręczona gorączkową niespokojnością; a nawet przez sen spazmatycznie ściskała go w swych objęciach: nieszczęśliwa nawet i snu spokojnego mieć niemogła.

Państwo Berd wrócili do pokoju, ale już niezaczynali rozpoczętéj przed tém sprzeczki; ona milcząc robiła pończochę— on milcząc trzymał przed oczami gazety, chociaż jak się zdaje niewiele przeczytał, bo kładąc gazety na stole powiedział:

— Niemogę wpaść na myśl, ktoby to mógł być?

— Niech spocznie tylko, a pewno się od niéj najlepiéj o tém dowiemy, — odpowiedziała mistris Berd.

— Co ty o tém myślisz, moja droga?—ciągnął daléj mister Berd, po chwili milczenia.

— O czém, mój przyjacielu?

— Powiedz mi, czyby niemożna dla niéj przerobić któréj z twoich sukień? ona zdaje się trochę wyższa od ciebie.

Uśmiéch,zaledwie dostrzeżony, przebiegł po ustach mistris Berd.

— Zobaczymy, — odpowiedziała.

I znowu milczeli oboje; i znowu p. Berd przerwał milczenie:

— Jak sądzisz, żono?

— Cóż jeszcze, mój przyjacielu?

— Wiesz co, możnaby oddać téj biednéj kobiecie mój wełniany szlafrok, którym mię zwykle przykrywasz, jak się położę spocząć po obiedzie.

Właśnie w téj chwili weszła Dina, donosząc, że nieznajoma już się obudziła i pragnie się widzieć z panią Berd.

Małżonkowie razem poszli do kuchni, wraz z dwóma starszymi synami; nieznajoma kobieta siedziała za stołem, przed piecem i patrzała sztywnie w ogień, z wyrazem ciężkiéj lecz spokojnéj boleści.

— Chciałaś mnie widzieć? — zapytała p. Berd — ja sądzę, że się teraz czujesz daleko lepiéj?

Nieszczęśliwa zamiast odpowiedzi westchnęła tylko, i podniosła na pytającą swe duże czarne oczy, z wyrazem takiéj

troski niepocieszonéj i takiego błagania, iż p. Berd poruszona do głębi, czuła, jak się jéj oczy mimowoli załzawiły.

—Niemasz się czego obawiać, biedna kobieto: my ci sprzyjamy. Ale powiedz mi, zkąd przychodzisz i co zamyślasz zrobić?

— Ja przychodzę z Kentekki.

— Kiedy?— wtrącił p. Berd, chcąc się sam o wszystko rozpytać.

— Téj nocy.

— Jakżeś tu przeszła?

— Po lodzie.

— Po lodzie! — zawołali wszyscy.

— Tak, — odpowiedziała Eliza spokojnie, — Pan Bóg mnie wspierał: przeszłam po krach, płynących z biegiem rzeki; innéj drogi niebyło; a oni gonili mnie.

— A czy wiesz, missis! — zawołał Kekdżoj, — że lód popękał na rzece, że kry naciskając jedna drugą, tworzą góry lodowe?

— Wiem, wiem,— odpowiedziała z pewném pomięszaniem; — a jednak ja przeszłam.... Niemiałam nadziei przejść na drugą stronę, ale cóż było począć? miałam do wyboru: przejść albo umrzeć. Pan Bóg mię prowadził! a kto niedoznał w życiu Bożéj opieki, ten tego pojąć niepotrafi, — dodała z ożywieniem.

— Byłaś niewolnicą? — zapytał Berd.

— Tak, należałam do jednego z właścicieli Kentekki.

— Okrutnie się z tobą obchodził?

— O, nie! to szlachetny człowiek.

— A więc to pani twoja była niedobrą?

— Nie, nie — moja pani, to anioł nie kobieta.

— Cóż cię spowodowało porzucić zacnych ludzi, uciekać i narażać się na takie niebezpieczeństwa?

Niewolnica wpatrzyła się w panię Berd badawczo, a spostrzegłszy na niéj żałobną suknię zapytała:

— Czyś pani miała nieszczęście stracić dziecię?

Niespodziewane to zapytanie, otworzyło, jeszcze niezagojone rany w sercu macierzyńskiém, pełném miłości. Przed miesiącem musieli państwo Berd pochować synka ukochanego, pieszczochа całéj rodziny.

P. Berd odwrócił się i powolnym krokiem odszedł do okna. Pani Berd zalała się rzewnemi łzami; — uspokoiwszy się nieco odpowiedziała łagodnie:

— Po co mię było o to pytać? Rzeczywiście straciłam moje drogie dziecię.

— O, to pani mię zrozumiesz. Ja pochowałam dwoje zo-

w ślad jedno za drugiém. Spoczywają one tam: — w téj ziemi, na któréj moja noga nigdy niepostanie. Został mi ten synek, jako jedyna w życiu pociecha — nieprzepędził on ani jednéj nocy bezemnie. On wszystkiém dla mnie; on moją dumą i moją pociechą, i dniem i nocą o nim tylko myślałam. A oni chcieli go oderwać od mojéj piersi — i przedać go; czy pani to rozumiesz? przedać biedne dziecię, tam, daleko, na południe, żeby go moje biedne oczy nigdy niewidziały! Tego było zanadto. Wiedziałam, że gdy mię z nim rozłączą, ja się im na nic nieprzydam; to też gdym się przekonała, że moje dziecię sprzedane, że już akt sprzedaży podpisują, że niéma żadnego ratunku, wzięłam mego Harry na ręce i uciekłam.

Oni się pędzili za mną, ten co kupił mego syna wraz z niewolnikami mego pana. Przedemną była rzeka, krą zasłana; innéj drogi niebyło: musiałam ratować mojego Harry, skoczyłam na lód.... Jak mi się udało przejść na drugą stronę, tego już sama niewiem...

Opowiadając to niepłakała: bo już stanęła na tym stopniu strapienia, gdy łza przysycha do powieki, a pierś nazbyt już złamana boleścią, by się na jęk zdobyć mogła. Obecni każdy po swojemu, wyjawiali swoje współczucie.

Chłopaczki przytuliły się do p. Berd i szlochały na dobre — matka zakryła twarz chustką; stara Dina, u któréj łzy płynęły strumieniem po jéj poczciwéj, chociaż czarnéj twarzy, wołała: panie zmiłuj się nad nami! z takim zapałem, jak na schadzce pobożnéj; a stary Kekdżoj chlipał na głos, wycierając oczy rękawem. Nasz senator, jako mąż stanu, niemógłże przecież szlochać jak zwyczajny człowiek, odwrócił się przeto do okna i niesłychanie starannie przecierał okulary i chrząkał, co mogłoby obudzić pewne podejrzenie, jeżeliby w obecnéj chwili mógł go kto postrzegać.

— Mówiłeś mi przecież, żeś miała poczciwego pana? odezwał się nakoniec, zwracając się ku nieszczęśliwéj kobiecie i tłumiąc w piersiach wyrywające się westchnienie.

— Rzeczywiście i pan był dobry i pani nieoceniona kobieta; ale ich zmusiły okoliczności — długi... zresztą ja niepotrafię tego panu opowiedzieć... Dosyć tego, że jeden handlarz trzymał ich w ręku, i mógł zmusić robić to, co się mu podobało. Słyszałam jak pan mówił swojéj żonie, że syn mój sprzedany: pani wstawiała się za mną, prosiła; ale on odpowiedział, że niemoże inaczéj postąpić, że umowa podpisana. A ja, czegoż miałam czekać? wzięłam syna na ręce i uciekłam, bo wiedziałam, że nieprzeżyję rozdzielenia z moim skarbem jedynym.

— Czy masz męża?

— Mam, ale on należy do innego właściciela, człowieka okrutnego, co się z nim niegodziwie obchodzi, niepozwala mu nawet widywać się ze mną... co dzień gorzéj go prześladuje... nawet mu zagraża, że go sprzeda na południe... Może już nigdy z nim się niezobaczę.

Spokój, z jakim wymówiła te słowa, mógłby w niedoświadczonym postrzegaczu obudzić podejrzenie, że, przy apatycznem usposobieniu, nienazbyt boleje nad tą rozłąką; lecz dosyć było spójrzeć jéj w oczy, żeby się dowodnie przeświadczyć, że jéj rozpacz dla tego tylko była spokojną, że niemiała nadziei.

— Dokądże masz zamiar się udać? — zapytała mistris Berd łagodnie.

— Poszłabym do Kanady, ale niewiem drogi. Czy daleko ztąd do Kanady? — zapytała z prostoduszném zaufaniem, wpatrując się w twarz pani Berd.

— Biedna! — zawołała mimowoli pani Berd.

— Zapewnie, to daleka droga! — szeptała do siebie w zamyśleniu nieszczęśliwa kobieta.

— Znacznie dłuższa, niż ty możesz sobie wyobrazić, moja droga; ale my nad tém pomyślimy, może się uda pomódz ci w tém strapieniu. Dina, pościelesz dla niéj w swoim pokoju obok kuchni. Jutro zobaczymy co możemy zrobić dla téj nieszczęśliwéj. A tymczasem nietrwóż się daremno, miéj w Bogu nadzieję, a cię nieopuści.

Pani Berd wraz z mężem wróciła do bawialnego pokoju. Ona usiadła u komina na fotelu na łyżwach i huśtała się w zamyśleniu, patrząc na płomie. Mister Berd chodził wzdłuż i poprzek po pokoju z widocznem zakłopotaniem, i mruczał sobie pod nosem: „A do licha, to niepiękny interes, kupiliśmy sobie biedę!“ W końcu podszedł do pani Berd mówiąc:

— To próżna... ona musi od nas wyruszyć niepóźniéj jak dzisiejszéj jeszcze nocy. Nowy jéj właściciel tropi ją ślad w ślad, jutro raniutko może wpaść do nas, jak śnieg na głowę. Żeby to jeszcze jedna tylko kobieta, toby można ją jakoś ukryć i wyczekać dogodniejszéj chwili; ale ten malec... dajże mu rady kiedy łaska! wyjrzy przez okno, wyskoczy na dziedziniec i wszystko się wyda. Djable przyjemna dla mnie pozycya, skoro u mnie ich znajdą. Nie, to niepodobna: ich trzeba koniecznie dzisiejszéj jeszcze nocy ztąd wyprawić.

— Ale zmiłuj się, co ci się stało? gdzież ich zawieziesz w nocy?

— Już ja wiem gdzie! — odpowiedział senator, naciągając bo-

ty z zakłopotanym wyrazem twarzy; lecz nim skończył znowu się zamyślił, i trzymając się oburącz za kolano długo pozostawał w tém położeniu.

— Niéma co, kupiliśmy sobie biedę, — powiedział on nakoniec, biorąc się znowu do naciągania bótów.— Już widać tak sądzono, bodajem ich nieznał! — Wstał i podszedł do okna.

Pani Berd była kobietą delikatną i nigdy jeszcze mąż od niéj nieposłyszał tych wyrazów: „a co, czy niemówiłam ci!“ W obecnéj chwili, chociaż domyślała się jaki obrały kierunek myśli jéj męża; z całą jednak wyrozumiałością, niewtrącała się ze swojemi uwagami, czekała póki jéj pan, wedle brzmienia prawa, raczy wypowiedzieć swe żądanie.

— Zważ sobie,— powiedział on,—jest tu niedaleko mój dawny klijen Wan Tromp, co się wyniósł z Kentekki, dając swobodę wszystkim swoim niewolnikom. On kupił kawał ziemi o siedm mil ztąd, na tamtéj stronie brodu, wśród lasów w miejscu odludném, kędy nikt bez pilnéj potrzeby, niejeździ, a i tak niełatwo tam trafić a niezbłądzić; to tylko bieda, że nocą nikt tam oprócz mnie niezawiezie.

— A to dla czego? Przecież Kekdżoj doskonale wozi.

— To prawda, ale trzeba będzie przejeżdżać dwa brody, a drugi mianowicie bardzo niebezpieczny, dla nieznających doskonale drogi. Ja ze sto razy przejeżdżałem go konno i doskonale przeznałem każdą piędź ziemi. A zatém widzisz, moja droga, że bezemnie się nieobejdzie. Kekdżoj koło północy zaprzęże konie pocichu, i daléj w drogę. Dla tego, by dać pozór mojemu nagłemu wyjazdowi, on mię odwiezie do najbliższéj tawerny, gdzie sobie zamówię miejsce do Kolumbu w dyliżansie, przechodzącym tamtędy między trzecią a czwartą z północy; wszyscy pomyślą, żem dla tego właśnie wyjechał z domu. W Kolumbie zrana załatwię niektóre interesa, a wieczorem wracam. Nietakby mi wypadało postępować, po tém wszystkiém co się mówiło i zrobiło pod względem niewolników; ale cóż u licha! jak tu inaczéj dać rady?

— Słuchaj serca, mój Dżon, ono ci zawsze lepiéj radzi niż głowa, — powiedziała mistris Berd, kładąc swą drobną pulchną rączkę na ramieniu swego męża.— Czyżbym ja cię tak kochać mogła, żebym cię lepiéj nieznała niż ci się zdaje.

I wszystko to powiedziano było z tak miłym wyrazem twarzy, któremu jeszcze więcéj dodawały uroku oczy łzą zroszone, iż senator mimowoli się zgodził, że dla tego, by obudzić tak wzniosłe ku swéj osobie przywiązanie, musi posiadać niepoślednie zalety; ale jakże po takiéj scenie rozrzewniającéj niepójść zoba-

czyć, czy też wózek się zaprzęga? Na progu jednak zatrzymał się chwilę, i jeszcze raz wrócił do żony z temi słowy:

— Mery, niewiem jak to będziesz uważać: mamy pełną komodę rzeczy pozostałych po naszym.... po naszym biednym Harry! — powiedziawszy to szybko odwrócił się i pośpieszył wyjść z pokoju.

P. Berd otworzyła malutką sypialnię, położoną obok jéj pokoju, postawiła świecę na biurku, otworzyła potajemnik, wyjęła ztamtąd klucz, zbliżyła się do komody, już miała otworzyć, lecz się zatrzymała w głębokiém zamyśleniu; dwaj chłopy, którzy w ślad za nią przyszli, poglądali na swą matkę w milczeniu, z pewném zadziwieniem.

Zwracam się do was, o matki, co będziecie te kartki czytać! Wyznajcie, czy każda z was niema zaklętéj jakiéj szuflady, którą odmyka z takiém uczuciem, jakby podejmowała wieko malutkiéj trumienki? Szczęśliwe są matki, dla których takie uczucia nieznane!

P. Berd powoli odsunęła szufladę, w któréj leżały razem zmięszane: odzież dziecinna stara i nowa, trzewiczki, bóciki wraz z zabawkami, były tam i bębenek i piłka i konik.

Drogie pamiątki! iluż łez byłyście świadkami, ileż to boleści doznało serce matczyne, gdy was trzeba było zbierać po zgasłym aniołku! P. Berd usiadła na ziemi, przy szufladzie, zakryła twarz rękami i płakała... łzy, przedarłszy się między palcami, jeszcze raz zrosiły tę spuściznę po biednym Harry.

Późniéj, z gorączkowym pośpiechem, wybrała, co zdawało się mocniejszém i zdolném do użytku, i upakowała do węzełka.

— Mateńku, — powiedział jeden z jéj chłopaków, zlekka pociągając ją za suknię, — czy to chcesz oddać komu·

— Moje dzieci,—odpowiedziała matka—jeżeli nasz mały Harry patrzy teraz na nas z nieba, on się cieszy z tego co my robimy.... Niemiałam dosyć siły oddać tych rzeczy człowiekowi obojętnemu, szczęśliwemu; lecz oddaję z ochotą nieszczęśliwéj matce, która więcéj od nas ma strapień i niedoli. Mam nadzieję że Bóg dobrotliwy, wraz z tym darem zeszle na nią swe błogosławieństwo.

Są na świecie dusze świetlane, których troska niezbroi się w egoizm, lecz umie mieć na względzie bliźnich strapienie. Ziemskie ich nadzieje w mogile złożone, są jakby ziarna w ziemię rzucone, z których wzrasta roślinka zbawienna, mająca dar łagodzenia cierpienia, przez otarcie łez niedoli.

Taką duszę posiadała mistris Berd. Biedna matka, cała zalana łzami, zbierała spuściznę drogą po straconym ulubieńcu, by

te drogie pamiątki przebytéj boleści, ulgę nieszczęśliwszym przyniosły.

W kilka minut potém p. Berd wyjęła z szafy parę sukień nienowych, ale zdatnych do użytku i wzięła się dopracyby odpuścić zaopasy, jak to jéj mąż radził; nożyce, i igła w ciągłym hyły ruchu, aż póki na starym zegarze, stojącym w kącie bawialnego pokoju, nieuderzyła dwunasta, a przed gankiem niedał się słyszeć turtok zajeżdżającego wózka.

— Mery, — powiedział p. Berd, wchodząc z palto na ręku— rozbudź ją, czas jechać.

P. Berd z pośpiechem poskładała przygotowane rzeczy do niewielkiéj króbki, zamknęła ją, oddała mężowi, prosząc żeby zaniósł do wózka, a sama poszła po Elizę.

Wkrótce weszła Eliza, z dzieckiem na ręku w szlafroczku i czepeczku, darowanemi przez senatorowę.

P. Berd usadził ją do wózka, a pani Berd zbliżyła się do samych drzwiczek i ścisnęła ze współczuciem wyciągniętą przez okienko rękę równie pulchną i białą, jak u niéj saméj.

Eliza wpatrzyła się swemi dużemi czarnemi oczami w twarz p. Berd, chciała cóś powiedzieć, — usta się poruszały, lecz głosu zabrakło od silnego wzruszenia. Wtedy podniosła oczy ku niebu z takim wyrazem, który na wieki zostaje w pamięci, i osunęła się bezsilnie na swoje miejsce, zakrywając twarz rękami.

Drzwiczki stuknęły: wózek zaturkotał tocząc się po drodze.

W dziwném położeniu znajdował się nasz senator patryota, co jeszcze niedawno, w przeciągu całego tygodnia, pobudzał prawodawców swojego stanu, do przedsięwzięcia surowych środków w celu powstrzymaniu uciekających niewolników, i wzbronienia obywatelom kraju dawania im schronienia i przytulku.

Nikt z jego towarzyszy w Waszyngtonie nieprzewyższył go potęgą wymowy, która mu zapewniła nieśmiertelną sławę w swéj okolicy.

Z jakiém szyderstwem politowania poglądał on ze swego miejsca na tych, co się odważali niedolę i łzy jakichś niewolników stawić na równi z potrzebami i interesem kraju!

W téj kwestyi był jako lew śmiały, słowa płynęły wzmagając się w potęgę, bo źródłem ich było sumienne przekonanie; cóż więc dziwnego, że silnie potrafił na innych wpłynąć!

Ale wtenczas pod wyrazem *niewolnik* rozumiał on, wyraz z kilku liter w pewnym porządku złożonych, a przedstawiający malutką figurkę z zawiniątkiem na plecach, z kijem w ręku, jak ją zwykle rysują w gazetach z podpisem: *Uciekł od niżéj podpisanego* etc.

Nigdy on niespotkał się oko w oko z prześladowaniem i nędzą, z rozpaczliwym wzrokiem, wyciągającą wychudłą rękę, wsparcia i ochrony błagającą. Nigdy mu nieprzyszło na myśl, że może się ratować ucieczką nieszczęśliwa matka, dziecię bezbronne, zupełnie takie same, jak syn Elizy, co teraz się ubrał w czapeczkę jego zmarłego synka.

Dla tego więc nasz senator, jako człowiek nie żelaznego lub kamiennego charakteru, ale z sercem współczującém prawdziwéj niedoli, nader czuł się zakłopotanym w obec wymagań urzędowego potryotyzmu.

A wy bracia ze Stanów południowych nierzucicie nań kamieniem: bobyście (jesteśmy przekonani) w podobnych okolicznościach, zupełnie tak samo postąpili.

Skoro się zgodzić na to, że nasz senator zgrzeszył z punktu widzenia polityka, toć dostatecznie za ten grzech odpokutował przez udręczenia jakich w swéj nocnéj doświadczył wycieczce.

Przez kilka dni w téj okolicy trwały deszcze ulewne, które żyzną ziemię wybrzeży Ohijo, w klejkie błoto zmieniły; a dodać do tego należy, że droga była niezwyczajna, ale wysłana od lat dawnych.

Co to za wysłana droga? zapytają mnie podróżnicy ze wschodnich Stanow, przyzwyczajeni do szerokich, równych dróg szosowych, po których jazda spokojna i niemęcząca. W zachodnich Stanach rzecz się ma zupełnie inaczéj: — tu podczas deszczów ziemia rozmaka do nieprawdopodobnéj głębokości; by temu zaradzić, wyścielano drogi krąglakami, posypując je warstwą torfu z piaskim zmięszanego; — ale woda spłukuje nasyp, a skoro grunt rozmoknie, krąglaki zaczynają poruszać się i zapadać, jak klawisze, niemając żadnéj pod sobą podstawy, a że czas ma także swe prawa, połowa krąglaków zgniła, zostawiając przerwy pełne niezgłębionego czarnego błota.

Po takiéj to drodze jechał nasz senator, pogrążony w zamyśleniu, przerywaném niekiedy przez nierówny ruch i wstrząśnienia wózka, którego koła do jam co chwila zapadały.

Po wielu bezowocnych narzekaniach, właśnie gdy senator zaczynał tracić cierpliwość, wózek podskoczył i przednie jego koła wpadły do jamy, tak raptownie, że senator i Eliza z dziecięciem przerzuceni byli na przód wózka. Kekdżoj tymczasem nieżałował bata, krzyczał popędzał; wreszcie mu się udało wyrwać przód wózka, ale dla tego tylko, by tył jeszcze silniéj zapadł i na drugą stronę wózka przerzucił podróżnych. Konie zaczęły się słupić, skakać, — lecz w końcu jakoś udało się wyrwać wózek z wądołu i Kekdżoj zatrzymał konie, by się odsapały przez chwi-

lę. Wtenczas senator odszukał stracony podczas rozruchu kapelusz, Eliza utuliła płaczące dziecię, i wszyscy znowu byli przygotowani na dalsze wypadki nocnéj podróży.

Wózek podskakując toczył się daléj, zlekka się przechylając na jednę i drugą stronę, i nasi podróżni myśleli, że na tym jednym wypadku wszystko się skończy; aż w tém znienacka wszystkie cztery koła odrazu wpadły jakby w przepaść, wózek się posłonił. Kekdżoj naprożno forsował konie; widząc wreszcie, że próżna praca, podszedł do drzwiczek powozu.

— Zle, panisko, niewiem jak się ztąd wydostaniem, trzeba będzie bodaj podkładać relsy.

Senator w rozpaczy wylazł z powozu i właśnie, gdy wyglądał pewnego miejsca, na któreby skoczyć, oczy go omyliły, i jedna noga ugrzęzła w błocie, a gdy chciał się ratować, stracił równowagę i rozciągnął się jak długi na tém miękiém a mokrém posłaniu, z ktorego zaledwo z wielkim kłopotem potrafił go Kekdżoj wydostać.

Kto tylko podróżował w Stanach zachodnich i był zmuszonym tłuc się przez noc całą, wydostając powóz z błota, ten potrafi ocenić smutne położenie nieszczęśliwego senatora i będzie współczuł jego doli. My ze swojéj strony prosimy o jednę cichą łezkę współczucia, i wracamy do dalszego opowiadania.

Już było dobrze po północy, kiedy się wózek zabłocony i roztrzęsiony, zatrzymał przed gankiem domu obszernéj fermy. Długo musieli się dobijać, nim gospodarz drzwi otworzył. Był to wysoki barczysty mężczyzna, sążnistéj prawie urody w czerwoną flanelową bluzę ubrany; rozczochrane włosy koloru jasnoryżego, od kilku dni niegolona broda, nadawały jego fizyonomii nienazbyt obiecujący wyraz. Ze świecą w ręku przypatrywał się naszym podróżnym, z wyrazem tajemniczym i pochmurnym na twarzy, co rzeczywiście wyglądało dość pociesznie. Senator niemało miał kłopotu, póki mu się udało wytłómaczyć powód przyjazdu. Nim się ta toczy rozmowa, czujemy się obowiązani przedstawić łaskawym czytelnikom tę nową znajomość.

Rzeczony starzec Dżon Wan Tromp był niegdyś zamożnym fermerem i posiadaczem Negrów w Stanie Kentekki. Chociaż napozór wyglądał jak niedźwiedź, pod tą grubą jednak i szorstką powłoką, kryło się do poświęcenia zdolne i miłujące prawdę serce. W przeciągu kilku lat z tajoną boleścią musiał być świadkiem stosowania systematu, równie zgubnego dla gnębionego jak i dla gnębiącego. Lecz wszystko ma swój koniec, i cierpliwość zacnego Dżona wyczerpała się zupełnie: niemógł dłużéj znosić widoku, co jego tkliwe zakrwawiał serce; jednego

pięknego dnia przeprawił się za Ohijo, kupił kawał żyżnego gruntu, uwolnił swoich Murzynów, pozwalając im osiedlać się na zakupionym gruncie, a sam zamieszkał w niewielkiéj fermie, gdzie spożywał chléb zarobiony w pocie czoła, ale z czystém sumieniem.

— No i cóż, przyjacielu, — zagadnął senator — czy starczy ci odwagi dać przytułek kobiecie i dziecięciu, za któremi pędzą się łapacze Murzynów?

— Tak się zdaje, — odpowiedział Dżon z pewnym znaczącym przyciskiem.

— Ja też tak i myślałem, — powiedział senator.

— Niech-no który raczy do nas zawitać, bardzo prosimy!— ciągnął daléj fermer prostując swe atletyczne barki,— bardzo prosimy, jesteśmy gotowi na ich przyjęcie ja i sześciu moich chłopców, co to zda się niezłomki Bardzo prosimy; powiedz im pan, że nam wszystko jedno, o jakiéj porze raczą do nas zawitać.

Mówiąc to zaśmiał się z całą serdecznością, rozgartując palcami splątane włosy.

Zmęczona, upadująca od znużenia, na wpół martwa Eliza, zaledwie miała dosyć sił, by się do drzwi dowlec z dziecięciem na ręku. Ponury fermer podniosł świecę, wpatrzył się w jéj twarz, mrucząc na jakąś przychylną nótę, i otworzył drzwi pokoiku przyległego kuchni, w któréj się obecnie znajdowali. Wprowadziwszy Elizę do pokoju, zapalił drugą świecę, postawił ją na stole i powiedział:

— Teraz wierzaj mi, niemasz się czego lękać: — kiedy się komu zamarzy szukać ciebie u mnie, jam gotów! — to mówiąc wskazał ręką na kilka fuzyj, wiszących nad kominem. — Kto mnie zna, ten może zaręczyć, że nietak to łatwo porwać kogoś z mego domu, kiedy ja niechcę oddać. Teraz śpij spokojnie, jakby pod opieką matki rodzonéj, — dodał wychodząc i zamykając drzwi.

— A ładna kobiecina! — powiedział zwracając się do senatora — tém gorzéj dla niéj, piękność najczęściéj zmusza je do ucieczki, skoro w sercu niewygasły uczucia poczciwości i godności kobiecéj... Tak, tak, wiele takich widziałem przykładów.

Senator opowiedział treściwie historyę Elizy.

— Jakto! — zawołał poczciwiec z nieudaném współczuciem,— i miałożby to być prawdą? Dobrze, że ja wiem o tém! A biednaż ty kobieto! Prześladują cię za to, żeś usłuchała głosu natury! Tropią ją, jak dzikiego żwierza, za to, że ma poczciwe serce, za to, że niezrobiła tego, na coby żadna matka zgodzić się niemogła. Takie wypadki wszystko we mnie przewracają; i proszęć tu mieć serce i patrzeć z zimną krwią na ta-

kie bezeceństwa! I poczciwy Dżon otarł swą pomarszczoną, spracowaną ręką, łzę spływającą po twarzy. Dawnemi laty, przyznam się, ja przez długi czas niechodziłem do kościoła, bo nasi kaznodzieje dowodzili, że to Biblija nakazuje takie nikczemności..... Nieumiałem nic im odpowiedzieć na ich Greckie i Żydowskie cytaty, to też i dałem im za wygraną i niechodziłem do kościoła, pókim nietrafił na takiego, co zupełnie inaczéj nauczał. To teraz znowu chodzę do kościoła. Mówiąc to, Dżon odkorkował butelkę sydru, nalał szklankę i podał swemu gościowi.

— Pan musisz tu przenocować, — dodał ze szczerotą, poczekajcie chwilkę, ja zawołam moję babę, niech by wam pościel posłała.

— Dziękuję ci, zacny przyjacielu, ale ja muszę jechać, by się niespóźnić na dyliżans, co idzie do Kolumbu.

— Kiedy tak, to was przeprowadzę objazdem, trochę tam lepsza droga, niż ta którąście tu przyjechali.

Dżon ubrał się i, z latarnią w ręku, przeprowadzał powóz senatora drogą idącą po za fermą. Żegnając się senator wsunął w rękę gospodarza dziesięcio — dolarowy papierek.

— To dla niéj, — powiedział lakonicznie.

— Dobrze — odpowiedział Dżon, uścisnął odjeżdżającego przyjaciela za rękę, wózek się potoczył daléj.

ROZDZIAŁ X.

Towar wyrusza w drogę.

Pochmurny, dżdżysty poranek lutowy, tęskném światłem oświecał wnętrze chaty ojca Toma, i jeszcze zda się więcéj dodawał smutnego wyrazu i tak już zbolałym fizyonomijom jéj mieszkańców. Na stole, przysuniętym do ognia, matka Chloe prasowała koszule dla męża, z matematyczną prawie ścisłością prostując i wyrównywając każdą fałdkę, przerywając od czasu do czasu swe zajęcie, dla tego tylko, by otrzeć łzę spływającą po jéj czarnych policzkach.

Tom siedział obok, wsparłszy głowę na rękach; na kolanach miał otwartą xięgę nowego Testamentu. Mąż i żona milczeli obojc; a dziatwa, nieświadoma jutra, jeszcze spała spokojnie w swéj szufladzie.

Tom powstał, popatrzył na śpiące dzieci i odwrócił się, niemogąc znieść tego widoku, rozrywającego biedne ojcowskie serce, które, na nieszczęście, silnie biło dla uczuć rodzinnych.

Nieszczęsne plemie! po co ci mieć serce?

— Po raz ostatni! — przemówił on smutnie....

Matka Chloe, jakby niesłysząc, machinalnie suwała żelazkiem, chociaż na koszuli żadnéj już fałdki niebyło; widocznie się mocowała, wreszcie niemogąc już dłużéj wytrzymać, rozpaczliwie rzuciła żelazko, siadła za stołem i gorzkiemi zalała się łzami.

— Prawda, że powiedziano: znoś z pokorą; ależ, dobry mój Boże, jak tu znosić! Żebym przynajmniéj wiedziała kędy ciebie powiozą albo jak się z tobą będą obchodzić? Pani powiada, że za rok, lub dwa lata postara się ciebie wykupić; ale cóż mi potém? kto raz trafił tam na południe, już mu niewrócić. Słyszałam ja, jak oni dręczą nas na swoich przeklętych plantacyach!

— Wszystko od Boga, Chloe, Bóg wszędzie, On i tam mię nieopuści.

— Nieopuści, przerwała Chloe, Bóg nieopuści; ależ ludzie straszne wyrabiają rzeczy, a Bóg to wszystko znosi! Och, och, wątła nadzieja!

— Wszystko w ręku Boga, powiedział Tom — nic się niedzieje bez jego woli świętéj. Dzięki niech będą Jemu, że to mnie, a nie ciebie lub dzieci sprzedali. Wy tu będziecie żyć spokojnie, a mnie Bóg wesprze, ja to wiem, On mnie nieopuści!

Tom mówił to głosem tłumionym: widocznie walczył sam z sobą, boleść piersi mu ściskała, ale się starał mówić spokojnie, bo ta szlachetna i wzniosła dusza zapominała o swéj własnéj niedoli, byle tylko serca bliźnich pocieszyć.

— Niezabaczajmy łask Jego, — dodał drżącym głosem, jakby myśl podobna w obecném położeniu była rzeczą naturalną, konieczną.

— Łask! — przerwała matka Chloe — przyznam się ci, ja tu żadnéj łaski niewidzę! Co to łaski, tu sprawiedliwości niéma, niéma ani iskierki! Czyż to wszystko stało się sprawiedliwie? Po cóż było panu leźć w długi, i ciebie sprzedawać? przecież już oddawna obiecywał i powinien był ciebie uwolnić! Może teraz on niemoże inaczéj postąpić, ale czyż to sprawiedliwie? Już mnie nieprzekonasz, to próżna. Czy mu niesłużyłeś wiernie, czyś jego dobra niepilnował, czyś niedbał więcéj o niego, niż o własne dzieci? Bóg pokarze tych, co cudzą krwią i łzami, swoje płacą długi, o pewno pokarze!

— Chloe! posłuchaj mię: jeżeli mię kochasz, niemów nic podobnego, teraz właśnie, kiedy może po raz ostatni z sobą rozma-

wiamy. Mnie serce boli, moja Chloe, słyszeć cię złorzeczącą naszemu panu. Przecięż mnie go oddano, kiedy jeszcze był małém dziecięciem ..... jakże mam niemyśleć o nim, niepracować dla niego? Jakże mam wymagać, żeby on mógł myśli swoje biednym Tomem zaprzątać? Panowie przyzwyczajeni, żeby im usługiwano i wszystko robiono dla nich; oni temu niewinni, to ich natura — gdzież im myśleć o takiéj bogateli? Tego niepodobna wymagać, doprawdy niepodobna! Spójrz na innych, kto ma takie wygody, jakie ja tu miałem? Nasz pan nigdyby niedopuścił podobnego nieszczęścia, żeby można było temu zaradzić.

— Mów co chcesz, a zawsze to nieczysta sprawa, odpowiedziała Chloe, która miała w swym charakterze wiele upartéj prawości; — ja to czuję, ot tu! i uderzyła siebie po piersiach.

— Myśl częściéj o Bogu, On czuwa nad wszelkiém stworzeniem, lichy wróbel bez Jego woli nie zginie.

— Już-ci tak, ale jakoś od tego nielżéj na duszy; chyba późniéj, może Pan Bóg da, ciężar z serca spadnie. odpowiedziała matka Chloe., Et, co tu i gadać! słowa nic niepomogą.... Pośniadaj lepiéj po raz ostatni, jak człowiek; zaraz ci wyjmę jadło z pieca. Kto wie czy się nam przyjdzie kiedy zobaczyć i jeść za jednym stołem!

Dla tego, by boleść Murzynów, skoro ich sprzedają na południe, była łatwiejszą do pojęcia, winniśmy tu nadmienić, że ci ludzie instynktowie przywiązują się do miejsca i rodziny, to leży w ich naturze trwożliwéj, a potrzebującéj tkliwego wylania. Skoro do tego dodam, całą okropność, w jaką nieświadomość przyodziewa krainy nieznane, — niebędziemy się dziwić téj rozpaczy. Często zdarzało się nam słyszeć i być świadkami nieudanego przerażenia Murzynów, na samo wspomnienie południa. W godziny wypoczynku po ciężkiéj pracy dnia całego, zasiadłszy w kółko, opowiadają sobie wzajem straszne historye o południowych plantacyach, które dla nich są:

Tą krainą ludzkiemu oku nieznaną,
Zkąd nikt niewraca.....

Pewien misyonarz z Kanady opowiadał mi, że wielu murzynów przyznało się mu, iż dla tego tylko uciekli od swych panów, względnie dobrze się z niemi obchodzących, by ochronić siebie lub swoich od niebezpieczeństwa być sprzedanymi na południe. Sama ta myśl, w lękliwym i pokornym ze swéj natury Murzynie, wyrabia rozpaczliwą odwagę, zmusza go głód i chłód znosić, narażać się na wszelkie niebezpieczeństwa pustyni, wśród

któréj szuka przytułku, a co gorsza na straszne kary, jeżeliby go pojmano.

Na stole tymczasem już parowała smaczna strawa, przez Matkę Chloe przygotowana, którą mistris Szelby na cały ranek uwolniła od pracy. Na urządzenie téj uczty pożegnalnéj wyczerpała nieszczęśliwa cały zapas swéj sztuki kulinarnéj: cały stół zastawiła przysmakami: wszakże po raz ostatni może częstowała swego męża, który kto wie czy się spotka późniéj ze smaczną i posilną strawą.

— Zobacz, Piotrek, zobacz! — zawołał tryumfującym głosem Monio i już się przygotował ściągnąć z talerza skrzydełko kurczątka ale właśnie w téj chwili matka dała mu szturchańca i przeszkodziła w tak świetnych zamiarach.

— Widzisz go, już zęby wyszczerzył, nieda ojcu spokojnie ostatni raz pośniadać.

— Ach Chloe! powiedział Tom z łagodną wymówką.

— A cóż mam począć? ja sobie rady dać nieumiem, odpowiedziała matka Chloe, zakrywając twarz fartuchem, w głowie mi się przewraca, i taka jakaś złość napastuje.

Chłopcy zatrzymali się w osłupieniu, poglądając to na ojca to na matkę z kolei, gdy tymczasem ich młódsza siostrzyczka, za odzież matki uczepiona, objawiała swe żądanie krzykiem, którego żadne perswazye złagodzić niemogły.

— No! powiedziała matka Chloe, ocierając oczy i biorąc dziecko na ręce, niéma z wami rady, macie kurczuka, jedzcie moje dziatki, biedne sieroty! matka was skrzywdziła.

Dziatwa, nieczekając, by ją drugi raz proszono, z nieudanym zapałem wzięła się do pracy, i wkrótkim przeciągu czasu zwalczyła cały zapas przysmaków, rozstawionych na stole; a i dobrze zrobiła, bo rodzicom jakoś było nie do jadła.

— Teraz, trzeba zebrać twoją odzież, powiedziała matka Chloe, wstając i zaczynając się krzątać. — Czego dobrego, zabiorą ci wszystko co masz. O, ja znam ten gatuneczek ludzi! Masz oto tu w kącie swój flanelowy kaftan od reumatyzmu, strzeż go, nowego nikt ci nieuszyje; tu stare koszule, a ot tu masz nowe. Wczoraj w nocy zacyrowałam ci szkarpetki. — A teraz, Boże mój, Boże, kto ci to wszystko zrobi?

I matka Chloe, pochyliwszy głowę nad kufrem, głośno szlochać zaczęła.

— Jak pomyślę, że ani żywa dusza na świecie niebędzie mieć względu na ciebie, nikt niezapyta czyś ty zdrów, czy chory; to i Bóg musi darować, że taka złość przyjdzie.

Dzieci sprzątnawszy wszystko co było na stole, ze smutkiem

zaczęły się przekonywać, że cóś niedobrego się stało. Widząc, że matka płacze, a ojciec smutny, zakryły oczy rączkami i chlipać zaczęły. Mała zaś dziewczynka, którą Tom trzymał na ręku, korzystała z zostawionego jéj prawa, drapania ojca po twarzy i tarmoszenia za włosy, objawiając od czasu do czasu swą radość okrzykami, mającemi wyrażać wewnętrzne zadowolenie, od wpływów zewnętrznych niezależne.

— Śpiewaj, moja mała, śpiewaj! powiedziała wracając się do niej matka Chloe. Przyjdzie i twoja koléj, tego nieominąć! Dożyjesz do tego, że przyjdzie ci patrzeć na to, jak twego męża sprzedają, a może i ciebie sprzedadzą..... Miéj że tu dzieci, ledwie podrosną dotyla, że zdolne do pracy, zabiorą ci je i sprzedadzą; na co Murzynowi rodzina!

— Mistris idzie, zawołał jeden z malców.

— A toż po co? przecież nieporadzi w niedoli, gniewnie burknęła Chloe.

Skoro weszła mistris Szelby, matka Chloe podała jéj krzesło, z widocznem nieukontentowaniem, którego niestarała się nawet ukryć; ale mistris Szelby niewidziała ani krzesła, ani też jak je podano: twarz jéj była śmiertelnie blada, od trwogi i wzruszenia.

— Tom, powiedziała — ja przyszłam..... daléj mówić niemogła, skoro zaś spójrzała dokoła i spostrzegła drobną dziatwę, upadła na krzesło, zakryła twarz rękami i zajękła od płaczu.

— Dla Boga, mistris, co pani jest! uspokój się pani, uspokój! zawołała matka Chloe, zalewając się łzami.... Tak przeszło kilka minut wśród ogólnego płaczu; w tych łzach, wspólnych, które na chwilę zrównały różnicę stanów, roztopło się oburzenie i gniew przygnębionych. O wy dobroczynne serca! co chętnie przychodzicie z pomocą cierpiącym w niedoli braciom, niezapominajcie że najbogatsze dary mniéj ulgi i pociechy przyniosą, niż jedna łza współczucia, rosząca wasze powieki.

— Dobry mój Tom, powiedziała mistris Szelby, niemogę ci nic dać na drogę, coby ci się przydać mogło. Dałabym ci trochę pieniędzy, ale to naprózno, pieniądze ci zabiorą. Lecz przysięgam ci w obec Wszechmocnego Boga, że ja niezapomnę o tobie, będę się dowiadywać, kędy cię zawiozą, i za piérwsze pieniądze wykupię cię, a tymczasem miéj w Bogu nadzieję!

Właśnie w téj chwili chłopcy w jeden głos wołać poczęli, że Helli nadchodzi, i rzeczywiście drzwi, popchnięte gwałtownie, otworzyły się z hałasem i do świetlicy wtoczył się mister Helli, bardzo niezadowolony, znużony wczorajszą wycieczką, i wcale nie-

złagodzony niepomyślnym skutkiem pogoni za swą własnością zyjącą.

— Ej ty, czarny psie! — zawołał on — czyś gotów? Służby powolne, łaskawéj pani! dorzucił, spostrzegłszy obecność mistris Szelby.

Matka Chloe, która właśnie w téj chwili pakowała do kufra rzeczy swojego męża, podniosła głowę i tak gniewnie spojrzała na Helli, iż z jéj oczu zamiast łez, skry się sypały.

Tom wstał z pokorą, by pójść w ślad za swym nowym panem, wziął na plecy ciężki kufer, z rzeczami i wyszedł z chaty, za nim szła żona z dzieckiem na ręku, i dwóch chłopaków zanoszących się od płaczu. Mistris Szelby zatrzymała handlarza, i w przeciągu kilku minut rozmawiała z nim bardzo seryo i z wzruszeniem. Podczas téj rozmowy Tom z rodziną zbliżali się do wózka, stojącego u wrót dziedzińca, w pogotowiu do drogi.

Gromada starych i młodych Murzynów zebrała się dokoła, by pożegnać swego starego przyjaciela i współpracownika. Wszyscy przyzwyczaili się patrzeć na Toma z pewném uszanowaniem, i poważać w nim nietylko przełożonego nad czeladzią, ale jeszcze swego nauczyciela w rzeczach wiary.

Na wszystkich twarzach, mianowicie kobiet, malowało się gorące współczucie dla jego doli, i serdeczne ubolewanie nad nieszczęściem, co go niezasłużenie spotkało.

— Ach Chloe, ty swą niedolę mężniéj od nas umiesz znosić! zagadnęła jedna z kobiet płacząc na głos i widząc ponury spokój żony Toma, stojącéj przy wózku.

— Ja niemam łez, już wszystkie wypłakałam! — powiedziała, rzucając wściekłe spójrzenie na zbliżającego się handlarza: moje łzy święte, ja ich niepokażę temu psu staremu! o, za nic na świecie!

— Marsz! do wózka! krzyknął Helli, przechodząc między czeladzią, patrzącą nań z podełba. Gdy już Tom usiadł do wózka, Helli wyjął z pod siedzenia kajdany, i przyodział niemi swój towar.

Tłumiony okrzyk oburzenia przebiegł po gromadzie, a z okna *weraady* dał się słyszeć głos mistris Szelby:

— Mister Helli, zaręczam panu, to zupełnie niepotrzebna ostróżność.

— Kto może wiedzieć, łaskawa Pani? ja i tak przypiekłem pięćset dollarów w tym domu, więcéj ryzykować niemogę i niechcę.

— Cóż, to ona myślała, że go złagodzi? mruczała Chloe, gdy tym-

czasem chłopcy, zrozumiawszy o co chodzi, z jękiem i płaczem tulili się do matki.

— Bardzo mię to boli, bardzo boli, powiedział Tom, — żem się niemógł pożegnać z mistrem Dżordżem.

Dżordż tegoż dnia rano wyjechał do sąsiedniéj plantacyi zabawić parę dni, u jednego ze swych rówieników. Wyjechał bardzo rano, kiedy jeszcze wiadomość o nieszczęśliwéj doli jego przyjaciela niemiała rozgłosu, i dla tego wyjechał nic niepodejrzewając.

— Kłaniajcie się ode mnie mistrowi Dżordż, powiedział Tom smutnie.

Helli klasnął z bicza, a wózek szybko się potoczył, uwożąc Toma, który długo jeszcze siedział ze wzrokiem, zwróconym ku miejscu swego urodzenia, gdzie wszystko co sercu drogie zostawiał, — aż nim go odległość i mgły poranne i tego nawet widoku pozbawiły.

Mistra Szelby niebyło w domu. Zgodził się on sprzedać przynaglony koniecznością, widział w tém jedyny środek ratunku z nazbyt przykrego dlań położenia; i dla tego wnet po podpisaniu kontraktu, doznał uczucia radości, jakby mu kamień młyński z piersi zwalono; Lecz łzy i wyrzuty żony obudziły w jego piersiach nawpółdrzemiące sumienie; a zabaczenie o sobie i pokorne zgadzenie się Toma, jeszcze pogorszyły przykry stan jego moralnego usposobienia. Naprożno starał się przekonać siebie, że miał prawo tak postąpić, że wszyscy tak postępują, nawet bez koniecznéj potrzeby — niemógł się we własnych uniewinnić oczach, i dla tego, by uniknąć bolesnéj sceny rozłąki i pożegnania, wyjechał za wymyślonym interesem, ciesząc siebie nadzieją, że wszystko się załatwi do jego powrótu.

Tom, tymczasem wraz ze swym towarzyszem podróży, wymijali z kolei wszystkie znajome mu miejsca, aż nim się obejrzeli za granicą plantacyi, wśród otwartego pola.

Odjechawszy blizko mili, Helli zwrócił z drogi, podjechał do kuźni, wyjął parę kajdanów na ręce i kazał je poszerzyć.

— Za małe, widzisz, wedle jego urody, powiedział Helli zwracając się do kowala i pokazując na Toma.

— Patrz! wszak to Tom od Szelby? czyż to się oni zgodzili przedać tego poczciwca? zapytał kowal.

— Sprzedali, odpowiedział Helli.

— Czy być może? ktoby to pomyślał! dorzucił kowal. Jego kuć nietrzeba, to zacne, poczciwe człeczysko.

— Tak, tak, znam ja waszych poczciwych ludzi! powiedział Helli. Z takim właśnie trzeba baczności i ostro się trzy-

mać. Dawaj mi łotrów i pijaków, z témi łatwiejsza sprawa,— wieź ich gdzie chcesz, im wszystko jedno; a te mądre głowy, to rzecz inna, dla nich taki spacer równa się — śmierci. Jedyny sposób, skrępować jak barana.

— Cóż pan chcesz? przerwał znowu kowal, — te południowe plantacye, nieprzypadają do smaku naszym Murzynom z Kentekki; tam słyszę ludzie mrą jak muchy. Cóż? nieprawda?

— Niéma co! zdarza się to; tam prędko można skończyć karyerę: bo to i klimat i to i owo..... grzech byłoby narzekać, handel idzie żwawo, potrzebowanie ciągłe, — odpowiedział Helli.

— Jakże się tu nielitować, kiedy takiego poczciwego Toma, wiozą het tam daleko, gdzie mu przyjdzie głową nałożyć, na tych przeklętych plantacyach cukrowych.

— On ma szczęście, ja obiecałem mieć wzgląd na niego, postaram się go sprzedać jakiéj zamożnéj staréj rodzinie; niechno tylko wytrzyma gorączkę i przyzwyczai się do klimatu, będzie jak pączek w maśle opływał.

— Bodaj, że on tu zostawił żonę i dzieci.

— A jakże, ale tam znajdzie się inna, tego dobra niezabraknie, — odpowiedział Helli.

Podczas całéj téj rozmowy, Tom siedział na wózku, pogrążony w smutnéj zadumie.

Wtém posłyszał za sobą tętent kopyt końskich, i pierwiéj niż się obejrzał, młody Dżordż już zawisł na jego szyi, cały łzami zalany, nader energicznemi słowy objawiając swe oburzenie.

— Wstyd nam, powiadam ci, to podle! niech tam wszyscy co chcą mówią, a to haniebnie, to niegodziwie! żebym ja był już człowiekiem, chciałbym wiedzieć jakby to odważyli się zrobić.

— O tak! dorzucił Dżordż i te *tak*, jak głuchy jęk wyrwało się z jego piersi.

— „Ach mister Dżordż! tożeś mnie pocieszył! — powiedział Tom. — A mnie tak bolało odjechać, niepożegnawszy się z panem! To żeś mnie pan pocieszył!

Mówiąc to Tom mimowoli poruszył nogą, łańcuch zabrzęczał i zwrócił na się uwagę Dżordża.

— Co za bezeceństwo! ja go przytłukę tego starego łotra,— zawołał Dżordż z energiją — ja muszę go przytłuc!

— O nie, mister Dżordż i mów pan ciszéj, przez litość! przecięż jak się on rozgniewa, wszystko spadnie na mnie.

— No, mniejsza; dla ciebie to robię, że mu daruję. Ale jak pomyślę o tém.... Czyż to nie hańba, mój Boże! nikt nie-

Nosi tytuł: *Icones et miracula Sanctorum Poloniae, auctore Martino Baron Polono. Coloniae. Sumptibus ac formulis Petri Ouerrardii* (nie *Querat* jak podaje mylnie S. Morawski). Anno 1605, folio.

Jest tu jedenaście rycin arkuszowych pięknie dokonanych, zapewnie przez Ouerrard'a, który był wydawcą a podobno i sam sztycharzem, wedle Nagler'a do 1600 r., a jak się tu okazuje do 1605. Święci wystawieni w całych postaciach, dokoła w medalijonach ich cuda. Następujący się tu mieszczą.

1. *Beata Salomea Polona Regina Haliciae ordinis S. Francisci, sepulta Cracoviae.*
2. *S. Hedwigis Regina Poloniae et Silesiae Duc. Monaca Cisteriensis.*
3. *Beata Kunegundis Regina Poloniae Vidua et Virgo ord. S. Francisci.*
4. *S. Florianus Martyr Dux militiae Patronus et protector Regni Poloniae.*
5. *Sanctus Adalbertus Archiep. Gnesnensis et Martyr, Regni Poloniae Patronus.*
6. *Sanctus Stanislaus Polonus, Episcopus Cracoviensis et Martyr.*
7. *Sanctus Jacintus Polonus de familia Comitum Odrowos, S. Dominici Socius et discipulus, et ordinis praedicatorum primus in Septentrione fundator.*
8. *S. Casimirus de Regia Jagellonia Stirpe, Casimiri Regis filius, Poloniae ac Lithvaniae Princeps et patronus.*
9. *Beatus Ceslaus Polonus S. Dominici discipulus, Socius S. Hyacinthi.*
10. *Beatus Joannes Cantius Polonus. S. T. D. in Academia Cracoviensi profess. et lector.*
11. *Beatus Stanislaus Kostka Polonus Societatis Jesu.*

Baroni Carlo. Sztycharz w Rzymie, mało znany, Nagler cytuje tylko jedną jego robotę; my znamy blachę znajdującą się w Warszawie, wystawującą drzewo, na niém herb *Janina* w około z obu stron po siedm herbów Polskich, zapewnie rodziny Sobieskich. Napis: *Paterni Sanguinis et Materni Decora* .. Podpis *Carlo Baroni Inci. Romae.*

Musiała to być rycina do jakiegoś panegiryku Sobieskim.

Barriere Dominik (Barrieri). Rysownik i sztycharz Włoski, aqua forti i rylcem, urodzony między 1610 a 1615 r., pracował w Rzymie do 1678.

Le Blanc (N. 9) cytuje jego:

Kazimiérz IV, król Polski, patrzący na postacie symboliczne, które mu przynoszą godła władzy królewskiéj.

Zobacz *Mar. Proszowski.*

Barrigióni Filip (Barigioni). Budowniczy i rysownik w Rzymie, uczeń Math. Rossi. Zajmował późniéj miejsce budowniczego kościoła św. Piotra, zmarł sześćdziesięcioletni w r. 1753.

Podług rysunków i planów jego. wiele w Rzymie wzniesiono gmachów i grobowców. Między innemi dawał pomysł pomnika Maryi-Klementyny Sobieskiéj, żony pretendenta.

Z jego rysunków w Rzymie wystawiono katafalk przy obchodzie pogrzebowym po Auguście II, królu Polskim; którego ryciny znajdują się w pięknem dziele wydaném w Rzymie 1733 r. pod tytułem:

Ragguaglio delle solenni esequie, fatte celebrare in Roma nella Basilica di S. Clemente, alla Sacra Real Maesta di Federigo-Augusto Re di Polonia, dall Emo e Rmo Signor Cardinale Annibale Albuni Protettore di quel Regno. In Roma, MDCCXXXIII (appresso Giovanni Maria Salvioni Stampator Vaticano)— *folio.*

Piękne bardzo wydanie z rycinami kart XXXV. Na początku portret króla.

Na tytule winijeta z rysunku Barigioni, sztychował *Paolo Post*, herby Sasko-Polskie, nad któremi pod koroną trupia głowa z dwóma skrzydłami.

(Sign. A²). Winietka z trofeów rycerskich złożona, nad nią orzeł z krzyżem papiezkim oznaczoną laską. *Sebast. Concha* inv. *Max. Limpach Pragensis* sc.

Na tejże stronicy litera L ozdobna, na któréj genijusz płaczący z zapaloną pochodnią, przy urnie siedzi.

— *Prospetto interiore della Porta principale della Basilica di S. Clemente ornata d'apparatto funebre in occasione dell' esequie per la G. M. di Augusto II Re di Polonia. Philip. Barigioni inv. et delin. Carolus Marchioni sc. Romae*, półarkusz.

— *Spaccato per il lungo della Basilica di S. Clemente ornata con apparato funebre in occasione delle solenni esequie per la gloriosa memoria di Augusto II Re di Poloniae fatte ete.* Z rysunku tegoż, sztychował Andr. Rossi 1733 arkusz podłużny. (Na katafalku cała stojąca figura królewska).

— *Prospetto della Tribuna sed Altare maggiore della Basilica di S. Clemente ornata d'apparato funebre per l'Essequie della G. M. di Augusto II Re di Polonia.* Z rysunku tegoż sztychował *Carolus Marchionni Archit.* w Rzymie.

Na końcu XIV stronicy drobna winijetka, wśród trofeów, pokonany jeniec wojenny, na niebie pioruny.

Przed tą stronicą w exemplarzu moim brakuje jak mi się zdaje ryciny jednéj.

XVII. str. Winijeta z godłami papiezkiemi bez podpisu sztycharza, a w literze C wielkiéj święty z barankiem i kotwicą (S. Klemens papież).

XIX. str. Winijeta, globus w pośrodku, przy nim dwa aniołki i inne ozdoby, sztychował *Limpach*, i litera L. powtórzona ta sama co w początku.

XXVI. str. Winijeta, trójnog, na którym płonie ofiara, dwa aniołki trzymają wieniec nad nią.

XXIX. str. Winijeta z kapeluszem kardynalskim w ozdobach. Wielka litera O.

XXXI. str. Winijeta z naczyniem, w którem płonie ofiara, po bokach dwa delfiny.

XXXV. str. Winijeta z głową w kasku, po bokach na trąbach wieniec i korona murowa.

Opisaliśmy to dzieło według naszego exemplarza pochodzącego z licytacyi duplikatów Bibl. cesarskiéj, lecz ten zdaje się nam niekompletny. Wydanie przepyszne.

Barski Bazyli. Barski był pochodzenia Małorossyjskiego, rodem Kijowianin, synem Grzegorza mieszczanina zwanego Barskim, Plaką lub Albowem. Wsławił się pobożnemi pielgrzymkami, które o jałmużnie z innymi podróżnymi do miejsc świętych odbywał. W r. 1723 d. 20 lipca opuściwszy Kijów, był w Galicyi, w r. 1724 w Węgrzech, Austryi, we Włoszech, w r. 1725 na wyspie Korfu i wyspach Archipelagu, w 1726 w Jeruzalem i Palestynie, w 1727 w Cyprze, Egipcie, w 1728 zwiedził Arabiję Skalistą, był na Sinai i w Suez, w 1729—30 powrócił do Jeruzalem, Syryi i Egiptu, w 1731—1732, przybył na wyspy Archipelagu, 1733—34 w Damaszku przez patryarchę Antyochii postrzyżony został na mnicha, i daléj ciągnął swe pielgrzymki, 1735—36 zwiedził Cypr, 1737 Patmos, gdzie lat sześć przebywał do 1743 r. Wezwany w tym roku do Konstantynopola przez rezydenta Rossyjskiego Wieszniakowa, opatrzony na drogę, puścił się na górę Athos, gdzie w r. 1745 opisywał monastery tutejsze i rysował ich widoki. Późniéj zwiedził Epir i Lewadyę, a w 1746 wrócił do Konstantynopola, gdzie już ani Wieszniakowa, ani przyjęcia jakie go wprzód spotkało nieznalazł. Prześladowany w skutek jakichś potwarzy, puścił się pieszo z Konstantynopola przez Rumeliję, Bulgaryę, Wołochy, Mołdawiję do Polski, i w r. 1747 d. 2 września powrócił do Kijowa, gdzie go rodzina zaledwie poznać i przyjąć chciała. Z puchliny w nogach po trzydziestu pięciu dniach, umarł 7 października, jak gdyby po to powrócił do rodzinnego miasta, aby na swojéj ziemi życie zakończyć.

Pogrzeb jego był wspaniały: z pięknym obrzędem uczciły go szkoły, do których uczęszczał (aż do klassy filozofii).

Po Barskim został dziennik podróży dzień po dniu utrzymywany i przeplatany rysunkami. Razumowski i arcybiskup Pskowski Symeon chcieli go drukować z rycinami, ale się to przeciągnęło a rękopism tymczasem zawalał się gdzieś. X. Potemkin późniéj dostawszy go wydał podróże, ale rysunki już się były rozeszły.

Sto trzydzieści sześć rozbiegły się po świecie. Część ich znalazła się u arcybiskupa Kurskiego Teoktysta, część u Pskowskiego arcybiskupa Symeona, część z biblijoteki x. Tauryckiego przeszła do Kazańskiego uniwersytetu.

W r. 1841 arcybiskup Chersoński i Taurycki Gabryel, ofiarował pięćdziesiąt rysunków Barskiego Odesskiemu Towarzystwu starożytności, które jeden na próbę wydało przy tomie I swoich Pamiętników. Pozostałe wyobrażają monastery i miejsca święte w Grecyi i na górze Athos. Rysunki te robione są piórem, a miarkując z wydanego niewyśmienite, ale zajmujące z powodu przedmiotów które wyobrażają, i tego co je robił wśród pieszéj podróży, o żebranym chlebie.

(Pam. Towarz. Odessk. staroż. T. I.).

Barszcz. Malarz rodem z Galicyi, znakomitego jak piszą talentu. Około r. 1800 malował mury wewnętrzne kościoła w Drohobyczy w okręgu. Samborskim. Nieszczęśliwym opętany nałogiem niebrał się inaczéj do pracy, aż kwartę gorzałki wychylił, bo na trzezwo głowa mu się kręciła. W robotach jego ma być wiele talentu, zarzucają mu tylko ostrość i przesadę w użyciu czarnéj farby. Umarł około 1814 r. Wspomniał o nim p. Rastawiecki.

Bartels Artur. Rysownik amator współczesny, osiadły w gub. Mińskiéj w pow. Borysowskim. Nieuczył się podobno nigdy i cały swój talent winien własnemu wykształceniu. Celuje w typach miejscowych, żebrakach, Żydach, chłopach i t. p. Widzieliśmy jego zakrystyana, odstawnego podporucznika, starego szlachcica. Rysunek niejest poprawny, ale talentu wiele. Wilczyński wydał w Paryżu u Lemercier'a jego szkice p. t. *Łapigrosz.*

Najpiękniejsze szkice znajdują się w Muzeum w Wilnie.

Bartłomiéj. *Bartholomaeus pictor* Krakowczyk, którego córkę wspominają akta Krakowskie (*Anna filia olim Bartholomaei pictoris.*) *Akta Radzieckie X. A. 5, str. 360*).

Bartłomiéj. Malarz na szkle, w Krakowie, *Vitreator*, osiadły w Krakowie. Był starszym cechu malarskiego w latach 1536 i 1539. (Xięgi Akt. Radzieck. X. A. 12, 703 i X. III. 14, 140).

W r. 1541 wspomniany tamże (X. IV. 15, 325, 334). Starszy cechu *Bartholomaeus Conard* może być tymże samym Bartłomiejem *Vitreatorem*. (Noty A. Grabowskiego).

Bartolan Stanisław. Sekretarz Zygmunta III, wyrysował i wydał obraz oblężenia i zdobycia Wolmaru— (*Wiszniewski T. VII, 556*).

Bartoli Francesco. Sztycharz rylcem, urodzony około 1675 r. w Rzymie, syn Pietro Santi Bartoli, także sztycharza, rytował z rysunku Giov. Bapt Cipriani, *Katafalk na cześć Jana III*, króla Polskiego.

Bartolini Lorenzo. Słynny rzeźbiarz we Florencyi, żyjący w naszym wieku. On robił nagrobek hr. Zamojskiéj z domu Czartoryskiéj, umieszczony we Florencyi w kościele *Santa Croce*, którego jest rycina.

Bartolozzi Franciszek. Sławny Sztycharz ur. we Florencyi 1750, zmarły 1813 w Lizbonie; robił igłą, a późniéj oddał się cały sposobowi punktowanemu. Długo pracował w Anglii.

Mamy jego:

1. *S. Franciscus Xaverius*, sztych in 4-to z obrazu Fr. *X. Paleko*, który się podpisał *Pictor Regis Pol. et Sax.*

2. *Marie-Christine Archiduchesse d'Autriche, Duchesse de Saxe, Teschin, Gouvernante Generale des Pays-Bas etc. dedié à Son Serenissime Epoux Duc Albert Prince Royal de Pologne et de Saxe. M. Rosslin pinx. Bartolozzi* sc. *1782*, popiersie.

3. Czasopism Ossolińskich wspomina o sztychowanym przez niego portrecie x. Henryka Lubomirskiego.

Bartnicki R. S. Malarz Lwowski, który dokończył w roku 1740 malowania wewnętrznego na murze w kościele xx. Bernardynów we Lwowie; o czém świadczy napis.

Bartoszewicz Antoni. Zakonu xx. Paulinów, minijaturysta i kalligraf, używany za Stanisława-Augusta do malowania herbów i ozdób na przywilejach szlacheckich. P. Sobieszczański cytuje taki jeden z r. 1764, z podpisem: *Scripsit et adornavit P. Antonius Bartoszewicz ordinis S. Pauli pr. Erem. in conventu Varsaviensi Pater Senior. A. D. 1764, aetatis suae 54, diebus Decembris. Varsaviae.*

Urodził się więc w r. 1710.

Bartsch Adam. 1757—1821, sławny sztycharz i pisarz o sztuce, szczególniéj o dziełach malarzy-sztycharzy, o których wydał wielki i obszerny zbiór badań.

Mamy jego:

„*Attaque d'une des cotés de la forteresse d'Oczakow*, z rysunku *Casanov'y* (millim. 760 i 654). Są odbicia bez podpisu, zapłacono jedno na licytacyi Sternberga 7 thlr.

Czy jego lub innego Bartsch'a?

— *Polnische pferde*, fol. aqua forti. *Pforr del. Bartsch sc.*

Bartsch Johann-Gottfried. Urodzony w Świdnicy na Szląsku, nadworny sztycharz w Berlinie, około r. 1680. Żył jeszcze w 1684.

Mamy jego:

1. *Maria-Anna Radziwiłł*, w 16-ce, *Bartsch* sc.
2. *Boguslaus Radziwiłł*, tenże format.

Bartus. Rysownik, może Bartosz? —

J. Lauras z rysunku jego sztychował: *Aquila SS. Patronum Regni Poloniae de Monte Calvaria Zebrzydovien. Bartus delima vit. Jacob. Lauras fecit.* Kopija tego rysunku jest w zbiorze A. Batowskiego (N. 2).

Portret fantazyjny zapewnie rysował S. Morawski (w zb. *Batowskiego*— 2670).

Bary Hendrick. Sztycharz rylcem i aqua forti w Antwerpii ur. 1625, pracował od 1659 do 1670. Mamy jego portret Lubieniecckiego.

Tegoż: *Vincintus Fabricius*, w 8-ce, M. *Thiel delin.* H. *Barij sc.* Podpisywał się czasem: IvB.

Baryczka Stanisław. Na Małachowicach i Czosnowie dziedzic, podczaszy Czerniechowski, otrzymał na sejmie 1658 r. indygenat. „W architektonice był biegły, dla czego Jan-Kazimiérz, w Zborowskiéj, Beresteckiéj, Żwanieckiéj siła na nim polegał. Jego pomysłem Szwedom Toruń, Kraków i Warszawę odebrał, szczęśliwy w pu-

szczaniu ogniów, stawianiu machin, min podsadzaniu.“ Żył jeszcze w r. 1680.

Basilius. Drzeworytnik, którego znamy rycinę arkuszową (małe fol.) podpisaną *Basilius sc.*, wystawującą obraz N. Panny Krakowskiéj *in arenis*, z widokiem kościoła i postaciami Jadwigi i Jagiełły.

Jeden exemplarz ze zbioru p. T. Żebrawskiego przeszedł do Gw. Pawlikowskiego, drugi jest w zb. A. Batowskiego (N. 427).

Przed obrazem klęczący król i królowa, mają u nóg herby i podpisy: *D. Vladislaus Jagiello Rex fundator a. 1390. D. Hedvigis Regina fundatrix.*

Podpis: *Diva Virgo Carmelitana in arenis miraculis in Regno Poloniarum celeberrima, a devoto Sacerdote Carmelita in muro templi depicta, in multis conflagrationibus intacta et illaesa, lumine caelesti et angelorum concentibus urbi civibusque manifesta, post Sueticam Coenobii arenensis desolationem, integra reperta, multorum vita functorum potentissima Resuscitatrix, infirmorum praesentissima salus, omniumque afflictorum Singulare solatium.*

Są i inne napisy (*Carmeli Cracov. Templi et Capellae miraculosae Typus*).

Z napisu widać, że artysta żył około r. 1670 (?).

Bass. Johann. Jestli to naźwisko całe czy skrócenie naźwiska sztycharza? niewiadomo. To pewna, że go piérwszy zacytował Heincken (T. II. 219), a dokładniéj robotę jego wzmiankowaną przez piérwszego opisał *Blanc.*

Heincken podaje portret jego:

— *Vladislas-Sigismond Roi de Pologne.— J. Bass. fec.*

Blanc tenże portret opisuje, pisząc, że robiony był w Elblągu w 1638 i sztychowany rylcem, (wysok. 158 millim. i 128). Podpis ma być łaciński: *Vladislaus D. G. Rex Pol. 1638).*

My oprócz téj roboty znamy jego *wielki widok Gdańska z r. 1652*; działalność więc sztycharza zamyka się latami 1638—1652 w Elblągu i Gdańsku.

Bassetti M. Naźwisko malarza, który malował portret Kopernika (1512 r.), litografowany przez Letronn'a 1823 i sztychowany przez Scheffera.

Niéma wątpliwości, że to jest Marco *Basaiti*, który się różnie podpisywał (*Baxaisi, Basarini*), żył w Wenecyi i tam na równi prawie stał sławą z Bellinim. Pochodził z Friulu. O nim zobacz *Naglera T. I. 310.*

Bassano Alexander. Wspominamy go tu jako wydawcę ciekawéj i rzadkiéj xiążeczki, opisującéj wjazd królowéj Bony do Padwy w r. 1556:

Dichiarazione dell' arca fatto in Padova alla venuta della Regina Bona di Polonia 1556, Padova.

Batłowski A. (Batlowsky). Heincken zowie go malarzem Polskim, i pisze, że pracował w Dreźnie, w końcu XVII w. Zowie go także *Patlowsky*. *Nagler* (I. 319) ma go za Czecha. Z niego sztychował Borclenehr portret *Jerzego Mister*, ogrodnika dworu Saskiego, i *Stefana Pilarick* w r. 1698.

Batowski Alexander (hrabia). Znaleść tu powinien miejsce, jako twórca i posiadacz dość znacznego zbioru rycin i rysunków krajowych. Do niego wpłynęły w r. 1845, dwa inne oddzielne, Kajetana Kwiatkowskiego, wizerunki sławniejszych Gdańszczan (zebrany w Warszawie) i Konstantego Macewicza z Krakowa.

Nabycia te wraz z początkowym zbiorem Batowskiego utworzyły kollekcyę do dwunastu tysięcy sztuk wynoszącą, obejmującą portrety, sceny historyczne, ubiory, widoki, plany, medale i t. p. Zbiór ten w ostatnich latach godnym naśladowania przykładem wystawiony był na użytek publiczny w zakładzie Ossolińskich, konserwatorem jego był S. Morawski.

Katalog zbioru tego do nówszych czasów tylko pisany i łaskawie nam udzielony, wielką nam był pomocą do słównika, winniśmy go równie jak spis zbioru Ossolińskich uprzejmości p. Jana Szlachtowskiego ówczesnego kustosza i konserwatora S. Morawskiego. Układ zbioru w sposobie illustracyi do historyi, cały chronologiczny; ma on swoje korzyści, ale ma i niedogodności, amatorski raczéj niż artystyczny, rozpierzchłych dzieł jednéj ręki niedozwala osądzić zbliżeniem i porównaniem.

Zbior ten, który do piękniejszych w kraju liczyć się może, przeciąża też mnóztwo niekoniecznie potrzebnych dodatków. Tak naprzykład naliczyliśmy kilkanaście portretów Ludwika XIV.

Dzieło Falka wielce tu niekompletne, Hondius niecały, Morawy, Szymonowicza, Lubienieckiego bardzo mało.

Batowskiego Al. wizerunek, przy życiorysie Kaj. Koźmiana w *Przyj. Ludu, R. XIII, N. VI*, (urodzony w r. 1760).

Battoni *Pompeo Girolamo*, 1708—1787. Najlepszy i najsławniejszy malarz swojego czasu, co jednak stosunkowo go tylko zaleca.

Malarz ten, który oprócz większych kompozycyj robił wiele portretów, malował i dla Polski. Kilka prac jego w galeryi Willanowskiéj.

— *Izabella Potocka* (Willanów, 485) zmarła 1782.

— *Stanisławowa Potocka* (tamże, 416) Rzym. 1778.

— *Ignacowa Potocka* (tamże 419) w r. 1778..

— *Stanisławowa Potocka* (tamże, 476).

— Malował także portret *hr. Rzewuskiego marszałka dworu* (z kapeluszem pod pachą, cali 26½ i 22), którego kopija była w galeryi Stanisława-Augusta. (Katalog n. 80, oceniona 15 dukatów).

Zobacz *Mar. Pitteri* (portret T. Burzyńskiego) i *Dom. Cunego*.

Baudarth Paweł. Budowniczy, który w latach 1603 do 1609 (d. 4 październ.) doglądał budowy Kalwaryi Zebrzydowskich. Belgijczyk,

syn architekta z Antwerpii, lubo go rękopism cytowany przez p. Łepkowskiego (Kalwarya) zowie „*noster Calvariensis*“.

Nazwisko *Baudarth* ma pan Łepkowski za rodzaj przydomku, nie za rodzinne jego nazwanie.

Wspólnie z Bernardonem, kierował fabryką w Kalwaryi. O nim następne słowa, przywodzi p. Sobieszczański z dzieła pod tytułem *Kalwarya, (Kraków, 1632)*:

„A iż (Bernardonus) często musiał odjeżdzać do fabryki Krakowskiéj (kośc. św. Piotra), a tu potrzeba było zawsze magistra. oto nadspodziewanie z Bozkiéj opatrzności Paulus Baudarth Belga się nalazł, za którego dowcipem tak wielka machina na Kalwaryi stanęła, i ten Paweł wszystko umiał, każde rzemiosło mógł robić. Był wzgardzony u wszystkich, żaden z nim towarzystwa niemiał, żaden go doskonale zrozumieć niemógł dyskursującego o fabryce, oprócz samego jmci (Zebrzydowskiego). Na żadną się robotę niezdał potrzebny choć wszystko umiał, tylko na roboty koło tutecznéj fabryki, jakby się urodził na to. Dla tego jmść mówił: Niejest bez wielkiéj ordynacyi Bozkiéj, ja którym przez wszystek wiek swój i komina jednego niezmurował w domu moim, a z tym Pawłem tak wieleśmy na Kalwaryi zmurowali.

Był ten Paweł Katolik wprawdzie, ale nienabożny. Rzadko się spowiadał, w kościele nieczęsto bywał, powiadając, iż dosyć na tém miał gdy dla drugich kościoły murował, rzadko trzezwy był. Także też jmść o nim mówił: Niedziw, że nasz Paulus tak wiele pije, bo pospolicie mówią, że najlepszy rzemieślnik bywa największy pijanica, a on, iż tak wiele rzemiosł umie, powinien pić od każdego rzemiosła. I dziwował się częstokroć jmść jako ten Paulus mógł mieć taką intencyę niebędąc trzezwym, na wystawienie tutecznéj fabryki.“

Rpm p. Łepkowskiego wspomina o zębach metalowych, robionych przez niego dla Zebrzydowskiego, któremi on mógł jeść wygodnie.

Baumann. Stukator za Stanisława-Augusta, z pomocą synów, wykonał i poutwierdzał w kaplicy Potockich w katedrze Krakowskiéj mozaiki, rozety i inne ozdoby.

Baumann Elżbieta (Elisa). Córka obywatela Warszawskiego, właściciela fabryki kart (na początku Alei), wielkich talentów i znakomitego ukształcenia, a dziś wielkiéj już sławy artystka.

W r. 1844, były jéj obrazy już na wystawie Berlińskiéj, szczególniéj uderzał jeden, Polskich chłopków na zwaliskach chaty, którą wojna zniszczyła.

W r. 1845, na wystawie Warszawskiéj, portret własny artystki w Rzymie robiony.

W r. 1846, na tejże wystawie otrzymała medal srebrny drugiéj klassy.

„Roboty p. Baumann, pisał około tego czasu p. Smokowski, są u nas zjawiskiem tak ciekawém, iż prawdziwie zdumieni, niedowierzamy aby ręka ludzka je malowała. Portret kobiety w czarnéj atłasowéj sukni jest arcydziełem.“ Prace jéj od r. 1844 w Berlinie zwróciły oczy i poczęły się liczyć do najznakomitszych współczesnych.

Wkrótce artystka wyszła w Rzymie za mąż za pana Jerichau Adolfa, rzeźbiarza, i zupełnie dla sztuki krajowéj straconą została, obrawszy sobie za ulubiony przedmiot sceny z życia ludu Włoskiego, w których jest nieporównaną.

Na wystawie w r. 1850 w Berlinie, obraz jéj (skończony w r. 1845 jeszcze) *Włoszki w studni*, zachwycał wszystkich prawdą, sumiennością użytych studyów, pięknością rysunku i artystycznością wykonania.

Zobacz o niéj i jéj obrazach *Conversations-Lexicon für bild. kunst.* artykuł *Genre malerei* (str. 340).

Baumgarten Gustaw-Fryder. Malarz historyczny i portretowy, uczeń Hartmanna w Dreźnie; roboty jego z rysunku i kolorytu dość być mają cenione. Pracował wiele w Polsce przed rokiem 1823, w którym udał się do Rzymu. Żyje teraz w Bolonii.

Bause Joh. Fried. Sztycharz aqua forti, rylcem i punktami, sposobem ołówkowym i czarnym. Urodzony w Halli 3 stycznia 1738, pracował w Halli, Paryżu, Augsburgu i Lipsku, umarł w Wejmarze 1814 r.

Znamy jego następujące prace:

1. Organy w Rydze, sztych bardzo rzadki, wykonany w r. 1759.
2. Dorothée Duchesse de Courlande, z obrazu Ant. Graff. 1793, (wysokości 290 szer. 208 millim).
3. Stanisław Leszczyński król, ze czterma wierszami Niemieckiemi u spodu, podpisany tylko *B. sc. in Hall*, cytuje go Heincken (bez imienia malarza), (millim. 139 i 39). Nagler także (*I. 331*) i *Blanc.*
4. *Fridericus-Augustus Elector Saxoniae*, z obrazu *Ant. Graff.*, arkusz. *Lipsiae* 1769, (264 millim. i 194). Są i bez podpisu.
5. Katarzyna II. cesarzowa, z obrazu *Schütze* 1762. Rzadki sztych, (millim. 225 i 163).
6. Paweł I. cesarz, 1762 r. (millim. 228 i 165), (na licytacyi Rost'a, 1 thlr. 2 gr., Winckler'a 1 thlr.).
7. *Piotr I. cesarz*, z *S. le Roy* 1786, (millim. 357 i 255). Piérwsze odbicia bez podpisu bardzo rzadkie (bez ram owalnych i kwadratowych). Drugie są bez podpisu z ramami. Trzecie z podpisem. (Piérwsze na licytacyi Rost'a 3 thlr.).
8. *Piotr III.* cesarz, z *Schütze 1762*, (millim. 223 i 164), sztych rzadki.

Sztychował niektóre roboty *Lisiewskiego*, zob. *Lisiewski.*

Bawłotowski. Mierny malarz portretowy, który dożywał resztki starości swéj w Kolcinikach u Ratomskich na Wołyniu; roboty jego na Wołyniu. (Nota p. F. Wtorzeckiego).

Bayr (Bair, Bayer) Melchijor. Doppelmayer a za nim Nagler wspominają o tym artyście-złotniku Norymberskim, który się wsławił swemi trybowanemi robotami. Zmarł d. 3 sierpnia 1577.

Robił on dla Zygmunta I srebrny ołtarz, dla sztuki w płaskorzeźbach wysoce ceniony; jedno z celnych dzieł artysty. Niektóre przy-

gotowawcze snycerskie roboty rzeźbił dla Bayra w r. 1546 zmarły Piotr Flötner.

Ołtarzyk ten (jeśli ten sam) znajduje się w katedrze Krakowskiéj Ma on wysokości łokci cztery, a szerokości trzy, cały srebrny szafiasty, u góry półkolisto zakończony. W r. 1650 szacowano go na srebro 300,000 zł. Na drzwiach zamkniętych widać w czternastu na drzewie malowanych obrazkach, tajemnice Męki Pańskiéj, na piętnastym Wjazd do Jeruzalem. Znawcy malowania te przypisują szkole Florenckiéj, z pocz. XVI w. Gdy się ołtarz otworzy widać w nim dwanaście srebrnych wyzłacanych obrazów, przepysznie wykończonych. W środku: Narodzenie Chrystusa— Trzéj królowie— Objawienie— Oczyszczenie. Na drzwiach z lewéj strony: Obrzezanie— Zacharyasz— Elżbieta; na prawéj: Zwiastowanie— Ofiarowanie— historya św. Wojciecha. Z obu stron są na ścianach bocznych orły Zygmuntowskie; po bokach także medalijony: Zygmunt I i Zygmunt II król Polski.

Bazeth Lorenc. Włoch, za Stefana Batorego zakładał ogród w Łobzowie; mieścim go tylko dla pamięci.

Bazyli ze Lwowa. Malarz Rusin, który wedle wspomnienia o nim w *Gazecie Krakowskiéj 1830* (N. 133), bawić miał przy dworze Jana III, i posiadał znakomite artystyczne ukształcenie. Jemu przypisywano, obrazy w kościele farnym w Żołkwi, (ale widocznie fałszywie), wystawujące sceny z wojny Tureckiéj.

W cerkwi Bazylijanów w Krechowie są jego obrazy: *Chrystus* i *N. Panna*. W cerkwi Bazylijanów Krasnopustyńskich cały Ikonostas jego ma być roboty.

Beatrice Mikołaj (Beatrizet, Beautrizet). Sztycharz Francuzki, który żył około połowy XVI w. Prace jego i życie dotąd niedość zostały wyjaśnione. Bartsch, który piérwszy pisał porządny katalog dzieł jego, domyśla się, że urodził się około 1520, umarł około 1570 r.

Wszystkie dzieła jego są bardzo rzadkie, a do najrzadszych może policzyć trzeba, ciekawy dla nas *poczet królów Polskich* w medalijonach spoczywających na orłach (czy na jednym orle?). Wielkie folio z podpisem *Reges Poloniae*. Arkusz ten ceniony i za granicą, u nas prawie nieznany, cytuje *Heincken* (*II. 272*).

Beauplan (*Guillaume le Vasseur de*). Francuz, rodem z Normandyi, służył w Polsce za Zygmunta III i Władysława IV przez lat siedmnaście, inżynierem, dowódzcą artyleryi, budowniczym wojennym. Z hetmanem Koniecpolskim odbył wszystkie wyprawy Ukrainne. Powróciwszy do Francyi wydał wyborny Opis Ukrainy i sąsiednich krajów w r. 1650, naprzód w stu tylko exemplarzach dla przyjaciół odbity, potém przedrukowany w Rouen u Piotra Caillou.

Przy obu wydaniach, powinna być dodana mappa Beauplana sztychowana przez W. Hondiusa, ale téj najczęściéj braknie, a w przedmowie wydawca tak się nawet tłómaczy:

„Cher Lecteur! Il y a dix ans (1650) que l'Autheur de ce livre

me fit imprimer une centaine d'exemplaires, qui seulement furent presentés à ses amis; mais parceque beaucoup de personnes après l'avoir veüe ne l'ont trouvé desagreable, ains au contraire en ont parlé fort avantageusement comme meritant une seconde et plus ample impression. J'ai cru que satisfairant à leur particulière curiosité, je ne ferais point de tort au public si je la faisais reimprimer, et plus ample et plus correct; ce qui m'a obligé de prier instamment l'autheur d'icelui que s'il avait quelque autre traicté dont il se peut ressouvenir, il me le vouluit donner, ce qu' il a fait très volontiers, non toutefois sans un très particulier deplaisir de n'avoir peu faire et j'acquite de la promesse qu'il avait faites de la precedente impression d'y adjouster la Carte generale de la Pologne, les figures, tant des hommes, animaux brutes, que des plantes et autres choses rares que l'on voit et remarque en ce pays, le moyen lui eu ayant esté osté par la mort de son graveur Guillaume Hondius, par qui il en avait fait graver toutes les planches lesquelles le Roy de Pologne a retirées de la main de sa veuve» etc.

W wydaniu 1660 r. są tylko następujące i to bardzo liche drzeworyty:

1. Monety znalezione w Kijowie (str. główna popiersie męzkie rozdzielające napis NIV—SP. Str. odwrótna: litera M wielka, nad którą krzyż Grecki na prawo, gwiazda na lewo o sześciu promieniach.
2. 136 str. Tatarskie wozy i namioty przewoźne.
3. (48) Drogi pochodów Tatarskich.
4. Drogi Tatarskie.
5. Sposób przebywania rzek.
6. Czółen Kozacki (czajka).
7. *Polne* namiot kozacki od komarów.
8. *Polne* couvert.

Karta Ukrainy Beauplana nosi tytuł następujący: *Carte d'Ukraine, contenant plusieurs provinces comprises entre les confins de Moscovie et les limites de Transilvanie, dressée par Guillaume le Vasseur Sieur de Bauplan Ingenieur et Capitaine d'artillerie du Serenissime Roy de Pologne.* Z téj mapy kopija przy tłómaczeniu Beauplana T. III Zbioru Pamiętników Niemcewicza, nosi tytuł Łaciński i podpis Hondiusa. Taż mapa u p. *Caillou* osóbno odbita, tytuł i herb Polski, w Paryżu u Marietle 1665, w różnych formach i bez daty, z odmiennym tytułem 1674. Także przy jedném z dzieł p. Skalkowskiego.

Mapa całéj Polski Beauplana nosi tytuł: *Nova totius Regni Poloniae, Magnique Ducatus Lithvaniae cum suis Palatinatibus, ac confinios exacta delineatio per Guilhelmum le Vasseur de Beauplan S. R. M. Pol Architectum Militarem et Capitaneum. Amstelod. apud Danckerum Danckerts, 1651, fol.* Inne wydanie tamże, w Norymberdze u Jak. Sandrart, fol. maj. mniejsza u Szymona Starowolskiego Polonia, Wolfenbüttel 1656, 4-to, w Kolonii u Jana-An-Kinckium, 1657, 8-ce, u Filippa Kluwera, 1694, 1697, 1729, kilkakroć, przy Pellaryuszu Amstelodami, 1659, 12-mo, w Chwałkowskim i t. d.

Beauvarlet Jacques Firmin. Sztycharz, pracujący od roku 1731—1797.

Mamy jego:

Ant. M. de Chaumont de la Galaisière, Chancelier du roi de Pologne. owal, (millim. 202 i 163), bez podpisu sztycharza. (Cette pièce a été imprimée dans un passe-partout— *Le Blanc*).

Beber Jan. Cieśla i budowniczy królewski, za Jana III, który całą wieżę Ratuszową Krakowską za pomocą szruby o dwanaście łokci nad mury podniósł niespuszczając z niéj dwóch wielkich dzwonów, z sześnastą tylko użytemi do tego pomocnikami Był to Prusak rodem, w początku prosty cieśla tylko. Zacherla radzca ówczesny Krakowski, w swoich notatkach, zowie go człowiekiem poczciwym, trzeźwym, wiernym i życzliwym (1686). Solski geometra wspomina go jako *sławnego* budowniczego.

Później w r. 1695, we Lwowie wieżę Ruską, zwaną Korniaktowską, znacznie nadwerężoną oblężeniem 1672 roku, z polecenia Jana III restaurował. Żubrzycki pisze, że i *abrys* na nię wydawał, i że go sam król Jan III do téj pracy wyznaczył. Zdaje się więc, że z cieśli wyszedł na budowniczego.

Bechon Karol. Oficer wojsk Polskich, minijaturzysta, który rysował portrety, malował minijatury i większe kompozycye z obrazów kopijował aquarellą. Gröll w ciekawych swoich notatach, pisze o nim, że niebył bez talentu, ale zbyt roboty swe wylizywał i więcéj był ceniony przez amatorów niż przez prawdziwych znawców. P. Rastawiecki wspominając o nim dodaje, że żył za Stanisława-Augusta i umarł w Warszawie d. 16 kwietnia 1812 roku będąc wdowcem, a lat życia licząc ośmdziesiąt. (Sepultura w parafii św. Krzyża). Niewiem czy nie o innym lub z omyłką w dacie wspomina mi w notatach swych p. T. Żebrawski, że w r. 1825 mieszkał w Zawadach pod Tykocinem w dobrach żony swéj, *primo voto* Rembielińskiéj.

Dwa te podania tém bardziéj się niezgadzają, że p. Rastawiecki opowiada jakoby oprócz malowania minijatur zajmował się dawaniem lekcyj prywatnych rysunku i kilku uczniów usposobił.

Podpisywał się zwykle na pracach swoich odwróciwszy nazwisko *Nohceb*. Tym sposobem podpisał portret x. Zajączka (noty p. A. Grabowskiego).

Z kompozycyj religijnych jednę tylko wymienioną znajdujemy:

— *Zdjęcie z krzyża*, grupa z trzynastu figur z kompozycyi Jouvenet'a, na pergaminie, (cali 10 i 8½, robione w r. 1805).

Mitologiczne i z historyi starożytnéj:

— *Dziewica* oddająca cześć Kupidynowi, z *Greuze*, na pergaminie, (cali 7 i 5).

— *Kąpiel Dyany*, *Przemiana Akteona*, według Albana, grupa figur jedęnastu, na pergaminie, (cali 10—8½).

Portrety:

— *Czartoryska* Izabella z Flemingów xżna.

— *Kościuszko* Tadeusz (u bar. Rastawieckiego).

— *Katarzyna II*, cesarzowa.
— *Kiliński*, szewc, późniéj półkownik 1794 r., (u bar. Rastawieckiego).
— *Mniszchowa* z Zamojskich Urszula, marsz. w. kor.
— *Nelson*, admirał.
— *Ogińska* Alexandra xżna z xxżąt Czartoryskich, hetman. w. Lit. (primo voto Sapieżyna podkancl. Lit.), u bar. Rastawieckiego.
— *Poniatowski* Stanisław-August (kilka razy).
— *Poniatowski* Michał, xżę prymas.
— *Poniatowski* Stanisław, xżę podskarbi w. Lit. (u bar. Rastawieckiego).
— *Suwarow*, generał, (u bar. Rastawieckiego).
— *Szymańska*, regentowa.
— *Tyszkiewiczowa* Marya-Teressa, referend. Lit. (u bar. Rastawieckiego).
— *Tyszkiewiczowa* Konstancya, marsz. w. Lit.
— *Zamojska* z Poniatowskich Ludwika, wdzina Podolska.
— Rodzina panująca Saska, jedenaście portretów, między niemi: *Fryderyk-August* w młodości, *xiążę Antoni* brat jego, *xżę Maxymilijan* drugi brat, i *Marya-Amelija*.

Beck Tobias-Gabriel (Beckh). Sztycharz w Augsburgu, około 1710, który wiele bardzo robił portretów. Jego jest:
Johann Hevelius.

Beck (Bech) A. A. Jego jest: *Stanislaus-Augustus Rex.* A. A. *Bech fecit. Brunswig.*

Beck G. W. Sztychował portret Rozyny Lisiewskiéj, *zob. t. imie.*

Beck *Conradus.* W r. 1585, *Beck Conradus gemmarum praetiosarum incisor* w Krakowie, przyjął prawo miejskie.

Beerski (de). Malarz, Polak, żyjący we Francyi. W *Illustration* 1852 r. Listopad, pomieszczone są z rysunku jego robione trzy portrety *Abd-el-Kadera* i dwóch jego towarzyszów.

Beffka Reihhold-Jan Jeden z budowniczych kościoła Ołyckiego na Wołyniu, w latach 1635, 1640.

Beger Carl. Litograf w Dreźnie, którego jest:
„Prinz Joseph Poniatowski wird nach gehaltener Revue von einigen Rathsherrn von Zittau zu einer Erfrischung eingeladen, d. 30 Junii 1813. Litografija w dwóch tonach odbita.
Xiążę Józef na koniu w stroju ułańskim, otoczony wielką świtą oficerów, przed nim obywatele i radzcy miasta z odkrytemi głowami, w dali widać wojsko piechotę i jazdę naprzeciw siebie (*Carl Beger fecit.* folio). Litografije te na tle szarém z białemi światłami, rozdawane były przez Sejdlitza w Krzemieńcu osobom mającym udział w wybrukowaniu miasta, na pamiątkę.

Behem Hans (*Behm*, *Böheim*, *Beham*, *Bohemus* i t. p.). Zwany Joannes *Behamus* i *Bohemus*, rodem z Norymbergi, sławny

odlewacz bronzów, dzwonów i dział, pracujący w Polsce od r. 1505 do 1530, około którego umrzeć musiał.

O życiu jego i stopniu pokrewieństwa z rodziną Norymberskich artystów tegoż nazwiska niedokładne jeszcze mamy wiadomości.

W r. 1505, zdaje się, że on (Jan syn Sebalda) odlewa wielkie działo, zwane *Sową*.

W r. 1518, piérwszy wszakże raz widzi go występującego Ambr. Grabowski (*Hannes Behem Böxe magr.*).

W r. 1520, odlewa piękny dzwon do katedry Krakowskiéj, zwany Zygmuntem, na którym w płaskorzeźbie jest popiersie Zygmunta I, po bokach orzeł i pogoń.

W r. 1530, jeszcze wspominany w Aktach, jako *Tormentarius regius vel Tormentorum regiorum praefectus*.

W r. 1533, wdowa już tylko po nim ukazuje się (*honesta Elizabet Joannis olim Behem pixidarii, tormentorum Regiorum Magistri, relicta vidua*) kwitująca z odebranych od exekutorów testamentowych 400 złt.

Behm Jerzy. Mincarz w Wilnie, za Zygmunta-Augusta. Czy sam wyrzynał stęple, czy tylko dozierał mennicy, niewiadomo.

Bejer Henryka (Beyer). Znakomita w swoim rodzaju artystka, malująca kwiaty i przedmioty martwe z wielkim talentem.

Kilka jéj robót posiada p. Bejer, sławny fotograf w Warszawie; niektóre kompozycye były litografowane, (w Warszawie).

Portret jéj, zobacz *Minter*.

Na wystawie Warszawskiéj 1823 i 1838 roku były jéj kwiaty, powszechnie chwalone.

Bełdowski *Franc.-Xawery*. Drzeworytnik we Lwowie, urodzony w Gorlicach w r. 1816, zmarły we Lwowie w r. 1850 d. 5 maja. Był najprzód nauczycielem szkółki normalnéj w Pilźnie. W r. 1846, dla osobistéj zażyłości z kumem swoim Józefem Kapuścińskim, skompromitowany został i wiele z tego powodu przecierpiał. Uwolniony w r. 1847, niepowrócił już na swą dawną posadę do Pilzna i osiadł we Lwowie. Winc. Pol znając go dawniéj, talent ten odgrzebał, i polecił, nastręczając mu roboty. W początku haftem swéj żony, potém rytowaniem na drzewie, ubogo się utrzymywał. Próby jego w tym rodzaju początkowe, dokonane były prawie na oślep, bo się nigdy ani rysować, ani rytować nieuczył, i całe ukształcenie artystyczne winien był sobie.

Piérwszą jego pracą była głowa z rysunku S. Morawskiego na drzewie, według kopii p. Krasickiéj, wystawująca *Piotra Kmitę*, (*do Bibl. Ossolińskich*, 1847 r.). Rycinę tę robił prostym nożykiem niemając jeszcze narzędzi.

Wkrótce poznawszy się z ludźmi, co mu drogę wskazali, z narzędziami i mechaniczną częścią sztuki swéj znacznie postąpił w drzeworytowaniu, jak to widać na głowach Żołkiewskiego i Czarnieckiego. Umieszczony jako urzędnik przy zakładzie Ossolińskich, spokojniéj mo-

gąc pracować, coraz się doskonalił; i począł wydawać *Przyjaciela dzieci*, pismo peryodyczne z drzeworytami, z których wiele jest wcale dobrych. Szczególniéj umiał zachować czystość rysunku i obrysów; co poświadczają dobre drzeworyty królów, umieszczone w Przyjacielu i osóbno na arkuszu odbite z textem, przez Kajet. Jabłońskiego.

„Dwie ma trudności do zwalczenia, pisał o nim S. Morawski do mnie, rysunek i zdrowie. Piérwszego się trochę uczy, ale zdrowie całkiem zniszczone w skutek doznanéj wilgoci, cierpiał z niéj na artrytyzm.„

Drzeworyty jego w znacznéj dość liczbie znajdują się w dwóch tomach *Przyjaciela dzieci*.

Oprócz tego znamy:

1. *Piotr Kmita*, marszałek w. koronny, z obrazu współcześnego w zamku Leskim w ziemi Sanockiéj, z rysunku Laury Krasickiéj, do Bibl. Ossolińskich 1847.
2. Św. Stanisław Żółkiewski z nagrobku w Żołkwi.
3. Stefan Czarniecki.
4. *Królowie Polscy*, wielki arkusz, z Przyj. dzieci osóbno wydany, (1848 r.).
5. Plan okolicy *Pleśniska*— (nota T. Żebrowskiego).

Bella (Stefano della). Malarz i sztycharz, aqua forti i rylcem, urodzony we Florencyi d. 18 maja 1610 roku, syn rzeźbiarza Francesco della Bella, uczeń Cezara Dandini, potém sztycharza Canta Gallina. Pracował we Włoszech od r. 1620 do 1639, w Paryżu od r. 1640 do 1650, (w r. 1646 był w Hollandyi), w 1650 powrócił do Florencyi i tu umarł d. 22 lipca 1664 r. Podpisy jego monogramy są następujące:

S. B. S. D. B.

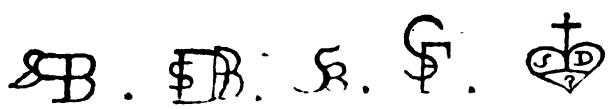

Katalog robót jego sztycharskich wydał w Paryżu *Charles-Antoine Jombert 1772, 8-vo*, pod tytułem: *Essai d'un Catalogue de l'oeuvre d'Etienne de la Belle, peintre et graveur Florentin, avec la vie de cet artiste, trad. de l'Italien de p. Baldinucci et enricti des notes* (8).

Dzieło jego składające się z 400 do 600 sztuk, zawiera wiele strojów, głów, figur, Polskich. (U Mariette dzieło te z rozmaitemi odbiciami wynosiło 1,500 sztuk).

Głównie nas obchodzący jest wjazd Ossolińskiego do Rzymu w r. 1633; ale della Bella uderzony widać malowniczym strojem i fizyonomiją Polaków, dostawił oprócz tego wiele studyów Polskich.

Rysunek oryginalny do pięknéj i sławnéj ryciny wystawującéj wjazd Ossolińskiego, posiadał Mariette, ze zbioru jego sprzedany był za 900 liwrów.

Wjazd ten składa się z sześciu arkuszy w sposobie długiéj fryzy (2,630 millim. i 153) w odbiciach piérwszych, adres: *Augustinus*

Parisinus et Jo. Bapta Negropontes form. Bononiae, drugie są z adresem *Rossi.*

Nadpis: *Entrata in Roma del Eccmo Ambasciatore di Polonia l'anno MDCXXXIII*; przypisano Wawrzyńcowi Medyceuszowi (*Giovanni Jacomo de Rossi, le stampa in Roma alla pace*). Pomimo piękności i ciekawości téj ryciny, niebyła ona nigdy zbyt wysokiéj ceny, najwyżéj 30 fr., a odbicia późniejsze przedawały się u Weigla po półtora talara. Na licytacyi *Brandes* 1 Rthlr. 12 gr.

Ciampi w swoich *Notizie* pisze, że miał malowany wjazd Ossolińskiego przez ucznia Antonio *Tempesta*, długi stóp 6, szeroki 2, wraz z innym wjazdem posła Polskiego do Konstantynopola tegoż artysty i trzecim podobnym, wystawującym kawalkadę w Rzymie papieża Alexandra VII.

Kopija, a raczéj przerobienie z della Belli, przez Canalettego i Bacciarelli, w zbiorze Ossolińskich, we Lwowie.

O tym wjeździe jest z Włoskiego na Polskie tłumaczona broszura: *Sławny wjazd do Rzymu* i t. d (4-to).

W liczbie studyów i mniejszych sztychów, bardzo wiele jest Polskich.

— Otyły Polak z głową odkrytą.

— Polak, widziany wprost, głowa w czapce.

— Polak, patrzący w prawo (*Israële excudit* rzadkie).

— Dwóch Polaków, jeden konno, drugi pieszo, opodal stojący trzeci, mała rycinka kwadratowa, bez imienia sztycharza, w sposobie Callot'a.

— Polak stojący, w ręku trzyma toporek (*mape d'armes*), z podpisem: *Turc.* (1662?).

— Pachołek Polski (valet Polonais) na koniu wśród rzeki, z koniem powodnym.

— Czterech Polaków, jeden konno, w sposobie Callot'a 1631 r. bez podpisu.

Belling Erazm. Sztycharz; znamy jego obrazek, wystawujący cudowną św. Annę w Przyrowie. W ozdobnym ołtarzu nad którym w górze wśród aniołków ukazuje się Bóg Ojciec i oko Opatrzności, siedzi św. Anna na kolanach trzymając dziecię Jezus, u boku N. Panna. W czterech oryginalnych kwiecistych ozdobach są symbola z napisami Łacińskiemi, u dołu nad samym podpisem znak zakonuw św. Franciszka, dwie ręce na krzyż pod krzyżem. Widzieliśmy odbicia bez podpisu sztycharza. „*Vera effigies Annae divinissimae.*“ Thaumaturgae loci sub Przyrovia in Ecclesia FF. Minor. Observ. *Erasm Belling Cath. sc. Aug. Vind.*

Kilka takich rycin znajdowaliśmy w zbiorach krajowych, do których wszakże niezdają mi się należeć, bo *Przyrovia*, jest podobno Morawska (?).

Bellato (Beloto) Józef. *Ciampi* (*Notizie, str. 68* i następne) niedokładnie o nim wiedząc, dał mu imie Jana (*Giovanni*). Był to Włoch rodem z Medyolanu, budowniczy za Jana III, którego liczne

SPIS RZECZY.

stronica

Mimoza, powieść sentymentalna, przez *Lucyana Siemieńskiego* 1,

Notatki dziwaka, ogłosił *Wacław P.* . . . . . 25.

Od Merecza do Kowna, gawęda pustelnika, przez *St. Morawskiego* . . . . . 49.

Wiadomość historyczna o zamkach, horodyszczach i okopiskach starożytnych na Litwie i Rusi Litewskiéj przez *Kons. hr. Tyszkiewicza* . . . . . 89.

Zdanie sprawy o Tatarach Litewskich, przez *A. Muchlińskiego.* 139.

Piśmiennictwo w W. X. Poznańskiém od r. 1850, przez *Ant. Białeckiego* . . . . . 185.

X. Marcin Poczobut, przez *M. Balińskiego* . . . . . 217.

Jeszcze o Zoryanie Chodakowskim, przez *H. Skimborowicza.* 243.

Listy o gospodarstwie (drugi) . . . . . 254.

Listy do Redaktora Teki Wil. przez *K. WŁ. Wojcickiego* 275.

DODATKI.

Chatka Ojca Toma (ciąg dalszy) . . . . . 66.

Ikonotheka (ciąg dalszy) . . . . . 82.

Sztuka u Słowian, szczególnie w Polsce i Litwie przed chrześcijańskiéj, przez *J. I. Kraszewskiego* . . . . 1—76.

This book should be returned to the Library on or before the last date stamped below.

A fine is incurred by retaining it beyond the specified time.

Please return promptly.